



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

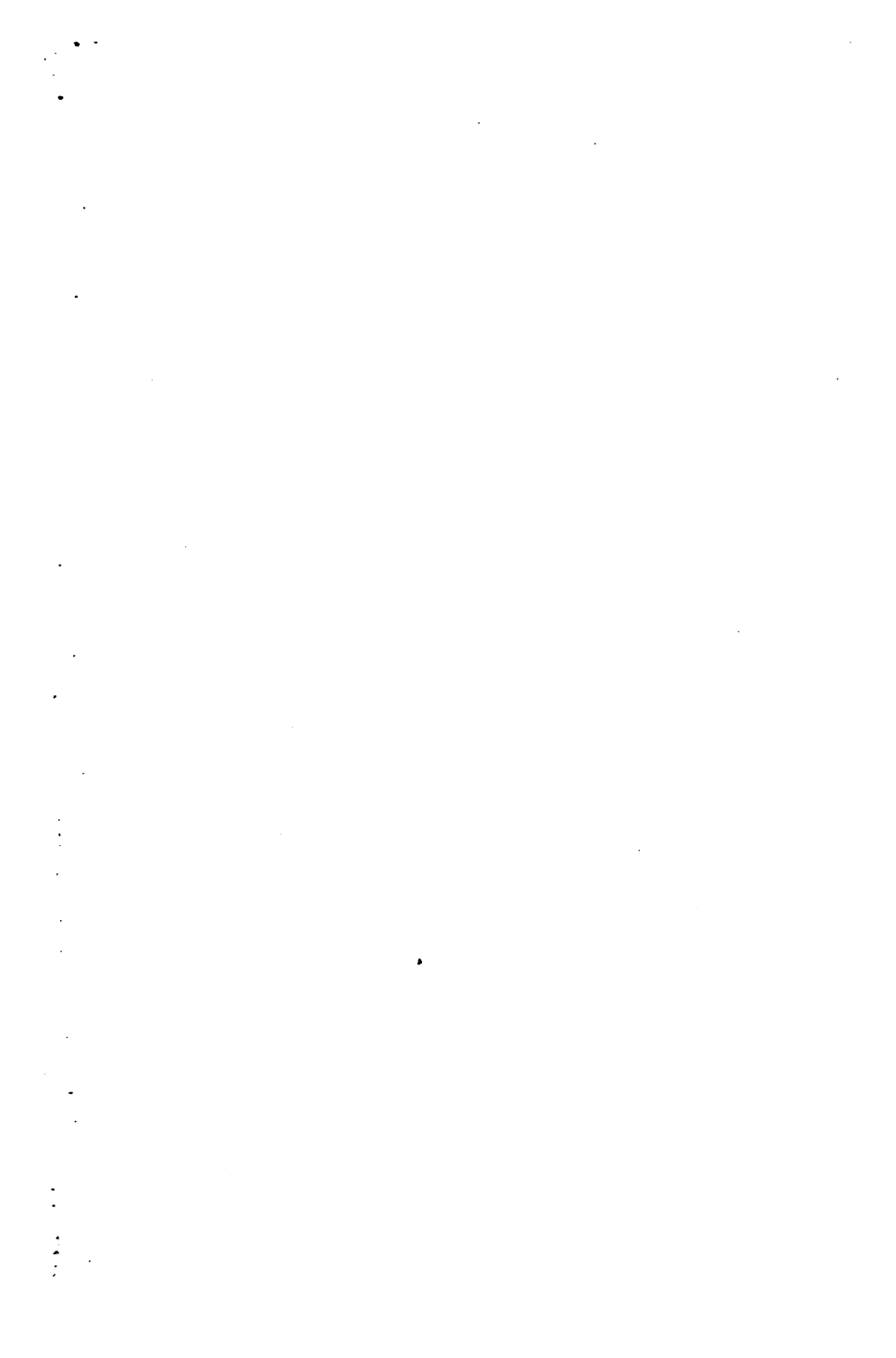
Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

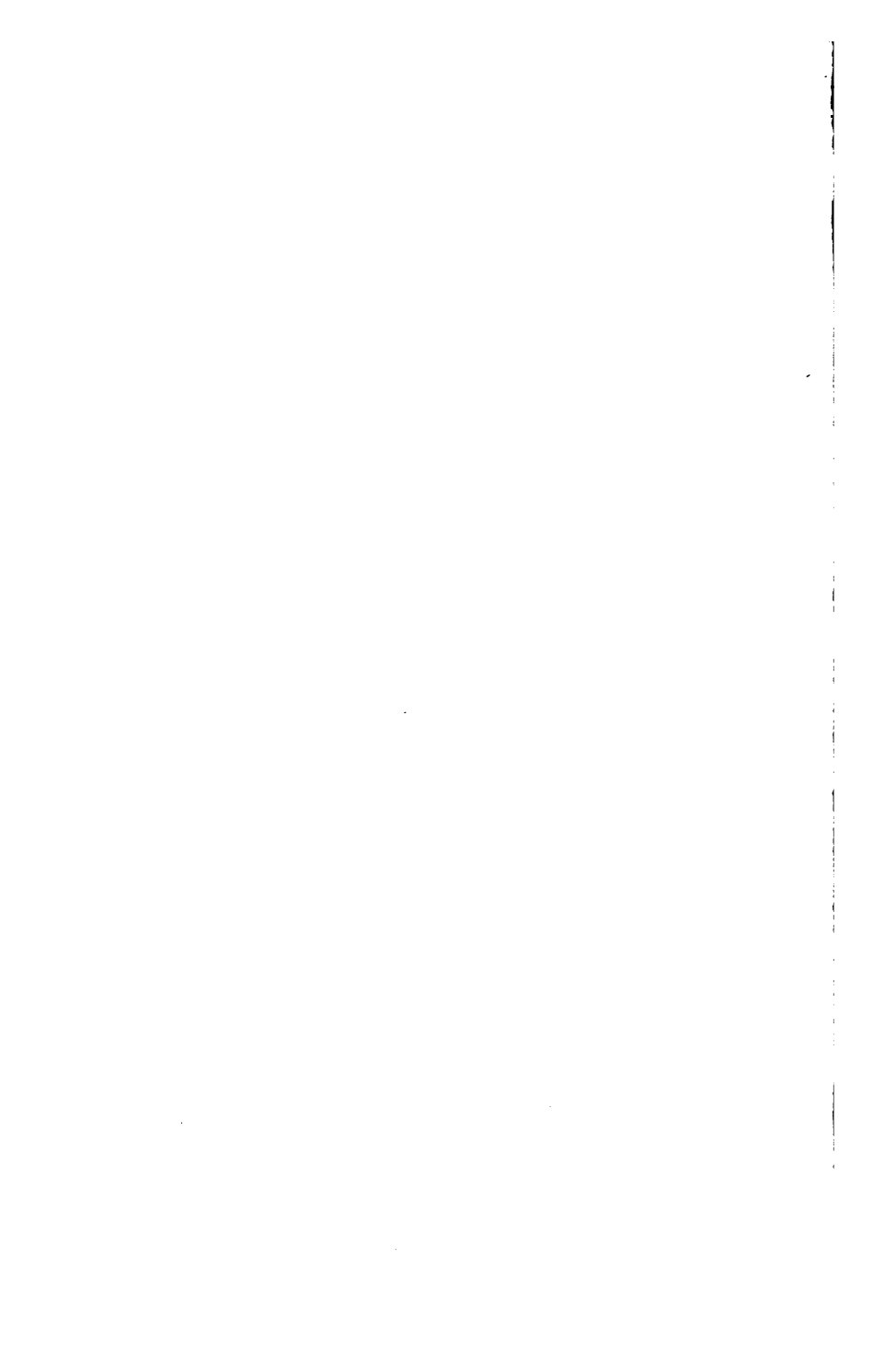
Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>





SZKICE I OPOWIADANIA
HISTORYCZNO-LITERACKIE



61

301
FERDYNAND HOESICK



SZKICE I OPOWIADANIA

HISTORYCZNO-LITERACKIE

426/323/1 1957



WARSZAWA

GEBETHNER I WOLFF

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓLKA

1900

WID-LC
AC
65
.H6
✓

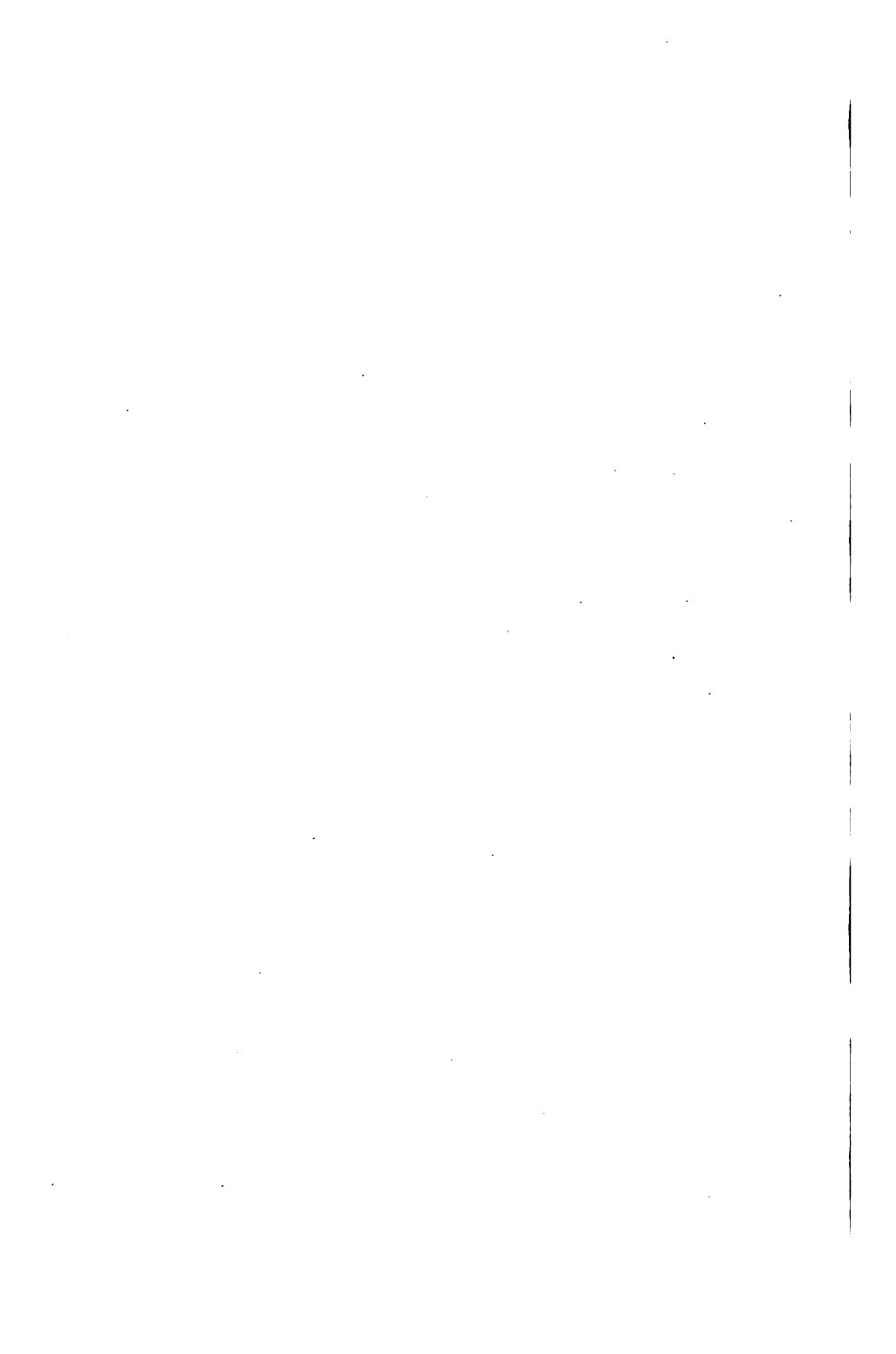


Jurzykowski

I

FRAGMENTY HISTORYCZNE





I.

ŚWIĘTY KAZIMIERZ.

Słusznie powiedziano niedawno o tym błogosławionym patronie Litwy, że jest to postać, która powinna być zapisaną nie tylko w żywotach Świętych, ale i w księdze historii ¹⁾. Imię jego, obok św. Stanisława, należy do najbardziej czczonych i kochanych w całej Polsce, a jak o biskupie Szczepanowskim wiedzą nawet dzieci, że wskrzesił Piotrowina, tak o św. Kazimierzu wiemy wszyscy, że jako drugi syn króla Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety Habsburskiej, których był ulubionem dzieckiem, »pierwej się człowiekiem, wszystkim ludzkim nędzom i przygodom podległym uznawał, a niżli królewiczem«. Rys to, bądź co bądź, świadczący o niezwykłej wzniosłości duszy, »mocniej mię bowiem — jak o nim powiada Skarga w swoich *Żywotach Świętych Pańskich Narodu Polskiego* — wzruszy król, świeckie swoje królestwo dla naśladowania Chrystusa, dla łacniejszego zbawienia swego porzucający, niżli ubogi, do Jezusa się cisnący. Trudniej u świata sławnemu stać się u ludzi wzgardzonym, niżli podlemu, o którym świat nie wiedział, światem pogardzić. Sławniejsze zwycięstwo w rozkoszy wychowanemu, gdy rozkosze porzuca, a ostre życie prowadzi, niżli ubogiemu o rozkosze, których nigdy nie miał, nie dbać«.

Był to młodzieniec »urody pięknej i twarzy pańskiej«, postawy smukłej, wątlej, a twarzy pociągłej, pięknej, o włosach ciemnych, długich, o oczach czarnych, głębokich, o nosie

¹⁾ Dr. Fryderyk Papée, *Św. Kazimierz*, *Ateneum* 1896, I, 528.

regularnym, jagiellońskim, o cerze różowej, delikatnej, o ustach wąskich, panięskich, o ruchach dystyngowanych, pełnych szlachetnej powagi, choć nie pozbawionych i pewnej zamaszystości (jak się tego pozwala domyślać portret królewicza, zachowany w kościele parafialnym, niegdyś kolegiackim, w Krośnie). Cała postać odznaczała się niezmierną słodyczą i wdziękiem: na uduchowionem obliczu malował się wyraz zadumy, oczy zaś, płonące egzaltacją, patrzyły w jakąś dal niezmierną, w której zdawały się dostrzegać przeciągające korowody Świętych i Cherubinów.

Urodzony »z brzaskiem jutrzeńki« dnia 3 października 1458 roku na zamku królewskim w Krakowie, aż do dziewiątego roku chował się pod okiem matki, której »piękne cnoty domowe i rozważny umysł« tak wielki wywierały wpływ na całe otoczenie dworskie. W r. 1467 powierzył go ojciec pedagogicznej pieczy Jana Długosza, kanonika krakowskiego, człowieka znanej religijności i prawości, gorącego patrioty, niezrównanego znawcy dziejów ojczyźtych. Pod jego światłym kierunkiem, przeważnie w Krakowie, a podczas miesięcy letnich w Tyńcu, w zamku niepołomickim, kształcił się młody Kazimierz pospołu ze swym starszym i młodszymi braćmi, a że, jak zapewnia Długosz, był »młodzieńcem szlachetnym, rzadkich zdolności« i pilności, więc pojąc się z tak czystego i hojnego źródła, »we wszystkie cnoty rósł, i jako dobra a bujna ziemia, rodzaj dawał nietylko trzydziesty, ale i setny«. W miarę, jak podrastał, rozwijał się umysłowo, a najwyższej ceniłony przez swego dostojnego nauczyciela, równie biegle wysławiał się po łacinie, jak po polsku, łaciną posługując się w rozmowach np. z dygnitarzami kościelnymi, a polszczyzną, gdy był z ojcem lub braćmi. Wszysey podziwiali w nim »niepospolitą naukę«, a gdy go w r. 1471 zaproszono na tron węgierski, »wielu doradców korony — według relacyi Długosza — jak najsilniej za tem przemawiało, aby *takiego raczej dla ojczyźtyj ziemi zachować, niż go oddawać obcyj*«. Mimo to, odprowadzony przez ojca aż do Sącza, wyruszył 13-letni królewicz w świetnym orszaku do Węgier, niebawem jednak, nie mogąc wytrzymać współzawodnictwa z potężnym Maciejem węgierskim, wrócił »ze smutkiem i wstydem« do Dobczyc, gdzie przebywając przez czas dłuższy, niezniechęcony i ukoporzony, nie pokazywał się nawet w Krakowie. W takim nastroju wrócił do przerwanych studyów... Ukoń-

czywszy je w r. 1475, zaczął się, wraz ze swym młodszym bratem Olbrachtem, zaprawiać przy boku ojcowskim do spraw publicznych: bywał przy wielkich przyjęciach posłów zagranicznych, towarzyszył ojcu do Wilna, w r. 1476 uczestniczył na zjeździe z wielkim mistrzem krzyżackim w Malborgu, w roku 1478 brał udział w sejmie w Piotrkowie, a że, dzięki swym zdolnościom, zwracał powszechną na siebie uwagę, więc *vox populi* upatrywał w nim następcę tronu, od czego on się nie wzbraniał... Z końcem r. 1479 przeniósł się król z całą rodziną na Litwę, gdzie miał tym razem zabawić lat pięć przeszło. W ciągu tego czasu zaszedł wypadek, który nie pozostał bez silnego wpływu na usposobienie Kazimierza: oto w porze wielkanocnej roku 1481 odkryto spisek wśród książąt naddnieprzańskich, mający na celu zamordowanie króla wraz z synami. Wspomnienie tego »barbarzyńskiego zamachu« bardzo przykro zapisało się w pamięci królewicza, tak iż odtąd daje się w nim zauważyć jakby odcień niekorzystnego uprzedzenia względem Litwy i Rusi... Jakoż przeniósł się do Korony, gdzie, przemieszkując głównie w Radomiu, miał sobie poruczone przez ojca wykonywanie pewnego rodzaju władzy namiestniczej. Na stanowisku tem okazał się tak wielkodusznym, że nawet współczesny kronikarz pruski nie może się go dosyć nachwalić. »*Er war seer klugk und sittigk und hatte gerethe 2 jar geregireth, das der her Konig im zculies und die herschafft und alle leutte sagten im gros lob nach*«¹⁾. Niestety, zdrowie psuło mu się coraz bardziej, a rozwijające się suchoty nie pozwalały wróżyć długiego żywota. W przeczuciu rychłej śmierci, pod koniec r. 1483, udał się na Litwę, głównie dlatego prawdopodobnie, ażeby ostatnie chwile spędzić razem z rodziną. Stanąwszy w Grodnie, zaczął się czuć nieco lepiej, ale niebawem pogorszyło się znowu, tak dalece, że o tem niepokojące wiadomości doszły aż do Lublina, gdzie właśnie bawił król na sejmie... Odwołany stamtąd, gdy zjechał z powrotem do Wilna, zastał już swego ukochanego syna umierającym. D. 4 marca nastąpiła śmierć, w 25 roku życia Kazimierza.

Gdy żałobna wiadomość o zgonie królewicza-następcy tronu rozeszła się po całym obszarze Rzeczypospolitej, wszystkie serca napelniły się szczerą boleścią, wszyscy szczerze żalowali

¹⁾ *Script. rer. Pruss.*, IV, p. 687.

swego przyszelego króla i pana. Oto np. co pisał pod wrażeniem tej śmierci wojewoda malborski, Mikołaj Bażeński, w liście do Torunian: »Jestem przez pewnego człowieka, który to miał widzieć, uwiadomiony, jako zakończył swój żywot doczesny królewicz Kazimierz, drugi syn Najmiłościwszego Pana tych krajów, szczególnie łaskawy i przychylny pan, w którym pokładałem nadzieję, że te ziemie znowu dojdą do swych przywilejów i do swej sprawiedliwości. Bóg wszechmogący niech mu udzieli radości wiecznego życia i wiecznego w swem królestwie panowania! Mając na względzie dobroć tego księcia dla naszych ziem i to, że miał być ich przyszłym panem i dziedzicem, uważam za stosowne, aby i w naszym mieście oddane mu były winne przysługi religijne i honory pośmiertne«, bo chodzi o to, ażeby dać wyraz swemu żalowi i żeby »J. K. Mość spostrzegł nasz współdział w swoim cierpieniu«. Kallimach pisał o królewiczu, że »powinien był albo się nie urodzić, albo pozostać wiecznym«, a biskup przemyski, Jan z Targowiska, żałował w nim »księcia zdumiewającej cnoty i mądrości, tudzież nauki nadzwyczajnej, którymi to przymiotami wielu narodów serca do miłości ku sobie pociągnął«.

W słowach tych nie było przesady, królewicz bowiem, od dziecka odznaczający się gołębią łagodnością charakteru, w zachowaniu się cichy, skromny, nie myślący o wynoszeniu się nad innych, popularny, a nadzwyczaj miły i słodki w obejściu ze wszystkimi, w rządach był sprawiedliwym i miłosiernym. Jak dalece pragnął w niczem nie uchybić sprawiedliwości, świadczy jego list do wrocławian, datowany z Radomia 11 lutego 1482 roku, w którym tak pisał między innemi: »Byłoby mi to najmilszem, *nie tylko ze względu na samą sprawiedliwość, którą nad wszystko inne uprawiać winienem i pragnę*, ale i ze względu na to, aby wam, jak sobie najbardziej życzę, stało się zadość« ¹⁾. Świadczy o tem również wyrażenie rajców lwowskich, którzy, z powodu wyboru Olbrachta na króla w r. 1492, pisali o zmarłym bracie jego: »Ponieważ drugi syn królewski, książę Kazimierz, mąż nader rozumny i sprawiedliwy, jeszcze za życia ojca był umarł...« i t. d.

Inteligentny i wykształcony, z umysłem uprawnym, wyćwiczonym na literaturze łacińskiej, był Kazimierz zarówno

¹⁾ *Scriptores rerum Siles.*, XIV, 47 (cyt. u Papée).

pod względem obyczajów, jak i w sposobie myślenia nawskróś człowiekiem Zachodu, a hołdując jego cywilizacyi, miał instynktowy wstręt do wszystkiego, co tchnęło Wschodem i bizantynizmem. Dlatego przez całe życie marzył o koronie węgierskiej, któraby mu dała możliwość walczenia z Turkami, a zbawienie widział tylko w jedności Kościoła rzymsko-katolickiego...

Żarliwie nabożny, przestrzegający wszelkich praktyk religijnych, od dworskich rozrywek, ile mógł, stronił; przeważnie się modlił. »Częściej go w kościołach znajdowano, niżli na palacu... W nocy porывał się i wychodził do kościołów, które, gdy zamknięte znalazł, u drzwi się Panu Bogu upokarzał; często go bowiem straż leżącego na twarz w nocy przed drzwiami u kościoła znajdowała. Miał wielkie kochanie w rozmyślaniu życia i dostojności przeczystej Matki Bożej, o której, z gorącego ku Niej nabożeństwa, rytmy albo wiersze łacińskie złożył¹⁾ i mądrą a niebieską oną filozofią chłodził zawždy serce swoje. A iż czystość serdeczną przedsiębrał i w niej służyć Panu Bogu umyślił, przeto w czystości się też cielesnej chował, w której aż do śmierci przeżył, sam siebie i skłonności zepsowanej natury w sobie umartwiając tak dalece, iż z daru bożego dziewiczego kwiatu nigdy nie utracił: do czego iż potrzeba było wielkiej czujności i straży, krócił i umartwiał ciało swoje włosienicą grubą, postami i potraw królewskich odstępowaniem, niespaniem, modlitwą długą i częstą, aby rozumowi i nabożeństwu ten osieł podlegał... Zmysłami swymi, a zwłaszcza okiem i uchem, dobrze rządzić umiał, białej się płci nie przypatrując i rozmów się nieprzystojnych strzegąc...« Natomiast lubił przestawać z ludźmi starszymi, mądrymi i bogobojnymi, zwłaszcza lgnąc do osób duchownych.

Wobec takich przymiotów, niedziw, że go kochano powszechnie, że gdy umarł, rodzice nie prędko uspokoiłi się po jego stracie. Król tak odczuł ten cios, że przez dłuższy czas całkiem był niezdolny do wszelkich spraw rządowych. W końcu zaczął w kościele katedralnym budować wspaniały grobowiec, dokończony przez Zygmunta Starego, a przez Wazów przyozdobiony. Grób ten, od chwili, gdy w nim spo-

¹⁾ Myli się tu Skarga, autorem bowiem powszechnie św. Kazimierzowi przypisywanego Hymnu do Matki Boskiej: »*Omni die Dic Mariae Laudes mea anima*« — jest św. Bernard. Była to wszakże ulubiona modlitwa młodego Jagiellończyka.

częły zwłoki świątobliwego młodzieńca, niebawem zasłynął cudami. »Roku Pańskiego 1518 — pisze Skarga — swoim Polakom i Litwie, w małej liczbie wojska będącym, sławne zwycięstwo zjednał pod Połockiem, gdzie w białym ubierze był widziany Święty Kazimierz, przeprawę przez Dźwinę rzekę i bród ukazujący temi słowy: tędy za mną idźcie! Toż samo i drugiego roku wzywany od wojska uczynił...«

Kanonizowany został dzięki zabiegom brata swego Zygmunta I, w roku 1521 za pontyfikatu Leona X. »Z tak tedy wysokiego stanu — powiada Skarga — i królewskiego rodu młodzieńca świętego bierzmy przykład i wzór pokory, wzdary świata, czystości i cnót innych. A tem więcej modlitwie jego za nas dufajmy, iż jest krew nasza, domownik nasz, królestwa tego syn i miłośnik ludu swego!«¹⁾

¹⁾ We Florencyi, w słynnej galerii Pitti, znajduje się prześliczny obraz pędzla Carlo Dolci'ego, wyobrażający św. Kazimierza. Według Baldinucci'ego wizerunek ten miał być zrobiony na zamówienie Kuźmy III Medyceusza. Napis pod portretem głosi: *Święty Kazimierz, książę polski, syn króla Kazimierza*. Piękną reprodukcję tego obrazu pomieścił *Kraj* w nr. 45 z roku 1898.

II.

SOBIESKI I MARYSIEŃKA.

Było to w r. 1655 w Warszawie, przed najazdem szwedzkim, podczas sejmu. W stolicy, jeszcze ludnej i bogatej, pannało niezwykle ożywienie, a na zamku, w którym rezydował Jan Kazimierz, wogóle rozmiłowany w zabawach wszelkiego rodzaju, odbywały się świetne maskarady i bale, na których, jak zwykle w takich razach, Amor był więcej czynny, aniżeli w zwykłych spokojnych czasach. Na jednej z takich zabaw dworskich, która, jako romantyczne tło, z pewnością przewyższała świetność pamiętnego balu u Kapuletów, nastąpiło pierwsze zbliżenie pomiędzy młodym, 25-letnim starostą jaworowskim, Janem Sobieskim, a młodziutką, bo zaledwo 14-letnią Maryą-Kazimierą d'Arquien... Córka byłej guwernantki Ludwiki-Maryi, a faworytka królowej, w której fraucymerze już od trzech lat uchodziła za najpiękniejszą z dworek, bezwarunkowo zasługiwała na taką opinię, jako Francuska zaś, a więc dziecko południa, była w swej 14-ej wiosnie już rozwiniętą zupełnie. Nadto posiadała tyle powabu i wdzięku, że 25-letni starosta, również mogący uchodzić za prawdziwą piękność mezką, ledwo się do niej zbliżył, odrazu doznał tych samych uczuć, co szekspirowski Romeo na widok Julii: wystarczyło mu poznać ją, by ku niej »odrazu« tak namiętnym rozgorzeć afektem, że postanowił »nigdy z inną się nie ożenić«. Odtąd, jak *W Szwajcaryi* Słowackiego, zaczął się pomiędzy tą dorodną parą klecić prawdziwy romans... Skończyło się na tem, że i serduszko »małej d'Arquien« zaczęło coraz żywiej bić dla przyszłego pogromcy Turków. Nic dziwnego!

Sobieski bowiem, o którym już w tych czasach musiano sobie powtarzać: »Jakże mu pięknie z tymi wasami!« a który, nim poznał się ze swą Giulietką, miał znaczne powodzenie u niejednej warszawskiej Rosalindy, znał tajemnice przypodobania się pici pięknej, to też, kiedy się zakochał sam, potrafił sobie zdobyć wzajemność.

Taki był początek romansu. Niestety, o ile prolog tchnął poezją, o tyle »ciąg dalszy«, który nastąpił po nim, wypadł nieskończenie prozaiczniej. Jak szekspirowska Julia, która miała swego Tybalda, podobnie i ta »mała d'Arquien« natrafiła na swego, a na nieszczęście Sobieskiego-Romea, Tybaldem, który się miał niebawem zakochać w pięknej córce kapitana d'Arquien (kapitana gwardyi szwajcarskiej księcia Orleańskiego), był młody ordynat Jan Zamoyski, największy pan w całej Polsce, »mający 700.000 liwrow dochodu i najpiękniejsze w świecie domy, przedziwnie umeblowane«. O lepszej *party* nie mogła marzyć uroczą Marya-Kazimiera.

Swoją drogą, kto wie, czy nie zdecydowałyby się zostać panią Sobieską, gdyby nie to, że młody starosta jaworowski, zamiast się odrazu — jak Romeo — oświadczyć, dla jakichś niewiadomych, a tajemniczych przyczyn, zwlekał i zwlekał. Upłynęło dwa lata prawie, zbliżał się koniec roku 1657, a Sobieski, choć zakochany, stanowczego słowa nie wypowiedział! Tymczasem zdążył się zająć »nieporównanymi wdziękami panny d'Arquien« młody ordynat Zamoyski. Trudno o niebezpieczniejszego rywala! Zaledwie o dwa lata starszy od Sobieskiego, był on osobistością, pod względem znaczenia w kraju, nierównie wyższą, aniżeli starosta jaworowski, (który wszystkich dóbr rodzicielskich jeszcze w tej chwili nie miał w swem posiadaniu), a jako przyjaciel króla i królowej, którym raz po raz oddawał nadzwyczajne usługi, miał nierównie większe widoki, gdy chodziło o poparcie na dworze, aniżeli przyszły bohater z pod Wiednia. Co najważniejsza, że był zakochany, jak kot, i że, zapragnąwszy ręki »małej d'Arquien«, mógł samą królowę mieć za swatkę.

Jakoż stało się nie inaczej. Rozpoczęto kroki przedwstępne, na to zaś, żeby skruszyć serce młodej Francuzki, zakomunikowano jej, że ordynat Zamoyski tak jest zakochany w niej, iż »ofiaruje 100.000 talarów w prezencie swojej pani, 12.000 (talarów) dochodu na jej przyjemności i 4.000 (talarów)

intraty na jakimkolwiek starostwie; obiecuje też wiele innych rzeczy, gdy ona zostanie żoną jego i zwiększy miłość w jego sercu«. Wszystko przemawia za tem, że w chwili, kiedy imci p. Podlodowski, starosta radomski, »uproszony« przez ordynata, wystąpił z formalnymi oświadczeniami, serce »małej d'Arquien« było dla Sobieskiego; mimo to, kiedy chodziło o danie stanowczej odpowiedzi imci p. Podlodowskiemu, zapomniała o Romeu, który jej nie mógł dać odrazu dwóch zapisów na 600.000 zł., ani starostwa kałuskiego »na swe osobiste wydatki«, i zdecydowała się zostać żoną Tybalda. Zrozumiała widocznie, że lepiej być wielką panią, żoną największego magnata polskiego, aniżeli starościną jaworowską; powtóre, Sobieski się nie oświadczał, a ona pochodziła z ubogiej rodziny. Jakoż dała odpowiedź przychylną, co upoważniło Zamoyskiego, że oświadczywszy swe uroczyście w obliczu króla i królowej powtórzył.

Nazajutrz, na zamku królewskim, odbyły się zaręczyny, na które zakochany oblubieniec przyniósł koronę dyamentową, ażeby ją królowa, siedząc na tronie pod baldachimem, własnoręcznie włożyła na głowę czarującej oblubienicy. Szkoda, że Sobieski nie mógł być świadkiem tego obrzędu: możeby go podobny widok uleczył z miłości dla Marysieńki...

Z niemiejszym przepychem i okazałością, a ciągle pod egidą Ich Królewskich Mości, odbyły się obrzędy przedślubne. Dość powiedzieć, że kiedy nadszedł dzień 3-go marca 1658 r., w którym »mała d'Arquien« miała zostać ordynatową Janową Zamoyską, królowa wyraziła miłościwe życzenie, ażeby panna młoda ubierała się w jej pokoju. Zdaje się, iż przy tej sposobności podziwiano wspaniałą gotowalnię złotą, ozdobioną »węzłami miłości« z kosztownych pereł, którą Zamoyski ofiarował swej narzeczonej.

Ślub był prawdziwie królewski. Pan młody wystąpił w orszaku 20-tu przyjaciół, poprzedzany przez 100 hajduków, 100 służących, 40 dworzan, 24 masztalerzów, 18 paziów, 6 trębaczy. Drużbą, który pannę młodą prowadził do ołtarza, był sam Jan-Kazimierz. W czasie przysięgi małżeńskiej, panna młoda, zanim przyjęła z rąk kapłana obrączkę ślubną, otrzymała na to w pierw pozwolenie od jej królewskiej mości Ludwiki-Maryi.

Nazajutrz, po godach weselnych, o których wieść nie mogła nie dojść do Sobieskiego, do Pillaszkowic, kiedy chodziło

o odwiezienie pani wojewodziny kijowskiej do domu męża, odwieźli ją oboje królestwo.

»Jutrzenka« jednak, zostawszy żoną Zamoyskiego, nie bardzo starała się »zwiększyć miłość w jego sercu«. Nie podobało się jej w Zamościu, nawet w czasie miodowych miesięcy. Miała mnóstwo irytacji ze służbą, która jej »nawspak czyniła«, a choć małżonek był zakochany i czuły, zaczęła się nudzić, czuła się osamotnioną, tak dalece, że już w pierwszych miesiącach zażądała niejkiej referendarzówny »dla konwersacji«. Widocznie, że sobie z mężem niewiele miała do powiedzenia... Jednocześnie, od chwili, kiedy się poczuła w stanie odmiennym, zaczęła zapadać na zdrowiu, dla którego »poratowania« najchętniej jeździła do Warszawy, gdzie w atmosferze kome-razów dworskich, przy boku królowej, której była ulubienicą i sojusznicą, czuła się w swoim żywiole. W Warszawie też, gdzie przedewszystkiem myślała o zabawach i rozrywkach, i o Sobieskim, z którym się widywała na dworze królowej, odbyła swój pierwszy połóg, »a po tak ciężkiej chorobie, ustawicznie kazała sprowadzać dobrą kompanię, potem w Zamościu i w Zwierzyńcu ustawiczna dobra myśl i maskary, i gry różne, to w karty, to w ciuciubabki, to *aux petits jeux*, to przechadzki, to milion innych zabaw«.

W tymże czasie, dla rozrywki również, a pewno bez wiedzy męża, który ją nudził i drażnił, zaczęła korespondować z Sobieskim, ten zaś, jako niezapomniany i zawsze miły sąsiad z Pilaszkowic, o sześć mil wszystkiego odległych od Zamościa, nietylko z przyjemnością odpisywał na jej listy, ale nadto korzystał z każdej okazji, by się spotykać i widywać z romansową wojewodzina. W końcu doszło do tego, że listy zaczęły kursować coraz częściej, a jednocześnie stawały się coraz poufalszemi.

Ciekawe to były listy. Pisane stylem ówczesnych roman-sów francuzkich, z których szczególnie *Astrée* Honorego d'Urfé zachwycała romansującą parę, o ile z początku były przeważnie listami życzliwej przyjaciółki, która chętnie pisze o różnych drobnych sprawach i przygodach, lub daje polecenia, dotyczące niektórych sprawunków (jak np. zakupu koronek, szmaragdów, płócien holenderskich etc. etc.), o tyle stopniowo zaczynały być pisane coraz czulej: zrazu z czułością troskliwej matki-opiekunki, która »swojemu ukochanemu synowi« zaleca ożenienie

się na pociechę jej w starości, lecz obawia się o niego, że przez całe życie pozostanie »*un nic dobrego*«; a potem z filuternością pieszczotki, trochę zazdrosnej nawet o jego miłostki z jakimiś »Czerkieskami i Wołoszkami«, jakkolwiek głównym pretekstem do napisania listu były nie owe Czerkieski (tylko raz wspomniany mu wypominane później), ale jakaś książka z piosenkami, którą pożyczono swemu korespondentowi, lub jakaś tragedia o Kleopatrze, którą polecał jej, żeby przeczytała. Istna sielanka!

Tymczasem atmosfera, którą od jesieni 1658 r. oddychał Sobieski, wcale nie była sielankową: wystarczy nadmienić, że ostatnie jego listy pisane były z obozu, z Prus Królewskich, gdzie przyszedł Jan III. wojował ze Szwedami. W początku r. 1659 posłował na sejm w Warszawie, przez cały czas pozostając w najściślejszych stosunkach z dworem, zwłaszcza z królową, która mu przyznawała »znaczne koło dobra Rzpltej i Ojczyzny pieczołowanie«. Lato spędził na Rusi, skąd wróciwszy do Warszawy, znowu, razem z królem, wyruszył na ostatnią kampanię szwedzką. W marcu 1660 r. był w Gdańsku, w czerwcu — w Warszawie, w połowie sierpnia — w Jaworowie, a we wrześniu maszerował na Wołyń, przeciwko Kozakom i wojskom moskiewskim Szeremietiewa. Na Wołyniu, gdzie się odznaczył w wielu bitwach, zabrał do późnej jesieni, t. j. tak długo, dopóki Szeremietiew, oddawszy się w niewolę, nie zawarł kapitulacji, a Jurko Chmielnicki nie poddał się ze wszystkim wojskiem zaporozkiem »na wieki« pod panowanie Jana Kazimierza (17 października).

Tymczasem pani Zamoyska, bawiąca aż do lipca 1660 r. przy mężu, na Podolu, znowu była w stanie odmiennym, co jej nie przeszkadzało bynajmniej — pomimo ciągłych utyskiwań na zdrowie — jeździć konno i »strzelać po hiszpańsku tak, że nie lada kto mógł się z nią pojedynkować«. W połowie sierpnia, gdy Jan-Kazimierz, po odprawieniu rady wojennej we Lwowie, stanął w Samborze, w asystencji całego dworu i królowej, zjechała tu i Marysienka, a przyjechawszy, zabiła około dwóch miesięcy.

Czy widywała się z Sobieskim, który w tym czasie bawił w Jaworowie? Tego nie wiemy. Wiemy natomiast, iż z Jaworowa posyłał owoce, które w Samborze bardzo smakowały nie tylko Ich Królewskim Mościom, ale i pani Zamoyskiej. Wiadomo również, że kiedy młody chorąży koronny jechał na wy-

prawę szwedzka, Marysienka, nosząca w tych czasach »*un juste-au-corps qui est assez joli*« i »*un peu* z krymska zapięty na bakier«, posłała mu krzyżyk złoty i szkaplerz z piękną relikwią, aby znaleziono na nim »godła chrześcijaństwa, w razie, jeśliby został zabity«. Niemniej jest pewnem, że kiedy ośmielony tym szkaplerzem Sobieski, któremu to sentymentalne wdychanie już się dłużyło, zaczął — w listach do swej lubej — przebąkiwać o miłości prawdziwej, nie platonicznej, pani Zamoyska skarciła go za te marzenia, bo jak mógł żądać od niej »czegoś niemożliwego, obrażającego ją«. Niechaj będzie kontent — pisała — że go traktuje, jak syna, i daje mu »swoją szkaplerz ulubiony«. »Bądź zdrow! *Vivons contents, dédans la vertu*«. Ostatni warunek nie musiał się podobać bohaterowi z pod Lubaru... Cokolwiekbądź, czuła i Marysienka, że ta korespondencya jest trochę kompromitującą dla niej: prosiła więc Sobieskiego, ażeby palił jej listy. Czuła, że tymi listami schodzi z prostej ścieżki, a jednak, mimo to, nie przestawała igrać z ogniem. Rozumiała, że dzięki tej korespondencyi — tak niewinnej na pozór — i siebie i Sobieskiego wiodła na pokuszenie; swoją drogą, jeśli o nią chodziło, nie lękała się niczego, na to bowiem, ażeby się zapomnieć, była nie dość lekkomyślną.

Jakoż nie przestała pisywać »ulotnych liścików« do swego faworyta, ten zaś — podczas najgorętszych utarczek z Szerebietiewem i Chmielniczeńkiem — znajdował dość czasu, aby odpisywać swej Astrei: zwłaszcza, że Astrea pisywała coraz otwarciej, co się przejawiało n. p. w ten sposób, że coraz częściej zaczęła się skarżyć na męża. Zresztą pisała żartobliwie, lekko, ze szczególnem upodobaniem rozpisując się o miłości...

W maju r. 1661, z powodu sejmu, zjechał się Sobieski z piękną wojewodziną sandomierską w Warszawie. Należąc oboje do najbliższego otoczenia królowej, widywali się bardzo często, a że dokładali możliwych starań, ażeby się spotykać raz po raz, i to o ile możliwości »w cztery oczy«, nie tylko więc, że się widywali częściej, aniżeli by sobie mógł tego życzyć mąż Marysienki, ale stosunek ich zaczął ulegać takiej metamorfozie, że ordynat Zamoyski miałby wszelką rację, gdyby Sobieskiego przestał uważać za swego przyjaciela... Nadomiar złego, mógłby to samo powiedzieć i o Krzysztofie Koryckim, który, zdecydowawszy się na dwuznaczną rolę powiernika i pośrednika między zakochanymi, ułatwiał im

schadzki, doręczał listy i bileciki miłosne, słowem, grał rolę *d'un postillon d'amour*.

Te bileciki miłosne, które obecnie Sobieski zamieniał z Marysienką, odznaczały się takim tonem, że z pewnością nie byłyby się spodobały jej mężowi. Oto niektóre z nich. »Kiedy mogę mieć ten honor śliczną w. pani obaczyć twarz?... Zmiłuj się tedy, moja święta dobrodz., a oznajmij mi prawdziwe serca swego intencye, i gdzie i kiedy mam widzieć śliczności wci dobrodz. mojej«. Była to zwykła prośba o schadzkę. Innym razem pisał, między innymi, co następuje: »Królowo serca, pani, a dobrodziejko moja! Obiecano dnia wczorajszego instrukcyę. Upraszam uniżenie wci dobr. mojej, niechaj wiem, jako się sprawować mam, aby w najmniejszym łaski wci mojej dobr. nie naruszyć terminie. Siedzę tu, chez Mr. Korycki, od samego poranku, nie śmiejąc po wczorajszym tak długim niewczacie turbować najśliczniejszej Jutrzenki, ani też pójść na inne miejsce, z którego mogłaby najpiękniejsza Astrée jakie formować nieukontentowanie. Twarz nielaskawą jeślibym dziś ujrzeć miał, albo najmniejszy po wci mojej dobrodz. uznać nieafekt, racz o tem wiedzieć, moja święta pani, żebym tej godziny do ostatniej przyszedł desperacyi«. Wszystko to mogłoby niemniejsze »formować nieukontentowanie«, gdyby np. wpadło w ręce ordynata. Na szczęście, ordynat, nie domyślając się niczego, bankietował tymczasem, »nieraz po żołniersku przebierając miarę w kielichach«, trwonil pieniądze, a dla swej pięknej żony, której kaprysy często dawały mu się we znaki, zdawał się ostygąć w afekcie. A ona? Ona, jak go nie kochała nigdy, tak i teraz, kiedy gruchała z innym, był jej niemiłym raczej, niż obojętnym. W przeciwnym razie nie nazywałaby go w listach do Sobieskiego »Fujarą« (*La flute*), tem bardziej, że sama przezywała się poetycznie »Astrea«, »Różą«, »Bukietem«, »Jutrzenką« etc., a dla starosty jaworowskiego miała tak poetyczne kryptonimy, jak Céladon, Sylvandre, Orondate, La Poudre, la Beaulieu etc.¹⁾

¹⁾ Marya-Ludwika nazywała się w tych listach La Girouette (chorągiewka), Kamaléon, Essences; król — Aptekarzem (Apothicaire), Kupcem paryskim (Marchand de Paris); Jerzy Lubomirski — Lisem lub Żmiją; księżna Wiśniowiecka — La Viole de jambe; państwo d'Arquien — Ptakami morskimi (Les Oiseaux de mer).

W ten sposób upłynęło kilka tygodni. Płochą ordynatowa i jej dorodny wielbiciel byli z dniem każdym coraz bardziej w sobie zakochani, aż w końcu, w sam dzień św. Jana, który był dniem imienin Sobieskiego, spotkali się w kościele Karmelitów, gdzie, przed ołtarzem, Sobieski zaprzysiął swej łubej dozgonną miłość. Marysienka wysłuchiwała przysięgi, ale sama nie zobowiązała się do niczego... Zbyt przezorną i roztropną była na to, ażeby, jak Sobieski, rzucać niebaczne słowo, którego mogłaby z czasem żałować. Woląла mieć rozwiązane ręce. Nie przeczuwała, że »La Poudre« będzie z czasem królem polskim, a pamiętała o zapisach »Fujary«, których musiałaby się zrzec przy rozwodzie. Jednym słowem, romansowała na trzeźwo.

Tymczasem, jeszcze przed końcem sejmu, musieli się rozstać: Sobieski został w Warszawie, Marysienka pojechała do Zwierzyńca. Wyjechała z mężem, a główny powód, dla którego rozstała się z ukochanym, najlepiej ją charakteryzuje: oto zdecydowała się położyć koniec rozrzutnej hojności męża, od którego, przez czas bytności jego w Warszawie, różni ludzie wycyganili zapisów na 9.000 liwrów! Nie chcąc pozwolić na takie uszczuplanie fortuny, do której zawsze przywiązywała wagę największą, postanowiła »Jutrzenka« wyjazd do domu.

Tam, w Zwierzyńcu, znowu miała od Sobieskiego »konfitury«, na które odpisywała niemniej słodkimi listami. W końcu zaprosiła go, ażeby przyjechał do niej, co też uczynił. Zabawiwszy czas jakiś przy boku Astrei, pieścił jej słabowitą córeczkę, a gdy opuścił ordynacką siedzibę, stosunek »Róży« z »Fujarą« popsuł się tak dalece, że zapragnęła się z nim rozłączyć. W tym celu umyśliła wyjechać do Paryża, przyczem, na złość mężowi, który chciał, żeby córeczkę zostawiła przy siostrze jego, ks. Wiśniowieckiej (*La Viole de jambe*), uparła się powierzyć ją opiece królowej. Co najgorsza, to, że pragnęła wyjeżdżać zaraz, jeszcze przed zimą, wbrew woli »Fujary«, który żądał, by na karnawał została w domu. A jej właśnie zależało na tem, żeby karnawał spędzić w Paryżu, o ile możliwości w Wersalu, na dworze Ludwika XIV, gdzie miała licznych znajomych. Uśmiechało jej się to bardziej nawet, niż »konfitury« Sobieskiego, z którym zresztą mogłaby się widywać i tak... Ale »Fujara« postawił na swoim i »Jutrzenka« musiała się zadowolnić »konfiturami«.

Swoją drogą nie dała za wygraną. Po upływie pięciu miesięcy, dnia 21 kwietnia, po »rozmaitych, ale nie stanowczych rozprawach« i czułem pożegnaniu z Sobieskim, który jej zaprzysiągł wieczną pamięć i wierność, odjechała do Francji, »poruczywszy zarząd i zawiadywanie starostwem Kałuskim, oraz innemi dobrami, darowanemi sobie przez j. wielmożnego (ordynata), *chorążemu koronnemu J. P. Sobieskiemu* i J. P. Sapieżę, usunawszy żyjącego męża, od którego miała rzeczzone dobra«. Ten jeden szczegół najlepiej charakteryzuje sytuację. Chodziło o to, że »Jutrzenka« nie mogła dłużej żyć pod jednym dachem z »Fujarą«, który się jej ujarzmić nie dał, że wyjeżdżając do Francji, chciała tem samem wylać się z pod jego władzy, wylać się »z pod praw pożycia małżeńskiego i obowiązków macierzyńskich«. Nie przewidziała jednego tylko, wyjeżdżając: oto, iż »Fujara« każe zatrzymać dochody starostwa Kałuskiego, a nawet zabrać garderobę nieobecnej żony, tak, że zarówno Sobieski, jak i Sapieha, jeśli chodziło o zarząd dóbr Marysienki, nie mieli nic do czynienia.

Dawało to możność Céladonowi tem częstszego wysyłania »konfitur« do Astrei, zwłaszcza, iż żądała od niego przy rozstaniu, by mogła odbierać regularnie z każdej poczty, co tydzień, po liście. Jakoż pisywali do siebie często, a »Jutrzenka« oddalona od swego Céladona, istotnie wspominała go czule. Widocznie, że — mimo wszystko — żywiła nieklamana skłonność ku pięknemu chorążemu; w przeciwnym razie nie przemyśliwałyby o tem, ażeby, rozwiódłszy się z »Fujarą«, zostać chorążyną koronną. W tym celu pisała do niego dnia 22 czerwca, iż może panu d'Arquien powiedzieć z uszanowaniem »o uczuciu, jakie powziął dla niej od chwili poznania...; a w kilka dni później pozwoliła ojcu, »*qui est fou de moi*«, dodać ośmielające *post scriptum*: dowód to, że była zdecydowaną na rozpoczęcie nowej egzystencji z dorodnym Céladonem, pod warunkiem przecież, że to nowe życie będą prowadzili we Francji.

Wtem nastąpił niespodziewany zwrot: Wenus zaczęła godzić się z Wulkanem, nie tając tego przed zakochanym Marsem. Począwszy od października, zaczęły się w listach Marysienki coraz częściej pojawiać wzmianki o mężu, najprzód skargi, że jej zabrał całe mienie, że raz tylko pisał w ciągu 4-ch czy 5-ciu miesięcy, *chociaż ona pisuje często*, a potem na-

rzekania, że krzywdzi swą żonę, która »kochała go i kocha, o ile kochać powinna kobieta uczciwa«, że wątpi, czy Zamoyski kochał ją naprawdę, etc. Jednocześnie donosiła, że Ludwika-Marya wzywa ją, by powracała do kraju. »Doprawdy, urodziłam się, żeby być nieszczęśliwą«. Swoją drogą »nie ma Beaulieu (Sobieski) wątpić, że Astrea z pewnością zachowa dla niego pomarańcze (miłość) tak całkowite i piękne, jak tylko być może w jej stanie obecnym i nigdy wiarołomną nie będzie«...

Tymczasem Sobieskiego »największa pasya« ciągnęła ku Marysieńce, jakkolwiek nie mógł się pogodzić z myślą, ażeby się ekspatryować dla ukochanej kobiety. To też, kiedy się dowiedział, że Astrea ma wracać do Polski, wieść tę powitał z nieklamana radością... Bądź co bądź, myliłby się, ktoby przypuszczał, że Sobieski był wyłącznie zaprzątnięty myślą o Marysieńce, że siedząc w swoim dworze pilaszkowickim, wdychał tylko, jak sentymentalny Filon, odczytywał listy Marysieńki, zachwycał się ich żywością, wyobrażał sobie, jak wyglądała na tle Paryża, i pisywał czule listy do niej. Tak było w części, lecz nie należy zapominać, że Sobieski był jednym z najgorętszych patriotów ówczesnych, który, będąc zakochanym w Marysieńce, niemniej gorąco kochał swą ojczyznę. Dla ojczyzny zaś skończył się właśnie »szczęśliwy rok«, a zaczynał nowy, nieszczęśliwy! Pod jesień bawił Sobieski przy królu, pod Głuchowem, poczem wyruszyli na wyprawę moskiewską.

W tym samym czasie, d. 22 października 1663 r., Marysieńka »niespodziewanie« przyjechała do Zwierzyńca, a w przeciągu miesiąca tak potrafiła ugłaskać zagniewanego »Fujarę«, że już w d. 24 listopada Zamoyski zmanifestował to *coram populo*, przyjeżdżając z nią razem, w asystencyi całego dworu swojego, do Zamościa. Nie wiedział zapewne, że małżonka jego, bezpośrednio po powrocie do domu, zaczęła pisywać do Sobieskiego listy, w których obok zapewnień czułości i wynurzeń nadziei, że »kochana Beaulieu, dla której jestem i będę zawsze zarówno czułą, napisze czasem«, mieniła się jego »dobrą przyjaciółką« etc. etc. Jednocześnie zaczęły się nowe sceny z mężem, a Marysieńka, pisując do królowej, nie tuiła swych złych stosunków z »Fujarą«, który, trawiony chorobą, leczyc się nie chciał, życie zaś, które prowadził, nie miało nic wspólnego z higieną. Być może, iż inna kobieta na miejscu »Jutrzenki« nie zgodziłaby się — stosownie do życli-

wych rad Ludwiki-Maryi — mieszkać »jak przy ojcu« przy takim mężu; ale Jutrzenka była do tego zniewolona warunkami materyjalnymi, ubóstwem całej rodziny d'Arquienów; i dlatego, choć sarkąła w listach, nie wyjeżdżała ze Zwierzynca, tak dalece, że podobno ani razu w ciągu całego roku 1664 nie była na dworze warszawskim, a ponieważ do wszystkiego przyzwyczaić się można, więc i roztropna Astrea, zaniechawszy projektów separacyi, oświadczyła w końcu — w listach do królowej — że »jest zadowolona z Fujary, że chce mu być posłuszną we wszystkim i robić wszystko, co jej każe, bo z jej to własnej winy i z uniesień młodości wynikł zły pomiędzy nimi stosunek«.

Oczywiście, że podobne »intencye bouquetowe«, tak często zmieniające się raz po raz, nie mogły się podobać Sobieskiemu. To też zaczęły krążyć pogłoski, że zakochany Céladon stara się o rękę księżniczki kurlandzkiej, pogłoski, które, doszedłszy do uszu Marysienki, boleśnie musiały urazić jej miłość własną. Na szczęście, Sobieski zaprzeczył tej plotce, a pisząc do swej ukochanej, zapewniał ją, że »lubo na Rusi mieszka, ale się nie sprawuje po rusku, bo to tylko dar ruski: dawszy co komu, nazad odbierać. On, co raz da, *na wieki* odbierać nie myśli«; to też niech Jutrzenka nie zapomina, że jej interesa są jemu »milsze daleko, niżeli swoje własne«.

Tymczasem zaczął się pamiętny sejm, na którym miała być sądzoną sprawa Lubomirskiego. Sobieski, który już od września bawił w Jaworowie, skąd miał tak blisko do rezydencyi Zamoyskich, udał się do Warszawy, jako poseł. Ponieważ z Marysienką, od chwili, gdy powrócił do domu, miał sposobność częstego komunikowania się, bądź listownie, bądź osobiście, umówili się więc, że się spotkają, skoro on będzie jechał do stolicy. Niestety, ukartowane spotkanie się nie udało, z Sobieskim bowiem, gdy opuszczał Jaworów, wybrała się »wielka kupa różnych i nieproszonych przyjaciół«, a widzenie się w takich warunkach, wobec świadków, wcale się nie uśmiechało zakochanym. Swoją drogą, »już z sobą nie wiedziała, co czynić, nieszczęsna Beaulieu«, tak był stękniony za widokiem Jutrzenki, bez której żyć nie mógł. W strapieniu tem, mąconem ciągłymi listami od królowej, od Lubomirskiego »i od *vin muscat*«, pocieszała go jedynie nadzieja, że się spotkają w Warszawie. Szkoda tylko, że się tam wybierał także i Za-

moyski, mocno przez Ludwikę-Maryę pociągany do akcji przeciwko Lubomirskiemu!

Jakoż zjechali się, nie prędzej jednak, aż dopiero po ukończonym a raczej zerwanym sejmie. Obalwszy Lubomirskiego, Ludwika-Marya zapragnęła wytworzyć nową konstelację polityczną, mianowicie z Sobieskiego uczynić główne narzędzie swych knozań, i w tym celu sprowadziła Marysienkę. Wiedząc, że przez nią wymoże wszystko, co zechce, na zakochanym chorażym, poczęła go namawiać do przyjęcia laski marszałkowskiej. Sobieski, jako przechylający się na stronę Lubomirskiego, opierał się, kunktował, aż wreszcie »na szczególne rozkazanie« Jutrzenki, »uczynił sobie gwałt dosyć wielki« i począł się chwiać. Nad trzeźwym politykiem brał zwolna górę namiętny kochanek! Co prawda, to ten ostatni czuł się bardzo od niejakiego czasu nieszczęśliwym, a zdarzały mu się i takie chwile, że nawet, blizki rozpacz, nie wiedział, czego się trzymać, co myśleć o Marysience: ona bowiem, chociaż go niby kochała, jednak z »Fujarą« rozłączać się nie chciała. Wobec podobnej igraszki ze strony Astrei, Sobieskiemu zdawało się niejednokrotnie, że »nie masz i nie było nieszczęśliwszego człowieka« nad niego, a gdy temi słowy skarżył się w jednym z listów do Marysienki, to zdanie to nie było czczym frazesem. Nadto był w niezgodzie ze swem politycznem sumieniem... To było powodem, że w sprawie przyjęcia laski obiecał dać stanowczą odpowiedź nie prędzej, aż dopiero po swym powtórnym przyjeździe do Warszawy. Tymczasem, w końcu stycznia wyjechał do Żółkwi, a król i królowa przedsiębrali pobożną pielgrzymkę do Częstochowy, w której to pielgrzymce i pani Zamoyska podobno brała udział...

Atoli, jadąc do Żółkwi, przed sejmikami, zapowiedzianymi na 15 lutego, Sobieski nie tyle myślał o tem, żeby się dać wybrać na posła, ile o swej lubej, która — może pobudzana przez królowę — coraz poważniej zaczynała przemyślać o rozwodzie z »Fujarą«. Sprawa ta interesowała teraz Sobieskiego więcej nierównie, niż laska i buława, któremi go czestowano, i niż polecenie królowej, ażeby agitował na rzecz stronnictwa dworskiego przeciw Lubomirskiemu. Tak usposobiony, kiedy go nakłaniano do przyjazdu w celu rozmówienia

się z królową, obiecywał uczynić to pod warunkiem, że Marysienka otrzyma od króla pozwolenie na rozwód.

Nagle sprawa przybrała całkiem nieprzewidziany obrót: dnia 7 kwietnia (1665), po jakiejś strasznej, kilkudniowej chorobie, Jan Zamoyski umarł niespodzianie. Marysienka była wolną bez rozvodu; wszelkie przeszkody zniknęły. Jakoż, zdaje się, iż nie co innego, tylko ta sprawa była powodem, że już dnia 21 kwietnia, a więc we dwa tygodnie po śmierci Zamoyskiego, Sobieski stawił się w Warszawie, gdzie, ledwo się pokazał, zaraz »wszyscy wołali, mianowicie królestwo JMC., żeby się żenił«. Leżało to w interesie partji dworskiej, a Ludwika-Marya zrozumiała odrazu, że, ożeniony z »Bukietem«, Sobieski będzie w jej ręku, jak galka chleba.

Tą myślą powodowana, postanowiła Ludwika-Marya zawiązać na Sobieskiego takie sidła, z którychby się żadnym cudem wyplątać nie zdołał. Przyjętą, która go do tej złowrogiej sieci wciągnąć miała, była oczywiście Marysienka... Ledwo Sobieski stawił się w Warszawie, natychmiast ofiarowano mu zaszczytny urząd marszałka w. k., gdy zaś w odpowiedzi na tę propozycję, oświadczył, iż przedewszystkiem prosi o łaskę królewską, żeby mu było wolno starać się o rękę wdowy po Zamoyskim (bo tylko za tę cenę gotów uczynić wszystko), Ludwika-Marya bynajmniej nie myślała sprzeciwiać się temu żądaniu; owszem, ucieszyła się nawet, kiedy jej powiedziano, że Sobieski nie pragnie niczego, tylko pozwolenia na zaślubienie Marysienki; leżało to tak dalece w jej planie, że kiedy w dziesięć dni po śmierci Zamoyskiego, Sobieski ani przyjechał na zakończenie sejmu, co był obiecywał, ani przesłał wdowie »żadnego komplementu«, zaczęła się lękać, czy przyszedł marszałek nie chce zyskać na czasie, ażeby przejść na stronę Lubomirskiego, a przedewszystkiem, czy trwa w zamiarze żenienia się z Marysienką. To też, kiedy się dowiedziano, że nie myśli o niczem, jeno o zaślubieniu wdowy, niezwłocznie rozpoczęto targi. Skończyło się na tem, że Sobieski już w tydzień po swym przyjeździe do Warszawy zdecydował się przyjąć urząd marszałka w. k.; że buławę hetmańską — z powodu śmierci Czarnieckiego — przyjął *zastępczo*, »żeby nie budzić niczyjej zazdrości«; że, dzięki swej namiętnej miłości ku Marysience, d. 30 kwietnia, na obiedzie u posła francuskiego, biskupa-dyplomaty Bonsy, już występował jako gorliwy stronnik królewski; i że dnia

13 maja, u tegoż posła, tak gwałtownie występował przeciwko wszelkim porozumieniom się z Lubomirskim, że »tupał nogami«, a królowej czynił takie wyrzuty, że go aż musiano odprowadzić do przyległego pokoju. Wróciwszy stamtąd, uściskał przedstawiciela Francji, a wszystko to »z powodu wielkiej, z niczem nieporównanej pasyi«, jaką płonął ku wojewodzinie sandomierskiej.

Ludwika-Marya wszakże, pragnąc się upewnić co do niezłomności świeżo kreowanego marszałka w. k., którego nie była zupełnie pewną, taki nań wymyśliła sposób. W przewidywaniu, że »miłość mogłaby ostygnąć, gdyby Sobieski wyjechał, *nie wziąwszy ślubu*«, a z drugiej strony rozumiejąc doskonale, że ślub w takich warunkach, wobec niepogrzebionych zwłok Zamoyskiego, jest niepodobieństwem, o ile nie ma być krzyżującym skandalem, zdecydowała się wybrać drogę pośrednią, czyli uciec się do takiej kombinacji, która, nie będąc ślubem sakramentalnym, niemniej obowiązywałaby Sobieskiego. Chodziło o to, ażeby go *coute que coute* przykuć do siebie, a więc należało jakimkolwiek sposobem »zdrzeć go z honoru i reputacji, żeby tem powolniejszy był i żeby z nim czyniono, co chciano«. To była owa *importune activité* królowej, o której z czasem Sobieski wspominać miał z gorczyzą... Polegała ona na tem, że królowa, »gwałtem nasadziwszy się« na Sobieskiego, nie mogąc sprawić, iżby się zaraz żenił z Marysienką, postanowiła go przynajmniej zaręczyć z nią. I to był skandal, ale, bądź co bądź, ślub byłby jeszcze większym, a nie należało przeciągać struny, która zawsze bywa bardzo nateżoną, jeżeli chodzi o głos opinii publicznej.

Jakoż stało się tak, jak sobie Ludwika-Marja »w swojej *importune activité*« ukartowała: w połowie maja (13 lub 14), nazajutrz po uroczystości, na której Sobieski otrzymał łaskę marszałkowską, odbyły się jego »zaręczyny« z Marysienką, które *vox populi* ogłosił za ślub: nie mówiono, że się Sobieski *zaręczył* z panią Zamoyską, lecz, że się z nią *ożenił*. Wieść o tem, podawana z ust do ust, przybierała najpotworniejsze rozmiary, a że faktem było, iż owe zaręczyny odbyły się wobec szczupłej garstki osób, więc komentarze, którymi opatrywano konieczność tej tajemniczej ceremonii, stawały się coraz drastyczniejszemi. Dnia 18 maja (1665) wiedziano już o tym »ślubie« w Zamościu: pod datą tego dnia Rudomicz, profesor tamtejszej akademii,

zanotował w swoim dyaryuszu, jako pogłoskę, że »dnia 10 maja odbył się ślub JW. Sobieskiego z wdową po JW. patronie naszym«. Ale Rudomicz, notując pogłoskę, nie zanotował skandalicznych szczegółów, które sobie opowiadano o tym »ślubie«, zarówno jak i o okolicznościach, które mu rzekomo towarzyszyły, szczegółów, które skrupulatnie zapisał Stefan Niemirycz. Ten ostatni, w liście z d. 3 czerwca, pisany do Jerzego Lubomirskiego, dopisał następujące *post scriptum*: »Przyszła tu nowina o małżeństwie p. chorążego w. kor. Sobieskiego z p. wojewodziną sandomierską, Zamoyską d'Arquien, gdzie piszą te formalia: Pani Zamoyska, zjechawszy do Warszawy na rozkaz królowej, miała w pałacu Królewskim na Przedmieściu ¹⁾ schadzkę arcy miłosną z rzezonym p. Sobieskim w nocy o 11 godzinie. Królowa, zaskoczywszy ich..., oświadczyła p. Sobieskiemu, że jeżeli nie zechce niezwłocznie poślubić Zamoyskiej, musi zginąć: trzeba więc było zdecydować się albo na ślub, albo na śmierć. Przyszedł potem ksiądz i dał im o północy ślub w pałacu ²⁾. Jednocześnie plotki, krążące wśród ówczesnego plotkarskiego społeczeństwa, zaczęły do tego stopnia przybierać rozmiary potwarzy i oszczerstw, że w *Silva rerum* Jedlina znajdują się wiersze satyryczne, w których Marysienkę porównywano nie tylko do lubieżnej Kleopatry, ale i do bezecnej Klitemnstry, która, jak wiadomo, zamordowała swego prawego męża, Agamemnona, byle móżdż zostać żoną Egista. Wynika z tego, że musiały krążyć pogłoski, które nagłą śmierć Zamoyskiego przypisywały Marysience... O tem zaś, jak daleko rozchodziły się te wersje o tajemniczym ślubie Céladona i Astrei, świadczy fakt, że nawet »i po klasztorach« opowiadano sobie o tym skandalu. Między innymi i w Lublinie, w klasztorze Benedyktynek, którego ksienią była Dorota Daniłowiczówna, ciotka Sobieskiego, opowiadano sobie »żal

¹⁾ Na Krakowskim-Przedmieściu, w pałacu t. zw. Kazimierowskim.

²⁾ Tylko wytrawni historyografowie z »Theatrum Europeum« nie dali się zwieść tym pogłoskom. Tak utrzymuje Tadeusz Korzon w swojej *Doli i Niedoli Jana Sobieskiego*.

Tymczasem Kazimierz Waliszewski w swojej francuskiej książce o *Marysienke* przyjmuje wersję Niemirycza, za którą także w swoim czasie poszedł Czermak, a którą potwierdzają dokumenty, znajdujące się w archiwum w Chantilly.

się Boże, jakie historye o Sylvandrze i Astrei«. Przekonał się o tem Sobieski, kiedy jadąc w połowie czerwca do Lwowa, zatrzymał się w rzezonym klasztorze, dla odwiedzenia swej ciotki. O czem dowiedział się od niej, o tem informuje jego list do Marysienki: »Zawsze się tego spodziewała Beaulieu (Sobieski). Niech widzi teraz Hameleon (Ludwika-Marya), co są za skutki *de son importune activité*. Widzę, że ci ludzie, t. j. Sylvandre i Astrée, będą sceną i komedią wszystkich mów ludzkich, bez czego wszystkiego mogłoby się obejść; ale, że niewinne, niech im Pan Bóg płaci. *La tante de Beaulieu* (Dorota Daniłowiczówna), wierzę, że w głowę zaszła, ale ktoś mocny musiał perswadować, że takiej uwierzyła bajce«. Co najgorsza, to iż to samo, co doszło do uszu ksieni Benedyktynek, doszło i do kasztelanowej sandomierskiej i do wojewodziny ruskiej! Obie te panie bowiem, jak się okazało, podobnej były opinii o Marysienke, »co i JM. panna ksieni w Lublinie«. Jednocześnie wszystkim świat mówił »jeszcze i gorzej«. Co najfatalniejsza, to, iż wieść o tym rzekomym ślubie doszła niebawem i do Paryża, do rodziców Marysienki, ci zaś »niewdzięcznie« przyjęli tę nowinę. »Widzę to -- pisał z tego powodu Sobieski do swej lubej — że po chwili wszystkim świat powstanie przeciwko le Beaulieu (Sobieskiemu), który, lubo mniej o to stoi, mając pomarańcze (miłość) swojego Bukieta (Marysienki), przecie jednak tych rzeczy bez żalu znosić niepodobna«.

Tymczasem w Zamościu czyniono przygotowania do pogrzebu Zamoyskiego, odprawiały się msze za duszę zmarłego, zjeżdżali dostojni goście, a wszystkiemu przewodziła księżna Gryzelda Wiśniowiecka, która, jako pozostająca w najbliższym stopniu pokrewieństwa względem nieboszczyka, z góry nazwała się »dziedziczką« jego dóbr wszystkich. Zaprotestował przeciwko temu Stefan Zamoyski, a ponieważ do protestu jego przyłączył się jeszcze i Stanisław Koniecpolski, wojewodzie sandomierski, roszczący sobie także pretensye do spadku, więc zaczęły się nieporozumienia... Swoją drogą, energiczna księżna Gryzelda wciąż sprawowała rządy, pobierała dochody z dóbr, a nadto ściągnęła z Równego oddział piechoty, ażeby, w razie potrzeby, móżdż siłą orężną bronić swoich praw do Zamościa.

W takich warunkach, jednego z ostatnich dni maja, w asystencyi wielu pań dworskich, w czarnych żałobnych sza-

tach, poprzedzana przez pokojowego dworzanina królewskiego, Gutowskiego, który jej miał służyć za herolda, wyjechała Marysieńka z Warszawy (gdzie Sobieski aż do tej chwili, korzystając z praw narzeczonego, »umierał u stóp swej Astrei«), i udała się do Zamościa, ażeby nawiedzić śmiertelne zwłoki swego męża i wziąć udział w ceremoniach pogrzebowych. Miałaby nie pojechała wcale, gdyby była mogła przewidzieć, jaki ją tam czeka afront!... Już d. 3 czerwca, kiedy Gutowski zameldował się w Zamościu, zapowiadając przyjazd wdowy po zmarłym, rzekła mu ks. Gryzelda: »Szkoda po śmierci to *ficte* pokazywać, czego za żywota nie czyniła, która, że nas na wesela swoje nie prosiła, my też jej na pogrzeb prosić nie będziemy«. Niezrażona podobną odprawą Marysieńka, przyjechała dnia 5 czerwca do Zamościa, ale znalazła mosty rozebrane, bramy zamknięte. Rozumiejąc, że bądź co bądź, jako wdowa, ona, nie kto inny, jest prawdziwą panią tego domu, kazała Gutowskiemu żądać wpuszczenia na zamek, nadto zaś, by miasto oddano jej sługom, a ją postawiono na czele zarządu dobrami. Na tak postawione żądanie nastąpiła odpowiedź odmowna, upozorowana niebezpieczeństwem rozlewu krwi, nieuchronnego, jak mówiono, przy spotkaniu jej służby ze służbą miejską. A zresztą, nie omieszkało dodać, niech się pani Zamoyska procesuje w Trybunale koronnym! Na takie *dictum* oddział piechoty, który eskortował Marysieńkę, chciał przypuścić szturm do bramy, ale go powstrzymał w zapędzie Szumowski... Tymczasem przed bramą zebrało się sporo pospólstwa, przypatrując się Marysieńce; ona zaś zwracając się do zgromadzonych, rzekła z wyrzutem: »Tak toście pani radzi?« »A bo trzeba lepiej?« odpowiedział ktoś z tłumu. »A wiesz, z kim gadasz?« — zapytała urażona Marysieńka. »Wiem, z panią Sobieską!« — odpowiedział zapytany. Wtedy wzburzona »pani Sobieska«, odrzuciwszy czarny welon, wsiadła do powozu, a kiedy odjeżdżała, słyszała, jak wołano za nią: »A nazad Sobkowa!!!...« Kazała jechać do poblizkiego folwarku, lecz i tu, kiedy zajęła, nie wpuszczono jej. Dzierżawczyni, pani Łęska, rzekła: »Niech mi nie ma za złe WMość, że ja bez męża nie śmiem puścić tu do dworu, który za swój grosz kontraktem prawnym trzymam, kiedy onej do Zamościa nie puszczono«. Po takiej zniewadze, Marysieńka, rozgniewana srodze, tak, iż rozdarłszy kabat na sobie, rzuciła go o ziemię, pojechała na wieś, do soł-

tysa, poczem, zajechawszy, jak się zdaje, do Krzczonowa, wysłała gońca do Sobieskiego, z wiadomością o całym »procederze Zamoyskim«.

Tymczasem Sobieski wyruszył 3 czerwca przeciwko Lubomirskiemu, który w 3.000 żołnierza ciągnął na Rzptą. Czasu było mało, należało się spieszyć. Jakoż Sobieski, od chwili, kiedy, wyruszywszy z Warszawy, zdążył ku Lwowu, gdzie miał ściągnąć o ile możności jak najwięcej wojska, jechał szybko, bo było *periculum in mora*. Wtem, nad przewozem, około Puław, zabiega mu drogę posłaniec Marysienki. Sobieski, przeczytawszy list, natychmiast odpisał swej lubej, dając wyraz swemu oburzeniu, przekonany, jak pisał, że tej awanturze »nie tylko Warszawa, ale wszystek podobno zdziwi się świat«. W takim tonie był cały list, a przepelniony złorzeczeniami przeciwko księżnej Gryzeldzie i wojewodzicowi sandomierskiemu, kończył się temi słowy: »Sam ku Lwowu jak najprędzej pospieszam, bo podobno w Warszawie prędko znowu być muszę, gdzie abym w dobrem WM. M. M. panią i dobrodżikę zastał zdrowiu, uprzejmie życząc, zostawam WM. mojej Mściwej pani i dobrodżiki najżyczliwszym i najniższym sługą. J. S.«

Widać z tego zakończenia, że Sobieski wcale się nie spodziewał zobaczyć teraz z Marysienką, że miał nadzieję spotkać się z nią dopiero w Warszawie. Jakoż przejechał przez Kurów, d. 5 czerwca minął Zamość, gdy nagle w okolicach Krzczowa, majątku jednego ze swoich licznych krewnych, spotkał się niespodziewanie z orszakiem Marysienki, wracającej właśnie do Warszawy. Spotkanie to, o ile nieprzewidziane, o tyle było pożądane dla Sobieskiego. Gdy zobaczył Marysienkę, zapomniał, że miał »jako najprędzej« pospieszać ku Lwowu, a zapomniał tak dalece, że blisko tydzień zmitrężył w okolicach Zamościa, przebywając częściowo w swoich rodzinnych Pilaszkowicach, częściowo przy Marysience.

Te cztery dni, od 5 do 9 czerwca, które Sobieski teraz spędził w pobliżu Krzczowa, gdzie przez ten czas bawiła Marysienka, stanowiły epokę w jego życiu; była to chwila przelomu, pełna upojeń i nieziemskiego szczęścia. Marysienka, po tem, co ją spotkało w Zamościu, przyszła do przekonania, że uczyni najroztropniej, jeżeli w jak najkrótszym czasie zostanie panią Sobieską, a kiedy dała poznać swemu narzeczono-

nemu, że nie ma nic przeciwko przyspieszeniu ślubu, Sobieski nie posiadał się z radości... Nie trzeba zapominać, że był to czerwiec, że te rozmowy, które musiały być namiętnymi due-tami miłosnymi, najprawdopodobniej odbywały się w parku krzeczowskim, w dzień, w cieniu drzew, przy świergocie pta-ctwa, a w nocy, przy świetle księżyca, przy śpiewie słowików; i że Marysieńka była o tyle powolniejszą, o ile, palając nie-nawiścią ku rodzinie Zamoyskich, przemyśliwała o pomszcze-niu swej zniewagi. Wszystko to było wodą na młyn Sobie-skiego! Jakoż, upojony myślą o ślubie z Marysieńką, o którym oczywiście rozmawiali najwięcej, domagał się jednego: ażeby tego szczęścia, którego oblubieńcy zwykle kosztują po ślubie, zakosztować już teraz. Zdaje się, że Marysieńka uległa jego namiętnym zakłębom, ulegając zaś, mogła to czynić z podwój-nem wyrachowaniem: 1) że oddając się Sobieskiemu teraz, mogła to uczynić nie tyle z miłości dla niego, ile z niena-wiści dla Zamoyskich (co psychologicznie jest bardzo możliwe), i 2) że tym sposobem wiązała ostatecznie Sobieskiego, który, po otrzymaniu takiego dowodu miłości, nie mógł się nie oże-nić w końcu. Było to usidlenie kochanka, niezmiernie pożą-dane dla Marysieńki: bo skoro zwątpiła o Zamoyskich, mu-siała być pewną Sobieskiego, musiała nie mieć najmniejszych wątpliwości, że z nią Sylvandre stanie na ślubnym kobiercu: gdyby się nie ożenił, ona »bez tego nie miałyby chleba«. Nie da się zaprzeczyć, niestety, że między pobudkami, któ-remi się powodowała Marysieńka, kiedy się godziła zostać żoną Sobieskiego (do którego zresztą czuła zmysłowy pociąg), była i ta również, że jako pani marszałkowa w. k. i starościna jaworowska zyskiwała nierównie lepszą pozycję materyalną, aniżeli pozycya, jaką mogła mieć, jako wdowa po ordynacie Zamoyskim, jako wdowa, której bez procesu nie wydanoby i czwartej części tego, co się jej należało. Gdyby była miała potomstwo, rzecz przedstawiałaby się całkiem inaczej; cóż, kiedy nieszczęście chciało, że z trojga dzieci, któremi zdążyła uszczęśliwić »Fujarę«, nie żyło ani jedno: wszystkie poumie-rały, a raczej — jak się trafnie wyraża Korzon — żadnego nie wychowała, bo o ile posiadała mnóstwo danych na ko-chankę, o tyle była wyrodną matką. Wobec tego, dopóki by nie wygrała procesu, była rzeczywiście bez dachu, bez »chleba«. Rodzice mieszkali we Francyi, gdzie nie opływali w dostatki,

a »łaski« królowej mogły być zawodniejsze, aniżeli »wielka pasya« Céladona. Marysienka wiedziała doskonale, że tyle tylko ma wartości w oczach Maryi-Ludwiki, o ile ta ostatnia mogła przez nią manewrować osobą i wpływami Sobieskiego; dlatego nie należało się drożyć. Zdaje się, iż takie były względy, które skłoniły Marysienkę, że nie zawahała się teraz, ulegając płomiennym zakłębom swego narzeczonego, którego już i tak niejednokrotnie nazywała swoim »mężem« (przed Bonsym np.) ofiarować mu ostatecznego dowodu miłości... Myliłby się jednak, ktoby sądził, że to uczyniła w chwili jakiegoś podniecenia, w chwili jakiejś słabości, przez niemożność zapanowania nad sobą. Miało się całkiem przeciwnie! Jak dotąd była dla Sobieskiego »świętą panią«, która z nim żyć pragnęła »*dédans la vertu*«, bo tak jej nakazywał rozsądek, podobnie i teraz, oddając się Sobieskiemu przed ślubem, nie czyniła tego nieświadomie, bez konkretnego wyrachowania. Owszem, wiedziała, że tym sposobem pozbawia kochanka możności wycofania się z szranków, a o nic innego nie chodziło jej na razie. Po prostu była to dla niej kwestya egzystencyi, kwestya »chleba«, więc sobie nie robiła skrępulów...

Co nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w ciągu tych pamiętnych 4 dni, Sylvandre i Astrée oznaczyli czas *możliwie najkrótszy* do zawarcia uroczystego, formalnego, kanonicznego, rzeczywistego ślubu, połączonego z hucznem weselem. Z opinia, mogącą ich oskarżać o pogwałcenie terminu żałoby, postanowili się nie liczyć: Marysienka, jako wygnana z posiadłości nieboszczyka-męża, musiała szukać jakiegoś dachu, a nie widziała powodu, żeby go nie przyjmować od Sobieskiego, do którego, jako pięknego mężczyzny, oddawna czuła popęd. To, w jej przekonaniu, było wystarczającym motywem, żeby się zdecydowała pójść śladem matki Hamleta, t. j. nie czekając, aż upłynie przepisany termin żałoby oficjalnej, zostać żoną innego.

Wszystko to należy odnieść do owych dni pomiędzy 5 a 8 czerwca, po których nastąpiło rozstanie, a podczas których Sobieskim musiały wstrząsać podobne uczucia, jak te, których doznawał młody Montechi, kiedy po pierwszej nocy poślubnej musiał się rozstawać z Julią... Na szczęście, jakkolwiek mu mogło być przykro, kiedy musiał odjeżdżać od tej »dobrej duszy w tak pięknem ciele«, od tych »wszystkich

śliczności« i od tych »wdzięcznych oczu«, które go »tak oczarowały, że bez nich i momentu wytrwać będzie niepodobna«, to z drugiej strony był o tyle w lepszym położeniu od Romea, że niebawem miał znowu zobaczyć się ze swą »żoneczką«, chyba, żeby gdzie poległ przy spotkaniu z wojskami Lubomirskiego, a tego nie przypuszczał.

W takich warunkach nastąpiło rozstanie, a już następnego dnia pędził goniec Sobieskiego z listem do Marysienki. List ten, nacechowany »niezwykłym wzburzeniem krwi i uczuć«, brzmiał, jak następuje: »Żoneczko moja najśliczniejsza, największa duszy i serca mego pociecho! Tak mi się Twoja śliczność, moja złota panno, wbiła w głowę, że zawrzeć oczu całej nie mogłem nocy. Pan Bóg widzi, że sam nie wiem, jeśli tę *absence* znieść będzie można, bo ażem sobie uprosił Koniecpolskiego, że ze mną całą przegadał noc tę przeszłą. Dziś ani o jedzeniu, ani o spaniu, ani pomyśleć niepodobna... To jest pewna, że już od dawnego czasu zdało mi się, że bardziej i więcej kochać nie mógł, ale teraz przyznawam, że lubię nie bardziej, bo niepodobna kochać bardziej, ale *je Vous admire* coraz więcej, widząc perfekcyę, a tak dobrą i w tak pięknem ciele duszę«.

Tymczasem musiał jechać »w swoją drogę« do Lwowa, za jedyną pociechę mając myśl, że, o ile się tylko da jak najwcześniej, »według danego parolu do swojej pospieszy Kasandry«. Kiedy to mogło nastąpić? Miał nadzieję, że za jakie dwa tygodnie, około 25 lub 26 czerwca. Ślub miał się odbyć zaraz na początku lipca. Rozmarzony tą myślą, a stęskniony za Marysienką, do której wysłał list za listem, jedne czulsze od drugich, stanął Sobieski d. 14 czerwca we Lwowie, gdzie, zajęty fortyfikowaniem miasta, myślał nietylko o Lubomirskim, który już był w marszu, ale i o swej »żoneczce najśliczniejszej«, do której mu się wyrывała dusza i zmysły. Pisząc do niej, kiedy mu donosić wypadło, że tylko 30 koni urwał z oddziałów, ciągnących dla połączenia się z Lubomirskim, pisał, że, »gdyby się tu były wojska zbliżyły, mogłoby się być co więcej sprawić, ale... *ale jechać do Warszawy pilno*«, bo w Warszawie była Marysienka, która, czekając na swego »męża«, czyniła przygotowania do ślubu. »O, jaka dobra okazya pójść z nim (za Lubomirskim), gdyby było z czem! Jużbym ja przecie o tem pomyślił, gdyby nie ta moja tak gwałtowna do Warszawy potrzeba, na którą, kiedy wspomnę, że czas tak idzie,

a w Róży jak roście, tak roście...¹⁾, tedy mię zaraz wszystkie odpadają imprezy«. A tu, jakby na złość, sprawy układały się tak, że ani sposób było pomyśleć o tem, by w oznaczonym czasie, t. j. 25 czerwca, stanąć w Warszawie. Nadszedł dzień 27 t. m., a rozkochany Céladon, choć się skręcał z tęsknoty za swą Jutrzenką, jeszcze nie mógł się puścić do Warszawy. Na domiar złego, tegoż samego dnia 27 czerwca, otrzymał listy od wojewody ruskiego, które sprawiły, że musiał jechać na kilka godzin »konno i w upał« do Lwowa. »Jutro jednak — zapewniał Marysienkę — by też i strzały padały, przy łasce Bożej, wyjadę. Cugi rozsądzone niech mię tam czekają«. W takim usposobieniu popędził do Lwowa, stamtąd zaś, po załatwieniu wszystkiego, tak pisał — już na wyjeździe — do swej *żoneczki*: »We czwartek albo piątek obłapię pewnie swego kochanego Korynka (rodzenek), którego bym dusznie rad zastał u jmp. Łowczego, bo tam, w jego gospodzie, niesłychanie niewczesnie i, jeśli się jeszcze późno przyjedzie, to tam srodze daleko; a trzeba się na Korysienku pomścić wszystkich impacyencyj«.

Było to zwykle naznaczenie schadzki, która w tym razie miała być rzeczywiście »arcymilosną«. Wspomnianym Łowczym był Żełęcki, »stryjaszek« Sobieskiego, ożeniony z Wodyńską z Sobieskich, u którego przyszły Jan III, ile razy bawił w Warszawie, miał swoje *pied à terre*. Tam pragnął się teraz spotkać z Marysienką...

W parę dni później, ostatniego czerwca lub pierwszego lipca, stanął Sobieski w Warszawie, gdzie musiał się odrazu »pomścić swych impacyencyj« na Marysienkę, skoro d. 2 lipca pisząc do siostry, Radziwiłłowej, którą prosił na swoje wesele, pisał między innymi, co następuje: »Przyjeżdżajże tedy WXM, jak najprędzej widzieć teraz to, czegoś tak życzyła, bo przyznam bezpiecznie, że nad się *szczęśliwszego na świecie nie widzę i nie imaginuję człowieka*«.

Tegoż dnia rozpoczęły się przygotowania weselne. Zaczęło się od tego, że Maciej Mateczyński przybył do pałacu kró-

¹⁾ Słusznie zapytuje w tem miejscu Korzon: »co mogło w tym czasie rosnąć i rosnać »w Róży«, t. j. w Marysienkę?« Odpowiedź na to pytanie, o ile jest łatwa, o tyle wypada niesłychanie drastycznie.

lewskiego, jako dziewosłęb, i w długiej a kwiecistej oracyi, wygłoszonej do króla i królowej, prosił w imieniu Sobieskiego o rękę pani Zamoyskiej. Ludwika-Marya dała odpowiedź przychylną, poczem, wychwalając zalety oblubienicy, włożyła jej na skronie ofiarowany przez dziewosłębą wieniec z drogich kamieni. W trzy dni później, d. 5 lipca, przybył po narzeczoną sam Sobieski, a przybył, jak przystało na marszałka w. k., starostę i wielkiego pana, z ogromnym orszakiem przyjaciół ze szlachty, kozaków i dworzan. Tegoż dnia, w południe, w kaplicy zamkowej, w asystencyi licznego duchowieństwa, odbył się ślub, dany przez nuncyusza Pignatellogo. Z kolei, po mnóstwie oracyj wierszem i prozą, rozpoczęły się trzydniowe gody weselne, podczas których państwo młodzi siedzieli przy stole królewskim, razem z nuncyuszem, prymasem i biskupem ambasadorem francuskim. Dokoła innych stołów siedzieli senatorowie, damy i panny. Pierwszy toast wychylono — z przyklękaniem — za zdrowie Ich Królewskich Mości, aż w końcu, po długim szeregu toastów, rozpoczęły się tańce. Nazajutrz Marysienka, siedząc — za pozwoleniem królowej — na jej tronie, przyjmowała dary od biesiadników, a kanclerz dziękował stosownymi komplementami każdemu z dawców, wywoływanych podług listy przez Mateczyńskiego. Następnie rozpoczęły się znowu tańce, które zabrały całą noc następną. Trzeciego dnia, 7 lipca, podejmował pan młody króla, królową i dwór cały. Uczta była lukullusowa, to też wszyscy popili się solennie. W końcu powstało zamieszanie, wśród którego, kiedy trzeźwiejsi brali się do szabel, królestwo Ich Mość odprowadzili państwa młodych do łożnicy.

* * *

Odtąd zaczęła się nowa w życiu Sobieskiego epoka. Rozkochany bez pamięci w swej — jak ją stale nazywał — »jedynej duszy i serca pociesze, najśliczniejszej i najukochańszej Marysience«, pomimo że z czasem rozstał się z mnóstwem złudzeń co do dawnej »Astrei«, to jednak, aż po sam smutny kres dni swoich, zawsze był słabym wobec niej i bezwolnym, tak, iż ostatecznie zasłużył na owe twarde słowa, które o nim w sto pięćdziesiąt lat po jego śmierci wyrzekł Juliusz Sło-

wacki w poetycznym liście do autora *Irydyona*: »Oto jest brat Rolanda, a praszczur Sobieskiego, człowiek silnej ręki i *Molierowskiej w domostwie słabości*: kontusz mu włożyć i buty czerwone, gdy wróci z piorunowej walki siarką cuchnący i krwią obłany po szyję! Kontusz mu włożyć i żupan, niechaj panuje — bez jutra!«.

III.

WILHELM I. I ELIZA RADZIWIŁŁÓWNA.

Jednym z najpopularniejszych u nas obrazów Siemiradzkiego jest niezaprzeczenie *Chopin u Radziwiłła*, przedstawiający nieśmiertelnego twórcę *Polonezów* w chwili, kiedy w przyziemnym salonie książęcym improwizuje przy wysuniętym na środek fortepianie, a zapatrzony w piękne oblicze stojącej nieopodal młodej jasnowłosej dziewczycy, w jej błękitnych oczach zdaje się szukać natchnienia. Obok niej, w fotelu, siedzi mężczyzna w podeszłym wieku, siwy już i o bardzo rasowej twarzy arystokraty, a widać z jej wyrazu, że i on, rozmarzony melodyą, wypływającą z pod czarodziejskich palców 20-letniego pianisty, przebywa w tych niezemskich sferach ideału, do których można się wznieść tylko »na skrzydłach pieśni«. Reszta osób, malowniczo zgrupowanych dokoła instrumentu, między którymi poznajemy także i Humboldta, również tonie w melancholijnej zadumie, wsłuchana w genialną grę młodzieńca. Ową jasnowłosą blondynką, w którą się patrzy artysta, jest księżniczka Eliza Radziwiłłówna, córka Antoniego Radziwiłła, którym jest właśnie ów siwy mężczyzna.

Z niewielkiej książeczki, skreślonej wykwintnem piórem pani Teresy z Potockich Wodzickiej¹⁾, dowiadujemy się, że ta właśnie Elżbieta Radziwiłłówna była przedmiotem pierwszej i bardzo namiętnej miłości cesarza Wilhelma I.

¹⁾ Teresa z Potockich Wodzicka, *Eliza Radziwiłłówna i Wilhelm I.* W Krakowie 1896. W r. 1890 w *Deutsche Rundschau*, w zeszycie lutowym ukazał się artykuł Dr. Oswalda Baera p. t. *Der Engel von Rechberg*, opowieść nie bardzo zgrabna,

I.

Od bardzo dawna, bo już od XVII wieku począwszy, byli Radziwiłłowie spokrewnieni z domem Hohenzollernów; to też i w r. 1796 nie dziwiono się wielce, kiedy Antoni Radziwiłł, syn ostatniego wojewody wileńskiego, księcia Michała, ożenił się z synowicą Fryderyka II, Ludwiką, urodzoną z księcia Ferdynanda Pruskiego i Luizy, córki margrabiego von Brandenburg-Schwedt.

Jeżeli co było dziwnego w tem małżeństwie, to chyba czas jedynie, w którym ono doszło do skutku... Ale fakt stał się faktem: synowica Fryderyka II została księżną Radziwiłłową. Stąd, oczywiście, serdeczny stosunek z dworem Fryderyka Wilhelma II, a w rok później z dworem Fryderyka Wilhelma III. Ten ostatni, wstąpiwszy w r. 1797 wraz z swą piękną małżonką Luizą na tron ojcowski, był szczególnie życzliwie usposobiony dla Radziwiłłów, a księżnę Radziwiłłową nie tylko poważał i kochał, ale nawet w trudnych okolicznościach, których w czasie panowania jego, dzięki Napoleonowi, nie brakło nigdy, posługiwał się »jej wpływem w Niemczech«. Nasuwa się pytanie, czy przypadkiem ten właśnie »wpływ w Niemczech«, jakim się cieszyła księżna Antoniowa Radziwiłłowa, nie był tym »serdecznym« łącznikiem między Radziwiłłami a dworem berlińskim, czy nie on był źródłem tej »przyjaźni« z Wilhelmem i Luizą, przyjaźni, z której książe Antoni tak był dumny, a z której, gdy przyszło powołać się na nią, miał tak mało!

W każdym razie miał tyle, że mieszkając w Berlinie, w swoim pałacu przy Wilhelmstrasse (z czasem sprzedanym Bismarkowi), dobrze był widziany na dworze, a dzieci jego, często zapraszane do zamku, miały zaszczyt bawić się z dziećmi królewskimi. Prócz tego miał jeszcze jedną satysfakcję: oto uroczą *Königin Louise* przyjaźniła się zarówno z jego żoną, jak i z teściową, ks. Ferdynandową Pruską. Podkreślić wypada,

naszpikowana sentymentalnymi wykrzyknikami i przesadnem unoszeniem się nad pięknoscią gór szlązkich. Pani Wodzicka, posługując się stroną dokumentową tej pracy (listami cesarza Wilhelma do jen. Natzmera), dodaje nadto »kilka słów czerpanych po większej części z ust osób, u których obraz księżniczki Elizy pozostał z lat młodzieńczych żywo w pamięci i sercu.

że małżonka jego, choć przyjęła pozycję i nazwisko męża, mimo to sercem i duszą dzieliła polityczne troski dworu pruskiego, będąc całkowicie zespoloną z jego smutnym — podówczas — losem. Sam książę Antoni, choć Polak i Radziwiłł, niemniej był oddany dworowi, którego zaufaniem się szczylił. Poza tem »był to prawdziwy *prince charmant* z czarodziejskiej baśni, posiadający wszystkie zalety, mogące podbić serce królowej«. Największą z tych zalet, którei sobie zjednywał uwielbienie poci słabej, była, obok nadzwyczajnej urody męskiej, niepospolita muzykalność księcia: wysoce utalentowany, jako muzyk, nie tylko czarował śpiewem i grą na wiolonczeli, ale nadto cieszył się wcale niepoślednim uznaniem w świecie muzycznym, jako kompozytor. Jego muzyka do *Fausta*, w r. 1819 z wielkim aplauzem w obecności Goethego samego wykonana, jeszcze dziś bywa grywaną w Niemczech... Bawiący u Radziwiłła w r. 1829 w Antoninie Fryd. Chopin także był zachwycony tą kompozycją księcia. »On, wiesz, iż lubi muzykę (pisał do Wojciechowskiego) pokazywał mi swojego *Fausta* i wiele rzeczy znalazłem tak dobrze pomyślanych, a nawet genialnych, żem się nigdy tego po *Namiestniku* spodziewać nie mógł«.

Stąd atmosfera, panująca w pałacu przy Wilhelmstrasse, była nie tylko kosmopolityczno-lojalna, ale i artystyczna w wysokim stopniu. Muzyka, obok francuszczyzny i niemiezczyzny, panowała tu wszechwładnie, a kwartety, duety, tria etc. rozbrzmiewały o wiele częściej, aniżeli mowa polska...

W takiej atmosferze wzrastała starsza córka i faworytka księcia, Eliza. Podobna do ojca, co znaczyło, iż była bardzo piękną od najmłodszych lat, była »istnym aniołkiem«, jako dziecko, aniołkiem, który choć stapał po ziemi, nie tracił nic ze swego nadziemskiego uroku. Kiedy wyrosła na pannę, mówiono o niej, że była to »nawpół rusalka, a nawpół anioł«, a dusza jej »z ognia i kryształu«, była podobnie, jak dusza ojca, pełna artystycznych aspiracyj, z tą różnicą, że ojciec miał talent do muzyki, a Eliza urodziła się z niepospolitym talentem do malarstwa. Z natury bystra i zdolna, skłonna do marzeń i melancholii, rozmiłowana w poezyi i sztukach pięknych, egzaltowana i, jak przystało na córkę owej epoki, trochę sentymentalna, była to skończona idealistka, do której znane wyrażenie Goethego *eine schöne Seele* przystawało bez zastrzeżeń... Wychowanie otrzymała staranne, ale jednostronne. Mniej nauki

ściślej, a więcej religii, więcej nacisku na rozwój uczucia i wyobraźni, aniżeli inteligencji. Wychowanie — opowiada pani Woźniczka — miało raczej artystyczny, niżeli praktyczny, kierunek; przedewszystkiem uczono prosto się trzymać, ładnie pisać, tańczyć, grać na harfie, śpiewać, malować i t. d., strzegąc pilnie, by nawet te zdolności, których Bóg nie poskapił, nie przekroczyły nigdy granic dyletantyzmu i, broń Boże, nie dosięgły wyżyn gruntownej, fachowej znajomości danej sztuki. »Kobieta w przededniu romantyzmu winna była wszystkiego się dotknąć, a nie zgłębić, żyć umysłowo i fizycznie listkami róży i wonią fijołków, co jednak nie przeszkadzało jej, jak to mogliśmy się na naszych babkach i matkach przekonać, w sumiennem i cierpliwem wykonywaniu obowiązków rodzinnych«. Obdarzona niepospolitym wdziękiem, urocza Eliza jeszcze i w tem była podobną do ojca, iż, jak on, wszystkie serca jednała dla siebie (czego np. nie mogła o sobie powiedzieć jej młodsza siostra, Wanda, ulubienica matki), bo jeśli się odróżniała od ogółu pańien ówczesnych, będąc jakąś inną, aniżeli jej rówieśniczki, to czyniła to całkiem bezwiednie, ile że przedewszystkiem odznaczała się skromnością i pokorą, na tle niewysłowionej łagodności i słodyczy charakteru.

Tout en elle était pur et simple et sans mélange
De rien qui ne fut noble, généreux et bon:
Elle était le premier, le dernier échelon
Entre la femme et l'ange!

W ten sposób pisała o niej przyjaciółka jej, księżniczka Taida Sułkowska, która w rzecznym wierszu francuskim, temi słowy, w innej zwrotce, starała się wyrazić swe uwielbienie dla Elizy.

Chciałabym w myśli wskrzesić jej postać świetlaną,
Tak, jak ją widziałam w jej młodości kwiecie,
Bezpieczną, kochającą, szczęśliwą, kochaną,
Pewną, iż szczęście nigdy nie mija na świecie.
Jak fala, słońcem oblana,
Jej włosy aż po kolana
Spływały w splotach warkoczy,
A niebo w słodkie jej oczy,
Lalo swych blasków lazury...
Wówczas dni jej pogodne mijały bez chmury,
Jutro zdało się jasnym, a myśl jej skrzydłata,
Daleką przyszłość w barwach malując promiennych,

Urokiem marzeń wpołsennych
Stroiła młodzieńcze lata.

Najlepszą jej charakterystyką jest portrecik olejny, malowany przez hr. Teresę z Sułkowskich Henrykową Wodzicką z Rydzyny, na którym księżniczka przedstawiona jest w stroju Peri z poematu *Peri i Raj Moora*, z motylami skrzydłami u ramion. Oto, jakie refleksye nasuwa portrecik ten pani Wodzickiej: »Postawa jasnowłosej księżniczki, poważny, niemal smutny wyraz spuszczonej twarzy i oczy jakby umyślnie ukryte pod zasloną powiek, zdają się świadczyć, że to niebiańska wygnana istota, za swym złotym rajem tęskniąca na ziemi. I być może, iż więcej w tem było prawdy, aniżeli fantazyi. Zaiste nie motyli, ale łabędzich skrzydeł do tych ramion by trzeba, a może nie trzeba i żadnych, gdyż Bóg jej zesłał niewidzialne anielskie, aby za ich pomocą wzniosła się po stopniach cierpieniami zasłanych do swej wieczystej ojczyzny«.

Taką była Eliza. A Wilhelm? On, choć tak ubóstwiany dziś przez całe Niemcy, niczem się nie odznaczał. Nie był to królewicz z kategorii Hamletów, choć na starość można go było przyrównać do poczciwego ojca Hamletowego. Z Elizą pod żadnym względem nie wytrzymał porównania. O ile ona nie była istotą pospolitą, o tyle on był w całym tego słowa znaczeniu człowiekiem na miarę krawca... Gdyby się nie był urodził królewiczem, byłby wzorem niemieckiego *Bürger'a*, cnotliwego, ale nie interesującego. Kiedy Eliza była stworzoną do bujania po nadpowietrznych przestworzach ideału, on trzymał się ziemi, wcale nie myśląc sięgać poza padół rzeczywistości, na którym mu, jako królewiczowi zwłaszcza, było bardzo dobrze. Był to dobry człowiek, ale prozaiczny o tyle przynajmniej, o ile Eliza była poetyczną. Uważał, że skrzydła są człowiekowi niepotrzebne, skoro ma nogi, zwłaszcza, iż i za ich pomocą można zejść bardzo wysoko, choćby na tron. Wyobraźnia Wilhelma, w którym zawsze przeważał rozsądek, wogóle nie sięgała wyżej. A przytem nie był to temperament. Największem bohaterstwem, do jakiego wnieść się potrafił, była umiejętność pogodzenia się z losem, zdolność do rezygnacyi. Jedyną ambycją, jaką posiadał, była chęć panowania. Największą przyjemność znajdował w musztrach wojskowych. W wojsku kochał się. Najlepiej się czuł w mundurze. Poza tem było to zero. Pierwsza, co się na młodym Wilhelmie poznała należyte, była

jego własna matka, światła królowa Ludwika, która na dwa lata przed śmiercią, w r. 1808, pisząc do ojca swego, księcia von Meklemburg-Strelitz, scharakteryzowała przyszłego cesarza zjednoczonych Niemiec, wówczas 11-letniego chłopca, jako *bieder, einfach und verständig*, co znaczy, iż go uważała za materiał na człowieka prawego, prostego i rozsądnego. Takim też pozostał przez całe życie. Nadmienić wypada, że ta krótka charakterystyka Wilhelma, skreślona piórem królowej Ludwiki, brzmiała »niewco zimno przy dłuższej charakterystyce, poświęconej innym dzieciom w tymże liście, a zwłaszcza obok pochwał, nieszczędzonych najukochańszemu z jej synów, młodziutkiemu następcy tronu«. Dowodziło to, bądź co bądź, że trafnie oceniała swego młodszego syna, który, nie odznaczając się niczem nadzwyczajnem, był uosobioną miernością...

Wobec tego nasuwa się pytanie: co się w nim tak bardzo mogło podobać Elizie? Bo nawet pięknym nie był: owszem pod względem urody zewnętrznej nie zadawała nawet matki, która w tym samym liście, gdzie go nazywała prawym, rozsądnym i prostym, dodała bezpośrednio potem: »Ale mniej pięknym od ojca...« Więc co mu potrafiło zjednać miłość Elizy? Jest jedna tylko odpowiedź na to pytanie: oto był otoczony tą aureolą, która otacza książąt krwi panującej. Nie należy zapominać, że Eliza była Radziwiłłówną, że w niej płynęła cząstka tej samej krwi, co w Barbarze Radziwiłłównie... Skoro tamta mogła zostać królową, i to polską, to czemużby ona nie mogła zasiąść na tronie, zwłaszcza pruskim! Wszystko jedno, jaka korona, byle ją nosić na głowie!... Podobne ambicje zawsze były właściwe Radziwiłłom...

II.

Cokolwiekby, Eliza zakochała się w Wilhelmie. Jak do tego przyszło? W każdym razie zaczęło się już w r. 1810, po śmierci królowej Ludwiki, kiedy dzieci księżnej Radziwiłłowej, jako spokrewnione z dworem, zaczęły częściej, niż przed tem, widywać się z sierotami królewskimi. Wśród wspólnych zabaw, bądź w zamku, bądź w pałacu przy Wilhelmstrasse, zaczął się tworzyć i zadziergiwać węzeł sympatyi, który związawszy serca 13-letniego księcia Wilhelma i jego ślicznej 7-letniej kuzynki, miał po upływie lat kilku, bo około roku 1815, stać

się niebezpiecznym materyałem palnym, aż w końcu buchnął potężnym płomieniem, tem potężniejszym, że była to miłość zobopólna, bijąca z dwóch serc jednocześnie, choć nie ulega wątpliwości, że miłość, którą zapłonęło serce Elizy, była gorętszą, namiętniejszą, niż po stronie przeciwnej...

W roku 1815, po kongresie wiedeńskim, kiedy w Poznaniu utworzyła się nowa posada namiestnika, ks. Radziwiłł, jako posiadający największe zaufanie u dworu, został wyznaczony na objęcie tej posady. Wypadło przenieść się do Poznania. Uczyniwszy to, zamieszkało w ogromnym pałacu pojezuickim, dzisiaj nazwanym Rejencyą, w którym, obok mnóstwa większych lub mniejszych, bogato umeblowanych pokoiów, najmilszym był buduar księżniczki Elizy, »cały zastawiony obrazami, sztalugami i modelami do rzeźbienia i malowania«. Ale księstwo Antoniowie za bardzo żyli się z Berlinem i jego atmosferą, ażeby, osiadłszy nad Wartą, raz po raz nie zaglądać nad Spree. Jakoż »cały czas spędzano pomiędzy Poznaniem a Berlinem«.

W karnawale, na który zawsze zjeżdżano do stolicy, ks. Radziwiłłowie dawali świetne przyjęcia, tak dalece zaćmiewające wszystkie inne berlińskie, że je zaćmiewały tylko wielkie bale dworskie. Bądź co bądź, na jednych, jak i na drugich, księżniczka Eliza miała sposobność do widywania się z Wilhelmem, a ten zdawał się być zakochnym coraz bardziej, co nadzwyczajnie odpowiadało życzeniom rodziców panny, a nade wszystko jej samej...

Gdy nadszedł karnawał roku 1820, w którym Eliza występowała już jako 17-letnia panna, romans zaczął się kleić na dobre. Eliza, jaśniejąca niezwykłą urodą, powszechnie nazywana *Białą różą*, miała ogromne powodzenie. Odurzona niem, tem piękniejszą wydawała się młodemu 23-letniemu królewiczowi. Jakoż nikt nie asystował jej tyle, co on, a księciu Anniemu serce rosło, kiedy pomyślał, że jego córka może zostać królową pruską...

Co ważniejsza, myśl ta, choć dosyć śmiała w głowie polskiego magnata, nasuwała się nie jemu jednemu. Wszyscy, na widok Wilhelma i Elizy, na których wystarczało spojrzeć, ażeby zgadnąć, że byli zakochani w sobie, uważali, że nie byłoby źle, gdyby się tych dwoje pobrało. Nawet ojciec Wilhelma zaczynał być tego zdania. Zbyteczna dodawać, że nie inaczej

myślała księżna Radziwiłłowa, która, o »ile chętnie patrzyła na ten coraz wyraźniej rysujący się stosunek«, o tyle »jako księżniczka pruska, nie przypuszczała, aby cokolwiek mogło stanąć na przeszkodzie związkowi jej córki z ukochanym synowcem«. Jednem słowem, wszyscy byli najlepszych myśli.

Nikt nie przypuszczał, że człowiekiem, który najmniej z całego otoczenia robił planów na przyszłość, był sam królewicz Wilhelm. On jeden, wnosząc z jego listów do generała Natzmera, nie myślał o dalszych konsekwencyach tego chwilowego upojenia. Był zakochany; czuł się szczęśliwym, czując się kochanym; na balach i rautach muzycznych, wyprawianych przez książąt Radziwiłłów, bywał z prawdziwą rozkoszą (jeden z takich wieczorów opisał nawet d. 30 maja 1820 r. w liście do generała Natzmera); a kiedy się dowiedział, że księstwo na lato wybierają się w góry szląskie, postanowił tam pojechać również. Ale mimo to wszystko, choć pisał nawet do generała Natzmera, iż w lecie chce pojechać do Warmbrunn dla spotkania się z Radziwiłłami, nie zdawał się marzyć o małżeństwie: przynajmniej niema ani jednego dowodu na to, ażeby królewicz w owym czasie myślał o ożenieniu się z Elizą. Nie znaczyło to, żeby jej nie kochał. Owszem, to nie ulegało wątpliwości.

W przeciwnym razie, kiedy nadszedł sierpień, możeby nie pojechał do Fürstensteinu, do księcia Pless, u którego księstwo Radziwiłłowie bawili w gościnie. Tymczasem faktem jest, iż pojechał, że w Fürstensteinie zabawił czas jakiś, a przez cały czas, gdy bawił przy Elizie, tak się nie krył ze swem uczuciem dla niej, że wszyscy zaczęli mówić o tej miłości, więcej jeszcze, aniżeli w ciągu ostatniego karnawału.

Królewicz tymczasem, dziwna rzecz, zachowywał się w sposób szczególny: w miarę, jak coraz więcej — i coraz bardziej na seryo — mówiono o jego prawdopodobnym związku małżeńskim z Elizą, choć zakochany w niej, coraz więcej okazywał trzeźwości: do tego stopnia, że go nie tylko bolały, ale gniewały nawet »te ludzkie gadania«. Czemu? Czy nie miał nadziei osiągnięcia ręki Elizy? Czy wogóle nie myślał jeszcze o małżeństwie? Powiadają, że bardziej podobno, niż trudności ze strony dworu, lękał się kolizyj z Radziwiłłami. Jakich kolizyj?... Cokolwiek bądź, jedno jest pewnem, że w grudniu tegoż roku 1820, a więc w parę miesięcy po powrocie z Fürstensteinu, pisał do generała Natzmera, swego powiernika: »Nigdy

nie śmiałem myśleć o podobnym małżeństwie: walka z resztą rodziny byłaby zbyt wielką. A przecież ta namiętna miłość zrodziła się we mnie i teraz istnieje i daje powód do obiegających pogłosek... Byłbym powinien trzymać się bardziej na uboczu, aby nie dać pozorów do projektu związku, który jest niemożliwym; ale nie mogłem. List ten, mający wszelkie pozory szczerości, dowodzi jednego: że królewicz, mający tak mało podobieństwa z Hamletem, jeszcze mniej był podobnym do Romea. To dobrowolne wyrzekanie się wszystkiego, o co się upominała owa »namiętna miłość«, ta wiara w niemożliwość związku z istotą, którą, jak zapewniał, kochał »namiętną miłością«, ta nierycerska obawa walki z resztą rodziny, to wszystko są smutne *testimonia paupertatis* duszy Wilhelma, który przy najmniej w tym razie okazał się tak zwykłym »zjadaczem chleba«, że nie może budzić sympatii. Tak rozsądnie kochać, żeby dla swej »namiętnej miłości« nie chciał poświęcić niczego, a zwłaszcza lubego spokoju, może tylko unieśmiertelniony przez Heinego berliński filister.

Ale rodzi się pytanie, czy list ten był napisany szczerze? czy istotnie należy go uważać za wyraz ówczesnego usposobienia Wilhelma? Są niektóre dane, pozwalające przypuszczać, że Wilhelm, pisząc ten list, myślał i czuł niezupełnie tak, jak pisał, że miłość jego, tak rozsądna w rzeczonym liście, w rzeczywistości była mniej roztropną. W przeciwnym razie, gdyby to przypuszczenie okazało się mylnem, rodziłoby się inne, nie równie gorsze, bo uzasadniające pewną dwulicowość ze strony królewicza, dwulicowość, która sprawiła, że inaczej zachowywał się względem rodziny Radziwiłłów, których ludzi, których postępowaniem swoim utwierdzał w nadziejach, że gotów się ożenić z ich córką, a inaczej o tej swojej »namiętnej miłości« mówił z najbliższymi, którym się przyznawał, że choć się kocha w Elizie, to jednak nie myśli o jej poślubieniu.

Do tego — tak niepoehlebnego dla królewicza — przypuszczenia upoważnia przedewszystkiem ta okoliczność, że właśnie w tych czasach Radziwiłłowie rozpoczęli usilne starania, ażeby omawiany związek skojarzyć ostatecznie, pertraktacje zaś, dotyczące tych zaślubin, a ciągnące się dwa lata przeszło, były zbyt poważne, ażeby im nie przyświecała pewność, że królewicz na seryo myśli — po przewyciężeniu pewnych trudności formalnych — o ożenieniu się z Elizą. Inaczej, gdyby nie

wychodzono z tego założenia, można być pewnym, że ks. Antoni nie poleciłby Eichhornowi, jednemu z najznakomitszych prawników ówczesnych, napisania całej rozprawy w obronie praw Elizy: »wszak ci to nie pierwszy raz Radziwiłłówna miała wejść w dom królewski, a jeśli ongi Barbara nie zaznała szczęścia na tronie, to obecnie jej pamięć musiała żywy blask rzucać na uroczą postać Elizy«. Tej tezy bronił Eichhorn. Ale znaleźli się prawnicy, którzy tej tezie przeciwstawili inną, mianowicie: że istnieje ustawa, wydana przez Fryderyka II, a mówiąca wyraźnie, że dzieci książąt z domu Hohenzollernów tylko wtedy mogą rościć prawa do korony, jeśli ich matka jest ciotką panującego księżęcia. Był to zreęczny wybieg, bo na dnie całej sprawy nie leżało nic innego, tylko to, że Eliza była Polką; stąd obawa, że na tronie pruskim mogłyby zasiąść dzieci, z Polki zrodzone. Na to nie pozwalał rozum stanu.

Na szczęście, królewicz Wilhelm nie był następcą tronu. Ten wzgląd postanowiono wyzyskać. Co jest charakterystyczne, że inicjatywa do tego kroku wyszła ze strony ojca królewicza, który wcale nie był przeciwny temu, ażeby się Wilhelm ożenił z Radziwiłłówną. Wiedział, że ją kochał, Elizę cenił bardzo wysoko, więc nie stawiał przeszkód; owszem, pomagał, czynił wszystko, co było w jego mocy, ażeby ten związek umożliwić, bo nie chciał miłości czynić zależną od politycznych względów. Sam wiedział najlepiej, co to jest kochać, a nie módz się ożenić z powodu swego politycznego stanowiska. Wszak on sam, ochłonawszy po stracie żony, zakochał się był w pięknej Francuzce, z którą jeżeli się nie ożenił, to tylko dlatego, że należała do narodowości, znieawidzonej przez Niemców. Ta okoliczność, zarówno jak i to także, że już przemysliwał o ożenieniu się z hrabianką Harrach, z którą ostatecznie w r. 1824 zawarł związek morganatyczny, sprawiła, że nie tylko okazał się wyrozumiałym dla owej »namiętnej miłości« Wilhelma, ale mu był pomocnym nawet, gdy się zdecydowano zapytać ministrów, »czy Radziwiłłówna może być uważaną, jako *ebenbürtig*, t. j. zdolną w danym razie do przywdziania korony«, i gdy od decyzji, jaką powezmą ministrowie, miało zależeć zakończenie całej sprawy. Odpowiedź ministrów, jak to było do przewidzenia, wypadła odmownie, ze względu, iż Wilhelm, choć nie był następcą tronu, mógł nim zostać w razie śmierci lub bezpotomności starszego brata. Ale Fryderyk Wilhelm,

kiedy mu wypadło wieść tę zakomunikować synowi, uczynił to w taki sposób, tak łagodnie i niestanowczo, że Wilhelm, wnosząc z tego zachowania się ojca, mógł nie tracić nadziei. Tymczasem chwycono się innego sposobu: zaproponowano, aby brat księżny Ludwiki, książę August pruski, prawnie zaadoptował Elizę, do czego, jako jej wuj, miał wszelkie prawo. Niestety, i to się nie udało, orzeciono bowiem, że w danym razie chodziło nie o stanowisko, ale o krew.

To było ostatnie usiłowanie, a rzecz znamienne, że je przedsięwzięto bez udziału Wilhelma. On zwątpił pierwszy, żeby się udało wygrać tę prawną kampanię. Co gorsza, to, że zwątpił tak dalece, iż nie chciał słuchać o ostatecznym, a tym razem niezawodnym środku, którego gdyby się był chwycił, byłby miał rozwiązane ręce, byłby panem siebie, niezależnym od żadnego widzi mi się ministrów czy jurystów. Należało się tylko zdecydować na wybór: Elizy albo praw do korony. Wystarczało, żeby się zrzekł tych ostatnich, a miałby niezagrodzoną drogę do szczęścia. Ale na to trzeba było kochać namiętniej, niż kochał Wilhelm, trzeba było, żeby miłość równała się burzy, nie zaś, aby przypominała tylko niepogodę. Tymczasem zdaje się, że owa »namiętna miłość«, o której Wilhelm pisał do Natzmera, była słabszą od jego żądzy panowania. Gdyby się miało inaczej, z pewnością byłby poświęcił koronę dla Elizy, a nie, jak to uczynił w końcu, Elizę dla korony.

Że ostatecznie chodziło mu o koronę, o prawa do niej, na to istnieje dowód niezbity. Okoliczności złożyły się tak, że w chwili właśnie, kiedy się toczyła sprawa tego małżeństwa, młodszy brat Wilhelma, Karol, zaręczył się z księżniczką wejmarską, »przyczem ojciec przyszłej panny młodej zastrzegł dla jej dzieci pierwszeństwo w prawach następstwa, w razie, gdyby związek księcia Wilhelma z Radziwiłłówną miał przynieść do skutku«. Wobec tego należało się zdecydować: albo się rozstać z marzeniami młodości, albo obstawiać przy prawach swoich przyszłych dzieci, prawach do następstwa tronu pruskiego. Złoty środek był niemożliwy: należało wybierać. Jakoż przeważała się szala decyzji Wilhelma: widząc, że dla Elizy musiałby się wyrzec praw do tronu, wołał się wyrzec Elizy.

Jakoż wyrzekł się, ale decyzja ta nie zbudowała nikogo, a najmniej jego starszego brata, ówczesnego następcę tronu, Fryderyka, który nie tylko się dziwił cierpliwości Wilhelma,

ale dodawał przytem, że na jego miejscu jużby się był dawno pomimo wszystkiego z Elizą ożenił.. Dowiódłby tem przynajmniej, że kochał naprawdę! Tymczasem postąpiwszy tak, jak on postąpił, wzbudzał podejrzenie, że do prawdziwej miłości, istotnie namiętnej, był niezdolny. Rozsądek w nim brał górę nad uczuciem.

Takich, co myśleli podobnie, jak najstarszy z braci Wilhelma, było więcej; z drugiej strony nie ulegało wątpliwości, że te ostatnie przejścia stały się przyczyną pewnego skołatania duszy królewicza. W takich warunkach najlepiej jest wyjechać, zmienić otoczenie. Widocznie, że Wilhelm podzielał to zdanie, gdyż dla otrząśnięcia się z żalonych myśli pojechał do Holandyi, gdzie, jak mówią, ze zmartwienia podobno, z nadmiaru wzruszeń, przez które był przeszedł ostatnimi czasy, rozchorował się. Skoro powrócił do zdrowia, opuścił Holandye, ale zamiast wracać do Berlina, przedsiębrał w towarzystwie powiernika swego, jenerała Natzmera, dłuższą podróż po Włoszech. Gdy wreszcie powrócił do Berlina, był smutny, rozgorączkowany, w nastroju pesymistycznym, a co ciekawsze, serce mu biło silniej, aniżeli wówczas, gdy wyjeżdżał. Zdawało mu się, że nigdy Elizy nie kochał tak silnie, tak namiętnie, jak w tej chwili.

W tem uczuciu, d. 7 marca 1822 r. napisał list do Natzmera, list smutny i pełen rozpacz, a dający dość dokładne wyobrażenie o ówczesnym stanie duszy królewicza. »Ty wiesz, pisał, że chciałem się oddalić i wyrzec się wszystkiego. Poznałem, że to była tylko komedia przed światem; serce moje bije coraz mocniej. Nie miałem siły, aby dobrowolnie wyrzec się szczęścia, wyrzec się tej, którą kocham i która mnie kocha...« Tymczasem »jestem sam na ziemi, która mi się wydaje smutną i pustą«.

Wogóle listy jego, pisane tymi czasy, były pełne gorczy i żalu. Nie mógł zapomnieć o nieprzychylnem orzeczeniu ministrów, a kiedy się skarżył na płaskość i małoduszność ludzką, od których los jego zależał, to pewno ich miał na myśli. Poza tem, w wyraźnym celu oszołomienia się, rzucał się w pracę fizyczną, w ćwiczenia i przeglądy wojskowe, a kiedy po długich szamotaniach się i męczarniach widział, że jedynie przy boku Elizy mógłby znaleźć ukojenie, wtedy... Wtedy jechał do Poznania, wpadał do jezuickiego pałacu, najczęściej

incognito, niezapowiedziany, w cywilnem uraniu, i nie myśląc o jutrze, o przyszłości, kontentował się chwilą obecną, szczęśliwy, że był przy Elizie, że patrzył w jej szafirowe oczy, że słuchał jej głosu, jej zwierzeń. Jaki miał być epilog tego romansu, tem nie chciał sobie mącić lubego upojenia, choć musiał czuć całą dwuznaczność sytuacji, dwuznaczność, którą nie kto inny tylko on sam wytwarzał swoim niezdecydowanym postępowaniem. Z tego, że Elizę kochał, że tylko z nią czuł się szczęśliwy, nie robił tajemnicy; owszem, kiedy przyjeżdżał do Poznania, to nie ukrywał właściwego powodu, dla którego się zjawiał; mimo to, choć zapewniał, że mu serce biło, «coraz mocniej», że nie ma siły «dobrowolnie wyrzec się tej, którą kochał», o małżeństwie przestał myśleć, bo Eliza nie była *ebenbürtig*.

Tak upłynęła wiosna. Na lato wynajął ks. Antoni pałac w górach szląskich w Ruhbergu. Pałac ten położony w malowniczej miejscowości, okazał się tak przyjemny, jako miejsce letniego pobytu, że już po dwóch latach zdecydował się książę nabyć go na własność. Tymczasem w r. 1822, odkąd się przeniesiono do Ruhberga, jedni goście przyjeżdżali po drugich, przyjęcia następowały po przyjęciach, a Eliza, która się stała prawdziwym aniołem opiekuńczym dla ubogiej ludności miejscowej, kilkakrotnie w ciągu tego lata witała się i żegnała z Wilhelmem, który raz po raz wpadał do książęcego zamku. Chwile te, razem przebyte w górach, wśród cudownej okolicy, nad którą królowała lesista Schneekoppe, mogły by się w pamięci obojga zapisać najmilej, jako jedno z najbardziej błogich i rozmarzających wspomnień, gdyby tej arkadyjskiej harmonii nie mącił jeden dysonans, a mianowicie okoliczność, że wszyscy, zarówno Eliza, jak i jej otoczenie, przeczuwali już, że to jest początek końca, że wszystko musi się skończyć na niczem, skoro się nie może zakończyć na ślubnym kobiercu. Mimo to Wilhelm bywał w Ruhbergu, a księstwu nie pozostawało nic innego, tylko sadzić się na uprzejmość wobec wysokiego gościa... Chwilami ludzono się jeszcze, lecz po jakimś czasie, przestano się i ludzi...

Widząc ostatecznie, co trzymać o zamiarach Wilhelma, coraz rzadziej zaczęto bywać w Berlinie, prawie ciągle prześiadując w Poznaniu. Książę-namiestnik zrozumiał w końcu, że jego stanowisko było nie tylko przykrem, bo upokarzającym

ale nadto stawało się coraz trudniejszym. Mimo to pogodził się z losem, z godnością znosząc następstwa własnego przerachowania się. Głęboki żal, łatwo zrozumiały u takiego jak on człowieka, zataił na dnie duszy, a ukazując się ludziom, zawsze występował z czołem pogodnym, z uśmiechem na ustach.

Przeciwnie Eliza. Ona nie umiała się pogodzić z takim zrządzeniem losu. Od chwili, kiedy się dowiedziała o uchwale ministrów, straciła pierwotny zapał do życia, a choć się nie skarżyła przed nikim, wystarczyło spojrzeć na nią, by zrozumieć, jak bezmierna boleść szarpała tę wrażliwą duszę; zaczęła schnąć, więdnąć, podupadać na zdrowiu, tracić dawną świeżość i młodość...

Tak upłynęły cztery lata. Wilhelm ciągle dojeżdżał do Poznania, a w lecie do Ruhberga, ale już nie było dwóch zdań pod tym względem, że choć król wicz nieustannie zapewniał o swej miłości dla Elizy, o małżeństwie nie myślał na seryo. Stąd plotki, obiegające całe księstwo poznańskie, w których całą winę składano na Wilhelma, a którym głośno wtórował następca tronu, ciągle obstający przy swoim, że brat jego, gdyby się był rzetelnie chciał ożenić z Elizą, znalazłby na to sposób.

Wszystko to zaczynało powoli przeciągać strunę, już i tak naprężoną niezmiernie, aż w końcu stało się to, co się stać musiało prędzej czy później: nastąpiło oficjalne zerwanie. Stało się to w sierpniu r. 1826 na wyraźne żądanie króla, któremu już ta sprawa ciągnęła się zadługo. Widząc, że Wilhelm nie umie się zdecydować na krok stanowczy, postanowił położyć koniec tej jego «szlachetnej miłości» i w tym celu napisał do niego list, który młodemu królewiczowi, właśnie przebywającemu w Toeplitz, doręczył generał Witzleben. Powiadają, że król wicz przeczytawszy to pismo królewskie, stanął zrazu, jak gromem rażony; mimo to, jeszcze tego samego wieczora odpisał ojcu; a list, który skreślił, choć bardzo żaloszny, był pełen poddania się i pokory.

Drogi Ojczy!

Postanowiłeś o moim losie. Miałem nadzieję, dopóki mogłem zachować choćby jej najdrobniejszy promyczek. Czytając w mem sercu, znajdziesz w niem wdzięczność za wszystkie dowody czułości, jakich doświadczyłem od ciebie,

a zarazem i za list, w którym mi wyrażasz swoje postanowienie. Ojcowska dobroć i pożałowanie nad ciosem, który mię dotyka, wykazanie mi obowiązków mojego stanu, pochwały dla Elizy, tudzież przypomnienie usiłowań, czynionych, aby to małżeństwo umożliwić, wszystko to odnajduję w twoim liście, ojczy, i nie mógłbym wdzięczności mojej dowieść inaczej, jak będąc posłusznym, teraz i w przyszłości. Kończę z sercem boleścią złamanem, lecz bardziej niż kiedykolwiek do Ciebie należącym“.

Czy to serce w tym samym stopniu należało jeszcze do Elizy? Są tacy, co utrzymują, że ten list królewski bardzo był Wilhelmowi na rękę, że mu dostarczył wygodnego pretekstu, ażeby zerwać z Elizą, dla której miłość z wolna poczęła ostygąć w jego sercu. Powiadają, że w ostatnich czasach, widząc księżniczkę bardzo zmienioną na niekorzyść, zaczął się rozczarowywać. Dopóki była piękna, lgnął do niej; gdy spostrzegł, że zaczynała brzydnąć, że oczy jej, tak żywe do niedawna, poczęły tracić swój pierwotny blask, chłódł coraz bardziej, a myśląc o delikatnem wycofaniu się z szranków, nie wiedział tylko, jak to uczynić. Wtem otrzymuje list od ojca, wzywający go, aby zerwał z Radziwiłami. Oczywiście, że się rozkazowi ojca poddał bez wahania...

Odtąd nie widywał się z Elizą, ani z jej rodzicami. W końcu, w r. 1828, posłuszny woli ojca, ożenił się z księżniczką Augustą Weimarską, z którą żył w niezamąconym spokoju.

Tymczasem Eliza, zrezygnowawszy z osobistego szczęścia, wegetowała dalej, nie usuwając się od życia towarzyskiego, choć wszystko, co było zabawą, straciło dla niej urok. W lecie jeźdźono do Ruhberga, gdzie Eliza, jak dawniej, malowała pejzaże, rysowała, wspomagała biedną ludność okoliczną, no i wspominała te chwile, które tu spędziła w towarzystwie Wilhelma... W Ruhbergu też, w lecie, r. 1830, na świetnem zebraniu w parku Buchwałdzkim, ujrzała po raz pierwszy, po czterech latach niewidzenia, swego dawnego Romea, ale ujrzała go w chwili gdy podawał rękę — młodej małżonce. Mimo to, opanowała chwilowe wzruszenie, i dzielnie, z uśmiechem na ustach, spieszyła przywitać młodą parę.

A Wilhelm? On, o ile odtąd spotykał się z Elizą, o tyle

niezawsze zachowywał się taktownie. Raz np. na zebraniu u księżnej Augusty, był tak wesołym, tak czułym dla dawnej ukochanej, której asystował przez cały wieczór, że Eliza, wzbudzona, wyczerpana walką wewnętrzną, zachwiała się, pobladła strasznie, i w tejże chwili rzuciła się jej obficie ustami krew.

Był to pierwszy krwotok, pierwszy złowrogi zwiastun rozwijających się suchot, na które też, w jesieni r. 1834, w półtora roku po śmierci ojca, nieszczęśliwa księżniczka umarła...

IV.

SARAGOSSA.

KARTKA Z PODRÓŻY.

Spałem w najlepsze gdy nagle zbudził mię donośny głos konduktora: «Saragossa!». Ocknąwszy się, poczułem przenikliwy chłód nocny, wlatujący przez otwarte drzwi wagonu, a jednocześnie spostrzegłem brudną latarnię z chwiejącym się od wiatru płomieniem gazowym. Naprzeciw było jakieś okno, w oknie zaś, w miejscu jednej z górnych szyb, tkwił kwadratowy cyferblat zegaru, ze wskazówką na drugiej godzinie. Wiedząc, że w Saragossie muszę się przesiadać, zawołałem na posługacza, żeby mi zabrał tłumoczeki.. W brudnej sali I i II klasy, pełnej restauracyjnego zaduchu, ujrzałem kilka nakrytych stołów, bufet, garsona z serwetą pod pachą, apatycznie spoglądającego na nieliczną garstkę wchodzących podróżnych, i zasnętego żandarma w stosowanym kapeluszu.

Miałem dwie godziny czasu przed sobą. Co robić tedy? Naśladując przykład innych pasażerów, zażądałem czarnej kawy z koniakiem, a przekonawszy się, że i w Saragossie wiedzą o istnieniu cykoryi, wyszedłem na pusty peron, w nadziei, że może tam uda mi się oderwać od prozaicznej i nudnej rzeczywistości... Nie zapomniałem bowiem, gdzie jestem, a myśl o tem, że oddycham powietrzem Saragossy, pod którą za Napoleona przelało się tyle krwi polskiej, nie opuszczała mnie ani na chwilę. Patrząc na szereg latarni gazowych, oświetlających wielką oszkloną halę o dwóch wylotach, i na różnobarwne sygnały, migocące wzdłuż plantu kolejowego, nie mogłem się

opędzić refleksji, że może na tem samym miejscu, gdzie teraz panował taki spokój, przed laty srożył się bój śmiertelny, furkały dwubarwne chorągiewki ulanów Powstańcy hiszpańscy, pod wodzą jenerała Palafoxa, zajęli gęsty lasek nieopodal zębatych murów Saragossy, lecz zaatakowani przez konnicę Chłopickiego, cofnęli się do miasta. Wówczas to jenerał Lefebvre, sformowawszy kolumnę z polskich lansjerów i grenadjerów, zdecydował się na przypuszczenie szturm. Prowadzić miał Chłopicki. Zadanie było niełatwe: z murów szedł ogień nieustanny, a chcąc się dostać pod nie, należało przedrzeć się przez ów lasek oliwkowy, ten zaś, gęsto poprzerynany chrześcianyimi opłotkami sadów i ogrodów, będąc wielką zawadą dla piechoty, tem bardziej paraliżował szybkość ruchów jazdy. Gorzej było, gdy, minawszy go, wysunięto się na otwartą drogę, która, niedłuższa nad jakie sześćset sążni, prowadziła do bramy Carmen. Prawdziwe niebezpieczeństwo zaczęło się teraz dopiero! Ledwo się wychylnono z za drzew, w tejże chwili z pod bramy ryknęły działa baterji, rozległ się świst kartaczy. W kolumnie zarżało kilkanaście śmiertelnie ugodzonych koni, kilkunastu jeźdźców zwałiło się z siodła: padł kapitan Emmerych, «oficer najpiękniejszych nadziei», który niegdyś schwytał słynnego bandytę Fra Diavola; padł porucznik Snarski, ubyto piętnastu grenadjerów. Prażeni okrutnym deszczem żelaza i ołowiu, nieustraszeni *lanceros polacos* zwolnili szturmowego kroku, poczęli się chwiać. Zatrzymał ich Chopicki. Kilkoma jędrnemi słowy, a nadewszystko swą imponującą postawą natchnął walecznych, tak, iż znowu ruszono z kopyta. Jęki rannych i konających, pozostałych w miejscu, gdzie kolumna przystanęła na chwilę, zagłuszył huk armat, których siekańce i kartacze miały powstrzymać impet pędzącej ku nim, jak huragan, kawalerji. Nie powstrzymały! Chwila jeszcze, a ułańskie chorągiewki, szeleszczące przy zniżonych ostrzach lanc, dotarły pod bramę, poczęły ociekać krwią kanonierów. Umilkły porzucone działa, a natomiast przyszło do zacieklej walki na białą broń, walki jednak, w której hiszpańskie noże nie wytrzymały krzyżowych cięć polskich szabl. Już się zdawało, że zwycięstwo stanowczo przechyla się na stronę Chłopickiego, gdy nagle z pobliskich murów, wież, okien i dachów, powstańcy, zbiegłszy się ze wszystkich stron miasta rozpoczęli gęsty ogień karabinowy. Na dziel-

nych ułanów i grenadjerów — bo i ci już zdążyli na pomoc konnicy — posypał się grad kul, który, dziesiątkując ich niemilosiernie, uniemożliwiał wdarcie się do środka. Nie pomógł atak na drugą bramę, którym jen. Lefebvre usiłował rozdzielić uwagę nieprzyjaciela; ani pomogły dwa działa francuskie, które, ustawione wprost *Puerta del Carmen*, po kilkudziesięciu jałowych wystrzałach utraciły wszystkich artylerzystów. Bohaterski zastęp Chłopickiego, ostrzeliwany z góry, z przodu, z boków, przerzedzał się z zatrważającą szybkością, topniał w oczach. Nie chcąc, ażeby wszyscy polegli, musiano się cofnąć.

Tak się zakończył pierwszy szturm do murów Saragossy. Działo się to w dniu 15 czerwca 1808 roku.

Rozpoczęło się wreszcie prawidłowe oblężenie. Dnia 3 sierpnia, gdy ukończono sypanie baterji, na nieszczęsne miasto posypał się grad bomb. Wezwany, aby się poddał, mężny Palafox odrzekł po spartańsku: «Walka na noże».

W nocy z dnia 4 na 5 sierpnia, po krwawo okupionem zdobyciu klasztoru Engracia, przypuszczono szturm jeneralny. Na bramę Carmen, tak pamiętną dla polskich żołnierzy, ruszył pułkownik Kąsinowski na czele 2 pułku legji. Noc była ciemna, ponura i duszna, przynębiająca głęboką ciszą. Posuwano się szeroką drogą, a że chodziło o możliwie najbliższe podejście pod mury i wały miejskie, żołnierz więc, z oddechem zapartym w piersiach, skradał się jakby na palcach, by nierozbudzić czujności oblężonych. Koła armat, dla stłumienia ich turkotu, pookrećcano słomą. Doszedłszy do oznaczonego miejsca, kolumna zatrzymała się, ażeby czekać świtu...

Skoro niebo zaróżowiło się na wschodzie, ruszono dalej. Podszedłszy tak blisko, że już gołe oko rozróżniało nietylko domy i wieże kościołów, ale i paszcze armat na wałach, natknięto się na czatę hiszpańską. Jeden z grenadjerów, który ją dostrzegł pierwszy, dał ognia. Człowiek padł trupem, ale na huk wystrzału, niby na dane hasło, nasypy i mury Saragossy, aż do tej chwili jakby w głębokim śnie pogrążone, zakwitły białymi kłębami dymu... Ziemia zadrżała. Rzucono się do ataku.

Kapitan Łaszewski, dowodzący niewielkim oddziałem grenadjerów, uderzył na baterję przed bramą. Powitany kartaczami, stracił dziewięćdziesięciu ludzi, ale zato był pierwszy, który z 80 dzielnymi wiarusami wtargnął do miasta. Tutaj, choć prażony kulami ze wszystkich okien, zaczął zdobywać

dom po domu, piętro po piętrze, izbę za izbą, i w ten sposób posuwał się naprzód. Trupy kobiet, starców i dzieci, oraz jęki rannych, wijących się w przedśmiertnych konwulsjach, znaczyły przebytą drogę. Opór był zażarty, a niejeden żółty rabat grenadverski przeszyla kula z ręki niewieściej... Żony i siostry walczyły obok mężów i braci, i podczas gdy jedni bronili się, drudzy nacierali z tyłu, strzelając z karabinów i pistoletów, dźgając nożami, rąbiąc siekierami, ciskając kamieniami i cegłami. I wszystko to musiała wytrzymać garstka walecznych, odcięta od swoich, osaczona przez nierównie liczniejszego a zapamiętałego nieprzyjaciela. Wśród zażartej walki, wśród szereku białej broni, zagłuszanego strzałami i wściekłym krzykiem, zdobyto więzienie, poczem włamano się do gmachu, jak się okazało, szpitala wyratów. Szereg strasznych scen, których krwawą grozę osłaniały chmury dymu, powiększyło ukazanie się nieszczęśliwych ofiar pomieszczenia. Wydostawszy się ze swych cel, jedni śpiewali lub śmiali się, inni deklamowali lub z majestatyczną powagą przypatrywali się rzezi, aż w końcu prawie wszyscy padli pod bagnetami rozjuszonego żołnierza. Jakaś młoda waryatka, niezrażona rześistym ogniem, zawiesiła się na szyi jednemu z grenadyerów, i obsypując go najgorętszymi pocałunkami, puścić nie chciała. «Biedny wiarus nie mógł się żadnym sposobem jej karesów pozbyć i nie wiedział co z nią począć, czy się jej bronić, czy strzelać, aż narreszcie ugodzona kulą, padła z rąk swoich współrodaków»¹⁾. Z kolei zdobyto klasztor zakonnicy. Rozgrzany walką, upojony krwią, a przytem rozwścieczony oporem, żołnierz zaczął się dopuszczać wstrętnych gwałtów... Bezsilne wobec przemocy, biedne siostry same sobie odbierały życie, a znalazły się między niemi i takie, co nim sztywet utopiły we własnem sercu, wpierv go unurzały we krwi rozbewstwionych sprawców swej hańby... Tymczasem słońce wytoczyło się ponad szczyt wież, a bóg nie ustawał ani na chwilę. Nikt nie liczył tych, co zginęli, ale wystarczyło spojrzeć na grenadyerów, co jeszcze mścili się śmierci swych towarzyszy, by dostrzec, że poległych i raniomych było więcej znacznie, niż zdolnych do dalszej walki. Widząc to Łaszewski, kazał zatrąbić do odwrotu. Ustępowano z palcem na cynglu, odstrzeliwając się napastującemu nieprzy-

¹⁾ Sulima, *Polacy w Hiszpanii*.

jacielowi, a gdy nie było czasu na nabijanie karabinów, lub nie starczyło nabojów w ładownicy, broniono się bagnetem lub kolbą. W taki sposób, wśród niemilkącego ognia ze wszystkich zaułków i skrytek, wydostano się za bramę Carmen. Tu jednak, gdy się porachowano, okazało się, że z całego oddziału wróciło tylko 27.

Tymczasem inne oddziały polskie, które za Łaszewskim wtargnęły do środka miasta, niezmężone obezwładniającym skwarem, były się w dalszym ciągu. Kapitan woltyżerów, Notkiewicz, z fajeczką w ustach, dotarł ze swymi zuchami aż na plac kościoła Matki Boskiej del Pilar. Wpadłszy do wnętrza świątyni, chciał stąd — prawem zdobyczy wojennej — unieść jej bogactwa, mianowicie: 12 szczerosrebrnych apostołów i szczerozłoty posążek Najśw. Panny, z djamentowym wieńcem na głowie; zawiódł się przecie: hiszpanie bowiem, w przewidywanu ataku na słynną katedrę, zdążyli ukryć jej skarby. Kapitan Świerczyński usiłował zdobyć klasztor del Carmen, ale pęk wielkich kluczy, wystrzelonych z armaty, rozpruł mu brzuch... Umarł w kilka godzin. Mniej zaciekle bronił się szpital, który, zdobywając, podpalono jednocześnie, tak iż niebawem cały gmach stanął w płomieniach. Chorzy, chroniąc się przed ogniem i duszącym dymem, wyskakowali oknami, a pokrwawieni, z pokaleczonymi członkami, półnaczy, owinięci w koldry i prześcierała, czołgali się po ziemi, starając się skryć przed nieludzką srogością najeźdźców. Ale niewielu zdołało ująć z życiem: prawie wszystkich skłuto bagnetami.

Równocześnie Chłopicki, przewodząc pierwszemu pułkowi legji, parł się naprzód ulicą Engracia, która, poprzerynana w kilku miejscach głębokimi rowami i zbrojnemi w działa barykadami, siejąc morderczym ogniem, coraz gęściej zaściełała się trupami i rannymi. Kolumna topniała, ale szluszując w milczeniu, zdobywała dom po domu, barykadę po barykadzie. Wreszcie wydoszła się na wielką, prostą, szeroką, ogromnemi kamienicami zabudowaną ulicę Cosso. Tu jednak, wobec silnej baterji, usypanej pośrodku, a zbrojnej w działa, wymierzone przeciw ulicy Engracia, i wobec kilkuset okien, z których odrazu zaczęła się piekielna kanonada, musiano się zatrzymać... Szczęściem nadbiegł pułkownik Henriot z 14-tym pułkiem francuzkim. Już miano ruszyć naprzód, gdy nagle, ku niesłychanemu zdziwieniu zdobywców ukazało się dziwne

zjawisko. «Wśród ognia i mordy, wychodzi naprzeciw wysuwającej się kolumnie ksiądz z krzyżem w górę podniesionym, prowadząc drugą ręką małe, ledwie 12-letnie dziewczętko, ubrane podług wizerunku *Virgen del Pilar*. Szedł wolno, głośno odmawiając modlitwę. Na ten niezwykle, niespodziany widok, wszystko zatrzymało się; strzały ucichły, i w tej strasznej ulicy, przepełnionej dotychczas piekielną wrzawą, zapanaowała poważna, głęboka cisza. Trwało to jednak krótko. Żołnierze, zniecierpliwieni, dali ognia do księdza, który spokojnie i bez szwanku, wśród wystrzałów, ustąpił z Cosso, a zaledwie znikł, gdy ze wszystkich domów, okien i piwnic, grad kul sypnął się na nieszczęśliwą polską kolumnę». Chłopiński, skupiwszy przerzedzone mocno szeregi, postanowił mimo wszystko przedostać się na drugą stronę ulicy. Przedostał się, lecz niewątpliwie zaniechałby tego szalonego kroku, gdyby był przewidział, iż go okupi tak drogo... Nie mniej ofiar pochłonęło opanowanie uliczki Arco di Cineja, w której zdobyto kilka budynków, w której jednak Chłopiński, sam ciężko ranny i z trudnością przez żołnierzy wyniesiony z tego piekła, musiał zdać dowództwo podpułkownikowi Fondzielskiemu. Wypadło jeszcze raz przejść pod ogniem ulicy Cosso!.. W śmiertelnym popłochu, w jakim uchodzili ci, których nie dosięgły kule obrońców, nikt się nie troszczył o rannych. Zostawieni na łaskę i niełaskę Hiszpanów, wszyscy znaleźli straszną śmierć od ich niełaski, bo nie tylko dobito wszystkich, ale się jeszcze w najokrutniejszy sposób znęcano nad konającymi...

Przez dziesięć następnych dni, aż do 14 sierpnia włącznie, wciąż próbowano dobywać miasta; zawsze napróżno. Hiszpanie bronili się z zaciętością rozjuszonych tygrysów, a mężstwem równającym się bohaterstwu. Kobiety — powiada dziejopis tego oblężenia — opatrywały chorych i rannych, a nawet wstępowały w szeregi walczących. Żona jednego artylerzysty, gdy ten poległ przy armacie, objęła jego stanowisko, pełniąc obowiązki służby aż do samego końca obrony.

Upłynęło trzy miesiące. W listopadzie, wobec zbliżających się wojsk francuzkich pod dowództwem Ney'a, Saragossa, jeszcze nie ochłonąwszy po trudach pierwszego oblężenia, musiała się przygotowywać do odparcia nowego zamachu na swą wolność. «Mur, otaczający miasto, wzmocniono, gdzie tego była potrzeba, i opatrzone w strzelnice. Chcąc osłonić bardzo dłu-

gie jego ściany, ufortyfikowano wszystkie ważniejsze gmachy, znajdujące się zewnątrz niego... Naokoło miasta, w promieniu 700 sążni, zburzono wszystkie domy; drzewa oliwne i ogrody wycięto doszczętnie, iżby nie służyły nieprzyjacielowi za ochronę. Wewnątrz miasta każdy dom zamieniono na cytadelę. Ulice przecięto barykadami, we wszystkich domach wykuto strzelnice, porobiono komunikacje między domami, zewnątrz zamurowano okna i drzwi dolnych mieszkań. Na znaczniejszych ulicach i placach porobiono pochyłe od bomb nakrycia. Między ludnością, obok nieklamanego zapału, panowała największa czynność. Kto nie pracował około fortyfikacji, ćwiczył się w robieniu bronią. Kobiety szyły mundury, zakonnicy robili ładunki. Posiadano 160 dział, z tych 60 dużego kalibru, po większej części wydobytych z kanału, gdzie je, odstępując od oblężenia, zatopił był jen. Verdier. Składy pocisków były ogromne; każdy mieszkaniec miał broń. Żywności nagromadzono na 15000 załogi na sześć miesięcy... Załoga wynosiła 36 tysięcy samego żołnierza, nie licząc w tem ludzi, zdolnych do władania orężem. «Jak podczas pierwszego oblężenia, tak i teraz, dowodził generał Palafox, a ufność mieszkańców w wodza, w opiekę Najświętszej Panny *del Pilar*, w swe mężstwo i mury, była tak wielką, że nietylko za zbliżeniem się wojsk francuzkich nikt nie opuścił miasta, ale nawet z okolicy, kto żył, garnał się do Saragossy»... W grudniu rozpoczęło się drugie oblężenie, aż w końcu, dnia 21 lutego 1809 roku, po nadludzkich wysiłkach Palafoxa i jego wojska, po strasznych obustronnych rzeziach, po 40-to dniowem bombardowaniu, na które zużyto 16 tysięcy bomb, po codziennych szturmach i krwawych walkach pod murami i wewnątrz miasta, po okropnych dniach chłodów i głodu, a wreszcie zarazy, szerzącej większe spustoszenie wśród oblężonych, niż kule i granaty oblegających, Saragossa poddała się ostatecznie... Z miasta wyszło 12 tysięcy żołnierzy, białych, wychudłych, zbiedzonych, z gorączkowym ogniem w zapadłych oczach. Skoro złożyli broń, zwycięzca natychmiast zajął miasto, widok zaś, jaki w tej chwili przedstawiały ulice, był poprostu rozdzierający. Dla Polaków był to dzień smutku i bolesnych rozmyślań. «Nigdy nie miała przed oczami swemi tak okropnego obrazu ta garstka z ziemi rodzinnej usuniętych wojowników, którzy walczyli ciągle z narodami, zupełnie obcymi dla swego kraju, bez nadziei prawie powrotu do niego,

nie jak inni, szczęśliwsi, w sprawie własnego narodu, ale w sprawie obcej, dlatego jedynie, aby dopiero kiedyś wolno im było, a przynajmniej ich ziomkom, walczyć o odzyskanie ziemi ojczystej...¹⁾ To też patrząc na ten obraz spustoszenia, jaki się roztoczył przed nimi, a którego sęmi w znacznej części byli sprawcami, mieli lzy w oczach. Miejsca, w których miny poczyniły zniszczenia, były pokryte rozszarpanymi i rozkładającymi się członkami ciał ludzkich. Wszystkie domy zrujnowane, a większość, z pozapadanymi dachami i sufitami, przedstawiała się w formie nagich, poszczerbionych murów, pełnych gruzów i dymiących zgłiszcz. W ścianach, okopconych lub okrwawionych u dołu, tkwiły kule armatnie, a z pod poobtlukiwanego tynku wyglądały cegły, upstrzone śladami kul karabinowych. Na ulicach, poprzecinanych rowami, zburzonymi barykadami i bateriami, wśród gruzów i cuchnących kałuż błota, wałało się mnóstwo gnijących trupów, odłamków bomb, różnego śmiecia, zdechłych szczurów, połamanych mebli, karabinów, szabel, tornistrów, patronaszów z literą *N*, rozkładających się cielsk koni artyleryjskich, z których nawet nie zdjęto uprzęży, a ponad tem wszystkiem unosiła się jakaś cichość cmentarna, rozjaśniana ciepłem słonecznym. W powietrzu rozchodziła się smrodliwa woń stęchlizny i spalenizny... Błądząc wśród tych okropnych rumowisk, spotykało się wynędzniałe i poźółkłe postacie ludzkie, wlokące się, jak cienie, ku swym zwyczajcom, a jakaś rozpaczliwa apatya malowała się w ich zagastyh i błędnych źrenicach. Byli tacy, co, zmóżeni zarazą, wychyliwszy się z domu, konali na ulicy, wijąc się w strasznych męczarniach...²⁾ «Nie zapomnę nigdy wrażenia — opowiada Henryk Brandt w swoich *Wspomnieniach z wojny w Hiszpanii* — odniesionego na widok placu przed kościołem. Pełno tu było trumien, zwłok, modlących się kobiet i dzieci. W niektórych miejscach spoczywało po 10 i 20 zwłok ludzkich, leżących szeregiem, lub jedne na drugich. W jednej z trumien spoczywały zwłoki sędziwego jakiegoś człowieka,

¹⁾ Mroziński, *Pamiętnik*, cyt. w dziele Sulimy.

²⁾ W ciągu tego drugiego 52-dniowego obleżenia Saragossy straciło życie 54 tysiące osób różnego wieku i płci: dwie trzecie części wojskowych i połowa mieszkańców. W dniu kapitulacyi 6 tysięcy trupów, jeszcze nie pogrzebanych, leżało przed kościołami, po rowach i ulicach miasta.

w błękitnym mundurze, z czerwonymi aksamitnymi rabatami. Nad trumną jego modliła się młoda jakaś dama olśniewającej piękności. Bujny jej włos rozpuszczony spadał w nieładzie na ramiona; oglądała się trwożliwie, jakby szukając kogoś oczyma. Przedśień kościoła literalnie usłana była zwłokami; w wielkim przybytku Bożym modliło się mnóstwo kobiet. W bocznych nawach stały trumny, jedna przy drugiej. |U ołtarza krzątało się kilku księży. Świątynię przepelniał dym jakiś, kłębiący się od sklepienia aż do posadzki. Nie wiem, czy to były wycieki, czy skutek płomieni licznych świec jarzących, czy może skutek spekanych granatów, które przebiły sklepienie. Kilku żołnierzy francuzkich modliło się z wielką skruchą, nieopodal od wielkiego ołtarza... Olbrzymie, niezapomniane, przejmujące do głębi wrażenie czyniły ciche zakwefione postacie kobiet, monotonne wpółgłośnie modły księży, liczne zwłoki ludzkie w nawach bocznych, i ta cisza, przerywana szeptem modlitwy i jękiem zboląłego serca. Oddawna przecie już nawykłem do widoku poległych i ciężko rannych, a jednak wobec tylu żywotów zgasłych, doznałem głębokiego wstrząśnienia... To, co widziałem w kościele Matki Boskiej *del Pilar* i na placu, głębiej się wryło w mojej pamięci, niż nawet później ów szaniec tysięcy umarłych pod Możajskiem».

.....

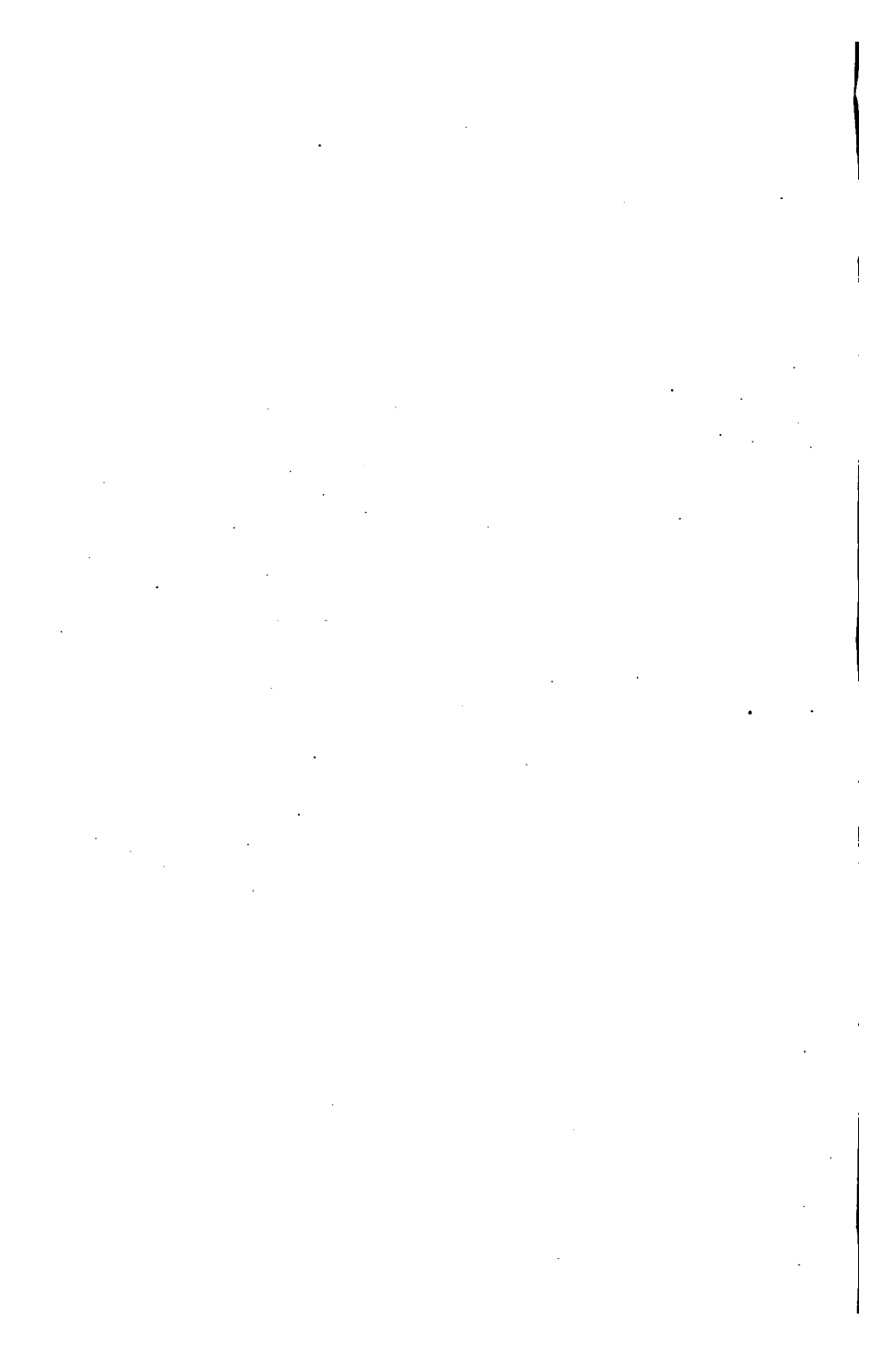
Pograżony w myślach o tem pamiętnem oblężeniu, przechadzałem się po peronie, jednak chłodny wiatr, dolatujący ze dworu, zmusił mię po niejakiem czasie, żem wrócił do sali. Po głowie snuły mi się krwawe obrazy scen wojennych, lecz ich ponura groza rozwiewała się w burżuazyjnej atmosferze kolejowej: to, co widziałem przed sobą, tak się miało do tego, com w tej chwili widział oczyma mej duszy polskiej, jak płytka farsa do szekspirowskich tragedyj. Niektórzy podróżni drzemali po kątach, jakiś otyły jegomość popijał *grog*, jakiś Anglik studyował «Przewodnik» Murray'a, a garson, ziewając co moment, liczył pieniądze. W całej sali panowało milczenie, jak w świątyni filisterstwa i nudów. O godzinie 3-ej, zmęczony uciążliwym panowaniem nad sennością, która mi coraz dokuczliwiej zaczynała ciężyc na klejących się powiekach, wyszedłem przed stacę, by orzeźwić się świeżem powietrzem, a także, by choć zdaleka i w nocy popatrzeć na Saragosę. Myśląc o ulicy

Cosso i kościele *del Pilar*, ujrzałem jakiś niebrukowany plac przed dworcem, oświetlony kilkoma latarniami, oraz szereg obnażonych drzewek, których sylwety czerniły się na ołowianem tle chmurnego nieba bez gwiazd. Dokola było pusto, tylko wiatr, pogwizdujący niekiedy, zawodził przeciągle i głucho, jakby jęczał.



II

Z DZIEJÓW OŚWIATY



KRZEMIENIEC I JEGO LICEUM.

Wśród zielonych wzgórz, przez Wołynian powszechnie «polską Szwajcaryą» nazywanych, w głębokim parowie, którym płynie unieśmierteliona w *Beniowskim* rzeczka Ikwa, u podnóża wysokiej, ostro ściętej góry, «Bony ochrzczonej imieniem», a uwieńczonej na szczycie fantastycznymi ruinami starożytnego zamczyska, przez Olgierda ongi wzniesionego, leży miasteczko Krzemieniec, dzisiaj zżydziałe i podupadłe zupełnie, miasteczko, o którym śmiało powiedzieć można to samo, co Mickiewicz o Bageczyseraju w jednym ze swoich *Sonetów Krymskich*: że los nad niem krwawemi Baltazara zgłoskami wypisał słowo «ruina»; i ono bowiem, jak owo «możnych Ghirajów» dziedzictwo, miało niegdyś — nie tak dawno jeszcze — swoje czasy świetności i blasku, czasy, kiedy je nazywano «nowemi Atenami na ziemi Wołyńskiej», kiedy «jaśniał» Czacki, kiedy się mówiło w całej Polsce, że Krzemieniec «żyje i oddycha swoją szkołą, a cała prowincya Krzemieńcem». Ale skończyły się piękne dni Aranjezu: w roku 1834 przeniesiono liceum do Kijowa, gdzie zostało przeobrażone w Uniwersytet, a Krzemieniec przestał być «ostoją narodowości i kultury polskiej» na wschodnich kresach dawnej Rzeczypospolitej. Z dawnych gmachów, dotąd zdobiących miasto, całe i nienaruszone pozostały tylko licealne, po-jezuickie mury, z obszernym dziedzińcem dookoła, opasanym przepyszną galerią z ciosowego kamienia, z figurą Najśw. Panny pośrodku... Kościół licealny, z dwiema wieżami i wielką kopułą, zmienił się do niepoznania, a to samo stało się również i z innymi większymi świątyni-

niami katolickimi: z kościołem OO. Franciszkanów, tudzież z niewielkim kościółkiem OO. Reformatów, który, położony na wysokiej górze, w pięknym gaju leszczynowym, szeroko słynął z powodu swej oryginalnej architektury... Z białych domków z ogródkami i przysionkami o dwóch lub czterech kolumnach — tych domków, które Słowacki w *Godzinie myśli* przyrównywał do «pereł, szmaragdami ogrodów przesytych» — pozostały tylko rudery, zamieszkałe przez niechlujnąariatę Izraela, żyjącą z drobnego handlu i kontrabandy; kontrabanda bowiem, dla bliskości granicy austriackiej, kwitnie tu w całej pełni. Na ulicach słychać prawie wyłącznie żargon żydowski; na rynku bawią się dzieci, przeważnie żydowskie, po kałużach pływają kaczki, w kupach śmieci grzebią kury, a po szynkach, których najwięcej pomiędzy sklepikami, obradują kontrabandziści. Jednym słowem, niema dziś po co jeździć do Krzemieńca; chyba po to jedynie, ażeby się przekonać naocznie, że *sunt lacrimae rerum*.

Inaczej działo się tu przed laty, pomiędzy rokiem 1805 a 1834; wtedy, od końca sierpnia aż do ostatnich dni czerwca, u podnóża góry Zamkowej i niższej trochę od niej Czerczy, — które według pseudoklasycznego wyrażenia J. U. Niemcewicza «jak niegdyś w Delfach dwa szczyty Parnasu» wienczyły to «nauk siedlisko» — wszystko kipiało tu życiem, wszędzie panowała atmosfera rodzima, całkiem niepodobna do dzisiejszej. W tych niepozornych dworach, nadających miastu pozór wsi, mieszkali często ludzie, którzy polorem, światłem, znaczeniem, mogli być (i bywali istotnie) duszą i ozdobą najwyższych towarzystw europejskich; dość powiedzieć, że takie rodziny, jak Sapiehów, Radziwiłłów, Ożarowskich, Chodkiewiczów, Drzewieckich i w. i. znajdowały tu godne siebie otoczenie, tak, iż wielu z nich, zamiast jeździć na zimę do Włoch lub do Paryża, zjeżdżało do Krzemieńca. Niektórzy nawet, pobudowawszy domy, osiedlili się tu na stałe. Książę Franciszek Sapieha, ile razy wracał z Neapolu lub Makaryewa, zawsze wypoczywał w Krzemieńcu. Przed rokiem 1812 przesiadywał tu czas dłuższy X. Hugo Kollataj, wciskając się do zaufania Czackiego, który go w głębi duszy nie lubił podobno, a może się lękał... Legendowy Waclaw Rzewuski, co zginął pod Daszowem, tutaj strawił niejeden miesiąc życia: tutaj jadał i sypiał przy swojej ulubionej klaczy arabskiej, której miniaturę

razem z miniaturą kochanki zawsze nosił w pugilaresie; tutaj ubrany po turecku, w zawoju, czytywał z Koranu; tutaj ściany swego domu pozapisywał arabskimi wężykami; tutaj, kiedy go odwiedzali znajomi, nie podejmował ich nigdy inaczej, tylko — zwyczajem wschodnim — fajką i wodą; tutaj, ku najwyższemu podziwieniu uczniów liceum i dzieciaków żydowskich, wjeżdżał konno na spadzistą górę Zamkową i ciskał dziurytem lub strzelał z pistoletu; tutaj komponował swe melancholijne arye i pisał poezye polskie; stąd wreszcie, w roku 1830, «w stepowe zapuścił się szlaki,

A za nim, na koniach, buńczuczne kozaki,
W czerwieni i w bieli, po stepach płynęli,
Po smutnych kurhanach przeszłości».

Tutaj w roku 1818 J. U. Niemcewicz płakał, gdy mu wchodzićemu na bal zaśpiewano niespodziewanie «Za szumnym Dniestrem, na Cecorskim błoniu». Tu generał Krupiński, opowiadał wesole chwile towarzystwa Puławskiego. Tu szef Drzewiecki rozprawiał o odbytych wspólnie z Dąbrowskim kampaniach w ziemi włoskiej i pisał swoje *Pamiętniki*. Tu Alojzy Feliński, bystry, dowcipny i rozumny, w którym więcej było uczucia i poezyi, niż w jego książkach i rymach, opisywał chwile pobytu swego w obozie Kościuszki. Tutaj ze łzami w oczach, często z głośnym szlochaniem, dyktował Czacki swe dzieła, dzieła, w których widać duszę rozdartą przeświadczeniem, «żeśmy mogli być wielkim i potężnym narodem», lecz dobrowolnie zamiast wielkości, przodkowie nasi zostawili swym wnukom poszarpaną dziedzinę. Tu Franciszek Rudzki opowiadał wypadki ostatniego sejmu grodzieńskiego, którego był uczestnikiem. Tu bogaty i w troje zgięty hrabia Moszyński, w dyamentowe guzy przystrojony, spotykał się z młodym Mniszchem, potomkiem w prostej linii ojca carowej Maryny. Tu książę Adam Czartoryski odwiedzał w roku 1809 Czackiego, który bytność jego złotemi literami na marmurze wyrycić kazał. Tu, pochylony ku ziemi, chociaż nie stary wcale, ks. Alojzy Osiński, zastępca Euzebiusza Słowackiego, czytał Skargę i pisał jego żywot, pracując jednocześnie nad słownikiem języka polskiego, a w wolnych chwilach wygrywając na skrzypcach¹⁾. Tutaj Józef Korzeniow-

¹⁾ Por. J. K. Stecki *Krzemieniec i jego okolice*, w *Dzienniku literackim* (lwowskim) z r. 1865. Nr 78 i nast.

ski wykladał od roku 1823 literaturę polską i, patrząc okiem obserwatora-powieściopisarza na życie krzemienieckie, zbierał materiały do swego *Tadeusza Bezimiennego*.

...Bohater powieści tej kształci się, jak wiadomo, w liceum krzemienieckim, co daje assumpf autorowi do skreślenia całego szeregu scen, którym to ukochane dzieło Czackiego służy za tło; że zaś talentem mało kto zrównał u nas Korzeniowskiemu — co mu nawet Klaczko w swej zabójczej krytyce *Krewnych* przyznaje — nie dziw więc, że doczekawszy się takiego Homera, Krzemieniec ożył pod jego piórem na nowo, ażeby już od tej chwili żyć wiecznie, przynajmniej w sercach naszych...

* * *

Wykłady w liceum rozpoczynały się z dniem pierwszym września, co sprawiało, jak powiada autor *Tadeusza Bezimiennego*, że od czasu założenia szkoły krzemienieckiej, koniec sierpnia był dla mieszkańców Wołynia i Podola epoką ważną. Na wszystkich główniejszych traktach roilo się zawsze o tej porze od mnóstwa wózków i bryczek, bud żydowskich, *perekładnych*, koczków obywatelskich i pańskich karet, bo młodzież zjeżdżała się do Krzemieńca, a z paniczami jechały niejednokrotnie ich matki i siostry: pierwsze dla lepszego niby dopilnowania edukacji synów, drugie dla zabawy. Stąd zdarzało się nieraz widzieć całe t. z. «karawany dworskie», składające się często z kilku rozmaitych powozów, w których oprócz państwa jechała cała kawalkata służby, panien służących, guwernantek, lokajów, kuczeków, kozaczek *et consortes*. Karawany takie z największą były wyczekiwane niecierpliwością przez gospodynie przydrożnych domów zajezdnych, czyli t. z. «Dębowych karczem», które, rozrzucone gęsto wzdłuż Jampolskiego traktu, najbardziej ożywionego wówczas, bo łączącego Krzemieniec z najbogatszą częścią Wołynia, z całym Podolem, Pobereżem i Ukrainą, ogromne miały wzięcie. Z karczem tych najslawniejszą była szczególnie jedna, nie dębowa, lecz murowana, a przytem z największym względnie urządzone komfortem. Dla jadących do Krzemieńca nocleg w niej lub popas należały do przyjemnych konieczności. To też, kiedy się zbliżał koniec sierpnia, w Dębowych karczmach niezwykle zawsze panowało ożywienie. Gwar rozmowy, rżenie koni, nawoływania woźniców, wszystko to

pomieszane razem, rozbrzmiewając wśród natłoku najrozmaitszych pojazdów, miało dziwny jakiś, z niczem nieporównany urok (urok, który tego rodzaju scenom nadawać umie w swoich obrazach Józef Brandt). Rozumie się samo przez się, że i na brak humoru nikt się tu nie uskarżał. Smutnych i zasepionych twarzy — jak świadczy Korzeniowski — nie spotykało się wtedy: po dwumiesięcznych wakacjach tęsknił już każdy do pracy, każdy jechał z ukontentowaniem, wiedział bowiem, że w Krzemieńcu, oprócz nauki, czeka go przyjaźń kolegów, piłka na galeryi kolegium, rozkoszne przechadzki po górach, samotne rozmyślenia na zamku królowej Bony, składkowe podwieczorki u Mińczuczki, nowy głos profesora, którego nie słyszał jeszcze, a przytem nowe pole wiadomości, na które rad był co najprędzej wstąpić. Tacy nawet, którzy dojeżdżali do Krzemieńca, mając kilka złotych zaledwie w kieszeni, jechali bez troski i z nadzieją, że tam nie zginą, gdyż fundamentalne prawidło tej szkoły, że *każdy uczeń musiał być lub sam dozorcą domowym albo mieć dozorcę*, najbiedniejszym nawet dodawało śmiałości, krzewiąc w sercu otuchę, że znajdują pracę i co za tem idzie, jakie takie utrzymanie¹⁾.

Dnia 1 września z uderzeniem godziny 8-mej rano, odzywał się chrapliwie dzwon licealny i dzwonił cały kwadrans; znaczyło to, że dzień otwarcia szkoły się rozpoczął, że wszyscy należący do niej, zarówno profesorowie jak i uczniowie, znaleźć się winni niebawem przed kościołem. Około wpół do 9-tej dawała się słyszeć cienka, mile brzmiąca sygnaturka, co było znakiem, że zbliżała się chwila wyjścia Mszy świętej, że uczniowie z dalszych i bliższych części miasta powinni wyruszać z domu. Stosowało się to również i do profesorów. Nakoniec na kilka minut przed 9-tą uderzano w wielki dzwon katedralny, obwieszczający całemu miastu, że będzie kazanie. Ta muzyka dzwonów powtarzała się później w każdą niedzielę i święto; w dni powszednie, oprócz sygnaturki, wzywającej Krzemieńczan — a uczniów liceum w szczególności — do wysłuchania Mszy św., odzywał się o pewnych godzinach znany całemu miastu dzwonek szkolny, zwołujący uczniów na lekcye, a który, rozbity od niepamiętnych czasów, brzęczał przeraźliwie, ale

¹⁾ Por. *Tadeusz Bezimienny* str. 175 i 177 (w tomie IV «Dzieł J. Korzeniowskiego», wyd. red. *Kłosów*, Warszawa, 1887),

tak głośno i tak inaczej, jak wszystkie inne licealne i reszty kościołów, że — jak powiada Karol Witte w swoich wspomnieniach Krzemieńca¹⁾ — nikt się omylić nie mógł, kogo ten dzwon wzywa: na odgłos jego każdy gimnazysta biegł co tchu w stronę liceum²⁾.

O godzinie 9-tej punktualnie w kościele licealnym trudno się już było precysnąć. Na środku nawy, bliżej wielkiego ołtarza, na krzesłach w dwóch szeregach, siedzieli profesorowie z prefektem i dyrektorem na czele, wszyscy w galowych mundurach. W roku 1809 grono to stanowili: znakomity Józef Czech, dyrektor, tyle zasłużony w Akademii Krakowskiej, a w Krzemieńcu wykładający wyższą matematykę; Wojciech Jarkowski, prefekt, wykładający geometryę; Paweł Jarkowski bibliotekarz licealny; Uldyński Józef, profesor historii powszechnej, łysy jak kolano; Euzebiusz Słowacki, tłumacz *Henryady* Woltera, nauczający języka i literatury polskiej; Jurkowski, wykładający język grecki; Besser, botanik; X. Osiński Alojzy, ex-pijar, wykładający literaturę łacińską; Lefort, nauczyciel języka francuskiego i geografii; Michalski, nauczyciel języka niemieckiego i historii (w niższych klasach); Klembowski, nauczyciel malarstwa, i w. w. i. Do roku 1813 widywano także i Tadeusza Czackiego pomiędzy nimi, z niebieską wstęgą pod rozrzuconym mundurem, z łysą, w tył wygiętą głową, z przymrużonemi oczami, z których — jak powiada Korzeniowski — były promienie rozumu i dobroci³⁾. Za nimi, w dalszych ławkach, blisko wejścia, widziałeś pierwszych protektorów szkoły: Filipa

¹⁾ *Krzemieńiec*, przygody i wspomnienia studenta pierwszej klasy przez Walentego Spektatora (Karola Wittego). Kraków, 1873. Zob. str. 106.

²⁾ W r. 1834, kiedy zamknięto liceum Krzemienieckie, przebywający podówczas w Genewie Juliusz Słowacki, któremu nieomieszkało donieść o tem z domu, przypomniał sobie brzęczenie tego dzwonka i takie o nim napisał rzewne słowa w liście swym do matki z d. 13 lipca 1834 r.: »Takie samo wrażenie (jak na Genewian muzyka zegarów genewskich) sprawia na was dzwonek szkolny, rozbity, krzemieniecki; niestety, dzwonek ten ogłuchł; głos i śmiechy żaków grających w piłkę, nie rozlegają się więcej (już) po pustej galeryi waszego kościoła. Widzę stąd umarłą twarz waszej miejsciny i z większym smutkiem patrzyłbym na nią dzisiaj, niż na marmurową i umarłą Wenecyę«. (Listy, I. 171).

³⁾ *Tadeusz Bezimienny*, str. 159. — Ob. także: Karol Kałczkowski *Wspomnienia* (Lwów, 1876), I. 52.

hr. Olizara, podczaszego koronnego, Aleksandra hr. Chodkiewicza, Michała Sobańskiego, Wacława Borejkę, Filipa hr. Platę, Romualda Steckiego, szefa Józefa Drzewieckiego, ówczesnego marszałka szlachty krzemienieckiej, Pawła i Franciszka Sapiechów, Dymitra i Józefa Czetwertyńskich¹⁾ i w. i. W ławkach naczelnych, po obu stronach, siadywali rodzice uczniów, bądź stale mieszkający w Krzemieńcu dla edukacyi dzieci, bądź przybyli umeślnie z domu na uroczystość otwarcia roku szkolnego. Dalsze miejsca zajmowały żony i dzieci profesorów. Pod amboną i naprzeciw niej grupowały się wychowawice dwóch zakładów żeńskich; przed ołtarzem zaś, przy kratkach presbiteryum i w przedziałach między ławkami stali uczniowie czterech klas gimnazyalnych i trzech kursów licealnych, wszyscy w granatowych mundurach ze złotemi guzikami²⁾. W r. 1809 można było pomiędzy temi studencikami widzieć w takimże mundurku i 16-letniego podówczas Antoniego Malczewskiego, przyszłego śpiewaka *Maryi*³⁾. Z uderzeniem dzwonka przy zakrytych, wychodził przed wielki ołtarz liczny orszak do służby w czasie mszy przeznaczony: naprzód sześciu studentów, parami, mniejsi na czele, starsi za nimi, wszyscy w eleganckich komżach, ładnemi koronkami obszytych, z długimi, kolorowemi wstążkami, a za nimi w ozdobnych i bogatych ornatach, celebrant ks. Kulikowski z dwoma asystentami; poczem, jak zwykle w takich razach, odzywała się muzyka na chórze, w dni uroczyste złożona z amatorów, pod dyrekcyą licealnego nauczyciela gry na skrzypcach, Lencego⁴⁾. Po odśpiewanej ewangelii, ukazywał się na ambonie ks. Prokop (Krzywicki), Kapucyn, znakomity szkoły tej kaznodzieja «i tym głosem przenikającym i rzewnym, który się wciskał do każdej piersi, uczył młodzież obowiązków wdzięczności dla rodziców, dla przełożonych, od roku 1813 zaś, kiedy umarł Czacki, wrażał w serca jej pamięć człowieka, który żył tylko dla niej»⁵⁾.

¹⁾ Kaczkowski, Op. cit. I. 26—29.

²⁾ Por. Walenty Spektator *Krzemieniec*, przygody i wspomnienia studenta pierwszej klasy, str. 110, 102, 103. Także *Tadeusz Bezimienny* str. 169.

³⁾ Ob. Mikołaj Mazanowski, *Żywot i twory Antoniego Malczewskiego* (Lwów, 1890) str. 6—9.

⁴⁾ W. Spektator. Op. cit. str. 110, 111.

⁵⁾ *Tadeusz Bezimienny*, str. 158. O ks. Prokopie zob. u Spektatora. Op. cit. str. 113—114.

Po skończonem nabożeństwie, uwieńczonem na finał hymnem *Veni Creator*, opróżniał się wielki pojezuicki kościół, a zgromadzenie całe przechodziło do t. z. sali fizycznej, zamienionej na aulę, w której jeden z profesorów — do roku 1811 zawsze Euzebiusz Słowacki — miał odczyt dla publiczności.¹⁾ Sala ta — w ciągu roku szkolnego zastawiona całkowicie przyrządami do doświadczeń fizycznych — mogła pomieścić kilkaset osób. Na ścianie głównej, naprzeciw drzwi wchodowych, wisiał w pewnej wklęsłości muru, pomiędzy dwiema kolumnami z białego alabastru, duży portret cesarza Aleksandra I. a od roku 1813 począwszy, bliżej nieco, pośrodku tej samej wklęsłości, stał na marmurowej kolumnie biust Tadeusza Czackiego²⁾. Pod portretem cesarskim był stół, czerwonym aksamitem ze złotą frendzlą okryty. Na stole — jak powiada Józef Korzeniowski — leżał dyplom przez «wiekopomnego monarchę» szkole tej ofiarowany. Na prawo wznosiła się mała mównica dla czytającego rozprawę profesora. Przy stole zasiadali z Czackim na czele członkowie komisji edukacyjnej, obaj zwierzchnicy szkoły, tudzież biskup Łucki, jeżeli posiedzenie obecnością swą zaszczyścić raczył; za nimi — jak świadczy autor *Tadeusza Bezimiennego* — pstrzył się rząd dam, w stosownych i pięknych strojach, z uśmiechem macierzyńskim na ustach, i grono panien, upatrujących w tłumie młodzieży braci i krewnych; na końcu zaś widziałeś poważne i zainteresowane twarze ojców, oraz masę publiczności, przyjezdnej i miejscowej. Studenci mieścili się gdzie mogli, stojąc.

Nazajutrz rozpoczynały się lekye, trwające — z przerwą od 12-tej do 1-szej w południe — od 8-mej rano do 6-tej wieczór.

Od chwili tej opustoszały trochę w ciągu wakacyi Krzemieniec ożywał się znacznie. Na ulicach roilo się więcej przechodniów; w powietrzu rozbrzmiewał co godzina pęknięty dzwonek szkolny; wszędzie panował ruch, ożywienie. Najhałaśliwiej bywało o pewnych godzinach w pobliżu gimnazjum, gdzie wśród pejsatych żydków z lakociami, uwijających się między młodzieżą, dwóch zwłaszcza, Pekunia i Czerny, najwięcej sprze-

¹⁾ Zob. *Dzieła* Euzebiusza Słowackiego (Wilno, 1826) III, 293, 330, 364, 388.

²⁾ *Spektator*. Op. cit. str. 115.

dawali przysmaków, gdyż mieli prawo handlowania ciastkami i przekąskami na dziedzińcu licealnym nawet w czasie każdej 10-minutowej paury¹⁾.

Wogóle, jeżeli chodzi o ruch handlowy, który jak wszędzie, tak i w Krzemieńcu znajdował się prawie wyłącznie w rękach żydków, to w ciągu roku szkolnego, a zwłaszcza na jego początku, obroty powiększały się stale, albowiem przyjeżdżający tu z synami rodzice nie odrazu wracali do domu, lecz zostawali czas jakiś, »aby poznać dokładnie Krzemieniec i przypatrzeć się nagromadzonemu przez Czackiego skarbowi«. Następujący urywek z *Tadeusza Bezimiennego* doskonale ilustruje podobne zwiedzanie Aten Wołyńskich²⁾ przez przyjezdne obywatelstwo. »Anna — opowiada Korzeniowski — została jeszcze w Krzemieńcu przez kilka dni, a chłopcy, którzy nie odstępowały na krok matki i córki, oprowadzali je po gmachu szkolnym, różne pokazując osobliwości. W milczeniu przeszli przez bibliotekę, która dziś w poważnej swej ciszy, zaludniona tylko marmurowymi twarzami wielkich mężów, poglądających ze ścian nad szafami pełnemi książek, wydała się tem większa, tem bardziej wrażliwa cześć i uszanowanie. Tam, skłoniwszy się przed biurem założyciela szkoły, obejrżeli bogaty gabinet medalów, przeszło 20.000 sztuk zawierający; poczem, minawszy wielką galerję, przed kościołem znajdującą się, na której młodzież zbierała się w letnie wieczory, przeszli do drugiej połowy gmachu, niegdyś klasztoru Bazylianów, obejrżeli gabinet fizyczny, z kosztownych narzędzi złożony, gabinet mineralogiczny, zoologiczny, a wreszcie laboratorium chemiczne, które im sam profesor, miłujący przedmiot swój nadewszystko, pokazywał... Obejrzawszy obserwatorium astronomiczne i gabinet machin, do szkoły mechaników należący, skończyli uczoną wędrowkę swą na ogrodzie botanicznym, ciesząc się jego porządkiem i widokami, dziwiąc się oraz tylu tysiącom roślin i kwiatów, z różnych stref pod jeden dach zgromadzonych... W ciągu następných dni chodzili po górach, odwiedzając najpiękniejsze miejsca, zwykle przechadzki studentów, zwykle punkta, gdzie się zbierali, gdzie podziwia-

¹⁾ W. Spektor. Op. cit. str. 175.

²⁾ Tym, który pierwszy nazwał Krzemieniec »Atenami Wołyńskimi«, był minister oświaty, hrabia Zawadowskij.

jąc naturę, rozmawiali o swoich pracach, o dalszym kierunku w życiu i odległych a opromienionych tyłoma złudzeniami nadziejach. Gdy stanęli nad skałą, którą uczniowie, przez wygórowaną erudycję, Tarpejską nazwali, Anna i Sabinka, zachwycone widokiem, który się im odkrył z tego urwiska, zieloną i miękką okrytego murawą, ujrzały pod nogami swemi przepaść, mocno wgłębioną i kikadziesiąt stóp wynoszącą: dalej zaczynała się stroma pochyłość, obrosła ogromnymi drzewami, których tylko korony można było widzieć. Pochyłość ta ciągnęła się aż do parowu, którego oba boki, znacznie od siebie odchyłone i zarosłe najpiękniejszymi drzewami, podnosiły się na kilkaset stóp w górę. Przez parów ten otwierał się widok na pola, na zielone sianożęci i błonia; widać było zdaleka Ikwę, wijącą się, jak świetna jaka wstęga, a za nią bory sosnowe, wieś okoliczne, białe mury w Podbereźcach i samotną górę Podbereziecką, od wieków tam patrzącą na szereg sióstr swoich, skupionych, od których ją śnać wody odniosły i do których wrócić nie może¹⁾.

Z nadejściem zimy, po świętach Bożego Narodzenia, kiedy góra królowej Bony bielila się od śniegu, w Krzemieńcu zaczęto palić sute ofiary na cześć arlekinowatego bożka karnawału: rozpoczynały się słynne na cały Wołyń *zapusty krzemienieckie*, które nieprzyjaciółom Czackiego (a miał ich wielu!) aż nadto w swoim czasie dostarczały tematu do szkalowania Krzemieńca i systemu, jakiemu hołdowała tamtejsza pedagogika. Jak do Kijowa na kontrakty, tak do Krzemieńca zjeżdżała się cała okolica na karnawał. Taki już panował tu zwyczaj. Zainaugurował go po części sam Czacki, który uważał, iż zebrania publiczne, «gdzieby młodzież pod okiem władzy szkolnej, nauczycieli, rodziców i obywatelstwa, bawiąc się, przywykała do więcej światowego znajdowania się w towarzystwie», tylko z korzyścią dla niej mogą być połączone. Dlatego rad zawsze widział, jeżeli wychowawcy jego szkoły mieli od czasu do czasu sposobność potańczenia i zabawienia się. W tym celu przyczynił się nawet w r. 1810 do założenia w Krzemieńcu t. z. *kasy*, gdzieby się miejscowe życie towarzyskie koncentrować mogło. Jakoż kiedy nadszedł karnawał, bawiono się tu nieraz do białego dnia. Prócz tego urządzali u siebie wielkie

¹⁾ Dzieła Józefa Korzeniowskiego, IV, 202, 203.

przyjęcia: Radziwiłłowie, Chodkiewiczze, Ożarowscy, Drzewieccy, Gadomscy, którzy pod względem wpajania w młodzież sekretów poloru towarzyskiego, stanowczo trzymali prym. Atmosfera bowiem, panująca na tych balach, była *par excellence* europejska, stołeczna, tak, iż — jak zapewnia Korzeniowski — «jeśli kto przyjechał w nocy do Krzemieńca i, wszedłszy niespodziewanie do jednego z tych salonów, rzucił okiem na grono poważnych dam, na orszak mężczyzn z wyraźnymi cechami dobrego wychowania, na strojną gromadkę pańien, wesołych i pięknych, jakby je kto umyślnie dobierał, aniby mu do głowy nie przyszło, że się znajduje w małym miasteczku, ścieśnionem w dole między wysokimi górami, nie mającym kamienic, nie wszędzie brukowanem, złożonem z domów drewnianych, z których ledwie kilkanaście było większych i nie koszlawych». Obok tych wieczorów »magnackich«, wspaniałych i hucznych, mniejszym świeciły blaskiem skromne, składkowe *pikniki nauuczycielskie*, kolejno urządzone przez panie profesorowe, a na których rej wodziła młodzież licealna, pod wodzą starego Uldyńskiego, jedynego z profesorów, który choć stary i łysy, «zawzięcie w takt należyty tańczył», będąc pewnym, że wielka jego powaga i szacunek, jakim go uczniowie otaczali, na żaden szwank narażone przez to nie będą¹⁾. Inni profesorowie, najmłodszych nie wyjmując, nie tańczyli nigdy.

Ale niestety, zło łatwo się rozkrzewia, cóż dopiero tak pojętne zło, jak zabawa. Panowie i panie, którzy przedtem w poszukiwaniu zabawy włóczyli się za granicą, osiadłszy w Krzemieńcu lub przyjeżdżając tu na czas karnawału, skrzywili do pewnego stopnia myśl Czackiego, zbyt wiele bowiem przywozili z sobą pod górę Zamkową ochoty do tańca. Stąd poszło, że młodzież szkolna, rozrywana przez nich, więcej zaczęła z czasem — przynajmniej w karnawale — myśleć o zabawie, aniżeli o nauce, a nadto, ponieważ miała powodzenie w salonach, przejmowała się zbytnio pewną próżnością światową, tak, iż nie mała ich część zasłużyła sobie później na ironiczne miano *trefnisiów krzemienieckich*, do Krzemieńca zaś — powiada X. Jelłowicki — jechał już nie tylko ten, co się chciał uczyć, ale i ten, co się chciał bawić. «Wielu o mil kilkadziesiąt ciągnęło na zapusty do Krzemieńca, jak lud pobożny ciągnie na odpust do

¹⁾ W. Spektator. Op. cit. str. 225.

Poczajowa»...). Na młodzież nie mogło to oczywiście pozostać bez niepożądanego wpływu: wielu zaczęło zbyt wielką przywiązywać wagę do powierzchowności, do stroju, ze szkodą dla strony umysłowej i moralnej, a nie brak było i takich, którym się wskutek tego do reszty przewróciło w głowie i myśleli, że są Bóg wie czem... Takich nazywano *czubami krzemienieckimi*, a pani starościna ma trochę racyi, kiedy w *Tadeuszu Bezimiennym* powiada: «Co też to za presumpcye roją się pod temi czubami krzemienieckimi»²⁾.

Nie gorzej bawiono się w poście, tylko inaczej. O ile w karnawale wieczory tańczące, kuligi, szlichtady i t. p. były na porządku dziennym, o tyle teraz, kiedy skończył się sezon Terpsychory, zaczynała się pora wieczorków muzykalno-deklamacyjnych, rautów, etc. Na brak koncertów nie mógł się równieź Krzemieniec w epoce tej uskarżać, żaden bowiem ze znakomitszych artystów, który odwiedził już Petersburg, Moskwę i Kijowskie kontrakty, nie mijal Aten Wołyńskich³⁾. Dnia 10 marca 1820 r. śpiewała tu rozgłośna w całej Europie Catalani, a Lipiński grał na skrzypcach. Na pamiątkę pobytu słynnej *divy* nad Ikwą, jedną z ulic urządzającego się naówczas miasteczka przewano *ulicą Catalani*, a po wyjeździe jej długo jeszcze żyła pomiędzy Krzemieńczanami tradycya o uniesieniu, z jakim szef Drzewiecki wysiadającej z powozu śpiewaczce własny płaszcz rzucił pod nogi, ażeby sobie pantofelków zabłocić nie potrzebowała⁴⁾.

Skoro się już wspomniało o błocie, to wypada mu na tem miejscu koniecznie obszerniejszą poświęcić wzmiankę, rola bowiem, jaką w Krzemieńcu grało przysłowiowe *błoto krzemienieckie*, nie była wcale drugorzędną. Bawiący tu w r. 1818 z Adamem ks. Czartoryskim Julian Ursyn Niemcewicz powiada w swoich słynnych *Podróżach historycznych*, że w słotę smutnym jest pobyt w Krzemieńcu, albowiem niedostatek bruku i położenie górzyste, nierówne, sprawia, że za spadnięciem deszczu ulice stają się błotnistemi nie do przebycia, tak, iż w zimie nieraz czterema końmi ledwo wydobyć się można. Nieinaczej

) Aleksander Jelowicki, *Moje wspomnienia*, Poznań, 1877 (wyd. drugie) str. 177.

²⁾ Dzieła Józefa Korzeniowskiego, IV, 163.

³⁾ Tamże, 176.

⁴⁾ Pamiętniki Józefa Drzewieckiego, Wilno 1858, str. 344.

brzmi świadectwo, wydane pod tym względem Krzemieńcowi przez Lelewela, który w listach swoich do rodziny błotu Krzemienieckiemu wystawia prawdziwie horacyuszowskie *monumentum aere perennius*. Oto n. p. co czytamy o niem w liście tego znakomitego historyka do brata pod datą 7 lipca 1809 roku: «Błota pełno, a grunt gliniasty. Mimo lata suchego ledwie kilka tygodni, co zupełnie wyschnie, a i tak wiele ulic dotąd jest miękkich; dość powiedzieć, że bywają wypadki, iż kiedy nagły deszcz spadnie w tym obszernym wąwozie, po parze żydów wśród suchego lata potonęło»¹⁾. Walenty Spektator (Karol Witte) powiada również, że w późnej jesieni, wśród deszczów nieustających, lub na wiosnę, w czasie puszczania lodów, topiły się w Krzemieńcu i na Maćkowej dolinie «ludzie czasem, konie często». Szef Drzewiecki, który jako marszałek szlachty krzemienieckiej, taką w historii Krzemieńca odegrał rolę, jak baron Hausmann w dziejach Paryża za drugiego cesarstwa, dopóty nie mógł sypiać spokojnie z powodu tego błota, dopóki nie znalazł odpowiednich funduszów na wybrukowanie jednej przynajmniej ulicy Szerokiej²⁾, przyczem niejednokrotnie dał się we znaki miejscowym synom Izraela. Charakterystycznym pod tym względem i pełnym mimowolnego humoru jest jeden z listów Józefa Drzewieckiego, który w zapale *hausmanizowania* swego rodzinnego miasteczka tak pisze raz w maju 1819 do któregoś z przyjaciół: «Oni (t. j. różni właściciele nieruchomości w Krzemieńcu) tu na mnie patrzą, jak na zdobywcę, co niszczy i któremu uledez trzeba, gdy go pokonać nie można; lecz spodziewam się, że choć mię przeklinają teraz, oswoją się z porządkiem i później mi złorzeczyć nie będą... Po dwóch latach walki z okupującymi się żydami, wygrałem nakoniec ich brudne jurty i walę je dziś bez litości. Oczyszczę zatem część niższą rynku i brukuję natychmiast»...

W chwili, kiedy pan szef słowa te pisał, potrzeba wybrukowania główniejszych ulic dawała się uczuć tem dotkliwiej, że była to właśnie wiosna, maj, epoka więc, w której ulice Krzemieńca, częstym deszczem roztapiane, z samych składały się kałuż, większych lub mniejszych, głębszych lub płytszych, a nie zawsze miły rozsiewających zapach.

¹⁾ Listy J. Lelewela, Oddział pierwszy. Listy do rodzeństwa pisane, tom I, str. 149 (Poznań 1878).

²⁾ Karol Kaczkowski. *Wspomnienia*. str. 29.

Szczęściem, klimat tutejszy, z powodu silnych wiatrów, które wiejąc między górami oczyszczały powietrze, należał do najzdrowszych w okolicy, tak, iż Krzemieniec, pomimo swego osławionego błota, był miastem zdrowym, w którym ludzie żyli długo, a chorowali rzadko. Pomędzy uczniami liceum także zdarzało się bardzo rzadko, ażeby który zachorował. Co prawda, dbałość o zdrowie ich, nietylko moralne ale i fizyczne, była jednym z główniejszych punktów w pedagogicznym programie Czackiego. Nadzwyczajny też kładł zawsze na to nacisk, ażeby młodzież poza godzinami wykładowemi, dużo używała ruchu, i to na świeżem powietrzu. Stąd owe, obowiązkowe poniekąd, gry w piłkę na dziedzińcu licealnym, pod okiem prefekta, profesorów, czasem najpoważniejszych obywateli kraju¹⁾, a kiedy żył Czacki, pod jego osobistym przewodem, pomimo, że dla krótkiego bardzo wzroku nigdy nie mógł ani piłki złapać, ani w łapę dobrze palnąć.²⁾ «Zawsze nas cieszyło niezmiernie, gdy on do zabawy należał, a każda partya chciała go mieć między sobą. Chwytałiśmy więc starostę za poly, całowaliśmy po rękach, zapraszając każdy w swoją stronę. Dogadzał on i tym i owym, aż w końcu, umęczony, wymykał się z pośród nas pokryjomu prawie».

Oprócz codziennej — w godzinach rekreacyjnych — zabawy na galerji, w piłkę, w wolanta, w palanta, w kaszę, w ściankę, w żyda wreszcie, lekcye konnej jazdy, fechtunku, pływania i tańca, bardzo się przyczyniały do rozwijania młodych organizmów. W niedziele i święta, gdy nie było lekcji, odbywano wycieczki za miasto, na Zołoby, do futoru Wasylichy, na górę Czerczy. Kiedy nadeszła wiosna, odbywano majówki takie co pewien czas regularnie; a że odbywano je hucznie, z muzyką, w szyku bojowym, szeregami po czterech w jednym, każda klasa pod wodzą jednego nauczyciela, każda ze swoją chorągwią, sława więc majówek krzemienieckich zaczęła być równie głośną niebawem, jak sława krzemienieckiego... błota.

W drugiej połowie czerwca zaczynały się egzaminy, poprzedzane ogólną spowiedzią uczniów (bo spowiadała się młodzież krzemieniecka cztery razy do roku). Po egzaminach przychodziła kolej na popisy publiczne, trwające około pięciu dni

¹⁾ W. Spektator, Op. cit. 221.

²⁾ Karol Kaczkowski, *Wspomnienia* Tom. I, str. 30.

zwykle, a do których stawali, rozumie się samo przez się, tylko celujący uczniowie. W r. 1809 był na nich obecnym Adam ks. Czartoryski, a Euzebiusz Słowacki rozpoczął je pięknym wykładem *O potrzebie doskonalenia języków i używania mowy ojczystej w wykładzie nauk*¹⁾. Ostatniego dnia, zazwyczaj 28 czerwca, następowała — przy licznych zawsze współudziale publiczności miejscowej i przyjezdnej — uroczystość wręczenia uczniom nagród, dyplomów, medalów, listów pochwalnych, uroczystość, której od śmierci założyciela gimnazjum nigdy nie rozpoczynano inaczej, tylko t. z. obchodem za Czackiego t. j. nabożeństwem żałobnym w kościele po-jezuickim, na intencję zmarłego. Cała świątynia wówczas, umyślnie przyćmiona, z wspaniałym katafalkiem, wzniesionym pośrodku pod olbrzymią kopułą, z portretem Czackiego, ustawionym na katafalku w głowach trumny, w otoczeniu mnóstwa świec, kwiatów i wieńców, zapelniała się tysięcznym tłumem, a wszyscy zjawiali się w żałobie, poczawszy od uczniów i profesorów, którzy mieli rękawy u mundurów przewiązane krepeą, a skończywszy na licznej publiczności, która wiedziała dobrze, iż dnia tego należy przyjść do Kościoła ubranym czarno. Jeden z obchodów takich, pierwszy mianowicie, opisał Korzeniowski w *Tadeuszu Bezimiennym*²⁾.

Następnego dnia, po uroczystem zamknięciu roku szkolnego, zakończonego odśpiewaniem *Te Deum* w kościele licealnym, urządził u siebie pan szef Drzewiecki wspaniały bal dla celujących uczniów, którzy otrzymali nagrody «w medalach lub w akcesytach do medalów», bal, na którym najpiękniejsze nieraz damy robiły im honory, a z którego zawsze miłe każdy wywoził wspomnienie na całe życie.

W święto Piotra i Pawła zaczynał się już Krzemieniec powoli opróżniać; młodzież, a z młodzieżą i wiele rodzin, opuszczały to «nauk siedlisko» udając się na wakacje, odpocząć po całorocznej pracy, obaczyć domowe kąty, odwiedzić przyjaciół i krewnych. I znowu, jak dziesięć miesięcy temu, na trakcie Jampolskim uwijało się mnóstwo bryczek, pojazdów, *perekładnych*, karet i żydowskich wózków, a w *Dębowych karczmach* panował ruch, wrzała rozmowa, rozlegały się śmiechy i żarty, próbowały nowe cybuchy i fajki; deklamowano sobie wier-

¹⁾ Dzieła Euzebiusza Słowackiego, III. 364—388.

²⁾ Dzieła J. Korzeniowskiego, IV, 158 i nast.

sze, powtarzano różne anegdoty szkolne, oceniano wykłady profesorów; szły żarciki z paniczów, którzy się pieli do nagrody i niedostali jej, ile że więcej myśleli o kontredansie i konnej jeździe, aniżeli o atrakcyi, o rachunku różniczkowym lub integralnym; a ponieważ — jak świadczy Korzeniowski — w Krzemieńcu «młodzieniec, który fupy pańskie wywoził z domu, przez takie przechodził różgi i frycówki, że się prędko reflektował i z najbiedniejszymi, których mu opinia kolegów jako czoło młodzieży wskazywała, wkrótce się pobratał», równość więc w gronie tem zawsze panowała zupełna: wszyscy się znali doskonale i nikt nie zważał na to, czy jedzie własnym koczem, czy najętym wózkiem...

II.

EUZEBIUSZ SŁOWACKI

(* 1772 † 1814).

Euzebiusz Słowacki, jakkolwiek mu przypadło w udziale być ojcem niepospolitego syna, był sam ze wszech miar człowiekiem nieposzrednim, co, jak wiadomo, nie o wszystkich ojcach wielkich poetów i artystów powiedzieć można... Pod tym względem poszczęściło się twórcy *Anhellego* wyjątkowo: ojciec jego był także poetą; nie genialnym wprawdzie, ale także i nie tuzinkowym.

Była to natura szlachetna, wykwintna, pełna najwznioślejszych aspiracji: charakter prawy, nieskazitelny, a serce złote. Wystarczy spojrzeć na jego portret, malowany w Wilnie przez Rustema, a znajdujący się dziś w lwowskim Ossolineum, ażeby sobie wyrobić o nim przekonanie, że taka twarz o rysach regularnych i ujmujących, o oczach czarnych, inteligentnych i pełnych jakiejś melancholii w spojrzeniu, może tylko być wyrazem dobroci i «łagodności duszy». Jakoż były to dwa przymioty, cechujące ojca Juliuszowego najwybitniej. Co także charakteryzowało go bardzo stanowczo, to smutek. Była to *une âme triste*. «Smutek jest towarzyszem moim od powicia», pisał w swoim horacyuszowskim *Liście do Erazma* (Słowackiego), swego młodszego brata.

Z umysłem przenikliwym i bystrym, z «darem, prawdziwym czy zwodniczym, *dalszego widzenia*», mimowoli zapatrywał się na życie i na ludzi sceptycznie i nie bardzo im ufał. Więcej, aniżeli poczciwych i zacnych spotykał

nie bardzo przyjemnych,
fałszywych, próżnych, srogich, zuchwałych, nikczemnych.

A że własnymi nieszczęściami nieraz miał sposobność «sprawdzić te wnioski», nie co innego więc, tylko «cierpienia i kłeski, zamiary i troski»

Były i są przyczyną, że nigdy wesola
Myśl zoranego smutkiem nie wyjaśni czoła.

Stad nie potrafił nigdy «i śmiać się i myśleć» jednocześnie, bo czemukolwiek przypatrzył się bliżej, we wszystkim, pod najkorzystniejszymi nieraz ukryte pozorami, dostrzegał obłudę, fałsz, głupotę, wszędzie znajdował wzory,

które rada zbiera

Ta, co śmieszności ludzkie maluje, satyra.

Z takim poglądem na świat, umotywowanym doświadczeniem życiowym, nie dziw, że pomimo całej «łagodności duszy», zbyt często może w stosunkach z ludźmi bywał sarkastyczny, zgryźliwy, ironiczny, i że złośliwość ta, tem dotkliwsza niejednokrotnie, że okraszona dowcipem, ośmieszającym przeciwnika, niemal tem samem mogła mu z biegiem czasu narobić nieprzyjaciół: bo ludzie nie lubią, żeby z nich stroić sobie drwinki, zwłaszcza, gdy na nie zasługują.

Urodzony w Podhoreach, w Galicyi, dnia 15-go grudnia 1772 r., jako syn niebogatych — ale ze stanu szlacheckiego — rodziców (Słowaccy pieczętowali się herbem Leliwa), w siódmym roku postradawszy ojca, został z dwoma młodszymi braćmi, Erazmem i Józefem, oraz dwiema siostrami, pod opieką matki i stryja. Oddany przez nich w bardzo młodym wieku do szkoły w Krzemieńcu, dał tutaj od pierwszej chwili dowody niepospolitych zdolności, a rozwijającym się z rokiem każdym coraz bardziej talentem pisarskim obudzał współzawodnictwo w gronie swych rówieśników. Po ukończeniu nauk wszakże, pozbawiony środków utrzymania, zamiast — jak to było jego marzeniem — pojechać dla dalszego kształcenia się na który z uniwersytetów zagranicznych, a choćby nawet i do Krakowa, wyjednał sobie przez przyjaciół w Warszawie patent na geometrę królewskiego i zaczął trudnić się prywatnem pomiernianiem majątków obywatelskich na Wołyniu. Zawód ten jednak nie dawał mu zadowolenia moralnego, nie dostarczał pokarmu dla duszy, którą wyjaławiał raczej. Dusza zaś w tym młodym geometrze była wrażliwa niezmiernie, szczególnie na

rzeczy piękna, poezyi! Z natury obdarzony żywą wyobraźnią i nieprzepartą żądzą nauki i wiedzy, a może i sławy, szamał się wskutek tego w narzuconych mu więzach najrealniejszej rzeczywistości, jak Pegaz w jarzmie... Na szczęście nie długo marnował się w ten sposób: jeden z najbogatszych obywateli na Wołyniu, Poniatowski, widząc, że pod niepokazną figurą tego geometry ukrywa się niepowszedni umysł, powierzył mu wychowanie swych dzieci. Pod dachem tego domu, gdzie mając do swej dyspozycji piękną bibliotekę, zaopatrzoną w klasycznych pisarzy francuskich i rzymskich, mógł się w nich rozczytywać dowoli, przekonał się niebawem Słowacki, co było jego właściwem powołaniem, i zdecydowawszy się poświęcić wyłącznie nauce i poezyi, zaczął tłómaczyć *Henryadę* Woltera. Tłómaczenie to, przeczytane najbliższym, tak się spodobało, że je bez wiedzy ani upoważnienia autora ogłoszono w Warszawie w r. 1803. W cztery lata później, gdy się organizowało gimnazjum wołyńskie w Krzemieńcu, powołał go Czacki na profesora literatury polskiej. Karyera profesorska bardzo mu się uśmiechała, a że z włożonych na się obowiązków miał zwyczaj wywiązywać się sumiennie, więc, jak sam powiada, «nigdy się jeszcze nie rzucił w pracowitszy zawód». Chciwy nauki, znalazłszy w bibliotekach Poryckiej i Krzemienieckiej, tudzież w prywatnej Czackiego, odpowiedni materiał do nasycenia swej żądzy wiedzy, zakopał się w studyach, doprowadzając nieraz pilność swą aż do przesady, z uszczerbkiem dla wątłego zdrowia. Po roku pobytu w Krzemieńcu, ożenił się tu z panną Salomeą Januszewską. Pomiedzy kolegami swymi, jak i pomiedzy uczniami cieszył się niebywałą sympatją wszystkich, z czem szło równocześnie w parze i najwyższe poważanie, zarówno dla pisarza, jak i dla wytwornego mówcy. Stąd prawie na wszystkich uroczystościach otwarcia lub zamknięcia roku szkolnego, w których programie figurował zwykle odczyt publiczny, na mównicę występował przyszły ojciec Juliusza Słowackiego. Ten ostatni urodził się w sierpniu r. 1809, we dwa miesiące po ogłoszeniu przez uniwersytet wileński konkursu na rozprawę: *O sztuce dobrego pisania w języku polskim*, konkursu, którego laureat miał możliwość otrzymania w Wilnie wakującej katedry historii literatury polskiej, czyli, jak się mówiło podówczas, wymowy i poezyi. Euzebiusz Słowacki, pomimo iż w Krzemieńcu «niepodziel-

nem cieszył się uznaniem uczniów i kolegów», postanowił ubiegać się o tę katedrę: raz dlatego, że mu zależało na większej pensji, a powtórę, że, ambitny z natury, wolał mieć tytuł profesora uniwersytetu, aniżeli w dalszym ciągu poprzestawać na skromnej posadzie nauczyciela gimnazjalnego. W nadziei, że mu się z turnieju tego uda wyjść zwycięzcą, zabrał się do pisania rozprawy... i zwyciężył. Z nadejściem lutego 1811 r. otrzymał z Wilna list, w którym mu rektor uniwersytetu tamtejszego, Jan Śniadecki, donosił między innymi, iż po przeczytaniu jego rozprawy «Rada pełna uchwaliła, że WM. pan okazał się przez to pismo godnym placu profesora ordynaryjnego Wymowy i Poezyi w uniwersytecie». W pół roku później, dnia 15 września, miał już Euzebiusz Słowacki swój pierwszy wykład na wszechnicy wileńskiej. Od pierwszej chwili wejścia na katedrę zyskał ogromne powodzenie, jako profesor, a równocześnie i jako człowiek podbił sobie odrazu serca wszystkich. Zarzucano mu tylko — a na zarzut ten zasługiwał z dniem każdym coraz bardziej — że zbyt wiele ciężarów brał na swe wątłe barki. On wszakże, niebaczny na te życzliwe przestrogi, «jakby dręczony przeczcuciem, iż kres jego żywota niedaleki, posuwał pracowitość swą aż do przesady i nie umiał naznaczyć jej granic». Poza godzinami wykładów uniwersyteckich, i czasem poświęcanym na przygotowanie się do nich, pracował nad krytyczną historią literatury polskiej, pisał, tworzył, tłómaczył... Nadto, żeby zwiększyć dochody, ustawicznie pomnażał swe zatrudnienia, pisując artykuły do *Kuryera Litewskiego* (sprawozdania teatralne w tem piśmie od września 1811 r. są jego pióra), aż w końcu podjął się roli redaktora tego pisma. Tak upłynęły trzy lata, na które również przypada przejście Napoleona z wielką armią przez Wilno w roku 1812 — fakt, który Euzebiusza Słowackiego natchnął do napisania wspaniałego wiersza na cześć nowożytnego Cezara. Jednocześnie zaczął uczyć czytać swojego jedynaka... Niestety, lekcye te nie miały potrwać długo: ojciec 5-cio letniego «Julka», zaczął gwałtownie podupadać na zdrowiu... Okazała się potrzeba zaniechania wykładów w uniwersytecie, a redaktorstwa *Kuryera Litewskiego* powierzenia komu innemu; w końcu przyszły suchoty, na które też, ku powszechnemu żalowi swoich kolegów i uczniów, chory zmarł dnia 22 października 1814 r.

W przeczcuciu rychłej śmierci, napisał *dla syna* swoje pa-

mietniki (które, zdaje się, zaginęły), przed samym zgonem zaś, już stygnącą ręką, skreślił następujący wierszyk:

Wędrownik, w życia drodze, stargawszy mdłą siłę,
Wkrótce rzucę, co miłe i co mi niemiłe.
Bez trwogi, nie bez żalu, widzę kres zbliżony,
Który nagle w nieznane przeniesie mnie strony:
W tę uchronę spokojną, gdzie wieczność przebywa,
I którą chmura, pełna tajemnic, okrywa.

Po przejrzaniu czterech grubych tomów *Dzieł Euzebiusza Słowackiego*, wydanych w Wilnie, nakładem księgarni Zawadzkiego, z przedmową Leona Borowskiego, okazuje się, że był to klasyk najczystszej wody w duchu rzymsko-francuskim, klasyk jednak, który, wolny od niektórych przesądów i stronniczości, właściwych innym jego współwyznawcom literackim, bardziej był od nich umiarkowany. Jeżeli tłómaczył utwory poetów obcych, to ze starożytnych wybierał Wergiliusza, z którego przełożył dwie sielanki, dwie księgi z *Ziemiaństwa* i kilka ksiąg — wierszem lub prozą — z *Eneidy*; albo Horacego, z którego przyswoił naszemu językowi — prozą — cały *List do Pisonów* i kilkanaście *Ód*; lub Owidyusza, z którego spolszczył jedną księgę *Żalów*; z nowoczesnych poetów zaś, w których mniej, zdaje się, smakował, aniżeli w starożytnych rzymskich (z greckich nie przetłómaczył ani jednego), wybierał takie utwory, jak niektóre sentymentalniejsze pieśni z *Jerozolimy* Tassa, jak *Sielanki* Gessnera, lub Delille'a *Poema o imaginacji*. Tworząc oryginalnie, pisał tragedye w smaku francuskim, na wzór Kornela i Rasyne, wedle tego samego szablonu, którego trzymał się Feliński w *Barbarze Radziwiłłównie*, którego trzymał się Wężyk w *Wandzie*, któremu holdował drewniany Ludwik Osieński. Pod tym względem nie wiele można zarzucić obu tragedjom Euzebiusza Słowackiego: zarówno *Mendogowi*, jak *Wandzie*; pisane 13-to zgłoskowym aleksandrynem, obie są podzielone na pięć aktów, w obu autor przestrzega jedności miejsca i czasu. Prace Euzebiusza Słowackiego literacko-estetyczne, traktujące o *Teorii wymowy*, o *Teorii poezji* lub rozbiegające takie dzieła, jak Delille'a *Ogrody*, Junga *Sąd ostateczny*, Pope'a wiersz *O człowieku* lub *Historja pukla włosów*, a nawet *Luiszady* Kamoensa, świadczą o niezwykłym, jak na owe czasy, odczuciu autora. Przedewszystkiem atoli posiadał on gruntowną znajomość historii piśmiennictwa ojczystego. Jego roz-

prawy o *Pisarzach polskich dawnych i późniejszych*: o Kochanowskim, Skardze, Górnickim, Orzechowskim, Birkowskim, Krasińskim i wielu innych, należą do najlepszych rzeczy krytycznych, jakie u nas wydał początek bieżącego stulecia, a choć pisane w duchu pseudo-klasycznym, nie brak w nich przecież gorących słów uwielbienia dla «autorów złotego dla nauk polskich Zygmunta wieku». «O, jaka rozkosz dla Polaka — czytamy w jednej z tych rozpraw — gdy położywszy obok Teokryta sielanki Szymonowicza, waży się, zawieszony w zdaniu, któremu dać pierwszeństwo; gdy w *Trenach* Jana Kochanowskiego spostrzeżga ton elegii tkliwszy i naturalniejszy, niżli w Owidiuszu; gdy w mowach Orzechowskiego znajduje kawałki, godne Demostenesa i Cyncerona!»

Tak się przedstawia sylwetka Euzebiusza Słowackiego, który, gdyby nawet nie był ojcem przyszłego twórcy *Ballady*, jeszczeby nie przeszedł zapomniany w dziejach naszego umysłowego rozwoju, zawsze bowiem należałby nietylko do najuczestniejszych, ale i do najbardziej sympatycznych osobistości swego czasu.

III.

LEON BOROWSKI.

(* 1784 † 1846).

Każdy, kto czytał *Wspomnienia z przeszłości* A. E. Odyńca, pamięta z nich ten ustęp, w którym autor kreśli sylwetkę Leona Borowskiego, jako profesora literatury polskiej. Sylwetka to sympatyczna niezmiernie, świadcząca wymownie, że ten «najlepszy znawca i sędzia poezyi», zasiadający na katedrze «z twarzą surową jak Minos», potrafił sobie mimo to zjednać serca swych uczniów.

Jakoż tak było w istocie. Dość powiedzieć, że nie tylko Odyniec, który był ulubieńcem Borowskiego, ale i zgryźliwy ks. Stanisław Jundziłł, który w swych pamiętnikach o tylu osobistościach wyraża się ujemnie, Borowskiemu, jako człowiekowi i profesorowi, wystawił nader chlubne świadectwo. «Dowcip, rozległe w starożytnej i nowożytnej literaturze wiadomości, styl wykształcony, charakter niczem nieskażony, czy niły go — zdaniem Jundziłła — pożytecznym w rozkrzewianiu nadobnych umiejętności nauczycielem i przyjemnym w zgromadzeniu członkiem». Rozmiałowany w swym przedmiocie, na wykłady przychodził zawsze obladowany książkami, a choć nie odznaczał się darem wymowy, przyczem mówił cicho, szepłeniąc, głosem niedźwięcznym, suchym, to jednak mówił z pamięci, nie posługując się żadnymi notatkami. Słuchaczów zawsze miewał bardzo wielu, a szczęśliwy przypadek zdarzył, że wśród nich znaleźli się i tacy, jak Adam Mickiewicz, Tomasz Zan, Aleksander Chodźko, E. A. Odyniec, Julian Korsak, a później Juliusz Słowacki, o których naród nigdy nie zapomni.

Nie zapomni też i o profesorze literatury polskiej, który tak wielki wpływ wywierał i wywarł na ich młodociane umysły. Mickiewicz, na którego genialności Borowski poznał się pierwszy, zawsze opowiadał w późniejszych latach, kiedy już był sławnym poetą, że Borowskiemu zawdzięcza swoje przyzwyczajenie do ścisłości i jasności wyrażań, zarówno w wierszu, jak w prozie, a swoje konferencye literackie, które, jako jeden z najzdolniejszych studentów, odbywał z Borowskim w jego mieszkaniu prywatnem, w ogóle zaliczał do swych najprzyjemniejszych wspomnień uniwersyteckich. Borowski bowiem, przewodnicząc młodzieży «doskonalej się w sztuce pisania po polsku», miał we zwyczaju, że najlepszych uczniów, w których dostrzegał zarody literackiego talentu, zapraszał do siebie, ażeby tym sposobem skuteczniej oddziaływać na nich. Do takich, oprócz Mickiewicza, należał między innymi A. E. Odyniec, który w swych *Wspomnieniach z przeszłości*, tak pisze o tych wizytach u Borowskiego; «Z tej tak wybrednej surowości względem samego siebie łatwo można wnioskować, jakim krytykiem był Borowski dla drugich, a mianowicie dla uczniów, dopełniając przez to zarazem obowiązku nauczycielskiego sumienia. Nie zadawał on sobie wprawdzie tej pracy względem wszystkich zwyczajnych ćwiczeń na katedrze w sali składanych, ale kiedy już komu kazał z niemi prywatnie przychodzić do siebie, to ten ktoś musiał mieć mocne nerwy i niezłomną do autorstwa ochotę, aby wytrzymać i nie dać się odstraszyć przez torturalne próby, czyli raczej męki, na jakie go brał zwykle profesor. Nie uniknęli ich prozaiści, ale najbardziejemi ofiarami byli mianowicie poeci... Wytłómaczyłem był jakąś ode, czy raczej tytyramb, z J. B. Rousseau. Była tam rozmaitość miar wiersza, była harmonia naśladowcza, jednem słowem obszernie pole do popisu i byłem najprzekonańszy, że mi się to dobrze udało. Przyniosłem to więc na pierwsze posiedzenie krytyczne, i nigdy nie zapomnę tej chwili. Profesor kazał mi najpierw przeczytać to głośno, i wysłuchał cierpliwie do końca, żadnej zgola nie czyniąc uwagi. Że zaś z tonu tego czytania mógł wnosić, iż byłem zadowolony sam z siebie, sędzę, że chciał mi dać odrazu nauczkę, abym tak bardzo nie ufał sam sobie. Nigdy już bowiem potem, w ciągu lat kilku, nie okazał się ani tak srogim, ani nawet tak wymagającym, jak wtedy. Zamknął najprzód drzwi

na dwa spusty, wydobyl z szafy oryginal, kazal mi usiąść obok i zasiadł sam z powagą, jak sędzia na trybunale. Zaczęła się prawdziwa anatomiczna sekcya martwego ciała. Każdy wiersz pojedynczy, jak żyłka po żyłce, wyciągał się i ulegał oglądaniu, w porównaniu z oryginałem; przyczem nietylko każde wyrażenie lub wyraz, ale każdy przyimek lub zaimek, sam nawet zbieg brzmienia głosek, dostarczał krytykowi wątku, tak do oceny właściwości ich użycia, jak i co do ogólnych uwag w tym przedmiocie. Nie mogę wprawdzie powiedzieć, ażeby wszystkie one wypadły na moją niekorzyść; ale ogólny wszakże rezultat był ten, że to, co mi się zdało mojem arcydziełem, zmalało z przekonania w oczach moich własnych do rozmiarów studenckiego ćwiczenia. I w tem też to mianowicie była główna pedagogiczna zasługa i doskonałość metody krytycznej Borowskiego, że z pedancką na pozór drobiazgowością rozbierając szczegóły, musiał z nich zawsze wyprowadzić i wrazić w ucznia zasady ogólne, które sam on już potem w potrzebie mógł do wszystkich prac swoich stosować. I wtedy też to chyba dopiero mógł ocenić z należytą wdzięcznością tę żmudną i zapewne uciążliwą pracę, którą wszakże profesor dobrowolnie sam sobie zadawał, aby w ten sposób, oprócz obowiązku płatnego, spełniać zarazem i obywatelski względem przyszłej literatury ojczystej». Na to jednak, ażeby być zaproszonym przez Borowskiego na takie konferencye literackie do jego mieszkania, wypadalo wprzódzy zwrócić na siebie uwagę w uniwersytecie jakimś wyróżniającem się wypracowaniem wierszem lub prozą, a to wobec wygórowanych wymagań profesora nie należało bynajmniej do rzeczy łatwych. Ćwiczenia te, pisane przez uczniów w domu, najczęściej na dowolny temat, brał Borowski do siebie, odczytywał je, poprawiał, i dopiero w sobotę, którą przeznaczył raz na zawsze na odczytywanie extemporalistów, również co sobotę składanych na katedrze, roztrząsał je publicznie wobec całego audytorjum. Nie był to obowiązek konieczny, powiada Odyniec, lecz otwarta dla wszystkich droga, ażeby mogli w ten sposób względem prac swoich zdania profesora zasięgnąć i o niem się nawzajem dowiedzieć. Coprawda, to poddanie się tej próbie było dość ryzykowne, zważywszy, że Borowski, jako publiczny krytyk z obowiązku, wcale się nie odznaczał łagodną pobłażliwością; przeciwnie, słynął z tego że choć sprawiedliwy, był nazbyt

surowy niekiedy, a co gorsza, nie szczędził dowcipu i ironii, przez co nieraz ogólny śmiech budził w słuchaczach. Na szczęście, nie wymieniał nigdy nazwiska autora, gdy mu czyjaś pracę ujemnie krytykować wypadło. «Nie wymieniał go nawet nigdy przy zwyczajnem roztrząsaniu ćwiczeń, chyba że które z nich w oczach jego zasługiwało na tak wysoką pochwałę, że jako największy jej dowód, po odczytaniu go w całości publicznie, głośno w końcu i podpis autora przeczytał. Ale zaszczyt to był tak rzadki, iż stanowił epokę w kursie i tradycją z roku na rok w pamięci uczniów przechodził».

Takim był Borowski, jako profesor «wymowy i poezyi» w Uniwersytecie Wileńskim, i jako taki, odznaczając się niepospolitem uzdolnieniem pedagogicznym, położył olbrzymie zasługi.

Urodzony 1784 roku na Pińszczyźnie, pierwsze wychowanie odebrał w domu swej matki chrzestnej, wojewodziny Zofii z Tyzenhauzów Chomińskiej. Jej zawdzięczał, że pierwsze nauki pobierał w szkole wydziałowej w Postawach (w województwie wileńskim). Niestety, bardzo wczesnie stracił swą opiekunkę, tak, iż dalej musiał iść o własnych siłach. W roku 1801, za rektoratu Hieronima Strojnowskiego przybył do Wilna, gdzie się nim zaopiekował były rektor Szkoły Głównej litewskiej, Marcin Poczobut, umieszczając go w kancelaryi ówczesnego zarządu akademickiego «z tem zastrzeżeniem, żeby nie będąc zbyt obciążony pracą mechanicznego przepisywania papierów, miał czas do słuchania wykładów». W takich warunkach zapisał się na wydział nauk moralnych, a już we dwa lata potem w r. 1803, w chwili właśnie, gdy dawna Szkoła Główna, została przeobrażona w Uniwersytet, został kandydatem filozofii, w dalszym ciągu piastując swój dotychczasowy urząd w administracyi uniwersyteckiej. W roku 1805 otrzymał posadę buchaltera, a w następnym wydał swój przekład komedyi Molière'a p. n. *Skępski*. W roku 1807, w którym także zwrócił na siebie uwagę dedykacją nowego wydania *Uwag księdza Baki o śmierci niechybnej*, otrzymał posadę nauczyciela «wymowy i poezyi» w gimnazjum świslockiem. Tu przebył lat cztery. W roku 1811 przeniesiono go do gimnazjum wileńskiego, gdzie tenże przedmiot wykładał w ciągu lat trzech. W roku szkolnym 1814—15, gdy wykładający na Uniwersytecie Euzebiusz Słowacki musiał z powodu ciężkiej choroby prze-

rwac swój kurs, powołano Borowskiego, żeby go zastąpił tymczasowo. Po śmierci Euz. Słowackiego, zmarłego w październiku 1814 r. Borowski utrzymał się na katedrze wymowy i poezji, t. j. historii literatury powszechnej i ojczystej, na to jednak, ażeby uzyskać profesurę, musiał się starać o otrzymanie wyższych stopni akademickich. Nie zaniedbawszy tego, już w r. 1816 złożył egzamin na magistra filozofii, w r. 1818 został adjunktem, aż wreszcie d. 21 stycznia 1821 r. za rozprawę p. t. *Uwagi nad poezją i wymową pod względem ich podobieństwa i różnicy*, został profesorem publicznym nadzwyczajnym. We dwa lata później znowu otrzymał nominację na profesora zwyczajnego, na którym to stanowisku wytrwał aż do roku 1832, t. j. aż do zniesienia Uniwersytetu wileńskiego. Na krótko przedtem został cenzorem dzieł treści literackiej¹⁾. Na tem stanowisku, «najbardziej był udęczany przez te elukubracje wiejskich dyletantów, które mu ze wszech stron nadsyłano». Rad też (powiada Odyniec) wecował na nich swój *szubrawski* dowcip, pisując o nich często do *Wiadomości brukowych*, których, jako członek słynnego *Towarzystwa szubrawców*, czynnym był współpracownikiem. Obok bowiem surowej powagi krytyka i profesora, posiadał on rzeczywiście niepospolity sarkastyczny humor... W roku 1833, kiedy w Wilnie założono Akademię duchowną, otrzymał posadę profesora homiletyki teoretycznej i praktycznej, przyczem jednocześnie wykładał historię literatury polskiej. W roku 1842 otrzymał uwolnienie od służby. Umarł 4-go kwietnia 1846 r. w Wilnie, otoczony czcią powszechną, jako człowiek nieposzlakowanej czystości charakteru, jako sędziwy emeryt, w którym młodsza generacja widziała i czciła swego dawnego profesora języka i literatury ojczystej, i jako zasłużony pisarz i krytyk literacki, którego prace, bądź oryginalne, bądź tłómaczone, cieszyły się rzetelnem uznaniem całego społeczeństwa.

Jakież to były te prace? Mówiąc o nich, przedewszystkiem należy wymienić jego cenne *Uwagi nad poezją i wymową pod względem ich podobieństwa i różnicy*, o których można powiedzieć, że autor złożył w nich «swych myśli przedę

¹⁾ Ówczesna cenzura wileńska należała i zależała wprost od Uniwersytetu. Cenzorami byli profesorowie, wybierani przez Radę, każdy dla dzieł w jego przedmiocie.

i swych uczuć kwiaty». Rozprawa ta, którą można i trzeba przeciwstawić słynnej rozprawie Brodzińskiego *O klasy czności i romantyczności*, wydrukowanej na dwa lata przed pracą Borowskiego, jest jego literackim *credo* odnośnie do wszelkich zasadniczych kwestyi w rzeczach «wymowy i poezyi». Jest to krótki rys historii literatury powszechnej, począwszy od literatur starożytnych, hebrajskiej, greckiej i rzymskiej, a skończywszy na piśmiennictwach nowoczesnych europejskich, nie wyłączając polskiego. Zdaniem Borowskiego «w świątyni smaku niema ślepego bałwochwalstwa i przesądów». Smak bowiem, równie jak moralność, opiera się na jednogłośnej zgodzie ludzi. «Pomimo nieznacznych różnic, które z obyczajów i sposobu życia wynikają, pomimo rozmaitego stopnia tej lub owej zalety, *stosownie do klimatu, nałogów i rządów narodowych*, powszechne wyobrażenie poezyi dla wszystkich wieków i ludów jest jedno». Każdego, komu jest znaną późniejsza teoria H. Taine'a, muszą uderzyć te słowa; głośny autor *Filozofii sztuki* mógłby się podpisać pod niemi. Bardzo być może, iż podpisałby się i pod tem również, co Borowski mówił o literaturze francuskiej. Według niego, Francya nie wydała wcale prawdziwego poety. «Tu utworzyło się to osobliwe mniemanie, że poezya jest piękna, jak proza; tu Akademia z niewątpliwą powagą prawodawców opisała wyrazy szlachetne, nieszlachetne i gminne; wskazała, co przystoi wyższym klasom w towarzystwie, co się godzi poetom i mówcom w dziełach dowcipu, podciągnęła pod nieodmienne przepisy ruch mowy, szyk i następstwo wyrazów, każdy spójnik, każde przejście; nie zostawiła talentowi pisarza, jego woli i śmiałości. Zbyt geometryczny porządek myśli i wyobrażeń uwięził swobodne skrzydła imaginacyi, ograniczył bystrość natchnienia i zniósł panowanie myśli nad mową.... Tym sposobem poezya i proza ujrzały wytknięty sobie podobny zawód. Obie w postępie swoim zarówno stały się jasne, obie poprawne, obie pełne smaku; lecz poezya utraciła właściwe sobie prawa, mianowicie prawowładania mową, podług potrzeby i woli; czego ona tem szczęśliwiej używa, im wyższe i niezwykajniejsze są krainy, w które się imaginacya i czułość podnosi». Co się tyczy literatury polskiej, to, zdaniem Borowskiego, jest ona nieodrodnem dziećciem swego narodu, a «Polacy odznaczają się wszystkimi możliwemi zdolnościami, ale brak im wytrwałości w pracy i kształ-

ceniu się». Ta okoliczność sprawiła, że poezya nasza, choć bogata, na nazwę *narodowej* — do roku 1821 włącznie — nie zasługuje, jakkolwiek ją Brodziński i inni krytycy uznawali za taką. Według Borowskiego «za rządu ostatnich Jagiellonów i pod panowaniem Stanisława Poniatowskiego dał się uczuć smak zdrowszy w narodzie, lubo go sumiennie *narodowym* nazwać nie można. W pierwszej, jak w drugiej epoce, pomimo niezwykłej czujności umysłów wszystkimi sposobami ożywianej, pomimo upowszechnionych zbiorów starożytnych, talent rzetelnie twórczyw poezyi i wymowie nie doścignął wysokości, na jakiej w innych stanął narodach. W pierwszej i w drugiej epoce, ogólnie mówiąc, więcej widać przyrodzonych zdolności, niż umiejętnego ich kształcenia, więcej zamiaru, niż skutku, więcej naśladowania, niż dzieł własnych. Polor narodu, przez nieszczęśliwe jego położenie, bezrząd domowy, niepokoje zewnętrzne, oświecenie zaniedbane, długo spóźniony, po swoim zabyśnieniu rychło temiż przygodami zatarty, naostatek od kilku dziesiątków lat naglony skwapliwie, ledwie nam dotąd drugich tylko naśladować pozwolił». Bezstronność nakazuje przyznać, że w słowach tych Borowskiego, choć brzmią one nieco przykro dla polskiego czytelnika, rozmiłowanego w Kochanowskim, Górnickim, Skardze, Szymonowiczu i Krasickim, jest dużo prawdy.

Na szczęście, w chwili, gdy Borowski pisał ten surowy, choć uzasadniony wyrok dla poezyi ojczystej, Mickiewicz drukował już pierwszy tomik swoich poezyi, a te miały stanowić epokę w dziejach naszego piśmiennictwa. Borowski odrazu poznał się na ich piękności, o tem zaś, jak wysokiego mniemania był o swym genialnym uczniu, świadczy jego list do niego, pisany d. 7 listopada 1828 r. pod wrażeniem *Konrada Wallenroda i Sonetów*. «Sonety, które mi dawniej wdzięczny uczeń przysłał, są bardzo pięknym wiankiem jego poetyckiego czoła. Jaka natura uczuć, jaka świeżość kolorów, jak miły, mroczący nawet niekiedy zapach kwiatów, wschodnich raczej, niż południowych. O Wallenrodzie powiedziałbym ci, że nasza poezya nie ma nic podobnego w tym rodzaju; ale to małe zalety dla talentu twórczego, który musi być niepodobnym. Nie mówię o piękności języka poetyckiego i mowy polskiej, bo nasz język jest wybornym materyałem, a ty przedni majster. Możeby się życzyło

więcej równości, akcyi i harmonii między częściami, a mniej wyrzekań i przeskoków. Ale to smak wieku...»

Łatwo się domyśleć, czytając taki sąd o *Wallenrodzie*, że w gruncie rzeczy Borowski nieprzestał być klasykiem, że choć nie był ślepy na piękności romantycznej muzy Mickiewicza, to jednak wolałby, ażeby autor *Dziadów*, widocznie hołdujący «smakowi wieku», nie zrzekął się klasycyzmu. On w każdym razie, jakkolwiek odczuwał potęgę i czar «wyrzekań i przeskoków» Byrona (którego *Żale Tassa* i wyjątki z *Mazepy* przyswoił mowie ojczystej), przecież pozostał wierny klasycznej «harmonii między częściami». W tym duchu napisał swoją przedmowę do dzieł Euz. Słowackiego, w której wyraźnie daje poznać swe poglądy pseudo-klasyczne; w tym duchu skreślił swój rozbiór krytyczny komedyi Niemcewicza p. t. *Samolub*, w której wyraźnie staje po stronie zwolenników jedności miejsca i czasu; w tym duchu pisał swoje sarkastyczne artykuły do *Wiadomości brukowych*, gdzie sobie drwił z romantyczności i romantyków; w tym duchu napisał swój poważny artykuł *O wpływie obcych wzorów starożytnych i nowych na ukształcenie smaku*, w którym kosztem utworów nowoczesnych podnosi «boskim prawdziwie duchem obdarzone pisma starożytnych»; i w tym duchu też rozpoczął swoje niedokończone a cenne *Uwagi nad Monachomachią Krasickiego*, w których wyraźnie zaznacza swe stanowisko człowieka wieku oświeconego, nie tylko nie potępiając anti-duchowej tendencyi komentowanego utworu, ale owszem, z niekłamana lubością podkreślając trafność satyrycznych ustępów, gdzie mowa o «świątecznych próżniakach».

To samo da się powiedzieć o jego kursie literatury polskiej, którą wbrew Łukaszewiczowi i Bentkowskiemu dzielił na dwie epoki główne, przedchrześcijańską i chrześcijańską, przy czem, w ostatniej rozróżniał pięć okresów: pierwszy od roku 950 do połowy wieku XIV, jako chwili założenia Wszechnicy Krakowskiej; drugi do połowy XVI stulecia; trzeci do połowy XVIIgo; czwarty do połowy XVIII; piąty do czasów najnowszych, t. j. do roku 1838, na który przypadają te wykłady Borowskiego. Rzecz charakterystyczna, że w kursie tym (przechowanym w notatach, częściowo ogłoszonych przez Wójcickiego), więcej nierównie, aniżeli oryginalnymi płodami muzy polskiej, zajmował się przekładami, najobszerniej rozwodząc się o *Psalterzu Dawidowym* Kochanowskiego, *Dworzaninie* polskim

Górnickiego, *Jerozolimie wyzwolonej* Piotra Kochanowskiego; przekłady bowiem, według jego najgłębszego przekonania, stanowią najważniejszą część literatury wieku złotego.

Z prac literackich Borowskiego, które umieszał w czasopiśmie naukowych wileńskich i warszawskich, wyróżnia się jego artykuł historyczno-polemiczny *O Filipie Kallimachu Buonacorsim*, napisany z niezwykłym zacięciem, a nawet okraszony sporą szczyptą humoru, mnóstwem wyrażen śmiałych i dosadnych, po przez które doskonale widzi się siwobrodą postać tego «bezczelnego Włocha pędziwiatra».

Nadto pozostawił kilka większych prac w rękopisie, przeważnie z zakresu literatury polskiej, oraz całkowity przekład *Don Kiszota*, nad którego spolszczeniem pracował długie lata. O tym przekładzie, który w końcu uległ zniszczeniu od pożaru, tak pisze A. E. Odyniec, który go przepisywał na czysto. «Samo to przepisywanie było już dla mnie niepospolitą nauką i szkołą; mogłem albowiem widzieć z brulionu, jak on surowo i ściśle sam siebie sądził i poprawiał, i jak przez te poprawki styl zyskiwał na jasności i wdzięku. Wprawdzie mógłbym tu dodać, że ta nazbyt pedancka chęć doskonałości nie zawsze pożądana wydawała skutek, tak, że nieraz mnie nawet przepisującemu poprawka zdawała się być gorszą od tego, co było pierwiej, i zdarzało się niekiedy, że gdy ośmieliłem się zwrócić na to uwagę autora, on sam uprzedni wyraz albo wyrażenie przywrócił».

Tym pedantyzmem odznaczały się wszystkie przekłady Borowskiego, które, choć wierne i oszlifowane pod względem stylistycznym, nie posiadają siły i plastyki. Są to tłómaczenia sumienne i pracowite, ale pozbawione poetyckiego polotu, czy to będzie przekład *Kobiet filozofek* Molière'a, czy *Allegro i Penseroso* Milтона.

Podobnie ma się rzecz i z wierszami oryginalnymi Borowskiego, z których okazuje się, że autor ich, choć pisać umiał, choć wiedział, jak pisać trzeba, i miał sporo poczucia piękna, to jednak sam, pomimo najszczerzych chęci i wysiłków w tym kierunku, ani poetą ani umysłem twórczym nie był. Zarówno jego «śpiewek oryginalny» o *Leszku i Goworku*, który jest poprawnym naśladowaniem *Śpiewów historycznych* Niemcewicza, bez ich poezji i wdzięku, jak i *Oda* z powodu jubileuszu Uniwersytetu wileńskiego, choć pisane wierszem

gładkim i bez zarzutu, przecież poezją nie są, co i o jego wierszowanym prologu i epilogu do komedyi Niemcewicza *Jan Kochanowski* powiedzieć można i trzeba. Względnie najlepszymi są jego wiersze żartobliwe, jowialne i satyryczne, które pomieszczał w *Wiadomościach brukowych*.

«Wogóle — jak trafnie o nim powiada Piotr Chmielowski — nie należy Borowski bezwątpienia do tych wielkich talentów, któreby wystąpieniem swoim na widowni ducha tworzyły choćby mały okresik w jego dziejach; policzyć go wszakże w każdym razie wypadnie do tych cichych i powolnie działających sił, co w szczupłym obracając się zakresie, nie gwałtownymi lecz stopniowymi rzutami sprawiają w umysłach i sercach najbliższego otoczenia pewne dobroczynne zmiany, ujawniające się następnie w życiu i postępowaniu, zwłaszcza w życiu i postępowaniu młodszej generacji».

IV.

Z DZIEJÓW WARSZAWY.

Do najbardziej interesujących obrazów na warszawskiej *Wystawie retrospektywnej*¹⁾ należały bezwarunkowo te, które przedstawiały różne widoki Warszawy z przed roku 1830, a więc *Dawne Krakowskie Przedmieście* Misserowicza, *Kawiarnia z roku 1830 zwana Honoratką* Pęczarskiego, *Widok Zamku* lub *Plac Zygmunta* Marcina Zaleskiego i inne tym podobne. Widzi się na nich staroświeckie domy z oknami o małych kwadratowych szybach, naftowe latarnie zwisające z drewnianych słupów, niebrukowane lub zwykłymi kamieniami brukowane ulice, ogromne landary, zielone studnie, mężczyzn w brązowych surdutach, w czarnych halsztukach, w cylindrach z ogromnemi rondami, lub w rogatywkach, kobiety w szerokich sukniach, w kolorowych szalach, w dziwacznych kapeluszach, żydów z pejsami, w hałatach i sobolowych czapkach, a wśród tego różnobarwnego tłumu nie brak i zamasztych postaci typowych *polonusów* w kontuszach i przy karabeli... Tam znowu widać przeciągające z muzyką wojsko narodowe, przypatrując się zaś *Rewii na Saskim placu* Michała Chyłeńskiego, między postaciami konnych jenerałów, otaczających siedzącego na białym rumaku Wielkiego Księcia Konstantego, z łatwością poznaje się niejednego bohatera epepei Napoleońskiej.

Co się tyczy atmosfery, panującej podówczas w Warszawie, jak w ogóle w całym Królestwie, to wyróżniała się ona pod wieloma względami bardzo dodatnio. W powietrzu nie przebrzmiały jeszcze echa wspaniałej koronacyi Cesarza Miko-

¹⁾ Z roku 1898.

łaja na Króla Polskiego; w Zamku, w tej samej sali, która pamiętała sejm czteroletni, toczyły się obrady wolno obieranego Sejmu konstytucyjnego; wszędzie wrzało życie gorączkowe, samoistne, wzrastał dobrobyt mieszkańców, powstawało mnóstwo instytucyi, szerzyła się oświata. Książę Lubecki, niepopolity minister finansów, otoczony gronem zdolnej młodzieży, «wywoływał ruch, dający silne poczucie bytu państwowego», wskutek czego mówiono o nim, że «umiał oddziaływać nietylko na sprawy, ale i na wyobraźnię»; dzięki założonemu niedawno *Towarzystwu kredytowemu* i *Bankowi Polskiemu*, rozwijał się przemysł, rolnictwo i handel; Henryk Łubiński, Ludwik Jelski, Michałowski, Tyzenhaus, Leon Sapieha i wielu innych, pracowali po biurach i fabrykach; Wolicki jeździł do Anglii, a Małachowski (późniejszy przyjaciel Zyg. Krasieńskiego) dotarł aż do Indyj, by rozpoznawać nowe drogi handlowe; ponad tem wszystkim zaś, niby świątynia Pallady nad ruchliwym życiem Aten, królowało poważne i światłe *Towarzystwo Przyjaciół Nauk*, rodzaj *Académie Polonaise*, najsilniejsza ostoja ówczesnej literatury klasycznej. Życie towarzyskie, już przez to samo, że Warszawa była stolicą kraju, kwitło bujniej, niż kiedykolwiek. W karnawale panowało ożywienie, przypominające Paryż; dziarskie i eleganckie wojsko, dzięki swej galanteryi dla dam, podbijało serca Warszawianek, tak, iż prawie każdy oficer lub porucznik (zwłaszcza od ułanów) był mniejszym lub większym Don Juanem; a choć nie brakło i takich salonów, jak ten, który opisał Mickiewicz w trzeciej części *Dziadów*, salonów, gdzie obok »klasycznych nałogów« panowały »czczość i zgnilizna«, i dość jawna rozpusta, ujawniająca się w częstych nadzwyczaj, ba, poprostu modnych rozwodach, to większość jednak, i to większość znaczna, śmiało mogła uchodzić — i uchodziła — za centrum i tabernaculum polskości, za ogniska inteligencyi, towarzyskiej ogłady i wykwiutności. Nawet Wielki Książę Konstanty, choć sarkano na niego, »miewał chwile, gdzie zdawało się, że jest rozkochany w czystej, eleganckiej i pięknej Warszawie, którą nieustannie upiększał i stroił«.

Jako ognisko ruchu umysłowego, zajmowała óczesna Warszawa także pierwsze miejsce w całej Polsce. Wspaniałe słońce Wilna już się chyliło ku zachodowi; po innych miastach zaś, w Krakowie, we Lwowie lub Poznaniu, panowały jeszcze szare i spokojne półmroki literackiego świtu; słońce miało

wzejść, ale później dopiero. Tymczasem wszystko się koncentrowało nad Wisłą, w stolicy Królestwa Polskiego. Tutaj mieszkali najwybitniejsi pracownicy pióra, tutaj wychodziło najwięcej czasopism, tutaj się najczęściej interesowano sprawami literackimi. Zażarta walka klasyków z romantykami, wrząca od kilku lat — od pojawienia się *Ballad i romansów* Mickiewicza — po wszystkich dziennikach i miesięcznikach, dostarczała bardzo wdzięcznego tematu do t. zw. »inteligentnych rozmów«; po salonach (między którymi prym trzymał salon panny Kickej), kawiarniach, redakcyach czasopism, nie wyłączając teatru, spierano się o Mickiewicza lub Koźmiana, stawano w obrobie *Dziadów* lub kruszono kopje w sprawie Kornela i Rasya. Jedni, z Dmochowskim i Ludwikiem Osieńskim na czele, wierzyli w nieomylność i zbawienność poetyki Boileau'a; drudzy, a mianowicie młode pokolenie, wierzyli w Lessinga i Szlegla. Stanowisko pośrednie, *le juste milieu*, zajmowali jen. Morawski i Każ. Brodziński: pierwszy, bardziej skłaniający się ku klasykom, z którymi żył w przyjaźni; drugi, bardziej skłaniający się ku romantykom, którzy go w stosunku do Mickiewicza uważali za swego Jana Chrzciciela. Za trzeciego *in diebem Bunde* uchodził stary J. U. Niemcewicz, który, wyższy ponad stronnictwa literackie, żył w zgodzie ze wszystkimi: poważał klasyków, lecz miał uznanie i dla romantyków.

Rzecz prosta, że w takim stanie rzeczy, i prasa, będąca wyrazem opinii ludzi piszących, dzieliła się na dwa obozy. Swoją drogą przeważał romantyzm, o tyle przynajmniej, że pism, przychylnych romantyzmowi, było więcej. Do kategorii tej należały: *Gazeta Polska*, której stałym współpracownikiem i filarem był »ojciec krytyki polskiej« Maurycy Mochnacki, sławny dzięki swym artykułom o *Maryi* Ant. Malczewskiego i *Literaturze XIX wieku*, w tejsze *Gazecie Polskiej* drukowanym; dalej *Kuryer Polski* (organ opozycji sejmowej), liczący kilka tysięcy prenumeratorów, a wydawany przez Ksawerego Bronikowskiego; i wreszcie redagowany przez Ordynca *Dziennik Warszawski*, bardzo popularny między młodymi z powodu głośnych wystąpień w nim Maurycego Mochnackiego przeciwko Janowi Sniadeckiemu. Nadto wychodził w tym czasie pod redakcją młodzieutkiego Konstantego Gaszyńskiego *Pamiętnik dla płci pięknej*, będący, jako organ »najmłodszych«, pismem *par excellence* literackim i artystycznym. Istniejąca

do dziś dnia *Gazeta Warszawska* miała już wtedy swoją powagę. Najpoczytniejszem pismem, które się rzekło klasycyzmu, był redagowany przez Fr. S. Dmochowskiego, dzierżącego berło ówczesnego cechu »krytyków i recenzentów warszawskich«, *Dziennik Korespondenta Warszawskiego i zagranicznego*. Drugą ostoją klasycyzmu był *Pamiętnik Lacha Szyrmy*, cel złośliwych pocisków ze strony Maur. Mochnackiego. Pismem brukowem, nie wtrącającem się do walki klasyków z romantykami, był wydawany i redagowany przez Brunona hr. Kicińskiego *Kurjer Warszawski*, powszechnie zwany »Kurjerkiem«.

Kiedy się mówi o prasie ówczesnej, trudno nie wspomnieć o ówczesnej cenzurze. Głównym przedstawicielem jej, znanym w całej Warszawie, był Szaniawski, mający, obok wielu złych, jedną dobrą stronę w oczach ówczesnej *młodej Polski*, mianowicie tę, że romantyków poczytywał za rodzaj donkiszotów literackich, za rodzaj błędnych rycerzy feodalizmu, wskutek czego, jak zapewnia Mochnacki, łaskawszym był dla nich, jako cenzor, aniżeli dla klasyków. Nie przypuszczał bowiem, ażeby romantycy mogli być — w zakresie dziennikarstwa — sektą polityczną, stokroć niebezpieczniejszą, aniżeli racjonalny patryotyzm *białych* klasyków.

Nie wszędzie jednak, na szczęście, sięgała władza Szaniawskiego. Do takich miejsc uprzywilejowanych należały między innymi i kawiarnie, odgrywające w ówczesnym życiu literackim Warszawy podobną rolę, jak n. p. kawiarnie londyńskie w życiu politycznem Anglii za Jakóba II. Kawiarnie te, w których schodzono się o pewnych godzinach na *kawę literacką*, zastępowały brak t. zw. salonów literackich, których ówczesna Warszawa jeszcze nie знаła prawie. Wiedzano wprawdzie, że hrabia Wincenty Krasiński, na wyprawianych przez siebie, a głośnych w stolicy obiadach »czwartkowych« podejmował grono poetów i literatów, ale to był salon literacki dostępny wyłącznie dla klasyków, gdyż sam generał-gospodarz, (choć napisał rozprawkę o poezyi trubadurów prowansalskich), był zagorzałym klasykiem z przekonania. Stary Koźmian, (któremu przydomek *Starego* tak przysługiwał zawsze, Jak Zygmuntowi I), »drewniany« Osiński, generał Morawski, Fr. S. Dmochowski, Dominik Magnuszewski, Franciszek Wężyk i, przedmiot niesmacznych żartów w czasie tych lukullusowo-olimpijskich *sympozyonów*, Jaxa Marcinkowski, przyszyły bohater do-

wcipnej *Jazidy* Kont. Gaszyńskiego, który obok A. E. Odyńca był jedynym reprezentantem *młodych* na tych zebraniach *starych*: oto poczet szczęśliwych a nielicznych ulubieńców Apollina, mających zaszczyt bywać w pałacu na Krakowskiem Przedmieściu. Reszta piszących, nie wyłączając najwybitniejszych, jeśli się chcieli schodzić także na Krakowskiem Przedmieściu, musieli naznaczać sobie *rendez-vous* w kawiarni Brzezickiej, obok poczty (na rogu Koziej). Była to ze wszystkich kawiarni w Warszawie najpopularniejsza (jak dzisiaj Lourse w Hotelu Europejskim); towarzystwo zaś, które się tu o pewnych godzinach schodziło dla pogawędki i przeczytania dzienników (pani Brzezicka prenumerowała wszystkie pisma), mogło przedstawiać większy urok dla niejednego, aniżeli słynne «obiady czwartkowe» u niepopularnego generała Wincentego. Stałymi gośćmi, bywającymi «u Brzezickiej» byli: Ludwik Nabelak, przyszedłszy Belwederczyk, a do tej pory tłumacz *Króldworskiego rękopisu* oraz *Pieśni o wyprawie pułku Igora*; Ignacy Dobrzyński, znany muzyk, niebezpieczny współzawodnik Kurpińskiego; Dominik Magnuszewski, autor popularnego podówcza *Starego kawalera*; Konstanty Gaszyński, młodziutki wydawca *Pamiętnika dla cści pięknej*, w którym uczęszczający na uniwersytet 17-to letni Zygmunt Krasieński stawiał bezimiennie swe pierwsze kroki na piśmienniczej niwie; Michał Podczaszyński, ten sam, który niegdyś w Wilnie, skąd był rodem, małego Słowackiego na rękę nosił; i wreszcie «warszawscy dwaj muzycy»: Maurycy Mochnacki i Fryderyk Chopin, którzy przychodzili do Brzezickiej, ażeby tu z Ignacym Dobrzyńskim pogawędzić o muzyce narodowej.

Oprócz kawiarni Brzezickiej cieszyła się względami cyganeryi warszawskiej t. zw. «Dziurka» w pałacu Teppera przy ulicy Miodowej (obecnie dom Grabowskich). Kto się chciał zobaczyć z Bronikowskim, Mochnackim, Nabelakiem, Bohdanem Zaleskim, Zienkowiczem, Sew. Goszczyńskim, Maur. Gosławskim, Ferd. Chotomskim lub Ant. Góreckim, mógł ich prawie zawsze o pewnych godzinach spotkać «w Dziurce» (z powyższego wynika, że Nabelak i Mochnacki musieli sporo czasu poświęcać na przesiadywanie w kawiarniach, skoro należeli do stałych gości zarówno pani Brzezickiej jak i «w Dziurce»). Była to kawiarnia *młodych*, gdzie hołowano romantyzmowi, gdzie sobie żartowano z klasyków, gdzie Ferd. Chotomski czy-

tywał na głos, *coram populo*, wyjątki ze swej arcydowcipnej *Eneidy trawestowanej* (a trawestowanej na przekór klasykom, dla których *Eneida* była ideałem poezyi), gdzie toczyły się rozmowy o Goethem i Schillerze, Byronie i Walter Scottcie, słowem, o literaturze romantycznej, czyli niemieckiej i angielskiej, a gdzie literatura francuska, o ile przez nią rozumiano konwencyonalny klasycyzm ze szkoły Boileau'a, najczęściej stawała się przedmiotem dowcipnych conceptów i żartów.

Wprost przeciwnie działo się *Pod Kopciuszkiem*, w najdawniejszej ze wszystkich kawiarni w Warszawie, gdzie wodzirejem był Ludwik Osieński. Tutaj komponowano dowcipy na temat romantyków. Ponieważ do stałych gości *Kopciuszka* należał między wieloma innymi i Alojzy Żółkowski, redaktor słynnego *Momusa* i pierwszy komik komedyi, słusznie uchodzący za Nestora facecyonistów warszawskich, więc dowcipy mogły — i musiały — być zabójcze dla tych, co się schodzili w *Dziurce*. Szczęściem dla ostatnich, kompania, zbierająca się *Pod Kopciuszkiem*, więcej, aniżeli o literaturze i poezyi, rozprawiała o teatrze. Albowiem była to kawiarnia *teatralna* w całym znaczeniu tego wyrazu (jak dzisiejsza cukiernia Semadeniego «pod filarami» Teatru Wielkiego): raz dlatego, że znajdowała się w pobliżu gmachu *Teatru Narodowego*, a powtóre, że w niej dawali sobie *rendez vous* przeważnie ludzie ze sfer teatralnych. Ludwik Osieński bywał tu, nie w roli poety i profesora, lecz w roli dyrektora *Teatru Narodowego*, oraz tłómacza tragedyi «wielkiego Kornela». Kazimierz Brodziński zachodził *Pod Kopciuszka* jako tłómacz niejednego libretta do opery wystawionej przez Kurpińskiego. Ten ostatni, jako główny dyrektor opery, cieszył się *Pod Kopciuszkiem* wielką powagą, co można do pewnego stopnia powiedzieć także i o autorze *Władysława Łokietka*, a mistrzu Fr. Chopina, Józefie Elsnerze, tudzież o niektórych wybitniejszych aktorach *Teatru Narodowego*, jak Kudlicz, Zdanowicz, Nowakowski¹⁾.

Nadmienić wypada, skoro się już wspomniało o teatrze, że teatr w ówczesnem życiu Warszawy (podobnie, jak i dzisiaj), grał rolę pierwszorzędą: do teatru, który się wtedy znajdował przy placu Krasieńskich (dzisiejszy gmach Teatru

¹⁾ Zob. *Bibl. Warsz.* 1873, I, 1—238, *Kawa literacka w Warszawie*, (1829—1830) przez K. Wł. Wójcickiego.

Wielkiego budował się właśnie «na Marywilu»), chodziła cała Warszawa, wszystkie sfery. Mnóstwo się na to składało okoliczności, a przede wszystkim ta, że w dziejach sceny warszawskiej epoka pomiędzy rokiem 1829 a 1830 należała do najświetniejszych pod każdym względem. By zrozumieć, że chodząc do ówczesnego teatru w Warszawie, miało się możność doznawania rzetelnej rokoszy artystycznej (gdy chodzi o grę artystów), dość wymienić takie nazwiska aktorów, jak wspomniany już Alojzy Żółkowski (ojciec tego Żółkowskiego, którego genialną grę podziwialiśmy wszyscy), Kudlicz, Panczykowski, Zdanowicz, Nowakowski, Werowski (Królikowski tamtej epoki), Ledóchowska (ówczesna Modrzejewska) i w. in. Repertuar także odznaczał się wielkiem urozmaicheniem. Bo czego tam nie grywano w tym teatrze na placu Krasieńskich! Jak się domyśleć nie trudno, musiano w przybytku sztuki dramatycznej, którego dyrektorem był Osiński, często raczyć publiczność Kornelem i Rasynem. Jakoż było tak w istocie, i Warszawa miała aż nadto sposobności przysłuchiwania się gładkim aleksandrynom *Atalii*, *Horacyuszów*, *Cynny*, *Andromaki*, *Fedry* etc. Niestety, a ku najwyższemu oburzeniu całego obozu klasyków, publiczność, wraz z młodem pokoleniem, coraz bardziej zrzucała się klasycyzmu, czego smutnym a wielce wymownym dowodem bywała widownia warszawskiej świątyni Melpomeny, najczęściej świecąca pustkami, ile razy figurowali na afiszu: Kornel, Rasin lub Wolter. Okoliczność ta, o ile do rozpacz mogła doprowadzać dyrektora i jego przyjaciół z «obozu klasyków», o tyle była wielce pożądaną wodą na młyn romantyków z *Deiurki*, którzy raz po raz odnosili szumne zwycięstwa nad swymi przeciwnikami. Nawet w teatrze! Albowiem nie było rady: na «romantycznych *Makbetów*» (w przeróbce Ducisa), na *Hamleta*, na Szyllerowską *Intrygę i miłość*, na *Inez de Castro* — jeżeli chodziło już o tragedye — publiczność, o zgrozo! ucześniejsza chętniej, aniżeli na pudrowane tyraady tłómaczonych przez Osińskiego arcydzieł teatru francuskiego. *O tempora!*... Swoją drogą najchętniej chadzano na komedye: na Molierowskiego *Mizantropa*, *Świętoszka* i *Skapca*, świetnie granych przez Kudlicza, i na takie komedye swojskie, jak Fredrowski *Pan Geldhab* z nieporównanym Żółkowskim w roli tytułowej, jak *Cudzoziemczynna*, *Damy i huzary*. Nie gorzej bawiono się na *Karykaturach* Goldoniego, w których, w roli Fabrycego, celował

znowu Nowakowski, tak dalece, że go «niemal powszechnie uważano, jako godnego następcę jednego z największych artystów sceny polskiej, Alojzego Żółkowskiego». Sztuki tego rodzaju, do których jeszcze dodać należy *Skołę starców* Kazimierza Delavigne'a, «przeważały w *pieniężnym wpływie* wszelkie wystawy *Atalii*, *Horacyuszów* lub *Cynny*, a *nawet* romantycznych *Makbetów*. Z tego *nawet* mogli się cieszyć romantycy!... Mimo to, *nawet* i oni musieli przyznać, że największem powodzeniem kasowem cieszyły się sztuki, z prawdziwą *sztuką* mające niewiele wspólnego. Gdy na afiszach figurowały wodewile tego rodzaju jak *Trzydzieści lat czyli Życie szulera*, *Szkoda wąsów*, *Kontusz i żupan* lub wielce niewykwintny *Chłop milionowy*, (grany kilkadziesiąt razy przy zapełnionej widowni, mogącej pomieścić przeszło 1100 osób) w kasie brakło biletów. Gust publiczności, nie zbyt wybredny widocznie, wołał farsy, aniżeli poważne komedye, nie mówiąc już o tragediach. Że tak było istotnie, dowodziły podobne przedstawienia, jak występy «uczonego psa Fido» lub «małpy Żoko», wywołujące w teatrze *narodowym* «dziwne publiczności rozczulenie».

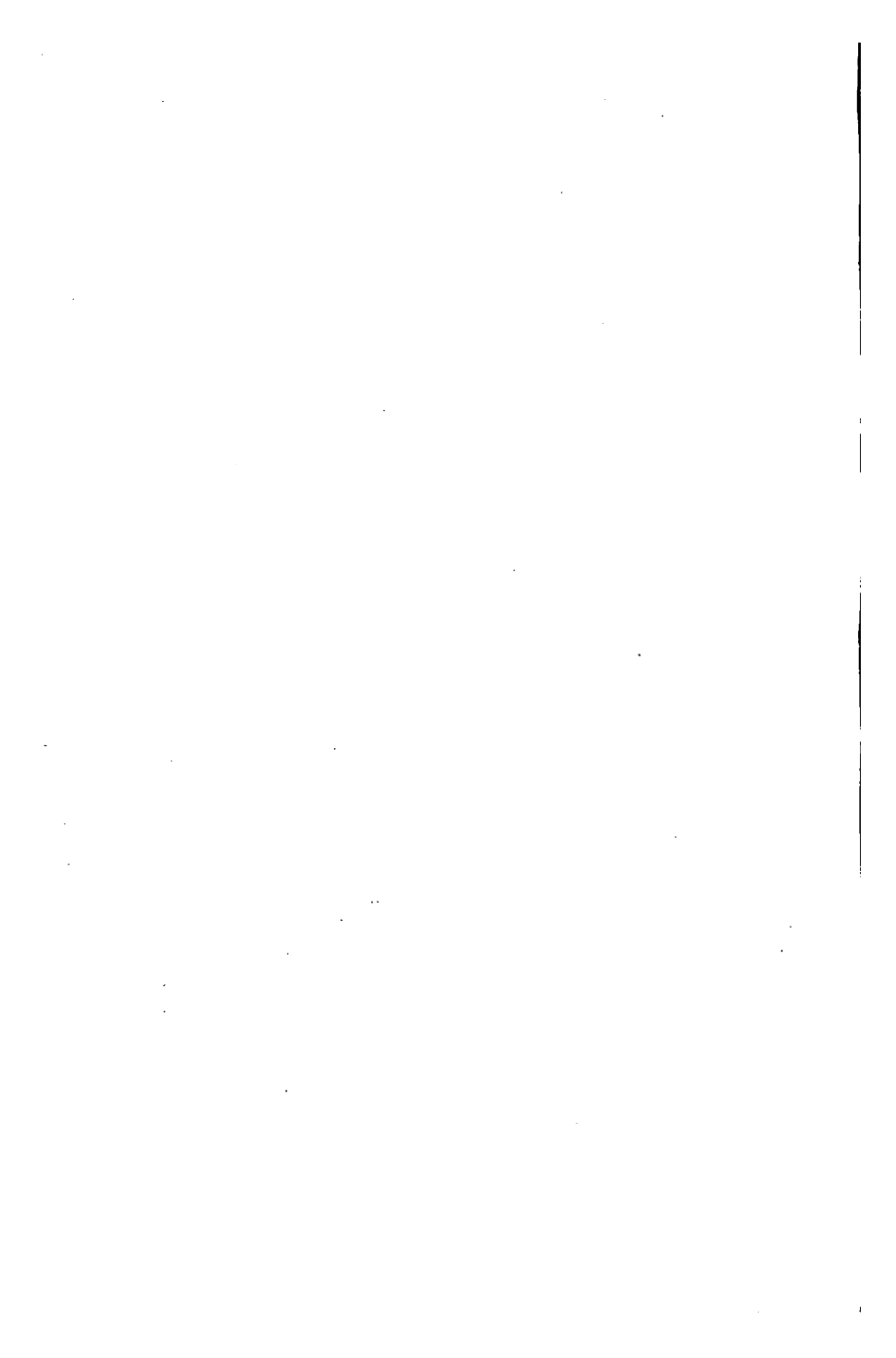
Tem się tłumaczy, że założony świeżo *Teatr Rozmaitości*, w którym grywano wyłącznie farsy lub operetki, zaczął w krótkim przeciągu czasu *Teatrowi Narodowemu* czynić poważną konkurencyę, (jak dzisiejszy teatr *Mały — Wielkiemu* i *Rozmaitościom*). Filisterska część ludności, lubiąca się w teatrze przede wszystkim śmiać, miała więcej sposobności po temu w *Teatrze Rozmaitości*, którego dyrektorem był Kudlicz, aniżeli w poważnej «świątyni» Osińskiego (o ile w niej nie dawała przedstawień trupa francuska, od dwóch lat bawiąca w Warszawie). Jeżeli chodzi o Osińskiego, to ten musiał nie bardzo cieszyć się z powodzenia *Rozmaitości*, zwłaszcza odkąd w nich zaczęto grywać parodye sztuk, mających powodzenie na placu Krasieńskich: kiedy, przedrwiwając grywane w Teatrze Narodowym *Trzydzieści lat czyli Życie szulera*, zaczęto dawać w Rozmaitościach *Piętnaście lat czyli Życie lokaja*; kiedy, w czasie przedstawień *Chłopca milionowego*, w Teatrze Rozmaitości dawano wybornego *Chłopca studukatowego* Słowackiego (nie Słowackiego, jak przypuszczali niektórzy).

Kwestya ta, o ile mogła drażnić Osińskiego, o tyle była obojętna Kurpińskiemu, jako dyrektorowi opery: na opery bowiem, choć były śpiewane nieszczególnie, uczęszczano chętnie.

W ciągu roku 1830 cieszyła się szczególnem powodzeniem *Cecylia Piaseczyńska* Kurpińskiego, która, wystawiona po raz pierwszy dnia 9 lutego, wywołała taki zachwyt, że, jak pisała *Gazeta Korespondenta Warszawskiego i Zagranicznego*, «śmiało możemy nazwać p. Kurpińskiego polskim Rossinim i winniśmy się chęcić z posiadania narodowego kompozytora o pięknej i nowej wyobraźni, jak podobnie czynią (t. j. chępią się) inne narody». Nie mniejszem powodzeniem cieszyły się i opery obce, z których najwięcej grywano Rossiniego, Mozarta i Webera: *Flet zaczarowany*, *Cyrulik Sewilski*, *Otello*, *Sroka-złodziej*, *Mularz i słusarz*, *Wolny strzelec*, etc. nie schodziły z afisza.

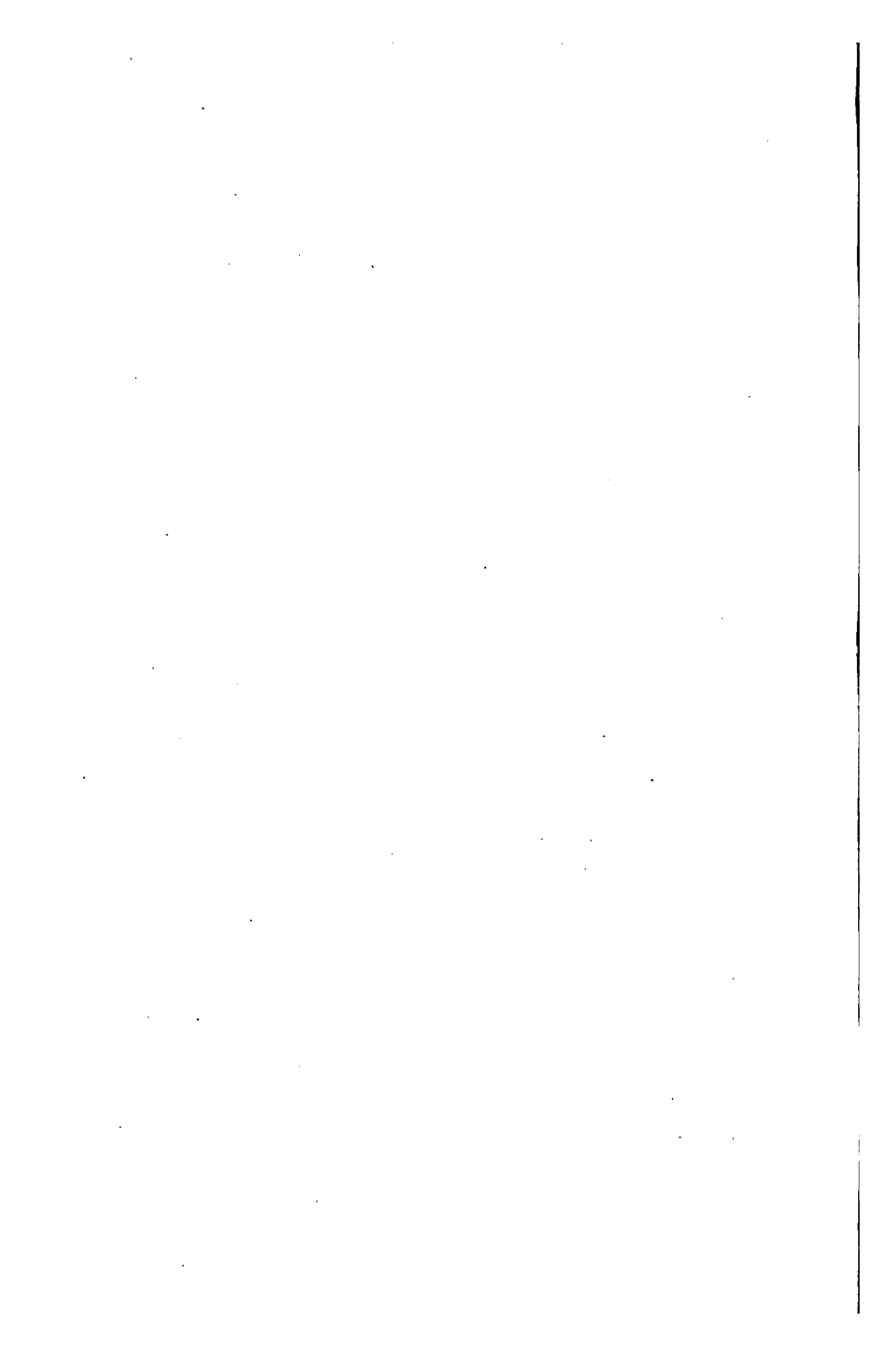
Publiczność chodziła na nie pilnie, bo Warszawa zawsze lubiła muzykę, nawet wówczas, gdy chodzenie do *Teatru Narodowego* — cokolwiek grano — tylko w połowie było przyjemnością. Oto, co w tej mierze pisze «jeden z uczestniczących» w Nrze 103 *Gazety Koresp. Warsz. i Zagr.* «Małe pytanie. Czyby w Teatrze Narodowym głównie oświecający kinkiet, czyli żerandol, nie mógł być więcej zabezpieczony od rozlewu znajdującego się w nim oleju, a przeto, czyby widzowie nie mogli być ochronionymi od poniesienia (od ponoszenia chyba?) uszczerbku na swej odzieży?» Tenże jegomość, we dwa dni później, w Nrze 105 tegoż pisma, zapytywał powtórnie: «Czyby olbrzymi żerandol, mieszczący w sobie więcej światła, niż nieraz scena, nie mógł być zabezpieczonym tak, jak to w zagranicznych teatrach bywa, siatką z drutu mosiężnego, aby uniknąć wielkiego nieszczęścia przez opadanie dosyć często pękniętego szkła na odkryte (a może i łyse?) głowy lub komu w oko?» a nadto «czyby nie można zapobiedz, aby lampy w ogóle nie kopcily i czysciej byly utrzymywane: szczegolnie w orkiestrze i kolo suflera — przez co rzadko kiedy mozna wyjsc z teatru, siedzac w krzeslach (rzeczywiscie «wyjsc z teatru, siedzac w krzeslach», moglo byc trudno) bez bolu glowy; same szkla w orkiestrze, zakopcione az do czarnosci, okazuja, jak opieszala jest usluga».





III

MICKIEWICZ — CHOPIN — SŁOWACKI



I.

ADAMA MICKIEWICZA „DZIECIŃSTWO SIELSKIE ANIELSKIE“

(1798—1815).

W okolicy górzystej i lesistej, w rozległej dolinie u stóp wyniosłej góry, uwieńczonej poszczerbionymi ruinami starożytnego zamczyska, w zieleni smukłych topoli, tu i owdzie wystrzelających po nad kominy i dachy szarych dworców z gankami, i pod mistyczną osłoną paru murowanych kościołów i klasztorów, leży niewielkie miasteczko dawnych książąt litewskich, Nowogródek, miasteczko, o którym powiada pięknie Domejko, że je na początku naszego stulecia otaczały «świeże tradycje hucznych i zaciętych sejmików, na których ścierały się z sobą partye Radziwiłłów, Niesiołowskich, Wołodkowiczów, Reytenów etc.; cudna przyroda okolic miasta i całego powiatu, może najpiękniejszych z ziem litewskich; rozkoszne doliny, zielone gaje po wzgórzach, miejscami kurhany i ślady szan-ców i okopów z czasów napadów tatarskich i późniejszych wojen; grunt żyzny; chłop zamożny; zaściankowa szlachta bu-tna i swobodna; szczera, wesola gościnność po obywatelskich domach; zjazdy, polowania, gwarne zapusty i kiermasze; pie-niactwo w sądach, a przy stołach *Kochajmy się*».

W miasteczku tem, będącem stolicą nowogródzkiego po-wiatu, stał dworek szlachecki, murowany, z gankiem i ogro-dzonym dziedzińcem od strony ulicy, dworek, który, jako najporządniejszy w całym mieście, już przez to samo, że mu-rowany i bielony, wyróżniał się wśród sąsiednich drewnianych. Była to t. zw. «kamienica Mickiewiczów».

W «kamienicy» tej, dnia 24 grudnia 1798 roku, w samą

wigilię Bożego Narodzenia, przyszedł na świat, z ojca Mikołaja i matki Barbary z Majewskich, Adam Bernard Mickiewicz, przyszły twórca *Pana Tadeusza* i *Dziadów*¹⁾.

I.

Ojciec był adwokatem nowogródzkim i komornikiem mińskim, a jako taki, cieszył się nie tylko sławą człowieka ucz-

¹⁾ Choć w ostatnich czasach wszyscy jego biografowie (nie wyłączając Chmielowskiego) piszą zgodnie, iż urodził się w Zaosiu (bo tak napisał Franciszek Mickiewicz w swym pamiętniku) to jednak niepodobna zgodzić się na to twierdzenie.

Oto co w kwestyi tej pisze Władysław Korotyński w Bibl. Warsz. 1870, III, 285.

«Natomiast jak kto może snuje legendy z wypadków jego skromnego żywota prywatnego, chociażby przyszło błędy na błędy ładować, byle przy tej sposobności pochwalić się znajomością ze znakomitym pisarzem. Jedni tedy każą się rodzić Mickiewiczowi aż w trzech miejscach: w Nowogródku, Osowcu, i Zaosiu; a kiedy dokumentami autentycznymi przekonano, że rodzice Adama w chwili jego urodzenia stale mieszkali w Nowogródku, wysyłają matkę do folwarczku Zaosia na święta Bożego Narodzenia, by tam odbyła połóg *dwudziestego czwartego grudnia 1798 r.* Zapomniano, że kobieta lada chwila spodziewająca się rozwiązania, nie mogła po grudzie lub błocie grudniowym, po najokropniejszej karczystej i kamienistej drodze stwołowickiej, jechać o mil siedem po szukanie uciechy. Gdyby się zaś dopuściła podobnej płochości, co rzecz zupełnie do prawdy nie podobna, jak to każda matka przyświadczy, pomysłmy, co by to była za srogość lub roztrzepanie, wśród okrutnych mrozów styczniowych 1799 r. wracać po owej piekielnej drodze od krewnych, z nowonarodzonym nieochrzczonym niemowlęciem, by 12 lutego odbyć chrzest Adama w Nowogródku, gdy o wiorst parę od Zaosia miano kościół parafialny w miasteczku Stwołowiczach. To jednak jeszcze najmniejsza, chociaż ubliżająca pamięci zacnej Mickiewiczowej, nieprzyzwoitość i. t. d. «Do tych argumentów Karotyńskiego dodać można jeszcze jeden, mianowicie, że byłoby więcej niż lekkomyślnością, nie tylko ze względu na dziecko, ale i na matkę, jechać siedem mil w trzaskający mróz po najgorszej drodze z Zaosia do Nowogródka, albowiem podróż taka odkrytą bryczką (boć Mickiewiczowie nie jeździli zakrytym powozem) dla kobiety, która przed kilkoma tygodniami odbyła połóg, byłaby szaleństwem. O mrozach panujących od grudnia roku 1798 do lutego 1799 podaje Wł. Korotyński dokładny wyciąg z obserwacji znanego Jezuity Bystrzyckiego. Okazuje się z nich, że był to czas wyjątkowych mrozów: 22 grudnia termometr wska-

ciwego i rozumnego, ale był znany w całej «okolicy» jeszcze i z tego, że pisywał wiersze «pełne starszszlacheckiej werwy», wzorowane na dawnych poetach epoki Zygmuntońskiej, zwłaszcza na Janie Kochanowskim. Po za tem był to człowiek dobry niezmiernie, cały oddany żonie i drobnym dziatkom, których do r. 1805 miał pięcioro — pięciu synów — a przytem wielki amator zwierząt, co go czyniło podobnym do starego Maćka Dobrzyńskiego: można być pewnym niemal, że autor *Pana Tadeusza* myślał o swoim ojcu, kiedy opisywał w księ-

zywał 18 $\frac{1}{2}$ stopnia *Reaumura*, 24 grudnia 20 $\frac{1}{2}$, 25-go — 23, 26-go — 15 $\frac{1}{2}$, 27-go — 17, 12 stycznia — 17 $\frac{1}{2}$, 13-go — 18 $\frac{1}{2}$, 14-go — 17, 2-go lutego — 20 $\frac{1}{3}$, 6-go — 17 $\frac{2}{3}$, 7-go — 20, 8-go — 20 $\frac{1}{2}$, 9-go — 19, 10-go — 24, it.d. it.d. «Cyfry powyższe (słowa Korotyńskiego) pochodzą z obserwacji w Warszawie. Należy zwrócić uwagę, że linia izotermiczna (oznaczająca pasy ciepła), idąc przez Warszawę ku Wschodowi, zbacza od równoleżnika aż na Kijów, tak, że Nowogródek i jego okolice o trzy stopnie, czyli 45 mil geograficznych, pozostawia na północ. Mrozy więc w okolicach Nowogródka są nierównie silniejsze niż w Warszawie... Nie od rzeczy tu będzie powiedzieć, iż *młodszy* brat Adama, p. Aleksander Mickiewicz w liście zamieszczonym w *Notatkach* E. Chłopickiego, mylił się, utrzymując, że w chwili urodzenia Adama, folwark Zaosie «przechodził pod zarząd ojca jego, po stryjach». Wiem to z własnoręcznego pisma ojca Adama, że stryj jego Bazyli, właściciel Zaosia, umarł dopiero *w cztery miesiące po urodzeniu Adama*, mianowicie d. 5 maja 1799 r. i po nim dopiero Mikołaj objął Zaosie. Zresztą p. Aleksander Mickiewicz nie w tem jednym się myli... «Te szczegóły wskazują, że twierdzenia nawet najbliższych krewnych, skoro oparte na zawodnej pamięci, nie zawsze bywają niezawodną prawdą. Zresztą podczas bytności mojej w Poznańskiem, zbaczalem umyślnie do p. Franciszka Mickiewicza, *starszego* brata Adama, by się czegoś pewniejszego dowiedzieć o miejscu urodzenia poety. Pan Franciszek ze szczerością mi odpowiedział, że dotąd był przekonany, iż Adam urodził się *w Nowogródku*, lecz teraz kiedy wypłynęło *Zaosie*, sam już nie wie, co trzymać». Nadmienić wypada, że sam Mickiewicz, był przekonany, jako urodził się *w Nowogródku*. W liście do pani Klustin, pisanym z Konstantynopola 25 paźdz. 1855, powiada między innemi, że mu niektóre dzielnice tego miasta «paraisaient parfaitement semblables à ceux de ma petite ville natale de Lithuanie». «Oświadczenie to (powiada Chmielowski w pierwszym wydaniu swej książki o Mickiewiczu) jest tak jasnym, że zdaniem mojem stanowczo dowodzi tego przynajmniej, iż *w mniemaniu samego poety*, Nowogródek był miejscem jego urodzenia. Co do mnie, wolę iść za zdaniem samego Mickiewicza, niż jego *młodszego* brata (Aleksandra)».

dze VI, jak «ojciec Maciej» karmi króliki i wróble. Wogóle gdy chodzi o Mikołaja Mickiewicza, nie był to człowiek popolity. Za czasów sejmu czteroletniego był już rejentem komisji porządkowej cywilno-wojskowej nowogródzkiej, choć sobie liczył podówczas lat dwadzieścia dopiero: dowód to, że go wyróżniano zaszczytnie. U okolicznej szlachty cieszył się wielką sympatią i poważaniem, i jako prawnik, i jako człowiek. W r. 1810 chciano go wybrać na prezesa ziemstwa, ale się wymówił od tego zaszczytu, «bo do większego urzędu, gdzie tytuł *Jasnie Wielmożnego* przywiązany, potrzeba tylko z bogactwa znanych ludzi» a on bogatym nie był...

Niemniej poczciwą i zacną była jego żona, Barbara, mostowniczanica mińska, typowa szlachcianka starej daty. Praktyczna gospodyni, idealna matka, a netylko wielkiej pobożności i prostoty, ale i tak «wypróbowanej rozwagi», że mąż nazywał ją «swoją archiwistką», bo nie jeden raz w trzewiku nosiła dokumenty polityczne, któreby całą rodzinę mocno skompromitować mogły... Mickiewicz ubóstwiał ją, a przez całe życie, gdy wspominał o niej, wspominał ze czcią najwyższą. Jej przypisywał niezmierny wpływ na siebie, a zawsze twierdził z myślą o niej, że «im dalej posuwamy się w życiu, tem bardziej poznajemy niewyczerpaną pomoc, którą Bóg składa dla nas w sercu macierzyńskim, a kiedy ta pomoc zostawiona nam jest aż do wieku meżkiego (jak jemu zostawioną była), jest to rzadkie szczęście i osobliwsza łaska». Jako poeta, unieśmiertnił ją dwa razy: raz w *Dziadach*, w prologu do trzeciej części, gdzie Anioł-Stróż mówi do niego:

Ziemskie matki twej zasługi,
Prośby jej na tamtym świecie,
Strzegły długo wiek twój młody
Od pokusy i przygody...

i raz w *Panu Tadeuszu*, na samym początku poematu, dziękując «Pannie Świętej, co Jasnej broni Częstochowy i w Ostrej świeci Bramie», jak go dziecko do zdrowia powróciła *cudem*,

Gdy od płaczącej matki, pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść, za wrócone życie podziękować Bogu...

Gdy się dobrało takich dwoje, jak rodzice poety, tam nie dziw, że pożycie było przykładne, które w dorastającą

działwę wpajało nieograniczoną ufność i cześć, a budziło ogólne poważanie sąsiadów. Jakoż «Mikołaj i Barbara Mickiewiczowie nie z bogactwa, ani z urzędów i dygnitarskich tytułów, ale z cnót własnych słynęli, ze zgodnego małżeństwa, z miłości ku bliźnim, z litości ku biednym, a szczególnie z prawdziwego zamiłowania do kochanej Litwy»... Żyli, jak drobna szlachta w całej okolicy, a choć mogliby się pieczętować «herbem książęcym», to jednak poprzestawali na zwykłym szlacheckim Rymwidzie: jeśli niekiedy wspominali o książęcym Poraju, to tylko w takim żartobliwym tonie, w jakim o nim pisze autor *Pana Tadeusza*.

Poraj, krzyknął Mickiewicz, z mitrą w polu złotem,
Herb książęcy, Strykowski gęsto pisze o tem.

Od czasu, gdy się pobrali, mieszkali w Nowogródku, ale począwszy od r. 1799¹⁾, gdy umarł stryj Mikołaja, Bazyli Mickiewicz, po którym małeńki folwarczek w Zaosiu — przedmiot długich sporów rodzinnych — stał się własnością ojca poety, prowadzili dwa gospodarstwa jednocześnie: pani Barbara z dziećmi, których już miała dwoje, mieszkała w Zaosiu, do Nowogródka dojeżdżając o tyle tylko, o ile mąż był chory (co mu się zdarzało dosyć często); a pan Mikołaj, zajęty sprawami, rokami, kadencyami, procesami etc. etc., stale zamieszkiwał «kamienicę» nowogródzką, do Zaosia zaglądając rzadko, raz na parę lub kilka miesięcy.

Chcąc powziąć wyobrażenie, czem było Zaosie, wystarczy przeczytać księgę VI *Pana Tadeusza*, w której jest opisany «Zaścianek»: Zaosie było takim drobnoszlacheckim zaściankiem litewskim, nie tak sławnym wprawdzie, jak ów «Dąbrzyński» z *Pana Tadeusza*, ale podobnym, złożonym z kilkunastu folwarków, które, rozrzucone w większej lub mniejszej odległości od głównej drogi, razem z karczmą i kilkoma chatami chłopskimi, stanowiły t. zw. «okolice». Folwark Mickiewiczów, położony tuż przy gościńcu, w nizinie, na prze-

¹⁾ Zdaje się, że i ta okoliczność przemawia za Nowogródkiem, jako miejscem urodzenia poety. Kiedy Mickiewicz przyszedł na świat, Zaosie nie było jeszcze własnością jego rodziców, lecz Bazylego Mickiewicza, u którego pani Barbara, będąc w stanie odmiennym, nie miała powodu bawić w grudniu na same święta Bożego Narodzenia.

dłużeniu rozległych łąk, pastwisk i moczarów Koldyczewskiego jeziora, a w pobliżu lesistej góry Żarnowej, składał się z drewnianego dworku z gankiem, z lamusu i innych zabudowań gospodarskich — za którymi ciągnął się gaj dębowy i sosnowy — oraz ze sporego ogrodu owocowego, czyli sadu (z pewnością podobnego do słynnego sadu z *Pana Tadeusza*).

Tutaj w znacznej części upłynęły Mickiewiczowi «wieki dzieciństwa», tutaj, wśród tych «domowych zagród», zaczął doznawać pierwszych wrażeń, tutaj był jego «kraj lat dziecinnych», o którym później pisał we wstępie do *Pana Tadeusza*, że

...on zawsze zostanie
Święty i czysty, jak pierwsze kochanie,
Niezaburzony błędów przypomnieniem,
Niepodkopany nadziei złudzeniem,
Ani zmieniony wypadków strumieniem.
Te kraje radbym myślami powitał,
Gdziem rzadko płakał, a nigdy nie zgrzytał,
Kraje dzieciństwa, gdzie człowiek po świecie
Biegł, jak po łące, a znał tylko kwiecie
Małe i piękne, jadowite rzucił,
Ku pożytecznym oka nie odwrócił.
Ten kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny,
Jak świat jest Boży, tak on był nasz własny!
Jakże tam wszystko do nas należało,
Jak pomnim wszystko, co nas otaczało:
Od lipy, która koroną wspaniała
Całej wsi dzieciom użyczała cienia,
Aż do każdego strumienia, kamienia...
Jak każdy kącik ziemi był znajomy
Aż po granicę, po sąsiadów domy!
Bo któż tam mieszkał? Matka, bracia, krewni,
Sąsiedzi dobrzy! Kogo z nich ubyło,
Jakże tam o nim czule się mówiło!
Ile pamiątek, jaka żalność długa,
Tam, gdzie do pana przywiązany sługa,
Niż w krajach innych małżonka do męża!...

Dopiero, gdy chłopcy podraść zaczęli, przeniesiono się na stały pobyt do Nowogródka, do tamtejszej «kamienicy». Ale i tutaj trwały w dalszym ciągu «szczęśliwe czasy» przyszłego wieszczka *Dziadów*, bo i Nowogródek, jak Zaosie, był «jego krainą», gdzie rósł na gruncie szlacheckim i ogromnie swojskim, w otoczeniu kochającej się, zacnej i zawsze «duszami w zgodzie» będącej rodziny, w atmosferze poczciwej i serdecznej. «Zawsze idę z tego gruntu (pisał raz Mickiewicz do brata),

na którym wyrosliśmy w domu rodzicielskim» i dlatego «w każdym zdarzeniu znajdziesz mnie, i Aleksandra, i Jerzego tak przywiązany mi braćmi, jakimi nas znałeś w domu».

Tymczasem lata płynęły, a płynęły «sielsko, anielsko», bez trosk i kłopotów, wśród rozrywek i zabaw dziecięcych. Dni schodziły na zabawach z braćmi i dziećmi sąsiadów, a w zabawach tych brała udział i «menażerya» pana komornika, pochwyciwszy od oswojonego wilka, a skończywszy na lisie i kruku. Gdy nadeszło lato, łapano owady dla najrozmaitszych ptaków z tej ojcowskiej «menażeryi», co nie wykluczało także i wypraw po ptasie gniazda... W zimie bawiono się śnieżkami, jeżdżono sankami, a przyszły autor *Dziadów* tak smakował w ostatniej rozrywce, że nawet w domu, jeśli pani Barbara była w dobrym humorze, siadał na jej ogoniastej sukni, a kiedy ona ciągnęła go tak po pokoju, on wyobrażał sobie, że płynie albo jedzie saneczkami. Często też, pod opieką guwernera (który jednak, jako «człowiek srogi», nie cieszył się sympatją małego Adasia, lecz «drażnił» go), udawano się do pobliskiej Horodziłówki Kiernowskich, w odwiedzinach do pięciu małych synów pana stolnika litewskiego, z którymi na dziedzińcu przed dworem najchętniej i najczęściej bawiono się w wojsko. Mały Adaś Mickiewicz zazwyczaj bywał doboyszem, bo dostawszy bębenek na któreś imieniny, doskonale na nim wybijał takt marsza. W zimie, kiedy długie wieczory spędzano w domu, najczęściej i z największym upodobaniem przesiadywał w «piekarni» domowej, przy kuchni, gdzie dziewczęta czeladne, kręcąc kolowrotki, przędły i śpiewały pieśni ludowe:

O tej dziewczynie, co tak grać lubiła,
Że przy skrzypeczkach gąski pogubiła;
O tej sierocie, co piękna, jak zorze,
Zaganiać ptactwo szła w wieczornej porze...

Dziecko, z którego z czasem miał wyrósć wielki poeta, rozmarzało się temi pieśniami gminnymi, a wsłuchując się w nie, popadało w tęskną zadumę: jakaś dziwna rzewność spływała mu na duszę, tak, że płakało często, a zapytane, dlaczego płacze, nie umiało dać odpowiedzi. Dał ją później Mickiewicz, gdy pisał *Konrada Wallenroda*, w którym Wajdelota tak śpiewa o pieśni gminnej:

O wieści gminna! Ty arko przymierza
Między dawnymi i młodszymi laty!

W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty!
O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiętek kościoła...

Z niemiejszem upodobaniem — w tejże piekarni — słu-
chał baśni i podań gminnych, opowiadanych przez starą słu-
żącą Gąsiewską, która, mając nadzór nad dziewczętami, przez
cały czas, gdy przędły, uwijała się po piekarni, i albo śpiewała
razem z niemi, jako przewodniczka tego sielskiego chóru, albo
prawiła bajki, których umiała nieskończone mnóstwo... W in-
nym rodzaju były opowiadania starego sługi domowego, Bła-
żeja, przezwanego Ulissem, który, dopomagając starej Gą-
siewskiej, co wieczór opowiadał o swych urojonych przygodach,
jakich doznał rzekomo «w zmowie z nieczystymi duchami»
w domu poprzedniego pana swojego «farmazona». Ile było
prawdy, a ile zmyślenia w tych «dziwnych historyach» Błaże-
jowych, o to go nie pytano, ale miał taki dar opowiadania
i zaciekawiania słuchaczy, że «panicze», zasłuchani, zapomi-
nali o spaniu: nieraz ich z piekarni wyciągnąć nie było mo-
żna. Tego samego dokazywała i jedna z sąsiadek, sędziwa
przyjaciółka domu Mickiewiczów. Była to staruszka fertyczna
bardzo, a wykazywała tyle dowcipu i narracyjnego talentu,
gdy opowiadała o swojej awanturycznej młodości, że ją z tej
«żywości mowy» znano w całym Nowogrodku. Mały Adaś
ogromnie lubił słuchać jej opowiadań, czem sobie jednal jej
nadmierzalną sympatyę: nieraz, gładząc go po główce, powta-
rzała: «Obaczycie, że z tego dziecka będzie człowiek, bo lubi
słuchać starszych».

II.

Tymczasem przyszły «człowiek», doszedłszy do 9-go roku
życia, zaczął wraz ze starszym bratem swoim, Franciszkiem,
chodzić do nowogrodzkiej szkoły oo. Dominikanów. Była to
szkoła powiatowa 6-cio klasowa, z językiem wykładowym pol-
skim — jak wszystkie szkoły ówczesne — bo Cesarz Aleksan-
der I, «przyjaźnie dla kraju usposobiony, dozwalał swobodnie
rozwijać się młodzieży w kierunku narodowym».

Zaczęła się nowa epoka w życiu Mickiewicza, epoka, obej-
mująca okres czasu od dnia 13 września 1807 r., aż po dzień

10 lipca 1815 r. Uczyl się dobrze, choć mógłby lepiej, zważywszy nadzwyczajne zdolności, jakimi się odznaczał. Ale nie umiał się nagiąć do nauki systematycznej, regularnej, a powtóre, bez najmniejszego trudu i wysiłku umiał podolać ćwiczeniom i lekcjom. Najczęściej uczyl się z bratem, a uczyl się w ten sposób, że nigdy nie zaglądał do książki, tylko słuchał, gdy się uczyl Franciszek. To mu wystarczało, a lubo się »obywał bez książek«, które z tego powodu kupowano tylko dla Franciszka, najczęściej umiał zadane lekcye, nigdy nie ucząc się gorzej od brata, z którym przeważnie należał do »celujących« uczniów. Tak było w r. 1808, w drugiej klasie, kiedy do Nowogródka zawitał kurator okręgu, książę Adam Czartoryski, który, odbywszy ścisły egzamin uczniów, Adamowi i Franciszkowi Mickiewiczom przyznał »najwyższą nagrodę«, a nazwiska ich w kalendarzyku politycznym za rok 1808, jako celujących, pomieścić kazał. Dopieroż była radość, gdy się ujrzeli »wydrukowanymi« z imienia i nazwiska!... Było to w części zasługą gubernera ich, Jankowskiego, który na młodszego szczególnie — jak to sam Mickiewicz później przyznawał — wpływał bardzo dodatnio, bo w nim wzbudził zamiłowanie do czytania: jemu zawdzięczając, już w szkołach »zasmakował« przyszły poeta w książkach. Najbardziej lubił czytywać utwory poetyczne, jak epepeje Homera lub Tassa, i rzeczy historyczne. W wyższych klasach, kiedy czytał Siriusza, Swetoniusa i Tacyta, »teśnił z Rzymem«. Z poezyi najbardziej przepadał za scenami wojennymi, bohaterskimi, które później odtwarzał z kolegami... Stąd poszło, że z największą przyjemnością przykładał się do nauki »wymowy«, t. j. literatury, i że nie miał równego sobie, gdy chodziło o napisanie jakiego wierszyka. Gdy raz napisał bajkę p. t.: »Pies i wilk«, to profesor wymowy wziął ją za utwór Trembeckiego; a kiedy przyszły imieniny przełożonego szkoły, księdza Marcina Rokickiego, Mickiewicz wystąpił z wierszem na jego cześć, który wzbudził ogólny podziw dla młodziutkiego poety. Kiedy w r. 1810 wybuchł pożar w pobliżu »kamienicy« Mickiewiczów, Adaś, zamiast biedz, jak inni, na ratunek palącego się domu, wszedł na dach ojcowskiego dworku, skąd spokojnie — ze spokojem artysty — przypatrywał się pożarowi, a gdy ogień ugaszono, przyszedł do brata Franciszka, prosząc go, aby pisał, co on mu podyktuje. I zaczął dyktować wierszowany opis pożaru, tak »silnie i zrecznie

oddany, że nauczyciel wymowy, skoro wiersz ten przeczytał nie tylko mu przyznał niepospolite, godne »najwyższej pochwały« zalety, ale polecił go do odczytania na publicznym egzaminie, w przytomności wizytatora Kossakowskiego. Wogóle, już w szkołach będąc, zaczął się rwać do poezyi, tak, że wówczas, gdy brat jego »kuł« zadane lekcye, on rozczytywał się w książkach, które z lekcjami i szkołą nie miały nic wspólnego, jak np. romanse Florjana, z których jeden zaczął nawet przekładać *wierszem*. Nie znaczy to, ażeby mając talent do pisania, jednocześnie pisał bardzo kaligraficznie: przeciwnie, bazgrał »jak kura grzebie« i zawsze w »charakterze«, t. j. w kaligrafii był »mierny«. Nie psuło mu to jednak humoru, bo z humoru miał nawet sławę pomiędzy kolegami: zawsze go się trzymały jakieś figle, którymi wszystkich umiał popudzić do śmiechu, bo je płał do wciwnie, a bez przymieszki złośliwości lub chęci dokuczenia. Raz np. kiedy go siedzący przy nim w tej samej ławce kolega Stankiewicz, nie umiejąc lekcyi, prosił, żeby mu podpowiadał, Mickiewicz zaczął mu podszeptywać znany wierszyk: »Niedaleko Damaszkowi siedział dyabeł na daszku... Stankiewicz powtórzył podpowiedziany mu wiersz, za czem poszło oczywiście, że cała klasa zaczęła się pokładać od śmiechu... Znany z podobnych żartów, cieszył się ogólną sympatją nie tylko w gronie swych rówieśników, ale i pomiędzy starszymi: pod tym względem miał jakiś »niepojęty dar pociągania ku sobie«. Co prawda, był to chłopczyk do wszystkiego. Gdy chodziło np. o sądy, które szkoła OO. Dominikanów miała swoje własne (a które, złożone z uczniów klas wyższych, używały takiej reputacji, że żydzi, w sprawach ze studentami, zupełnie polegali na ich uchwałach), to Mickiewicza wybierano do zaufanego grona sędziów; a gdy grano teatr amatorski — co w ówczesnych szkołach należało do przepisanych rozrywek — to Mickiewiczowi dostawały się role tytułowe. Gdy np. raz wystawiono »Barbarę Radziwiłłównę« Felińskiego, on grał rolę Barbary. Na rekreacjach wtorkowych i czwartkowych także nie był ostatnim. Ach, te rekreacje! Jakże mile zapisały się w pamięci swych uczestników! Były to wycieczki zamiejskie — najczęściej na obszerne pole pod grobowcem Mendoga — odbywane przez całą szkołę pod przewodem nauczycieli i księdza Rokickiego, a nieraz i w asyście wielu Nowogrodzian, którzy szli przypatrywać się tym zabawom młodego pokolenia. Najczęściej ba-

wiono się w wojsko, w musztrę, przyczem, we wszystkim naśladowano pułk rosyjski, stojący załogą w Nowogródku. Wszyscy byli uzbrojeni w drewniane pałasze, karabiny i lance, lub w słomiane kije, a większość była przybrana w trójkanciaste kapełusze z papieru, oraz w różnokolorowe mundury; niektórzy mieli nawet blaszane zbroje. W takim stroju wykonywano wszystkie obroty konnicy i piechoty, a po różnych galopach, klusach, stępach etc., przychodziła kolej na atak, na bitwę, a w końcu na rejteradę. Wracano w ordynkach, niby pułkami, każda klasa osobno, pod osobnym sztandarem. Dobosze bili w bębny, i tak odbywano wejście do miasta, zdążając ku klasztorowi Dominikaków. Stamtąd rozchodzono się do domów.

Mickiewicz w *Dziadach* z rozrzewnieniem wspomina te swoje szkolne czasy.

Ileż znowu pamiątek w domku twoim, w szkole!
Tum z dziećmi na dziedzińcu przesypywał piasek,
Po gniazda ptasie w tamten biegaliśmy lasek,
Kąpielą była rzeczka u okien ciekąca,
Po polach z studentami graliśmy w zająca.
Tam po gaju chodziłem w wieczór lub przededniem,
By odwiedzić Homera, rozmówić się z Tassem,
Albo oglądać Jana zwycięstwo pod Wiedniem.
Wnet zwoływam współuczniów, szykuję pod lasem:
Tu krwawe z chmur pohańskich świecą się księżyce,
Tam Niemców potrwożonych następują roty;
Każe wodze ukrócić, w toku złożyć groty,
Wpadam, a za mną szabel polskich błyskawice!
Przerzedzają się chmury, wrzask o gwiazdy bije,
Gładem lecą turbany i obcięte szyje.
Janczarów zgraja pierzchła lub do piasku wbita;
Zrabana z koni jazdę rozniosły kopyta,
Aż pod wał trzebibm drogę — ten wzgórek był wałem!...

Wieczorami, w godzinach wolnych od nauk, ażeby synowie nie próżnowali, pan Mikołaj Mickiewicz przewodniczył zebraniom rodzinnym, na których dwaj starsi chłopcy musieli »głośno w sali gazety, pamiętniki i celniejszych autorów dzieła wierszem i prozą odczytywać, albo o nowych wynalazkach w chemii, fizyce, botanice i innych naukach rozprawiać, lub po kartach geograficznych miasta w dziennikach wymienione wyszukiwać«. Największe zainteresowanie budziły wiadomości z pola bitew napoleońskich, drukowane w *Kuryerze Litewskim*, a których, choć były redagowane w suchym stylu

urzędowym, p. Mikołaj zawsze wyglądał z taką ciekawością, z jaką wygląda ich np. sędzia w *Panu Tadeuszu*:

Bo były to czasy wojenne, czasy Napoleona,

...gdy ów mąż, bóg wojny,
Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,
Wprzągniwszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych,
Od puszczy Libijskich latał do Alpów podniebnych,
Ciskając grom po gromie w Piramidy, w Tabor,
W Marengo, w Ulm, w Austerlitz. Zwycięstwo i zabór
Biegły przed nim i za nim. Sława czynów tyłu,
Brzemienna imionami rycerzy, od Nilu
Szła, hucząc, ku północy, aż u Niemna brzegów
Odbiła się...

...nieraz nowina, niby kamień z nieba,
Spadała w Litwę. Nieraz dziad, żebrzący chleba,
Bez ręki lub bez nogi, przyjąwszy jałmużnę,
...kim był, wyznawał: był legionistą.

Jak go wtenczas cała
Rodzina pańska, jak go czeladka ścisłała,
Zanosząc się od płaczu! On za stołem siadał
I dziwniejsze od baśni historye gadał.
On opowiadał, jako generał Dąbrowski
Z ziemi włoskiej stara się przyciągnąć do Polski;
Jak on rodaków zbiera na Lombardzkim polu;
Jak Kniaziewicz rozkazy daje z Kapitolu,
I zwycięzca, wydartych potomkom Cezarów
Rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów;
Jak Jabłonowski zabiegł aż kędy pieprz rośnie,
Gdzie się cukier wytapia i gdzie w wiecznej wiośnie
Pachnące kwitną lasy...

Czasem do Litwy kwestarz z obcego klasztoru
Przyszedł, i kiedy bliżej poznał panów dworu,
Gazetę im pokazał, wypruta z szkaplerza.
Tam stała wypisana i liczba żołnierza,
I nazwisko każdego wodza legionu
I każdego z nich opis zwycięstwa lub zgonu.

W końcu nadszedł pamiętny rok 1812. Zaczął się, jak
wszystkie lata poprzednie; z wiosną jednak, gdy na niebie uka-
zał się olbrzymi kometa, jakiś tajemniczy niepokój wstąpił
w serca wielu rozmyślających o przyszłości...

Był to kometa pierwszej wielkości i mocy.
Zjawił się na zachodzie, leciał ku północy;
Krwawem okiem z ukosa na rydwan spojiera,
Jakby chciał zająć puste miejsce Lucypera...

Warkocz długi w tył rzucił i część nieba trzecią
Obwinał nim, gwiazd krocie zagarnął, jak siecią,
I ciągnie je za sobą, a sam wyżej głową
Mierzy w północ, prosto w gwiazdę biegunową.

Z niewymownem przecuciem cały lud litewski
Poglądał każdej nocy na ten cud niebieski,
Biorąc złą wróżbę z niego, tudzież z innych znaków:
Bo zbyt często słyszano krzyk złowieszczych ptaków,
Które na pustych polach gromadząc się w kupy,
Ostrzyły dzioby, jakby czekając na trupy.
Zbyt często postrzegano, że psy ziemię ryły,
I jakgdyby śmierć wietrząc, przeraźliwie wyły:
Co wróży głód lub wojnę; a strażnicy boru
Widzieli, jak przez cmentarz szła dziewczica moru,
Która wznosi się czołem nad najwyższe drzewa,
A w lewej ręce chustką skrwawioną powiewa.

Dla 13-letniego Mickiewicza zapisała się wiosna ta śmiercią
ojca, zmarłego w dniu 10 maja, a jeszcze nie zdążył uspokoić
się po jego stracie, gdy nagle gruchnęła wieść, że Napoleon
z nieprzeliczoną armią w dniu 24 czerwca przeszedł Niemen
pod Kownem, że »wojska francuskie« już zajęły część Litwy
od Grodna po Słonim, i że część *wielkiej armii* nie ominie Nowo-
gródka, leżącego

tuż przy wielkiej drodze,
Którą od strony Niemna ciągnęli dwa wodze:
Nasz księżę Józef i król Westfalski Hieronim.

Jakoż dnia 8 lipca

jakby gilów, siewek
I szpaków, stada jasných kit i chorągiewek
Zajaśniały na wzgórzach, spadają na błonie:
Konnica! Dziwne stroje, niewidziane bronie!
Pułk za pułkiem; a środkiem, jak stopione śniegi,
Płyną drogami kute żelazem szeregi;
Z lasów czernią się czapki, rząd bagnetów błyska,
Roją się niezliczone piechoty mrowiska.

Mickiewicz, choć w żałobie po ojcu, stał na ulicy, na
którą wyległo całe miasteczko, i wciśnięty w tłum gawiedzi,
patrzył na wkraczające wojsko, a patrząc, płakał z radości...

Lud ich otacza, patrzy, ledwie oczom wierzy,
Oglądając rodaków mundury noszących,
Zbrojnych, wolnych i polskim językiem mówiących.

Tymczasem szykowała się deputacya, idąca na spotkanie króla Hieronima, deputacya, w której młodzież szkolna miała wystąpić z kwiatami. I Mickiewicza, jako celującego ucznia, chciano zaliczyć do tej deputacyi, ale wdowa po ś. p. Mikołaju, przez wzgląd na żalobę całej rodziny, nie pozwoliła na to...

Wieczorem nadciągnął król Hieronim Bonaparte, domem zaś, który przeznaczono na kwaterę królewską, był dworek Mickiewiczów, »jako najlepszy w całym mieście«. Oczywiście, że Mickiewiczowie musieli się ulokować gdzieindziej, w przybudynkach. Ale przyszły autor *Pana Tadeusza* zbyt był trawiony ciekawością, ażeby spokojnie usiedzieć w zamknięciu z matką i braćmi. Jakto, za chwilę do ich domu miał zajeżdżać król, rodzony brat Napoleona, a onby go miał nie zobaczyć, nie widzieć, jak będzie się zbliżał do »kamienicy«! Z tą myślą pogodzić się nie mógł w żaden sposób, bo już w nim tkwił poeta... Jakoż słowa nie mówiąc nikomu, zakradł się do ogrodu, skąd było widać wszystko jak na dłoni, i położywszy się na ziemi, pod spowitym w powój i chmiel opłotkiem, za którym skrył się całkowicie, z bijącym sercem czekał na przybycie koronowanego gościa. Dokoła było cicho, jak makiem siał, bo ruch w całym domu — gdzie już lada chwila spodziewano się przybycia monarchy — ustał zupełnie. Tymczasem słońce zaszło, na dworze poczęło się ściemniać, zapadał zmrok. Nagle dał się słyszeć gwałtowny tętent kopyt końskich: na dziedziniec wjechał oficer na koniu, a musiał oznajmić rychłe przybycie króla, bo w tejże chwili oddział straży, stojącej w dziedzińcu i na ulicy, uszykował się w szpaler od bramy do ganku. Niebawem rozległ się odgłos trąb, bębnow, piszczałek, a jednocześnie dały się słyszeć huczne okrzyki ludu. Mickiewicz domyślał się, że to król musiał zajeżdżać przed bramę, ale, niestety, z zarośli, gdzie był ukryty, bramy nie było widać, tak, iż nie mógł dojrzeć, gdy król zsiadał z konia. Widział jednak, jak przechodził środkiem szpaleru, jak idąc, salutował na obie strony, gdy tymczasem żołnierze, wyprostowani jak struny, prezentowali broń. Za królem, który był w zielonym mundurze, postępował tłumny orszak wojskowych, lśniących od złota, w kaszkietach i kapeluszach z piórami. Orszak ten, gdy król stanął na progu swej kwatery, zatrzymał się przed gankiem, poczem król skłonił się na pożegnanie, co znaczyło, że myśli udać się na spoczynek a świecie pozwala się oddalić... Mały Mickiewicz, widząc

wszystko, tak był olśniony i oszołomiony tym widokiem, że — jak sam opowiadał później — »anioł zstępujący z nieba w promieniach, nie mógłby nań wyrzucić silniejszego wrażenia«.

Ale król Hieronim, przenocowawszy w Nowogródku, puścił się w dalszą drogę, a wojska wciąż przeciągały przez miasteczko.

Wszyscy na północ! Rzekłbyś, że w onczas z wyraju
Za ptactwem i lud ruszył do naszego kraju,
Pędzony niepojętą, instynktową mocą.

Konie, ludzie, armaty, orły, dniem i nocą
Płyną; na niebie gorą tu i owdzie luno,
Ziemia drży, słychać, biją stronami pioruny.

Wojna! Wojna! Nie było w Litwie kąta ziemi
Gdzieby jej huk nie doszedł...

O wiosno! Kto cię widział wtenczas w naszym kraju,
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju!
O wiosno, kto cię widział, jak byłaś kwitnąca
Zbożami i trawami, a ludźmi błyszcząca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!

Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna...
Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu!

Lecz był to tylko świetny prolog do okropnej tragedii: te niezliczone wojska, tak piękne i błyszczące, kędy szły w tamtą stronę, miały po upływie kilku miesięcy wracać w zupełnym rozbiciu, zdziesiątkowane, zgłodniałe, skostniałe z zimna, wynędzniałe ze znużenia, pładujące po opustoszałych domach z oblakaniem w zapadłych oczach, z podmrażaniem kończynami, z rozpaczą w duszy. Wszystko było stracone: z wielkiej armii wracali tylko szczątki; reszta zasnęła śnieżną polą Rosyi, lub potonęła w nurtach Berezyny.

A Mickiewicz? On patrzył wylekzionemi oczyma, jak wracali ci rozbitkowie »niezwyciężonej« wielkiej armii, a do końca życia zapomnieć nie mógł wrażenia, jakie na nim uczynił jakiś wyższy oficer w świetnym mundurze, lśniącem od złota i haftów, który, zgłodniały i ślaniający się na nogach, dopadłszy lojówki, chciwie ją ogryzł... Z wrażeń tej nieszczęsnej zimy, której śniegi i mrozy zważyły wszystkie nadzieje pokładane w Napoleonie, został poetyczny ślad w *Konradzie Wallenrodzie*:

...lud patrzy ku drodze.
Już widać zdala: kopie się przez śniegi
Kilku podróżnych... Konrad! nasi wodze!
Jakże ich witać? zwycięzce? czy zbiegi?
Gdzie reszta pułków?... Konrad wznosił prawicę,
Pokazał dalej ciżbę rozproszoną.
Ach! sam ich widok zdradził tajemnicę!
Biegną bezładnie, w zaspach śniegu toną,
Wala się, depcą, jak podle owady
W ciasnem naczyniu ginące pospołu:
Pną się po trupach, nim nowe gromady
Dźwignionych znowu potracą do dołu.
Ci jeszcze wleką odrętwiałe nogi;
Ci w biegu nagle przystygli do drogi,
Lecz ręce wnoszą, i stojące trupy
Wskazują w miasto, jak przydrożne słupy.

Lud wybiegł z miasta strwożony, ciekawy,
Lękał się zgadnąć, i o nic nie pytał,
Bo całe dzieje nieszczęsnej wyprawy
W oczach i twarzach rycerzy wyczytał.
Nad ich oczyma mroźna śmierć wisiała,
Harpia głodu ich lica wyssała.
Tu słyhać trąby litewskiej pogoni,
Tam wichur toczy kłęb śniegu po błoni...
Opodał wyje chuda psów gromada,
A nad głowami krążą kruków stada.

Tymczasem nadchodziły coraz nowe oddziały rozbitków, a że mróz trwał nieustannie, więc nie tylko napadano i rozbijano pod wpływem strasznego głodu, ale nie szczczędono niczego, co się dawało spalić, co podpalone mogło wytworzyć trochę ciepła. Stąd i Nowogródek ucierpiał niemało, a między innymi i drewniany parkan, okalający dziedziniec i ogród kamienicy Mickiewiczów: wojsko rozebrało go na opał, tak, iż tylko murowana brama sterczała pośrodku. Wszędzie paliły się ogniska, przy których grzały się gromadki najwytrzymalszych wiarusów. Inni grzali się po kuchniach i piekarniach, w sieniach lub przed kominkami pokoi mieszkalnych.

Oczywiście, że mały Mickiewicz nie mógł im przyglądać się obojętnie, że widok ich budził głębokie współczucie w jego chłopięcem sercu. Jakoż przypatrywał im się ciekawie, a nieraz całe godziny spędzał w ich towarzystwie. Dziwiło go zwłaszcza, że ci starzy wojacy nie kładli się nigdy na spoczynek: w nocy, naokoło ognia, znajdowano ich zawsze — jak o tem w długi

szereg lat później opowiadał poeta Micheletowi — z głową wspartą na łokciu, zadumanych: tak się przyzwyczaili do niewygód, tak odwykli od dłuższego spoczynku, że w końcu utracili sen. Któregoś dnia, podczas rozmowy z nimi, przyszedł twórca *Pana Tadeusza*, uderzony dziwnym wyrazem twarzy tych wiarusów, zapytał ich poważnie a z naiwnością dziecka: »Jesteście starzy bardzo, czemuż więc opuściliście wasz kraj, aby aż tutaj podążyć?« Na to jeden z grenadyerów, gładząc siwe wąsiska, odrzekł w imieniu swych towarzyszy: »Bo nie mogliśmy *go* opuścić, zostawić *go* samego«.

Był to głęboki głos wielkiej armii (konkluduje Michelet). Nie mogliśmy *go* opuścić, zostawić *go* samego! Więc dla tych wiarusów nie liczyły się nowe pokolenia i te pięćdziesiąt plemion, które Napoleon ciągnął za sobą. Bez *nich* Napoleon byłby *sam*. Serce, bijące w piersiach tych bohaterów, przewyższało jeszcze ich poświęcenie!¹⁾

W chwili, gdy się rozgrywały te tragiczne wypadki, Mickiewicz był uczniem 4-tej klasy, a jaki był w tych latach, o tem pięknie pisze Ignacy Domejko, jeden z jego przyjaciół najserdeczniejszych: »Nie ukrywał odrazy do ludzi nienaturalnych, fałszywych lub skłonnych do uniżania się przed siłą lub majątkiem; brzydził się przesadą; lubił przestawać z ludźmi zdrowego rozsądku i praktycznego rozumu, ale stronił od rachunkowiczów i samolubów. Był nielitościwym biczem na przechwałków, a przebaczał raczej dumie, niż udanej skromności. Od dzieciństwa szanował ludzi pobożnych, szukał ludzi uczuciowych, a cenił nadewszystko miłość rodzinną, domową. Nie był jednak nigdy w rozmowie i obejściu sentymentalnym, ani zbyt łagodnego, słodkiego ujęcia, i w twarzy jego pięknej i szlachetnej przebijał raczej rozum niepospolity, niekiedy posępność, niż wielka czułość i łagodność«²⁾. Takim był Mickiewicz, będąc w szkołach, takim pozostał przez całe życie...

Wielce podobnego usposobienia, choć weselszy i bardziej potulny, był Jan Czeczot. Kolega ze szkolnej ławy, na której od pierwszej klasy prawie ciągle siadywali przy sobie, był to

¹⁾ Michelet. Prelekye w *Collège de France*, lekcyja z dnia 23 grudnia 1847 r.

²⁾ *O młodości Mickiewicza*. List Ign. Domejki do Bohd. Zaleskiego.

nietylko rówieśnik co do wieku, ale i najserdeczniejszy przyjaciel Mickiewicza z tej epoki nowogrodzkiej; a że także rwał się do pióra i poezyi, że również okazywał zdolności literackie, a był poetą z usposobienia, nie dziw więc, że się rozumieli wzajemnie; że chętniej przestawali z sobą, niż z innymi; że ich łączyło duchowe »powinowactwo z wyboru«, którem to powinowactwem była niepospolitosc dusz obu młodzieńców. Jakoż pokochali się nadzwyczaj, a o ile tylko to było w ich możności, stanowili nierozłączną parę, zarówno w szkole, jak poza obreębem szkoły. »Owóż dwaj nasi studenci szkoły nowogrodzkiej — powiada o tej przyjaźni ich Ignacy Domejko — od najmłodszych lat znali dobrze nasz lud litewski, polubili jego pieśni, przejęli się jego duchem i poezją (ku czemu zapewne przyczyniło się i to, że małe miasteczko Nowogródek niewiele różniło się od wsi i zaścianków naszych, a życie szkolne było raczej wiejskie). Przypatrywali się kiermaszom, targom i odpustom, bywali na weselach chłopskich, dożynkach i pogrzebach. Stąd też za szkolnego jeszcze życia uboga strzecha i pieśń gminna roznieciły w obu pierwszy ogień poetycki. Adam prędko uniósł się do wyższej sfery swoich cudownych utworów; Jan aż do śmierci pozostał wiernym poezyi ludowej«.

Tymczasem ukończyli szkołę w Nowogródku, a Mickiewicz wyszedłszy z niej d. 29 czerwca 1815 roku, uzyskał świadectwo, że zarówno »zdatności do nauk«, jak »postępu« i »obyczajów« był »dobry«, a nadto otrzymał patent łaciński, czyniący wiadomem *omnibus et singulis quorum intercit*, jako »pan Adam Mickiewicz w publicznej szkole naszej Nowogrodzkiej do 6-ej klasy w ciągu jednego roku uczęszczał, do wszystkich nauk, które przez kierowników wychowania publicznego są przepisane, jak matematyka, fizyka, chemia, literatura, historia etc. pilnie się przykładał, i nic przeciwnego obyczajności nie popełnił, lecz owszem pobożnością i nieskazitelnością obyczajów przyświecał«.

II.

SŁOWACKI POTOMKIEM... ASTROLOGÓW.

Ciekawą byłoby rzeczą zbadać, jaki zachodzi związek — i czy istnieje — pomiędzy rodziną Słowackich z Podhorzec (w Galicyi wschodniej), z których pochodził urodzony w tychże Podhorcach Euzebiusz Słowacki, ojciec Juliusza, a Słowackimi ze Zdakowa, których rodzina w XVI-tym wieku za panowania Zygmunta Augusta i Stefana Batorego wydała aż trzech sławnych astrologów.

Jeden z nich, Piotr, powszechnie mistrzem Piotrem nazywany, *Petrus Slovacius Zdacoviensis*, należał w swoim czasie, jako astronom, astrolog i matematyk, do największych sław Akademii Krakowskiej, w której był profesorem.

O życiu jego wiemy niewiele, prawie nic. Urodzony w Zdakowie (w Galicyi), po ukończeniu szkół w Krakowie został tamże w r. 1567-ym bakalarzem filozofii. Jako taki, wykładał w Akademii prozodyę, w r. 1570-tym zaś *sphaeram Joannis de Sanok*. W r. 1572-im otrzymał stopień doktora filozofii. W r. 1581, za wdaniem się Stefana Batorego, pozwolono mu udać się na trzy lata do Włoch, na naukę lekarską, pod warunkiem, że na miejsce swoje zostawi zdatnego astrologa. Wróciwszy do kraju, znowu wykładał w Akademii. Umarł w Krakowie, w r. 1588-ym. (Ob. *Encykl. powsz. Orgelbr.* XXIII, 622). Felix Bentkowski w swojej *Historji literatury polskiej*, t. II, str. 310, pisze o Piotrze Słowackim, co następuje: »Piotr Słowacki, profesor matematyki w Akademii Krakowskiej za Zygmunta Augusta, który (Słowacki, nie Zygmunt August) przy

układzie poprawy kalendarza za Crzregorza XIII-go (stąd nazwa kalendarza *gregoryańskiego*) czynnym będąc, do sławy Akademii przyłożył się. Dowód tego w liście Papieża, który pracę dokładną i szczęśliwą w tej mierze Słowackiego, jako wybornego astronoma, pochwałą swoją zaszczycił, jak świadczy Sołtykiewicz (na str. 260), mówiący o tym liście, który się między rękopismami biblioteki Akad. Krak. znajduje. Ile mi wiadomo, z prac jego uczonych (Słowackiego, nie Sołtykowicza), drukowane są kalendarze jego rachuby na południk wrocławski...« Cytowany tu przez Bentkowskiego Sołtykiewicz pisze ze swej strony o Piotrze Słowackim, co następuje: »Grzegorz XIII Buocompagno, który był dawniej profesorem w Akademii Bonońskiej i sławnym prawnikiem, gdy tylko na Stolicę Papieską wyniesiony został, postanowił na wzór poprzednika swego, Leona X-go, wrócić nieodwłocznie w należyte karby rok astronomiczny, który się tak daleko był z nich wysunął. Zaraz więc na początku rządu swojego, r. 1572-go, zgromadził do Rzymu z różnych miejsc matematyków, dla naradzenia się ostatecznie w tej tak ważnej świata i Chrześcijaństwa sprawie. Że nasi Krakowscy w niej, z chwałą swego narodu, nie dając się innym wyprzedzać, czynnymi byli, nie można o tem wątpić; ponieważ Ojciec Św. (jak czytam w rękopisie XVI-go wieku pod znakami E. E. II, 7, fol. 66), pracę dokładną i szczęśliwą w tej mierze Piotra Słowackiego, Akademika naszego, jako wybornego astronoma, pochwałą swoją wyraźnie zaszczycił«. Zob. *O stanie Akademii Krakowskiej od założenia jej w r. 1347-ym aż do teraźniejszego czasu. Krótki wykład historyczny, Najjaśniejszemu Panu Fryderykowi Augustowi, Królowi Saskiemu, Xiążęciu Warszawskiemu etc. etc. na posiedzeniu Szkoły głównej dnia 10-go maja 1810-go, podany przez I. Sołtykowicza. W Krakowie 1810 r., w drukarni Gröblowskiej, str. 260. W Historji literatury polskiej Michała Wiszniewskiego, to, co jest o Piotrze Słowackim, jest dosłownym odpisem z Bentkowskiego i Sołtykowicza. Ob. t. VII, str. 368. Z dzieł Piotra Słowackiego dochowały się do naszych czasów następujące. Z niemieckich (bo pisywał i po niemiecku, nietylko po polsku i po łacinie): *Schreibkalender aufs 1583 Jahr durch M(agistrum) Petrum Slovacium der löbl. Universität zu Krakau Astrologum gestellt auf den Meridian der Stadt Breslau. Breslau, bei Joh. Scharffenberger, 1581, in 4-to, 3¹/₂ ark. (z Notat Karola Estreichera), oraz: *New und alter***

Schreibkalender auf das Jahr 1585 durch D(octorem) P(etrum) Slovaci-um der löbl. Universität zu Krakau verordneten Astrologum. Breslau bei Joh. Scharffenberger. (Ob. Dr. T. Żebrawski, *Bibliografia z piśmiennictwa polskiego z działu matematyki, fizyki oraz ich zastosowań.* (Kraków, 1873). Z polskich zaś: *Praktyka o komecie widzianej Roku Pańskiego 1577-go dnia 10-listopada, przez Mistrza Piotra Słowaciusza ze Zdakowa sta... Akademicy... Krak... Astrologa.* Tu ślad komety w drzeworycie; dolnej części kartki tytułowej brak. Na odwrotnej stronie szczątek tarczy z herbem Łabędź, nad którą w dwóch wierszach: »... Księdza Piotra Duni...a Płockie^o Kancel: Koronne^o. Następuje dedykacya: Jego Mo... dzu... Piotrowi... Wolskiemu, Bisk... y Kanclerzowi K... mu Mościwe^o Pa... wi w... M. Piotr. Słowac... w łaskę m...«. W przedmowie do czytelnika pisze: »Zdało mi się z drogi, gdybym nieco pierwej o tym dotknął, jako się takowe gwiazdy na niebie rodzą. O czem jeśli kto dostatecznie zechce wiedzieć, szerzyeśmy to w łacińskim scripcie napisali«. Szczątki pierwszych czterech kartek drukiem gockim in 8^o są w Bibl. Jag. In libro promot. na str. 211 czytamy: »Anno 1572 in decanatu mgri Josephi Thomae Vrędovii intra scripti artium ingenuarum baccalaurei in magistros artium ac doctores Philos. sunt promoti: Petrus Slovaci-um Zdacoviensis (collega)...«. Na str. 222: »Anno Domini 1578 in decanatu Petri (Slovacii) Zdacoviensis... (Ob. u Żebrawskiego, *Dodatki do bibliografii*, str. 29).

Oprócz Piotra Słowackiego było jeszcze dwóch Słowackich: Stanisław i Franciszek. O Stanisławie Słowackim podaje T. Żebrawski w swych *Dodatkach do bibliografii mat.* (Kraków, 1886) na str. 36 następującą wzmiankę, wyjętą z jakiegoś starożytnego dokumentu łacińskiego: »Johannes Ursinus patria Leopoliensis Canonice ecclesie collegiate Zamoscensis Academiae Rhetore publico, adtexta est. Leopoli primum graecis et latinis litteris instructus, Cracoviam adultus petiit et in philosophicis atque mathematicis disciplinis, Valentino Fontano viro doctissimo usus est. *Mortem Stanisłai Slovaciae medici et astrologi iniquissime tulit, cum enim doctorem in disciplina geometrica et astrologica habuit...*«. Z powyższego wynika, że Stanisław Słowacki był astrologiem i doktorem medycyny. Trzeci Słowacki, Franciszek, był także astrologiem, jak o tem świadczy jego dzieło, znajdujące się po dziś dzień (z uszkodzonym tytułem) w bibliotece Ossolińskich we Lwowie. Tytuł tego dzieła brzmi: *Questio*

phisica de motu coelorum, a M. Francisco Słowacio, publice in Alma Academia Cracov. Deo auspice disputanda; anno a pertu Virginis MDCXXIII... Mensis Augusti... in 4-to kart. 6. (Żebrawski, Bibliografia mat., 254).

Sądzę, iż wdzięcznem dla którego ze szperaczów naszych zadaniem byłoby wykazać, że ci Słowaccy-Mistrze, ci Astrologowie królewscy w XVI-ym wieku, ci profesorowie Akademii Krakowskiej, która się jednym z nich, Mistrzem Piotrem, szczyścić mogła, że go posiada w swem gronie, że ci Słowaccy, ze Zdakowa w Galicyi się wywodzący, byli przodkami Euzebiusza i Juliusza Słowackich, którzy także z Galicyi byli rodem, skoro się Euzebiusz rodził w Podhorcach... Gdyby się tego komukolwiek dowieść kiedy udało, możnaby powinszować Słowackiemu takich przodków; albowiem zaszczyt to nielada być pra-pra-prawnikiem takiego, jak Piotr Słowacki, człowieka, którego sam Papież, »jako wybornego astronoma«, osobną pochwałą zaszczycił. A przytem sprawiałoby to mogło wielbicielom Słowackiego niemałą przyjemność: pomyśleć, że w tym poecie, który tak »z gwiazdami rozmawiać« lubił, a w którego poematach i listach (*Anhelli, W Szwajcaryi, Dantyszek, Ojciec Zadziwionych*), gwiazdy tak wielką grają rolę, że w tym poecie-marzycielu płynęła krew dawnych królewskich astrologów...

Uważam, że nie bez pożytku będzie przytoczyć na tem miejscu kilka takich ustępów z listów poety, gdzie mowa o gwiazdach, albowiem dadzą one może do myślenia niejednemu, komu spokoju nie daje kwestya dziedziczności psychologicznej. Zdaniem H. Taine'a, Napoleon nie byłby takim, jakim był, gdyby w nim nie płynęła krew dawnych kondotierów włoskich, krew Macciavelów i Borgiów. Czemużby więc nie przypuścić, że Słowacki dlatego z takim zamilowaniem oddawał się obserwowaniu gwiazd na niebie, ponieważ przodkowie jego w XVI. wieku byli astrologami? Oto, co pisze np. w liście z Florencyi, pod datą d. 2-go stycznia 1838-go: »Wczoraj na Nowy Rok oddałem kilka wizyt i wieczór przepędziłem u pani Zdzisławowej Zamoyskiej, w gronie ziomek. Ona sama niedawno syna powiła, a ja mu zrobiłem horoskop, bo wiedzą wszyscy, że w mieszkaniu mejem mam wieżę astronomiczną, gdzie często z gwiazdami rozmawiam, więc wierzą we mnie, jak w astrologa«. Doprawdy, że czytając te słowa, mimowoli chce się wierzyć, że w chwili, kiedy je Słowacki pisał, pokutował

w nim atawistycznie duch któregoś z jego przodków... Może duch Mistrza Piotra? Wszystko jest możebne... W liście znów z d. 19-go maja 1838-go r., także z Florencyi, czytamy: »Nie dziw się droga, że tak wyrzekam: *oddawna moje przyjemności przywykłem czerpać z błękitnego tylko nieba i od dwóch miesięcy nie widzę gwiazd, chociaż teraz Oryon, konstellacya podobna do lutni, którą ja ukochałem, widząc ją w pustyni nad moim namiotem, musi być na szczycie nieba, i wiem, że się chce ze mną zobaczyć*«. O tej konstelacyi Oryona pisał raz bezpośrednio po przybyciu do Florencyi: »Ty rano wstajesz, Filu; szukaj o godz. 4-tej wschodzącej konstelacyi Oryona na wschodzie, a obaczysz gwiazdę moją ukochaną, która mnie przez cały rok prowadziła. Gwiazdy tak są ułożone

* * *
 *
* * * * *

Pierwszy raz poznałem się w Grecyi z tą lutnią niebieską. Za 2 miesiące ujrysz ją wschodzącą o 8-ej wieczorem«. Kiedy podróżując po Wschodzie, zamieszkał na sześć tygodni w klasztorze Maronitów na Libanie, obserwował niebo gwiazdziste, a jedną taką konstellacyę gwiazd naszkicował w dziennniku, z napisem: »Niebo widziane w Bet-chesz-ban dnia 29 marca 1837-go r. o godzinie 8-ej wieczorem«. (*Bibl. Warsz.*, 1891, IV, str. 352). Kiedy wracał stamtąd okrętem do Europy, pisał z nudów list do matki, a w liście tym donosił jej między innemi, co następuje: »Życie moje na statku jest bardzo jednostajne: wstaję przed wschodem słońca i *obserwuję gwiazdy, w których się teraz głęboko zaciekam, pomagając często oku naszym okrętowym teleskopem*. Potem widzę czerwieniące się niebo etc.« Tego Słowackiego, obserwującego gwiazdy *przez teleskop*, nie powstydzilby się Mistrz Piotr Słowaciusz, nadworny astrolog króla Zygmunta Augusta!... Wiezorami oddawał się również obserwowaniu gwiazd. »Wieczera (pisze w tymże liście) i *obserwacya gwiazd wschodzących dzień mój kończą*«.

Na zakończenie nie od rzeczy będzie może napomknąć, że Euzebiusz Słowacki, ojciec Juliusza (jakby przystało na potomka Piotrów, Stanisławów i Franciszków Słowackich), nie małemi odznaczał się zdolnościami do nauk matematycznych. Leon Borowski w życiorysie jego szczególnie na to kładzie na-

cisk. »W czasie pobytu swego w Krzemieńcu wypracował kilka rozpraw w materyach naukowych, równie dobrze wybranych, jak jasno i porządnie wyłożonych. Opisał życie i prace uczone Józefa Czecha (matematyka), w których dokładnym rozbiorze okazał, że *nauki matematyczne nie były Słowackiemu obcemi*. Nie należy zapominać, że Euzebiusz Słowacki, nim został profesorem wymowy i poezyi, był przez 8 lat przeszło... geometrą królewskim. Wszyscy trzej Słowaccy z XVI-go wieku, Piotr, Stanisław i Franciszek, byli nietylko astrologami, doktorami medycyny i filozofii, ale i matematykami...

III.

MŁODZIEŃCZY „IDEAŁ“ CHOPINA.

(Rzecz odczytana d. 25 marca 1899 roku na t. zw. »kawie czarnej« artystyczno-literackiej w sali Warszawskiego Ratusza).

»Może na moje nieszczęście — pisał 18-letni *Szopenek* do jednego ze swych przyjaciół — ale mam ja już mój *ideał*, któremu wiernie, nie mówiąc z nim, już pół roku służę, który mi się śni po nocach, na którego pamiątkę skomponowałem *Adagio* do mojego *Koncertu*¹⁾ i który mi inspirował tego *Walca*²⁾ dziś rano, co ci posyłam«. Ideałem tym była niejaka panna Konstancya Gładkowska.

Urodzona d. 10 czerwca 1810 roku, a więc o trzy miesiące tylko młodsza od swego genialnego wielbiciela, przyszła na świat w Warszawie, gdzie ojciec jej był Burgrabią w Zamku. W roku 1829, gdy stała się »ideałem« młodzieńczego Ariela fortepianu, była uczennicą warszawskiego Konserwatorium³⁾, w którym, pod kierunkiem Solivy, kształciła się w śpiewie.

W gmachu tegoż Konserwatorium (mieszczącego się wówczas na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Placu Zamkowego) nastąpiło jej pierwsze spotkanie się z Fryderykiem. Było to na dorocznym popisie. Chopin bywał na tych popisach, jako »najlepszy w całym mieście fortepianista«, jako jeden

¹⁾ F-moll.

²⁾ Des-dur, op. 70, Nr 3.

³⁾ Zob. o ówczesnem Konserwatorium Warszawskiem zajmujący artykuł Al. Kraushara w *Tygodniku polskim*, Nr 14, dnia 8 kwietnia 1899 r.

z przedstawicieli miejscowego świata muzycznego, w którym, choć najmłodszy wiekiem, zdobył już sobie jedno z najpocześniejszych miejsc. Konstancya wystąpiła tym razem, jako najcelniejsza uczennica Solivy. Przyszły twórca *Nokturnów* był niezmiernie wrażliwy na śpiew, zwłaszcza na śpiew kobiecy, a że panna Gładkowska, obdarzona pięknym mezzosopranem, nie tylko śpiewała bardzo ładnie, ale nadto była jeszcze śliczną jasnowłosą dziewczyną o szafirowych oczach, typowym dziewczęcym polskim, więc na popisie tym, oczarowawszy całe audytorium, rzuciła urok i na Chopina również... Od tej chwili począwszy, stał się »Pan Frycek« (jak go nazywano) podobnym do szekspirowskiego Romea, z tą różnicą jedynie, że młody Montechi odrazu wyznał swą miłość, gdy on nie mógł się zdobyć na tyle nawet, iżby się zbliżyć do swej Giulietty, żeby przemówić do niej. Kochał się w niej, marzył o niej, korzystał z każdej okazji, gdy ją mógł widzieć, spotkać na ulicy lub w kościele, ale trzymał się zdaleka, i kryjąc się ze swym uczuciem, nie miał dość odwagi i śmiałości, by z Konstancyą poznać się osobiście...

I tak upłynął szereg miesięcy, rok blisko. Gdy się poznali ostatecznie, niebawem nastąpiło zbliżenie, zawiązała się przyjaźń, zaczął się kleić romans... Inteligentna i wrażliwa, z usposobieniem artystycznym, nadzwyczaj miła i pełna wdzięku w obejściu, Konstancya posiadała wszelkie dane po temu, by nie tracić na bliższym poznaniu, lecz przeciwnie, zyskiwać. Tak też stało się i obecnie: młody artysta, w miarę, jak coraz więcej przestawał z tem »czułem stworzeniem« (jak w jednym z listów nazywa Konstancyę), coraz bardziej utwierdzał się w swym niewyznanym afekcie ku niemu. Nadzwyczaj muzyczna z natury, rozumiała i odczuwała go doskonale, co oczywiście nie pozostawało bez wpływu na jego miękkie serce... Jakoż chwile, które spędzali razem, bądź w Konserwatorium (w którym mieszkała Konstancya), bądź w Teatrze Narodowym na operach, bądź w Resursie na koncertach, oboje zaliczali do najprzyjemniejszych. Często ona śpiewała przy jego akompaniamencie (a nikt tak nie umiał akompaniować do śpiewu, jak »Pan Frycek«!) lub on przegrywał jej swoje najświeższe kompozycje, a choć, bywając w wielkim świecie, poprostu rozrywany po salonach Warszawy, miał niesłychane powodzenie u dam z najwyższych sfer towarzyskich, to jednak na niczyich

względach i pochwałach nie zależało mu tyle, co na dowodach sympaty i uznania ze strony tej skromnej córki Burgrabiego! W niej widział swój »ideal«, ona była mu natchnieniem, Muzą.

Był to czas właśnie, gdy panna Gładkowska, po skończeniu Konserwatorium, przygotowywała się do pierwszego publicznego wystąpienia na scenie Teatru Narodowego (którego gmach zajmował wtedy środek Placu Krasińskich). Operą, którą sobie za poradą Solivy — a może i Chopina — obrała na pierwszy debiut, była *Agnes Paëra*. Nazajutrz po tym debiucie, który się powiódł doskonale, pisał »zadowolony« Chopin do przyjaciela: »Lepiej jest ona na scenie, niż w sali. Nie mówię o grze tragicznej, wybornej, bo niema co powiedzieć. Jak frazuje, tobyś się rozkoszował; cieniuje precudnie, a chociaż z początku głos jej się trząsał ze wzruszenia, jednak później bardzo śmiało śpiewała... Na końcu przywołano ją i rzęsytymi okryto oklaskami«.

Od tej chwili, zaangażowana na scenę, Konstancya została śpiewaczką. Występowała z powodzeniem, do którego, obok pięknego śpiewu, w niemalym stopniu także przyczyniała się i jej niezwykła uroda. Szczególniej podobała się oficerom z pierwszych rzędów krzeseł... Znalazło się nawet kilku, co wtargnąwszy za kulisy, czynili możliwe wysiłki, by sobie zjednać uroczą śpiewaczkę, lecz ona »drwiła« z ich zalotów, bo prócz nich był tam jeszcze i Chopin... Wprawdzie jej nie wyznał swojej miłości, lecz mimo to domyślała się trochę »największego upału« w jego sercu, i dlatego unikała wszystkiego, coby go mogło zmartwić... Czy go kochała? Z tego nie zdawała sobie dokładnie sprawy, zdaje się jednak, że na dnie tej szczerej sympaty, jaką żywiła dla niego, kryło się uczucie mickiewiczowskiej Zosi, gdy mówi do Tadeusza: »Jużcić, jeżeli kocham, to już chyba pana«. Bądź co bądź Chopinowi, przy każdym spotkaniu z nią, na każde spojrzenie jej, żywiej biło serce... Przykrym dysonansem, który na tle podobnych »chwil jakiegoś lubego odretwienia«²⁾, coraz bardziej zamącał harmo-

1) Tarnowski, *Chopin i Grottger*, str. 20—21; »wtenczas, kiedy tylko kilku (oficerów) tobie najgoręcej podobać się chciało, a tyś z nich drwiła, bom ja tam był«... (Wyjątek z dziennika Chopina).

2) »Uderzony jednym niespodzianem *ideału* mego spoj-
9*

nię tych romansowych duetów, była myśl o rozstaniu, które im niebawem miało położyć koniec...

Termin wyjazdu Chopina za granicę w celu dalszego kształcenia się w muzyce, zbliżał się z dniem każdym... Na samą myśl o tem, myśl, która, jak złowrogi miecz Damoklesa, wisiała nad ich głowami, Fryderyk zapadał w coraz głębsze spleeny, a i Konstancya nie mogła sobie wyobrazić tej chwili rozłączenia się... może na zawsze... Często mówili o tem, a ile razy poruszyli tę bolesną kwestyę, natychmiast wesołość uciekała od nich, marszczyła się gładka powierzchwnia duszy. Ale jak tu nie mówić o rzeczy, która im wciąż stała przed oczyma! »Co to jest, gdy serce obalamucone! Nie zawsze człowiek szczęśliwy; może tylko kilka chwil w życiu przeznaczonych mu jest (kosztować szczęścia), więc czemuż odrywać się jeszcze od tych złudzeń, które i tak długo trwać nie mogą... Już mię szaly napadają mocniejsze, niż zwykle. Jeszcze siedzę, (bo) nie mam dosyć sił do wybrania się na wyjazd. Myślę, że opuszczam Warszawę po to, żebym nigdy już nie wrócił do domu... Dreczony takim przecuciem, przeczuwając nadto, iż porzuciwszy »wszystkie swoje skarby«, skazany będzie »na wieczne wzdychania«, nie mógł sobie miejsca znaleźć nigdzie, a w sercu czuł coraz większy smutek. »Wychodzę z domu, idę na ulicę, tęsknię i wracam do domu?... Po co? po to, żeby znowu tęsknić... Szczególniej lękał się bolesnej chwili pożegnania z Konstancyą, pożegnania, o którym wiedział z góry, ile ich będzie kosztowało obojga... Dlatego, myślał chwilami, czyby nie było najlepiej, wyjechać ukradkiem! »Mam szczerą chęć, po cichu, nie mówiąc nic nikomu, wyjechać od soboty za tydzień, bez pardonu, *mimo lamentów, płaczu, narzekania i padania mi do nóg*. Nuty w tłumok, *wstążeczka na sercu*, dusza na ramieniu, i w dyliżans«...

Zanim wyjechał jednak, dał jeszcze d. 11 października »koncert pożegnalny« w teatrze, koncert, na którym także śpiewała i panna Gładkowska. Powodzenie było ogromne, a Konstancya — którą on sam pod rękę wprowadzał na scenę — śpiewała piękniej, niż kiedykolwiek. »Biało, z różami na głoszeniem w kościele (u Bernardynów), *właśnie w chwili jakiegoś lubego odretwienia*, natychmiast wybiegłem na ulicę i z kwadrans nie wiedziałem, co się ze mną stało. Taki czasem waryat się ze mnie robi, aż strach!« (Z listu do T. Wojciechowskiego).

wie, do twarzy prześlicznie ubranej, odśpiewała — przy akompaniamencie orkiestry pod dyrekcją Solivy — *Cavatine z La donna del lago* z recitativem tak, jak (oprócz ariy w *Agnes*) nie jeszcze nie śpiewała. Znasz to *O, quante lagrime per te versai...* Powiedziała *tutto detesto* aż do *u* dolnego tak, że Zieliński utrzymywał, że to jedno *u* tysiąc dukatów warte.

We dwa tygodnie po tym koncercie wypadło Fryderykowi pożegnać się z ukochaną, tym razem już naprawdę. Jaka seena rozegrała się między nimi w tym dniu pamiętnym — dokumenty milczą. Pewnem jest tylko to, że nim się rozstali, zamienili pierścionki ¹⁾.

Dnia 2 listopada 1830 roku wyjechał Chopin z Warszawy. Po upływie dwóch miesięcy, w drugie święto Bożego Narodzenia, pisząc z Wiednia do swego przyjaciela Matuszyńskiego, zaczął swój list od następujących słów: »Przeszłego roku o tym czasie byłem u Bernardynów (z Konstancją). Dzisiaj w szlafroku sam jeden siedzę, *pierścionek gryzę* i piszę«. Już to wogóle od chwili, gdy się znalazł za rogatkami warszawskimi, co moment przypatrywał się temu pierścionkowi, okrywał go pocałunkami, a myśląc o tej, od której dostał tę wymowną pamiątkę, był jak ów bohater z poematu Słowackiego *W Szwajcaryi*, który »usychał z żalu, omdlewał z tęsknoty«. Gdziekolwiek się obrócił, nigdzie o niej zapomnieć nie mógł, wszystko zaś, co mu przypominało jej wdzięczną postać, miało dlań podwójny urok, tak dalece, że np. bywając w różnych polskich domach w Wiedniu, najchętniej odwiedzał panią Bajerową, dlatego, że i jej także było na imię Konstancja, że »w domu tej zacnej Polki« wszystko było znaczone jej imieniem, począwszy od nut a skończywszy na chustkach do nosa, i że tem samem wszystko mu tutaj »przez reminiscencyę« przypomniało piękną burgrabiankę... Swoją drogą nie potrzebował aż takich dotykalnych znaków przypomnienia, bo i bez tego myślał o niej prawie ciągle, a gdy pisał do Matuszyńskiego, wtajemniczonego w jego sercowe dzieje, to najwięcej miejsca zajmowały w tych listach »banialuki« o Konstancji. »Z nikim

¹⁾ Dowodów na to nie brak. O pierścionku, ofiarowanym Chopinowi przez Konstancję, znajdują się w jego listach do Matuszyńskiego kilkakrotne wzmianki. O pierścionku zaś, który Chopin ofiarował Konstancji, posiadam wiadomości od wnuka Konstancji p. St. Karpińskiego. Będzie o nich mowa później.

poufalości, ze wszystkimi grzecznie obchodzić się muszę. Mam ludzi, co mię niby lubią, co mię malują, mizdżą się, przymilają. Cóż mi z tego, kiedy spokoju nie mam? Chyba, jak sobie wszystkie wasze wydobędę listy, otworzę widok króla Zygmunta (i Zamku, gdzie mieszkali rodzice Konstancyi), *na pierścionek spojrzę...* Uściskaj odemnie wszystkich moich kolegów. Daj buzi! Ja ciebie chyba razem z życiem, z rodzicami, chyba razem z *nią* kochać przestanę. Mój drogi, pisz do mnie, nawet pokaz *jej* ten list, jeżeli ci się zdaje... Jeżeli cię tak W... szczerze kocha, jak ja, to *Konst...* Nie mogę nawet nazwiska napisać; ręka moja niegodna... Ach, włosy sobie wyrwam, kiedy wspomnę, iż mogą o mnie zapomnieć!... *Ze mnie dziś Otello!*.. Mój portret, o którym ty i ja tylko mamy wiedzieć, podobniuteńki. Jeżelibyś myślał, że choć trochę przyjemności zrobi (Konstancyi), przez Schucha ci go przysłę... Do listu tego dołączył Chopin jeszcze »bilecik« dla panny Gładkowskiej, który to liścik miał *jej* Matuszyński wręczyć osobiście... W tydzień później, nie otrzymawszy żadnej od przyjaciela swego odpowiedzi w tej kwestyi, pisał do niego Chopin, widocznie zaniepokojony tem milczeniem z jego strony, co następuje: »Najdroższa istoto! Masz, coś chciał! Odebrałaś list? Oddałaś?... Żałuję dziś tego, com zrobił. Rzuciłem promyk nadziei tam, gdzie tylko same ciemności i rozpacz widzę. Może ona zadrwi, może zażartuje? Może... Listu od ciebie nie mam! Rodzicom powiedz, żem wesół, że mi niczego nie brak, że się bawię paradnie, że nigdy sam nie jestem. *Jej* to samo powiedz, jeżeli będzie drwiła! Jeżeli zaś nie, to *jej* powiedz, żeby była spokojną, że się wszędzie nudzę... Pisz jak najwięcej. Piszesz, że wychodzisz z pulkiem. Jakże więc oddasz bilecik? Nie przesyłaj... Ostrożnie! Może rodzice... Możeby źle sądzono!«...

Upłynęło pół roku. Artysta, po 8-miesięcznym pobycie nad Dunajem, przeniósł się pod koniec sierpnia do Stuttgartu, ale i tam poszło za nim rzewne wspomnienie Konstancyi. Skołatany i rozstrojony ówczesnymi wypadkami politycznymi, o których się dowiadywał z dzienników, a jednocześnie pozbawiony wszelkich wiadomości z Warszawy, niespokojny o swoich najbliższych i... o *nią*, nie wiedząc, co się z nimi dzieje, czy zdrowi, czy żywi, dręczony najsroższą niepewnością, ile razy z tych szarpających uczuć spowiadał się w swym dzienniku, zawsze mu obok postaci rodziców, siostr i najserdeczniejszych

przyjaciół i jej ukochane widmo stawało przed załzawionemi oczyma. Wciąż myślał o niej, tęsknił za nią, niepokoił się o nią. Na bezbrzeżny smutek, tchnący z napisanej teraz właśnie żalobnej *Etiudy C-moll*, złożyła się w znacznej części także i myśl o tem »czułem stworzeniu«, od którego pierścionek nosił na palcu... »Co się z nią dzieje? gdzie jest? Biedna, może w rękę żołdackiem... Żołnierz ją dusi, morduje, zabija! Ach! Życie moje, ja tu sam! Chodź do mnie; otrę lzy twoje, zagoję rany teraźniejszości, przypominając przeszłość... Masz matkę? i taką złą... a ja mam taką dobrą... A może już wcale matki nie mam?« Dreczony tak rozpaczliwemi przywidzeniami, przyczem nieustannie troszczył się o swój błękitnooki »ideal«, miewał i takie czarne chwile, że wątpiąc o wszystkim, zaczynał wątpić i o stałości Konstancyi... »Czy ona mnie kochała, czy tylko udawała? — to sęk do odgadnienia. Tak, nie tak, tak, nie tak, nie tak, palec w palec!... Kocha mnie? Kocha mnie pewno... Niech robi, co chce!«

W tak ponurym nastroju znalazł się Chopin w końcu września na paryskim bruku. Choć wpadł tu odrazu w wir życia artystycznego i muzycznego, a niebawem i emigracyjnego polskiego, choć go z początku oszołomiała atmosfera nadsekwańskiej stolicy, i choć do smutku i melancholii — zdawało się na pozór -- nie miał najmniejszych przyczyn, to jednak nie mógł się opędzić napadom tęsknoty i żalości. Między innymi trapiło go to, że od niejakiego czasu absolutnie był pozabawiony wiadomości o Konstancyi. Zaczęło mu to dawać do myślenia, a tem samem przyprawiało o niepokój. W tem uczuciu pisał raz do Wojciechowskiego. »Ach, jakżebym chciał ciebie mieć przy sobie! Nie uwierzysz, jak mi smutno, że nie mam komu się wyjęczyć. Wiesz, jak łatwo zabiorę znajomość, wiesz, jak lubię towarzystwo ludzkie, więc też takich znajomości mam po uszy, ale z nikim, z nikim westchnąć nie mogę! Jestem zawsze, co się tyczy uczuć, w *synkopach*. Wesołym powierzchownie, szczególnie gdy się znajduję pomiędzy swoimi, ale wewnątrz coś mię morduje. *Jakieś przeczucia niedobre*, niepokój, złe sny, albo bezsensowność, tęsknota, obojętność na wszystko, chęć życia, to znów chęć śmierci.«

Jeżeli owe niedobre przeczucia tyczyły się Konstancyi, to sprawdziły się prędzej znacznie, aniżeli biedny artysta nawet przypuszczał. Bo zaliż mógł podejrzewać, gdy dnia 25

grudnia 1831 r. pisał swój list do przyjaciela, że w tej chwili Konstancya już za niecałe dwa tygodnie miała stanąć na ślubnym kobiercu... Że tak było, niestety, o tem fatalna wieść miała nań, niczem piorun z jasnego nieba, spaść lada dzień.

Rzecz miała się tak. W tym samym czasie mniej więcej, gdy Chopin stanął w Paryżu, przyjechał do Warszawy pewien młody człowiek, który, poznawszy pannę Gładkowską, zachwycony jej urodą i przymiotami duszy, niebawem poprosił o jej rękę. Ponieważ wszystko przemawiało za nim, więc został przyjęty. Był nim 28-letni Józef Grabowski, syn powszechnie znanej i szanowanej rodziny Grabowskich. Przyjechał z Petersburga, gdzie był urzędował w Sekretaryacie Stanu Królestwa Polskiego. Jako rodzony brat Jana Grabowskiego, znanego kupca, i Edwarda Grabowskiego, głośnego mecenasa (zmarłego niedawno), był bardzo dobrą partya, nie pod względem materyalnym wprawdzie, gdyż wielkiego majątku nie miał, ale za to pod wszelkimi innymi. Inteligentny, wykształcony, stateczny, młody, a przytem bądź co bądź mogący się nazwać zamożnym, gdy się zakochał w pięknej śpiewaczce, umiał sobie zdobyć jej względy, tak, iż zdecydowała się zostać jego żoną.

A Chopin? Na niego liczyć nie mogła. Wiedziała, że wyjeżdżając za granicę, nie wyjeżdżał na krótko, a co ważniejsze, okoliczności składały się w taki sposób, że wcale nie dało się ręczyć za to, czy Fryderyk wogóle powróci do kraju... Powtóre, choć miała dlań wiele sympatyj, to jednak był on za młody dla niej; mając lat 20, trudno, aby myślał o małżeństwie. Lubo genialny, jako muzyk, prawie był dzieckiem jeszcze, a jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny, to stanowczo wyglądał na chłopaczka, który ledwo dzieckiem być przestał. Zdecydowały się zostać artystą, po to wyjechał za granicę, by się kształcić w kierunku muzycznym, a nikt nie wątpił, że te studia potrwać mają lat parę a może i kilka. Co się tyczy jego miłości, to Konstancya, jakkolwiek się jej domyślała, nigdy nie przypuszczała wszakże, by to zakochanie się mogło być tak wielkiem, a powtóre, choćby nawet było jaknajgorętszem; to było to uczucie studenckie, którego panna, w jej wieku, nie mogła brać na seryo. Ona mając lat 20, była zupełnie dojrzałą, on zaś, będąc jej rówieśnikiem, nie mógł sobie do nazwy człowieka dojrzałego rościć pretensyi. Niepodobna wymagać

zresztą, iżby znalazłszy się w jej położeniu, panna chciała czekać na człowieka, z którym nie była związana żadnem słowem, a który, przy wrażliwości swego artystycznego i trzpiotowatego usposobienia, bardzo łatwo mógł zapomnieć o niej. A może nawet już zapomniał! W Paryżu miał aż nadto sposobności po temu...

Wszystko to, razem wzięte i rozważone, sprawiło, że panna Gładkowska, z zupełnie czystem sumieniem i nie robiąc sobie żadnych skrępulów z powodu Chopina, została dnia 31 stycznia 1832 roku panią Józefową Grabowską...

Swoją drogą Chopin, gdy mu o tym ślubie napisano do Paryża, nie przyjął wieści o nim obojętnie. Czy po otrzymaniu jej zdjął z palca pierścioneł Konstancyi? Nie wiemy. Wiemy natomiast, że go cała ta sprawa ogromnie żywo obeszła, i że pod wpływem tego zawodu napisał muzykę do wiersza Witwickiego:

Muzykantów zaproszono,
Na godach śpiewałem,
Innego została żoną,
Ja zawsze kochałem.

Dziś dziewczęta mnie wyśmiały
Gorzko zapłakałem,
Próżnom wierny był i stały
Próżno pierścień dalem.

I został mu na dnie serca pewien osad rozgoryczenia, które odtąd, ile razy mówił o kobietach, prawie zawsze dawało się zauważyć w jego słowach. Rozumiał wprawdzie, że okoliczności aż nadto usprawiedliwiały postępek Konstancyi, że nie można się jej było dziwić ani poczytać za złe, jeśli w takich warunkach nie wahała się zostać panią Grabowską, lecz mimo to miał żal do niej, że »próżno wierny był i stały«. Upłynęło lat kilka, a żal ten, pomimo wszystkiego, co zaszło w tym okresie życia Chopina, odzywał się ciągle. Gdy raz, na przyjęciu u hrabiny Collin-Maillard, zagadnął go Albert Grzymała w kwestyi jego »ran sercowych«, o których wiedział cośkolwiek, miał mu podobno Chopin — w przeddzień poznania się z p. Sand — odpowiedzieć w te słowa: »Serce moje niezawodnie wyszło dzisiaj do głębi, ale był czas, że pełne ono było po brzegi skarbów uczucia. O, i ja kochałem, i jak kochałem! a choć nieraz opowiadałem ci o tem, dziś jeszcze,

kiedy pomyślę jak mój *anioł pokoju* wyglądał, na jakie męki skazało mnie moje z nim rozstanie, kiedy przypomnę, z jakim drżeniem rozkosznem i strasznem zarazem odbierałem listy Matuszyńskiego, w których mi o nim donosił, to staje mi przed oczyma obraz szczęścia, jakie już dawno minęło i jakie nigdy nie wróci. Niestety i ten anioł, była to tylko zwykła Konstancya, zwykła kobieta, i ona także o towarzyszu lat młodości zapomniała i ona oddała rękę innemu. Winić jej jednak nie śmiem. Nie wszystkim sercom dała natura taką, jak mnie, wytrwałość i stałość, i są ludzie, dla których potrzeba ciągle mieć przed oczyma przedmiot ukochany, aby móc dla niego zachować. Czy wszystkie kobiety takie, rozstrzygać nie chcę, alem już nie ciekawy i w sercu mojem nie masz dla nich miejsca. Prawdziwie kocha się raz w życiu...¹⁾

Tymczasem młodzi państwo Józefowie Grabowscy, po roku, spędzonym w Warszawie, przenieśli się na wieś, do nabytego umyślnie w tym celu Raducza pod Rawą w Piotrkowskiem. Tutaj śród ciszy wiejskiej, żyli szczęśliwi, w najlepszej harmonii, ciesząc się dziećmi, których im Bóg dał pięćoro²⁾. Życie im płynęło spokojnie i bezkłopotliwie: on był wzorowym obywatelem ziemskim, ona zaś, z pięknej śpiewaczki, tak gorąco oklaskiwanej przez publiczność warszawską, a zwłaszcza przez młodych melomanów, przedzierzgnęła się w doskonałą gosposię, całą duszą oddaną domowi, mężowi i dzieciom. Za sceną, którą była opuściła zaraz po zamażpójściu, zdaje się nie tęskniła, co nie znaczy wcale, ażeby w dalszym ciągu, w chwilach wolnych od zajęć obowiązkowych, nie uprawiała muzyki i śpiewu. Utwory Chopina, którego sławą już rozbrzmiewała cała Europa, miały w niej gorącą zwolenniczkę... Pozatem bardzo wiele czytała. Wogóle dwór w Raduczu odznaczał się poziomem umysłowym, jaki się spotyka nie wszędzie po wsiach...

Tak przeszło lat kilkanaście. W roku 1845 spadło na dom Józefa Grabowskiego wielkie nieszczęście: pani Konstancya ociemniała. Stało się to w następujących okolicznościach.

¹⁾ Zob. Aër (Adam Rzażewski). *Opowiadania i studia*. Poznań, 1885. *Kontrasty. Ustęp z życia Chopina*, str. 69.

²⁾ Z tych żyje tylko jeden syn, Stanisław Grabowski, sędzia gminny w Kaliszu. Starsza córka wyszła za Karpińskiego. Od syna jej, p. Stanisława Karpińskiego, mam podane tu wiadomości o Konstancyi..

»Czytała noc całą *Żyda wiecznego tułacza*, w owe czasy bardzo poczytną książkę. Nazajutrz doznała szalonego bólu oczu, a już w pół roku potem zaniewidziała¹⁾. »Naprawdę obwoził ją gorąco przywiązany mąż po sławnych okulistach europejskich: do końca nie odzyskała wzroku²⁾. Mimo to — pisze o niej spokrewniony z nią przez żonę twórca *Goplany* — los swój zносиła z rzadką rezygnacją, w uczuciach religijnych czerpiąc niespożytą moc ducha. Zajęta domem, wychowaniem dzieci, pomocna mężowi we wszystkich sprawach życiowych, rozumna, dowcipna, wesoła, otoczona była uwielbieniem rodziny i okolicy...³⁾. Od chwili, gdy ją Bóg dotknął tak straszmem kalectwem, stała się wielce pobożną, książka bowiem, która ją przyprawiła o ślepotę, była na indeksie...⁴⁾.

W r. 1878 umarł Józef Grabowski, poczem Raducz został sprzedany (za 40.000 rubli), a pani Konstancja przeniosła się do Skierniewic, gdzie też odtąd zamieszkała na stałe. O tym końcowym okresie jej życia pisze Wł. Żeleński: »W ostatnich latach wdowiego osamotnienia, po stracie dwóch córek, zażyła się do muzyki i do fortepianu. Najbliżsi opowiadali, iż często siadała do ulubionego instrumentu, improwizowała lub przypominała sobie dawne melode. Starość jej otaczał urok poezyi. Po życiu pełnem trosk, mimo kalectwa, wracała pogodną duszą do wspomnień młodości i do muzyki... Niezależnie od tego rządziła domem, prowadziła gospodarstwo. Ciężkie, kilkadziesiąt lat trwające kalectwo nie zdołało osłabić jej energii, życia, łagodności i zadziwiającej inteligencji. Literatura, sztuka, polityka, interesowały ją aż do ostatnich chwil... Wspomnienie Chopina sprawiało jej zawsze niewysłowioną przyjemność. Wielce lubiła opowiadać o nim (co za szkoda, że nikt opowiadań tych nie spisał!), a gdy wyszła książka Karasowskiego, kazała sobie po kilka a nawet kilkanaście razy odczytywać różne z niej ustępy, zwłaszcza listy

1) Na podstawie listu synowej p. Konstancyi, pisanego do p. Stanisława Karpińskiego.

2) Z artykułu Wł. Żeleńskiego z powodu książki Nieksa o Chopinie. Bibl. Warsz. 1891, II, 472.

3) Zob. tamże.

4) Z listu p. Stanisława Karpińskiego do mnie. P. St. Karpiński mieszka w Petersburgu, gdzie pracuje przy tamtejszym oddziale Banku Handlowego warszawskiego.

do Wojciechowskiego i Matuszyńskiego, w których tyle jest mowy o »ideale«. Pierścionek od Chopina, starannie przechowywany w toalecie, pokazywała chętnie: była to staroświecka z cienkiego druciku obrączka, z oczkiem brylantowem, w srebro oprawnem. Gdy ją raz zapytała synowa, czy nie żałuje, że nie została żoną Chopina? »Ani chwili, odrzekła, gdyż w kalectwie, jakie mnie w życiu spotkało, może Chopin nie okazałby się tak dobrym mężem, jak mój, gdyż był nerwowy, fantasta, słabowity«. W każdym razie, gdy jej po raz pierwszy czytano książkę Karasowskiego, była zdziwiona niepomalu, nie przypuszczała bowiem, jak mówiła, iż Chopin aż do tego stopnia pałał ku niej miłością... ¹⁾

Dnia 20 grudnia 1889 roku, w równych lat 40 po śmierci tego, który jej swem uczuciem zapewnił nieśmiertelność, Konstancya rozstała się z tym światem. Umarła w Skierniewicach. Pochowana w Babsku, parafii wsi Raducz, obok męża ²⁾.

¹⁾ Na podstawie listu p. St. Karpińskiego.

²⁾ Na podstawie listu p. St. Karpińskiego.

IV.

»SIŁA FATALNA« POEZJI SŁOWACKIEGO.

.....
Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica,
Ani dla mojej lutni, ani dla imienia;
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie, jak dźwięk pusty, trwać przez pokolenia.

.....
Jednak zostanie po mnie ta *siła fatalna*,
Co mi żywemu na nic, tylko czoło zdobi,
Lecz *po śmierci was będzie gniotła niewidzialna*,
Aż was, zjadacze chleba, w aniołów przerobi.

Tak pisał Słowacki w poetycznym *Testamencie* na krótko przed śmiercią, a gdy ta śmierć w dniu 3-im kwietnia 1849 r. nastąpiła wreszcie i śmiertelne szczątki poety spoczęły na paryskim cmentarzu Montmartre, odtąd zaczęło się działanie tej »siły fatalnej« jego poezji, która nas, przywiązanych do ziemskiego padole »zjadaczów chleba«, ma ostatecznie przerobić w aniołów. Czy to nastąpi kiedykolwiek? *That is the question*. Bądź co bądź nie staliśmy się nimi jeszcze, choć upłynęło pół wieku od chwili, gdy wzniosła ta przepowiednia wypłynęła z pod natchnionego pióra wieszczka. Imię jego, wcale niepodobne do »pustego dźwięku«, trwa już przez trzecie pokolenie, a sława jego, której tak mało kosztował za życia, wzrasta z dniem każdym... Wprawdzie i dziś jeszcze, jak za życia, ma on swoich antagonistów, którzy, oślepieni wielkością Mickiewicza, nie chcą obok niego widzieć nikogo, ale zastęp ten może się tylko zmniejszać z biegiem czasu, nigdy zwiększać. W każdym razie na jedno godzą się obecnie wszyscy prawie,

że choć Mickiewicz, jako autor *Pana Tadeusza* i *Improwizacyi* przerasta Słowackiego, podobnie, jak Goethe, jako autor *Fausta* przerasta Schillera, to jednak różnica pomiędzy nimi nie jest tak wielka, by posąg Słowackiego nie był godzien stanąć obok posągu Mickiewicza *na równej wysokości*, podobnie, jak to widzimy na słynnym pomniku Goethego i Schillera w Weimarze...

»A tych dwóch wodzów? Czy ty myślisz, Irydyonie, że tworząc ów myt jedności i przyjaźni, nie ludziłem się słodką nadzieją, że kiedyś i nas tak ludzie we wspomnieniach powiążą i na jednym stosie postawią...« Kreśląc te słowa w przypisaniu *Lilli Wenedy* Krasińskiemu, wyobrażał sobie Słowacki, że z czasem jego i Krasińskiego nazwiska naród tak razem wymawiać będzie, jak się wymienia obok siebie Kastora i Polluksa, Byrona i Shelleya, Mozarta i Beethovena, Dantego i Petrarri, Ariosta i Tassa. Wyobrażał sobie nawet, że w tem ich zestawieniu pierwszeństwo będzie po stronie Krasińskiego, »bo kiedy ty — pisał do niego w przepięknym liście, poprzedzającym *Balladynę* — dawne posągowe Rzymian postacie napelniasz wulkaniczną duszą wieku naszego, ja z Polski dawnej tworzę fantastyczną legendę, z ciszy wiekowej wydobywam chóry prorockie i na spotkanie twojej czarnej *Dantejskiej* chmury, prowadzę lekkie, tęczowe i *Ariostyczne* obłoki, pewny, że spotkanie się nasze w wyższej krainie nie będzie walką, ale tylko grą kolorów i cieni, z tym smutnym dla mnie końcem, że twoja chmura *większym wichrem gnana i pełniejsza piorunowego ognia*, moje wietrzne i różnobarwne obłoki roztrąci i pochłonie«. Takie było przekonanie Słowackiego jeszcze w roku 1841-ym. Pod koniec życia jednakże zmienił swój pogląd w tej kwestyi, z porównania bowiem poezyi swojej z utworami innych współczesnych sobie poetów polskich, doszedł do wniosku, że tym poetą, obok którego imię jego po wieczne czasy zapisanem będzie, jest nie Krasiński, lecz Mickiewicz. W swoich rozmowach w r. 1847 z Felińskim nieraz poruszał ten temat, a zawsze ponad wszystkich poetów wynosił Mickiewicza. O Krasińskim i Zaleskim, których sława dosięgała wtedy zenitu, tak, iż zamieniała samego nawet autora *Pana Tadeusza*, wyrażał się z krytycyzmem, pod którym dzisiejszy *vox populi* niezawodnie podpisałby się bez zastrzeżeń. »Oni — mówił do Felińskiego o Zaleskim i Krasińskim — przysypują *nas* (t. j. Mickiewicza

i Słowackiego) popiołem; ale przyjdzie czas, że wiatr zmiecie ten *popiół*, a *czyste złoto* zostanie».

Upłynęło lat pięćdziesiąt, i słowa poety sprawdziły się w zupełności: wiatr zmiótł popiół, a temi postaciami dwóch poetów narodowych, które się wyłoniły z pod niego, są Mickiewicz i Słowacki.

Poróżnieni i poróżniani emigracyjnem plotkarstwem, nie lubiący się osobiście (co zresztą nie przeszkadzało Słowackiemu wielbić w Mickiewiczu genialnego poety), dziś wysunęli się na samo czoło naszego dziejowego i cywilizacyjnego pochodłu i prowadzą nas w krainę przyszłości, podobnie jak lud Izraela prowadzili jego prorocy... W pochodzie tym rola Słowackiego, jako duchowego wodza, nie jest wcale późniejszą od Mickiewiczowej, a chwilami ma się nawet wrażenie, że »dumny Juliusz« miał prawdziwe jasnowiedzenie, gdy na owej pamiętnej uczcie u Januszkiewicza, zwracając się do Mickiewicza, zawołał:

Przyszłość moja,
I moje będzie za grobem zwycięstwo!

Nie jest to zwycięstwo na wszystkich polach, ale na jednym, mianowicie na polu poezyi i sztuki, zdaje się ono nie podlegać najmniejszej wątpliwości¹⁾.

Choć niema dwóch zdań w tej kwestyi, że twórca *Pana Tadeusza* i *Powieści Wajdeloty* góruje nad autorem *Beniowskiego* i *W Szwajcaryi*, to jednak, dziwna rzecz, poezya polska poszła nie w tym kierunku, jaki jej wytknął Mickiewicz, lecz w tym, który jej wskazał Słowacki. Autor *Dziadów*, choć genialniejszy i zdrowszy, jaśniejszy i prostszy, aniżeli jego dumny współzawodnik, nie może się pochlubić twierdzeniem, że wywarł wpływ na przyszłe generacje poetów... Przeciwnie Słowacki: prawie

¹⁾ Swoją drogą, w dwadzieścia parę lat po śmierci Słowackiego, całe pokolenie hołdowało aż do przesady jego ideałom. Uwielbienie dla twórcy *Kordyana* stało się aż chorobliwem, a jego wiersz *Do autora Trzech psalmów* cieszył się popularnością, jaką z dzieł Mickiewicza cieszyła się podówczas tylko jedna może *Oda do młodości*. Jeżeli dzisiejsza epoka jest Mickiewiczowska, to poprzednim duchowym przewodnikiem społeczeństwa był stanowczo Słowacki... Kto będzie panem następnej epoki? Mnie się zdaje, iż czas Słowackiego dopiero nadejdzie, wszystko bowiem, co się dziś jeszcze pisze o nim, jest jego *nie-docenianiem*, jako poety.

wszyscy poeci, którzy po nim zdobyli sobie zaszczytne miejsce na Parnasie polskim, są jego, Słowackiego, duchowemi dziećmi. Wpływ, jaki Słowacki wywarł na poezję polską w drugiej połowie XIX wieku, da się porównać z jednym tylko wpływem Byrona na wszystkich poetów pierwszej połowy naszego stulecia.

Co najciekawsze, że wpływ ten zaczął się już za życia poety, wówczas, kiedy jeszcze on sam ginął w cieniu, rzuconym od olbrzymiej postaci Mickiewicza, i kiedy imię wieszczca *Dziadów* było na ustach wszystkich, a o Juliuszu Słowackim wiedziała zaledwie nieliczna garstka...

Mimo to, pierwszy wielki poeta, który wtedy na widownię literacką wystąpił, mianowicie Kornel Ujejski, dowiódł zaraz swem pierwszym wystąpieniem, *Skargami Jeremiego*, że się zaciągnął pod sztandar Słowackiego i jego uważa za swego duchowego ojca! Dowodzą tego aż nadto wyraźnie różne wiersze Ujejskiego, jak: *Smutno nam, Boże!* będące naśladowaniem prawie niewolniczem Słowackiego *Smutno mi, Boże!*, lub *Hymn do Matki Boskiej*, zaczynający się od słów: »Bogarodzico Dziewico«, a nie będący niczem innem, tylko piękną parafrazą *Hymnu do Bogarodzicy* Słowackiego. Cały język poetycki Ujejskiego urobiony jest na Słowackim... Dowodem kultu, jaki Ujejski żywił dla Słowackiego, jako człowieka, pozostanie fakt, że swego pierwszego syna przezwał Kordyanem... Nadto jest jeszcze Ujejski autorem podniosłego wiersza *Do autora Kordyana*:

On pasterz z niebem sojusz odnawiał,
Gwieżdżąc się myślą na szlaku,
On co już nieraz z Panem rozmawiał
W ognistym krzaku.

On taki wielki! a gdy obaczył
Płacz cierpiącego jagnięcia,
Do jego skargi zniżyć się raczył
Z błękitów wzięcia.

Bo on zrozumiał życia zawilość,
I choć go ducha wynosi dzielność,
On rzekł duchowi: przez niższych miłość
Płyn w nieśmiertelność!

W poezyi Asnyka także dźwięczą niejednokrotnie odgłosy poezyi Słowackiego, o uwielbieniu zaś, jakie największy z naszych poetów ostatniej doby żywił dla twórcy *Anhellego*, świadczy chociażby jego znakomite studyum o *Królu Duchu*,

stawiające poemat ten po raz pierwszy na tej wyżynie, na jakiej go przedtem nikt postawić nie śmiał. Nadto jest Asnyk, jak wiadomo, autorem *Snu grobów*, poematu, w którym Słowackiego tak samo nazywa swym mistrzem, jak nim w *Boskiej komedyi* Dante nazywa Wergiliusza.

Oto np. wyjątek z tego największego poematu Asnyka, dotyczący Słowackiego, którego poeta ukazuje w apoteozie, w otoczeniu głównych stworzonych przezeń postaci: Rozy i Lilli Wenedy, Anhellego i całego korowodu innych bohaterów i bohatererek jego poezyi...

Od strony morza, nad urwiska bokiem,
Obok krateru, co wieczyste płonie,
Ostonion dymu przejrzystym obłokiem,
Ze łzami w oczach, w błyskawic koronie,
Na piedestale, z złotą harfą w rękę,
Siedział lutnista na obłocznym tronie;
Nogę swą oparł na liktorskim pęku,
I drżącą rękę kładł na złote struny,
A harfa jego orężnego szczeku
Pełna, a dla niej przygrywką — pioruny.
Posąg to w przyszłość obrócon daleką,
Zagadkowemi wypełniony runy;
Przed nim duch ludu trzaska trumny wieko,
A obleczony szatą purpurową
Na krwawe strugi spogląda, co cieką.
Dalej Polelum, pod jutrznią tęczową,
Na piersiach brata umarłego trzyma¹⁾,
Trupią dłoń jego wznosi ponad głową
I u chmur żebrze piorunów oczyma.
Obok na stosie strzaskanych oręży,
Przy popielnicy z prochami olbrzyma,
Dwie dziewic: jedna wstrząsa kłębek węży
I nóż skrwawiony, jak Nemezys gniewna,
Woła: »Kto za mną, nim umrze, zwycięży!«²
Druga w liliowym wianku lutnia śpiewna
Wiatrom się skarży, że nad sercem ludu
Więcej ma władzy płaczącego drewna
Nieczuły kawał i nadzieja cudu,
Niżli królewska boleść, stos ofiarny
I cała przyszłość spodlenia i brudu³.
A z drugiej strony tętni jeździec czarny
I całun śniegu piersią konia kraje,
Zwrócony biegiem ku gwiazdzie polarnej

¹⁾ Patrz zakończenie *Lilli Wenedy*.

²⁾ Roza Weneda.

³⁾ Lilla Weneda.

Grzmiało przyzywa: »Kto rycerz niech wstaje!«¹⁾
Tak coraz dalej w okolo lutnisty
Widziałem całą białych widem zgrają,
Zarysowaną z lekka w wieniec mglisty,
Który wypełniał ciemne tło obrazu,
Składając jeden długi sen kwiecisty

.....
Gdy tak sam z sobą bój począłem staczać
Wtopiony wzrokiem w *chmurną postać wieszczą.*
i t. d., i t. d.

Prócz tego napisał jeszcze Asnyk podniosły wiersz *Do Juliusza Słowackiego*, w którym tak powiada między innymi:

Bo święte hasła Twoje, to nie hasła chwili,
Co przepadają marnie w ciężkich dniach rozbicia;
Wiara Twa nie zawiedzie, miłość nie omyli,
Lecz poprowadzi naród do nowego życia.

To też

Potomność już wyrok ogłaszać poczyna
I laur, który od dawna Tobie się należy,
Pośród nowszych pokoleń bierzesz z rąk młodzieży!

Zdaniem Asnyka, Słowacki jest tym poetą, który najwięcej wpłynął na dwa ostatnie pokolenia naszego społeczeństwa, on bowiem »nie dał zmęczonym usypiać w letargu«, a pieśń jego »jak orkan wstrząsnęła śpiącą grobów ziemię...«

Marya Konopnicka także jest duchową córą Słowackiego. W jej *Romansie wiosennym* brzmią echa Juliuszowej sielanki *W Szwajcaryi*, jej *Imagina* jest naśladowaniem *Bemowskiego*, jej wstrząsające *Do granicy* jest pisane pod wyraźnym wpływem *Ojca Zadźmionych*, a jej poetyczny język, tak bogaty i mieniący się wszystkimi barwami tęczy, tak jest podobny do języka Słowackiego, jak czasami syn bywa podobny do ojca... Słowackiego *Rozmowa z matką Makryną Mieczysławską* zdaje się być tym poematem, który najsilniej odbił się na twórczości największej z polskich poetek...

Wiktor Gomulicki przyznaje się otwarcie, że już wtedy, gdy mieszkał *Na Kanonii*:

Choć poematy moje pierwsze
Brano pod placki,
Co noc pisałem wściekle wiersze
A la Słowacki.

¹⁾ Ob. zakończenie *Anhellego*.

Jest on wogóle fanatycznym wielbicielem Słowackiego, a kiedy pisał swoją dowcipną *Kocię*, to poematem, który mu służył za wzór, był *Beniowski*. W jego prześlicznych *Pieśniach weneckich* jedną z najpiękniejszych strof jest ta, w której pocie ukazuje się na tle marmurów i mozaik królowej Adryatyku »blady Juliusz z matką swoją w parze...« W swoich pismach prozą, Gomulicki występuje zawsze, jako żarliwy obrońca Słowackiego, który dlań wcale nie jest mniejszym poetą, aniżeli Mickiewicz.

Najmłodsze pokolenie naszych poetów z Tetmajerem na czele, także poszło za Słowackim, od niego wzięło poetyczny język, na nim się kształciło i uczyło pisać wierszem. Tetmajera *List Hanusi* jest naśladowaniem listu panny Anieli z *Beniowskiego*, którego świetnem naśladowaniem jest także jego satyryczno-liryczny poemacik *Pour passer le temps*. Przepyszne *Qui amant* jest zmodernizowanem *W Szwajcaryi*... Już to wogóle Tetmajer jest nieodrodnym synem Słowackiego... W poezjach L. Rydla także dźwięczą echa Juliuszowej lutni, a jego tłumaczenie *Iliady* jest zupełnie w duchu urywków z przekładu *Iliady*, dokonanego przez twórcę *Króla Duchy*. Świeżo nagrodzone na konkursie Paderewskiego *Zaczarowe koło* Rydla przypomina rodzajem fantazyi *Balladyne*, a pod względem formy wiersza uderzająco podobnem jest do *Snu srebrnego Salomei* i tłumaczenia Kalderonowskiego *Księcia Niezłomnego* przez tegoż Słowackiego...

Ale nie tylko poeci, piszący wierszem, poszli za Słowackim. Na Sienkiewicza np. żaden z naszych poetów nie wywarł tak silnego wpływu, jak twórca *Lilli Wenedy* (nawiasem mówiąc, umie Sienkiewicz prawie całego Słowackiego na pamięć). Cudowne *Przez stępy* jest rodzajem *W Szwajcaryi* prozą, a obrazowość trylogii bardzo często ma w sobie coś z obrazowości *Beniowskiego*, zwłaszcza pośmiertnego, i *Złotej czaszki*.

Najznakomitsze umysły krytyczne drugiej połowy XIX wieku, Klaczko, Malecki i Tarnowski, także dały się pociągnąć urokowi poezyi Słowackiego.

»Genialny współpracownik *Revue des deux mondes*« (jak Klaczkę nazywa Kraszewski), choć jest autorem świetnego studyum o *Pocie bezimiennym* i nieporównanej charakterystyki Mickiewicza w przedmowie do jego *Korespondencyi*, jednak do Słowackiego oddawna czuł *mimowolny* pociąg... Mimowolny, po-

nieważ wypiera się go w ostatnich czasach¹⁾. W każdym razie miał epokę w swoim życiu, gdzie go postać tego »Weroneza naszej poezyi« pociągała najsilniej, silniej, aniżeli Mickiewicz i Krasiński. Oto co w tej kwestyi pisze A. E. Koźmian w jednym ze swoich listów z Paryża, pod datą d. 2-go listopada 1858 roku: »Klaczkę widuję... Twierdzi on, że krytyk nie powinien być bezstronny, lecz powinien nienawidzić lub kochać. On teraz, oprócz Mickiewicza, *kocha Słowackiego, którego zowie największym artystą*. Innych nienawidzi«²⁾. Znając autora *Wieczorów florenckich* i *Juliusza II*, nie można się dziwić, że do jego renesansowej wyobraźni »wenecka paleta« Słowackiego przemawiała najsilniej...

Dostojny Nestor naszych historyków literatury, Antoni Małecki, choć jest autorem *Lechitów*, *Studjów heraldycznych*, *Opowiadań z przeszłości dziejowej*, *Gramatyki historyczno-porównawczej języka polskiego* i wielu innych dzieł pierwszorzędnej wartości naukowej, pozostanie w pamięci społeczeństwa przede wszystkim biografem Słowackiego. Książką tą postawił on sobie *monumentum aerae perennius*, ona jest jego arcydziełem. Jej zawdzięcza swą sławę i popularność u swoich, gdyż jest to najznakomitsza u nas monografia o poecie, monografia, jakiej nie doczekali się jeszcze ani Mickiewicz, ani Krasiński. Nigdy też książka o poecie nie była czytana przez całe społeczeństwo tak *con amore*, jak to dzieło o dumnym Juliuszu. Zasługa w tem nie mała jego biografą, ale zaprzeczyć się nie da również, że gdyby człowiek nie był tak interesującym, jak jest, i książka nie byłaby tak zajmującą. Monografie o Mickiewiczu i Krasińskim wyszły także z pod pióra najznakomitszych naszych krytyków, a jednak nie zdobyły sobie tej poczytności, co książka Małeckiego.

Stanisław Tarnowski kocha Mickiewicza, a uwielbia Krasińskiego; Słowackiemu nie może darować jego wiersza *Do autora Trzech psalmów* i niektórych antyarystokratycznych dygresyj w *Beniowskim*; mimo to uprzedzenie, ze wszystkiego, co napisał, najświetniejszymi są jego studia o Słowackim, czy to kiedy o nim pisał z powodu książki Małeckiego (które to studjum jest bezwarunkowo arcydziełem autora monografii o Zy-

¹⁾ Zob. artykuł p. t. *U Juliana Klaczki*.

²⁾ *Przewodnik naukowy i literacki* z grudnia 1892.

gmuncie Krasieńskim) czy to kiedy rozbiął jego *Niepoprawnych, Horsztyńskiego, Mazepę, W Szwajcaryi* lub *Ojca zadkumionych*. Co szczególna przytem, to, iż w swych studyach o Słowackim, nadzwyczaj pochlebnych dla Słowackiego, prof. St. Tarnowski zdaje się być najszczerzym. Czytając je, ma się wrażenie, że nikt mu tak nie trafia do przekonania, ani tak podoba się *naprawdę*, jak ten rzekomy wieszcz demokracyi, nazywający arystokrację »piekłem bez ognia«.

Już to wogóle żaden z naszych wielkich poetów nie miał takiego szczęścia do ludzi o duszy artystycznej, jak Słowacki. Genialny Matejko umiał poezye jego na pamięć i niczyje utwory tak nie trafiały do jego bujnej wyobraźni, jak »wizye dziejowe naszego Juliusza«¹⁾. A podobnie ma się rzecz i z innymi marlarzami. Arcydzielami Pruszkowskiego są jego obrazy, odtwarzające sceny z *Anhellego* (przepoetyczną także jest jego *Goplana* ilustrująca jedną ze scen z *Balladyny*), a jednym z najlepszych płócien Jacka Malczewskiego jest bezwarunkowo *Śmierć Ellenai*, która, natchniona poematem Słowackiego, jest obecnie jedną z ozdób krakowskiego *Muzeum Narodowego*.

A *Goplana* Żeleńskiego, będąca szczytem twórczości znakomitego kompozytora, czyż nie jest przetłumaczoną na język tonów *Balladyna*? A *Mazepa* Müncheimera?... Nadto p. Edmund Walter, młody muzyk ze Lwowa, pracuje nad większą kompozycją muzyczną, na solo tenorowe, z chórami i orkiestrą do poematu Słowackiego *W Szwajcaryi*...

Jakiż stąd wniosek ogólny? Chyba ten, że w 50 lat po śmierci doczekał się Słowacki tego uznania, jakiego nie mógł sobie zjednać za życia, czyli, że spełniło się jego dziecięce życzenie. »Mając lat ośm — pisał w jednym z listów do matki — przysiągłem Bogu w kościele katedralnym w Wilnie, że nie będę przed grobem moim niczego żądał, ale za to za grobem o wszystko się upomnę...« »O Boże! (taką była jego zwykła modlitwa) daj mi sławę, choćby po śmierci, a za to niech będę najnieszcześniejszym, pogardzonym i niepoznanym w życiu!« I Bóg wysłuchał jego modlitwy: dał mu »nieśmiertelną sławę po śmierci«, ale mu ją kazał okupić nieszczęściem i nieuznaniem za życia!

Dziś sława jego, dorównywująca Mickiewiczowskiej, roz-

¹⁾ Por. studyum *Matejko i Słowacki*.

brzmiewa wszędzie, gdzie tylko sięga mowa polska. Dziś wszyscy godzą się na to, że dwaj nasi najwięksi poeci, to Mickiewicz i Słowacki.

Jaka pomiędzy nimi różnica? Mickiewicz jest prostszy i łatwiejszy do zrozumienia, Słowacki poetyczniejszy i bardziej nowoczesny. Dzieła Mickiewicza, przystępne nawet dla mniej wykształconych umysłów, zbłądzą może z czasem pod strzechy, jak to było gorącym pragnieniem poety; Słowacki nigdy nie przestanie być poetą arystokracji ducha.

MARYA Z WODZIŃSKICH ORPISZEWSKA.

W jednym z *Kuryerów* wyczytałem kilka dni temu następującą wiadomość: »Dochodzi nas wieść o zgonie ś. p. Maryi z Wodzińskich, z pierwszego małżeństwa Józefowej hr. Skarbkowej, z drugiego Władysławowej Orpiszewskiej. Sędziwa matrona zakończyła żywot w majątku Klóbka pod Kowlem, w domu swej siostrzenicy, pani Maryi z Kościelskich Orpiszewskiej«. Ta sucha wzmianka dziennikarska nie może nie wtrącić w zadumę, jeśli się zważy, że ta ś. p. Władysławowa Orpiszewska przeżyła nie tylko swych mężów (z których z pierwszym nie była szczęśliwą w pożyciu), ale i dwóch ludzi, którzy kochając się w niej, kiedy była młodą dziewczyną, tem samem zapewnili jej nieśmiertelność.

Nie ulega bowiem wątpliwości, iż dopóki stanie języka polskiego, dopóki ludzi będzie zachwycała poezya Słowackiego, dopóki świat będzie rozmarzała muzyka Chopina, dopóty nie zaginie pamięć o Maryi Wodzińskiej, która Słowackiego — wbrew wywodom p. Zagórskiego — natchnęła do napisania poematu *W Szwajcaryi* i paru rzewnych erotyków, jak *Rozłączenie*, *Stokrótki* etc., a Chopina pobudziła do skomponowania smętnego walca *F-moll*.

Z Chopinem znali się od dziecka. Jako syn Mikołaja Chopina, u którego trzej bracia Maryi, uczęszczający do szkół w Warszawie, mieszkali na stancyi, »mały Szopenek«, którego poufale nazywano »Fryckiem«, bardzo często bywał w Służewie. Służewo było majątkiem dziedzicznym Wodzińskich, a oj-

ciec Maryi, Wincenty Wodziński, żył na stopie magnackiej. Tam też, na tle pałacu i przepysznego parku, na tle służewskich lasów i pól, zaczął się kleić romans pomiędzy »Fryckiem« a »Marynią«. Ponieważ byli jakby stworzeni dla siebie — bo tak przynajmniej zdawało się im obojgu na razie — więc Frycek Ignął do Maryni, a Marynia upodobala sobie Frycka. Jeśli się doda do tego, że ten genialny muzyk *in spe*, który już teraz wszystkich grą swoją na fortepianie zachwycał, był ślicznym chłopcem, a Marynia miała nie tylko czarne oczy, nadzwyczaj piękne, ale była nadto i duszą artystyczną, także wyjątkowo uzdolnioną do muzyki, to nie wyda się dziwnem, że tych dwoje »dzieciaków« zaczęło się kochać wzajemnie...

Tak trwało lat kilka. Po ich upływie, Chopin, już jako młodzieniec i »najlepszy w całym mieście fortepianista«, wpadł w wir życia literacko-artystyczno-teatralnego Warszawy, za czem poszło, że o ile zawsze z rozrzwieniem wspominał chwile spędzone w Służewie »z panną Marynią, z którą się to w Pszennego domu za dawnych czasów po pokojach goniło«, o tyle nierównie więcej, aniżeli o Maryni, myślał o młodej i pięknej śpiewaczce, pannie Konstancyi Gładkowskiej.

Później opuścił Warszawę, a w r. 1832 zamieszkał w Paryżu, gdzie osiadł stale. Tymczasem rodzina Wodzińskich, wyrzucona burzą roku 1831, znalazła się także za granicą, a w r. 1832 zamieszkała w Genewie, w pięknej willi przy ulicy Beauregard, nad samem jeziorem.

Willi ta, położona w ślicznym ogrodzie, na uboczu wzgórze, zwracała na siebie uwagę przez to szczególnie, że w pewnych godzinach słycać było przez jej otwarte okna melancholijne dźwięki chopinowskich *Mazurków* i *Nokturnów*, oddawanych z prawdziwą maestrią. To panna Wodzińska grała na fortepianie.

Była to już panna blisko 16-letnia. Wysoka, pełnej tury, (kto wie nawet, czy nie za tęga trochę, jak na przyszłą wymarzoną heroinę poematu *W Szwajcaryi*), niepospolicie rozwinięta, nie tylko umysłowo, ale i fizycznie, brunetka, o matowej cerze włoszki (w żyłach jej, oprócz polskiej, płynęła i włoska krew), o prześlicznych czarnych oczach, odbijających »wszystkie wzruszenia i tajemnice duszy«, o rysach twarzy wydatnych, niezupełnie regularnych — zwłaszcza nos był trochę za duży — posiadała »coś niewypowiedziane uprzejme«

w całym ułożeniu, coś, co się zwykle mianem wdzięku niewieściego określa.

Ci, co ją znali, wyrażają się zgodnie, że piękną nie będąc nigdy, zdawała się więcej niż piękną, bo całą jej postać otaczał jakiś niepojęty czar. Że zaś posiadała »mnóstwo talentów«, że wychowana starannie uprawiała ze znacznem powodzeniem prawie wszystkie sztuki piękne, poczynając od muzyki i śpiewu, a kończąc na malarstwie, do którego miała bardzo sympatyczny talencik, zwłaszcza w zakresie portretu i krajobrazu, więc dziwić się nie można, że się podobała mężczyznom, że ją za przykładem księcia Ludwika Napoleona, który także należał do jej admiratorów, nazywali pochlebnie *la brune fille d' Euterpe*.

Choć niby »nie myślała wtenczas o miłości«, ale o nauce, i choć się sama jeszcze nie miała za dorosłą pannę, to przecież takich, co się w niej kochali, nie brakło już i wtedy w Genewie. Dość powiedzieć, że młody hrabia de Montigny, bywając w willi przy ulicy Beauregard, tak się zakochał w *Mademoiselle Marie*, że się o nią w ciągu roku 1833 i 1834 dwukrotnie aż oświadczył. Nadto — o ile wiemy — kochał się w niej jeszcze w tym czasie młody Darowski, z którym ją nawet przyjaciółka jej, panna Wanda Ossolińska, koniecznie chciała wyswatać. Młody książę Ludwik Napoleon był *in diesem Bunde der dritte*.

Czwartym był Chopin. Mieszkając w Paryżu, gdzie żył blisko ze starszym bratem Maryi, Antonim, i on także zaczął na sobie doświadczać prawdy francuskiego przysłowia: *on revient toujours à ses premiers amours*. Przystawszy się zajmować panną Gładkowską, która w tym czasie właśnie wyszła za mąż, za Józefa Grabowskiego, zaczął tęsknić za temi czarnemi oczętami, które go tak rozmarzały w Służewie. Miłość dla »panny Maryni«, choć zdawało się już, że wygasła zupełnie, powoli zaczęła się budzić na nowo, a wzrastająca sława, jako kompozytora, tudzież serdeczny stosunek z Antonim Wodzińskim, (który w końcu roku 1833 przeniósł się do Genewy), zaczęły nasuwać myśli o małżeństwie. Rozrywany po paryskich salonach, psuty przez kobiety z wielkiego świata, wyobrażał sobie »Frycek«, że gdyby się zaczął starać o »pannę Marynię«, możeby mu się dostać ją udało... W tem błogiem przeświadczeniu zaczął korespondować z matką i braćmi Maryi,

zwłaszcza z Feliksem. Oczywiście o »pannie Maryni« nie zaniedbywał w listach tych wspominać jak najczęściej, bądź zasyłając ukłony dla niej, bądź wyrażając swoje opinie o jej kompozycjach fortepianowych. Bo doszło już do tego, że *la brune fille d'Euterpe* nie tylko zaczęła wchodzić w ślady swego wielbiiciela z lat dziecinnych, komponując różne sentymentalne walce *à la Chopin* i nokturny *à la Field*, ale zaczęła je Chopinowi posyłać do Paryża, ażeby o nich wyraził swoje zdanie. Oczywiście, że to zdanie zawsze wypadło pochlebnie. »Twoja siostra — pisał np. Chopin do Feliksa Wodzińskiego dnia 16 lipca 1834 roku — była tyle grzeczną, że mi swoją kompozycję przysłała. Ucieszyło mię to niewymownie i zaraz tego samego wieczoru improwizowałem w jednym z tutejszych salonów na ładniuchny temat owej Maryni, z którą się to w Pszenego domu po pokojach gonilo!.. A dziś! *Je prends la liberté d'envoyer à mon estimable collègue M-lle Marie une petite valse que je viens de publier*. Oby setną cząstkę przyjemności tej zrobił, jakiej ja doznałem odebrawszy waryacye... Kochanego Antka uściskaj, Kazia uduś z tendressów, jeżeli potrafisz, a co pannie Maryi, to ukłoń się bardzo elegancko z uszanowaniem, zadziw się, i powiedz sobie po cichu: »Mój Boże! jak to urosło!«...

Tymczasem zdążył się w »pannie Maryannie« zakochać Słowacki, który mieszkając w Genewie, także zaczął bywać u państwa Wodzińskich, a po jakimś czasie, po romantycznej wycieczce w Alpy Berneńskie, wspólnie z całą rodziną Wodzińskich odbytej ¹⁾, zaczął myśleć o tem samym, o czem jednocześnie w Paryżu myślał Chopin: czy by mu się nie udało

¹⁾ Pod wrażeniem tej wycieczki napisał później Słowacki wiersz w albumie Maryi W., którego początek brzmiał, jak następuje:

Byli tam, *kędy śnieżnych gór błyszczą korony,*
Gdzie w łąkach biją smutnie trzód zbłąkanych dzwony,
Gdzie się nad wodospadem jasna tęczą pali...
Tam byli kiedyś *razem* i tam się rozstali.
i t. d. i t. d.

Od tego samego obrazu zaczyna się strofa VIII poematu *W Szwajcaryi*.

Pójdziemy razem *na śniegu korony,*
Pójdziemy *razem* nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem, *gdzie trzód jęczą dzwony,*
Gdzie się w *tęczowe* ubiera kolory i t. d.

ożenić z panną Maryanną. W tej nadziei pisał raz do matki, że jeśli nie wróci do kraju, »to znajdzie sobie zagranicą ładną, dobrą, może nawet bogatą żonę«, będzie miał synów, córki... Innym razem, kiedy już zdążył być z Wodzińskimi na »prawie familijnej« stopie, kiedy sprawił nawet, że się Wodzińscy za jego poradą wprowadzili do tego samego pensjonatu, w którym on mieszkał od lat paru, zwierzał się matce, że »chciałby na rzece żywota znaleźć jaki biały kwiat, obwinąć się koło niego i zasnąć«. »To bardzo mistyczne i ciemne, matko moja. Lilia wodna niech się tobie zamieni w jaką miłą, spokojną i cichą dziewczeczkę, a zrozumiesz moje żądanie«. I zaczął roić o szczęściu, któreby go spotkało, gdyby serce tej »czarnobrewnej panienki« zabiło dla niego silniej. Zapomniał o przepaści majątkowej i socyalnej, jaka go dzieliła od Maryi, i zaczął jej dawać do zrozumienia, że ją kocha. A ona? Ona słuchała jego wynurzeń, ale udawała, że się nie domyśla jego ukrytych zamiarów, z którymi on zdradzić się otwarcie nie śmiał... Nawet go kokietowała chwilami, a w swoich rozmowach z nim »o rzeczach anielskich«, (rozmowach, które prowadzili w ogródku, rwąc stokrotki, lub spacerując nad brzegiem jeziora), dostrajała się do jego sentymentalnego tonu, tak, iż zdawało mu się niekiedy, że i ona »także zapłynęła trochę w kraj ideału«. Doszło do tego, że zaczęli rozmawiać o przyszłości, a kiedy poeta oświadczył raz, że najprawdopodobniej skończy na wstąpieniu do klasztoru, ona również zaczęła marzyć o żywocie pustelniczym. Ale poeta nie wierzył jej zapewnieniom, dowodząc, że znajdzie się niebawem »jaki Pan Podkomorzyc, dobrze opatrzonej w szlachecką układność, talenta, wasy, podkówki i ostrogi, który jej z łatwością domek pustelniczny wybije z głowy«. Że onby pragnął być tym Podkomorzycem, tego się panna powinna była domyśleć... ¹⁾.

¹⁾ W liście z d. 2 kwietnia 1838 r. (a w tym czasie właśnie powstał poemat *W Szwajcaryi*) pisał Słowacki do matki: »Mówią, że się Szopen z Maryą W. a niegdyś moją Maryą, ożenił. Może poszła za niego trochę za przyjaźni dla mnie, bo mówią ludzie, że Chopin do mnie, jak dwie krople wody podobny. Jak to sentymentalnie pójść za człowieka, podobnego temu, którego się pierwszą miłością kochało... Jak dalece Słowacki myślał w tym czasie (kiedy pisał poemat *W Szwajcaryi*) o Maryi Wodzińskiej dowodzi inny ustęp tegoż listu, gdzie poeta pisze: »Znajduję jakiś mistyczny sposób połączenia się z wami

W jakiś czas potem, w lipcu r. 1835, przyjechał do Genewy ojciec Maryi, ażeby wkrótce »porwać stąd całą rodzinę«, gdyż mogli już wracać do Służewa. Jeżeli się Słowackiemu zdawało, że z chwilą przyjazdu pana Wodzińskiego może zajść jakaś zmiana na jego korzyść, to i pod tym względem doznał bolesnego zawodu... Widząc, że nic prócz zgryzoty i upokorzenia nie zyska, że sięgnął za wysoko, pożegnał się z Maryą, (a nie omieszkał przy tem pożegnaniu położyć nacisku na »żal i tęskotę«, z jakimi się z nią żegnał) i zanim Wodzińscy zdążyli wyjechać z Genewy, przeniósł się do Veytoux, gdzie pod wpływem tęsknoty za »czarnobrewą panienką« napisał swe przerzeczne *Rozłączenie*...

Rozłączeni, lecz jedno o drugim pamięta,
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągle wieści: wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz, w cichej komnacie zamknięta.

Wiem, o jakiej godzinie wraca bólu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi lżę wyciska:
Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala
I lżę różową leje i skrą siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,
Znając twój dom i drzewa ogrodu i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakimi drzewy szukać białej szaty.

I nie mógł zapomnieć tych niedawnych dni szczęścia, które zawdzięczał tej »czarnobrewej Euterpie«, i błądził po skałach, z głębokiem rozrzewnieniem wspominając ostatnie miesiące swego życia, podczas których był tak blisko Maryi, podczas których mieszkali pod jednym dachem, zasiadali do

i przychodzi mi na myśl wiersz jeden z jakiejś mojej poezji: *Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku i nosi ciągle wieści*... Jest to wiersz z *Rozłączenia* napisanego w Veytoux do Maryi W. Wkrótce potem pisał Słowacki pod wrażeniem otrzymanych wiadomości z Genewy: »Więc już wróciwszy do Genewy, zamiast przywitać się z drzewami ogrodu, gdzie sobie przez trzy lata marzył, zamiast odpocząć w pokoiku, gdzie przywykł był leżeć spokojnie, zamiast tej melancholii, jakąby mię przeniknął widok miejsc, gdzie latał po murawach z młodzieńską Maryą, co mię kochała krótko ale mocno, jak zazwyczaj młode polskie dziewczęta kochają, zamiast tego wszystkiego, znajduję dom w mieście czarnem i posepnem... O nie wróć do Genewy!«

jednego stołu, razem bywali na spacerach, w teatrze, na koncertach, razem pływali czółnem po jeziorze, razem rwali stokrówki.

Gdy nas różowa poróżniała sprzeczka,
A zgody ciągle zabraniały świadki,
Pamiętasz, luba, jak te białe kwiatki,
Jeden mówił nie, a drugi — troszeczka.
Dzisiaj samotny, dzisiaj bez nadziei,
Błądząc po skałach — wszystkie moje smutki
Zbiegły się razem do białej stokrówki,
Co była siostrą stokrótek w alei.
Rwałem ją: listki leciały w błękicie
Aż na jezioro ze skały, gdzie siedział;
I wiesz, co listek ostatni powiedział?

Nie przypuszczał poeta, że gdyby mu ten listek powiedział prawdę, to wypadłaby ona nie na jego korzyść, ale na korzyść Chopina. Państwo Wodzińscy bowiem, po wyjeździe z Genewy, którą opuścili w końcu sierpnia, udali się do Drezna, dokąd także, z namowy »Antka« Wodzińskiego, przyjechał Chopin, z wyraźnym zamiarem starania się o rękę Maryi. Był już tak sławny, że mógł, jak mu się zdawało, sięgnąć tak wysoko. Jakoż wszystko szło jak najlepiej: Wodzińscy byli mu radzi, a panna okazywała wcale niedwuznacznie, że go kocha. Widywali się ciągle, a gdziekolwiek bywano, bywano razem. Ponieważ panna miała lat 19, Chopin zaś 26, nie dziw więc, że ich zaczęto brać za narzeczonych. Pierwszy Chopin dał się uwieść tym złudnym pozorom. Przekonany, że ma wszelkie szanse, był w brylantowym humorze, a jeśli się zdarzyło, że zasiadł do fortepianu, improwizował tak pięknie, jak nigdy przedtem. Jakoż był w siódmym niebie! Widział, że mu panna sprzyja, że na jego miłość zaczyna odpowiadać wzajemnością, a przytem nie mógł nie zwrócić uwagi i na to, że pani Wodzińska, widząc, co się święci, nic nie miała przeciwko jego częstym *tête à tête* z Marynią. Mimo to nie miał dość śmiałości, by się oświadczyć, tak, iż gdy wreszcie nadszedł dzień rozstania, dzień, w którym mu wypadło opuścić Drezno, i kiedy już dylizans czekał przed domem, zdobył się na tyle tylko, że swe uczucia wyraził muzyką, mianowicie za pomocą tęsknego, świeżo skomponowanego *Walca F-moll*, walca, który Marya przezwiała z czasem *Les adieux*, a którego egzemplarz, specjalnie *Pour M-elle Marie* ładnie przepisany, ofiarował jej na pa-

miątkę... Marynia zrozumiała, co znaczyl i mówił ten melancholiczny walczyk, zwłaszcza, gdy go jej Chopin, już na wsiadaniem, przegrał na fortepianie. Wywdzięczając mu się za to, podeszła do stołu, na którym stał bukiet róż, zerwała jedną i dała ją Fryderykowi...

W rok później znaleźli się Wodzińscy w Maryenbadzie. Powiadomiony o tem, Chopin zjechał tam również, z zamiarem, by ponowić starania o rękę Maryi. Jakoż stał się nieodstępnym towarzyszem Wodzińskich: wszędzie bywano razem, a co się tycze panny Maryni, ta nietylko robiła wrażenie zakochanej w swoim *carissimo maestro*, z którym muzykowała całemi godzinami i wieczorami, ale nawet wyrzowała jego portret, nadzwyczaj udatny. Tak przeszło kilka tygodni, nad wszelki wyraz pomyślnych dla młodego artysty... W końcu sierpnia udano się wspólnie do Drezna, gdzie po upływie miesiąca, w przeddzień swego wyjazdu do Paryża, o *szarej godzinie*, Chopin oświadczył się Maryi i został przyjęty... W Paryżu przez cały rok otrzymywał listy ze Służewa, bądź od pani Wodzińskiej, bądź od Maryi (która najczęściej dopisywała się w listach matki), aż w końcu — w lipcu mniej więcej — dano mu znać, żeby się przestał uważać za związanego słowem. To sprawiło, że Chopin, zrozpaczony, rzucił się niebawem w objęcia pani Sand...

Tymczasem Marya, ulegając woli ojca, zamiast zostać żoną »grajka« (jak podobno Wincenty Wodziński nazwał Chopina, kiedy się dowiedział o jego zamiarach względem Maryi) wyszła w r. 1840 za hrabiego Józefa Skarbka, człowieka przytego i zniedołęźniającego, za którym nie przemawiało nic prócz majątku i nazwiska. Malżeństwo to, bardzo nieszczęśliwe, zakończyło się rozwodem, po którego uzyskaniu wyszła Marya w r. 1848 za Władysława Orpiszewskiego. Tym razem kochała swego męża...

A Słowacki? On, kiedy Chopin starał się o Maryę, podróżował po Wschodzie, a gdziekolwiek był, czy to w Grecyi, czy w Egipcie, wszędzie myślał o »swej czarnobrewej pannie«. Na wydmach Nilu »stawał błądy i kreślił jej rysy, i imię pisał na piasku wilgotnym«. Ale któregoś dnia ¹⁾.

¹⁾ Na wydmach Nilu napisał Słowacki wiersz do Maryi W. zatytułowany *Z Nilu*. Oto początek tego wiersza.

na piramidzie
Odebrał list, tfu! że za mąż idzie.

Mimo to nie mógł zapomnieć o niej. Na śniegach Libanu, nad smętnymi wodami jeziora Genezaretńskiego, myślał o tej młodziankiej Maryi, z którą niegdyś chodził po szwajcarskich górach, którą o zachodzącym słońcu widywał »od Alp na śniegach różowych różową«, z którą razem dumiał na progu kaplicy Tella... Potem osiadł we Florencyi, ale i tam, gdziekolwiek się obrócił, wszędzie go ścigało wspomnienie Maryi. Oto dowód. Któregoś dnia pojechał w towarzystwie rodziny Józefa

Kiedy smutny nad Tella siedziałem jeziorem
Ty przyleciałaś do mnie, z dalekiej krainy,
Jak przywabiony gołąb białością smutnego
Ptaka na pustym domie... I długo nas ludzie
Widzieli nad jeziorem dumających razem,
Nie wiedząc, żeśmy w toniach błękitnych szukali
Gwiazdeczki szczęścia, bardzo dawno utraconej.
Nie wiem, czyś ją znalazła bezemnie, czy jeszcze
Smutną pod płaczącymi wierzbami zastaje
Biały księżyc... O moja miła siostró duszy, i t. d.

W rok potem, we Florencyi, pod wpływem tego samego uczucia tęsknoty za Maryą W., pisząc swój poemat *W Szwajcaryi*, jednej scenie tego poematu, mianowicie szóstej, dał Słowacki za tło tę samą kaplicę Tella, na której progu przed czterema laty siedział »smutny« z Maryą W.

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów,
Stoi cichości pełna i kolorów,
Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
Gdzieśmy raz pierwszy przez usta poznali,
Że się już dawno sercami kochamy.

W tymże poemacie *W Szwajcaryi* jest strofa, w której poeta powiada między innymi:

I staję blady, i kreślę jej rysy,
I imię piszą na piasku wilgotnym.

To samo czynił sam Słowacki — na rok przed napisaniem poematu *W Szwajcaryi* — na wydmach Nilu (gdzie napisał ów wiersz do Maryi W.). Dowód na to znajduje się w jego raptularzu (ogłosz. w *Bibl. Warsz.*), gdzie pod datą d. 7 listopada, podczas swej podróży Nilem, notuje poeta: »Polowanie na piasku nad brzegiem rzeki — południe, — skwar pustyni — *piszę imię swoje na piasku i drugie inne*«. Że tem »drugim imieniem« imieniem, które Słowacki napisał — laską — na piasku obok swojego imienia, było imię Maryi W. o tem (wobec wiersza *Z Nilu* do Maryi W.) niepodobna wątpić.

i Hermana Potockich do Walambrozy. Oto, jak ją opisał matce: »Podróż ta melancholiczne na mnie zrobiła wrażenie, gdyż przypomniła mi moją wędrówkę po Szwajcaryi: coś było bowiem w gwarze tej licznej familii, przypominającego mi rodzinę Wodzińskich, *ale mojej młodej panienki czarnobrewej brakowało*... Z tego uczucia narodził się poemat *W Szwajcaryi*, napisany wkrótce potem w stolicy Toskanii ¹⁾.

W tej samej Florencyi, w której ją unieśmiertelnił Słowacki, w kilkanaście lat potem, osiadła na stałe Marya, już jako Marya Orpiszewska. Mieszkała tu razem z mężem, przez długie lata, a zawsze z największem upodobaniem grywała utwory Chopina, którego do śmierci wspominała z rozrzewnieniem. Za to o Słowackim zawsze się wyrażała z przekąsem... Po śmierci męża, zmarłego przed kilkunastu laty, wróciła do kraju.

¹⁾ Należy szczególny nacisk położyć na to, że bohaterka poematu *W Szwajcaryi* ma na imię Marya. Dowodzi tego niezbicie strofa VII, gdzie bohater poematu, wyraźnie powiada o swej ukochanej, kiedy się z nią znalazł w grocie:

Ja wtenczas modlić się zacząłem *do niej*:
Ave Maria!

Por. z tem artykuł p. Wł. Zagórskiego p. t. *Nie Marya W.*, niedawno wydrukowany w *Kuryerze Warszawskim*.

VI.

RAFAEL I FORNARINA

W ŻYCIU SŁOWACKIEGO.

Dwa są rodzaje geniuszów artystycznych: prometeiczny Tytanów, do którego należą tacy naprzykład, jak Eschylos, Dante, Michał Anioł, Beethoven, Corneille, Mickiewicz, Matejko; i niższy cokolwiek, jako potęga, ale wyższy niezaprzeczenie, jako wdzięk, jako poezya, rodzaj — jeżeli się tak wyrazić wolno — bardziej mięki i niewieści, do którego należą takie duchy twórcze, jak Sofokles, Petrarca, Rafael, Racine, Mozart, Chopin, Słowacki, Grottger. Rodzaje te dopełniają się wzajemnie ¹⁾, a zdarzało się niejednokrotnie, że przedstawiciele ich często żyli w jednym i tym samym czasie, lub w odstępach czasu bardzo niewielkich: dość wymienić Eschylosa i Sofoklesa, Dantego i Petrarę, Michała Anioła i Rafaela, Corneille'a i Racine'a, Beethovena i Mozarta, Mickiewicza i Słowackiego, Matejkę i Grottgera. Cechą wspólną, charakteryzującą i jednych i drugich, jest jakiś instynktowy pociąg, który geniusze-Tytani żywią dla geniuszów-Tytanów, co żyli przed nimi, a tworzyli choćby w zakresie innej sztuki, i który nawzajem, geniusze-Ariele żywią dla swych poprzedników artystycznych, duchowo należących do tej samej

¹⁾ Homer i Szekspir są połączeniem tych dwóch gatunków artystycznych. Homer, jako autor *Iliady*, należy do pierwszej kategorii, do tej, co Buonarotti, Dante i inni, a jako autor *Odyssei*, do drugiej, do tej, co Sofokles, Mozart i inni. To samo Szekspir, który, jako autor *Makbeta*, *Króla Leara*, *Otella*, *Ryszarda III* należy do kategorii geniuszów-Tytanów, a jako autor komedyj i takich tragedyj, jak *Romeo i Julia* (a do pewnego stopnia i autor *Hamleta*), do kategorii artystycznych Arielów.

kategorii. Znaną jest sympatya Michała Anioła dla Dantego, Chopina dla Mozarta, Grottgera dla Rafaela. W parze z tą sympatją idzie najczęściej pewien brak zrozumienia ze strony Arielów względem Tytanów, oraz pewne lekceważenie, a przynajmniej *bagatelizowanie* ze strony Tytanów w stosunku do Arielów. Za przykład może posłużyć Chopin, który, uwielbiając Mozarta, nie odczuwał wspaniałości — i wyższości nad Mozartowską — muzyki Beethovena; albo Grottger, który, mając kult dla Rafaela, nie rozumiał, na czym polega prawdziwa wielkość — i wyższość nad twórcą *Szkoły Ateńskiej* — takiego Michała Anioła. Za przykład natomiast, jak Tytani nie potrafili ocenić należycie Arielów, jak często byli poprostu niesprawiedliwymi dla nich, mogą posłużyć Michał Anioł i Beethoven: pierwszy, gdy Rafaelowi przyznawał jedynie pracowitość i sumienność; drugi, gdy Mozartowi nie mógł darować *Don Juana*.

I.

Słowacki, jako należący do rodziny artystycznych Arielów, nie mógł tem samem mieć szczególnej słabości do Michała Anioła. Że jej nie miał, dowodem wszystko, co napisał w swoim życiu, począwszy od poematów, a skończywszy na listach: nigdzie — o ile wiem — niema tam choćby najdrobniejszej wzmianki o Buonarottim¹⁾. Kiedy był w Rzymie, w r. 1836, nie zrobiły na nim silniejszego wrażenia ani *Mojżesz* w kościółku św. Piotra *in vinculis*, ani sklepienie kaplicy Sykstyńskiej, nie mówiąc już o *Sądzie ostatecznym*. Przynajmniej nie wspomina o nich nigdzie, choć wspominałby z pewnością, gdyby go zachwyciły. Kiedy był we Florencyi, w r. 1838, gdzie miał możność podziwiania takiego arcydzieła, jak *Lorenzo il Pensieroso* na grobowcu Medyceuszów, może największego arcytworu, nietylko Michała Anioła, lecz całej nowożytnej rzeźby wogóle,

¹⁾ Raz tylko jeden wspomina Słowacki o twórcy *Mojżesza* w swojej krytyce Krasieńskiego *Nocy letniej*, w której pisze: »Ten wielki poeta (Krasieński), w którym dotychczas więcej było ducha, niż ciała zmieścić mogło, teraz odbywa wielką walkę — *pasuje się z marmurem, jak Michał Anioł*; już utwory zrobił prawie zupełnie doskonałymi, a jednak jeszcze mu zarzucić można, że większe robi serca posagom, niż cały rozmiar ludzkich piersi wymaga«. Ustęp ten może zarazem służyć za dowód, jak Słowacki nie rozumiał Michała Anioła.

nie wspomniał ani razu o Buonarottim, jakby nic o nim nie wiedział zgola. Bywając w kościele *Sante Croce*, gdzie nieopodal grobowca Dantego znajduje się grobowiec Michała Anioła, długo wystawał przed grobem platonicznego kochanka Beatrix Portinari, a zapominał, że w tym samym kościele, o kilka kroków dalej, spoczywa drugi, niemniej wielki Florentczyk, który wspinał się jeszcze, aniżeli sonety Dantego do Beatrice, pisał sonety do Wiktoryi Colonna. Na to wszystko pozostawał Słowacki mniej lub więcej obojętny. Nie pociągał go Michał Anioł.

Za to uwielbiał Rafaela. Co szczególniejsza, że go uwielbiał od dziecka. Jeszcze nie miał lat 10, a już żywił kult dla kochanka Fornariny. Człowiekiem, który się głównie do rozbudzenia w nim kultu tego przyczynił, był wuj jego, Teofil Januszewski, rodzony brat pani Becu, w wolnych chwilach malarz-amator, który przez cały czas dzieciństwa Słowackiego, mieszkając w Wilnie, miał tam swoją pracownię, »malarnię«, jak ją nazywa Słowacki. W tej to malarni lubił Słowacki prześiadywać ze szczególnem upodobaniem. Widocznie, że od dziecka czuł jakiś nieprzeczwyczajony pociąg do życia artystycznego... Atmosfera pracowni malarskiej, przesiąknięta zapachem farb olejnych, pozaczynane obrazy na stalugach, możność śledzenia ewolucyi pomysłów artystycznych, od pierwszego szkicu aż do chwili, kiedy obraz, oprawny w złożone ramy, zostaje wyniesiony z pracowni: wszystko to, o ile trafi na temperament w tym stopniu wrażliwy, jak Słowackiego, musi dlań posiadać niewysłowiony urok, musi w nim rozbudzić już kielkujące aspiracye artystyczne, uświadamiając jego właściwe przeznaczenie, z dniem każdym coraz bardziej rozwijając przekonanie, że i on w tym przybytku sztuki i piękna nie jest intruzem, że i on stanie się kiedyś tej sztuki powołanym kapłanem, czy to na polu malarstwa, czy na jakimkolwiek innem. Bądź co bądź, zwykłym zjadaczem chleba nie będzie, czuje bowiem, iż ma w sobie duszę artystyczną i poetyczną, nie na miarę krawca, lecz Fidyasza.

Fidyasza lub Rafaela, o którym mu wuj, jako szczególny wielbiciel geniuszu Santia, opowiadał nad wszelki wyraz zajmujące historye. Mały Julek słuchał z gorączkowem zainteresowaniem, bo jakkolwiek liczył sobie dopiero lat dziecięć, już się na tych rzeczach rozumiał, już się zapalał do piękności

obrazów twórcy *Sykstyńskiej Madonny*... Jak w ósmym roku życia się zapalał do poetycznych piękności *Iliady*, do bohaterstwa i dzielności wielkich Greków i Rzymian, o których czytał w »żywotach« Plutarcha, jak był dość inteligentny na to, ażeby, nie mając lat 10 skończonych, rozumieć maksymy moralne Rochefoucaulda, podobnie i teraz, przesiadując w »malarni« wuja, zapalał się do poetyczności obrazów i życia nieśmiertelnego mistrza z Urbino, (którego główniejsze dzieła pewno mu »Fil« pokazywał w litografowanych lub rytych na miedzi reprodukcjach). Wogóle, pod względem przedwczesności rozwoju władz umysłowych, było to dziecko fenomenalne; ów zaś »płomień gorączkowy, przedwcześnie zapalony« w jego czarnych oczach, które się wydawały o tyle większe, że odbite od delikatnej niesłychanie, bladej cery, gorzał wtedy najsilniej, gdy dziecko przebywało »w ciemnej malarni wileńskiej« swego wuja, kiedy pod wpływem jego opowiadań o Rafaelu, »czuło jakiś niewymówiony zapach dawnego artystycznego życia włoskiego«, życia, na którego wzór pragnęło — już teraz — zrobić swoje. Tymczasem patrzyło na swego wuja, jak, z paletą w rękę, malował, jak się raz po raz oddalał od obrazu, ażeby mu się przyjrzeć z pewnej odległości; i to przebywanie »w tym małym pokoiku«, źle oświetlonym, do tego stopnia rozmarzało przyszłego poetę i »nastęrczało mu tyle snów o Rafaelu«, że za największe zaczął sobie uważać szczęście — co zresztą i Teofil Januszewski mógł powiedzieć o sobie — gdyby mógł kiedy pojechać do Włoch, zwłaszcza do Rzymu, i te obrazy Rafaela, które teraz w Wilnie poznawał ze sztychów lub kopij, mógł oglądać w oryginale ¹⁾.

Zanim się temu marzeniu jego i »Fila« — jak nazywał swego wuja — stało zadość, upłynęło blisko lat dwadzieścia. Okoliczności złożyły się tak szczęśliwie, że i teraz mogli prowadzić wspólne rozmowy o Rafaelu, z tą różnicą jedynie, że wtedy, w Wilnie, Fil był kawalerem, młodzieńcem jeszcze, zakończonym w młodziutkiej Hersylce Becu ²⁾, kiedy obecnie ta

¹⁾ *Bibl. Warsz.*, 1877, II, 170—173. List nieznaną J. Słowackiego (do matki).

²⁾ A. E. Odyniec, *Wspomnienia z przeszłości*, str. 175. »Pierwszy (Teofil Januszewski) mieszkał osobno, w mieście, jako amator poświęcał się malarstwu, i był zakochany w pannie Hersylii...

sama Hersylka była już od lat 10 jego żoną. Tylko Słowacki, pomimo, że już dobiegał trzydziestki, jeszcze nie znalazł sobie towarzyszki na drogę życia, choć zazdrościł tego Teofilowi.

Jedyne, co go pod tym względem pocieszać mogło, to myśl, że i Rafael umarł w stanie bezzęnnym, a nie przeszkadzało mu to malować wspaniałych obrazów, budzących zachwyty nawet po upływie dwóch stuleci przeszło...

Ten wyraz *zachwyty* najlepiej określa wrażenie, jakie na Słowackim uczyniły malowidła genialnego ucznia Perugina, Swoją drogą podkreślić należy, że z początku, kiedy Rafaela zobaczył po raz pierwszy, doznał lekkiego rozczarowania: prosto wyobrażał sobie więcej. Ale wrażenie to, jeszcze datujące się z Paryża, z r. 1831, gdzie się z niektórymi dziełami Rafaela poznał w galerii Louvre'u, nie trwało długo. W pierwszej chwili, kiedy, stanąwszy przed jakimś obrazem, bardzo naiwnym pod względem techniki, wyczytał podpisane pod nim nazwisko Rafaela, nie mógł wyjść z podziwienia. Jakto? Więc to jest Rafael? To malowanie, przypominające bazgroty dziecka, ma być ostatniem słowem sztuki malarskiej?... I nie mógł zrozumieć, co ludzie widzieli w tem nadzwyczajnego! Ale zrozumiał w końcu! Przekonał się bowiem, że pod pozorami tej naiwności ukrywa się wspaniały rysunek, ogromna prostota, ogromny wdzięk, ogromna poezya! I pomyślał sobie, »iż tak często, nie znającym się na głębi poezyi Szekspira, wydaje on się dzieckiem albo waryatem, wtenczas, kiedy każda jego scena odkrywa niesłychaną znajomość serca ludzkiego i napiętnowana jest wielkością poetycką geniuszu«. Z podobnem przekonaniem o nieśmiertelnym twórcy *Szkoły Ateńskiej* przyjechał Słowacki do wiecznego miasta, nie dziw więc, że gdy tu zobaczył najgłówniejsze dzieła Santia, np. jego watykańskie *loggië*, nie umiał — na razie — znaleźć odpowiednich słów na wypowiedzenie swego zachwyty. Znalazł je dopiero po upływie lat szeregu, gdy pisał *Beniowskiego*, a mianowicie jego część drugą, pośmiertną, w której, w jednej dygresyi, poświęconej wspomnieniom z czasów pobytu we Włoszech, w dwóch oktawach zdał sprawę z wrażenia, jakie na nim uczyniły

te sufity, gdzie nad ludzką głową
Wisi w tężowych blaskach dzieło Boże,
A taką sztuką odświeżone nową,
Tak nieśmiertelną, że umrzeć nie może,

Lecz, o Jehowie będąc, jest Jehową:
Iskierką jego treści dotykana,
Ludzkim filarem wspartą — i widzialną!

I kiedym w górę spojrzal

to przestraczem
Zdjęty, myślałem, że w braku sufitów
Niebiosa wiszą otwarte nad gmachem
I że kolumny są bez żadnych szczytów!
I chciałem myśli tytańskiej zamachem
Zbić to zwierciadło czynów i błękitów,
Gdzie powtórzone, wisi boskie dzieło!
I trwa...

Ten to »cudownie malowany gips« (freski Bafaela) miał —
w przekonaniu Słowackiego — na myśli św. Jan, kiedy, mó-
wiąc o kartach ksiąg w Apokalipsie, mówił, że będą *zwinięte*,

Gdy trąby zagrzmią, fale wstaną wzdęte,
A Bóg światowi powie: »W gruzy syp się!
A grobom powie: »Stójcie odemknięte!
A tym sufitom: »Skrzydłami się nieście
W niebo, bo z myśli i z nieba jesteście!
«

Zwiedzając kościoły i stare pałace rzymskie, kędy »przy
obrazach Rafaela i gzymsach złożonych powój gruzów się roz-
plata«, i Słowacki, i wuj jego, i Hersylka, coraz bardziej
utwierdzali się w raz powziętym kulcie dla mistrza z Ur-
bino, za czem poszło, że tyle, co o nim, nie mówili o żadnym
z malarzów. Były to prawdziwie renesansowe *Causeries romaines*,
którym za tło służył niejednokrotnie Watykan ze swemi nie-
śmiertelnymi *camera*'mi i *logg*'ami.

Słowackiemu jednak, choć zachwycał się i takimi arcy-
dziełami, jak *Dysputa* lub *Parnas*, najbardziej podobał się Ra-
fael z czasów swojej pierwszej manieri, z czasów pierwszych
Madonn i *Świętych rodzin* w rodzaju Perugina, z czasów, je-
dnem słowem, gdy twórca *Widzenia Ezechiela* jeszcze nie był
sobą, lecz Rafaeliem-prerafaelita. Jest to szczególnie pierwszo-
rzędnej wagi, ze względu, iż to smakowanie Słowackiego w »Ra-
faelu pierwszej manieri« przypada na rok 1836, a więc na ca-
łych lat 40 przed narodzeniem się teorii o naiwności w ma-
larstwie, znanej pod nazwą prerafaelizmu, na całych lat 40
przed Dantem Gabrielem Rosettim i angielskimi prerafaelitami.
Świadczy to, jak subtelną naturą artystyczną był Słowacki,

jak rozumiał i odczuwał to, co się dopiero z czasem narodzić miało, jak znacznie — i pod tym względem nawet — wyprzedził swoją epokę. Jak w jego dramatach, w takim *Horstytynskim* naprzykład, nie brak scen, pisanych i pojętych całkiem modernistycznie, tak, jak dziś piszą Maeterlinck i Przybyszewski (i ich naśladowcy); jak cały szereg wierszy Słowackiego z epoki towianizmu przypomina — i przewyższa — dzisiejszych dekadentów francuskich, Mallarmé, Verlaine, Rimbaud, że o reszcie zamilczę; tak i w roku 1836, w Rzymie, mógł Słowacki, jako taki entuzjasta dla obrazów „Rafaela pierwszej manieri“, śmiało nazwać się jednym z twórców kultu prerafaelizmu w sztuce, jednym z prekursorów Ruskina.

Odbiciem tego nieklamane go zachwytu, doznawanego na widok płócien Rafaela, jest pewien ustęp w recenzji o poezjach Bohdana Zaleskiego, napisanej przez Słowackiego w r. 1841. „Z całego poematu — czytamy tam o *Przenajświętszej rodzinie* — widać, że autor chciał zachwycić prostoty, która ze szkoły malarzkiej katolickiej, włoskiej, a dziś małpiej, tegoczesnej, niemieckiej (i protestanckiej) wypływa. Pierwsza — piękna — może być wyprowadzona z watykańskiego obrazu Rafaela pierwszej manieri, gdzie z grobu Najśw. M. Panny wykwiła siedm lilij, a wokoło stoją anieli, bardzo prosto odrysowani, ale cudownie pięknie. Kto pierwszy raz spojrzy, myśli, że to jakieś dziecko malowało, tak wszystko jest proste i niesztuczne: mura wa pociągnięta bladzielonym kolorem, bez perspektywy prawie; dno niebios blade, jednostajne, jak turkus. Ale kto się w twarze aniołów zapatrzy, powoli, powoli przestaje oddychać zachwycony pięknnością wyrazu i *małą, a jednak dziwną* rozmaitością uczucia. Teraz Niemiec, Overbeck, naśladowując maniery Rafaela, trawy rysuje grynszpanowym, bladym kolorem, niebo zaciąga błękitem, aniołów robi podobnych do woskowych figurek i, taki bladodziecinny postawiwszy obraz, sądzi, że osiągnął najwyższego szczytu malarstwa...“

Zdaje się, że i Teofil Januszewski był tego samego, co Słowacki, zdania o Rafaelu. Nie mogli się tylko zgodzić co do *Transfiguracji*, którą kochanek Fornariny, umierając, kazał sobie nad trumną powiesić, gdy ciało jego będzie wystawione na widok publiczny — dowód, jak wysoko obraz ten cenił. Teofil

nie lubił tego *Niedokończonego poematu* przedwcześnie zgasłego geniuszu... Słowacki, przeciwnie uwielbiał go.

II.

Tak było w Rzymie, gdzie poeta, mieszkając trzy miesiące przeszło, najwięcej miał sposobności podziwiania Rafaelowskich arcydzieł. Ale i po wyjeździe z wiecznego miasta nie przestały mu okoliczności życiowe mnóstwa »snów o Rafaelu nastęrczać«. Gdy po powrocie ze Wschodu osiadł we Florencyi, która, w wyższym jeszcze stopniu, aniżeli Rzym, przywodzi na myśl owo »dawne artystyczne życie włoskie«, o którym w dzieciństwie tyle się »w ciemnej malarni wileńskiej« wuja swego nasłuchiwał, wyobraźnia jego z natury rzeczy raz po raz zapładniała się obrazami i scenami z owego bujnego i pełnego poezyi »dawnego artystycznego życia włoskiego«, florenckiego zwłaszcza.

A na czemże zasadzało się ono, to dawne artystyczne życie włoskie, jeśli nie na hołdowaniu sztuce i miłości! Po cząwszy od Rafaela, który niemniej namiętnie, jak sztukę, kochał piękną Fornarinę, a skończywszy na równie słynnym, jak wyuzdanym Aretinie, wszyscy sławili miłość i rozkosz. Z jedyndym wyjątkiem stetryczalego Michała Anioła, który swą Wiktoryę Colonna kochał miłością platoniczną, reszta była daleką od wyznawania anemicznej teoryi Platona. Przeciwnie, wszyscy żyli według zasad Epikura, pomni na Horacyuszowskie *Carpe diem*. Całe »dawne artystyczne życie włoskie« dało się streścić w tych słowach.

Wiedział o tem Słowacki i dlatego, przyjechawszy do Florencyi, słynnej ze swoich pięknych kobiet, mimowoli myślał więcej, niż kiedykolwiek, o rodzaju życia, jakie prowadził, a które, porównane z »dawnem artystycznym życiem włoskiem«, z życiem Rafaela np., za bardzo było nacechowane platonizmem. Nawet w Rzymie, gdzie z taką łatwością mógłby sobie wynaleźć jaką Fornarinę, »czystsze życie wiódł, niż inni, znajdując w tem *jakąś dumną pocięgę dla duszy*«.

Od chwili jednak, gdy przyjechał nad Arno, gdy zobaczył cudowne Florentynki, o których już Dante powiada, że »chodzą po Florencyi, szyję i piersi pokazując nagie«, zaczęło go *das Ewig-Weibliche* pociągać coraz bardziej. Najprzód zako-

chał się w Wenerze Medycejskiej, ale ta pigmalionowa miłość dla posągu, jakkolwiek artystyczna, potrafilaby Rafaela i jego wesołą drużynę przyprawić o dobry humor: nie zrozumieliby poprostu, jak można się zakochać w kobiecie z marmuru. Jeżeli się kochać, to w kobiecie żywej, z ciała i krwi; wszystko jedno, z jakiej sfery pochodzi, czy jest córką patrycyusza, czy piekarza, byle była piękna, namiętną, rozkochaną. Fornarina nie była patrycyuszką, a jednak stała się najukochańszą kochanką Rafaela!...

Myśl ta nie dawała spokoju Słowackiemu, aż w końcu i on znalazł swoją Fornarinę.

Była nią »prosta dziewczyna« z ludu, za którą przemawiało jedno tylko: nadzwyczajna piękność. Słowackiemu wydała się odrazu podobną do Fornariny, uważał jednak, że była jeszcze »piękniejszą od tej, którą malował Rafael«. Jakoż, zapoznawszy się z nią bliżej, poprostu oszalał dla niej, tak, że w jednej chwili z dawnego roztropnego młodzieńca, który się »rozważnie prowadził i wszelkich niebezpieczeństw ze strony kobiet z *dziwną zręcznością* unikał«, stał się, jakby za dotknięciem jakiejś różdżki Afrodyty, »młodym chłopcem *szalonym*«, który, »*pomimo ostróg rozumu*, zakochał się z całą pasją serca swego«, przekonany ostatecznie, że tylko taka miłość, takie upojenie zmysłów, jest coś warte naprawdę, i że taka Fornarina, chociażby była prostą dziewczyną, jeżeli kocha i oddaje się z prawdziwej miłości, może dać więcej niezaprzecznego szczęścia, aniżeli wszystkie idealne i platoniczne miłości, które »jak próchno świecą«, razem wzięte. Byle kochała, naturalnie; i byle była piękna!... Jego Fornarina florencka, piękna, jak grzech, była nietylko prześliczną dziewczyną, ale nadto posiadała taką typową urodę Włoszki, że »zupełnie odpowiadała pięknym okolicom włoskim«. Oczy jej, szafirowe przy świetle wieczornem, stawały się we dnie, przy słońcu, czarnymi, »jak kamienie w powieściach wschodnich«. Kształtna, wysmukła, z piersiami jawnymi — jakby się o nich wyraził Jan Kochanowski — posiadała coś czystego w sobie, co ją — w oczach rozmarzonego poety — czyniło podobną do »Nimfy mitologicznej«, a co go przykuwało do niej, pociągało jak magnes, przyprawiało o »szał«. Zwłaszcza, że, kiedy on szalał bez opamiętania, ona chwilami wydawała mu się »niewiele zimna z charakteru«, co go rozplamiało tembardziej. Zupełnie »wyszedł

z normalnej kolei«. Dawno — a może nigdy w życiu — nie czuł się tak opętany miłością. Dotychczas bywał niekiedy, jak Anelli, »opętany przez anioła«, teraz był opętany przez kobietę rzeczywistą, o pięknem ciele i krwi południowej. Prostu nie poznawał się w tych »ekscentrycznych chwilach«. Nie przypuszczał bowiem, że był zdolny do takiej »burzy serca«. Stanowczo była to najgwałtowniejsza burza, przez jaką przechodził kiedykolwiek, burza, którą miotany i rozkolysany, czuł się szczęśliwy, jak nigdy, a podczas której, jak Rafael, upojony pocałunkami i pieszczotami Fornariny, z lubością wspominał:

Quanto fu dolce el giogo e la catena
De suoi candidi braci al col mio volti...

Pod wpływem tego Rafaelowskiego rozigrania zmysłów, zapomniał, iż ten romans jego, to ostatecznie »rzecz pospolita bardzo«, a że miał wyobraźnię bujną, jak mało kto, która najpospolitszą rzeczywistość umiała przystroić w najczarowniejsze girlandy najbardziej rozmarzającej poezji, więc począł to »swoje bóstwo« florenckie osnuwać w coraz idealniejsze szaty... Co ważniejsza, to, że chwilowo zaprzestał myśleć o wyjeździe z Florencji, choć tyle ostatnimi czasy przemyślał o powrocie do Paryża... Kto wie, myślał sobie, czy ta Florentynka nie jest ostatnią różą na wątłej lodydze jego »wdowiego życia«? Pocóż więc, mogąc jeszcze długo upajać się odurzającym zapachem tej przewonnej róży, zrywać ją zbyt prędko? Niech kwitnie!... A Paryż? Paryż nie ucieknie. Tak rozumując, choć od trzech miesięcy wybierał się w podróż, bo miał dość ważne interesy, które go przywoływały nad Sekwanę, siedział nad Arnem, przy swojej Fornarinie, i ostatecznie »wybrać się nie mógł«. Strasznie mu się nie chciało odjeżdżać od tej dziewczyny...

Ale wszystko, niestety, musi mieć swój koniec, wszystko, nie wyłączając i miłości. Jeżeli kobieta-kochanka zadawalnia tylko zmysły, jeżeli jest tylko piękna, to choćby nawet była »piękniejszą od tej, którą malował Rafael«, (a taką była w oczach poety jego florencka kochanka), przesyta musi nastąpić prędkiej, czy później. Co innego, jeśli pod powłoką ciała Fryny mieszka dusza Aspazyi! Zdaje się jednak, iż za Fornariną Słowackiego, jak za Fornariną Rafaela, przemawiała tylko piękność zewnętrzna. Ostatecznie była to »prosta dziewczyna«.

Stąd poszło, że i Słowacki, po upływie trzech miodowych miesięcy, powoli zaczynał ostygąć w swoim zapale, a równocześnie zaczął się bać tego zakochania się swego w prostej dziewczynie, zaczął się lękać, ażeby go ono »nie pozbawiło mocy charakteru i panowania nad sobą« i żeby go w końcu »do jakich szaleństw« nie przywiodło. Obawa podobna, to był początek końca. Doszło do tego, że poeta zaczynał się czuć zmęczonym tą romansową idylą *à la Rafael*, poczem przyszła kolej i na to, że go ta *bonne fortune* coraz bardziej zaczęła »napępniać czczością«: uważał, iż należałoby pomyśleć o zręcznem wycofaniu się z tego zaczarowanego koła miłości... Już miał dosyć pieśczot swej Fornariny!... Niestety, wszystko rozbijało się o to, że Fornarina inaczej zdawała się na sprawę tę zapatrywać: poprostu ani myślała o zerwaniu, o rozłączeniu się. Po co? A bo to im było źle z sobą?...

W takim usposobieniu, któregoś wtorku, jednego z pierwszych dni lipca, wynajął Słowacki — by sprawić przyjemność swej Fornarinie — jednokonny *tilbury* i pojechali na spacer. Dokąd? Do *Pratolino*. Jest to ogród angielski, położony trochę za miastem, a mniej uczęszczany w dnie powszednie, zwłaszcza w porze południowej. Dzień był prześliczny, upalny; słońce świeciło i dopiekało; w powietrzu panowała cisza. Słowacki był w doskonałym humorze, Fornarina także. Bawiła ich ta przejażdżka we dwoje. W południe wysiedli z powoziku (który pewno zostawili w jakim zajeździe, gdzie się prawdopodobnie i posilili także), poczem pieszo udali się na spacer do parku. Ponieważ park był pusty o tej porze, więc »niczem niestrwożeni, sami«, mogli być swobodni, nieskrępowani, biegać po murawach, gonić się, chować jedno przed drugim, zrywać różę, odpoczywać w cieniu i chłodzie grot, w których mruczały strumienie — jak w poemacie *W Szwajcaryi* — słowem, używać pięknego dnia *ganz nach freier Lust*, jakby powiedział Goethe, i doznawać czarującego złudzenia, że są »nowym Numą z Egeryą«. W ten sposób upłynął im cały dzień, wesoło, pogodnie i płocho, jak sobie tylko życzyć można. Niczem marzenie! Poeta zapomniał o »czczości«, która mu się dawała uczuć jeszcze wczoraj, i znowu była mu ta Fornarina »miłą«, jak dawniej.

Epilog jednak, którym się miał zakończyć ten spacer, wypadł mniej szczęśliwie. Gdyby nie szczęście w nieszczęściu, mogła przygoda, która im się przytrafiła, skończyć się o wiele

gorzej. Stało się tak. Kiedy wracali z *Pratolino*, oboje weseli i rozbawieni, szczęśliwi i zakochani, Słowacki, powożąc, zajęty rozmową z siedzącą przy nim Fornariną, zagadał się, zapomniał o lejcach, które należało trzymać krócej: dość, że koń, poczawszy, iż nie jest trzymany silną ręką, wziął na kiel i poniósł. Widząc, że go nie zdoła powstrzymać w biegu, poeta, nie namyślając się długo, skreślił gwałtownie, tak, żeby wywrócić, ale wywrócił tak szczęśliwie, że wolancik przełamał się na pół, koń z przednimi kołami uciekł (ale go złapano zaraz), a oni znaleźli się na ziemi, na trawie. Egerya upadła na Numę, lecz tyle było i katastrofy; przekonali się bowiem, kiedy powstali z ziemi, że oboje są zdrowi i cali, że im się nic nie stało; nawet siniaków uniknęli. Najgorzej na tej katastrofie wyszedł koń, który się pokrwawił, oraz kabriolet, za którego naprawienie musiał Słowacki zapłacić kilka skudów. Zresztą nie wpłynęło to nieprzewidziane *intermezzo* na pogorszenie humoru kochanków: tyle tylko, że musieli — jak niepyszni — wracać pieszo. Swoją drogą wracali weseli i podochoceni; Słowacki dowcipkował, Fornarina się śmiała; poeta dowodził, że »można w Azji i Afryce wojażować bez żadnego niebezpieczeństwa, a na drodze do *Pratolino* spotkać się z królową ostatecznych przestrachów, jak mówi Pismo święte«; a Fornarina pocieszała go, że choć nieszczęśliwy do koni, przecież nie zginie od nich (prędzej od kobiet). Tak żartując i śmiejąc się, powrócili do domu...

Słowackiemu jednak, który był zawsze przesądny trochę, dał wypadek ten, jakkolwiek błahy sam przez się, niemało do myślenia. Kto wie (myślał sobie), czy to nie była symboliczna przestroga ze strony Opatrzności? czy nie znaczyło to, że należy zaprzestać tych przejażdżek z Fornariną, jeśli się chce uniknąć nieszczęścia. Skończyło się na tem, że zaczął »widzieć przestrogę w tem zdarzeniu«. Niedawno, niedalej, jak kilka dni przed tym spacerem, kiedy się wahał, czyby temu romansowi nie położyć końca, powiedział sobie, po dłuższym namyśle: »Niech się stanie, jak się Bogu podoba«. Widocznie, że się Panu Bogu nie podobało to jego »zakochanie się w prostej dziewczynie«, skoro go przestrzegł tym wypadkiem z koniem. Być może, że inny na miejscu Słowackiego nie uważałby na taką przestrogę; ale Słowacki uważał i »opuścił« swą Fornarinę. Obawiał się, żeby nie skończyć, jak Rafael... Pragnąc jednak, ażeby stanowczo ująć pokusie, ażeby już nie powrócić

do swej Florentynki, ażeby nie zatęsknić przypadkiem »do tych dni ognistych różowego koloru«, jakie miał do zawdzięczenia Fornarinie, i po pewnym czasie nie wrócić do niej, postanowił nie zwlekać ze swym wyjazdem do Paryża. Tym sposobem (rozumował) uniknie recydywy, która w miłości jest niebezpieczniejszą o wiele, aniżeli w jakiejkolwiek innej chorobie.

Bądź co bądź, wyjeżdżając z Florencyi, mógł powiedzieć o sobie:

— I ja też miałem Fornarinę moją!

VII.

Z ŻYCIA CHOPINA.

»Stąbszy się czuję, nie mogę komponować, nie tyle dla braku chęci, ile dla fizycznych przeszkód, bo się tłukę co tydzień po innej gałęzi. A cóż mam robić? *Zresztą oszczędza mi to trochę grosza na zimę...* Tak brzmiał wyjątek z listu Chopina do Grzymały, z d. 1 października 1848 r., kiedy artysta bawił w Szkocyi, w zamku lorda Stirling. Było to już po szeregu koncertów, z którymi wystąpił w Glasgowie, w Edimburgu i Manchester, a które, powiódłszy się znakomicie, przyniosły mu znaczny dochód. Niestety, były to ostatnie zarobione przezeń pieniądze. Gdy po upływie sześciu miesięcy, w marcu roku 1849, znalazł się z powrotem w Paryżu, gonił już resztkami, a że od chwili, gdy przyjechał, prawie ciągle musiał leżeć w łóżku, niezdolny ani do pracy kompozytorskiej, ani do dawania lekcyj, przyczem wydatki wciąż się zwiększały w miarę rozwijającej się choroby, więc doszło do tego niebawem, iż genialny twórca *Mazurów i Polonezów* ujrzał się bez grosza... Zaprzyjaźniony z nim serdecznie wiolonczelista Franchomme, na którego głowie spoczywała cała finansowa strona egzystencyi chorego, widząc pustki w kasie, nie znajdował innego sposobu wyjścia z tego krytycznego położenia, tylko naradzić się z gronem najbliższych znajomych i wielbicieli mistrza, co czynić? Należało skądś dostać pieniędzy, Chopin bowiem, o ile nie wiedział, jak zaradzić temu bankructwu, o tyle denerwował się niem, tak, iż natychmiast czuł się gorzej. Skończyło się na tem, że się udano do panny Stirling, która, jako dawna uczennica Chopina, była tak zagorzałą jego wielbicelką, iż ją nawet posą-

dzano o źle ukrywaną miłość ku niemu... Przed paru laty Chopin dedykował jej prześliczne dwa Nokturny, *F-moll* i *Es-dur*, a kiedy na początku roku zeszłego, po wybuchu rewolucji lutowej, zdecydował się jechać do Anglii, to przyczyniły się do tego w znacznej mierze i namowy ze strony »Szkotek«, jak nazywał pannę Stirling i jej siostrę, panią Erskine. Była to osoba bogata nadzwyczaj, a że kult, jaki żywiła dla Chopina, był wiadomy powszechnie (wiedziano nawet, że Chopina często nudziły jej czułości i zbytne zajmowanie jego osobą), nie wątpiono przeto, że dowiedziawszy się o kłopotach swego uwielbianego mistrza, nie omieszka mu przyjść z pomocą. Jakoż nie zawiodła pokładanego w niej zaufania: gdy jej powiedziano, jak rzeczy stoją, nie namyślając się ani chwili, ofiarowała 25.000 franków, wyrażając gotowość ofiarowania więcej, jeśli tego tylko zajdzie potrzeba.

O całym tem smutnem zaściu istnieje kilka wersji, które warto poznać bliżej, bo nietylko opowiadają, jak romantyczną drogą doszły Chopina te pieniądze, lecz równocześnie rzucają ciekawe światło na ówczesny nastrój umysłów, dla nas dziś całkiem prawie niezrozumiały, a wielce dla epoki charakterystyczny.

Pani Rubio, jedna z cenniejszych uczennic Chopina, opowiadała historję tę Niecksowi w następujący sposób. Pewnego dnia zjawił się u niej Franchomme, z oświadczeniem, że należy przedsięwziąć jakieś kroki, ażeby wystarać się o pieniądze dla Chopina, o czem dowiedziawszy się ona, zaproponowała poprosić o zasiłek bawiącą właśnie w Paryżu pannę Stirling, przybyłą tu umyślnie dla opiekowania się chorym artystą. Gdy Franchomme uznał pomysł ten za dobry, pani Rubio, jak zapewnia, udała się niezwłocznie do bogatej Szkotki, ta zaś usłyszawszy o kłopotliwym-polożeniu swego ulubieńca, przerażona w najwyższym stopniu, tłómacząc przybyłej, że nie dalej, jak kilka dni temu posłała Chopinowi, nic o tem nie mówiąc nikomu, 25.000 franków. Posłała je w pakiecie, który dla niepoznania od kogo pochodził, kazała zaadresować w jakimś sklepie, a następnie, opieczętowawszy, polecila wręczyć artyście. To był fakt; skoro Chopin do tej pory nie wiedział, ani wspominał o otrzymanej anonimowej przesyłce, dowodziło to tylko, że pieniądze gdzieś utkwily po drodze. Ale gdzie?... Przedsięwzięto wszelkie możliwe starania, ażeby odnaleźć przepadłą zgubę,

lecz szukano daremnie; pakiet zniknął, jak kamfora. Oczywiście, że to wywołało niemalą konsternację wśród przyjaciół Chopina. Gdy sobie łamano głowy, gdzie się pieniądze te podziać mogły, wpadł ktoś na oryginalny pomysł, ażeby zasięgnąć rady u słynnego medyumisty Aleksandra... Autorem tego pomysłu był, według pani Rubio, jakiś literat szkocki, znajomy czy krewny panny Stirling, nazwiska wszakże jego nie zapamiętała... Jakkolwiek niemało dałoby się powiedzieć o tej prawdziwie szkockiej propozycji, to jednak, ponieważ wyczerpano wszelkie środki, zdecydowano się spróbować jeszcze i tego. A nuż się uda!... Nowoczesny czarownik, zapytany, gdzie szukać rzeczonego pakietu, oświadczył, że paczkę tę wraz z listem oddano żonie portyera, u której znajduje się dotychczas; iż on jednak, ażeby mózż cośkolwiek bliższego powiedzieć w tym przedmiocie, koniecznie musi dostać choć kilka włosów z głowy podejrzanej odźwiernej; w przeciwnym razie nie jest w możności dać żadnych dokładnych informacji. Zadanie było niełatwe, ale nie przedstawiało się znowu jako niemożliwe do spełnienia. Prostu wypadało uciec się do podstępu!... Jakoż uknuto formalny spisek na głowę odźwiernej, a co najzabawniejsze, iż i Chopin, gdy go wtajemniczono w całą sprawę, nie tylko dał się wciągnąć do tego niepowszedniego spisku, ale nawet, po długich naradach, w jaki sposób dałoby się podejść niczego niedomyślającą się kobietę, skoro zadecydowano, że najłatwiej by się dopięło celu, gdyby on był wykonawcą całego zamachu, nie cofnął się przed przyjęciem tej ryzykownej a trudnej roli. Ażeby się z niej godnie wywiązać, artysta poprosił portyerkę, ażeby mu wieczorem umyła nogi, co zresztą zdarzało się jej czynić już niejednokrotnie... Gdy przyszło do tej czynności, Chopin tak poprowadził rozmowę, że jakoś zgadało się o włosach wogóle, a po niejakiem czasie o włosach *madame la consierge* w szczególności. W końcu, prawdopodobnie ku niemałemu zdziwieniu stróżki, artysta wyraził życzenie, że pragnąłby posiadać plecionkę z jej włosów... *Madame la consierge*, uważając to za jedno z tych dziwacznych zachceń, z którymi tak często spotyka się u ludzi chorych, i nie śmiąc sprzeciwić się podobnemu żądaniu, uczyniła mu zadość, choć pewno sobie pomyślała, że jednak temu panu Chopinowi coś się musiało pomieścić w inteligencji... Ale nie o to chodziło, co sobie pomyślała pani portyerowa, lecz o jej włosy!... Gdy je zdobyto, zaraz na-

zajutrz pospieszono z niemi do Aleksandra, ten zaś, przyrzawszy się im, orzekł, że pieniądze znajdują się ukryte w zegarze ściennym, wiszącym w mieszkaniu portyera. Otrzymawszy tę informację, nie zwłócząc udano się do portyerki, która, zapytana o taki to a taki pakiecik, niedawno przysłany do pana Chopina, w pierwszej chwili zbladła, jak kreda, poczem, wyciągając z za zegara żadaną kopertę, zaczęła się tłumaczyć, iż ją na razie zapomniała oddać, później zaś, gdy sobie przypomniała o niej, wstydziła się przyznać, że powierzoną sobie rzecz tak długo przetrzymała w swoim mieszkaniu... Gdy rozwinięto pakiet, okazało się, że nie brakło ani franka. Mimo to, wszystkim nasunęło się podejrzenie, że *madame la consierge*, spodziewając się rychłej śmierci Chopina, a domyślając się, że w paczce są pieniądze, schowała ją umyślnie, ażeby sobie w odpowiedniej chwili przywłaszczyć jej zawartość...«

Nieco odmiennie opowiada o przebiegu całej tej sprawy pani Audley w swej francuskiej książce o Chopinie. Według niej rzecz miała się tak:

Jednemu z najbardziej zaufanych przyjaciół Chopina (Franchomme'owi) zdarzyło się raz rozmawiać z panną Stirling o kłopotach finansowych twórcy *Nokturnów*, na co wspaniałomyślna Angielka prosiła go o przyjęcie 25.000 franków oraz o możliwie delikatny sposób wręczenia ich choremu. Życzeniu jej stało się zadość o tyle, że pieniądze, złożone w papierowej kopercie, oddano odźwiernej Chopina, z poleceniem, by list ten oddała adresatowi. Dla przyjaciół mistrza, współczujących jego przykremu położeniu, było to piękne znalezienie się panny Stirling, jakby promieniem słońca, rozjaśniającym ponure ciemności; szczególnie zaś mógł się z tego cieszyć Franchomme, czuwający nad kasą swego genialnego kolegi. To też nie trudno wyobrazić sobie jego zdziwienie, gdy w kilka dni po tem wszystkim usłyszał nowe skargi z ust Chopina, który dobierając szczególnie cierpkich wyrażań, użalał się na swoją nędzę. Franchomme, wiedząc o hojnym zasiłku panny Stirling, nie mógł zrazu wyjść z osłupienia, gdy jednak Chopin wciąż obstawał przy swoim, zaczęło go to w końcu niecierpliwić. Czując, że tu na dnie wszystkiego leży bezwarunkowo jakaś mistyfikacja, rzekł trochę podrażniony już tą rozmową:

— Ależ, mój drogi, zdaje mi się, że chyba nie masz powodu troskać się zbytnio o swoją przyszłość. Chodzi tylko o cał-

kwowite odzyskanie zdrowia, a tego możesz oczekiwać z całym spokojem, mając pieniądze.

— Co? Ja mam pieniądze? wykrzyknął Chopin urażony. Jestem bez grosza!

— Jakto? A te 25.000 franków, któreś otrzymał niedawno?

— Dwadzieścia pięć tysięcy franków?! Gdzież one są? Kto mi je miał przysłać? Nie otrzymałem w tych czasach ani jednego *sou*.

— No, wiesz, tego to już trochę za wiele!

Po takiej wymianie zdań, dość nieprzyjemnej dla obu przyjaciół, gdy nareszcie Franchomme opowiedział Chopinowi o owych 25.000 franków od panny Stirling, i gdy się okazało, że Chopinowi nie dostarczono ostatnimi dniami żadnego listu z pieniędzmi, nie pozostawało nic innego, tylko szukać... Kwota była zbyt znaczna, aby dopuścić jej stratę. Jakoż zabrano się do dzieła. Po zbadaniu wszystkich okoliczności, towarzyszących wysłaniu owego listu z pieniędzmi, jeden fakt nie ulegał najmniejszemu zaprzeczeniu, że zapieczętowane pieniądze oddano odźwiernej, że je miała doręczyć Chopinowi, że ich jednak nie doręczyła. A zatem musiały znajdować się u niej... Chodziło o to tylko, w jaki sposób przekonać się o prawdziwości tego przypuszczenia, by jednocześnie nie obudzić czujności w stronie posądzonej. Ktoś wpadł na pomysł, by zapytać o radę w tym względzie słynnego podówczas w Paryżu medyumisty Alexisa. Ale i tu natrafiono na szkopół: na to bowiem, by z Alexisa coś wydostać, należało go z daną osobą wprowadzić w pośrednią lub bezpośrednią styczność, co w danej sytuacji nie było wcale łatwym. Lecz zaradzono i temu. Ponieważ chodziło o portyerkę, więc za pomocą zręcznego podstępu wydostano od niej chustkę, którą zwykle nosiła na szyi, i chustkę tę zanesiono medyumistcie. Ten, wzięwszy ją do ręki, odrazu dał żądane objaśnienie, mówiąc, że poszukiwane 25.000 franków znajdują się *za lustrem* w mieszkaniu portyera. Po zasignięciu tej informacji, osoba, która list była doręczyła odźwiernej, niezwłocznie udała się do niej, oświadczając, że listu, o którego oddanie Chopinowi prosiła niedawno, artysta nie otrzymał dotąd... Czemu? Na to portyerka wyjęła *z za zegara* żadaną paczkę, i oddając ją, rzekła z najzimniejszą krwią:

— *Eh bien, la v' la, vot lettre!*

Prostu, zatknąwszy paczkę za zegarem, ażeby ją przy

pierwszej sposobności zanieść na górę, zapomniała o niej na śmierć...

Gdy wreszcie pieniądze doszły do rąk Chopina, zawahał się z przyjęciem tak znacznej sumy. Według twierdzenia pani Rubio, zatrzymał tylko 1.000 franków, resztę zaś zwrócił swej hojnej przyjaciółce. Franchomme jednak, który w danym wypadku musiał być z natury rzeczy najlepiej powiadomionym, utrzymuje z całą stanowczością, że Chopin zatrzymał 12.000 franków, co jest o tyle prawdopodobniejsze, że przy wysokiej stopie, na jakiej wielki pianista żyć był przyzwyczajony, drobna stonkowo suma 1.000 franków starczyłaby na bardzo niedługo. Nie należy zapominać, że artysta trzymał obszerne mieszkanie na pierwszym piętrze, że, jakkolwiek chory i często zmuszony leżeć w łóżku, prowadził dom otwarty, przyjmując liczne grono znajomych, że do stołu prawie nigdy nie zasiadał sam, że prócz służącego miał przy sobie od niejakiego czasu „gardmaladę“, że pozostawał pod opieką pierwszych powag lekarskich, że na spacer do lasu Bulońskiego nie wyjeżdżał nigdy inaczej, tylko powozem, i t. d., i t. d. Uwzględniwszy to wszystko, łatwiej się wierzy Franchomme'owi, niż pani Rubio. Kiedy panna Stirling zdecydowała się wesprzeć Chopina 25.000 franków, to tylko dała tem dowód, że znała doskonale jego potrzeby... Nadmienić wypada, że i co do wielkości ofiarowanej mu sumy nie wszystkie relacje są z sobą w zgodzie. I tak np. Karol Gavard (który wogóle jest jednym z najwiarogodniejszych źródeł odnośnie do Chopina) powiada, że mu ofiarowano nie 25.000, lecz tylko 20.000 franków.

VIII.

CHWILA PRZEŁOMU W ŻYCIU ADAMA MICKIEWICZA.

Cokolwiekby się dało powiedzieć o Andrzeju Towiańskim, na jedno trzeba przystać bezwarunkowo, że nie był to człowiek pospolity. Oto na przykład, jak go charakteryzuje Adolf Lebre, jeden z wybitniejszych pisarzy szwajcarskich, który, choć bynajmniej nie należał do zwolenników »Mistrza«, przyznawał jednak, że wrażenie, jakie ten człowiek robił na innych, bądź co bądź było niezwykle: «Poznałem Towiańskiego; nie mogę sądzić o nim bezstronnie, bo to człowiek niezwykły; wszystkie tęsknoty i dążenia epoki naszej znalazły miejsce w jego sercu; on jest duchem wcielonym wieku. Jego wiedza, jego bystrość, potęga jego ducha są nadludzkie, wskazują w nim człowieka w stanie ekstazy, albo raczej podniesienia, pełnego słodyczy i siły, która daje mu skrzydła do wspaniałego polotu w sfery nadziemskie; myśl jego natchniona jest dobrocią i miłosierdziem bez granic; hymn radości i tryumfu dźwięczy w jego sercu. To anioł nie człowiek! Ta wspaniałość monarsza, ten wzrok pełen słodyczy, ten spokój, ta siła, ta miłość, ta skromność, ten wyraz dziewiczy i to czoło cesarskie: co za człowiek! Jeśli on nie jest chrześcijaninem, to obudzi w sercach ludzkich takie wątplenie o prawdzie chrześcijaństwa, jakiego nie obudziły dotąd żadne systemy filozoficzne. On gotów odwrócić miliony od krzyża». Z jeszcze większym entuzjazmem wyrażał się o Towiańskim X. Duński, którego możnaby nazwać św. Pawłem Towiańszczyzny, bo walcząc przez siedm lat z nauką »Mistrza«, jako jeden z najdzielniej-

szych członków zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców, po siedmiu latach sam w końcu został uczniem pana Andrzeja. »Wyznaję, słowa są X. Duńskiego, że na drodze żywota mojego nie napotkałem człowieka, ani czytałem takiej książki, któraby pokazała tak wysokie i wielkie pojęcie o ofierze Jezusa Chrystusa, jak ją pokazuje Andrzej Towiański, a ofiary tej naucza słowem, życiem całem i przykładem«. Wogóle twierdził X. Duński, że w życiu swoim spotkał tylko dwóch ludzi, których widok »nieziemsko« go przejął: Piusa IX i Towiańskiego. W sposobie mówienia Mistrza, zdaniem X. Duńskiego, wiele było rysów, przypominających Piusa IX. To też nie dziwił się, że »ten człowiek nadzwyczajny« wprawił ludzi w taki podziw dla siebie, »bo nigdy, powiada, nie spotkałem człowieka, mówiącego z taką pogodą, jasnością, pewnością, a razem pełen prostoty i miłości«. »Widziałem w nim prawdziwą pokorę, z zachowaniem wolności i godności chrześcijańskiej: wielką miłość Chrystusa Pana i wszelkiej prawdy, niesłuchaną wiedzę i praktyczne jawienie skarbów Bożych, w skale Piotrowej złożonych; w rozmowie i każdym czynie — ton czysto chrześcijański (płynący z miłości Boga i bliźniego), ton, prawie już zagubiony na ziemi; żadnego oglądania się na osoby: żebraka przyjmie do braterstwa, równie, jak wielkiego podług ziemi. Ze wszystkiego, co widziałem i słyszałem, mniemam, iż jest to prawdziwy sługa Chrystusa, sługa epoki, jak się sam nazywa. Mam sumienne przekonanie (a świadectwo tego dziś praktycznie w sobie noszę!), że człowiek ten jest *jedyny* do podania *każdemu* stanowi słowa i *idei ożywiającej*, pokazującej drogę praktyczną chrześcijańską. Wychodziłem od niego, po każdej rozmowie, z najgorętszym pragnieniem *stanięcia lepiej* przed Bogiem i ludźmi, w wielkiem i świętem powołaniu kapłana«. Tak pisał X. Duński, do niedawna jeden z najzarliwszych bojowników w walce z Towiańczykami. Z podobnym entuzjazmem pisze o »Mistrzu« Karol Baykowski. Powiada on, że młode swe lata spędził w ciężkiej walce chrześcijańskiego sumienia z patryotyzmem, opartym na nienawiści. Stąd rozdzwięk moralny, który go wtrącił w ponurą melancholię. Możeby wpadł w obłąkanie, gdyby nie zbliżenie się w r. 1848 do Towiańskiego: od chwili, kiedy go poznał, poczuł odrazu, że mu w duszy zajaśniało słońce. Oto co sam pisze w tej mierze w swoim piśmie *Z nad grobu*: »Witajże mi na koniec, dniu wielce błogosławiony —

nietylko w tym doczesnym, ale i w wiecznym żywocie ducha mego — dniu 25 lutego 1848 roku, w którym Bóg w Trójcy świętej jedyny, przez sługę swojego, Andrzeja Towiańskiego, przez to wybrane narzędzie woli i miłosierdzia swojego dla świata na wieki poczętej epoki chrześcijańskiej, rozwiązał ciężkie zaklęcie moje: rozwiązał i dostępną zmysłom moim uczynił tajemnicę tej wiecznie dręczącej mię niezgody mojej z samym sobą — dniu, w którym po raz pierwszy w życiu mojem to przykazanie Chrystusa: *Kochaj Boga nadewszystko, a bliźniego, jak siebie samego*, stało się dla mnie nie abstrakcyjnym tylko ideałem ducha, ale uczuciem najrealniejszym; bo czemuże był ten sługa Boży, na którego patrzałem, którego dotykałem, z którym rozmawiałem, jakby ze znanym mi oddawna ojcem i przyjacielem, czemuże było każde słowo i każdy ruch jego, jeśli nie uosobieniem i żywym wydaniem uczucia tego, a tylko w nieskończenie wyższym stopniu nad to wszystko, do czego duch mój kiedykolwiek sięgał w chwilach najwyższych uniesień i przeczuć swoich«. Pod wpływem tego zjednoczenia się z duchem Mistrza zapłonął i Baykowski podobnem uczuciem dla Boga i świata: »Ja sam realnie kochałem Boga nadewszystko, a bliźniego, jak siebie samego; bo siebie kochałem tylko miłością; zbawienia dla wszystkich bez wyjątku bliźnich moich pragnąłem«. Ludwik Nabelak, po pierwszej rozmowie z Mistrzem, kiedy wyszedł od niego, rzekł: »To istny Nataniel! Szczerłość i prostota sama!« Wielogłowski powiadał o nim (co później napisał także), iż Towiański miał to do siebie, że wystarczyło mu raz jeden pomówić z kim, a odrazu zyskiwał nietylko wiarę w siebie, ale od pierwszej chwili wzbudzał cześć »prawie nie ludzką«: tyle w nim było świętości. »O gdyby księża, mawiał Mickiewicz, mieli choć cząstkę świętości, którą widzę i czuję w tym mężu, a której podobnej, w mojem przekonaniu, od czasów Jezusa Chrystusa nie było na ziemi w takiej zupełności i mocy«. To też skutek, jaki osiągał na ludziach, do których mówił, był taki, że się nietylko nawracali z całego serca, ale się »u nóg jego włożyli«. Miał w sobie, przy całej prostocie i cichości, coś imponującego. »Żakiem jestem przy nim«, wyraził się raz Mickiewicz. Na dowód, że osoba jego istotnie wywierała jakiś urok czarowny, urok, którego niektórzy nie mogli się pozbyć aż do śmierci, przypomnieć należy, że urokowi temu nie oparł się nawet Thiers.

„*C'est le premier homme*, wyraził się po swej godzinnej rozmowie z Towiańskim, *avec qui je pouvais causer pendant une heure des choses qui ne touchent pas, ni l'histoire, ni les affaires politiques, mais une religion toute nouvelle*“. Thiers jednak, choć przyznawał później, że Towiański uczynił na nim *une grande impression*, był zbyt mało skłonny do egzaltacji, ażeby uwierzyć w tego »męża Bożego«, ażeby w nim ujrzeć »naczynie łask dziwnych«; ale natury idealistyczniejsze, rządzące się uczuciem, nie zimnym rozumem, ulegały przedziwnej mocy tego człowieka. A była to moc, która nietylko jednała sobie — i lamala -- najpotężniejsze duchy wśród emigracji polskiej, ale zdolala podbić nawet wielu znakomitych cudzoziemców, zwłaszcza Włochów: duchownych, jak Barone, polityków, jak Scovazzi, uczonych, jak Forni i Canonico.

Czynnikiem, potęgującym to pierwsze wrażenie, jakie Towiański czynił na ludziach, było jeszcze niejaki podobieństwo do Napoleona (z czasów wojny roku 1812, kiedy ten nowożytny Cezar był bardziej otyły), podobieństwo, o którym zdawał się wiedzieć... Dlatego nosił zawsze, a przynajmniej najczęściej, surdut brązowy, jaki zwykle nosił Napoleon, i długie palone buty z cholewami. W takim stroju, będąc wzrostem średniego, postaci szczuplej raczej, »choć wyraz siły wiązał delikatniejsze kształty«, o twarzy pięknej, męskiej, o pięknie, wysokiem czole, które okrywał włos siwy, krótko ostrzyżony, czysciutko przyczesany, o szaro-błękitnych, niezmiernie bystro, choć łagodnie zarazem, patrzących oczach, przypominałby Napoleona tem żywiej, gdyby nie okulary niebieskie, które był zmuszony nosić dla słabości wzroku.

Tak się przedstawiał zewnętrznie ten »filozof ewangeliczny«, ten »apostół pokoju i powszechnego miłosierdzia«, ten »mąż-zwiastun nowej epoki«, ten »mąż-pocieszyciel«, który, obdarzony zadziwiającą bystrością w poznawaniu charakterów ludzkich, choć się mienił prostaczkiem duchowym, odznaczał się niepospolitą bystrością umysłu, inteligencyą, która mu pozwalała na najtrudniejsze pytania zawsze odpowiadać trafnie, a w taki sposób, że strona pytająca wychodziła nietylko pokonaną, ale i przekonaną. To ostatnie zawdzięczał swej bujnej a porywającej wymowie, która, będąc na usługach jego niepospolitych sił umysłu i poetyckiego zapału, wywierała wpływ magiczny, olśniewała i oszalała zarazem.

I.

Taki był człowiek, który, w dniu 30 lipca 1841 roku, zadzwonił do mieszkania Mickiewicza.

Poeta właśnie powrócił z Vanvres, dokąd był odwiózł swoją obłąkaną żonę, umieściwszy ją w t. zw. *maison de santé*. Powróciwszy do Paryża, do domu, w stanie blizkim zwątpienia i rozpacz, z duszą ściśniętą utrapieniem, w głębokim smutku, rozkazał służącej, ażeby w razie, gdyby kto przyszedł, nie wpuszczała nikogo. Lédwo zdążył wydać to rozporządzenie, gdy zadzwoniono silnie. Służąca poszła otworzyć, lecz oświadczyła przybytemu, że pan nie przyjmuje. Wtedy gość, mężczyzna, jak się okazało, 43-letni, oświadczył jej, by oznajmiła swemu panu, że pragnący się z nim widzieć przybywa z Polski i ma ważny obowiązek do spełnienia. Na te słowa, Mickiewicz, który je dostyszał z przyległej komnaty, wyszedł do sieni, a zobaczywszy gościa, poprosił go do swego pokoju.

Przybyły, przekroczywszy próg mieszkania poety, pozdrowił go staropolskiem: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!* poczem, zarekomendowawszy się, przypomniał mu, że przed 20-tu laty widzieli się raz w Wilnie (czego sobie Mickiewicz nie przypominał), a w końcu rzekł, że przynosi dobrą nowinę. Ale Mickiewicz, mając głowę nabitą czem innym, stuchał z roztargnieniem. Spozrzegłszy to, przybyły rzekł:

— Duch twój uwięziony gdzieindziej.

Na to Mickiewicz:

— Nie wiecie może o moich biedach domowych?

Gdy Towiański zdradził niewiadomość w tym względzie, opowiedział mu poeta, w jakich znajduje się okolicznościach, skąd powrócił przed chwilą, etc., etc. Wysłuchawszy opowiadania wieszcz, zapytał go Towiański (który nie wiedział nawet, że Mickiewicz jest żonaty): jak z domu jest jego żona?

— Szymanowska, odparł Mickiewicz.

— Czy z rodziny hrabiów tego nazwiska?

— Nie.

Wtedy, ku najwyższemu zdumieniu poety, oświadczył mu Towiański, że zna potęgę ducha, objawioną przez Pana naszego, i że obłąkaną... uzdrowi. Na to zauważył Mickiewicz, iż wierzy w miłosierdzie Boże. Wtedy Towiański upewnił go,

że Celina będzie zdrowa, że wyzdrowieje niebawem, na dowód zaś, że to nastąpi jeszcze w tych dniach, rozkazał pocie, by ostrzegł swoich przyjaciół, że ją zdrową zobaczą. Upredziwszy ich, niech jutro zaraz pojedzie do Vanvres, niech zabierze Celinę, nie zważając na stan, w jakimby ją znalazł, i niech z nią pojedzie do Paryża, do siebie. Wtedy on, Towiański, uzdrowi ją. To powiedziawszy, pożegnał poetę.

Odchodząc rzekł:

— Choćby wojsko stanęło pomiędzy nami, rozproszę je!

I zniknął za drzwiami.

Rzecz prosta, że wrażenie, jakie na Mickiewiczu uczyniła ta wizyta Towiańskiego, było piorunujące. *Un coup de foudre!* Sam nie wiedział, co o tem wszystkiem myśleć, a zwłaszcza, co myśleć o tym człowieku dziwnym, który z taką pewnością obiecywał mu, że Celinę uzdrowi, iż prawie wątpić nie pozwalał, ażeby to, co mówił, nie było wyrazem głębokiego przeświadczenia. Lecz kto mu dał tę moc uzdrawiania? Co to jest za człowiek? Te i tym podobne pytania nasuwały się mimowoli, ale obok nich rodziła się jakaś mistyczna wiara, jakieś przecucie, że Celina będzie zdrowa... Jakoż przekonał się po niejkiej chwili, że uderzony »szczególnym tonem« tego człowieka, uwierzył w jego moc, uwierzył, że nikomu innemu, tylko jemu będzie uzdrowienie swej żony zawdzięczał, że on jest mocen dokazać podobnego cudu. Było to dziwne uczucie, niewytłomaczone, a jednak narzucające się z jakąś nieprzepartą siłą.

Wobec tego, gdy nadeszła noc, poeta spędził ją bezsen- nie, wśród »strasznych« przywidzeń i rozmyślań. »Była to walka Jakóba!« — wyraził się o niej później sam Mickiewicz — walka przytem, w której poeta wyszedł zwyciężony: walczył, wątpił, w końcu jednakże, nad ranem, »zaufał w potęgę miłosierdzia Pańskiego«, a w zaufaniu tem była już ogromna doza wiary, że szafarzem tego miłosierdzia Pańskiego musi być gość wczorajszy.

W tem uczuciu wyszedł na miasto, do kilku swoich znajomych, opowiedział im, co zaszło, upredził, że Celina będzie zdrowa etc. Jeden stary doktor, Polak, kiedy mu Mickiewicz powiedział o tem wszystkiem, zaczął wątpić, czy poeta jest przy zdrowych zmysłach, wziął go za rękę i zaczął mu

nieznacznie, niby od niechcenia, puls badać. Spostrzegłszy to, poeta roześmiał się.

W końcu pojechał do Vanvres. Tam, skoro oświadczył swój zamiar lekarzowi, ten sądził zrazu, że poeta nie jest kontent z jego zakładu i że chce żonę umieścić gdzieindziej. Stąd wywiązała się ciekawa i pocieszna scena, bo lekarz zrozumieć nie mógł, żeby poeta mógł mówić na seryo, co mówił. Ostatecznie, widząc, że Mickiewicz obstaje przy swoim, rzekł:

— Zresztą jest to pańska żona, możesz więc Pan rozporządzać nią, jak ci się podoba.

Po tych słowach udali się do pokoju Celiny, którą zastał w stanie nadzwyczajnej excytacji, rozdaśana, tak, iż miejscowi medycy zaręczali, że wypadnie ją zaraz z *użyciem gwałtu* napowrót zamknąć. Mickiewicz jednak, niewzruszony tą opinią lekarzy, nie zważając na »zupełne pomieszenie« Celiny, zabrał ją, wsadził do powozu, którym przyjechał, i »w kanikule, gorąco i w czasie burzy« powiózł do Paryża.

Tam, w mieszkaniu poety, czekał już Towiański, a oprócz niego jeszcze cztery czy pięć przypadkiem przybyłych osób, w tej liczbie Izydor Sobański. Wszyscy z ciekawością spoglądali na Celinę, będącą właśnie w paroksyzmie choroby, ze wzrokiem osłupiałym, błędnym, z twarzą bladą, jak z gipsu. Wtedy Towiański zbliżył się do chorej, wziął ją za ręce, poczem szepnął jej — do ucha — kilka słów, ale tak cicho, że nikt nie dosłyszał ani jednego wyrazu. Prawie w tej samej chwili, ku niesłychanemu zdziwieniu wszystkich, pani Celina padła na kolana, do stóp pana Andrzeja. Wtedy on, w swoim charakterze proroka, zamiast się wzruszyć tą dziwną pokorą obłąkanej, zgromił ją surowo, zaczął wymawiać grzechy, które popełniła, poczem rozkazał, żeby powstała, żeby uściskała męża i dzieci. Celina, już odmieniona zupełnie, przytomna, i taka, jaką była zwykle, powstała, a wstawszy, zaczęła ścisnąć męża i dzieci. Wzruszenie, sprawione tem cudownem uzdrowieniem, było nadzwyczajne. Wszyscy poplakali się. Wtedy Towiański rozkazał pani Celinie, by zaraz poszła do spowiedzi... Poszła i powróciła zdrowa zupełnie, a odzyskawszy najzupełniejszą przytomność, już jej odtąd nie utraciła nigdy ¹⁾.

¹⁾ W cennej książce prof. Kallenbacha o Mickiewiczu (II, 284, Kraków 1897) znajdujemy następujące zastrzeżenie w kwe-

Kiedy Mickiewicz, oszolomiony tem wszystkim, nie wiedział, jak — i czem — sobie wytłómaczyć te »okoliczności cudowne«, które towarzyszyły uzdrowieniu Celiny, oświadczył mu Towiański, że to, czego dokonał przed chwilą, dokonał nie z doświadczenia własnego, ale z rozkazu Boga, którego jest zesłańcem, że jest to znak, by uwierzono weń, a przedewszystkiem, ażeby w niego uwierzył on, Mickiewicz; uwierzywszy zaś, by dał świadectwo o jego, Towiańskiego, misyi do emigracyi, o dobrej nowinie, którą przynosi ludzkości.

I zaczął tłumaczyć pocie — a czynił to z porywającą wymową — że oto przed dwoma laty opuścił kraj, gdzie, jako sędzia sądu głównego litewskiego, był otoczony szacunkiem współrodaków, rzucił znaczny majątek, który miał być skonfiskowany, rozstał się z pięciorgiem dzieci, które tem samem narażał na niebezpieczeństwo, i przybył do Francyi, ażeby naszym wychodźcom przynieść słowo zbawienia, ażeby im obwieścić dobrą nowinę.

Jaką nowinę? Przedewszystkiem tę, że emigracya już się ma ku końcowi, że zbliża się chwila powrotu do kraju, człowiekiem zaś, któremu Chrystus polecił przyspieszenie tego upragnionego *exodu* z Francyi, jest on, Towiański. »Wybiła godzina miłosierdzia Pańskiego«, nadeszła chwila, kiedy mu *z wyżej* rozkazano objawić, iż zaczyna się nowa epoka, epoka łaski, w której naprawdę Słowo stanie się ciałem. Przebrała

sty tego *cudownego* wyleczenia Celiny Mickiewiczowej (opowiadanego zazwyczaj na podstawie relacyi Melegarego i Scovazzięgo, spisanych w latach 1871 i 1877, a podających fakt uzdrowienia, jako natychmiastowy i doraźny). »Zaznaczyć należy (powiada prof. Kallenbach), że najwcześniejsza relacya, bo z d. 18 czerwca 1842 r. spisana z opowiadania Mickiewicza, przedstawia uzdrowienie żony poety, jako *powolne i częściowe*. X. Duński P. R. (późniejszy Towiańczyk) tak pisze w liście do braci zakonnych: »W Nanterze tedy, w mieszkaniu Towiańskiego, została *rozpoczęta* kuracya cudowna Adamowej, w której ja wszakże, *podług samego opowiadania Adama* wiele dostrzegam naturalnego wpływu człowieka wyższego..., który zrozumiał przyczynę zaraz na razie obłąkania i uderzeniem nadzwyczajnem, swoją mową pewną, ideami dla niej nowymi *przestraszeniem* jej odwrócił naprzód *kierunek jej uczuć*; *mówił z nią potem sam na sam pół godziny*, poczem oświadczył Adamowi, że *choroba nie jest jeszcze zupełnie wyleczona*, bo trzeba, aby sam Adam dla niestracenia jej przywiązania reszty dokazał. Nakazał pójść do spowiedzi ogólnej i t. d., i t. d.«.

się miara zlego. Jak zawsze w takich razach, tak i teraz, Opatrzność zsyła środki zaradcze w postaci mężów natchnionych, głoszących wolę Bożą. Takim mężem właśnie, zesłanym przez Opatrzność, jest on, Towiański. On ma sprawić, że to, co dawniej odbywało się długą koleją czasu, obecnie dokona się nagle. Wszystkie cierpienia ustaną. Skończy się panowanie przemocy i siły materyalnej. Ewangelia zapanuje powszechnie, jaśniejac nie w słowach i formach, ale w sercach wszystkich. Wszystkie ludy będą wolne i niepodległe. Chrystyanizm utracił wiele z swego pierwotnego majestatu, zszedł z wysokości swego zadania. Trzeba odnowić chrześcijaństwo, ożywić napowrót ducha prawdziwie chrześcijańskiego, a to jest możebne tylko zapomocą uszlachetnienia człowieka przez pokorę i skrucę, jako prowadzących do tego wzniosłego celu; trzeba w sobie te najwyższe cnoty chrześcijańskie wyrobić wewnętrzną pracą duchową: i to jest *rzecz*, będąca zadaniem jego posłannictwa, to jest *sprawa Boża*, której służyć — dla urzeczywistnienia na ziemi myśli Bożej — muszą się podjąć ci wszyscy, którzy uwierzą w jego boskie posłannictwo! Skoro myśl Boża zapanuje w świecie, i duch *prawdziwie Chrystusowy* ogarnie ludzkość, wtedy samo przez się zniknie wszystko złe obecne, będące jedynie karą Bożą za zboczenie z prawej drogi prawd Chrystusowych, i wówczas dopiero szczęście powszechne, powszechna błogość i cnota zapanują w całej ludzkości: zadanie zostanie spełnionem, myśl Boża owładnie duchem każdego człowieka i wszystkich pojedynczych narodów. Tymczasem błogosławieni będą ci, którzy uwierzą pierwsi, że stanowczo godzina wybiła, że Bóg ulitował się nad nami.

— Bóg mię powołał (mówił Towiański), abym wyprowadził na jaw to, co każdy tu (tu złożył obie ręce na piersiach) nosi w sobie. Gdy to się stanie, ostateczny tryumf jest zapewniony. Emigracya jest powołana na to, a powołana przez Boga samego, ażeby nauczyła Francye, jakim sposobem ma być Fracyą. Nie mamy odwagi być szczerze tem, czem jesteśmy; dlatego tak wielu pomiędzy nami najzaciejszych wewnątrz, lecz zewnątrz, w postępowaniu, nikczemnych i małych. Bóg domaga się ofiary ducha. W zupełności takiej ofiary leży tajemnica i wielkość czynu Chrystusowego. On pierwszy wyniósł sztandar pański, to jest objawił *zewnątrznie* całą potęgę swoją *wewnętrzną*. Po takim przykładzie, po wyrobie wieków, dzisiaj

to przyjdzie łatwiej. Wypadki są bardzo bliskie, a są tylko trzy wielkie t. j. powołane narody: Słowiańszczyzna, Francya i Izrael. Podniesienie się pewnej liczby powołanych do wskazanych im wyżyn stanie się hasłem olbrzymiego przewrotu na świecie, hasłem tryumfu cnót przechowywanych acz uspionych w duszach ludzkich, cnót, których przebudzenie położy kres rządóm obłudy dotychczasowych możnowładców i ich służalców.

Na sceptyczne pytanie, dlaczego jemu właśnie, Towiańskiemu, Bóg odkrył tę tajemnicę przyszłych losów ludzkości, Mistrz odpowiedział w taki sposób:

— Wiem, że się niejeden oburzy: jak można, aby szlachcic, jak ja, nic nie znaczący, przyjechał tu z Litwy i stał się sprawcą tak wielkiego dzieła. W lesie jest mały robaczek, przeznaczony do wielkich rzeczy. Bóg dotychczas nic nie poczynał przez robaczki. Ale czyż Bóg uczynić tego nie może, gdy uczynić zechce? Dlatego ktokolwiek jest tym wybranem Bożym, zwycięży!

Tak — w przybliżeniu — mówił Towiański, a wrażenie, jakie słowa jego, porywające i unoszące w sfery idealne, wywarły na słuchaczach, nie da się opisać. Szczególniej wzruszony był Mickiewicz, który nadto dał się olśnić jeszcze częścią *cudaowną* postaci Mistrza. Nie pamiętał, ażeby kiedykolwiek doświadczał podobnych uczuć, jakich doświadczał pod wpływem wymowy tego dziwnego człowieka. Prostu przypuścić nie mógł, ażeby to, co mówił Towiański, mogło nie być prawdą. Jakoż zdało mu się nagle, że emigracya... już skończona.

Od podobnego przeświadczenia do uwierzenia w misję Towiańskiego, pozostawał już jeden krok tylko, a okoliczności składały się tak dziwnie, że poeta musiał uwierzyć w końcu. Wszystko albowiem — na pozór — przemawiało za tem, że Mickiewicz był tem w stosunku do Towiańskiego, czem św. Jan Chrzciciel w stosunku do Chrystusa: przeczuł go.

Że tak było, na to mu zwrócił uwagę sam Towiański. Autor *Dziadów* zapomniał np., że w poemacie tym znajdował się wiersz:

On ślepy, lecz go wiedzie anioł-pachole.

Było to, jak chciał Towiański, przecucie jego misyi: poeta, pisząc te słowa, uniesiony natchnieniem, nie zdawał so-

bie dokładnie sprawy z ich właściwego znaczenia, tak, jak i teraz, zapytany, co chciał wyrazić przez nie, byłby zakłopotany podobnem pytaniem, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Otóż Towiański słowa te stosował poprostu do siebie: bo i on był w młodości przez czas jakiś pozbawiony wzroku.

Podobnych ustępów, których Mickiewicz po napisaniu *Dziadów* sam dobrze wytłumaczyć nie umiał, znajdowało się w poemacie tym kilka, Towiański zaś, o dziwo! przynosił cudowny klucz do rozwiązania wszystkich; nietylko roztaczał całkiem nowe światy, ale mu tłumaczył własne jego słowa, czyniąc to w sposób tak przedziwny, a tak prosty, że zdumienie Mickiewicza, który przecież był autorem tych zagadek, przechodziło w bezgraniczny podziw dla tego cudownego człowieka, w osłupienie.

A imię jego czterdzieści i cztery.

Znaczenia tych tajemniczych słów nie umiał sobie nikt wytłumaczyć dotychczas, nikt, nie wyłączając samego nawet Mickiewicza. Napisał je — można powiedzieć — bezwiednie, w natchnieniu, ale wyjaśnić, co należało rozumieć przez nie, był niezdolny. Zdaniem Towiańskiego, oznaczało to *czterdzieści i cztery* hufiec, który, złożony z 44-ch mężów wybranych, pod jego, Towiańskiego, przewodem, stanął na czele nowej budowy kościoła i społeczeństwa.

Wyjaśnwszy tak — z zadziwiającą prostotą i słodyczą — cały szereg zagadek, dotyczących dzieł Mickiewicza, Towiański nie poprzestał na tem, lecz przeszedłszy do przeszłości poety samego, jako człowieka, opowiedział mu takie zdarzenia z jego życia, o których (jak się później sam poeta wyraził do Franciszka Szemiotha) nie mógł wiedzieć nikt, chyba jeden Bóg tylko.

Wszystko to, w zetknięciu z uczuciowością i imaginacyjną naturą Mickiewicza, nie mogło pozostać bez wpływu, tembardziej, że oprócz powyższych był jeszcze cały szereg faktów, które rzucając na Towiańskiego jakieś mistyczne światło, bezwarunkowo nakazywały wierzyć w jego boskie posłannictwo. Wszystko przemawiało za nim, wszystko świadczyło o jego świętości: wszystko, nie wyłączając nawet owych słów powitania, owego *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus*, którem Towiański powitał *pierwszy* Mickiewicza. Powitanie to

bowiem było zapisane w księdze przeznaczeń, a on, Mickiewicz, miał jasnowidzenie, kiedy pisał w *Dziadach*:

Ty pójdiesz w daleką, nieznaną drogę,
Będiesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie,
Szukaj męża, co więcej niżli oni umie;
Poznasz, bo cię powita pierwszy w imię boże,
Słuchaj, co powie...

Że nikt inny, tylko Towiański, był tym przeczuwanym i szukanym mężem, na to nie brakło dowodów...

Wrażenie, jakie odkrycia podobne czyniły na Mickiewicza, było wstrząsające.

Dopiero teraz, odkąd się poznał z Towiańskim, zdawało mu się, że zrozumiał mnóstwo rzeczy, których on sobie nie umiał wytłumaczyć przedtem, a które zapowiadały przyście tego opatrnościowego męża.

Dopiero teraz zrozumiał, co znaczyło widzenie w biały dzień, jakie miał w grudniu roku zeszłego, kiedy oglądał przygotowania do egzekwii za Napoleona I-go. Widział wtedy — pamiętał — człowieka, z głębi kraju jadącego wózkami jednokonnymi, w biedzie, po błocie i we mgle, i uczył, że *ten* człowiek wiezie *wielkość, wielkie rzeczy*. Podówczas nie mógł zrozumieć, co znaczyło ono widzenie. Teraz był przekonany, że tym człowiekiem był Towiański; Mistrz bowiem, opowiadając o swojej podróży z Litwy do Paryża, wzmiankował (oczywiście nie kładąc na to najmniejszego nacisku), że jechał wózkami jednokonnymi, t. zw. żydowską biedką, i że, kiedy wyjeżdżał z kraju, była ślota, mgła, błoto. Wobec tego nie mógł Mickiewicz, jak się wyraża w liście do jen. Skrzyneckiego, nie uznać »prawdy widzenia«.

Dopiero teraz zrozumiał, do czego zmierzała i co przepowiadała jego improwizacja na drugiej uczcie u Januszkiewicza, którą mu przerwano w połowie, a w której, będąc »w wielkiem podniesieniu ducha«, przepowiadał, że jeżeli Bóg zlituje się i zechce zbląkanym zwrócić ze złych dróg, które do niczego nie prowadzą, to *prześle człowieka*, który będzie prawem życiem, a którego słowa, czyny i *gissta*, będą artykułami. »Gdyby mi wówczas nie przerwano, żalił się Mickiewicz przed jen. Skrzyneckim, wielkąby rzecz oznajmił, ale naza jutrz nie byłbym już zdolny podnieść się do tej wysokości. Jedni protestowali w imię rozumu, drudzy myśleli, że mówi-

łem o księciu Czartoryskim, kiedy wołałem, że tylko z takiego *męża przeznaczenia* mogą wyjść kapłani, królowie i hetmani. Teraz mu się rozjaśniło wszystko: owym mężem przeznaczenia, którego przyjście zapowiadał wtedy, jeżeli Bóg ulituje się nad emigracją i całym narodem, był Towiański.

Dopiero teraz zrozumiał, co znaczyły gorączkowe majaczenia Celiny, która na początku swej choroby umysłowej, kiedy popadała w stan chorobliwej egzaltacji, w stan podniecenia psychicznego, raz po raz zapowiadała przyjście jakiegoś Mistrza, przychodzącego, jak Mojżesz, zbawić naród. Im się zdawało wtedy, że Celina prawi od rzeczy, a ona — jak się okazało — miała prorocze jasnovidzenie przyszłości: poprostu przeczuwała Towiańskiego.

Wszystko to były argumenty, które Mickiewicza aż nadto przekonywały i które uznał za wystarczające zupełnie, by w Towiańskiego uwierzyć, by w nim uznać następcę Chrystusa. A uzdrowienie Celiny, któremu — jak sam tego był świadkiem naocznym — »towarzyszyły okoliczności cudowne?« Czyż ten jeden argument nie był wystarczającym, ażeby rozprószyć wszelką wątpliwość?

Jakoż uwierzył, a uwierzywszy, tak pisał do generała Skrzyneckiego: »Moja wiara w słowa Andrzeja jest skutkiem całego mojego życia, wszystkich moich usposobień i prac duchowych. Ktoby czytał pisma moje, przekonałby się o tem. Nie wspomnę o drobnych, w młodości rzuconych w świat pieśniach (*Romantyczność, Oda do młodości*); późniejsze dzieła, a mianowicie *Księgi Pielgrzymstwa* i *Dziadów* Część III świadczą, że to, co się dzieje, przeczuwał«.

Możeby nie uwierzył, gdyby to, co przynosił Towiański, było czem innym, gdyby idee, które głosił, nie zgadzały się tak, jak się zgadzały, z przekonaniami i najgorętszymi pragnieniami poety. Odrodzenie ludzkości, wyzwolenie ludów, i przez co? Przez nowy wybuch ducha chrześcijańskiego, przez rozpalenie stygnącej wiary! Aléż nic wzniolejszego wymyśleć nie było podobna; to była idea, na którą zgodzić się muszą wszyscy, bo trudno o piękniejszą, o bardziej Chrystusową ideę! Cóż dopiero, jeśli się było Polakiem, emigrantem! Takiemu człowiekowi powiedzieć, że jeśli uwierzy, to niebawem skończy się jego wygnanie, skończy się niewola egipska, że będzie mógł powrócić do kraju, do swoich, i że tam znajdzie

wesele i szczęście: ależ to były *pia desideria* wszystkich, całego wychodźstwa; pod tym względem nie było różnicy zdań, na to godzili się wszyscy, i demokraci, i arystokraci, i *Towarzystwo Demokratyczne*, i stronnictwo *Trzeciego Maja*.

I to była zarazem największa siła przyciągająca nauki Towiańskiego, siła, która sprawiła, że nie tylko Mickiewicz, ale i Sobański Izidor, wraz z Antonim Góreckim, poetą, odrazu uwierzyli w boskie posłannictwo Mistrza.

Taką rolę odegrały w życiu Mickiewicza dni 30 i 31 lipca 1841 roku. W tydzień później, dnia 7 sierpnia, wystosował Towiański, na ręce Mickiewicza, Sobańskiego i Góreckiego, pismo odręczne, w którym oznajmiał, że »Słowianin w ucisku do Pana garnący się wysłużył skarb Łaski«, że »Pan kładzie kres niedoli ludów słowiańskich«, i że emigracya polska powołana jest »utworzyć świętą Rotę pod przewodnictwem Jezusa Chrystusa«, rotę, któraby się bliższej »sprawie ludów« poświęciła.

W duszy Mickiewicza zagościła niebywała radość; dnia 15 sierpnia napisał do Bohdana Zaleskiego, donosząc mu, że u niego w domu »kwiaty i wiosna«, przyczem skreślił ów znany wiersz *Słowiczku mój! a leć a piej!* ostatni wiersz, jaki napisał w życiu. Wiersz ten, jeden z najmelodyjniejszych w naszym języku, ogłosił *Dziennik narodowy* w numerze z dnia 11 września.

Jeszcze tego samego miesiąca, bo w dniu 27 września, odbyła się w paryskiej katedrze *Nôtre Dame* uroczysta inauguracya nowotworzącej się sekty, inauguracya »w intencji przyjęcia i podziękowania za łaski zlane przez Pana«. Tak opiekowało drukowane zaproszenie, które Mickiewicz na dwa dni przedtem rozesał był całej emigracyi. Odbyło się to w następujący sposób. O godzinie wpół do 9-tej rano zebrała się w katedrze *Nôtre Dame* dość znaczna garstka emigrantów, jak zapewniają 200 osób przeszło, z których jedni, już nawróceni przez Mistrza, zwłaszcza przez Mickiewicza, przybyli tu, jako zwolennicy i wyznawcy nauki Towiańskiego, inni zaś, większość znaczna, przyszli z prostej ciekawości, dla przypatrzenia się nowemu »prorokowi«, dla usłyszenia słów jego, ażeby rozpatrzyć się w całej sprawie (która z dniem każdym, od chwili nawrócenia się Mickiewicza, coraz większe obudzała zajęcie), powziąć jakieś stanowcze zdanie w tym względzie; fakt

bowiem, że Mickiewicz uwierzył w Towiańskiego, wszystkim dał niemal do myślenia, ile że Mickiewicza uważano za „głową tęgą”, a „umysł trzeźwy i praktyczny”, którego byle kto nie zdoła obalamucić byle czem. To było powodem, że tyle osób stawilo się na to nabożeństwo, że między przybyłymi widziano przedstawicieli wszystkich stronnictw. Skoro zaproszeni wstąpili w progi kościoła (w którym przez czas postu rozgrzmiewała porywająca wymowa O. Lacordaire), ujrzeni, w pośrodku świątyni, umyślnie urządzonego ołtarz, przed który, po niejkiej chwili, wyszedł, w asystencyi dwóch księży, kanonik katedralny, ażeby odprawić mszę świętą. Przed mszą śpiewano na chórze *Veni Creator*. W czasie mszy, która była cicha, jakkolwiek ciągle grano na organach, Mickiewicz i Towiański, którzy, jak mówiła pogłoska, spowiadali się przedtem, przyjęli komunię świętą, co aktowi całemu nadało podnioslejszy nastrój i cechę religijnego namaszczenia. Po skończonem nabożeństwie, gdy zgromadzeni mieli wychodzić, Towiański stanął na stopniach ołtarza, a kiedy to zwróciło powszechną uwagę, przemówił do zgromadzonych. Wszystkich zadziwił ten jego niezwykły krok, wiedzano bowiem, iż w kościele nie wolno przemawiać nikomu, (niektórzy nawet, jak Witwicki i Jan Koźmian, opuścili kościół, przekonani, że im podobnego przemówienia słuchać nie wolno), on zaś, głosem uroczystym, z porywającą swadą zaczął wyluszczać cele swojej misyi, a przejęty ważnością chwili, która miała rozstrzygnąć o jego przyszłym wpływie na emigracyę, mówił z natchnieniem, udzielającem się słuchaczom. Zaczął od tego, że opuścił ziemię rodzinną, „ażeby wam, ziomkowie, podać — z woli Bożej — słowo prawdy i radości, które mi oznajmić wam polecono.

— Przychodzę zwiastować wam, mówił, wam pierwszym, że czasy się już spełniły i uderzyła godzina miłosierdzia Bożego. Przychodzę uwiadomić was, że wszystkie cierpienia nasze ustaną wkrótce, że przeminą wszystkie cierpienia ludzkości: Ewangelia, w całej rozciągłości, obejmie swe panowanie. Przychodzę wezwać was do uczestnictwa w tem wielkiem dziele, was, *jako pierwszych urzędników*. Tak jest: wszystko to wkrótce ujrzemy na własne oczy. Błoga ta epoka naszemu przeznaczona pokoleniu.

Jeszcze mówił przez czas jakiś, aż w końcu dodał:

— A jakeście mię tu widzieli przyjmującego ten Najświętszy Sakrament, tu, w tej świątyni Pańskiej, przed Najwyższym Bogiem, tak przysięgam wam, że to wszystko, com mówił przed wami, jest święta prawda.

Po tych słowach, wyrzeczonych głosem podniesionym i drgającym nieklamanem wzruszeniem, mówca, zalany łzami, upadł na kolana, ucałował ziemię, a kiedy powstał i wznosił oczy, oblicze jego, natchnione i blade, jaśniało radością dziękczynienia.

Wrażenie tej sceny — trochę obliczonej na zewnętrzny efekt — a zwłaszcza tej przepowiedni, wygłoszonej z całą procorczą i ekstatyczną pewnością, z siłą przekonania, nie pozwalającą wątpić o swej rzetelności, było nadzwyczajne. Wielu płakało ze wzruszenia. »Przebolale dusze słuchaczy, skłonne do wrażeń, pochopne do nadziei, lgnęły ku nim z całą wiarą i ułudą, której się każdy łącno ima w nieszczęściu, jak deski zbawienia». Znaleźli się tacy, co w uniesieniu zaczęli całować ręce Towiańskiego. Nakoniec Mistrz i Mickiewicz ukłękli przed ołtarzem i odmówili *na głos* wspólną modlitwę. Tak zakończyła się uroczystość, będąca, według słów Towiańskiego, zapowiedzią sprawy Bożej na ziemi.

Uplnęło parę miesięcy. Dnia 8 grudnia, w kościele świętego Seweryna, będącym jedną z najstarszych świątyń paryskich, a do którego Towiański uczęszczał najchętniej, zawieszono w jednym z bocznych ołtarzów obraz Najświętszej Panny Ostrobramskiej. Była to kopia z oryginału wileńskiego, zdjęta w Wilnie przez Walentego Wańkowicza, który, nawrócony *jeszcze na Litwie*, liczył się do najzarliwszych wyznawców Towiańskiego. Obraz ten wmurowano z następującym u dołu napisem: »O Pani! ku ratunkowi naszemu pospiesz się!« Wieść o tem rozeszła się lotem błyskawicy po całym Paryżu, zwłaszcza, że tegoż dnia ukazało się pierwsze pismo Towiańskiego do emigracji, pismo, w którym — obok ustępu o »Przenajświętszej Królowej Korony Polskiej», która »podobala sobie w starożytnej, opuszczonej kaplicy, w stronie najmniej okazałej Paryża, i tam w cudownym obrazie wileńskim Ostrobramskim ku ratunkowi ludu swojego pospiesza« — Mistrz przemawiał w te słowa: »Wy, tęskniący i czujący męczennicy wolności! cierpiący dziś na ziemi i pod ziemią! których Pan więcej umartwił, aby więcej do siebie przybliżył, prędzej po-

wolał, prędzej zatrudnił, wy u Pana znaleźliście pierwsze prawa do tego wielkiego zaszczytu. Święte zjednoczenie wasze stanie się posadą kolosu, które Prawica Wszechmocna podnosić już zaczyna».

W końcu, dnia 3 maja 1842 roku, na dorocznej uroczystości *Towarzystwa historyczno-literackiego*, Mickiewicz, który, od czasu, gdy był członkiem Towarzystwa, nigdy nie zabierał głosu, przemówił »z całą mocą swego potężnego słowa«, w tonie zaś, jakim przemawiał, był gniew wielki, jakiś niepokój wewnętrzny i coś, co wszystkim dało do myślenia. Całe przemówienie wieszczą, wypowiedziane z niebываłem natchnieniem, a tonem proroczym, było w każdym słowie nacechowane mistycyzmem Towiańskiego, wrażenie zaś, jakie uczynił na słuchaczach, równało się tak silnemu wzruszeniu, że nie brakło takich, co płakali rzewnymi łzami.

Domyśleć się nietrudno, że nigdy o Towiańskim i Mickiewiczu nie mówiono tak wiele, co w tym czasie; że powstał ruch między emigracją, że znowu zawrzało w tym »narodzie w miniaturze«, i że zawrzało silniej, niż kiedykolwiek. Swoją drogą wrzało od samego początku, od owej chwili, kiedy się rozbiegła wieść o cudownem uzdrowieniu Celiny. Nazwiska Mickiewicza, Towiańskiego, Góreckiego i Sobańskiego były na ustach wszystkich. Towiański stał się *un homme du jour*. Nic charakterystyczniejszego wszakże, jak sprzeczność tych najrozmaitszych wieści i plotek. Przedewszystkiem, naturalnie, interesowano się osobą nowego proroka i cudotwórcy. Co zacz? Skąd przybywa? Co robił dotychczas? Ponieważ nie brakło takich, którzy Towiańskiego znali dzieckiem jeszcze, i potem, kiedy mieszkał na Litwie, więc oczywiście znaleźli się i tacy, co odpowiadali na te pytania. Mniejsza o to, że każdy opowiadał co innego: byle zadowolnić plotkarską ciekawość.

Więc kto jest Towiański? Jedno było pewnem, że był szlachcicem litewskim, że kończył gimnazyum i uniwersytet w Wilnie, że był prawnikiem z zawodu i wykształcenia, że się zajmował rejenturą. Nadto wiedziano z pewnością, że był właścicielem ziemskim, że posiadał dziedziczny majątek, że był żonaty, że miał kilkoro dzieci. Wiedziano także, iż w roku 1839, czy też 1837, opuścił kraj, że przez czas jakiś widywano go w Poznaniu, gdzie usiłował pociągnąć ku sobie ks. arcybiskupa Dunina, czego nie osiągnął zresztą, że stamtąd udał

się do Brukselli, do jen. Skrzyneckiego, którego także próbował nawrócić, ale tak samo, jak z Poznania (gdzie, jak mówiono, także zakładał jakieś towarzystwo kobiet), wyjechał z niczem; gorzej nawet, bo z Brukselli wyjechał podobno, jak utrzymywano, poróżniony z jenerałem, który dowiedziawszy się, że ów wysłaniec boży nie był już 20 lat u spowiedzi, zaczął go nakłaniać do tego kroku, przyczem Towiański powstał na niego, oburzony, i rozeszli się. Nie podobało się też, jak mówiono, jen. Skrzyneckiemu, że Towiański nie przyznawał bóstwa Chrystusowi, że go uważał za najbardziej boskiego z ludzi, za »pierwszego po Bogu«, ale w nim widział człowieka, nie Boga. Opowiadano sobie, że, jeszcze mieszkając na Litwie, zaczął napomykać o swoim objawieniu i posłannictwie; lecz nie wiodło mu się. Swoją drogą znalazł kilku takich, co mu uwierzyli i zostali jego uczniami. Do tej liczby należał malarz Wańkowicz, ten sam, którego obraz Towiański kazał wmurować w kościele św. Seweryna, i doktor Gut, szwagier proroka. Ci dwaj uważali go za swego Mistrza, a kiedy w religijnych celach wyjeżdżał za granicę, towarzyszyli mu, nie chcąc odstępować Mistrza. Żona Towiańskiego także go uważała za człowieka bożego, za »owoc krwawej pracy pokoleń, tajnych westchnień i tęsknień ludzkości w przeciągu 18-tu stuleci«: wierzyła, że mąż jej, będący człowiekiem doskonałym, drugim Chrystusem, jest wysłanecem bożym, który świętością swoją da początek nowej erze, a sam jest wzorem, który mamy *realizować*. Przyjazd Towiańskiego do Paryża tłómaczono sobie złośliwie w taki sposób, że pan Andrzej, widząc, iż Litwa nie jest skora do uwierzenia w niego, dlatego wyjechał za granicę, ażeby »popróbować szczęścia« w innych prowincjach, a w *najgorszym razie* w emigracyi. Najprzód, mówiono, próbował pozyskać dla sprawy swojej głowę całej hierarchii kościelnej w Księstwie; gdy się to nie udało, ponieważ ks. arcybiskup Dunin uznał w nim nie drugiego Chrystusa, ale zwykłego marzyciela, a nadto katolika wątpliwej prawowierności, a w końcu zabronił mu dalszego przystępu do siebie, wypadało szukać innej powagi, pod której skrzydłami dałoby się krzewić plany ukartowane. Taką powagą był jen. Skrzynecki. Ponieważ i tu doznał Towiański zawodu, więc przyszła kolej na Mickiewicza: nie udało się z głową kościoła, nie powiodło się z wodzem naczelnym, może się powiedzie z największym poetą polskim,

którego powaga naówczas — według szczęśliwego wyrażenia prof. Maleckiego — stanowiła niejako dyktaturę duchową w całym narodzie. Mickiewicz uwierzył! Nie wiedział zapewne (powtarzano sobie), że Towiańskiego już w kraju uważano za człowieka o pomieszanych zmysłach. Z tego powodu nawet (zapewniano), przebywał czas jakiś w szpitalu dla obłąkanych. Wypuszczono go dlatego tylko, że był waryatem spokojnym, który nie szkodził nikomu. Ludzi, co byli tego zdania, co Towiańskiego uważali przedewszystkiem za wpółobłąkanego marzyciela, była ogromna większość, a genezę tego *obłądzenia religijnego* wyprowadzano z choroby oczu, na którą Towiański chorował w młodości. Skazany na kilkoletnią bezczynność, nie mogąc ani pisać, ani czytać, tonął w nieskończonych dumaniach, marzył i fantazyował, a że z natury był obdarzony wyobraźnią bujną, więc — jak twierdził Witwicki — nie mogły te długie rekolekcyje pozostać bez wpływu: jakoż skończyło się na tem, że młodzieniec zaczął się uważać za jakąś istotę wyjątkową, że zaczął mieć widzenia i halucynacye, że widywał różne dusze pokutujące, aż w końcu uwierzył w swoją boskość. Któregoś roku pokazała mu się, jeszcze na Litwie, dusza jednego ze znajomych; odtąd zaczął prorokować. Cokolwiek bądź (mówili inni), jest to szarlatan, albo — w najlepszym razie — mag i magnetyzer potężny, obdarzony jakimś urokiem magnetycznym, którym działa na otaczających. Ostatecznie, utrzymywali drudzy, jest to fanatyk kalkulujący, z tej kategorii proroków, do której należał Mahomet, t. j. do kategorii marzycieli i wpółobłąkańców. Na pewnej pobożnej pani, której obiecywał, że zostanie niewiastą ewangeliczną, zrobił tak przykre wrażenie, że kiedy się dowiedziała, iż Towiański ma przyjechać do Rzymu, zbladła i natychmiast chciała opuścić wieczne miasto. Inni zapewniali, że Towiański od najdawniejszych czasów, od czasów, kiedy w Wilnie wychodził *Pamiętnik magnetyczny*, zajmował się nietylko różnemi religiami, Swendenborga zwłaszcza, ale i magnetyzmem, że nawet żona jego, bardzo pobożna osoba, nie chcąc się poddać magnetycznym praktykom, mieszkała przez czas jakiś w którymś z klasztorów wileńskich, ażeby być oddaloną od męża. Bała się go... Później, kiedy uwierzyła w niego, zaczęła i ona widywać różne święte, np. św. Barbarę, Katarzynę, Agnieszkę i inne, a zawsze te same, które widywała Joanna d'Arc.

Ale nie brakło i takich wersyj, które bardzo dodatnio świadczyły o Towiańskim. Przedewszystkiem mówiono o nim, że jest to człowiek wielkiego duchowego wykształcenia i wielkiej cnoty w życiu. Kiedy mieszkał w kraju, na Litwie, dał wolność włościanom, postawił kościół (pomimo, iż były to czasy bardzo niesprzyjające takim przedsięwzięciom), a przez włościan był kochany i szanowany. Jako rejent miał opinię jak najlepszą. Odkąd stanął w Paryżu, w stosunkach z złomkami, za nikim nie gonił, z nikim nie rozprawiał, cudze przekonania szanował, a jeżeli służył posłuchaniem lub radą, to wtedy jedynie, gdy się zwracano do niego: sam nie narzucał się nikomu. Gdy mówił o sobie, był, jak zapewniano, niekłamanie skromny, bez cienia zarozumiałości: w głębokie nauki (mówił podobno) nie zapędzał się nigdy, a to, co o nim opowiadano sobie, to są podania ludzi niereligijnych, niepojmujących człowieka pobożnego. »To jest pewna (pisał jen. Skrzynecki do ks. Kajsiewicza), że Towiański jest bardzo pobożny, że się kilka razy spowiadał, że jest głęboko przejęty misją swoją; trzeba z nim mówić, aby to ocenić. Zdaje się, jakoby mu jakiś głęboki ból dokuczał; kiedy o tem mówi, widać w nim jakieś zatopienie się w czuciu, sięgającym kogoś wyższego; twarz jego jasna, kiedy spokojna, nabiera odmiany która go brzydzi, i zdaje się, jakby się zestarzał w mgnieniu oka. To mam prawie przekonanie, że jest pod wpływem szatana, bo w wielu rzeczach dobrej wiary niepodobna mu odmówić«.

Że to zjawienie się Towiańskiego w Paryżu miało być »rzeczą dyabelską«, że wielu było takich, których zdaniem »nieprzyjaciel wszelkiego dobra«, ułaskiwszy się skutków odrodzenia religijnego na emigracyi, umyślnie posłał człowieka, który siły katolickie — w mistrzach i uczniach — rozdwolił, na to godził się niejeden, a przedewszystkiem stronnictwo *Katolików*; i *Katolicy* jednak, i po wolteryjańsku usposobieni demokraci, godzili się na jedno: że Towiański nie był człowiekiem ze spiżu, że w jego życiu było mnóstwo niekonsekwencyj, że nie mógł być rzeczywiście pobożnym, kto przez 20 lat nie był u spowiedzi, a Chrystusowi odmawiał boskości, i że chwiejny wogóle, nie zawsze szedł najprostszą, raz wytkniętą drogą, zbaczając często, stosownie do otoczenia i warunków. Tak np. nie ulegało wątpliwości (jak głosili niektórzy), iż pragnąc pozyskać sobie Mickiewicza, a widząc jego rzetelne przywiązanie do wiary katolic-

kiej, pierwszy porzucił dawne uprzedzenia, spowiadał się — pierwszy raz po 20-tu latach — innych zachęcał do pełnienia wszystkich obrządków religijnych, a naukę swoją, zrywającą z Kościołem, starał się powiązać i pogodzić z jego nauką etc., etc. Dlatego, mówiono, schlebiał tym z pomiędzy wyznawców swoich, których uważał za zdolniejszych i mędrszych od siebie, schlebając ich pojęciom, nieraz wyrzekał się artykułów wiary własnej, które był propagował przedtem. Czasami też, mówiono, nie był dosyć zręcznym, co nawet drogo przypłacił zaraz na samym początku, bo utracił Góreckiego. Chodziło o pismo jakieś, które Towiański miał oddać do druku, a które znacznie odmienił, nim wydrukował. To nie podobало się Góreckiemu, który twierdził stanowczo, że prorocтво od Boga zesłane, powinno od początku do końca zostać w pierwotnej formie, bo Pan Bóg nie potrzebuje się namyślać, kiedy dyktuje. Ten drobny fakt zachwiał wiarę Góreckiego, do tego stopnia, że nie tylko przestał wierzyć w Mistrza, ale jeszcze zaczął wygadywać na niego, o jego »herezyach i ułudzeniach szatańskich«, o tem, że zaraz po ekstazie, po rozmowie z Bogiem, Panem Jezusem lub Matką Boską, idzie na operę lub balet, ażeby się orzeźwić po fatygach ducha...

Tak sobie opowiadano o Towiańskim, a równocześnie niemniej ciekawe wieści krążyły o jego uczniach, których liczba rosła z dniem każdym, a tak szybko, że już w dniu 3 maja *Koło* liczyło 44 członków. To budziło ogólny podziw i niepokój. Jednak coś musiało tkwić w tej nowej nauce, skoro w tak krótkim czasie potrafiła pociągnąć tylu ludzi i to z pomiędzy ludzi najwybitniejszych. Mówiono, że wielu uwierzyło dlatego poprostu, ponieważ Mickiewicz uwierzył. Bądź co bądź, w liczbie tych, co poczęli głosić zasady nowego objawienia, znaleźli się wkrótce: Feliks Wrotnowski, Eust. Januszkiewicz, Orpiszewski, Wład. Plater, Szwajcer, Turowski, Karol Różycki, Rettel, Zan, Kalinkowski i wielu innych. Doktor Gut i Mickiewicz byli głównymi pomocnikami Pana Andrzeja. Wyznawcy *Nowego Zakonu*, których wkrótce zaczęto nazywać *Towiańczykami*, zawiązali się w t. zw. *ligę*, nazywając się pomiędzy sobą *braćmi*, wszystkich zaś, co się na Towiańskiego zapatrywali sceptycznie, nazywali *Faryzeuszami*, oraz unikali ich, tak, iż pozrywali z krewnymi, a nawet z najbliższymi przyjaciółmi. Z nie-Towiańczykami ledwo raczyli rozmawiać (o ile ich nie starali się nawra-

cać), a gdy spotkali na ulicy, udawali, że nie widzą; zaczepieni, odpowiadali krótko i opryskliwie, a jeśli darzyli ukłonem, to nigdy nie kłaniali się pierwsi. W rozmowie nakazywali, żeby przebaczać urazy, miłować bliźnich, oczyszczać się spowiedzią: będą bowiem, jak mówili, dwie drogi, dobra i zła, a tylko oczyszczeni pójdą dobrą. Dowodzili, że Pan Bóg zlitował się nad dwoma ludami: słowiańskim i żydowskim: nad ostatnim dlatego, że wytrwał w zakonie. Przepowiadali, że Żydzi uznają Mesyaszą, że przez ludy słowiańskie, a przez Polaków szczególnie, Pan Bóg dokona wielkich rzeczy; że przyszedł czas, iż ewangelia będzie wprowadzona w życie narodów, w stosunki publiczne; że Kościół zasnął, że papież nie pełni urzędu, pomimo, że prawda jest tylko w Kościele; że w chrześcijaństwie była faza pokory, a teraz nastaje faza ofiary ducha; że teraz jest rozerwanie drugiej z siedmiu pieczęci Apokalipsy; że jedna i ta sama dusza może się w kilku epokach w kilku odrębnych ludziach pojawić; że minął czas pokuty familii słowiańskiej, etc., etc. Co dziwniejsza, to, że ludzie, którzy głosili te nowe *prawdy objawione* i którzy weszli do tego zaczarowanego *Koła*, choć »dziwnie sfanatyzowani«, stanowczo stawali się lepszymi, niż byli przedtem. »Pisze mi księżna Gedroyć, iż Romuald jest nie do poznania, zupełnie, jak Trapista«. »Rzecz Towiańskiego (pisał do ks. Kajsiewicza dnia 10-go czerwca 1842 r. ks. Edward Duński) przybiera charakter nowy, ożywiony nadzwyczaj. Przed kilkunastu dniami liczba zwolenników pomnożyła się raptownie, a to dzięki niezmiernie pracowitej pracy Adama; zebrało się ich 24. Towiański dał im chorągiew z twarzą Chrystusa Pana. Odtąd zbierają się często; Towiański i Adam nauczają ich i egzaltują do najwyższego stopnia. Z kościoła nie wychodzą, zachęcają do spowiedzi, do modlitwy. Widząc ich, wyraźną zmianę całej postaci i twarzy dostrzegasz: Januszkiewicza nie poznalibyście, tak twarz zmieniona, jakby jakiego pokutnika. Wszyscy są porwani wymową, zapalem, nowością idei, przedstawionej z *najwyższym talentem*«. Obok mężczyzn nie brakło i kobiet, które uwierzyły w Mistrza. Pierwsza uwierzyła żona Mickiewicza, która się egzaltowała na punkcie swojej wdzięczności i czei dla proroka. Od księdza Duńskiego, gdy przyszedł do Mickiewicza i nie zastał go w domu, żądała wiary dziecinnej, upokorzonej, cytując słowa Chrystusa, powiedziane świętemu Tomaszowi. Podobnie miała się rzecz i z innymi Towiańczykami.

Kiedy rozmowa schodziła na temat polityki, zapowiadali wielkie wypadki... Pytani, za kogo uważają Towiańskiego, nie ukrywali bynajmniej, że go uważają za »posłannika z woli bożej«, za »posłańca bożego *największego*«; pytani zaś, co sądzą o Kościele, twierdzili, że w Kościele są, ale go nie słuchają; że nie przychodzą z protestacją przeciw Kościołowi, ale dla podniesienia go, oswobodzenia z form, t. j. z formuł, a nadto ze zbytnej uległości, z bezczynności; że nie zbijają żadnych dogmatów, tylko przynoszą większe światło; że wiele rzeczy niejasnych w Ewangelii, szczególnie w Ewangelii św. Jana i Apokalipsie, teraz będzie rozjaśnionych; i że wreszcie, aby to wszystko zrozumieć, potrzeba wiary i czucia, czuciem pojmować uczucie. Jeżeli chodzi o prawo, nie znoszą żadnego, ale je *czynem* wprowadzają w życie. Nieszczęśliwym i uciesionym przynoszą wolność. W dyskusyi jednak, skoro trafili na przeciwnika, który obstawał przy swoim zdaniu, a zwłaszcza bronił Kościoła, unosili się łatwo, wygadując i krzycząc na teologię, doktorstwo, scholastykę, faryzeizm etc., dowodząc potrzeby prostoty, pokory ducha, zapomnienia wszelkiej nauki i rozumowania, czucia, i t. d. Księżę polskich, jak ks. Duński, którzy ich wyzywali na dyskusye, nazywali synagogą, krzyżownikami Chrystusa. Idealem kapłana, który nie dyskutował, lecz tylko wymagał pokory, był dla nich Towiański. On też, w gruncie rzeczy, był tem ogniwem, które ich łączyło ze sobą. Bo że w tożsamości nauki czy religii wcale nie byli połączeni, dowodziła choćby ta okoliczność, że mieli w swem gronie: protestanta, żyda, deistę, »tylko polityka« (ten musiał być demokratą), tudzież wielu innych, nie wyłączając ateuszów, którzy dlatego uwierzyli w Chrystusa, że uwierzyli w Towiańskiego, którego stawiali na miejscu Chrystusa, a siebie uważali za nowych apostołów.

Jednocześnie zawrzało w całej prasie emigracyjnej: wszystkie pisma, z jedynym wyjątkiem *Dziennika Narodowego*, którego redaktor został Towiańczykiem, zaczęły pisać o Towiańskim i jego sekcie, o Mickiewiczu i jego wykładach w *Collège de France*, w których powoli zaczynał propagować ideę Towiańskiego, a wszędzie pisano zjadliwie i drwiąco: wszystkie artykuły, omawiające sprawę Towiańskiego, były paszkwilami, nietyle wymierzonymi przeciwko Towiańskiemu samemu, ile przeciwko Mickiewiczowi, uważającemu się za św. Piotra To-

wianizmu. To też w jego pierś wymierzano wszystkie pociski, lecz on pozostawiał je bez odpowiedzi, głuchy na najniegodziwsze oszczerstwa: szedł swoją drogą, nie zważając na nic, z Dantejskiem *Guarda e passa* na ustach, i »pracował«, jak prawdziwy apostoł, głosząc, gdzie mógł, zasady nowej nauki, którą uważał za nowe objawienie.

II.

Oto, w krótkim streszczeniu, główne zasady tej nauki. Przedewszystkiem — należy podkreślić na samym wstępie — była to nauka niezgodna z dogmatami Kościoła katolickiego, pomimo, że zarówno sam Mistrz, jak i jego uczniowie, wcale się nie uważali za odstępców, za apostatów. To garnięcie się pod skrzydła Kościoła, obok głoszonych i wyznawanych doktryn, było jedną z tych licznych niekonsekwencji i nielogiczności, cechujących naukę pana Andrzeja.

Nawet wiara w Tróję świętą wychodziła z »nauki« tej zachwiana, bo »kierunek jest przy Bogu, ale na ziemi nie rządzi wola boża. *Boga niema na ziemi* i sami składamy to świadectwo, powtarzając codziennie: *bądź wola Twoja, przyjdź królestwo Twoje!*« Nie jest to wyraźnem zaprzeczeniem, jakoby Bóg mieszał się do spraw ziemskich, co — według nauki Kościoła — jest największą herezyą, graniczącą jeżeli nie z ateizmem, to przynajmniej z panteizmem. Podobną herezyą, z punktu widzenia Kościoła, był Towiańskiego pogląd na Chrystusa, pogląd, pod którym mógłby się w najlepszym razie podpisać Renan, czyli, że Kościół żadną miarą nie mógł go aprobować. Zdaniem Towiańskiego (zdaniem, które, dodajmy w nawiasie, nigdy ustalonem nie było) Chrystus był »mężem natchnionym« (jednym z siedmiu), któremu do pewnego czasu (do r. 1841 mianowicie, t. j. do chwili ukazania się Towiańskiego) Bóg powierzył panowanie nad ziemią »i kilkoma innymi jeszcze planetami«. Zresztą jest Chrystus »pierwszym po Bogu«, co także tworzy rażący dysonans z dogmatyką katolicką. »Jezus Chrystus jest najwyższym urzędnikiem, synem bożym, najbliższym z pierwszego koła bożego. Chrystus jest Bóg, ale Bóg *dla ziemi*«. Niemniejszy dysonans tworzył sposób, w jaki Towiański objaśniał istotę Ducha świętego, będącego, jego zdaniem, poprostu »kolumną światła«, w której — jak drobne pyłki kurzu w smudze

słonecznej — krążyły duchy dobre i święte. A Najświętsza Panna? Ona, według Towiańskiego, »nie była kobietą«, kult zaś, jakim ją otacza katolicyzm, uważał za przesadny.

Podobne zdanie wyrażał o Świętych Pańskich, o których mówił, że »wielu Świętych, których Kościół kanonizował, nie są Świętymi«. Piekła i czyśca niema również. Wieczność kar nie istnieje, podobnie, jak nie należy wierzyć w grzech pierworodny.

A nieśmiertelność duszy? Na tę godził się Towiański, ale w formie metempsychozy. Czyściec istnieje na ziemi, po której dusze zmarłych błądzą dopóty, dopóki się nie oczyszczą dostatecznie, by mogły dostąpić niebieskiego szczęścia. Tak zwana »migracya dusz« była jednym z najglówniejszych aktów wiary Towiańczyków. Wprawdzie Mickiewicz, w dyskusyi z księdzem Duńskim, na zarzut, że Towiański naucza rzeczy potępionych przez Kościół, jak np. przechodzenie dusz, odparł: »Sądźcie, że to metempsychoza indyjska? Ja ją znam, ale to nie to«; lecz pomimo tego zapewnienia, nieszczerego zresztą, nie ulega wątpliwości, że to było to właśnie. Sam Mickiewicz, choć to nie miało nic wspólnego z literaturą słowiańską, dowodził z katedry w *Collège de France*, że dusze ludzkie, w miarę udoskonalania się lub upadku przechodzą w doskonalsze lub podleglejsze istoty, to zwierząt, to wszelkiego innego stworzenia; a Karol Różycki, będąc raz w Fontainebleau, w dyskusyi z Załeskimi, których z wielkim zapalem starał się na Towianizm nawrócić, gdy ich nie mógł przekonać, rzekł z ciężkiem westchnieniem: »Ha! to dopiero za tysiąc lat będziecie tam, gdzie my jesteśmy!« »W kształceniu i postępie ducha, mówił raz Mickiewicz do Al. Chodźki, wiek człowieka jest niczem. Cóż to śmierć? Inna faza życia, nic więcej, z wiedzą i opieką nad naszym światem. Właściwie materii niema. To, co tak nazywają filozofowie, i co my widzimy, może się porównać do koła młyńskiego: obracając je z silną szybkością, zdaje się oku, że koło tworzy glob, kulę doskonałej formy. Takimi w oczach ducha wyższego wydają się kształty ducha niższego. Jest to, mówiąc językiem metafizycznym, ścieranie się i dążenie duchów: najniższe są piaskiem, za nimi idą metale, dalej rośliny, zwierzęta i t. d. I głupi filozofowie odmawiają zwierzętom — ducha! Niejeden z tych mędrków, przed sądem Boga, zamienia się w psa lub konia, pokutującego w jego domu. Magendie kraje

i kaleczy biedne zwierzęta dla dowiedzenia się jakichś pseudo-prawd. Któryś inny wyrozumował, że ich cierpienia są potrzebne dla świata. Pytagoras i Plato przeculi wiele. *Naukę metampsychozy* wyjaśniły listy św. Pawła. Odzianie ducha ciałem, zwłaszcza ciałem człowieka, jest wielką łaską nieba, jest najłatwiejszą godziną rozwinięcia się ducha, t. j. odrodzenia i powrotu do pierwotnej doskonałości. Taka praca w świecie niewidomym — trudniejsza. Jakiś spekulant, fabrykant, czy bankier, rozumem własnym doszedł do pieniędzy, żyje wygodnie i obchodzi się bez obcej pomocy. Jakże w tak zatwardziałym obudzi wdzięczność, pokorę przed Bogiem? Musi lata, czasem wieki służyć psem lub czem gorszem kapryśnemu panu i długo omywać brudy owej zarozumiałości. »Homer, Pytagoras i inni starożytni poeci i filozofowie cytują przykłady ludzi, którzy przypominali sobie przeszłe żywoty. Dzieje Apostołów i późniejszego chrześcijaństwa liczą wiele podobnych przykładów. Często duchy wyższe wiedzą o tem, co ten lub ów człowiek z duchem niższym powinien robić, ale on sam nie wie«.

Podobnie się rzecz ma, jeśli chodzi o wykładaną przez Towiańskiego teorię duchów, która również z nauką Kościoła katolickiego nie miała nic wspólnego. Zdaniem Mistrza duch może być wielki w chłopku, a mały w królu, przedewszystkiem zaś nie pochodzi od urodzenia z ciała i krwi. Człowiek jest wolnym, samowładnym (a więc ma wolną wolę), bo ma siłę ducha; stąd *może* wszystko, mogąc zaś, powinien rozkazywać wszystkiemu, bo duch to siła Boga. Dlatego nie należy się oglądać na żadne środki ziemskie. Rozum, ręce, pieniądze warte są tyle tylko, ile służą za narzędzie duchowi. W stosunku *do ducha* posiada takie znaczenie, jak np. łuki, kiedy już wynaleziono broń palną. Każdy duch ma swoją misję; dlatego zawiązuje stosunki z dobrymi, już pozbawionymi ciała duchami, które także miały podobną misję, a teraz dbały jedynie o jej dokończenie. Tym sposobem możemy uczuciem łączyć się z nimi, a one wtenczas dają nam natchnienia, stosownie do wiary naszej i czystości. Czasami mówią bardzo wyraźnie, do serc zarówno, jak i do oczu, do uszu. Do oczu i uszu wtedy tylko, gdy duch jest bardzo czysty. »Cały więc — konkluduje Słowacki — *lud nasz umarły dawno* jest z nami, i to jest obcowanie Świętych, którego księży nie mogli nam wytłómaczyć, t. j. wlać go w wiarę naszą«. Na kuli ziemskiej pełno

jest duchów dobrych i złych, które pośrednio wpływają na postęпки ludzkie; im bliżej ziemi, tem są gorsze, tem zgubniej działają. Dobre duchy muszą walczyć ze złymi, które przeciwko nim wyteżają całą moc swoją, te zaś, walcząc z nimi, pracą wewnętrzną i skupieniem tworzą w sobie »kolumnę światła niszczącą wszelkie wysiłki piekiel«. Każdy śmiertelnik może w sobie wyrobić kolumnę podobną, jeśli swe serce rozplomieni miłością Boga. Kilka takich kolumn, t. j. związek duchów czystych i dobrych, tworzą atmosferę światła, od której stronią duchy ciemności. Na posiedzeniach *Koła*, które odbywali uczniowie Towiańskiego, chodziło właśnie o wytworzenie takiej »atmosfery światła«.

Środkiem, prowadzącym do tego celu, była ekstaza, do której należało podnosić ducha, a której poetyczną teorię wyłożył Mickiewicz w trzeciej części *Dziadów*; stamtąd też, jak to dowiódł p. Zdziechowski, zaczerpnął ją Towiański, na którym ten poemat Mickiewicza wywarł ogromny wpływ: prawie cały Towianizm można wyprowadzić z trzeciej części *Dziadów* (dlatego tak trafił do przekonania Mickiewiczowi). Ekstazą, według nauki Towiańskiego, jest idealny stan ducha człowieka, który, ażeby zdobyć, potrzeba podnieść ducha, zdobyć ciało, i wreszcie zdobyte ciało podnieść do wysokości ducha. Całą treścią historyi jest walka ducha z ciałem, podobnie, jak celem historyi jest sprowadzenie ducha i ciała do jedności za pomocą uświęcenia ciała przez ciągłe podnoszenie go siłą ducha ku Bogu. Zadanie pojedynczego człowieka polega na tem, ażeby się stał wielkim, »wielkim zaś w epoce dzisiejszej jest duch czysty, oswobodzony, ciałem władający«.

Nieuniknioną konsekwencyą tej części *Nowego Zakonu* Towiańskiego, jego części abstrakcyjnej, wykraczającej poza zakres rzeczywistości, była wiara w sny i marzenia sennie, począwszy od zwykłych snów, które się śniły w nocy, a skończywszy na chorobliwych halucynacyach, nieraz wywoływanych sztucznie, za pomocą haszyszu lub opium. Takie sztuczne podniecenia wyobraźni, ze szczególnem zamiłowaniem uprawiane przez Towiańczyków, umożliwiały bezpośrednio obcowanie ze światem duchów. Dodać należy, że najbardziej umiłowanymi duchami, które się Towiańczykom ukazywały, zarówno we śnie, jak i na jawie, były duchy Boga Ojca, Chrystusa, Najświętszej Panny i niektórych Świętych, przyczem kobietom ukazywała

się najczęściej Matka Boska, święta Katarzyna, święta Barbara, święta Agnieszka. Mężczyźni przestawali najczęściej z Chrystusem, jako »pierwszym po Bogu«.

Nadto widywali bardzo często Napoleona, który był największym *człowiekiem* po Chrystusie, a dla którego Towiański żywił kult szczególny. Może dlatego, że był podobny do niego? Dość, że Napoleon był półbogiem *Nowego Zakonu*. Bóg, ulitowawszy się nad niedolą ludzi, zesłał Chrystusa, ażeby Ten, zapaliwszy w ich sercach światło prawdy, rozpedził siły piekielne, owe duchy złego, krążące najbliżej ziemi. Niestety, światło, zapalone przez Chrystusa, zgasło prędko: Zło znowu zawładnęło ziemią. Odtąd, co 2000 lat mniej więcej, będzie Bóg zysłał mężów natchnionych, ażeby rozwijali rozpoczęte przez Chrystusa dzieło... Chrystus był pierwszym z takich mężów natchnionych, których wogóle będzie siedmiu. W tem leży tajemnica siedmiu pieczęci Apokalipsy. Towiański jest drugim z kolei, a zadaniem jego: przyspieszyć panowanie światła w niektórych krajach, zwłaszcza zaś we Francyi, którą do przyjęcia prawdy przygotował Napoleon, największy z ludzi, jakich świat widział po zejściu Chrystusa. On był jutrzenką poprzedzającą wschód, on był przeznaczony do zrealizowania Słowa Bożego na ziemi, on miał życiem swoim wskazać, jak wielką jest siła słowa i energia miłości. Dlatego niepodobna pojąć Chrystusa, jeżeli się nie umie wejść w ducha Napoleona. Niestety, wielki cesarz-bohater nie wytrzymał w »tonie«, zwątpił we wszechmoc ducha, zerwał z duchami wyższymi; upadł, bo wierzył we *własne* siły. Ten wielki błąd cesarza przyszedł naprawić Towiański: on ma jego dzieło dopełnić i rozpocząć nową epokę; on, jak się o nim wyraził Mickiewicz, jest drugim Chrystusem, już nie stojącym przed Pilatem, ale zmartwychwstałym, przemienionym, zbrojnym we wszystkie znamiona potęgi, Chrystusem mścicielem i odplatcą, Chrystusem dnia sądnego, Chrystusem Apokalipsy i Michała Anioła. To *Ecce homo* naszej epoki. »Napoleon nie rozwinął myśli Bożej i niespełnił jej. Ideę poniósł do grobu; ale myśl Boża nie zdjęta z niego. Co zaczął na wstępie epoki, kończy dziś w samej epoce. Jego duch będzie przewodniczył przyszłemu powstaniu różnych narodowości«.

Jakie będzie to przyszłe powstanie różnych narodowości? Przedewszystkiem będzie demokratyczne, zgodne z ewangelią, która, wprowadzona w życie, zapanuje, a ludzkość przestanie

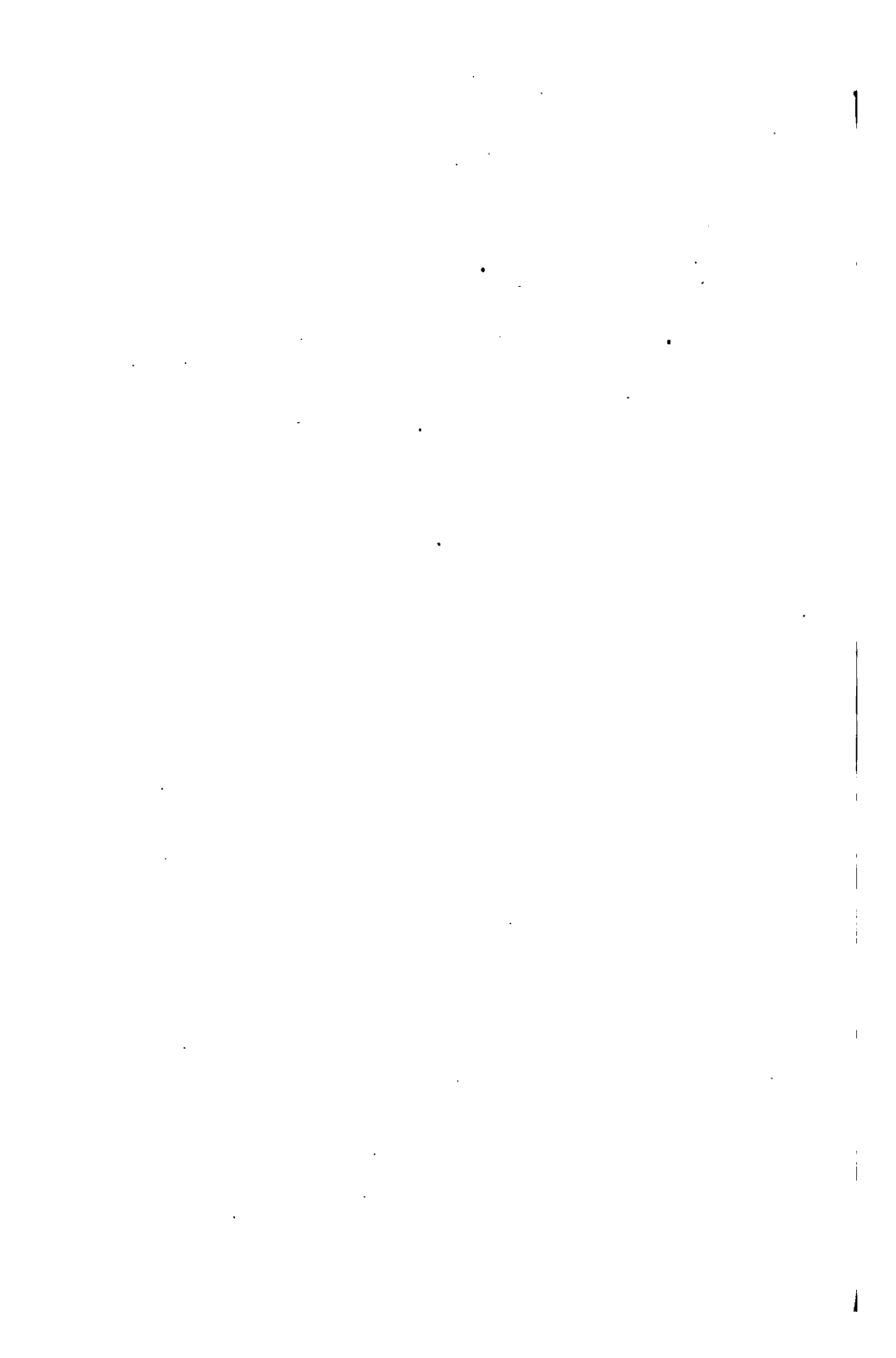
cierpieć. Doktryna Towiańskiego, według wyrażenia *Démocratie Pacifique*, była »najszczytniejszą doktryną zgody i miłości«. Aż do tej pory t. j. do chwili, kiedy wystąpił Towiański, ludzkość była dzieckiem: odtąd będzie młodzieńcem. Narody, a w szczególności słowiańskie, nie będą istniały przez klasy wyższe, stanowiące małą garstkę, ale przez lud, który się już ruszać zaczyna, a westchnienie wieśniaka słowiańskiego, czystego i prostego, jest większej ceny, niż »wszystkie plody geniuszów«. Na równi z chłopami będą wyzwolone i kobiety. »Kobiety — słowa Mickiewicza — są powołane do równości; duchy nie mają płci«. Dotychczas kobieta była niewolnicą, spełniała rolę podrzędną, najdogodniejszą dla męża. Kobieta do niczego mięszać się nie mogła, teraz będzie mogła mięszać się do wszystkiego: będzie wolną i równouprawnioną.

I Kościół musi się zreformować. Katolicyzm się przeżył. Zjawily się nowe potrzeby, dawne cnoty nie wystarczają. Jak Chrystus dawnych praw nie obalał, tylko w nie tchnął nowe życie, tak też i Mistrz nasz podnosi wszystko, co upadło: rodzinę, naród, religię. Dzisiejszy Kościół zachował już same tylko formy: ducha, życie Chrystusowe zupełnie utracił. Papież stał się wybornym gospodarzem, prawnikiem, nawet dyplomata. . ., ale nie da się zaprzeczyć, że nie kto inny, tylko papież »upadek *tonu* Chrystusowego« posuwali i posuwają. Należy odróżnić *Kościół oficjalny* od Kościoła prawdziwego, którego siedliskiem były wnętrza dusz wyższych, wybranych. Towiański tchnie nowego ducha w »zakrzeple formy skamieniałego Kościoła«, położy koniec »martwości Kościoła urzędowego«; to też od niego liczyć się będzie nowa epoka w dziejach *uchrześcijanienia* ludzkości. Tryumf chrześcijański będzie przez ducha; duch chrześcijański powróci, ale formy katolickie upadną. Dzisiejszy »Kościół urzędowy« jest tem w stosunku do nauki Towiańskiego, czem dawna synagoga żydowska była w stosunku do nauki Chrystusa. Jak Chrystus przyszedł w kościele żydowskim, najlepszym podówczas, tak Towiański przyszedł w kościele katolickim, najlepszym dzisiaj. »Dopóki Kościół, mówił Mickiewicz, czerpał wszystko z góry, miał moc i siłę; ale dziś z ziemi, z ksiąg, z litery martwej, z form i rozumu zasila się, a siła jest tylko w duchu, pochodzi tylko z ducha«.

Mimo to wszystko, Towiański zawsze się uważał za prawego i posłusznego sługę Kościoła: dowodził, że całe *Nowe Słowo*,

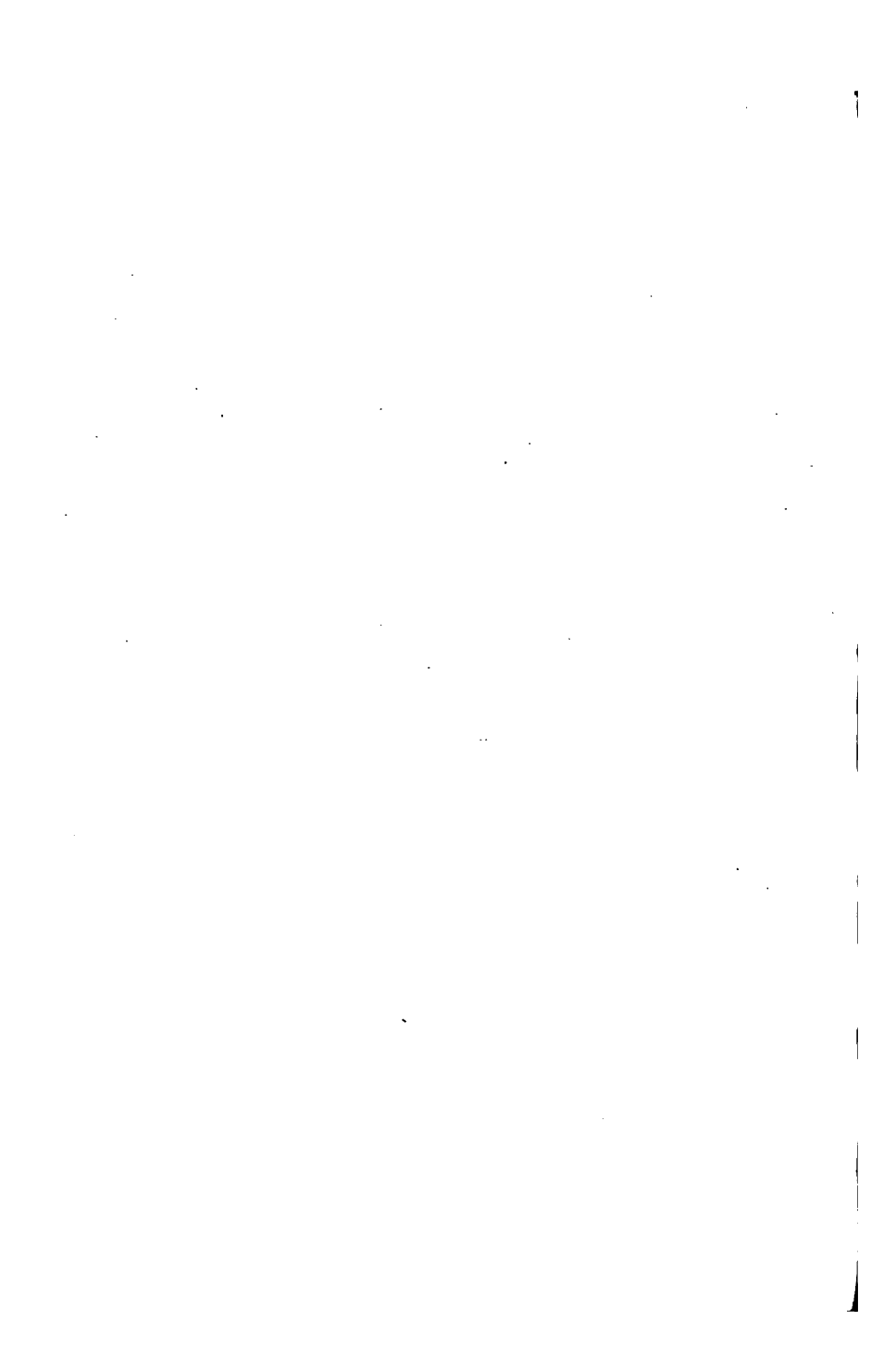
króre przynosił, nie było niczem więcej, tylko wyższem zrozumieniem Ewangelii, że stanowi »obszerniejsze rozwinięcie nauki Kościoła«, że on podaje tylko prawdy, przez Kościół jeszcze nieokreślone, które jednak, gdy Kościół zbudzi się z uspienia, zostaną przyjęte i zatwierdzone. Na Kościele katolickim, mówił, do końca wieków spoczywa myśl Boża; dlatego »nieszczęśliwy ten, ktoby nas chciał rozszczepiać z Kościołem katolickim«. Papieża (Piusa IX) uważał za »swoją najwyższą władzę«, z którym zawsze pragnął się porozumieć (a czego mu zawsze wzbrażano). Na to samo godzili się wszyscy Towiańczycy, którzy na zapytanie, uczynione im przez ks. Kajsiewicza, oświadczyli najuroczyściej, że chcą żyć i umierać w tym samym i jednym Kościele Chrystusowym katolickim, apostołskim, rzymskim, że wierzą w Chrystusa Pana, jedynego i prawdziwego Syna Bożego, prawego i ostatecznego Mesjasza, zbawiciela świata i pośrednika przed Bogiem, że wierzą w Sakrament Ołtarza, jak i w inne Sakramenta, że gotowi umrzeć i dać się umęczyć za wiarę i Kościół, nad wszystko podniesienia i rozszerzenia tego Kościoła pragnąc i t. d., i t. d.

Taką, w ogólnym zarysie, była nauka Towiańskiego.



IV

RZECZY POLSKIE W PARYŻU



I.

GROBOWIEC KRÓLEWSKI.

Bo Paryż często mody odmianą się chlubi,
A co Francuz wymyśli, to Polak polubi.

W słowach tych, wypowiedzianych przez Podkomorzego przy wieczerzy w Soplicowie, jest więcej prawdy, niżby się tego ich żartobliwy ton domyślać pozwalał: kto wie nawet, czy nie są one — w swej drugiej części — jedną z najgłębszych prawd naszej historyzofii.

Młodszy pod względem cywilizacyjnego rozwoju, o której to *młodszości* tak wymownie i przekonująco uczy nas Szujski w jednym ze swych najgenialniejszych szkiców, zawsze, a przynajmniej od czasów Jana Kazimierza i jego żony, czuliśmy jakiś nieprzeczwyciężony pociąg do Francyi, a głównie do Paryża, skąd czerpiąc światło naszej zachodnio-łacińskiej kultury, nierzadko przy świetle tem, jak ómy, opalaliśmy sobie skrzydła... Tytuł »Francuzów Północy« schlebiał naszej narodowej próżności, a jak zawsze byliśmy skłonni do zachwytów nad wszystkim, co obce, tak w szczególności imponowało nam wszystko, co posiadało stempel francuski, począwszy od Henryka Walezego, a skończywszy na perfumach i rękawiczkach. Wystarczyło, by coś pochodziło z Francyi, ażeby miało widoki przyjęcia się u nas, czy to było francusko-wersalskie zepsucie, czy wolteryanizm, czy rewolucya lipcowa. Z krzywdą dla innych narodów, jak np. dla Anglików, we Francyi zawsze widzieliśmy więcej, niż było, często nie widząc belek w jej oczach, choć dostrzegaliśmy najdrobniejsze źdźbła w oczach Anglików lub Niemców; a co się tycze Paryża, który nas

zawsze nęcił najbardziej ze wszystkich stolic europejskich, to aż po dziś dzień uważamy go za raj na ziemi, za jakieś siódme niebo, gdzie się najprzyjemniej wydaje przywiezione z kraju, a niejednokrotnie z wielkim trudem zarobione pieniądze. Skapi w domu, u siebie, gdzie wielu rzeczy nie robimy przez »oszczędność«, stajemy się hojni i rozrzutni, z chwilą, gdy się znajdujemy na paryskim bruku, a oddychając powietrzem Wielkich Bulwarów, jeśli »dumamy« o czem, to z pewnością nie o tem, o czem tu przed 60-ciu laty »dumał« Mickiewicz, gdy wracał do domu »przynosząc z miasta uszy pełne stuku...«

Jakoż zaprzeczyć się nie da, iż prawie każdy Polak, kiedy przyjeżdża nad Sekwanę, przedewszystkiem myśli o zabawie, o tem, żeby »użyć Paryża«, żeby pohulać. Stare, polskie przysłowie *Hulaj dusza* miewa tu swoje najszersze zastosowanie, a że ta pohulanka musi się odbywać »bez kontusza«, to jest okoliczność, z którą niepodobna się liczyć... Skoro się przyjechało nad Sekwanę, to nie po to, by nad nią śpiewać psalm *Super flumina Babylonis*, jakkolwiek tyle razy już nadużyto porównania Paryża z Babilonem...

Pod tym względem niewątpliwie wszyscy jesteśmy trochę podobni do owego Imci Pana Mikołaja Doświadczyńskiego, którego »przypadki«, t. j. przygody, z takim satyrycznym zacięciem opowiedział nam Krasicki. Skoro mowa o Paryżu i Francyi, warto sobie przypomnieć niektóre wyjątki z tej arcyzabawnej na pozór, a w gruncie rzeczy smutnej bardzo, powieści. Oto np. co pisze Doświadczyński, gdy stanął na ziemi francuskiej: »Szkoda, że zima, bo bym słyszał głos ptasząt, które zapewne we Francyi piękniej śpiewają, niż gdzieindziej; trawa musi być zieleńsza«. A kiedy stanął w Paryżu, gdzie go tyle razy oszukać i oskubać miano, pisał uszczęśliwiony, co następuje: »Myśl, że jestem w Paryżu, zaprzątnęła jedynie imaginację moją; czułem niewymowną pociechę i ledwo mogłem uwierzyć, że się znajduję na miejscu tak pożądanem. Gdym trochę odetchnął, pytałem się gospodarza, którego dnia można widzieć balet i komedye? Odpowiedział, iż w natłoku nieskończonych innych rozrywek codzien mogą wybierać między operą, komedya, francuską i włoską. Gdzieindziej, przydał, myślą, żeby znaleźć jaką zabawę: tu nad tem się tylko trzeba zastanawiać, jaką wybrać. Nie byłem panem pierwszego impetu radości...« Tak pisał biskup warmiński, kreśląc obraz

swego społeczeństwa w XVIII wieku, kiedy to młodzież nasza jeździła do Paryża

Szukać prawodawstwa w drukarskich kramarniach
Lub wymowy uczyć się w paryskich kawiarniach,
a wracała gadająca przez nosy, a często bez nosów; i kiedy to
Nie wierzone rzeczom najdawniejszym w świecie,
Jeśli ich nie czytano w francuskiej gazecie.

Dziś, jeżeli nie zawsze wierzymy temu, co stoi napisane w francuskiej gazecie, to jednak ilekroć bawimy w Paryżu, najczęściej zachowujemy się tak, jak się tu przypuszczalnie zachowywał ów Pan Podczaszyc z *Pana Tadeusza*, co to »pierwszy w Litwie chodził po francusku...« Zwiedzając osobliwości i cuda paryskie, zapominamy stale, że Paryż posiada nietylko grób Napoleona, galeryę Louvre'u, wieżę Eiffel, schody wielkiej opery, *Moulin rouge* i *Casino de Paris*, ale i mnóstwo rzeczy, które nas, jako Polaków, powinny interesować szczególnie, bardziej nawet, niż repertuar *Veauville'u* lub *Bouffes Parisiens*, a które miał na myśli Kalinka, gdy w roku 1858, w *Wiadomościach polskich* z d. 6 lutego, pisząc o przewodniku polskim po Paryżu, tak zaczął swój głęboko pomyślany artykuł: »Czytelnicy nasi, którzy goszczą w Paryżu, poznali już zapewne z dokładnością to, za czem to zwyczajnie ubiegają się cudzoziemcy: życie wesole, wdzięczne i błyszczące, teatry, bale i koncerty, ogrody, galerye i muzea, sklepy bogate, hotele wspaniałe i kryształowe kawiarnie, wszystko, co świeci i ku wygodzie służy, co bawi i przyjemnie zadziwia, o czem marzyć, za czem tęsknić wyuczyl się jeszcze w kraju od naszych feletonistów i korespondentów, wszystko to, spokojnie, z przyzwoitym rozmiarem czasu, możnaby powiedzieć, z religijną sumiennością zostało już bez wątpienia zwiedzone, zbadane; wszystko to wiernie odbiło się na dnie serca i umysłu, i dziennik wrażeń — zamknięty. Jednych może od wyjazdu wstrzymuje ostatek dni karnawałowych i nadzieja spotęgowanej zabawy; drudzy, jeszcze mniej z losami kraju związani, czekają stosownej pory, aby w pielgrzymce do wód i kąpieli znaleźć odpoczynek i sił odnowienie...«¹⁾ Ale z pewnością — możnaby ciągnąć dalej — niema takich, którymby przyszło na myśl, że godzi się, korzystając z bytności nad Sekwaną, zwie-

¹⁾ *Roczniki polskie*, t. II., str. 75.

dzić to, co Paryż posiada polskiego, obejrzeć grób Jana Kazimierza, zwiedzić podwoje Hotelu Lambert, odwiedzić Bibliotekę polską, zobaczyć grób Słowackiego, grób Chopina, grób Klementyny z Tańskich Hofmanowej, zrobić wycieczkę do Montmorency... Uderzmy się w piersi: Kto z nas, będąc w Paryżu, zwiedza te rzeczy? Co najgorsza, to, że ogromna większość nie wie nawet, że podobne pamiątki istnieją w stolicy Francji.

I.

A jednak taki np. grobowiec króla Jana Kazimierza, w bocznej nawie kościoła Saint Germain de Près, jest tak pięknym pomnikiem, że może się mierzyć z samymi grobami londyńskiego Westminsteru, choć są to niezawodnie, jako groby królewskie, najpiękniejsze na świecie. Grobowiec Jana Kazimierza, gdyby się znajdował w opactwie Westminster, nawet tam należałby do piękniejszych, bogatszych.

Za tło służy mu ujęta w półokrągłą arkadę nisza, przelśniona kotarą, której żółtawo-bronзовый marmur wyobraża ciężką materję. Kotara ta, pięknie udrapowana, podwiązana grubymi sznurami, robiącymi wrażenie jedwabnych, rozchyła się w taki sposób, że pozwala zajrzeć do niegłębokiego wnętrza mauzoleum, w którym stoi monument. Ten ostatni składa się z dwóch części: dolnej i górnej. Dolną stanowi podstawa z czarnego marmuru w formie sarkofagu, zdobna wspaniałą płaskorzeźbą w brzoźnie, wyobrażającą bitwę pod Beresteczkiem. Płaskorzeźba ta, na której artysta przedstawił Jana Kazimierza, gdy na czele swych hufców wpada na nieprzyjaciela, jest arcydziełem tego rodzaju kunsztu. Dokoła niej znajdują się napisy łacińskie, będące gloryfikacją czynów królewskich. Część górna jest z białego marmuru, a wyobraża Jana Kazimierza w postawie klęczącej, w chwili właśnie, gdy składa koronę i berło. Przyodziany w ciężki płaszcz koronacyjny, klęczy na poduszce, dokoła której leżą insygnia królewskie i wojenne: tarcze i pancerze, miecze i hełmy, buławy i szable, kopie i sztandary, a wszystko to, kute w białym marmurze, nacechowane jest konwencyonalną manierą XVII wieku. Mimo to całość, jako dzieło sztuki, nie jest tuzinkową.

Rodzi się pytanie: z czyjej inicjatywy wzniesiono ten pomnik? a następnie: jak się nazywał rzeźbiarz, który go wy-

konal? Na pierwsze pytanie brzmi odpowiedź w formie przypuszczenia jedynie, choć zdaje się nie ulegać wątpliwości, że pomnik wzniesiono kosztem Anny Gonzagi i ks. d'Enghien. Natomiast wiemy z pewnością, że artystą-rzeźbiarzem, któremu poruczono wykonanie tego grobowca, był Kasper »Sieur de Marsi«, płaskorzeźba zaś, wyobrażająca bitwę pod Beresteczkiem, jest dziełem Jana Thibaut, zakonnika Kongregacji w St. Maut. Długi napis łaciński, umieszczony na sarkofagu, jest układu O. Franciszka Delfan, zakonnika opactwa Saint Germain des Près. Oto końcowy ustęp tego napisu: „...*Tandem audita Kameneciae expugnatione, ne tantae cladi superesset, caritatae patriae vulneratus occubuit XVII. Kal. Jan 1672^a.*”).

Nadmienić wypada, że pierwotnie, aż do końca XVIII wieku, przedstawiał się pomnik ten inaczej, aniżeli obecnie: mianowicie był wspanialszy znacznie. Po obu stronach pomnika, przy sarkofagu, stały marmurowe postacie półnagich jeńców »między rozrzuconym orężem w upokorzeniu osłaniających się rękoma«. To upokorzenie, którego wyrazem były ich obnażone postacie, nie mogło się podobać demokratom z czasów rewolucyi francuskiej, a że rewolucya ta, zdążając do cywilizacyjnych i humanitarnych celów, posługiwała się barbarzyńskimi środkami, więc zostawiła swe ślady i na tym pomniku, t. j. nie brakło wiele, a zrównanoby go z ziemią. Zrewolucjonizowana tłuszcza nie oszczędzała pamiątek przeszłości, cóż dopiero, jeśli to był grobowiec królewski! Stąd poszło, że »górnej kotary, podstawy, sarkofagu, w którym było złożone serce królewskie, już dzisiaj niema: ocalał tylko sam posąg Jana Kazimierza i tablica bronzowa z rzeźbami«. Kto chce wiedzieć, jak wyglądał pierwotny pomnik, niech zajrzy do dzieła Bouillard'a, opowiadającego historję opactwa St. Germain des près, a gdzie na końcu, na tablicy 12, znajduje się rysunek pierwotnego grobowca²⁾.

¹⁾ Ob. Bouillard. *Hist. de l'abb.*, str. 266, cyt. u Czermaka, *Z czasów Jana Kazimierza*, str. 270.

²⁾ Zob. u Czermaka *Op. cit.* str. 271. Niedawno pisma warszawskie pomieściły w korespondencyach z Krakowa następującą wiadomość: »W Paryżu na żądanie p. Eljasza, przygotowującego dzieło o klejnotach polskich, robiono poszukiwania co do korony i berła Jana Kazimierza, darowanych przez niego skarbcowi opactwa St. Germain des Près, którego po

Jak wiadomo, Jan Kazimierz, kiedy po abdykacji osiadł w Paryżu, był honorowym przełożonym opactwa St. Germain des près. Tutaj się modlił, tutaj w kaplicy św. Placydy złożono serce królewskie, tutaj więc, gdy umarł, należał mu się pomnik.

Tutaj też, na intencję króla, a kto wie, czy nie przez niego samego ufundowana, znajduje się po prawej stronie pomnika — kaplica św. Kazimierza. »W roku 1674, pisze p. Wiktor Czermak, pozostali domownicy królewscy złożyli się na fundację, w myśl której miano w kościele opactwa obchodzić uroczystości każdą rocznicę śmierci zmarłego, a prócz tego 16-go każdego miesiąca odprawiać mszę w kaplicy św. Kazimierza, ozdobionej ich kosztem. W kaplicy tej znajdował się obraz świętego Patrona, umieszczony w pośrodku ołtarza, dzieło gdańskiego malarza Szulca¹⁾. Dziś zarówno z kaplicy tej, jak i z obrazu, nie pozostało ani śladu. Rewolucya przeszła po niej, jak koń tatarski. Kaplica, którą widzimy dziś, a która jest bardzo ładna, jest dziełem nowoczesnem, w stylu renesansowym. W miejsce obrazu św. Kazimierza znajduje się biała marmurowa figura św. Franciszka Ksawerego, kaplica zaś, pierwotnie św. Placydy, dziś przeszła pod szczególną opiekę św. Franciszka Ksawerego i św. Kazimierza, jak o tem wyraźnie głosi napis, umieszczony nad figurą:

S. Francisco Xaver

et

S. Casimiro.

A serce królewskie? Choć *Kurjerki* nasze piisały niedawno, że znajduje się ono *dotychczas* na swem miejscu, to jednak Hamlet powiedziałby tu może: *that is the question*. Takie serce *królewskie* — a więc serce *tyrana* — było zbyt smakowitym kąskiem dla demokratycznych *sankiulotów*!

abdykacji był opatem i gdzie *dotychczas* spoczywa pod piękną płaskorzeźbioną płytą jego serce. Niestety, okazało się, że rzeźbione insygnia królewskie zostały przetopione wraz ze wszystkimi klejnotami tego skarbcza podczas rewolucyi francuskiej.

¹⁾ Tamże, str. 270, na podstawie cyt. dzieła Bouillard'a. »Dnia 4 marca 1670 r. (Jan Kazimierz) obchodzi uroczystości swoje imieniny w opactwie, przyjmuje komunię św. i bierze udział w procesyi do obrazu św. Kazimierza, przywiezionego z Polski i umieszczonego w jednej z kaplic kościoła...« Czermak, *l. cit.*, str. 230.

II.

W pomnikowym dziele Bouillarda *Histoire de l'abbay St. Germain des près*, ogłoszonym w Paryżu, w r. 1724, znajduje się na tablicy 10-tej, w dziale rycin, pomieszczonym na końcu dzieła, »zachodni widok opactwa St. Germain des près takiego, jakim było w roku 1640«. Wnosząc z tej ryciny, konstatuje się z przyjemnością, że w czasach, kiedy tu mieszkał Jan Kazimierz, było to miasteczko samo w sobie bardzo szacowne i starożytne, które otoczone murami, odgradzającymi je od reszty miasta, przedstawiało się nader wspaniale jako rezydencya królewska. Dokola murów, stanowiących olbrzymi czworobok, a z po za których, oprócz romańskiej wieży kościoła, pamiętającej świtanie wieków średnich, wyglądały blaszane dachy zabudowań klasztornych, zjeżone wysokimi kominami, oraz wierzchołki odwiecznych drzew ogrodowych, biegły trzy ulice: św. Małgorzaty, św. Benedykta i ulica de Colombier; z czwartej strony ciągnęły się łąki, słynne *Près aux Clercs*. Stąd nazwa St. Germain des près.

Samo opactwo zostało założone w VI wieku. Kościół pamięta wiek XI. Główna nawa została wzniesioną między r. 1001 a 1011, jak tego dowodzą dokumenty, spożytkowane przez Bouillarda. W późniejszych czasach, t. j. przez ciąg wieków średnich, gmach uległ wielu zmianom: zaczęty w najpiękniejszym stylu romańskim, a zaczęty tak, że wytrzymał porównanie z najwspanialszemi świątyniami Rawenny, kiedy się doczekał zupełnego wykończenia, uległ — w oknach zwłaszcza — dominującym wpływom gotycyzmu. »Opactwo miało swoją chlubną tradycyę: szczyliło się zaś najwięcej tem, że w liczbie dawniejszych posiadaczy mogło wymienić króla Hugona Kapeta, zmarłego w r. 996«¹⁾.

Przetrwawszy burzę wielkiej rewolucyi francuskiej, dopiero za czasów drugiego Cesarstwa, kiedy baron Haussmann burzył stary Paryż, a wznosił nowy, poprzerynany prostymi szerokimi bulwarami, opactwo znikło z powierzchni ziemi, jako odrębna dzielnica miasta; nawet niewielki cmentarzyk pod prawym murem kościelnym, w którym spoczywały kości dawnych zakonników, zniwelowano, a wykopane kości zakonni-

¹⁾ Czermak, *Op. cit.*, str. 224.

ków, powywlekane ze spróchniałych trumien, przewieziono do katakumb, gdzie, poukładane w rozety, do dziś dnia sterczą na ścianach tych śmiertelnych korytarzów, pomieszane z milionem kości innych Paryżan i Paryżanek. Okoliczne domy, które dawniej należały do opactwa, zwalono, bo podobało się panu baronowi Hausmannowi, ażeby tędy właśnie przechodził wspaniały bulwar St. Germain. Jakoż przechodzi...

Przy prawej ścianie kościoła, od strony bulwaru, jest niewielki ogródek, zacieniony pięknymi kasztanami, a ogrodzony wysokimi sztachetami żelaznymi, za którymi wre gorączkowy ruch uliczny, ze stacją omnibusów i doróżek, których długi rząd zawsze stoi wzdłuż trotuaru, z omnibusami i tramwajami, konnymi i parowymi, zajeżdżającymi jeden po drugim, z trąbkami woźniców, z dzwonekami konduktorów, znaczącymi ilość pasażerów, z tłumem ludzi, czekających — z biletami w rękę — na swój omnibus, z krzykiem uliczników, sprzedających dzienniki, z przytłumionym turkotem kół po drewnianym bruku.

Tymczasem w ogródku, za owemi żelaznemi sztachetami, w cieniu kasztanów, dokoła niewielkiego pomnika z brązu, przypominającego zasługi wynalazcy i pierwszego wypalacza garnków kamiennych (szkoda, że tu nie stoi pomnik Jana Kazimierza!) bawią się dzieci, na ławkach odpoczywają zmęczeni przechodnie, siedzą niańki i guwernantki, jednym słowem, panuje atmosfera spokoju i jakiejś idyllicznej ciszy, a nawet mistyczna trochę, zważywszy, że z kościoła przez wspaniały renesansowy portal kamienny dolatują dźwięki organów. Tam, za sztachetami, za krzewami bzów okwitłych, skąpany w jarzących promieniach słońca, płynie wartki potok życia, panuje atmosfera gorączkowa, podniecona, nerwowa, wszystko tętni i drga, jak w młynie, wre wyczerpująca walka o byt, zaspakają się głód i miłość; tu panuje spokój, w którym — na tle niebiańskiej muzyki organów — najgłośniej rozbrzmiewa śmiech bawiących się dzieci, pomieszany z świergotem ptactwa, ukrytego w liściastej gęstwie drzew. Poprzez zielone liście kasztanów, tworzących jakby ażurowe sklepienie nad głową, prześwieca ciepłe czerwcowe słońce, które, o ile dokucza na ulicy, o tyle tu, w tym przykościelnym ogródku, tworzy mnóstwo jasnych i ruchliwych plam świetlnych, migających na trawni-

kach, na ławkach, na piasku alei, na klombach kwiatów, na kartkach książki.

Jakim sposobem na kartkach książki? Bardzo prostym. Któregoś dnia, rano, wychodząc na miasto, z zamiarem, żeby całe przedpołudnie poświęcić grobowcowi w kościele St. Germain des prés, zabrałem z sobą książkę p. Czermaka, z wyczerpującą monografią o *O ostatnich latach Jana Kazimierza*. Po obejrzeniu pomnika, po zrobieniu kilku notatek, rozejrzawszy się po całym kościele, którego romańskie wnętrze jest jednym z największych arcydzieł polychromii, i popatrzawszy na cudowną smugę promieni słonecznych, która padając skośnie, poprzez olbrzymie różnokolorowe okno prawej nawy — na przepyszną bizantyjską ornamentykę wielkiego ołtarza — czyniła wrażenie wyprostowanej tęczy, wyszedłem do ogródka, usiadłem na jednej z ławek, w cieniu rozłożystej akacji, i mając przed sobą — kiedy podniosłem oczy — wspaniałą renesansowy portal kościoła, nad którym niegdyś, na kamiennej tarczy widniały herby Polski, Litwy i Rusi (jeszcze dziś widać ich ślady), otworzyłem książkę (którą już zacząłem czytać na imperialu omnibusu, kiedy jechałem w tę stronę), a czytając wyczerpujące opisanie *Ostatnich lat Jana Kazimierza*, doznałem złudzenia, że widzę króla, jak w czarnych szatach, z orderem *złotego runa* na piersiach, z wysoką laską w rękę, w szerokim kapeluszu na głowie, przechadza się po ogrodzie opactwa, jak rozmawia z zakonnikami, jak się modli w tym kościele, i wreszcie, jak romansuje z panią de l'Hôpital, która go pocieszała po nieuniknionem rozstaniu się z Denhofową.

Dziwny to był człowiek z tego króla! Kto wie zaś, czy tym historykiem, który go scharakteryzował najtrafniej, nie jest Juliusz Słowacki; wiadomo bowiem, że autor *Balladyny* aż dwa razy uczynił Jana Kazimierza bohaterem swych dramatów: raz w *Mazepie*, gdzie mu się każe zalecać do Wojewodziny, a raz w tragedyi, która podobno była jego arcydziełem, a która zatytułowana *Jan Kazimierz*, świadczyła, że w niej król uwikłany w romans z Radziejowską, miał być głównym bohaterem sztuki, osią całej akcji. Niestety, dramat ten, znany tylko jednemu Reitzenheimowi, doszedł nas w takim stanie, jak arcydzieła rzeźby greckiej: w odłamach. Na szczęście pozostał *Mazepa*, a w nim cała druga połowa aktu

pierwszego i początkowe sceny drugiego, są mistrzowskim tłem dla niezrównanego portretu psychologicznego Jana Kazimierza. Takim był ten król, rozpustnik i bigot w jednej osobie: człowiek, który obok wszystkich ułomności Mollerowskiego *Tartuffe'a* i *Don Juana*, miewał i takie chwile, gdzie, znużony panowaniem i... miłostkami, z najzupełniejszą szczerością i dobrą wiarą myślał o życiu zakonnem za kratą klasztorną... Dziwna postać: sympatyczna i niesympatyczna jednocześnie. Instykt narodu, «który tak rzadko się myli», uważa go za Hamleta polskiej historii, a kiedy się patrzy na obrazy Matejki, na których jest wyobrażony Jan Kazimierz, rzeczywiście ma się wrażenie, że coś z Hamleta musiało być w tym ostatnim z Wazów. Jeżeli się nie wąpi, że Tartuffe musi być tchórzem, to Jan Kazimierz, tak bardzo pod wielu względami do niego podobny, był walecznym i odważnym. Hamlet daje dowody odwagi, kiedy walczy z Piratami, Jan Kazimierz miał swoją bitwę pod Beresteczkiem. Dlatego, mimo wszystko, ma się jakiś pociąg do tego króla: stąd popularność *Szkiców* Kubali, stąd niemała część uroku *Ogniem i mieczem* i *Potopu* Sienkiewicza; stąd pewien żal do p. Cermaka, który w swej książce o Janie Kazimierzu, przynoszącej tyle nowych i ważnych szczegółów, w tak przekonujący sposób rozwiewa tyle iluzji. Czytając jego *Ostatnie lata Jana Kazimierza*, ma się wrażenie przykrego i bolesnego zawodu, albowiem na każdej kartce znajdują się tam niezbite dowody, że Jan Kazimierz historyczny, a więc prawdziwy, prawie nic nie ma wspólnego z tym, którego wymarzony obraz, podobny do Matejkowskiego, przedtem nosiliśmy w duszy. Np. abdykacya! Według legendy, była to najpoetyczniejsza chwila w życiu króla, chwila, w której się wzniósł aż do proroczej potęgi, w której przepowiedział wszystko, co nastąpiło później, a dla której wyobrażaliśmy go sobie, jakby otoczonego jakąś wieczną aureolą. Z aureoli tej, po przeczytaniu dokumentów, przytoczonych przez Cermaka, nie zostaje nic, prócz srogiego rozczarowania, bo jakże smutną jest *historya* tej abdykacyi!... Po abdykacyi zaś we Francyi! Tutaj, choć uchodził za opata, a więc był uważany za osobę duchowną, i choć dobiegał sześćdziesiątki, więcej nierównie, aniżeli o święceniach kapłańskich, których zdaje się nigdy nie przyjął, lub o kraju, do którego nie bardzo tęsknił, myślał

o pani marszałkowej de l'Hôpital, niegdyś pracze z Grenoble ¹⁾, z którą podobno wszedł nawet w tajemne śluby, i o zaspokojeniu swoich niezliczonych wierzycieli, którzy mu nie dawali chwili spokoju. Mieszkał w opactwie, w otoczeniu zakonników, którym nie mógł się stawiać za przykład do naśladowania, po kościołach przesiadywał z upodobaniem, odwiedzał okoliczne klasztory, brał udział w procesjach, zaglądał do Karmelitów bosych, słuchał kazań, często się spowiadał i przystępował do komunii, a mimo to prowadził życie świeckie zupełnie, w którym rozpustne miłostki były najulubieńszą rozrywką, a kłopoty pieniężne i długi zatruwały to hulaszcze i wcale nie poważne życie exkróla, piastującego godność kardynalską.

¹⁾ O stosunku Jana Kazimierza z panią de l'Hôpital przytacza sporo interesujących szczegółów Dr. Wiktor Czermak w cyt. dziele. Była to dama trochę dwuznacznej sławy. Wyszła ze sfer najniższych (jak tyle kochanic Ludwików XIV i XV). Jako Marya Mignot, praczka z Grenoble, zawdzięczając swej niepospolitej piękności, tak się spodobała jakiemuś radcy parlamentu z Delfinatu, że się z nią ożenił. Ożenił się i umarł wkrótce, a powabna wdówka, uspokoiwszy się po stracie swego pierwszego małżonka, po którym z pewnością nie rozpacziała bardzo, w krótkim czasie została — marszałkową Francji, bo i pan marszałek de l'Hôpital tak się zakochał w pięknej wdówie, że nie bacząc na jej niskie pochodzenie, ożenił się z nią. Ale i ten drugi mąż niedługo cieszył się swoim szczęściem, a raczej cieszył się niem tak bardzo, że z radości umarł w roku 1660, pani marszałkowa zaś, choć wdowa po dwóch mężach, była tak piękną jeszcze, że jako kobieta trzydziestokilkoltnia potrafiła w sobie rozkochać niemłodego już Jana Kazimierza, który ledwo przyjechał do Paryża, zaraz uległ czarowi pięknej marszałkowej, a uległ tak dalece, iż zdaje się nie ulegać wątpliwości, że się z nią ożenił.

Ale mylilby się, ktoby przypuszczał, że sędziwy król był wrażliwy tylko na wdzięki pani de l'Hôpital. »Panna de Vaudy należy także do jego przyjaciółek (pisała o nim pani de Sc... d. 14 września 1672 do hr. de Bussy). Jeżeli powiedział panu, że nie myśli o księżnej Palatynowej, nic to nie znaczy...« Z innego listu tejże pani de Sc... okazuje się nadto, że król »nie pogardzał towarzystwem dam, które mu podobno względów nie szczędziły, zakochane w jego — kosztownościach«. »Król polski (pisze pani de Sc...) interesuje tu żywo nasze damy. Ma kosztowności, które dla nich wszystkich są ponętą, i chociaż nie młody, ani piękny, ani nawet bardzo dowcipny, jest przeciw wielce poszukiwanym, bo od czasu pańskiego wyjazdu kobiety jeszcze mniej, niż dawniej, mają skrupułów, gdy chodzi o zrobienie pierwszych kroków ku koronom«.

Dom, w którym mieszkał, do dziś dnia istnieje przy ulicy Jacob Nr 9, a jest ciekawy przez to, że się zapomocą przejść podziemnych łączy z kościołem opactwa.

Byłem w tym domu, pytałem *concierge'ki*, czy nie wie nic o tem, że w tym domu mieszkał niegdyś *le Roi de Pologne*, ale już sam podziw starej francuski, w jaki ją wprawilo moje zapytanie, świadczy najwymowniej, że tradycya o koronowanym lokatorze tych murów, mieszkającym w nich od r. 1669 do 1672, już zaginęła dawno.

Że jednak nie zaginęła wśród naszej emigracyi, która po r. 1831, chroniąc się pod opiekuńcze skrzydła sędziwego generała Lafayette'a, ściągnęła na bruk paryski, o tem między innymi świadczy następujący fakt, zapisany w książce Gadona *Z życia Polaków we Francyi*. »Zwyczajne tygodniowe sesye *Towarzystwa literackiego* gromadziły zwykle 15 do 25 obecnych. Zebrania tylko doroczne, 3 maja i 29 listopada, bywały znacznie liczniejsze i czasami ozdobione przytomnością dam (księżnej Anny Czartoryskiej, ks. Wirtemberskiej, Tytusowej Działyńskiej, Platerowej, Z Tańskich Hoffmanowej i innych); *poprze-dzało je nabożeństwo, odprawiane najczęściej w kościele Saint Germain de près, przy grobowcu Jana Kazimierza*. Nieopodal grobowca tego, w domu opactwa przy ulicy *de l'Abbay*, znajduje się — aż po dziś dzień — obszerna izba klasztorna, w której, jak wieść nosła, Jan Kazimierz bolał i dumał nad losem Ojczyzny. W izbie tej, »niegdyś będącej mieszkaniem królewskim«, odbył się w r. 1832 pamiętny — i skandaliczny — »obchód listopadowy«, na którym Słowacki wręczył Lafayette'owi medal od *Towarzystwa litewskiego*, a który, zakończony ultra-demokratycznymi przemówieniami Semeneńki i Krępowieckiego, wywołał powszechne oburzenie wśród umiarkowańszych stronnictw wychodźstwa... »W przytomności Lafayette'a i innych (pisał w dzienniku swym Niemcewicz), Lelewel, Krępowiecki *et consortes*, zaburzyli rzecz całą szkalowaniami szlachty, wojska, panów, etc. tak, że Lafayette, zgorszony i zniechęcony, wyjść musiał. I takie głowy chcą reprezentować, chcą stanowić o losie narodu...«. Jeśli istotnie — jak powiada Feliks Wrotnowski w swem tacytowskim *Wspomnieniu siedmiu lat pielgrzymstwa* — »duch Jana Kazimierza zdawał się unosić nad tem zgromadzeniem«, to z pewnością, patrząc na smutny epilog tego obchodu, przypomniał sobie wieszczę słowa swego

aktu abdykacji z roku 1668, gdy, bolejąc nad niezgodą wewnętrzną, tak podkopującą byt Rzeczypospolitej, w takich prorocznych słowach przepowiadał jej smutną przyszłość: »Obym był fałszywym prorokiem! ale to pewna, że (jeśli wszystko tak dalej pójdzie), Rzeczpospolita przyjdzie na rozszarpanie narodom obcym. I Moskwa i Ruś przy swego języka krajach opowiedzą się i Wielkie Księstwo Litewskie zagarną, Brandenburchykowi stać będzie otworem po granice Wielkopolska i o Prusy ze Szwedami się zgodzi albo się o nie orężem rozprawi. Dom rakuski... przy takiej szarpaninie od Krakowa sobie nie poskąpi zyskać. Bo każdy będzie wołał mieć część Polski dobytą orężem, niż całą dawnymi wolnościami przeciwko władcom zabezpieczoną«...

III.

Oprócz kaplicy św. Kazimierza, przy której nieraz widziano rozpustnego wielbiciela wdzięków pani de l'Hôpital, zanoszącego modły do swego błogosławionego patrona, istnieje w Paryżu przy ulicy Chevaleret Nr 119, t. zw. *Zakład świętego Kazimierza*.

Zakład ten, założony w roku 1846, z inicjatywy księżnej Anny Adamowej Czartoryskiej i Teofili Mikołowskiej, jego pierwszej przelożonej, zwanej »świętą matką matek miłosierdzia«, jest domem przytułku dla starców-polaków, głównie weteranów, a zarazem ochronką i szkółką dla sierot i biednych dzieci polskich obojej płci.

Co się tyczy historii tego »domu św. Kazimierza«, to da się ona streścić w kilku słowach. Początkowo znajdował się on przy ulicy d'Ivry, gdzie urządzony na szczupłe rozmiary, zaledwie pięciu sierotom dawał jaki taki przytułek. Wkrótce jednak, z inicjatywy i pod przewodnictwem hrabiny de la Redorte, zawiązał się komitet dam polskich i francuskich, który się tak energicznie zajął zbieraniem funduszków, że już w r. 1851 wynajęto obszerniejszy lokal przy ulicy Gentilly, a mieszkających w niem sierot było czterdzieści. W r. 1861, dzięki opiece ks. Witolda Czartoryskiego i hrabiny Grocholskiej, nabyto plac przy ul. Chevaleret Nr 119, gdzie następnie wzniesiono obecne gmachy. W r. 1866 zakład otrzymał piękną posesyę w Juvisy, składającą się z obszernego domu i pięknego ogrodu,

a poprzednio będącej własnością hrabiny de Montessuy. W r. 1869 wreszcie, dekretem cesarza Napoleona III, datowanym d. 16 czerwca, zakład został uznany za instytucję użyteczności publicznej, *reconnue comme établissement d'utilité publique*. W obecnej chwili — wcale nie pomyślnej pod względem funduszków — zakład daje pomieszczenie: 30 starcom, pomiędzy którymi jest jeszcze paru czwartaków; 3 starszkom, 3 bardzo sędziwym siostróm miłosierdzia, w tej liczbie pierwszej przełożonej swojej, ur. w r. 1811; 48 dziewczętom, 18 chłopcom, przebywającym w Juvisy, 13 Siostróm Miłosierdzia św. Wincentego & Paulo, polkom, 2 kapelanom, polakom, 3 pomocnikom, 8 służącym. Głównymi opiekunami jest kilka rodzin arystokratycznych polskich i francuskich ¹⁾.

Kilka godzin, które jednego popołudnia spędziłem w obrębie murów domu świętego Kazimierza, należą bezwarunkowo do moich najprzyjemniejszych wspomnień paryskich.

Byłem, pamiętam, smutny tego dnia, a lubo słońce świeciło na niebie bez chmur, cały świat — choć to był Paryż — wydawał mi się takim, jakim jest tło *Anhellego*, zimnym, ciemnym, gdzie rosną ciernie zwątpienia, a powiędły kwiaty nadziei; gdzie pod świeżemi mogiłami zdają się pogrzebane marzenia, a ponuro i przeciągle świszcze lodowaty wichur rzeczywistości, strząsający ostatnie poźółkłe liście złudzeń.

W takim usposobieniu, które bywa stokroć dokuczliwszem w Paryżu, bo się tu człowiek czuje bardziej, niż gdziekolwiek indziej osamotnionym i obcym, wsiadłem na statek parowy, który płynie aż do Charanton, i popłynąłem w stronę ulicy Chevaleret, znajdującej się w Paryżu jeszcze, ale tak daleko, że prawie za Paryżem. Po półgodzinnej żegludze, minąwszy szereg mostów, pod którymi statek przepływał, jak pociąg przez tunele, zatrzymałem się przed bramą zakładu św. Kazimierza, który z zewnątrz, od ulicy — zacisznej i bezludnej — robi jakieś klasztorne wrażenie: skromny dom dwupiętrowy, bez żadnych ozdób architektonicznych, z oszklonym obrazem św. Kazimierza, wmurowanym powyżej bramy. Brama

¹⁾ *Roczniki Tow. Hist. Lit. w Paryżu*, t. I—VI. (Zakłady polskie na wychodźctwie. Dom św. Kazimierza). *Polska w Paryżu*, str. 37, 38. (Paryż, 1889). *Zakład św. Kazimierza w Paryżu*. Odezwa do Szanownych Rodaków z d. 15 czerwca 1896 r. *Oeuvre de Saint Casimir. Statuts*.

zamknięta. Dzwonię. Otwiera mi Siostra Miłosierdzia, w białym płóciennym czepcu o szerokich skrzydłach, młoda, blada, o idealnym wyrazie twarzy, o dziwnie słodkich oczach, rzekłabyś pani Emilia z Sienkiewiczowskiej *Rodziny Połanieckich*, kiedy została Siostrą Miłosierdzia.

— Czego pan sobie życzy? — zapytała mię po francusku.

— Czy można zwiedzić zakład św. Kazimierza? — odzrękłem po polsku.

Po chwili znalazłem się w pokoju Matki przełożonej, Anieli Siwickiej, w niewielkim czyściutkim pokoiku o zakratowanych oknach, w którym z przyjemnością zobaczyłem na ścianach, obok kilku obrazów Świętych, *Kazanie Skargi* i *Unię Matejki* oraz *Procesję krakowską* Lipińskiego. Obrazy te, oglądane w Paryżu, robią podwójne wrażenie: czuje się odrazu, że się oddycha innem powietrzem, że się jest na swoim gruncie... Po chwili weszła Matka Przełożona... Najprzód, po pierwszych słowach powitania, wyraziła pewne zdziwienie z powodów mych odwiedzin, bo choć tylu Polaków przyjeżdża do Paryża, to jednak takich, którzyby się interesowali zakładem św. Kazimierza, bywa, niestety, bardzo nie wielu... »Czasami rok minie, a z przyjezdnych ziomków nie widzimy nikogo«. Z kolei wszczęła się dłuższa rozmowa o kraju, o Warszawie i Krakowie, poczem, oprowadzany przez Matkę Przełożoną, która była tyle łaskawa, że mi sama ofiarowała się służyć za cicerona, zwiedziłem wszystkie oddziały zakładu, począwszy od sal szkolnych i szwalni, a skończywszy na kuchni, ogrodzie i oficynie, którą zamieszkują staruszkowie. »Mieszkali tu do niedawna — mówiła Matka Przełożona — a wkońcu pomarli, ludzie bardzo znani i wybitni, bądź talentem, bądź rolą polityczną, jaką w swoim czasie odegrali na arenie wypadków krajowych. Do takich należał np. generał Wysocki i Jan Nepomucen Janowski, niegdyś profesor warszawskiego Uniwersytetu¹⁾. W tymże zakładzie, będącym przytułkiem tylu naszych rozbitków, spędził ostatnie lata swego żywota Tomasz Olizarowski, znany poeta.

¹⁾ Wykładał historję powszechną. W roku 1830 wydał w Warszawie *Wstęp do historyi powszechnej*, wykazujący głęboką naukę i śmiałość poglądów młodego podówczas profesora. »W walce o zasady (pisze o nim Edward Siwiński), która tak roznamiętniała emigracyę w pierwszych kilkunastu latach jego

Tutaj również zakończyli dni swoje Cyprian Norwid i Leonard Retel. Pierwszy z nich był tak gorącym wielbicielem Ojca św. Piusa IX., że od skonu tegoż aż do śmierci nosił po nim żalobę... Tak rozmawiając, wyszliśmy na dziedziniec. Tutaj, zarówno jak i w ogrodzie w głębi, korzystając z pięknej wrześniowej pogody, bawiły się dzieci (same dziewczynki od lat 3-ich do 14-tu) a wśród tej sierocej gromadki, która — jak mię poinformowano — mówi i myśli po francusku, ale czuje i modli się po polsku, przechadzały się Siostry Miłosierdzia, trzymające nadzór nad tą rozbawioną drużyną. Jednocześnie, w innej części ogrodu, w cieniu starych kasztanów, przechadzali się weterani-starecy, siwiuteńcy, pochyleni wiekiem, a każdy z nich, gdyby się rozgadał, z pewnością mógłby opowiedzieć mnóstwo »ciekawych historii«. Tymczasem opowiadała mi o nich Matka Przełożona: o ich sympatycznych dziwactwach, o drobnych zatargach i plotkach, jakimi sobie urozmaicają swe jednostajne życie, a które w nich od razu dają poznać emigrantów, dawnych członków *Towarzystwa demokratycznego* i innych »klubów«. Każdy ma swego ówieka: jeden jest polityk, libertyn i demokrata, namiętnie nienawidzący krakowskiego *Czasu*, choć go codziem czytuje od deski do deski; inny znów, hrabia L... jest heraldykiem, wiedzącym o wszystkich, kto ich rodzi, jakiego są herbu etc., przyczem arystokrata z krwi i kości, wierzy w nieomylną polityczną *Czasu* i Stańczyków, a ze swym najbliższym sąsiadem, owym demokratą właśnie, nie zna się, nie rozmawia, choć mieszkają obok siebie, przedzieleni tylko ścianą. Cóż kiedy ich dzieli przepaść przekonań... Niemniej ciekawym typem jest stary Kl..., matematyk, dawny *Marymontczyk*, *ancien élève de l'Institut de l'Agriculture et des Forêts de Marymont*. Staruszek to, któremu nie daje spać zagadka kwadratury kola! Swoją drogą jest przekonany, iż ją rozwiązał, a w jaki sposób, o tem naucza jego broszurka francuska, którą w roku zeszłym wydał własnym nakładem p. t.: *Solution du problème de la quadrature du cercle*. »Ten zaś, bez nogi, który tam utyka w bocznej alei, to stary żołnierz. Nogę stracił na

pobytu we Francyi, żywy brał udział (jako skrajny radykał i demokrata) i piórem, pełnem ognia i siły, demokratycznego sztandaru do schyłku żywota wytrwale bronił. *Garść wspomnień w Gazecie Warszawskiej* z r. 1897.

Węgrzech, pod Bemem. Ma order *Virtuti militari*, a żywi najwyższe lekceważenie dla tych ze swoich kolegów, którzy nigdy nie byli w ogniu... Na szczęście, prawie wszyscy, co z nim mieszkają w naszym zakładzie, próbowali wojaczki... Z kolei, a wciąż oprowadzany przez Matkę Przełożoną, zwiedziłem kaplicę zakładu, bardzo ładną, zupełnie podobną do naszych kościółków wiejskich, z obrazem św. Anny w wielkim oltarzu (na intencję założycielki zakładu, księżnej Anny Czartoryskiej). Nie brak też i wielkiego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Kiedyśmy wychodzili z kaplicy, usłyszałem donośny odgłos dzwonka. »Na co to dzwonią?« »To nasz dzwonek obiadowy. Już szosta«. Zanim się pożegnałem z Matką Przełożoną, przyrzekałem się jeszcze, jak cała drużyna dzieci, które aż do tej chwili bawiły się na dziedzińcu, posypała się w kierunku sali jadalnej, poczem wyszedłem na ulicę¹⁾.

W godzinę potem byłem już na Wielkich Bulwarach, koło Opery, w samym sercu Paryża, wśród oszalamiającego turkotu i wrzawy ulicznej. Co za różnica pomiędzy tą atmosferą a tą, w której spędziłem część popołudnia! Ta, choć oszalamiająca, jak narkotyk, nie przyniosłaby tego okojenia, które mi dała tamta. Przed kilkoma godzinami, gdy jechał statkiem parowym, czułem jakąś zmoreń moralną, która mi szarpała duszę, wszystko widziałem czarno, bom się na świat i siebie zapatrywał przez okopcony pryzmat chwilowego spleenu; a kiedy wracał, już byłem jakiś pokrzepiony na duchu, w tak pogodnym nastroju, że nie wiedziałem sam, co mi się stało..

¹⁾ Dnia 8 maja 1896 r. obchodzono 50-tą rocznicę założenia zakładu św. Kazimierza. Na dzień ten napisała pani Serweryna Duchńska ładny wiersz okolicznościowy.

II.

GROBY POLSKIE NA CMENTARZACH PARYSKICH.

Taki to los mój: na grobowcach siadać
I słuchać smutków błahych, wiotkich, kruchych...

Smutki, jakich się doznaje na widok grobów polskich; rozrzuconych po cmentarzach paryskich, nie są, ani błahie, ani wiotkie, ani kruche; bo jeśli każda mogiła tchnie jakąś melancholijną zadumą, to cóż dopiero mogiły wygnańców, którzy pomarli na obcej ziemi... Od takich mogił wieje podwójny smutek!

Przechadzając się wśród nich, myśli się o emigracji — boć są to wszystko groby emigrantów — i o naszej wielkiej poezji romantycznej, z Mickiewiczem, Chopinem i Słowackim na czele, którzy tu, na tym paryskim bruku,

Przynosząc z miasta uszy pełne stuku,
Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów,
Zapóźnych żalów, potępieńczych swarów,

tworzyli swe największe arcydzieła: Mickiewicz *Pana Tadeusza*, Chopin *Mazury* i *Polonezy*, Słowacki *Beniowskiego* i *Króla ducha*.

Tutaj też, w »gościnnej ziemi francuskiej«, strawieni tęsknotą za ojczyzną, ułożyli się do snu wieczystego: Mickiewicz na cmentarzu w Montmorency, Chopin na cmentarzu Père Lachaise, Słowacki na cmentarzu Montmartre.

I.

Słowacki, jakby w przeczuciu, iż kiedyś i jego »białe kości« spoczną na jednym z paryskich cmentarzy, lubił oddychać ich żalobną poezją, a w listach swoich do matki nie-

jednokrotnie rozpisuje się z upodobaniem o tych uroczych »miejscach wiecznego spoczynku«, których nagrobki i cyprysy tak często bywały świadkami jego samotnych przechadzek i dumań. Szczególniej lubił cmentarz *Père Lachaise*. . . Oto np. co raz pisał o nim wkrótce po swem przybyciu w r. 1831 do stolicy Francji: »Jeden z najmiłszych wieczorów, który miałem w Paryżu, był na cmentarzu *Père Lachaise*. Nic nie widziałem piękniejszego w tym rodzaju: za miastem wzgórze bardzo rozległe, którego pochyłość cała gęsto okryta grobami i zarosła cyprysami, przez które z trudnością przedrzeć się można; różne drogi krzyżują się w tym lesie; w cyprysach mnóstwo róż miesięcznych, bladych, ale kwitnących wiecznie; czasem ognistym kwiatem błysnie geranium. Groby wszystkie podobne do siebie: najczęściej małe kolumny z marmuru białego. We środku i na górze jest mała kaplica; stamtąd wzrok po murawie, z wierzchołków cyprysów utworzonej, spada na dół, i zdala w dymie błękitnym pokazuje się cały Paryż ze swoimi gmachami; nad nim, gdy byłem, zachodziło słońce. Czarne wozy ciągle tam przez pryncypalną ulicę przejeżdżają, ale pogrzeby tu bardzo ciche (u nas tak żydów chowają). Dochodząc do cmentarza, pełno ogródków i sklepików, obwieszonych wiankami ze świeżych i artyficyjnych (sztucznych) kwiatów. To charakteryzuje Francuzów: każdy za kilka groszy pokaże innym swoją boleść, a kiedy da kilkanaście, to kwiaty z płótna aż po roku trzeba będzie odnowić«. »Kiedy chodziłem po grobach *Père Lachaise*, spotkałem śliczną pannę, w czarnym ubraną kolorze, ale na kulach, bo jedną stopę miała skrzywioną, a jednak kształt nogi bardzo piękny. Lekko i wesoło chodziła pomiędzy grobami i tłumaczyła idącej za nią staruszce, *duguenie*. Bardzo mnie zainteresowała. . . Wesołość przy tej ułomności pięknie się wydawała, jakby przymuszona. Zdawało się, że pod nią smutne musiała ukrywać myśli, bo czegożby przyszła na groby; zdaje się, iż ją musiałem trochę zainteresować, bo także w czarnym byłem ubrany tużurku, i byłem sam, i częstośmy się spotykali, choć jej nie szukałem. Bardzo była ładna, kiedy schodziła do mnie cyprysową aleją i czasem podnosiła głowę, a wtenczas słońca promień, zabłąkany w cyprysowym lesie, padał na jej twarz białą«.

Ile razy zdarzyło mi się być na cmentarzu *Père Lachaise* zawszem »oczyrna duszy« widział drobną i chudą postać Slo-

wackiego »w czarnym tużurku«, szukającego »smutków białych, wiotkich, kruchych«, wśród tych cyprysów i nagrobków; nie przeczę jednak, że kiedy się jest na cmentarzu Père Lachaise, to więcej nierównie, aniżeli o twórcy *Balladyny*, myśli się o Chopinie, który tu spoczywa, a którego grób bodaj czy nie jest najslawniejszym ze wszystkich na tem wzgórzu: żaden, nie wyłączając grobów Musseta i Abelarda i Heloizy, nie bywa odwiedzany przez taką liczbę cudzoziemców, szczególnie przez Anglików (nie mówiąc już o Polakach), co *le tombeau de Chopin*.

Jest to pomnik z perłowego marmuru, otoczony gustownymi sztachetami z kutego żelaza. Na kwadratowym cokule siedzi Muza, pochylona, zapłakana, wsparta na złamanej lirze. Jako dzieło sztuki, jest to rzeźba liryczna, która, przetłomaczona na język poezyi, stałaby się rzewną elegią na śmierć Chopina, elegią, napisaną przez przyjaciela. W przedniej ścianie podstawy, na której także — obok imienia i nazwiska i daty śmierci — znajduje się wryty napis à *Fréd. Chopin ses amis*, bieli się alabastrowy medalion z subtelnym profilem mistrza. Z boku, na prawej ścianie, czyta się następujące słowa: *Frédéric Chopin, né en Pologne à Żelazowa Wola près de Varsovie. Fils d'un émigré français, Marié à M-elle Krzyżanowska, fille d'un gentilhomme polonais*. Po drugiej stronie znajduje się nazwisko *I. Clesinger'a*, twórcy pomnika, oraz rok 1850, w którym został wzniesiony.

Historia tego grobowca jest następująca. Otoczony licznym gronem przyjaciół i uczennic, Chopin dogorywał wśród ciężkich męczarni. Między osobami, co prawie nie odstępowały od jego łoża, była i córka pani Sand, piękna Solange, od niedawna poślubiona rzeźbiarzowi Clesingerowi... »Będąc świadkiem tej powolnej i budującej agonii ludzkiego geniusza, który już widzi niebo, a jednak mimo to wyrwyw się do ziemi, Clesinger, opuściwszy mieszkanie Chopina, udał się do swej pracowni, ażeby tam stworzyć pomnik, godny takiego przyjaciela. Jakoż duch tego Ariela fortepianu był przy nim, gdy rozgorączkowanemi rękoma zaczął lepić figurę ze złamaną lirą w rękę. Jest to śpiew konającego labędzia, jest to dusza śpiewaka *Preludiów*, nachylająca się ku tej ponurej drodze do nieba, która się zwie grobem. Wystarczył mu jeden dzień, ażeby zacząć i skończyć tę figurę... Jako dzieło sztuki jest to rzecz pełna prostoty, smutku i szlachetności, a będąc piękną w pomyśle, od-

znacza się prawdziwą wielkością«. Tak pisał niejaki A. H. w czasopiśmie *L'Artiste* dnia 1 listopada 1849 roku (a więc nazajutrz po pogrzebie Chopina), jednocześnie zaś, z inicjatywy Kamila Pleyela, utworzył się komitet pod przewodnictwem słynnego malarza Delacroix, w celu wzniesienia pomnika nad grobem zgasłego mistrza. Zaczęto zbierać składki, a kiedy po bardzo niedługim czasie udało się zebrać wystarczający fundusz, zwrócono się do Clesingera, ażeby zrobiony przez siebie w glinie projekt pomnika Chopina wykuł w marmurze... W pierwszą rocznicę śmierci niezapomnianego artysty, d. 17 października 1850 roku, pomnik ten, już ukończony całkowicie, został odsłonięty i poświęcony. Dnia tego, przed południem, liczne grono przyjaciół i uczniów genialnego kompozytora, zgromadziwszy się w małej kaplicy na cmentarzu Père Lachaise, udało się pod przewodnictwem księdza, po uprzednim wysłuchaniu cichej mszy, na grób Chopina, w celu odsłonięcia pięknego dzieła Clesingera. Gdy opadła zasłona, na pomnik posypały się kwiaty i wieńce, aż wreszcie, po wspólnie odmówionej modlitwie, deputowany Franciszek Wołowski wystąpił z mową, ale był tak wzruszony, iż musiał poprzestać na wypowiedzeniu kilku słów zaledwie...¹⁾

Upłynęło odtąd pięćdziesiąt lat blisko, a muzyka Chopina pozostała nie tylko ostatniem słowem muzyki fortepianowej, ale i jej najidealniejszą poezją. Przybyszewski nazywa ją »metamuzyką«, widząc w niej bezpośredni wyraz duszy kosmicznej, niezależnej od mózgu i zmysłów...« Jest to poezya Słowackiego, przetłomaczona na język tonów, a jej nieśmiertelny twórca pozostał na zawsze, dopóki nie zbraknie ludzi subtelnych i skłonnych do marzycielstwa, jedną z najsympatyczniejszych i najpoetyczniejszych postaci w dziejach ludzkości, jednym z tych geniuszów, których się uwielbia i kocha zarazem, a kocha jakimś uczuciem miękkim, rzewnem, kobiecem...

Że tak jest, tego dowodzi n. p. grób Chopina, na którym ciągle różni wielbiciele składają świeże wieńce, świeże kwiaty. Któregoś dnia, kiedy przyszedł podumać przy tym grobowcu, znalazłem na nim, u stóp zapłakanej Muzy, wiązanek przeslicznych róż, które, rzucone na perłowe tło marmuru, miały

¹⁾ Zob. korespondencję z Paryża do londyńskiego *John Bull'a*, w numerze z d. 26 paźdz. 1850 r.

w sobie jakąś dziwną poezję... A była to część tej poezyi, która, tchnąc z tego pomnika, jednocześnie i wszystko, co go otacza, otula swym czarownym welonem: i okoliczne akacye, pruszące białym kwiatem, i pobliskie mirty i bluszcze.

Jakże pięknie musi tu być nocą, kiedy niebieskawe blaski księżyca, przeświecając przez gęstwą drzew, padają na ten pomnik, na tę Muzę, niepokieszenie smutną, i na ten alabastrowy profil śpiewaka *Nokturnów*, i kiedy słowiki, ponkrywane w sąsiednich gąszczach, zakłócają grobową ciszę nocną. Dziwna rzecz, ale zdaje się, iż przy tym grobie — przy tym jedynym — nie musi być straszno w nocy, nawet wtedy, kiedy zegary biją północną godzinę, nawet jesienią, gdy wiatr, targając bezlistnemi gałęziami drzew, świszczce pomiędzy mogiłami, kiedy po niebie ciągną złowrogie chmury, a w powietrzu migają nietoperze. Jeszcze i o takiej porze, wspierając się o żelazne ogrodzenie tego pomnika, miałoby się wrażenie, przypuszczam, że się słucha jakiegoś dramatycznego *Nokturnu* Chopina, lub przejmującego *Finału* z *Sonaty* z Marszem żałobnym...

Grób Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, wśród polskich grobów należący do najpiękniejszych na cmentarzu Père Lachaise, znajduje się przy *Chemin Molière et Lafontaine*. Ozdobiony biustem zacej matrony i autorki, z ładną grupą dzieci pośrodku, posiada następujące napisy (wszystkie polskie): *Klementynis z Tańskich Hofmanowicz. Ziolkowis. 1848*. W innym miejscu wyryto tytuły ważniejszych dzieł tej szlachejnej niewiasty: *Pamiętka. Rozrywki. Kochanowski. O powinnościach kobiet. Krystyna. Pisma świeckie. Pamiętniki*. Wreszcie, na przodzie pomnika, widnieje piękne i wymowne zdanie, które było godłem Hofmanowej: *Wszystkie dzieci polskie są moimi dziećmi*. Tuż obok znajduje się pobożna prośba do »matek i dzieci«, ażeby zmówiły *Zdrowas Marya*.

Hoffmanowa umarła w r. 1845, oplakiwana przez całe społeczeństwo, które w niej widziało i czciło matkę i przewodniczkę wszystkich kobiet i dzieci polskich. Jakoż zaprzeczyć się nie da, że całe jedno pokolenie kształciło się i urabiało na *Pamiętce po dobrej matce* i *Rozrywkach dla dzieci*. To też wszystkie pisma, krajowe i emigracyjne, wystąpiły z gorącymi nekrologami, rozpisując się o dobroczynnym wpływie Hoffmanowej, o jej literackich i obywatelskich zasługach i t. d. Rzecz charakterystyczna: jedynym człowiekiem, który, choć považał

Hoffmanową, nie stracił krytycznego sądu o niej, był Slowacki, który pod wrażeniem jej śmierci, pisząc do matki, napisał między innymi, co następuje: »Umarła tu nam autorska nasza, dla dzieci niegdyś pisząca. Odpoczynek jej, ale nie pokój, bo jeszcze wiele czynić pozostaje; nawet ona sama wiele z tego, co uczyniła, sama wywrócić musi: tamy, przeciwko exaltacji kładzione serca przez nią na kluczyk od spiżarni zamknięte, a które klucz nieszczęścia będzie musiał otworzyć na nowo. Bo nie na samych tylko prawidłach moralności stoi anioł żywota, ale i skrzydła ma, które go częściej na powietrzu utrzymują, niż na nogach... Nie wiedząc, a sproutestantyzowała kobiety«.

Nie uczynił tego Teodor Morawski, znany dziejopis narodu polskiego, poseł, dyrektor spraw zewnętrznych, wreszcie wiceprezes Towarzystwa Historyczno-literackiego, który także jest pochowany tutaj; spoczywa pod skromnym nagrobkiem, w niedalekiem sąsiedztwie sławnego poety francuskiego, Casimire'a Delavigne. Stojąc nad grobem tego historyka i męża stanu, mimowoli myśli się o jego wspaniałych *Dziejach narodu polskiego*, które się czytało w młodzieńczym wieku, a które on pisał na wygnaniu, tutaj, w tym hucznym Paryżu.

W innej stronie znajduje się grób Dr. Seweryna Gałęzowskiego, sławnego profesora Uniwersytetu wileńskiego, później naczelnego lekarza wojskowego, a w końcu założyciela i pierwszego prezesa szkoły Batignolskiej. Piękny nagrobek zdobi brązowy biust nieboszczyka.

.....

Niepodobna opisywać wszystkich grobów polskich, znajdujących się na cmentarzu Père Lachaise: jest ich tyle, że prawie w każdej alei trafia się na jakiś ozdobniejszy lub skromniejszy nagrobek z polskim napisem. Zbiorowy grób jest tylko jeden, założony przez Józefa Reitzenheima ¹⁾.

Mówiąc o grobach polskich, trudno nie wspomnieć o grobie

¹⁾ Oto kilkanaście wybitniejszych nazwisk Polaków, spoczywających na cmentarzu Père Lachaise: Tadeusz Tyszkiewicz (jeneral i senator), Ludwik Nabelak, jeneral Wysocki, Stanisław Komar (ojciec Delfiny Potockiej), Michał Tyszkiewicz, Adolf Cichowski, Aleksander Tys (naczelný prokurator Senatu Królestwa Polskiego), Ludwik Wołowski (senator i członek Akademii Francuskiej), Ksawery Szlenker, i wielu innych.

Balzaka, tego — jak chce Taine — największego po Szekspirze znawcy duszy ludzkiej, który, pochowany na cmentarzu Père Lachaise, spoczywa wśród samych Polaków, wśród samych Rzewuskich i Mniszków, a obok swej ubóstwianej żony, Ewy z Rzewuskich 1^o voto Hańskiej, do której pisał tak sentymentalne listy...

II.

Kiedym w r. 1890 mieszkał w Paryżu, w Quartier Latin, jako student Sorbony, zdarzało się bardzo często, szczególnie na wiosnę, w maju, gdy piękna pogoda zniechęcała do siedzenia w domu, a ciepłe słońce wywabiało na świeże powietrze, że z tomem pism Słowackiego siedałem na *imperial* omnibusu *Batignolles-Clichy-Odeon* i jechałem na cmentarz Montmartre; tam bowiem, przy grobie autora *Anhellego*, znajdowałem to, czego o tej porze nie mogłem znaleźć w żadnym z ogrodów paryskich, ani w prześlicznym *Jardin du Luxembourg*, ani w piękniejszym jeszcze, mnóstwem marmurowych posągów zdobnym, Parku Tuilleryjskim: mianowicie spokój i ciszę, ciszę, niezamąconą ani poblizkim zgiełkiem ulicznym, ani hałasem bawiących się dzieci, ani dźwiękami orkiestry wojskowej, ciszę, która mi pozwalała zapomnieć, że jestem w Paryżu, w której jedynym tonem głośniejszym był śpiew ptactwa, a której melancholię podnosiły wspaniałe zacienione aleje, łagodne powiewy wiatru, zapach kwitnących lip i akacyj. Wszystko to, wraz z mnóstwem płam świetlnych, mieniających się na ziemi, na marmurach grobów, strzeżonych przez zadumane cyprysy, miało swoją ogromną poezję, bo nieprawdą jest, żeby cmentarze usposabiały ponuro, ażeby tam strach ogarniał człowieka. Może w nocy, ale w dzień, na wiosnę, kiedy drzewa są w pełnym rozkwicie, lub jesienią, kiedy pożółkłe liście przypruszają ziemię i groby, każdy cmentarz ma swoją poezję, która jest smutną, to prawda, ale czyż prawdziwa poezya bywa wesołą?... Są ludzie, którzy na cmentarzu, w dali od życiowej wrzawy, czują się lepiej, niż wśród gwarnych zbiegowisk ludzkich; tutaj bowiem, w obrębie cmentarnego muru, gdzie całe pokolenia znalazły »wieczny odpoczynek«, i oni, zmęczeni życiem, odpoczywają chwilowo, znajdują psychiczne wytchnienie i odpoczynek dla nerwów. Nie brak i takich nawet, co na cmentarzach dają *rendez-vous* ko-

bietom, by tam z nimi gruchać i romansować wśród mogił i krzyżów... Są i tacy, których atmosfera cmentarna, o ile idzie w parze z samotnością, usposabia do czytania poezyj. Jest to romantyzm, nie przeczę, romantyzm jednak, który, jeśli jest szczerzy, nie trąci romantyczną pozą, ma prawo obywatelstwa. Co do mnie, to muszę wyznać, że możliwość czytania — pół głosem — niektórych poezyj Słowackiego, szczególnie *Anhellego*, w pobliżu grobu Słowackiego, dostarczała mi niewysłowionej sensacji, *Anhelli* zaś, czytany w takich warunkach, wydaje się dwakroć poetyczniejszym, dwakroć smutniejszym i rzewniejszym.

Bo *Anhelli*, to symbol i tragedia emigracji, tej emigracji, której znaczna część spoczywa na tym cmentarzu, a nad którą, jak owa Eloë w poemacie, unosi się mistyczny duch poezyi anhellicznej...

— A gdy się zbliżali ku cmentarzowi, *Anhelli* usłyszał hymn skarżących się mogił i jakoby skargę popiołów na Boga. Lecz skoro się jęki podniosły, Anioł, siedzący na szczycie wzgórza, skinął skrzydłami i uciszył je. I trzy razy to uczynił, albowiem po trzykroć rozplakały się mogiły. I zapytał się *Anhelli* Szamana, co to za Anioł z białymi skrzydłami i ze smutną gwiazdą we włosach, przed którym ucichają grobowce... A Szaman, zapatrzwszy się w gwiazdy, rzekł: »A wiesz-li, kto to jest ten Anioł smutny na cmentarzu? Oto się zowie Eloë, a urodził się ze Izy Chrystusowej na Golgocie, z tej Izy, która wylana była nad narodami... Teraz Anielica ta jest wygnaną, jak wy jesteście wygnani, i ukochała mogiły wasze i piastunką jest grobowców, mówiąc kościom, nie skarżcie się, lecz śpijcie!... Przywyknij do niej za życia, albowiem będzie na mogile twojej stapać przy blasku księżyca; przywyknij do głosu jej, abyś się nie obudził, gdy mówić będzie. Zaprawdę, że dla tych, co są smutni, ta kraina piękna jest i nie bezludną«.

Co się tyczy samego grobu Słowackiego, to jest to nie tylko jeden z najpiękniejszych grobów polskich wogóle, ale nadto jest to prawdziwy grób poety, taki, jakiego nie mają nawet tacy sławni poeci, jak Heine lub Musset. Gdy nagrobek Heinego — o kilkadziesiąt kroków od grobu Słowackiego — po prostu woła o pomstę do nieba, tak jest skromny i zaniedbany, a grób Musseta — na Père Lachaise — ma za jedyną ozdobę *un saule au cimetièrre*, ocieniającą konwencyonalne popiersie autora *Nocy październikowej*, grobowiec Słowackiego, położony

przy *Avenue des Carrières*, w 23-ej dywizyi, w jednej z najpiękniejszych alei cmentarza, przynosi zaszczyt Józefowi Reitzenheimowi, którego staraniem podobno został wzniesiony ¹.

Bardzo być może, iż część tego zaszczytu przypada także i młodemu malarzowi francuskiemu, a serdecznemu przyjacielowi Słowackiego, Karolowi Pettinaud Dubos, który zaraz po śmierci autora *Króla Ducha* zajął się wraz z późniejszym arcybiskupem warszawskim, Szczęsnym Felińskim, postawieniem pomnika na mogile Juliusza, a przytem sam narysował model pomnika. »Na odlamku skały stoi krzyż owinięty bluszczem; że jednak nie starczyło funduszów na jednolitą podstawę, wzgórek przeto ułożono z drobnych kamieni, które ząb czasu wkrótce rozsunał« ². Tak zapewniał w r. 1893 ks. arcybiskup Feliński, a słowa jego, lubo pisane w 44 lat po fakcie, mogą w tym razie posiadać większą wagę i znaczenie, aniżeli słynne »czterdzieści i cztery« z Mickiewiczowskich *Dziadów*. Bo nie należy zapominać, że ks. arcybiskup Feliński jest największym autorytetem, gdy chodzi o wszystko, co ma blizki lub dalszy związek ze śmiercią i pogrzebem Słowackiego. Jemu zawdzięczamy, że Juliusza nie pochowano — jak Schillera lub Mozarta — we wspólnej mogile, ale że wielki poeta i marzyciel spoczywa we własnym grobie, który już na wieki pozostanie jego własnością. Oto, co w tej sprawie pisał do mnie ks. arcybiskup Feliński, w swoim pięknym liście z grudnia r. 1894, który później ogłosiłem w *Czasie* krakowskim: »Fundusz pozostawiony przez Juliusza, był bardzo szczupły; żaden z nas dwóch (t. j. Feliński i Pettinaud) dorzucić co doń nie był w stanie, odwołać się zaś nie było do kogo, bo czas naglił; trzeba więc było opędzić koszta pogrzebu tem, co zmarły zostawił. *Przedewszystkiem chodziło nam o to, by go nie złożyć w grobie tymczasowym, wiczyście zaś miejsce, w odległej nawet dzielnicy cmentarza, kosztowało 500 franków, co wyczerpało większą połowę pozostawionej sumy. Trzeba więc było poprzestać na niezmiernie skromnym kondukcie (t. j. na najskromniejszym karawanie 9-ej klasy), zwłaszcza, że i na pomnik grobowy trzeba*

¹) *Polska w Paryżu* (Paryż, 1889), str. 19.

²) Z listu ks. arcybiskupa Felińskiego, cyt. w art. Leopolda Méyeta p. t. *Mogila na Montmartre*. Zob *Gazeta Lwowska*, nr. 193 z d. 23 sierpnia 1896.

było coś zostawić. Poczciwy Pettiniaud obliczył wszystko co do centa, wszystko zamówił i opłacił...¹⁾ Z przytoczonego ustępu, jak nitka z kłębka, da się z łatwością wysnuć cała historia tego Juliuszowego grobu, historia, w której najprzód odegrali zaszczytną rolę »poczciwy Pettiniaud« i Feliński, świadkowie ostatnich chwil poety, a następnie Józef Reitzenheim, pani Becu i — według Aëra — pani Cora Chamfleury, niegdyś Cora Pinar. Felińskiemu i Pettiniaud należy się niewypowiedziana wdzięczność »za te dwa metry ziemi, zakupione na wieczne czasy na cmentarzu Montmartre«²⁾, jeżeli przypomnimy sobie, że Schiller spoczął we wspólnym dole, pochowany przez religijno-cechowe bractwo cechu *krawieckiego*, (co nie przynosi zaszczytu Goethemu), a Mozarta złożono w grobie za 2 złr. 26 ent., w grobie, który, nieodznaczony żadnym krzyżem ani tablicą, przekopano wkrótce, tak, iż dzisiaj nie wie nikt zgoła, gdzie spoczywa nieśmiertelny twórca *Don Juana* i *Requiem*. Pod tym względem jesteśmy szczęśliwsi od Niemców. Szkoda, że i nie pod innymi jeszcze!... Powiada ks. arcybiskup Feliński, że dlatego musiano poprzestać na niezmiernie skromnym pogrzebie, bo »i na pomnik grobowy trzeba było coś zostawić«. Jaki wniosek daje się wyciągnąć z tych słów? Oto, że pomnik, wykonany według rysunku Pettiniaud, ów »ładny choć nietrwały pomnik«, z krzyżem na odłamku skały, oplecionym bluszczem, był pierwszym nagrobkiem Słowackiego, nagrobkiem, który »zab czasu wkrótce rozsunał«, a więc nie tym nagrobkiem, który stoi obecnie: ten jest drugim z rzędu, wzniesionym na miejscu pierwszego; tamten wzniesli Feliński i Pettiniaud, za pieniądze poety samego; ten powstał »staraniem p. Reitzenheima«, który już niejeden podobno pomnik wznosił na cmentarzu Montmartre, a zdaje się nie ulegać wątpliwości, że największa suma, która umożliwiła Reitzenheimowi wzniesienie tego pomnika, pochodziła od matki Juliusza, od pani Becu. W *Życiu matki Słowackiego*, skreślonym przez dobrze poinformowanego Bolesława D... Rz..., a wydrukowanym w rok po śmierci pani Becu, w *Dzienniku literackim* lwowskim z d. 22 lipca 1856 r., czytamy między innymi, co następuje: »Otoczywszy

¹⁾ Zob. w feljtonie *Czasu* z d. 13 lipca 1895 (nr. 158).

²⁾ L. Méyet, *Op. cit.*

się wszelkimi pamiątkami zmarłego syna, ś. p. Salomea Becu w nich tylko żyła, a przesiadając zawsze nad medalionem, wyobrażającym rysy pięknej postaci jego, wykonanym z brązu przez Oleszczyńskiego, zbierała i porządkowała jego listy i pisma, odczytywała je... lecz nigdy o nim nie mówiła. Kiedy po zmarłej ciotce swojej odziedziczyła wraz z bratem swoim, Teofilem Januszewskim, piękną majątność Ubień, niedaleko Lwowa położoną..., otrzymawszy paszport, pojechała do Galicji. We Lwowie przebyła zimę, a mając paszport, powzięła zamiar zobaczyć grób syna... Udała się więc do Paryża, i tam, pozbierawszy wszystkie pozostałe po nim pamiątki i *postawiwszy mu wspaniały na grobie pomnik*, kazała w wielu egzemplarzach zdjąć z niego dagierotyp, dla rozdania na pamiątkę krewnym i przyjaciółom. Wróciła do Krzemieńca i tam do końca życia swego zamieszkała...¹ Jak z tem pogodzić wiadomość, że pomnik Słowackiego wzniesiono staraniem p. Reitzenheima? Zważywszy, że Józef Reitzenheim w r. 1848 poznał się z panią Becu we Lwowie¹ i że pani Becu, kiedy po śmierci Julka przyjechała do Paryża, z pewnością komunikowała się z Reitzenheimami, w których domu Słowacki bywał tak częstym gościem: jest się upoważnionym do przypuszczenia, że pani Becu dała pieniądze, potrzebne na wzniesienie grobowca, a Reitzenheim, jako specjalista od grzebania emigrantów, zajął się wzniesieniem tego pomnika². Bo trudno przypuścić, aby pani Becu tak długo bawiła w Paryżu, dopóki nie był gotowy pomnik na grobie Juliusza, co z pewnością trwało dość długo. Owe dagierotypy zaś, o których wspomina Bolesław D... Rz..., mógł z polecenia pani Becu kazać porobić Reitzenheim. Wszystko to jest bardzo naturalne: tak naturalne nawet, że już mniej prawdopodobną wydaje się romantyczna legenda, która aż do ostatnich czasów jeszcze krążyła wśród emigracji paryskiej, a spisana przez Aëra (Rzązewskiego) w jego niefortunnej powieści z życia Słowackiego p. t. *Miłość poety*; głosi ona, że kiedy miano wznieść nagrobek dla Słowackiego, pani Chamfleury

¹) Zob. Listy Słowackiego, II, 202.

²) Według czyjego rysunku? To pytanie musi pozostać bez odpowiedzi. Może Reitzenheim poprosił malarza Pettinaud, ażeby narysował model pomnika? Bądź co bądź, jest to przypuszczenie jedynie, ale przypuszczenie prawdopodobne...

«hojnym sypnęła datkiem». Tą panią Chamfleury była owa poetyczna Cora Pinard, która się tak namiętnie kochała w Słowackim w r. 1832. Jest to bardzo piękna legenda, cóż, kiedy mimowoli rodzi się zapytanie: w jakim czasie mogła pani Chamfleury »hojnym sypnąć datkiem»? Czy zaraz po śmierci Juliusza, t. j. zaraz po pogrzebie, na którym — jak głosi ta sama legenda — widziano ją »zakwefioną«, idącą za skromnym karawanem. Gdyby tak było istotnie, toby może Feliński i Pettinaud nie rozporządzali tak małym funduszem, że »nie starczyło na jednolitą podstawę, lecz musiano ułożyć wzgórek z drobnych kamieni...« Albo ów »hojny datek«, którym sypnęła pani Chamfleury, nie musiał być tak »hojnym«, jak chce legenda, albo pani Chamfleury »sypnęła« nim później dopiero, powiększając fundusz pozostawiony przez panią Becu. Ostatnie przypuszczenie nie jest nieprawdopodobne, bo ruchliwy Reitzenheim bardzo łatwo mógł dotrzeć do pani Chamfleury. Jest to prawdopodobniejszem nawet, niż legenda o bytności »zakwefionej« Kory na pogrzebie poety¹⁾, jeśli się zważy, że pani Chamfleury mieszkała w Passy, gdzie z trudnością mogła się dowiedzieć o śmierci Słowackiego. Chybabyśmy przypuścili jakiś nadzwyczajny przypadek, przypadek w rodzaju tego, który sprawił — jak chce Władysław Mickiewicz — że autor *Grażyny* dowiedział się o śmierci Juliusza dopiero nazajutrz po pogrzebie.

W każdym razie, jakiegokolwiek okoliczności towarzyszyły wzniesieniu pomnika na grobie Słowackiego, pomnik jest, a odnowiony w r. 1894 »staraniem Komisji opieki nad grobami polskimi w Paryżu« (co zbyt szumnie, mojem zdaniem, zaznaczono na białej specjalnej tablicy, zajmującej cały przód grobowca), najzupełniej wytrzymuje porównanie z innymi grobami poetów, nie wyłączając grobów Shelleya i Keatsa, od których jest znacznie piękniejszym i ozdobniejszym.

Na szerokiej podstawie, podobnej do sarkofagu, wznosi się rodzaj skalistego wzgóreczka poukładanego z wielkich kamieni, a zakończonego dużym, szerokim i gładkim krzyżem kamiennym. Na skale, pod krzyżem, leży kilka grubych książek, do połowy przesłoniętych wieńcem laurowym, który znów przesłania poetyczną harfę, pewno ta sama o której jest mowa w *Lilli Wenedzie*. Za harfą, w dziupli skalnej, siedzi sowa,

¹⁾ *Tygodnik Ilustrowany* z r. 1885.

symbol mądrości; o harfę zaś, z prawej strony, opiera się kragły medalion z pięknym profilem poety, wykonanym przez Olewczyńskiego. Po skale wije się bluszcz, wyglądający z za medalionu. Poniżej leży, niby od niechcenia rzucony na skałę, zwój papieru, do połowy rozwinięty, a na nim widnieją tytuły niektórych utworów Słowackiego, *Anhelli* i *Bogarodzica* między innymi. Na jednym z głazów, najbardziej wysuniętym na przód pomnika, czytamy:

Jules Słowacki
Né le 25 Août 1809
Décédé le 3 Avril 1849.

Jak przystało na wielbiciela i biografę Słowackiego, mogiłę tę, zawsze obłożoną świeżymi wieńcami i spowitą w bluszcz, odwiedzałem bardzo często; a przechadzając się po długiej cieniściej alei, przy której, po prawej stronie, w cieniu olbrzymiej lipy, spoczywa ów wielki poeta-marzyciel, najczęściej doświadczałem tego samego uczucia, któremu on dał tak rzewny wyraz w początkowych strofach *Grobu Agamemnona*:

Serce zasnęło, lecz śni. Jak mi smutno!
O, jak daleko brzmi ta harfa złota,
Której mi tylko echo wiecznie słyhać.

Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie
Przed nadgrobowem pochowane słońcem,
Jakby mi chciały nakazać milczenie,
Sykają. Straszny jest rapsodu końcem
Owo sykanie, co się w grobach słyży...

Tak więc, to los mój, na grobowcach siadać
I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych...

.
.
.

Naprzeciwko grobu Słowackiego, po drugiej stronie tej samej alei, znajduje się grób Izydora Sobańskiego. Jest to grobowiec w formie rzymskiego sarkofagu. Poczerniały od starości, bardzo zaniedbany, otoczony zardzewiałymi i poszczerbionymi sztachetkami z kutego żelaza, odznacza się tem jedynie, że nosi lapidarny napis: *La XVI année de l'émigration polonaise*. Jest coś Dantejskiego w tych kilku słowach... Niemniejszą wymowę posiada proste zestawienie dwóch dat, że

mąż, który spoczywa pod tym kamieniem, urodził się w r. 1796 *en Pologne*, umarł zaś *à Paris* w r. 1847. Dziwna powaga i smutek wieją z tych omszałych liter...

Daleko piękniejszym pod względem zewnętrznego wyglądu, a naprawdę poetycznym, jest grób Mieczysława Kamińskiego, stanowczo najefektowniejszy ze wszystkich grobów polskich na Montmartre. Grób to żołnierza poległego na polu chwały.

Syn pułkownika Mikołaja Kamińskiego, serdecznego przyjaciela Słowackiego, a sławnego apostaty Towianizmu, był to młodzieniec genialnych zdolności. Choć mógł zostać poetą, bo miał pierwszorzędną talent literacki (czego dowodzą jego papiery pośmiertne), wybrał zawód żołnierza, bo wolał pójść śladem swego dzielnego ojca-pułkownika, który zdobył sobie krzyż *virtuti militari*, oraz medal włoski *al valore militare*. Urodzony we Francji, jako syn emigranta, wstąpił, jako wolontaryusz, do legii cudzoziemskiej, a kiedy w r. 1859 wybuchła wojna włoska, poszedł walczyć za wolność i niepodległość Włoch. Poszedł i zginął! Śmiertelnie raniony w bitwie pod Magentą, umarł w Medyolanie, w szpitalu, na rękę ojca. Ten ostatni, oplakując zgon swego jedynego syna-bohatera, napisał po francusku wzruszającą książeczkę p. t. *La mort d'un soldat*, w której opowiedział koleje życia Mieczysława, a zarazem ogłosił kilka fragmentów z jego pism, także pisanych po francusku; albowiem taka już jest dola dzieci emigrantów, że choć się uważają za Polaków, po polsku mówią źle albo wcale, a dobrze władają tylko językiem francuskim. I Mieczysław Kamiński, choć w nim dusza i serce były polskie, wysłowić się i wypisać umiał tylko po francusku. Wszystko za to, co pisał, było o Polsce, o niedoli i smutkach emigracyi, o smutkach zwłaszcza, prawie tragicznych, dzieci emigrantów, zrodzonych na wygnaniu. Niektóre myśli, w tych pismach zawarte, a przytoczone w pomienionej książeczce (przeznaczonej, jako *nagroda pilności* dla uczniów szkoły batignolskiej), są nadzwyczaj głębokie i trafne, a wyrażone z takim rzewnym liryzmem, że tylko poeta może tak wzruszać swojemi rozmyślaniami.

Grobowiec tego młodego żołnierza-poety, który mu wystawili rodzice, dowodzi, jak go kochali. Na podstawie kamiennej, obrosłej bluszczem, umiera młody żołnierz francuski.

Jest to prześliczny odlew brązowy, prawdziwe dzieło artysty. Jest to portret Kamińskiego. Na podstawie, dookoła, znajduje się szereg napisów polskich i francuskich. *Mieczislas Kamiński, jeune Polonais, Soldat volontaire français, Tué à Magenta, Fils unique des parents exilés.* — Przyjm, Panie, trud, boje i życie nasze w ofierze... *Je meurs calme, polonais et chrétien. Adieu rêves, illusions, vanités!!! (Ses derniers mots).* Za pomnikiem, w obrębie kamiennego ogrodzenia, stoi piękny krzyż z białego marmuru, pod nim zaś, na kamiennem wzniesieniu, widać prawdziwe arcydzieło z śnieżno-białego alabastru: na pięknej poduszce, otoczona wieńcem wawrzynu, leży prześliczna głowa zmarłego młodzieńca, z orderem *Legii honorowej* na piersiach. Jest to wierna podobizna Kamińskiego, podobizna, będąca — dla mnie przynajmniej — wymarzoną głową Hamleta. Dokoła stoi mnóstwo doniczek i wazonów z kwiatami, pod którymi spoczywają trzy trumny: syna i rodziców. Z napisów, wyrytych na tylnej ścianie pomnika, okazuje się, że rodzice przeżyli swego jedynaka: ojciec, *heureux d'avoir réjoint son fils*, zmarł w styczniu r. 1873, jako 74-letni starzec (ur. 6 grudnia 1799), matka zaś, *née comtesse Potocka*, zmarła dopiero w maju 1894 r., *dans sa 84-me année.*

W tej samej alei znajduje się piękne mauzoleum marmurowe, będące grobem rodziny Sapiehów. Jest to najbogatszy z grobów paryskich polskich.

Bez porównania skromniejszym jest grób Bohdana Zaleskiego, spoczywającego w gronie swoich najbliższych, pomiędzy bratem, Józefem Janem Zaleskim, majorem wojsk polskich, zmarłym w r. 1864, i żoną, Zofią z Rosengartenów, zmarłą d. 23 lutego 1868 r. »w 44 lecie życia«. Zwykły to grób rodzinny: patrząc nań, całkiem się nie ma wrażenia, że pod tym żelaznym, bardzo niegustownym krzyżem ażurowym, zdołającym banalny pomniczek, spoczywa poeta, tak wysoko ceniony za życia, tak uwielbiany przez Mickiewicza, a tak lekceważony przez Słowackiego.

Kiedym stał nad grobem tego »lirnika Ukrainy«, wsparty o żelazne sztachety, i kiedym czytał na białej marmurowej tabliczce, ujętej w żelazne ramki, wypisane czarnymi literami:

Bohdan Zaleski
1802—1886.

mimowoli przyszło mi na myśl: czyj sąd ostoi się przed bezwzględnym wyrokiem czasu: Słowackiego czy Mickiewicza? Chyba Słowackiego...

Z pomiędzy grobów t. z. *zbiorowych*, których na cmentarzu Montmartre znajduje się aż dziesięć, a pod którymi spoczywa do trzydziestu trumien pod każdym, najpiękniejsze są dwa, wzniesione przez marszałka Stępowskiego: oba kamienne, z czasem pomalowane olejno. Jeden jest w postaci wysokiego katafalku, na którym, wsparta na kaskach, hełmach, armatach, sztandarach, bębnach, karabinach, rzymskich pancerzach i tarczach, stoi ogromna trumna, cała pokryta nazwiskami samych wojskowych; drugi ma kształt greckiej kapliczki, a wśrodku niej, pomiędzy kolumnami, widać gruby krzyż gotycki. Na każdej z kolumn tego pomnika, wzniesionego w r. 1861, wyryto po jednym nazwisku, a są to wszystko nazwiska ludzi niepospolitych, zasłużonych krajowi, posłów na sejm, dzielnych obywateli, uczonych i kapłanów. Na dachu widać orła... Po bokach kilka napisów łacińskich i jeden francuski... Aleja, przy której wznoszą się te dwa pomniki, nazywa się od nich *Alée des Polonais*.

Zaraz za nimi, w tej samej 17 dywizyi, na samym początku t. z. *Alée des Gardes*, wznoszą się dwa inne groby zbiorowe: jeden w formie okrągłej kolumny, strzaskanej pośrodku, na której widnieje napis pod krzyżem: *Memoriae Polonorum*; drugi w formie obelisku, wspartego na kulach armatnich, a zakończonego niewielkim krzyżykiem. Mnóstwo nazwisk, pomiędzy którymi spotyka się i znane bardzo, pokrywa wszystkie boki obu pomników... Joachim Lelewel także jest pochowany na cmentarzu Montmartre: spoczywa w grobie zbiorowym, najstarszym ze wszystkich grobów tego rodzaju. Grobowiec ten, założony w r. 1839, fundacyi jen. Gawrońskiego, przedstawia się w formie czworoboku, ozdobionego herbami polskimi, oraz szeregiem nazw miejscowości, jak Grochów lub Ostrołęka, będących widownią głównych bitew w roku 1831... Co się tyczy Lelewela, to o jego schyłku życia i śmierci tak pisze w swych wspomnieniach Edward Siwiński: »Lelewel mieszkał w Bruskelli, gdyż pobyt w Paryżu był mu wzbronionym. Gdy popadł w ciężką a już ostatnią chorobę, przyjaciel jego a towarzysz z uniwersytetu wileńskiego, Dr. Seweryn Gałęzowski, (który, zrobiwszy znaczny majątek w Meksyku, osiadł

w Paryżu) zajął się natychmiast Lelewalem, uchylene zakazu pobytu u rządu wyjednał, sam gasnącego Lelewela do Paryża sprowadził, w mieszkaniu swoim umieścił i najtroskliwszem staraniem otoczył... Pochowano Lelewela w jednym ze wspólnych polskich grobów, bo wszyscy ci mężowie, co w nich spoczywają, jak byli towarzyszami dobrowolnego tułactwa, tak i w mogile towarzyszami pozostać pragnęli¹⁾.

¹⁾ *Gazeta Warszawska*, nr. 53 z r. 1897. I na cmentarzu Montparnasse znajduje się kilkanaście grobów polskich; z tych dwa są zbiorowe. W pierwszym, dawniejszym, spoczywa major Straszewicz; w drugim zaś, założonym przez *Komisję Opieki nad grobami polskimi*, spoczywają: Leonard Rettel, Cypryan Norwid, poeta i w. i. Na tymże cmentarzu spoczywa sławny generał Mierosławski, który, jeżeli położył jaką zasługę, to chyba tę tylną, że natchnął Klaczkę do napisania nieporównanego *Katechizmu Nierycerskiego*... W każdym razie spoczywa pod ładnym nagrobkiem, ozdobionym popiersiem dłuta Cypryana Godebskiego. Tutaj też, w grobie Lewenhardów, spoczywa Henryka Pustowojtow, »pełna odwagi, energii i poświęcenia«, zmarła w r. 1881. Nieopodal znajduje się grób Cypryana Godebskiego.

III.

DWIE PRZECHADZKI PO PARYŻU.

1. Po lewym brzegu Sekwany.

Szedłem brzegiem Sekwany, po t. zw. *Quai des fleurs*. Jedna to z najbardziej malowniczych ulic Paryża, a nawet dziś się trzeba, że żadnego z malarzy paryskich, których przecież mieszka tu około 20.000, nie uderzył przepyszny obraz, jaki się stąd roztacza przed oczyma, gdy np. idąc od strony katedry *Notre Dame*, przystanie się na *Quai des fleurs*, o jakich 150 kroków od t. zw. *tour carrée*, która, zwana także *la tour de César*, stanowi róg średniowiecznego Pałacu Sprawiedliwości. Jako widok, jako pejzaż, jest to arcydzieło w swoim rodzaju, a przypatrując mu się — jak to ja czyniłem w tej chwili — żałuje się, gdy się jest literatem, że się nie jest malarzem.

Jeśli wybrzeże to nazwano *Quai des fleurs*, to dlatego, ponieważ w pewnych godzinach odbywa się na niem targ kwiatów, jeden z największych w Paryżu. Cały szeroki trotoar, ciągnący się wzdłuż granitowej balustrady bulwaru, bywa wtedy na bardzo znacznej przestrzeni zastawiony tysiącami doniczek z najróżnorodniejszymi kwiatami, krzewami etc., co, jako impresjonistyczna orgia kolorów i woni, stanowi prawdziwą rozkosz dla wzroku. Otyłe i typowe postacie niemłodych przekupek, nic niemających wspólnego z poetycznymi «kwiaciarkami» z pism illustrowanych, grają rolę prozaicznego *sztafażu* na tle tej wspaniałej fantazyi Flory, a to samo trzeba powiedzieć i o kupujących... Po drugiej stronie ulicy, wzdłuż prze-

ciwległego chodnika, ciągnie się przepyszny renesansowy front Pałacu Muncypalnego, w głębi zaś, na *Quai de l'horloge*, pełnej ulicznego ruchu, szarżeje posepny gmach Pałacu Sprawiedliwości. We frontowej ścianie poważnej, kwadratowej wieży, stanowiącej narożnik tej najstarszytniejszej ze wszystkich budowli paryskich, mieści się sławny zegar Walezego, a zegar ten, w wielu miejscach złożony, odcinając się od ciemnego tła poczerniałych murów, pstrzy się nadzwyczaj efektowną plamą na ich tle. Za zegarem, za całym szeregiem okien, wychodzących na Sekwanę, widać dwie okrągłe baszty średniowieczne, zakończone szpiczastymi dachami w formie stożków. Archaiczność tych ponurych baszt, zdobnych jedynie kilkoma niewielkimi i okratowanymi oknami więziennymi (do dziś dnia znajduje się w nich więzienie *de la Conciergerie*) stanowi nadzwyczaj oryginalny kontrast z nowoczesnym charakterem poblizkiego krajobrazu: na prawo wije się Sekwana, poprzerynana szeregiem mostów, pod którymi co chwila przepływają statki parowe, w głębi zaś, po drugiej stronie rzeki, ciągnie się pyszna fasada Louvre'u. Jeszcze dalej zielenią się drzewa Ogrodu Tuileryjskiego, a z poza nich wyzierają wyższe piętra i dachy domów Rue de Rivoli. Na moście *du Châtelet*, którego łagodna arkada przecina cały obraz, krzyżuje się mnóstwo omnibusów i dorożek, a wszystko kąpie się w słońcu, w potokach światła i ciepła.

Minąwszy targ kwiatów, skorom się znalazł na *Quai de l'horloge*, nie omieszkałem się przyjrzeć zegarowi, który, wmurowany za panowania Henryka III Walezego, gdy ten był także królem polskim, tem jest interesujący dla nas, Polaków, że go oprócz burbońskich lilij zdobią także herby Polski i Litwy.

Historja tego zegaru, słusznie uchodzącego za jedną z największych ozdób i osobliwości Paryża, jest następująca. Pierwszym twórcą jego — jak utrzymuje Auguste Vitu — był artysta *niemiecki*, Henryk de Vicposa, któremu Karol V zlecił wykonanie podobnego czasomierzu. Był to pierwszy zegar w tym rodzaju, jaki widziano w Paryżu. Istnieje podanie, że na uderzenie tego zegaru w d. 24 sierpnia 1572 r. rozpoczęła się rzeź protestantów. Za Henryka III, którego inicjał *H* widnieje pod herbami Francji i Polski, rzeźbiarz Germain Pilon nadał zegarowi temu charakter dzieła sztuki w stylu najwytworniej-

szego renesansu francuskiego. W roku 1852 zostało to arcydzieło zegarmistrzowskiego i ornamentacyjnego kunsztu odrestaurowane przez dwóch znanych architektów, pp. Duc i Domery, którzy mu przywrócili wygląd pierwotny, ściśle trzymając się rysunków Piona.

Jest to z pewnością jeden z najpiękniejszych, a bezsprzecznie najoryginalniejszy ze wszystkich zegarów wieżowych. Pod okrągłym daszkiem w formie łuku, na tle niebiesko-turkusowej ściany, gęsto usianej złotymi liliami, widać okrągły cyferblat turkusowego koloru, otoczony misternymi ozdobami architektonicznymi, przeważnie ze złoczonego brązu. Całość robi wrażenie pstrej mozaiki, złożonej z różnokolorowych marmurów i majolik. Wskazówki, zakończone białymi kwiatami lilii, są złoczone; cyfry rzymskie, oznaczające godziny — kolorowane. Z boków, po obu stronach zegaru, widać dwie prześliczne statuetki alegoryczne¹⁾: jedna wyobraża Siłę, druga — Prawo; pierwsza trzyma w ręku tablicę z napisem łacińskim: *Sacra Dei celerare pius regale time jus*; druga dzierży wagę i miecz. Powyżej nich, u góry, widać tarczę i koronę królewską: na tarczy, podzielonej na dwie równe połowy, po jednej stronie białą się lilie Burbonów, po drugiej widać orła i pogoń. Poniżej znajduje się napis łaciński, pióra Passerata: *Qui dedit ante duas, triplicem dabit ille coronam*. Pod zegarem, na tablicy z czarnego marmuru, czytamy:

Machina quae bis lex tam juste dividit horas
Justitiam servare monet legesque tueri.

Wysłuchawszy, jak na zegarze wybiła godzina dziesiąta, raz jeszcze rzuciłem okiem na herby Francji i Polski, »ożenione« na jednej tarczy, poczem zwróciłem się w kierunku fontanny świętego Michała, za którą ciągnie się sławny *bulwiarz* t. j. *Boulevard Saint Michel*. Przechodząc tym wspaniałym bulwarem, będącym główną arterią w ruchliwym organizmie *Quartier Latin*, mimowoli przypomniałem sobie lata 1890 i 1891, w ciągu których mieszkałem tutaj, jako student Sorbony i *Collège de France*, i tak się dałem zaabsorbować tym wspomnieniom, że nie spostrzegłem się nawet, jak minąwszy sławne *Café Vachette*, w którym niegdyś bywałem stałym gościem, znalaz-

¹⁾ Odtworzone według rysunku Piona przez p. Toussaint.

lem się na pięknej *Rue des Ecoles*, przed żelaznymi sztachetami *Collège de France*, przy pomniku Claude Bernarda.

Wszedłszy na piękny dziedziniec Kollegium, na którego bocznych ścianach, na długich marmurowych tablicach wyryto nazwiska wszystkich profesorów tej najwyższej instytucji naukowej francuskiej — w tej liczbie i naszego Mickiewicza — trudno nie pomyśleć o nim, który tędy od roku 1840 do 1844 przechodził po parę razy na tydzień. Jest to dziedzińczyk niewielki, w najszlachetniejszym stylu renesansowym, z marmurową kolumnadą pośrodku, przed którą wznosi się gustowny pomnik założyciela tej świątyni wiedzy. W głębi, za kolumnadą, bieli się jeszcze kilka alegorycznych figur — wszystkie z najcudniejszego alabastru — wszystko zaś, jako całość, oglądane z pod muru Nowej Sorbony (której wspaniały renesansowy gmach ciągnie się po drugiej stronie ulicy), odznacza się taką grecką harmonią linii — zwłaszcza w oświetleniu słonecznym — że malarzowi np. mogłoby posłużyć za przepyszne tło do obrazu w rodzaju *Szkoły Ateńskiej* Rafaela.

...Ze wszystkich sal wykładowych w *Collège de France*, dla nas, Polaków, największy urok posiada ta właśnie, w której przed laty wykladał Mickiewicz, a w której obecnie, we wklęsłej, półokrągłej niszy, znajdują się trzy medaliony pamiątkowe, z popiersiami Mickiewicza, Micheleta i Quineta. Przypatrując się im, mimowoli myślałem o tej epoce; kiedy tu rozlegała się wymowa autora *Dziadów*; kiedy Mickiewicz, w surducie brązowym, w czarnym halsztuku na szyi, ze swoją dużą a już szpakowatą czupryną, stał za tą podłużną i niską katedrą; kiedy tę niewielką, źle oświetloną salkę zapełniał kwiat inteligencji francuskiej i polskiej; kiedy w tych ławkach zasiadali tacy ludzie, jak książę Adam Czartoryski, Michelet, Quinet, George Sand, Fr. Chopin (który zawsze po wykładzie odwoził panią Sand do domu w swoim powozie), Juliusz Słowacki, Feliks Wrotnowski (który notował każde słowo profesora); i kiedy te prelekcje poruszały całą opinię paryską i emigracyjną, oburzając jednych, jak OO. Zmartwychwstańców np., zachwycając drugich, np. Micheleta i Quineta. Wnosząc z zewnętrznego widoku tej sali (należącej do najmniejszych w *Collège de France*) nie trudno przypuścić, że w czasach, kiedy w niej rozlegała się litewsko-emigrancka francuzczyzna Mickiewicza (od której podobno uszy puchły Francuzom), wszystko tu musiało wy-

glądać tak samo zupełnie, jak obecnie, z tą różnicą, że ci, których profile dzisiaj ogląda się na medalionach, wtedy na tem samym miejscu stawali żywi, w całej aureoli tej wielkości, jaka ich otaczała w oczach natłoczonego audytorjum.

Tymczasem upłynęły lata, a oni spoczęli w mogile. W proch rozsypały się ich ciała, lecz nie zaginął »siew szlachetnych myśli«, które tu głosili z tej katedry; dowodem zaś, że myśli te, nacechowane podniosłym liberalizmem, zapadły w serca następnego pokolenia, są te medaliony, które tu wmurowano przed 25-ciu laty.

Było to dnia 12 kwietnia 1884 roku. Niewielka salka zapełniła się wybranym tłumem weteranów Kolegium, literatów różnych narodowości, członków Akademii i Instytutu, profesorów Sorbony etc. Z Polaków byli obecni: rodzina Adama Mickiewicza, Seweryna Duchńska, Gadon i kilku innych. Zebrano się na uroczystość odsłonięcia medalionów Mickiewicza, Micheleta i Quineta, które, świeżo wmurowane w górnej części niszy, zakrywała ciemna zasłona. Tym, który ją ściągnął w odpowiedniej chwili, był Ernest Renan, godny następcą wielkiej trójcy profesorów. Mowa jego, wypowiedziana podczas tej uroczystości, należy do najwspanialszych arcydzieł nowoczesnej wymowy (co można z równą słusznością powiedzieć i o jego mowie na pogrzebie Mickiewicza). » *Nous resterons incorrigibles, nous Vous le promettons, illustres Maitres!* » mówił między innymi, obiecując — imieniem całej generacji — zawsze wstępować w ślady tych Mistrzów, których pamięć święcono w danej chwili. Słowa podobne, mówione z uniesieniem i dobrą wiarą, musiały czynić wrażenie. To też (jak opowiada korespondent *Kłosów*, opisujący tę uroczystość) »widok sali był elektryzujący, wrażenia zaś, jakich obecni w niej, a szczególnie ziomkowie Mickiewicza, doznawali, trudne są do oddania słowami«¹⁾.

Z *Collège de France* ma się bardzo niedaleko do kościoła św. Seweryna. Świątynia ta, jedna z najstarożytniejszych w Paryżu, należąca do najpiękniejszych gotyckich nad Sekwaną, znajduje się przy ulicy św. Seweryna, ukryta wśród brudnych, wązkich i ciemnych uliczek, w otoczeniu starych 6-piętrowych kamienic, zamieszkanych przez ludność — złodziejską. Dla czego złodzieje paryscy upodobali sobie tę dzielnicę właśnie

¹⁾ *Kłosy* z d. 22 maja 1884 r.

powiedzieć nie umiem; co pewna, to, że najczęściej kradzionych rzeczy odnajduje się — przy pomocy policji — w tych niechlujnych zaułkach w pobliżu kościoła św. Seweryna.

W kościele tym, cieszącym się szczególnymi względami Towiańczyków, znajduje się — w lewej nawie — kopia obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej, malowana przez Walentego Wańkowicza, a w dniu 8 grudnia 1841 r. wmurowana z polecenia Mistrza ich, Andrzeja Towiańskiego »w jednej z kaplic za wielkim ołtarzem«.

Tegoż dnia wyszło pierwsze pismo Towiańskiego, w którym »Mistrze«, zwracając się do emigracyi, zapewniał swych braci-wygnanców, iż »przenajświętsza Królowa Korony Polskiej podobala sobie w starożytnej opuszczonej kaplicy, w stronie najmniej okazałej Paryża, i tam w cudownym obrazie wileńskim Ostrobramskim ku ratunkowi ludu swojego pospiesza«. Charakterystyczny w tej mierze jest list Stefana Witwickiego do ks. Edwarda Duńskiego, pisany z Fontainebleau d. 16 czerwca 1842 r., list, w którym między innymi znajduje się taki ustęp: »Mnie bardzo to na sercu, żeby proboszcza St. Severin objaśnić, żeby przez niewiadomość nie szedł z nimi (t. j. Towiańczykami) niejako do spółki; stosunki, jakie Towiański z tym kościołem zawiązał, są rzeczą najniebezpieczniejszą; bez nich np. ani Falkowski, ani drudzy, którzy, jak on, uczęszczali do św. sakramentów, nie wdaliby się w Towiańszczyznę... Dziś proboszcz St. Severin, a przez niego władza kościelna w ogólności, staje się niejako uczestnikiem i współpracownikiem wszystkiego, co Towiański robi. Niechby proboszcz wiedział aby jedną z tych herezji, jakie on głosi, a zobaczyliby, jakby się im postawił; czy przyjmowałby np. obraz N. Panny od człowieka, który twierdzi, że N. Panna nie była kobietą i t. p.« Tymczasem, niezależnie od tego oburzenia w stronnictwie *katolików* emigracyjnych, Towiańczycy, z Mickiewiczem na czele, modlili się w kościele St. Severin, a klęcząc przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej, zapominali w swej mistycznej ekstazie, że ten »cudowny« obraz jest kopią tylko, nie oryginałem¹⁾.

W roku 1866 odrestaurowano i przerobiono część ko-

¹⁾ Zob. ks. Paweł Smolikowski, *Historja Zgrom. Zmartw. Pańskiego*, IV, 48, 49.

ścioła św. Seweryna, tę właśnie, która się znajduje za wielkim ołtarzem. Stąd poszło, że musiano poruszyć płótno Wańkowicza, co pewno równało się wielkiej przykrości dla Towiańczyków. Jakoż umieszczono je w ścianie jednej z bocznych naw. Niestety, część świątyni, gdzie się obecnie znajduje rzeczony obraz, jest tak ciemną, że chciałoby się tu widzieć przynajmniej lampę niegasnącą, której słaby płomyk oświetlałby te zbolale rysy »Panny świętej, co jasnej broni Częstochowy i w Ostrej świeci bramie«. Z drugiej strony, kto wie, czy nie dobrze się stało, że się to malowidło ogląda w takim mroku: może oglądane w jasnej kaplicy, w świetle promieni słonecznych, zabarwionych przez różnokolorowe szyby, nie czyniłoby tak głębokiego wrażenia, jak teraz, w tej mrocznej nawie, w której wylaniając się z cienia, ma w sobie coś dziwnie tajemniczego, a przytem, jeśli mu się przypatrywać z pewnego punktu, czyni takie wrażenie, jak gdyby było przesłonięte krepą (jak ów przepiękny Chrystus w katedrze na Wawelu, tak świetnie przeniesiony na płótno przez Wyczółkowskiego). Pod obrazem znajduje się napis: *O Pani, ku ratunkowi naszemu pospiesz się!* w górze zaś, pośrodku gotyckiego ostrołuku, widać dwie tarcze z herbami Polski i Litwy. Samo płótno zajmuje środkową część pięknego dębowego tryptyku w stylu gotyckim. Dokoła, na kamiennych ścianach, widać mnóstwo marmurowych tabliczek z napisami: są to *vota* i podziękowania różnych osób — Polaków i Francuzów — które doznały opieki i łaski tej litewskiej Bogarodzicy.

Z kościoła św. Seweryna, w którym podobno do dziś dnia modli się co niedziela wielu Polaków, udałem się w kierunku Panteonu, ale jeżeli się udał w tamtą stronę, to dlatego wyłącznie, żeby raz jeszcze przyjrzeć się zewnętrznemu frontonowi gmachu *Biblioteki Św. Genowefy*. Po *Bibliothèque nationale* jest to największa z bibliotek paryskich, gmach zaś, w którym się mieści, tem jest ciekawy, że na jego ścianach, zamiast ozdób architektonicznych, znajduje się szereg ogromnych tablic, na których wykuto nazwiska wszystkich największych poetów i uczonych całego cywilizowanego świata, począwszy od Homera i Hezyoda, a skończywszy na nowoczesnych poetach i filozofach francuskich. Byłem ciekawy, czy też tu znajdzie jakie nazwiska polskie. Znalazłem dwa: Konarskiego i Naruszewicza. Tyłko dwa! Odczytując je, nie mogłem zrozumieć, dlaczego, skoro pamiętano o Naruszewiczu i Konarskim, zapomniano

o Koperniku, o Kochanowskim, o Sarbiewskim, o Mickiewiczu, o Sniadeckich. Bądź co bądź, trzeba być zadowolonym i z tego co jest...

Nie zawsze jest to dobra zasada i dlatego nie trzymał się jej nigdy Hotel Lambert, odkąd w nim, od r. 1843 począwszy, zamieszkiwał książę Adam Czartoryski.

Jest to starodawny pałac arystokratyczny. Wzniesiony w r. 1640 według planów słynnego królewskiego architekta Le Veau, dla pierwszego prezydenta parlamentu francuskiego za Ludwika XIV, Nicolas Lambert di Thorini (stąd nazwa jego *Hotel Lambert*), aż po dziś dzień uchodzi za jedno z arcydzieł architektury XVII wieku: nie pod względem zewnętrznym, gdyż na zewnątrz jest dosyć skromny i nieokazały, ale jako wnętrze, jako wspaniałe salony. Jako taki, jest ciekawy nie tylko dla nas, ale i dla Francuzów, dla których nadto przedstawia interes jeszcze, jako dawne mieszkanie Woltera. Nas interesuje przedewszystkiem, jako arka przymierza — jeśli się tak wyrazić wolno — pierwszej t. z. *starej* emigracji, jako stała siedziba emigracyjna Adama i Władysława Czartoryskich.

Poszedłem obejrzeć ten pałac, a idąc ku niemu, myślałem o doniosłej roli politycznej, jaką Hotel Lambert odegrywał aż do roku 1864. Możliwyby całe wielotomowe dzieło historyczno-dyplomatyczne napisać na ten temat... To bowiem, co o Hotelu Lambert pisze St. Koźmian w swojej *Rzeczy o roku 1863*, jest zaledwie jednym rozdziałem z tej nienapisanej książki. Było dwóch ludzi, którzy mogli napisać historię Hotelu Lambert, a nawet nosili się z myślą napisania czegoś w tym rodzaju; to Waleryan Kalinka w epoce *Wiadomości polskich*, kiedy marzył o napisaniu *Historji emigracji* (nad którą w tej chwili pracuje Ludomir Gadon), i Bronisław Zaleski, autor niedokończonego a zamierzonego w wielkim stylu *Żywota Adama Czartoryskiego*. Niestety, Kalinka poniechał swego pierwotnego zamiaru, a Bronisław Zaleski zmarł przedwcześnie... Był jeszcze jeden człowiek, któryby taką *Historję Hotelu Lambert* mógł napisać tak, jakby na to zasługiwała: to Julian Klaczko. Niechby ją był nawet napisał po francusku... Tak, jak Klaczko mógłby napisać podobne *étude de diplomatie contemporaine*, już go nikt nie napisze nigdy, choćby dlatego tylko, że znakomity autor *Wieczorów florenckich* sam był *magna pars* w dziejach tego pałacu...

Minąwszy żelazny *Pont de la tounnelle*, skąd roztacza się jeden z najwspanialszych widoków na Sekwanę i tylną część katedry Notre Dame, nie spostrzegłem się nawet, gdy się znalazłem na wyspie św. Ludwika, na ulicy *Saint-Louis-en-l'Île*, przed poważną bramą Hotelu Lambert, z której wychodził właśnie p. Józef Korzeniowski ¹⁾. Dowiedziawszy się, że przyszedłem obejrzeć tę emigracyjną siedzibę Czartoryskich, był tyle łaskaw, że odrazu sam ofiarował mi się na *cicerone'a*. Zaczęliśmy od dziedzińca, który, z ładną fontanną pośrodku, odznacza się pewną arystokratyczną powagą, a w tej powadze jest coś, czego np. z pewnością nie posiada pałac Rotschilda. Tą samą właściwością odznacza się również i frontowa fasada pałacu, co sprawia, że pałac ten, acz skromny, należy do najbardziej stylowych gmachów w Paryżu, przyczem, jako taki, figuruje we wszystkich klasycznych wzorach architektury. W górnej części »hotelu«, nad kolosalnymi oknami głównej klatki wchodowej, zwisa tarcza, a na niej widnieją trzy nazwiska: Le Brun, Le Sueur, Le Veau. Są to nazwiska artystów, których prace zdobią wnętrze tych poważnych murów. Miałem je zobaczyć za chwilę. Tymczasem weszliśmy na olbrzymie schody. Schody te, do niedawna jeszcze, bo przed założeniem Muzeum Czartoryskich w Krakowie, były galerią obrazów; obecnie są tylko wspaniałym przedsionkiem. Wyobrażam sobie, jak musiały być piękne podówczas, skoro i teraz jeszcze, choć ogołocone z arcydzieł starych mistrzów włoskich i francuskich, imponują jakąś dziwną okazalnością, czemś, co się określić nie da, choć mimo woli narzuca się każdemu zwiedzającemu ten książęcy przybytek. Tem czemś są między innymi i wspomnienia dawnych mieszkańców Hotelu Lambert, którzy tędy chadzali przed laty... Albowiem patrząc na te schody, nie trudno sobie wyobrazić na nich Voltaire'a, idącego razem z piękną margrabiną du Châtelet, u której tu mieszkał przez czas dłuższy; a prócz autora *Alziry* i *Kandyda* widzi się tu zgrzybiałą postać księcia Adama Czartoryskiego, jak wchodzi po tych kamiennych sto-

¹⁾ Hotel Lambert zwiedzałem w czerwcu r. 1896, kiedy pan Korzeniowski (wnuk powieściopisarza) piastował urząd delegata krakowskiej Akademii Umiejętności przy Bibliotece polskiej w Paryżu.

pnia, wsparty na ramionach swych synów, Władysława i Witolda. Jednocześnie myśli się także o jenerale Wł. Zamoyskim, który tu bywał częściej, niż ktokolwiek inny, tudzież o całym stronnictwie *Trzeciego Maja*, które księcia Adama Czartoryskiego uważało za swego moralnego i politycznego wodza i przewodnika. Kiedy nadeszła Wielkanoc, pół emigracyi ciągnęło temi schodami na Święcone do księstwa, a bywali na tem Święconem, i Mickiewicz, i Słowacki, i Chopin, po latach zaś, kiedy ci zmarli, zastąpili ich młodszy, Kalinka, Klaczko, Br. Zaleski, Leon Kapliński, Zofia Węgierska i w. i. A dziś? Dziś spokój panuje na tych schodach, a cisza ich, równająca się pewnej obumarłości, od czasu śmierci ks. Władysława Czartoryskiego zakłócaną bywa niezmiernie rzadko... Poruszając właśnie ten temat, znaleźliśmy się wśród apartamentów książęcych, o których wystarczy, gdy powiem, że są przepyszne. Przechodząc tymi ogromnymi salonami, nie wie się, na co patrzeć pierwaj: czy na sufity, malowane przez Le Sueura lub Le Bruna, czy na wspaniałe portrety familijne Czartoryskich i Działyńskich, wiszące na ścianach (zwłaszcza kilka portretów księcia Adama Czartoryskiego jest nadzwyczajnych), czy na drogocenne sprzęty, stylowe meble, atlasowe obicia ścian etc., etc. Minawszy kilkanaście komnat, ujrzelśmy się w wielkiej sali balowej t. z. *Sali Herkulesa*, która jest arcydziełem stylu XVII wieku. *Salą Herkulesa* nazywa się dlatego, ponieważ freski Le Bruna, którymi jest ozdobiona, wyobrażają bohaterskie czyny legendowego małżonka Dejaniry. Piękniejszych salonów nie widzi się ani w Louvrze, ani w Wersalu. Powiadają, że sala ta jest największem arcydziełem Le Bruna. Z okien jej rozciąga się śliczny widok na Sekwanę i okoliczne *quais*. Oglądając wszystko, co Hotel Lambert posiada ciekawego — a jest tego mnóstwo — nie omieszkaliśmy też obejrzeć pokoju Voltaire'a, który w ostatnich czasach był pracownią hr. Działyńskiego. W tym pokoiku, a raczej w tem mieszkanku, złożonem z dwóch niewielkich pokoików, pisał Voltaire swoje studia o Newtonie, a w przerwach między jednym rozdziałem i drugim romansował z piękną i uczoną margrabiną du Châtelet, którą Fryderyk W. nazywał *Venus-Newton*. Z kolei zeszliliśmy do ogrodu pałacowego, zajmującego narożnik dwóch ulic, poczem, podziękowawszy dystyngowanemu kamerdynerowi, który

nas oprowadzał po pałacu, wyszliśmy na ulicę, zmierzając w stronę *Quai d'Orléans* ku *Bibliotece polskiej*¹⁾.

¹⁾ Z powodu pory wakacyjnej nie mogłem zwiedzić *Institutu panien polskich* w Hotelu Lambert. Jest to wyższy zakład naukowy dla kobiet, założony w r. 1844 dzięki ofiarności Anny z Sapiechów księżny Czartoryskiej. Obecnie (1896) Instytut utrzymywany jest staraniem i kosztem hr. Działyńskiej. Za drugiego Cesarstwa posiadał on zapomogę rządową, cofniętą po r. 1870. W Instytucie tym kształcą się zawsze po kilkanaście panien, które, kończąc kurs, są należycie przygotowane do składania wyższych egzaminów rządowych. Wykłady są prowadzone w języku francuskim, oprócz wykładów historii i literatury polskiej. Pierwszą dyrektorką Instytutu była pani Szokalska, profesorem języka polskiego jest p. Rustejko. Uczennice, zapisane do Instytutu, mają prawo słuchania wykładów w Sorbonie i *Collège de France*.

NB. Z powodu śmierci hrabiny Izabeli z ks. Czartoryskich Działyńskiej, zmarłej niedawno (18 marca 1899) w Mentonie, Instytut ten zostaje zwinięty... Zob. *Kuryera Codziennego* nr. 152 z r. 1899.

W nr. 151 *Czasu* znalazłem wiadomość, że książę Witold Kazimierz Czartoryski, młodszy syn ś. p. księcia Władysława, odziedziczywszy po rodzicach i zmarłej niedawno ciotce swej, hr. Działyńskiej, Gołuchów w Księstwie Poznańskim i Hotel Lambert w Paryżu, oddał roboty przy odnowieniu tegoż pałacu paryskiego artyście Polakowi z Gołuchowa, p. Kopczyńskiemu, malarzowi.

W parę miesięcy po śmierci hrabiny Działyńskiej pomieściło warszawskie *Słowo* następującą, z *Dziennika Poznańskiego* poczerpniętą, wiadomość: »Dowiadujemy się z poważnego źródła, że znany Zakład wychowania młodych Polek w Hotelu Lambert w Paryżu istnieć przestaje z końcem bieżącego roku szkolnego, t. j. z dniem 26 lipca 1899 r. W społeczeństwie naszym wiadomość ta będzie przyjęta z wielkim żalem. Zakład istniał przez lat 55. Ile dobrego wyświadczył rodzinom polskim, tak na emigracyi, jak w kraju, wiedzą dobrze jego dawne uczennice, których liczba przechodzi sześćset. Do roku 1870 Instytut panien polskich, jako poświęcony wychowaniu córek emigrantów, był wspomagany przez rząd francuski i wtedy liczba uczennic dochodziła do 50. Po klęskach Francyi, ś. p. hrabina Działyńska nie uważała za właściwe starać się o subwencję rządową i wzięła wyłącznie na swój koszt wychowanie 17 uczennic. Znanem jest powszechnie, jakim staraniem i miłością do końca życia otaczała swe wychowanki. Z bólem widziała, że to dzieło, podtrzymywane jej ofiarnością, upadnie wraz z jej zgonem; nie było jednak na to rady i nie miała pomiędzy spadkobiercami żadnej osoby, którejby mogła polecić Zakład, wymagający troskliwej i rozumnej opieki kobiecie«.

W krakowskim *Czasie* z d. 1 sierpnia 1899 r. znajduję

2. Po prawym brzegu.

Było to w niedzielę, rano, przed godziną 10-tą, d. 20 września 1896 roku. Siedziałem w moim pokoju, w hotelu *de l'Île de France*, i czytałem dzieło o pieczęciach p. Lecoy de la Marche. Z książki tej, opatrzonej mnóstwem prześlicznych rycin, dowiedziałem się między innymi, iż w paryskim *Musée publique des archives nationales* znajduje się pieczęć państwa polska z XV wieku, z czasów panowania Władysława Warneńczyka, i że ze wszystkich pieczęci, jakie rzeczony muzeum posiada z danej epoki, ta jest najpiękniejsza, najartystyczniejsza. Opi-

(już w chwili druku niniejszej książki) następującą wiadomość z Paryża: »Hotel Lambert w Paryżu, instytut wychowawczy pańien polskich, przestał istnieć w roku bieżącym. Dnia 25 b. m. odbyło się w polskim kościele Wniebowzięcia za duszę ś. p. Izabeli z książąt Czartoryskich hr. Działyńskiej żałobne nabożeństwo, urządzone przez stowarzyszenie b. uczennic Hotelu Lambert. Celebrował przełożony misji polskiej O. Orpiszewski, mowę miał kapelan instytutu O. Chauvin, Oratoryjanin. Instytut istniał 54 lat. Założyła go ks. Adamowa Czartoryska, a następnie utrzymywała go dalej jej córka ks. Izabela. Obchodowi przewodniczyła panna Rouquayrol, dawna długoletnia dyrektorka zakładu. O. Chauvin zagał uroczystość przemową, po której przełożona zakładu panna Glaudin odczytywała nazwiska nagrodzonych uczennic. Z powodu żaloby nie było popisu z muzyki. Po rozdaniu nagród jedna z uczennic odczytała mowę pożegnalną. W końcu profesor historii i literatury polskiej p. Gasztowt wygłosił piękne przemówienie okolicznościowe, z powodu zamknięcia sławnego i tyle pożytecznego zakładu.

Korespondent paryski *Kraju* tak pisze pod datą 29 lipca 1899 r. o zamknięciu Hotelu Lambert: »Robił on (ten ostatni akt szkolny) wrażenie bolesnego pogrzebu. Wszyscy mieli lzy w oczach... A gdy na zakończenie p. Gasztowt, prof. historii i literatury polskiej, przemówił do zebranych, z piersi dziewcząt wyrwało się głośne łkanie. I wydało mi się, że w tym płaczu i żalu tkwił ból nie tylko z powodu zamknięcia *Szkoły pańien polskich*; wydało mi się, że niejedni z obecnych żegnają jednocześnie ów stary Hotel Lambert, który się łączył w ich sercach z tyloma wspomnieniami i tradycjami, a który teraz przekształca się w zwykłą wielkopańską siedzibę«.

sując ją, p. Lecoy de la Marche nie tai swego zdziwienia z tego powodu, zdziwienia, że królowie polscy, którzy — w jego przekonaniu — w XV wieku musieli być prawie barbarzyńcami, więcej dbali o artystyczne piękno swych pieczęci królewskich, aniżeli inni królowie europejscy, nie wyłączając francuskich i angielskich. »Na tej dwunasto-centymetrowej przestrzeni — pisze wspomniany autor — niema ani jednego pustego miejsca: rytec pracował nawet w najmniejszych kąciakach. Jestem pewien, że niktby się nie spodziewał znaleźć dzieła takiej cierpliwości i talentu, jakim jest to właśnie, w głębi kraju tak oddalonego, kraju, który w XV wieku jeszcze był blizkim barbarzyństwa (*rencontrer une oeuvre de patience et d'ingéniosité, comme celle-là, au fond d'un pays ainsi reculé et qui, au XV siècle, confinait encore à la barbarie*). Przypuszczam, że będzie to najstarsza z pamiątek polskich paryskich¹⁾.

Tymczasem, choć mię bardzo interesowały wywody p. Lecoy de la Marche, który na str. 157 swego dzieła podaje wierną

¹⁾ Z powodu powyższego ustępu pracy p. Lecoy de la Marche wystosował p. Edmund Diehl »List otwarty do Redaktora *Kraju*«, *O pieczęciach królewskich*, z którego to listu pozwolę sobie na tem miejscu przytoczyć następujący urywek:

Nie miałem możności zapoznać się jeszcze z tą pracą i nie chodzi mi o krytyczny pogląd na dzieło; nie mogę jednak pominąć milczeniem wyrażonego w sprawozdaniu zadziwienia uczonego francuskiego, poświęcającego swą pracę sfragistyce, na widok artystycznej pieczęci Władysława Warneńczyka z pierwszej połowy XV wieku, i wyrażającego zdanie, że królowie polscy którzy w tym wieku musieli być barbarzyńcami prawie, więcej dbali o artystyczne piękno swych pieczęci królewskich, aniżeli inni królowie europejscy.

Jakkolwiek przysłowiową jest prawie w naszym kraju opinia o nieświadomości francuzów w kwestyach geograficzno-historycznych narodów słowiańskich, przypuszczałyby jednak należało, że w pracach specjalnych studya ograniczać się nie będą na powierzchownej ocenie jednego wyrazistego i imponującego okazu pieczęci polskich, oraz wnioskach osobistych o danym narodzie.

Gdyby p. de la Marche zechciał się bliżej zapoznać z naszą sfragistyką polską z prac: Teofila Żebrawskiego (»O pieczęciach dawnej Polski i Litwy«, Kraków, 1865 r.), Kajetana Kielisińskiego, który zasilal wydawnictwo Vossberga (*Siegel des Mittelalters*, 1854) i Tytusa Działyńskiego (»Zbiór praw litewskich«, 1841, oraz *Lites ac Res gestae*, 1885), z prac Kazimierza Stronczyńskiego (»Kilka słów o dawnych pieczęciach«, 1881—1882,

reprodukcję tej pięknej pieczęci (istotnie bardzo pięknej), musiałem zamknąć książkę, bo wybiła godzina 10-ta, a o wpół do 11-ej chciałem być w kościele *de l'Assomption*. Jest to godzina bowiem, o której tam rozpoczyna się nabożeństwo polskie, a nabożeństwa tego — mojem zdaniem — nie powinno się, będąc w Paryżu, opuszczać. Zgodnie z tem przekonaniem, wyszedłem na ulicę. Po chwili znalazłem się na Wielkich Bulwarach, miąłem Plac Opery, *Grand Hôtel*, aż w końcu po przez żółtkłe liście drzew, ciągnących się wzdłuż szerokich trotoarów, i po przez tłum omnibusów, karet, dorożek, wozów, przechodniów etc., etc. ujrzałem klasyczną kolumnadę kościoła św. Magdaleny, której heleński spokój stanowi efektowny kontrast z górażkowym ruchem ulicznym dookoła.

Kiedy się chodzi po Paryżu z myślą o tutejszych pamiątkach polskich, to mimowoli, kiedy się przechodzi koło kościoła św. Magdaleny, myśli się o dwóch wielkich pogrzebach, które w swoim czasie wyruszały z pod tej kolumnady, o dwóch tru-

»Przegląd Bibliograficzno-Archeologiczny« i »Pomniki książęce Piastów«, 1888), wreszcie z kodeksu dyplomatycznego wielkopolskiego Raczynskiego (1840), oraz dorywczego przyczynku do sfragistyki polskiej, drukowanego w wiadomościach archeologiczno-numizmatycznych od r. 1890, wreszcie z wielu innych materiałów sfragistycznych naszego kraju, zapewne przyszedłby do przekonania, że sfragistyka nasza narodowa poszczycić się może okazami nierównie cenniejszymi, z wcześniejszej jeszcze epoki.

Pieczęcie naszych królów i książąt z epoki piastowskiej, w porównaniu z równoczesnymi innych państw, według p. de la Marche, więcej ucywilizowanych, nie grzeszą zaniedbaniami form estetycznych, a śmiem sądzić, iż pieczęć Jadwigi i Władysława Opolskiego, wraz z »contrsigillacją« z końca XIV w. nie powstydzi się być wzorem oznak pieczętarskich.

Epoka Jagiellońska rzeczywiście w naszej sfragistyce celuje bogactwem form, estetyką wykończenia i majestatycznym przedstawieniem powagi królewskiej, ale odnosi się to nietylko do wyjątkowej pieczęci Władysława Warneńczyka, ale zarówno do bardzo zbliżonych form pieczęci majestatowych Władysława Jagielly, Kazimierza Jagiellończyka, a nawet do artystycznie wykonanych pieczęci koronnych i litewskich Olbrachta, Aleksandra i braci Jagielly — Witolda.

Nie będąc historykiem, nie śmiem opowiadać p. de la Marche o barbarzyństwie naszego narodu z tej epoki historii, mogę tylko odwołać się do wywodów historycznych jego własnego narodu z r. 1572. Niech osądzi i porówna.

mnach, które były wystawione w tej świątyni, a z których jedna w r. 1849 zawierała śmiertelne szczątki Chopina, druga zaś, w r. 1856, kryła zwłoki Mickiewicza, przywiezione z Konstantynopola.

Jakże uroczystą i wzruszającą musiała być ta chwila w dniu 30 października 1849 r., kiedy pośrodku tego kościoła, pod wspaniałym mauzoleum, otoczona wybranym tłumem wielkiego i artystycznego świata Paryża, tłumem, który stanowiło 3000 osób, stała trumna Chopina, a orkiestra i chór Konserwatorium paryskiego, umieszczone w półokrągłej niszy za wielkim ołtarzem, rozbrzmiewały niebiańskimi dźwiękami Mozartowskiego *Requiem*, kiedy też sama orkiestra grała Chopinowskiego *Marsza żałobnego*, kiedy takie śpiewaczki, jak Viardot-Garcia i Castellan, i tacy śpiewacy, jak Lablache i Dupont, ukryci za czarną kotarą, śpiewali *Solo*, i kiedy, podczas nabożeństwa, Lefébure-Vely grał na organach dwa smętne preludya Chopina... Cóż za *nastrój* musiał wtedy panować w tym kościele, przy takiej muzyce, wobec *tej* trumny!¹⁾

Niemniej podniosłego wrażenia musiał dostarczyć pamiętny poniedziałek d. 21 Stycznia 1856 r., gdy tu, w pośrodku świątyni, stała trumna ze śmiertelnymi szczątkami wieszczki *Dziadów*. »Nabożeństwo w kościele św. Magdaleny — pisały *Wiadomości polskie* — rozpoczęło się przed 11-tą, skończyło się nieco po południu. Wielka trumna skrzyniasta, pokrywająca dwie inne, drewnianą i cynkową, zbyt ciężka do postawienia na katafalku, stała niżej, przed nim, również, jak on, otoczona światłem rzesistem. Niemal wszyscy Polacy, znajdujący się w Paryżu, pospieszyli oddać ostatni hołd zmarłemu; znajdowało się przytem wielu cudzoziemców, przyjaciół i wielbicieli jego; kościół był pełen. Pod wrażeniem tego pogrzebu, obecny na nim Zygmunt Krasiński napisał wspaniały list do Soltana...

Z wyobraźnią, wypełnioną owymi dwoma pogrzebami dwóch największych geniuszów polskich XIX stulecia, miałem wspaniałe sztachety żelazne, które otaczają kościół św. Magdaleny, a ponieważ miałem jeszcze chwilę czasu, więc wstąpiłem na słynny targ kwiatów, ciągnący się wzdłuż lewej kolumnady

¹⁾ Nabożeństwo to opisałem wyczerpująco w artykule p. t. *Schyłek życia i śmierć Fryderyka Chopina*, drukowanym w majowym zeszycie *Ateneum* z r. 1899.

kościola. Jest to niezawodnie jedna z najpiękniejszych rzeczy w Paryżu: te szare kolumny, wystrzelające nad istną orgią róż, chryzantem, fijołków, narcyzów, kamelij, etc. etc., to istotnie wymarzony temat dla malarzy, temat, który wyzyskał Pankiewicz w swoim obrazie, jakkolwiek go może wyzyskał niedostatecznie...

Na to bowiem, aby go w całej sile przenieść na płótno, trzeba być co najmniej takim kolorystą pędzla, jakim był np. Słowacki, gdy chodziło o koloryt słowa. *A propos* Słowackiego, to i o nim myśli się także, gdy się przechodzi przez ten arcykolorystyczny targ kwiatów: przypomina się ów ranek d. 15 czerwca 1841 r., kiedy to autor *Beniowskiego* szedł o godz. 5-ej rano na pojedynek z Ropelewskim. Oto ustęp z listu do pani Bobrowej, zawierający opis tej dramatycznej chwili w życiu poety: »Przechodząc koło kościoła Magdaleny, przez targ kwiatów, kupiłem za grosz różę, abym ją przez ten ranek w rękę trzymał i mógł potem zwiędłą posłać... Komu? Pani to odgadniesz. Idąc dalej, zaszedłem do kościoła *Assomption*, i tam właśnie trafiałem, że ksiądz, kończący mszę, żegnał; schyliłem pokornie przed błogosławieństwem głowę — i wyszedłem. Pani nie wiesz, co to jest iść samotnie, bez przyjaciela, z różą w rękę, przez cały Paryż, niepożegnanemu przez nikogo, w tej pewności, że nikt nie drży o życie hazardowane i może żałować nie będzie?...«

Myśląc o tej chwili w życiu Juliusza, poszedłem tą samą drogą, którą on musiał iść w ów pamiętny ranek, mianowicie: przeszedłszy przed frontonem kościoła św. Magdaleny, zapuściłem się w nieszeroką ulicę St. Honoré. Wszedłszy w nią, po przejściu kilkudziesięciu kroków zaledwie, ujrzałem nieopodal, przy prawym trotoarze, poczerniałe mury i kopułę kościoła *de l'Assomption*, tego samego, do którego wstępował Słowacki. Po chwili znalazłem się za żelaznami sztachetami, na niewielkim dziedzińcu przed kościołem, przed niewielką poczerniałą kolumnadą, stanowiącą ładny renesansowy fronton tego »kościola polskiego«. Że ta nazwa kościoła *polskiego* — choć wogóle jest to kościół francuski — słusznie mu się należy, przynajmniej w pewnych godzinach, mianowicie między godziną wpół do 11-tej a południem każdej niedzieli, o tem przekonałem się zaraz przy wejściu: od chwili bowiem, gdy się minęło sztachety, ma się wrażenie, że się jest w Polsce, nie

w Paryżu. Na schodach, pod jedną z kolumn stoi żebrak, który żebrze po polsku, a jest... emigrantem. Na dziedzińcu, gdym wszedł, stała grupa złożona z kilku panów i pań, a wszyscy rozmawiali po polsku. Była między nimi i Seweryna Duchńska...

Co się tyczy samego kościoła, to jest on niezbyt wielki, raczej mały, okrągły, z górnem światłem, wpadającym przez kilka okien w koronie kopuły. Naprzeciw drzwi wchodowych, za dwoma szerokimi rzędami ławek i krzeseł, znajduje się wielki ołtarz w stylu renesansowym, poważny, acz nie bogaty; po bokach, z obu stron, widać dwa skromne ołtarze; na gładkich ścianach wisi kilka obrazów, kilka kandelabrow, nieco wotów; w jednym miejscu, w blizkiem sąsiedztwie wejścia, stoi zwykły drewniany konfesjonal: i to jest wszystko. Żeby nie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, widny w ołtarzu po prawej stronie, możnaby na pierwszy rzut oka, wszedłszy do tego kościoła, nie przypuszczać, że to jest kościół *polski*.

Lecz na tem skromnem i niepozornem tle, widzi się obraz, który, jako temat, mógłby Matejkę, a zwłaszcza Grottgera, natchnąć do prawdziwego arcydzieła w rodzaju *Nieszporów* z cyklu *Warszawy*, a nawet w rodzaju *Kazania Skargi*! Bo iluż to naszych wielkich ludzi modliło się w tym kościele! Wszak tutaj, pod tą kopułą, przed tym ołtarzem, słuchali mszy św. i kazań polskich: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, książe Adam Czartoryski, Lelewel, Niemcewicz, Kniaziewicz i tylu, tylu innych aż do Kalinki i Klaczki! Nie należy zapominać, że od 65-ciu lat kościół ten co niedziela gromadził w swoich murach znaczną część całego wychodztwa, które, poważnione i podzielone na stronnictwa, tutaj, przed majestatem Bożym, biło się w piersi, mówiąc: *Mea culpa, mea maxima culpa!* Tutaj, w tym kościele, odbywały się uroczyste nabożeństwa, któremi *Towarzystwo historyczno-literackie* poprzedzało swe doroczne zgromadzenia... Kiedy się pamięta o tem wszystkim, z podwójnem wzruszeniem przekracza się próg tej świątyni, z podwójnem wzruszeniem rozgląda się po tych ścianach, wśród których tak niedawno jeszcze modlili się *oni*...

Dzisiaj, po latach, żadnego z nich nie stało: wymarli jedni po drugich. »Przeszłość ich zagarnęła, nikt ich nie wydrzę przeszłości«. Spoczywają na tutejszych cmentarzach, na Montmartre, na Père Lachaise, albo na małym cmentarzyku w Montmorency, a tymczasem w tym kościele Zmartwychwsta-

nia wciąż odbywają się, jak dawniej, polskie nabożeństwa, choć garstka tych, co się tu modlą teraz, nie jest ani tak liczną, ani tak niepospolitą, jak owa z przed pół wieku... Mimo to nastrój, panujący tu w każde święto przed południem, jest szczerze polski i niepowszedni.

Tej niedzieli, skorom wszedł do kościoła, ksiądz stał już przed ołtarzem. Zaczęła się msza. Nie było wiecej, niż jakieś 30 osób. Po lewej stronie, nieopodal przedsionka, ujrzałem kilka sióstr z Domu św. Kazimierza, których białe czepce dziwnie pięknie wyglądały wśród szarych sukienek wychowanic tego zakładu: otaczały zwykle fisharmonium, przy którym — obrócona profilem — siedziała Matka przełożona Siwicka (która, przyjeżdżając tu omnibusem co niedzielę ze swemi wychowankami z ulicy Chevaleret, zawsze pełni obowiązki organisty). Jest to śliczny obrazek w stylu Grottgerowskim, pełen jakiegoś niewypowiedzianego sentymentu. Dziwię się nawet, że tytuł malarzy-Polaków mieszka w Paryżu, a żaden nie wymalował tej idealnej grupy, która obok całego *modernizmu* i realizmu ma w sobie coś z Fra Angelica i prerafaelitów. Ta Siostra bowiem, w białym czepcu o szerokich skrzydłach, o niezmiernie delikatnych i uduchowionych rysach twarzy, z wzniesionemi oczyma, śpiewająca i grająca na organkach, w otoczeniu tych sierot i Sióstr, które, z nutami w rękę, śpiewają na chwałę Bogu: to temat do obrazu, jakby stworzony dla malarza, któremu spać nie daje współczesne malarstwo angielskie... Wyobrażam sobie, jakby podobny temat można wyzyskać w stylu Burne Jonesa. Niestety, malarze-Polacy, mieszkający nad Sekwaną, nie bywają na nabożeństwach polskich w kościele *l'Assomption*. Wielu nie wie nawet (jakem się o tem przekonał osobiście), że się odbywają podobne nabożeństwa.

Tymczasem msza odbywała się w dalszym ciągu... Gdy się skończyła, odśpiewano znany hymn: *Święty Boże, Święty mocny!* Pieśń ta, ongi śpiewana przez rycerstwo, słyszana w Paryżu, a śpiewana przez dziatwę polską, przez małe dziewczynki-sieroty, przyprawia o nieklamane rozrzewnienie. Dziwny kontrast! Dawniej rozbrzmiewał hymn ten na polach bitew, śpiewany przez skrzydlatych husarzy, a teraz śpiewają go dzieci, sieroty!

Po pieśni tej, odśpiewanej bez zarzutu (każdej niedzieli śpiewaną bywa inna pieśń religijna polska), przyszła kolej na

kazanie. Wygłosił je od ołtarza, nie wchodząc na ambonę, ksiądz Witkowski, przełożony *Misyi polskiej w Paryżu*.

Skoro mowa o kazaniu polkiem nad Sekwaną, mimo woli przychodzą na myśl słynne kazania księdza Hieronima Kajsiewicza, jakie ten emigracyjny Skarga miewał w r. 1842 i 1843 w tutejszym kościele św. Rocha, w kaplicy Męki Pańskiej, a które, o ile porywały jednych, o tyle oburzały drugich; bo wielki ten, choć młody kaznodzieja, zamiast pochlebiać, karmił, zamiast wygłaszać popularne hasła, prawil gorzkie prawdy. Pięknie pisze o kazaniach tych prof. St. Tarnowski: »Bo z kim to miał się młody ksiądz spotkać i zmierzyć? Ze zbiorem słuchaczy, częścią niewiernych, częścią niechętnych Kościołowi, częścią niechętnych i niedowierających jemu samemu, jego powołanie uważających za fałsz i hipokryzyę, jego kapłaństwo za środek intrygi lub ambicyi. I z czym przed nimi stawał? Ze słodkiem i głaszczącym słowem uzalenia i pociechy, pochwały i nadziei? Nie! on inaczej i głębiej rozumiał swój obowiązek kapłański i obywatelski, i wiedział, że kiedy go Bóg na ambonie postawił, to nie po to, by prawdę cukrować i obwijać w bawełnę; więc szedł z postanowieniem, by ją powiedzieć całą, szczerą, nagą niech boli, jako chce, by nie darować słuchaczom żadnego wyrzutu, żadnego upokorzenia. Ludziom cierpiącym, nieszczęśliwym, bez tego dość upokorzonym i poniewieranym — co za przykrość, co za gorycz dla niego! A z drugiej strony znów: karmić i gromić Polaków — w jakiej chwili! W tej samej, kiedy Mickiewicz uczył ich, że w nich i przez nich zbawienie świata, kiedy Krasieński prawie się zabierał do pisania *Przedświtu*, ludziom, upojonym tą wielkością, rozmazonym tą pięknnością, kołysanym tą słodką nadzieją, którą im głoszone, powiedzieć, że są występni i grzeszni, i własnego zbawienia, dusz czy sprawy, niepewni, nie dopiero, żeby mieli zbawiać innych, co za przepaść, co za rozdźwięk między myślami tych słuchaczy, a słowem, które na nich spaść miało z ambony! Gdyby ks. Kajsiewicz nie był w życiu swoim zrobił nic innego, tylko to jedno, że Polsce »dymem kadzidel obwianej i wonią poklasków« śmiał powiedzieć gorzkie prawdy, byłby tem jednym dał dowód największej odwagi i zdobył sobie tytuł do obywatelskiej korony¹⁾».

¹⁾ St. Tarnowski, *Ksiądz Hieronim Kajsiewicz, w Przeglądzie Polskim* 1873, III, 182, 183.

Po obejrzeniu kościoła St. Roche, który oczywiście zwiedza się z myślą o Kajsiwiczu i jego *Kazaniach przygodnych*, udałem się na *Place Vendôme* popatrzeć na dom pod nr. 12, dom, a raczej miejsce, gdzie d. 17 października 1849 roku, między 3-cią a 4-tą rano, wyzionął ducha Fryderyk Chopin. Dom ten już nie istnieje, a raczej istnieje przebudowany. Nadmienić winienem, że ostatnimi czasy — dzięki inicjatywie Lucyana Rydla — powstała myśl umieszczenia na fasadzie domu tego tablicy pamiątkowej dla Chopina. Tablicę ofiarował znany artysta-rzeźbiarz, Cypryan Godebski, medalion zaś, z prześlicznym profilem twórcy *Nokturnów*, wykonał bezinteresownie p. Trojanowski ¹⁾.

Z placu Vendôme udałem się na *Rue de Rivoli*, gdyż tamtędy przechodzi omnibus, jadący w kierunku kościoła *St. Philippe du Roule*. Chodziło mi o dostanie się na *Rue de Pontieu*, albowiem zdawało mi się, że po obejrzeniu domu, gdzie umarł Chopin, najbardziej zajmującą rzeczą może być tylko dom, w którym przeżył swe ostatnie lata i skonał Juliusz Słowacki. A dom ten znajduje się właśnie przy *Rue de Pontieu* pod numerem 34.

Słowacki i Chopin! Są oni w poezji polskiej jakby Dioskurami, a dziwny przypadek sprawił, że te dwa wielkie a tak pokrewne sobie duchy artystyczne, nietylko żyli w tym samym czasie, będąc synami tego samego narodu, ale co szczególniejsza, iż żyli jednakową liczbę lat, obaj nie przekroczywszy czterdziestki, i że obaj, prawie równocześnie przyszedłszy na świat, w jednym i tym samym roku rozstali się z tym światem. Urodzony d. 23 kwietnia 1809 roku, Słowacki był nie o cały rok zaledwie starszy od Chopina, urodzonego d. 22 lutego 1810 r. Słowacki umarł d. 3 kwietnia 1849 r., Chopin zaś przeżył go tylko o pół roku zaledwie, wyzionąwszy ducha w nocy z dnia 16 na 17 października tegoż roku 1849. Obaj umarli z suchot, będąc suchotnikami przez całe życie, obaj zmarli w stanie bez-

¹⁾ W r. 1897 uchwaliła Rada Muncypalna Paryża nazwać jeden z placów w dzielnicy *de la Muette* (w pobliżu Lasku Bulońskiego) *Placem Chopina*. Naturalnie, że Francuzi, nazywający Chopina *notre grand maitre*, nie przypuszczają nawet, że Chopin mógł nie być Francuzem... W tymże czasie powstał w Paryżu projekt wystawienia pomnika Chopinowi na którym z placów publicznych paryskich.

żennym, jako starzy kawalerowie, obaj zmarli w Paryżu, jako emigranci, obaj zostali pochowani na paryskich cmentarzach, skąd obaj w tych czasach mają być — staraniem młodzieży sprowadzeni do kraju, do Krakowa, na Wawel, by tam spocząć obok Mickiewicza, w najbliższym sąsiedztwie grobów królewskich, Kościuszki i księcia Józefa ¹⁾. Zjawiwszy się jednocześnie, niby dwie świetne gwiazdy, na firmamencie polskiej poezyi (Chopin bowiem, choć się wypowiadał w muzyce, tak samo należał do poezyi, jak Mickiewicz i Słowacki), nie tylko byli z powierzchowności do siebie podobni, ale mieli **nawet** życia podobne. W roku 1830 nie tylko obaj przebywali w Warszawie, ale gdy w tym czasie obaj opuścili kraj, by już go nigdy nie ujrzeć, by przez resztę życia »deptać obcych ludzi łany«, to stało się to w ciągu jednego półrocza: Chopin wyjechał z Warszawy w listopadzie roku 1830, Słowacki zaś opuścił tenże mazowiecki gród w marcu roku 1831. Chopin jechał na Wrocław, i Słowacki również, a we Wrocławiu stali **nawet** w tym samym hotelu. W końcu roku 1831 znaleźli się obaj »na paryskim bruku«, ażeby tu osiąść na stałe, by tu przeżyć **całą** drugą połowę swego niedługiego życia, by tu wśród burzliwej atmosfery emigracyjnej, wśród nieustannych »zapóźnych żalów, potępieńczych swarów« stworzyć swe najcenniejsze dzieła, by tu tęsknić za krajem, smucić się, kochać, i to kochać się w jednej i tej samej kobiecie, którą była panna Marya Wodzińska, a którą obaj, nie mogąc poślubić jej (choć obaj nosili się z myślą o tem), unieśmiertelnili w końcu: Chopin swym rzewnym *Walcem F-moll* i piosnką *Gdybym ja była słoneczkiem na niebie*; Słowacki swym poematem *W Szwajcaryi*

¹⁾ Pierwotnie był wielce niefortunny projekt sprowadzenia zwłok ich na... Skalkę! Byłaby to jednak największa krzywda, jakaby się stać mogła zarówno Słowackiemu, jak Chopinowi. Jeśli by nie dało się złożyć ich śmiertelnych szczątków na Wawelu, to w takim razie nie należy ich ruszać; niech sobie spoczywają w gościnnej ziemi francuskiej, pomiędzy emigrantami, bo te groby są zaszczytniejsze dla nich, niż *Grób zastużonych* na Skalce. Grób ten, odpowiedni dla Kraszewskiego, Szujskiego, Lenartowicza, Pola, Siemińskiego i Asnyka, jest zbyt skromnym dla takich Tytanów, jak Chopin i Słowacki. Trzeba nie mieć pojęcia o tem, czem byli ci dwaj ludzie, jako chwały swego narodu, by myśleć o uczeniu ich... grobem na Skalce!

i kilkoma wierszami lirycznymi, jak *Stokrotki* i *Rozłączenie*. Co także podkreślić należy, to, iż obaj kochali się w niej prawie równocześnie, bo pomiędzy rokiem 1835 a 1837, poczem Chopin znalazł swoją Egeryę w osobie pani Sand, Słowacki zaś zakochał się nieszczęśliwie w pani Bobrowej. Na obu wpłynęły miłości te rozstrajająco... Poza tem byli nawet z powierzchowności podobni do siebie: obaj wątli, niewielkiego wzrostu, i jeden i drugi zwracali niesłychaną uwagę na strój, ubierając się z wyszukaną elegancją. Słowacki, zdając sobie sprawę z tego fizycznego podobieństwa do Chopina, pisał raz wyraźnie o tem do matki: »Mówią ludzie, że Chopin do mnie jak dwie krople wody podobny«. Chopin zaś, który, jako należący do innej koterii, mianowicie do Mickiewiczowskiej, nie lubił Słowackiego, był doń uprzedzony niechętnie, nie lubił także, by mu wspomniano o tem jego podobieństwie do autora *Kordyana*. Słowacki nie lubił go także, a choć w nim uznawał pierwszorzędnny talent muzyczny, to jednak do osoby Chopina, choć się z nim spotykał w niejednym domu polskim, również nie był bez uprzedzeń... Mimo to, jako artyści, mieli wiele cech wspólnych, a przede wszystkim czysto słowiańską rzewność i tęskność, które owiewają zarówno całą poezję Słowackiego, jak i całą muzykę Chopina. Stąd zachodząca między nimi *Wahlverwandschaft*, która sprawia, że Słowacki jest tem samem w poezyi, czem Chopin na zawsze pozostanie w muzyce, że jeżeli Chopinowi słusznie przystoi tytuł »Ariela muzyki«, to do Słowackiego najlepiej przypada nazwa »Ariela poezyi«. Nadto mieli to z sobą wspólnego, że obaj znacznie wyprzedzili swoją epokę, że obaj wnieśli, jeden do muzyki, drugi do poezyi, całkiem nowe pierwiastki, że jak Słowacki w wielu swoich utworach wyprzedził dzisiejsze poetyckie kierunki, reprezentowane przez Maeterlincka, Verlaine'a, Rambaud, Nietschego i Przybyszewskiego, tak Chopin wprowadził do muzyki wiele z tego, np. posługiwanie się dysonansami, co dziś świat przypisuje Wagnerowi i jego szkole. Dziś, w pięćdziesiątą rocznicę śmierci, obaj są słusznie oceniani przez wszystkich, a choć sława ich obecnie większą jest bez porównania, niż była przed półwiekiem, to jednak nie znaczy to wcale, by już skończyła się jej ewolucya. Owszem, jak sława Chopina rośnie z dniem każdym, tak i dla Słowackiego przyjdzie czas, gdzie go naród postawi

na takich wyżynach, na jakich go w tej chwili jeszcze się krytyka postawić waha. Lecz przyjdzie czas...¹⁾

Tymczasem siedząc na *imperial*'u paryskiego omnibusu, z myślą zajętą Słowackim i Chopinem, minąłem ulicę Pentièvre, a ponieważ przy ulicy tej, w domu pod nr. 22, do niedawna jeszcze należącym do Branickich (obecnie zwałonym i zastąpionym innym nowym) umarł późnym wieczorem d. 23 lutego 1858 roku Zygmunt Krasieński, więc mimowoli, kiedy omnibus

¹⁾ Że to zestawienie Słowackiego z Chopinem coraz bardziej zyskuje sobie prawo obywatelstwa wśród naszej opinii publicznej, dowodem drukujący się w *Wiadomościach artystycznych* lwowskich (od kwietnia r. 1899) »szkic z profilu« o Fryderyku Chopinie przez p. Adolfa Strzeleckiego, szkic, w którego wstępie czytamy między innymi, co następuje:

— Było to o godzinie trzeciej rano w dniu 17 października 1849 roku. Chopin przycisnął krzyż do ust i do serca swego i ostatniem tchnieniem wymówił te słowa: Jestem u źródła szczęścia! I skołał. Jestem u źródła szczęścia! Na kilka miesięcy przedtem Słowacki w chwili zgonu rzekł: »Niechże już zrzucę ten płaszcz lichy, co mnie więzi, i pójdę tam!...« W jednym(?) roku na świat przyszli, w jednym roku zmarli na tę samą nieuleczalną chorobę i jedną myśl mieli w ostatniej chwili życia... I jeden i drugi w życiu przecierpiał wiele; i jeden i drugi powtórzyć mógł przed zgonem słowa poety: »Jam bardzo smętny, jam bardzo znużony«; i jeden i drugi spodziewał się, że śmierć go wyzwoli od bólów i cierpień, da mu spokój, ukojenie, spoczynek po męczarniach życia; dla obu był »świat ten cmentarzem z łez, krwi i błota«, obaj wierzyli, że

Złe przejściem, tylko pyłem drogi,
Jeśli piorunem, to doczesnej burzy,
Jeżeli cierniem, to łodygi róży,
Której kwiat plonie tam, gdzie Bogów progi.

Pokrewne to były duchy: i jak Chopin był najwznioślejszym poetą w muzyce, tak Słowacki był najsztudniejszym i największym muzykiem w poezyi. Wiersz Słowackiego, to melodia przepiękna i porywająca; melodye Chopina, to poematy o przecudownej treści i myśli głębokiej. Chopin i Słowacki w jednym i tym samym roku poszli z tego świata, a równocześnie skończyła się twórczość obu pozostałych »aniołów narodu naszego«, Krasieńskiego i Mickiewicza. Z muzyką Chopina milknie i nasza poezya. I słusznie zapytuje jeden z najwybitniejszych współczesnych nam pisarzy (Tarnowski): »Czy to nie jest jak żeby stwierdzeniem, że one do siebie należały, że miały jedno życie i jedną duszę«.

Z artykułem tym p. Strzeleckiego, będącym »wstępem

zatrzymał się na placu przed kolumnadą kościoła *Saint Philippe du Roule*, nie mogłem nie myśleć i o autorze *Irydyona*, a głównie o jego ostatniej chorobie, podczas której pani Krawczyńska informowała w przedpokoju naprzykrzającą się Delfinę Potocką o stanie zdrowia twórcy *Przedświt*...

Kościół świętego Filipa *du Roule* ma wiele podobieństwa z warszawskim kościołem Wizytek: nie pod względem zewnętrznego wyglądu, gdyż w tym razie wspomniany kościół warszawski — jeden z najpiękniejszych w Warszawie — ma niezaprzeczoną wyższość nad wspomnianym paryskim, bardzo

do obszernego studjum o Chopinie*, por. mój artykuł o Chopinie i Słowackim, drukowany w r. 1897 w *Kuryerze Niedzielnym* (warszawskim).

*Wstęp swój, wydrukowany d. 1 kwietnia 1899 r. w *Wiadomościach artystycznych*, kończy p. Strzelecki następującem oświadczeniem: »Najlepszem, najprawdziwszem uczczeniem pamięci Chopina byłoby zebranie wszystkiego, co o jego życiu wiadome, słowem, biografia wyczerpująca i gruntowna, umożliwiająca poznanie jego, jako człowieka, i poznanie go, jako twórcy dzieł nieśmiertelnych i wiecznych. Na taką biografię pokusić się jeszcze nie można(?!), dopóki nie wydobyto i nie ogłoszono wszystkich wiadomości i szczegółów, porozrzucanych i ukrytych. I faktycznie wstydem dla nas jest przyznać, iż najlepsze dotychczas dzieło o Chopinie wyszło z pod pióra Anglika, Niechsa, a u nas pole biograficznych i krytycznych badań nad Chopinem leży zupełnie prawie odłogiem i od lat wielu zaniebdane jest prawie zupełnie. Pragnąc dać zachętę i bodźca w tym kierunku, podjąłem się napisania studjum o Chopinie...» Prawie to samo zupełnie pisałem i ja w *Kuryerze Niedzielnym* na początku r. 1897, w artykule, w którym zapowiadałem, iż przystąpiłem do pracy nad wyczerpującą monografią o Chopinie. Od tego czasu ogłosiłem już w pismach warszawskich kilka obszernych rozdziałów z tej pracy, a mianowicie: *Z książki o Chopinie w Kuryerze Niedzielnym*, *Z pobytu Chopina w Anglii w r. 1848 w Ateneum* (z listopada 1897), *Pamiętki po Chopinie w Muzeum Czarotoryjskich w Krakowie w Bibl. Warsz.* (z r. 1898 listopad), *Sonata C-moll w życiu Fryderyka Chopina w Wedrowcu* (od lutego do końca maja 1899), *Młodziency ideał Chopina w Echu muzycznem* (rzecz czytana w Ratuszu warszawskim w marcu r. 1899). *Z życia Chopina w Tygodniku polskim*, a na początku kwietnia wygłosiłem dwukrotnie w sali Muzeum przemysłu w Warszawie odczyt o Chopinie, który następnie wydrukowałem w *Ateneum* p. t. *Schytek życia i śmierć Fr. Chopina*. Nadto w październiku r. 1898 wyszedł w Petersburgu w bibliotece *Życiorysów sławnych Polaków* mój obszerny dość »zarys biograficzny« o *Fryderyku Chopinie*.

skromnym od frontu, ale pod względem atmosfery, która w nim panuje najczęściej: jest to kościół arystokratyczny *par excellence*. Położony w najbardziej arystokratycznej dzielnicy Paryża, jest on parafią znacznej większości tutejszego *high life'u*, a jako taki słynie ze swych bogatych ślubów i pogrzebów; poza tem nie należy do ciekawych. Oto, co o nim pisze jeden Francuz: *St. Philippe du Roule a vraiment du bonheur d'habiter un quartier aristocratique où la religion est à la mode; c'est à sa station que l'église doit de voir de belles cérémonies et de beaux mariages, car, par elle même, elle ne mérite guère l'empressement qu'on lui témoigne; a voir quelques peintures de Chasseriau et de Degeorge, mais c'est tout*. Polak przecież, świadomy dziejów naszego romantyzmu, nie może obojętnie przechodzić koło tego kościoła, tutaj bowiem, za temi kolumnami, były wystawione trumny Słowackiego i Krasińskiego.

Dnia 4 kwietnia 1849 r. Polacy, przebywający w Paryżu, otrzymali następujące zaproszenie, wydrukowane na arkusiku papieru listowego in 4-to, z wążką czarną obwódką:

Uprasza się Szanownych Rodaków, aby raczyli oddać chrześcijańską posługę Juliuszowi Słowackiemu, zmarłemu w Paryżu, dnia trzeciego kwietnia. Zgromadzenie będzie miało miejsce w mieszkaniu zmarłego, przy ulicy Pontieu nr. 30, d. 5 kwietnia o godzinie 11-tej z rana. Nabożeństwo pogrzebowe odbędzie się w kościele Saint Philippe du Roule, o godzinie 12-tej, skąd zwłoki odprowadzone zostaną na cmentarz Montmartre.

Nazajutrz, d. 5 kwietnia, w samo południe, ubogi karawan 9-ej klasy, wiozący prostą czarną trumnę z białym krzyżem na wieku, wyruszył z przed domu przy *Rue de Pontieu nr. 34*. Karawan otaczała nieliczna garstka przyjaciół zmarłego, około 30-tu osób wynosząca, co było dziwnem niesłychanie, zważywszy, iż tym zmarłym był Juliusz Słowacki. Skoro orszak zatrzymał się przed kościołem św. Filipa du Roule poczęto się krzątać około zdjęcia trumny, którą — według przyjętego zwyczaju — wniesiono do kościoła, ustawiono na katafalku, obstawiono płonącymi świecami, poczem, po krótkim nabożeństwie żałobnem, odprawionem przez miejscowego proboszcza, znów wyniesiono na karawan, by już jej nie zdjąć pierwej, aż u wrót cmentarza Montmartre.

W niespełna dziesięć lat później, d. 26 lutego 1858 r., nierównie świetniejszy orszak pogrzebowy zajechał przed tenże sam kościół Saint Philippe du Roule. Tym razem karawan był 1-ej klasy, trumny nie było widać pod wieńcami i kwiatami, za karawanem postępowało mnóstwo osób, których większość należała do wysokiej arystokracji polskiej i francuskiej, a za nimi ciągnął się długi sznur powozów i karet. Był to pogrzeb Zygmunta Krasińskiego. Wniesiona do kościoła, trumna znalazła się na tym samym katafalku, na którym niegdyś spoczywała trumna Słowackiego.

Cypryan Norwid, który był na obu pogrzebach, nie przeoczył tego dziwnego zbiegu okoliczności, a w kilka lat później, pisząc swoją mistyczną książeczkę *O Słowackim*, tak pisał o tym szczególnym fakcie: »W roku 1840 ta część Paryża, co jest parafią św. Filipa du Roule, nie miała jeszcze pięknych gmachów, które ją teraz zdobią. W końcu 1839 r. Juliusz Słowacki mieszkał tam i pisał *Lille Wenedę*, w kwietniu zaś 1840 r. kończąc list do Zygmunta Krasińskiego, który jej za wstęp służy, tak się odzywa: »Niech ta postać — Lilli Wenedy — do nas obojga należy. A tych dwóch wodzów (Lelum i Polelum)? Czy ty myślisz, Irydyonie, że tworząc ów myt jedności i przyjaźni, nie ludziłem się słodką nadzieją, że kiedyś i nas tak we wspomnieniach ludzie powiążą i na jednym stosie postawią... ty mnie wtenczas umarłego będziesz trzymał na piersiach i mówił mi do ucha słowa nadziei i zmartwychwstania, albowiem za życia słyszałem je od ciebie jedynie«. Jeżelibyśmy teraz (pisze dalej Norwid) obyczaj palenia na stosie usunęli, zobaczylibyśmy, że tak w rzeczywistości, jak we wspomnieniach, wypełniło się Juliusza przepowiedzenie: zwłoki bowiem jego postawiono w kościele parafialnym św. Filipa. A gdy wiele lat upłynęło i gmachy okazalsze tam w tej części miasta stanęły, jeden z tych gmachów nabyty został przez rodzinę Zygmunta Krasińskiego, gdzie też wielki poeta umarł, a zwłoki jego, iż wedle prawa w parafialnym wystawione musiały być kościele, położono przeto na tychże deskach, gdzie lat temu kilka Juliusza spoczęła trumna. Trzeba było wszelako, aby w pierw cała ta część miasta przebudowaną została i aby tamże, nie gdzieindziej, wśród ogromnego Paryża stał gmach, w którym *Irydyona* autor skonał. Wiersze, do których w tragedyi

(Słowackiego) odnosi się ten wypadek, są następne: »O patrz, zabity brat na piersiach mi śpi. Czy rozciąć łańcuch między wami dwoma?« »Nie rusz łańcucha«. »Gdzie stos dla umarłych? Masz zgłiszcze, burza zgasiła pochodnie«. Kończąc czytać te wiersze i wiedząc, jakiego to wypadków składu trzeba było, aby się te rzeczy z sobą powiązały, chce się powiedzieć słowo *Amen*¹⁾.

Z placu, przy którym znajduje się kościół św. Filipa du Roule, na *Rue de Pontieu*, przy której w domu pod Nr 34 mieszkał od roku 1842 aż do śmierci Juliusz Słowacki²⁾, jest bardzo blisko: wystarczy przejść kilkaset kroków, ażeby się znaleźć na tej ulicy, którą tyle razy przechodzić musiał autor *Króla Ducha*, a na której duży dom 4 piętrowy, oznaczony Nr 34, nic się nie zmienił od czasów, kiedy to na 5-em piętrze, na poddaszu, mieszkał i tworzył wielki poeta.

Jest to dom, jak wszystkie inne, o kilkunastu oknach frontu, niczem nie odznaczający się na zewnątrz, chyba tem, że wszystkie okna mają okiennice. Na dole, oprócz bramy, parę sklepów, nad drugim piętrem zaś, pod oknami trzeciego, biegnie długi balkon żelazny. Piąte piętro, na którym mieszkał Słowacki, ma także podobny balkon, ciągnący się przez całą szerokość domu. Na balkonie widać dużo zieleni: widocznie, że lokatorzy tego mansardu, podobnie, jak niegdyś Słowacki, chodują kwiaty, mają ogródki przed oknami. Wyżej sterczą kominy o długich blaszanych rurach.

Zarówno tej niedzieli, jak i każdego innego dnia, kiedy stał przed tym domem, lub kiedy wchodził do jego bramy, na podwórze, miałem uczucie, jakby *on* tu mieszkał jeszcze. Bo wystarczy przyjrzeć się temu domowi, zewnątrz i wewnątrz, ażeby nabrać przekonania, że od r. 1849 musiało się tu zmienić bardzo niewiele, prawie nic.

¹⁾ Cypryan Norwid. *O Juliuszu Słowackim*. Trzy odczyty, Paryż 1861, na str. 69.

²⁾ Słowacki w swych listach pisze zawsze Nr 30 nie 34, ale Nr 30 był to numer dawny, zmieniony na 34 w czasie, kiedy w tym domu mieszkał poeta. Zob. *La Tribune des Peuples* Nr z 5 kwietnia 1849, zawiadomienie o śmierci Słowackiego: »Le service funèbre aura lieu à la paroisse de Saint-Philippe du Roule et la réunion à son domicile rue de Pontieu 34 (30 ancien), Jeudi 5 Avril, 11 heure du matin«.

Nic się nie zmieniło,
Tylko się ku starości nieco pochyliło.

Drewniane, olejno malowane schody, prowadzące na 5-te piętro, robią wrażenie, jak gdyby wyglądały tak samo, jak wówczas, gdy po nich, przez siedm lat zrzedu, wchodził *on*, często przystając i odpoczywając. W bramie, na prawo, znajduje się mieszkanie *consierge'a*, to samo najniezawodniej, w którym do roku 1849 mieszkał portier Millet. Niestety, o dzisiejszym portierze w tym niepowszednim domu, a zwłaszcza o jego żonie, bardzo nieuprzejmej i nieużytej, nie mogę wypisać takich pochwał, jak te, które Słowacki w swoich listach wypisywał o Millet'cie i jego rodzinie... Zresztą cały dom znajduje się w takim stanie, że mniej więcej musiał wyglądać tak samo, kiedy tu pisał się *Król Duch*, wiersz *Do autora trzech psalmów* etc. etc, kiedy na tem poddaszu rodziły się pomysły do poematów i dramatów, kiedy przez te dwa pokoiki przeciągały całe korowody mar i fantastycznych postaci i kiedy autor *Beniowskiego* zamiast ścian swych skromnych pokoików, swoich kwiatów na balkonie, widział cudne obrazy poetyczne, które później, zgarbiony nad stolikiem, przenosił na papier. Dziś wszystko to pierchło, skończyło się: już żadne *schwankende Gestalten* nie nawiedzają tych ścian, a ten, co obecnie mieszka w pokoikach po Słowackim, nie wie z pewnością, że zajmuje tak historyczne mieszkanie. Bo czyż ten dom przy *Rue de Pontieu* Nr 34 nie należy do naszej historii, do naszej historii literatury?

Na to, ażeby z *Rue de Pontieu* przejść na Pola Elizejskie, na t. z. *Rond point*, przy którym w r. 1845 mieszkał Zygmunt Krasiński, nie potrzeba nawet pięciu minut czasu; kto mieszka na ulicy de Pontieu, może tych wszystkich, co mieszkają na Polach Elizejskich, nazywać swymi najbliższymi sąsiadami. Za dowód może posłużyć Słowacki, który, jako mieszkaniec *Rue de Pontieu*, dom na Polach Elizejskich, gdzie mieszkała pani Bobrowa, nazywał »sąsiedzkiem domem«. Nazywał go także »Elizejskim domem«, nie znaczyło to jednak, by tu kosztował elizejskiego spokoju. Miało się całkiem przeciwnie, nastrój bowiem, w jakim dumny Juliusz, po wyjściu od swej »dreczycielki«, spoglądał na wznoszący się nieopodal Łuk Tryumfalny, najchęćniej równał się zwątpieniu i rozpaczy...

Co do mnie, to, patrząc na tę architektoniczną *Heroikę* epopei Napoleńskiej (bo taka nazwa najlepiej odpowiada paryskiemu *l' Arc de Triomphe*), przedewszystkiem nie mogłem się opędnąć refleksyi, że nasz schyłek XIX wieku z pruską hegemonią tak się ma do jego początku z polityczną przewagą Francyi, jak brzydka berlińska *Siegessäule* do tego przewspaniałego Łuku; a następnie, w miarę, jakem się zbliżał do jego imponujących arkad, czułem jakby bohaterski powiew epoki Napoleńskiej, gdy to ów mąż, bóg wojny,

Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,
Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych,
Od puszczy Libijskich latał do Alpów podniebnych,
Ciskając grom po gromie, w piramidy, w Tabor,
W Marengo, w Ulm, w Austerlitz. . . .

i kiedy to ów Mickiewiczowski legionista, siadłszy za stołem, otoczon czeladką i rodziną ziemiańską, opowiadał, jak generał Dąbrowski

rodaków zbiera na Lombardzkim polu,
Jak Kniaziewicz rozkazy daje z Kapitolu,
I zwycięzca, wydartych potomkom Cezarów
Rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów. . .

Ozdobiony płaskorzeźbami, wyobrażającemi tytaniczne boje napoleońskie, oraz szeregiem napisów, które, wyryte na wewnętrznych ścianach arkad, przypominają wiekopomne bitwy i generałów-zwycięzców, Łuk tryumfalny, nazywany również *l'Arc de l'Etoile*, głosi nieśmiertelną sławę czasów z przed Kongresu Wiedeńskiego, czasów, gdy wielki Korsykanin budował i obalał państwa, nie przeczuwając ani Waterloo, ani Świętej Heleny.

Wśród napisów, zdobiących ten kamienny hymn na cześć francuskiego oręża, nie brak i nazw miejscowości polskich, upamiętnionych zwycięstwami wielkiej armii, jak np. Pułtusk, Gdańsk, Ostrołęka, Mohylów i Smoleńsk, tudzież nazwisk wodzów-polaków, wślawionych pod »małym kapralem«, jak Poniatowski (książę Józef), Kniaziewicz, Chłopicki (którego nazwisko przekreślono na Klopisky), Sułkowski, Zajączek (który się tu nazywa Zayonschek) i Dąbrowski.

Przechadzając się pod kolosalnemi arkadami Łuku

Tryumfalnego, kiedym tu, z oczyma wzniesionemi do góry, wypatrywał nazwisk polskich, przypomniałem sobie jeden koncert w Paryżu, w *Cirque d'été* na Polach Elizejskich, koncert, na którym znakomita orkiestra p. Lamoureux wykonała trzecią symfonię Beethovena. Myśląc o tym koncercie, prawie równocześnie zacząłem marzyć o innym, o koncercie mianowicie, który -by się odbył pod arkadami tego Łuku, a na którym olbrzymia — ustawiona pośrodku — orkiestra odegrałaby tylko jeden utwór: trzecią symfonię Beethovena, symfonię, którą sam Beethoven nazwał *Heroiką*, albowiem została napisana gwoli uczczenia Napoleona, na wieść o jego śmierci... Czyż ta symfonia nie powinna być zagraną *tutaj*, pod *temi* arkadami? Wyobrażam sobie, jakie wrażenie czyniłaby na słuchaczach, jak przejmująco rozlegałyby się jej patetyczne dźwięki, objając się o *te* ściany!

Ale marzenia, o które tak nietrudno pod sklepieniami tego Łuku, i tu mogą być narażone na prozaiczną walkę z rzeczywistością, nic z niemi najczęściej nie mającą wspólnego. Bo jakież związok może mieć z Napoleonem, Beethovenem, *Heroiką* i zwycięstwami wielkiej armii, pan Stanisław Koch, właściciel restauracji polskiej przy *Rue de la Glacière 20*, zwanej także *Pension des Etudiants*, restauracji, gdzie można dostać wszystkiego, co się nazywa potrawami narodowemi, poczynawszy od kapuśniaku i barszczu, a skończywszy na kołdunach litewskich i zrazach z kaszą hreczaną. Że jednak podobna »asocjacya idei« nie jest niemożliwą, doświadczyłem tego na sobie, kiedy, stojąc pod majestatycznemi arkadami Łuku Tryumfalnego, uczulem nagle prawdziwie wileczy apetyt... Ponieważ jadłodajnia p. Kocha także da się podciągnąć pod kategorię *rzeczy polskich w Paryżu*, więc nie zdawało mi się, bym popełnił herezję, udając się na *Rue de la Glacière*. Nie doznaje się tam wprawdzie tak podniosłych wrażeń, jak np. na widok grobu Napoleona w kościele Inwalidów, ale bądź co bądź jest to także wrażenie nie banalne, będąc w Paryżu, stołować się w restauracji, gdzie ze służbą można się rozmówić po polsku, gdzie przed jedzeniem można się napić starki litewskiej, przegryść ją serem *polskim* lub kiełbasą *krakowską*, a gdzie co czwartek można dostać takich samych flaków *gospodarskich*, jak w Warszawie. Nie jest to restauracya wykwintna, ale zdrowa, atmosfera zaś, która w niej panuje, zaostrza apetyt,

bo jest antidotem na nostalgię, na to uczucie, które natchnęło pierwsze wiersze *Pana Tadeusza*...

W galeryach Louvre'u, w oddziale rzeźby nowożytnej, również znajduje się nieco rzeczy polskich. Najznacniejszą z nich, najbardziej rzucającą się w oczy, jest posąg królowej Maryi Leszczyńskiej, która, jako żona Ludwika XV, zasłużyła sobie na miano *Męczennicy na tronie* — męczennicy dlatego głównie, że nie była piękną, że miała rysy nieregularne, a małżonek jej, nieodrodny syn Ludwika XIV, lubił tylko piękne kobiety. Stąd dysonanse, które o ile były obojętne rozpustnemu królowi, o tyle zatruwały życie szlachetnej córce Leszczyńskiego. Zdaje się, że Wilhelm Coustou, kiedy rzeźbił jej posąg, postanowił uwydatnić smutny wdzięk tej pięknej duszy, której tragedya stało się to, że jej cielesna powłoka nie była tak ponętą, jak ciała różnych kochanic tego rozpustnika na tronie... Jest to wielce udatna rzeźba, a lubo ją od stóp do głów cechuje maniera XVIII wieku, to jednak z wielką łatwością można pogodzić się z tą manierą, jeżeli się wspomni obrazy i sceny pasterskie Watteau.

O posągu Maryi Leszczyńskiej pod postacią Miłosierdzia, wykonanym przez Pajou, a znajdującym się w tejże »Sali Coustou«, co i poprzednia rzeźba, można powiedzieć to samo: jest to typowy *barok* w rzeźbie, równie zmanierowany, jak nie-szczery, pełen sentymentalizmu i jakiejś teatralnej emfazy, jednym słowem, absolutny kontrast prostoty w sztuce ¹⁾.

Minąwszy sale konwencyonalnych i afektowanych rzeźb XVII i XVIII stuleci, wstępuje się do prawdziwej świątyni rzeźby nowoczesnej, prawie współczesnej. Tutaj też, w sali Rude'a, którą właściwie należałoby nazwać salą wielkiego Carpeaux, znajduje się kompletna kolekcya słynnych medalionów Davida d'Angers, kolekcya, będąca królewskim darem syna wielkiego rzeźbiarza, a która, rozwieszona w pięknych

¹⁾ Oprócz tych dwóch posągów, przedstawiających Maryę Leszczyńską, posiada Louvre jeszcze dwa portrety tejże królowej: jeden pendzla Tocqué, drugi pendzla Vanloo. Oba te portrety, oznaczone numerami 557 i 330, znajdują się w »Muzeum Malarstwa« w t. zw. Drugiej Galeryi Francuskiej.

W tejże galeryi znajduje się piękny portret króla Stanisława Augusta, malowany przez panią Lebrun, a stanowiący dar p. Tripiec de Franc.

orzechowych ramach, zawiera także i kilka medalionów polskich: Tadeusza Kościuszki, sąsiadującego z jenerałem Bonapartem i Mussetem, Joachima Lelewela z r. 1844 i Adama Mickiewicza.

Ostatni medalion, jak świadczy napis z boku, został wykonany w Weimarze, w r. 1829, gdy podróżujący z A. E. Odyńcem twórcą *Konrada Wallenroda*, bawił w odwiedzinach u Goethego. Tam to poznali się z Davidem, który właśnie przyjechał do Weimaru, by zrobić portret sędziwego Jowisza poezyi. Zabrawszy znajomość z Mickiewiczem, tak nim był zachwycony, jako człowiekiem, że prędzej zabrał się do robienia jego medalionu, aniżeli medalionu Goethego. Oto, co w tej mierze pisze Odyńiec w swoich *Listach z podróży* pod datą d. 25 sierpnia 1829 r.: »Wróciwszy nad wieczorem do hotelu, zastałem go (Davida właśnie) już robiącego sylwetkę Adama; jutro zaś ma rozpocząć modelowanie biustu Goethego. Z pierwszych rysów można już poznać, że będzie bardzo podobna. Materjałem, z którego ją robi, jest kawał jakiejś czerwonej masy, nalepiony na miedzianej tabliczce; narzędziem zaś — prosta drzazga, oderwana od drewna do palenia, złożonego za piecem. Trafiałem na kontynuację obiadowej rozmowy, bo David nie wymaga w pozującym milczenia: owszem, chce i żąda koniecznie, aby on sam o pozowaniu zapomniał«. Tak pisze Odyńiec, a trzeba mu oddać sprawiedliwość, że wszystko w tych listach, co jest o pobycie w Weimarze, o Goethem i Davidzie d'Angers w stosunku do Mickiewicza, jest nietylko interesującym w najwyższym stopniu, ale i wiarogodnem... Nadmienić się godzi, że medalion Mickiewicza, sąsiadujący z medalionami lorda Byrona, Horacego Verneta i Piotra de la Roche'a, sąsiaduje również z wielkim medalem, wyobrażającym profil Goethego, a wiszącym o kilka kroków dalej, we framudze ogromnego okna. Dobrze by tu było mieć z sobą *Listy z podróży* Odyńca...

Z Louvre'u udałem się do kościoła *Notre Dame de Victoire*, a że obrałem najbliższą drogę, więc wypadło mi przejść przez ulicę i pasaż Radziwiłłowski. Ulica ta — *Rue Radziwill* — znajduje się niedaleko gmachu świątyni Molière'a, dom zaś, który się nazywa »pasażem Radziwiłła«, uchodzi za najwyższy w całym mieście: jest dziewięć-piętrowy. Oto, jak go opisuje nasz warszawski *Wędrowiec*: »Dom ten został wzniesiony około r.

1640 przez jednego z książąt Radziwiłłów, którzy w tych stro-
nach już przedtem nabyli znaczne przestrzenie. Ulica pierwotnie
zwała się: »rue Neuve-des Bonts-Enfants«. Oprócz domu
wspomnianego stały tu liczne hotele i zajazdy. Niegdyś był to
punkt bardzo ruchliwy. Podczas rewolucyi rezydencya radziwił-
łowska została zniesioną, a na jej miejscu postawiono właśnie dom,
należący obecnie do najwyższych w Paryżu. Główną oryginalno-
ścią domu tego są schody wewnętrzne, spiralnie wznoszące
się dwiema kondygnacyami. Na jedne wchodzi się od ul. de
Valois, na drugie zaś od ul. Radziwiłła. Dwie osoby, wcho-
dzące równocześnie, na każdym piętrze mijają się, lecz nie
mogą podać sobie ręki, w środku bowiem między obu kon-
dygnacyami znajduje się przestrzeń próżna, zakończona u góry
wielką latarnią, wznoszącą się na dachu, a dostarczającą świa-
tła na owe dziwne schody. Urządzenia podobnego niema w ża-
dnym innym domu paryskim. Fronty od jednej i drugiej ulicy
nie odznaczają się niczem charakterystycznym. Ściany ich są
proste, gładkie, nawet otwory okien pozbawione są zwykłych
gzemsów. Pasaż Radziwiłła zaliczonym jest w Paryżu do oso-
bliwości budowlanych.

Wspomniawszy o ulicy Radziwiłła, nie mogę przemilczeć
i o dwóch innych ulicach paryskich, także noszących polskie
nazwy: o *Boulevard Poniatowski* i *Rue Copernick*. Pierwszy z nich,
dochodzący do Sekwany, ciągnie się pomiędzy *Quai de Bercy*
i *Avenue Daumesnil*, stanowiąc część t. zw. bulwarów obwodo-
wych, które tworzą granicę Paryża; druga ciągnie się pomię-
dzy *Avenue Kleber* a placem d'Eylau.

Przeszedłszy ciemnym pasażem Radziwiłłowskim, popa-
trzywszy na owe osobliwe schody, którym podobnych niema
nigdzie podobno, znalazłem się na *Place des petits Pères* przed
frontonem kościoła *Notre Dame de Victoire*.

Jest to jeden z najslawniejszych kościołów we Francyi,
a sławę swą zawdzięcza cudownemu obrazowi Matki Boskiej,
obrazowi, który, wnosząc z niesłychanej liczby tabliczek dziek-
czynnych, pokrywających całe ściany wnętrza, musi istotnie
posiadać jakąś moc cudotwórczą... Sam kościół nie odznacza się
niczem osobliwym, chyba tem jedynie, że o ile inne świątynie
paryskie zwykle bywają puste, o tyle ten, o każdej porze
dnia, od rana do wieczora, bywa przepelniony pobożnymi, ci-
snącymi się przed cudownym obrazem Bogarodzicy. Gdyby się

nie znało innych kościołów paryskich, tylko ten, możnaby mniemać, że Paryżanie są najnabożniejszymi ludźmi, że nawet w dnie powszednie lubią przesiadywać po kościołach, palić świece przed obrazami, klęczeć przed ołtarzami, całować relikwie Świętych, spowiadać się przy konfesyonałach. Takie wrażenie robi ten wyjątkowy dom boży...

Dla nas jest on interesujący przez to, że w jednej ze ścian niedaleko wielkiego ołtarza wmurowano tu w roku 1854 piękną tablicę z białego i brązowego marmuru, nad którą się pali wspaniała lampa złota niegasnąca. Złote serce, przeszyte mieczami, zdobi górną część tablicy, a poniżej widać napis łaciński, zakończony pięknym odlewem brązowym, przedstawiającym herby Polski i Litwy. Sam napis brzmi, jak następuje: *28. Decembris a. d. 1854. declarata. pronuntiata. Definita et. in. corde. ejus. semper. sperantium. Votum. Polonorum. Hi-In-curribus et-hi-in-equis: nos. autem. in. nomine. Mariae. invocabimus.*

Ponieważ z kościoła *Notre Dame de Victoire* ma się nie więcej, niż pięć minut drogi na Plac Komedji Francuskiej, więc udałem się w tamtą stronę, na kawę czarną do *Café de la Regence*. Jest to najstarsza z kawiarni francuskich, a jako kawiarnia szachistów, cieszy się rozgłosną sławą nawet poza obrębem Paryża. Bo kto tu nie grywał w szachy! Dość wymienić Napoleona i Mickiewicza... Po za tem jest to lokal, w którym od bardzo dawna dają sobie zawsze *rendes-vous* Polacy. Jest to sława zasłużona, bo niema takiej pory dnia, żeby wpadłszy do *Café de la Regence*, nie zastać kogoś zaczytanego w *Czasie* lub *Dzienniku poznańskim*. Po tem poznaje się Polaków. Oczywiście, że do każdego z takich czytelników, choć się go nie zna osobiście, można podejść i poprosić — po polsku — o jedną z tych gazet «po przeczytaniu».

O godzinie 5-ej wsiadłem na *imperial* omnibusu, jadącego na Batignolles, a po upływie pół godziny znalazłem się na ulicy Lamandé, przy której pod Nr 15 mieści się jednopiętrowy gmach szkoły polskiej, z napisem nad żelazną bramą: *Ecole polonaise*.

Brama była zamknięta. Zadzwoniłem. Otworzył mi woźny Francuz, który, zapytany o p. Lasockiego, inspektora szkoły, odrazu zaprowadził mię na pierwsze piętro domu, stanowiącego lewe skrzydło niewielkiego dziedzińca. Pan Henryk Lasocki, emigrant z roku 1848, siwy staruszek o typowo polskiej fizy-

gnomii, z wąsami, z goloną brodą, w granatowej rogatywce na głowie, kiedyś, przedstawivszy się, oświadczył mu, co mię tu o tej porze sprowadza, był tyle uprzejmym, że odrazu ofiarował się sam pokazać mi wszystko, co szkoła posiada interesującego. Nie przypuszczałem nawet, że mu wizytą swą sprawię niezwykłą przyjemność. Okazało się jednak, że pan Lasocki, choć od szeregu lat pełni urząd inspektora szkoły, nie jest przyzwyczajony do podobnych odwiedzin, takich bowiem, coby, przyjechawszy do Paryża, byli ciekawi obejrzeć tutejszą szkołę polską, nie trafia się wielu... Pod tym względem zdaje się nie ulegać wątpliwości, że stoimy o wiele niżej, aniżeli nasi ojcowie i dziadowie, którzy *założyli* tę szkołę. Nam się nawet jej *ogłądać* nie chce!... Rozmawiając na ten smutny i upokarzający temat, zeszedliśmy na niewielkie podwórkó, ozdobione pięknym pomnikiem d-ra Seweryna Gałęzowskiego. Pomnik ten, pomysłu i roboty Cyprjana Godebskiego, stoi pośrodku dziedzińca, wśród klombu bluszczów, paproci i kwiatów, w cieniu pięknego jaworu. Jest to prawdziwe dzieło sztuki. Na wysokiej kamiennej podstawie, uwieńczonej herbami narodowymi, stoi brązowe popiersie twórcy szkoły; na froncie pomnika zaś, na sporym kamiennym występie, widać dwóch nagich chłopczyków z brązu, ślicznych, jako pomysł rzeźbiarski: gdy pierwszy siedzi z książką w ręku, drugi, uniósłszy się na palcach, z nogą na kupce kajetów i książek, jedną ręką wsparty o ścianę pomnika, drugą pisze na niej:

— *Młdzież polska we Francyi wychowana Dobroczyńcom swoim.*

Na kamiennym gzymsie, na którym widzimy tych dwóch chłopczyków, wyobrażających dźiatwę polską, czerni się napis francuski: *La France hospitalière.*

Kiedyśmy stali przed tym pomnikiem, p. Lasocki opowiadał mi historję tej szkoły.

— Pierwszym zawiązkiem jej — mówił — było *Towarzystwo narodowego wychowania dzieci wychodźców*, założone w roku 1841 przez jenerałów Dwernickiego i Sznajdęgo, przez posłów Biernackiego, Tyszkiewicza, Chełmickiego i Nakwaskiego, oraz przez byłęgo wizytatora szkół w Królestwie polskiem, Wincentęgo Kraińskiego. Oni założyli tę instytucję. Dar posła Ledóchowskiego, wynoszący 50.000 złp., umożliwił umieszczenie najpierw 18, a potem 27 uczniów w zakładzie francuskim w Châtillon-sous-Bagneux, gdzie stanowili osobny

oddział polski. Nareszcie w r. 1844 otworzono w Paryżu samym, przy ulicy Fossés-Saint-Jacques, obok Panteonu, wyłączną szkołę polską, pod dyrekcją Ksawerego Bronikowskiego. W roku 1845 szkoła ta została przeniesioną na Batignolles, a ofiary prywatne, tudzież spory zasilek ze strony rządu francuskiego, zapewniały byt szkole. Jakoż rozwijała się pomyślnie. Kierownikiem był Alojzy Biernacki, prezes rady szkolnej. Tak przeżyto krytyczny rok 1848. Od tej chwili zaopiekował się szkołą doktor i były profesor uniwersytetu wileńskiego, Seweryn Gałęzowski. Zawdzięczając jego energii, gorliwości i osobistym poświęceniom, nabyto w r. 1852 za fundusz 264.827 franków osobny dom przy bulwarze des Batignolles, a w r. 1859 za sumę, niemiejszą od poprzedniej, zakupiono jeszcze i przyległe place, tak, iż szkoła, licząca w owym czasie przeszło 300 uczniów, z drobnego zakładu wychowawczego stała się poważną instytucją naukową, z majątkiem, wynoszącym dwa miliony franków z górą. Opiekunem i protektorem szkoły został książę Napoleon, który, gdy został cesarzem Napoleonem III, uznał ją w r. 1865 dekretem cesarskim za instytucję użyteczności publicznej. Tymczasem zmieniali się dyrektorowie szkoły. Po księdzu Dąbrowskim pełnił ten urząd Hipolit Klimaszewski, od roku zaś 1853 był dyrektorem niedawno zmarły Stanisław Malinowski. Do rady szkolnej należeli najznakomitsi mężowie, począwszy od jen. Dwernickiego i Mickiewicza, a skończywszy na Bohdanie Zaleskim, Karolu Sienkiewiczu i Feliksie Wrotnowskim. Do r. 1867 wyszło z tej szkoły 918 uczniów. Z tych 237 otrzymało nagrody w Sorbonie i Liceum Bonaparte, 816 otrzymało nominacye, a 97 uzyskało wyższe naukowe stopnie. Z tej epoki pochodzi liczny zastęp byłych uczniów tej szkoły, zajmujących wybitne stanowiska w świecie, lekarzy, nauczycieli, urzędników i t. d. Po wojnie prusko-francuskiej, zarówno jak i po roku 1863, kwitnący dotychczas stan szkoły pogorszył się znacznie. W roku 1865 liczyła już 270 uczniów tylko, a w r. 1870 zaledwo 165. W końcu w r. 1874 okazała się konieczność sprzedania pięknych gmachów szkolnych przy bulwarze des Batignolles, które zastąpiono znacznie szczuplejszą posesją obecną. Od tego czasu liczba wychowañców szkoły znowu wzrasta. W roku szkolnym 1887—1888 mieliśmy 81 uczniów. Oczywiście, że i program nauk został po r. 1870 znacznie uszczuplony. Mimo to jest nasza szkoła i teraz jeszcze,

jak i dawniej, rodzajem liceum, w którym elementarne nauczanie 5-klasowe rozkłada się na dwa równoległe kursy: klasyczny i realny. Rozumie się samo przez się, że na pierwszym miejscu jest nauka języka i historii polskiej. Zresztą wszystkie wykłady odbywają się w języku fraucuskim. Głównym opiekunem szkoły jest w tej chwili dr. Gałęzowski.

Tak opowiadał p. Lasocki. Gdy skończył, przeszliśmy na drugi dziedziniec, znajdujący się za gustownymi żelaznymi sztachetami, o które się opiera pomnik. Tył tego dziedzińca, znacznie większego aniżeli pierwszy, stanowi długa oficyna poprzeczna, która, ozdobiona dwoma marmurowymi popiersiami Czackiego i Konarskiego, jest właściwym gmachem szkolnym. Tutaj znajdują się klasy, biblioteka, sale rysunkowe, gabinet fizyczny etc. etc., a także mieszkania internów. Ostatnich, prócz uczniów przychodzących, szkoła liczy kilkudziesięciu. Wszystko to oglądałem kolejno, oprowadzany przez p. Lasockiego, a jakiego uczucia doznawałem, zwiedzając te sale, patrząc na mapę Polski lub szereg obrazów, wyobrażających najgłówniejsze epizody z dziejów naszego narodu, widząc portrety królów od Mieczysława do Stanisława Augusta, w chronologicznym porządku porozwieszane na ścianach, to niech sobie czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa...

BIBLIOTEKA POLSKA W PARYŻU.

W najstarszej dzielnicy Paryża, na t. zw. wyspie św. Ludwika, nad sama Sekwaną, na malowniczym wybrzeżu Orleańskim, na lewo od arkad mostu de la Tournelle, a na prawo od gotyckich murów katedry Notre Dame, stoi zwykły dom czteropiętrowy o kilku oknach frontu, dom, oznaczony nr. 6, a tylko tem wyróżniający się wśród sąsiednich starych — przeważnie z XVII wieku — brudnych kamienic, że nad bramą widać podłużną tablicę z czarnego marmuru, z napisem *Bibliothèque Polonaise*.

Kiedy się stoi przed tym domem »Biblioteki polskiej« i gdy się zna historię naszego wychodźstwa po roku 1831, wtedy odrazu cały tłum emigracyjnych *schwankender Gestalten* staje przed oczyma duszy polskiego przechodnia... Dom ten bowiem, obok Hotelu Lambert, to dwie najwymowniejsze pozostałości po tak zwanej »starej emigracji«. Przypadek zdarzył, że obie znajdują się na wyspie św. Ludwika, w niewielkiej odległości od siebie.

I.

Było to w roku 1832. W Paryżu, który już od paru miesięcy był ogniskiem naszego wychodźstwa, zaroiło się od Polaków, zakotłowało się od burzliwej atmosfery,

Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów,
Zapóźnych żalów, potępięńczych swarów.

»Powstanie się nie udało -- powiada St. Barzykowski — więc koniecznie chciano mieć winnych; fałsz i potwarz szeroko się rozpostarły«.

Z fermentu tego, z biegiem lat, w miarę stygnących namiętności, poczał się wytwarzać *sui generis* organizm społeczny, trafnie przez ks. Waleryana Kalinkę nazwany »narodem w miniaturze«; a że naród, jeśli jest narodem cywilizowanym, nie może uspołecznić się bez pewnych instytucyj, więc i emigracya nasza — według pięknego wyrażenia p. Ludomira Gadona — gdy jej namioty pozrywały wichry złudzeń i zawodów, gdy przyszła zima nieziszczonych nadziei, musiała pobudować domy, potworzyła szereg instytucyj publicznych.

Jedną z takich instytucyj, zainicyowanych *pro publico bono*, było »Towarzystwo literackie«, założone w kwietniu 1832 r. przez garstkę ludzi inteligentnych i wybitnych, »którzy ręką, pozbawioną teraz szabli lub bagnetu, chwytali za pióro«. Ostatnie wyrażenie nie jest zwykłym retorycznym frazesem, jeśli się zważy, że pierwszymi założycielami rzeczonoego Towarzystwa *literackiego* byli przeważnie *wojskowi*, jak generał Bem, jen. Umiński i paru innych. Choć w niem nie brakło i ludzi pióra, jak Albert Grzymała lub Teodor Morawski, to jednak i ci mieli świeże wspomnienia czynnej służby wojskowej... Prawie wszyscy nosili mundury, w których chadzali nawet i teraz jeszcze po paryskim bruku. Stąd poszło, że główny cel, w jakim się zawiązało Towarzystwo *literackie*, a streszczający się w słowach: »zbierać i ogłaszać materyały, tyczące się dawnego Królestwa polskiego, jego obecnego położenia, lub przyszłej pomyślności« — był polityczny raczej, niż literacki. Gdyby rzecz miała się przeciwnie, można być pewnym, że prezesem obranoby literata, np. J. U. Niemcewicza, w którym czczono nietylko Nestora literatury i poezyi, ale i ostatniego prezesa warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk; tymczasem autora *Śpiewów historycznych*, który wtedy bawił w Londynie, tylko »powołano do swego grona«, a na prezesa wybrano męża stanu, księcia Adama Czartoryskiego. Wybór ten, dokonany pod niebytność księcia, również przebywającego nad Tamizą, niemniej był znamienny, jak wybór wice-prezesa, na którego obrano kasztelana Ludwika hr. Platera, także polityka.

W takich warunkach nie dziw, że nastrój, panujący zarówno na pierwszym posiedzeniu tego Towarzystwa *literackiego*,

odbytem w dniu 3 maja 1832 r., jak i na następnych, odbywających się co czwartek, bądź w mieszkaniu prezesa lub wiceprezesa, bądź u któregokolwiek z innych wybitniejszych członków, był politycznym na wskrós, nie literackim; że na tych posiedzeniach nie »bawiono się w literaturę«, jeno »robiono politykę«; że na nich, zamiast czytać poezye lub artykuły beletrystyczno-literackie, odczytywano prozaiczne artykuły dziennikarskie, przygotowywane do dzienników francuskich, lub wyjątki z pism zagranicznych, omawiających kwestyę polską. Rzecz charakterystyczna, że sesye te, w ciągu dwóch pierwszych lat, odbywały się w języku francuskim...

W roku 1836, z inicjatywy J. U. Niemcewicza i Karola Sienkiewicza, których wrodzona »żyłka literacka« cierpiała na tem rozpolitykowaniu się *Towarzystwa*, podzielono je na dwa wydziały: statystyczny i historyczny, z których pierwszy miał więcej polityczny, drugi zaś więcej literacki charakter.

Na prezesa nowo-utworzonego wydziału historycznego obrano J. U. Niemcewicza; sekretarstwo powierzono Karolowi Sienkiewiczowi. Ten ostatni, wzięwszy sobie za dewizę życia, że »niekażda bomba pęka, niekażda kula uderza, ale każda książka trafia«, stał się niebawem duszą i główną sprężyną całego wydziału. Gorliwy i pilny, a pełen energii, której nie można było wymagać od sędziwego autora *Jana z Tęczyna*, był nietylko sekretarzem, ale i rozstrzygającą instancją w sprawach wydziału: od niego zależało wszystko, wszystko musiało iść wedle jego myśli i woli, tak dalece, iż niejednokrotnie Niemcewicz, gdy się z czemś zgłaszało do niego, jako prezesa, mawiał z tą dobrotliwą jowialnością, która mu była właściwą: »Idź do Sienkiewicza. To mój Metternich«. Nie znaczyło to, ażeby Niemcewicz był tylko *malowanym* prezesem: przeciwnie, był on, bądź co bądź, owem słońcem, około którego obracał się cały system planetarny spraw całego wydziału. Z wieku mu i z urzędu należał się ten zaszczyt... Przedewszystkiem w jego mieszkaniu, przy ulicy Saint Nicolas d'Antin nr. 55, odbywały się posiedzenia wydziału. Zbierano się co parę tygodni, wieczorami, a spędzano je w ten sposób, że słuchano sprawozdań miesięcznych, naradzano się o pracach, odczytywano ciekawsze wypisy historyczne — w streszczeniu albo wyjątkach — lub zdawano sprawę z nowych dzieł, ukazujących się w obcych językach, a traktujących o Polsce. Niemcewicz wywiązywał się ze

swego zadania, jako prezes, wzorowo, a należąc do tych, co najregularniej uczęszczali na wszystkie posiedzenia, ożywiał je »nietylko samą obecnością swą, łagodną, dobroduszną twarzą, owianą długimi kosmykami białych włosów i dobrym humorem, ale i przemowami, odczytywaniem swych prac wierszem i prozą, tudzież rozlicznymi wiadomościami, czerpanymi z długiego doświadczenia i wspomnień«. Przyjaciel Niemcewicza, generał Kniaziewicz, także nie opuszczał ani jednego z tych literackich posiedzeń wydziału.

Podobny stan rzeczy trwał przez dwa lata. W lutym 1838 roku, wychodząc z założenia, że literatura historyczna jest »najistotniejszym pierwiastkiem narodowości, że ona podnosi, uzacnia i oświeca myśl obywatelską, słowem, że jest mistrzynią życia«, uchwalono, iż głównym celem *wydziału historycznego* jest gromadzenie wszelkich materyałów historycznych polskich ze źródeł zagranicznych i uformowanie z nich archiwum historycznego polskiego. Co skłoniło wydział do podobnej uchwały? L. Gadon w swojej pięknej pracy *Z życia Polaków we Francji* takie daje wyjaśnienie w tej kwestyi: »Różnego rodzaju stosunki, zawiązane od kilka wieków, przymierza i związki rodzinne królów, wojna i dyplomacya, religia, nauki, handel, podróże, łączyły polską z zachodnią Europą i po wszystkich krajach zostawiły wielorakie ślady. W samych archiwach i bibliotekach Paryża kryły się niewyczerpane kopalnie dla poszukiwań historycznych. Myśl więc, powołująca *Wydział historyczny* do życia, była trafną i słusznie mogła obiecywać plon obfity i pożyteczny«. W myśl powyższego założenia, wydał Niemcewicz d. 5 maja 1838 r. odezwę, w której pisał między innymi, co następuje: »Cel nasz; nie wątpim, przez każdego zacnego Polaka pochwalonym, popartym zostanie. Imię każdego, który co miesiąc poświęci kilka godzin na przepisanie kilku kart do historyi naszej, na teźże karcie zapisane, w późnych latach obudzi rzewne wspomnienie; bo takowa praca nasza, prócz historycznej wartości, zostanie wiarogodnym świadkiem, że nam, na ziemi wygnania, po modlitwie do Boga, pamięć na Ojczyznę była najlepszą pociechą w dolegliwościach naszych...«. Jak dalece myśl ta trafiła do przekonania »ogółu« emigracyjnego, o tem świadczy skwapliwość, z jaką się nasi wychodźcy zabrali do wskazanej pracy: jedni się zajęli *kwerendą*, t. j. wyszukiwaniem, przeglądaniem i przepisywaniem źródeł historycznych, rozproszonych po

bibliotekach, archiwach i zbiorach manuskryptów, zarówno publicznych, jak prywatnych; inni zaś, składając wypisy, które, wzorem słynnych *Tek Naruszewicza*, sporządzano na arkuszach papieru jednostajnego formatu, kolekcjonowali je, segregowali, a czyniono to nie tylko w Paryżu i po innych miastach francuskich, lecz i w Londynie, gdzie pod prezydenturą Lacha Szyrmy zorganizowane w tym celu „grono” eksploatowało zbiory *British Museum* i miejscowego archiwum rządowego.

Ale przepisane materiały do dziejów Polski, jak i książki, których się gromadziło coraz więcej, domagały się odpowiedniego pomieszczenia, a przytem chodziło i o to także, ażeby nagromadzonego światła o ile możności nie ukrywać pod korcem: dotychczasowe zbiory, rozproszone po mieszkaniach prywatnych, wielce utrudniały oryentowanie się w nich. Przydałby się osobny lokal dla nich. Od tego przeświadczenia, z którego sobie niektórzy członkowie Towarzystwa, jak Sienkiewicz np., jasno zdawali sprawę, był tylko jeden krok do myśli założenia biblioteki. Krok ten uczyniono na posiedzeniu z d. 24 listopada 1838 r., na którym zgodzono się na zlanie odrębnych zbiorów, oraz spisano akt fundacji, tworzący Bibliotekę publiczną polską, której gwałtowna potrzeba ogólnie dawała się uczuć... W ten sposób powstała *Biblioteka Polska*, której prezesem mianowano księcia Adama Czartoryskiego, a do t. zw. Rady bibliotecznej powołano Niemcewicza, Kniaziewiczza, Sienkiewiczza i Morawskiego. Najęto lokal przy Rue Duphot nr. 10, a że lokal był pusty, więc zaczęto się krzątać około umeblowania: Niemcewicz podarował zegar ścienny, jen. Mycielski dał 50 franków na fotel prezydyalny, Kurowski ofiarował firanki, a niebawem znalazły się i krzesła, na które każdy z członków złożył po 3 franki. Jednocześnie zaczęto znosić książki, których kolekcya szybko powiększała się nowymi darami. Nadmienić się godzi, że nie tylko książki ofiarowywano do zbiorów Biblioteki: za przykładem Kniaziewiczza, który jej ofiarował 110 odcisków medalów rzymskich, płynęły ofiary w formie starych monet polskich, rycin, etc.

W podobnych warunkach, w niedzielę dnia 24 marca 1839 r. odbyło się uroczyste i publiczne otwarcie nowej instytucji, zagajone przez J. U. Niemcewicza, który, wobec liczego grona zebranych gości, opowiedziawszy pokrótce, jakie były pobudki, skłaniające Towarzystwo do założenia Biblioteki, za-

kończył w te słowa: »Może ktoś, bacząc wielkość zamiaru, a szczupłość sił naszych, z litością spoglądać będzie na nasze przedsięwzięcie i zwątpi o powodzeniu onegoż. Lecz my mamy już przykład. Przed stu laty, Załuski, później biskup kijowski, jak my, wygnaniec, za Leszczyńskiego, jak my, przyjęty gościnnie we Francyi, tu powziął myśl zebrania biblioteki dla Polski, tu dzieło rozpoczął i dokazał swego. Sławna Biblioteka Załuskich, podobny więc obecnemu zakładowi wzięła początek«.

Odtąd na zwyczajnych posiedzeniach, które się odbywały co tydzień, gromadziło się w niewielkiej salce przy ulicy Duphot po 15 lub 20 osób, sposób zaś, w jaki tu spędzano czas, był nie tylko przyjemny, ale i pożyteczny dla zgromadzonych. Barzykowski i Dembiński czytawali wyjątki ze swoich wspomnień o r. 1831; Niemcewicz, zawsze gorliwy w wypełnianiu swych obowiązków wice-prezesa, często odczytywał swe bajki, co także czynił i Ant. Górecki; Witwicki czytywał wyjątki ze swych *Wieczorów pielgrzyma*: słowem, wszystkoby szło jak najskładniej, gdyby...

Niestety, jak wszędzie, tak i tu znalazło się fatalne *gdyby*. Było niem — komorne, pochłaniające prawie całkowite dochody Biblioteki. Na szczęście umiano trafić do życzliwego nam p. Villemain, prosząc go, ażeby swym wpływem wyjednał bezpłatny lokal w którymkolwiek z gmachów skarbowych, a choć tego nie udało się przeprowadzić, jednak wskórano tyle, że rząd francuski udzielił pieniężnego zasiłku na pokrycie komornego. Tymczasem przeniesiono się na ulicę Surène nr. 10, ale i tu nie pozostano zbyt długo, bo już po roku przeniesiono się na ulicę Saussaie nr. 8, do pięknego lokalu na pierwszym piętrze. Tutaj pozostano dwa lata...

W ciągu tego czasu, d. 21 maja 1841 r., umarł J. U. Niemcewicz, a w rok po nim, d. 9 maja 1842 r., jen. Kniaziewicz; śmierć dwóch tych »patryarchów pielgrzymstwa polskiego« odbiła się i na losach Biblioteki, która odtąd, choć niebawem dojdzie do okazałej liczby 15.000 tomów, zacznie chromać i jakby cierpieć na anemię. Przedewszystkiem zarządzono nowe przenosiny na ulicę Faubourg St.-Honoré nr. 3, do tańszego wprawdzie, niż poprzedni, ale ciasnego i niewygodnego lokalu, co, wobec rosnących zbiorów i niedostateczności obsługi, bardzo wiele pozostawiającej do życzenia, niekorzystnie zaczęło wpływać na zwykłe sesye, zważywwszy, że sesye te (choć nie tak licznie

uczęszczane, jak za życia Niemcewicza), musiały się odbywać w izbie, zavalonej stosami książek, co niejednego odstręczało od regularnego brania udziału w posiedzeniach. To samo dało się powiedzieć i o zebraniach nadzwyczajnych, na które zwykle, co 3 maja i 29 listopada, w lokalu Biblioteki, po nabożeństwie w kościele Saint Germain des Près przy grobowcu Jana Kazimierza, gromadziło się liczniejsze grono członków i zaproszonych gości. Posiedzenia te, z powodu szczupłości lokalu, wiele straciły na pierwotnej świetności zewnętrznej. Na domiar złego, które — niby filoksera — zaczęło podgryzać korzenie bytu Biblioteki, rząd francuski, przy pierwszej zmianie ministerstwa, cofnął zasilek, którego corocznie udzielał na opłacenie komornego, co sprawiło, że musiano wydatki, a nawet i zakupno książek, ograniczyć do minimum. Jak dalece kłopotliwym było ówczesne położenie Biblioteki, o tem świadczy fakt, iż kiedy w tym czasie *Towarzystwo literackie* otrzymało bogaty spadek po Wojewodzie Macieju Wodzińskim, zmarłym w Dreźnie, spadek, wynoszący 4.514 tomów książek, 10.562 rycin, oraz zbiór numizmatów i medali, musiano zaniechać natychmiastowego sprowadzenia tych zbiorów, albowiem nie pozwalały na to szczupłe fundusze... Gorszym jeszcze, aniżeli ten rak finansowy, toczący organizm Biblioteki, był rak moralny, który ją od roku 1841 podkopywać zaczął, mianowicie towianizm, który się wtedy zaczął szerzyć wśród emigracyi, a opanował i wielu członków Biblioteki, począwszy od jej wiceprezesa, a skończywszy na innych »kolaboratorach«.

To była jedna strona medalu. Na szczęście znalazła się i druga, dodatnia. Oto Biblioteka, lubo jej puls bił słabiej, aniżeli wtedy, gdy nad nią czuwał Niemcewicz, jednak się rozwijała stopniowo, powoli wprawdzie, ale bądź co bądź nie cofała się w swym rozwoju, ani stała w miejscu. Dowodem tego był nieustający wzrost książek, dochodzący do 20.000 tomów, »wzrost śliczny, zadziwiający, zwłaszcza przy tylu przeciwnych warunkach!« A przytem zaczęli i cudzoziemcy interesować się Biblioteką. W roku 1851 przychodził często Michelet, który tu znalazł sporo materiału do swojej *Légende de Kościuszko*. Około tego samego czasu, przyprowadzony przez hr. Wł. Zamoyskiego do Biblioteki Prosper Merimée, nietylko w niej znalazł to, czego szukał, a czego nie mógł znaleźć w innych księgozbiorach paryskich, ale, dowiedziawszy się o jej krytycznem po-

łożeniu, gorliwie zajął się sprawą, ażeby rząd uznał Bibliotekę za instytucję użyteczności publicznej.

Jednocześnie poczęła kiełkować ulubiona myśl Karola Sienkiewicza, ażeby otworzono składkę na *Dom polski w Paryżu*, dla pomieszczenia w nim zbiorów narodowych, a zarazem i zbiorów Biblioteki, której w obecnych czasach groziło niebezpieczeństwo rozpadnięcia się, niebezpieczeństwo, że wszystkie dotychczasowe skarby, nagromadzone w zbiorach Biblioteki, zebrane z takim mozolem, a chronione z takim trudem, będą musiały być usunięte od użytku emigracji, skazane na butwienie w skrzyniach gdzieś pod strychem. Wobec takiej sytuacji, odżyła myśl o ufundowaniu wielkiego zakładu w domu kupionym, może nawet umyślnie w tym celu wybudowanym, na gruncie, otrzymanym od rządu, gdzieś w dzielnicy Pól Eliżejskich. Miało to być — według projektu Sienkiewicza — ogólne *Asylum* polskie, z pomieszczeniem na bibliotekę, na szkołę, na kaplicę, na przytułek dla weteranów, na kasy rozmaitych stowarzyszeń polskich paryskich, i wreszcie na redakcję pisma polskiego. Pośrodku tego *Gmachu Polskiego* — który Sienkiewicz już widział w swej wyobraźni — miał się wznosić posąg księcia Ad. Czartoryskiego, jako głównego opiekuna tej narodowej instytucji. Tak się przedstawiało marzenie Sienkiewicza, marzenie, które uważał za możliwe do urzeczywistnienia...

W tem przekonaniu, na sesji w dniu 12 marca 1851 r. odczytał projekt odezwy do rodaków, w której obszernie rozwozdił się nad potrzebą i znaczeniem bibliotek, nad ich wpływem na oświatę publiczną, poczem wszczęła się dyskusya o składce na dom dla Biblioteki. Na tejże sesji wybrano t. zw. komisję składkową, która niebawem, bo już d. 8 kwietnia, wydała odezwę, nawołującą do datków na kupno domu w Paryżu. »Dom własny polski — brzmiało zakończenie tej odezwy — będzie najdosłojniejszą formą przybytku myśli polskiej... Człowiek i naród nie samym chlebem żyje. Wznosić się do potrzeb narodowych, moralnych i zadość im czynić, to znak prawdziwy życia obywatelskiego...« Odezwę tę, wydrukowaną w licznych egzemplarzach, rozesłano po całej Europie, po całej Francyi, Anglii i Niemczech, wszędzie, gdzie przebywali nasi emigranci, a niebawem poczęły napływać do kasy Biblioteki »serdeczne Habdanki«. Z początku płynęły wcale raźnie, tak, iż do czerwca

wpłynęło przeszło 10.000 franków, które w końcu roku wzrosły w dwójnasób. Ale słomiany ogień pierwotnego zapału począł gasnąć z nadejściem roku 1852, bo, »jak u nas najczęściej bywa, *more polonico*, po pierwszych chwilach zajęcia i ochoty, i w tej rzeczy nastąpiło zwątpienie i ostygnięcie. Nie zbierzenie, mówiono, potrzebnej sumy 100.000 franków, za mniejszą domu nie kupicie, i cóż się stanie z zebranymi pieniędzmi?« Na szczęście zdarzyło się tak, że właśnie hr. Wład. Zamoyski, prezes komisji składowej, poszukiwał mieszkania dla siebie i w tym celu pertraktował o kupno domu przy Quai d'Orléans nr. 6, który można było nabyć na bardzo korzystnych warunkach. Wobec wątpliwości i trudności, z jakimi musiała walczyć komisya, »jenerał« wystąpił z projektem nabycia tego domu dla Biblioteki, w ten sposób, żeby i on mógł w nim mieć swoje mieszkanie; za to podejmuje się całą sumę, przenoszącą zebrany fundusz, pokryć z własnej kieszeni. Zdawałoby się, iż kombinacya była bardzo pomyslna dla Towarzystwa, a jednak znalazło się całe grono członków, z Sienkiewiczem na czele, które stanowczo oświadczyło się przeciwko temu projektowi. Większość jednak, pod przewodem księcia Adama Czartoryskiego, oświadczyła się za użytecznością i potrzebą nabycia proponowanego domu, za czem poszło, że układ z hr. Wł. Zamoyskim, tymczasowo nominalnym właścicielem domu, nabytego za sumę 90.000 franków, doszedł do skutku; Sienkiewicz zaś, nie mogąc postawić na swoim, usunął się od kierownictwa Biblioteką¹⁾. Była to wielka strata, ale wobec korzyści, jakie przedstawiał układ z hr. Zamoyskim, musiano zrezygnować z usług swego dotychczasowego bibliotekarza, albowiem liczone się z niezaprzeczalnym faktem, iż ostatecznie, dzięki tej kombinacji, osiągnano cel, do którego Towarzystwo dążyło od tak dawna: zyskiwano stałe siedlisko.

Siedliskiem tem, tak pożądanem, było całe drugie piętro nowonabytego domu przy Quai d'Orléans, do którego też zaraz, po skończonych układach z hr. Zamoyskim, zaczęto przenosić książki i zbiory Biblioteki (aż dotąd spoczywające w starym lokalu przy ulicy des Saussiers). We wrześniu 1854 r. czytelnia

¹⁾ Ciekawym przyczynkiem do tego sporu jest broszura Klaczki *O szkole polskiej w Batignolles*, broszura, w której autor namiętnie napada na hr. Wł. Zamoyskiego...

biblioteczna, zamknięta w grudniu roku zeszłego, została otwartą na nowo.

Jednocześnie prawie, w lutym 1854 roku, na wniosek wiceprezesa *Towarzystwa historycznego*, Teodora Morawskiego, autora *Dziejów narodu polskiego*, nastąpiło zlanie się obu Towarzystw, *Historycznego* i *Literackiego* w jedno *Towarzystwo historyczno-literackie*, z prezesem Adamem Czartoryskim.

Odtąd datuje się nowa epoka w dziejach Biblioteki.

Tymczasem wybuchła wojna krymska, za czem poszło, że chwilowo, dopóki rozbudzone nadzieje naszego wychodźstwa, gorączkowo śledzącego przebieg tej niepewnej walki, nie skończyły się zupełnem rozczarowaniem, *Biblioteka polska* musiała zejść na drugi plan wobec »sprawy wschodniej«. Wprawdzie nie próżnowali ci, co stanowili zarząd Biblioteki, zajęci jej uorganizowaniem wewnętrznem, ustawianiem szaf i pulek, układaniem książek, znaczeniem, segregowaniem i spisywaniem najważniejszych, ale i oni, jak całe wychodźstwo, pozostałe nad Sekwaną, mieli myśl zaabsorbowaną tem, co się w danej chwili działo nad Dunajem i morzem Czarnem, gdzie się organizowały nowe legiony polskie, gdzie przebywał hr. Władysław Zamoyski, Mickiewicz i wielu innych członków *Towarzystwa historyczno-literackiego*.

Po wojnie krymskiej zaczęła się na drugim piętrze domu przy Quai d'Orléans epoka *Wiadomości polskich* i *Komitetu wydawniczego*, epoka, której głównymi filarami intelektualnymi byli Kalinka i Klaczko, a którą w dziejach *Biblioteki polskiej*, jeśli chodzi o produkcyjną pracę w dziedzinie literatury i publicystyki, wypadnie nazwać najświetniejszą, bo brzemioną takimi czynami, jak wydanie: 1) *Karty dawnej Polski*, 2) *Żywota J. U. Niemcewicza*, przez ks. Ad. Czartoryskiego (o którym to *Żywocie* Klaczko napisał tak świetne sprawozdanie w *Wiadomościach polskich*) 3) *Podróży historycznych po ziemiach polskich*, J. U. Niemcewicza, 4) *Relacyj nuncyuszów apostolskich*, 5) francuskiego dzieła ks. Lescoeur o *Kościółce katolickim w Polsce* (które tak po mistrzowsku streścił Kalinka w *Wiadomościach polskich*), i wreszcie 6) wszystkich *Dzieł Adama Mickiewicza*, zebranych i przygotowanych do druku przez Januszkiewicza i Klaczkę. Wszystko to odbywło się na tle obywatelskiej walki, jaką z naszą niedojrzałością polityczną toczyły *Wiadomości polskie*

pismo, które choć miało tylko stu prenumeratorów, było ideałem czasopisma politycznego polskiego.

Wiadomości polskie przestały wychodzić w r. 1861. W tymże roku, w dniu 3 maja, jak zwykle, odbyło się uroczyste posiedzenie *Towarzystwa historyczno-literackiego*, ostatnie, któremu przewodniczył 90-letni książę Adam Czartoryski, a już owiane tą niepokojącą atmosferą, która poprzedziła wybuch powstania styczniowego. Mowa, którą na tem posiedzeniu wypowiedział sędziwy prezes, mowa, jedna z jego najpiękniejszych i najwznioślejszych, a będąca nie tylko jego śpiewem łabędzim, ale i jego testamentem politycznym zarazem, wzywała do rozwagi, zaklinając naród polski, ażeby »odrzucił pokusy, odpychał jątrzące drażnienia...« Niestety, przestrogi księcia, który wkrótce potem odszedł do lepszego świata, były grochem, rzucanym na ścianę... Przyszłszy rok 1863 i naród, wbrew zakłębom »staro Czartoryskiego«, zerwał się do boju, niepomny tego ustępu z mowy księcia, w którym go tenże odwoził od »zstępowania do bitew niższego rzędu«. Stało się nieszczęście, bo cały byt narodowy postawiono na jedną kartę, choć była prawie pewność, że ta karta nie jest atutem. Cokolwiek da się powiedzieć o tej »zbrojnej demonstracji«, będącej tragiczną przegraną narodu i polityki Wielopolskiego, *Biblioteka polska* miała najzupełniejsze prawo stosować do siebie, przez cały ciąg trwania tej fatalnej burzy, przejmując słowa *Testamentu* Słowackiego: »Póki okręt tonął, ja stałem na maszcie!« Bo i ona stała na maszcie! W lokalu jej, zamkniętym dla publiczności, zasiadało i obradowało t. zw. *Biuro polityczne*, a jaką rolę grali w tem »biurze« Kalinka i Klaczko, o tem można się dowiedzieć z pięknej książki St. Tarnowskiego o Waleryanie Kalince...

Gdy powstanie upadło, rozwiązało się zbyteczne już Biuro polityczne; natomiast *Biblioteka polska*, otwarta d. 9 maja 1864 r. zaczęła żyć nowem życiem, które, choć dalekie od pogody Dan-tejskiej *Vita nuova*, przecież tętniało żywszem tętnem, niż kiedykolwiek. Liczba członków, upadająca przed r. 1863, teraz, z wpływem najmłodszej emigracji, poczęła wznosić się szybko, za czem poszło, że i zwykle zebrania comiesięczne ożywiły się znacznie, że się zaczęła epoka zajmujących odczytów, ożywionych dyskusyj politycznych, etc. etc. Jednocześnie Kalinka i Januskiewicz przystąpili do porządkowania księgozbioru Biblioteki, do segregowania książek, które układali według

przedmiotów, słowem, zaczynał się okres w historii Biblioteki który należał do jej najpomysłniejszych, najżywotniejszych.

Okres ten, pomimo wyjazdu Kalinki i Januszkiewicza, którzy w r. 1865 opuścili Paryż, przeciągnął się jeszcze i w lata następne, kiedy Biblioteką opiekował się głównie Bronisław Zaleski. Była to epoka, gdy *Towarzystwo historyczno-literackie* zaczęło wydawać swoje *Roczniki*, których redagowanie powierzono Bronisławowi Zaleskiemu, a których zawartość świadczy wymownie, iż »duchaśmy nie dali«. Oto, co o tych *Rocznikach*, których wyszło sześć dużych tomów, i o ich redaktorze pisze p. Ludomir Gadon: »Stał się on teraz duszą Towarzystwa i głównym jego pracownikiem, a *Roczniki* nasze, które czytająca publiczność z uznaniem przyjęła, on — rzecz można — stworzył, redagując je wyłącznie własnymi siłami i w wielkiej części zapełniając własnymi pracami. Dział końcowy poświęcał w nich stale wspomnieniom pośmiertnym o zgasłych na emigracyi — *zmarłych na wychodźctwie* — ratując w ten sposób nie, jeden żywot wychodźczy od zupełnego zapomnienia. Rzewne jego słowa, jak poświęcone krzyżyki cmentarzy naszych, strzegą tych rozproszonych mogił i unoszą się nad niemi, jakby szelest wierzby polskiej!« W tym samym czasie prawie, gdy wyszedł pierwszy tom *Roczników*, Napoleon III wydał dekret cesarski, datowany d. 10 czerwca 1866 roku, uznający Bibliotekę polską, jako *Institution d'utilité publique*.

Upłynęło lat cztery. Wybuchła wojna francusko-pruska. Zaczęło się obleżenie i bombardowanie Paryża, a potem komuna. Nad *Biblioteką polską*, jak drapieżny ptak nad gołębiem, zawisło niebezpieczeństwo, w jakim się jeszcze nie znajdowała dotychczas ani razu, nawet w roku 1848, gdy na pobliskim placu Bastylii gorzał tron Ludwika-Filipa.

Oto, jak to niebezpieczeństwo opisuje jeden z naocznych świadków jego, autor pięknego dziełka *Z życia Polaków we Francyi*.

»Z wybuchem wojny prusko-francuskiej r. 1870 zaszła nowa półtoraroczna przerwa w naszych zajęciach: obecni zwykle w Paryżu nasi członkowie, albo na ten czas opuścili miasto, albo sami w obronie jego wzięli do rąk karabin. Pozostali tylko przy Bibliotece zwykli obowiązkowi jej stróże, i nieodrywani teraz przez zwykłą usługę publiczności, uzupełniali porządkowanie naszych zbiorów. Po zawieszeniu broni, Bronisław Za-

leski, cierpiący i wyczerpany na siłach, musiał oddalić się z Paryża, adjunkt jednak i pomocnik jego, pp. Wrześniewski i Borowski, codzień regularnie przybywali do Biblioteki, strzedz jej i pracować; tylko w ostatnim tygodniu komuny, kiedy już zbrojne patrole zatrzymywały przechodniów, kiedy ulice Paryża pokryły się barykadami, już nie mogli dotrzeć do Quai d'Orléans. I u wejścia na most, tuż przed Biblioteką polską, stanęła ogromna barykada i oczywiście stała się nam powodem niemałego niepokoju i obaw. Od trzech dni już wojsko regularne było wtargnęło do Paryża; z dwóch stron, od płonącego ratusza i od arsenału, wiały ku nam kłęby dymu i tona pożaru; z każdą chwilą walka uliczna zbliżała się do naszej części miasta.

»Jeden z pozostałych w mieście członków rady ¹⁾, mający sobie powierzoną kasę Towarzystwa, właśnie gdy szedł złożyć ją w miejscu bezpieczniejszem, zostaje przez kilkunastu komunardów, pod błędnym, czy zmyślnym pretekstem, porwany. Rozjuszona bitwą i trunkiem banda zamiaru natychmiastowego rozstrzelania nie spełnia wprawdzie, ale odprowadza go do głównej kwatery i tam go do ciemnicy wtrąca. Wśród straszliwego zamieszania i wrzawy boju, zapomniano jednak rewidować go i odjąć kosztowności lub pieniądze, jak wszystkim innym więźniom. Pod koniec dnia, dzięki szczęśliwym okolicznościom, udało się naszemu członkowi ocalić się i mimo barykad i strzałów, wrócić do siebie. Znajdujące się przy nim fundusze Towarzystwa, niezamówne wprawdzie, ale stanowiące cały jego zapasik, zostały nietknięte... Nazajutrz z rana, dnia 25 maja, opuszczona dotąd barykada, o której mówiliśmy, zaczyna się ożywiać. Czyż będą jej bronić?... Ale co gorsza, koło godziny 9-tej kilkunastu komunardów zatacza armatę i ustawia ją za improwizowanym szańcem. Więc będzie bój armatni... Ależ co stanie się wtedy z domem naszym, z Biblioteką naszą, wprost całym frontem na postrzałę wystawioną?! W godzinę później z okna postrzegamy po drugiej stronie Sekwany tłumy komuny, pierzchające ku Jardin des Plantes; w ślad za nimi sunie rzeką Łódź kanonierska, z ogromnego działa ostrzeliwując most Austerlicki; obrońcy barykady przed Biblioteką snadź poznają, jaki obrót rzeczy biorą: spieszenie porywają armatę

¹⁾ Czy nie sam Ludomir Gadon?

i wprowadzają tylną uliczką. Barykada znowu opuszczona i nie broniona. Dzięki Ci, Boże! Najgroźniejsze niebezpieczeństwo minęło! W kilka chwil później wojsko francuskie zajęło wyspę św. Ludwika, a po dwóch dniach cały Paryż, dymiący jeszcze i skrwawiony, materyalnie był już uśmierzony. Przez ciężkie dni oblężenia, wojny i rokoshu, od bomb pruskich i od petrolu komuny łaskawa Opatrzność ochroniła tułacze zbiory polskie.

Po wojnie francusko-pruskiej zaczęła się t. z. »likwidacya wychodźstwa«, równająca się ostatecznemu zerwaniu z »polityką emigracyjną«, czyli jej bankructwu. Przekonano się, że jedynie w kraju można skutecznie pracować dla kraju, a przeświadczenie to stało się początkiem nowej emigracyi: z emigracyi do kraju, przeważnie do Galicyi.

Odtąd ustały doroczne zebrania *Tow. hist.-lit.*, urządzone co rok 3 maja od lat 40 blisko, bo nikomu nie było tajemem, że wskutek zmienionej sytuacji politycznej, w której hegemonia przeszła na zjednoczone — przez Bismarka — Niemcy, takie przemówienia publiczne, jak te, które na majowych posiedzeniach w *Bibliotece polskiej* wygłaszał prezes Towarzystwa, ks. Władysław Czartoryski, byłyby czczym głosem wołającego na puszczy¹⁾. Był to zwrot ważny niezmiernie, świadczył bowiem, że Biblioteka, która aż dotąd była nietylko instytucją naukową, ale i polityczną, dobrowolnie zrzekała się swej politycznej roli, z hymnu zstępowała do prostej powieści.

Upłynęło lat dwadzieścia trzy. Biblioteka istniała ciągle, ale coraz bardziej stawała się organizmem, spragnionym nowych sił żywotnych, bo stare się wyczerpały: jako instytucya emigracyjna, coraz bardziej zaczynała tracić rację bytu, bo stara emigracya wymierała, a młodsza, zaabsorbowana walką o kawałek chleba, nie często zaglądała na Quai d'Orléans. Zważywszy to wszystko, *Towarzystwo hist.-lit.* postanowiło złączyć się z krakowską Akademią umiejętności, na takich warunkach, że cały majątek Towarzystwa, a więc dom przy Quai d'Orléans, biblioteka, zbiory etc. przechodzą na własność Akademii, z tem zastrzeżeniem jednak, że »Biblioteka polska i połączone z nią zbiory Towarzystwa (rękopisy, sztychy, monety) pozostaną na zawsze w Paryżu, otwarte dla publiczności w domu przy Quai

¹⁾ Ostatnie z tych zebrań majowych *Tow. hist.-lit.* odbyło się jeszcze w przeddzień wybuchu wojny, d. 3 maja 1870 r.

d'Orléans 6, który dziś stanowi własność Akademii, wszelkie zaś dochody, z dawnego majątku Towarzystwa obracane będą wyłącznie na cele Biblioteki polskiej i Stacyi naukowej.

Stacya naukowa! Takie urzędowe miano otrzymała teraz, w r. 1893, zreformowana i przeobrażona Biblioteka polska. Zdecydowano, że odtąd będzie pozostawała pod opieką komitetu, przyczem do komitetu tego, mianowanego przez Akademię, zaproszono: księcia Władysława Czartoryskiego, p. Ludomira Gadona, p. Józefa Rustejkę i p. Wł. Mickiewicza. Nadto ustanowiono dwa urzędy: delegata Akademii, mianowanego na lat trzy, i adjunkta. Delegatowi, którym na pierwsze trzy lata został dr. Józef Korzeniowski, powierzono Stacyę naukową, adjunkt zaś, na którego wyznaczono d-ra Edwarda Porębowicza, znanego tłumacza *Don Juana* Byrona, ma się zajmować czynnościami bibliotecznymi.

W swoim fejletonie o *Stacyi naukowej polskiej w Paryżu*, drukowanym w *Czasie* z d. 5 lutego 1893 r., tak pisze Stanisław Smolka, dzisiejszy sekretarz Akademii, o zreorganizowanej *Bibliotece polskiej*:

»Dwojakie są główne cele naszej Stacyi paryskiej: czynić w bibliotekach tamtejszych i archiwach poszukiwania według wskazówek Akademii, a zarazem służyć za stałe źródło informacji o rzeczach polskich dla miejscowych uczonych... Stacya będzie na usługi uczonych naszych, którzy potrzebują wiadomości o bibliotekach, archiwach, zbiorach naukowych paryskich; nie będzie się uchylała od poszukiwań, a nawet zajmie się dostarczaniem wypisów, jeżeliby chodziło o jakieś luźne informacje, niewymagające zbyt długiego czasu i wielkiego nakładu pracy... Obok tych usług przygodnych, Stacya nasza zajmie się systematycznymi badaniami archiwalnymi, których plon wpływać będzie do zbiorów Akademii. Tak odżyje tradycya dawnych celów Towarzystwa, którego spuściznę objęła Akademia z jego najlepszych, najświetniejszych czasów... Niemniej ważne, może nawet, jak na chwilę obecną, donioślejsze jest drugie zadanie Stacyi, polegające na pośrednictwie pomiędzy nauką polską a światem uczonym stolicy Francyi. Wobec stosunków, które już Akademia posiada, można spodziewać się wcale ożywionego ruchu na tem polu... Stacya naukowa w Paryżu posłuży niezawodnie i przyczyni się dzielnie do utwierdzenia tego stanowiska, jakie Akademia w turnieju wszyst-

kich narodów wywalcza polskiej nauce, dając świadectwo żywotności narodu, który wśród tak trudnych okoliczności działa, co może, na polu naukowej pracy... Mądra, natchniona to była myśl zachować jedno z najpiękniejszych dzieł emigracji, związane z pamięcią Adama Czartoryskiego, Niemcewicza, Mickiewicza, Karola Sienkiewicza i tylu innych; wlać w nie pierwiastek nowego życia i przekształcić je w posterunek nauki polskiej na Zachodzie, pośredniczący pomiędzy krajem a wielkim ruchem europejskim. Tak nie zmarnieją owoce tych zacnych usiłowań kilku dziesiątków lat zapалу, poświęcenia biednych tułaczy, których wdowim grozom instytucya ta stanęła i rozwinęła się pomyślnie...»

Zaprzeczyć się nie da, że przeszłość tego dzisiejszego »przedmurza polskiej nauki« jest nie tylko świetną, jak rzadko której z naszych naukowych instytucyj, ale wprost jedyną w swoim rodzaju! Wszystko, co pierwsza połowa naszego stulecia — o tyle bujniejsza od jego drugiej połowy — wydała znakomitego w dziedzinie ducha i myśli, stało w bliskim związku z tą paryską *Biblioteką polską*.

Mickiewicz należał do najstarszych członków *Towarzystwa historycznego*, bo już d. 21 czerwca 1832 r. przedstawiony przez generała Umińskiego, został jego członkiem-korespondentem, a poczynawszy od września tegoż roku, gdy zjechał do Paryża, zaczął bywać na zgromadzeniach Towarzystwa, często zabierając głos... W roku 1841, gdy umarł Niemcewicz, Mickiewicz zostaje prezesem wydziału historycznego, a w rok później, d. 3 maja, na uroczystym posiedzeniu Towarzystwa, wygłasza świetną mowę, mowę, która była raczej natchnioną improwizacją, niestety, już owianą tchnieniem Towianizmu. Doktryna ta, opętawszy umysł genialnego poety, stała się źródłem dysharmonii pomiędzy nim a Towarzystwem, tak dalece, że w r. 1844 wieszcz *Dziadów* podał się do dymisji, zerwał z Towarzystwem. Nie na zawsze, na szczęście! W roku 1848 nastąpiło ponowne zbliżenie, a kiedy w r. 1851 utworzyła się komisya składowa na dom dla Biblioteki, już autor *Pana Tadeusza* należał do jej członków, czynny w redagowaniu odezwy. W roku 1854, gdy stowarzyszenie, przeniósłszy się do świeżo zakupionego domu przy Quai d'Orléans, przeobraziło się w *Towarzystwo historyczno-literackie*, Mickiewicz został wybrany na wice-prezesa.

Juliusz Słowacki także był członkiem Towarzystwa. Zo-

stał nim w roku 1839, gdy, po powrocie ze swej kilkoletniej wędrowności po Szwajcaryi, Włoszech i Wschodzie, osiadł na stałe w Paryżu. Towarzystwo miało wtedy swój lokal przy ulicy Surène Nr 10. Słowacki, zostawszy jego członkiem, ofiarował mu po egzemplarzu wszystkich swoich, do tej pory wydanych poezyi, a na posiedzeniu, które się odbyło w grudniu 1839 roku, czytał swój *Grób Agamemmona*. Tegoż roku został mianowany członkiem-kolaboratorem, a jako taki, zawsze należał do tych, co najregularniej uczęszczali na zebrania Towarzystwa.

Bywały na nich także i Zygmunt Krasinski, gdyby mieszkał w Paryżu; wszystko bowiem, co było w związku z Biblioteką, żywo go interesowało. Dał tego liczne dowody, choć nigdy nie figurował oficjalnie na liście członków Towarzystwa. Gdy chodziło o kupno domu dla Biblioteki, a niektórzy oponowali przeciwko temu, autor *Irydyona* wystosował list do prezesa komisji, tak w nim pisząc między innymi: »Nie pojmuję, żeby cokolwiek miano przeciwko Bibliotece... Zarzut o ubogich, żadnym zarzutem. Naród jest wyższem pojęciem, niż choćby najniezszczęśliwsze w nim indywidua... Naród, któryby już nie pojmował takich ofiar, i pomników, i zakładów, przestałby tem samem być sobą samym. Mógłby jeszcze bardzo filantropijną być zbieraniną ubogich i ich dobrodziejów, ale nie byłby narodem. Dopóty żyje, jako naród, dopóki się w takich zakładach upostacia, wyraża, stawia i objawia na ziemi oczom i duszom patrzących. Dla idei narodowej tem one, czem obrządki i kościoły dla Boga; tem, czem dla Chrystusa balsam, wylany na Jego stopy przez Magdalene, o którym także szemrali uczniowie, a mianowicie Judasz, że lepiej go było sprzedać i grosz wzięty rozdać ubogim. Ale Chrystus temu zaprzeczył i rzekł: »Mnie niezawsze, ubogich zawsze mieć z sobą będziecie«. Są na świecie rzeczy i czyny zdarzenności, wyższe nad wszelki pożytek materyalny, doraźny, chwilowy. Są idealne rzeczywistości, tak samo potrzebne życiu ludzkości, jak chleb dla łaknących chleba. Chleb to duchów i chleb przeznaczony duchom na to, aby umiały szlachetnie i godnie dźwigać szatę ciała! Zatem głosuję za Biblioteką. Zresztą wiesz, żem już od dawna głos mój posłał na ręce W...«. Był to głos tem cenniejszy, że materyalnie poparty odpowiednią ilością franków... Odtąd niejeden raz, choć zawsze anonimowo, otrzymy-

wała Biblioteka mniejsze lub znaczniejsze zasiłki od Krasińskiego, a jeden z takich zasiłków, złożony «dla oddania wieczystej czci pamięci J. U. Niemcewicza», wynosił sumę 30 tys. złp. Fundusz ten zapisał poeta na własność Towarzystwu, z warunkiem, aby dochód od niego wypłacanym był aż do śmierci Karolowi Niemcewiczowi, synowcowi autora *Śpiewów historycznych*, a następnie, aby był oddawany co dwa lata, w nagrodę za najlepszą pracę historyczną, napisaną w myśl programu, ogłoszonego przez radę Towarzystwa ¹⁾.

Skoro się mówi o Mickiewiczu, Słowackim i Krasińskim, mimowolnie — jak powiada St. Tarnowski — myśl szuka jednego jeszcze, którego nazwano czwartym wielkim poetą Polski porzobiorowej, Chopina«. I on był członkiem Towarzystwa. Stał się nim w roku 1833, a pozostał do końca życia.

II.

Z myślą o tej świetnej przeszłości *Biblioteki polskiej* przekraczałem jej próg, a minąwszy bramę (w której nie mogłem nie zauważyć, spojrzawszy w otwarte drzwi mieszkania *consierge'a*, jego prześlicznej 17-letniej córki), kiedyś zaczął wchodzić po froterowanych schodach, na których, w rogu na pierwszym piętrze, stoi brązowy monument, wyobrażający postacie Jadwigi i Jagielly, mimowoli zdawało mi się, iż widzę niektórych członków *Towarzystwa historyczno-literackiego*, zdążających na drugie piętro; że przed chwilą przeszedł zgrzybiały książę Adam; że z tych drzwi na pierwszym piętrze, które mijalem właśnie, wyszedł generał Wł. Zamoyski ²⁾; że dopiero co minęli mnie Kalinka i Klaczko, spieszący na posiedzenie «Biura». I Mickiewicz, zanim wyjechał do Stambułu, wchodził po tych schodach, jako wice-prezes Towarzystwa!... Stanąwszy na 2 piętrze, ujrzałem dużą mosiężną tablicę na drzwiach z polskim napisem: *Biblioteka polska*. Zadzwonilem.

¹⁾ Pierwszy z tych konkursów ogłoszono w roku 1867, a Rada przyznała nagrodę Waleryanowi Kalince, za jego znakomite dzieło o *Ostatnich latach panowania Stanisława Augusta*.

²⁾ Mieszkanie Wł. Zamoyskiego jest aż do tej chwili zajmowane przez wdowę po jenerale, która, o ile z Zakopanego przyjeżdża do Paryża, zawsze mieszka przy Quai d'Orléans.

Po chwili otwały się drzwi, a w progu stanął służący biblioteczny, którego żołnierska mina uderzyła mię odrazu. Dowiedziałem się o nim później, iż się nazywa Niezgodą, że był żołnierzem w czasie wojny krymskiej, lecz wzięty w niewolę przez Anglików, mimowoli został emigrantem. Odtąd był w niejednym wojsku, i w niejednej bitwie wahał zapach prochu. Nadzwyczaj typowa postać!

Emigrantem również, od roku 1864 stale zamieszkałym w Paryżu, jest p. Suzin, adjunkt Stacyi, który, gdym mu oświadczył, w jakim celu przybywam, zaraz mi się ofiarował na światłego przewodnika po lokalu Biblioteki ¹⁾.

Zaczelśmy od niewielkiej salki po prawej stronie, w której, na tle pulek z książkami, aż pod sam sufit zalegających wszystkie ściany, króluje wspaniałe popiersie bronzowe jenerała Wł. Zamoyskiego. Naprzeciwko drzwi, nieopodal biurka bibliotekarza, stoi bronzowy biust Napoleona.

Następną salkę, do której się wchodzi z przedpokoju, możnaby nazwać salą czasopism: w oszklonych szafach bowiem, zajmujących dwie główne ściany, widać komplety *Biblioteki Warszawskiej*, *Ateneum*, *Przeglądu Polskiego* etc., a na zielonem suknie długiego stołu, stojącego pośrodku, pstrzą się różnokolorowe okładki wszystkich naszych miesięczników i pism naukowych specjalnych, łącznie z żółtą okładką *Kraju* i zieloną *Tygodnika Ilustr.* W rogu, przy oknie, z którego śliczny

¹⁾ Bibliotekę polską w Paryżu zwiedzałem latem r. 1896. W roku 1898 p. Suzin rozstał się z tym światem. W r. 1897. w jednej ze swych korespondencji paryskich, pisał p. Stefan Krzywoszewski, co następuje: »Wspominając o Stacyi naukowej, nie można pominąć milczeniem Biblioteki polskiej, która zawiera około 80 tys. tomów. Szczególniej niewyczerpanem jest w niej źródło dokumentów do smutnej historii emigracyi... Bibliotekarzem jest p. Suzin, a opiekuje się bogatym księgozbiorem z pieczołowitością troskliwej matki; ma jednak dużo zmartwienia. Biblioteka rozporządza nader skromnymi środkami, które konserwacya starego budynku w zupełności pochłania. Nowoukazujących się dzieł nie ma za co kupować... — Nie mamy nawet kompletnych wydań utworów Sienkiewicza i Prusa — mówił mi z żalem p. Suzin. Dawniej przyślano nam nowe książki; dziś zapominają o nas.

A szkoda, bo dla trzecztyśięczonej blisko kolonii polskiej w Paryżu Biblioteka ma znaczenie niemałe.

widok na Sekwanę i przeciwległe *quais*, błyszczy się nadnaturalnej wielkości popiersie brązowe Mickiewicza.

Z kolei przeszliśmy do głównej sali bibliotecznej, która w zwykłych warunkach jest czytelną, a przynajmniej raz w ciągu roku, w dniu 3 maja mianowicie, staje się salą posiedzeń i dorocznej uroczystości w lokalu Biblioteki. Jest to największa sala ze wszystkich: o dwóch oknach, z widokiem na Sekwanę, z oszklonemi szafami książek, zalegającemi wszystkimi ścianami, z olbrzymim stołem pośrodku, obstawionym krzesłami, z pięknym drążkowym fotelem prezydyalnym (którego ponsowe obicie bardzo kolorystycznie harmonizuje z zielonym sukniem stołu), ze stylowym kominkiem z czarnego marmuru, mogłaby się nazywać salą J. U. Niemcewicza, którego piękny portret olejny naturalnej wielkości, malowany przez hr. Izę z Czartoryskich Działyńską z oryginału malarza francuskiego Gros ¹⁾, zajmuje całą ścianę nad kominkiem. Na kominku, jakżeby u stóp sędziwego autora *Śpiewów*, stoi brązowy biust księcia Adama Czartoryskiego. Nad przeciwległymi drzwiami widać tarczę z herbami Polski i Litwy. Rozglądając się po tej sali, która w swych murach widziała takich Adamów, jak Czartoryski i Mickiewicz, w której w r. 1863 odbywały się narady Biura etc. etc., doznaje się dziwnie podniosłego i niebanalnego wrażenia, a mimowoli myśli się o owych »idealnych rzeczywistościach«, o których w swym liście do Wł. Zamoyskiego pisał Zym. Krasieński. Pięknie oddaje to wrażenie p. Ludomir Gadon, kiedy powiada, że przybyszowi, po wejściu do tej sali, razem błogo i smutno na duszy: zdjęty poszanowaniem dla tego, co go otacza, jak w świątyni jakiej nie śmie stąpać zbyt głośno. Tu bowiem »wśród skarbów myśli polskiej, wśród klejnotów uczuć i natchnień polskich, każdy z nas czuje się jakby między swoimi, a gdy dokoła wre i huczy zgiełk cudzoziemski, w cichych, nieokazanych ścianach Biblioteki — będącej jakby polską oazą wśród kosmopolitycznej pustyni — unosi się duch Ojczyzny».

Dwie przyległe sale są ochrzczone nazwiskami dwóch wielkich zapisodawców Biblioteki: pierwsza zowie się *Izbą Woździńskiego*, druga, znacznie większa, nosi nazwę *Izby Szulca*.

¹⁾ Oryginał znajduje się obecnie w Krakowie, w Muzeum Czartoryskich.

Pierwsza nazywa się tak na pamiątkę narodowego daru, jaki zmarły senator-wojewoda w r. 1846 zapisał Bibliotece; druga, gwoli utrwaleniu pamięci pułkownika Szulca, który, zmarłszy w Egipcie w r. 1853, bardzo znaczną sumę zapisał Towarzystwu. W obu »izbach« oko spoczywa na mnóstwie książek, których stopy zalegają także i znaczną część podłogi, a w *Izbie Szulca* mieści się olbrzymia kolekcya rycin wszelkiego rodzaju, począwszy od oryginalnych akwarel jenerała Kniaziewicza, których istnieje cała teka, a skończywszy na *Królach polskich* Lessera. *Izba Wodziańskiego*, zdobna fotografiami frontonu i kilku sal krakowskiej Akademii Umiejętności, oraz piękną fotografią księcia Wł. Czartoryskiego, jest pokojem delegata Akademii, który tu, jako zarządzający *Stacyą naukową*, przyjmuje interesantów.

W tej chwili, ponieważ dopiero dochodziła godz. 10, dr. Józef Korzeniowski był jeszcze »na górze« u siebie¹⁾. Korzystając z praw jego dobrego znajomego, zamiast czekać, aż zejdzie do Biblioteki, poprosiłem starego Niezgody, ażeby mię zaprowadził do niego... Minawszy wąskie schodki, prowadzące z trzeciego piętra na czwarte, a które, gdyby nie były olejno pomalowane i froterowane, robiłyby wrażenie, że prowadzą na strych, ujrzałem niewielkie drzwi w niebardzo widnej, z góry oświetlonej sieni. Dowiedziawszy się od Niezgody, że tu mieszka p. Korzeniowski, zapukałem, za czem poszło, że niebawem siedziałem w niewielkim, nisko sklepionym pokoiku, po którym wystarczyło rzucić okiem, ażeby się przekonać, iż jest w typowym mieszkanku paryskim *à l'angle du toit mansardé*, t. j. na poddaszu. Z niewielkiego okna, którego jedna ażurowa okiennica była przymknięta, widziałem kopułę Panteonu, wystrzelającą po nad nieprzejrzone morze kominów i dachów, a kiedyś, zbliżywszy się do okna, podkreślił piękność widoku, oświadczył mi p. Korzeniowski, że z przyległego pokoiku, który jest jego sypialnią, roztacza się jeszcze piękniejsza panorama na Paryż. Po chwili przekonałem się, że tak

¹⁾ Do roku 1896 był delegatem Akademii w paryskiej Stacyi naukowej dr. Józef Korzeniowski. Po nim przybył na jego miejsce dr. Konstanty Górski, autor *Panatenajów* i wytwornego studyum o Matejce. W roku 1897 i przez pierwszą połowę 1898 pełnił tu obowiązki pomocnika znany poeta Łucyan Rydel.

było istotnie, widok bowiem z okna sąsiedniej stancyjki jest rozleglejszy o wiele, a tem samem i piękniejszy: na pierwszym planie, poniżej blaszanych rynien, widać zielonkawy nurt Sekwany, po której uwijają się statki parowe; na drugim brzegu, wzdłuż kamiennego bulwaru, zawałonego wyładowanymi towarami, widać wozy, konie, robotników; nieco dalej, na lewo, tuż za granitowemi arkadami pobliskiego mostu *de la Tour-nelle*, którym przejeżdża mnóstwo omnibusów, wozów i dorożek, czerwienią się blaszane dachy *Halles aux vins*, jaskrawo odcinające się na tle zieleni drzew sąsiedniego *Jardin des Plantes*; a ponad tem wszystkiem, nad nieskończonym szeregiem kilkopiętrowych kamienic wzdłuż lewego brzegu rzeki, rysują się liczne wieże i kopuły, z pośród których, obok ażurowej wieży Eiffel, najefektowniej wygląda złocona kopuła kościoła Inwalidów.

Na pokoiki te jednak, choć czynią tak miłe wrażenie, nie należy zapatrywać się przez pryzmat wspaniałego widoku, jaki z ich małych okien roztacza się na Paryż, ale przez pryzmat niepowszednich wspomnień, jakie się wiążą z niemi, przez pryzmat ludzi, co tu mieszkali, myśleli, pracowali, przez pryzmat dzieł, które tu zostały napisane! Bo pamiętać trzeba, że tutaj przed laty i przez szereg lat mieszkał Klaczko; że tutaj pisały się jego słynne artykuły do *Wiadomości polskich*, o których te ściany pewno słyszały niejedną rozmowę z Kalinką; że tutaj powstała znaczna część francuskich artykułów Klaczki, które później w *Revue des deux Mondes* i *Journal des Débats* czytał i podziwiał świat cały. »Kiedy tu przed rokiem — mówił p. Korzeniowski — był u mnie Stanisław Tarnowski, opowiadał mi, jak raz, będąc w tem mieszkaniu z wizytą u Klaczki, był obecny, gdy słynny już podówczas autor studyum o *Bezimiennym poecie*, chory na oczy, dyktował swemu sekretarzowi artykuł do *Journal des Débats*...« Po Klaczce mieszkał tu Bronisław Zaleski. »I pewno niejednen z nas — słowa są p. Gadona — odwiedzał go w tem jasnym, słonecznym mieszkanku, ozdobionem gęsto po ścianach rozpinającym się bluszczem, mieszkanku, z którego drogi nasz towarzysz nieraz dla wątłego zdrowia całemi miesiącami za próg się nie ruszał. Tutaj, wśród książek i rękopisów, wśród rozwieszonych portretów towarzyszy-wszów więzienia i wgnania, wiódł on swój żywot cierpliwy i pracowity — rzeklibyśmy — świątobliwy, pracując od rana

do wieczora nad przygotowaniem materyałów do obszernego dzieła o życiu księcia Adama Czartoryskiego, nad redakcją *Roczników*, lub nad innym jakim przedmiotem dla Towarzystwa».

Od owego czasu zmieniło się tu niewiele: tyle tylko, że ze ścian znikły owe poetyczne bluszcze, które je zdobiły za czasów Br. Zaleskiego, że miejsca ich zajęły obrazy, rysunki, medaliony, sztychy i fotografie rzadkich dzieł sztuki. Nie brak również i pulek z książkami, które nadto rozrzucone po podłodze, po wszystkich krzesłach i sprzętach, odrazu na pierwszy rzut oka nadają mieszkaniu temu cechę pracowni uczonego.

Przyjemnie musi być mieszkać i pracować w tych pokoikach, jeśli się jest literatem i historykiem, wrażliwym na rzeczy przeszłości... Wyobrażam sobie, że tutaj, na tem historycznym poddaszu, nawet nostalgia mniej musi się dawać we znaki; boć ostatecznie w tych pokoikach, mających taką tradycję, człowiek nie czuje się na obczyźnie, choć z okien widzi Paryż i Sekwanę, a nie Warszawę i Wisłę. A powtóre, tutaj nie czuje się Paryża: jest się wyniesionym tak wysoko, że się nie słyszy turkotu i wrzawy ulic paryskich. Ma się ciszę, jak na wsi. Dlatego przypuszczam, że posada delegata Akademii, który obowiązkowo musi mieszkać w tych pokoikach, jest jedną z najprzyjemniejszych posad, jakie może dostać młody Polak uczony: tem przyjemniejszą, że się ogranicza do lat trzech tylko.

Gawędząc na ten temat, zeszlśmy na drugie piętro, gdzie mi p. Korzeniowski przyrzekł pokazać różne skarby powierzonej sobie *Stacyi naukowej*.

Nigdy nie przypuszczałem, że tych skarbów jest tyle! Nie sposób opisywać wszystkich, rozwodzić się nad każdym! Ale są tu i tak zwane »papiery sejmowe« z roku 1830—1831, jest manuskrypt niewydanych pamiętników J. U. Niemcewicza, jest nieoceniony zbiór materyałów do dziejów naszej emigracyi (nad której historią pracuje p. Gadon), jest mnóstwo »białych kruków« bibliograficznych, jest olbrzymi materyał historyczny do historii legionów polskich za Napoleona, a wszystko to, skatalogowane przez p. Korzeniowskiego, znajduje się w porządku, nic nie pozostawiającym do życzenia.

... Odtąd, przez cały miesiąc, po kilka godzin dziennie, spędzałem na Quai d'Orléans Nr 6, pracując w »sali posiedzeń«

na drugim piętrze, wrażenie zaś, jakie wyniosłem stąd, da się streścić w tych samych wyrazach, w jakich je zamknął pewien młody przybysz z nad Niemna, któremu »pośród wszystkich wspaniałości i świetności, widzianych w Paryżu, może najgłębiej utkwił w pamięci skromny przybytek na wyspie św. Ludwika«, nazywający się *Biblioteką polską*.

WYCIECZKA DO MONTMORENCY.

Dwudziesty pierwszy maja. Godzina 10 rano. W obrzymim przedsiönku *Gare du Nord* ruch i wrzawa. Od ulicy dochodzi turkot zajeżdżających dorożek, pomieszany z krzykiem *gavroche*'ów, sprzedających dzienniki poranne, a z oszklonego peronu, gdzie jednocześnie przychodzi i odchodzi kilka pociągów, slychać przeraźliwe gwizdanie lokomotyw, szum wypuszczanej pary, trzask otwieranych i zamykanych drzwi wagonów, trąbki konduktorów. Gdzie spojrzeć, wszędzie zamieszanie i ciżba: wszędzie uwijają się podróżni, posługacze w niebieskich bluzach, a i jedni i drudzy — z jedynym wyjątkiem policyantów w czarnych pelerynach — spieszą się, gorączkują, jakby się paliło. Przy kasach widać mnóstwo osób, stojących jedne za drugimi, ale przy żadnej nie widać tak długiego rzędu, jak przy okienku, w którym sprzedają bilety do Montmorency. Co najszczególniejsze jednak, że w pobliżu tej kasy, o dziwo! raz po raz slyszy się ludzi, rozmawiających po polsku. Wprawdzie, chodząc po Paryżu, zwłaszcza po wielkich bulwarach, dość często spotyka się Polaków, ale tylu naraz, co tu, nie spotyka się nigdy. Co to jest? To Polacy paryscy, podążający do Montmorency, na doroczne nabożeństwo za dusze tych swoich ziomków, co spoczywają na tamtejszym cmentarzu.

Wrażenie, jakie tutaj, w Paryżu, robią te dźwięki mowy rodzinnej, co chwila wpadające w ucho, należy do najbardziej wzruszających, a potęguje się jeszcze, gdy wszyscy uczestnicy

tej „pielgrzymki“, wyszedłszy na peron, skupiają się około pociągu, który tego dnia zawsze bywa dłuższy o kilkanaście wagonów: poprostu ma się złudzenie, że się jest w kraju (do którego w Paryżu zawsze tęskni się bardziej, niż gdziekolwiekindziej), albo że raptem wszyscy Francuzi zaczęli mówić po polsku. Cóż dopiero, gdy wszyscy posiadają do wagonów, w których już nie słyszy się francuzczyzny... Sami Polacy!

W dniu, kiedy i ja należał do tej pielgrzymki, zebrało się do dwustu osób; dla człowieka zaś, który na wszystko patrzy przez pryzmat literacki, przedstawiała ta garstka rodaków, przez cały rok rozproszona po całym Paryżu, a tylko w tym jednym dniu skupiająca się w imię pewnej idei, ciekawe pole do obserwacji. Co za różnorodność typów! Przypatrując się im, z łatwością się odgaduje, że nie jedno, ale kilka pokoleń znajduje się pomiędzy uczestnikami tej majówki. Kilku zgarbionych staruszków pozwala się domyślać, że jeszcze należą do starej emigracji, że pamiętają ową chwilę dziejową, kiedy tu przyciągnęli razem z sejmem i jenerałami... Inni, cokolwiek młodsi, choć także usrebrzeni siwizną, reprezentują wychodźctwo z lat 1846 i 1848. Inni wreszcie, najmłodsi ze starszej generacji, szpakowaci, reprezentują to pokolenie, którego ideały zbankrutowały w r. 1863. Na nich kończy się emigracja polityczna. Wszyscy młodsi od nich, a tych zastęp jest największy, reprezentują emigrację ekonomiczną: siłą, która ich wygnała na bruk paryski, była walka o byt, troska o chleb powszedni. Nie brak i takich, co tu przyjechali po światło, którzy tu bawią czasowo, ażeby się nasycić atmosferą wielkiej cywilizacji, ażeby się wykształcić fachowo. Jest to najmłodsze pokolenie, w którym łatwo rozpoznać studentów i studentki, artystów i artystki, oraz licznych pracowników handlowych. Nie tu jednak kończy się ta ciekawa galeria typów Polaków paryskich. Wystarczy przysłuchać się niektórym, jak mówią po polsku — z francuska, ażeby się w nich domyśleć drugiego pokolenia naszych wychodźców, pokolenia, już urodzonego we Francji, które jeszcze — choć i to niezawsze — czuje po polsku, ale już myśli po francusku. Do tej ostatniej kategorii należą także dzieci z zakładu św. Kazimierza, które pod przewodem kilku Sióstr Miłosierdzia ledwo zdołały pomieścić się w dwóch wagonach.

I.

Tymczasem pociąg ruszył ze stacyi, a po upływie paru minut, minąwszy przedmieścia, pędził wśród słonecznego pejzażu uprawnych pól, gęsto usianych wsiami, willami, ogrodami, kominami fabryk, wieżami kościołów. Jednocześnie w wagonie rozlegał się ożywiony gwar polskiej rozmowy, której dźwięki, pomieszane z głuchym turkotem kół pod podłogą, mile pieściły ucho.

Co do mnie, to wciśnięty w róg przedziału, mimowoli myślałem o czasach, kiedy do Montmorency jeszcze się nie jeździło koleją, jak dzisiaj, i kiedy tam mieszkał generał Kniaziewicz, który jest twórcą tego, że dziś Montmorency stało się celem dorocznych pielgrzymek z naszej strony...

Takiem miasteczkiem, jak w obecnej chwili, Montmorency jeszcze nie było podówczas. Była to wieś, tem się różniąca od innych okolicznych, że, położona wśród uroczej okolicy, wśród ogrodów i wspaniałego lasu, przypominała krajobrazy litewskie. Tak przynajmniej zdawało się Kniaziewiczowi, który tu zaczął przyjeżdżać na lato, uciekając od paryskiego turkotu i wrzawy emigracyjnej. Tutaj, wśród ciszy wiejskiej, zdala od gwaru stołecznego, spędzał po kilka miesięcy co roku, a że, jak na starego żołnierza przystało, był czerstwy jeszcze, więc codziennie o godz. 5 z rana wyjeżdżał konno na spacer, a potem całymi dniami malował krajobrazy, bo mu to, jak powiedział, czas zajmowało i pozwalało dumać spokojnie. Z czasem nakłonił i Niemcewicza, że i ten zaczął jeździć do Montmorency. Skończyło się na tem, że sędziwy autor *Śpiewów historycznych* tak polubił to ustronie, po którym błądząc z towarzyszem swej bujnej młodości, z rozrzewnieniem wspominał dawne czasy, że je unieśmiertelnił w specjalnym horacyuszowskim *Liście do generała Kniaziewicza, napisanym we Francyi r. 1834 w czasie pobytu obydwóch w Montmorency*:

Dawny mój towarzyszu, i w szkole, i w boju,
I w tej chwili, tak blizkiej wiecznego pokoju!
Gdy nas los razem zagnał w tę cichą dolinę,
Pozwól, że przed twe oczy szeroko rozwinę
Tę długą kartę życia, od samego świtu
Aż do kresu naszego na ziemi pobytu.

W tej to »cichej dolinie« zapragnął być pochowanym, a gdy umarł w r. 1841, Kniaziewicz, dowiedziawszy się z jego testamentu, jaka była ostatnia wola zmarłego, sam pojechał do Montmorency i, zakupując na tamtejszym cmentarzu miejsce na grób przyjaciela, zakupił zaraz przy tej sposobności i drugie dla siebie, obok. Nazajutrz odbył się pogrzeb, a między innymi przemówił nad grobem i jen. Kniaziewicz, jako serdeczny druh nieboszczyka, jako ten, który z nim razem dzielił przyjaźń Kościuszki. Nie wiedział jednak, kiedy przemawiał nad trumną Ursyna, iż w równy rok po oddaniu tej przysługi staremu druhowi i... rywalowi (bo ongi kochali się w jednej pannie), i on legnie obok niego, że w rok później roztworzy się i druga mogiła, o której zakupieniu pamiętał wczoraj. Po śmierci tych dwóch, znalazło się więcej takich, co pragnęli być pochowani w Montmorency, w najbliższem sąsiedztwie mogił Niemcewicza i Kniaziewicza. Tym sposobem z biegiem lat, na małym cmentarzyku w Montmorency, coraz więcej mnożyło się mogił polskich.

... Nagle pociąg zatrzymał się w Enghien, gdzie pasażerowie, jadący do Montmorency, winni się przesiadać. Jakoż uczyniliśmy to, a po upływie kwadransa znowu pędziliśmy dalej. W miarę, jak zbliżaliśmy się do celu, okolica, płaska i równa do tej pory, stawała się coraz bardziej górzystą, a tem samem i coraz bardziej malowniczą. W końcu ukazała się żółtawa wieża gotycka kościoła w Montmorency, na przodzie rozległ się świst lokomotywy, pociąg wjechał w głęboki parów, którego skaliste ściany przesłoniły nam dotychczasowy widok na domy w Montmorency, aż wreszcie zatrzymaliśmy się...

Ze stacyi do kościoła idzie się spory kawałek miastem, ulicą, która, to wznosząc się do góry, to opadając na dół, odznacza się typowym charakterem małomiasteczkowym. Takież jest rynek.

Kościół, świeżo odrestaurowany, zbudowany w bardzo pięknym stylu gotyckim, stoi na górze, skąd panuje nad całym Montmorency. Ponieważ góra jest znacznej wysokości, więc widok z niej, z tarasu przed kościołem, jest poprostu zachwycający: dokola zielone wzgórza, lesiste dąbrowy, uprawne pola. Wszędzie, gdzie okiem rzucić, mnóstwo ogrodów, willi, domków wiejskich; w głębi zaś, na samym horyzoncie, w niebieskawym oparze przestrzeni, rozlewa się Paryż, rzekłbyś, sine morze,

nad którym widać wylaniające się w postaci ciemniejszych plam, wieże katedry Notre Dame, Łuk tryumfalny, Panteon, złoconą kopułę kościoła Inwalidów, wzgórze Montmartre z budującą się bazyliką Sacré Coeur, i wreszcie strzelistą wieżę Eiffel.

II.

Ale z kościoła dają się słyszeć dźwięki organów, więc cała drużyna, rozproszona wzdłuż żelaznej balustrady tarasu, zaczyna zdążać ku głównemu wejściu. Taras się opróżnia powoli, do czego się także przyczynia brak cienia na nim, aż w końcu wszyscy znajdujemy się w kościele, w cieniu i chłodzie wysoko sklepionych łuków gotyckich, w mistycznej atmosferze nabożeństwa żalobnego. Pośrodku kościoła, na wysokim katafalku, otoczona mnóstwem niezapalonych świec, stoi czarna trumna, stanowiąca silny kontrast z różnokolorowymi szybami trzech wysokich okien gotyckich, przez które wpadają skośne smugi zabarwionych promieni słonecznych. Przed wielkim ołtarzem, błyszczącym od stylowych złocen i srebrzeń, a nad którym dwa kryształowe żyrandole mieniają się wszystkimi farbami tęczy, widać księdza w czarnym żalobnym ornacie, w kościele zaś, zarówno w głównej środkowej, jak i w dwóch bocznych nawach, stoi, siedzi lub klęczy, modli się lub rozgląda paręset osób, czerniących się pomiędzy żółtawą masą jesionowych krzeseł i klęczników.

Stójąc wsparty o jeden z konfesyonałów, ile razy spojrziałem w stronę prezbyteryum i gotyckich stali, zawsze na ich ciemno-dębowem tle widziałem nalaną twarz Renana... A to jakim sposobem? zapyta zdziwiony czytelnik. Cóżby Renan porabiał w tym kościele? Na zasadzie jakiej asocjacji idei, można, patrząc na te piękne stalle, pomyśleć o człowieku, którego wogóle trudno sobie wyobrazić na tle kościoła? Przysznaż, że jest to oryginalne wspomnienie, ale że jest to jedno z moich najpiękniejszych wspomnień, więc go nie zachowam w tajemnicy. Było to w dniu 28 czerwca 1890 roku. W tym samym kościele, w którym teraz było tyle wolnego miejsca, panował tłok, a nastrój panował tak uroczysty, że równego nie pamiętam; w tem samem miejscu, gdzie teraz czerniła się pusta i niewielka trumna, stała olbrzymia, czarnem sukniem nakryta trumna ze zwłokami Mickiewicza. Dokoła jarzyło się mnóstwo

świec, a katafalku nie było widać z pod barwnej masy kwiatów i wieńców. Wszystko to owiewały niebieskawe kłęby wonnego dymu kadzidel, który, pomieszany z »pieśnią kruczą« księży we wspaniałych ornatach, wytwarzał dziwnie mistyczną atmosferę... Tymczasem w pobliskich stallach widziałem wychudłą twarz ks. Wł. Czartoryskiego, siedzącego obok Asnyka, który tu z Koziebrodzkim przyjechał po zwłoki wieszczka, a niedaleko nich, po lewej stronie, pomiędzy kilku wybitnymi osobistościami ze świata polskiego i francuskiego, obok p. Leger, siedział Renan, jako reprezentant *Collège de France*, wydelegowany na ten pogrzeb. Jakbym go widział w tej chwili!... Siedział w skupieniu, zamyślony, a ze swą wygoloną twarzą, osadzoną na krótkiej szyi, robił raczej wrażenie jakiegoś poczciwego proboszcza, aniżeli apostaty kościoła i katolicyzmu. Bo z twarzy był on typowym prałatem. Tutaj, na tle tego kościoła, w którym mu wyznaczono miejsce w stallach, mimowoli zwracał uwagę na siebie, bo wszystko dało się powiedzieć o tem tle, ale że ono nie było banalne, gdy chodziło o Renana, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości.

Ale znajdując się pod gotyckiem sklepieniem kościoła w Montmorency, myśli się nie tylko o tak blizkiej przeszłości, jak pamiętny dzień 28 czerwca 1890 roku, lecz i o dalszej znacznie, której symbolicznem przypomnieniem jest duża tablica z białego marmuru, wmurowana w ścianę lewej nawy, której napis francuski, złotemi literami wryty, głosi co następuje:

Les Polonais qui se sont réfugiés en France, ont fondé dans cette église, à perpétuité...

1) *le 21 mai, deux messes basses et un service pour le repos des âmes du sénateur Niemcewicz et du général Kniaziewicz...*

4) *le 21 octobre, une messe pour le repos de l'âme de Marie de Wurtemberg née Princesse Czartoryska,*

5) *le 26 novembre, une messe pour le repos des âmes d'Adam et de Céline Mickiewicz.*

Tablica ta, wmurowana w r. 1856, znajduje się w najbliższem sąsiedztwie pięknego pomnika Niemcewicza i Kniaziewiczza, pomnika, który śmiało można nazwać największą ozdobą

tutejszego kościoła. Jest to nie zwykły nagrobek, lecz całkiem niepospolite dzieło sztuki, jako takie zaś, należy do najpiękniejszych pomysłów Wład. Oleszczyńskiego.

W dość głębokiej niszy, na niewysokiej podstawie, spoczywają dwie kamienne postacie starców, przykryte szerokimi, pięknie udrapowanymi płaszczami. Spoczywają obok siebie, a robią takie wrażenie, jakby leżeli w trumnach. Po prawej stronie, z obnażoną szablą na piersi, którą przyciska obu rękoma, leży generał Kniaziewicz, w jeneralskim mundurze wodza legionów, wyglądającym z pod płaszcza. Obok, po lewej stronie, widać sędziwą postać Niemcewicza, uśpioną snem wiecznym. Błogi uśmiech maluje się na twarzach obu starców... Pośrodku nich, w głowach, stoi skrzydlaty Anioł Stróż, przyodziany w długą, aż pod nogi spadającą szatę. Przystanął nad zmarłymi bohaterami-przyjaciółmi, a z cudownego ruchu błogosławiących rąk, które rozpostarł nad siewiemi głowami żołnierza i poety, widać, że chciałby czuwać nad ich snem nieprzespanym, że tu przyszedł kość strudzonych długą walką żywota, że im niesie pocieszenie i nadzieję, z którą się nigdy nie rozstawali za życia. Nic piękniejszego zaś, jak wyraz twarzy tego zesłańca niebios, wyraz słodczy i smutnej melancholii, rozlany na jego niezemskim obliczu!... U stóp Anioła, między śmiertelnymi posłaniami, na których spoczywają dwaj wieley Wenedzi, na kamiennej poduszce leżą dwie tarcze z herbami Polski i Litwy; na ścianach zaś (na środkowej, której część zasłaniają wielkie skrzydła Anioła, i na dwóch bocznych), bielą się cztery wielkie tablice marmurowe, od góry do dołu wypełnione drobnemi literami: dwie środkowe mają napisy łacińskie, dwie boczne — polskie. Jedne, stylem lapidarnym rzymskim, sławią żywot Niemcewicza, drugie — Kniaziewicza. Z jakimże wzruszeniem czyta się streszczenia tych dwóch plutarchowych żywotów! Jaki smutek wstępuje do duszy człowieka współczesnego, zarażonego dyletantyzmem i dekadentyzmem, kiedy pomyśli o przepaści, dzielącej jego pokolenie — pokolenie karłów *fin de siècle* — od pokolenia bohaterów, do którego należeli ci dwaj starcy. Jakże nasze nagrobkowe napisy będą niepodobne do tych! Tu każde słowo jest bohaterским czynem lub poświęceniem, gdy tymczasem na naszych grobach... Któż z nas, »schyłkowców« zdobędzie się na taki żywot, jak Kniaziewicza, który najprzód, jako żołnierz, »pod

Dubienką, pod Warszawą, pod Maciejowicami, odważnie walczył... później zaś, po ostatnim rozbiore, »pod sztandarami francuskimi, wiedzion geniuszem ojczyzny, służył«.

*Za wojny Napoleńskiej 1798 pod Civita Castellana
i pod Gaëtą*

Wstawiony

Czterdzięści chorągwi na nieprzyjacielu zdobytych

Wnieść tryumfalnie do Paryża za godnego przez wodza

Championeta uznany

W bitwach pod Hochstadt i pod Hohenlinden

Dzielnie się sprawił.

Nieszczęsnej wyprawy 1812 odświeżając przodków zwyciężkie ślady

*Pod Smoleńskiem, pod Możajskiem, pod Czerykowem,
pod Woronowem,*

Pod Wazmą, pod Dąbrowną, nad rzeką Berezyną

*Cnocie żołnierza i fortunie Napoleona nawet zachwianej
wiernym się stawił*

*Pod koniec wojny Kommandorem Legii Honorowej
mianowan*

*Po zgonie imię swoje na tryumfalnym łuku paryskim
wykute i grobowiec na wygnaniu*

Francji zostawia

Piękny wzór cnoty, wytrwałości i miłości ojczyzny

Polsce przekazuje.

*Urodzony w Assiten w Kurlandyi 4 maja 1762 r.,
zmarły w Paryżu d. 9 maja 1842 czeka zamartwychmstania
w Chrystusie*

*Na cmentarzu Montmorenckim obok Niemcewicza po-
grzebany*

Tu przed ołtarzem Boga Miłosiernego

*Na pomniku wdzięcznością i nakładem Polaków wznie-
sionym*

Cześć odbiera.

W równie wielkim stylu był żywot J. U. Niemcewicza,
który

*W naprawie Rzeczypospolitej za przestawnego cztero-
letniego sejmu*

*Zapaśnik dzielny i szczęśliwy
Żołnierz 1794 nieulekły, ranny pod Maciejowicami
i jeniec...*

r. 1830 Senator

Poeta zawołany, mówca wyborny

Sławy przodków czciciel wierny

Dziejów ojczyznych miłośnik i pisarz.

*Urodzony w Skokach w województwie brzesko-litew-
skim 16 lutego 1758 r.*

*Zmarły w Paryżu 21 maja 1841, czeka zmartwych-
wstania w Chrystusie i t. d. i t. d.*

Kiedy się czyta powyższe napisy, doznaje się podobnych uczuć, jak te, z których Słowacki wypowiadał się w *Grobie Agamemnona*: do głowy cisną się »myśli posępne i ciemne«, a usta szepcą mimowolnie: »Serce zasnęło, lecz śni. Jak mi smutno!«. Przypatrując się tym dwóm wspaniałym starcom, których posągowe oblicza zdają się być wyrazem owej Juliuszowej »wielkiej tragedyi powagi i ciszy greckiej«, odgaduje się, jak piękne dusze ożywiały te marmurowe kształty, jak szlachetne i wzniosłe serca były pod temi piersiami. W swoim plutarchowym *Żywocie J. U. Niemcewicza*, tak o tem mauzoleum pisze książę Adam Czartoryski: »Podróżujący Polak, przyjechawszy do Paryża, naglony ciekawością serca, poczuje obowiązek zwiedzić ten polski religijny i obywatelski monument; przy nim, modląc się, rozmyślać będzie o przeszłości swego kraju i o tych, co go nieszczęśliwym tylko znali, a nie wahali się przecież poświęcić mu zdrowia, majątku, zdolności, i co jego sprawy nie odstąpili aż do śmierci. Podobne rozmyślanie nad dwiema śpiącymi postaciami godnych dawnej chwały Polski szermierzów, będzie dla przybywających ziomków obroną przeciw zatrutym obcej stolicy zdaniom i zbytkom, i zachęceniem do cnót, któremi za życia jaśnieli ci, co we śnie spokojnym grobu zdają się czekać zmartwychwstania...«

Słowa te, skreślone piórem dostojnego przyjaciela Niemcewicza, pozostają w ścisłym związku z historją tego pomnika, historją, która, opowiedziana przez p. Gadona w jego cennym szkicu *Z życia Polaków w Francyi*, przedstawia się jak następuje. Gdy umarł Niemcewicz, *Towarzystwo literackie*, którego był wiceprezesem, nie tylko zaprosiło Mickiewicza, ażeby napisał żywot autora *Śpiewów historycznych* (od której to pracy

Mickiewicz wymówił się później, tak, iż ją wziął na siebie ks. Ad. Czartoryski), ale zaczęto zbierać składkę na wzniesienie pomnika dla wielkiego obywatela i poety. Gdy umarł jen. Kniaziewicz, wydział historyczny zebrał składkę na ufundowanie wieczystego nabożeństwa w kościele w Montmorency za dusze dwóch patryarchów emigracyi... Niebawem składka na pomnik Niemcewicza, powiększona składkami na grobowiec Kniaziewicza, które to dwie składki postanowiono obrócić na jeden monument dla dwu przyjaciół, doszła okazałej sumy 18 tys. franków. Uchwalono, że pomnik stanie na cmentarzu, pod otwartem niebem, tuż przy starożytnym kościele Montmorenckim. W ostatniej chwili jednak, mer miejscowy, choć wogóle, jako dawny napoleonista, przychylnie usposobiony dla Polaków, sprzeciwił się przeniesieniu ciał z cmentarza pod kościół (do czego podobno skłoniły go osobiste niesnaski z radą parafialną), tak, iż musiano przystać na wzniesienie pomnika wewnątrz kościoła, a trumny zostawić w pierwotnych mogiłach.

Nie wiedziano wtedy, że z czasem stanie tu i drugi pomnik polski, godny sąsiadować z grobowcem Niemcewicza i Kniaziewicza, pomnik ks. Ad. Czartoryskiego. Gdy umarł książę, *Towarzystwo historyczno-literackie* postanowiło pamięć swego tyloletniego prezesa uwiecznić pomnikiem, a jednym z tych, co się najgoręcej zajęli tą sprawą, był dozwonny sprzymierzeniec zmarłego, jen. Wł. Zamoyski. Ogłoszono odezwę, wzywającą do składek, a te posypały się obficie... Pięknem było zakończenie odezwy. »Nam tu, w obcej gościnie, zaledwo dane jest imiona ich przekazać potomności. Zapisujemy je w tej myśli, pobożnie, przy grobach w kościele w Montmorency pod Paryżem, a wdzięczność i cześć dla mężów, jak Kniaziewicz, Niemcewicz, Mickiewicz, poświęcając skromne pomniki«. Jednym z takich »skromnych pomników« jest pomnik księcia Adama Czartoryskiego.

Wmurowany w tylną ścianę prawej nawy bocznej, składa się z kamiennego ostrołuku w stylu gotyckim, uwieńczonego krzyżem i cierniową koroną. Wewnątrz ostrołuku, nad herbami, stoi brązowe popiersie księcia (to samo, które zdobi komin w głównej sali Biblioteki polskiej), a poniżej błyszczy się czarna marmurowa tablica, na której widnieje długi napis łaciński, złotymi literami wykuty: *Adamo Principi Czartoryscio ex illustri Jagellonum stirpe anno MDCCLXX nato... C. a Societate Historico-Litteraria, anno 1869.*

III.

Położony na końcu miasta, prawie za miastem, a tem samem znacznie oddalony od kościoła, cmentarz w Montmorency, jako zaciszne ustronie, jest jednym z najpoetyczniejszych cmentarzów, jakie mi się widzieć zdarzyło. Wprawdzie chcąc się napawać jego smętną poezją, lepiej jest niezapreczenie — skoro się jest zwolennikiem poezji cmentarzy — przyjechać tu samemu, w którykolwiek inny dzień w roku, nie zaś 21 maja, kiedy się pomiędzy tymi grobami uwija paręset osób, ale trzeba tu być raz i w ten dzień dorocznej pielgrzymki, gdyż, bądź co bądź, nie jest to wrażenie pospolite, błądzić po francuskim cmentarzu, w którym całemi alejami ciągną się nagrobki z polskimi napisami, i ciągle słyszeć dźwięki ojczystej mowy, czuć się w liczmem gronie ziomeków. Ma to co prawda i swoje strony ujemne, bo gdzie się zbierze około dwustu osób, tam trudno o jednolity nastrój, lecz jest to konieczność nieunikniona. Trzeba się zamknąć w skorupie własnych myśli, a na tych, co flirtując np., nie dostrajają się do powagi tych polskich mogił i krzyżów, patrząc, jeżeli nie z patetyczną »przebaczenia anielską pogardą«, to przynajmniej przez palce... Niestety, takich, co na tych pielgrzymkach więcej myślą o terażniejszości, aniżeli o przeszłości (której powagi i smutku nie odczuwają często, ani rozumieją), jest znaczna większość: nie brak i takich nawet, co tę majówkę uważają za zwykłą majówkę, którą, jako taką, należy sobie urozmaicić jakimś przyjemnem *rendez-vous* z »rodaczką«, lub zrobieniem jakiej interesującej znajomości... Są i tacy, co się nudzą na tym cmentarzu, bo nieobznajomieni z naszą narodową przeszłością, nie wiedzą przeważnie, kto są ci, co tutaj spoczywają. Ta niewiedomość sprawia, że do nich te mogiły nic nie mówią, a przynajmniej nie mówią tyle, ile mówią do tych, co znają dzieje emigracyi... Jakże mało jest takich! Niestety, istnieją okoliczności łagodzące, zmniejszające winę tych, co nie są biegli w dziejach swego narodu...

Cokolwiekby, cmentarzyk jest cudowny. Położony na wzgórzu, okolony murem, tworzącym równy czworobok, ze starą, malowniczą bramą murowaną, którą się doń wchodzi z ulicy, gęsto zarosły drzewami, pełen topoli włoskich, cyprysów, mirtów i bluszczów, umajony mnóstwem kwiatów, róż

lilij, rezedy i fiołków alpejskich, gęsto poprzerzynany wążkami ścieżkami, obfity w mnóstwo pięknych nagrobków, odznacza się on jakimś wdziękiem, tylko jemu samemu właściwym, wdziękiem, który nawet nie jest smutny: w dzień słoneczny, pogodny, chodząc po tym cmentarzu, prawie się nie ma wrażenia, że się stąpa po przybytku umarłych. »Wokoło i naprzeciw cmentarza — pisze pani Szeliga w swym barwnym artykule o *Cmentarzu w Montmorency*¹ — domy zamieszkałe, pełne ludzi, których to sąsiedztwo wiecznego odpoczynku nie zdaje się wcale zasmucać. To życie naokół zdaje się też udzielać pewnej wesołości cmentarzowi, kędy, jak do ogrodu, dziatwa na spacer przychodzi i śmiejącami usteczkami sylabizuje napisy. Istotnie, nigdy mi się nie zdarzyło spotkać równie wesołego cmentarza. Róż, jaśminów, heliotropów, takie mnóstwo na każdej niemal mogiłe, że oko przynęcone kwieciami nie spostrzega krzyżów. Nad mogiłkami francuskimi wznoszą się domki szklane, a w nich, jak w staroświeckich *serwantkach*, pełno cacek, począwszy od ślubnej z pomarańczowego kwiecia korony na aksamitnej czerwonej poduszce, a skończywszy na rzędach różnej wielkości porcelanowych aniołków i talerzyków alabastrowych, na których dwie ręce ściskają się przyjaźnie. Nie jest to zwyczaj estetyczny... zapewne, ale dla mnie przynajmniej — powiada pani Szeliga — wzruszający: odejmuje on śmierci pozór surowej grozy. Ci umarli, którym poznoszono wszystkie ich pamiątki, są tam jakby jeszcze między swoimi, w domu rodzinnym, i zapominają się, iż między nimi i nami ponad czarną otchłanią, tchnącą grobową stęchlizną, unosi się anioł śmierci, któremu imię — tajemnica«. Tymczasem w powietrzu pełno ptasiego świegothu i woni kwiatów, a białe marmury pomników, skąpane w promieniach słońca, bielą się jakoś wesołnie, nie pogrzebowo, przyczem stanowią cudowny kontrast kolorystyczny z ciemną zielenią cyprysów i bluszczów, oraz z turkusowym błękitem nieba. Chodzi się po tych alejach, czyta się napisy na grobach, a jakoś się nie myśli o śmierci...

Za to się myśli o tych, co tutaj spoczywają, a których groby noszą polskie napisy. Grobów tych jest legion, zwłaszcza w jednej alei, która się też nazywa *Alée des Polonais*.

Tu leży pod pięknym marmurowym grobowcem jen.

¹) *Świat* (krakowski) z r. 1890 (numer Mickiewiczowski).

Wład. Zamoyski, spoczywający wraz z Klaudyną Potocką, co była aniołem opiekuńczym Mickiewicza i Garczyńskiego, oraz z Bron. Zaleskim, o którym powiada Kalinka, że »był to typ Polaka pokutującego, uwydatniony życiem, próbami, wewnętrznym usposobieniem, który całą swoją istotą, na jakie go stać było, płacił wciąż za dawne Polski grzechy: była to jakby jakby jakaś szczytna strofa Krasieńskiego, zamieniona w czyn i nie wiedząca zgola o swojej bieknoci; złamany cierpieniem, ale w swym trudzie niezłomny; przywalony pracą, ale zawsze i każdemu do usług gotowy; znający doskonale wady swojego narodu i minionych pokoleń, i dzisiejsze, a kochający go z zapalem młodzieńczego serca; nienawidzący złego, a dla słabych i błądzących bez końca pobłażliwy; niespuszczający z oka potrzeb i trudności rzeczywistego życia, ale w duszy przechowujący nietknięty ideał polski, jako rację, jako cel swego bytu na ziemi«.

Pod pobliską płytą spoczywa Zofia Węgierska, literatka, autorka słynnych w swoim czasie *Kronik paryskich* w *Bibliotece Warszawskiej*¹. »Bez dostatecznych funduszków (pisze o niej Leon Kapliński, jeden z tych, co się szczylił jej przyjaźnią), tylko z piórem w ręku, pracą i wytrwałością wywalczyła sobie niezawisłość, zamiast korzystać z łask krewnych. Niczyjej *łaski* nie pragnęła. Zamiast opierać się na drugich, ta kobieta — młoda i piękna — z rzadką u nas i wyjątkową energią, wolała

¹) »W roku 1857 (pisze Stanisław Tarnowski na str. 57 swej pięknej książki o *Waleryanie Kalince*), w dodatku do *Czasu* ogłosił Kalinka pod pseudonimem *Bronisława Kamińskiego* artykuł historyczny p. t. *Negocjacje ze Szwecją o pokój 1651—1653*«. Rodzi się pytanie: dlaczego Kalinka obrał sobie taki właśnie pseudonim, nie inny? czemu to nazwisko właśnie i to imię nęciły go specjalnie? Zdawałoby się, że gdzie chodzi o człowieka tak ascetycznej powagi jak Kalinka, tam przypomnienie francuskiego *cherchez la femme* jest nie na miejscu. A jednak, w tym razie wyjątkowo, jedynie to przysłowie może dać klucz do rozwiązania zagadki, bo wybór pseudonimu — nad którego psychologiczną genezę nie zatrzymał się prof. Tarnowski — pozostawał w najściślejszym związku z panią Węgierską. Pani Węgierska bowiem, Kamińska z domu, jako córka Ludwika Kamińskiego, tłumacza Tassa i Pope'a, wydała w r. 1852 kilka powiastek dla dzieci, jak *Marynka czarownica*, *Stas i Jadwisia* etc. etc., nie pod swoim własnym, ale pod przybranym nazwiskiem *Bronisławy Kamińskiej*.

się oprzeć na sobie samej, by sobie samej wystarczyć. W końcu zaczęły się redakcyę dobijać o jej artykuły. Płaciły źle. Ale kłęski i przeciwności ani kłopoty codziennego życia nie zła- mały nigdy i nie ugięły tej hartownej i nieco hardej duszy, nie odjęły jej ani pewnej pogody, ani wrodzonej uprzejmości i wyrozumiałości dla drugich.

Uprzejmość ta, połączona z serdecznością i dystynkcyą, przejawiała się zwłaszcza w stosunkach z tą szczupłą garstką duchów wybranych i zaufanych, stanowiących najbliższe kółeczko »pani Zofii«, a do których, oprócz Waleryana Kalinki (jeszcze z czasów krakowskich wielce z nią zaprzyjaźnionego) należeli: Julian Klaczko, Henryk Rodakowski, Feliks Wrotnowski ¹⁾, Leon Kapliński, Bronisław Zaleski, Eustachy Januszkiewicz. »W innym społeczeństwie — powiada Leon Kapliński — przy innych warunkach, osoba takiego wykształcenia i zdolności, jak Zofia Węgierska, tworzyłaby ognisko towarzyskiego życia, miałaby swój salon, swe otoczenie. Zofia Węgierska żyła zawsze samotnie i zaledwie kilku bliższych przyjaciół znało ten ma- lenki, powabny salonik przy ul. Laval, gdzie wszystko ładem, układem i smakiem odpowiadało estetycznemu poczuciu zawsze uprzejmej dla odwiedzających gospodyni. Tam niekiedy, w go- dzinach wieczornych, jedynie od pracy wolnych, wśród rycin mistrzów, wśród medalionów, szkiców, posażków i biustów, ople- cionych pnącym się po ścianach bluszczem, uwydatniała się w roz- mowach żywych i opowiadaniach lepsza połowa tego świetnego talentu, tej niezwykłej duszy, którą czytelnicy znali tylko z jednej strony...« Dziś spoczywa na cmentarzu w Montmo- rency, pod gładką płytą kamienną, którą podobnie, jak i ściany jej saloniku, »oplatają bluszcze«. W najbliższem sąsiedztwie spoczywają i niektórzy z jej najserdeczniejszych przyjaciół.

O kilka kroków np. bieli się bardzo piękny nagrobek alabastrowy, na granitowej podstawie, otoczonej balustradą z kutego brązu, z napisem: *Eustachy Januszkiewicz*. Serdeczny

¹⁾ Zob. Żywot Feliksa Wrotnowskiego przez Br. Zaleskiego w *Rocznikach Tow. hist. lit.* »Lubiący dawniej towarzystwo i dla dowcipu i łatwości w rozmowie z radością wszędzie witany, coraz mniej osób widywać i dni coraz samotniej przepędzać zaczął. Widywano go tylko częściej w bluszczem ubranym sa- loniku pani Węgierskiej, gdzie zawsze najmiłszym był gościem.«

przyjaciel Mickiewicza, a za czasów Kalinki i Klaczki wydawca *Wiadomości polskich*, księgarz w odstawce, jak się sam zwykł nazywać, miał — w moich oczach — jedną wadę, bardzo ludzką zresztą: nie lubił Słowackiego, do którego, jako fanatyczny wielbiciel Mickiewicza, był uprzedzony. Poza tem był najzaniejszym, najszlachetniejszym człowiekiem, ale Słowackiemu, jako jeden z jego antagonistów, bardzo boleśnie nieraz dał się we znaki.

Uszedłszy kilkanaście kroków zaledwie, w tej samej alei, staje się przed skromnym nagrobkiem, tak zarośniętym bluszczem, że go wcale nie widać z pod grubej warstwy liści, a którego napisy — gdy się odgarnie bluszcze — świadczą, że to jest grób Adama Mickiewicza i jego rodziny. Sam pomnik w formie granitowego obelisku, spoczywającego na szerszej podstawie, okolony żelazną baryerką, jest bardzo niepozorny: zdobi go tylko wspaniałe popiersie brązowe Préalta, które umieszczone w okrągłym wgłębieniu, w górnej części pomnika, przedstawia głowę umarłego poety, otoczoną wieniec laurowym. Jest to rzeźba, robiona według maski pośmiertnej, co sprawia, że bolesny stygmat śmierci, wyciśnięty na tem zastygłym i wychudłym obliczu z zamkniętymi oczyma, nie przyczynia się do spotęgowania wrażenia: ostatecznie jest to Mickiewicz-trup, za czem idzie, że rzeźba ta, jakkolwiek wspaniała i pełna wyrazu, jako dzieło sztuki, raczej przygnębia swym widokiem, aniżeli nastroja podniośle. Jest to martwa już, bezduszna, przedzgonnemi cierpieniami zmieniona twarz człowieka, co umarł przed chwilą, a patrząc na tę w tył przechyloną głowę, snadź bezwładnie opadną na poduszki, ma się to przykre uczucie, że się patrzy na maskę pośmiertną. Kiedy się stoi nad grobem twórcy *Dziadów*, chciałoby się mieć przypomnienie Mickiewicza-wieszczą, natchnionemi oczyma poglądającego w niebo, takiego, jakim musiał być, gdy pisał *Improwizację* Konrada... Ale jest jeszcze druga okoliczność, osłabiająca to wrażenie, jakiego się doznaje, stojąc przy tym pomniku: oto Mickiewicz już nie spoczywa pod nim; spoczywa jego żona, Celina, spoczywa Aleksander Mickiewicz, spoczywa dwoje wnucząt, Adaś i Celinka, ale on sam przeniósł się na Wawel, gdzie leży między królami, obok księcia Józefa i Kościuszki. Gdym się zatrzymał nad tym grobem, przypomniał mi

się ów dzień, w którym byłem świadkiem uroczystości przewiezienia zwłok poety. Takich dni ma się niewiele w życiu! To też nie zapomnę onej chwili, gdy tu, na tym cmentarzu, w głównej alei naprzeciw bramy (z powodu trudnego przystępu do samego grobu Mickiewiczów), na czarnych tragach stała podwójnie wielka trumna poety; dokoła tej trumny zaś, nakrytej kirem i wieńcami, cisnął się zwarty tłum kilkuset osób, jedna zbita masa obnażonych głów męzkich i pstrych kapeluszy kobiecych. Dzień był pogodny, słoneczny, bez wiatru, a nad głowami tłumu, nad którym mieniło się mnóstwo rozpiętych parasolek damskich, panowała taka cisza, że wielu z pewnością, jak ja, słyszało bicie własnego serca... Szczęśliwym trafem udało mi się dostać miejsce przy samej trumnie, tak, iż napierany z tyłu, piersiami niemal dotykałem się żalobnego całunu, a oddychając, wciągałem zapach świeżych kwiatów, rzuconych na płaskie wieko. Głęboko wzruszony myślą, że trumna, której byłem tak blisko, zawiera śmiertelne szczątki tego, co stworzył *Pana Tadeusza* i *Dziady*, wpatrywałem się w Renana, który, we fraku, stojąc na drewnianym stołku w braku mównicy, głosem cichym i dławionym wzruszeniem, czytał swą przepyszną mowę. Czytał z kartki, która mu drżała w palcach, a że wszyscy tamowali oddech w piersiach, ażeby nie uronić jednego słowa z ust autora *Początków Chrześcijaństwa*, więc i ja, który stałem nie dalej, jak o trzy kroki od mówcy, nie mogłem się skarżyć na niedosłyszanie czegokolwiek. On tymczasem, górując nad całym zgromadzeniem, zwrócony w stronę trumny, w której głowach stał Asnyk, Koziebrodzki, Wł. Mickiewicz i wielu innych, żegnał Mickiewicza, jako profesora Collège de France, jako swego *grand et illustre collègue*:

— Dziękuję wam w imieniu Collège de France — mówił — za to, że pozwoliliście nam przyłączyć się do waszej uroczystości, podjętej w szlachetnym zamiarze oddania ojczyźnie szczątków wielkiego człowieka, którego Polska nam pożyczyła i którego dzisiaj nam odbiera. I słusznie czyni! Nasze kolegium bowiem, założone w celu badania natury i wyjaśniania za pomocą języków i literatur wolnego geniuszu ludów, jest niby wspólną areną duchów, gdzie wszyscy się spotykają. Ciała do nas nie należą. Zabierzcie więc te drogie szczątki, które niegdyś ożywił geniusz. Adam Mickiewicz i tak nie opuszcza nas cały. Pozostanie z nami jego umysł, jego wspomnienie. Nasze stare

sale zachowują oddalone echo jego głosu... Obwiniono go, że wyszedł z zakreślonego programu. O, jakże trudno utrzymać się w ograniczonym zakresie, gdy jesteśmy upojeni nieskończonością! Dumni jesteśmy z niego, z takiego, jakim był ze swemi śmiałemi prorocत्वami, ze swem wezbraniem natchnieniem, ze szlachetnemi złudzeniami wieszczcza... Z gościnnej ziemi, w której spoczywał przez 35 lat, przeniesiecie go do waszego Saint-Denis, do tych grobów na Wawelu, gdzie spoczywają wasi królowie... Obok tych, którzy walczyli mieczem, złożycie natchnionego poeę, który znalazł wyraz dla waszego geniuszu, dla wszystkiego, co was unosi i pociesza... Dajecie światu wielką lekcję narodowego idealizmu, obwieszczacie, że naród jest istotą duchową, że posiada duszę, która się nie da ujarzmić za pomocą środków, ujarzmiających ciało. Wielki i sławny towarzysz! Z królewskiego grobu, jaki Ci zgotowało uwielbienie rodaków, wspominaj Francję, która nie zapomina nigdy i to, co raz pokochała, kocha zawsze. Czemu przyklaskiwała w twych słowach, przyklaskiwać będzie... Idź, drogi cieniu, do chwały, którą sobie zasłużyłeś; powracaj, wśród hołdu ludów, na łono tej ojczyzny, którą tak ukochałeś...

Była to najpiękniejsza mowa, jaką wygłoszono na tym pogrzebie, wrażenie zaś, jakie wywarła na słuchaczach, było tak głębokie i podniosłe, że zatarło wspomnienie innych mów, nawet mowy księcia Władysława Czartoryskiego, który przemawiał jako prezes *Towarzystwa historyczno-literackiego*...

Dziś, kiedy to piszę, upłynęło od owej chwili lat siedm, a w ciągu tego krótkiego przeciągu czasu iluż ubyło z tych, co swą obecnością uświetniali ten pamiętny pogrzeb! Umarł Renan, umarł książę Wł. Czartoryski, umarł Asnyk, umarł Koziembrodzki, umarła Anna Bilińska. Widzę ich, jak otaczali trumnę Mickiewicza, jak szli za nią, gdy orszak ciągnął ku kościołowi, a teraz i oni już odeszli w krainę cieniów, a ci, co zostali, o ileż są mniejsi od nich!...

Tuż obok grobu Mickiewicza, na prawo, spoczywają Niemcewicz i Kniaziewicz, a nieopodal znajduje się grób Hipolita Błotnickiego, pierwszego nauczyciela i serdecznego przyjaciela Juliusza Słowackiego. W tejsze alei znajdują się groby jen. Dembińskiego, Karola Sienkiewicza, Stanisława Barzykowskiego, Ant. Oleszczyńskiego i wielu innych...

Na końcu cmentarza, w bocznej alei, ciągnącej się pod

murem cmentarnym, znajduje się piękny nagrobek z kararyjskiego marmuru, otoczony kwiatami i bluszczem, a poetyczny przez to, że na jego bocznej ścianie widnieje strofa Zygmunta Krasińskiego:

Jeszcze kielich mojej doli
Wiele kropel ma:
Muszę cierpieć, pić powoli,
Wypić aż do dna.

Skąd się tu wziął ten wiersz autora *Przedświtu*? Na to pytanie odpowiada napis na przedniej ścianie pomnika: *Delfina Potocka*. A więc i ona tu? Nie na Père Lachaise? nie w blizkiem sąsiedztwie Chopina, który, konając, jeszcze pragnął słuchać jej śpiewu? Widocznie, że takie było jej życzenie, że chciała być pochowaną w Montmorency. Należy przypuszczać, że gdyby nie jej wola, byłaby pochowaną gdzieindziej, najprawdopodobniej w którym z grobów rodzinnych na Podolu. A jednak jest pogrzebana tutaj, gdzie mogiła jej — jedna z najpiękniejszych na całym cmentarzu — poetyczniejszą jest, jako grób Beatriczy Krasińskiego, aniżeli by nią była na jakimkolwiek innym cmentarzu. Bo kto był Beatriczą twórcy *Przedświtu*, kto się uważał za jego Muzę, tego mogiła powinna znajdować się tutaj.

.....

Po obejrzeniu grobów, na czem zwykle schodzi do południa, uczestnicy pielgrzymki, uważając, że już spełnili, co im nakazywało ich polskie sumienie, zwykle dzielą się na dwa obozy: jedni spieszą na dworzec kolei żelaznej, ażeby pierwszym odcho-dzącym pociągiem wrócić do Paryża, do codziennych zajęć, a przedewszystkiem na śniadanie; drudzy zaś, rozporządzający większą ilością swobodnego czasu, zmierzają do miasta, w stronę rynku, do sławnej restauracyi *Pod białym koniem*. Tam posiliwszy się, idą do poblizkiego lasu, a najczęściej idą gromadami po kilkanaście osób. Ponieważ wino *Pod białym koniem* jest dobre i niedrogie, więc i humory ożywiają się, rośnie animusz i fantazyja, zawierają się znajomości. Natura zbliża ludzi do siebie, a cóż dopiero, jeśli nią jest taki las, jak w Montmorency! Zapomina się w nim, że się jest na obczyźnie, a nie trudno mieć złudzenie, że się chodzi po lesie litewskim. Przynajmniej Niemcewicz i Kniaziewicz byli tego zdania o nim: przypominał im kraj, zwłaszcza górzyste i zalesione okolice Wilna.

Móglby im także przypominać *Pana Tadeusza*, którego przecież musieli czytać obydwaj, a o którym tu się myśli mimo-woli, zwłaszcza o *Umizgach* z księgi trzeciej, gdzie goście soplicowscy

, z hucznego śniadania
Wyszli na uroczysty obrzęd grzybobrania.

Bo i do tego lasu, w dniu 21 maja, zwykle przychodzi się po śniadaniu, a że i tu nie brak grzybów, więc towarzystwo zabawia się grzybobranicem, przyczem nie obchodzi się bez scen w rodzaju *umizgów* Tadeusza i Telimeny w t. z. świątyni dumania, bo i w tym lesie, jak w soplicowskim, nie brak mrówek...

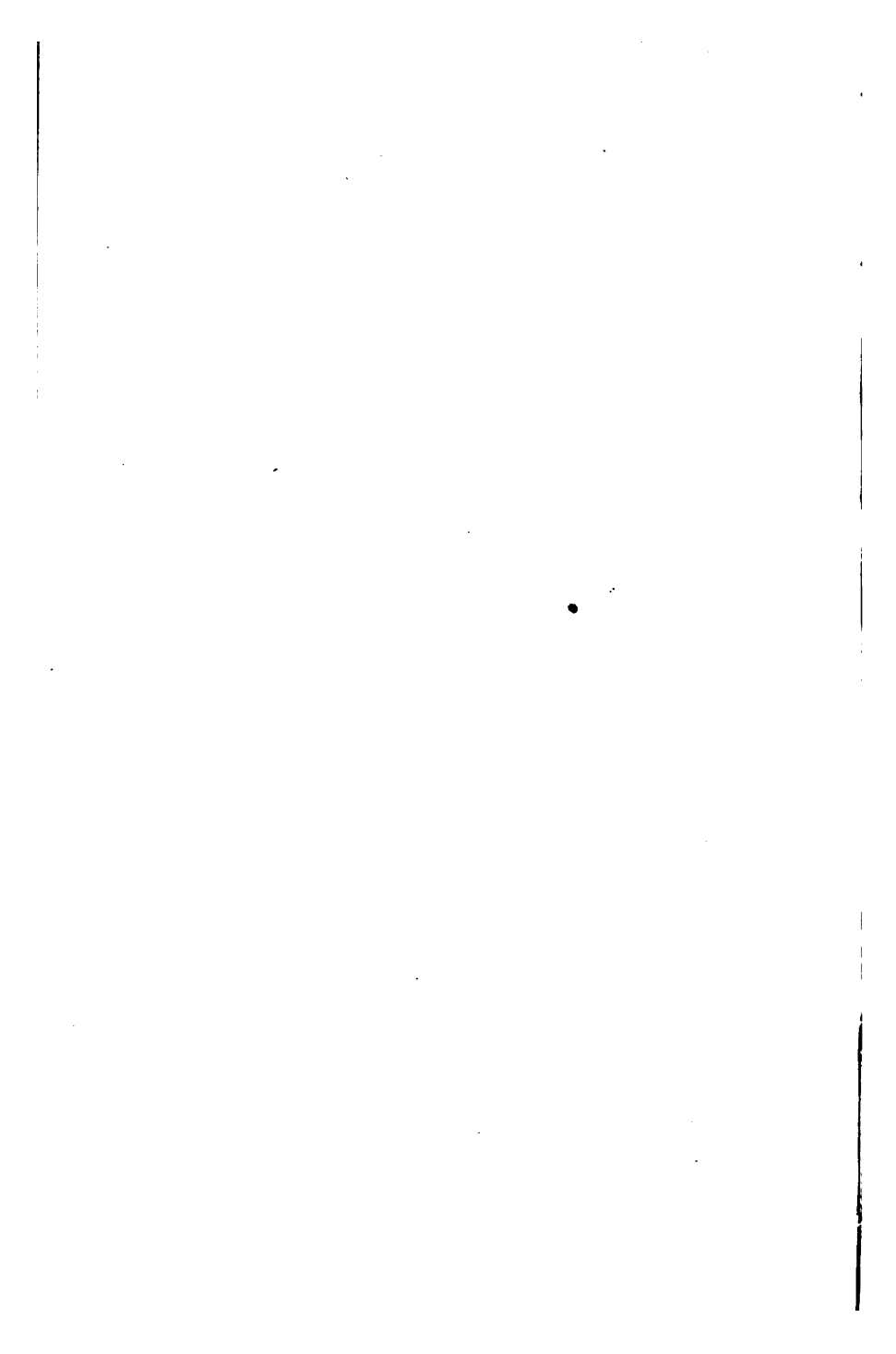
W ten sposób przepędza się resztę dnia, do którego przedpołudniowy prolog był tak poważny: zaczęło się od grobów i wspomnień o ludziach wielkich, co legli w tych smutnych, w obcej ziemi wykopanych mogiłach, a kończy się na wesołej majówce, podczas której chętnie zapomina się o nieboszczykach, a rozgląda się za żywymi. Do ogólnego ożywienia i podocho-cenia ogromnie przyczynia się okoliczność, że się jest między swoimi, że się ze wszystkimi mówi po polsku, co na ziemi francuskiej ma podwójny urok. Wszystko to, razem wzięte, sprawia, że po lesie rozlegają się wesołe śmiechy i chichoty, że się sypią dowcipy i żarty, że w końcu przychodzi kolej na warszawskie anegdoty i dykteryjki, a po nich — na wesołe piosnki i pieśni, śpiewane chórem lub *solo*.

Widocznie, że i w życiu dzieje się tak samo, jak w owej Sonacie Beethovena, w której bezpośrednio po patetycznym marszu żalobnym *sulla morte d'un heroe* następuje swawolne *Scherzo*...



V

•
O MATEJCE



I.

ZE WSPOMNIEŃ O MATEJCE.

... Ile razy przyjeżdżam do Krakowa, zawsze mi się przypominają moje lata uniwersyteckie 1888—1890, kiedyś tu, wśród tych średniowiecznych i renesansowych murów, mieszkał jako student Jagiellońskiej *Almae Matris*; a co szczególnie, to, że najczęściej, gdy myślą zagłębiam się w tej niedawnej, a już niepowrotnej przeszłości, doznaję uczucia jakiejś nieokreślonej tęsknoty.

Zdawałoby się na pozór, że niema racjonalnego powodu do takiego minorowego nastroju, Kraków bowiem, jak stał, tak stoi, a jeżeli się zmienił w ciągu tych lat dziesięciu, to jedynie na korzyść. To, co w nim było pięknego wówczas, nie uległo żadnej zmianie: brama Floryańska, kościół Maryacki, wieża ratuszowa, Sukiennice, Biblioteka Jagiellońska i inne starożytne gmachy, pamiętające czasy Piastów i Jagiellonów, nie się nie zmieniły, a jeżeli się, według wyrażenia poety, »ku starości trochę pochyliły«, to tak nieznacznie, że tego oko ludzkie dostrzedz nie jest zdolne. Rynek pozostał piękny, jak dawniej, a poetyczny hejnał, który od wieków rozbrzmiewał co godzina z pod blaszanych wieżyczek strzelistej wieży Maryackiej, rozbrzmiewa ciągle. Nie zamilkł także donośny zegar na wieży ratuszowej, ani zegar katedralny na Wawelu. Gotycki dziedziniec Biblioteki Jagiellońskiej, w którym niebawem stanie pomnik Kopernika, zawsze jest jednakowo piękny; świętemu Stanisławowi zaś, spoczywającemu w srebrnej trumnie w najbliższym sąsiedztwie grobów królewskich, Kościuszki

i Księcia Józefa, przybył jeszcze jeden dostojny sąsiad, Mickiewicz. Zdawałoby się więc, że niema powodów, usprawiedliwiających jakieś smętniejsze rozmyślenia, kiedy się dzisiejszy Kraków porównywa z tym, jakim był około roku 1889. Przeciwnie, można przytoczyć cały szereg danych, upoważniających do najoptimistyczniejszych horoskopów, gdy chodzi o metamorfozy starego Krakusowego grodu. Wszak nie da się zaprzeczyć, że Kraków nie tylko rozwija się pięknie, coraz bardziej wzrastając w liczbę wspaniałych domów i gmachów publicznych, ale i jako »miasto pamiątek« nie stoi w miejscu, lecz postępuje w bardzo pożądanym kierunku. Kościół Maryacki, o ile nie zmienił się na zewnątrz, o tyle przeobraził się na wewnątrz, a przeobraził się tak, że odrestaurowany przez Matejkę, stał się jednym z najpiękniejszych wnętrz kościelnych (dla mnie najpiękniejszym), jakie można oglądać na świecie. Podobnemu odrestaurowaniu uległa i słynna kaplica Zygmuntońska w katedrze zamkowej, renesansowe arcydzieło Bartolda Berecci, a tylko patrzeć, jak się ukończy restauracya katedry samej. Za lat kilka, jak przepowiadają optymiści, ma i stary zamek królewski zajaśnieć w dawnej świetności i blasku. Na Wielkim Rynku stanął pomnik Mickiewicza... W ogóle tedy, jeśli chodzi o Kraków z przed lat dziesięciu, to można powiedzieć o nim, że tak się ma do dzisiejszego, jak jego stary Teatr Krakowski na Placu Szczepańskim, brudny, ciemny i eksploatowany przez P. Gliksona, do obecnego Teatru Miejskiego na Plantach, w którym kurtyna, najpiękniejsza ze wszystkich kurtyn teatralnych, jest pędzla Siemiradzkiego, a rządy sprawuje wykwintny znawca sztuki dramaturgicznej, p. Tadeusz Pawlikowski.

A jednak ten dzisiejszy Kraków, o tyle piękniejszy pod względem zewnętrznego wyglądu, aniżeli nim był w r. 1888, nie jest już tem, czem był wtedy: z świetnej, wprost wyjątkowej atmosfery duchowej, jaka tu panowała jeszcze dziesięć lat temu (nie mówiąc już o tej, jaką dokoła siebie wytwarzał genialny umysł Szujskiego), dziś pozostała tylko tradycya, wspomnienie. Chodząc po dzisiejszym Krakowie, gdy się myśli o ludziach, których tu widywało się dawniej, a których już nie stało, ma się bolesne wrażenie jakiejś pustki, wrażenie, jakby się chodziło po kościele, który w większej części uległ zniszczeniu od ognia, a który się znało przed pożarem. Spalił się

wielki oltarz, będący arcydziełem sztuki, spaliły się najpiękniejsze kaplice i obrazy! Nabożeństwo odprawia się w dalszym ciągu, bo nie wszystko stało się pastwą płomieni, a nawet ocalało kilka bardzo pięknych oltarzów; pomimo to, przypatrując się im, choć się podziwia ich ozdobność, nie sposób nie pamiętać o tych, co się spaliły, a należały do największych ozdób świątyni. Kto pamięta Kraków z przed roku 1890, temu dziś, gdy się znajdzie na jego bruku, mimowoli przypominają się słowa autora *Irydyona*, który chodząc po ulicach wiecznego miasta, w te słowa zwracał się do ruin starożytnej Romy: »Gdzie są postacie, które tak dumnie i wzniośle kroczyły dawniej po twoich siedmiu wzgórzach, o Rzymie? Gdzie patrycyusze twoi? Gdzie mówce twoi, panowie dusz tysięcy? Wszyscy zniknęli jedni po drugich. Przeszłość ich zagarnęła i, jak matka, tuli do łona. Nikt ich nie wydrze przeszłości«. Panowie dusz tysięcy! Żadne miasto polskie nie posiadało ich tyłu, co Kraków do niedawna. Niestety, przeszłość ich zagarnęła, odeszli w tajemniczą krainę cieniów, a że stamtąd nikt nie powraca, więc i oni nie wrócą. Nie wróci Matejko, ani Asnyk, ani księżna Marcelina Czartoryska, ani Guyski, ani Rodakowski, ani Bliziński, ani kardynał Dunajewski, ani Paweł Popiel! Postradawszy ich, Kraków ogromnie stracił na uroku, choć mu go jeszcze dodają tacy jego stali mieszkańcy, jak Tarnowski, Klaczko, Kazimierz Morawski, Fałat, Żeleński, Jacek Malczewski, Estreicher i wielu innych.

Dzisiaj, wstąpiwszy do mleczarni przy ulicy Brackiej, nie spotkasz już, jak dawniej, owej sędziwej, czarno ubranej staruszki, która tu wpadała na szklankę kawy ze śmietanką, ażeby przy tej sposobności porozmawiać z panią Julią. Staruszką tą, niezmiernie ruchliwą i żywą, a z której wejściem zdawało się, że jakiś duch miłosierdzia wstępował w próg domu, była księżna Marcelina Czartoryska, ta sama, o której powiedziano pięknie, że gdy grała na fortepianie, to

wszystkim się zdawało,
Że Chopin wciąż gra jeszcze, a to echo grało.

Patrzac na nią, mimowoli doznawało się niekłamanego wzruszenia na myśl, że ona była najlepszą i najulubieńszą ze wszystkich uczennic Chopina, że nikt, oprócz mistrza samego, nie grał jego utworów tak, jak ona, że czem Klaudyna Po-

tocka dla Mickiewicza i Garczyńskiego, tem ona była dla nieśmiertelnego twórcy *Polonezów*, że ją nazywał »samą dobrocią«, że ona pielegnowała go w jego ostatniej chorobie, że ją prosił na parę dni przed śmiercią, aby grywała na jego pamiętkę *de la vraie musique, du Mozart!* że dopóki ona żyła, Chopin jeszcze dawał się słyszeć z za grobu, gdyż ona była jakby echem jego duszy, jego dźwięków, jego poezyi! Dzisiaj i to echo zamilkło. Księżna Marcelina spoczywa na krakowskim cmentarzu. Byłem na jej pogrzebie... Tylko ci, co pamiętają Kraków z księżną Marceliną, mogą mieć wyobrażenie o tem, czem jest Kraków bez niej.

Dzisiaj, czy to pójdziesz do teatru, czy do restauracyi *Pod różą*, nie spotkasz już, jak dawniej, Asnyka. W teatrze, w t. zw. *łóży znawców*, w której co wieczór siadywał z Estreicherem, St. Koźmianem, Sewerem, p. Michałowskim i kilku innymi »znawcami«, już nie ujrzysz sumiastych wąsów autora *Pigmaliona*, nie uściśniesz jego żylastej ręki, nie spotkasz się z głębokiem spojrzeniem jego zapadłych oczu.

Przycichła pieśń i kona już,
Nie budząc żadnego echa...
Próżno się czepia zwiędłych róż,
Naprawdę w łzach się uśmiecha!

Opustoszał parterowy domek przy ulicy Łobzowskiej, poeta bowiem, który w nim mieszkał tak długie lata, przeniósł się do »grobow zasłużonych« na Skalce, gdzie spoczywa obok Kraśzewskiego, Lenartowicza, Siemińskiego i Pola.

Dzisiaj, przechodząc Plantami około »oficyny« Potockich, wiesz, że jej parterowe okna już przestały być oknami pracowci i mieszkania Marcelego Guyskiego, który, tak podobny z twarzy do Michała Anioła, był, jeżeli nie Rafaelem polskiej rzeźby, to z pewnością jej Luinim lub Sassoferatem. Przechodząc około tej »oficyny« (na której z prawdziwym żalem nie dostrzegasz marmurowej tablicy z napisem, że w tym domu umarł na suchoty Marcelego Guyski), z niemałym rozrzewnieniem, jeżeliś znał »pana Marcelego«, wspominasz chwile, któreś z nim spędził: bądź w jego pracowni (tak podobnej do pracowni Sienkiewiczowskiego Kamionki z *Lux in tenebris lucet*); bądź w domu pani Seweryny Beaupré, gdzie codziennie spędzał po parę godzin; bądź na wystawie w Sukiennicach, gdzie nie zawsze był wyrozumiałym w sądach o oglądanych obrazach i rzeźbach.

Dziś i on spoczywa na krakowskim cmentarzu, a jego niedokończony Chrystus, z którego marmurową figurą, tak pełną boskiej słodyczy, tyle wspomnień wiąże się dla mnie, zdobi kościół św. Piotra i Pawła, gdzie sąsiaduje z grobowcem Skargi. Nie zapomnę tych rozmów, które z Guyskim prowadziłem u stóp tej melancholijnej postaci, rozmów, które nigdy nie miały nic innego za temat, tylko sztukę. Szczególniej sztukę nowoczesną francuską, której ten wykwintny mistrz dłuta był bezgranicznym wielbicielem.

Dzisiaj, wyszedłszy na linię A—B, nie spotkasz już Bliżńskiego, który, choć był autorem najlepszej polskiej komedyi, tak mało sobie robił ze swego tytułu »autora *Pana Damazego*«. I jego zagarnęła przeszłość! Już się go nie zobaczy u Hawelki, gdzieśmy z nim, my młodzi, przegawędzali tyle wieczorów, podziwiając jego jowialność szlachecką, jego prostotę i dobry humor; ani go się spotka w teatrze, gdzie zawsze siadywał w łoży ze starym Estreicherem (o ile nie szedł za kulisy, gdzie pomiędzy młodemi a ładnemi aktorkami czuł się w swoim żywiole, choć go nazywały poufale »dziadziem«); ani na maskaradach, na których rej wodził, jako »prezes«, rozstrzygający wszelkie maskaradowe »konkursy piękności«; ani w Bibliotece Jagiellońskiej, gdzie zbierał materyały do swego *Słownika dzwologów językowych*; ani pod arkadami Sukiennic, które były jego ulubionem miejscem przechadzek »w kompanii«.

Nie spotka się także Matejki. W latach 1888 i 1889, na które przypadają jego *Szkice z dziejów cywilizacyi w Polsce i Kościuszkę*, widywało się go często. Ażebym się z nim spotkać, wystarzało około godziny 9-ej rano znaleźć się na Plantach w pobliżu Bramy Floryańskiej. Była to godzina, o której zawsze, zimą i latem, pogoda czy słota, szedł do swej pracowni w gmachu Szkoły Sztuk Pięknych.

Było coś wielkiego w tej drobnej zgarbionej postaci, idącej wolnym krokiem, a więcej zapatrzonej w ziemię, aniżeli przed siebie. Nizkiego wzrostu, chudy, o zapadłej piersi, ubrany niepozornie, w czarnym, miękkim, zmiętym kapeluszu o szerokim rondzie, z pod którego splywały długie szpakowate włosy, z rzadką strzyżoną brodą, o cerze zwiędłej, a policzkach zapadniętych, o nosie garbatym i krzywym, w złotych okularach, z po za których wyglądała para czarnych oczu o dziwnie głębokiem i przenikliwem spojrzeniu, zawsze szedł powoli, nie

spieszac się, a robił wrażenie człowieka zmęczonego, wyczerpanego i przygnębionego. Była to twarz, której nie umiem sobie wyobrazić uśmiechniętej lub śmiejącej się, twarz pełna dziwnej powagi, choć łagodna w wyrazie, bez cienia surowości, niezmiernie charakterystyczna, a tak uduchowiona, że kto nie widział Matejki, ten nie ma pojęcia, jak wygląda geniusz, mogący się po Mickiewiczowsku nazwać »Milionem«. Dlatego, wyrażając się językiem malarskim, była to nadzwyczaj *piękna głowa*. Co do mnie, nie zdarzyło mi się widzieć piękniejszej.

Powiada zasłużony biograf Matejki, że »ktokolwiek pierwszy dodał do jego nazwiska określenie *mistrz*, oddał mu złą usługę. Zapewne jakie pismo peryodyczne, ale w druku było to naturalnem; o niejednym wielkim artyście pisze się, że jest mistrzem w swojej sztuce. Lecz kiedy to powtarzało się ustawicznie, a z druku przeszło do mowy, kiedy stało się niby tytułem, stało się rażącym. Trudno było czytać nazwisko Matejki bez tego dodatku; o nim mówiono *mistrz*, do niego *mistrzu!* (podpisany nie zrobił tego ani razu). Jest w tem jakaś napuszonosc, jakaś pretensya nieprzyjemna; do Beethovena, do Goethego nikt nigdy nie mówił *Meister!* Wiktor Hugo nadęty, Meyerbeer skłonny do samochwalstwa, lubili, żeby im mówiono *maitre*. Matejko właśnie dla tego, że się mistrzem czuł, byłby lepiej zrobił, gdyby nie był pozwalal się tak tytułować. Zły smak jego wielbicieli dał początek temu złemu zwyczajowi; ale jego stać było na smak lepszy, niż jego wielbicieli. Trudno się przyznać do złego smaku, ale gdy chodzi o Matejkę, to ma się wielką ochotę być odmiennego, niż powyższe, zdania. Albowiem było w Matejce coś, w nim jednym, co mimowoli przy zbliżeniu się do jego osoby, cisnęło na usta wyraz *mistrz*, coś, co jedynie w odniesieniu do niego wyrażenia tego nie czyniło śmiesznem, ani napuszonem, jak je czyniło śmiesznem np. w odniesieniu do Wiktora Hugo, lub Meyebeera. Czem było to coś? Mnie się zdaje, że była nią wyjątkowa wzniosłość duszy, jej poprostu niezwykła czystość i świętość. Od wątlej postaci Matejki bił taki majestat, że zwykły śmiertelnik, zbliżający się do niego, nietylko czuł swoją niższość, ale doznawał uczucia, jakby stał przed jakimś pomazańcem, i dlatego, gdy przyszło mówić do niego, mimowoli szukało się jakiegoś tytułu, któryby zaznaczał tę jego wyjątkowość, to coś mistycznego, co było nietylko w jego obrazach, ale i w nim samym. Nazwa

mistrza wydawała się najodpowiedniejszą, bo trudno było, patrząc na to uduchowione oblicze, na tego człowieka, który był jakby symbolicznym wcieleniem naszej narodowej przeszłości, tytułować go *panem* lub *panem dyrektorem*. Mojem zdaniem, nazywając go tak, czyniło mu się krzywdę, bo go się podciągało tym sposobem pod ogólny strychulec płytkiego konwenansu; bo go się tem samem równało z innymi ludźmi tego świata, kiedy w nim było coś niezemskiego, coś z proroka, coś nie z tego świata!

Takiego człowieka, jak on, nazywać *panem*, lub urzędowym tytułem *pana dyrektora*, kiedy ten tytuł był odpowiedni dla pierwszego lepszego dyrektora biura lub szkoły, było śmieszniejszem, aniżeli tytułowanie go *mistrzem*, co zważywszy powyższe względy, wcale nie było śmieszne. Przyznaję, że używanie tego tytułu jest wielce ryzykownem, że wielkich artystów bardzo rzadko, prawie nigdy tytułować tak nie można, bo na to nie zasługują, ale z Matejką miało się inaczej. On był absolutnym wyjątkiem, zarówno jako artysta, jak i jako człowiek. Było w nim coś z Bożego zesańca, i dla tego jeden tytuł *Mistrza* przystawał do jego osoby.

Innym wielkim mistrzom pióra czy pendzla słusznie odmawia się tego tytułu, bo się w nich czci tylko wielkich artystów; Matejko był dla nas więcej, niż wielkim artystą, i dla tego mało kogo raziło, gdy się go tytułowało mistrzem. Tytułu tego, gdy się go zwracało do Matejki, nie używało się w zwykłym znaczeniu, ale w tem, w jakim go naprzykład używał Mickiewicz lub Towiańczycy, gdy mówili lub pisali do Towiańskiego; w jakim go używali św. Apostołowie, gdy się zwracali do swego Boskiego Mistrza. Gdy się do Matejki mówiło *mistrzu*, najmniej się myślało o jego mistrzostwie we władaniu pendzlem... Patrząc nań, miało się wrażenie — a przynajmniej ja go doznawałem zawsze — że ma się przed sobą człowieka świętego.

Z takim uczuciem, nigdy z innem, zbliżałem się do jego osoby, a ilekroć go spotkałem, czy to na ulicy, czy na schodach Szkoły Sztuk Pięknych, nietylko przypatrywałem mu się pilnie, ale instynktownie odślaniał głowę, bo mi jakiś głos wewnętrzny mówił wyraźnie, że około takiego człowieka, jak Matejko, nie przechodzi się w kapeluszu.

Swoją drogą zdarzało mi się nieraz widzieć go w okolicznościach, które niezupełnie licowały z tym jakimś mistycznym urokiem, jakiego się dopatrywałem w jego osobie. Do takich sytuacji należały np. kąpiele w Wiśle pod mostem Zwierzynieckim, gdzie go prawie codzień, podczas letniego semestru, widywałem kąpiącego się ze swym nieodstępnym famulusem Gorzkowskim... Trudno: po za swoją genialnością, która, niby świetlista aureola, opramieniała jego oblicze, a która jednocześnie, niby gorączka, trawiła jego wątłe ciało, był jeszcze zwykłym ludzkim organizmem, któremu wiślane kąpiele, niezawodnie przepisane przez doktorów, tylko dobrze zrobić mogły. Jakoż używał ich co dnia, przed godziną 9 rano, przed pójściem do pracowni, a ja, obserwując go, gdy się pluskał w mętnej wodzie, mimowoli myślałem o Wolterze, który się nazywał najchudszy z Francuzów; otóż, patrząc na Matejkę w stroju Adamowym, miałem przykre wrażenie, że on chyba był jeszcze chudszy od Woltera. W każdym razie był jeszcze chudszy od Asnyka, który także przychodził kąpać się o tej porze.

Tak było w lecie, podczas upałów. Z nadejściem zimy, a zwłaszcza z nadejściem karnawału, bywało gorzej: Matejko miał córki na wydaniu, dla których przedewszystkiem był ojcem. Jako taki, musiał zapominać niekiedy, czem jest dla społeczeństwa, jakie stanowisko zajmuje wśród swego narodu, i z hymnu zstępować do prostej powieści: z wyżyn, na które go wynosiła sztuka i jego posłannictwo duchowe, zstępować na zwykły padół ziemski, w zwykłej roli zwykłego ojca, który, mając dwie dorosłe córki, musi myśleć o tem — gdyż o tem nie mogła myśleć ich matka — ażeby się zabawiły w karnawale, żeby nie unikały sposobności, któreby im pozwoliły znaleźć mężów. W tej ziemskiej roli, z którą mu tak było nie do twarzy, widziałem go niejednokrotnie, a nie zapomnę jednego balu w Sali Strzeleckiej, na którym z pięknymi pannami Matejkównami, przybranymi w stylowe suknie według rysunku ojca, tańczyliśmy do godziny siódmej zrana, Matejko zaś, we fraku i w białym krawacie, siedział w kącie sali, patrzył, jak tańczyły, cieszył się ich powodzeniem, obserwował młodzież, która z niemi tańczyła, a po za tem nudził się, aż w końcu, nad ranem, drzemał. Nie umiem powiedzieć, dla czego, ale mi się serce krajało na jego widok, tak mi było żal tego geniusza, który, za-

miast się krzepić snem po całodzienniej pracy twórczej, całą noc musiał spędzać bezsennie, dla tego tylko, żeby się córki wytańczyć mogły dowoli. Zdawało mi się, że on zabawę tę okupuje kosztem sztuki, że kiedy one tańczyły, sztuka polska lamala ręce z rozpacz, bo chyba nic tak nie wyczerpywało i tak już nadwątlonych sił i zdrowia Matejki, jak takie przymusowe wypełnianie obowiązków rodzinnych: zwłaszcza, że kto znał Matejkę, ten nie wątpił, iż widząc go o siódmej wracającego z balu, za dwie godziny zobaczy go znowu, idącego do pracowni. Myśl ta psuła mi zabawę, choć bal był świetny, a obie panny Matejkówny wyglądały przepięknie; młodsza szczególnie, blondynka, w ponsowej aksamitnej sukni, przepasanej złotym pasem, była rozmarzająca prostopu.

* * *

Było to w półroczu zimowem roku szkolnego 1889/1890. W poniedziałki i wtorki, od 12-ej do 1-ej, prof. Maryan Sokołowski (który, wtrąćmy w nawiasie, pozował Matejce do figury króla Karola VII w *Joannie d'Arc*), wykladał o sztuce z czasów odrodzenia we Włoszech, a co piątek odbywał ze swymi słuchaczami, do których należeli i uczniowie ze Szkoły Sztuk Pięknych, tak zwane *Ćwiczenia praktyczne z historii sztuki*. Były to, obok wykładów Stanisława Tarnowskiego, jedne z najbardziej interesujących, profesor Sokołowski bowiem, choć nie należy do ludzi wymownych, ma tę wyższość nad wymowniejszymi od siebie, że lubo nosi monokl i zbyt często używa wyrażenia *że tak powiem*, odznacza się mimo to nadzwyczajną erudycją w zakresie wykładanego przez siebie przedmiotu. Nadto jest prawdziwie rozmiłowanym w sztuce, czy to będzie sztuka współczesna, czy włoska, czy niemiecka, a zapal, tchnący z jego wykładów, udziela się słuchaczom. Cóż dopiero, gdy mu mówić wypadnie o Michale Aniele i Rafaelu! Jest to jego *cheval de bataille*, jego specjalność, podobnie jak Zygmunt Krasziński jest specjalnością Tarnowskiego. To też gdy skończył mówić o poprzednikach dwóch największych mistrzów sztuki odrodzenia, a przystąpił do Buonarottiego i jego fresku na sklepieniu kaplicy Sykstyńskiej, wykłady osiągnęły swój punkt kulminacyjny pod względem zainteresowania zwiększonej liczby słuchaczy, co przyszło tem łatwiej, że w audytorium znajdował się także Matejko...

Był to nielada zaszczyt dla profesora Sokołowskiego, zaszczyt, który go niejednokrotnie wprawiał w zakłopotanie, a onieśmielając w niemalym stopniu, niekoniecznie korzystnie i podniecająco wpływał na jego i tak już niewielki dar wymowy. Nieszczęsne *że tak powiem* powtarzało się o wiele częściej, niż tego zachodziła potrzeba, a czasami pojawiało się w takim miejscu, w którym najmniej było odpowiednie. Ale nietrudno zrozumieć *tremę* profesora, któremu wypadło mówić przed takim człowiekiem i mistrzem w sztuce malarskiej, jak Matejko! W podobnych warunkach nie jąkać się, jak »żaczek przed nauczycielem«, było psychicznem niepodobieństwem, zwążywszy wielkość i urok nazwiska Matejki. A przytem nie brakło jeszcze jednej okoliczności, która niezmiernie utrudniała zadanie wykładającemu: oto uwaga wszystkich, nie wyłączając jego samego, była zwrócona ku osobie twórcy *Joanny d'Arc*, siedzącego na brzegu pierwszej ławki. Wszyscy mu się przypatrywali ciekawie, wszyscy czuli się uszczęśliwieni, że mają takiego *kolegę*, a co gorsza, wszyscy śledzili wrażenie, jakie na nim czynią słowa prof. Sokołowskiego, który, czując to, tembardziej był zażenowany, tem częściej powtarzał swoje fatalne *że tak powiem*. Tymczasem Matejko słuchał uważnie, pełen prostoty i skromności, a znać było, jak się interesował Michałem Aniołem, jak go zajmowały różne szczegóły z życia i dziejów twórczości tego Tytana. Jakoż przychodził nietylko na niektóre wykłady, ale i na owe ćwiczenia praktyczne, podczas których prof. Sokołowski pokazywał cały szereg fotografii dzieł Michała Anioła.

Ćwiczenia te, niezmiernie pouczające, odbywały się w niewielkiej salce *Colegiū novi* przy *Gabinecie sztuki*. Pośrodku salki, od góry do dołu obwieszanej reprodukcjami i fotografiami różnych obrazów i rzeźb, głównie Michała Anioła i Rafała, stał długi, nakryty zielonem suknem i obstawiony krzesłami stół, a »ćwiczenia« odbywały się w ten sposób, że prof. Sokołowski, mając przed sobą cały stos różnych fotografii i rycin, zajmował główne miejsce, Matejko siadał obok, a studenci lokowali się dookoła: część siadała, część zaś, w braku dostatecznej liczby krzeseł, słuchała stojący, zgrupowana za krzesłami prof. Sokołowskiego i twórcy *Kazania Skargi*. Fotografie, w miarę udzielanych objaśnień, krążyły z rąk do rąk.

Pewnego piątku mówił prof. Sokołowski o *Sybillach*,

które, jak się wyraził, »Michał Anioł umieścił *że tak powiem* pod oknami«. Matejko słuchał z całą uwagą, nie tając swego zdziwienia, gdy się o Buonarottim dowiadywał rzeczy, o których nie słyszał przedtem, lub wtrącając swoje opinie o nim, gdy mu się coś wydawało inaczej. Nie potrzebuje dodawać, że wszystko, co mówił (a mówił cicho, głosem słabym), było wysoce charakterystyczne, a choć niekiedy brzmiało naiwnie, to jednak pobudzało do głębszego zastanowienia. Jakoż zdarzyło się kilkakrotnie, że z powodu jakiegoś pytania, zadanego przez Matejkę (który się przyznawał otwarcie, że o wielu szczegółach, dotyczących Michała Anioła i kaplicy Sykstyńskiej, słyszał po raz pierwszy) prof. Sokołowski, chcąc się przyczynić do rozjaśnienia niektórych wątpliwości mistrza, rozszerzał ramy zwykłego uniwersyteckiego wykładu, co miało tę dobrą stronę, żeśmy się dowiadywali o rzeczach, o których w innych warunkach może nie dowiedzielibyśmy się od niego nigdy.

Cokolwiekbądź, wrażenie, któreśmy wynosili z tych »ćwiczeń praktycznych«, było niezmiernie miłe, a nawet podniosłe, niezależnie od tego, że należało do najniezwyklejszych: bo trudno nie zgodzić się na to, że słuchanie wykładów o takim artyście, jak Michał Anioł, przy współdziałaniu takiego artysty, jak Matejko, nie było rzeczą zwykłą, przytrafiającą się codziennie.

Zaprzeczyc się nie da również, że to chodzenie na wykłady o Michale Aniele, oczywiście wynikające z chęci dowiedzenia się czegoś nowego o nim, było wysoce znamienne dla Matejki; że mistrz tej miary, co on, mógłby w tem widzieć niejaki uchybienie dla siebie: niejednemu, mniejszemu od niego, zdawałoby się, że takie uczęszczanie na wykłady uniwersyteckie *razem ze studentami* uwłaczałoby jego godności.

Matejko, którego przedewszystkiem cechowała niezwykła prostota w życiu i sposobie postępowania, nie zważał na takie względy; interesował się Michałem Aniołem, więc postanowił skorzystać z wykładów uczonego profesora, na które chodzili jego uczniowie, i chodził razem z nimi, towarzysząc im, gdy wychodzili ze Szkoły Sztuk Pięknych. Jak to charakteryzuje człowieka! Było to »pospolitowanie się«, na które nie zdobyłby się żaden z profesorów krakowskich, którzy, jeżeli nie są bez wad, to jedną mają przedewszystkiem, że zbyt grubym murem odgradzają się od młodzieży akademickiej. Nie zaszkodziłoby, gdyby się więcej »pospolitowali« z nią, tak jak to ze swymi

uczniami czynił Matejko! On uważał, że mu korona z głowy nie spadnie, gdy go ludzie zobaczą na Plantach, z kilkunastu uczniami ze Szkoły Sztuk Pięknych, idącego do Uniwersytetu na wykład prof. Sokołowskiego. Innym możeby *nie wypadło* zniżyć się do podobnej roli; on był tak wielki, że mu wszystko *wypadło*.

Ale był jeszcze inny wzgląd, który sprawiał, że Matejkę tak interesowały te wykłady o wielkim mistrzu odrodzenia: oto czuł jakiś duchowy pociąg do tytanicznej postaci Michała Anioła.

Jest to właściwe wszystkim artystom, że mają swoich ulubieńców w dziedzinie sztuki, że do pewnych mistrzów czują większą predylekcyę, niż do innych, że jednych lubią bardziej, drugich mniej, a innych wcale; przyczem zawsze największą sympatya darzą tych, do których sami są najbardziej podobni, z którymi sami mają mnóstwo cech pokrewnych. Na podstawie tego psychologicznego prawa, które już Goethe nazwał »powinowactwem z wyboru«, ponury Michał Anioł przepadał za Dantem, kiedy pogodny Rafael wolał *Sonety* Petrarcki, Słowacki zachwycał się Rafaelem i Woronezem, a Chopin, pełen bezgranicznego uwielbienia dla Mozarta, nie odczuwał piękności muzyki Beethovena.

Pamiętając o tem psychologicznem prawie, nietrudno zrozumieć, dla czego Matejkę tak pociągał twórca *Mojżesza* i *Proroków*. Można by arcyciekawe studyum napisać na temat tego duchowego powinowactwa pomiędzy Michałem Aniołem a twórcą *Kazania Skargi* i *Grunwaldu*, (w którym jest coś z *Sądu Ostatecznego*). Ja podkreślę tylko jeden zasadniczy rys w twórczości obu, mianowicie tragizm, który cechuje zarówno wszystkie dzieła Buonarottiego, jak większość dzieł Matejki. A tytaniczność postaci naszego mistrza, czyż tej nie przyklasnałby Michał Anioł?! A jego rysunek?

Co pewna, to, że Matejko czuł w sobie »zbliżenie do Michała Anioła«, że sobie zdawał sprawę z pewnego podobieństwa, jakie nietrudno zauważyć pomiędzy nim a ponurym twórcą *Niewolników* z paryskiego Louvre'u. Nawet się z tem nie tań!

Czynił to przynajmniej w chwilach dobrego humoru, w których idąc za przykładem Michała Anioła, pisywał wiersze. Michał Anioł wślawił się swymi sonetami, czemużby on

nie miał próbować szczęścia na tem samym polu? Wiersze Matejki!... Nie wielu jest takich, co wiedzą, że i Matejko — jak Michał Anioł — pisywał wiersze. Pisywał jednak. Jakie? Na to pytanie niech odpowie jego wiersz, wyjęty z listu do p. Serafińskiego, pisanego w roku 1870 *ex re* Świąt Bożego Narodzenia.

Trochę nie wczas na opłatek!
Dobrze czuję ten niestatek;
Lecz z życzeń upraszam ładnie
Przyjąć co padnie.
Niezbyt wprawdzie udalnie,
Bo się czasem człek zatnie,
Lecz czytając uważnie,
Znajdziesz człeku naukę,
Że lepiej jest nie tykać po Bekwarku lutnie,
Bo, jak się wyżej rzekło, nieraz człowiek utnie.

Jan malarz
Sławetny nudziarz.

Post scriptum. Niniejszem czuję zblizenie do Michała Anioła *Sonetów*; zapewniona więc sława moja nawet w piórze, o czem nie wszyscy wiedzieli. Umrę spokojny, bom szczęśliwy.

Gwiazda swojego narodu
kawaler orderów papierowych
przyszły obywatel miasta Krakowa etc. etc.

Niemniej »figlarnym« jest inny wiersz Matejki, napisany na odwrotnej stronie portretu *Jana Kochanowskiego*, portretu, który mistrz w roku 1884 — jako trzechsetnym od śmierci czarnoleskiego poety — namalował dla krakowskiej Akademii Umiejętności, a który jest najpiękniejszym wizerunkiem autora *Odprawy posłów greckich*, na jaki się zdobyła sztuka polska. Wiersz ten, dowcipny w swej archaicznej formie, brzmi, jak następuje:

Konterfekt Jana pisarza zacnego,
Xieciem Poetów w Poloniej zwanego,
Malarz Włoch w Czarnolesie farby udanemi
Imaginował — myślami wdzięcznemi
Krzepion, że wždy ludzie za lat trzysta
Poznają, jak wyglądał Ten — Boski Lutnista.

Ex actis Reipublicae Babiniensis

pl. 5 pag. 1884

Cantor atque pictor totius Reipublicae.

Skoro mowa o wierszach, i to wierszach pozostających w najściślejszym związku z malarstwem wogóle, a Matejką w szczególności, to mimowoli przypominają mi się te chwile moich krakowskich lat studenckich, które spędzałem na drugim piętrze Szkoły Sztuk Pięknych, w pracowniach ówczesnej *Majsterszuli*.

Choć sam student, zawsze wolałem żyć z malarzami, niż z moimi kolegami z Czytelni Akademickiej, zawsze wolałem towarzystwo młodych artystów, niż młodych prawników i medyków. Stąd niezmiernie miłe wspomnienie tych »sjest renesansowych«, którym za tło służyły pracownie Radziejowskiego lub Tetmajera, a podczas których dyskutowano o sztuce, o Böcklinie i Meissonierze, czytano na głos *L'oeuvre Zoli*, śpiewano, gwizdano, deklamowano poezye, wypalano nieskończoną ilość papierosów, nie mówiąc już o różnych scenach »rodzajowych« z modelkami... Wszystko to odbywało się pod artystycznym godłem *Evviva l'arte!* a choć było »kapitałnem w charakterze«, to nie zawsze zyskiwało aprobatę Matejki, którego pracownia także znajdowała się na drugim piętrze. Nic oryginalniejszego, jak różnica atmosfery, panującej w pracowni »dyrektora«, a w pracowniach »młodych«: w *majsterszuli* pannał duch modernizmu, kwitł duch natury i *plein air*'u, a z wyjątkiem Radziejowskiego i Bergmana nikt nie malował obrazów historycznych, tymczasem w pracowni Matejki, który tak bolał nad tym »bezmyślnym« kierunkiem »młodych«, pannała przeszłość i »brudne światło pracowni«. Na Matejkę, choć wszyscy godzili się na jego geniusz, zapatrywano się przez pryzmat krytyk Witkiewicza, a gdy się zgadało o jego pracowni, zawsze się podkreślało jej mistyczną *średniowieczność*, którą przeciwstawiano słonecznej *renesansowości* majsterszuli. Matejko nie mógł sobie nie zdawać z tego sprawy, bo wystarczało mu obejść pracownie Tetmajera, Wodzinowskiego, Żelechowskiego lub Delaveaux, którzy malowali wyłącznie chłopów i pejzaże, pejzaże i chłopów, ażeby się przekonać ostatecznie, jak to młode pokolenie nie hołdowało jego podniosłym ideałom, jak bardzo z hymnu zstąpiło do prostej powieści. To też, kiedy zaglądał do majsterszuli, zwykle kończyło się na tem, że popatrzył na rozpoczęte obrazy, ale uwag nie czynił prawie żadnych. Jeżeli kiedy wyrzekł swoją opinię, to najczęściej żałował, że taki talent marnuje się na takie »bez-

myślnie« tematy. Szczególniej obrazy Delaveaux i Tetmajera, którzy, pozostając pod wpływem Al. Gierymskiego, malowali sceny uliczne o zmroku z efektem gazowych światel latarni, oburzały jego pojęcie piękna. Dla niego było to malarstwo kosmopolityczne, ateistyczne, i dlatego irytował się tylko, patrząc na te *stimmung*'i i *plein air*'y, których nie rozumiał. Jeszcze gdy malowano chłopów, był wyrozumiały, bo nietylko odczuwał malowniczość sukman i kierezyj, ale w nich widział temat polski. To sprawiało, że mniej był przeciwny obrazom chłopskim, a jeżeli takim obrazem była *Kołysanka* lub *Sielanka* Tetmajera, to nawet był skory do pochwał. Nie znosił tylko brzydkich twarzy kobiecych: był to naturalizm, jego zdaniem, któremu mógł hołdować Bastien Lepage, ale któremu polski malarz hołdować nie powinien.

Pamiętam, że któregoś dnia, gdym siedział w pracowni »Tecia« Tetmajera, malującego wtedy *Sielankę*, słyszymy nagle, że ktoś puka do drzwi. Okazało się, że to był Matejko. »Tacio«, spostrzegłszy mistrza, w tej chwili włożył surdut, który uważał za zbyteczny podczas malowania, a tymczasem »pan dyrektor«, rozejrzawszy się po pracowni, podszedł do sztalug, na których wisiał już skończony prawie obraz, przyjrzał się mu, pochwalił to i owo, doradził kilka drobnych zmian w układzie, zaprotestował przeciwko kilku niebieskim plamom na twarzach parobczaka i dziewczyny, przyczem zauważył, że stanowczo ta ostatnia jest za brzydka do takiej *Sielanki*. Trudno przypuścić — mówił — żeby taki dziarski parobczak mógł się w ten sposób patrzeć na tak brzydką dziewczuchę. Uwaga, według mnie, była całkiem słuszna. Ten sam zarzut dał się także odnieść i do *Kołysanki*, która w tej chwili znajdowała się na wystawie w Sukiennicach, a którą »pan dyrektor« chwalił wogóle. *Kołysanka* powstała w Monachium; a że Matejko sam kiedyś »nad Izarą« studyował pod Wagnerem, który był także mistrzem Włodzia Tetmajera, więc rozmowa zesłała na Monachium. Matejko wypytywał się o niektórych z tamtejszych malarzy-polaków, przyczem oglądał inne zaczęte obrazy Włodzia, chwalił ich pomysły, korygował niektóre, i tak upłynął z kwadrans. Dla Włodzia, który w Matejce widział nietylko genialnego malarza, ale i swego przelożonego, był to kwadrans kłopotliwy dosyć, dla mnie jednak, który przez cały czas stałem z boku, z ciekawością przypatrując się wątlej

i zgarbionej postaci mistrza, był to kwadrans uroczysty: wychowany w kulcie dla Matejki, uważałem sobie za prawdziwe szczęście, gdym mógł choć popatrzeć na tego, który wymalował *Kazanie Skargi* i *Rejtana*.

* * *

Wymalował także jedenastce obrazów, które dziś zdobią aulę lwowskiej politechniki. Z czasów, gdy się malowały te obrazy, mam wielce charakterystyczne wspomnienie o ich twórcy.

Pamiętam, że było to w pracowni Włodzia Tetmajera, po południu, prawie o zmierzchu. Siedzieliśmy w kilku, Tetmajer, Żelechowski, Wodzinowski i Delaveaux. Dwaj ostatni malowali, Żelechowski dowcipkował, opowiadając o swej najświeższej przygodzie z lichwiarzem, którego w cudowny sposób pozbył się znowu na miesiąc, nie dawszy mu ani grosza, a Włodzio miał spleena, którego wędził w obłokach dymu papierosowego. Wtem zapukano do drzwi, a kiedy kilka głosów, jakby na komendę, rzekło *Proszę*, wszedł Strażyński, którego dla niezmiernie wysokiego wzrostu zwaliśmy *longinusem*.

W gronie Tetmajera i Delaveaux, od których zresztą trzymał się zdala, cieszył się on sławą poczciwej mierności, człowieka o najlepszych chęciach, lecz absolutnie pozbawionego talentu, o czem najwymowniej świadczyła jego niefortunna i nieudolna *Allegorya*. Po za tem był to bardzo sympatyczny »wielkolud«, który jeżeli stronił od kolegów, to z nieśmiałości i braku pewności siebie. Powtóre wiedzieliśmy o nim, że był chory, że niezupełnie był w porządku z władzami umysłowemi. Jego ściągała twarz o pięknych regularnych rysach, okolona ciemną podłużną brodą, a zdobna parą prześlicznych, czarnych, głęboko osadzonych oczu, była pełna jakiegoś chorobliwego wyrazu: spojrzawszy nań, przeczuwało się, że w nim tkwi materyał na melancholika. Jakoż skończył na melancholii...

W tej chwili jednak, gdy stanął pomiędzy nami (co nas wszystkich zdziwiło niepomału, bo nigdy nie wchodził do niczyjej pracowni), robił wrażenie, jakby był szczególnie zadowolony z siebie: miał taką minę, jak człowiek, który czuje, że przed minutą wykończył arcydzieło.

Po pierwszych banalnych słowach powitania, zapytany, jakiemu szczęśliwemu wypadkowi zawdzięczamy jego wizytę,

oświadczył nam (nie chcąc usiąść, co mu proponowano), że przyszedł z prośbą, abyśmy zechcieli obejrzeć jego świeżo ukończony obraz, który Matejko jutro ma przyjść obejrzeć i poprawić.

Obrazem tym — o czym wiedzieliśmy już przedtem — był właśnie jeden z owych jedenastu kartonów Matejki, przeznaczonych do auli politechniki lwowskiej. Matejko nie miał ich malować sam: porobił tylko szkice ołówkowe. Szkice te, rysowane na sporych arkuszach brystolu, mieli dopiero młodzi artyści prznosić na wielkie płótna. Otóż poczciwemu Strażyńskiemu, którego Matejko lubił za jego historyczno-alegoryczny kierunek, dostał się karton, wyobrażający się *Pary*. »Po szynach kolei żelaznej — powiada o tym kartonie St. Tarnowski — pędzi na drezynie *Ogień* i ściska w objęciach *Wodę*, a ich dziecko *Para* ciągnie ich swoim szalonym pędem». Tak się przedstawiała ta kompozycja Matejki.

Kiedyśmy ją poszli obejrzeć do pracowni Strażyńskiego, doznaliśmy niemilego rozczarowania, pomimo, że obraz, oglądany o zapadającym zmroku, tylko mógł zyskiwać na tym braku jaśniejszego światła. Stojąc przed ogromnem płótnem, które, wysokie aż pod sam sufit, »straszyło« dwiema nagimi postaciami nagich olbrzymów, twardo odcinających się od niebieskawo-sinego tła pejzażu, byliśmy mocno zakłopotani tym »bohomasem«, a przypatrując się mu, przedewszystkiem staraliśmy się robić *bonne mine au mauvais jeu*, żeby nie dać poznać po sobie, jak dalece nie byliśmy zachwyceni. Bo chyba nie potrzebuję dodawać, iż wrażenie wypadło na niekorzyść twórcy! Patrząc na to poronione dzieło, mimowoli myślało się o pięknych kompozycjach fortepianowych, które w tak nieudolny sposób przerobiono na orkiestrę, że w transkrypcyi zatraciła się nie tylko piękność, ale i melodia pierwotnego wzoru. Sam pomysł, choć niełatwy do odgadnięcia, jeżeli się nie wiedziało, co wyobrażają te nagie giganty na drezynie kolejowej, nie był zły, owszem, odznaczał się prawdziwie Matejkowską siłą i rozmachem, ale wykonanie było — jak się wyraził Włodzio — poprostu skandaliczne: wszystko, począwszy od nagich kształtów całej grupy, a skończywszy na szynach, drezynie i krajobrazie z pochmurnem niebem, było wylizane, martwe, blaszane, w rysunku twarde, a malowane z równą nieudolnością, jak sumiennnością. Według mnie, któremu lite-

rackie porównania już i wtedy nasuwały się najłatwiej, było to jakby wypracowanie szkolne, nie kwalifikujące się do druku: jeżeli ktoś równie źle napisze powieść, jak ten karton był źle namalowany i narysowany, to wtedy utwór kwalifikuje się do redaktorskiego kosza.

Nie wiedząc, co powiedzieć Strażyńskiemu, choć wiedzieliśmy wszyscy, że prawdaby go zabiła, milczeliśmy dość długo, które to wymowne milczenie Strażyński pewno sobie tłómaczył na swoją korzyść, aż w końcu Żelechowski, znany ze swych facecyi, zaczął monologować na temat różnych niepopolitych zalet, których mnóstwo odkrywał w obrazie, a na które niby starał się zwracać naszą uwagę. Panując nad sobą, ażeby nie wybuchnąć śmiechem, zaczęliśmy przytakiwać jego pochwałom, a poczciwy Strażyński, nie domyślając się, że tu Żelechowski był tylko pierwszym komikiem w tej zaimprovizowanej komedyi, brał wszystko za dobrą monetę, wierząc wszystkiemu, co mu się mówiło o kapitalnym *Stimmung*u, którego wcale nie było na obrazie, o poprawności rysunku, który był niżej wszelkiej krytyki, i o poetyczności wieczornego pejzażu, który może był najmniej słabym ze wszystkiego. Cóż dopiero, kiedyśmy zobaczyli szkic Matejki, według którego Strażyński malował ten karton, szkic, który był arcydziełem w swoim rodzaju, a bezwarunkowo arcydziełem rysunku! Patrząc nań, miało się plastyczne wyobrażenie tego, czem jest siła geniuszu, a spojrzawszy na powiększone jego odbicie o obrazie Strażyńskiego, nabierało się konkretnego pojęcia o bezkrytyczności ludzi bez talentu. Swoją drogą nie zdradziliśmy się z tem bolesnem uczuciem: przeciwnie, winszowaliśmy autorowi, że się doskonale wywiązał z zadania, że zrobił ogromny postęp od czasu *Allegoryi*, że Matejko wiedział, dla czego jemu powierzył wymalowanie tego kartonu etc. Kłamaliśmy, jak z nut, ale z dobrego serca. Za to, kiedyśmy się znaleźli z powrotem w pracowni Tetmajera, gdzie już byliśmy pewni, że nas Strażyński nie słyszy, zgodziliśmy się na jedno, że obraz jest »przepodły«, nad którym możnaby się uśmieć do rozpuku, gdyby to wszystko razem nie było takie smutne. Bo ostatecznie temu biednemu Strażyńskiemu naprawdę zdawało się, że wymalował arcydzieło, że nam zaimponował niem, że mu Matejko będzie miał czego winszować.

W tem przekonaniu poprosił nazajutrz »pana dyrektora«,

ażeby zechciał obejrzeć jego karton. Przyszedł Matejko, popatrzył na tę smutną karykaturę swojego szkicu, a po chwili milczenia, którego mu stojący za nim Strażyński przerywać nie śmiał, spojrział na zegarek. Widząc, że jest właśnie pora obiadowa, nie rzekłszy ani słowa o obrazie, zaproponował jego trochę zmieszanemu twórcy, żeby poszedł na obiad. On tu zostanie tymczasem, bo ma chwilkę wolnego czasu, więc każe sobie przynieść swoje farby i pendzle, i poprawi niektóre rzeczy w obrazie, wymagające poprawki. Posłyszawszy słowa mistrza, Strażyński, nie śmiąc go zapytać, jak mu się wogóle podoba całość, ubrał się i poszedł. Wrócił o trzeciej. Ciekawy, co też Matejko poprawił w obrazie, wchodzi do pracowni, zastaje mistrza na schodkach przed sztalugami, a jednocześnie, o dziwo! nie poznaje swego obrazu.

W ciągu tych dwóch godzin »pan dyrektor« poprostu przemaalował całe płótno, tak, iż to samo, co do niedawna było jeszcze płaskiem, martwym, banalnym i niedołężnym (nie w oczach Strażyńskiego oczywiście), teraz stało się godnym nazwy prawdziwego dzieła sztuki, pełnego ekspresyi, życia, ruchu i tej furji, która cechuje *Grunwald*. W godzinę później, która z pewnością wydała się Strażyńskiemu bardzo długą, Matejko odłożył pendzle, a przypatrzwszy się obrazowi, śmiało mógł podpisać się pod nim, jak pod swoim własnym: wszystko poprostu wyskakiwało z płótna, tak było plastyczne; ciała alegorycznych postaci Ognia, Wody i Pary, które przed południem jeszcze były podobne do woskowych figur z ordynarnego pannoticum, robiły wrażenie żywych nagości, pod którymi pulsowały krew i życie; szyny błyszczały, jak stalowe, a mulsularny *Ogień* tak płomiennie spoglądał na wielce powabną i pulchną *Wodę*, tak namiętnym gestem przytulał ją do siebie, jakby mu było przykro, że pędząca przed nimi *Para* aż dotąd była ich jedynaczką.

Po wyjściu Matejki, któremu trzy godziny wystarczyły na całe przeistoczenie dużego malowidła, Strażyński dość długo jeszcze nie wychodził z pracowni. Co sobie myślał, patrząc na to płótno, z którego znikły wszelkie ślady jego kilkumiesięcznej pracy, z tem nie zwierzył się nikomu, a wychodząc z *atelier*, już nie wstąpił do nas, jak poprzedniego dnia, żebyśmy przyszli zobaczyć, jak wyglądał *jego* obraz, poprawiony przez Matejkę. My tymczasem, dowiedziawszy się od woźnego,

że »pan dyrektor« przez parę godzin poprawiał obraz Strażyńskiego, byliśmy ciekawi zobaczyć płótno w jego obecnym stanie. Jakoż, w małą godzinkę po wyjściu biednego autora *Allegoryi*, którego żał nam było szczerze, byliśmy o tyle niedyskretni, żeśmy się udali do jego pracowni (od której klucz wisiał przy drzwiach), a wszedłszy tam, zostaliśmy uderzeni widokiem wspaniałego obrazu Matejki, pod którym wprawdzie znajdował się obraz Strażyńskiego, ale go nie było widać. Całkiem go zakryły lwie pazury!

* * *

Nigdy katolicki Kraków nie ma tak średniowiecznego charakteru, jak w ciągu t. zw. oktawy Bożego Ciała. Jest to tydzień, w którym z wieży Maryackiej, zamiast zwykłych hejnałów, rozbrzmiewają rzewne pieśni pobożne, grane na dwóch trąbkach; nad całym miastem rozlega się istny koncert dzwonów kościelnych, zwołujących na modlitwę: a chodząc po ulicach, co moment spotyka się mniejsze lub większe procesy, które choć nie mogą iść w porównanie z dwiema wielkimi w pierwszy i ostatni dzień oktawy, to jednak swym mistycznym, głęboko religijnym nastrojem, pełnym naiwnej prostoty, budzą bardzo podniosłe uczucia, choćby się na nie zapatrywano tylko z artystycznego punktu widzenia.

Nie zapomnę jednej z takich procesyi. Była może godzina 6-ta po południu. Pogodny dzień czerwcowy miał się ku schyłkowi; słońce jeszcze stało dość wysoko, ale cienie już się kładły szerokimi szmatami. Szedłem z kolegą, którego przed chwilą wyciągnąłem z redakcyi *Czasu*, gdzie był współpracownikiem, a szliśmy ulicą Szpitalną, zmierzając ku Plantom. Kiedyśmy wyszli na Plac św. Ducha, którego starożytny kościółek z czerwonej cegły, stojąc w najbliższem sąsiedztwie nowożytnej fasady gmachu teatralnego, tak malowniczo odbija na zielonem tle drzew w głębi, usłyszeliśmy nagle, za naszymi plecami, jakiś śpiew chóralny. Obejrawszy się, ujrzelśmy niewielką procesyę, idącą w naszą stronę. Ażeby się jej przyjrzeć lepiej, przystanęliśmy. Była to procesya parafian św. Ducha, z którego wieży rozlegał się odgłos dzwonów. Na czele, z chorągwią w ręku, szedł kościelny w niebieskiej komży. Obok niego, w czerwonych komeszkach, szło dwóch wyrostków, niosących grube świece woskowe, wprawione w srebrne lichta-

rze na kijach. Za nimi szedł ksiądz w ornacie, a za nim postępowała garstka pobożnych, może ze trzydzieści osób, prawie wszyscy z zapalonymi świecami woskowymi. Wystarczyło spojrzeć na nich, aby zauważyć, że to byli prostaczkowie z klasy roboczej: służące, rzemieślnicy z żonami, czeladnicy, trochę dzieci, kilka starych bab z jakiegoś bractwa. Szli, śpiewając, a pomiędzy nimi, jak prostaczek między prostaczkami, szedł Matejko z Gorzkowskim, zgarbiony, pokorny, cichy, w czarnej beżowej marynarce, z odkrytą głową, z zapaloną świecą w ręku... Nie umiem opisać wrażenia, jakie na mnie uczynił widok tego wielkiego człowieka, tego genialnego artysty, tego duchowego tytana, wmięsanego w tę pobożną gromadkę malarzów, którzy idąc z nim razem, nawet sobie nie zdawali sprawy, kogo mają pomiędzy sobą.

— To wrażenie pozostanie na całe życie — rzekłem do mego towarzysza, a tymczasem procesya skręciła w stronę kościoła, który był parafialnym Matejki.

* * *

Kiedy to piszę, mimowoli staje mi przed oczyma ów pogodny wieczór czerwcowy, poprzedzający dzień pogrzebu Teofila Lenartowicza, wieczór, gdy przywiezioną z Florencyi trumnę ze zwłokami autora *Lirentki* niesiono z dworca kolejowego do kościoła Panny Maryi. Ogromny tłum, pamiętam, ciągnął ulicą Floryańską. Na samym przodzie tej zbitej masy kapeluszy kobiecych i męskich, owiana płomienną luną pochodni, a podobna do łodzi płynącej po ruchliwej rzece głów ludzkich, posuwała się zwolna trumna poety, za którą kroczący chór śpiewał jakieś żalosne *Requiem*. Chwila była pełna uroczystego nastroju, a szczególnie piękny był widok, jaki przedstawiała ulica Floryańska, oświetlona spowitemi w krepę latarniami, upstrzona mnóstwem widzów w otwartych oknach i na balkonach, i tak biegnąca aż do gotyckich wież kościoła Maryackiego, których ciemne sylwety, rysując się na sinem tle nieba i białych gwiazd, nadawały całemu temu pochodowi pogrzebowemu, niezwykłemu przez to, że się odbywał wieczorem, jakiś średniowieczny charakter. Byłem w towarzystwie Maryana Gawalewicza i paru malarzy... Otoczeni zwartym tłumem, szliśmy środkiem ulicy, a idąc tak, niby wielką procesją, rozmawialiśmy o »bajecznym *Stimmung'u*« cudnie pię-

knego obrazu, który mieliśmy przed oczyma. Zajęci tą artystyczną pogawędką, którą prowadziliśmy od samej Bramy Floryańskiej, aniśmy się spostrzegli, jakieśmy się zbliżyli do barokowej fasady domu Matejki. W tejże chwili ujrzelśmy na balkonie, w otoczeniu rodziny, drobną postać twórcy *Rejtana*: stał bez kapelusza, oparty o żelazną balustradę, i przypatrywał się konduktowi.

Był to ostatni raz, kiedy widziałem Matejkę...

II.

MATEJKO I SŁOWACKI.

»Tajemnicza natura przeczuć« zawsze była przedmiotem rozmyślań Słowackiego. Nieraz zastanawiał się nad tem — na co już Hamlet zwrócił uwagę Horacego, mówiąc, iż więcej jest rzeczy na ziemi i niebie, niż się ich śniło filozofom — że niejedno, co się nie dało uchwycić zmysłami, ani rozumem, on odgadywał przecuciem. Nie umiał sobie tego objaśnić, ale nie wątpił, że są ludzie, którzy, jak on, rodzą się z takim darem chwilowego jasnowidzenia przyszłości. Gdyby żył dziś, w epoce dramatów Maeterlincka, opartych wyłącznie na przecuciach i nastrojach, nietylko by się utwierdził w tym przekonaniu, ale nawet, dzięki swemu *Horsztyńskiemu*, miałby wszelkie prawo uważać się za twórcę tego kierunku w poezyi, za którego założyciela wszyscy dziś poczytują autora *Intrusa*. Każdy bowiem, kto zna *Horsztyńskiego* i dramaty Maeterlincka, przyznać musi, że w tym naszym »polskim Hamlecie« znajduje się cały szereg scen *nastrojowych* w rodzaju Maeterlincka, tak potężnych i przejmujących *nastrojem*, jak żadna ze scen w *Ślepcach* belgijskiego poety, i że na taką scenę, opartą na przecuciu, jak ta, gdzie hetman — a raczej jego duch — prosi o szklanę wody, Maeterlinck nie zdobył się i nie zdobędzie się nigdy. Cokolwiekbądź, jedno nie ulega zaprzeczeniu, że Słowacki, w chwilach jakiegoś nerwowego i mózgowego podniecenia, miewał wieszczę widzenia niektórych wypadków, które »chwycił

myślą na pół senną», często na kilkanaście i więcej lat przed ich spełnieniem ¹⁾.

Między innymi przepowiedział i przepowiedział narodziny wielkiego malarstwa polskiego. Przepowiedział nawet — w liście do Stättlera z r. 1845 — że to malarstwo wyjdzie z Krakowa, który mu stanie się kolebką. »A skrzydłem tej ziemi *będzie Kraków*, gdzie ty swego ducha i swoje piętno położysz. Lecz wierz silnie, nie w sztukę, bo to wyrażenie jest ohydną arlekinadą Francuzów, ale wierz, że *każda sztuka jest narzędziem, otrzymanem z łaski Boga i danem duchowi dla finalnego celu, to jest dla spełnienia misji swojej na ziemi*«. Czytając ostatnie zdanie, tak pełne mistycznego poglądu na kapłaństwo sztuki, mimowoli myśli się o Matejce, który, malując swoje genialne obrazy, święcie wierzył, że spełnia swoją misję na ziemi, a nigdy, kiedy brał pendzel do ręki, nie zapominał o owym finalnym celu... W tymże liście Juliusza, o kilkanaście wierszy poniżej, znajduje się dokładniejsze określenie, wyjaśniające, jak sobie Słowacki wyobrażał to przyszłe narodowe malarstwo polskie. Będzie to sztuka pełna »wspomnień o dawnej Polsce, tej wschodnio-bliższej stronie charakteru narodowego, która *musi kiedyś wytrysnąć na wierzch obrazowości, podobną kolorytem do obrazów Pawła z Werony, z równym zgiełkiem osób, z równą wrzawą ko-*

¹⁾ I tak w wierszu p. t. *Uspokojenie*, pisany już w epoce towianizmu, znajduje się ustęp o warszawskiej kolumnie Zygmunta, ustęp, w którym Słowacki, na kilkanaście lat przed lutym 1861 r., daje wyraźny obraz scen, jakie się w tym czasie miały rozegrać na placu Zamkowym.

*Jakieś smętne, dalekie muzyki chóralne,
Które ja dziś już chwytam myślą na pół senną,
Słyszając ten wiatr i strunę pod wiatrem kamienną...*

To samo da się powiedzieć o wierszu Słowackiego p. t. *Paryż*, napisany w r. 1832, a zawierający niby proroczą przepowiednię owej fatalnej zimy z r. 1871, gdy stolica Francji, oblegana i bombardowana przez Prusaków, zapłonęła ogniem komuny.

I kiedyś na cię spadnie deszcz płomieni
... A na każdym domie
Kula wyryje straszny wyrok Boga;
Kula te mury przepali, przelomie,
I wielka na cię spadnie kiedyś trwoga,
I większa jeszcze rozpacz, bo to kula wroga.

lorów... Żaliż to nie przeczucie Matejki? Czyż słowa te nie są krótką a dosadną charakterystyką obrazów genialnego twórcy *Bitwy pod Grunwaldem*, obrazów, na których »zgiełk osób« i »wrzawa kolorów« przedewszystkiem rzucają się w oczy? A owa »obrazowość, podobna kolorytem do obrazów Pawła z Werony«, czyż to nie obrazowość *Hołdu pruskiego* lub *Joanny d'Arc*? Gdzie są polskie obrazy, bardziej kolorytem przypominające płótna Weroneza? Czy możemy się pochłubić drugim malarzem, któremuby z równą słusnością, jak Matejce, można przyznać tytuł polskiego Weroneza?

Jeden jest tylko człowiek, którego »obrazowość« była podobna kolorytem do malowideł Pawła z Werony, a tem samem pokrewna matejkowskiej, człowiek, którego słusnie nazywał najoryginalniejszy z naszych krytyków »Weronezem polskiej poezyi«: to Słowacki. Kiedy się np. czyta jego *Beatrice Cenci*, czyż nie ma się wrażenia, jak gdyby się patrzyło na którykolwiek z obrazów Weroneza? A czytając *Króla Duchą*, czyż nie doznaje się uczucia, jak gdyby się stało przed olbrzymiemi malowidłami Matejki? ¹⁾

Co pewna, to, że Matejko sam poczuwał się do tej artystycznej *Wahlverwandschaft* ze Słowackim: czuł, że jak zakonnicy nazywają się braćmi w Chrystusie, tak ich możnaby nazwać braćmi w Weronezie. Stąd poszło, że żadnego z poetów polskich, ani Mickiewicza, ani Krasińskiego, ani Ujejskiego, nie wielbił tak, jak Słowackiego, że w żadnym nie rozczytywał się z takim upodobaniem, jak w utworach Juliusza. Był to jego ulubiony poeta, podobnie jak Dante był ulubionym poetą Michała Anioła. Bujna i kolorystyczna wyobraźnia Słowackiego, którą Klaczko trafnie przyrównał do weneckiej palety, podbiła pokrewną sobie — choć mniej lotną — malarską wyobraźnię twórcy *Batorego pod Pskowem*: gdy czytał dzieła autora *Balladyny*, lubował się w żywym, ba, często jaskrawym kolorycie ich języka, w jego plastyce i poetyczności, a kiedy sobie uprzytomniał sceny z *Króla Duchą*, sceny, których cała poetyczność często polega na ich malarskiem pojęciu, niejedno-

¹⁾ Sam Słowacki nie tał się z tem, że Weroneza, dla jego kolorytu właśnie, przekładał nad innych malarzy. »Ulubiony mój malarz jest Paweł Weronese«, czytamy w jego liście z d. 10 grudnia 1831 r.

krotnie musiał się utwierdzać w przekonaniu, że obaj, i on, i Juliusz, podobne obrazy widzieli »oczyma duszy«. Bo i Matejko mógł, jak Słowacki, powiedzieć o sobie:

Same jakieś światła
Chodzą po mojej głowie...
Zielone, jasne, czerwone, jak na tła
Złote rzucone przez Wenecyanina
Świętych postacie.

Ale istniały jeszcze i inne względy, dla których Matejko czuł większy pociąg do Słowackiego, niż do innych poetów. Jednym z nich, a jednym z najważniejszych, było jego niesłychane zamiłowanie do przeszłości polskiej, zamiłowanie, które Słowackiego z pewnością cechowało w nierównie wyższym stopniu, niż Mickiewicza lub Krasińskiego. Ani autor *Grażyny*, ani wieszcz *Przedświtu*, nie widzieli tyle poezyi w dziejach swego narodu, ani widzieli ich w tak poetycznym świetle, jak Słowacki. Najlepszy dowód, że żaden z nich, gdy chodziło o tematy, nie czerpał ich z tego niewyczerpanego źródła, którem jest cała przeszłość Polski. Wprawdzie Mickiewicz napisał swoich *Konfederatów barskich*, ale dramatu tego w danym razie nie można brać w rachubę, choćby dlatego tylko, że go nie znamy w całości, i że z dwóch aktów, które się dochowały, tylko pierwszy jest dobry... Powtórę, okoliczności, w jakich został napisany *po francusku*, nie mogły nie wpływać ostudzająco, gdy chodzi o psychiczny wpływ na Matejkę. Oprócz tego dramatu (bo o *Jakóbie Jasińskim* chyba można przemilczeć), napisał Mickiewicz tylko *Wallenroda* i *Grażynę*, ale oba rzeczony poematy, zaczerpnięte z zamierzchłych dziejów Litwy, nie są tego rodzaju, ażeby mogły być zapłodnić wyobraźnię Matejki. Zygmunt Krasiński raz tylko, w *Przedświcie*, miał widzenie kilkunastu bohaterów polskich, zresztą w *Irydyonie* temat jest zaczerpnięty z dziejów starożytnego Rzymu, a w przepięknej *Glossie św. Teresy* występuje święta hiszpańska. Tymczasem Słowacki, z wyjątkiem szkockiej *Maryi Stuart* i włoskiej *Beatrici Cenci*, wyłącznie polskie tematy brał za osnowę swoich utworów, przy czem, sięgając w naszą przeszłość narodową, miał szczególnie dar wnikania w jej tajniki, tak, iż ta przeszłość »w całej ozdobie«, z całym korowodem swych różnobarwnych postaci, od legendowych Popielów zaczynając, a na Pułaskim i Wernyhorze kończąc, jak żywa staje przed oczyma czytelnika. Żaden z na-

szych poetów — aż do czasów Kraszewskiego i Sienkiewicza — nie odtworzył, nie wskrzesił tylu postaci historycznych polskich, co Słowacki, ani ich widział i ukazał w poetyczniejszym świetle, z większą plastyką, z równą świetnością kolorytu, z głębszym odgadnięciem ich charakterów. Czytając jego główne dzieła dramatyczne i epickie, jest się przeniesionym w daną epokę historyczną, oddycha się jej atmosferą, widzi jej ludzi. *Balladyna*, *Lilla Weneda* i *Krakus* są poetycznym obrazem czasów legendowych, przedhistorycznych, a to samo da się powiedzieć o pierwszych rapsodach *Króla Ducha*, tak świetnie odtwarzających legendowe postacie króla Popiela, Wandy, Piasta, Rzepichy, Ziemowita, Mieczysława i Dąbrówki. Gdzie są poematy czy dramaty, w którychby te wielkie postacie nakreślono świetniej, z większą siłą lub wdziękiem, a pojęto poetyczniej? Gdzie jest ten wieszcz polski, któryby pięknie opisał śmierć Wandy? Gdzie jest poemat, w którymby w poetyczniejszym świetle została ukazaną owa pamiętna chwila, »gdy cudowni goście zaszli do świętej chaty kołodzieja«? Kto nakreślił równie wspaniały obraz, jak ów opis uspiętego państwa i dworu Popiela, zawarty w drugim rapsodzie *Króla Ducha*? Kto piękniej, niż Słowacki, pojął i opisał chrzest Mieczysława i jego zaślubiny z Dąbrówką?... A coż dopiero mówić o rapsodzie, zatytułowanym *Bolesław Śmiały*, gdzie poeta opisuje królewską miłość z mieszczką Krystyną, potem kreśli szereg bizantyjsko-rozwiązanych scen nocnych w wonnych świetlicach księżniczek kijowskich, aż w końcu, po przepysznym obrazie gorszących bachanalij na zamku krakowskim, ukazuje gromiącą postać św. Stanisława, jak wskrzesza Piotrowina... Kto widział *Bolesława Śmiałego* Matejki, temu przy czytaniu rzeczzonego rapsodu *Króla Ducha* ciągle ten purpurowy obraz będzie stał na myśli...

Wogóle ma to *Król Duch* do siebie, że w nim Juliuszowe pióro, najczęściej maczane w purpurze, prawie ciągle, od początku do końca poematu, robi wrażenie Matejkowskiego pendzla.

Oto kilka przykładów:

Śród czeladzi

W podziemnych kuchniach gadano, *żem bladej*,
Jak *miesiąc*, gdy się przejrzy w *krwawej kadzi*,
W której pływają gniazdem węzo-gady;

Że gwiazda złota jakaś mię prowadzi
(*Purpurowe* tu tłoczącego ślady)
W ciemny kraj, gdzie się wszelka dusza wściekła
Na króla *duchów czerwonych* — do piekła.

Oktawa ta, cała ponsowa w kolorze, a wyjęta na chybi trafi, czyż nie odznacza się prawdziwie Matejkowskim kolorytem? Niemniej krwawą jest następna, gdzie król Popiel — niezmiernie podobny do *Iwana Groźnego* Matejki — taki kreśli swój wizerunek:

Przed twarzą moją straszliwą kłękano,
Widząc dwa skrzydła hełmu, jak latarnie!
I między niemi w środku zawieszona
Tę twarz, jak lampę trupią i zieloną.
W powiekach rubin i błysk dziwny gore;
Powieki nożem zdają się rozcięte,
A przez *czerwoną, rubinową* korę,
Patrzy duch, widmo przeszłości przekłete...

Czyż to nie Matejkowski sposób malowania twarzy ludzkich, pełen tragizmu w wyrazie, a krwi w zaczerwienionych białkach oczu?... Podobną uwagę nasuwa i kolorystyczny portret Mćcisławy, przy którego czytaniu myśli się o niejednej Matejkowskiej postaci niewieściej, np. o *Kasztelaneczce*:

Cicha, złożeniem rąk *na złotym pasie*,
Święta się zdaje, jednak myśli pali —
Różami niby je *białymi* pasie,
I niewinnością ust swoich zuchwali.
Alabastr w jasnym, niebieskim atlasie,
I dziwnie *na tej gronostajów fali*
Piers jej świecąca wprawia w obłąkanie...
Niewinność *krzyczy* od niej: precz, szatanie!

Czyż to nie jeden z owych portretów Matejki, na których nie wiadomo, co podziwiać więcej: czy dosadna, a niespokojną i trochę przedramatyzowaną charakterystykę portretowanej osoby, czy kolorystyczną świetność jej kostyumu, namalowaną wprost z bajeczną plastyką? Czyż ten wizerunek Mćcisławy, skreślony na bizantyjskiem tle «cudownego w złotych malowania» świetlicy kijowskiego dworu, nie przypomina jaskrawego tła wielu portretów Matejki?...

W scenach zbiorowych, opowiedzianych w *Królu Duchu*, także panuje styl Matejkowski zupełnie. Oto np. opis Bolesławowego wjazdu do Kijowa:

W około moja zrycerzona sława
W skrzydłach, gotowa spaść z furją i błyskiem...
Ja sam, bożego pilnujący prawa
Czułem, że miasto-duch drży przed uciskiem.
A więc kazałem, by syn Izaśława
Szedł, nim ja w bramy uderzę pociskiem
I to cudowne słońce ludzkiej ręki¹⁾
Krwia zgaszę własną i wydám na męki.

...I otworzyły się bramiska złote
Cicho, nie mówiąc nic zawiasów krzykiem,
Ze gdzieś kaciska czerwona robotę
Czynią po domach, sznurami i szłykiem.
Jam wszedł, na twarzach widziałem prostotę
I lzy... Padali przed mną wojownikami;
Koń mój szedł zwolna, i nogę ostrożny
Podnosił, by lud nie deptał nabożny.

Jam go po grzywie głaskał, on wesoly
...On pogłaskany między przyjacioly
Czuł się i ciągle ten swój krok bociani
Stawiał, a często przed siwemi czoły
Uginał grzywy... i oczyma łani
Spłakanej (mówią, że łania lzy toczy)
Często ludowi temu patrzył w oczy.

Jest to obraz, który nietylko przypomina Matejkowskiego *Bolesława Chrobrego w Złotej Bramie*, ale w którym każde słowo robi takie wrażenie, jakby było pociągnięciem pendzla Matejki. A przytem cały obraz jest *skomponowany* zupełnie po matejkowsku: te grupy kłęzącego ludu, skupionego około Złotej Bramy, a zwłaszcza ten koń, który zwolna i ostrożnie przechodzi pomiędzy nimi, to jeden z tych pomysłów, z którymi tak często spotykamy się na obrazach krakowskiego mistrza, czy to będzie *Sobieski pod Wiedniem*, czy *Bolesław Chrobry w Złotej Bramie*, czy *Joanna d'Arc*. Do tejże kategorii czysto matejkowskich pomysłów należy i kometa, świecąca na ciemnem tle gwiazdzistego nieba, a dobrze znana zarówno ze *Stanczyka*, jak i z *Zygmunta i Barbary*. Kiedy się czyta pierwszy rapsod *Króla Ducha*, w którym poeta opisuje ucztę na zamku u okrytego

¹⁾ Przedtem tak Słowacki opisuje Kijów:

Aż na błękitach cudownej pogody
Swymi złotymi błysnął słoneczniki
Kijów, matuszka miast, w złotych obęczach
Na głowie, po pas cała w sadów tęczach.

purpurą Popiela, jest się znowu, jakby pod wrażeniem jednego z obrazów Matejki: nie tylko cały obraz jest utrzymany w tonie czerwonym (który, jak wiadomo, był ulubionym Matejki), ale się na nim znajduje i złowroga kometa, którą zresztą w *Królu Duchu* spotyka się często.

Tu zamek cały błysnął nakształt huty
Ognisk czerwieni... A ja tych bladawców,
Zbrodniami białych, otoczony wieńcem,
Siadłem, trup, jasny pijaka rumieńcem.

I ucztowaliśmy w zamku wygodnie.
Śwityna własne nam służyły misy,
Stagwie, kobierce, czary i pochodnie
I krwią cuchnące wonnych ław cyprysy.
Czary nam do rąk podawały zbrodnie...
Widma... w płaszczach z krwi, z zielonymi rysy,
Stojące z boku upiory czerwone,
Wyrażne... a gdyś spojrział wprost... zniknione.

A wtem przyleciał giermek zadyszany
I te wyrazy z ust wyrzucił skore:
Panie, ogromny znak jest ukazany!
Na niebie miotła płomienista gore...
Jam zbladł: i kostur wyrwawszy ze ściany,
(Sądząc, że widzę ducha albo zmore,
Która mi wróżbę nieszcześliwą szczeka),
Na wskrós przeszyłem pierś tego człowieka.

A sam wybiegłem na ganek odkryty,
Z którego widok szedł po okolicy,
Na drżące wielą gwiazdami błękity,
Poddane jednej, ogromnej gwiazdźdzy...
Ta, jako wielki miecz z pochwę dobytej,
Karbunkuł miała czerwony w głowicy;
A ten się błyskał i mienił na zarzy,
Jak oko w ducha niewidzialnej twarzy.

Podobnych przykładów, jak ten i poprzednie, stwierdzających, w jak wysokim stopniu *Król Duch* przypomina obrazy genialnego twórcy *Stańczyka*, ich styl, ich koloryt, ich nastrój dramatyczny, a nawet ich układ, możnaby przytoczyć mnóstwo. Czego dowodzą one? Oto, że wyobrażenia Matejki, gdy odczytywał rapsody Juliuszowego poematu, szczególnie musiała się lubować w kolorystycznym przepychu tych wspaniałych obrazów historycznych, z jakich się składa cały *Król Duch*, i że wielki malarz musiał sobie zdawać sprawę z pokrewień-

stwa wyobraźni, które go łączyło ze Słowackim. Nie mogło być inaczej; byłaby to psychologiczna niemożliwość.

Lecz nietylko *Król Duch* był tym magnesem, który Matejkę pociągał ku zadumanemu Juliuszowi. Nie trzeba zapominać, a przeciwnie, należy podkreślić ten rys twórczości Słowackiego, że jak są malarze historyczni i rodzajowi, tak on jest najbardziej *historycznym* z naszych poetów, tym, którego tematy historyczne, czerpane prawie wyłącznie z dziejów Polski, nęciły najwięcej. Bo jeśli, jako poeta-kolorysta, jest on »Weronieżem polskiej poezyi«, to jako autor całego szeregu *dramatów historycznych* polskich, jest on niezaprzeczenie i Matejką naszej poezyi dramatycznej. Jego dramaty, osnute na tle dziejów XVII i XVIII wieku, są najświetniejszymi dramatami historycznymi, jakimi się może poszczycić cała literatura polska. Nikt nie stworzył lepszej postaci Jana Kazimierza, jak to uczynił Słowacki w *Mazepie* i *Janie Kazimierzu*, w którym z taką plastyką występują figury Radziejowskiego, Firleja, Koniecpolskiego, Wiśniowieckiego, a nawet i Maryi-Ludwiki; nikt nie zdobył się na świetniejsze portrety historyczne głównych bohaterów z epoki trzech rozbiorów, jak to uczynił Słowacki, który w *Wacławie* dał tragiczny wizerunek Szczęsnego Potockiego (tak poetycznego w *Rejtanie* Matejki!), a w *Beniowskim*, *Księdzu Marku* i *Śnie srebrnym Salomei* stworzył całą galerję postaci dziejowych z czasów konfederacyi barskiej, począwszy od O. Marka i Sawy, a skończywszy na wspaniałej postaci Wernyhory, który i Matejkę natchnął do jednego z jego arcydzieł. *Horsztyński* z świetnie skreśloną postacią hetmana litewskiego Kossakowskiego, godnego figurować obok Ponińskiego z *Rejtana* Matejki, także nie stanowi wyjątku pod tym względem: jako portret historyczny jest to figura, nieustępująca szekspirowskim.

Ten historyczny kierunek, któremu Słowacki tylokrotnie hołdował w swych utworach, ci

Zebrzydowscy

I Zborowscy

W *czerwonych* deliach,

pospołu z płochą Maryą Stuart, która jest prawdziwszą u Słowackiego, niż u Schillera, i z uroczą Beatrix Cenci, tak spopularyzowaną przez słynny portret Guido Reniego, wszystko to, razem wzięte, sprawilo, że Matejko najwięcej czytywał

się w poezye Juliusza, że one najsilniej przemawiały do jego artystycznej wyobraźni.

Ale był jeszcze inny wzgląd, który sprawił, że Matejko tak lubił Słowackiego: to mistycyzm autora *Króla Ducha*, mistycyzm, do którego tak wielką skłonnością odznaczał się i umysł genialnego twórcy *Joanny d'Arc*. I pod tym względem byli sobie pokrewni duchem. Pociąg do mistycyzmu, który w końcu zwichnął talent Juliusza, a zesześcił niejedyn obraz Matejki, był także jednym z tych czynników psychicznych, motywujących owo szczególne upodobanie, z jakim wielki malarz rozczytywał się w rapsodach *Króla Ducha*. Mistyczna doktryna królów-duchów, która w Juliusza wpoila to dumne przekonanie, że on sam jest ostatniem ogniwem łańcucha, którego pierwszym ogniwem był platoński Her Armeńczyk, doktryna ta, która, jak złota nitka wije się przez wszystkie oktawy *Króla Ducha*, bardzo trafiała do przekonania Matejce, tak dalece, że podobnie, jak Słowacki, miał chwile pychy, gdzie wierzył, iż i on jest takim królem-duchem, że jak w pierwszej połowie bieżącego stulecia »król-duch« wcielił się w Słowackiego, tak obecnie po epoce wielkiej poezyi, gdy przyszła kolej na wielkie malarstwo polskie, tenże król-duch wstąpił w jego wątłe ciało. Kiedy się czyta różne przemówienia Matejki, zwłaszcza jego przemówienia z lat ostatnich, nie trudno dojść do powyższego wniosku ¹⁾.

¹⁾ Stanisław Tarnowski, który i Słowackiego broni od tego zarzutu, że się identyfikował z *Królem Duchem*, stara się także Matejkę oczyścić od podobnego posadzenia. Oto co pisze w tej mierze: »...Że piękny rozwój sztuki uważał za symptom czy może środek odrodzenia, jak i to, że malarz widział w sztuce najwyższy w tych latach wyraz narodowego ducha i życia. Ale wyrażenie szczęśliwem nie było i musiało wystawić mówiącego na zło zrozumienie i na oskarżenie o dumę bez miary. Nie wchodząc bowiem w pytanie, czy doktryna »naszego Juliusza« o *Królu Duchu*, czy *Królach Duchach*, jest prawdziwą lub nie, nie można zaprzeczyć, że ludzie mogli pomyśleć: Matejko ma siebie za *Króla Ducha*, za wcielenie samego ducha ojczyzny. Jeżeli zaś, co jest widoczne, widział w sztuce zapowiedź i siłę odrodzenia, jeżeli, co już mniej pewne, wierzył w kolejne wcielenia i następstwa *Króla Ducha*, to właśnie jemu nie przystało takich rzeczy mówić, dlatego, że był w sztuce pierwszym, że jeżeli jest tym *Królem Duchem* sztuka, to w niej nie może nim być żaden inny, tylko on. Matejko, podług naszego najgłęb-

Rzecz charakterystyczna, że w przemówieniach tych lubił się powoływać na Słowackiego, cytować ustępy z poezyj »naszego Juliusza«. Zaszczytu tego — o ile wiem — nie dostąpił żaden z poetów: tymczasem autor *Króla Ducha* dostąpił go niejednokrotnie, a zawsze w okolicznościach, gdy Matejce tylko najszczytniejsze myśli mogły się cisnąć do głowy.

Raz, było to w Krakowie w roku 1878, w owym pa-

szego i najszczerzego przekonania, choć się na sobie znał, zarozumiałości i pychy nie miał. Ale wyraził się tak, że ludzie mieli prawo o nią go posądzać, myśleć, iż ma się za dzisiejszą inkarnację *Króla Ducha*, podług teorii Słowackiego; w każdym razie, że się ma za takiego, jak wszyscy najwięksi z naszych zmarłych. Zabrakło mu jasności w myśli, a precyzji w słowach; zabrakło uwagi, że słowa jego mogą być zrozumiane inaczej, niż je sam rozumiał«. Szlachetna obrona, ale nieprzekonywająca! Podobna *idée fixe* była bardzo łatwo zrozumiała u Matejki, uwzględnwszy jego mistyczny sposób myślenia. Trudno też, czytając dosłowny tekst owej mowy przy odbiorze berła, które sam Matejko uważał za »godło królewskości«, doszukać się owej niejasności myśli, owego braku precyzji w słowach, którymi prof. St. Tarnowski stara się tłómaczyć Matejkę: myśl, której wyrazem jest cała mowa, została sformułowaną bardzo jasno. A co się tyczy dumy Matejki, jego świadomości siebie, to sam prof. Tarnowski przyznaje, że »opinia« o Matejce była, że miał dumę wielką; przytaczano przykłady i dowody. Raz i drugi, i trzeci, miała ta duma wybuchnąć w słowach gwałtownych, wymownych wyrzutach: »Wy nie wiecie, co to Matejko! Wy kiedyś dopiero poznacie, co we mnie macie...« Słowa Juliuszowego *Króla Ducha*, że »mój duch — ludu jest duchem i głosem«, bardzo trafiały do przekonania Matejce. Dał tego niejednokrotnie dowody, czy to, kiedy stał swego *Sobieskiego* papieżowi, czy to, kiedy swoją *Joannę d'Arc* zamierzał podarować Francji. Wszystko to były pomysły, świadczące, jaką wagę Matejko przywiązywał do swych wystąpień, gdy występował imieniem całego narodu. Gdy np. powziął pomysł ofiarowania *Sobieskiego* Leonowi XIII, powiedział wyraźnie, że »obraz swój daje, ale w tej myśli, żeby był od wszystkich, od narodu ofiarowany. Tam, — mówił — dokąd z pod Wiednia białal gonicz z listem królewskim i chorągwią proroka, tam ślijmy obraz, chwilę tę uprzytomniający! *Sobieski* posyłał chorągiew proroka, on posyła swoje dzieło... Jeszcze silniejszym argumentem, obalającym szlachetną apologię prof. Tarnowskiego, jest odezwa Matejki *Do narodu*, w sprawie ofiarowania *Joannie d'Arc* Francji, odezwa, którą Matejko zamierzał nawet plakatami na rogach ulic ogłosić. (Zobacz dzieła St. Tarnowskiego o Matejce, str. 330—332).

miętym dniu 29 października, po uroczystem nabożeństwie w katedrze na Wawelu, w przepelnionej sali Ratusza; po wysłuchaniu pięknej mowy marszałka Zyblikiewicza, który, otoczony najwybitniejszymi reprezentantami społeczeństwa, ofiarował twórcy *Grunwaldu* berło od narodu, Matejce wypadło odpowiedzieć i podziękować za to »godło królewskości«, które mu wręczono przed chwilą. Jakoż odpowiedział, motyw zaś, około którego osnuł swe przemówienie, wielce był dlań charakterystycznym: była nim idea, poczerpnięta z *Króla Ducha* Słowackiego. »Dziś interregnum, mówił między innymi. Dlatego to wy, reprezentanci miasta i narodu, w bezkrólewiu obecnem, jakby na elekcji, ozdabiacie godłem królewskości swego jak go nazywacie mistrza... Jeżeli mamy wierzyć przeczuciom poetów, to chwila ta przypominać musi wizye dziejowe naszego Juliusza. Swego *Króla Ducha* bodaj czy naród mój nie uznaje w sztuce polskiej! Wręczeniem berła dozwalacie mu przeczuwać dziejową przemianę« i t. d.

Innym razem, było to w Warszawie, w resursie kupieckiej, podczas bankietu, wyprawianego na cześć Matejki. Po długim szeregu mów, w których najwybitniejsi przedstawiciele społeczeństwa warszawskiego, zebrani na tym uroczystym obiedzie, podnosili obywatelskie i artystyczne zasługi twórcy *Hołdu pruskiego*, powstał w końcu Matejko, a dziękując za tyle dowodów uznania i uwielbienia, wypowiedział krótką mowę, którą zakończył słowami z *Testamentu* Juliusza:

Może kiedyś, o smętnych losach zadumany,
Mojej biednej ojczyzny, przyzna, kto szlachetny,
Że płaszcz na moim duchu był niewyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

Obie wspomniane mowy mogą służyć za dowód, jak dobrze Matejko znał dzieła Słowackiego, jak się w nie wczytywał pilnie, skoro niektóre ustępy z nich, jak np. ów z *Testamentu*, umiał na pamięć.

Ale istnieje jeszcze jeden dowód, bodaj czy nie wymowniejszy od dwóch poprzednich, stwierdzający, że Matejko nie tylko lubował się w »wizjach dziejowych naszego Juliusza«, ale się głęboko zastanawiał nad ich treścią, starał się odgadnąć alegoryczne znaczenie niektórych z nich, przyczem niejednokrotnie wyrażał poglądy, zadziwiające swą trafnością i przenikliwością. Znany jest np. jego komentarz historyzoficzny

do *Balladyny*, nad którą sobie tylu krytyków łamało głowy — napróżno. Oto, co w tej sprawie pisze zasłużony biograf, a zarazem przyjaciel Matejki¹⁾: »Malując Żółkiewskiego, wykladał mi raz swój sposób rozumienia *Balladyny* Słowackiego, a komentarz, choć może niezupełnie przystający do dzieła, był bardzo uderzający i oryginalny. Podług niego, *Balladyna* była alegorią historii polskiej. Dwie siostry, chowane razem w chacie, to początki niewykształconego jeszcze społeczeństwa; dziewczyna, olśniona blaskiem rycerza i pożądata jego dóbr dla siebie, to wyrabiające się z tego społeczeństwa rycerstwo, szlachta. Zabójstwo Aliny wyobrażałoby ucisk ludu wiejskiego; zmywy *Balladyny* z Kostrynem — późniejsze konszachty z zagranicznymi panami; korona na głowie Grabca — przypadkowość i zbyt częsta nietrafność elekcji; Filon, zakochany sentymentalnie w umarłej Alinie — symbol czczych i niedołącznych sympatyj dla ludu, które nieraz odzywały się skargą i narzekaniem, a nic nigdy zrobić i poradzić nie mogły. Sąd, jaki *Balladyna* wydaje na siebie sama, to ten rachunek sumienia i postanowienie poprawy, jakich wyrazem był Sejm czteroletni z ustawą majową, a piorun, który potem zabija *Balladynę*, to drugi i trzeci rozbiór«.

Komentarz ten, poddany analizie krytycznej, może nasuwać wiele argumentów przeciw takiemu tłumaczeniu poematu, ale zaprzeczyć się nie da, że jest bystry, ciekawy, a nade wszystko świadczy o tem, iż »wizye dziejowe naszego Juliusza« miały swego szczerzego wielbiciela w genialnym twórcy *Kazania Skargi*.

¹⁾ St. Tarnowski, *Matejko*, str. 154. Obszerniej o tym Matejkowskim komentarzu do *Balladyny* pisze St. Tarnowski w swoich *Dwóch odczytach*, mianych w Poznaniu o *Balladynie* i *Lilli Wenedzie* Słowackiego.

III.

MATEJKO JAKO HUMORYSTA.

Są rodzaje talentów, które się podejrzewa o wszystko, tylko nie o humor. Są artyści, których sobie nie wyobrażamy inaczej, jak »z ponurą walką myśli na czole«, artyści, których cała twórczość zdaje się być — i jest — wyrazem jakiejś wewnętrznej tragedji, rozgrywającej się w ich łonie, a która, jak mroźny wicher bajkalski, ścina choćby cień uśmiechu na ustach. Myśl ich, jak wyraz ich twarzy, jest zawsze poważna, często ponura; na ustach ich, zwykle wykrzywionych cierpieniem — cierpieniem za miliony — nigdy nie osiada uśmiech. Takim był Dante, takim był Michał Anioł. Kiedy myślimy o nich, mimowoli myślimy o ich »tragedji« (którą tak wspaniale wytłómaczył autor *Wieczorów Florenckich*). Są to duchy tragiczne, a tak wzniosłe, tak pełne »wielkiej tragedji powagi i ciszy greckiej«, że nawet wyraz *dramat* jest niedość wymownym, gdy chodzi o określenie tych tytanicznych zapasów, w jakich te dusze wielkie, nieskłonne do ugięcia się, a trawione wewnętrznym ogniem, łamały się niejednokrotnie.

Do tejsze kategorii geniuszów-tytanów, których wielkość i powaga wykluczają wszelką myśl o pogodnym humorze, należał również i Matejko. Myśląc o nim, o jego obrazach, odrazu odgadujemy uczucie, które te genialne malowidła natchnęło, a to uczucie, wyzierające z każdego płótna, z każdego szkicu twórcy *Kazania Skargi* i *Rejtana*, było niemniej wzniosłą i wielką tragedją, jak tragedya Michała Anioła lub Dantego. I on bowiem, jak Krasiński, mógł powiedzieć o sobie, że »jak Dant,

za życia przeszedł przez piekło, a piekło to było może straszniejsze, aniżeli nieśmiertelne *Inferno* Dantego, lub tragiczne skrepty potępieńców w *Sądzie ostatecznym* Michała Anioła...

Cokolwiekby, nie wydawało się prawdopodobnym, ażeby w tej wielkiej i wzniosłej duszy, jaką w każdym calu była dusza Matejki, znalazło się miejsce na humor.

Znalazło się jednak. Kto wie nawet, czy — mimo wszystko — nie znalazłoby się go więcej, gdyby obok tej wielkiej tragedyi, której wyrazem są wszystkie dzieła Matejki, nie trapiła go inna, mniejsza, osobista, domowa tragedia, którą była choroba żony, choroba umysłowa, która, zakłócając domowy spokój wielkiego malarza, jednocześnie zatruchiwała mu życie...

Tego szczęścia, o którym tak pięknie mówi Kochanowski w *Szacunku dobrej żony*, że

Żona uczciwa ozdoba mężowi,
I najpewniejsza podpora domowi;

tej wielkiej osłody życia, jaką jest szczęśliwe pożycie małżeńskie, Matejko doznawał bardzo krótko... A potem zaczęło się domowe nieszczęście, które Matejkę na cały dzień zawsze wyprzedzało z domu...

Mimo to wszystko, miał chwile, w których powierzchnia jego duszy, zwykle wzburzona i wzdymana huraganami życia, uspokajała się i wygładzała. W chwilach takich, bardzo rzadkich niestety, odzyskiwał prawie utraconą wesołość, a nic sympatyczniejszego, jak sposób, w jaki się ta wesołość przejawiała na zewnątrz.

W początkach przejawiała się obrazami o pogodnym nastroju, jak niezrównana pod względem werwy *Rzeczpospolita Babińska*, lub niewielki, a mało znany obrazek humorystyczny, przedstawiający słynnego Gamrata, jak mocno podchmielony, pod rękę z „udziudzianym” błaznem Stańczykiem, wraca z jakiejś uczty na Zamku. Jest to jeden z najkapitałniejszych obrazów Matejki, a malowany tak, że, przypatrując mu się, myśli się o komedjach Szekspira, zwłaszcza o Falstafie.

Albowiem jest co szekspirowskiego w Matejce. Dość wspomnieć *Stańczyka*, który ma to wspólnego ze wszystkimi błaznami Szekspira, iż jest błaznem-filozofem, błaznem, któremu się zdarza nie tylko myśleć, ale i cierpieć za innych. Co pewna, to, że, o ile patrząc na tego zataczającego się Gamrata, myśli

się o Falstafie, o tyle patrząc na *Rzeczpospolitą Babinską*, ma się wrażenie, że obraz ten, tak pełen owej renesansowej bujności i jakiejś horacyuszowskiej *joie de vivre*, jest tem w twórczości Matejki, czem *Wesołe kumoszki z Windsoru* lub *Wiele hałasu o nic* w twórczości Szekspira.

Lecz nietylko ten humor szekspirowski, humor w wielkim stylu, był właściwy niepospolitej indywidualności krakowskiego Mistrza: nie brakło mu i humoru w mniejszym stylu, tego pocziwego a pogodnego »dobrego humoru« w stylu *Ramot Wilkońskiego*, który to humor jest tem w życiu, czem jasne i ciepłe promienie słońca. Kiedy się czyta listy Matejki, nabiera się przekonania, że ten »dobry humor« zwykle nawiedzał go wtedy, gdy się z kimś listownie dzielił myślami. Dowód to zarazem, że tylko wówczas zasiadał do pisania listu — do czego zresztą nie był skory — gdy czuł, że będzie mógł napisać list wesoły, gdy był we względnie dobrym humorze.

Gdy był smutny, zgnębiony, gdy cierpiał, wtedy zamykał się w sobie, tłumił boleść, a tem samem nie pisywał listów smutnych; albowiem nie była to dusza skłonna do zwierzeń, do wynurzeń, do wylania: przeciwnie, ona się kryła ze swemi cierpieniami. Na to, iżby się skarżyć, żeby narzekać, żeby czystemś współczuciem ulżyć swojej męce, Matejko był za dumny!

Za to, gdy mu chwilowo nic nie dokuczało (niestety, takich pogodnych chwil miał niezmiernie mało!), wtedy potrafił nietylko napisać list wesoły, pełen zabawnych dowcipków i konceptów — a te nie były nigdy złośliwe — ale się zdobywał nawet na humorystyczne wierszyki, bo skoro Michał Anioł pisywał sonety i wiersze, to czemużby i on nie miał dośiąść czasem Pegaza...

Ale był jeszcze i trzeci sposób, w jaki się niekiedy przejawiał humor Matejki: humorystyczna karykatura.

Znam dwie takie karykatury, dwa arcydzieła w swoim rodzaju, jako wyskok humoru u genialnego malarza i rysownika.

Są to dwa cykle humorystyczne. Pierwszy, składający się z czterech rysunków, jest rodzajem humorystycznej *Boskiej Komedyi*, a wyobraża cztery sceny z życia zagrobowego; drugi zaś, złożony z sześciu rysunków, wyobraża i ośmiesza wszystkie główne szkoły i systemy filozoficzne greckie.

Oba cykle powstały pod wpływem opowiadań p. Juliusza Mienna, który dzieciom Matejki udzielał lekcji języka francu-

skiego. Ponieważ lekcye odbywały się wieczorami, czyli w porze, o której Matejko, nie mogąc malować w pracowni, już przesiadywał w domu, więc zdarzało się bardzo często, że i sam Mistrz przysłuchiwał się *pour passer le temps* tym lekcjom swoich dzieci. Bawiło go to, zwłaszcza że p. Mien, jako dusza artystyczna i poetyczna (czego dał dowód, tłómacząc cały szereg utworów Słowackiego), zawsze należał do tych nielicznych wybranych, których Matejko zaszczycał swoją przyjaźnią...

Otóż na jednej z takich lekcyj, która się odbywała w obecności twórcy *Grunwaldu*, tłómaczono z polskiego na francuski — czy też z francuskiego na polski — jakieś powiastki o niebie, czyściu i piekle, o sposobie, w jaki grzeszna dusza ludzka, po wyjściu z ciała, wędruje na tamten świat, etc. etc. Powiastki były wielce naiwne, co je czyniło niesłychanie zabawnymi, tak zabawnymi, iż Matejko, słuchając ich, wpadł na pomysł, ażeby je, ku ucieście swych dzieci, a ku rozrywce własnej wyilustrować.

Cztery rysunki humorystyczne, powstałe tym sposobem, są równie genialnymi karykaturami, jak genialnem jest wszystko, co wyszło z pod pędzla Matejki.

Pierwszy z nich, będący rodzajem prologu, wyobraża podróż do raju, a ilustruje ten ustęp z powiastki, gdzie powiedziano jest, co następuje: »Utraciwszy raj ziemski, do czego się przyczynili nasi pierwsi rodzice, nie powinniśmy rozpaczać; owszem, pocieszajmy się myślą, że istnieje raj niebieski, gdzie szczęście jest zupełne, a trwa w nieskończoność. Niestety, droga do tego raju, do tej krainy wiecznej szczęśliwości, jest długa, uciążliwa i pełna najrozmaitszych, najbardziej nieprzewidywanych wypadków i przygód, do czego głównie przyczynia się niesłychana prymitywność środków komunikacyi. Odbywa się ją rozmaicie: pieszo lub dylizansem, stosownie do zamożności. Woźnicami są Aniołowie-Stróże, którzy mają dozór nad podróżnymi, a także pomagają im ciągnąć olbrzymi staroświecki wehikul, tem się różniący od ziemskich pojazdów, że go trzeba ciągnąć i pchać samemu. Koni niema, zwierzęta bowiem, jako pozbawione duszy, nie mają wstępu do królestwa niebieskiego«.

Drugi rysunek przedstawia dramatyczną scenę u wrót raju, a ilustruje następujące słowa powiastki: »Na kilka kilometrów przed niebem, do którego oczywiście tylko wybrani uzyskują prawo bezpośredniego wstępu, przybywa się do t. zw. *tunelu śmierci*. W tunelu tym, nad którym widać arystokratyczną

koronę księżęcą, stoi pociąg kolei żelaznej, oczekujący na podróżnych, ażeby ich zawieźć do nieba. Rolę kontrolera gra św. Piotr, uzbrojony w złoty klucz od furty niebieskiej, ale niestety, wszystkie wagony, zarówno jak i lokomotywa, są okrążone przez całą bandę dyabłów, wysłanych przez szatana, a grających tu rolę celników i straży pogranicznej. Ci dyabli są tak gorliwi w wykonywaniu swych obowiązków, tak skwapliwie zapobiegają wszelkiej kontrabandzie, że nikt, kto nie ma wyraźnie napisane na paszporcie, że jedzie do nieba, nie zdola się ukryć w pociągu. Stąd ciągle awantury i katastrofy, bo oczywiście nie brak takich, co by się do nieba chcieli przeszwarcować, lub czołgają się u nóg niebieskiego klucznika, błagając, ażeby ich wydarł mocy dyabelskiej, a do nieba wpuścił chociażby przez dziurkę od klucza...«

Trzeci rysunek wyobraża męki dusz w czyścisku, a ilustruje następujące słowa powiastki: »Zważywszy jednak, że nie wszystkie błędy są zbrodniami, jak nie wszystkie grzechy są grzechami śmiertelnymi, i że każda szczerza skrucha bywa braną w rachubę, okazała się potrzeba takiej stacyi, gdzieby dusze, opatrzone w paszporty do nieba, ale w paszporty niewizowane, otrzymywały żadaną wizę. Tą wizą jest pokuta za grzechy, stacyą zaś, gdzie za nie pokutować można, przedsiónek czyściska. Przybywszy tu, każda świeżo zjawiająca się dusza, najprzód bywa braną na wagę, na której się waży jej grzechy. Z kolei następuje szereg bolesnych operacyj, za których pomocą odbywa się oczyszczenie ze wszelkich grzechów, poczem dusza, już wolna od wszelkich plam, zostaje porwaną przez anioła, który ją unosi do raju«. Rysunek ten, niezrównany pod względem humoru, posiada jeden epizod, który, choć pomieszczony w rogu, po prawej stronie, trzyma prym w pośród innych: przedstawia on Matejkę samego w adamowym stroju, pozwalającym podziwiać jego chudość, a nad nim Maryana Gorzkowskiego, modlącego się. Wyraz, jaki sobie Matejko nadał na tym rysunku, a przedewszystkiem tartufowski wyraz twarzy rozmodlonego Gorzkowskiego, są wprost niezrównane.

Czwarty rysunek przedstawia widok piekła, a ilustruje następujące słowa powiastki: »Ale któż zdołał zgruntować głębię ludzkiej niedoli! Na stu wybranych, którym się udaje dostać do raju, ileż milionów bywa wtrąconych do czeluści piekielnych! Niema dnia, żeby tu nie wrzucano całych kosztów dusz potę-

pionych, skazanych na wieczyste katusze. Biada nieroztropnym! Oni są skazani na piekielne znęcania się szatana i jego dyabelskich oprawców! Biada im!

Takie są te rysunki Matejki, wyobrażające podróż na tamten świat, rysunki niezmiernie charakterystyczne dla swego autora, wiadomo bowiem, jak wierzącym i praktykującym katolikiem był Matejko...

Niemniej świetną jest druga serya, naigrawająca się z różnych filozofów i szkół filozoficznych greckich.

Przypatrując się tym siedmiu rysunkom, ma się wrażenie, że wszystkie są arcyzabawne, bardzo dowcipne, lecz byłoby się w kłopotcie, gdyby się miało oznaczyć dokładnie, który jest najlepszy?

Czy pierwszy, wyobrażający wykwintnego Arystoklesa z tabakerką w rękę, uśmiechniętego i zadowolonego z siebie? Czy drugi, przedstawiający słynną trójcę, Anaximenesa, Anaximandra i Anaxagorasa, trójcę, która jakoby chciała uchodzić za budujący przykład zgodności w zakresie filozoficznego myślenia, a która, dzięki Anaxagorasowi, głównie się miała przyczynić do jedności myśli greckiej? Czy trzeci, na którym widzimy Platona i Arystotelesa, wzajemnie uprzedzonych do siebie? Czy czwarty, na którym wesoły Demokryt, obejmując płacznego Heraklita, wyobraża optymizm filozoficzny, gdy jego towarzysz reprezentuje filozoficzny pesymizm? Czy piąty, wyobrażający Aleksandra Macedońskiego, pochylonego nad Dyogenesem, który, leżąc w beczcze, do góry brzuchem, uosabia szkołę cyników? Czy szósty, na którym widzimy spasionego Epikura, jak, siedząc na wieprzu, zdaje się dowodzić tem samem, iż szczyści się swą wątpliwą wyższością moralną nad nierogatemi zwierzęt? Czy siódmy wreszcie, przedstawiający Antystenesa i jego psa, od którego ten filozof podobno nie chciał być lepszym?

Co pewna, to, że trudno o równie świetne szkice humorystyczne, jak te sylwetki filozofów greckich, skarykaturowane przez twórcę *Kazania Skargi*.

IV.

W DOMU MATEJKI.

I.

Nie znam Norymbergi, która swym charakterem średnio-wiecznym ma przewyższać wszystkie miasta europejskie, nie sądę jednak, ażeby i w Norymberdze było łatwo o równie malowniczą ulicę, jak nią jest *Floryańska* w Krakowie, ciągnąca się między kamienną basztą bramy Floryańskiej, tak żywo uprzytomniającej zamierchłą przeszłość dawnej królewskiej stolicy, a strzelistą wieżą kościoła Maryackiego, której hejnały, co godzina rozbrzmiewające z pod jej blaszanych wieżeczek, tak zdają się być nie z tego świata...

Na tej to ulicy, w wązkim domu trzypiętrowym, który dziś nosi Nr. 41, urodził się d. 30 czerwca 1838 r. Jan Matejko, nieśmiertelny twórca *Kazania Skargi* i *Bitwy pod Grunwaldem*, najgenialniejszy z naszych malarzów, a zdaniem bezstronnych cudzoziemców, *der erste Maler unserer Zeit*¹⁾. Dom,

¹⁾ Tak się wyraził ceniony malarz niemiecki Zeitz, kiedy w Rzymie zobaczył *Sobieskiego pod Wiedniem* Matejki. Oto, co o nim pisze St. Tarnowski na str. 277 swej pięknej książki o Matejce: »Z ciekawości przyszli najwyżsi urzędnicy papieskiego dworu, duchowni i świeccy, z ciekawości innego rodzaju i z widocznym wzruszeniem kardynał Ledóchowski; z innej jeszcze — bardzo w Rzymie znany i ceniony malarz niemiecki Zeitz. Ten patrzył długo i do jakiegoś towarzysza swego mówił: *Es ist nichts zu sagen, er ist der erste Maler unserer Zeit*, a potem prosił, żeby go zaprowadzono do Matejki, bo chciałby móż powiedzieć, że go choć raz w życiu ścisnął za rękę«.

w którym się przyszły mistrz urodził, w którym przeżył swoje lata dzieciinne, w którym z zapalem zaczytywał się w *Wieczorach pod lipą* i *Śpiewach historycznych*, i w którym już, jako 7-letni chłopczyk zdradzał ochotę i talent do ołówka i pędzla, dom ten, do którego Matejko, dzięki owym wspomnieniom właśnie, musiał być wyjątkowo przywiązany, stał się w r. 1872 jego własnością. Wielki malarz, który już jako twórca *Skargi*, *Reytana*, *Batorego* i *Unii*, nie tylko zażywał rozgłosnej sławy europejskiej, ale zaczął dochodzić do majątku, doszedłszy do niego, przedewszystkiem starał się zadosyć uczynić pragnieniu, które już był żywił oddawna: mieć swój własny dom. Ten, w którym dotychczas mieszkał i malował »na Krupnicach« (t. j. przy ulicy Krupniczej), był ciasny i niedogodny, a choć szczupły, to jednak nie własny. We własnym, choćby to był dom nieduży, byle z ogródkiem, czułby się o wiele szczęśliwszym...

Nagle zdarzyła się okazyja taniego nabycia domu przy ulicy Floryańskiej. Wprawdzie był to dom bez ogródka, ale miał tę wyższość nad innymi, że niegdyś, aż do chwili śmierci ojca twórcy *Unii*, należał do jego rodziców... Skończyło się na tem, że Matejko kupił ten dom, czyniąc to zaś, powodował się nie tylko tym względem, że wogóle pragnął być właścicielem podobnej nieruchomości, ale i dlatego również (a może dlatego głównie), że tutaj, w tych murach przeżył swe lata dziecięce, że z tego domu zaczął chodzić do szkoły (najprzód do św. Barbary, a potem do św. Anny), że w tym domu po raz pierwszy zaczął marzyć o swych późniejszych obrazach, że tu się poczuł artystą. Jakoż cieszył się szczerze, gdy mu się udało nabyć tę kamienicę, a w jak dobry humor wprawila go ta okoliczność, niech zaświadczy jego list z dnia 13 czerwca 1872 r., pisany do siostrzeńca Serafińskiego, list, w którym między innymi znajduje się taki humorystyczny ustęp *à propos* świeżego kupna domu: »Gdybyś nie siedział w Wiedniu, a przechadzał się w Krakowie po Floryańskiej ulicy, spojrzalbyś na dom pewien, pod liczbą 363 stojący, dziś, niestety! własność Jana Matejki. Wystaw sobie środek domu bez dachu, w czasie kanonady niebieskiej i deszczyku, przypominającego Sikławę tatrzańską, zrazu gwałtowną, po schodach, później gdzieś w piwnicach mile szemrzącą. Ale to, to wszystko jeszcze poetyczne, jak zauważyć możesz. Lepszych się rzeczy dowiesz.

Jeżeli Saryusz Floryan, nie żałując trzewów brzusznych, skarżył sąsiada Łokietkowym uszom, cóżbym ja biedak musiał robić, i mówić nie o jednym, ale o dwóch sąsiadach, z których jednym, z przeproszeniem, niewiasta, a drugim — kolega, czy brat w sztuce, oboje obywatele krakowscy. Gdyby to Pan Bóg zesłał, jeżeli nie Łokietka, to choćby Dietla starego, przecieżyby człowiek może łatwiej sobie poradził. Ale Dietl siedzi spokojnie gdzieś na wsi pod Tarnowem i nie wie, jak tu źli sąsiedzi trapią jego podwładnych«. Okazuje się z tego wesołego listu, że dom był zrujnowany, że wymagał gruntownej restauracji. Człowiekiem, któremu mistrz zdecydował się powierzyć tę robotę, miał być znany architekt krakowski, twórca dzisiejszych Sukiennic, a serdeczny przyjaciel Matejki, przywiązany do niego »z pewnym fanatyzmem«, Pryliński. Wybór był pod każdym względem trafny.

Taką w krótkości jest historia domu Matejki, do czasu, póki się nie przyoblekł w tę wytworną szatę stylowego baroku, w jakiej go oglądamy obecnie.

Upłynęło lat dwadzieścia. Matejko umarł. Dzienniki wypełniły się nekrologami (wśród których najpiękniejszym, najgłębiej odczutym był artykuł Kazimierza Morawskiego *Przed pogrzebem Matejki*), a już we dwa dni później, d. 9 listopada 1893 r., ukazał się w *Czasie* artykuł prof. Maryana Sokółowskiego, występujący z inicjatywą, żeby się postarano nabyć dom Matejki, gdzie wszystko o nim świadczy. »Mantua ma dom Juliusza Rzymianina (Giulio Romano), Urbino — dom Rafaela, Florencyja — dom Michała Anioła, Norymberga wreszcie, tak z tyłu względów Krakowowi pokrewna, ma dom Albrechta Dürera. W każdym z tych domów zebrane są reprodukcye i ryciny dzieł mistrzów, którzy je wzniesli, w nich przyszli na świat, lub w nich mieszkali; wieńce, złożone na ich grobach, czy też poświęcone ich pamięci, relikwie wreszcie, po nich pozostałe. Niema cudzoziemca, któryby tych domów nie odwiedził; niema nikogo z ludzi miejscowych, któryby ich nie znał i nimi się nie szczycił. Kraków powinienby posiadać taki, taką samą opieką i jeszcze większą czcią otoczony dom Jana Matejki. W domu tym zgromadziłyby wypadało fotografie i ryciny z jego wszystkich, o ile możności, obrazów i kompozycyi, dopełnić je rysunkami i kartonami mistrza w reprodukcjach, autografami w końcu. Z czasem, powoli, niejednen

z właścicieli szkiców lub oryginalnych rysunków, byłby własność swoją może temu domowi przekazał, i utworzyłoby się muzeum, dające przybliżone wyobrażenie o całej twórczości artysty«. Myśl ta, rzucona w porę, była owem słowem, które stało się ciałem. Odrazu posypały się datki, ze wszystkich stron zaczęto przysyłać mniejsze lub większe sumy »na dom Matejki«, a z mnóstwa listów w tej sprawie, które prof. Maryan Sokołowski, jako jej inicjator, odebrał, największą przyjemność niewątpliwie sprawił mu krótki list Stanisława Tarnowskiego, brzmiący jak następuje: »W razie kupna domu Matejki z przeznaczeniem na Muzeum, podpisuję na ten cel złotych austriackich trzy tysiące«. Bardzo wymownym również był list księcia Adama Sapiehy (który Matejce pozował do głowy Witolda w *Grunwaldzie*): »Wyczytuję w *Czasie* projekt zachowania domu ś. p. Matejki, jako wieczną po nim pamiątkę i tak mi to trafia do przekonania, że muszę zawołać: Brawo! Jeżeli tedy poprowadzisz dalej tę świetną myśl, to zapisz mnie z tysiącem złotych reńskich«. Podobnych listów otrzymał prof. Sokołowski tyle, że w bardzo krótkim przeciągu czasu rozpoczęły się pertraktacje z rodziną Matejki, aż w końcu dom jego stał się własnością *Towarzystwa imienia Jana Matejki*¹⁾.

W roku 1895, w poście, w pięknej auli Uniwersytetu Jagiellońskiego, wygłosił prof. Stanisław Tarnowski, gorący wielbiciel Matejki, cztery odczyty o nim, z których dochód także był przeznaczony na dom po mistrzu²⁾.

¹⁾ Jednocześnie za fundusze, udzielone *Towarzystwu* przez wydział krajowy, nabyto wszystkie zbiory po Matejce, oraz część jego artystycznej spuścizny.

²⁾ Z odczytów tych, znacznie rozszerzonych, powstała przepyszenie wydana książka St. Tarnowskiego o Matejce. Książka ta, dużej literackiej wartości, posiada — obok całego szeregu innych — jedną nieporównaną zaletę: że tym geniuszem, który ją podyktował autorowi, było serce, była głęboka miłość dla Matejki, jako malarza i człowieka idei, na której ołtarzu Matejko złożył swój genialny talent. Ona wyziera z każdej kartki tego niepospolitego dzieła, jak wyziera z każdego obrazu twórcy *Hołdu pruskiego*. Dlatego jest to nie tylko jedna z najbardziej interesujących, ale zarazem jedna z najszlachetniej *pomyślnych*, jedna z najgoręcej *odczutych* książek. Autorowi, kiedy ją pisał, szło wyłącznie o spopularyzowanie geniuszu Matejki, ażeby potężnej sile ducha, bijącej z jego obrazów, ułatwić przeniknięcie do naszych serc i mózgów.

II.

Z myślą o historii tego domu, który nie tylko grał rolę w życiu Matejki, ale zajmie jedno z ważniejszych miejsc w dziejach naszej cywilizacji, wszedłem do jego bardzo typowej sieni. Wazka, ciemna, sklepiona w szereg gotyckich ostrołuków, jest to jedna z tych sieni krakowskich, w które wstępując, od razu ma się żywe przypomnienie świetnych czasów krakowskiego mieszczaństwa w wieku XV, z kamienicami Wierzyńków i Bonarów. Wnosząc z tej sieni, tudzież z charakterystycznej kolumny gotyckiej przy pierwszych stopniach ciemnej klatki schodowej, jest się skorym do przypuszczenia, że sam dom, choć restaurowany kilkakrotnie, musi być bardzo stary, że z pewnością jest to jedna z tych kamienic, której mury pamiętają czasy przedrenesansowe, czasy pierwszych Jagiellonów. Wyobrażam sobie, jak drobna postać Matejki, co dzień po parę razy przechodząca po tych kamiennych płytach, musiała »pyśźnie robić« — że użyję wyrażenia naszych malarzy — na archaiczno-gotyckiem tle tej staroświeckiej sieni.

Minąwszy trzy załamania ciemnych schodów (przyczem myślałem nietyle o Matejce, ile o lampce, która tu za życia Matejki musiała się palić nieodzwornie, a której brak teraz daje się czuć dość dotkliwie), znalazłem się na pierwszym piętrze, w podłużnej, dość widnej sieni, oświetlonej górnem światłem szklanego dachu nad trzecim piętrem, a w świetle tem, na prawo, ujrzałem białe, świeżo polakierowane drzwi, oprawne w renesansową framugę.

Domyślając się, że temi drzwiami wchodziło się do mieszkania Mistrza, a teraz ¹⁾ wchodzi się do przyszłego *Muzeum Jana Matejki*, zapukałem. Po chwili otworzyły się drzwi, a w progu stał kustosz »domu Matejki«, autor *Kachny Strusiówny i Śmierci J. Sobieskiego*, p. Ludomir Glatman, który, dowiedziawszy się, w jakim celu przybywam, zaraz mi się ofiarował na *cicerone'a*.

Z tego uczucia, z tej myśli przewodniej, wypłynęła, jak ze źródła, cała książka — wspaniała tom o 562 stronicach *in 4-o*, który, ozdobiony 123 reprodukcjami prawie wszystkich dzieł Matejki, a wydany *in every eanch* po europejsku, musi być zaliczonym do nielicznych arcydzieł naszego drukarskiego kunsztu.

¹⁾ Pisane w marcu r. 1897.

Względnie duża sala o szerokim oknie weneckim, od której zaczęliśmy oglądanie dawnego mieszkania mistrza — przerobiona z dawnego pokoju jadalnego — odznacza się pięknym sufitem ciemno-niebieskim, pokratkowanym staroświekiem belkowaniem z dębowego drzewa. Główną ozdobą tego belkowania, które całemu sufitowi nadaje jakiś charakter gdański, jest sześć drewnianych głów ludzkich, naturalnej wielkości, bardzo pięknie rzeźbionych. Umieszczone pod samą powałą, czynią takie wrażenie, jakgdyby się wychylały ciekawie... Pięć z nich, jak mię objaśnił mój uprzejmy *cicerone*, pochodzi z jednej z komnat królewskich na Wawelu, gdzie podobno, oderwane od pierwotnego miejsca swego przeznaczenia, długo wały się na strychu. Tam je zobaczył raz Matejko, a poznawszy się na ich wartości, zakupił wszystkie. Okazało się jednak, że i Matejko nie wiedział, co z nimi począć. Dopiero po jego śmierci, gdy przerabiano ten pokój, umiano z nich zrobić właściwy użytek. Szóstą głowę, wiernie odtwarzającą rysy Matejki, dorobiono świeżo, gwoli parzystości liczby. Co się tycze samej sali, to składa się ona — obecnie — z dwóch sal właściwie, z większej i mniejszej, a trzy romańskie arkady, wykute w grubej ścianie, stanowią malowniczy przedział pomiędzy nimi. W większej stoi kilka szaf oszklonych, w których niebawem już — gdy zostanie otwarte muzeum — będą porozwieszane słynne kostiumy historyczne, których wspaniałą kolekcję zostawił Matejko; w mniejszej zaś, za arkadami, (dawniej była tylko jedna arkada z drzwiami, prowadzącymi do sypialni pani Matejkowej), znajdzie się istny gabinet starożytności, tymczasem porozkładany na ziemi. Czego tu niema? Zbroje żelazne, kopie krzyżackie, karwasze, koszule druciane, helmy, topory, miecze krzyżackie, ogromne buty rajtarskie, harkebusy, halabardy, samopały, sztuce z kolbami inkrustowanymi kością słoniową, prześlizczna kusza średniowieczna, kilka fuzji szwedzkich, żelazne latarki dziurkowane, cała kolekcja strzemion najróżnorodniejszych, a wszystko to, złożone w bezładną kupę, oglądane z osobna, przypomina cały szereg szczegółów z obrazów Matejki: tę kopię zna się z *Grunwaldu*, ten łuk już się widziało na *Joannie d'Arc*, te sztuce zna się z *Sobieskiego*.

Wązkim i ciemnym korytarzykiem, tak wązkim, że przechodząc nim, prawie się ociera o obie ściany, przechodzi się do sypialni Matejki.

Jest to podłużny pokój z niewielką niszą w głębi, oświetlony jednym oknem frontowym, a dzięki swemu sklepionemu sufitowi, ciemno-niebieskiemu, nabijanemu złotymi gwiazdami, wielce oryginalny. Ściany, obwieszane ponsowemi makatami, których przyblakły kolor jest ich najlepszą metryką, doskonale harmonizują z tem gwiaździstym sklepieniem. W niszy, za zieloną kotarą jedwabną, także starą, stoi zwykle łóżko orzechowe, takie zwykle, że aż się wierzyć nie chce, że w takim łóżku sypiał Matejko. Dopiero przyjrawszy się wspianalej zielonkawo-żółtej kapie jedwabnej, misternie haftowanej w ogromne barokowe kwiaty, a która jest kapą Sobieskiego, dochodzi się do przekonania, że lubo łóżko mogłoby być okazalsze, o tyle kapie trzeba przyznać, że była godną Matejki. Nad łóżkiem wisi ażurowy kroksztyn ze złoconego drzewa, osobliwość w swoim rodzaju, a jako rzecz stara, tem bardziej zwracająca uwagę. Na stylowem tle tego staroświeckiego kroksztynu, robiącego wrażenie, jakby się go widziało na którym z obrazów Matejki, stoi niewielki krzyż z oliwnego drzewa, uwienczony małą koroną cierniową. Podobno, że i krzyż i korona pochodzą z Jeruzolimy... Niemniej piękną w swoim rodzaju, aniżeli ten kroksztyn, jest bronzowa lampa bizantyjska, która się na trzech łańcuszkach zwiesza we framudze niszy, lampa, która nigdy nie gasła za życia Matejki... Teraz się nie pali... W samym pokoju, gdziekolwiek się rzuci okiem, wszędzie widzi się rzeczy niepowszednie, świadczące, jak się Matejko kochał w starych meblach, w starych bronzach, w starych porcelanach. Wszystko tu jest stare, stylowe, począwszy od staroniemieckich witrażów w oknie, których różnokolorowe, cyną spajane szkiełka bardzo malowniczo wyglądają na tle zwykłych lustrzanych szyb, a skończywszy na różnych talerzach ze starej porcelany saskiej, które porozwieszane na ścianach, na ponsowem tle makat, tworzą znakomity efekt dekoracyjny. To samo da się powiedzieć i o starożytnych kandelabrach ściennych, których złocony brąz, obwładając niebieskawe krążki zwierciadełek, odrazu pozwala się domyślać smaku XVII wieku. Z innych drogocennych sprzętów, nagromadzonych w tej sypialni wielkiego artysty, szczególnie pięknie wydały mi się stare, kilkoramiennie świeczniki żydowskie, zdobne orłami. Wogóle wszystko, co się znajduje w tym pokoju (z jedynym wyjątkiem bardzo pospolitego i obdrapa-

nego stolika nocnego), posiada wysoką artystyczną wartość, że tylko wymienię niewielki zegar barokowy, oraz parę staroświeckich lichtarzy mosiężnych, nadzwyczaj oryginalnych.

Ale prawdziwe skarby znajdują się dopiero w przyległym salonie, przedstawiającym się w postaci dużego pokoju o dwóch oknach (z tych jedno jest drzwiami, prowadzącymi na balkon). Ściany, które dawniej były zawieszane całym szeregiem portretów dzieci, żony i rodziców Matejki, teraz mienia się cennymi adamaszkowymi makatami, a z gustownie wymalowanego sufitu zwiesza się piękny żyrandol wenecki, cały z mlecznego szkła. Żyrandol ten, dlatego że wenecki, harmonizuje z przepysznym, poprostu książęcym garniturem mebli, które są także weneckie. Meble te, hebanowe, inkrustowane różnokolorowymi marmurami i mozajkami, a wyścielane ponosowym adamaszkiem, to arcydzieło w swoim rodzaju: nawet w królewskich salonach jeszczeby uderzały swem bogactwem. Mało widziałem równie pięknych... Wyobrażam sobie, jak Matejko, zobaczywszy je, zapalił się do nich, on, który się tak kochał w podobnych rzeczach! Oprócz tych mebli, które, gdy się wchodzi do sali, przedewszystkiem zwracają na siebie uwagę widza, nie brak tu i innych sprzętów, równie ozdobnych, a uderzających swą niepospolitością. Do takich należy np. niewielki stoliczek mahoniowy w formie gondoli, rzecz stara bardzo, najniezawodniej włoska, tudzież wielki, niewyścielany fotel, cały wykładany najprzedziwniejszą mozaiką z drobniutkich kawałków rozmaitych gatunków drzewa. Prócz mebli, które są najefektowniejszą dekoracją tego salonu, zdbi go nadto ogromna ilość najrozmaitszych gracików, starych czasz, roztruhanów z wytłaczanego srebra, drogocennych kubków, oryginalnych łyżek kościanych lub srebrnych, wysadzanych turkusami, wazonów z sewskiej porcelany, marmurowych lub brązowych posążków, przepysznie oprawnych albumów pamiątkowych: wszystko to zaś, poustawiane i porozkładane na stołach, stolikach i konsolach, trochę przypomina balzakowski *Gabinet starożytności*.

Patrząc na te najrozmaitsze »graty« i »stare rupiecie«, które dla niezawcy posiadają tylko wartość metalu, jeżeli są brązowe lub srebrne, a których tu nagromadzono taką kolekcję, widzi się dopiero, jak Matejko lubił otaczać się podobnymi starożytnościami, jak one odpowiadały jego umiłow-

niu przeszłości, jak się kochał w takich *bibelotach* dawnej sztuki zdobniczej, jakim był skrzętnym zbieraczem podobnych przedmiotów. Jakoż nie żałował pieniędzy, ani cofał się przed wydaniem nawet znacznej sumy, gdy się tylko zdarzyła okazyja nabycia jakiego starego zegara, jakiej oryginalnej czary srebrnej etc. etc., a zdaje się nie ulegać wątpliwości, wnosząc ze zbiorów w tym salonie, że ze szczególnem amatorstwem nabywał rzeczy włoskie lub gdańskie, z włoskich wyróżniając te, które były wytworem XVI wieku, a do Polski przyciągnęły za Boną. Powiedziałbym to szczególnie o jednym niewielkim zegarze, którego szkatułka srebrna, wyciskana w piękny desień i gęsto turkusami i topazami wysadzana, kto wie, czy nie jest jednym z tych klejnotów, które dworzanie królewscy rozdrapali po śmierci Zygmunta-Augusta. Zdaje mi się nawet (choć nie ręczę za dokładność tego przypomnienia), że zegar ten widziałem na wspaniałym szkicu Matejki, przedstawiającym właśnie *Śmierć Zygmunta Augusta*. Wiadomo powszechnie, jak Matejko kochał się w tym *złotym wieku* Zygmunatów i Bato-rego, nie dziw więc, że swe mieszkanie lubił przyozdabiać sprzętami i szpargałami, które mu tę świetną epokę renesansu w Polsce przypominały.

Prawdziwym kontrastem, w stosunku do tych drogowcennych mebli i cacek, które z tego salonu czynią poważne muzeum, są skromne, drewniane stalugi, stojące w rogu przy prawem oknie, a przeniesione z pracowni Matejki, znajdującej się w gmachu Szkoły Sztuk Pięknych. Na tych to stalugach powstały wszystkie mniejsze obrazy Matejki, wszystkie portrety, których wymalował tyle, a w tej liczbie i jego własny. To sprawia, że się do nich zbliżamy ze szczególnym pietyzmem. Na stalugach wisi stary, zdefasonowany kapelusz z ryżowej słomy, t. zw. *panama*, kapelusz, w którym często zdarzyło mi się widywać Matejkę, oraz jego czarna kurtka *beżowa*, którą zwykle nosił w pracowni. Była to jego bluza robotnicza. Poniżej stalug, pustych w tej chwili, bez żadnego rozpoczętego obrazu, co na nie rzucało jakby cień melancholii, leżała niewielka paleta, przetknięta pękiem pendzlów i pendzelków, a ubrana pstrem półkolem nałożonych farb. Farby te, już zaschłe, jeszcze nakładał Matejko, malując swe niedokończone *Śluby Jana Kazimierza*...

Lecz znowu kontrast: na tem samem pudle, co paleta,

leży czarny podłużny futerał, a otworzywszy go, poznaje się odrazu, jakiej miary był artysta, który malował przy tych zwyczajnych stalugach: w futerale znajduje się berło, ofiarowane Matejce — za *Grunwald* — d. 29 października r. 1878 przez miasto Kraków, »berło królewskośći«, które, poświęcone na Zamku, wręczył mistrzowi na Ratuszu, w licznej asystencji przedstawicieli miasta i kraju, marszałek Zybliekiewicz. Czytając opis tej uroczystości, myśli się o dawnych koronacjach poetów. Po obejrzeniu tego berła, którego misternej roboty złotniczej nie można nie podziwiać, (a wobec którego już niewiele zwraca się uwagi na dwa klarynety, będące pamiątką po ojcu Matejki), przyszła kolej na oglądanie innych godeł matejkowskiej »królewskośći« w dziedzinie sztuki, godeł, które Matejko otrzymywał nietylko od swoich, ale i od obcych, z całego cywilizowanego świata.

Właśnie miałem obejrzeć całą kolekcję podobnych oznak holdu i uwielbienia...

Najcenniejsze, te, które są symbolem uznania narodów obcych, uznania, wyznaczającego Matejce jedno z najwyższych miejsc w Panteonie współczesnej sztuki europejskiej, zajmują całą szufladę, aż pod sam wierzch wypełnioną mnóstwem mniejszych lub większych pudełek. Pudełka są rozmaite: płaskie, podłużne, okrągłe, kwadratowe, skórzane lub pluszowe, w nich zaś, kiedy się je roztwiera po kolei, widzi się takie »godła królewskośći«, jak 1.) wspaniały *krzyż komandorski Piusa IX z gwiazdą*, okolony przepyszną fioletową wstęgą, a przeznaczony do noszenia na szyi; 2.) francuski order *Legii honorowej* z profilem Napoleona I; 3.) wielki medal złoty z paryskiego »Salonu« z roku 1865 (za *Kazanie Skargi*); 4.) wielki medal złoty z wystawy paryskiej z r. 1878 (za *Unię Lubelską*); 5.) medal srebrny od *Académie des Beaux Arts*, który Matejce zjednał zaszczytny tytuł *Associé étranger* paryskiego *Institut de France*; i wreszcie 6) cały szereg innych medalów, z których wymienię jeden tylko: wielki złoty medal z wystawy kalifornijskiej, otrzymany za *Wernyhore*, a poparty jeszcze osobnym orderem i dyplomem.

W tejże szufladzie znajdują się jeszcze dwa cenne dowody kultu dla Matejki: piękny, złoty, czarno-emaliowany pierścień, z białym orłem, pogonią i krzyżem na zewnątrz, a miniaturowym wizerunkiem Krakusa, ukrytym wewnątrz:

dar krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych; oraz dwie złote szpilki do krawata, z pięknym nakładanym monogramem z liter *F* i *J*: upominek od cesarza Franciszka Józefa, który w r. 1880, bawiąc w Krakowie, zaszczylił Matejkę swemi odwiedzinami.

Przyjęcie odbywało się w tej sali, a mistrz przyjmował monarchę, otoczony całą rodziną. Podobnie Karol V odwiedzał niegdyś Tycyana. »Czy wielki Włoch — słowa są St. Tarnowskiego — darował kiedy cesarzowi jaki obraz? O tem historia milczy. Ale malarz polski chciał się wywdziękzyć za zrobiony zaszczyt, i prosił cesarza o przyjęcie *Ślubów z roku 1515*, które w myśli malarza, może i w myśli cesarza, kryły w sobie aluzję do dzisiejszych chwil i stosunków. Ze strony cesarza, który z zasady nie zwykł podarunków przyjmować, wyjątek, zrobiony dla Matejki, był szczególną łaską i odznaczeniem».

Niemal równem odznaczeniem jest *breve* papieskie, wypisane na pięknem zwoju pergaminowym, które twórcy *Sobieskiego pod Wiedniem*, jako podziękowanie za ten wspaniały obraz, przesłał Papież Leon XIII.

Przypatrując się tym wszystkim odznakom, zapytuje się mimowoli: czy był u nas człowiek, na którego by się posypało tyle zaszczytów, któryby miał tak wysokie uznanie u obcych, którego geniusz budziłby podobny podziw wśród innych cywilizowanych społeczeństw? Zdaje się, że pod tym względem — jak i pod tyloma innymi — Matejko stoi bez współzawodnika, on »wielki, natchniony, samotny«.

Nic dziwnego też, że wobec tylu dowodów podziwu ze strony obcych, cieszył się sławą i uwielbieniem również i ze strony naszego społeczeństwa, że i swoi czcili jego geniusz, jakby starając się dowieść, że choć trudno być prorokiem między swemi, to jednak jest to możliwe. Dowodów, że tak było, że naród poznał się na Matejce, tyle znajduje się w tym salonie, że niepodobna wymieniać wszystkich, a nawet oglądając je po kolei, jedno po drugich, jest się znużonym w końcu, tak, iż tylko pierwsze ogląda się szczegółowo: następne ogląda się powierzchowniej, aż dochodzi się do tego, że się rezygnuje z reszty.

Są to przeważnie pamiątki po 25-letnim jubileuszu Matejki, przeważnie albumy, teki z rysunkami, dyplomy honorowe, adresy cechów etc. etc., wszystko w przepysznych oprawach, z których znaczna większość jest prawdziwemi arcy-

dzielami introligatorskiego i jubilerskiego kunsztu. Nie sposób opisywać tego wszystkiego, jak nie sposób wymieniać wszystkich miast i instytucji krajowych, które tymi albumami i dyplomami chciały wyrazić swe uwielbienie Matejce. Wystarczy nadmienić, że jest tego prawdziwy *ambaras de richesse*, i że na szczególne wyróżnienie zasługuje wspaniała teka z rysunkami malarzy polskich monachijskich...

Co także należy do najciekawszych rzeczy w tym salonie, to niewielka szafka, w której Matejko chował wszystkie otrzymane książki z dedykacjami od autorów. Z książek takich, niekiedy oprawnych bardzo ozdobnie, utworzyła się cała biblioteczka. Przejrzałem ją w całości, tom po tomie, i przeczytałem wszystkie dedykacje. Wszystkie świadczą o jednym: o nadzwyczajnym kulcie, z jakim dla Matejki, dla jego genialności i wzniosłości duszy, byli wszyscy najwybitniejsi członkowie naszego społeczeństwa. Oto na przykład, co na swych książkach pisał St. Tarnowski, kiedy je przysyłał Matejce. Na pierwszej stronie książki, opisującej *Oddawanie Ojcu św. Leonowi XIII Daru narodowego z obrazu Matejki*, znajduje się taka dedykacja: »Janowi Matejce, małą pamiątkę Jego wielkiego czynu, szczęśliwy, że był tego czynu świadkiem, a tych wspomnień uczestnikiem, z wdzięcznością, czcią i przywiązaniem składa St. Tarnowski. Kraków, styczeń 1884«. Krótsze, ale niemniej »pełne nszanowania, podziwu i przywiązania« są dedykacje na innych dziełach St. Tarnowskiego, na pierwszej stronie jego *Pisarzów politycznych XVI wieku* i *Jana Kochanowskiego*. W podobnym tonie są dedykacje na dziełach innych autorów. Książd biskup A. S. Krasieński przesyła egzemplarz swego *Słownika synonimów polskich* »książęciu malarzy polskich, mistrzowi Janowi Matejce, ze czcią i uwielbieniem«. Ks. Ignacy Polkowski opatruje egzemplarz swojej *Katedry Gnieźnieńskiej* następującą dedykacją: »Czcigodnemu mężowi, mistrzowi i artyście, chlubie i ozdobie narodu polskiego, dyrektorowi Szkoły Sztuk Pięknych, Janowi Matejce, w dowód szacunku ofiaruje autor«. Wincenty Rapacki przesyła Matejce swego *Mazur-Czarta* »w holdzie czci i uwielbienia«. Dr. Henryk Levittoux, który się cieszył szczególną sympatją Matejki, przesyła mu egzemplarz swojej *Filozofii natury*, jako »wielkiemu malarzowi historii, Janowi Matejko, zasłużonemu krajowi i ludzkości mistrzowi w holdzie od autora«. (Nawiasem mówiąc, Matejko

był wielkim zwolennikiem tej *Filozofii natury* d-ra Levittoux). Prócz polskich, także i niektórzy pisarze cudzoziemscy, będąc z uwielbieniem dla Matejki, przysyłali mu swe książki z autorskimi dedykacjami. Tak np. poeta niemiecki, Karl Gröber, przesyłając Matejce prześlizgnie oprawny egzemplarz swej *Schlacht am Amselfelde*, opatrzył go takim ofiarowaniem: »*Dem Altmeister polnischer Kunst, Jan Matejko, als geringes Zeichen vollster Hochachtung und unbegrenzter Bewunderung*«. Książka, która w tej honorowej biblioteczkę także zwraca uwagę na siebie, jest dziełko Franciszka Edwarda Matejki *O prawach i sądach czeskich* z następującą dedykacją: »Bratu Janowi na pamiątkę — Franciszek«.

Książeczka ta »o prawach i sądach czeskich« przypomina czeskie pochodzenie Matejki, ojciec jego bowiem był osiadłym w Krakowie Czechem, ożenionym z panną Rossberg, córką zamożnych mieszczan krakowskich (po których w spadku odziedziczył dom przy ulicy Floryańskiej). To czeskie pochodzenie Matejki sprawiło, że choć był gorącym Polakiem, namiętnie przywiązany do wszystkiego, co polskie, to jednak żywił i nieklamana sympatyę dla Czechów i ich kultury; a choć w roku 1873, kiedy mu ofiarowano zaszczytne i świetne stanowisko dyrektora Akademii Sztuk Pięknych w Pradze, dał odpowiedź odmowną, bo »przyjaźń dla Czech mieć mogę — pisał w odpowiedzi na to zaszczytne zaproszenie — i mam ją serdeczną, ale miłość moja należy się *mojej ziemi, Polsce*«; jednak, powodowany tą »serdeczną przyjaźnią« dla pobratymczego narodu, nie tylko podjął się malowania witrażów do okien katedry w Pradze, ale i historią Czech, którą czytywał *po czesku*, interesował się szczerze.

Oglądając jego bibliotekę, znalazłem sporo dowodów na to. Dość powiedzieć, że w bibliotece tej Długosz i Palacky stoją obok siebie, na jednej pulce: Długosz po łacinie, Palacky po czesku.

Przeoglądając te książki, nie oprawione po największej części, prawie wyłącznie polskie, o treści historycznej, myślałem nie tylko o czeskim pochodzeniu Matejki, ale i o jego potrzebach umysłowych. Czy lubił czytać? Czy wiele czytał? Co pewna, to, że czytał tylko w wolnych chwilach, wieczorami. »W nieustannej pracy malarskiej od rana do nocy, Matejko od dzieciństwa do śmierci *nie miał czasu czytać*... Umysł musiał

być bardzo bystry, kiedy pomimo tego, tyle rzeczy pojmował i znał. Ale pojmował i chwytął szybko, dorywczo, w lot, intuicyjnie... Tym starym polskim kronikom, w które za młodu wczytywał się z ciekawością namiętną, pozostał wiernym do końca... Nieznajomość obcych języków zamykała przed nim wszystkie skarby literatur zagranicznych... Wielkich poetów znał od młodości i bardzo w nich rozmiłowany, z nich przejął wiele pierwiastków swoich pojęć i przekonań¹⁾.

Ale jeżeli wogóle na czytanie poświęcał niewiele czasu, to szczególnie w ostatnich latach czytywał mniej, aniżeli kiedy był młodszym. Wolał grać w szachy. »Miał pasję do szachów, opowiada o nim St. Tarnowski. W ostatnich zwłaszcza latach, wszystkie prawie wieczory schodziły na tej grze ulubionej. Grał słabo; a do tego zmęczony całodzienną pracą, nie mógł mieć tej czujnej przytomności, jakiej potrzeba do różnych kombinacji szachowych. Cieszył się zaś bardzo, kiedy wygrał. Stąd dla jego przeciwników, graczy lepszych od niego, trudność wielka, żeby nie wygrać, a jednak żeby przegrać tak zrećźnie, iżby on nie poznał się na sztuczności swego tryumfu«.

Symbolicznym przypomnieniem tej »pasyi do szachów« jest teraz, w salonie dawnego mieszkania Matejki, drewniana szachownica, obstawiona zwykłymi szachami. Patrząc na nie, a zwłaszcza na przesłiczny stoliczek wschodni, na którym są ustawione, jest się zdziwionym, iż Matejko grywał tak ordynarnymi szachami, że nie pomyślał o ozdobniejszych, on, który się tak kochał w pięknych sprzętach...

Rozmawiając na ten temat, przeszliśmy do jednego z przyległych pokojów, do t. zw. *szatni*, obejrzeć zbiory kostiumów, których Matejko nagromadził tak olbrzymią kolekcję. Dziwnego wrażenia doznaje się, oglądając te różnobarwne, złotem lub srebrem haftowane ubiory starodawne; bo nie tylko jest się olśnionym ich kolorystycznym przepychem, ale się w nich poznaje jakby dawnych znajomych: ogląda się je po raz pierwszy, a jednak zna się je wszystkie. Skąd? Z obrazów Matejki: z *Grunwaldu*, z *Joanny d'Arc*, z *Hołdu pruskiego*, z *Rejtana*, z *Zygmunta i Barbary*.

Wogóle jednak, zwiedzając te pokoje, doznaje się wrażenia, które, o ile jest oryginalne w tem mieszkaniu, o tyle

¹⁾ St. Tarnowski, *Matejko*, str. 447.

jest przykrem, gdy się je podda analizie: oto się chodzi po komnatach, w których mieszkał największy z naszych malarzów, jeden z największych malarzów ludzkości, a nigdzie się nie widzi obrazów. Na tych ścianach, choć obwieszonych wspinałemi makatami, chciałoby się widzieć złote ramy, a z tych ram wyglądające malowidła Matejki. Pragnienie to, zupełnie naturalne w obrębie tych murów, staje się tem dotkliwszem, gdy się wie, że za życia Matejki ścian tych nie było widać z pod obrazów, obrazów, których nigdy nie przeznaczal na sprzedaż, które malował dla siebie, dla swoich, a malował z pietyzmem czulego ojca rodziny, dumnego ze swych dziełek, szczęśliwego z ich posiadania. Matejko, szalenie kochający swoją żonę, niemniejszą miłością darzył dzieci, których miał czworo. Ta miłość męża i ojca rodziny, miłość, która tak sympatyczne światło rzuca na Matejkę-człowieka, sprawiła, że do najcelniejszych portretów, jakie wyszły z pod jego genialnego pędzla, należą portrety żony i dzieci mistrza. Dzieci malował aż pięć razy, a niektóre z tych portretów, jak np. portret trojga dzieci, lub Jerzy Matejko na kucu, są arcydziełami, natchnionemi tem samym uczuciem ojcowskiem, które Kochanowskiemu podyktowało *Treny*: z tą różnicą oczywiście, że piórem Kochanowskiego powodowała rozpacz ojca, który się nie może pocieszyć po stracie dziecka, kiedy pędzlem Matejki powodowała »pociecha« szczęśliwego rodzica, który z lubością i dumą pogląda na swoje dzieci. Żonę malował dwa razy: raz w r. 1865, zaraz po ożenieniu się, raz w r. 1877. Pierwszy portret, który uległ zniszczeniu, miał być jeszcze piękniejszy, aniżeli drugi, choć i ten, przedstawiający panią Matejkową w ślubnym stroju, jest taki, iż się w nim poprostu zakochać można. Jest to portret kobiety młodej i pięknej, nad wszelki wyraz powabnej, portret kobiety kochanej aż do ubóstwienia, do szaleństwa, malowany przez męża, który, namiętnie rozkochany w swej żonie, jak Zygmunt August w Barbarze, malując jej wizerunek, chciał nim dać artystyczny wyraz swojej miłości, śpiewał swoją *Pieśń nad pieśniami*.

Portrety te, w które Matejko włożył tyle uczucia, tyle czułości kochającego męża i ojca, już nie zdobią ścian tego salonu. Co się stało z nimi? Gdzie się podziały? Prawie wszystkie zostały... sprzedane, a cudowny *Portret żony*, poemat nie portret, jest do sprzedania! Można go kupić u syna...

Tymczasem na ogołoconych ścianach salonu, których pustkę starano się pokryć makatami, wisi tylko jeden obraz Matejki: *Wnętrze grobu Kazimierza Wielkiego*. Przypatrując się temu niewielkiemu płótnu, mającemu raczej wartość dokumentu historycznego, aniżeli dzieła sztuki, mimowoli myśli się o jego genezie, o niezwykłych okolicznościach, w jakich zostało namalowane, a których piękny opis — nacechowany pewnym liryzmem — znajduje się w książce St. Tarnowskiego.

Nie umiem się oprzeć pokusie, ażeby go tu nie przytoczyć w całości:

»Wzięto się do restauracji nagrobka Kazimierza Wielkiego. Kiedy odjęto boczną płytę marmuru, pokazała się, czy też w tej samej chwili zrobiła się dziura w wewnętrznym mrowanym zrębie sarkofagu, a przez ten otwór ukazał się ciemny środek grobu, spróchniała trumna, zbutwiały całun jedwabny, korona, berło, rozsypane kości króla. Gdyby trumna była cała, nikt nie byłby jej tykał. Ale kiedy się rozsypała, to tych kości na ziemi, w prochu, zostawić się nie godziło. Trzeba było je zebrać i w nową trumnę złożyć na dalszy spoczynek. Zaczęło się dobywanie kości Kazimierza, jednej po drugiej, i rzeczy, które były w jego grobie. We wnętrzu grobowca stał jeden ze świątników kościelnych, prof. dr. Kozubowski, i Matejko. Z zewnątrz kilkunastu ludzi, Majer między nimi, Piotr Moszyński i jego córki, Paweł Popiel, Łuszczkiewicz, Łepkowski, Walery Rzewuski. Niżej podpisany znalazł się na zamku czystym przypadkiem, nie wiedząc o niczem — za co temu szczęśliwemu przypadkowi wdzięczny będzie do śmierci. Tak się zaś znowu trafem złożyło, że znalazł się najbliżej otworu, przez który prof. Kozubowski kości Kazimierza podawał na zewnątrz, determinując każdą, co zaraz ktoś obok zapisywał. Najbliżej stojąc, odbierałem te kości z rąk Kozubowskiego i podawałem je dalej; może nie wszystkie, ale dużo. Składano je w prostą, naprędce przyniesioną, sosnową małą trumnę. Po kościach wydobyto koronę, berło, ostrogi, szmaty całunu, a kiedy wszystko było skończone, ks. kanonik Scypio zaintonował *Libera* — i ten improwizowany kondukt poprowadził do Wazowskiej kaplicy, gdzie złożono trumnę.

»Taka była mieszanina wrażeń, że żaden z nas nie wiedział, czego doznaje, które uczucie w nim góruje. Jakaś rzeczywistość królewskiego pogrzebu, jakaś bliskość, terazniej-

szość tego Kazimierza, jak żeby to był jego pogrzeb prawdziwy! A przytem świadomość, że to nie teraz, że pięćset bez jednego lat w tył, że zamek inny..., że wszystko inne: my biedni dworzanie za tą ubogą trumną króla! Jakby się to wydało tym, co inny zamek, inne pogrzeby widzieli?... Było dziwnie gorzko, ale i błogo razem. Było jakieś uszczęśliwienie rzewne w tem, że się widziało kości i włosy Kazimierza; a ta jego korona, po pięciu wiekach z grobu wychodząca na świat, na jasne słońce...

•Był potem pogrzeb, wspaniale urządzony, z deputacjami całego kraju, uroczysty, malowniczy. Ale ten obchód przygotowany, paradny, z całą swoją okazałością, nie przejmował tak do głębi duszy, jak to niespodziewane odkrycie kości i złożenie ich do trumny.

•Zostaliśmy tam długo, nie mówiąc do siebie prawie nic, myśląc wszyscy to samo i dużo. Rzewuski fotografował insygnia. Matejko szkicował. Z tego szkicu i z tego wspomnienia powstał obrazek, *Wnętrze grobu Kazimierza*. Jest zupełnie, najzupełniej tak, jak tam było. Jeżeli obrazek się przechowa, to po wiekach jeszcze dowiedzą się z niego ludzie, jak znaleziono grób i kości Kazimierza W. w r. 1869.

Obrazek się przechował i jest jedynym obrazem olejnym mistrza, który w tej chwili, wisząc w jego dawnym salonie, jest własnością *Towarzystwa imienia Jana Matejki*. Jedynym! Miejmy nadzieję, że z czasem przybędzie ich więcej... Obecnie jest jeszcze jeden rysunek ołówkowy: wykończony szkic do ikonostasu w kościele św. Norberta w Krakowie, wyobrażający Chrystusa »na niebiesiech«...

I to już wszystko? Na szczęście, nie. Towarzystwo posiada jeszcze tak zw. *Słownik Matejki*, przedstawiający się w postaci kilkuset rysunków — przeważnie na kalce — wklejonych do kilku grubych woluminów. Jest to prawdziwa encyklopedia kostiumów polskich, węgierskich, niemieckich, czeskich, hiszpańskich, włoskich, angielskich, szwedzkich, etc. etc., obejmująca epokę kilkusetletnią: począwszy od wieków średnich, a kończąc na copfach i koronkach wieku XVIII. Gdziekolwiek zdarzyło się Matejce, czy to w jakim dziele historycznym, czy w jakim piśmie ilustrowanem, zobaczyć jakiś kostium starodawny, zaraz go z najdrobniejszymi szczegółami przerysowywał, bądź na cienkiej żółtawej kalce, bądź na pierwszym

lepszym świstku czystego papieru, i wklejał do tego »słownika«. Z biegiem lat urósł ten oryginalny »słownik« do rozmiarów kilku grubych tomów, każdy o kilkuset stronicach in 4-o. Nieoszacowana to pamiątka po Matejce, świadectwo jego pracowitości i sumienności, tem cenniejsze, że nie brak w tym »słowniku« i rzeczy luźnych, szkiców do obrazów (np. do Batorego), całego szeregu ołówkowych portretów wszystkich wybitniejszych postaci historycznych polskich, królów, poetów, mężów politycznych, rysowanych według starych sztynchów, obrazów, monet, pieczęci.

To też, przeglądając ten olbrzymi »słownik«, kartka po kartce, miałem wrażenie, jakby cała przeszłość, a z nią i cała twórczość Mistrza, przeciągały przed memi oczyma: zdawało mi się, że widzę cały barwny korowód królów i książąt, od Chrobrego do Stanisława Augusta, wmieszanych w nieprzejrzany tłum kontuszowej szlachty, zbrojnego rycerstwa, magnatów w deliach, skrzydlatych husarzów, wspaniale ubranych biskupów z pastorałami i w złocistych infulach, purpurowych kardynałów, pięknych mieszczanek krakowskich, sędziwych matron, młodych gamratek, blaznów i dworzan królewskich, i że wszystkie te *schwankende Gestalten*, z których bardzo wiele znałem z obrazów Matejki, jakby się wylaniały z zaczarowanych kart tego grubego woluminu, nad którym siedziałem pochylony... I chciało mi się zatrzymać tę złudę, wołając do niej, jak Faust: *Verweile noch, du bist so schön!* ale przy mnie stał uprzejmy kustosz domu Matejki, a nie lubię nadużywać czyjejś uprzejmości i cierpliwości.

Po obejrzeniu wszystkiego, co *Dom Matejki* w swym teźniejszym stanie posiada ciekawego i godnego widzenia, a co mi zajęło blisko trzy godziny czasu, przeszedłem do t. zw. kancelaryi *Towarzystwa*, w której się co tydzień odbywają posiedzenia członków zarządu, a w której, w tej chwili, choć sama Kancelarya wcale nie jest wielką, także jest niemało do oglądania.

Przedewszystkiem rzuca się w oczy mnóstwo obrazów olejnych nie-Matejki, rozwieszonych po ścianach, lub stojących na ziemi, w charakterystycznym nieładzie, który odrazu pozwala się domyślać, że się tu znajdują czasowo.

— A to co za galerya? zapytałem, przypatrując się pięknemu krajobrazowi tatrzańskiemu Gersona, wiszącemu obok

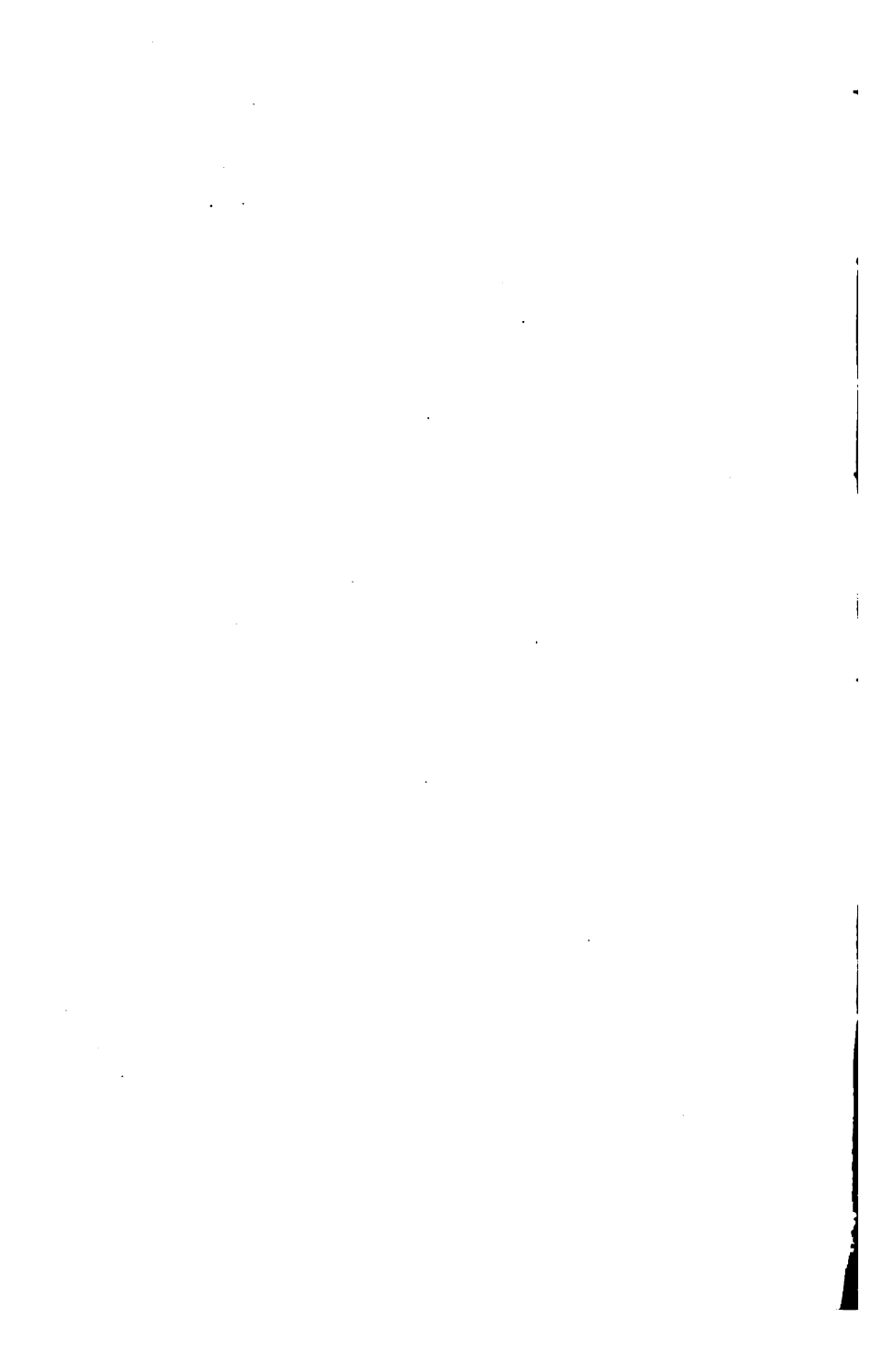
pięknej główki Buchbindera, malowanej *à la Meissonier*, a sąsiadującej z gustowną paletą Reyznera.

— Są to obrazy — odrzekł mój uprzejmy *cicerone* — przeznaczone na tombolę, a nadsyłane przez wszystkich malarzy polskich. Jak pan widzi, mamy już sporą kolekcję, a jest to zaledwo jedna dziesiąta część tego, co otrzymamy wkrótce. Nietylko Brandt, Siemiradzki, Chełmoński, Kowalski i wielu innych, obiecali nam przysłać po obrazie, ale niebrak i malarzów nie-polskich, którzy sami zgłaszają się ze swemi obrazami, chcąc tym sposobem zaznaczyć swoje uwielbienie dla Matejki. Ot ten pejzaż np. (i tu pan Glatman wskazał mi na duży obraz, przedstawiający widok jakiejś szerokiej rzeki, płynącej wśród malowniczych wybrzeży) przysłał nam niejaki p. Włodzimierz Wuczyczewicz, malarz rosyjski, zamieszkały w gub. charkowskiej...¹⁾ Tym sposobem mamy nadzieję, że tombola wypadnie świetnie, oraz, że przyniesie znaczny dochód. Fantów będzie 1.500, a fantami będą wyłącznie dzieła sztuki, obrazy i rzeźby wszystkich polskich artystów. Biletów będzie 15.000 po guldenie. Nie wątpię, że ze wszystkich stron kraju, nietylko z Krakowa i Galicyi, ale z Królestwa, z Poznńskiego i z zagranicy, będziemy otrzymywali żądania o bilety... Chodzi o to tylko, żeby w całym kraju rozeszła się wiadomość o tej tomboli. Wtedy możemy być pewni, że każdy, co wielbi geniusz Matejki, zechce się przyczynić mniejszym lub większym datkiem, kupując kilka biletów, co się zresztą opłaci każdemu, szanse bowiem, żeby wygrać obraz lub rzeźbę, będą ogromne. Fundusze, zebrane z tej tomboli, obrócimy na przebudowę górnej połowy domu, która będzie przerobiona na muzeum, na galerję obrazów Matejki. Znajdą się w niej te obrazy Matejki, które obecnie znajdują się w Sukiennicach... Tymczasem, w czerwcu, odbędzie się wspaniały kiermasz na dochód domu Matejki, kiermasz, który urządza młodzież akademicka, a który się odbędzie w malowniczym dziedzińcu Biblioteki jagiellońskiej. Będzie to wspaniała zabawa kostiumowa, bo wszyscy uczestnicy jej, których może być do dwóch tysięcy, wystąpią w kostiumach historycznych, wzorowanych na matejkowskich *Ubiorach w Polsce*. Oczywiście, że i po tej tom-

¹⁾ Nadto przysłał na tombolę tę piękny portret męski najznakomitszy z dzisiejszych malarzy rosyjskich, Riepin.

boli, która będzie czemś wspaniałem w swoim rodzaju, spodziewamy się znacznego dochodu. Nadto, mamy jeszcze jeden projekt: oto chcemy uprosić Henryka Sienkiewicza, którego *Krzyżacy* podobno mają się kończyć bitwą pod Grunwaldem, ażeby rozdział ten odczytał w Krakowie, w auli uniwersyteckiej, na dom Matejki.

— Jest to znakomity pomysł, a nie wątpię, że wam Sienkiewicz nie odmówi. Wiem nawet, że przez jakiś czas nosił się z myślą publicznego odczytania opisu bitwy pod Grunwaldem najprzód w Warszawie, a następnie w Krakowie, Lwowie i Poznaniu. Wtedy, kiedy nam mówił o tym zamiarze, jeszcze nie wiedzieliśmy o domu Matejki. Teraz, gdy chodzi o to, ażeby *Dom Matejki* stał się instytucją publiczną, będącą wyrazem tej czci, jaką naród żywi dla imienia mistrza, i kiedy, czytając *Krzyżaków* Sienkiewicza, mimowoli myśli się o *Grunwaldzie* Matejki, nie wątpię, że sam Sienkiewicz zapali się do tego pomysłu... Tylko, że gdyby mnie się pytano o radę, to powiedziałbym, iż taki odczyt powinien się odbyć nie w auli uniwersyteckiej, ani w sali saskiej lub ratuszowej, lecz w Sukiennicach, w sali *Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych*, pod *Grunwaldem* Matejki. Cóżby to był za nadzwyczajny odczyt: Sienkiewicz, czytający swój opis bitwy pod Grunwaldem, na tle *Grunwaldu* Matejki! Nie byłoby to odczyt nad odczytami?...



VI

Z ŻYCIA I KSIĄŻEK



SONATA WIOSENNA.

Wacław Pomian, *Sonata Wiosenna*, Warszawa, 1897.

Z nastaniem wiosny, gdy od bagien roztajalych rdzawe mgły się szerzą, wszystko budzi się do nowego życia, a nad całym światem zdaje się unosić jakieś wszechogarniające tchnienie miłości, pod którego ożywczym i lubym wpływem zmatwych powstają nie tylko trawy i zioła, ale i... zamarłe serca. Świeżo wydana *Sonata wiosenna* Wacława Pomiana, którego *Herakles i Omfala* niedawno zdobyli jeden z zeszytów *Biblioteki Warszawskiej*, jest właśnie melancholijną historią takiego złamanego serca, które na podobieństwo delikatnej rośliny, zwarzonej zimowym mrozem i śniegiem, zapadło w bolesny letarg zwątpienia. Na szczęście letarg był letargiem tylko, nie śmiercią: przysła wiosna, a z jej wonią, od której pierś ludzka wzdyma się rozkoszą, spłynął i kojący balsam na niezagojone rany duszy poety.

Nie mów, żeś zastygł w sercu, żeś wygnał złudzenie;
Przestań w świat rozpaczemni spoglądać oczyma:
Choćby ci wszystkie kwiaty powarzyła zima,
Ocknij się! w wiosnie zawsze znajdziesz ukojenie.

Ale to ukojenie, choć pożądane, wróciło w parze z przypomnieniem dawnej doli: stąd żal poety, żal do tej czarodziejki, co się nazywa wiosną, a która do jego ustroni ośmieliła się nieproszona wprowadzić śpiew słowików, pomieszany z wonią fiołków. Więc przeklina tę zwodnicę-wiosnę, przekleństwo zaś, które jej rzuca, jest prawdziwym klejnotem lirycznym.

Ktokolwiek cię przysyła, za taką swawolę
Niech ci blask słońca chmura skowronków przesłoni!
Niech spadną na cię śniegi kwitnących jabłoni,
Niech twoje sny ulecą w jasnych gwiazd niewole!

Niech drży pod tobą ziemia żywych źródeł tętny!
Niech cię ogniem obrzuci świt i wieczór smętny!
Niech nad twoją radością i nad twym spokojem

Ciężą lzy rosy wonnej i dżdżu niebieskiego!
Niech w ślad za tobą jęki harf powietrznych biegną!
I bogdajbyś została wiecznie... w sercu mojem!

To cudowne przekleństwo, rzucone czarodziejce wiosnie, pozwala się domyślać, że poezie chodzi nie tylko o słowiki i fiołki, które niespodziewanie zamąciły spokój jego pustkowiec, ale i o kogoś więcej jeszcze... *Cherchez la femme*. Jakoż, już w trzecim sonecie, do którego dwa pierwsze były jakby rodzajem preludjów, widzimy »zachwyconego« młodziana, klęczącego przed królową, pełną »liliowego majestatu«, i błagającego ją, ażeby mu rzekła jedno słowo tylko... A ona? Ona była skłonna do zadośćuczynienia jego zaklęciom i prośbom:

Zdało mi się, żem wzruszył ją serca wymową,
Że różę wystąpiły na twarzyczkę białą,

że już, uśmiechnąwszy się, miała wypowiedzieć to czarowne słówko *tak*, gdy nagle zerwał się szelest i lament ptaszczy: to jastrząb ścigał czyżyka, który ostatecznie skrył się w dziupli drzewnej. Żeby nie ten jastrząb...

Drapieżniku! jam stracił przez ciebie najwięcej:
Bo uśmiech zwiadł, a słówko dla mnie najlaskawsze
W koralach się schowało, ach! może na zawsze...

To pytanie przyprawilo go o noc bezsenną, a kiedy zaczęło świtać, on z duszą »pełną trwogi« i niepewności, przypatrywał się mgłę porannej, stęskniony za swą »gołąbką«...

A ja błąkam się z duszą, troskami omgloną
Po wczorajszej rozmowie z tobą, dziecię lube...

Ale płonnemi, na szczęście, okazały się jego obawy. To czarowne słówko *tak*, którego nie usłyszał z ust swej »gołąbki« wczoraj, usłyszał na najbliższej przechadzce. Było to w lesie, do którego — jak owi kochankowie ze *Szwajcaryi* Słowackiego — poszli sami tylko we dwoje. Ale jak tamtych zaskoczyła na jednej z takich samotnych przechadzek »burza gromami czer-

wona«, tak i oni, zapuściwszy się głęboko w las, ledwo zdołali umknąć *Przed burzą*. Sonet piąty, w którym poeta opisuje tę burzę, jest tak piękny, że trudno się oprzeć pokusie, ażeby nim nie przyozdobić tych kartek.

Uciekajmy jedyna! Jakiś demon grozy
I tu nam pozazdrościł wiosennego wczasu.
Grzmi nad nami, jak gdyby to sklepienie lasu
Skamieniało pod jego powietrznymi wozy.

Dziki popłoch ogarnia jesiony i brzozy,
Grad gałęzi, deszcz liści spada śród hałasu,
Zastępuje nam drogę wiatr... Nie traćmy czasu,
Nim się zetrą zwaśnionych żywiołów obozy.

Oto szalas... Pójdź teraz, pójdź do piersi mojej!
Niech cię wrząca w niej miłość odwagą uzbroi,
Niech twe oczy nie trwoga, lecz pieśczoła mruży...

Widziałaś?... Dwie ptaszyny w gwarliwej rozmowie
Zajrzały tu i pierzchły... Pewnie kochankowie...
Patrz! one więcej nas się lękają, niż burzy...

W następnym sonecie panuje nastrój Chopinowskich nokturnów: poeta przechadza się *O zmroku*, sam, rozmarzony myślą o ukochanej, z którą rozłąka, choćby niedługa, przyprawia go o szaloną tęsknotę. Dokoła panuje poezya wiosennego wieczoru, poezya, którą tchnie np. słynne *Adagio sostenuto* z Beethowenowskiej Sonaty Cis-moll, a którą nasz rozkochany paż »królowej wiosny« odczuwa bardzo subtelnie, kiedy mówi, że:

Księżyc wytrąca zwolna słońcu berło złote
I wskrzesza czary, godne lampy Aladyna:
Lazur, gwiazdami tkany, nad ziemią rozpina,
Wody przemienia w srebro, gaj w błękitną grocie...
Światliki przesypują iskrami ciemnotę...
Rosa po liściach dzwoni...

Ale nie ślepy na piękności otaczającej go natury, więcej aniżeli o cichej poezyi zapadającego wieczoru, myśli o swej ukochanej, na którą czeka w tym rozbłękitnionym gaju. Schadzka. Jego »golańka« obiecała mu, że wieczorem przyjdzie do tego gajku »na słodką miłości biesiadę«. Lecz nie przychodziła jakoś. On tymczasem, czekając na nią, pełen niecierpliwości i obawy, naprzód »budował niebiosa dla swego bóstwa«.

Potem słuchałem pieśni, co brzmiała stugłosa,
Że czekać straszną męką jest, chociażby w niebie.

A potem myśl mi przyszła, że chyba anioły
Nie przez pychę podniosły bunt w nieba stolicy,
Lecz czekając spełnienia jakiejś obietnicy...

Przyszła nareszcie, a przyszła tak kochająca i powolna,
że nie upłynęła noc, a ona uległa namiętnym prośbom kochanka.
Była bezsilna z nadmiaru miłości, a cudna *Noc św. Wita*. roz-
marzająca swą księżycową poświatą, dokonała reszty: »ziściła
zabiegi pragnień« młodzieńca. O, bo:

Nigdy się w większym blasku nie kapały graby
Nigdy jezioro dźwięczniej nie biło o brzegi,
Nigdy mleczniej jaśminów nie białały śniegi,
Nigdy przejrzystszych osłon nie miały powaby...

Tej nocy miało ustać słowików śpiewanie,
Tej nocy usłyszałem najśłodsze wyznanie
Z ust królujących różom, z ust królowej wiosny...

Ale niedługo trwało to upojenie szczęściem. Wraz z bly-
skawicą, która na chwilę rozdarła słodkie mroki nocy, w serce
poety, oszołomionego rozkoszą, wstąpiła trwoga, przyszło opa-
miętanie...

i zszedłeś, twrogi archaniele,
Do mego rajy, z mieczem płomiennym, zazdrosny!

Jakoż »w chwilę po szczęściu«, po rozstaniu z ukochaną,
która go widocznie odbiegła strwożona, gdy »ze stygnąciami
wargami« szedł nad jeziorem, »z mroku olch, rozmarzonych
czerwcowym wieczorem« doszedł go... symboliczny śpiew ko-
nającego labędzia, śpiew tragiczny, przypominający mu, że:

Zagłady duch roztacza skrzydła nietoperze,
Nicości toń wychyla swych nurtów bezbrzeże...

Jednak ostatnie słowa tego minorowego *Śpiewu labędzia*,
który także konał z miłości, brzmiały majorowo: osłodą bo-
wiem, która mu śmierć czyniła błogą, była »radość, że przez
chwilę nie był — nicością«. Ta radość udzieliła się także i stro-
skanemu poecie, który na tym harmonijnym akordzie kończy
swą *Sonatę wiosenną*.

Nie innym akordem też, tylko harmonijnym, krytyk musi
zakończyć swe sprawozdanie z tego poetycznego *chant d'amour*
Pomiana, bo choć nasza poezja ostatniej doby, chlubiąca się
takimi erotykami, jak *W zielone* Konopnickiej, *Hymn do miłości*
Tetmajera i *Hania* Rydla, nie potrzebuje zazdrościć innym poe-

zyom, to jednak *Sonacie wiosennej* należy się bezwarunkowo pierwsze miejsce w tym zaszczytnym szeregu. Jest to jeden z najwonnejszych kwiatów, jaki ostatnimi czasy wyrósł na naszej poetyckiej niwie, a czytając tę wytwornie wydaną wiankę sonetów, absolutnie doskonałych pod względem formy, a zalecających się wdziękiem i pięknnością języka, oraz — o co dziś najtrudniej — prawdziwie poetycznym polotem, żałuje się, że autor *Heraklesa i Omfalii* tak rzadko uderza w struny lutni. Czyżby potrzebował zachęty? ¹⁾

¹⁾ Dziś w każdym razie już jej nie potrzebuje, w niepełna bowiem pół roku po wydaniu tej *Sonaty wiosennej* ś. p. Pomian (Komierowski), nie dokończywszy *Heraklesa i Omfalii*, odszedł w krainę cieniów...

II.

ZAKOPANE.

Bawiący tego¹⁾ lata w Zakopanem Julian Klaczko powiada w zakończeniu swoich *Wieczorów florenckich*, że jeśli w książce tej tyle jest mowy o Dantem i Michale Aniele, tak mało mających wspólnego z pałacami zagadnieniami doby obecnej, to dlatego przeważnie, że zagłębianie się w »przepastne krainy« arcydzieł tych geniuszów ma między innymi to dobre do siebie, że daje choćby chwilowe zapomnienie chmurnej a nie górnej rzeczywistości, której atmosferą oddychamy: wśród nieprzejrzanej Sahary »siły przed prawem« i hegemonii pruskiej, godnie wieńczącej schyłek wieku »żelaza i krwi«, poezya i sztuka są jakby uroczą oazą, w której cieniu znajduje się wypoczynek po denerwującej walce o byt narodów i pojedynczych jednostek. Sztuka! Nie da się zaprzeczyć, że jest to jeden z najśłodszych balsamów dla duszy, ale i to nie ulega wątpliwości, że sztuka niezawsze bywa pokarmem zdrowym, że niekiedy zamiast pocieszać i koić, jeszcze potęguje świadomość doznawanych cierpień, że często — zwłaszcza ostatnimi czasy — bywa okrutną, zrywającą bandażę z niezabliźnionych ran, pełną chorobliwego niepokoju, lubującą się w wyszukanych dysonansach i »zgrzytach żelaza po szkle«. Taka *minorowa* sztuka może być przyrównaną do podniecającego narkotyku, ale nigdy nie nasunie porównania z uzdrawiającem źródłem dla znużonej i smutnej duszy współ-

¹⁾ Pisane w r. 1898.

czesnego mózgowca. Wiedział o tem byronowski Manfred, i dlatego, gdy mu szło o *zapomnienie*, o oderwanie się od duszącej zmory życia, szedł nie do bibliotek, nie do muzeów i galeryi, ale wybiegał w Alpy: wśród podniebnych skał i lodowców, nad błękitami jezior, przy szumie górskich potoków i wodospadów, sam na sam z przyrodą, prędzej spodziewał się znaleźć to ukojenie dla ducha, którego mu nie dały faustowskie ślęczenia nad książkami.

A jednak nie znalazł go! Bo go szukał w Alpach! Gdyby go był szukał w Tatrach, wówczas kto wie... W każdym razie znalazłby wytchnienie, a spędziwszy lato w Zakopanem, zacerpnałby spory zapas sił i zdrowia na zimę. Nigdzie bowiem nie odpoczywa się tak dobrze, ani tak prędko przychodzi się do siebie po całorocznej pracy i życiu miejskiem, jak w tej odkrytej przez doktora Chałubińskiego wsi podgórskiej, o której trafnie powiedział ktoś niedawno, że stała się »letniem mieszkaniem Polaków«, a której okolicę słusznie nazwano »perłą polskiej ziemi«.

Czy tylko polskiej? Zdaje się, że nawet najobiektywniejsza bezstronność odpowie na to pytanie przecząco. Każdy, kto widział Tatry, a zna nietylko Alpy i Pirenee, ale i norweskie fiordy (nie mówiąc już o takich »górach«, jak Saska Szwajcarya lub wcale nie olbrzymie *Riesengebirge*), przyzna bezwarunkowo, czy będzie Polakiem, czy cudzoziemcem, że uroczyśka tatrzańskie nietylko wytrzymują zestawienie z najrozsławniejszymi »cudami natury« innych krajów, ale mają jeszcze tę nad nimi wyższość, że są zupełnie oryginalne w swoim rodzaju, nie banalne, a szczególnie nie zbanalizowane przez düsseldorfskie oleodruki. Jeśli o Alpach wyraził się Alfons Daudet, że mu najczęściej przypominały dekoracje teatralne; jeśli w każdej drugo- i trzeciorzędnej restauracji (nie wyłączając restauracji w Zakopanem i Nowym Targu), można się spotkać z upstrzonymi od much widokami zamku Chillon o zachodzie słońca, kaplicy Tella przy świetle księżyca, góry Jungfrau od strony Interlaken, jeziora Czterech Kantonów lub jakiego innego jeziora z banalnym domkiem w szwajcarskim stylu na pierwszym planie i niemniej banalnym sztafażem w formie *Alpenjägerów* w podkutych trzewikach; jeśli dzięki tym samym kolorowym »reprodukcjom artystycznym« zna się na pamięć i najpiękniejsze krajobrazy Norwegii z niezbędnym okrętem

w pośrodku wąskiej skalistej zatoki i konwencyonalną chatką rybaka na brzegu; jeśli u Niemców każda *schöne Aussicht* bywa anonsowaną tablicą i drogowskazem, a niejeden *grosser Wasserfall* spada dopiero za pociągnięciem sznurka (na własne oczy widziałem w Saskiej Szwajcaryi jeden z takich wodospadów!); i jeśli wszystkie »europejską sławą« cieszące się i gwiazdką w Baedekerze oznaczane miejscowości prawie zawsze podobne są do owych oklepanych melodyi, grywanych przez wszystkie katarynki: to nasze Tatry dostarczają wrażeń całkiem nowych i niesposzredniałych.

Ich ponura dzikość ma w sobie coś z grozy północnych legend i mitologii. Ich urwiste turnie, szare w słoneczną pogodę, a sine przy niebie pochmurnem, poprzerzynane olbrzymiami usypiskami *piargów* i ubielone szmatami wiecznego śniegu w zagłębieniach, sterczą tak dumnie, tak zuchwale, że poprostu onieśmielają każdego, ktoby ich poezję i dramatyczność chciał sprofanować za pomocą oleodruku. Przystępne dla prawdziwych artystów, usiłujących w słowach lub na płótnie odtworzyć ich królewski majestat, już dla fotografów okazują się bardzo nielaskawe (żadna fotografia Tatr nie daje o ich piękności nawet przybliżonego wyobrażenia). A da się to powiedzieć nietylko o najwyższych szczytach, o tych, na których prócz mchów nic już nie rośnie, ale i o ich niższych braciach, o tych, których podnóża zielenią się lasami buków i świerków, a wyższe piętra kryją się pod ciemnymi płachtami kosodrzewiny. Wszystko tu jakieś inne, niż podobne rzeczy w górach »zagranicznych«: tak dalece, że nawet kozica tatrzańska różni się od alpejskiej gamsy, od której jest znacznie większą. Za to jeziora są mniejsze. Kto wie jednak, czy przez to właśnie, że nie odznaczają się tak wielkimi rozmiarami, jak jeziora Lemana lub Lago maggiore, nie są piękniejsze od szwajcarskich, w tym stosunku przynajmniej, w jakim mistrzowska nowelka często sprawia większe zadowolenie artystyczne, aniżeli czterotomowa powieść. Jeśli tak jest, to możnaby Tatry porównać do największych nowelistów świata, od Boccaccia poczynając a na Maupassancie kończąc; takimi nowelami bowiem — nowelami-poematami — jak Morskie Oko, Czarny Staw Gąsienicowy, Szczyrbskie jezioro i tyle innych »stawów« tatrzańskich, nie może się pochlubić ojczyzna Tella i Winkelrieda. Dlatego też, idąc za ludowem podaniem, głoszącem, że te błękitne je-

ziora są oczami morza, śmiało twierdzić można, że są to najpiękniejsze oczy na ziemi, tak piękne, jakich nie ma żadna kobieta, nie wyłączając nawet góralek, które się widuje w Zakopanem lub na halach. . .

Ale cóż z tego, że nie każda góralka ma ładne oczy, kiedy tło, na którym występuje taka *juhaska*, posiada aż nadto danych, niezbędnych do wywołania przyjemnego nastroju. Dlatego nie zważa się najczęściej, że juhaski, o ile przebywają w górach, zwykle bywają brudne, że perfumują się baraniem sadłem i żentycą, co nie zawsze mile łaskocze miejskie powonienie, przywykłe do sztucznych zapachów Pinauda lub Atkinsona: kiedy się odpoczywa na hali, wśród szalasów pasterskich, zapomina się o takich prozaicznych rzeczach, jak obfite ślady krowie i owcze, a ma się wzrok zwrócony na pyszne typy *juhásów*, na ich długie, baraniem sadłem upomadowane włosy, na ich czarne, baraniem sadłem nasycone koszule, na ich szerokie pasy skórzane, zapinane na kilka sprzączek, i wreszcie na konwie z zsiadłem mlekiem lub żentycą, koło których zazwyczaj skupia się grupa *taterników* z przewodnikami. Tymczasem dokoła zielonej hali piętrzą się poszarpane turnie, w powietrzu słychać dzwonki pasących się krów i owiec, raz po raz doleci przeciągłe »hukanie« pasterzy, objające się kilkakrotnem echem po okolicznych *wierchach*, a w duszy *taternika* panuje błogi, niczem niezakłócony spokój, z którym, obok dobrej humoru, zazwyczaj chodzi w parze doskonały apetyt. . .

Już to wogóle wycieczki w góry, o ile się je odbywa w dobranem towarzystwie, trzymają prym pomiędzy rozrywkami zakopiańskimi: wszystko jedno, czy się idzie w deszcz i mgłę, czy w piękny dzień słoneczny, czy celem jest który z wysokich szczytów, wymagający znaczniejszego zasobu sił i odwagi, czy która z uroczych dolin między t. zw. *regłami*, dostępna dla kobiet i dzieci. W dolinach, w Kościeliskiej np. lub w Strażyskiej, przechadzając się po równej drodze, nad brzegiem szumiącego i przejrzystego strumienia, wśród przepysznych *smreków* (tak po góralsku nazywają się świerki), u stóp szarych skał wapiennych, piętrzących się po bokach, a dzięki swym dziwacznym kształtom przypominających sowy, mnichów, organy, kominy, śpiących rycerzy, etc. etc., doświadcza się wrażeń łagodnych, harmonijnych, sielankowych, jak przy czytaniu niektórych ksiąg *Pana Tadeusza*; na szczytach

zaś, patrząc z zawrotnej wysokości kilku tysięcy stóp na całe skamieniałe morze Tatr i Karpat, na głębokie doliny i jary, na szafirowe tafle »zadumanych« jezior, na srebrne wstęgi potoków, na ciemne kobierce lasów, na szmaragdowe polany i łąki w dole, doznaje się podniosłych uczuć mickiewiczowskiego Farysa, gdy mu z piersi wyrывa się okrzyk:

Jak tu mile poglądać oczyma całemi!
Wyteżyło się me oko
Tak daleko, tak szeroko,
Ze więcej światła zasięga,
Niż jest w kole widnokrega.
... Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,
Wyżej, wyżej i wyżej, aż do nieba szczytu!

.....

Gdy się zastanowimy nad szybkim rozwojem Zakopanego, mimowoli przypominają się miasta amerykańskie. Zakopane z przed lat piętnastu chociażby, a Zakopane dzisiejsze, to jakby dwie nie te same miejscowości; tamto było wsią, gdy to, do którego jeździmy obecnie, jeżeli jeszcze nie jest miastem, to już sobie przyswoiło wszystkie cechy miejscowości kuracyjnych.

Dawniej jeździło się do Zakopanego furą z samego Krakowa, gdzie, od pierwszych dni czerwca poczynawszy, większa część rynku kleparskiego bielila się płótnami t. zw. *budek* góralskich. Tam po raz pierwszy widziało się górali w serdakach, w kapeluszach z »kostkami« w obcisłych *portkach* z białego sukna z niebieskimi lampasami, w skórzanych *kierpcach* na nogach, z fajeczkami w ustach. Był to widok dla warszawiaków zwłaszcza tak nowy, że targując się z furmanami o cenę wózka do Zakopanego, czynili to w sposób sielankowy raczej, niż kupiecki. Wszak dotąd znali tylko niewierne kopie górali z moniuszkowskiej *Halki*.

Z Krakowa wyjeżdżało się skoro świt, a minawszy Mogilany, jechało się szosą, wijącą się wśród malowniczych Beskidów, przez cały dzień aż do wieczora. Nocowało się w Zaborni lub w Nowym-Targu, i tu i tam w żydowskim zajeździe, w którym nocleg bez perskiego proszku nie należał do najmniej awanturnicznych. W Zakopanem stawało się dopiero drugiego dnia około południa. Gdy się nie miało wynajętego mieszkania, zajeżdżało się do t. zw. »hotelu« Riegelhaupta; była to zwykła karczma, z pokojami sąsiadującymi z oborą i staj-

nią. Mieszkało się po sielsku, w chałupach góralskich, odznaczających się wysokimi progami u niskich drzwi i małemi oknami o czterech kwadratowych szybkach. Poprzestając na dwóch przedzielonych sienią izbach, w zimie będących mieszkaniem *gazdy*, a tylko na lato odnajmowanych »gościom«, z konieczności zadawalniano się najpierwotniejszym umeblowaniem chłopskiem, pocieszając się tem, że jeśli drewniane łóżka były krótkie i wąskie, a sienniki twarde, to za to nad łózkami wisiało mnóstwo świętych obrazów. O ile nie prowadzono kuchni w domu, stołowano się »u Sieczki« w świeżo wzniesionem *Kasynie* lub »u Kościeszcy«, którego restauracya znajdowała się w zwykłej góralskiej chałupie na rogu ulicy Nowotarskiej: w jednej izbie była tu sala jadalna, mogąca przy czterech stołach pomieścić do 30 osób; druga nazywała się cukiernią, bo w niej stał bufet z ciastkami i półka z kilkoma fiaskami rozmaitych wódek. Usługiwał sam p. Kościeszca, który miał wszelkie warunki po temu, ażeby być przystojnym kelnerem, gdyby nie fatalna czerwoność jego regularnego nosa. Z przyległej kuchni dochodził zachrypnięty głos pani Kościeszyny, przed którą drżeli kucharz i cukiernik, co zresztą i o samym p. Kościeszcy dało się powiedzieć.

O strojach wówczas nikt nie myślał: panowie chodzili w serdakach i gumowych płaszczach, z *ciupagami* zamiast lasek; panie najwięcej nosiły się po góralsku, w chusteczkach na głowie, w perkalikowych spódnickach, w serdakach zamiast gorsetów. Zakrawało to cokolwiek na maskaradę, ale że ładnym paniom, poprzebieranym za góralki, bardzo z tem było do twarzy, więc moda ta zyskiwała ogromnie dużo zwolenniczek. W takich strojach chodziło się po domu i na ulicy, a nawet tańczyło się na niedzielnych reunionach w *Kasynie*, na które wszyscy przychodzili w ubraniu »spacerowem«. O wizytowem nie było mowy, ile że wizyty wcale nie były obowiązkowe. Żyło się, jak na wsi, a więc nie przestrzegano przepisów miejskiej etykiety... Ceremonialnych wizyt nie wymagano od nikogo.

Za to, nie zważając na niewygody, na brak wszelkich ułatwień, chodzono po górach, robiono dużo wycieczek. Wprawdzie istniało już Towarzystwo Tatrzańskie, ale mimo to Tatry były jeszcze w stanie dziewiczym: wygodnych ścieżek, łańcuchów lub klamer w niebezpiecznych miejscach, a tembardziej

schronisk nie było żadnych. Jedyne schronisko znajdowało się przy Morskiem Oku, ale i ono nie miało nic wspólnego z komfortem: była to spora szopa o dwóch izbach, w których sypiano na tapczanach, na siennikach i poduszkach wypchanych mchem, kosodrzewiną i wiórami. Gdy się zgromadziła większa liczba osób, mężczyźni musieli spać na strychu, a gdy i tam nie było miejsca, w kosodrzewinie nad jeziorem, razem z góralami. Wogóle noclegi pod gołym niebem, przy rozpalonej *watrze*, nie były czemś nadzwyczajnym; przeciwnie, należały do rzeczy zwykłych, gdy się na parę dni szło w góry.

Samo Zakopane miało charakter dużej wsi. Sklepowo było dwa czy trzy, naturalnie żydowskich, ale naprawdę był jeden, Riegelhaupta, u którego dostałeś wszystkiego, poczynawszy od papieru listowego, a skończywszy na wędlinach i pieczywie. Poczta mieściła się w parterowym domku na Krupówkach, a listy i telegramy roznosił góral Kuba, który — o ile zawsze chodził boso, o tyle nie umiał czytać: łatwo sobie wyobrazić, jak mu to ułatwiałoby zadanie »bryftregera«. Mimo to, nikt się nie skarżył na nieregularny odbiór listów i gazet, podobnie, jak nikt się nie skarżył na brak porządnej drogi w całym Zakopanem, lub na egipskie ciemności, nierozjaśnione ani jedną latarnią. Gdy zapadła noc, a nie było księżyca, chodzono z latarkami; nikogo, co prawda, nie aresztowano, gdy szedł bez latarki... Przedewszystkiem nie było komu aresztować, bo były to jeszcze arkadyjskie czasy Zakopanego: »dziandziara« nie zobaczyłeś nawet na lekarstwo. Coby tu robił zresztą? Pomiędzy góralami a gośćmi panował stosunek sielankowy: nikomu nawet przez myśl nie przeszło, aby np. górali posądzać o chciwość, o chęć wyzysku; bratano się z nimi, jak z równymi, a znajomych przewodników sadzało się na honorowem miejscu, częstowano winem, cygarami. Nie można powiedzieć, aby się im to nie podobało!...

Wogóle sielankowość cechowała ówczesne życie zakopiańskie. Wszędzie panowała prostota i prymitywność, często przedpotopowe. W Jaszczurówce naprzykład, do której droga prowadziła przez mokre łąki i bagna, kąpano się w dwóch małych basenach, ledwo skleconych z desek; ściana zaś, która przegradzała oddział męski od damskiego, obfitowała w mnóstwo szpar i dziur od sęków... W Kuźnicach, gdzie jeszcze

funkeyonowały *hamry*, kując młotami poruszonymi siłą wody, była stara murowana karczma, dzierżawiona przez węgierskiego żyda, a choć droga, prowadząca do Kuźnic, była pełna wybojów i kamieni, mimo to karczmarz robił doskonale interesu na amatorach kawy z cykoryą, przestalego piwa okocimskiego i nieprawdziwego *ementalera*.

Jakże się wszystko zmieniło od owego czasu! Co za różnica pomiędzy dzisiejszem Zakopanem a owym sielankowem z przed lat kilkunastu! Przedewszystkiem trzy czwarte drogi do Zakopanego jedzie się koleją, a i z Chabówki nie wszyscy decydują się na jazdę wózkiem góralskim: tylko konserwatyści lub nowicyusze jeżdżą *budkami*; inni wolą tę drogę odbyć w wygodnych landach, z którymi furkom tem trudniej konkurować, że za powóz płaci się tyleż, co za parokonną furę. Jakoż wszyscy szanujący się goście przekładają ten cywilizowany sposób lokomocyi, a budki biorą tylko na rzeczy i dla służby. Przyjechawszy do Zakopanego, jeśli się nie wynajęło z góry mieszkania, ma się do wyboru aż trzy hotele, urządzone całkiem po europejsku: portyer w liberyi, elektryczne dzwonki, służba we frakach, materace sprężynowe, kuchnia francuska, zastawa paryska lub wiedeńska, wina jakie kto chce, obok kawiarnia, mnóstwo dzienników, bilardy. Mieszka się w specjalnie budowanych willach (miłośnicy prostoty trzymają się jeszcze chat góralskich) w stylu zakopiańskim; wille te mają duże okna o lustrzanych szybach, dające mnóstwo światła. Wewnątrz widać względny komfort, meble w stylu góralskim, łóżka angielskie, piece kaflowe. Przed domem ogródek: klomby, kwiaty, szklane kule na tyczkach, czasami i fontanny. Nadto na wszystkich ulicach widzi się mnóstwo eleganckich willi jedno- a nawet dwupiętrowych, znowu przeważnie w stylu zakopiańskim; niektóre z nich, zbudowane według rysunku Witkiewicza, są prawdziwemi arcydziełami architektury podhalańskiej. Wszędzie widać oszklone werandy, tarasy, dachy z wieżyczkami, gustowne i wielce oryginalne bramy wjazdowe, ażurowe parkany, a wszystko stylowe, nie banalne, swojskie.

W wielu willach są pensyonaty na wzór angielskich, a niektóre z tych *pension de famille* zalecają się takim komfortem i wykwintem, że — jak mnie zapewniał ktoś — na wyspie White nie mieszka się ani żyje lepiej. Takich pensyo-

natów namnożyło się dziś kilkadziesiąt. Swoją drogą ciągle powstają nowe, ciągle buduje się mnóstwo nowych domów i willi: gdzie dawniej były puste łąki, teraz stoi dom przy domu; dawniejsze drogi, ciągnące się wśród pól, zamieniły się w ulice.

Na Kościeliskiej stoi prześliczna *Koleba* p. Gnatowskiego, podobna do jakiegoś góralskiego zameczku, a o paręset kroków dalej, po przeciwległej stronie, podziwia się śliczną architekturę *Skoczysk*, trzymających prym pomiędzy pensjonatami, zarówno pod względem wygórowanych cen, jak i doboru towarzystwa. Uszedłszy kawalek, widzi się przepyszny plac do *lawn-tennisa*, widzi się wytworne panny i elegancką młodzież w odpowiednich kostiumach, jak się zabawiają w tę grę angielską; widzi się małych chłopców góralskich, uwijających się za piłkami. Minąwszy dom Kasy Zaliczkowej, a następnie stary kościółek modrzewiowy, dostrzega się duży budynek z wieżą, w którym się mieści katolicka *Spółka handlowa*, zaopatrzona we wszystko, co gościom może być potrzebnem w Zakopanem. Wprawdzie obok i naprzeciwko nie brak sklepów żydowskich, ale największy ruch koncentruje się w olbrzymim bazarze *Spółki*, bo każdy woli popierać przedsiębiorstwo hr. Zamoyckiego... Idąc dalej, przechodzi się koło *Gospody ludowej*, która tem różni się od zwykłych karczem, że w niej za ladą stoi góral... Mijając ulicę Kasprusie, nie poznaje się tej dzielnicy: willa przy willi, a niektóre, jak *Szałas*, bardzo gustowne. Na rogu ulicy Nowotarskiej, naprzeciwko domu *Stacyi klimatycznej* i *Zarządu gminnego*, z przyjemnością patrzy się na olbrzymią werandę restauracyi *Pod Giewontem*, a jednocześnie jest się uderzonym widokiem dwukonnego omnibusu, kursującego pomiędzy Zakopanem a Jaszczurówką. Tuż obok wznosi się nowy kościół w stylu romańskim, cały z kamienia, z ładną wieżą i wnętrzem, ozdobionem w stylu góralskim... Dalej, aż do Kasy, ciągnie się nieprzerwany szereg piętrowych domów, kończący się dużym hotelem i restauracją Sieczki. Wszedłszy na Krupówki, które są tem dla Zakopanego, czem *Boulevard des Italiens* dla Paryża lub *Proménade des Anglais* dla Nizy, ma się wrażenie, że się jest w mieście: mnóstwo sklepów, trotuary, droga jak stół, apteka, szkoła rzeźbiarska, szkoła koronkarska, księgarnia, ogrodnik, krawiec damski, krawiec męski, dwóch fryzjerów, szewc »z Paryża«, budka z kefirem, telefony, słupy

telegraficzne, trzy cukiernie, *Magasin français*, zakład fotograficzny, listonosze w uniformach, rowery, beczki do polewania ulic, powozy, eleganckie kabriolety, jeden *lawn-tennis*, drugi *lawn-tennis*, mężczyźni w jasnych flanelowych ubraniach, w żółtych lub białych kamaszach, w kolorowej bieliźnie, kobiety, postrojone, niemało mówiących po francusku: a wszystko to na przepysznem tle Giewontu i Tatr, na tle szumiącego obok potoku, na tle ogromnego placu targowego. Co wtorek odbywa się targ, na który aż z Węgier zjeżdża się mnóstwo przekupniów i straganiarzy.

Na innych ulicach: na Przeczniczy, na Chramcówkach, na Starej-Polanie, na ulicy Zamoyskiego i Chałubińskiego, panuje niemniejsze życie: wszystko zabudowane. Na zbiegu ulic Chałubińskiego i Zamoyskiego, w najbliższem sąsiedztwie domu »króla tatrzańskiego« (tytuł ten przysługuje Chałubińskiemu), wznosi się ładny budynek *Muzeum tatrzańskiego*, w którym, dzięki zabiegliwości p. Scholtzega, wiele jest ciekawych rzeczy do oglądania. Niemniej ciekawym jest dom p. Pawlikowskiego na Kozieńcu, zbudowany według projektu i pod kierunkiem Witkiewicza, a będący również muzeum w swoim rodzaju; wszystko tam jest utrzymane w stylu zakopiańskim, począwszy od mebli i ozdób na ścianach, a skończywszy na guzikach od dzwonek elektrycznych, w formie metalowych spinek góralskich. Na Chramcówkach założono bardzo ładny park, z alejami, z ławkami, altankami, kregielnią, krokiem, *lawn-tennis'em* i t. d. Codzień od godziny 5-tej grywa tu muzyka, schodzi się mnóstwo osób: pań z książkami, nianiek z dziećmi, mężczyzn z gazetami. Istny Saski Ogród!... *Bystre*, przez które idzie teraz doskonała szosa do Jaszczurówki, także zabudowało się szczelnie, a w Jaszczurówce powstała cała osada, z hotelem, restauracją, kawiarnią i t. p. Kąpiel mieści się w ładnym drewnianym budynku, baseny powiększono, jest doskonały prysznic, jest kilkadziesiąt kabin do rozbierania się, a w ścianach niema już szpar, ani dziur od sęków... Są tacy, którzy z tego powodu powtarzają melancholijnie: nie tak to *illo tempore* bywało!...

Z Jaszczurówki prowadzi przepyszna szosa do Morskiego Oka, do którego obecnie jeździ się tam i z powrotem w ciągu jednego dnia, na co bardzo narzeka dzierżawca tamtejszego hotelu. W górach, dzięki zabiegom Tow. Tatrzańskiego, także

postęp ogromny: zbudowano kilkanaście schronisk, gdzie potrzeba (i gdzie nie potrzeba) porobiono drogi, ścieżki, powkuwano mnóstwo klamer i łańcuchów — słowem, o ile się dało, ułatwiono nietylko wdzieranie się na szczyty, ale i spacer w doliny (na co sarkają prawdziwi taternicy). Przy Czarnym Stawie Gąsienicowym, na hali Gąsienicowej, w Dolinie Kościeliskiej powstały schroniska z restauracjami, w których można posilić się, a nawet upić. W Kuźnicach znajduje się ogromna restauracja, obsługiwana przez dziewczęta z »zakładu« pani generałowej Zamoyskiej, t. zw. »czepeczule« (od białych czepeków, które wszystkie noszą na głowie). Co niedzielę w kaplicy zakładu odbywa się uroczyste nabożeństwo, msza św. i kazanie, a chór »czepeczulek« wtóruje solowemu śpiewowi panny Maryi Zamoyskiej, śpiewowi, którego warto posłuchać...

Tak się przedstawia Zakopane dziś. Jakiem będzie w przyszłości? Choć przyszłość bywa zakryta dla oczu śmiertelnych, to jednak, gdy chodzi o Zakopane, łatwo ją odgadnąć. Przewszystkiem będzie się niebawem do samego Zakopanego dojeżdżało koleją, co oczywiście nie pozostanie bez olbrzymiego wpływu na charakter całej miejscowości, kolej bowiem jest otwarciem na ścieżaj bramy dla cywilizacyi i postępu. To też i Zakopane z chwilą, gdy będzie połączone ze światem koleją żelazną, zmieni się nadzwyczajnie; że zaś tam, gdzie się rozlega świst lokomotywy, już i do elektryczności niedaleko, więc patrzeć tylko, jak całe Zakopane oświetli się lampami elektrycznymi, jak po niem zaczną kursować tramwaje elektryczne. Pierwszy tramwaj będzie szedł do Kuźnic, a z czasem, kto wie, czy i do Kościelisk nie będzie się jeździło po szynach... Samo Zakopane gotowo się przeobrazi w miasteczko, i to nie drewniane, lecz murowane. Na Gubałówce stanie olbrzymie sanatorium d-ra Dłuskiego, a cała okolica zaroi się od willi i letnich mieszkań, których łańcuch pociągnie się nawet wzdłuż drogi ku Morskiemu Oku. Cała droga, prowadząca do Kościelisk, także się zabuduje po obu stronach, a pomiędzy »letnikami« znajdzie się i mnóstwo cudzoziemców, zwłaszcza Anglików, zwabionych przez opisy i obrazy specjalnej korespondentki pism londyńskich, którą przywieźli do Zakopanego pp. Giełgud i Jazdowski, stale od lat dziewięciu zjeżdżający z Londynu w Tatry. Nad Morskim Okiem stanie taki sam hotel, jak obecnie stoi nad Jeziorem Czterech Kantonów; a jest wiel-

kie prawdopodobieństwo, że na Krzyżne będzie się tak samo jeździło zębatą koleją, jak się dziś jeździ na Rhigi-Kulm lub Pilatusa. Wszystko jest możliwe!..

Tymczasem zaprzeczyć się nie da, iż Zakopane gra pierwsze skrzypce w orkiestrze miejscowości kąpielowych polskich, że co Polska posiada dziś wybitniejszego pod względem intelektualnym, to sobie daje w lecie *rendez-vous* u stóp Giewontu. Z literatów, idąc za przykładem Kraszewskiego, który tu mieszkał czas jakiś w r. 1863 w domku przy ul. Kościeliskiej, — przyjeżdżają stale na wakacje, odetchnąć ożywcem powietrzem tatrzańskim: Sienkiewicz, Tetmajer, Chmielowski, Chlebowski, Smoleński, Ochrowicz, a to samo czyni również i Julian Klaczko. Z mężów stanu bywają stałymi gośćmi w Zakopanem: J. E. minister Dunajewski, sędziwy Smolka, minister Zalesski i t. d. Z lekarzów ma tu swoją willę profesor Baranowski, bawią też stale doktorzy: Florckiewicz, Kornilowicz i wielu innych. Palestry zjeżdża się ze wszystkich dzielnic tyle, iż ich wszystkich wliczać nie sposób, a prawie to samo da się powiedzieć i o malarzach, którzy pomni tego, że i Matejko bywał w Zakopanem ¹⁾, bardzo licznie cech swój u podnóża Tatr każdego lata reprezentują. Dość wymienić Wojciecha Kossaka, Eliasza, Pochwalskiego, Wyczółkowskiego, Axentowicza, Alchimowicza, Włodz. Tetmajera, Gersona, Rapackiego. Niemniej bywa profesorów i uczonych, i to nietylko takich, którzy wykładają na uniwersytetach galicyjskich, lecz i ich kolegów z wszechnic zagranicznych; w roku ubiegłym był słynny twórca »Atlasu anatomicznego« prof. Laskowski z Genewy (ze swoją dorodną córką), prof. Kowalski, rektor uniwersytetu fryburskiego, i prof. Jurasz z Heidelbergu (również z córką). Za przykładem tej arystokracji ducha, która już od najdawniejszych czasów najliczniej gromadziła się w Zakopanem, zaczyna iść i arystokracja rodowa, jak rodziny hr. Szembeków, Tarnowskich, Czartoryskich, które, uprzykrzywszy sobie kosmopolityczne *bady* Niemiec i Francji, coraz bardziej utwierdzają się w zdrowem przekonaniu, iż nigdzie nie jest tak dobrze i przy-

¹⁾ Na ścianie domu księdza Stolarczyka, u którego mieszkał genialny twórca *Kazania Skargi*, po dziś dzień znajdują się szkice węglem, wyobrażające trzech dyabłów w bardzo humorystycznych pozach.

jemnie, jak w domu, wśród swoich. Tegoż zdania zdaje się być i duchowieństwo, zarówno galicyjskie, jak poznańskie: nigdzie nie widuje się tylu księży, co w Zakopanem, w którym sobie nawet zbudowali własny dom. Stosunkowo najmniej przedstawiciele wysła tu warszawska burżuazya, t. zw. mieszczaństwo, które, niebardzo — jak widać — skore do popierania swojszczyzny, woli miejscowości kąpielowe zagraniczne, nie wyłączając takiego gniazda hakatystów, jak Kołobrzeg. Jedynym argumentem, dającym się przytoczyć na ich usprawiedliwienie, jest nieszczęsna okoliczność, iż Zakopane, obok ogromnych zalet, odznacza się niemniej wielkimi wadami. Trudno... jeśli każdy medal ma dwie strony, jeśli i na słońcu są plamy, ba, jeśli nawet biblijny Raj miał swoje niebezpieczne drzewo wiadomości złego i dobrego — to nie można wymagać, ażeby ten podtatrzański Eden nie miał swego *ale*, czy to w formie częstych deszczów, którym niekiedy niemasz końca, czy też pod postacią flirtu, który, obok plotek, także jest jedną z plag Zakopanego. Góry, jak wogóle piękna natura, mają tę właściwość, iż ogromnie ludzi zbliżają do siebie, wytwarzają pomiędzy nimi stosunek naturalny, bezceremonialny, słowem, spoufalają. Jedna wspólnie odbyta wycieczka wywiera taki psychologiczny wpływ na dwoje nieznających się przedtem ludzi, iż po powrocie z niej są z sobą na takiej stopie, jakby się znali od dziecka.... Z poufalości rodzi się sympatya, a niekiedy... i

rzeczy złe i zdrożne,
O których książki mówią już nabożne...

Właściwość ta jednak jest równocześnie i dobrą stroną Zakopanego; nie przypuszczam bowiem, ażeby istniała druga miejscowość na świecie, gdzieby co lata kojarzyło się tyle małżeństw, co tutaj. Takich, co ze swemi żonami poznali się w Tatrach, w Zakopanem, jest już dzisiaj cały legion, a legion ten powiększa się z każdym sezonem... Stąd pewna sława Zakopanego, sława, która sprawia, iż nigdzie nie spotyka się tak znacznej, jak tu, liczby panien na wydaniu z posagami lub bez, ani tylu młodych ludzi, z pozycjami lub bez, pragnących się ożenić... bogato.

Szczególnym rozgłosem pod tym względem cieszy się cukiernia zakopiańska, niegdyś Skowrońskiego, której weranda w życiu bardzo wielu dzisiaj szczęśliwych lub nieszczęśliwych

małżonków podobną odegrała rolę, jak bal u Kapuletów w życiu szekspirowskiego Romea... Tem także w znacznej części tłumaczy się niebawale powodzenie tej cukierni, na co mi dawny jej właściciel i założyciel sam niegdyś zwrócił w rozmowie uwagę. Cokolwiekbądź, jest to punkt zborny wszystkich gości zakopiańskich. Pogoda czy słota, święto czy dzień powszedni, przed południem czy po południu, w zakładzie p. Płonki (dzisiejszego właściciela cukierni) zawsze pełno; w pewnych zaś godzinach, między 10-tą a 12-tą w południe, zbiera się tu na drugie śniadanie, na poziomki lub butersznit z »Giewontówką«, cała bawiąca w Zakopanem literatura polska i sztuka, z Sienkiewiczem na czele. Prezyduje siedzący w samym rogu werandy autor *Krzyżaków*, a rozmowa toczy się *de omnibus rebus*, najczęściej o polityce i sprawach literackich. Gdy do tego sienkiewiczowskiego kółka należały i dwie miłe towarzyszkis, siesty te zasługiwały w zupełności na nazwę renesansowych: malarze rysowali karykatury lub szkice, Tetmajer pisał *ex promptu* dowcipne wiersze na obecnych i nieobecnych, a wszystko to czyniło się przeważnie w notesie »panny Dziuni«, notesie, który, dzięki temu śmiało mógł współzawodniczyć ze słynnem biurkiem Telimeny. Że się na tych zebraniach »w cukierni« nie nudzono, tego dowiedli Sienkiewicz i Wyczółkowski, którzy pod wpływem miłe spędzonych chwil na werandzie »u Skowronka«, unieśmiertelnili obie towarzyszkis tych literacko-artystycznych »sympozyonów«: Sienkiewicz, pisząc do Pani Osb... swój znany wiersz: »Kiedy się Panu Bogu jaka Polka uda«, Wyczółkowski, malując przepyszny portret panny Krys. na tle Giewontu.

.
.

Byłoby dziwnem, doprawdy, gdyby Tatry, pod któremi co roku od szeregu lat gromadzi się tylu literatów i poetów, nie znalazły swego odbicia w ich twórczości, nie przeniknęły do literatury. Że tak nie jest, że od chwili, gdy pierwszy poeta polski zapoznał się z cudami tych naszych gór ojczystych, odrazu narodziła się poezya tatrzańska, o tem wiemy wszyscy. Wiadomo powszechnie, że Staszyc pierwszy dotarł na szczyt Łomnicy, która wówczas uchodziła za najwyższą górę w całych Karpatach; a takich, coby nie czytali Pola *Pieśni o ziemi*

naszej lub *Kościelisk* Goszczyńskiego, chyba niewielu jest pomiędzy nami. Za to nie wszyscy może, co znają wiersz Wincentego Pola:

W góry, w góry, miły bracie,
Tam swoboda czeka na cię!

lub tegoż piękny opis Tatr, stojących

Jak potopu świata fale
Zamrożone w swoim biegu, —

czytali prześliczny *Dziennik z podróży do Tatrów* Seweryna Goszczyńskiego, któryto dziennik jest jednym z arcydzieł utalentowanego twórcy *Zamku Kaniowskiego*. Równie pięknych pejzażów, jak te, które Goszczyński wymalował słowami w tym *Dzienniku*, niewiele posiada nasza literatura wogóle... Na piękniejsze, i to w wierszowanej formie, zdobył się dopiero Asnyk, który tu przez długie lata bywał stałym gościem, a mieszkając najczęściej u państwa Mieczysławowstwa Pawlikowskich, napisał cały szereg najcudniejszych poezyi tatrzańskich, takich jak *Noc pod Wysoką*, jak sonety opiewające *Morskie Oko*, jak przepiękny *Ranek w górach* lub przepyszna *Ulewa*.

Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr,
Na sinej ich krawędzi,
Króluj w mgłach świszczący wiatr
I ciemne chmury pędzi...

Za przykładem Asnyka, z pod którego miękkiego pióra wypłynęły najszczytniejsze poezye tatrzańskie, poszli Nowicki i Tetmajer; pierwszy w swoich przepysznych *Sonetach tatrzańskich*, wzorowanych na *Krymskich* Mickiewicza, drugi w całym szeregu prześlicznych liryków, wśród których niezrównany *List Hanusi*, napisany gwara góralską, i epicka *Pieśń o Jasku Zbójniku*, przedziwnie trafiająca w ton śpiewów ludowych podhalańskich, bynajmniej nie ustępują najpiękniejszym natchnieniom z asnykowskiego cyklu *W Tatrach*, a niekiedy je nawet przewyższają poetycznością. Urodzony w Ludzimierzu na Podhalu, Tetmajer jest dzieckiem Tatr. »Urodziłem się — powiada w swej młodzieńczej *Illii* — w dworku modrzewiowym nad brzegiem Dunajca, a od dzieciństwa patrzę na Tatrów granity sine lub srebrne od śniegu.«¹⁾, a że talentem natura

¹⁾ W prześlicznym *Pozdrowieniu*, natchnionem tęsknotą za górami, pisze Tetmajer:

obdarzyła go hojnie, podobnie jak i brata jego, malarza, więc jak jest dziś pierwszym pomiędzy młodszą polską bracią Apollina, tak i jego poezye *Z Tatr* są najpiękniejszymi, jakimi się pochlubić może nasza poezya ostatniej doby. Konopnicka, Rydel, Kasprowicz także nam dali sporo liryków, opiewających piękności natury Tatr i Pienin, a Kasprowicza *Taniec szbajnicki* bodaj czy nie jest jego arcydziełem... ¹⁾).

Tymczasem i w prozie coraz częściej spotyka się z Tatrami, arcydziełem zaś w tym kierunku jest *Na Przełęczy* Witkiewicza, którą to książką nie tylko spopularyzował Tatry i Zakopane, ale i sobie postawił niemi w literaturze polskiej *monumentum aere perennius*. Jest to jedno z najpiękniejszych i najartystyczniejszych dzieł, jakie u nas napisano wogóle. Jeśli Chałubiński odkrył Tatry, to Witkiewicz uświadomił ich piękność; on wskazał punkt widzenia, z którego należy się przypatrywać tym górcom, on nauczył nas patrzeć na Tatry oczyma malarza, on wreszcie dał początek nowemu rodzajowi literackiemu, zaczawszy pisać rzeczy w rodzaju wydrukowanego niedawno *Ojca nędzy*, które, ułożone w gwarze góralskiej, tak się mają do reszty naszego piśmiennictwa, jak naprzykład literatura prowansalska do francuskiej... Minstralem jej jest dotychczas Witkiewicz, który w tym kierunku napisał najwięcej, ale

Wichrze! Nad wzgórza, pola, nieś
Me pozdrowienie stąd,
Rodzinną moją pozdrów wieś
I dunajcowy prąd.
Przydrożne wierzby, smreków las,
W ogródkach każdy kwiat,
I wszystkie łąki pozdrów wraz
I ludzi z wszystkich chat.
I do tych śnieżnych skał się zwróć
Ku stawom, halom gnaj,
I pozdrów mi po tysiackroć
Mój cały górski kraj!

¹⁾ Nie można tego powiedzieć o *Buncie Napierskiego*, który grany niedawno w Krakowie i wydany w osobnej książce, należy do słabszych utworów autora *Krzaku dzikiej róży*. W każdym razie utwór ten należy do literatury tatrzańskiej, a pierwszy jego akt, najlepszy ze wszystkich 3-ech, zawiera kilka scen z życia górali, które, jako obrazki *genre* posiadają dużą wartość artystyczną.

należy do niej także i Sienkiewicz, którego *Sabałowa bajka* taką zdobyła sobie popularność.

Skoro mowa o Sienkiewiczu w stosunku do Tatr, to wypada przypomnieć jego *Potop*, w którym znajduje się piękny opis przejścia Jana Kazimierza przez Tatry, a po części także i drukujących się obecnie *Krzyżaków*, w których tak wiele spotyka się wyrażeń góralskich.

To samo da się powiedzieć o stylu ś. p. Matlakowskiego, który w Zakopanem napisał swe kapitalne dzieło o *Hamlecie*, a w swej pośmiertnej tece zostawił szereg zimowych pejzaży zakopiańskich, będących ostatniem słowem plastycznego opisu natury... Pejzaże te, przesycone oślepiającym blaskiem śniegu w pogodny dzień słoneczny, ogłoszono we *Wszelchwicie*, gdzie również po śmierci Matlakowskiego pomieścił o nim Witkiewicz wzruszające wspomnienie pozgonne. Wspomnienie to, podnoszące główne zasługi nieboszczyka, jako autora świetnej pracy o *Budownictwie ludowem na Podhalu*, także winno być zaliczonym do literatury tatrzańskiej.

Ten, który dotychczas pismami swemi najwięcej rozbudził zapału dla Tatr i Zakopanego, Witkiewicz, jest malarzem, co oczywiście nie mogło pozostać bez wpływu i na jego licznych kolegów, pomiędzy którymi, jako autor *Sztuki i krytyki u nas*, tyłu sobie liczy wielbicieli. Jakoż i w malarstwie krajobrazowem polskiem nierzadko spotykamy się z widokami Tatr. Najwięcej na tem polu zdziałał Witkiewicz, który nietylko przepysśnie wyilustrował swą książkę *Na Przełęcz*, ale od chwili, gdy osiadł na stałe w Zakopanem, zaczął malować wyłącznie obrazy na tle przyrody tatrzańskiej. Jego *Wiatr halny*, a zwłaszcza *Powrót z hal z baranami*, pędzonymi wśród zamieci śnieżnej, są arcydziełami tego kierunku. Wojciech Gerson, należący do stałych gości zakopiańskich, także zaczął malować krajobrazy tatrzańskie, a tak dobrze, że im przyklasnął nawet wymagający pod tym względem Witkiewicz, chwalać szczególnie *Niedźwiedzią pieczarę w Tatrach*, o której powiada, że »przedstawia naturę tatrzańską żywą, wziętą w jednym z tych chwilowych jej nastrojów, wynikających ze stanu pogody i oświetlenia, nastrojów, które są dla pejzażu tem, czem wyraz dla ludzkiej twarzy«. Na niemniej gorące pochwały zasługują pejzaże tatrzańskie Rapackiego, których koroną, według mnie, jest *Zachód słońca*... Mroczkowski namalował tak

piękną *Morskie Oko*, iż mu je zakupiono do zbiorów Muzeum Narodowego, gdzie wisi obok największych arcydzieł naszej sztuki plastycznej.

W ślady malarstwa poszła i muzyka. Pierwszy krok w tym kierunku uczynił Moniuszko, którego *Halka* rozgrywa się na tle podhalańskim... Za Moniuszką poszedł Żeleński, pisząc swój prześliczny poemat symfoniczny *Tatry*, w których także będzie się rozgrywała akcja jego najnowszej opery p. t.: *Janek*; będzie to tatrzańska *Cavaleria rusticana*. Noskowskiego symfonia *Morskie Oko* również — jak o tem sam tytuł świadczy — jest hymnem na cześć piękności Tatr i słynnego jeziora, a Paderewskiego *Melodye tatrzańskie* rozbrzmiewają dziś na obu półkulach.

Tymczasem wśród górali, od chwili, gdy się zetknęli z cywilizacją, zaczyna się budzić ruch umysłowy i artystyczny, któremu można wróżyć najpiękniejszą przyszłość: rodzą się talenty pisarskie, malarskie i rzeźbiarskie, a między tymi talentami są i bardzo wielkie, jak np. Orkana, poety i nowelisty. Oto, co w przedmowie do wydanego świeżo tomu jego nowel, pisze o tym ruchu między góralami Kazimierz Tetmajer: »Zdaje mi się, że on wraz z p. Stopką Nazimkiem z Zakopanego, prawnikiem, autorem świeżo wyszłej, bardzo ciekawej książki o Sabale, i z p. Wojciechem Brzegą, także z Zakopanego, rzeźbiarzem, stanowią początek artystycznego ruchu, który się między inteligencją góralską budzi. Kto wie, czy z czasem wykształceni chłopcy góralscy nie wytworzą takiej swojej odrębnej i samoistnej szkoły, jaką niegdyś wytworzyła szlachta ukraińska; szkoła ta ma wszelkie warunki powstania w nie-dalekiej przyszłości, a miałaby tę wyższość nad ukraińską, że nie ograniczyłaby się wyłącznie do literatury. Górale mają swoją odrębną tradycję, ale dopiero teraz poczynają się stykać z kulturą; zdolności ich, zupełnie świeże, zupełnie młode, zbyt mało są doświadczone, abyśmy o nich stanowczo wyrokować mogli: wydaje mi się jednak, że są wszechstronne i duże. Jest bardzo prawdopodobnem, że wyjdą stamtąd nawskróś oryginalni pisarze, muzycy, rzeźbiarze i malarze, i że stworzą sobie w sztuce miejsce tak odrębne, jak ich ziemia odrębną jest od reszty kraju. Ci, których wymienilem, to pierwsi pionierzy, pierwsze pokolenie inteligencji góralskiej, które o sobie słyszeć daje: być może, że to heroldowie całego zastępu«. Jakkol-

wiekbądź, już ci pierwsi pionierzy, choć młodzi i dopiero wstępujący na arenę literatury i sztuki, z wielkim zapalem biorą się do dzieła, a to, co zdziałali dotąd, przedstawia się wcale pokaźnie. Dwudziestosześcioletni Wojciech Brzega, który, zanim jeszcze pojechał do Monachium, już jako uczeń krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych został, za przepyszną głowę Sabaly w drzewie, nagrodzonym na konkursie rzeźbiarskim w Warszawie, wybiera się na cały rok do Paryża, a kilka zaczętych prac, które mi pokazywał, między innymi cudowna głowa Chrystusa w cierniowej koronie, pozwalają się po młodym artyście spodziewać niezmiernie wiele, tem bardziej, że mu się w głowie pali od pomysłów; te zaś — o ile mi o nich opowiadał — wszystkie zalecają się wielką oryginalnością i poetycznością, jak np. walka orła z kozicą. Marzy także o pomniku dla Sabaly. Niemniej zdolnym jest jego nauczyciel, profesor zakopiańskiej szkoły rzeźbiarskiej, p. Nalborczyk, którego popiersie Henryka Sienkiewicza jest najlepszą podobizną wielkiego powieściopisarza. Pomędzy uczniami Szkoły rzeźbiarskiej także znajduje się wielu utalentowanych góralczyków, rokujących najpiękniejsze nadzieje... Również ich, a także z iskrą bożą, jest młoda córka gazdy z Kościeliskiej ulicy, panna Sobczakówna. Kto wie, czy z niej nie wyrosnie współzawodniczka p. Orkana, którego poezye drukowano w krakowskim *Życiu*, a nowele w *Kuryerze Codziennym*. Ogłoszony niedawno fragmencik p. t.: *Idę ku tobie*, należy do najładniejszych liryków, jakie się u nas pojawiły w ostatnich czasach. Poetą również, i to utalentowanym, jest p. Andrzej Stopka, autor *Sabaly*, *Rycerzy śpiących w Tatrach*, oraz *Materyałów do etnografii Podhala*.

Ostatnia książka, choć wydana nakładem Akademii Umiejętności, zawiera mnóstwo arcyciekawych pieśni, przypowieści, przysłów i podań ludu góralskiego, z których na tem miejscu przytoczę choć jedną *Powiastkę o Panu Jezusie i św. Piotrze*:

Raz śli se oba Paniezus i święty Pieter bez las i uwdzieli grosz na drodze, a Paniezus powiada do świętego Pietera: »E, wejze go!« A święty Pieter powiada: »E, hań sie nima po co schylać«. Tak wzion Paniezus i kupił śliwek trzydzieści i seł naprzód a święty Pieter za nim. A był straszny gorąc, co nieporada było wytrzymać i puśczał te śliwki po jednej, a święty Pieter jak uwiidział tak łaps jom do gemby prosto, i ino raz obrócił a kostki wyrzuczał ś nik. Skoro osta-

tniom zjad, a Paniezus ta seł i seł w rzeci, ze ta nic nie widzi, juz się potem obezrał i powiada mu tak: »No widzisz, rażesz się nie chciał schylić po gros, a teraz ejsie musiał trzydziści razy schylać«. I kany święty Pieter wypluł, to urosł grzybek i Paniezus powiada: »No, zbieraj se teraz grzybki«. I było ik w ocimieniu pełno. Temu wej dzisiaj gadajom, ze święty Pieter grzyby sieje.

W całkiem innym rodzaju, ale niemniej zajmującą jest książka Stopki, prawie zasługująca na miano monografii o Sabale, ozdobiona prześlicznym portretem olówka Brzegi, a zawierająca życiorys tego niepospolitego górala, jego bajki, powiastki, piosnki i t. d. Nie od rzeczy będzie przytoczyć tu z niej poniższy wyjątek:

Zawsze codzieln wczesnym rankiem suwał Sabala kypcami z Kościelisk, gdzie mieszkał, ku Zakopanemu. Od czasu do czasu spoglądał w górę jednym okiem, jak orzeł, przechylając głowę to na prawo to na lewo, chcąc zbadać, czy »chmury się nie robiom«, czy pogoda będzie trwała... Po drodze wstąpił do kościołka drewnianego i tam krótko się modlił. Pacierz jego był ciekawy, bo pełno w nim było dodatków i przekreścań. Raz zmówił tych pacieryz tylko dwa i tak je ofiarował: »Okwiarujom też ten paciorek Najświęcej Paniencie Maryje, Paniezusowi i św. Janiowi patruniowi. Ale ik téz barz piknie przypytujom, bo też pacioreków ino dwoje, a ik do podziału troje, haj! Tu by trza zmówić lo św. Jana jeden, a ta pan wielkomożny (Chałubiński) będzie się ciskał, ze mie nima. Ale wiem, co robiom! Ja téz to okwiarujom Naświęcej Paniencie Maryjej, a ona ta sićkik dobrze do równości podzieli i nikomu krzywdy nijakiej nie zrobi, haj!« I wyszedł. Ciekawe również było następujące ofiarowanie: »Okwiarujom téz ten paciorek Panu Jezusickowi, okwiarujom i polecam, jakby kciał przyhońć; a jak nie, to ja się téz ś nim nie sprzecom«.

.....

W Mieguszowieckich turniach był mądry niedźwiedź, na którego stary myśliwy miał *pewne oko*. »Był strasznie mądry, haj! To się trafi, prosem pięknie, taki dzwierz, co, prosem pięknie, i cłek rozumu telo ni má. Straśnie je smyśny«. Niedźwiedź mylił, ale Sabala długo chodził za nim, podchodził go i wreszcie zabił. Już się cieszył, że pasterze będą radzi, że ich od szkodnika uwolnił, kiedy za strzałem nadbiegli Liptacy i byli już tak blisko, że widzieli Sabalę prującego niedźwiedzia. On jednak nie stracił przytomności umysłu, choć nieprzyjaciół było trzech, a on sam. Spuścił kamień i tak ich nim poczęstował, że im się już drapać »nie wypadalo i nie kciało, bo mieli swojego mięsa dość«.

Innym razem postrzelił capa i ten uciekł mu między woły Liptaka, bo to było na węgierskiej stronie. Sabala zdjął skromnie kapelusz i począł prosić pokornie, kłaniając się Liptakowi, żeby mu pozwolił capa zabrać, bo cap jego. Liptak zaś, rozśmieszony pokorną postawą Krzeptowskiego, tem pewniej obstawał przy swoim i twierdził, że choć Sabala postrzelił kozła, ale on się później zmieszał z wołami jego, więc też do niego należy. Widząc, że z nim dobrocią nie poradzi, odszedł Krzeptowski na 50 kroków, nasypał niepostrzeżenie do strzelby piasku, bo była tylko lotkami nabita i strzelił do Liptaka tak nieszczęśliwie, choć utrzymywał, że w nogi mierzył, iż «oko i śtery zęby dyascy wzięni». Później spotkali się jeszcze. Liptak poznał jednym okiem Sabalę, ale on mu udowodnił, że nigdy jeszcze nie strzelał i nawet nie wie, jak się strzelbę trzyma.

...Gdyśmy go raz pytali, jakiego systemu strzelby używał, mówił: »Mnie ta, prosem pięknie ik miłości, każda do zukwy się zdała. Ino dubeltówka wse lepszą«. Raz spotkał się z niedźwiedziem. Strzelił i chybił. »Miałek pojedynek, wyzionek się na smreka. On mi się przypatruje ze spodku, a ja siedzem cicho, inose dychom. Stanon na łapak, ale mie dostać ni móg, haj. Jazek tak to, mościwko panku, wysiedział. Wytrzymała mie wereda długo, nie krótko, a ręce mi cysto pięknie zglegwiały, co strak, haj! On się zaś poseł paść na borówki. Poseł nizej, a syćko sie na mnie boke jednym oke przypatrywał. Ja sie zaś zacon wyzej styrbac, cyby jakosi sie cego lepsego nie chwycić. Siadek na gałęz, ale się zlamala, była słaba. Toż to, dobrze nie barzo, zjehalek na ziem, haj! Ja w uciekaca, on za mnom. Jazek lewdy dopad bucka dość hrubego i wylazek nie wiele myślęcy na niego, na gałąz, haj! Byłek ślebodny, bo buk był hruby, ino ze mi coś kajść po brzuku strasnie jeżdżilo, bok długo siedział, a jedzenia ni miałek: bylo ostawione przy smreku. Kieby mi miał wto flinte podać ze spodka, to onoby ta było syćko dobrze, bok prok i kapsliki w torbce miał. Ale nika nie, haj!

.....

W wykonywaniu dobrych uczynków był Sabala Chałubińskiemu niejednokrotnie pomocny. Miał u niego wielki wpływ i szacunek dla siebie, więc korzystał z niego często i gdy kto prosił o wizytę doktorską, wstawiał się Sablik, motywując swą prośbę słowy: »Ja ta ś nim znajomy, a moze i krewny«. »Jakże blizkie pokrewienstwo?« uśmiechając się, pytał lekarz. Sabala zaczynał zaraz opowiadać, jak z nim chodzili na kozy i ile ich ubili. »My sie z jego ojce strasnie radzi widzieli, choćmy spółnikowali«. Razu pewnego zagadnięty w ten sposób przez Chałubińskiego, nie mógł się szybko połapać, a powtarzać się nie chciał, więc mówił: »E, my ta byli, prosem piknie ik wielkomozności, z jego ojce kumotrami, ale przez mojom babe... Ja tok jego krewny, bok od niego kobylsko kupił i udała mi sie

straśnie«. Albo też: »Já ta ś nim kumoter«. »A kogożeście trzymali?« pyta jeden z góralów. »Eć wej, worecek we młyńnie, kie mie baba po mąke posłała, kie jom młynarz do worrecka suł, haj!...« Pewnej góralce zachorował syn, pobiegła więc prosić Chałubińskiego, żeby go odwiedził. Deszcz padał jak z cebra, a wysłany Sabala po *budkę* nie mógł jej znaleźć. Lekarz wypytał się o objawy choroby, a gdy zmiarkował, że niebezpieczeństwo w zwłoce nie grozi żadne, mówił: »Poczekajmy, może się przecie skończy ta lejba«. »O, ono się skończy«, rzekł Sabala, »bo strażnie pilno leje... Ono ino, prosem piknie ik wielkomożności, niekze idom. Cuhe im dom, to sie odziejom. A kie horość przysła, to ono ta trza jom wygnać, bo i śmierć bedzie kajsi nie prec. Będzie koło wędlów zajezdzać. Ony, to dom jest siostry, a śmierć to strażnie wartka baba, haj!« Odział własną cuchą lekarza, a sam, przewróciwszy serdak do góry kudłami, suwał lekko po błocie przodem i mruzczał pod nosem: »Ono, ja tak uwazujem, co sie musiało gazostwo w niebie pospuć abo jako?...

.

Teraz obaj spoczywają na zakopiańskim cmentarzu, w najbliższem sąsiedztwie, księdza Stolarczyka i Bronisława Dembowskiego. Przechodząc około tych czterech mogił, doznaje się dziwnie rzewnego uczucia, bo są to groby czterech najwybitniejszych osobistości Zakopanego, groby ludzi, którzy stworzyli dzisiejsze Zakopane, a którzy już dziś stają się jego postaciami legendowemi. Chałubińskiemu zostanie na zawsze przydomek »króla tatrzańskiego«; ksiądz Stolarczyk, jako pierwszy proboszcz w Zakopanem, śmiało może być uważany za apostoła górali, który im przyniósł światło chrześcijaństwa ¹⁾; pamięć Dembowskiego nie zaginie, dopóki Podhale będzie się zabudowywało w stylu zakopiańskim, którego on — obok Witkiewicza i Matlakowskiego — był głównym propagatorem; a o Sabale utworzy się mit, w którym ten genialny gawędziarz-poeta opromieni się aureolą tatrzańskiego Homera. Pokolenia będą następowały po pokoleniach, a o tych czterech mężach, dopóki ludzie będą jeździli do Zakopanego, legenda

¹⁾ Przed księdzem Stolarczykiem nie uważali np. górale za coś Panu Bogu ubliżającego, gdy sobie w kościele »fajeczkę« zapalił i »pacierz na koronce mówił«. Jeśli zaś nie palił w kościele, to sobie za to niejedem »na odchodnem od lampasa przed wielgim oltarzem zapalił i seł do pola kurzący«. Stopka, *Sabala*, 47.

nie zaginie: owszem, będą w jej promiennem świetle rośli do jakichś bajecznych rozmiarów; a ci, co ich znali osobiście, co na nich jeszcze własnymi oczyma patrzyli, będą o nich z dumą opowiadali młodszemu pokoleniom, ojcowie synom, matki córkom, dziadkowie wnukom...

O stosunku Chałubińskiego do Zakopanego pisał w *Kraju* prof. Ignacy Baranowski:

Miłośnik przyrody, wrażliwy na jej piękności, artysta z usposobienia i z wykształcenia, obiera za stałą siedzibę letnią Zakopane, piękne ustronie górskie, o którym, że istnieje, jeszcze od czasów Staszycza wiedziano, ale do którego tłum turystów podążył dopiero wtedy, gdy Chałubiński tam się na stałe osiedlił. Za jego staraniem powstaje *Towarzystwo Tatrzańskie*, którego głównym zadaniem miało być badanie fizyograficzne Tatr polskich. W wycieczkach niezmiernie zuchwałych, wiodących go na szczyty niezwykłe, wyrabia doskonałych przewodników górskich, oraz wyznacza szlaki i drogi, dla turystów dostępne, a bogate w uroczne widoki. W wycieczkach tych zbiera odłamki skał, oznacza ich pochodzenie, porządkuje je. Zbiór ten stał się dziś, z daru Chałubińskiego, własnością *Muzeum tatrzańskie*, któremu wielbiciele Chałubińskiego jego imię nadal. Równocześnie zbiera mchy tatrzańskie, bada je, determinuje i klasyfikuje. Owoc tej długoletniej pracy nad mchami ogłasza najpierw w *Pamiętniku fizyograficznym*, a następnie wydaje oddzielnie p. t.: *Grimiae tatrenses ex autopsia descripsit et adumbravit dr. Chałubiński*. Monografia ta, napisana w języku łacińskim, cenioną jest przez bryologów zagranicznych, jako jedna z najlepszych prac w tym dziale naukowym... Poznawszy klimat Zakopanego, oceniwszy jego wartości lecznicze, Chałubiński wygotowuje ustawę *Stacji klimatycznej* i wyjednywa jej zatwierdzenie... Dziwnie piękny stosunek wywiązuje się między Chałubińskim a ludem górskim, który przedtem, odcięty od świata, żył, rzec można, w stanie pierwotnej kultury, noszącej cechy niezwykle, bardzo oryginalne, a znamionujące wielkie zdolności tych dzieci natury. Chałubiński dopomaga do zebrania legend ludu górskiego, jego pieśni, które Kleczyński z ust ludu notuje, a Paderewski w wykwintne dzieła sztuki przetwarza. Chałubiński jest inicjatorem *Szkoły snycerskiej* i *Szkoły koronkarskiej*, poparty w tem dzielną pomocą śp. Mikołaja Zyblikiewicza. Wreszcie usiłuje on podnieść rolnictwo przy udziale swego najbliższego przyjaciela, zacnego plebana zakopiańskiego, ks. Stolarczyka, który we wszystkich tych pracach Chałubińskiego idzie z nim ręką w rękę. Pełen miłości ziemi i ludu, stworzył sobie Chałubiński świat nowy zadań społecznych, cywilizacyjnych i naukowych, których spełnienie wzbogaciło wielkimi zasługami ostatnią epokę jego żywota.

Ostatnie lata były walką z ciężką niemocą, która ten potężny duchowo i fizycznie organizm złamała. Półtora roku poprzedzające datę zgonu, Chałubiński spędził w ustroniu zakopiańskim. Do ostatniej chwili liczni jego przyjaciele i wielbiciel zimą i latem dążą do Zakopanego, aby krzepić myśli i uczucia widokiem szczytów tatrzańskich i widokiem człowieka, który długi żywot umiał wypełnić pracą, do jakiej podniecą była miłość nauki, kraju i człowieka.

Gdy żył Chałubiński, Zakopane posiadało urok, o jakim pojęcia nie mogą mieć ci, co tych czasów nie pamiętają. Już sam przyjazd «króla tatrzańskiego» był uroczystością dla wszystkich, dla górali zarówno, jak i dla gości. Chałubiński przyjeżdżał zawsze do Zakopanego na początku lipca, a dnia, w którym go się spodziewano, kilkudziesięciu młodych górali jechało konno w odświętnych strojach parę wiorst na jego powitanie, tak, iż przez całe Zakopane, aż do swego domu jechał z eskortą, wśród radosnych okrzyków, wśród strzałów na *vivat* z pistoletów, często wśród salw z moździerzy. Goście, na widok tego malowniczego orszaku, powiewali czapkami i chustkami, jakby mu starym słowiańskim zwyczajem mówili: *a witajże nam, witaj, miły hospodynie!* — a on kłaniał się z powozu na wszystkie strony swym słomianym kapeluszem, rozpromieniony, szczęśliwy, uśmiechnięty i kontent, że znowu jest w swem ukochanem Zakopanem, w tych swoich pięknych Tatrach, których nikt nie miał takiego prawa nazywać *swójemi*, jak on!... Potem widywało go się jeżdżącego bryczką po ulicach, zawsze w serdaku i słomkowym kapeluszu; a gdy się zdarzyło, że szedł pieszo, to nigdy sam, bo jeśli nie szedł z Wojciechem Rojem lub Sabałą, to go otaczała gromada górali, z którymi nigdy nie brakło mu tematu do przyjacielskiej rozmowy. Czasami spotykało się go z jaką zapłakaną gaździną, z którą szedł do jej chorego męża lub syna; ale bywało i tak, że go się spotykało w towarzystwie najwybitniejszych jednostek naszego społeczeństwa, szczególnie z bracią artystyczną, do której przez całe życie miał nieprzeparty pociąg. Pamiętam czasy, w których go widywałem asystującego Modrzejewskiej, spacerującego z młodocianym Paderewskim, z księdzem Stolarczykiem (którego tymczasem wszystkie przechodzące baby całowały po rękach), z Sienkiewiczem. Gdy wychodził na wycieczkę w góry, całe Zakopane nie mówiło o czem innem; wycieczki bowiem takie, jak je urządzał Chałubiński, miały w sobie coś

romantycznego i epickiego zarazem. Przedewszystkiem nie odbywał ich nigdy w małym towarzystwie, lecz gromadą, złożoną z kilkunastu zaproszonych osób i 30 lub 40 górali, ze starym Sabalą na czele.

Wybierano się z całym obozem, z namiotami, rondlami, samowarami, kocami, etc. etc., a nadewszystko z muzyką, z bassetlą, z kobzą, z harmonią, z kilką skrzypiec, ze słynnym Obrochtą, jako pierwszym skrzypkiem i przewodnikiem tej góralskiej orkiestry. Prowadzili Jędrzej Wala, Maciej Sieczka, Szymek Tatar, Wojtek Roj i Sabala, który przez całą drogę przygrywał na swych gęślikach, przyspiewując jednocześnie. Za nimi szedł Chałubiński z towarzystwem, niekiedy i w towarzystwie żony, którą górale nieśli w specjalnie *ad hoc* sporządzonym fotelu; w tyle zaś, za nimi, szli »chłopi« z torbami na plecach, wypchanymi żywnością i zapasową odzieżą, z kotlikami i ciupagami w ręku. Takim taborem zapuszczano się w góry, wdzierano się na najniebezpieczniejsze szczyty, rozkładano się nad brzegami jezior, a że z »panem doctorem« nigdy nie wychodziło się na krócej, niż na kilka dni, więc i nocowano pod gołym niebem, w kosodrzewinie lub lesie, przy świecącym księżycu lub gwiazdach, a niekiedy pod powalą chmur, »siepiących« drobnym *kapuśniaczkiem*. Ci, co brali udział w tych wycieczkach Chałubińskiego, nie zapomną o nich do śmierci! Zwłaszcza nie zapomną tych noclegów przy rozpalonem ognisku. Gdy jeszcze na spanie było zawczasie, zabawiano się w ten sposób, że albo Sabala, rzępoląc na gęśli, opowiadał o dawnych zbójnickich wyprawach, albo górale tańczyli *zbójckiego* (oczywiście, że się bez muzyki wtedy nie obeszło), albo Obrochta grał na skrzypcach, a jeden i drugi śpiewał pieśni góralskie:

Oj, góry nase, góry,
Oj hale, nase hale,
Kto was zna tak dobrze,
Jako my górale!

Tak było do r. 1887, dopóki brzemień starości i choroby nie powaliło genialnego lekarza. Odtąd Tatry stały się dlań niedostępne; musiał poprzestawać na samem tylko Zakopanem, aż w końcu prawie się nie wychylał po za obręb swego domu. Były to smutne czasy dla Zakopanego: wszyscy wiedzieli, że Chałubiński już nie wyjdzie z tej choroby. Kiedy się go spotkało czasami, jadącego bryczką z Sabalą lub Rojem, zgarbio-

nego, z cerą ziemistą, oczyma przygasłemi, serce się krajało na jego widok: była to już tylko ruina człowieka, stojącego nad grobem. Patrząc nań (a gdy przejeżdżał, mimowoli wszyscy odsłaniaли przed nim głowy), przeczuwało się, że to już niezawodnie ostatnie lato widzi się go w Zakopanem.

Na parę tygodni przed śmiercią Chałubińskiego, bawiący i koncertujący wtedy w Krakowie Paderewski, już opromieniony europejską sławą pierwszego pianisty, dowiedziawszy się, że chory zapewne już nie doczeka wiosny, pospieszył do Zakopanego, ażeby pożegnać się ze swym dostojnym wielbicielem i osłodzić mu ciężkie chwile niemocy swą mistrzowską grą na fortepianie. Gdy z Wiednia, Paryża i Londynu dochodziły nas echa tryumfów Paderewskiego, Chałubiński, już wtedy chory, niejednokrotnie wyrażał życzenie, że jeszczeby chciał »pana Ignacego« choć raz usłyszeć przed śmiercią. I oto stało się zadość jego życzeniu: w chwili, gdy może go się najmniej spodziewał — gdy słoty i wichry jesienne zasepiały całe Podhale — Paderewski zjawia się w Zakopanem, spędza kilka godzin przy łożu dogorywającego przyjaciela i cały wieczór gra mu Beethovena, Chopina, Schumana. Oprócz Chałubińskiego słuchało go jeszcze kilka zaproszonych osób. W niespełna miesiąc potem Chałubiński już nie żył. Umarł dnia 4 listopada 1889 roku.

III.

ZAGADKOWY KRÓLEWICZ.

(Z powodu książki Dr. Wł. Matlakowskiego o Hamlecie).

Niema wcale przedmiotowej
krytyki, jak niema przedmiotowej
sztuki.

Anatole France.

»Zdawało mi się, iż hamletologia, która tyle umysłów zaprzętała i zaprzęta w Europie zachodniej, zasługuje na to, ażeby ją zbiorowo przedstawić naszej społeczności, którą dotychczas dochodziły jeno same odgłosy z czasopism, zazwyczaj wyrażone krotofilnie«. W tem przekonaniu zabrał się ś. p. Wł. Matlakowski (w ciągu swej ostatniej choroby piersiowej, na którą zmarł w końcu), do pisania swego wyczerpującego, 417 dużych stron drobnego petitu in 8° obejmującego »wstępu« do własnego przekładu *Hamleta*, choć sobie doskonale zdawał sprawę, jak szczupłym jest u nas to grono, które się podobną pracą zainteresować może, u nas, gdzie »nieliczna garstka ludzi z wyższem wykształceniem, pochłonięta przeważnie dorabianiem się, a następnie pomnażaniem majątku, nie posiada nalogu niemieckiej odpowiedniej klasy, znajdującej czas, poza obrębem swych zajęć fachowych, na interesowanie się rzeczami literackimi«.

Hamletologia należy do dziedziny tych rzeczy literackich, które o ile zajmowały i zajmują cały legion umysłów w Niemczech lub Anglii (o Francyi nie da się tego powiedzieć), o tyle w Polsce, gdzie, zdaniem Matlakowskiego, »książki poważne

zalegają dno rzeki umysłowej, pozostają nieznanymi zupełnie nawet literatom z zawodu. Wiedzieliśmy wprawdzie, że Goethe w swoim *Wilhelmie Meistrze* cały rozdział poświęcił szczegółowemu rozbiorowi *Hamleta*, wątpię jednakże, aby było wielu takich wybranych, którzyby wiedzieli, że o tem arcydziele istnieje tak olbrzymia i arcyciekawa literatura, jak nas o tem informuje »wstęp« Matlakowskiego.

Warto przeczytać ten wstęp, choćby dlatego tylko, żeby nabrać należytego wyobrażenia o przenikliwości, a zarazem i o chwiejności krytyki nowoczesnej, ażeby się przekonać, w jak rozmaity sposób może jedna i ta sama rzecz odbijać się w różnych umysłach, jak wszystko, co się widzi w danej rzeczy, zależy od tego, kto patrzy i z jakiego punktu widzenia.

I.

Cała prawie połowa »wstępu« Matlakowskiego zawiera streszczenia i cytaty ze wszystkich wybitniejszych prac, jakie się od 100 lat ukazały o *Hamlecie*: poczynawszy od Goethego, którego można uważać za istotnego twórcę, a przynajmniej inicjatora całej literatury, zwanej hamletologią, a skończywszy na autorze *Paryżanki*, Henryku Becque'u, który niedawno temu, w paryskim *Figarze*, wystąpił z »nową« teorią rozwiązania zagadki *Hamleta*¹⁾.

Zdaniem Goethego, który się pierwszy zdobył na jasne, głębokie, a względnie zwięzłe określenie całości dramatu, Szekspir chciał przedstawić w *Hamlecie* »wielki czyn«, włożony na duszę, która do tego czynu nie dorosła. Hamlet — to cenne naczynie, które powinny być w swoje łono przyjmować tylko śliczne kwiaty, a w które zasadzono dąb: korzenie się rozrastają, więc naczynie pęka. Istota piękna, czysta, szlachetna, wysoce moralna, bez siły umysłowej, tworzącej bohatera, ginie pod ciężarem, którego nie może ani unieść, ani odrzucić. Tak utrzymuje genialny autor *Fausta*, król poetów XIX wieku.

Innego zdania jest Herder, któremu Hamlet nie wydaje się pozbawionym ani woli, ani siły; po prostu należy on »raczej do spekulacyjnej niż czynnej części ludzkości«: nie tcho-

¹⁾ Od tego czasu ukazały się dwie nowe — a znakomite — oceny *Hamleta*: Kuno Fischera i J. Brandesa.

rzostwo cechuje królewicza, gdy chodzi o wykonanie zemsty, lecz skrupuł metafizyczny, płynący z sumienia. Stąd ów nastrój metafizyczny, panujący w całej sztuce, stąd sławny monolog: *Być czy nie być?*

To samo mniej więcej utrzymuje Coleridge, któremu się wydaje, jakoby Szekspir, pisząc *Hamleta*, pragnął wdrożyć w nas tę prawdę, że działanie jest głównym celem istnienia, że przymioty umysłu, choćby były najświetniejsze, nie mogą być uważane za cenne, gdyż, odciągając od czynu, są raczej nieszczęściem: tak długo wiodą nas do rozmyślenia, aż w końcu upływie czas, w którym mogliśmy byli czegoś dokonać skutecznie. Stąd, jeżeli wyciągniemy ostateczną konsekwencję z twierdzenia Coleridge'a, okaże się, iż *Hamlet* jest utworem tendencyjnym: konsekwencja, na którą — znając charakter utworów Szekspira — trudno się zgodzić.

To samo możnaby powiedzieć o poglądzie Schlegla, który lubo przyznaje Hamletowi, iż jest umysłem bardzo wyrobionym, nieobcym szlachetnej ambicyi, zarazem przypisuje mu słabość woli i, co gorsza, wrodzoną skłonność chodzenia krętymi drogami. Według Schlegla, Hamlet jest obłudnikiem względem siebie, dla którego daleko sięgające skrupuły są często pokrywką do osłonięcia braku postanowienia, a który nadto »nie może oprzeć się na żadnym przekonaniu jakiegokolwiek rodzaju, czy to będzie sceptycyzm, czy nauka Kościoła«.

Łatwiej się zgodzić z Hazlitem, albowiem on pierwszy pojął Hamleta, jako człowieka genialnego, nietyle obdarzonego siłą woli i namiętności, ile głęboką subtelnością myśli i uczuć, bardzo wrażliwego, zdolniejszego do analizowania swojej złożonej psychiki, aniżeli do obmyślenia planu działania, a który, choć doskonale zdaje sobie z tego sprawę, nie może się zdobyć na ostateczną decyzję, wtedy właśnie, kiedy okoliczności sprzyjają dokonaniu zamierzonego czynu. Jako bohater tragedyi — choć na bohatera ma najmniej danych — jest on »bardziej zajmujący, niż zgodny z prawidłami, sympatyczny, choć nie bez winy«.

Co innego twierdzi Gans, występujący z twierdzeniem — ośmieszonym przez Kleina — że *Hamlet* jest wyrazem »nicości rozwagi, nicości zastanowienia«. Jest to tragedia nicości rozwagi! Dlatego, obok *Fausta*, *Hamlet* pozostanie tragedią najgłębszą, najśmielszą i najcharakterystyczniejszą; bohater jej

•ulega nie przez to, co skądinąd słusznie zowiemy ludzką słabością, lecz od tego, co z konieczności musimy nazywać ludzką siłą».

Nierównie głębiej wniknął w charakter Hamleta sławny Szekspiolog Urlici, utrzymujący, iż królewiczowi nie brak ani odwagi, ani energii, ani woli, ani stanowczości; jest to tylko duch filozoficzny, który posiadając chęć i siły do spełnienia wielkich rzeczy, pragnie jednak, ażeby, działając, był posłuszny rozkazom własnej myśli. Dlatego spełnienie czynu, narzuconego mu przez zewnętrzne okoliczności, jest przeciwne jego usposobieniu. Nadto jest on chrześcijaninem, który mając spełnić zabójstwo, walczy z człowiekiem natury; jeśli się tak ociąga, to dlatego jedynie, bo zabijanie, jak i samo pojęcie zemsty, są antychrześcijańskie.

Bardzo zbliżonym do powyższego jest pogląd bezmien-
nego autora w *Quarterly Review* z r. 1847, pojmującego Hamleta, jako odbicie wszechstronności geniuszu Szekspira. Hamlet, jak Szekspir, posiada umysł mądry i dowcipny, oderwany a praktyczny; najrozleglejszy zakres filozoficznego rozmyślenia, idzie u niego w parze z najprzenikliwszą bystrością w sprawach życiowych; zabawny żart, kłusająca satyra, skrzące odcięcie się, przy najgłębszej, ponurej myśli: wszystko to jest mu właściwe, wszystkich tych tak różnorodnych zdolności używa ze sprawnością zadziwiającą. Nadto posiada nadzwyczajny dar natychmiastowego odgadywania natury i pobudek ludzi, z którymi się styka, co mu pozwala w oka mgnieniu przystosować swoje zachowanie się do ich osobistych właściwości. Będąc umysłem filozoficznym, z lada powodu, często z przyczyny jakiegoś najbłahszego wydarzenia, stara się wszystko sprowadzać do praw ogólnych, a że myślą wybiega poza świat, więc lubi zatapiać się w rozmyślanie. Na to, ażeby zabić stryja, ma dość siły i wytrzymałości nerwów; jeżeli tego nie czyni, to z powodu skrupułów sumienia; ono go odciąga od zbrodni, ono rodzi apatyę, ono w nim wytwarza niezgodności, niespokojności. •Rozważając spełnienie czynu, który z zewnątrz wygląda bardziej na mord, niż na prawne ukaranie, drży, aby pomimo wszystko nie popełnić wyraźnej zbrodni; z drugiej strony, gdy zwraca wzrok na bezceństwo stryja, wyobraża sobie, iż więcej jest tchórzostwa niż sprawiedliwości w jego zwlekaniu».

To samo wynika z zapatrywania Hudsona. Ten jeszcze

wyraźniej podkreśla w Hamlecie walkę sumienia z obowiązkiem. »Hamlet dorósł do wysokości spełnienia każdego obowiązku, lecz nie do pogodzenia obowiązków niedających się pogodzić; nie umie działać dla tej prostej przyczyny, że posiada równy szacunek dla wszystkich obowiązków swego położenia«. Jego niezdolność nie jest rodzaju indywidualnego, lecz moralnego. Jeśli się ustawicznie obarcza winą swego położenia, to jest w tem zawarty jeden z najdelikatniejszych rysów w całym wizerunku. Poczucie moralnej słuszności i prawości, przy nadzwyczajnej pełni umysłu, w połączeniu z nadzwyczajną pełnią delikatności i wrażliwości: oto najlepsza charakterystyka Hamleta.

Dlaczego Hamlet tak wleczę dzieło zemsty? Oryginalną odpowiedź na to pytanie daje Mozley, upatrujący przyczynę tego kunktatorstwa hamletowego w pierwiastku filozoficznym, w przeświadczeniu, iż ten straszliwy czyn, zabójstwo starego króla, z taką przebiegłością dokonany przez jego własną małżonkę i brata, jest tylko próbką obszernego systematu krzywdy i niesprawiedliwości w tym widzialnym stanie rzeczy. Cóż z tego, że ten jeden czyn, ta jedna podłość zostanie pomszczona, kiedy ten jeden czyn, ta jedna podłość, to tylko jedna kropla z niezmiernego oceanu zbrodni i krzywd; cóż z tego, iż on naprawi ten jeden czyn przemocy i zła, kiedy reszta pójdzie swoją koleją, kiedy rzeczywiste zło jest niezwykłe, niedosiegalne, wszędzie istniejące. Naprawić jeden przypadek byłoby to tylko czcze zaplątanie się w zrobienie tego samego z innymi, *ad infinitum*, t. j. jąć się zadania niemożliwego. Tem przeświadczeniem trapiący, Hamlet nie może się zdobyć na czyn, czuje bowiem, iż tym czynem nie »przywróci do normy« tego świata, który »wyszedł z formy«.

Epokę w hamletologii stanowiło w r. 1849 olbrzymie 4-tomowe dzieło Gervinusa o Szekspirze. Ale mylili się, koby sądził, że sławny profesor heidelberski (mistrz Klaczki) występuje jako obrońca dobrej sławy królewicza duńskiego. Rzecz się ma właśnie przeciwnie. Według studyum Gervinusa, Hamlet ukazuje się nam, jako »mężczyzna dojrzały, otyły, krótkiego tchu, temperamentu spokojnego, cichego, flegmatyk«, podobny do jakiegoś niemieckiego profesora dawnej daty, bez złości, o naturze »ciężko poruszalnej«, który, choć posiada dowcipno-satyryczną i elegijno-sentymentalną żyłkę, nie puściłby się — dzięki

swemu cichemu niewinnemu usposobieniu — na grzeszki młodości Henryka IV, boby go od tego odwiodły ostatecznie »łagodne cnoty«, oraz delikatne i miękkie uczucia, które mu są właściwe. Jeżeli królówicze nie może przez pięć aktów tragedji zdobyć się na zabicie swego stryja, to dzięki swej flegmatycznej naturze, a także i dlatego potrosze, że zbyt ściśle rozważa wyniki tego kroku, że — jak niemiecki profesor — boi się być niesumiennym i zbyt pochopnym, że jest zbyt roztropny i oględny, że w wykonaniu dzieła chce iść na pewno i ostrożnie, a przytem sumiennie. Pod względem inteligencyi jest to głowa genialna; jego monologi są arcydziełami rozmyślenia; jak prawdziwy uczony, prowadzi notatki, a w 30 roku jeszcze się wydziera do wszechnicy; przyczem nietylko zna się na teatrze, ale sam jest poetą i aktorem. Nie znaczy to, żeby był bardzo sympatycznym, choć jest to prototyp człowieka nowożytnego. Jest to idealista, który nie dorósł do świata rzeczywistego.

Jeszcze surowiej, niż Gervinus, osądził charakter Hamleta Kreyszig. Dla niego jest królówicze duński, krótko mówiąc, moralnem zerem, człowiekiem, który metodycznie i z zimną krwią poświęca np. szczęście ukochanej. Gdzie należy dobyć sztyletu dobywa notatnik; gdzie godziłoby się powiedzieć: »Śmierć zbrodniarzowi!«, mówi: »Adieu, adieu, pamiętaj o mnie!«; a wogóle nie ma ani odrobiny »sily postanowienia«. Jest w naszym języku doskonale wyrażenie, które najlepiej określa to, co o Hamlecie mówi Kreyszig: »wykręcać się sianem«. Hamlet, zdaniem tego krytyka-Zoila, czyni to bezustannie. »Od sceny do sceny uwagi jego stają się dowcipniejsze, głębsze, a tymczasem sumiennosc jego schodzi do słabości zaledwie osłoniętej, od słabości do sofistycznego przekręcania wszystkich, najprostszycy podstawowych pojęć, aż wreszcie dowcipna czulostkowość dochodzi do czynów, których moralnemu rodowodowi trzeba się przypatrzeć bardzo ściśle, by je odróżnić od występku«.

Jeszcze gorzej trzyma o Hamlecie, jako człowieku, Rohrbach. Ten się poprostu pastwi nad królówiczem. Udaje waryata! Cóż za szkoda, że był następcą tronu! Mógłby zrobić majątek, jako aktor! »Zdawałoby się, iż udawanie szaleńca powinienby rozpocząć przed stryjem lub co najwyżej z matką. Bynajmniej. Rozpoczyna od niewinnej Ofelii. Dlaczego? Z tchórzostwa. Jak okrutne było jego zachowanie się względem Ofelii, a tymcza-

sem cóż za napuszone frazesy wygłasza nad jej trumną! Dlaczego? Bo to tanie i nie kosztuje nic prócz trochy tchu». Wogóle, gdzie chodzi o słowa, o szumne a puste frazesy, tam Hamlet umie »działać«. Oslawiony monolog: *To be or not to be*, któremu zazwyczaj »grubo za wiele przypisują wartości«, nie jest w niczem wyższy od innych, chyba w tem, że jest całkowicie ogólnikowym. Hamlet boi się śmierci, a raczej tego, co następuje po niej. Jest to pokrywka tchórzostwa. »Monolog ten nazywają *point* całego dramatu, prawdopodobnie dlatego, że jest tak czysto filozoficzny. Lecz za wiele przypisują mu doniosłości. Dlaczego? Bo się zaczyna od zagadkowego: »Być albo nie być«. To brzmi tak interesująco! Ludzie są osobliwi i mają swoje fantazyje. Wielu nie wie nawet, co te słowa znaczą... Gdy sztuka w teatrze dochodzi do tego monologu, możesz zauważyć, jak słuchacze natychmiast nadstawiają uszy. Weszło to w zwyczaj, żeby uważać to za doniosły ustęp«. Tymczasem Hamlet jest to sobie zwykły słabeusz, a przytem gaduła, który wciąż papie więcej, niż potrzeba: gdyby chciał jąć się dobrze dzieła, nie trzymałbyby przynajmniej języka za zębami? Przy każdej sposobności musi wypalić mówkę, nawet w tak dramatycznych chwilach, jak po zabiciu Poloniusza. Wogóle jest to »bohater« słaby i gadatliwy, który, choć filozofuje doskonale, od wszystkiego przecieź, co ma zrobić, cofa się, zwłaszcza, gdy trzeba to zrobić wśród białego dnia. Lubi noc i jej tajemniczość. Względem Ofelii okazuje się bez miłości i wdzięczności, aż do grubiaństwa. Nad jej mogiłą jest dziecinnie niedołężny, choć potrafi być okrutnym i mściwym, czego dowiódł swem postępowaniem z Rosenkrancem i Gildensternem. Godny syn ojca-gadatywusa i słabej matki. Nawet ambitnym nie jest; będąc nim, nie pozwoliłby, jako prawy następca tronu, żeby korona spadła na stryja. Nadto, nie będąc sam żadnym chwały, zazdrościł jej innym.

Inaczej zapatruje się na charakter Hamleta Vischer, sławny estetyk. Według niego, Hamlet, choć grzeszy nadmiarem refleksyi, zawsze jest wielkim, szlachetnym, rzetelnym, jednym z tych, którzy są za dobrzy, za nieszczęśliwi, by zostali sprawiedliwie ocenieni przez ludzi. Jako żyjący w świecie złym i zepsutym, ma prawo pogardzać nim, a Szekspir, jeśli się ośmielił środkową postacią dramatu uczynić bohatera, który wciąż waha się i odkłada, to z całą świadomością postawił go

w takim otoczeniu; gdyby tego nie był uczynił, nie byłoby dramatu, Hamlet nie byłby postacią tragiczną. Tymczasem, dzięki konfliktowi, wymyślómemu przez poetę, tragedia robi wrażenie śrubby, przykręcającej się coraz szczelniej i szczelniej, która ostatecznie zmusza biernego i wciąż cofającego się bohatera do takiej reakcji, że w końcu i śruba i jej ofiara rozpadają się na atomy. Co zaś do charakteru Hamleta, to jest to w gruncie rzeczy natura gwałtowna, podobna do wulkanu, którego cała gwałtowność istnieje wewnątrz, nie zewnątrz: na zewnątrz wyrzuca tylko różnokolorowe światła, skry dowcipu, błyskawiczne mignięcia; straszliwy potok lawy wybucha tylko od czasu do czasu, zawsze z fatalnym skutkiem, wewnątrz jednakże słychać ciągle grzmot i ryk, świadczące, że zaparta siła nie może sobie znaleźć ujścia. Zaporą, tamującą to ujście, jest zbytńia przewaga refleksyi, co jest naturalnem zupełnie, zważywszy, że samo myślenie nigdy nie wiedzie do działania: niema mostu od myślenia do spełnienia myśli. Przejście od myślenia do działania jest irracjonalne: jest to skok, przerwa w łańcuchu bez końca. Tylko awanturnicza siła daje rozstrzygnięcie, wyzwolenie, tak, że nakoniec wylatują podwoje, a co jest wewnątrz, wylamuje się na zewnątrz — jak Minerwa z głowy Jowisza — jako czyn, i staje się rzeczywistością. Tej awanturniczej siły, korzystającej z pierwszej sposobnej chwili, a nie namyślającej się, czy następna nie będzie sposobniejszą, brak Hamletowi. Niema dlań nic straszniejszego, jak słowo *teraz*. Dlatego zwleka, odkłada.

Zdaniem Flathego, Hamlet jest już, jako młodzieniec, olbrzymem pod względem męzkiej śmiałości i męzkiego uporu; wzył się w świat duchowy, a będąc idealistą z natury, roi początkowo, że świat powinien być czystym zwierciadlanem odbiciem idei, a życie musi płynąć na podobieństwo niewinnych fal przeźroczyściego potoku. Takie były jego marzenia i ideały młodzieńcze, które gdy runęły, jak piramida z kart, przy bezpośredniem zetknięciu się z rzeczywistością, Hamlet daje się opanować najzupełniejszemu zwątpieniu i opadają mu skrzydła; w końcu dochodzi do wniosku, że świat i życie nie są warte zgnilego jabłka. W tem tkwi istotna przyczyna, która go powstrzymuje od wystąpienia przeciw królowi: jest przekonania, że nie warto się silić na dokonanie tej zemsty, której i tak ostatecznym rezultatem byłoby — *nic!* Nicby się przez nią nie

zmieniło, ani na świecie, ani w Danii. Więc po co się silić nadaremnie — dla niczego! *Vanitas vanitatum!*

Dla wielu krytyków, zwłaszcza niemieckich, Hamlet jest uosobieniem *Weltschmersu*. Stanowczo przeczy temu Friesen: dla niego najwydatniejszą rolę w zmianach nastroju u królewicza stanowią ból i utajona wściekłość ze zgryzoży, które mu sprawiła matka. Uczucie delikatności, wrażliwość dworaka i kochającego syna, obrażone, buntują się wobec postępu królowej. Stąd wszystkie smutki Hamleta. A co było przyczyną, że tak zwlekał z zabiciem Klaudiusza? Bądź co bądź, kunktatorstwo nie jest rysem charakterystycznym Hamleta. Jeśli się waha i zwleka, to dlatego, że działa rozważnie, oceniając trudność spełnienia tego czynu. Jego zwlekanie jest to »zawikłany splot, zadzierny pobudek wrodzonych, leżących w głębinach charakteru, i pobudek, wynikłych z wychowania i wykształcenia«.

Niemniej dodatnimi są ostateczne wnioski, do których doszedł Hebler, lubo i on zarzuca Hamletowi »spaczony nałóg zastanawiania się, które można nawet ochrzcić mianem transcendentalnego, skoro wychodzi poza obręb wszelkiego rozumnego, praktycznego roztrząsania«. Swoją drogą na usprawiedliwienie królewicza i jego »myślenia zbyt ścisłego o wyniku« godzi się podkreślić trudność sytuacji, w jakiej się znalazł, i nie należy zapominać, że Hamlet znajduje się w położeniu osobiwem nad wszelki wyraz, że włożono nań zadanie bardzo niezwykle. O tem nie pamiętało wielu krytyków, choć byli tacy — powiada Hebler — co najmniej potrzebniej i najniewłaściwiej starali się z Hamleta uczynić rzecznika protestantyzmu, co politykę mieszało do estetyki, co dowodzili, że Hamlet to protestantyzm, że Hamlet to Niemcy, etc. etc. Tymczasem Hamlet to poprostu — tylko Hamlet, i nic więcej!

Nauuczka ta, dana Niemcom wogóle, a niektórym krytykom niemieckim i zbyt zagorzałym protestantom w szczególności, nie odnosi się do Doeringa, który bez żadnych ubocznych celów widzi w Hamlecie przede wszystkim pesymistę. Jest to przedzierzgnięcie wybujałego idealizmu w zgorzkniały i namiętny pesymizm. Wywołały go: zamęczenie matki i dwulicowość Ofelii. W każdym razie ten pesymizm Hamleta — idealisty w gruncie rzeczy — nie jest przekonaniem, lecz chwilowym nastrojem, usposobieniem; to nie wynik długiego rozumowania, lecz skutek kilku żywszych a dotkliwych wrażeń.

Wskutek tego Hamlet widzi wszystko w czarnych kolorach, świat nazywa złym, nie wierzy w cnotę, a nie uznając ciągłości trwania porządku moralnego, jest konsekwentny, kiedy się nie poczuwa do konieczności przywrócenia go.

Jeszcze inaczej zapatruje się na Hamleta Sievers, dla którego książę jest przedstawicielem ducha w człowieku, świadomego swojej boskiej zdolności. Jako taki, szuka ideału wprost w życiu, w moralnych stosunkach człowieka do człowieka, w przewodze ducha, a przede wszystkim w moralnym poczuciu jednostki. To też, w swem pożądaniu i poszukiwaniu ideału, idzie wprost do świata, od niego żądając, aby mu okazał swój ideał urzeczywistnionym. W świecie, w realnym życiu, pragnąłby znaleźć rękojmię dla swej najgłębszej świadomości, dla swojej wiary w człowieka. Słowem, jest to rycerz najwyższych wymagań moralnych, jakie umysł ludzki stawia życiu; za czem idzie, iż jest to człowiek dzielny, prawego serca, energiczny (a ten ostatni rys, zdaniem Sieversa, zawdzięcza przewodze pierwiastku duchowego). Niemniej pewnem wydaje się Sieversowi, że Szekspir stworzył Hamleta »w duchu nawskróś germańskim«: brat to duchowy Werthera, a jeszcze bardziej Fausta. Cała tragedia jest przedstawieniem męki i niemocy ducha, który stanął w rozterce ze światem i stracił punkt oparcia.

Wbrew utartemu pogładowi, iż Hamlet nie jest zdolny do czynu, znalazł się jakiś bezimienny, a przenikliwy i subtelny krytyk, który dowodzi — w jednym z roczników niemieckiej *Shakespeare-Gesellschaft* — że Hamlet, owszem, może uchodzić za wzór, jak się szybko decydować należy, czy to, kiedy zabija Poloniusza, nie wahając się ani chwili, czy kiedy z szybkością postanawia posłać Rosenkranca i Gildensterna na śmierć, czem dał dowód, iż jest zdolnym nawet do żwawej, chłodnej decyzji. Wszystko to nie są postęпки człowieka, który od zbyt wielkiego rozmyślenia, spekulacji, nie może doprowadzić się do stanu, w którym rodzi się czyn. »Nie miałyby siła działania i *namiętność* zgadzać się zawsze jedna z drugą?«

Na ten wyraz *namiętność* położył wielki nacisk w rozbiórce charakteru Hamleta Oehlmann, który ośmieszyszy braci-krytyków, że krwawo pracują, aby każde dzieło Szekspira przedystylować w jakąś podstawową ideę, wykazuje, że główną i podstawową *namiętnością* Hamleta jest owo znamię szlachetności, które widnieje w tyłu bohaterach Szekspira: naj-

szczersza prawdomówność, miłość prawdy, sumiennosc, poczucie tego, co stosowne i sluszne. Jest to natura do gruntu szlachetna, rzetelna i sumienna, »zwierciadło obyczajów i wzór formy«, i to jest powód, dlaczego się tak nie posiada na widok nagłych zaślubin matki. Z tego rysu da się wyprowadzić jego chwiejność, jego niemożność szybkiego zdecydowania się na zabicie króla (ale tylko króla, bo na zabicie Poloniusza lub Rosenkranca i Gildensterna decyduje się w mgnienu oka). On przedewszystkiem dąży do czystości, do sumiennosci i slusności, a z tem dążeniem zbyt łatwo połączył drugi rys: pochop do wynajdywania zarzutów przeciw każdemu postanowieniu, każdemu planowi, wymagającemu stanowczego działania. Z tymi pierwiastkami jego charakteru łączy się i ocienia je zdumiewający umysł, który mu daje możność (i w tem leży tragedia) widzieć na wylot wszystko i sądzić wszystko trafnie — wszystko, tylko nie siebie, tylko nie swoją nieprzewycięzoną skłonność do wahania się z jej koniecznymi następstwami.

Całem nieszczęściem Hamleta, według Bodenstedta, jest to, że jego talenty i skłonności wymagają zupełnie odmiennej dziedziny działania, aniżeli ta, w jakiej się urodził. W tem leży jego tragiczność. Ma poczucie artystyczne i filozoficzne zdolności, swoją drogą można być pewnym, że nie dokonałby żadnego ważniejszego dzieła, ani jako artysta, ani jako filozof. Zamiast być panem, jest niewolnikiem swoich zdolności; jego talenty stają się dlań zgubą. Ażeby z nich skorzystał, trzeba energii; tej Bodenstedt nie widzi w Hamlecie.

Da się to łatwo zrozumieć, jeżeli, jak twierdzi Zimmermann, uwzględni się wpływy dziedziczne: Hamlet jest nieodrodnym dzieckiem swoich rodziców: słabość, opuszczenie się, wziął po matce, kiedy dowagę tymczasem, często junacką i nierozważną, której dał dowód, wskakując na okręt piratów, wziął po ojcu, który był przedewszystkiem odważnym rycerzem, nieustraszonym w bitwach z Polakami. Namiętna skłonność do chodzenia krętymi drogami, do intryg, do podkopywań się pod minierów, to rys charakteru, który także cechuje jego stryja.

Dla Wernera jest Hamlet »pytaniem rzuconem przeznaczenu«, jest to pierwsza część dzieła podobnego do arabskiego poematu, księgi Job, poważne i uroczyste przeciwstawienie dobra i zła, z których żadne nie wychodzi zwycięsko; jest to zagadka bez odpowiedzi, sfinks. Szekspir *chciał* go mieć takim.

Czego innego dowodzi Stedefeld. Twierdzi on, że Szekspir *chciał* w *Hamlecie* wystąpić przeciw sceptycznemu i kosmopolitycznemu pogładowi na świat Montaigne'a, że pisząc tę tragedję, *chciał* w *Hamlecie* wyzwolić się od wrażeń, jakie pozostawiło w jego umyśle czytanie książki francuskiego sceptyka. Dlatego Hamlet, *stosownie do zamiaru poety*, jest w całym zachowaniu się istotą mężką, szlachetną, rycerską, z poczuciem moralnym i religijnem, o inteligencji świetnej, z wielką znajomością ludzi i świata, z wykształceniem pierwszorzędnem, istotą jednak, której nie dostaje chrześcijańskiej pobożności, wiary, nadziei i miłości. Jest niedowiarkiem. Wiarę swą, którą posiadał niegdyś, stracił w chwili, kiedy się rozwiły jego marzenia i ideały młodzieńcze, kiedy się przekonał, dzięki swej matce, jak zło panuje na świecie. Odtąd stał się sceptykiem względem sprawiedliwej opatrności, ale jednocześnie popadł w rozterkę ze sobą, z Bogiem, ze światem.

Nierównie głębszem jest studyum Snidera, tem oryginalne, że w niem owa nieudolność działania, tak powszechnie przypisywana Hamletowi, jest przedstawiona, jako pozorna tylko. Hamlet, zdaniem Snidera, jest przedziwnie gotów do zrobienia pewnych rzeczy; natomiast innych nie chce uczynić i nie może doprowadzić siebie do ich wykonania, potrafi się zdobyć na czyn, wywołany chwilową podniecią, pod wpływem pierwszego impulsu, skoro niema czasu na zastanawianie się; ale tego, co zowiemy działaniem racjonalnem, nie posiada. Natomiast posiada to, co zowiemy działaniem *in minus*, t. j. zdolność udaremnienia zamiarów wroga. Tego najwyższego zjednoczenia, którem jest zjednoczenie Inteligencji i Woli, a które działaniu nadaje najwyższą postać, Hamlet nie posiada; to też można powiedzieć o nim, że w tragedji działa i nie działa.

Inną jest opinia Mezières'a o *Hamlecie*. Jego zdaniem, królewicz należy do tej klasy nieszczęśliwych dusz, którym znane są tylko ciemne strony ludzkiego życia, których temperament melancholiczny i bardzo bystra przenikliwość czynią czulszymi na zło, dokuczające naszej naturze, niż na dobro, które nam przypada w udziale. Hamlet, choćby nie ujrzał straszliwego widma, nie byłby ani szczęśliwym, ani spokojniejszym. Jest to istota, która wnosi do walki życiowej potęgę, potrzebną do cierpienia, lecz nie ma siły do zwyciężenia go. Nadto nieustanna praca myśli, namiętne rozważanie wszystkich *sa*

i *przeciw*, wszystkich *dla czego* i *po co*, wyczerpują tę chorobliwą, a nadmiernie wrażliwą duszę. Jeżeli nie działa, jak działać powinien, żeby pomścić śmierć ojca, to dlatego, iż sobie zdaje sprawę z odpowiedzialności, jakaby spadła na niego, i z wyrzutów sumienia, jakie musiałyby nastąpić po czynie, gdyby się pomylił. Podobnych skrupułów doznaje każdy sędzia, mający kogoś skazać na śmierć — jedynie na podstawie świadectw prawdopodobnych. Przytem ma wstręt do mordu, wzdryga się na myśl o mężobójstwie, którem gardzi jego szlachetne i rycerskie serce. Nie zabija, bo nie posiada temperamentu zbira.

Według Taine'a, Hamlet to dusza delikatna, wyobraźnia namiętna, jak samego Szekspira. (To samo przed Tainem twierdził Chasles, utrzymujący, że Hamlet to Szekspir, jak Mizantrop to Molière). Jego historia to opowieść o zatruciu moralnem. »Na tę duszę, którą wrodzone zadatki i wychowanie uczyniły wrażliwszą od drugich, spada nieszczęście, nadzwyczajne, przytłaczające, jakby wybrane do zniszczenia wszelkiej wiary i wszelkiej sprężyny działania: zblizka, za jednym rzutem oka, ujrzał całą ohydę człowieka, i to w osobie własnej matki. Dotknięty takim ciosem, musi stracić równowagę psychiczną. Jakoż traci ją. Przez cały ciąg tragedyi, pod wpływem »przerażającego napięcia całej maszyny nerwowej«, jest blizkim szaleństwa; znajduje się w stanie, zwiastującym napad połowicznej monomanii; chwilami rzuca »wrażenia dziecka i idyoty«; nie jest panem słów; czcze wyrazy wylatują mu z ust, jak w sennem marzeniu. Oczywiście, że jest to stan chorobliwy, »człowiek ten nie pociągnie długo«. Tem się tłumaczy jego postępowanie: jego wola, jak jego nerwy, jest chora, skołataną; nie jest panem swych postępów, wydarzenia mu je nakazują: dlatego »nie może obmyśleć mordu, musi go zaimprovizować«. Wogóle jest to dusza poety, która jest stworzona nie do działania, lecz do marzenia, która zatapia się w rozpatrywaniu marzeń przez siebie wymyślonych, a zbyt dobrze widzi świat wyobraźni, aby móżdżek jakąś rolę odegrać w rzeczywistym; jest to artysta, którego zła dola uczyniła księciem, a jeszcze gorsza — mścicielem zbrodni, artysta, przeznaczony na geniusza, a którego los skazał na szaleństwo i nieszczęście.

Mniej efektowną, ale kto wie, czy nie głębszą od powyższej, jest opinia innego Francuza, Courdaveaux, dowodzącego, że Hamlet, w którym trudno dopatrzeć się cech germań-

skich, zarówno jak i jakiegoś podobieństwa do zniewieściałego Werthera, nie odznacza się ani jakąś miękkością serca, która jakoby go miała uczynić niezdolnym do spełnienia *bohaterskiego* czynu, ani mu brak odwagi, potrzebnej do spełnienia obowiązku; na to bowiem, ażeby zabić Klaudiusza, posiada aż nadto śmiałości. Jeżeli się *sam* niekiedy oskarża o te braki, to czyni to w chwilach uniesienia i namiętności. Ale nam nie wolno przytaczać *jego własnych słów* przeciw niemu; nie wolno brać dosłownie, co *on sam* mówi na swoją niekorzyść; nie wolno go stawiać *samego przeciw sobie*. On musi być sądzony z całego postępowania i na mocy tego, co mówią o nim ci, co go znają od dawna. A czyliż z ust kogokolwiek, prócz jego własnych, pada choćby słowo, oskarżające go o brak odwagi?... Jeżeli się ociąga z zabiciem Klaudjusza, to nie dlatego, żeby nie miał dość odwagi do spełnienia bohaterskiego czynu, ale dlatego, że czyn, który ma dokonać, z bohaterstwem — wbrew wyrażeniu Goethego — nie ma nic wspólnego. Zabicie człowieka, to nie jest »wielki czyn«, do którego wysokości Hamlety aż nie dorósł. Jest to zobowiązanie straszliwe, do którego on, ze swą duszą delikatną, jeszcze wysubtelnioną przez wychowanie i umysłową kulturę, nie jest stworzony. Nie jego rzeczą knuć spiski mordy, a potem zabijać z zimną krwią¹⁾.

Co innego twierdzi Montegut, dla którego Hamlet jest nie tylko jednym z najbardziej męzkich charakterów, jakie sobie można wyobrazić, ale jest to prócz tego ostatni z feodałów, a pierwszy z ludzi nowoczesnych; to osobistość, w której czujemy drganie nowożytnego ducha, w której poznajemy siebie, a która jednocześnie wylania się z wieków średnich, tak, iż cień tej epoki jeszcze unosi się nad nią. Hamlet, zamieszkujący naszą wyobraźnię, jest fałszywym, bo wyobrażamy go sobie czułościowym, ponieważ prawdziwy jest melancholijny; miękkim, że nie stanowczym; prawie niewieścim, że medytacyjnym i subtelnym w myślach; tymczasem prawdziwy Hamlet jest rozmyślający i energiczny, męzki i niezdecydowany, rzewny

¹⁾ Wbrew przeciwnej opinii pod tym względem jest Taine, który pisze: »Jeżeli waha się, czy zabić stryja, to nie przez wstręt do krwi i *nie przez skrupuły nowożytne*. To syn XVI w.; świadczy o tem postępek z Rosenkrancem, Gildensternem i Poloniuszem. Jeśli raz oszczędził stryja, to dlatego, że go zastał na modlitwie, bał się tedy posłać go do nieba«.

i grubiański. Jest to dusza szlachetna i filozoficzna, lecz zarazem feodalna i twarda. Prócz tego jest wielomówny, pełen wylania. Kiedy mówi, to dużo i długo, jak człowiek, któremu nigdy nie przerywano i którego stanowisko nie pozwala na zaprzeczenie. Trochę się kocha w dyletantyzmie słowa: lubi się słuchać. Nadto jest księciem w każdym calu, który umie być popularnym. Nie jest przytem, jak się zdawało niektórym, filozofem sceptykiem; przeciwnie, jest to dusza religijna, umysł chrześcijański.

Inaczej stawia kwestyę Tieck. Jego zdaniem, Klaudyusz, potomek bohaterskiego rodu, choć przeważają w nim, jako w człowieku, rysy złe i nikczemne, jako król panujący, posiada mnóstwo doskonałych przymiotów: jest mocny, rośli, przystojny (nawet duch starego Hamleta zwie go »pociągającym«), posiada zachowanie królewskie, a na tronie zasiadł prawowicie, przez zaślubienie dożywotniczki-królowej, wybrany przez cały naród; wybrany zaś, dzielnie piastuje swój urząd. Wobec tego, zadanie młodocianego Hamleta nie jest łatwym; to też Hamlet nie tyle ociąga się, ile walczy z trudnościami, które są prawie nie do przezwyciężenia.

To samo twierdzi Klein, który wskazując trudności zadania Hamletowego, podkreśla okoliczność, że zbrodnia została popełniona bez świadka. »Zgrozą tej zbrodni jest jej pewność; zgrozą tego morderstwa — iż zamordowało samo odkrycie«. Stąd niepodobieństwo zemsty, bo brak materialnego dowodu, któryby ją usprawiedliwił wobec całego narodu. Zabijając Klaudyusza, Hamlet mógł ściągnąć na siebie miano królobójcy, nie mściciela za śmierć swego ojca. Dlatego pozorna bezczynność Hamleta jest »cudowną, zadziwiającą logiką, dyalektyką«.

Najświetniej rozwinął ten pogląd Werder, którego praca stanowi prawdziwą epokę w hamletologii, a który bardzo słusznie utrzymuje, że Hamlet nie chcąc się narazić na miano królobójcy, musi przed zabiciem Klaudyusza wpierw ujawnić i dowieść światu, iż Kladiusz był mordercą swego brata-króla. To jest niepodobieństwem; zbrodnia, jak płatek śniegu, wpadła w morze ludzkiego życia, stająca; zwierciadlana toń wygładziła się, wszystko poszło swoim torem. Świadectwo ducha jest wystarczającym dla synowskiego sumienia; nie wystarcza dla świata, dla Danii. Zabić króla, to mógłby Hamlet uczynić bardzo łatwo; ale co potem? Zwołać cały dwór i lud razem, i obwieścić im,

co go skłoniło do zabicia króla. Niktby mu nie uwierzył, a wszyscyby go osądzili jako waryata, wizyonera. Zresztą i sam duch nie żąda śmierci króla, lecz zemsty. Dlatego zadanie Hamleta polega nietyle na zabiciu króla, ile na tem, iżby go zmusić i doprowadzić do wyznania, słowem zdemaskować go, bo tylko usta zbrodniarza samego mogą wypowiedzieć całą prawdę. Cóż z tego wynika? Oto, że Hamletowi musi zależeć więcej na życiu króla, niż na jego śmierci.

Jeszcze inaczej, a niemniej przekonywująco, zapatruje się na Hamleta Rümelin. Według niego, sposób postępowania królewicza jest zagmatwany, a czyny nieodpowiednie zamierzonemu celowi; ażeby pomścić śmierć ojca, wybiera dziwne i niezrozumiałe środki. Czemu przypisać to zwlekanie i niezdecydowanie się Hamleta? Czemu? Odpowiedź nasuwa się bardzo łatwo: przedewszystkiem zwłoki są niemniej potrzebne w tragedyi, jak w życiu; a powtórę, gdyby Hamlet dokonał zemsty niezwłocznie po ukazaniu się ducha, dramat skończyłby się na drugim akcie. Można być pewnym, twierdzi Rümelin, że Szekspir, gdyby w *Hamlecie* zamierzał wyrazić niemoc i nieudolność do stanowczego działania, które stało się charakterystem od zbytelnego myślenia, byłby malował o wiele wyrazistszemi barwami. Zagadkowość Hamleta, nad którą tytu krytyków łamało sobie głowy, jest poprostu niedoskonalością dramatu, jako dramatu. Szekspir, który zwykł malować pendzlem Rubensa, wyraźnie i otwarcie, tym razem napisał dzieło, które sprawia wrażenie czegoś zaplątanego i sztucznego. Gdyby *Hamlet* był lepiej napisany, nie byłby takim sfinksem. Świetny w tych miejscach, gdzie jest nasiąknięty myślami i poglądami samego Szekspira, myślami jednak, które, luźno wplecione w dramat, najczęściej nie pozostają w organicznym związku, ani z dramatyczną treścią, ani z przebiegiem akcji, jest, jako budowa, jako kreślenie charakterów i postaci, o wiele słabszym od innych dramatów Szekspira.

To samo twierdzi Benedix, z tą różnicą, że jego zdaniem *Hamlet* jest, krótko mówiąc, bardzo słabym utworem, pełnym grubych błędów w kompozycyi sztuki, błędów, które są najlepszym kluczem do wyjaśnienia niezrozumiałości Hamleta. Przedewszystkiem sztuka zawiera — zdaniem Benedixa — cały szereg epizodów niezwykłych i zbytelnych, nie mających najmniejszego wpływu na przebieg akcji, a nawet

nie stojących w żadnym logicznym związku z tą akcją. Takim niepotrzebnym epizodem jest np. poselstwo do Norwegii i jego powrót; ani cel, ani wynik tej wyprawy nie posiadają dla nas t. j. w tragedyi, najmniejszego znaczenia i interesu; tymczasem tygodnie, a może miesiące przechodzą, zanim posłowie wrócili, a czytelnik musi czekać, aż powrócą. Drugim niepotrzebnym epizodem, jest wyjazd Laertesza. Długie nauki, jakie Poloniusz daje Laertesowi, są pozbawione wszelkiego charakteru dramatycznego, a z akcją nie mają najmniejszego związku. To samo można powiedzieć nietylko o wyjeździe Rejnalda, ale i o Fortynbrasowej wyprawie do Polski, co jest niemożliwe bez okrętów, czyli, że znowu muszą upłynąć miesiące, zanim powróci, a my znowu musimy czekać na ten powrót. Również zbytecznym, a niepotrzebnie przedłużającym akcję, jest wyprawienie Hamleta do Anglii (znowu podróż!), przypadające w chwili, kiedy akcja zapowiada się żywiej, a zmierza ku rozwiązaniu. Dzięki tej podróży, znowu musimy czekać na powrót bohatera. Tym sposobem musimy patrzeć, jak w sztuce wyjeżdżają cztery osoby, a wyjeżdżają na to, ażeby powrócić w końcu. Gdyby nie te niepotrzebne podróże, akcja nie wleklaby się, kilka miesięcy, co by się równało energicznemu i stanowczemu działaniu Hamleta. Bo królewicz, jeżeli nie od razu zabija króla to tylko z powodu tych 5 niepotrzebnych epizodów. Jeśli usuniemy te epizody wojażerskie, akcja potrwa kilka dni, a zagadkowość i niestanowczość Hamleta pierzchną, znikną: zagadka będzie rozwiązana. Z drugiej strony Hamlet wcale niestanowczym nie jest: celem pozbycia się wątpliwości, urządza przedstawienie, osiąga pewność i natychmiast zabiera się do dzieła i przebija Poloniusza, wzięwszy go mylnie za króla. Gdzież tu niestanowczość?... Za to nie ulega wątpliwości (zdaniem Benedixa), że Szekspir wogóle nie będąc konsekwentnym w kreśleniu charakterów, szczególnie w *Hamlecie* jest nim mniej, niż gdzieindziej. Ta niekonsekwencja stała się dla wielu szekspiromanów — głębokością. Np. stosunek do Ofelii: Hamlet ją kochał szczerze i gorąco; tymczasem *w udanej chorobie* postępuje z nią sromotnie. A Laertes? Zrazu jest rycerzem uczciwym i szlachetnym, a potem godzi się wziąć potajemnie rapir z ostrym końcem, a nawet zatruć ostrze. To samo trzeba powiedzieć o obłąkaniu Ofelii, które jest nieumotywowane (jak np. obłąkanie Małgosi w *Fauscie*). Ofelia umiera niepotrzebnie;

Hamlet również. Pod względem literackiej roboty, t. j. techniki, *Hamlet* jest jedną ze słabszych sztuk Szekspira. Duch zjawia się dwa razy w I akcie. Po co? Raz byłoby dosyć. Ma pomówić z samym Hamletem; przeto pierwsze zjawienie się jest zbyteczne. Niemniej błędnym jest pojedynek między Hamletem a Laertesem, osobliwy pojedynek, w którym walczący wśród największej *Hitze des Gefechtes* ni stąd ni zowąd — zamieniają szpady. Jestże to możliwem do pojęcia. »Gdy kto umie robić orężem, nigdy go w boju nie wypuści, a nawet, gdyby to było możliwe, nie zaprzestałby Laertes walki pod tym lub owym pozorem, skoro wiedział, że najłżejsza ranka zatrutym rapierem w dłoni Hamleta zada śmierć niechybną«. Zakończenie *Hamleta* jest równie słabe, jak ostatnia scena V aktu *Romea i Julię*. Na scenie zjawiają się zgola nieznanne osoby, ażeby wypowiedzieć około 50 wierszy. A cóż nas obchodzi śmierć Rosenkranca i Gildensterna? Co nas obchodzi Fortynbras i poselstwo angielskie? Co nas obchodzi następstwo tronu duńskiego? Co nas może obchodzić to wszystko, skoro Hamlet nie żyje!...

Bardzo oryginalnem jest to, co Becque, autor *Paryżanki*, mówi o Hamlecie. Jest to typowy pogląd Francuza, wygłaszającego sąd o pisarzu nie francuskim. Dla Becque'a *le véritable Hamlet* jest człowiekiem bolejącym i zmiażdżonym, takim, co pyta się obłoków, przechadza się po cmentarzach, słowem, człowiekiem powszechnej pustki, lubiącym wciąż prawić o swoim wielkim smutku. Jednocześnie jest to dyletant, a dyletantyzm ten posuwa niekiedy aż do okrucieństwa, do bezbożności. W dyletantyzmie swym jest prawdziwym wirtuozem, który zawsze *gra* sytuację, w jakiej się znajduje, a przytem zawsze panuje nad sobą, zawsze ma najwyższą świadomość tego, co robi. Pod tym względem różni się od całego otoczenia, złożonego z przestępców i zapaleńców. Posądzać go o obłąd jest nonsensem. Jeżeli Hamlet w niektórych scenach udaje, t. j. gra waryata, to nie jest to nic innego, jeno najzwyczajniejszy środek teatralny; »jest to poprostu życie sztuki«, będące tem dla charakteru Hamleta, czem serce dla dzwonu; bez niego niema życia, z niem Szekspir rozporządza sceną i publicznością. Czemu Hamlet nie może się zdecydować na zabicie króla? To nie jest czyn jakiś ponad jego siły; to samo działanie wydaje mu się próżnem, jałowem i marnem; gardzi niem filozoficznie. Zrozumieć trudno, jak mógł Goethe nazwać »wielkim czynem«

zemstę, którą ma wykonać Hamlet. Jako człowiek, jest to »największy *bohème* wszystkich stuleci razem«, giętki i ruchliwy, mazgaj i mistyfikador, poeta, filozof, anarchista, wróg płci niewieściej. Najmniej jest księciem, zwłaszcza takim, jak go pojmuje Goethe, który w nim widzi jakiegoś młodego Ludwika XIV, członka rady państwa i dworaka. Poeci mają silny wpływ na niego. Zajmowane stanowisko rozwinęło w nim mizantropię, a co ważniejsza, to, iż pozwoliło popisywać się nią: Hamlet nigdy nie odmówi sobie przyjemności powiedzenia komuś impertynencji. Uczucie dla Ofelii w rzeczywistości jest prostą fantazją głowy, miłością literacką, którą zadawała uwagami, zalecankami. Ostateczna konkluzya, do jakiej dochodzi Becque, brzmi jak następuje: »Zostawmy tego męczennika, nie pytajmy go o nic. Cierpi; jest zdrow i cierpi straszliwie. Zrozumcież, iż to poruszenie sztuczne i zewnętrzne (t. j. akcja tragedyi samej) nie wchodzi w rachubę, ono go raczej uspakaja. Cierpi za siebie, za was, za świat cały. Jeśli go chcecie poznać, posłuchajcie go, gdy sam, gdy oswobodził się od mężczyzny i od kobiety, i odrzucił księgę, w której stoją tylko wyrazy. Wtedy cały smutek ludzki wstępuje mu na usta i wypowiada słowa najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek wyrzeczono na scenie«.

O ile studium Becque'a jest typowym wytworem umysłu francuskiego, o tyle elaborat Baumgarta jest typową pracą niemieckiego uczonego i erudyty. Kiedy Becque, z pewnością siebie, właściwą znakomościom literackim francuskim, powiada o stosunku pierwszego wydania *Hamleta* z r. 1603, t. zw. Q₁ do drugiego wydania z r. 1604 t. zw. Q₂, iż »drwi sobie z uczoności, z jej skrupułów, danych« etc. i jest przekonany, że owego młodzieńczego utworu Szekspira, który mamy w Q₁, »nikt nie czytał«; to Baumgart, chcąc dowieść, że *Hamlet* jest skończonym arcydziełem bez zarzutu, oparł się na starych Kanonach poetyki Arystotelesa. Jakże się w tym przykładzie odzwierciedlają dwie odmienne psychologie narodów!

Wystarczy zacytować jeden ustęp z tej pracy Baumgarta, ażeby nabrać wyobrażenia o ciężkim kalibrze tego dzieła erudycyi, w jaką się ten niemiecki uczoney uzbroił, kiedy mu przyszło walczyć w obronie szekspirowskiego bohatera i dramatu. »To, co w Ojdypie sprawia perypetia w połączeniu z poznaniem, w Hamlecie dowodzą właściwości jego charakteru i wła-

śnie najlepsze strony jego istoty przywodzą go do tego, że w swoim działaniu wpada w błąd — ów błąd tragiczny, o którym wspomina Arystoteles w rozdziale 13-tym: błąd ten sprawia, iż Hamlet przez wszystkie kroki w biegu sztuki coraz głębiej brnie w niedolę, która w końcu pochłania przyjaciół i wrogów, osoby trzecie, a wreszcie i jego samego«. Na pytanie: Na czym polega tragizm Hamleta? Baumgart odpowiada w ten sposób: »Jest-li nim jedynie śmierć bohatera zgon tylu innych osób? Czy może zapłata, spotykająca na ostatku króla! Miałyby być tragicznością ukaranie lotra? Lub miałyby cała tragika sztuki polegać na tem tylko, co Arystoteles zowie patetycznym, t. j. na ranach i śmierci, wystawionych na scenie?... Że Arystoteles nie byłby zaliczył sztuki do rodzaju patetycznego, wnet widać z tego, że wątek nie jest prosty, przy którym, bez perypetyi i bez poznania, wypadki, dzięki naturalnemu biegowi rzeczy, muszą wziąć nieszczęśliwy obrót; owszem, wątek jest zawikłany..., sztukę zatem Arystoteles nazwałby powikłaną i etyczną. Dramat więc, zarówno ze sposobu układu wątku, jak i z obrobienia, należy do najpiękniejszej kategorii. W danej fabule zachodzi ten sam przypadek, który Arystoteles zaznacza w Ojdypie: oto czyn, kryjący w sobie tragiczny zasadniczy czynnik nie leży w sztuce, lecz poprzedza jej akcyę, jak w tragedyi Sofoklesa... Tam poznanie dotyczy osób zaprzyjaźnionych, dotyczy spełnienia strasznego czynu — modyfikacya również przewidziana przez Arystotelesa«. Można sobie wyobrazić, jak serdecznie uśmiełby się Szekspir, gdyby te Baumgartowe wywody o swym *Hamlecie* przeczytał.

Na pytanie, czy Hamlet tylko udaje waryata czy nim jest rzeczywiście? — dawano rozmaite odpowiedzi: dla jednych jest rzeczą dowiedzioną przez medycynę, a więc niezawodną, iż Hamlet jest obłąkańcem; inni dowiedli niemniej przekonywająco, że tak nie jest. Dr. Ray dowodzi, że Hamlet jest szalonym o tyle, iż dostrzedz to może nawet powierzchowny obserwator; mimo to zachowuje tyle siły zastanowienia i samokontroli, iż jest w stanie postawić dobrze określony zamiar zemsty, choć go nie potrafi wykonać. »W scenie z duchem mamy podrażnienie bredowe: umysł ugina się pod pierwszym ciosem choroby«. Zdaniem Bucknilla, Hamlet jest chorym, dotkniętym melancholią, melancholikiem rezonującym, chorobliwie zmienionym w porównaniu z poprzednim stanem myśli,

uczuc i postępowania; znajduje się w stanie, który tysiące ludzi przebywa, nie zostając waryatami; jest to okres wylegania się choroby. Wrażenie jednak, żeby Hamlet był prawdziwym szaleńcem, jest błędem. Co innego twierdzi dr. Kellog. Według niego, Hamlet tam, gdzie udaje waryata, jest nim naprawdę. Dowodem scena z Ofelią. »Jakież to udawanie, w którym aktor zadaje gwałt najdroższym swym uczuciom, a rani i rozdziera serce tej, którą kochał tak czule... Ostrowidzowa czujność kobiecej miłości nie mogła się pomylić: Ofelia rozwiązała trafnie zagadkę, która zakłopotła i pomieszała wszystkich krytyków Szekspira. To samo utrzymuje dr. Conolly, dla którego Hamlet jest »poprostu obłąkanym«, a tezy swej dowiódł tak świetnie, że zdołał przekonać wielu krytyków literackich, między innymi kardynała Wisemana, który uważa spór za rozstrzygnięty przez Conollego. Mimo to znaczna większość krytyków, jak Friesen, Baumgart i inni, odrzucają pomieszczenie Hamleta, choćby dla względu czysto estetycznego: bohater dramatu, nieodpowiedzialny za czyny swoje, nie byłby tragicznym.

II.

Jak w Anglii, Niemczech i Francyi, podobnie i w Polsce znaleźli się ludzie, którzy bądź kusili się o rozwiązanie zagadki *Hamleta*, bądź byli dlań z wielkiem uwielbieniem.

Pierwszym, co się nim zainteresował u nas, był nestor teatru polskiego, Wojciech Bogusławski, który *Hamleta* nie tylko przetłumaczył (prozą), »kilka scen według tłómaczenia Schrödera, wiele opuszczonych myśli dodał, a całe przekładanie do najlepszych *francuskich*, a szczególnie do wybornego dzieła Shakespeara przez niemieckiego autora Schlegel przełożenia, starannie zbliżył«, ale go zarazem wprowadził na repertuar swego teatru. Było to we Lwowie, w r. 1797, i odtąd *Hamlet*, który odrazu »sprawił wielkie wrażenie«, grywany był »wielokrotnie, a zawsze z upodobaniem publiczności«.

Drugim człowiekiem w Polsce, który żywił kult dla *Hamleta*, był słynny dziwak podolski, przezwany *dux et redux*, dziedzic »Mińkowieckiego państwa« i Przytułińskich ogrodów, unieśmiertelniony przez Słowackiego we francuskiej powieści *Le Roi de Ladawa*, zarówno jak i w *Beniowskim* (ojciec Anieli), głośny na początku tego stulecia Ścibor Marchocki. On pierw-

szy wydał *Hamleta* po polsku, własnym nakładem, w przekładzie J. N. Kamińskiego, w r. 1805¹⁾. Nie wszyscy półpankowie ukraińscy miewali tak szlachetne fantazje. Może dlatego nazywano Marchockiego — dziwakiem i półglówkiem?

Niemniejszy kult żywił dla Szekspira w ogóle, a dla *Hamleta* w szczególności, Ignacy Hołowiński (Kefaliński), który *Hamleta* pierwszy przełożył wprost z oryginału, sumiennie, z wielkiem poszanowaniem rzeczy, bez żadnych samowolnych zmian i skrótów.

Wiadomo, jak entuzjastycznym wielbicielem Szekspira był Słowacki, w którym *Hamlet* miał takiego zwolennika, iż autor *Balladyny*, będącej spolszczonym *Makbetem*, i *Beatrici Cenci*, tak bardzo przypominającej *Romea i Julię*, pokusił się i o napisanie polskiego *Hamleta*. Jakoż napisał *Horsztyńskiego*, którego bohater, Szczęsny Kossakowski, jest szekspirowskim *Hamletem* przeniesionym na polski grunt, tak dalece, że także radzi swej kochance, ażeby wstąpiła do klasztoru, a w innej scenie wchodzi z książką w rękę, jak królówiczu duński²⁾.

Margrabia Wielopolski umiał całego *Hamleta* na pamięć, takim był wielbicielem tej tragedyi, z którą ostatecznie jego tragedia miała tak wiele podobieństwa... Bądź co bądź »czy nie dziwne i nie ciekawe — powiada Matlakowski — to sprzężenie wielkiego działacza z bohaterem, który miał chorować na brak czynu? Co mógł przemyśliwać o *Hamlecie* margrabia, gdy szarpany i czerniony, przegrawszy stawkę, dogorywał w strasznych cierpieniach w Dreznie?«³⁾

Inaczej zapatruje się na *Hamleta* biograf i wielbiciel polityki margrabiego Wielopolskiego, prof. Włodzimierz Spasowicz, który w swoim przenikliwym studyum o królówiczu

¹⁾ »*Hamlet*, królówiczu duński, tragedia w 5 aktach w angielskim języku przez Shakespeare'a napisana, z niemieckiego zaś polskiem piórem przez J. N. Kamińskiego przełożona. W Mińkowie, druk dziedzica Marchockiego, 1805«.

²⁾ Zob. »*Hamlet polski*« w »*Szkicach literackich*« dr. Józefa Tretiaka, serya pierwsza, Kraków, 1895.

³⁾ W innym miejscu, na str. 108, pisze Matlakowski: »Na zawsze pozostanie dla nas niepowetowaną szkodą, że drugi prawnik i mąż stanu, a wielbiciel tragedyi o królówiczu duńskim, Wielopolski, nie zostawił na piśmie swojego poglądu: byłby to najciekawszy w świecie sąd, człowieka, co sam umiał czuć, myśleć, działać, a poniósł najstraszniejszy rozgrom«.

duńskim wystąpił tym razem nie — jak zwykle — w roli prawnika-obroncy (jak np. w swej znakomitej książce o Wielopolskim), ale — wyjątkowo — w roli prawnika-prokuratora. Na nieszczęście dla Hamleta akt oskarżenia na niego — bo prawie na taką nazwę zasługuje to Spasowiczowskie studium o *Hamlecie* — skreślony wytrawnym piórem autora *Politycznego spadku po Wielopolskim*, wypadł niemniej głęboko i świetnie pod względem siły i zdolności argumentowania, aniżeli jego klasyczne obrony.

Prof. Spasowicz należy do najsurowszych sędziów Hamleta. Jego zdaniem, królówic „wiecznie się kołysze, niby na wahadle, na dylemacie”. Jego myślenie jest genialne, ale jałowe. „Oderwaną myślą można świat zewnętrzny osiąść, a potem nad nim zapanować i wedle woli swojej przekształcić, ale wprzód, nim świat osiąść, trzeba osiąść myśli własne i rząd nad nimi dźwierżyć. Pierwiastek woli potrzebny jest w samym myśleniu, chociażby na to, aby pod jego naciskiem uczucie skropiło się naprzód w przekonanie, a potem skrzepło na postanowienie. Do postanowienia idzie się przez przekonanie, a dla przekonania potrzebna jest chociażby odrobina wiary, nie w znaczeniu jakiegokolwiek *credo* religijnego lub filozoficznego, ale poprostu w tem znaczeniu, że trzeba odrąbać się od wątpliwości i, przyłgnąwszy do tego, co w danym przypadku jest najprawdopodobniejsze, oprzeć się na tem, jako na opoce”. Nic wspólnego z tego rodzaju myśleniem nie mają fantazy Hamleta. Jest to fatalista, mocno podszyty materjalizmem, fatalista, któremu fatalizm służy za filar, o który się opiera jego praktyczne niedoleźstwo. Jego myślenie jest marzycielstwem, poezją niedotykającą ziemi. Jest to człowiek natchnienia, nie namysłu, poeta, istota kontemplacyjna i książkowa. Książka jest jego najmilszą zabawą. „Wielkość szekspirowskiego utworu polega na tem głównie, że: 1) podał on skończony typ takiego marzyciela, takiego lunatyka, typ, który odtąd będzie się powtarzał w literaturze przez ciąg wieków po wszystkich krajach i łądach; 2) że go podał nie jednostronnie, w przebóstwieciu, jakby to był uczynił tuzinkowy jaki pisarz, któryby nieomieszkał przedstawić, jak nieszczęśliwa eteryczna poezya niesprawiedliwie kona, zduszona w żelaznych objęciach rzeczywistości; ani równie jednostronnie, w karykaturze, jako temat, pelen wysokiego komizmu, który się zawsze wywiązywać musi,

gdzie z nierozsądnych zamiarów poetycznych wynikają skutki niedorzeczne; ale w dramacie rozdzierającym serce, w którym widzimy, jak się to szlachetne serce truje, jak się ten charakter kazi, jak nisko spada ten umysł, tłukąc się o rzeczywistość, i jak w końcu lepiej, że on się rozbił w starciu z rzeczywistością, aniżeli gdyby ta rzeczywistość oddaną została na pastwę jego urojeniom poetycznym, jego chwilowym szałom i kaprysom«. Coby nastąpiło wtedy? Najprawdopodobniej, gdyby Hamlet, zabiwszy stryja, sam zasiadł na tronie, zaczęłoby się panowanie króla-poety, któreby ludziom kazało żałować czasów Klaudiusza... Hamlet jest poetą, na którym czego nie wymaga obowiązek, tego dokaże artyzm, miłość dla sztuki, upodobanie nie treści i celu, lecz samego procesu działania. Tacy artyści na tronie, gdy chodzi o pofolgowanie artystycznej żyłce, nie zważają czasami, czem okupują swe zadowolenia. Sam Hamlet powiada: »Chociaż nie jestem prędko, drażliwy, ale mam w sobie coś niebezpiecznego...« To *coś*, to niby maluczka odrobina uczucia, które posiadał Nero, gdy wołał: *qualis artifex pereo!* Dlatego tragiczna katastrofa, przecinająca nić życia Hamleta, wyświadcza mu prawdziwe dobrodziejstwo, gdyż ratuje go od jeszcze smutniejszego końca, gdyby był przeżył stryja, od którego w końcu sztuki Hamlet jest nie wiele lepszym: tak dalece posunęło się w nim zepsucie moralne.

O wiele łagodniejszym sędzią, niż prof. Spasowicz, jest prof. Struve, choć i on potępia sposób postępowania Hamleta; czyniąc to zaś, zapatruje się wyłącznie z psychologiczno-etycznego punktu widzenia. Winą Hamleta, utrzymuje prof. Struve, a zarazem powodem jego zguby, jest zbyt zaufanie we własne siły, obłąd, czy zbyt ambitne przeświadczenie, że on sam jest powołany do naprawy porządku moralnego, że on sam uosabia sprawiedliwość i opatrność, jeżeli nie na ziemi całej, to przynajmniej w Danii. Dlatego postanowił nie tylko odegrać rolę sędziego śledczego, ale i wykonawcy wyroku, przekonany, że tylko on jest powołany wykonywać prawo i sprawiedliwość, że tylko on zdoła przywrócić zakłóconą równowagę w moralnym porządku. Podobne zapatrywanie było błędem, prowadzącym do tragicznego końca. Należało, skoro się nabrało przeświadczenia, że Klaudiusz przez swą zbrodnię potargał moralny porządek na ziemi, publicznie oskarżyć zbrodniarza (czego mógł dokonać przy pomocy ludzi szlachetnych, znajdujących

się w jego otoczeniu), uwięzić, postawić przed sądem, i tym sposobem występny król, królo- i bratobójca, zostałby według prawa i sprawiedliwości osądzony, ukarany, a na jego miejsce postawiony ten, który i z rodu i dzięki swym osobistym przymiotom był najgodniejszym przedstawicielem szczęśliwie przywróconego porządku. To była jedyna i właściwa droga, mogąca doprowadzić do celu: Hamlet zginął, bo wybrał inną, która była bezdrożem. Tymczasem pójście po właściwej drodze, t. j. publicznego oskarżenia Klaudiusza, nie było tak trudnem nawet, jakby się zdawać mogło. »Cały dwór w Elsinorze był świadkiem, jak król zdradził się ze swym zbrodniczym czynem w czasie przedstawienia; głuche dotychczas posłuchy o naglej śmierci Hamletowego ojca zyskały na prawdopodobieństwie (po widowisku teatralnem), a Hamlet — na zwolennikach, skutkiem tego zaś — na powadze i mocy; krótko mówiąc, wobec całego położenia rzeczy, nie trudno było Hamletowi z pomocą Horacego i wszystkich prawomyślnych uwięzić Klaudiusza, by go oddać bezstronnemu sądowi...« Wykonalność tego moralnego wymagania nie była niemożliwą w położeniu Hamleta. Należało (jak w nowelli) dla swej sprawy pozyskać matkę, Horacego i innych; Hamlet tego nie zrobił, bo mu mizantropia jego, pogarda, uprzedzenie i złe wyobrażenie o całym rodzie ludzkim, nie pozwoliły odwołać się do ludzkiej pomocy. A szkoda, że tego nie uczynił, bo był to człowiek wyższy i niepospolity pod każdym względem, którego panowanie z pewnością wyszłoby Danii na dobre. A tak zginął marnie.

Zdaniem Kraszewskiego, Hamlet jest nieszczęśliwcem, »który wszystko wie, a nic nie może, który, wyzuwszy się z formalnej wiary, zastąpił ją rozumem, i ta niewiara zgubiła go«.

III.

Całkiem inaczej pojmuje Hamleta dr. Matlakowski, któremu — jak sam powiada — chodziło »o takie pojęcie królewicza, w któremby nie było ani odstępstwa od tekstu tragedyi, ani opuszczenia jednych miejsc na korzyść drugich, ani sprzeczności psychologicznych między właściwościami pomyślanego charakteru, lub między niemi a postępkami«.

W tym celu przypuścić trzeba przedewszystkiem — co

zresztą zdaje się nie ulegać wątpliwości — że Hamlet jest młodym: jest to młodzieniec dwudziestokilkoletni, 24-letni np.¹⁾; jako student uniwersytetu wirtemburskiego, uczy się z zamiłowaniem; wyszedł z tych lat, które zwiemy małoletniością, ale jeszcze nie dojrzał zupełnie: stoi w najciekawszym i najbujniejszym okresie życia. Cały przejęty dziecięcym uwielbieniem dla ojca, związany ciepłem jeszcze — jeśli się tak wyrazić wolno — przywiązaniem zwierzęcia młodego, a nie uczuciem refleksyjnym. Posłuszny życzeniu matki i stryja, zostaje u dworu, choć wolałby — dla wielu względów — wrócić do Wirtembergi. Jest skłonny do przyjaźni; kocha się, nie bacząc na przegrody stanowisk i krwi, w pannie przydворnej.

Swoją drogą, nie przestaje być królewiczem, rasowym potomkiem wielkiego rodu; to też królewskość wyssał z mlekiem matki, pięknej kobiety, zarówno jak ją odziedziczył po ojcu, »pięknym królu«.

Jest dzieckiem dorodnych rodziców, których uroda przeszła i na niego. »Jest to młodzieniec dworskich manier, pięknego obejścia, wzór formy — jak go nazywa Ofelia — i ogłady. Zewnętrzność tego rodzaju jest najzupełniej możliwą przy jego sposobie myślenia i smutku; ktoby o tem wątpił, niech przypomni sobie, iż Byron i Słowacki, Chopin i Max Gieremski, owi genialni artyści, tak dalecy rodzajem duszy i głębokością

¹⁾ Dr. Matlakowski, usiłując dowieść, że Hamlet jest młodzieńcem, a nie mężczyzną dojrzałym, 30-letnim, jak utrzymują inni krytycy, niemiecscy i angielscy, zapomina o jednym dowodzie, bardzo przekonywającym, który, rzecz dziwna, nikomu nie przyszedł na myśl, a który rozstrzyga wątpliwość — na korzyść hipotezy Matlakowskiego. Argumentem tym jest wiek matki Hamleta, kobiety dojrzałej, ale jeszcze powabnej i pięknej, więc nie starej. Jest to kobieta lat czterdziestu dwóch do trzech, bliska przekwitni, ale jeszcze nie przekwitła. Kiedy wyszła za mąż, za ojca Hamletowego, musiała mieć lat 17 lub 18. Gdyby Hamlet miał lat 30, jego matka miałaby 47 lub 48. Co innego zdaje się wynikać z tragedji, w której czysto zmysłowa miłość Gertrudy i Klaudjusza ma wszelkie pozory namiętności gorącej i szczerzej z obu stron, na co Hamlet niejednokrotnie zwraca uwagę. Stosunek małżeński Klaudjusza i Gertrudy, to nie stosunek Batorego i Anny Jagiellonki; to dwie żądze, które się pożadają wzajemnie, aby zaś to było możliwe, fizjologicznie uzasadnione, Gertruda może mieć najwyżej 43 lat. Wobec tego Hamlet nie może mieć więcej nad 24.

uczucia od suchej układności i dworszczyzny Ludwików, byli pięknymi cieleśniami, a wytwornymi w odzieży i obejściu. Z twarzy musiał przypominać portrety młodzieńców, które malował Rafael, sam bardzo piękny.

Jakiego rodzaju był umysł Hamleta? Czy jest to filozof? Po części, ale co nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nie jest to filozof w rodzaju Kanta, Fichtego, Voltaire'a lub Hume'a. Jest to poeta-filozof, taki, jakim był Szekspir, jakim był Goethe, jakim był Shelley. O ile oni byli filozofami, o tyle jest nim i Hamlet, on, który zarówno w postępowaniu, jak w sposobie myślenia, należy do tej kategorii geniuszów, co oni. Jak oni, posiada w wysokim stopniu cechy filozoficznego myślenia; umie odnosić pojedyncze fakty do właściwych kategorii, przenikliwie postrzega zależności, lecz filozofem nie jest, gdyż w myśleniu swoim, uniesiony namiętnością, pod żywym odczuciem wrażenia, nie postrzega faktów odmiennych lub sprzecznych, ani dochodzi do ograniczenia swoich uogólnień; w uogólnianiu posługuje się intuicyją, nie metodą indukcyjną. Natomiast posiada »ten przedziwny, niemal cudowny rodzaj allotropizmu umysłowego, który znajdujemy u artystów, u poetów, z którym w porównaniu zwyczajny umysł ludzki wydaje się tępym, gnuśnym, bezbarwnym i bezdźwięcznym, jakby niższego rzędu«. Umysł wielkiego artysty, umysł geniusza, to nieosiągalne żadnymi środkami, ani doświadczeniem życiowym, ani nauką, przerażające bogactwo wrodzone, w którym szczęśliwym zbiegiem, drogą osobliwszego doboru, znalazły się najcelniejsze przymioty, w najwyższym stopniu, w mniej więcej doskonalej zgodzie. Umysł Hamleta, to umysł tego samego rodzaju, co umysł Leonarda da Vinci lub Goethego, u których niezmierna wrażliwość i emocjonalność nie wykluczały wysokiej, krańcowej siły rozumu. Stąd, obok niezmiernego bogactwa i różnaitości uczuć i wzruszeń, to nadzwyczajne bogactwo idei czystych, które tak uderzają w Hamlecie.

Ale taka niezwykła, prawie niewymierna zdolność odczuwania, idąca w parze z niemniejszą siłą rozumu, o ile jest mocą takich natur wyjątkowych, o tyle bywa niejednokrotnie i źródłem ich słabości: chociaż myślą potrafią wyścigać bieg wydarzeń, jednak ich emocjonalna strona, nierozdzielnie zaślubiona rozumowi, utrudnia wysnucie suchych wniosków i roz-

kazów postępowania. I to jest źródłem wahania się Hamletowego.

Jako charakter, jest Hamlet — zdaniem Matlakowskiego — pomimo swej wrażliwości, często nadczulej trochę, obdarzony znacznym zapasem energii i woli. Ognisćcie pohopny do otwartego boju, meżny i zapalczywy, znakomity szermierz, umie się zdobyć na najwyższe działanie, t. j. na działanie z rozważą, z ogromnym nakładem inteligencji i przenikliwości, krzyżujące plany przeciwnika, i z niemniejszym zasobem inicjatywy. Jego podziemna walka z Klaudiuszem jest »szczytnem zespoleniem w jedno intelektu i woli«. Przytem, ponieważ jest umysłem krytycznym pierwszej wody, zna swoje błędy, przeczuwa ściśłą prawdę, co go czyni nowożytnym, nam pokrewnym, ale co nie znaczy bynajmniej, ażeby Hamlet był sceptykiem; Hamlet sceptykiem nie jest. Najlepszy dowód, że wierzy w opatrność, w rozum wyższy, władający życiem i światem. Mimo to, jest zdeklarowanym deterministą¹⁾: jako taki, liczy się z faktami dokonanymi, jako z rzeczami, których odrobić niepodobna, a kiedy się zastanawia nad nimi, to nie jak fatalista, ale jak chrześcjanin, który głęboko wierzy w nieśmiertelność duszy.

Lecz przede wszystkim jest to natura szlachetna, obdarzona gorącą miłością prawdy, zgodności ideału z czynami, przekonań z postępkami. Jest to wielkie serce, szczerozłote uczucie, idealista, blizki ideału człowieka, podobny do Marka Aureliusza, obejmujący niemal wszystko, co wielkie duchy greckie, uznający zalety i przymioty innych, a nie znający uczucia zazdrości. Jest to jeden z tych, co czułby niedolę drugich, choćby mu się i najlepiej działało. Idealizm jego, taki melancholijny i rzewny, jest bojującym i cierpiącym: skutkiem niezwykłej czuciowości, nie znosi widoku zła lub krzywdy, zbroceń i zaprzania prawdy. Każdy czyn nieprawdy, każda myśl fałszu, dolegają mu, bolą go, nie pozwalają żyć spokojnie. Dlatego pragnąłby świat odmienić! Niestety, świat jest zły, podobny do niepielonego ogrodu, więc Hamlet, dzięki swemu idealizmowi, właściwemu jego młodzieńczemu wiekowi, popada w rozgoryczenie, i z zajadłością, nie oszczędzającą nikogo, nawet matki,

¹⁾ W tym punkcie zgadza się Matlakowski z Türck'em, jednym z najgłębszych komentatorów *Hamleta*.

nawet kochanki, smaga podłość, którą jest przesiąknięta atmosfera dworu Klaudiuszowego, a że jest zbyt młodym jeszcze, żeby na świat spoglądać »z przebaczenia anielską pogardą«, t. j. z przedmiotowością i pobłażliwością, znamionującą wielkich humorystów, więc się otacza szyderstwem pełnym złości i nagrawania, w satyrze graniczącej z purytańskim kaznodziejstwem i zaciekłością. Mimo to nie jest zgryźliwym pesymistą: w nim, obok szyderstwa i ironii, złości i zaciętości, jakimi wybucha wobec króla, Poloniusza, matki, Ofelii, Rosenkranca i Gildensterna, żyje gorąca przyjaźń, ludzkość, łagodność i rzetelna równość, które się ujawniają w spotkaniu z żołnierzami, w obcowaniu z Horacym, w obejściu z aktorami, w przemowie, którą poprzedza swój pojedynek z Laertem. »Nie jest to dwiistość jego natury. Oba szeregi objawów tryskają z tych samych pokładów: to lice i nice tej samej natury, tylko, że dla dobrych ona odpowiada ciepłem tchnieniem wiosennego wiatru, dla złych — ostrymi wycinkami mroźnej zawiei«.

Natura to cnotliwa, sprawiedliwa, delikatna, a to, co w jego postępowaniu jest szlachetnego, cnotliwego i sprawiedliwego, zjawia się, jako owoc przyrodzonego składu duszy, nie zaś jako skutek nakazu wysokiego ideału moralnego, zresztą mu doskonale znanego; w jego cnotliwości niema udziału nakazów praw i przepisów moralności i zakonu. Hamlet jest cnotliwym z natury, z temperamentu; niema w nim nic chrześcijańsko-cnotliwego, lub filozoficzno-cnotliwego.

Nie znaczy to, żeby jego postępowanie — w tragedyi — nie było połowicznym. Tak jest. Ale dlaczego? Bo Hamlet w swoje postępowanie, gdy chodzi o pomszczenie śmierci ojca, nie kładzie całej, tylko pół duszy: drugą połowę przebywa gdzieindziej. »Jest ono jakby wymuszonem z zewnątrz, narzuconem wbrew chęci działacza, który podejmuje się go bez zapalu i prowadzi bez fanatyzmu, właściwego młodości i wrodzonej naturze; jest ono podejmowanem przez pobudzanie się samego bohatera po chwilowych przerwach niby-zapomnienia; jest ono bezplanowem, a każda z części działania zjawia się nie jako organiczne dzwono całości, lecz jako wynik pchnięcia przez wydarzenia zewnętrzne; jest ono prowadzonem przez wypadki, a nie przez własną inicjatywę i sprężystość (wiecznie czułą i żywą) działacza; jest ono napadowe, t. j. pozbawione ciągłości, i objawowe (symptomatyczne), t. j. skutkiem nieob-

myślenia i niewyjaśnienia sobie natury i zakresu danego czynu, zjawia się przeważnie jako wynik obrony na cudze działanie — na działanie wroga, którego czujność — skutkiem wielkiej drażliwości królewicza — przedwcześnie pobudzoną została. Powtórę — jak to już zauważył Werder — zadanie włożone na Hamleta, jest bardzo trudne: zbrodniarz jest prawowitym królem, a zbrodnia stała się w absolutnej tajemnicy. Cały dwór, nie wyłączając matki Hamleta, jest po stronie Klaudiusza. Po trzecie, jeśli warunki działania były trudne, to samo »wielkie zadanie«, sam »święty obowiązek«, narzucony młodemu bohaterowi, był niemniej osobliwym i szczególnym. Była nim zemsta, która wogóle jest daleką od ideałów czynów ludzkich, odmienną od innych czynów, ponieważ jest czynem *sui generis*, stojącym na rozdrożu między występkiem a cnotą, nacechowanym znamionami jednego i drugiej. Hamlet zaś, o ile był zdolny do czynu, o tyle nie był zdolny do czynu *n*, do czynu, który ludzkość potępiała platonicznie, który potępiała nauka Chrystusa, a przed którym się zawsze wzdrygały serca czule i szlachetne, tudzież umysły wyższe, najwyżej ważące sprawiedliwość, pragnące względnego szczęścia ludzkości. Takim umysłem był właśnie Hamlet. Ale, pomijając nawet chrześcijańsko-Chrystusowy punkt widzenia, zemsta jest czynem, do którego nie może się zapalić jednostka szlachetna, jednostka rycerska. Hamlet, jako syn XVI wieku, jest *rycersko-szlachetnym*, nie będąc wyraźnie chrześcijańskim, a nie ma nic wspólnego z takimi ludźmi odrodzenia włoskiego, jak Caesar Borgia, Macchiavelli, Aretino lub Benvenuto Cellini; nie należy zapominać, że były to czasy humanizmu, które wydawały Kochanowskich, Sidney'ów i im podobnych. To też Hamlet w głębi duszy pogardza czynem, który ma spełnić: raz dlatego, że nie odczuwa tego, co się nazywa ślepą zemstą, czyli, że jest to poczucie obowiązku nie owo potężne, wulkaniczne uczucie, przepalające jestestwo, ogarniające życie całe, którego staje się celem wyłącznym; a powtórę, że chcąc ten ciężki obowiązek wykonać, trzeba być przygotowanym na wszelkie środki; trzeba być gotowym na pchnięcie zniecka, z tyłu, we śnie, w zasadzce; trzeba być zdolnym do zdrad, do trucizny, do spisków, do podkupienia zbirów, jak się da, byle celu dopiąć. Hamlet, który ma taki wysoki ideał człowieka, taki rycerski w formach grzeczności

dla swego wroga-króla, nie jest zdolny do knowań i chytrych, do zdradzieckiego pchnięcia. Bić się po rycersku, w otwartym boju, potrafi; ale pomścić się w sposób, jak wypadnie, jak będzie najwygodniej w danych okolicznościach, tego przy swoim składzie duchowym i wykształceniu nie jest mocen uczynić. »Do zemsty w zapalczywości, wybuchłej nagle, *in flagranti delictu*, zdolen jest, jak prawie każdy człowiek żywy i wrażliwy; lecz do obmyślanego czyhania, jak ryś, na swoją ofiarę, i rzucenia się w chwili dogodnej dla siebie, a złej dla ofiary, do tego nie zdolen«. Bo Hamlet jest nie tylko królewiczem, a więc szlachcicem, ale i *gentleman*'em w każdym calu. *C'est un gentil-homme avant tout...*

Ale nie brak i innych powodów, dla których Hamlet ociąga się z wykonaniem zemsty. Przedewszystkiem nie pojął on swego zadania, jako zwykłej ordynarnej zemsty, ale jak przystało na duszę wielką, wolną od grubej mściwości, zrozumiał, że jeśli ma działać, to tylko pojmując popełniony zły czyn, jako naruszenie sprawiedliwości, a swoje zadanie, jako przywrócenie jej. Jego czyn niema być zwykłą zemstą, ale wymiarem sprawiedliwości, co znacznie utrudnia działanie. To pierwszy powód. Drugi jest psychologicznej natury. Są takie stany, takie usposobienia chwilowe, takie nastroje, że w czasie ich trwania nie mamy ochoty działać. Do takich nastrojów należy chwilowy smutek, przygnębienie, żalność, gorycz. Otóż Hamlet jest właśnie w fazie takiego smutnego, minorowego nastroju, kiedy ciężkie zadanie spada na jego barki: znajduje się pod gnębiącym a potężnym wpływem smutku, żaloby i boleści. Śmierć ojca, którego ubóstwiał, i powtórne a tak szybkie zameżczenie matki, którą musiał przestać szanować, wytrąciły go z równowagi; smutek zaś, przygnębienie moralne, rozhartowują wolę, osłabiają energię.

Ten smutek, to przygnębienie, są także źródłem, z którego wypływają wszystkie pesymistyczne i czarne myśli Hamleta: zjawiają się, jako wynik nastroju, nie zaś, jako naukowy, w szczegółach obmyślany systemat filozoficzny. Jego uogólnienia, tak czarne i gorzkie, to raczej poetyczne odbicie jego świeżo poranionej duszy. Jego pesymizm, to najcudniejszy idealizm, obłany ponurą zorzą północną bólu i złości serdecznej; jest to skutek przemijającego nastroju wrażliwej natury; jest

to spojrzenie przez łzy i krew, któremi chwilowo napływają mu oczy.

* * *

Swoje znakomite, prawdziwie klasyczne studium o *Hamlecie*, studium, którego niniejszy artykuł jest pobieżnym streższeniem jedynie, nazwał ś. p. Matlakowski »wstępem« (podobnie, jak Kalinka, którego »wstęp« do *Ostatnich lat panowania Stanisława Augusta* zajmuje cały gruby tom, a jest arcydziełem historycznym), wstępem dlatego, że poprzedza całkowity przekład polski *Hamleta*, dokonany — prozą — tem samym piórem, które nakreśliło ów »wstęp«. Słówek o tym przekładzie. Chcąc ocenić jego prawdziwe zalety, trzeba się mu przypatrzeć z właściwego punktu widzenia, a chcąc ten punkt odnaleźć, wystarczy zwrócić uwagę na następujące słowa samego dra Matlakowskiego, w których jasno określił cel, w jakim raz jeszcze *Hamleta* językowi naszemu przyswoił, choć posiadamy tak znakomite przekłady tej tragedyi, jak Paszkowskiego i Ulricha. »Istnieje u nas bardzo znaczna liczba ludzi, zwłaszcza wśród lekarzy, znająca język angielski o tyle, iż może czytać zwyczajne nowożytnie dzieła specjalne, powieści lub dzienniki, ale im zbywa na osobnem przygotowaniu do czytania Szekspira, którego wielu, jak wiem z mojego kółka, uwielbia, na pamięć umie... Nakoniec, jest sporo inteligentnych i wykształconych ludzi u nas, z kół literackich, handlowych i przemysłowych, którzy w dorosłym wieku sami uczą się angielskiego, posługując się samopomocą i uznanymi w obiegu metodami. Skoro już z najgrubszymi uporają się początkami, mogliby odrazu przejść do dzieła, któreby więcej odpowiadało ich umysłowości, niż przykłady z Olendorfa«. Dlatego przekład *Hamleta*, dokonany przez Matlakowskiego, jest nie poetyczny, ale dosłowny, wiersz w wiersz, a wydrukowany równolegle z tekstem angielskim, jako taki, jest znakomity. Pomimo dosłownej wierności — na czem niekiedy cierpi duch składni polskiej — czyta się on bardzo dobrze, a choć taki suchy na pozór, nie jest pozbawiony pewnego polotu.

Na zakończenie, jeszcze słówek o języku tej niepospolitej książki, (która się w każdym inteligentnym domu polskim znajdo-

wac powinna, obok najlepszych książek, jakie posiadamy w naszej literaturze, obok *Sejmu czteroletniego* i *Wieczorów Florenckich*. Matlakowski znany był z tego, że pisał po polsku, jak mało kto, a przytem, że znał swój język ojczysty, jak najznakomitsi z naszych filologów. Stąd ogromne bogactwo wyrazów, których używał na wypowiedzenie swych myśli (zawsze oryginalnych i niepospolitych), bogactwo, które mu pozwalało nawet na taki zbytek, jak odrobina przesady w tym kierunku. Starając się wiele wyrażen, bądź ludowych, bądź staropolskich, zaczerpniętych z pisarzy XVI wieku, przyswoić naszemu nowoczesnemu językowi, lub je uchronić od zapomnienia, szedł niekiedy — mojem zdaniem — za daleko pod tym względem (zwłaszcza gdy tworzył nowe wyrazy, choć to czynił zgodnie z najściślejszymi regułami filologicznymi). Stąd, zarówno we »wstępie«, jak i w przekładzie *Hamleta*, mnóstwo wyrażen, z którymi oswoić się nawet literatowi nie przychodzi łatwo. Oto kilka przykładów, wyjętych na chybi trafi. «*Hamlet w ocemgnienu* (zamias *w mgnieniu oka*) przystosowuje swoje zachowanie się...» »Szekspir dał księciu ogromny *nadział* (zam. *zasób*) energii«. »Jego wola ściśle podlega rozumowi i sumieniu, gdy te nie stają w poprzek jego *wolowości*«. »Kamienie, wyrzucone z procy, *węzzące* od chyżości«. »O prawdziwej energii *wolowej*, nie wolno sądzić po szybkości i dzikości postępowania«. »Pewności niema żadnej: żaden *ściec* (zam. *dowód*) zbrodni nie istnieje«. »Hamlet widnieje wyraziście lub *jarzębaceje* (?), pociąga lub odpycha...« »Doświadczenie pozwala *wskrabac* się na najbliższą przeszkodę«. »Przemiana w sobie, wiodąca do przyjaźni lub *wraždy* (zam. *nieprzyjaźni*)«. Hamlet nie może znieść »chlóst i wzgard *wrzemiaenia* (zam. *czasu*)«. »Każdy z nich wypowiedzi się, jak *pierca* w zapędzie obrończego zapalu«. »Nigdy też nie spotkało ich straszne *odłudzenie* (zam. *rozczarowanie*). Jak olbrzymia *wanta* na szczycie *turni*, lub modro zielonkawie *płoso*, drzemiące na *wysoczyźnie* (ten wyraz jest przesłiczny!) górskiej«. »Rozmowa z podkładem niesłychanego bólu i *rzewnivosti*...« »Zatwadziałość okuła ją w *bronność*«. »Dla *prawowierców* myśli powyższe są niewystarczające...« Hamlet »natyka się na coś nieprzewidzianego i w *przeziarach* na świat *poza-swiadomościowy* przyjmuje wdanie się Woli wyższej«. Przykłady bitew »w opisach *historyków-baśnio-dziejów*...« »Wbrew zrzędom, którzy wciąż nam *skowróżą* o upadku wielkiej sztuki...«

Ale obok tych drobnych dziwactw filologicznych, będących wynikiem szlachetnej dbałości o możliwe zubożenie skarbcza mowy ojczystej, język Matlakowskiego, nigdzie nie skażony najmniejszymi naleciałościami cudzoziemskimi, a urobiony na prozie Reja, Wujka, Górnickiego, Orzechowskiego i innych znakomych pisarzy naszych XVI wieku, jest dziwnie pięknym, barwnym, żywym, plastycznym (Matlakowski był ogromnym wielbicielem Słowackiego), a zdarza mu się nierzadko, że jest i poetycznym także. Zwłaszcza w porównaniach, w których celuje, a które, zawsze trafne nadzwyczaj, niekiedy bywają i poetyczne bardzo. Oto dwa, dla przykładu: »Chęć (ze strony Klaudiusza) nawiązania stosunku z synem, ułagodzenia go, wyglądzenia i uklepania sprawy ku tem wygodniejszemu zażywaniu uciech w nowem gniazdku w spokoju i przyjemności, ściał mroz słów królewicza, *jak ścina syberyjski wichler grzywy fal Bajkału, które w locie, w powietrzu, rozchełbane, tężeją w lodowate zadzierzyste wybrygi*«. »Hamlet (w rozmowie z Rosenkrancem i Gildensternem) prawie zapomina do kogo mówi; po zmiążdżeniu szpiegów, uczucia wstrętu i pogardy rozwiewają się: w tok rozmowy zwolna wplata się srebrna nitka rzewnej boleści, *jakby skargi, która cicho dźwięczy, jak nucenie polnego konika skostniałego w sronisty ranek jesienny*«.

Takich porównań nie powstydziliby się żaden z największych poetów. Ale bo też dr. Matlakowski, choć lekarz i chirurg, miał więcej poezyi w duszy, niż niejeden z naszych dzisiejszych wirtuozów formy wierszowej. Każdy, kto przeczyta niniejszą książkę o *Hamlecie*, zgodzi się na to twierdzenie...

IV.

U JULIANA KLACZKI.

Na rogu ulic Smoleńskiej i Straszewskiego, w otoczeniu poważnych gmachów klasztornych, a prawie u podnóża Wawelu, którego archaiczne mury zamkowe królują nad zbitą gęstwą drzew na pobliskich tuż obok ciągnących się Plantacyach, w miejscu, skąd z za gotyckich dachów klasztoru żeńskiego »na Smoleńsku« zielenią się okoliczne wzgórza podbiałańskie, uwieńczone czerwonymi fortyfikacjami pod kopcem Kościuszki, stoi gustowna jednopiętrowa willa w szlachetnym stylu renesansowym. Okolona żelaznymi sztachetami, przez które widać ogródek z fontanną pośrodku, willa ta, niewielka, o kilku oknach frontu, a dwóch tarasowych balkonach, spowitych w bluszcze i wino, mogłaby równie dobrze, jak zdoła tę ustronną ulicę Krakusowego grodu, znajdować się we Florencyi lub jej okolicach, a nawet i tam mogłaby być wzięta za ową willę hrabiny Albani, której apartamenty służą za artystyczne tło *Wieczorom Florenckim...*

W willi tej, już od dłuższego szeregu lat, mieszka »genialny współpracownik *Revue des deux mondes*« (jak Klaczkę w przedmowie do swej *Powieści bez tytułu* nazywa J. I. Kraśzewski), autor *Dwóch Kanclerzów* i nieporównanego studium o *Bezimiennym poecie polskim*.

I.

Było to w d. 27 lutego 1897 roku, o godzinie 4-tej po południu. W powietrzu, roziskrzonem opalowym blaskiem pro-

mieni słonecznych, a jakby nasiąkłem turkusowym błękitem nieba bez chmur, czuło się zapach pierwszych dni wiosennych. Wawel ze swą wieżą katedralną — którą właśnie miałem naprost siebie — jaskrawo odcinał się od niebieskiego stropu, a strop ten, koloru *bleu foncé*, miał coś z owej ostrości, cechującej błękit nieba włoskiego. Mogło się здаwać, że się jest we Włoszech. Złudzeniu dopomagał nawet stary żebrak w lachmanach, żebrzący w cieniu wysokiego muru klasztornego, ciągnącego się po drugiej stronie ulicy Smoleńskiej. Widok, choć typowy krakowski, nie byłby mniej typowym w jakimś Fiesole lub Asyżu... Pomimo słoneczności i spokoju, rozlanych w całej naturze, byłem trochę podniecony nerwowo, ile że szedłem z wizytą do autora *Rome et la Renaissance*, dzieła, które się właśnie wykończyła na pierwszym piętrze tej wdzięcznej willi, a którego pojedyncze rozdziały, w miarę, jak wychodzą z pod pióra, są już od lat trzech ozdobą i *great attraction* paryskiej *Revue des deux mondes* ¹⁾. Wiedziałem wprawdzie, iż jestem oczekiwany, że idę na wyraźne zaproszenie »najświetniejszego dziś z polskich pisarzy« (jak Klaczkę w przedmowie do swego przekładu *Wieczorów florenckich* nazywa St. Tarnowski), że mię czeka życzliwe przyjęcie — o czym wszystkim już byłem uprzedzony przez czcigodnego autora *Bibliografii polskiej* — lecz mimo to miałem pewne wątpliwości i obawy, które były aż nadto uzasadnione, jeśli się zważy, że za chwilę czekała mię rozmowa z pisarzem tej miary, co Julian Klaczko, rozmowa... o mojej monografii o Słowackim ²⁾.

Z tym uczuciem wszedłem do sieni, gdzie, spojrzawszy na bardzo krótką, bo tylko z dwóch nazwisk złożoną listę lokatorów, ujrzałem zwykły, trochę poźółkły bilet wizytowy, zwykłą pluskiewką przytwierdzony do czarnej lakierowanej tabliczki, a na tym bilecie litografowane: *Julian Klaczko*.

Na widok tego nazwiska, którego podpis spotykało się pod tyloma arcydziełami stylu i kompozycyi literackiej, mimowoli uprzytomnia się wszystko, co się wie o Julianie Klacze, jako pisarzu i polityku:

¹⁾ Pisane w r. 1897. Będące tu w mowie dzieło wyszło pod tytułem *Jules II* w Paryżu, w końcu roku 1898.

²⁾ Życie Juliusza Słowackiego (1809—1849). Biografia psychologiczna, 3 tomy, Kraków i Warszawa 1897.

jego pierwsze poezye polskie, które, jako cudowne 13-letnie dziecko ogłaszał — a raczej ogłaszano za niego — w Wilnie i Poznaniu pomiędzy rokiem 1839 a 1843 ¹⁾);

jego głośnie współpracownictwo w Heidelberskiej *Deutsche Zeitung* w roku 1847 i 1848, współpracownictwo, opromienione najserdeczniejszą przyjaźnią z Gervinusem, który odrazu poznał się na genialnych zdolnościach 23-letniego doktora filozofii ²⁾);

jego przyjaźń z Waleryanem Kalinką, z którym pomiędzy rokiem 1857 a 1861 wydawał i redagował w Paryżu *Wiadomości polskie*, tak głośnie w swoim czasie dzięki jego przświenym artykułom o *Krewnych* Korzeniowskiego, o *Sztuce polskiej*, o *Gladyatorach* Lenartowicza, o Mierosławskim, etc. etc.;

jego słynne prelekcyje o Mickiewiczu, które miewał w Paryżu w r. 1858, których słuchali tacy ludzie, jak ks. Adam Czartoryski, generał Wład. Zamoyski, Bohdan Zaleski, Feliks Wrotnowski, Waleryan Kalinka i wielu innych, prelekcyje, o których Zygmunt Krasiński — bo i on uczęszczał na nie pilnie — pisał raz do Sołtana: »Kurs Klaczki o Adamie znów dozwolon; szkoda, iż go nie słyszysz, podskoczyłoby ci serce...«;

¹⁾ Pierwszy wiersz J. Klaczki p. t. *Moja pierwsza ofiara*, wyszedł w Wilnie w roku 1839 (napisany 6 listopada 1838 r.). W roku 1841, w wileńskim czasopiśmie *Linksmine* drukowały się »Sonety« J. Klaczki, oraz dłuższy wiersz liryczny p. t. *Pożegnanie*. W *Tygodniku literackim* poznańskim drukował Klaczko w roku 1843 poemacik p. t. *Israelita na gruzach Palestyny*.

²⁾ Studya uniwersyteckie odbywał Klaczko w Królewcu, którego Uniwersytet świetnie ukończył w r. 1847. Uniwersytet ten nie zapomniał do dziś dnia »o tym, który przed pół wiekiem zwrócił na siebie jego uwagę świetnymi egzaminami, a odtąd przez pół wieku przynosił mu zaszczyt jeszcze świetniejszemi pracami«. Dlatego też d. 28 marca 1897 r. w samą 50-tą rocznicę doktoryzacyi Klaczki, jako doktora filozofii, Uniwersytet królewiecki przysłał mu powtórny jubileuszowy dyplom doktorski, wraz z listem dziekana fakultetu, Dr. H. Baumgarta, bo »jakiekolwiek mogą zachodzić różnice politycznych opinii i stanowisk, uniwersytet ma sobie za obowiązek — i szczęśliwy jest — uczyć swojego doktora«.

W roku 1848 napisał Klaczko po niemiecku słynną broszurę *Die deutschen Hegemonen* (Berlin 1849). W roku 1853 wydrukował w *Pokłosiu* słynne swe studium p. t. *Lenora i Ucieczka*. W roku 1854 wyszła jego cięta broszura *O szkole narodowej polskiej na Battignoles pod Paryżem*.

jego praca i umiejętność, jakie w r. 1861 włożył z Eustachym Januskiewiczem w pierwsze kompletne wydanie dzieł i korespondencji Adama Mickiewicza (przyczem *Korespondencję* tę opatrzył wstępem, będącym najpiękniejszą charakterystyką Mickiewicza-człowieka, na jaką zdobyliśmy się w ogóle);

jego dyplomatyczne pertraktacje z lordem Palmerstonem, gdy się ważyły losy naszego powstania w r. 1863 (pisze o nich Koźmian w swej *Rzeczy o roku 1863*);

jego głośne artykuły polityczne w *Revue des deux Mondes* i *Journal des Débats*, którymi oddziaływał na ówczesną opinię europejską, a którymi wciąż rozdmuchiwał tę gasnącą iskrę, co się nazywała »kwestyą polską«;

jego *Notatki z podróży*, pod których skromnym i nieobiecującym tytułem kryją się najbardziej wstrząsające obrazy i sceny z czasów wojny prusko-francuskiej ¹⁾;

jego mowy sejmowe, które w Lwowie, jako poseł na sejm galicyjski, olśniewał całe audytorium, zachwycając nie tylko wspaniałą treścią swych oracyi, ale ich niezwykle piękną formą, cudowną polszczyzną;

jego głośna rola, którą na wszechświatowej arenie politycznej, jako deputowany do austriackiej Rady Państwa, odegrał za pamiętnego ministerstwa hr. Beusta;

jego studjum dyplomatyczne o *Dwóch kanclerzach* (*Deux Chancelliers*), które w r. 1878 taką wrzawę wywołało w całej prasie europejskiej, a którem rozwścieczone t. z. »gadzinowe« pisma bismarkowskie nie nazywały odtąd autora jej inaczej, tylko *der verrufene Klaczko*;

jego powaga w dyplomacji europejskiej, nie dająca spać spokojnie samemu nawet »żelaznemu księciu«, który go nienawidził z całej duszy (zwłaszcza po przeczytaniu *Dwóch kanclerzów!*), a w nienawiści swej ku niemu, połączonej z nietajoną obawą przed przenikliwością autora *Etudes de Diplomatie contemporaine*, posuwał się aż do podziemnych knozań przeciwko znakomitemu publicyście ²⁾;

¹⁾ Kraków, 1871. Osobne odbicie z *Przeglądu polskiego*.

²⁾ W korespondencji p. t. *Echa z Krakowa*, ogłoszonej w *Słowie warszawskim* w końcu r. 1898. znajduje się między innymi taki ustęp: »Cichy zazwyczaj listopad, nadspodziewanie w bieżącym roku ożywia senne miasto, a wbrew tradycji kra-

i wreszcie jego literacka sława, którą się cieszy w całej Europie, sława wszechświatowa, którą sobie zdobył swemi nieporównanie świetnymi studjami nad Dantem i Michałem Aniołem, a która uczyniła go członkiem Instytutu francuskiego,

kowskiej, nie pogrzebowe, lecz raczej jubileuszowe uroczystości snują się po kolei. Przed kilku dniami święcono 70-tą rocznicę urodzin Juliana Klaczki, składając mu życzenia i dziękczynienia sformułowane w pięknym adresie. Sędziwy jubilat zrazu się zżymał na zaimprovizowaną owacyę, ale się w końcu rozczulił i przyjął hold zasłużony, protestując jedynie przeciw mylnej dacie swego przyjścia na świat i ujęciu mu całych trzech lat wieku. Atoli, kto z tak młodem uczuciem ocenia i opisuje czasy Odrodzenia, zaiste młodzieńczą ma siwiznę. Słyszeliśmy, że niektóre wielbicielki znakomitego pisarza, zamierzały połączyć się z holdem Akademii i Uniwersytetu, ślać jubilatowi dank kwiatów z odpowiedniami dedykacyami, bądź jako miłośnikowi Dantego, bądź jako przeciwnikowi Bismarcka.

W pośmiertnej księdze Buscha znalazł się ślad charakterystycznej nienawiści, którą były kanclerz Niemiec wyróżniał Klaczkę. Gdy ten ostatni został powołanym na wyższe stanowisko w rządzie austryackim, Bismarck wszelkie poruszył sprężyny, bodaj nawet monarsze wpływy, aby zniewolić hr. Beusta do usunięcia niechętnie widzianego doradcy. To uznanie nienawiści oczywiście jest zaszczytem, który Klaczkce musi być miłym...« Wspomniany powyżej wyjątek dziennika Buscha, dotyczący Klaczki, brzmi, jak następuje:

25 marca. Szef życzy sobie, aby wznieść dyskusyę nad mianowaniem Klaczki w Wiedniu. Powiedział mi: »Beust chce w ten sposób wskrzesić kwestyę polską. Zwróć pan uwagę na działalność publicystyczną tego niezmordowanego agitatora i na jego zacieklą nienawiść do nas i do Rosyi. Przytocz pufną depezę Rechenberga z 2 marca z Warszawy, gdzie powiada, że polskie stowarzyszenia tajne, krzątające się we Lwowie około przygotowań do powstania, mającego na celu wskrzeszenie niepodległości Polski, wysłały do Klaczki deputacyę, winszując mu otrzymania stanowiska, na którym będzie w bezpośrednich stosunkach z kanclerzem państwa. Przeszlij pan taki artykuł naprzód do *Köln. Ztg.*, a następnie postaraj się go umieścić w pismach prowincjonalnych. Musimy się postarać o to, aby doszedł do Beusta (ambasadora w Petersburgu) i został powtórzony przez prasę rosyjską. Może także pojawić się w *Kreuzzeitung*, ale za każdym razem powinien się ukazywać pod inną formą«. Zob. w feljetonie *Słowa* z r. 1898, *Busch o Bismarku*.

Z innych prac dyplomatycznych Klaczki wymienić należy: *Les préliminaires de Sadova*, *Le congrès de Moscou*, *Les cabinets de l'Europe en 1863—1864*.

oficerem Legii honorowej, etc. etc., nie mówiąc już o tem, iż i nasza krakowska Akademia Umiejętności ofiarowała mu godność swego członka rzeczywistego¹⁾.

Wszystko to miałem w pamięci, kiedym po mięko wysłanych schodach wchodził na pierwsze piętro, zajmowane przez znakomitego pisarza, i kiedym, zatrzymawszy się u drzwi,

¹⁾ Zarzucano Klaczce, że od długiego szeregu lat pisze tylko po francusku, że tem samem przestał być pisarzem polskim, a stał się kosmopolitycznym. I ten zarzut, jak wiele innych jest gołosłowny, a zdradzający najgrubszą niewiadomość. Zdaje się bowiem, iż ci, co zarzucali Klaczce kosmopolityzm w jego pismach francuskich, nie czytali jego artykułów w *Revue des deux mondes*. Gdyby byli czytali, wiedzieliby, że wszystko, co Klaczko pisał po francusku, począwszy od *Etudes de Diplomatie contemporaine* a skończywszy na *Deux Chancelliers*, było opinią Polaka, zabierającego głos — z polskiego punktu widzenia — w sprawach europejskich. Były to artykuły z wyraźnym piętnem swego polskiego pochodzenia, a jeśli je Klaczko pisał po francusku, to dlatego, że były przeznaczone dla Europy, dla dyplomacji europejskiej, która liczyła się z nimi, brała je w rachubę, a ich świetność podbijała mnóstwo umysłów... Nadto pisywał Klaczko do *Revue des deux mondes* studia o rzeczach polskich, jak *Poète anonyme* (Zygmunt Krasiński), lub *Une Annexion d'autrefois* (Unia lubelska). Dopiero po roku 1870, po upadku drugiego cesarstwa, zaczął pisać o literaturze powszechnej, o Dantem i Petrarce, o Michale Aniele i renesansie włoskim. Ale i na tych pracach, choć kosmopolitycznych na pozór, wyciskał piętno polskości. W słynnych *Causeries florentines*, tłómaczonych na wszystkie główne języki europejskie, świetną rolę gra Polak, który do chóru umysłów południowych, łacińskich, przynosi jakiś ton słowiańskiego mistycyzmu, a w rozmowie o Petrarce i Dantem, jako poetach miłości, mówi rzeczy najświetniejsze, z jakimi się spotykamy w tym renesansowym dialogu. Dlaczego Klaczko pisze te rzeczy po francusku? Na to pytanie pięknie odpowiedziano w przedmowie do przekładu *Wieczorów florenckich*: »Kiedy nasi dzielni pisarze XVI wieku obrabiali chcieli przedmioty powszechnego zajęcia i znaczenia, pisywali o nich po łacinie. Mieli słuszność; rzeczy, do powszechnego użytku przeznaczone, powinny się pisać w języku powszechnie zrozumiałym. Taką samą słuszność miał i pan Klaczko, kiedy tę pracę swoją napisał po francusku. Ale jak *Respublica* Modrzewskiego, jak Goślickiego *Senator* lub Warszewickiego *Posel*, choć w obcym języku, do polskiej literatury należał, tak i ta innego porządku i zakresu praca najświetniejszego dziś z polskich pisarzy staje się z natury własnością i ozdobą naszego piśmiennictwa, które winno jest jej

naciskał guzik elektrycznego dzwonka. Otworzył mi lokaj, wysoki, chudy, z sumiastymi wąsami, wyglądający na zaufanego sługę pana domu, a mogący być wymarzoną modelą dla malarza, któryby chciał malować Cervantesowego »rycerza o smętnej obliczu«. Zaledwie minął duży, gustownie umeblowany salon o trzech oknach, salon, którego największą ozdobą zdaje się być kilka starych obrazów w złożonych ramach, od razu w progu drzwi po prawej stronie, prowadzących do przyległego gabinetu, ujrzałem znaną mi już od dwóch lat postać autora *Wieczorów florenckich*.

Pamiętam, że go pierwszy raz zobaczyłem na pogrzebie księżnej Marceliny Czartoryskiej, za której trumną siedział razem z Henrykiem Rodakowskim... Nie zapomnę wrażenia, jakie robili ci dwaj zgarbieni weterani, idący za tą trumną... Patrząc na nich, mimowoli myślało się o epoce, do której należeli razem z księżną, epoce, która żyła myślą i ideałami naszych wielkich poetów, a która się skończyła z upadkiem drugiego cesarstwa... Później spotykałem Klaczkę na »niedzielach« u p. Ludwika Michałowskiego. Nie zmienił się od tego czasu, a przynajmniej nie postarzał się, choć dźwiga już 72 krzyżyk¹⁾. Przedewszystkiem nie wygląda na swoje lata, a patrząc na tę krzepką postać niewielkiego wzrostu, o włosach posiwiałych, krótko strzyżonych, trochę przerzedzonych z tyłu, o cerze zdrowej i czerstwej, o twarzy pełnej i wolnej od zmarszczek, o rysach regularnych, o siwych sumiastych wąsach, a oczach żywych, prawie młodzieńczych, bystro patrzących z pod bujnych, posiwiałych brwi, ma się wrażenie, że się patrzy na dobrze zakonserwowanego, co najwyżej 60-letniego hreczkosieja, który, dzięki temu, że całe życie spędził na wsi, *trzyma się doskonale*. Jedynym szczegółem, pozwalającym się domyślać, iż jednak ten człowiek często musiał pochylać się nad książkami lub

i sobie samemu wziąć ją coprędzej w posiadanie, przenosząc ją w swój własny język«. Nie zapominajmy także, iż nietylko Klaczkę, (zmuszony przez lat 20 mieszkać w Paryżu), choć Polak, pisywał po francusku. Dzieł Mickiewicza, pisanych po francusku, mamy kilka tomów, a przecież nikt Mickiewiczowi nie zarzuci kosmopolityzmu. NB. Klaczkę przez cały czas swego współpracownictwa w *Revue des deux mondes* zawsze się pod swojemi artykułami podpisywał po polsku: *Julian Klaczkę*.

¹⁾ Urodzony dnia 6 listopada 1825 roku w Wilnie.

biurkiem, są jego zgarbione plecy, tudzież prawe ramię, bardziej podniesione — od pisania — niż lewe. Po za tem nie wygląda na pisarza, co życie przesiedział nad książkami i gazetami, a pracował mózgiem i piórem.

Po przywitaniu weszliśmy do przyległego gabinetu, w którym wystarcza rozejrzeć się po ścianach, żeby się domyślić, iż się jest w pracowni autora *Rome et la Renaissance*, w atmosferze czasów Juliusza II i Michała Anioła. Całe ściany, powyżej półek z książkami i tekami, pozawieszane wielkimi fotografiami rzeźb i malowideł Michała Anioła, którego wielki portret króluje pośrodku. Na ścianie, naprzeciw wielkiej otomany (na której siadłem), wisi w złożonych ramach olejna kopia słynnego portretu Juliusza II, malowanego przez Rafaela, obraz, który odrazu przypomina to wszystko, co o tym *pontifice terribile* pisał w ostatnich czasach Klaczko. Ten ostatni tymczasem, zajmwszy miejsce naprzeciw mnie, w niskim fotelu, zapalił papierosa i odrazu wszedł *in medias res*, wszczynając rozmowę o mojej książce.

Było to hasło do bardzo długiej dyskusyi, w której mój znakomity oponent raz występował w roli obrońcy, gdy chodziło o Eustachego Januszkiewicza, raz w roli prokuratora, gdy chodziło o Słowackiego samego, lub jego przyjaciela, Leonarda Niedźwieckiego. Dyskusya była interesująca i ożywiona. Klaczko mówił na podstawie swej osobistej znajomości z ludźmi, o których mowa, a przytem występował, jako przyjaciel Januszkiewicza, z którym go wiązała 20-letnia zażyłość, o Mickiewiczu zaś, którego także znał osobiście, mówił jako jego gorący wielbiciel i stronnik: słowem, zajmował stanowisko subiektywne. Ja, przeciwnie, zajmowałem i podkreślałem moje stanowisko obiektywnego krytyka, który swe wnioski i sądy opiera na dokumentach, a nie powoduje się żadnymi sympatjami i antypatjami, starając się utrzymać ponad stronnictwami. Skoro mój sąd opieram na wiarogodnym dokumencie, wtedy mam czyste sumienie, choćby ten dokument rzucał niekoniecznie korzystne światło na daną osobistość, czy nią będzie Januszkiewicz, czy Słowacki. Jeżeli Januszkiewicz, o którego głównie chodziło Klaczce, nie zawsze wychodzi w mej książce — w stosunku do Słowackiego — sympatycznie, to nie dla czego innego, tylko dlatego po prostu, że do innego wniosku nie upoważniały mnie dokumenty, nawet te, które nam pozostawił

po sobie Eust. Januszkiewicz. Nie przeczę, że po za tem Januszkiewicz mógł być najsympatyczniejszym i najdzielniejszym człowiekiem, ale twierdzą stanowczo, że był uprzedzony do Słowackiego, że go nie lubił — co mu było wolno — i że Słowackiemu dało się to nieraz we znaki bardzo dotkliwie... Na to Klaczko:

— Ależ, drogi panie, ja znałem Słowackiego, to był nieznośny człowiek, nielubiany powszechnie, tymczasem Januszkiewicz cieszył się sympatją i poważaniem całej emigracji.

— Nie przeczę bynajmniej. Wiem, że Słowacki miał swoje wady, ale nie wierzę stanowczo, ażeby Januszkiewicz był wolny od wszelkich słabostek i małości ludzkich. Miał np. jedną wadę, od której był wolny Słowacki: nie zawsze mówił lub pisał prawdę, a zwłaszcza rozumiał się z nią wtedy, gdy świadczył o Słowackim. Że tak było, na to mamy dowody, czarno na białem.

Z kolei, uporawszy się z Januszkiewiczem, poczęliśmy się spierać o Niedźwieckiego, któremu Klaczko przyznaje tylko jeden talent, kaligraficzny. Po za tem nie widział w nim nigdy — powiada — nic nadzwyczajnego, a mówiąc o nim, wyrażał się z pewnem lekceważeniem. Argument, że jednak Trentowski był innego zdania o Niedźwieckim (czego dał dowód w swym *Panteonie*, gdzie o Niedźwieckim pisze z entuzjazmem), także mu nie trafił do przekonania, gdyż wogóle o tych naszych filozofach narodowych, jak Trentowski, Hoene-Wroński *et consortes*, trzyma niewiele. Na to, co o Hoene-Wrońskim napisał niedawno Bertrand w *Revue des deux mondes*, on pisze się w zupełności.

Była to najbardziej polemiczna część naszej rozmowy, a polemika ta, choć w niej zużyliśmy ogromną ilość argumentów subiektywnych, okazała się o tyle bezpłodną, że obaj ostatecznie pozostaliśmy przy swem pierwotnem zdaniu. Mnie nie przekonały argumenty mojego przeciwnika, pomimo, że nim był Julian Klaczko, a jego nie przekonały moje... Ale polemika ta, choć bezpłodna w rezultacie, miała jeden znakomity skutek: Klaczko się ożywił ogromnie, rozgadał się. Po chwili wstał i zaczął mówić, chodząc po pokoju, a mówił z młodzieńczym zapalem, żywo ilustrując to, o czem mówił, gestami i szybko zmienianym wyrazem twarzy; ja zaś, nie ruszając się z otomany, słuchałem pilnie, co mówił, podziwiałem jego nie-

pospolity dar wymowy, w której było coś porywającego chwilami, a przytem śledziłem ożywienie, jakie się malowało na jego twarzy, zwłaszcza w oczach, które w tej chwili płonęły dziwnym ogniem, zadziwiającym u 72-letniego człowieka.

Trafiłem na dobry dzień: bo Klaczko — jak wiem od innych — nie zawsze bywa tak ożywiony, a bardzo często nie chce mu się mówić.

Zgadało się o Mickiewiczu, który — mojem zdaniem — źle zrobił, że w swych wykładach w *Collège de France*, wspominając i wychwalając tyłu innych współczesnych poetów, tylko o jednym Słowackim przemilczał.

— Nie wierzę, rzekł Klaczko, żeby to uczynił z premedytacją. Panie, Mickiewicz to przedewszystkiem człowiek dobroduszny niezmiernie, bez cienia afektacyi. Jeśli nie mówił o Słowackim, to nie żeby go chciał tem skrzywdzić, ale dlatego po prostu, że nie rozumiał jego poezyi. Pamiętam, jak raz przy nim zgadało się o Słowackim, w którego obronie stawało nas kilku. Przyznawał się otwarcie, że chciałby w nim widzieć więcej, niż widzi, ale cóż, kiedy go nie rozumie. »Co wy w tem widzicie? Jak Boga Kocham, czytam, czytam, i nie nie rozumiem!«

— Otóż tego właśnie zrozumieć niepodobna, jakim sposobem człowiek, tak niepospolitej inteligencji, jak Mickiewicz, a przytem sam poeta, nie mógł się poznać na pięknościach poezyi Słowackiego.

— Jest to jeden dowód więcej, stwierdzający jego nadzwyczajną dobroduszność. A przytem, jak wielu wielkich poetów, niekoniecznie sam znał się na poezyi. Mówili mu, że Słowacki nie jest wiele wart, jako poeta, że jego poezye są niezrozumiałe, a on wierzył. Pamiętam, jak mu raz dano bardzo liche sonety do przeczytania. Były to jakieś wiersze Grzymały, czy Kaysiewiczza. Przeczytał i podobały mu się, nawet mu się bardzo podobały. A tymczasem były to rzeczy liche. Nawet, gdy mu zwrócono uwagę, że przecie w tych wierszach niema poezyi, jeszcze wtedy nie był przekonany: ciągle mu się zdawało, że jednak te wiersze nie są takie złe. Zato o swoich poezyach nie zawsze trzymał wiele. O *Konradzie Wallenrodzie* np. mówił: »To był pamflet...« Wogóle nie lubił tego poematu, a jeśli nie lubił go, to z pewnością szczerze, bo w Mickiewiczu nie było żdźbła nieszczeroci. Co myślał, to mówił. Pamiętam,

raz byliśmy na śniadaniu u Seweryna Gałęzowskiego, doktora, który miał znakomitego kucharza, Litwina, a ten kucharz znakomicie przyrządzał różne potrawy litewskie. Było nas kilku, między innymi i Bohdan Zaleski. Na jedno danie podano pierogi, które się okazały wyborne, ale choć smakowały wszystkim, nikomu nie smakowały tak, jak Mickiewiczowi. Nie mógł się ich dosyć nachwalić, a wychwalając je, tak się unosił nad niemi, nad ich smakiem, ich delikatnością, etc. etc., że aż mu w końcu Bohdan Zaleski zwrócił uwagę: »Ależ, Adamie, na litość Boską, tak mówisz o tych pierogach, że ktoby cię słyszał podobnie rozwodzącego się o tak prozaicznej rzeczy, jak jedzenie wogóle, a pierogi w szczególności, nie przypuściłby nawet, że jesteś poetą, Mickiewiczem«. »Mój drogi, odrzekł mu na to Mickiewicz, ja jestem zdania, że nie należy udawać poezyi, kiedy jej źródło już wyszło w duszy«. W tej odpowiedzi jest cały Mickiewicz. To był człek prosty niezmiernie, poczciwy, nigdy nie pozujący (tymczasem Słowacki zawsze pozował), powiem nawet, naiwny... Naiwny jak Homer! O, bo Homera było w nim więcej, niż ludzie przypuszczają! I to jest największą pięknoscią *Pana Tadeusza*, to, co w nim jest homerycznego, a jednak nie naśladowanego z Homera. Nawet pisałem o tem... Napisałem rodzaj studyum na ten temat.

— Jakto? i nie ogłosił pan tego studyum?

— Nie, i nie ogłosię go. Po mojej śmierci może je kto ogłosi, jako moje *oeuvre postume*. W każdym razie, panie, Mickiewicz to poeta, którego wszystkich piękności, jakie się znajdują w jego utworach, jeszcze nie podniesiono dotąd. Jeszcze nie zdobyliśmy się na krytyka, coby się na tych nadzwyczajnych pięknościach poznał, a następnie wskazać je z odpowiednim talentem potrafił. Znalazł się jeden tylko, co o Mickiewiczzu napisał rzecz wspaniałą, godną Mickiewicza, a przytem niepospolicie oryginalną, świetną, jedną z najznakomitszych prac krytycznych, jakimi się możemy pochlubić. Ale i to nie był krytyk, tylko malarz. Witkiewicza *Mickiewicz jako kolorysta*, to panie, rzecz europejska, a nawet w literaturze europejskiej trudno wskazać na równie świetne i głębokie studyum krytyczne! O, to rzecz niepospolita, wysoko wybiegająca ponad zwykły poziom!... Jest to jedyna, mojem zdaniem, piękna praca o Mickiewiczzu, który jeszcze czeka na swego...

— Na swego Klaczkę.

Z kolei zaczęliśmy mówić o naszej literaturze mickiewiczo-wskiej, a słuchając, co o niej mówił i sądził Klaczko, byłem po prostu uderzony jego odczytaniem: nie przypuszczałem, że on, który tak poszedł w innym kierunku, w tym stopniu jest *au courant* wszystkiego, co się u nas pisze i drukuje. Co ten człowiek musi czytać!...

Wyczerpawszy temat Mickiewicza, powróciliśmy do Słowackiego, którego Klaczko — jakem się przekonał z tej rozmowy — nie jest wielkim zwolennikiem, choć uznaje jego barwny język, kolorytem przypominający pędzel Weroneza, a korzy się przed jego niepospolitym artyzmem. »Nie ulega wątpliwości, że to był największy artysta z naszych poetów, ale muszę się przyznać, że go nie zawsze rozumiem«.

— Dziwna rzecz, że ja wszystko rozumiem w Słowackim, i tylko nie mogę zrozumieć tych, co powiadają, że go nie rozumieją.

— Zazdroszczę panu, bo ja tego o sobie powiedzieć nie mogę.

— W każdym razie wiem o tem, że była epoka, gdyż pan uwielbiał Słowackiego.

— Kiedyż to było?

— Jest w *Listach Andrzeja-Edwarda Koźmiana*, niedawno wydanych we Lwowie, jeden list, pisany z Paryża d. 2 listopada 1858 r. do brata stryjecznego Stanisława, prawie cały o panu, a między innymi jest tam powiedziane tak, o ile sobie przypominam: »On teraz, oprócz Mickiewicza, kocha Słowackiego, którego zowie największym artystą, innych nienawidzi«.

— Nic nie wiedziałem o tym liście. Bądź co bądź, nie przeczę, że tak być mogło, bo niech pan nie myśli, żebym kiedykolwiek starał się obniżyć wartość Słowackiego, jako poety. Przeciwnie, byłem jednym z pierwszych, co o niego stawali w walce, co mu starali się wywalczyć zaszczytne stanowisko na naszym Parnasie. Pamiętam doskonale, jaka była opinia o Słowackim, kiedy po raz pierwszy przyjechał do Paryża. Lekceważono go sobie, wcale nie uważano za nadzwyczajnego poetę...

— Prawdopodobnie dlatego, że tę opinię wyrabiali o nim przyjaciele i stronnicy Mickiewicza: Januszkiewicz, Bohdan Zaleski i wielu innych, którym Słowacki jeszcze po śmierci

nie dawał spokoju, jak tego dowodzi np. Januszkiewicza list o Słowackim, pisany do Małeckiego, list, w którym, oprócz niechęci, niema prawie słowa prawdy, lub złośliwy wiersz B. Zaleskiego, który w swoich *Pyłkach* powiada o Słowackim, że „jest dziennikarzem w wierszach, jak Kraszewski w prozie”.

— W każdym razie ja należałem do tych, co stawali w jego obronie, tylko go nie podnosiłem tak wysoko, jak to wy, młodzi, czynicie teraz. Zawsze go stawiałem zaraz po Mickiewiczu i Krasińskim, w tym porządku: Mickiewicz, Krasiński, Słowacki.

— Otóż pod tym względem pozwolę sobie być innego zdania, sądę bowiem, że się powinno mówić: Mickiewicz, *Słowacki* i Krasiński. Przyzna pan chyba, że Słowacki był większym poetą, niż Krasiński.

— Panie, Krasiński jest autorem *Nieboskiej komedyi*, jednej z najgenialniejszych rzeczy, jakie są w literaturze świata. I napisał ją, mając dwadzieścia lat! Na to trzeba być geniuszem! Panie, dwudziestoletni chłopiec, który daje taki utwór, to jest wieszcz. Resztę daruję panu, nawet *Irydiona*. Słowacki nigdy nie napisał nic podobnego, jak *Nieboska komedya*. *Pan Tadeusz* i *Nieboska komedya* to są szczyty naszej poezyi!

I w tej chwili zaczął mówić o Fredrze, którego cenil nieźmiernie wysoko, którego komedye stawia najbliżej *Pana Tadeusza*. My jeszcze nie cenimy tak Fredry, jak na to zasługuje. Nie domyślamy się nawet, jaką wielkość posiadamy w twórcy *Zemsty za mur graniczny!*

— To, panie, jeden z najbardziej narodowych naszych pisarzy. Pamiętam jednego Anglika, który się bardzo nami interesował, a zawsze mi powtarzał, że mamy dwóch poetów, których nam wszyscy pozazdrościć mogą: Mickiewicza i Fredrę. Bo jak pierwszy jest najbliższym Homera, tak drugi jest najbliższym Molière'a, którego nawet w niektórych razach przewyższa, a nigdy nie traci na porównaniu z nim. Jestem przekonany, że nastanie taka epoka, w której przyjdzie kolej na kult Fredry. A przytem Fredro nigdy się nie zestarzeje, nie wyjdzie z mody, bo jest nawskróś polski i ludzki. Może przyjąć taka epoka, że ludzie zapomną o Słowackim, o Krasińskim, że nie będą czytali *Wallenroda* lub *Dziadów*, ale *Pana Tadeusza* i komedye Fredry — najcenniejsze oczywiście — będą czytali zawsze.

Ośmieliłem się wtrącić, że i o Słowackim, jako autorze *Ojca zadżumionych*, ludzie nie zapomną nigdy, dopóki stanie języka polskiego, bo *Ojciec zadżumionych*, jak szekspirowskie tragedye, oprze się wszelkim kierunkom i prądom literackim, nieśmiertelny tą wiecznie jedną prawdą ludzkiego cierpienia, które za lat tysiąc będzie takie same, jak za czasów Homera. Tymczasem taka *Nieboska komedya*, pomimo swej całej genialności, już dzisiaj zaczyna trącić myszką, już dzisiaj nie trafia do wszystkich umysłów, bo jest zbyt romantyczną, za silne piętno wycisnął na niej pewien literacki i umysłowy kierunek, a mianowicie romantyzm z przed lat sześćdziesięciu. Hrabia Henryk to przedewszystkiem typ i wytwór pewnej epoki, epoki romantycznej. Tylko jako taki, jest zrozumiały i umotywowany psychologicznie. To sprawia, że już nie wszystkim trafia do przekonania. Cały dramat, który się w jego duszy rozgrywa, jest tylko zrozumiały na tle pewnego, ściśle oznaczonego okresu czasu; przeciwnie *Ojciec zadżumionych*, którego boleść ojca, tracącego dzieci, nigdy nie zestarzeje się ani zblaknie, jako temat, jako sytuacja ogólnoludzka.

— W każdym razie — zauważył Klaczko — Krasieński był nieporównanie głębszym umysłem, niż Słowacki.

— Zato Słowacki był umysłem poetyczniejszym, nie mówiąc już o tem, że miał o wiele bujniejszą wyobraźnię. Mojem zdaniem nawet, miał wyobraźnię nietylko bujniejszą, ale i poetyczniejszą od Mickiewiczowskiej. Bo utrzymuję stanowczo, że poetycznością Słowacki przewyższa nietylko Krasieńskiego, ale i Mickiewicza. Mickiewicz jest genialniejszy, ale Słowacki jest poetyczniejszy. Mickiewicz jest dość prozaicznym w swoich poezyach, kiedy Słowacki wszystko owiewa jakąś dziwną poezyą. U niego nawet Sybir jest poetyczny...

— Ale zgodzi się pan na to, że politykiem nie był żadnym. Nie zapomnę jego »świętej anarchii«, w której widział zbawienie ludzkości. Słyszałem z jego własnych ust, jak się unosił nad tą »świętą anarchią«.

Tu opowiedział Klaczko, w jakich okolicznościach zetknął się raz ze Słowackim.

— Było to w roku 1848, w Poznaniu, w czasie owej pamiętnej t. zw. rewolucyi poznańskiej. W chwili, gdy ta niefortunna rewolucya wybuchła, byłem w Heidelbergu, gdzie między innymi pisywałem także artykuły do *Deutsche Zeitung*

Gervinusa. 'Otóż zdarzyło się tak, pamiętam, że siedziałem w redakcyi, gdy nagle przychodzi depesza, depesza z Poznania. *Notabene* depesze były wtedy wielką rzadkością. Wrażenie! Cóż dopiero, gdyśmy przeczytali wiadomość, którą nam przynosiła ta depesza. Rewolucya w Poznańskim! Donoszono nam, że się formuje komitet rewolucyjny, że się zakładają obozy w polach, że się formują oddziały kosynierów... Czasy były takie, że, pamiętam, nawet nie poszedłem do domu na obiad, tylko pożegnawszy się z Gervinusem, który mię powstrzymywał i hamował, wprost z redakcyi *Deutsche Zeitung* pojechałem na kolej. Tak, jak stałem! Pamiętam, że mi Hahn, jeden z kolegów redakcyjnych, a późniejszy minister badeński, przesłał później z Heidelberga moje rzeczy do Poznania. Pojechałem wprost do Berlina. Tam przyłączyłem się do t. zw. legii akademickiej, z którą po kilku dniach udałem się do Poznania... Tymczasem prusacy, którzy się po swojej rewolucyi w Berlinie bardzo szybko zorientowali w sytuacji, zażądali zwinięcia obozów, a legiom akademickim przyrzekli organizację narodową. Do Poznania przyjechał ów poczciwy generał Willisen, posłany do układania się z Poznańczanami, do pertraktowania z wybitniejszymi obywatelami Księstwa. Pamiętam, że zaraz pierwszego dnia zostałem wprowadzony na posiedzenie komitetu rewolucyjnego. Przedstawiony jego członkom, ponieważ byłem znany, jako współpracownik *Deutsche Zeitung*, zaraz zostałem zaszczycony jednogłośnie uchwałą, ażebym redagował po niemiecku pisma od komitetu do rządu. Rzecz charakterystyczna, że ci poznańczycy, którzy się tak skarżyli na germanizację, musieli wołać mnie, Litwina, żebym im po niemiecku pisał! A i to było niemniej charakterystyczne, że na takim posiedzeniu, na którym zasiadali sami ludzie poważni wiekiem, przeważnie oficerowie z roku 1831, dopuszczono takiego, jak ja wówczas młodzika, żem głos zabierał na równi z nimi... A przecież w tym komitecie zasiadał sam kwiat społeczeństwa! Był biskup, był nawet sam Mierosławski, był Potworowski, oficer z r. 1831, był Libelt, był Stefański. Ten ostatni był księgarzem w Poznaniu. Świetny typ! Świątobliwy demagog, człowiek, który pobożność cudownie umiał łączyć z demagogią: wydawał *Złote Otarzyki*, które mu się doskonale opłacały, i warcholił. Ale zaczęło się posiedzenie. Libelt, jako prezydujący, odczytał odezwę do narodu, odezwę, napisaną stylem napusz-

nym i patetycznym, a której treścią było, pamiętam, że idziemy na śmierć, a idziemy bez nadziei zwycięstwa, byle tylko krew przelać za ojczyznę... Gdy skończył czytać, Potworowski, wzruszony — albowiem był dziwnie skłonny do łez — zaczął wołać, zanosząc się od płaczu: »Na miłość Pana Boga! Na co tych biednych chłopów, którzy nie mają nic więcej, prócz kos, wydawać na rzeź niechybną? Obiecywaliśmy im, że będzie Polska, zwodziliśmy ich, a teraz przyjdzie jeden *szerapnel*, wpadnie pomiędzy bezbronych, a co się będzie działo wówczas, o tem najlepiej wiem ja, co bywałem w bitwach...» Tego samego zdania, co on, był i biskup, który się także rozplakał przy tej sposobności, i kilku innych. Na to Libelt: »To jest nasz testament. Zginać musimy, albowiem tego wymaga honor oręża polskiego«. A Potworowski na to: »Jeżeli mamy zginać, my, to lepiej urządzmy rewolucję w Poznaniu, barykady! Padnie nas kilkunastu dla honoru, ale po co gubić tych chłopów, co stoją w obozie?... Wtem otworzyły się drzwi i jeden z członków komitetu (już nie pamiętam który) wprowadził jakiegoś smągłego bruneta, o delikatnych rysach, o wyschłej, śniadej twarzy, z suchotniczemi rumieńcami na zapadłych policzkach, i zamiast przedstawić go zgromadzonym, zaczął po kolei przedstawiać ich jemu. W końcu dopiero, gdy już zdążył przedstawić nas wszystkich, dodał głośno, wskazując nań ręką: »Słowacki, poeta«. Na nas jednak, przypominam sobie, nie zrobiło to nadzwyczajnego wrażenia, bo *primo* — zbyt byliśmy zaabsorbowani dyskusją, a *secundo* — imię Słowackiego, choć znane, nie było tak głośne w owych czasach, jak Mickiewicza, lub choćby Krasieńskiego. Wszelako wytoczono przed nowoprzybyłych całą sprawę od początku. Libelt odczytał powtórnie całą odezwę, Stefański, jak poprzednio, gardłował za nim, biskup i Potworowski znów mu oponowali z płaczem... Na to powstaje Słowacki (jakbym go widział w tej chwili!) i stojąc z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, zaczął mówić podniesionym głosem: »Cóż wy myślicie? Wam się zdaje, że dzisiaj potrzeba jeszcze, jak dawniej, armat, pułków, oficerów? A ja wam powiadam, że dzisiaj przyszła epoka świętej anarchii...« Chciał mówić dalej, ale mu nagle przerwał Stefański, który, posłyszawszy połączenie tych dwóch wyrazów *świętość* i *anarchia*, rzucił mu się w zachwycie do nóg, i wyciągając ręce, krzyczał: »Mistrzu! wielkie słowo rzekłeś...« Tą komedią przerwał

wątek Słowackiemu, który usiadłszy, już nie mówił więcej... Skończyło się na tem, że odezwy nie ogłoszono. W takich okolicznościach poznałem Słowackiego. Był to jedyny raz, kiedy go widział. Święta anarchia! Czegoś podobnego nie powiedziałby nigdy Krasiński.

— Nie powiedziałby, bo nie był towiańczykiem. Wyrażenie to jest całkowicie w duchu teorii Towiańskiego. Słowacki, gdy dowodził, że dzisiaj nie trzeba, jak dawniej, armat, pułków i oficerów, przemawiał, jak towiańczyk. Towiańczycy wierzyli przecie, że »siłą sztychu« i potęgą »ducha« można zwyciężać największe siły fizyczne. Ażeby zrozumieć znaczenie tych słów, wystarczy znać naukę Towiańskiego, którą wtedy wyznawał Słowacki. Jestem przekonany, że to samo zupełnie, co na tem posiedzeniu powiedział Słowacki, powiedziała i Mickiewicz.

I długo jeszcze gawędziliśmy na ten temat, a że od mistycyzmu do mesyanizmu krok tylko jeden, więc ani spostrzeżliśmy się nawet, gdy rozmowa przeszła na Krasińskiego. Klaczko, jak tego dowiódł swem klasycznym studyum o *Poecie Bezimiennym*, jest ogromnym wielbicielem Krasińskiego, ale nie uznaje jego mesyanicznych teoryj o »Chrystusie narodów«, ani wierzy w to, w co Krasiński każe nam wierzyć w *Przedświcie*. Nawet o *Irydyonie* wyraził się: »Daruję go panu!« Według niego, Krasiński zawdzięcza to pierwszorzędne stanowisko, jakie zajmuje w literaturze polskiej i wszechświatowej, tylko *Nieboskiej komedyi*. Gdyby nie był napisał nic więcej, tylko *Nieboską*, i tak byłby tem, czem jest. A przytem *Nieboska* ma tę wyższość nad innymi dziełami Krasińskiego, że jest wolna od wszelkiego mesyanizmu, który jest zawracaniem głowy, niczem więcej.

— Zawsze byłem tego zdania, a nie wahałem się powiedzieć tego Krasińskiemu w oczy. Pamiętam jedną rozmowę, jaką z nim miałem na ten temat. Było to w Paryżu, w r. 1858. Mieszkałem przy *Quai d'Orleans*, nie tam, gdzie *Biblioteka polska*, ale nieco bliżej *Nôtre Dame*. Krasiński bywał u mnie... Otóż raz zgadzało się o mesyanizmie wogóle, a jego mesyanizmie w szczególności. Nie chcąc prawdy obwijać w bawelnę, oświadczyłem mu po prostu, gdy mię w tej materji zagadnął, że »o ile go wielbię, jako poetę, o tyle jestem przeciwny jego przedświtym teoryjom i utopiom. «Co tu wmawiać w ludzi nieszcze-

śliwych, rozbitych, skołatanych, zdemoralizowanych, tracących grunt pod nogami, osaczonych ze wszystkich stron, pozbawionych bytu politycznego, że są narodem wybranym, że są Chrystusem narodów, że w nich jest zbawienie ludzkości, etc. etc. Tylko się ich bałamuci tem, bo zamiast pracować, zamiast myśleć o poprawie swego losu, zamiast się uczyć i wyrabiać na dzielnych obywateli, zamiast starać się o to, ażeby byli lepsi, niż byli ich ojcowie, którzy przetrwonili ojczyznę i niepodległość polityczną, będą stali z założonemi rękoma i jeszcze się będą pysznili swą Chrystusowością, swoją rolą Boskich wybrańców, swoją moralną wyższością nad innymi narodami, swoją »nadeuropejską cnotą«. Dlatego uważam, że jest to teoria demoralizująca po prostu, bo jest wstawianiem rzeczy, których się ludziom w ogóle, a nam Polakom w szczególności, wmawiać nie powinno. Powinno się im mówić prawdę nagą, rzetelną, szczerą prawdę, która niech boli, jako chce, ale zawsze jest najskuteczniejszem lekarstwem na wszelkie wady i ułomności. Powinno się im wskazywać ich wady, żeby się ich pozbyć starali, bo tylko znając swoje ułomności, można się poprawić moralnie, można im przeciwdziałać«. Słowa te, wypowiedziane z całą szczerością i siłą przekonania, zrobiły większe wrażenie na Krasińskim, niż mogłem przypuszczać. Słuchał ich, siedząc, ale gdym skończył, powstał, a widać było, jak był głęboko poruszony, zaczął się nerwowym krokiem przechadzać po pokoju, jakby walczył sam z sobą, aż w końcu podszedł do mnie, ujął mię za rękę i rzekł głosem, zdradzającym silne wzruszenie: »Mylisz się! Tak nie jest. Jeśli kobiecie upadłej, występnej, zdemoralizowanej, zepsutej i lekkomyślnej, ale nie zepsutej doszczętnie, nie zdemoralizowanej zupełnie, często bolejącej z powodu swej lekkomyślności, żałującej swych grzechów, z których byłaby skłonną poprawić się, zaczniesz prawić o jej upadku, zaczniesz wyliczać jej grzechy i występki, rozwodząc się nad jej życiem zdrożnem i niemoralnem, to jaki skutek osiągniesz, jaki wpływ na nią takim mówieniem jej nagiej i bezwzględnej prawdy wyrzcesz? Oto zdemoralizujesz ją do reszty, znieprawisz całkowicie, a zamiast ją ratować z przepaści, jeszcze ją zepchniesz na samo dno upadku i niesławy. Bo kiedy jej odsłonisz całą grozę położenia, całą ohydę brudu i błota, w które zabrnęła, całą niesławę, którą się okryła, wtedy ona zwątpi o sobie, uwierzy, że, upadłszy tak nisko,

może tylko staczać się jeszcze głębiej, że, raz znalazłszy się na tej pochyłości, już nie ma możliwości cofnięcia się, i będzie straconą na zawsze, już się nie poprawi, bo zwątpi o możliwości ekspiacyi, stanie się niezdolną do skruchy. Inaczej się stanie, gdy w taką kobietę upadła, ale niepozabawioną instyktów szlachetnych, zaczniesz wmawiać, że w niej jest świętość, którą ona tylko zbrukała swem lekkomyślnem i występniem prowadzeniem, że jest aniołem, tylko z zabłoconemi skrzydłami, że jeśli upadła, to dlatego tylko, że ją do upadku popchnęły gorsze od niej, występniejsze, nie mające tej świętości i cnoty, które jeszcze i teraz nie wygasły w jej łonie, jeszcze się tła pod popiołem zepsucia, ale rozdmuchane skruchą i opamiętaniem, jeszcze są zdolne buchnąć najczystsze płomieniem świętości... Gdy jej tak prawić będziesz, wtedy ją wprowadzisz na drogę poprawy, wtedy w niej nie zbudzisz zwątpienia o sobie, wtedy oddziałasz na jej szlachetniejsze instynkty: uwierzy w swą cnotę, uwierzy, że jeszcze może być uczciwą kobietą, że jeszcze może wybielić swe anielskie skrzydła i będzie uratowaną...*

Z kolei, ponieważ się mówiło o Krasińskim, zesłaliśmy na temat książki St. Tarnowskiego o autorze *Irydyona*. Klaczko jest przeciwny takiemu pisaniu biografij, wglądających w życie prywatne artysty, czy poety... Niemniej jest przeciwnym tym studjom porównawczym, jak je piszą dziś Niemcy. Jest to, według niego, praca jałowa i niewdzięczna. Na ten temat zaczęła się ożywiona dyskusya. Ja broniłem psychologicznej metody badań, zaczęło poszło, żeśmy zesłali na temat Taine'a.

— Jego teoria *»du milieu«* — mówił Klaczko — jest bardzo zawodna, o czem on sam przekonał się w końcu. Nieraz o tem rozmawiałem z nim samym, bo znałem go dobrze. Otóż sam Taine ostatecznie doszedł do wniosku — jak mi się do tego przyznał otwarcie — że o ile teoria ta da się zastosować do mniejszych talentów, o tyle wielkie talenty wyłamują się z pod wszelkich wpływów otoczenia. Są to genialne wyjątki.

Dość długo mówiliśmy o Tainie, którego jestem gorącym wielbicielem, ale przekonałem się, że i w tym razie różniłem się z autorem *Wieczorów florenckich*.

— Bo jeżeli chodzi o pisarza, o talent literacki, to taki Renan np. stoi o całe niebo wyżej, pod każdym względem. Pamiętam, że Renan zawsze porównywał Taine'a do tunelu, przez

który wprawdzie wychodzi się na jasność, ale do tej jasności, skoro się chce do niej dojść tunelem, droga prowadzi przez ciemność: gdy się jest w środku tunelu, nie widzi się nic, nie wie się, gdzie się jest. To porównanie doskonale charakteryzuje sposób pisania i metodę Taine'a: on zawsze prowadzi przez tunel. Przeciwnie Renan, zawsze prowadzi jasną, słoneczną drogą: prowadzony przez niego człowiek zawsze wie, gdzie jest.

Mówiąc o Taine'ie i Renanie, mimowoli zesłaliśmy na temat Paryża, w którym Klaczko przemieszkował lat dwadzieścia z górą, a w którym już nie był od lat ośmiu. Dlaczego?

— Oni tam zrozumieć nie mogą, że mię nic nie ciągnie do nich, choć tak długie lata przeżyłem nad Sekwaną. Ciągłe zapytują mię, kiedy się osobiście pokażę w redakcyi *Revue des deux Mondes*, a ja im ciągle odpowiadam, że może to nastąpi jeszcze, ale nie teraz. Ja znałem i pamiętam inny Paryż, i dlatego mię nic nie ciągnie, a wszystko odpycha od dzisiejszego. Wymawiają mi, że m zapomniał o nich, gdy oni pamiętają o mnie (czego niedawno dali mi dowód, zaszczycając mię legią honorową), a ja nie taję, że choć pamiętam i myślę o nich, choć mi dzisiejsza Francya często stoi na myśli, mimo to nie chcę się narażać na bolesne wrażenie, jakieby na mnie mógł uczynić Paryż epoki ostatniej. Za silnie byliśmy przywiązani do Francyi napoleońskiej, do jej polityki z czasów drugiego cesarstwa, do Paryża *Wiadomości Polskich* i naszego »biura« na drugim piętrze przy *Quai d'Orleans* Nr. 6, ażeby nas, ludzi, co odychaliśmy ówczesną atmosferą, nie odstręczała dzisiejsza. *Tempora mutantur*, ale myśmy się nie zmienili. I dlatego niezrozumielibyśmy się dzisiaj. Dlatego wątpię, bym jeszcze wybrał się kiedy do Paryża. Wolę jeździć do Włoch, do Rzymu, choć i tam zmieniło się wiele...

I rozmowa zesła na dawniejsze czasy, na Paryż z czasów Napoleona III, na epokę po wojnie krymskiej, kiedy zaczęły wychodzić *Wiadomości Polskie*. Wydawanie tego pisma, które liczyło, jak zapewnia Klaczko, zaledwie stu prenumeratorów¹⁾, była to ciągła walka, ciągle narażanie się na niepopu-

¹⁾ Z powodu tej niewielkiej liczby prenumeratorów, jakich miały *Wiadomości Polskie*, opowiada St. Tarnowski (*Książd Waleryan Kalinka*, str. 78) następującą anegdotę: Kiedy *Revue des deux Mondes* miała pierwszy raz ogłosić pracę Klaczki (*Poëte*

larność, a niepopularność ta była większą jeszcze, aniżeli popularność i kult Mierosławskiego.

— Jak dalece *Wiadomości Polskie* były niepopularne, o tem najlepiej świadczy fakt, że nawet w *Hotelu Lambert*, gdzie prenumerowano *pro honore domus* jeden egzemplarz, prenumerowano go, ale nie czytano z zasady. Nawet nie przecinano go! A jeszcze się z tym popisywano przed nami! Zawsze, kiedyśmy z Kalinką przyszli do Hotelu Lambert, sadzano nas *umyślnie* przy stole, na którym leżało parę egzemplarzy *Wiadomości Polskich* — nierozciętych. Tym sposobem chciano nam dać do zrozumienia, co Hotel Lambert myśli o naszym piśmie... Przyznaję, że gdyby nie Kalinka, który się zawziął, to jabym nie wytrwał tak długo, jakeśmy wytrwali ostatecznie. Już po pierwszym roku miałem dosyć tego redaktorstwa. Nienawidzono nas, a szczególnie nienawidzono Kalinki. Całe szczęście, że w końcu został księdzem. Inaczej, zabiliby go tak, jak mnie chciano zabić po moim *Katechizmie nierycerskim*...

Skoro się zgadało o *Katechizmie nierycerskim*, a więc o Mierosławskim, który wtedy »organizował« powstanie, a był uważany za geniusz wojenny i polityczny, musiało skończyć się na tem, że rozmowa, która dotychczas przeważnie obracała się koło literatury, zesła na politykę. Smutny temat, zwłaszcza, gdy go się rozpoczyna od polityki »mierosławczyków«, polityki, która nas kosztowała tyle ofiar, a która nas tak mało nauczyła.

— Pod tym względem jesteście podobni do owych Burbonów, co to niczego nie zapomnieli, a niczego się nie nauczyli. Chciałem raz nawet, pamiętam, napisać książkę na ten temat, książkę p. t. *Zmartwychwstania i samobójstwa*¹⁾. Myśl ta przyszła mi po roku 1863. Już zacząłem nawet gromadzić materiały do

anonyme, styczeń, 1862), stary Buloz, zdumiony pięknnością tego, co przeczytał, pytał autora, czy był już w jakim piśmie. Tak: wydawał jedno pismo polskie. — *Et combien aviez-vous d'abonnés? — Cent. — Cent mille? diable! — Non, cent.*

¹⁾ Oddźwiękiem tego pomysłu są następujące słowa w książce Klaczki *Deux Chancelliers: La démagogie eut gain de cause: elle réussit à jeter dans une révolte impuissante, insensée, un peuple malheureux qui depuis un siècle semble s'être imposé la tâche d'étonner le monde par des résurrections périodiques et de le rebuter en même temps par des suicides non moins périodiques, hélas!*« str. 174.

tej pracy, ale poniechałem zamiaru, bo mi to grzebanie się w naszej narodowej przeszłości, wertowanie tych starych, po-
żółkłych papierów, po większej części stwierdzających rzeczy
smutne i bolesne, robi takie wrażenie, jakbym otwierał stare
trumny... Zawsze podziwiałem Kalinkę, że z takim spokojem
pograżał się w tak smutnych czasach, jak nasz wiek XVIII,
jak panowanie Stanisława Augusta... Ile razy próbowałem
czynić to samo, ledwie się zabrał do pracy, rzucałem ją,
zniechęcony i zdenerwowany. Nigdy nie miałem spokoju Ka-
linki... Za bardzo się przejmowałem tem, o czym zamierzałem
pisać. Dlatego nie napisałem również i wspomnianych *Zmar-
twychwstań i samobójstw*, które miały być rodzajem przyczynku
do naszej narodowej psychologii. Bo jak są ludzie, którzy się
rodzą ze skłonnością do samobójstwa, tak są i podobne narody.
Obawiam się, czy my nie jesteśmy takim narodem... Ale, je-
żeli tak jest, to możemy się pochwalić, że mamy pewne przy-
wileje u Opatrzności, bo choć urodziliśmy się z organicznym
popędem do samobójstwa, to jednak losy dawały nam możliwość
zmartwychwstania po każdym targnięciu się na własne życie.
Ale jest pewien ponury tragizm w tej zdolności nowego budzenia
się w trumnie. Bo ile razy zdarzyło się nam być wychodzącym
z grobu Piotrowinem, wskrzeszonym przez pomyślny zbieg
okoliczności, zawsze zmartwychpowstawaliśmy na to tylko,
ażby nowym zamachem samobójczym zniweczyć pierwsze pędy
poczynającego się życia, nigdy nie okazaliśmy się dość wyro-
bionymi i dojrzałymi politycznie, ażby daną *vita nuova* obró-
cić na swoją korzyść. Zawsze ją obracaliśmy na naszą zgubę,
zawsze, kiedyśmy mogli dźwignąć się z grobu, dźwigaliśmy
się na to tylko, ażby weń po chwili zapaść jeszcze głębiej.
Takiem zmartwychwstaniem, a pierwszym z kolei, jeżeli chodzi
o epokę porozbiorową (bo tylko tę epokę chciałem uwzględnić
w mojej książce), była epoka pomiędzy r. 1815 a 1830. Opatrz-
ność dała nam Czartoryskiego, który prawdziwym cudem, jakby
zrządzeniem bożem, najprzód staje się najserdeczniejszym przy-
jacielem cesarza Aleksandra (choć nie o tem myślano, gdy po-
stawiono za warunek, ażby młody książę Adam od dziecka
wychowywał się w Petersburgu), potem staje się jego pier-
wszym ministrem, potem, jako kurator okręgu naukowego
wileńskiego, rozbudza życie umysłowe, wytwarza świetność
Wilna i Krzemieńca, a wreszcie przenosi swoją działalność na

Królestwo polskie, które, korzystając ze swego ustroju konstytucyjnego i autonomicznego, wchodzi na drogę niebywałego rozkwitu, prawdziwego renesansu narodowego. Ale nie długo trwało to powstawanie z martwych, to wykluwanie się ze śmiertelnego całunu; przychodzi 29 listopada, który wszystkiemu kładzie koniec. To pierwsze narodowe samobójstwo, które choć nie pozbawione chwały, bo opromienione aureolą wielu czynów bohaterskich, mimo to nie przestaje być zamachem samobójczym, po którym na nowo zostaliśmy złożeni do grobu. Od tego czasu zmartwychwstawialiśmy parokrotnie, ale znowu nie uleczeni z manii samobójczej... Ostatniem zmartwychwstaniem była epoka Wielopolskiego, zakończona r. 1863, który był naszym ostatnim zamachem samobójczym. Oby był ostatnim! Rodzi się kwestya, czy zanosí się na nowe zmartwychpowstanie?...

I tu zaczęliśmy mówić o chwili obecnej, o Warszawie, o Królestwie, o naszych »ugodowcach« i »nieprzejednanych«, a bodaj czy nie to była najciekawsza część naszej rozmowy. Żałuję tylko, że tem wszystkiem, co jest poglądem autora *Études de diplomatie contemporaine* na nasze dzisiejsze położenie w sytuacji polityki europejskiej, nie mogę się podzielić na tem miejscu. A byłoby czem się dzielić!

Ale Klaczko, choć tyle pisał z zakresu dyplomacyi i polityki, zawsze był i pozostał przedewszystkiem umysłem literackim, który nietylko żywo obchodziło to, o *czem* pisał, ale i to, *jak* pisał. Klaczko-polityk, biegły w arkanach sztuki dyplomatycznej, zawsze szedł w nierozłącznej parze z Klaczką-literatem i artystą pióra, biegłym — jak rzadko kto — w arkanach sztuki pisarskiej, z Klaczką-poetą, co myśli obrazami, nie abstrakcyami, i Klaczką-stylistą, który po polsku pisał jak Skarga, po niemiecku — świetniej od Gervinusa, a po francusku tak, że mu Francuzi zazdroszą jego francuszczyzny. To też, choć rozmowa toczyła się o polityce i naszym stosunku do »trzech mocarzy«, raz po raz zahaczał o kwestye literackie, które w sposób przedziwny umiał wiązać z politycznemi. I tak zdawałoby się np., że trudno jest, rozmawiając o bardzo konkretnych kwestyach z zakresu bieżącej polityki, ni stąd ni zowąd potrać o Sienkiewicza i jego trylogię historyczną (o której Klaczko w r. 1888 pisał w *Przeglądzie Polskim*). A jednak, choć nie można powiedzieć, żeby od polityki do autora *Quo vadis* był jeden krok tylko, nie zauważyłem nawet, ja-

keśmy się ześliznęli z dyskusyi politycznej — wyłącznie o sytuacji w Królestwie — na czysto literacki temat wyższości wiersza nad prozą.

— Zawsze, ile razy czytam Sienkiewicza, a zwłaszcza jego powieści historyczne, żałuję, że Sienkiewicz nie żył w epoce Mickiewiczowskiej, bo wtedy pisałby wierszem, nie prozą, a wtedy jego powieści historyczne byłyby rzeczywistemi epopejami, któreby przetrwały po wszystkie czasy. A tak, dlatego tylko, że są pisane prozą, przemina. Rzeczy, pisane prozą, nie mają warunków nieśmiertelności. Po prostu proza jest zbyt kruchym i nietrwałym materiałem, który, jak granit, wietrzeje pod wpływem czasu. Tymczasem wiersz, to jest ten liść aloesu, co utwór literacki chroni od zapomnienia, konserwuje na wieki.

Tymczasem zaczęło się ściemniać; do pokoju, w którym siedzieliśmy, zaczął przesiąkać zmierzch. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła szósta, czyli, że rozmowa trwała blisko dwie godziny. Zacząłem się obawiać, ażeby przypadkiem nie nadużyć uprzejmości gospodarza, i zmierzałem już ku wyjściu. Ale skończyło się na tem, że nim pożegnaliśmy się ostatecznie, wstawiałem i znów siadałem kilka razy.

Zgadalo się jeszcze o tem, jak mało kto wie u nas, nawet pomiędzy literatami, iż Klaczkowski jest autorem całego szeregu rzeczy pisanych po polsku. Ogół zna go, jako autora *Wieczorów florenckich*, wytwornie spolszczonych z francuskiego oryginału przez St. Tarnowskiego. Po za tem wie się o Klaczkowskim, że pisywał i pisuje po francusku do *Revue des deux mondes*, z czego mu nawet niektórzy robią zarzut: raz dlatego, że pisze po francusku, a powtóre, że pisze wyłącznie o rzeczach obcych, o renesansie włoskim.

— Każdy pisze o tem — rzekł Klaczkowski — o czem może pisać z największem upodobaniem. Co do mnie, to, jeżeli piszę — w ostatnich czasach — o rzeczach włoskich, o Dancie, Michale Aniele, Rafaelu i Juliuszu II, to dlatego, że te rzeczy znam, a powtóre, że się w nich kocham oddawna. A przytem prace te, drukowane w *Revue des deux mondes*, dają mi możność i pretekst częstego jeżdżenia do Rzymu, do Włoch wogóle, która to przyjemność chyba mi się należy na moje stare lata. Bogu dziękuję, że mi moją samotność ¹⁾ i starość czasami ozlaca

¹⁾ Klaczkowski nie był nigdy żonaty.

promieniami wielkiej sztuki włoskiej. A że piszę o renesansie włoskim! Bo jest to świat, o którym mogę pisać spokojnie, bo pogrążając się w studiach nad rzeczami włoskimi, mniej myślę o innych, nierównie bliższych mi, a które mi nigdy serca krwawić nie przestaną. To mi daje chwilowe zapomnienie, to mi pozwala nie pamiętać na krótkie chwile, że jako Polak, należę do generacji, która dwa razy patrzyła na bankructwo swoich ideałów... Jeden ideał, polski, runął w r. 1863; drugi, ogólnoludzki, humanitarny i cywilizacyjny, ulotnił się z dymem komuny. Są to dwie tragiczne daty w życiu całej jednej generacji. Dopiero po wojnie francuzko-pruskiej zacząłem pisać o poezyi i malarstwie włoskim. *Causeries Florentines* napisałem w roku 1872.

Słów tych, które płynęły z głębi duszy, a brzmiały dziwnie smutnie i wzniośle, słuchałem z całą uwagą; zdawało mi się nawet, że Klaczko, wymawiając je, nie tylko mówił jakby sam do siebie, ale mówił z takim wzruszeniem w głosie, jakby czuł napływające łzy... Była to chwila uroczysta, której nie zapomnę prędko. W pokoju panował mrok, a w tym mroku bieleły się siwe włosy człowieka 72-letniego, który, siedząc nieopodal mnie, pochylony, z głową spuszczoną, zaopatrzoną przed siebie, zdawał się przywalony brzemieniem tych wszystkich myśli, od których ucieka, jak mówi, gdy pisze o renesansie włoskim. Zrozumiałem psychologiczne pobudki, które go popchnęły w tym kierunku. Ten włoski renesans, tak przemawiający do jego artystycznej natury, jest dlań tem ostatecznie, czem Hekuba dla owego aktora z szekspirowskiego Hamleta:

A wszystko za nic! Wszystko dla Hekuby!
Czem dlań Hekuba, czem on dla Hekuby,
By dla niej płakał. Czegożby nie zrobił,
Gdyby miał źródło i wszystkie pobudki
Moich boleści!...

Jak ów aktor, który jest tylko artystą, gdy się rozwodzi nad śmiercią Hekuby, która mu jest mniej lub więcej obojętną, tak Klaczko, kiedy pisze o renesansie włoskim, jest tylko artystą i może nim być wyłącznie... W tych utworach kwintnego artysty i znawcy piękna, utworach, które go przenoszą w idealny świat poezyi i sztuki, człowiek znudzony długą walką życiową, znajduje ukojenie i moralny balsam na nigdy

niezabliżnione rany, a pisząc o czasach Juliusza II, w których tworzyli Rafael i Michał Anioł, zapomią — chwilowo — o czasach dzisiejszych, czasach Bismarka i zasady »sily przed prawem«. A powtóre, kto wie, czy to nie są jedyne rzeczy, o których może pisać z ową *froidueur d'artiste*, o której mówi Renan.

Że tak jest, tego dowodzi chociażby zakończenie *Wieczorów florenckich*, zakończenie, które jest kluczem do rozwiązania zagadki, jeżeli kto nie potrafi zrozumieć i wyrozumieć ostatniej fazy w twórczości »genialnego współpracownika *Revue des deux mondes*«:

Polak. W epoce takiego, jak nasza, obniżenia charakterów i pomieszania umysłów, najpewniej jeszcze, najbezpieczniej, trzymać się wiernie tego, co przeszłość kochała i czciła. Bo wtedy jedno przynajmniej ocalonem i całem zostaje: godność, honor. I lepiej jest zawsze z takimi, jak Dante, mylić się, a choćby i upaść, aniżeli z takimi, jak Nogaret, tryumfować.

Komandor. A zresztą, czyż nie jesteśmy już »utopistami przeszłości«, przez to samo tylko, że nas obchodzi, co piękne, co dobre, co prawda? że mówimy o Dantem, o Rafaelu, o Michale Aniele, w tych smutnych czasach »żelaza i krwi«.

Książę Silvio. Masz słusność, przyjacielu: w takich czasach, jak nasze, dopiero, i bardziej niż kiedykolwiek, potrzeba ze wszystkich sił trzymać i kochać swoje utopie, większe czy mniejsze...

Otóż Klaczko jest takim właśnie »utopistą przeszłości«, bo ten Polak, który występuje w jego *Wieczorach florenckich*, a jest nazwany »rozbitkiem«, to on sam!).

¹⁾ Należy podkreślić ten szczegół, że słynne *Causeries florentines* (za które Klaczko został *Membre de l'Institut*) odbywają się »wczesną jesienią roku 1872«, a więc prawie bezpośrednio po skończeniu wojny prusko-francuskiej, a fatalny r. 1870 zniweczył ideały prawie wszystkich uczestników tych florenckich wieczorów. Pierwszy z nich, książę Silvio, jest »tradycjami rodu, równie jak własnem przekonaniem złączony ściśle ze sprawą zwyciężoną przy Porta Pia 20 września 1870 r.«. »Względy tego samego rodzaju zatrzymywały nad brzegami Arnu bylego konserwatora jednego z wielkich papieskich muzeów«, Komandora. Francuz, akademik (Caro) »w dniach smutków i ciężkich prób, w oblężeniu Paryża«, nadwreżył zdrowie »w trudach i mrozach tej nieszczęsnej zimy«. Vicomte Gérard przerwał świetnie rozpoczęty zawód dyplomatyczny, »skutkiem ostatnich wstrząśnień; odtąd starał się usilnie odrywać od dręczących a wciąż przytomnych myśli o nieszczęściach ojczyzny...« Do słownie to samo mógł o sobie powiedzieć ów Polak, którego

pani domu bez ceremonii nazywała Bolskim, a który tak świetnie wypowiada myśli i uczucia samego Klaczki. W podkreślonych słowach o Vicomte Gérard znajduje się psychologiczne uzasadnienie tego zwrotu w Klaczce, który go pchnął w kierunku studyów nad włoskim renesansem, nad rzeczami obcemi, nie-polskiemi.

NB. W rok po tej naszej rozmowie Klaczko zaniemógł ciężko, a w chwili, gdy się drukowała książka niniejsza, choć wyszedł z choroby, jednak z niej wyszedł złamany, w części sparaliżowany... W korespondencji w *Czasie* o sezonie w Zakopanem z r. 1899 taki znajduje się ustęp o autorze *Wieczorów florenckich*. »Genialny współpracownik *Revue des deux mondes*, Julian Klaczko, tak sobie w roku zeszłym (1898) upodobał uroczą dolinę pod Gewontem, iż i tego lata zjechał tu na kilka tygodni. Niestety, nie przyjechał tu w tak pomyślnym stanie zdrowia, jak rok temu. Ciężka choroba, na którą był zapadł w ciągu zimy, zaraz po uroczystym obchodzie swych 70-tych (a raczej 73-cich) urodzin, nie przeszła bez śladu, tak, iż sędziwy autor nieporównanej książki o *Juliuszu II* odbywa dziś swe przejażdżki po Zakopanem nie w powozie lub furką, jak poprzedniego lata, lecz w wózku na trzech kółkach, popychanym przez służącego. Wózek ten, w dni pogodne, spotyka się bardzo często, a kilka dni temu widziano go podobno nawet w Dolinie Kościeliskiej... Dowód to, że znakomity twórca *Wieczorów florenckich* wogóle czuje się dobrze, że mu powietrze Zakopiańskie służy...«

V.

ODSŁONIĘCIE POMNIKA MICKIEWICZA W WARSZAWIE.

Warszawa, 24 grudnia 1898.

Prologiem do dzisiejszej uroczystości, prologiem wspomniałym, było nabożeństwo żałobne za duszę Mickiewicza. Nabożeństwo to odbyło się wczoraj w katedrze św. Jana o godz. 10 zrana. Już na godzinę przedtem nawa świątyni zaczęła się wypełniać. Przed godz. 10 już się tłoczono wszędzie. Wśród parotysięcznego tłumu przeważało młode pokolenie, studenci uniwersytetu i politechniki, chłopcy w mundurkach gimnazjalnych, dużo panienek z pensyi, dużo kobiet wogóle, i cała inteligencya Warszawy. Wszystkich oczy zwracały się w stronę presbiteryum, na którego przodzie, pośrodku, tuż przy balustradzie, w otoczeniu mnóstwa świec i zieleni, na tle masy świeżych kwiatów, wieńców i palmowych pióropuszków, całkiem zakrywających katafalk i trumnę, bielilo się wielkie gipsowe popiersie Mickiewicza... Jeśli trumna jest symbolem śmierci, to ta — prawie niewidzialna — śmiało mogła uchodzić za symbol życia i żywotności, a dzięki obliczu wieszczą, którego duch zdawał się unosić pod temi gotyckimi sklepieniami, robiła wrażenie arki przymierza »między dawnymi i młodszymi laty«. Gdy zapalono wszystkie świece, i te, co otaczały katafalk, i te, co stały na wielkim oltarzu, i gdy zapłonęły gazowe płomienie wielkiego żyrandolu i bocznych kandelabrow, całe presbiteryum napełniło się złotem światłem, które, pomieszane ze srebrną jasnością dnia, napływającą przez różnokolorowe szyby

pani domu bez ceremonii nazywała Bolskim, a który tnie wypowiada myśl i uczucia samego Klaczki. kreślonych słowach o Vicomte Gérard znajduje się głośne uzasadnienie tego zwrotu w Klaczce, który w kierunku studyów nad włoskim renesansem, nad obcemi, nie-polskiemi.

NB. W rok po tej naszej rozmowie Klaczko ciężko, a w chwili, gdy się drukowała książka niniejszy wyszedł z choroby, jednak z niej wyszedł złamany, sparaliżowany... W korespondencji w *Czasie* o sezon kopianem z r. 1899 taki znajduje się ustęp o autorze *1 florenckich*. »Genialny współpracownik *Revue des deux* Julian Klaczko, tak sobie w roku zeszłym (1898) upodobał dolinę pod Gewontem, iż i tego lata zjechał tu tygodni. Niestety, nie przyjechał tu w tak pomyślny zdrowia, jak rok temu. Ciężka choroba, na którą był w ciągu zimy, zaraz po uroczystym obchodzie swych (a raczej 73-cich) urodzin, nie przeszła bez śladu, ta dziwy autor nieporównanej książki o *Juliuszu II* odbył swe przejażdżki po Zakopanem nie w powozie lub fugetce poprzedniego lata, lecz w wózku na trzech kółkach, prowadzonym przez służącego. Wózek ten, w dni pogodne, spacerował bardzo często, a kilka dni temu widziano go podobnie w Dolinie Kościeliskiej... Dowód to, że znakomity twórca *czorów florenckich* wogóle czuje się dobrze, że mu i Zakopiańskie służy...«

V.

ODSŁONIĘCIE POMNIKA MICKIEWICZA W WARSZAWIE.

Warszawa, 24 grudnia 1898.

Prologiem do dzisiejszej uroczystości, prologiem wspa-
niałym, było nabożeństwo żałobne za duszę Mickiewicza. Na-
bożeństwo to odbyło się wczoraj w katedrze św. Jana o godz.
10 zrana. Już na godzinę przedtem nawa świątyni zaczęła się
wypełniać. Przed godz. 10 już się tłoczono wszędzie. Wśród
parotysięcznego tłumu przeważało młode pokolenie, studenci
uniwersytetu i politechniki, chłopcy w mundurkach gimnazyjal-
nych, dużo panienek z pensyi, dużo kobiet wogóle, i cała inte-
ligencya Warszawy. Wszystkich oczy zwracały się w stronę
presbiteryum, na którego przodzie, pośrodku, tuż przy balu-
stradzie, w otoczeniu mnóstwa świec i zieleni, na tle masy
świeżych kwiatów, wieńców i palmowych pióropuszków, całkiem
zakrywających katafalk i trumnę, bielilo się wielkie gipsowe
popiersie Mickiewicza... Jeśli trumna jest symbolem śmierci, to
ta — prawie niewidzialna — śmiało mogła uchodzić za symbol
życia i żywotności, a dzięki obliczu wieszczca, którego duch
zdawał się unosić pod temi gotyckimi sklepieniami, robiła
wrażenie arki przymierza »między dawnymi i młodszymi laty«.
Gdy zapalono wszystkie świece, i te, co otaczały katafalk, i te,
co stały na wielkim ołtarzu, i gdy zapłonęły gazowe płomie-
nie wielkiego żyrandolu i bocznych kandelabrow, całe presbi-
teryum napelnilo się złotem światłem, które, pomieszane ze
srebrną jasnością dnia, napływającą przez różnokolorowe szyby

ostrolukowych okien w głębi, mieniło się jakimś mblaskiem, opromieniającym między innymi także i b. Mickiewicza. Jako malowniczy efekt było to poprostu czajne! Cóż dopiero, gdy wyszli księża w bogatych gdy rozpoczęło się nabożeństwo, gdy odezwały się or z chóru rozległy się pierwsze takty przepięknej niuszki, śpiewanej przez *Lutnię* pod wodzą Masz Trudno słowami oddać wrażenie, jakiego się doznachając tej niebiańskiej muzyki, tak rzewnej i na a w takim skupieniu słuchanej przez te zaduman Że jednak to wrażenie było wielkie i przejmujące, nie znalazł się nikt, coby nie był wzruszonym głębdowodziły łzy, błyszczące w wielu oczach, i to niet wieściach. A kiedy przy Podniesieniu zgięły się wszyscy i pochyliły wszystkie głowy, wówczas... wówczas woli przychodził na myśl ów cudny wiersz Słowacki

Nie poznaliby ojce ¹⁾
.
.
.

Po skończonej mszy rozległy się głuche, ponurażające akordy Chopinowskiego *Marsza żałobnego* przez orkiestrę, która pod wodzą Müncheimera usła w jednej z bocznych naw kościoła. Gdy zagrano przczęść środkową tego bolesnego hymnu, załzały się oczy, które aż dotąd pozostały suche...

Tak było wczoraj. Dzisiaj od samego rana — rachuurny i posepny — przybrała Warszawa w swej śrdzielnicy, między pomnikami Zygmunta i Kopernika, wyjątkowy charakter. Na całym Krakowskiem Przedpanowała zagadkowa cisza. Na ulicy było pusto, a w v ulic, wychodzących na Krakowskie Przedmieście, stały lpatrole. Porządku pilnowała straż policyjna. Chcąc się na Krakowskie Przedmieście, należało pokazywać biletmitetu budowy pomnika, takich zaś, co byli zaopatrzendobne karty wstępu, ciągnęło mało, tak, iż całkiem : wali na miano rzadkich przechodniów. Od czasu do

¹⁾ Zob. J. Słowacki, *Pisma pośmiertne* (Lwów, 1885), t

przejeżdżał powóz ze stangretem, mającym biały bilet, przypięty do kapelusza. Ogólny nastrój był dziwny jakiś...

Inny widok przedstawiało Krakowskie Przedmieście, poczawszy od ulicy Trębackiej. Tu całą szerokość ulicy zalegał już zwarty tłum, głowa przy głowie. Przestrono było tylko na ogrodzonym placyku dokoła samego pomnika, który, przykryty szarem płótnem, a strzeżony przez cztery złote płomienie zniczy litewskich, wystrzelał ze środka, podobny do wąskiej a krągłej piramidy lub namiotu. Na placyku, wysypanym niby arena żółtym piaskiem, czerniło się paręset osób: kobiety w odświętnych strojach, mężczyźni we frakach, których pod futrami pozwalały się domyślać białe rękawiczki i krawaty. Gdzie spojrzeć, same twarze znajome, wszystko osobistości wybitne, sam kwiat społeczeństwa: tu Sienkiewicz, tam Korzon, tam dr. Baranowski. Nie brak i przyjezdnych: jest Kasproicz ze Lwowa, jest reprezentant krakowskiego *Czasu*, jest paru redaktorów pism poznańskich, nie brak i Ślązaków... Pomimo szarego nieba, od którego jakiś smutek zdawał się spływać na ziemię, prawie na wszystkich balkonach okolicznych domów widziałeś wycelowane różnej wielkości aparaty fotograficzne... We wszystkich oknach, niby w łóżach teatralnych, mnóstwo widzów.

Punktualnie o godz. 10 ukazało się duchowieństwo, z arcybiskupem Popielem na czele. Gdy sędziwy ksiądz kościół, przybrany w fioletowe szaty, zajął środkowy fotel na niskim wzniesieniu, obitem czerwonym sukniem, wiele osób podchodziło do niego, kłekało i całowało wielki pierścień, którego drogie kamienie wyraźnie odbijały od fioletowej rękawiczki.

Po chwili wprowadził Sienkiewicz pod rękę przybyłą umyślnie z Paryża córkę Adama Mickiewicza, panią Maryę Górecką. Był to jeden z bardziej wzruszających momentów: patrząc na tę szlachetną w czarnych szatach postać niewieścią, z rysów twarzy tak uderzająco podobną do swego nieśmiertelnego ojca, gdy szła wsparta na ramieniu autora *Potopu*, niejednemu pewno przyszło na myśl, że tych dwoje ludzi najlepiej wyobrażało przeszłość i terażniejszość, epokę Mickiewiczowską i dzisiejszą...

Ale zbliżała się uroczysta chwila ściągnięcia zastony. Członkowie Komitetu, wraz z Cypryanem Godebskim, ustawili się rzędem na granitowych schodach szerokiej podstawy monumentu; wszyscy zgromadzeni, rozproszeni dotychczas, sku-

pili się przed frontem pomnika; poczem, z przeciwnego placu, dały się słyszeć przejmujące dźwięki orkiestry. W chwili, na odgłos dzwonka, spadła jedna część płótna, cześnie — jakby na umówiony znak — obnażyły się kiele głowy, na całej przestrzeni od króla Zygmunta do pomnika! Wszystkie serca zabiły żywiej, wszyscy stali z zaciśniętym oddechem, ze wzrokiem utkwionym w pomnik, i pośród kilkunastotysięcznym tłumem zaległa taka cisza, że o jej gęstości mieć nie mogą ci, co jej nie byli świadkami. Muzyka płynęła rzesiste lzy, bo ją pod koniec zakłóciły nieprzyjemne łkania... Tymczasem, przy niewypowiedzianej melodii *Modlitwy* Moniuszki, rozbrzmiewającej tem pośród im ciszej było dookoła, rozwarła się zasłona pomnika. Falała się, jak zasłona w jerozolimskiej świątyni, kryjąca arcybiskupa, i podniesionym a zaciśniętym oczom naszym ukazała się spiszowa postać wieszczka, z ręką na sercu, a z takim samym natchnionym wyrazem twarzy, jakby mówił:

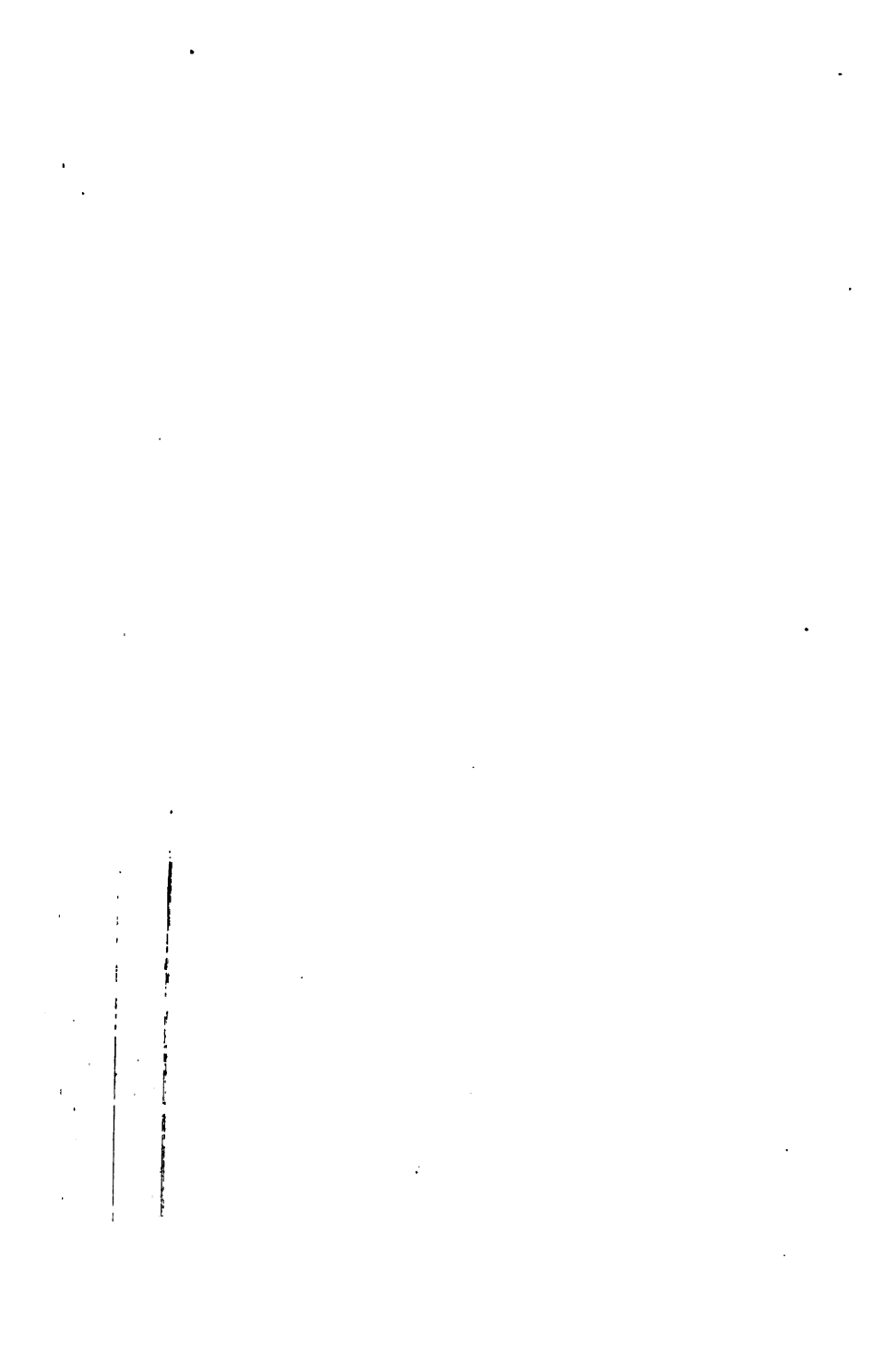
Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu do łona,
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić...

Wreszcie zasłona spadła zupełnie! Ujrawszy go w całej jego okazałości, uradowaliśmy się w duszy, a przekonaliśmy się, że jest piękniejszy i wspanialszy, przypuszczaliśmy, i że Godebaki miał chwilę prawdziwego talenta, kiedy *taki* pomnik ujrzał w swej artystycznej formie.

Gdy opadła zasłona i przebrzmiała cudna *Modlitwa* Moniuszki, rozpoczęła się ceremonia poświęcenia pomnika na tej ziemi, na której został wzniesiony. W asystencji młodych księży w białych komżach, z których jeden trzymał kropidło, a drugi srebrne naczynie z wodą święconą, proboszcz sąsiedniego kościoła Karmelitów, ks. Siemianowski czytał słowa liturgii, poczem, z kropidłem w ręku, odsłonił pomnik, obszedł go dookoła. Następnie wszedł jeszcze na podstawkę i, zwracając się ku zgromadzonym tłumom, błogosławił je i pokropił... I wszyscy, żegnając się, i

głowy, wiele rąk uderzyło się w piersi, wiele kolan dotknęło się ziemi, w wielu oczach zabłyśły nowe łzy... A tymczasem z oddali, od strony Starego Miasta, rozlegał się jednostajny i uroczysty odgłos dzwonu z wieży katedralnej...

Po skończonej uroczystości, której epilogiem był radosny *Polonez* Moniuszki, gdy wszystkim było wolno podejść do stóp pomnika, niebawem posypały się nań kwiaty, zaczęto zawieszać wieńce. Kwiatów tych i wieńców zniesiono tyle, że wkrótce złożony napis na wielkiej spiżowej tablicy: *Adamowi Mickiewiczowi rodacy*, zniknął pod nimi zupełnie.



SPIS RZECZY.

Str.

I. Fragmenty historyczne.

I. Święty Kazimierz	3
II. Sobieski i Marysiénka	9
III. Wilhelm I. i Eliza Radziwiłłówna	33
IV. Saragossa. (Kartka z podróży)	49

II. Z dziejów oświaty.

I. Krzemieniec i jego liceum	61
II. Euzebiusz Słowacki	77
III. Leon Borowski	83
IV. Z dziejów Warszawy	93

III. Mickiewicz — Chopin — Słowacki.

I. Adama Mickiewicza »dzieciństwo sielskie anielskie«	105
II. Słowacki potomkiem... astrologów	123
III. Młodzieńczy »ideał« Chopina	129
IV. »Siła fatalna« poezji Słowackiego	141
V. Marya z Wodzińskich Orpizewska	151
VI. Rafael i Fornarina w życiu Słowackiego	161
VII. Z życia Chopina	174
VIII. Chwila przełomu w życiu Adama Mickiewicza	180

IV. Rzeczy polskie w Paryżu.

I. Grobowiec królewski	213
II. Groby polskie na cmentarzach paryskich	230
III. Dwie przechadzki po Paryżu	247
IV. Biblioteka Polska w Paryżu	284
V. Wycieczka do Montmorency	308

promieniami wielkiej sztuki włoskiej. A że piszę o renesansie włoskim! Bo jest to świat, o którym mogę pisać spokojnie, bo pogrążając się w studyach nad rzeczami włoskimi, mniej myślę o innych, nierównie bliższych mi, a które mi nigdy serca krwawić nie przestaną. To mi daje chwilowe zapomnienie, to mi pozwala nie pamiętać na krótkie chwile, że jako Polak, należę do generacji, która dwa razy patrzyła na bankructwo swoich ideałów... Jeden ideał, polski, runął w r. 1863; drugi, ogólnoludzki, humanitarny i cywilizacyjny, ulotnił się z dymem komuny. Są to dwie tragiczne daty w życiu całej jednej generacji. Dopiero po wojnie francuzko-pruskiej zacząłem pisać o poezyi i malarstwie włoskim. *Causeries Florentines* napisałem w roku 1872.

Słów tych, które płynęły z głębi duszy, a brzmiały dziwnie smutnie i wzniosłe, słuchałem z całą uwagą; zdawało mi się nawet, że Klaczko, wymawiając je, nie tylko mówił jakby sam do siebie, ale mówił z takim wzruszeniem w głosie, jakby czuł napływające łzy... Była to chwila uroczysta, której nie zapomnę prędko. W pokoju panował mrok, a w tym mroku bieleły się siwe włosy człowieka 72-letniego, który, siedząc nieopodal mnie, pochylony, z głową spuszczoną, zaopatrzoną przed siebie, zdawał się przywalony brzemieniem tych wszystkich myśli, od których ucieka, jak mówi, gdy pisze o renesansie włoskim. Zrozumiałem psychologiczne pobudki, które go popchnęły w tym kierunku. Ten włoski renesans, tak przemawiający do jego artystycznej natury, jest dlań tem ostatecznie, czem Hekuba dla owego aktora z szekspirowskiego Hamleta:

A wszystko za nic! Wszystko dla Hekuby!
Czem dlań Hekuba, czem on dla Hekuby,
By dla niej płakał. Czegożby nie zrobił,
Gdyby miał źródło i wszystkie pobudki
Moich boleści!...

Jak ów aktor, który jest tylko artystą, gdy się rozwdzi nad śmiercią Hekuby, która mu jest mniej lub więcej obojętną, tak Klaczko, kiedy pisze o renesansie włoskim, jest tylko artystą i może nim być wyłącznie... W tych utworach wykwintnego artysty i znawcy piękna, utworach, które go przenoszą w idealny świat poezyi i sztuki, człowiek znużony długą walką życiową, znajduje ukojenie i moralny balsam na nigdy

niezabliżnione rany, a pisząc o czasach Juliusza II, w których tworzyli Rafael i Michał Anioł, zapomina — chwilowo — o czasach dzisiejszych, czasach Bismarka i zasady »sily przed prawem«. A powtóre, kto wie, czy to nie są jedyne rzeczy, o których może pisać z ową *froidueur d'artiste*, o której mówi Renan.

Że tak jest, tego dowodzi chociażby zakończenie *Wieczorów florenckich*, zakończenie, które jest kluczem do rozwiązania zagadki, jeżeli kto nie potrafi zrozumieć i wyrozumieć ostatniej fazy w twórczości »genialnego współpracownika *Revue des deux mondes*«:

Polak. W epoce takiego, jak nasza, obniżenia charakterów i pomieszania umysłów, najpewniej jeszcze, najbezpieczniej, trzymać się wiernie tego, co przeszłość kochała i czciła. Bo wtedy jedno przynajmniej ocalonem i całem zostaje: godność, honor. I lepiej jest zawsze z takimi, jak Dante, mylić się, a choćby i upaść, aniżeli z takimi, jak Nogaret, tryumfować.

Komandor. A zresztą, czyż nie jesteśmy już »utopistami przeszłości«, przez to samo tylko, że nas obchodzi, co piękne, co dobre, co prawda? że mówimy o Dantem, o Rafaelu, o Michałale Aniele, w tych smutnych czasach »żelaza i krwi«.

Książę Silvio. Masz słusność, przyjacielu: w takich czasach, jak nasze, dopiero, i bardziej niż kiedykolwiek, potrzeba ze wszystkich sił trzymać i kochać swoje utopie, większe czy mniejsze...

Otóż Klaczko jest takim właśnie »utopistą przeszłości«, bo ten Polak, który występuje w jego *Wieczorach florenckich*, a jest nazwany »rozbitkiem«, to on sam¹⁾.

¹⁾ Należy podkreślić ten szczegół, że słynne *Causeries florentines* (za które Klaczko został *Membre de l'Institut*) odbywają się »wczesną jesienią roku 1872«, a więc prawie bezpośrednio po skończeniu wojny prusko-francuskiej, a fatalny r. 1870 zniweczył ideały prawie wszystkich uczestników tych florenckich wieczorów. Pierwszy z nich, książę Silvio, jest »tradycjami rodu, równie jak własnem przekonaniem złączony ściśle ze sprawą zwyciężoną przy Porta Pia 20 września 1870 r.«. »Względy tego samego rodzaju zatrzymywały nad brzegami Arnau byłego konserwatora jednego z wielkich państwowych muzeów«, Komandora. Francuz, akademik (Caro) »w dniach smutków i ciężkich prób, w obleżeniu Paryża«, nadwreżył zdrowie »w trudach i mrozach tej nieszczęsnej zimy«. Vicomte Gérard przerwał świetnie rozpoczęty zawód dyplomatyczny, »skutkiem ostatnich wstrząśnień; odtąd starał się usilnie odrywać od dręczących a wciąż przytomnych myśli o nieszczęściach ojczyzny...« Dostojnie to samo mógł o sobie powiedzieć ów Polak, którego

wątek Słowackiemu, który usiadłszy, już nie mówił więcej... Skończyło się na tem, że odezwy nie ogłoszono. W takich okolicznościach poznałem Słowackiego. Był to jedyny raz, kiedy go widział. Święta anarchia! Czegoś podobnego nie powiedziałby nigdy Krasiński.

— Nie powiedziałby, bo nie był towiańczykiem. Wyrażenie to jest całkowicie w duchu teorii Towiańskiego. Słowacki, gdy dowodził, że dzisiaj nie trzeba, jak dawniej, armat, pułków i oficerów, przemawiał, jak towiańczyk. Towiańczycy wierzyli przecież, że »siłą sztychu« i potęgą »ducha« można zwyciężać największe siły fizyczne. Ażeby zrozumieć znaczenie tych słów, wystarcza znać naukę Towiańskiego, którą wtedy wyznawał Słowacki. Jestem przekonany, że to samo zupełnie, co na tem posiedzeniu powiedział Słowacki, powiedziałby i Mickiewicz.

I długo jeszcze gawędziliśmy na ten temat, a że od mistycyzmu do mesyanizmu krok tylko jeden, więc ani spostrzegliśmy się nawet, gdy rozmowa przeszła na Krasińskiego. Klaczko, jak tego dowiódł swem klasycznym studyum o *Poecie Bezimiennym*, jest ogromnym wielbicielem Krasińskiego, ale nie uznaje jego mesyanicznych teoryj o »Chrystusie narodów«, ani wierzy w to, w co Krasiński każe nam wierzyć w *Przedświacie*. Nawet o *Irydyonie* wyraził się: »Daruję go panu!« Według niego, Krasiński zawdzięcza to pierwszorzędné stanowisko, jakie zajmuje w literaturze polskiej i wszechświatowej, tylko *Nieboskiej komedyi*. Gdyby nie był napisał nic więcej, tylko *Nieboską*, i tak byłby tem, czem jest. A przytem *Nieboska* ma tę wyższość nad innemi dziełami Krasińskiego, że jest wolna od wszelkiego mesyanizmu, który jest zawracaniem głowy, niczem więcej.

— Zawsze byłem tego zdania, a nie wahałem się powiedzieć tego Krasińskiemu w oczy. Pamiętam jedną rozmowę, jaką z nim miałem na ten temat. Było to w Paryżu, w r. 1858. Mieszkałem przy *Quai d'Orleans*, nie tam, gdzie *Biblioteka polska*, ale nieco bliżej *Nôtre Dame*. Krasiński bywał u mnie... Otóż raz zgadało się o mesyanizmie wogóle, a jego mesyanizmie w szczególności. Nie chcąc prawdy obwijać w bawełnę, oświadczyłem mu po prostu, gdy mię w tej materji zagadnął, że o ile go wielbię, jako poetę, o tyle jestem przeciwny jego przedświto-
wym teoryom i utopiom. »Co tu wmawiać w ludzi nieszczę-

po sobie Eust. Januszkiewicz. Nie przeczę, że po za tem Januszkiewicz mógł być najsympatyczniejszym i najdzielniejszym człowiekiem, ale twierdzą stanowczo, że był uprzedzony do Słowackiego, że go nie lubił — co mu było wolno — i że Słowackiemu dało się to nieraz we znaki bardzo dotkliwie... Na to Klaczko:

— Ależ, drogi panie, ja znałem Słowackiego, to był nieznośny człowiek, nielubiany powszechnie, tymczasem Januszkiewicz cieszył się sympatją i poważaniem całej emigracji.

— Nie przeczę bynajmniej. Wiem, że Słowacki miał swoje wady, ale nie wierzę stanowczo, ażeby Januszkiewicz był wolny od wszelkich słabostek i małości ludzkich. Miał np. jedną wadę, od której był wolny Słowacki: nie zawsze mówił lub pisał prawdę, a zwłaszcza rozmiął się z nią wtedy, gdy świadczył o Słowackim. Że tak było, na to mamy dowody, czarno na białem.

Z kolei, uporawszy się z Januszkiewiczem, poczęliśmy się spierać o Niedźwieckiego, któremu Klaczko przyznaje tylko jeden talent, kaligraficzny. Po za tem nie widział w nim nigdy — powiada — nic nadzwyczajnego, a mówiąc o nim, wyrażał się z pewnem lekceważeniem. Argument, że jednak Trentowski był innego zdania o Niedźwieckim (czego dał dowód w swym *Panteonie*, gdzie o Niedźwieckim pisze z entuzjazmem), także mu nie trafił do przekonania, gdyż wogóle o tych naszych filozofach narodowych, jak Trentowski, Hoene-Wroński *et consortes*, trzyma niewiele. Na to, co o Hoene-Wrońskim napisał niedawno Bertrand w *Revue des deux mondes*, on pisze się w zupełności.

Była to najbardziej polemiczna część naszej rozmowy, a polemika ta, choć w niej zużyliśmy ogromną ilość argumentów subiektywnych, okazała się o tyle bezpłodną, że obaj ostatecznie pozostaliśmy przy swem pierwotnem zdaniu. Mnie nie przekonały argumenty mojego przeciwnika, pomimo, że nim był Julian Klaczko, a jego nie przekonały moje... Ale polemika ta, choć bezpłodna w rezultacie, miała jeden znakomity skutek: Klaczko się ożywił ogromnie, rozgadał się. Po chwili wstał i zaczął mówić, chodząc po pokoju, a mówił z młodzieńczym zapałem, żywo ilustrując to, o czem mówił, gestami i szybko zmienianym wyrazem twarzy; ja zaś, nie ruszając się z otomany, słuchałem pilnie, co mówił, podziwiałem jego nie-

pospolity dar wymowy, w której było coś porywającego chwilami, a przytem śledziłem ożywienie, jakie się malowało na jego twarzy, zwłaszcza w oczach, które w tej chwili płonęły dziwnym ogniem, zadziwiającym u 72-letniego człowieka.

Trafiłem na dobry dzień: bo Klaczko — jak wiem od innych — nie zawsze bywa tak ożywiony, a bardzo często nie chce mu się mówić.

Zgadało się o Mickiewiczu, który — mojem zdaniem — źle zrobił, że w swych wykładach w *Collège de France*, wspominając i wychwalając tytu innych współczesnych poetów, tylko o jednym Słowackim przemilczał.

— Nie wierzę, rzekł Klaczko, żeby to uczynił z premedytacją. Panie, Mickiewicz to przedewszystkiem człowiek dobroduszny niezmiernie, bez cienia afektacyi. Jeśli nie mówił o Słowackim, to nie żeby go chciał tem skrzywdzić, ale dlatego po prostu, że nie rozumiał jego poezyi. Pamiętam, jak raz przy nim zgadało się o Słowackim, w którego obronie stawało nas kilku. Przyznawał się otwarcie, że chciałby w nim widzieć więcej, niż widzi, ale cóż, kiedy go nie rozumie. »Co wy w tem widzicie? Jak Boga kocham, czytam, czytam, i nic nie rozumiem!«

— Otóż tego właśnie zrozumieć niepodobna, jakim sposobem człowiek, tak niepospolitej inteligencji, jak Mickiewicz, a przytem sam poeta, nie mógł się poznać na pięknościach poezyi Słowackiego.

— Jest to jeden dowód więcej, stwierdzający jego nadzwyczajną dobroduszną. A przytem, jak wielu wielkich poetów, niekoniecznie sam znał się na poezyi. Mówili mu, że Słowacki nie jest wiele wart, jako poeta, że jego poezye są niezrozumiałe, a on wierzył. Pamiętam, jak mu raz dano bardzo liche sonety do przeczytania. Były to jakieś wiersze Grzymały, czy Kaysiewiczza. Przeczytał i podobały mu się, nawet mu się bardzo podobały. A tymczasem były to rzeczy liche. Nawet, gdy mu zwrócono uwagę, że przecież w tych wierszach niema poezyi, jeszcze wtedy nie był przekonany: ciągle mu się zdawało, że jednak te wiersze nie są takie złe. Zato o swoich poezjach nie zawsze trzymał wiele. O *Konradzie Wallenrodzie* np. mówił: »To był pamflet...« Wogóle nie lubił tego poematu, a jeśli nie lubił go, to z pewnością szczerze, bo w Mickiewiczu nie było żdźbła nieszczerości. Co myślał, to mówił. Pamiętam,

chcieliśmy mówić o naszej literaturze mickiewi-
hajac, co o niej mówił i sądził Klaczko, by-
lerzony jego odczytaniem: nie przypuszczałem,
z poszedł w innym kierunku, w tym stopniu
wszystkiego, co się u nas pisze i drukuje. Co
usi czytać!...

awszy temat Mickiewicza, powróciliśmy do Sło-
rego Klaczko — jakem się przekonał z tej roz-
jest wielkim zwolennikiem, choć uznaje jego
z, kolorytem przypominający pędzel Weroneza,
przed jego niepospolitym artyzmem. »Nie ulega
że to był największy artysta z naszych poetów,
ię przyznać, że go nie zawsze rozumiem».

ziwna rzecz, że ja wszystko rozumiem w Słowackim,
mogę zrozumieć tych, co powiadają, że go nie ro-

Zazdroszczę panu, bo ja tego o sobie powiedzieć

W każdym razie wiem o tem, że była epoka, gdyż
elbiał Słowackiego.

- Kiedyż to było?

- Jest w *Listach Andrzeja-Edwarda Koźmiana*, niedawno
ych we Lwowie, jeden list, pisany z Paryża d. 2 listo-
858 r. do brata stryjecznego Stanisława, prawie cały
a, a między innymi jest tam powiedziane tak, o ile so-
czypominam: »On teraz, oprócz Mickiewicza, kocha Sło-
iego, którego zowie największym artystą, innych nie-
dzi«.

— Nic nie wiedziałem o tym liście. Bądź co bądź, nie
szczę, że tak być mogło, bo niech pan nie myśli, żebym
dykolwiek starał się obniżyć wartość Słowackiego, jako
ety. Przeciwnie, byłem jednym z pierwszych, co o niego sta-
ali walki, co mu starali się wywalczyć zaszczytne stanowi-
co na naszym Parnasie. Pamiętam doskonale, jaka była opi-
da o Słowackim, kiedym po raz pierwszy przyjechał do Pa-
ryża. Lekceważono go sobie, wcale nie uważano za nadzwyy-
czajnego poetę...

— Prawdopodobnie dlatego, że tę opinię wyrabiali o nim
przyjaciele i stronnicy Mickiewicza: Januskiewicz, Bohdan
Zaleski i wielu innych, którym Słowacki jeszcze po śmierci

...m się wtrącić, że i o Słowackim, jako autorze *ych*, ludzie nie zapomną nigdy, dopóki stanie się, bo *Ojciec zadźwiniomych*, jak szekspirowskie ze się wszelkim kierunkom i prądom literackim, tą wiecznie jedną prawdą ludzkiego cierpienia, tysiąc będzie takie same, jak za czasów Homera. taka *Nieboska komedia*, pomimo swej całej genializisiał zaczyna trącić myszką, już dzisiaj nie trafia ch umysłów, bo jest zbyt romantyczną, za silne isnął na niej pewien literacki i umysłowy kierunek, cie romantyzm z przed lat sześćdziesięciu. Hrabia przedewszystkiem typ i wytwór pewnej epoki, epoki nej. Tylko jako taki, jest zrozumiały i umotywowany icznie. To sprawia, że już nie wszystkim trafia do nia. Cały dramat, który się w jego duszy rozgrywa, o rozumiały na tle pewnego, ściśle oznaczonego okresu rzeciwnie *Ojciec zadźwiniomych*, którego boleść ojca, tralzieci, nigdy nie zestarzeje się ani zblaknie, jako temat, tuacya ogólnoludzka.

— W każdym razie — zauważył Klaczko — Krasieński sporównanie głębszym umysłem, niż Słowacki.

— Zato Słowacki był umysłem poetyczniejszym, nie mó- nuż o tem, że miał o wiele bujniejszą wyobraźnię. Mojem em nawet, miał wyobraźnię nietylko bujniejszą, ale i po- iejszą od Mickiewiczowskiej. Bo utrzymuję stanowczo, że ycznością Słowacki przewyższa nietylko Krasieńskiego, ale ekiewiczza. Mickiewicz jest genialniejszy, ale Słowacki jest yczniejszy. Mickiewicz jest dość prozaicznym w swoich zyach, kiedy Słowacki wszystko owiewa jakąś dziwną poe- y. U niego nawet Sybir jest poetyczny...

— Ale zgodzi się pan na to, że politykiem nie był za- ym. Nie zapomnę jego »świętej anarchii«, w której widział awienie ludzkości. Słyszałem z jego własnych ust, jak się nosił nad tą »świętą anarchią«.

Tu opowiedział Klaczko, w jakich okolicznościach zetknął się raz ze Słowackim.

— Było to w roku 1848, w Poznaniu, w czasie owej pa- mietnej t. zw. rewolucji poznańskiej. W chwili, gdy ta nie- fortunna rewolucja wybuchła, byłem w Heidelbergu, gdzie między innymi pisywałem także artykuły do *Deutsche Zeitung*

officerem Legii honorowej, etc. etc., nie mówiąc już o tem, iż i nasza krakowska Akademia Umiejętności ofiarowała mu godność swego członka rzeczywistego ¹⁾.

Wszystko to miałem w pamięci, kiedym po mięko wysłanych schodach wchodził na pierwsze piętro, zajmowane przez znakomitego pisarza, i kiedym, zatrzymawszy się u drzwi,

¹⁾ Zarzucano Klaczcze, że od długiego szeregu lat pisze tylko po francusku, że tem samem przestał być pisarzem polskim, a stał się kosmopolitycznym. I ten zarzut, jak wiele innych jest gołosłowny, a zdradzający najgrubszą niewiadomość. Zdaje się bowiem, iż ci, co zarzucali Klaczcze kosmopolityzm w jego pismach francuskich, nie czytali jego artykułów w *Revue des deux mondes*. Gdyby byli czytali, wiedzieliby, że wszystko, co Klaczko pisał po francusku, począwszy od *Etudes de Diplomatie contemporaine* a skończywszy na *Deux Chancelliers*, było opinią Polaka, zabierającego głos — z polskiego punktu widzenia — w sprawach europejskich. Były to artykuły z wyraźnym piętnem swego polskiego pochodzenia, a jeśli je Klaczko pisał po francusku, to dlatego, że były przeznaczone dla Europy, dla dyplomacji europejskiej, która liczyła się z nimi, brała je w rachubę, a ich świetność podbijała mnóstwo umysłów... Nadto pisywał Klaczko do *Revue des deux mondes* studia o rzeczach polskich, jak *Poète anonyme* (Zygmunt Krasiński), lub *Une Annexion d'autrefois* (Unia lubelska). Dopiero po roku 1870, po upadku drugiego cesarstwa, zaczął pisać o literaturze powszechnej, o Dantem i Petrarce, o Michale Aniele i renesansie włoskim. Ale i na tych pracach, choć kosmopolitycznych na pozór, wyciskał piętno polskości. W słynnych *Causeries florentines*, tłumaczonych na wszystkie główne języki europejskie, świętną rolę gra Polak, który do chóru umysłów południowych, łacińskich, przynosi jakiś ton słowiańskiego mistycyzmu, a w rozmowie o Petrarce i Dantem, jako poetach miłości, mówi rzeczy najświetniejsze, z jakimi się spotykamy w tym renesansowym dyalogu. Dlatego Klaczko pisze te rzeczy po francusku? Na to pytanie pięknie odpowiedziano w przedmowie do przekładu *Wieczorów florenckich*: »Kiedy nasi dzielni pisarze XVI wieku obrabiać chcieli przedmioty powszechnego zajęcia i znaczenia, pisywali o nich po łacinie. Mieli słuszność; rzeczy, do powszechnego użytku przeznaczone, powinny się pisać w języku powszechnie zrozumiałym. Taką samą słuszność miał i pan Klaczko, kiedy tę pracę swoją napisał po francusku. Ale jak *Respublica* Modrzewskiego, jak Goślickiego *Senator* lub Warszawickiego *Posel*, choć w obcym języku, do polskiej literatury należał, tak i ta innego porządku i zakresu praca najświetniejszego dziś z polskich pisarzy staje się z natury własnością i ozdobą naszego piśmiennictwa, które winno jest jej

to spojrzenie przez łzy i krew, któremi chwilowo napływają mu oczy.

* * *

Swoje znakomite, prawdziwie klasyczne studium o *Hamlecie*, studium, którego niniejszy artykuł jest pobieżnym streżeniem jedynie, nazwał ś. p. Matlakowski »wstępem« (podobnie, jak Kalinka, którego »wstęp« do *Ostatnich lat panowania Stanisława Augusta* zajmuje cały gruby tom, a jest arcydziełem historycznym), wstępem dlatego, że poprzedza całkowity przekład polski *Hamleta*, dokonany — prozą — tem samym piórem, które nakreśliło ów »wstęp«. Słówek o tym przekładzie. Chcąc ocenić jego prawdziwe zalety, trzeba się mu przypatrzeć z właściwego punktu widzenia, a chcąc ten punkt odnaleźć, wystarczy zwrócić uwagę na następujące słowa samego dra Matlakowskiego, w których jasno określił cel, w jakim raz jeszcze *Hamleta* językowi naszemu przyswoił, choć posiadamy tak znakomite przekłady tej tragedyi, jak Paszkowskiego i Ulricha. »Istnieje u nas bardzo znaczna liczba ludzi, zwłaszcza wśród lekarzy, znająca język angielski o tyle, iż może czytać zwyczajne nowożytne dzieła specjalne, powieści lub dzienniki, ale im zbywa na osobnem przygotowaniu do czytania Szekspira, którego wielu, jak wiem z mojego kółka, uwielbia, na pamięć umie... Nakoniec, jest sporo inteligentnych i wykształconych ludzi u nas, z kół literackich, handlowych i przemysłowych, którzy w dorosłym wieku sami uczą się angielskiego, posługując się samopomocą i uznanymi w obiegu metodami. Skoro już z najgrubszymi uporażą się początkami, mogliby od razu przejść do dzieła, któreby więcej odpowiadało ich umysłowości, niż przykłady z Olendorfa«. Dlatego przekład *Hamleta*, dokonany przez Matlakowskiego, jest nie poetyczny, ale dosłowny, wiersz w wiersz, a wydrukowany równolegle z tekstem angielskim, jako taki, jest znakomity. Pomimo dosłownej wierności — na czem niekiedy cierpi duch składni polskiej — czyta się on bardzo dobrze, a choć taki suchy na pozór, nie jest pozbawiony pewnego polotu.

Na zakończenie, jeszcze słówek o języku tej niepospolitej książki, (*która się w każdym inteligentnym domu polskim znajdo-*

Ale obok tych drobnych dziwactw filologicznych, będących wynikiem szlachetnej dbałości o możliwe zbogacenie skarbcza mowy ojczystej, język Matlakowskiego, nigdzie nie skażony najmniejszymi naleciałościami cudzoziemskimi, a urobiony na prozie Reja, Wujka, Górnickiego, Orzechowskiego i innych znakomitych pisarzy naszych XVI wieku, jest dziwnie pięknym, barwnym, żywym, plastycznym (Matlakowski był ogromnym wielbicielem Słowackiego), a zdarza mu się nierzadko, że jest i poetycznym także. Zwłaszcza w porównaniach, w których celuje, a które, zawsze trafne nadzwyczaj, niekiedy bywają i poetyczne bardzo. Oto dwa, dla przykładu: »Chęć (ze strony Klaudiusza) nawiązania stosunku z synem, ułagodzenia go, wyglądzenia i uklepania sprawy ku tem wygodniejszemu zażywaniu uciech w nowem gniazdku w spokoju i przyjemności, ściał mroz słów królewicza, *jak ścina syberyjski wichher grzywoy fal Bajkału, które w locie, w powietrzu, rozchełbane, tężeją w lodowate zadzierzyste wybrygi*«. »Hamlet (w rozmowie z Rosenkrancem i Gildensternem) prawie zapomina do kogo mówi; po zmiążdżeniu szpiegów, uczucia wstrętu i pogardy rozwiewają się: w tok rozmowy zwolna wplata się srebrna nitka rzewnej boleści, *jakby skargi, która cicho dźwięczy, jak nucenie polnego konika skostniałego w śronisty ranek jesienny*«.

Takich porównań nie powstydziliby się żaden z największych poetów. Ale bo też dr. Matlakowski, choć lekarz i chirurg, miał więcej poezyi w duszy, niż niejeden z naszych dzisiejszych wirtuozów formy wierszowej. Każdy, kto przeczyta niniejszą książkę o *Hamlecie*, zgodzi się na to twierdzenie...

mieni słonecznych, a jakby nasiąkłem turkusowym błękitem nieba bez chmur, czuło się zapach pierwszych dni wiosennych. Wawel ze swą wieżą katedralną — którą właśnie miałem nawprost siebie — jaskrawo odcinał się od niebieskiego stropu, a strop ten, koloru *bleu foncé*, miał coś z owej ostrości, cechującej błękit nieba włoskiego. Mogło się здаwać, że się jest we Włoszech. Złudzeniu dopomagał nawet stary żebrak w łachmanach, żebrzący w cieniu wysokiego muru klasztornego, ciągnącego się po drugiej stronie ulicy Smoleńskiej. Widok, choć typowy krakowski, nie byłby mniej typowym w jakimś Fiesole lub Asyżu... Pomimo słoneczności i spokoju, rozlanych w całej naturze, byłem trochę podniecony nerwowo, ile że szedłem z wizytą do autora *Rome et la Renaissance*, dzieła, które się właśnie wykończy na pierwszym piętrze tej wdzięcznej willi, a którego pojedyncze rozdziały, w miarę, jak wychodzą z pod pióra, są już od lat trzech ozdobą i *great attraction* paryskiej *Revue des deux mondes*¹⁾. Wiedziałem wprawdzie, iż jestem oczekiwany, że idę na wyraźne zaproszenie »najświetniejszego dziś z polskich pisarzy« (jak Klaczkę w przedmowie do swego przekładu *Wieczorów florenckich* nazywa St. Tarnowski), że mię czeka życzliwe przyjęcie — o czem wszystkim już byłem uprzedzony przez czcigodnego autora *Bibliografii polskiej* — lecz mimo to miałem pewne wątpliwości i obawy, które były aż nadto uzasadnione, jeśli się zważy, że za chwilę czekała mię rozmowa z pisarzem tej miary, co Julian Klaczko, rozmowa... o mojej monografii o Słowackim²⁾.

Z tem uczuciem wszedłem do sieni, gdzie, spojrzawszy na bardzo krótką, bo tylko z dwóch nazwisk złożoną listę lokatorów, ujrzałem zwykły, trochę poźółkły bilet wizytowy, zwykłą pluskiewką przytwierdzony do czarnej lakierowanej tabliczki, a na tym bilecie litografowane: *Julian Klaczko*.

Na widok tego nazwiska, którego podpis spotykało się pod tyloma arcydziełami stylu i kompozycyi literackiej, mimo woli uprzytomnia się wszystko, co się wie o Julianie Klacze, jako pisarzu i polityku:

¹⁾ Pisane w r. 1897. Będące tu w mowie dzieło wyszło pod tytułem *Jules II* w Paryżu, w końcu roku 1898.

²⁾ *Życie Juliusza Słowackiego* (1809—1849). Biografia psychologiczna, 3 tomy, Kraków i Warszawa 1897.

kazów postępowania. I to jest źródłem wahania się Hamletowego.

Jako charakter, jest Hamlet — zdaniem Matlakowskiego — pomimo swej wrażliwości, często nadczulej trochę, obdarzony znacznym zapasem energii i woli. Ognście pohopny do otwartego boju, meżny i zapalczywy, znakomity szermierz, umie się zdobyć na najwyższe działanie, t. j. na działanie z rozważą, z ogromnym nakładem inteligencji i przenikliwości, krzyżujące plany przeciwnika, i z niemniejszym zasobem inicjatywy. Jego podziemna walka z Klaudiuszem jest »szczytnem zespoleniem w jedno intelektu i woli«. Przytem, ponieważ jest umysłem krytycznym pierwszej wody, zna swoje błędy, przeczyna ścisłą prawdę, co go czyni nowożytnym, nam pokrewnym, ale co nie znaczy bynajmniej, ażeby Hamlet był sceptykiem; Hamlet sceptykiem nie jest. Najlepszy dowód, że wierzy w opatrność, w rozum wyższy, władający życiem i światem. Mimo to, jest zdeklarowanym deterministą¹⁾: jako taki, liczy się z faktami dokonanymi, jako z rzeczami, których odrobinę niepodobna, a kiedy się zastanawia nad nimi, to nie jak fatalista, ale jak chrześcjanin, który głęboko wierzy w nieśmiertelność duszy.

Lecz przede wszystkim jest to natura szlachetna, obdarzona gorącą miłością prawdy, zgodności ideału z czynami, przekonań z postępkami. Jest to wielkie serce, szczerolote uczucie, idealista, blizki ideału człowieka, podobny do Marka Aureliusza, obejmujący niemal wszystko, co wielkie duchy greckie, uznający zalety i przymioty innych, a nie znający uczucia zazdrości. Jest to jeden z tych, co czułby niedolę drugich, choćby mu się i najlepiej działo. Idealizm jego, taki melancholijny i rzewny, jest bojującym i cierpiącym: skutkiem niezwykłej czuciowości, nie znosi widoku zła lub krzywdy, zbroczeń i zaprzania prawdy. Każdy czyn nieprawdy, każda myśl fałszu, dolegają mu, bołą go, nie pozwalają żyć spokojnie. Dlatego pragnąłby świat odmienić! Niestety, świat jest zły, podobny do niepielnego ogrodu, więc Hamlet, dzięki swemu idealizmowi, właściwemu jego młodzieńczemu wiekowi, popada w rozgoryczenie, i z zajadłością, nie oszczędzającą nikogo, nawet matki,

¹⁾ W tym punkcie zgadza się Matlakowski z Türck'em, jednym z najgłębszych komentatorów *Hamleta*.

śnie najlepsze strony jego istoty przywodzą go do tego, że w swoim działaniu wpada w błąd — ów błąd tragiczny, o którym wspomina Arystoteles w rozdziale 13-tym: błąd ten sprawia, iż Hamlet przez wszystkie kroki w biegu sztuki coraz głębiej brnie w niedolę, która w końcu pochłania przyjaciół i wrogów, osoby trzecie, a wreszcie i jego samego«. Na pytanie: Na czym polega tragizm Hamleta? Baumgart odpowiada w ten sposób: »Jest-li nim jedynie śmierć bohatera zgon tylu innych osób? Czy może zapłata, spotykająca na ostatku króla! Miałoby być tragicznością ukaranie łotra? Lub miałoby cała tragika sztuki polegać na tem tylko, co Arystoteles zowie patetycznym, t. j. na ranach i śmierci, wystawionych na scenie?... Że Arystoteles nie byłby zaliczył sztuki do rodzaju patetycznego, wnet widać z tego, że wątek nie jest prosty, przy którym, bez perypetyi i bez poznania, wypadki, dzięki naturalnemu biegowi rzeczy, muszą wziąć nieszczęśliwy obrót; owszem, wątek jest zawikłany..., sztukę zatem Arystoteles nazwałby powikłaną i etyczną. Dramat więc, zarówno ze sposobu układu wątku, jak i z obrobienia, należy do najpiękniejszej kategorii. W danej fabule zachodzi ten sam przypadek, który Arystoteles zaznacza w Ojdypie: oto czyn, kryjący w sobie tragiczny zasadniczy czynnik nie leży w sztuce, lecz poprzedza jej akcyę, jak w tragedyi Sofoklesa... Tam poznanie dotyczy osób zaprzyjaźnionych, dotyczy spełnienia strasznego czynu — modyfikacya również przewidziana przez Arystotelesa«. Można sobie wyobrazić, jak serdecznie uśmiełby się Szekspir, gdyby te Baumgartowe wywody o swym *Hamlecie* przeczytał.

Na pytanie, czy Hamlet tylko udaje waryata czy nim jest rzeczywiście? — dawano rozmaite odpowiedzi: dla jednych jest rzeczą dowiedzioną przez medycynę, a więc niezawodną, iż Hamlet jest obłąkańcem; inni dowiedli niemniej przekonująco, że tak nie jest. Dr. Ray dowodzi, że Hamlet jest szalonym o tyle, iż dostrzedz to może nawet powierzchowny obserwator; mimo to zachowuje tyle siły zastanowienia i samokontroli, iż jest w stanie postawić dobrze określony zamiar zemsty, choć go nie potrafi wykonać. »W scenie z duchem mamy podrażnienie bredowe: umysł ugina się pod pierwszym ciosem choroby«. Zdaniem Bucknilla, Hamlet jest chorym, dotkniętym melancholią, melancholikiem rezonującym, chorobliwie zmienionym w porównaniu z poprzednim stanem myśli,

szy wydał *Hamleta* po polsku, własnym nakładem, w przekładzie J. N. Kamińskiego, w r. 1805¹⁾. Nie wszyscy półpankowie ukraińscy miewali tak szlachetne fantazyje. Może dlatego nazywano Marchockiego — dziwakiem i półgłówkiem?

Niemniejszy kult żywił dla Szekspira w ogóle, a dla *Hamleta* w szczególności, Ignacy Hołowiński (Kefaliński), który *Hamleta* pierwszy przełożył wprost z oryginału, sumiennie, z wielkiem poszanowaniem rzeczy, bez żadnych samowolnych zmian i skrótów.

Wiadomo, jak entuzjastycznym wielbicielem Szekspira był Słowacki, w którym *Hamlet* miał takiego zwolennika, iż autor *Balladyny*, będącej spolszczonym *Makbetem*, i *Beatrice Cenci*, tak bardzo przypominającej *Romea i Julię*, pokusił się i o napisanie polskiego *Hamleta*. Jakoż napisał *Horsztyńskiego*, którego bohater, Szczęsny Kossakowski, jest szekspirowskim *Hamletem* przeniesionym na polski grunt, tak dalece, że także radzi swej kochance, ażeby wstąpiła do klasztoru, a w innej scenie wchodzi z książką w rękę, jak królówiczu duński²⁾.

Margrabia Wielopolski umiał całego *Hamleta* na pamięć, takim był wielbicielem tej tragedyi, z którą ostatecznie jego tragedia miała tak wiele podobieństwa... Bądź co bądź >czy nie dziwne i nie ciekawe — powiada Matlakowski — to sprzężenie wielkiego działacza z bohaterem, który miał chorować na brak czynu? Co mógł przemyślać o *Hamlecie* margrabia, gdy szarpany i czerniony, przegrawszy stawkę, dogorywał w strasznych cierpieniach w Dreźnie?³⁾

Inaczej zapatruje się na *Hamleta* biograf i wielbiciel polityki margrabiego Wielopolskiego, prof. Włodzimierz Spasowicz, który w swoim przenikliwym studyum o królówiczu

1) >Hamlet, królówiczu duński, tragedia w 5 aktach w angielskim języku przez Shakespeare'a napisana, z niemieckiego zaś polskiem piórem przez J. N. Kamińskiego przełożona. W Mińkowskach, druk dziedzica Marchockiego, 1805<.

2) Zob. >Hamlet polski< w >Szkicach literackich< dr. Józefa Tretiaka, serya pierwsza, Kraków, 1895.

3) W innym miejscu, na str. 108, pisze Matlakowski: >Na zawsze pozostanie dla nas niepowetowana szkoda, że drugi prawnik i mąż stanu, a wielbiciel tragedyi o królówiczu duńskim, Wielopolski, nie zostawił na piśmie swojego poglądu: byłby to najciekawszy w świecie sąd, człowieka, co sam umiał czuć, myśleć, działać, a poniósł najstraszniejszy rozgrom<.

gdzie z nierozsądnych zamiarów poetycznych wynikają skutki niedorzeczne; ale w dramacie rozzdzierającym serce, w którym widzimy, jak się to szlachetne serce truje, jak się ten charakter kazi, jak nisko spada ten umysł, tłukąc się o rzeczywistość, i jak w końcu lepiej, że on się rozbił w starciu z rzeczywistością, aniżeli gdyby ta rzeczywistość oddaną została na pastwę jego urojeniom poetycznym, jego chwilowym szalom i kaprysom«. Coby nastąpiło wtedy? Najprawdopodobniej, gdyby Hamlet, zabiwszy stryja, sam zasiadł na tronie, zaczęłoby się panowanie króla-poety, któreby ludziom kazało żałować czasów Klaudiusza... Hamlet jest poetą, na którym czego nie wymaga obowiązek, tego dokaże artystą, miłość dla sztuki, upodobanie nie treści i celu, lecz samego procesu działania. Tacy artyści na tronie, gdy chodzi o pofolgowanie artystycznej żyłce, nie zważają czasami, czem okupują swe zadowolenia. Sam Hamlet powiada: »Chociaż nie jestem prędko, drażliwy, ale mam w sobie coś niebezpiecznego...« To coś, to niby maluczka odrobina uczucia, które posiadał Nero, gdy wołał: *qualis artifex pereo!* Dlatego tragiczna katastrofa, przecinająca nić życia Hamleta, wyświadcza mu prawdziwe dobrodziejstwo, gdyż ratuje go od jeszcze smutniejszego końca, gdyby był przeżył stryja, od którego w końcu sztuki Hamlet jest nie wiele lepszym: tak dalece posunęło się w nim zepsucie moralne.

O wiele łagodniejszym sędzią, niż prof. Spasowicz, jest prof. Struve, choć i on potępia sposób postępowania Hamleta; czyniąc to zaś, zapatruje się wyłącznie z psychologiczno-etycznego punktu widzenia. Winą Hamleta, utrzymuje prof. Struve, a zarazem powodem jego zguby, jest zbytne zaufanie we własne siły, obłąd, czy zbyt ambitne przeświadczenie, że on sam jest powołany do naprawy porządku moralnego, że on sam uosabia sprawiedliwość i opatrność, jeżeli nie na ziemi całej, to przynajmniej w Danii. Dlatego postanowił nie tylko odegrać rolę sędziego śledczego, ale i wykonawcy wyroku, przekonany, że tylko on jest powołany wykonywać prawo i sprawiedliwość, że tylko on zdoła przywrócić zakłóconą równowagę w moralnym porządku. Podobne zapatrywanie było błędem, prowadzącym do tragicznego końca. Należało, skoro się nabrało przeświadczenia, że Klaudiusz przez swą zbrodnię potargał moralny porządek na ziemi, publicznie oskarżyć zbrodniarza (czego mógł dokonać przy pomocy ludzi szlachetnych, znajdujących

co go skłoniło do zabicia króla. Niktby mu nie uwierzył, a wszyscyby go osądzili jako waryata, wizyonera. Zresztą i sam duch nie żąda śmierci króla, lecz zemsty. Dlatego zadanie Hamleta polega nietyle na zabiciu króla, ile na tem, iżby go zmusić i doprowadzić do wyznania, słowem zdemaskować go, bo tylko usta zbrodniarza samego mogą wypowiedzieć całą prawdę. Cóż z tego wynika? Oto, że Hamletowi musi zależeć więcej na życiu króla, niż na jego śmierci.

Jeszcze inaczej, a niemniej przekonywująco, zapatruje się na Hamleta Rümelin. Według niego, sposób postępowania królewicza jest zagmatwany, a czyny nieodpowiednie zamierzonemu celowi; ażeby pomścić śmierć ojca, wybiera dziwne i niezrozumiałe środki. Czemu przypisać to zwlekanie i niezdecydowanie się Hamleta? Czemu? Odpowiedź nasuwa się bardzo łatwo: przedewszystkiem zwłoki są niemniej potrzebne w tragedyi, jak w życiu; a powtóre, gdyby Hamlet dokonał zemsty niezwłocznie po ukazaniu się ducha, dramat skończyłby się na drugim akcie. Można być pewnym, twierdzi Rümelin, że Szekspir, gdyby w *Hamlecie* zamierzał wyrazić niemoc i nieudolność do stanowczego działania, które stało się chorobliwym od zbytecznego myślenia, byłby malował o wiele wyrazistszemi barwami. Zagadkowość Hamleta, nad którą tylu krytyków łamało sobie głowy, jest poprostu niedoskonałością dramatu, jako dramatu. Szekspir, który zwykł malować pędzlem Rubensa, wyraźnie i otwarcie, tym razem napisał dzieło, które sprawia wrażenie czegoś zaplątanego i sztucznego. Gdyby *Hamlet* był lepiej napisany, nie byłby takim sfinksem. Świetny w tych miejscach, gdzie jest nasiąknięty myślami i poglądami samego Szekspira, myślami jednak, które, luźno wplecione w dramat, najczęściej nie pozostają w organicznym związku, ani z dramatyczną treścią, ani z przebiegiem akcji, jest, jako budowa, jako kreślenie charakterów i postaci, o wiele słabszym od innych dramatów Szekspira.

To samo twierdzi Benedix, z tą różnicą, że jego zdaniem *Hamlet* jest, krótko mówiąc, bardzo słabym utworem, pełnym grubych błędów w kompozycyi sztuki, błędów, które są najlepszym kluczem do wyjaśnienia niezrozumiałości Hamleta. Przedewszystkiem sztuka zawiera — zdaniem Benedixa — cały szereg epizodów niezwykłych i zbytecznych, nie mających najmniejszego wpływu na przebieg akcji, a nawet

sem cóż za napuszone frazesy wygłasza nad jej trumną czego? Bo to tanie i nie kosztuje nic prócz trochy tchu». W gdzie chodzi o słowa, o szumne a puste frazesy, tam I umie »działać«. Oslawiony monolog: *To be or not to be* remu zazwyczaj »grubo za wiele przypisują wartości«, i w niczem wyższy od innych, chyba w tem, że jest całk ogólnikowym. Hamlet boi się śmierci, a raczej tego, co puje po niej. Jest to pokrywka tchórzostwa. »Monolog t zywają *point* całego dramatu, prawdopodobnie dlatego, : tak czysto filozoficzny. Lecz za wiele przypisują mu słości. Dlaczego? Bo się zaczyna od zagadkowego: »Byc nie być«. To brzmi tak interesująco! Ludzie są osobliwi i swoje fantazy. Wielu nie wie nawet, co te słowa znaczą. sztuka w teatrze dochodzi do tego monologu, możesz zauw jak słuchacze natychmiast nadstawiają uszy. Weszło to w czaj, żeby uważać to za doniosły ustęp«. Tymczasem H jest to sobie zwykły słabeusz, a przytem gaduła, który papple więcej, niż potrzeba: gdyby chciał jąć się dobrze c nie trzymałżeby przynajmniej języka za zębami? Przy l sposobności musi wypalić mówkę, nawet w tak dramatyc chwilach, jak po zabicu Poloniusza. Wogóle jest to »bol słaby i gadatliwy, który, choć filozofuje doskonale, od w kiego przecież, co ma zrobić, cofa się, zwłaszcza, gdy t to zrobić wśród białego dnia. Lubi noc i jej tajemniczość. W dem Ofelii okazuje się bez miłości i wdzięczności, aż do biaństwa. Nad jej mogiłą jest dziecinnie niedoleżny, chc trafi być okrutnym i mściwym, czego dowiódł swem po waniem z Rosenkrancem i Gildensternem. Godny syn ojć datywusa i słabej matki. Nawet ambitnym nie jest; będąc nie pozwolilby, jako prawy następcą tronu, żeby korona s na stryja. Nadto, nie będąc sam żądnym chwały, zazd jej innym.

Inaczej zapatruje się na charakter Hamleta Vische wny estetyk. Według niego, Hamlet, choć grzeszy nadmi refleksyi, zawsze jest wielkim, szlachetnym, rzetelnym, je z tych, którzy są za dobrzy, za nieszczęśliwi, by zostali wiedliwie ocenieni przez ludzi. Jako żyjący w świecie i zepsutym, ma prawo pogardzać nim, a Szekspir, jeś ośmielił środkową postacią dramatu uczynić bohatera, i wciąż waha się i odkłada, to z całą świadomością postaw

w takim otoczeniu; gdyby tego nie był uczynił, nie byłoby dramatu, Hamlet nie byłby postacią tragiczną. Tymczasem, dzięki konfliktowi, wymyślómemu przez poetę, tragedia robi wrażenie śrubby, przykręcającej się coraz szczelniej i szczelniej, która ostatecznie zmusza biernego i wciąż cofającego się bohatera do takiej reakcji, że w końcu i śruba i jej ofiara rozpadają się na atomy. Co zaś do charakteru Hamleta, to jest to w gruncie rzeczy natura gwałtowna, podobna do wulkanu, którego cała gwałtowność istnieje wewnątrz, nie zewnątrz: na zewnątrz wyrzuca tylko różnokolorowe światła, skry dowcipu, błyskawiczne mignięcia; straszliwy potok lawy wybucha tylko od czasu do czasu, zawsze z fatalnym skutkiem, wewnątrz jednakże słychać ciągle grzmot i ryk, świadczące, że zaparta siła nie może sobie znaleźć ujścia. Zapora, tamująca to ujście, jest zbytnią przewaga refleksyi, co jest naturalnem zupełnie, zważywszy, że samo myślenie nigdy nie wiedzie do działania: niema mostu od myślenia do spełnienia myśli. Przejście od myślenia do działania jest irracjonalne: jest to skok, przerwa w łańcuchu bez końca. Tylko awanturnicza siła daje rozstrzygnięcie, wyzwolenie, tak, że nakoniec wylatują podwoje, a co jest wewnątrz, wylamuje się na zewnątrz — jak Minerwa z głowy Jowisza — jako czyn, i staje się rzeczywistością. Tej awanturniczej siły, korzystającej z pierwszej sposobnej chwili, a nie namyślającej się, czy następna nie będzie sposobniejszą, brak Hamletowi. Niema dlań nic straszniejszego, jak słowo *teraz*. Dlatego zwleka, odkłada.

Zdaniem Flathego, Hamlet jest już, jako młodzieniec, olbrzymem pod względem męskiej śmiałości i męskiego uporu; wżył się w świat duchowy, a będąc idealistą z natury, roi początkowo, że świat powinien być czystem zwierciadlanem odbiciem idei, a życie musi płynąć na podobieństwo niewinnych fal przeźroczyściego potoku. Takie były jego marzenia i ideały młodzieńcze, które gdy runęły, jak piramida z kart, przy bezpośrednim zetknięciu się z rzeczywistością, Hamlet daje się opanować najzupełniejszemu zwątpieniu i opadają mu skrzydła; w końcu dochodzi do wniosku, że świat i życie nie są warte zgnilego jabłka. W tem tkwi istotna przyczyna, która go powstrzymuje od wystąpienia przeciw królowi: jest przekonania, że nie warto się silić na dokonanie tej zemsty, której i tak ostatecznym rezultatem byłoby — *nic!* Nicby się przez nią nie

zmieniło, ani na świecie, ani w Danii. Więc po co się si daremnie — dla niczego! *Vanitas vanitatum!*

Dla wielu krytyków, zwłaszcza niemieckich, Ham uosobieniem *Weltschmersu*. Stanowczo przeczy temu Fries niego najwydatniejszą rolę w zmianach nastroju u k cza stanowią ból i utajona wściekłość ze zgryzoty, któ sprawiła matka. Uczucie delikatności, wrażliwość dworak chającego syna, obrażone, buntują się wobec postępuk wej. Stąd wszystkie smutki Hamleta. A co było przycz tak zwlekał z zabiciem Klaudiusza? Bądź co bądź, kuni stwo nie jest rysem charakterystycznym Hamleta. Je waha i zwleka, to dlatego, że działa rozważnie, oceniają dność spełnienia tego czynu. Jego zwlekanie jest to »zaw splot, zadziern pobudek wrodzonych, leżących w głębinac rakteru, i pobudek, wynikłych z wychowania i wykształ

Niemniej dodatnimi są ostateczne wnioski, do k doszedł Hebler, lubo i on zarzuca Hamletowi »spaczony zastanawiania się, które można nawet ochrzcić mianem cedentalnego, skoro wychodzi poza obręb wszelkiego r nego, praktycznego roztrząsania«. Swoją drogą na uspi dliwienie królewicza i jego »myślenia zbyt ścisłego o wy godzi się podkreślić trudność sytuacji, w jakiej się z i nie należy zapominać, że Hamlet znajduje się w poć osobiwem nad wszelki wyraz, że włożono nań zadanie ł niezwykle. O tem nie pamiętało wielu krytyków, cho tacy — powiada Hebler — co najniepotrzebniej i najniew ier starali się z Hamleta uczynić rzecznika protestant; co politykę mieszcali do estetyki, co dowodzili, że Ham protestantyzm, że Hamlet to Niemcy, etc. etc. Tymczasem let to poprostu — tylko Hamlet, i nic więcej!

Nauczka ta, dana Niemcom wogóle, a niektórym tykom niemieckim i zbyt zagorzałym protestantom w : gólności, nie odnosi się do Doeringa, który bez żadnych cznych celów widzi w Hamlecie przedewszystkiem pesy Jest to przedzierzgnięcie wybujałego idealizmu w zgorzk i namiętny pesymizm. Wywołały go: zamiężcie matki i licowość Ofelii. W każdym razie ten pesymizm Hamle idealisty w gruncie rzeczy — nie jest przekonaniem, lecz lowym nastrojem, usposobieniem; to nie wynik długieg zumowania, lecz skutek kilku żywszych a dotkliwych wr

Wskutek tego Hamlet widzi wszystko w czarnych kolorach, świat nazywa złym, nie wierzy w cnotę, a nie uznając ciągłości trwania porządku moralnego, jest konsekwentny, kiedy się nie poczuwa do konieczności przywrócenia go.

Jeszcze inaczej zapatruje się na Hamleta Sievers, dla którego książę jest przedstawicielem ducha w człowieku, świadomego swojej boskiej zdolności. Jako taki, szuka ideału wprost w życiu, w moralnych stosunkach człowieka do człowieka, w przewodzie ducha, a przede wszystkim w moralnym poczuciu jednostki. To też, w swem pożądaniu i poszukiwaniu ideału, idzie wprost do świata, od niego żądając, aby mu okazał swój ideał urzeczywistnionym. W świecie, w realnym życiu, pragnąłby znaleźć rękojmię dla swej najgłębszej świadomości, dla swojej wiary w człowieka. Słowem, jest to rycerz najwyższych wymagań moralnych, jakie umysł ludzki stawia życiu; za czem idzie, iż jest to człowiek dzielny, prawego serca, energiczny (a ten ostatni rys, zdaniem Sieversa, zawdzięcza przewodzie pierwiastku duchowego). Niemniej pewnem wydaje się Sieversowi, że Szekspir stworzył Hamleta »w duchu nawskróś germańskim«: brat to duchowy Werthera, a jeszcze bardziej Fausta. Cała tragedia jest przedstawieniem męki i niemocy ducha, który stanął w rozterce ze światem i stracił punkt oparcia.

Wbrew utartemu pogładowi, iż Hamlet nie jest zdolny do czynu, znalazł się jakiś bezimienny, a przenikliwy i subtelny krytyk, który dowodzi — w jednym z roczników niemieckiej *Shakespeare-Gesellschaft* — że Hamlet, owszem, może uchodzić za wzór, jak się szybko decydować należy, czy to, kiedy zabija Poloniusza, nie wahając się ani chwili, czy kiedy z szybkością postanawia posłać Rosenkranca i Gildensterna na śmierć, czem dał dowód, iż jest zdolnym nawet do żwawej, chłodnej decyzji. Wszystko to nie są postęпки człowieka, który od zbyt wielkiego rozmyślenia, spekulacji, nie może doprowadzić się do stanu, w którym rodzi się czyn. »Nie miałyby siła działania i *namiętność* zgadzać się zawsze jedna z drugą?«

Na ten wyraz *namiętność* położył wielki nacisk w rozbiórce charakteru Hamleta Oehlmann, który ośmieszywszy braci-krytyków, że krwawo pracują, aby każde dzieło Szekspira przedystylować w jakąś podstawową ideę, wykazuje, że główną i podstawową *namiętnością* Hamleta jest owo znamię szlachetności, które widnieje w tyłu bohaterach Szekspira: naj-

szczerza prawdomówność, miłość prawdy, sumiennność, pocz tego, co stosowne i słuszne. Jest to natura do gruntu : chetna, rzetelna i sumienna, »zwierciadło obyczajów i v formy«, i to jest powód, dlaczego się tak nie posiada na wi nagłych zaślubin matki. Z tego rysu da się wyprowadzić : chwiejność, jego niemożność szybkiego zdecydowania się zabicie króla (ale tylko króla, bo na zabicie Poloniusza Rosenkranca i Gildensterna decyduje się w mgnieniu oka) przede wszystkim dąży do czystości, do sumiennności i słus: ści, a z tem dążeniem zbyt łatwo połączył drugi rys: poc do wynajdywania zarzutów przeciw każdemu postanowie każdemu planowi, wymagającemu stanowczego działania. Z t, pierwiastkami jego charakteru łączy się i ocienia je zdur wający umysł, który mu daje możność (i w tem leży traged widzieć na wylot wszystko i sądzić wszystko trafnie — wszys tylko nie siebie, tylko nie swoją nieprzewycięzoną skłonr do wahania się z jej koniecznymi następstwami.

Całem nieszczęściem Hamleta, według Bodenstedta, to, że jego talenty i skłonności wymagają zupełnie odmier dziedziny działania, aniżeli ta, w jakiej się urodził. W tem l jego tragiczność. Ma poczucie artystyczne i filozoficzne z ności, swoją drogą można być pewnym, że nie dokonałby dnego ważniejszego dzieła, ani jako artysta, ani jako filo Zamiast być panem, jest niewolnikiem swoich zdolności; j talenty stają się dlań zgubą. Ażeby z nich skorzystać, trz energii; tej Bodenstedt nie widzi w Hamlecie.

Da się to łatwo zrozumieć, jeżeli, jak twierdzi Zimm mann, uwzględni się wpływy dziedziczne: Hamlet jest nie rodnem dzieckiem swoich rodziców: słabość, opuszczanie wziął po matce, kiedy odwagę tymczasem, często junacką i i rozważną, której dał dowód, wskazując na okręt piratów, w: po ojcu, który był przede wszystkim odważnym rycerzem, i ustraszonym w bitwach z Polakami. Namiętna skłonność chodzenia krętymi drogami, do intryg, do podkopywań się i minierów, to rys charakteru, który także cechuje jego stry

Dla Wernera jest Hamlet »pytaniem rzuconem przez: czeniu«, jest to pierwsza część dzieła podobnego do arabskie poematu, księgi Job, poważne i uroczyste przeciwstawie dobra i zła, z których żadne nie wychodzi zwycięsko; jest zagadka bez odpowiedzi, sfinks. Szekspir *chciał* go mieć tak

Czego innego dowodzi Stedefeld. Twierdzi on, że Szekspir *chciał* w *Hamlecie* wystąpić przeciw sceptycznemu i kosmopolitycznemu pogładowi na świat Montaigne'a, że pisząc tę tragedję, *chciał* w *Hamlecie* wyzwolić się od wrażeń, jakie pozostawiło w jego umyśle czytanie książki francuskiego sceptyka. Dlatego Hamlet, *stosownie do zamiaru poety*, jest w całym zachowaniu się istotą mężką, szlachetną, rycerską, z poczuciem moralnym i religijnym, o inteligencji świetnej, z wielką znajomością ludzi i świata, z wykształceniem pierwszorzędnym, istotą jednak, której nie dostaje chrześcijańskiej pobożności, wiary, nadziei i miłości. Jest niedowiarkiem. Wiarę swą, którą posiadał niegdyś, stracił w chwili, kiedy się rozwiały jego marzenia i ideały młodzieńcze, kiedy się przekonał, dzięki swej matce, jak zło panuje na świecie. Odtąd stał się sceptykiem względem sprawiedliwej opatrności, ale jednocześnie popadł w rozterkę ze sobą, z Bogiem, ze światem.

Nierównie głębszem jest studyum Snidera, tem oryginalne, że w niem owa nieudolność działania, tak powszechnie przypisywana Hamletowi, jest przedstawiona, jako pozorna tylko. Hamlet, zdaniem Snidera, jest przedziwnie gotów do zrobienia pewnych rzeczy; natomiast innych nie chce uczynić i nie może doprowadzić siebie do ich wykonania, potrafi się zdobyć na czyn, wywołany chwilową podniętą, pod wpływem pierwszego impulsu, skoro niema czasu na zastanawianie się; ale tego, co zwiemy działaniem racjonalnym, nie posiada. Natomiast posiada to, co zwiemy działaniem *in minus*, t. j. zdolność udaremnienia zamiarów wroga. Tego najwyższego zjednoczenia, którem jest zjednoczenie Inteligencji i Woli, a które działaniu nadaje najwyższą postać, Hamlet nie posiada; to też można powiedzieć o nim, że w tragedji działa i nie działa.

Inną jest opinia Mezières'a o *Hamlecie*. Jego zdaniem, królówicz należy do tej klasy nieszczęśliwych dusz, którym znane są tylko ciemne strony ludzkiego życia, których temperament melancholiczny i bardzo bystra przenikliwość czynią czulszymi na zło, dokuczające naszej naturze, niż na dobro, które nam przypada w udziale. Hamlet, choćby nie ujrzał straszliwego widma, nie byłby ani szczęśliwym, ani spokojniejszym. Jest to istota, która wnosi do walki życiowej potęgę, potrzebną do cierpienia, lecz nie ma siły do przewyciężenia go. Nadto nieustanna praca myśli, namiętne rozważanie wszystkich *za*

rzostwo cechuje królewicza, gdy chodzi o wykonanie zemsty lecz skrupuł metafizyczny, płynący z sumienia. Stąd ów n strój metafizyczny, panujący w całej sztuce, stąd sławny m nolog: *Być czy nie być?*

To samo mniej więcej utrzymuje Coleridge, któremu s wydaje, jakoby Szekspir, pisząc *Hamleta*, pragnął wdrożyć w n tę prawdę, że działanie jest głównym celem istnienia, że prz mioty umysłu, choćby były najświetniejsze, nie mogą być uw żane za cenne, gdyż, odciągając od czynu, są raczej nieszcz ściem: tak długo wiodą nas do rozmyślania, aż w końcu upł nie czas, w którym mogliśmy byli czegoś dokonać skutecznie. Stąd, jeżeli wyciągniemy ostateczną konsekwencję z twie dzenia Coleridge'a, okaże się, iż *Hamlet* jest utworem tende cyjnym: konsekwencya, na którą — znając charakter utworó Szekspira — trudno się zgodzić.

To samo możnaby powiedzieć o poglądzie Schlegla, któr lubo przyznaje Hamletowi, iż jest umysłem bardzo wyrobi nym, nieobcym szlachetnej ambicyi, zarazem przypisuje m słabość woli i, co gorsza, wrodzoną skłonność chodzenia kr temi drogami. Według Schlegla, Hamlet jest obłudnikiem wzgl dem siebie, dla którego daleko sięgające skrupuły są częś pokrywką do osłonięcia braku postanowienia, a który nad nie może oprzeć się na żadnem przekonaniu jakiegokolwie rodzaju, czy to będzie sceptycyzm, czy nauka Kościola.

Łatwiej się zgodzić z Hazlitem, albowiem on pierwsz pojął Hamleta, jako człowieka genialnego, nietyle obdarzoneg siłą woli i namietności, ile głęboką subtelnością myśli i uczu bardzo wrażliwego, zdolniejszego do analizowania swojej zł żonej psychiki, aniżeli do obmyślenia planu działania, a który choć doskonale zdaje sobie z tego sprawę, nie może się zdoby na ostateczną decyzję, wtedy właśnie, kiedy okoliczności sprzy jają dokonaniu zamierzonego czynu. Jako bohater tragedyi — choć na bohatera ma najmniej danych — jest on »bardziej za mujący, niż zgodny z prawidłami, sympatyczny, choć ni bez winy«.

Co innego twierdzi Gans, występujący z twierdzeniem — ośmieszonym przez Kleina — że *Hamlet* jest wyrazem »nicości roz wagi, nicości zastanowienia«. Jest to tragedia nicości roz wagi! Dlatego, obok *Fausta*, *Hamlet* pozostanie tragedją ną głębszą, najśmielszą i najcharakterystyczniejszą; bohater je

»ulega nie przez to, co skądinąd słusznie zowiemy ludzką słabością, lecz od tego, co z konieczności musimy nazywać ludzką siłą«.

Nierównie głębiej wniknął w charakter Hamleta sławny Szekspirológ Urlici, utrzymujący, iż królewiczowi nie brak ani odwagi, ani energii, ani woli, ani stanowczości; jest to tylko duch filozoficzny, który posiadając chęć i siły do spełnienia wielkich rzeczy, pragnie jednak, ażeby, działając, był posłuszny rozkazom własnej myśli. Dlatego spełnienie czynu, narzuconego mu przez zewnętrzne okoliczności, jest przeciwne jego usposobieniu. Nadto jest on chrześcijaninem, który mając spełnić zabójstwo, walczy z człowiekiem natury; jeśli się tak ociąga, to dlatego jedynie, bo zabijanie, jak i samo pojęcie zemsty, są antychrześcijańskie.

Bardzo zbliżonym do powyższego jest pogląd bezimien-
nego autora w *Quarterly Review* z r. 1847, pojmującego Hamleta, jako odbicie wszechstronności geniuszu Szekspira. Hamlet, jak Szekspir, posiada umysł mądry i dowcipny, oderwany a praktyczny; najrozleglejszy zakres filozoficznego rozmyślenia, idzie u niego w parze z najprzenikliwszą bystrością w sprawach życiowych; zabawny żart, kłująca satyra, skrzące odcięcie się, przy najgłębszej, ponurej myśli: wszystko to jest mu właściwe, wszystkich tych tak różnorodnych zdolności używa ze sprawnością zadziwiającą. Nadto posiada nadzwyczajny dar natychmiastowego odgadywania natury i pobudek ludzi, z którymi się styka, co mu pozwala w oka mgnieniu przystosować swoje zachowanie się do ich osobistych właściwości. Będąc umysłem filozoficznym, z lada powodu, często z przyczyny jakiegoś najbliższego wydarzenia, stara się wszystko sprowadzać do praw ogólnych, a że myślą wybiega poza świat, więc lubi zatapiać się w rozmyślanii. Na to, ażeby zabić stryja, ma dość siły i wytrzymałości nerwów; jeżeli tego nie czyni, to z powodu skrupułów sumienia; ono go odciąga od zbrodni, ono rodzi apatyę, ono w nim wytwarza niezgodności, niespokojności. »Rozważając spełnienie czynu, który z zewnątrz wygląda bardziej na mord, niż na prawne ukaranie, drży, aby pomimo wszystko nie popełnić wyraźnej zbrodni; z drugiej strony, gdy zwraca wzrok na bezceństwo stryja, wyobraża sobie, iż więcej jest tchórzostwa niż sprawiedliwości w jego zwlekaniu«.

To samo wynika z zapatrywania Hudsona. Ten jeszcze

Innym razem postrzelił capa i ten uciekł mu między woły Liptaka, bo to było na węgierskiej stronie. Sabala zdjął skromnie kapelusz i począł prosić pokornie, kłaniając się Liptakowi, żeby mu pozwolił capa zabrać, bo cap jego. Liptak za rozamięlony pokorną postawą Krzeptowskiego, tem pewnie obstawał przy swoim i twierdził, że choć Sabala postrzelił kozła, ale on się później zmieszał z wołami jego, więc też do niego należy. Widząc, że z nim dobrocią nie poradzi, odszedł Krzeptowski na 50 kroków, nasypał niepostrzeżenie do strzelby piasku, bo była tylko lotkami nabita i strzelił do Liptaka ta nieszcześliwie, choć utrzymywał, że w nogi mierzył, iż «ok i śtery zęby dyascy wzięni». Później spotkali się jeszcze. Liptak poznał jednym okiem Sabalę, ale on mu udowodnił, że nigdy jeszcze nie strzelał i nawet nie wie, jak się strzelić trzyma.

...Gdyśmy go raz pytali, jakiego systemu strzelby używał, mówił: »Mnie ta, prosem pięknie ik miłości, każda do zakwy się zdała. Ino dubeltówka wse lepsza«. Raz spotkał się z niedźwiedziem. Strzelił i chybił. »Miałek pojedynkę, wyzinek się na smreka. On mi się przypatruje ze spodku, a ja siedzę cicho, inose dychom. Stanon na łapak, ale mie dostać ni móg, haj. Jazek tak to, mościwko panku, wysiedział. Wytrzymała mie wereda długo, nie krótko, a ręce mi cysto pięknie zległwiały, co strak, haj! On się zaś poseł paść na bórówki. Poseł nizej, a syćko się na mnie boke jednym oke przy patrywał. Ja się zaś zacon wyżej styrbać, cyby jakosi się ceglepszego nie chwycić. Siadek na gałęź, ale się zlamala, był słaba. Toż to, dobrze nie barzo, zjechał na ziem, haj! Jazek w uciekaca, on za mnom. Jazek lewdy dopad bucka dość hrubego i wylazek nie wiele myślący na niego, na gałąź, haj. Byłęk ślebodny, bo buk był hruby, ino ze mi coś kajść w brzuku strasnie jeżdżilo, bok długo siedział, a jedzenia ni miał: było ostawione przy smreku. Kieby mi miał wto flint podać ze spodka, to onoby ta było syćko dobrze, bok pro i kapśliki w torbce miał. Ale nika nie, haj!

.....

W wykonywaniu dobrych uczynków był Sabala Chałuubińskiemu niejednokrotnie pomocny. Miał u niego wielki wpływ i szacunek dla siebie, więc korzystał z niego często i gdy ktos prosił o wizytę doktorską, wstawiał się Sabalik, motywując swą prośbę słowy: »Já ta ś nim znajomy, a moze i krewny«. »Jakż blizkie pokrewienstwo?« uśmiechając się, pytał lekarz. Sabalik zaczynał zaraz opowiadać, jak z nim chodzili na kozy i ile ich ubili. »My sie z jego ojce strasnie radzi widzieli, choćmy spólnikowali«. Razu pewnego zagadnięty w ten sposób przez Chałuubińskiego, nie mógł się szybko połapać, a powtarzać się nie chciał, więc mówił: »E, my ta byli, prosem pięknie ik wielkie mozności, z jego ojce kumotrami, ale przez mojom babe... Jazek tego krewny, bok od niego kobylsko kupił i udała mi się

straśnie«. Albo też: »Já ta ś nim kumoter«. »A kogożeście trzymali?« pyta jeden z góralów. »Eć wej, worecek we mlynie, kie mie baba po mąke posłała, kie jom młynarz do worecka suł, haj!...« Pewnej góralce zachorował syn, pobiegła więc prosić Chałubińskiego, żeby go odwiedził. Deszcz padał jak z cebra, a wysłany Sabala po *budkę* nie mógł jej znaleźć. Lekarz wypytał się o objawy choroby, a gdy zmiarkował, że niebezpieczeństwo w zwłocę nie grozi żadne, mówił: »Poczekajmy, może się przecie skończy ta lejba«. »O, ono się skończy«, rzekł Sabala, »bo strażnie pilno leje... Ono ino, prosem piknie ik wielkomożności, niekze idom. Cuhe im dom, to sie odziejom. A kie horość przysła, to ono ta trza jom wyгнаć, bo i śmierć bedzie kajsi nie prec. Będzie koło wędlów zajezdzac. Ony, to dom jest siostry, a śmierć to strażnie wartka baba, haj!« Odział własną cuchą lekarza, a sam, przewróciwszy serdak do góry kudłami, suwał lekko po błocie przodem i mruzczał pod nosem: »Ono, ja tak uwazujem, co sie musiało gaz-gostwo w niebie popsuć abo jako?...

.

Teraz obaj spoczywają na zakopiańskim cmentarzu, w najbliższym sąsiedztwie, księdza Stolarczyka i Bronisława Dembowskiego. Przechodząc około tych czterech mogił, doznaje się dziwnie rzewnego uczucia, bo są to groby czterech najwybitniejszych osobistości Zakopanego, groby ludzi, którzy stworzyli dzisiejsze Zakopane, a którzy już dziś stają się jego postaciami legendowymi. Chałubińskiemu zostanie na zawsze przydomek »króla tatrzańskigo«; ksiądz Stolarczyk, jako pierwszy proboszcz w Zakopanem, śmiało może być uważany za apostoła górali, który im przyniósł światło chrześcijaństwa¹⁾; pamięć Dembowskiego nie zaginie, dopóki Podhale będzie się zabudowywało w stylu zakopiańskim, którego on — obok Witkiewicza i Matlakowskiego — był głównym propagatorem; a o Sabale utworzy się mit, w którym ten genialny gawędziarz-poeta opromieni się aureolą tatrzańskigo Homera. Pokolenia będą następowały po pokoleniach, a o tych czterech mężach, dopóki ludzie będą jeździli do Zakopanego, legenda

¹⁾ Przed księdzem Stolarczykiem nie uważali np. górale za coś Panu Bogu ubliżającego, gdy sobie w kościele »fajeczkę« zapalili i »pacierz na koronce mówili«. Jeśli zaś nie palili w kościele, to sobie za to niejeden »na odchodnem od lampasa przed wielgim ołtarzem zapalili i seł do pola kurzący«. Stopka, *Sabala*, 47.

nie zaginie: owszem, będą w jej promiennym świetle rośli jakichś bajecznych rozmiarów; a ci, co ich znali osobiście, na nich jeszcze własnymi oczyma patrzyli, będą o nich z dumą opowiadali młodszemu pokoleniu, ojcowie synom, matki córkom, dziadkowie wnukom...

O stosunku Chałubińskiego do Zakopanego pisał w *Kraju* prof. Ignacy Baranowski:

Miłośnik przyrody, wrażliwy na jej piękności, artysta z usposobienia i z wykształcenia, obiera za stałą siedzibę letnią Zakopane, piękne ustronie górskie, o którym, że istnieje, jeszcze od czasów Staszycza wiedziano, ale do którego tłum turystów podążył dopiero wtedy, gdy Chałubiński tam się na stałe osiedlił. Za jego staraniem powstaje *Towarzystwo Tatrzańskie*, którego głównym zadaniem miało być badanie fizyograficzne Tatr polskich. W wycieczkach niezmiernie zuchwałych, wiodących go na szczyty niezwykłe, wyrabia doskonałych przewodników górskich, oraz wyznacza szlaki i drogi, dla turystów dostępne, a bogate w urocze widoki. W wycieczkach tych zbiera odłamki skał, oznacza ich pochodzenie, porządkuje je. Zbiór ten stał się dziś, z daru Chałubińskiego, własnością *Muzeum Tatrzańskie*, któremu wielbiciele Chałubińskiego jego imię nadałi. Równocześnie zbiera mchy tatrzańskie, bada je, determinuje i klasyfikuje. Owoc tej długoletniej pracy nad mchami ogłasza najpierw w *Pamiętniku fizyograficznym*, a następnie wydaje oddzielnie p. t.: *Grimmia tatrenses ex autopsia descripsit et adumbravit dr. Chałubiński*. Monografia ta, napisana w języku łacińskim, cenioną jest przez bryologów zagranicznych, jak jedna z najlepszych prac w tym dziale naukowym... Poznawszy klimat Zakopanego, oceniwszy jego wartości lecznicze, Chałubiński wygotowuje ustawę *Stacji klimatycznej* i wyjednywa jej zatwierdzenie... Dziwnie piękny stosunek wywiązuje się między Chałubińskim a ludem górskim, który przedtem, odcięty od świata, żył, rzec można, w stanie pierwotnej kultury, noszącej cechy niezwykle, bardzo oryginalne, a znamionujące wielkie zdolności tych dzieci natury. Chałubiński dopomaga do zebrania legend ludu górskiego, jego pieśni, które Kleczyński z ust ludu notuje, a Paderewski w wykwinne dzieło sztuki przetwarza. Chałubiński jest inicjatorem *Szkoły smycerskiej* i *Szkoły koronarskiej*, poparty w tem dzielną pomocą śp. Mikołaja Zyblikiewicza. Wreszcie usiłuje on podnieść rolnictwo przy udziale swego najbliższego przyjaciela, zacnego plebana zakopiańskiego, ks. Stolarczyka, który we wszystkich tych pracach Chałubińskiego idzie z nim ręką w rękę. Pełen miłości ziemi i ludu, stworzył sobie Chałubiński świat nowy, zadań społecznych, cywilizacyjnych i naukowych, których spełnienie wzbogaciło wielkimi zasługami ostatnią epokę jego żywota.

Ostatnie lata były walką z ciężką niemocą, która ten potężny duchowo i fizycznie organizm złamała. Półtora roku poprzedzające datę zgonu, Chałubiński spędził w ustroniu zakopiańskim. Do ostatniej chwili liczni jego przyjaciele i wielbiciele zimą i latem dążą do Zakopanego, aby krzepić myśli i uczucia widokiem szczytów tatrzańskich i widokiem człowieka, który długi żywot umiał wypełnić pracą, do jakiej podniecią była miłość nauki, kraju i człowieka.

Gdy żył Chałubiński, Zakopane posiadało urok, o jakim pojęcia nie mogą mieć ci, co tych czasów nie pamiętają. Już sam przyjazd «króla tatrzańskiego» był uroczystością dla wszystkich, dla górali zarówno, jak i dla gości. Chałubiński przyjeżdżał zawsze do Zakopanego na początku lipca, a dnia, w którym go się spodziewano, kilkudziesięciu młodych górali jechało konno w odświętanych strojach parę wiorst na jego powitanie, tak, iż przez całe Zakopane, aż do swego domu jechał z eskortą, wśród radosnych okrzyków, wśród strzałów na *vivat* z pistoletów, często wśród salw z moździerzy. Goście, na widok tego malowniczego orszaku, powiewali czapkami i chustkami, jakby mu starym słowiańskim zwyczajem mówili: *a witajże nam, witaj, miły hospodynie!* — a on kłaniał się z powozu na wszystkie strony swym słomianym kapeluszem, rozpromieniony, szczęśliwy, uśmiechnięty i kontent, że znowu jest w swem ukochanem Zakopanem, w tych swoich pięknych Tatrach, których nikt nie miał takiego prawa nazywać *swojemi*, jak on!... Potem widywało go się jeżdżącego bryczką po ulicach, zawsze w serdaku i słomkowym kapeluszu; a gdy się zdarzyło, że szedł pieszo, to nigdy sam, bo jeśli nie szedł z Wojciechem Rojem lub Sabałą, to go otaczała gromada górali, z którymi nigdy nie brakło mu tematu do przyjacielskiej rozmowy. Czasami spotykało się go z jaką zapłakaną gaździną, z którą szedł do jej chorego męża lub syna; ale bywało i tak, że go się spotykało w towarzystwie najwybitniejszych jednostek naszego społeczeństwa, szczególnie z bracią artystyczną, do której przez całe życie miał nieprzeparty pociąg. Pamiętam czasy, w których go widywałem asystującego Modrzejewskiej, spacerującego z młodocianym Paderewskim, z księdzem Stolarczykiem (którego tymczasem wszystkie przechodzące baby całowały po rękach), z Sienkiewiczem. Gdy wychodził na wycieczkę w góry, całe Zakopane nie mówiło o czem innem; wycieczki bowiem takie, jak je urządzał Chałubiński, miały w sobie coś

romantycznego i epickiego zarazem. Przedewszystkiem nie od bywał ich nigdy w małym towarzystwie, lecz gromadą, zło żoną z kilkunastu zaproszonych osób i 30 lub 40 górali, z starą Sabalą na czele.

Wybierano się z całym obozem, z namiotami, rondlami samowarami, kocami, etc. etc., a nadewszystko z muzyką, z ba setlą, z kobzą, z harmonią, z kilką skrzypiec, ze słynnym Obrochtą, jako pierwszym skrzypkiem i przewodnikiem tej góralskiej orkiestry. Prowadzili Jędrzej Wala, Maciej Sieczka Szymek Tatar, Wojtek Roj i Sabala, który przez całą drogę przygrywał na swych gęślikach, przyspiewując jednocześnie. Za nimi szedł Chałubiński z towarzystwem, niekiedy i w towarzystwie żony, którą górale nieśli w specjalnie *ad hoc* sporządzonym fotelu; w tyle zaś, za nimi, szli »chłopi« z torbami na plecach, wypchanymi żywnością i zapasową odzieżą, z kotlikami i ciupagami w rękę. Takim taborem zapuszczano się w góry, wdzierano się na najniebezpieczniejsze szczyty, rozkładało się nad brzegami jezior, a że z »panem doctorem« nigdy nie wychodziło się na krócej, niż na kilka dni, więc i nocowano pod gołym niebem, w kosodrzewinie lub lesie, przy świecącym księżycu lub gwiazdach, a niekiedy pod powalą chmury »siepiących« drobnym *kapuśniaczkiem*. Ci, co brali udział w tych wycieczkach Chałubińskiego, nie zapomną o nich do śmierci. Zwłaszcza nie zapomną tych noclegów przy rozpalonym ognisku. Gdy jeszcze na spanie było zawczasie, zabawiano się w ten sposób, że albo Sabala, rzępoląc na gęśli, opowiadał o dawnych zbójnickich wyprawach, albo górale tańczyli *zbojckiego* (oczywiście, że się bez muzyki wtedy nie obeszło), albo Obrocht grał na skrzypcach, a jeden i drugi śpiewał pieśni góralskie

Oj, góry nase, góry,
Oj hale, nase hale,
Kto was zna tak dobrze,
Jako my górale!

Tak było do r. 1887, dopóki brzemień starości i choroba nie powaliło genialnego lekarza. Odtąd Tatry stały się dla niego niedostępne; musiał poprzestawać na samym tylko Zakopanem, aż w końcu prawie się nie wychylał po za obręb swego domu. Były to smutne czasy dla Zakopanego: wszyscy wiedzieli, że Chałubiński już nie wyjdzie z tej choroby. Kiedy się go spotykało czasami, jadącego bryczką z Sabalą lub Rojem, zgarbił

nego, z cerą ziemistą, oczyma przygasłemi, serce się krajało na jego widok: była to już tylko ruina człowieka, stojącego nad grobem. Patrząc nań (a gdy przejeżdżał, mimowoli wszyscy odsłaniali przed nim głowy), przeczuwało się, że to już niezawodnie ostatnie lato widzi się go w Zakopanem.

Na parę tygodni przed śmiercią Chałubińskiego, bawiący i koncertujący wtedy w Krakowie Paderewski, już opromieniony europejską sławą pierwszego pianisty, dowiedziawszy się, że chory zapewne już nie doczeka wiosny, pospieszył do Zakopanego, ażeby pożegnać się ze swym dostojnym wielbicielem i osłodzić mu ciężkie chwile niemocy swą mistrzowską grą na fortepianie. Gdy z Wiednia, Paryża i Londynu dochodziły nas echa tryumfów Paderewskiego, Chałubiński, już wtedy chory, niejednokrotnie wyrażał życzenie, że jeszczeby chciał »pana Ignacego« choć raz usłyszeć przed śmiercią. I oto stało się zadość jego życzeniu: w chwili, gdy może go się najmniej spodziewał — gdy słoty i wichry jesienne zasepiały całe Podhale — Paderewski zjawia się w Zakopanem, spędza kilka godzin przy łożu dogorywającego przyjaciela i cały wieczór gra mu Beethovena, Chopina, Schumana. Oprócz Chałubińskiego słuchało go jeszcze kilka zaproszonych osób. W niespełna miesiąc potem Chałubiński już nie żył. Umarł dnia 4 listopada 1889 roku.

należy do niej także i Sienkiewicz, którego *Saba* taką zdobyła sobie popularność.

Skoro mowa o Sienkiewiczu w stosunku do Tatr, pada przypomnieć jego *Potop*, w którym znajduje się opis przejścia Jana Kazimierza przez Tatry, a po części drukujących się obecnie *Kryształów*, w których tak wytkła się wyrażen góralskich.

To samo da się powiedzieć o stylu ś. p. Matlako który w Zakopanem napisał swe kapitalne dzieło o Tatrach, a w swej pośmiertnej tece zostawił szereg zimowych zakopiańskich, będących ostatniem słowem plastycznej natury... Pejzaże te, przesyczone oślepiającym blaskiem w pogodny dzień słoneczny, ogłoszono we *Wszechświecie* również po śmierci Matlakowskiego pomieścił o nim Sienkiewicz wzruszające wspomnienie pozgonne. Wspomnienie to noszące główne zasługi nieboszczyka, jako autora ś. p. pracy o *Budownictwie ludowem na Podhalu*, także winno zaliczonym do literatury tatrzańskiej.

Ten, który dotychczas piśmami swemi najwięcej przyczynił zapału dla Tatr i Zakopanego, Witkiewicz, jest człowiekiem, co oczywiście nie mogło pozostać bez wpływu na jego licznych kolegów, pomiędzy którymi, jako autor *Wspomnień i krytyki u nas*, tytu sobie liczy wielbicieli. Jakoż i w n. t. w swie krajobrazowem polskiem nierazdko spotykamy się z dokami Tatr. Najwięcej na tem polu działał Witkiewicz, i nie tylko przepyszenie wyilustrował swą książkę *Na Przebiegu*, ale od chwili, gdy osiadł na stałe w Zakopanem, zaczął n. t. wyłączenie obrazy na tle przyrody tatrzańskiej. Jego *Widoki z Podhalu*, a zwłaszcza *Powrót z hal* z baranami, pędzonymi w kierunku zamieci śnieżnej, są arcydziełami tego kierunku. Wojciech Cieszyński, należący do stałych gości zakopiańskich, także zaczął n. t. malować krajobrazy tatrzańskie, a tak dobrze, że im przyklasnąć nawet wymagający pod tym względem Witkiewicz, chociaż szczególnie *Niedźwiedzią pieczarę w Tatrach*, o której powiada, że «przedstawia naturę tatrzańską żywą, wziętą w jednym z tych chwilowych jej nastrojów, wynikających ze stanu przyrody i oświetlenia, nastrojów, które są dla pejzażu tem, cze wyraz dla ludzkiej twarzy». Na niemniej gorące pochwały zasługują pejzaże tatrzańskie Rapackiego, których koroną, według mnie, jest *Zachód słońca*... Mroczkowski namalował ta

niekiedy piękno. **Morsze** (dla którego jest
 ość. Narodowego, czaje wysiada
 rku w sztuki diastyczne.
 w której. W saskim madrasie
 przez Tar. w tym kierunku rocznie Morsze
 Sabale, wzię się na tie podobał-szemu. Za a.

szac swój przesłany. Wzrost
 także będzie się rozwinął. Wzrost
 kapitału. **Janki**: będzie to artystyka. Wzrost
 il szereż. symfonia **Morsze** ta pomyś
 słowem. czy — jest nymu. Wzrost
 epikajem. a Paderewskiem. **Wzrost**
 no we Wos. półkulach.

Tymczasem. Wzrost
 z cywilizacya. zaczął się udmie
 ne. Wzrost. któremu można warty. Wzrost
 jako ar. talenty pisarskie. mażące. Wzrost
 koku. talentami są i barzo. Wzrost
 wami. Oto. co w przemowie. Wzrost
 iński. pisze o tym ruchu. Wzrost
 bez ry. »Zdaje mi się, że on warty. Wzrost
 i. jako. prawnikiem, autorem. Wzrost
 Janki. o Sabale, i z p. Wojciech. Wzrost
 orykant. bierzem, stanowią. Wzrost
 Witkier. między inteligencyą. Wzrost
 ike. N. wykształceni chłopcy. Wzrost
 m. zac. rębnej i samoistnej szkole. Wzrost
 ief. J. ukraińska: szkoła ta. Wzrost
 izom. dalekiej przyszłości, a. Wzrost
 Wok. nie ograniczyłaby się. Wzrost
 ze zac. swoją odrębną tradycyą. Wzrost
 prz. z kulturą: zdolności. Wzrost
 cz. mało są doświadczony. Wzrost
 y. mogli: wydaje mi się. Wzrost
 r. J. bardzo prawdopodobnie. Wzrost
 iak. nalni pisarze, muzycy, i. Wzrost
 m. bie w sztuce miejsce. Wzrost
 ra. od reszty kraju. Ci, którzy. Wzrost
 z. pierwsze pokolenie. Wzrost
 e. szej daje: być może, że to. Wzrost

ze ta nic nie wi-
 : »No widzis, ra-
 sie musiał trzy-
 wypluł, to urós-
 teraz grzybki.«
 naj gadajom, ze

zajmującą jest
 onografii o Sa-
 Brzegi, a za-
 jego bajki, po-
 przytoczyć tu

Sabala kyrp-
 tu. Od czasu
 zel, przechy-
 czy »chmury
 drodze wsta-
 ellit. Pacierz
 i przekre-
 e ofiarował:
 ece Maryjce,
 arz pięknie
 to podziału
 a ta pan
 nima. Ale
 Panience

postęp ogromny: zbudowano kilkanaście schronisk, gdzie potrzeba (i gdzie nie potrzeba) porobiono drogi, ścieżki, powkuwano mnóstwo klamer i łańcuchów — słowem, o ile się dało, ułatwiono nietylko wdzieranie się na szczyty, ale i spacery w doliny (na co sarkają prawdziwi taternicy). Przy Czarnym Stawie Gąsienicowym, na hali Gąsienicowej, w Dolinie Kościeliskiej powstały schroniska z restauracjami, w których można posilić się, a nawet upić. W Kuźnicach znajduje się ogromna restauracya, obsługiwana przez dziewczęta z »zakładu« pani generałowej Zamoyskiej, t. zw. »czepczule« (od białych czepczków, które wszystkie noszą na głowie). Co niedzielę w kaplicy zakładu odbywa się uroczyste nabożeństwo, msza św. i kazanie, a chór »czepczulek« wtóruje solowemu śpiewowi panny Maryi Zamoyskiej, śpiewowi, którego warto posłuchać...

Tak się przedstawia Zakopane dziś. Jakiem będzie w przyszłości? Choć przyszłość bywa zakryta dla oczu śmiertelnych, to jednak, gdy chodzi o Zakopane, łatwo ją odgadnąć. Przedewszystkiem będzie się niebawem do samego Zakopanego dojeżdżało koleją, co oczywiście nie pozostanie bez olbrzymiego wpływu na charakter całej miejscowości, kolej bowiem jest otwarciem na ścieżaj bramy dla cywilizacyi i postępu. To też i Zakopane z chwilą, gdy będzie połączone ze światem koleją żelazną, zmieni się nadzwyczajnie; że zaś tam, gdzie się rozlega świst lokomotywy, już i do elektryczności niedaleko, więc patrzeć tylko, jak całe Zakopane oświetli się lampami elektrycznymi, jak po niem zaczną kursować tramwaje elektryczne. Pierwszy tramwaj będzie szedł do Kuźnic, a z czasem, kto wie, czy i do Kościelisk nie będzie się jeździło po szynach... Samo Zakopane gotowo się przeobrazić w miasteczko, i to nie drewniane, lecz murowane. Na Gubałówce stanie olbrzymie sanatorium d-ra Dłuskiego, a cała okolica zaroi się od willi i letnich mieszkań, których łańcuch pociągnie się nawet wzdłuż drogi ku Morskiemu Oku. Cała droga, prowadząca do Kościelisk, także się zabuduje po obu stronach, a pomiędzy »letnikami« znajdzie się i mnóstwo cudzoziemców, zwłaszcza Anglików, zwabionych przez opisy i obrazy specyalnej korespondentki pism londyńskich, którą przywieźli do Zakopanego pp. Giełgud i Jazdowski, stale od lat dziewięciu zjeżdżający z Londynu w Tatry. Nad Morskim Okiem stanie taki sam hotel, jak obecnie stoi nad Jeziorem Czterech Kantonów; a jest wiel-

kie prawdopodobieństwo, że na Krzyżne będzie się tak samo jeździło zębata koleją, jak się dziś jeździ na Rhigi-Kulm lub Pilatusa. Wszystko jest możliwe!..

Tymczasem zaprzeczyc się nie da, iż Zakopane gra pierwsze skrzypce w orkiestrze miejscowości kąpielowych polskich, że co Polska posiada dziś wybitniejszego pod względem intelektualnym, to sobie daje w lecie *rendez-vous* u stóp Giewontu. Z literatów, idąc za przykładem Kraszewskiego, który tu mieszkał czas jakiś w r. 1863 w domku przy ul. Kościeliskiej, — przyjeżdżają stale na wakacje, odetchnąć ożywcem powietrzem tatrzańskim: Sienkiewicz, Tetmajer, Chmielowski, Chlebowski, Smoleński, Ochrowicz, a to samo czyni również i Julian Klaczko. Z mężów stanu bywają stałymi gośćmi w Zakopanem: J. E. minister Dunajewski, sędziwy Smolka, minister Zaleski i t. d. Z lekarzów ma tu swoją wille profesor Baranowski, bawią też stale doktorzy: Florakiewicz, Kornilowicz i wielu innych. Palestry zjeżdża się ze wszystkich dzielnic tyle, iż ich wszystkich wliczać nie sposób, a prawie to samo da się powiedzieć i o malarzach, którzy pomni tego, że i Matejko bywał w Zakopanem ¹⁾, bardzo licznie cech swój u podnóża Tatr każdego lata reprezentują. Dość wymienić Wojciecha Kossaka, Eliasza, Pochwalskiego, Wyczółkowskiego, Axentowicza, Alchimowicza, Włodz. Tetmajera, Gersona, Rapackiego. Niemniej bywa profesorów i uczonych, i to nietylko takich, którzy wykładają na uniwersytetach galicyjskich, lecz i ich kolegów z wszechnic zagranicznych; w roku ubiegłym był słynny twórca »Atlasu anatomicznego« prof. Laskowski z Genewy (ze swoją dorodną córką), prof. Kowalski, rektor uniwersytetu fryburskiego, i prof. Jurasz z Heidelberga (również z córką). Za przykładem tej arystokracji ducha, która już od najdawniejszych czasów najliczniej gromadziła się w Zakopanem, zaczyna iść i arystokracja rodowa, jak rodziny hr. Szembeków, Tarnowskich, Czartoryskich, które, uprzykrzywszy sobie kosmopolityczne *bady* Niemiec i Francyi, coraz bardziej utwierdzają się w zdrowem przekonaniu, iż nigdzie nie jest tak dobrze i przy-

¹⁾ Na ścianie domu księdza Stolarczyka, u którego mieszkał genialny twórca *Kazania Skargi*, po dziś dzień znajdują się szkice węglem, wyobrażające trzech dyabłów w bardzo humorystycznych pozach.

w pośrodku wężkiej skalistej zatoki i konwencyonalną chatką rybaka na brzegu; jeśli u Niemców każda *schöne Aussicht* bywa anonsonowaną tablicą i drogowskazem, a niejeden *grosser Wasserfall* spada dopiero za pociągnięciem sznurka (na własne oczy widziałem w Saskiej Szwajcaryi jeden z takich wodospadów!); i jeśli wszystkie »europejską sławą« cieszące się i gwiazdką w Baedekerze oznaczane miejscowości prawie zawsze podobne są do owych oklepanych melodyi, grywanych przez wszystkie katarynki: to nasze Tatry dostarczają wrażeń całkiem nowych i niespowszedniałych.

Ich ponura dzikość ma w sobie coś z grozy północnych legend i mitologii. Ich urwiste turnie, szare w słoneczną pogodę, a sine przy niebie pochmurnem, poprzerynane olbrzymiami usypiskami *piargów* i ubielone szmatami wiecznego śniegu w zagłębieniach, sterczą tak dumnie, tak zuchwale, że poprostu onieśmialają każdego, ktoby ich poezję i dramatyczność chciał sprofanować za pomocą oleodruku. Przystępne dla prawdziwych artystów, usiłujących w słowach lub na płótnie odtworzyć ich królewski majestat, już dla fotografów okazują się bardzo nielaskawe (żadna fotografia Tatr nie daje o ich piękności nawet przybliżonego wyobrażenia). A da się to powiedzieć nietylko o najwyższych szczytach, o tych, na których prócz mchów nic już nie rośnie, ale i o ich niższych braciach, o tych, których podnóża zieleńią się lasami buków i świerków, a wyższe piętra kryją się pod ciemnymi płachtami kosodrzewiny. Wszystko tu jakieś inne, niż podobne rzeczy w górach »zagranicznych«: tak dalece, że nawet kozica tatrzańska różni się od alpejskiej gemsy, od której jest znacznie większą. Za to jeziora są mniejsze. Kto wie jednak, czy przez to właśnie, że nie odznaczają się tak wielkimi rozmiarami, jak jeziora Lemana lub Lago maggiore, nie są piękniejsze od szwajcarskich, w tym stosunku przynajmniej, w jakim mistrzowska nowelka często sprawia większe zadowolenie artystyczne, aniżeli czterotomowa powieść. Jeśli tak jest, to możnaby Tatry porównać do największych nowelistów świata, od Boccaccia poczynając a na Maupassancie kończąc; takimi nowelami bowiem — nowelami-poematami — jak Morskie Oko, Czarny Staw Gąsienicowy, Szczyrbskie jezioro i tyle innych »stawów« tatrzańskich nie może się pochlubić ojczyzna Tella i Winkelrieda. Dlatego też, idąc za ludowem podaniem, głoszącem, że te błękitne je-

ziora są oczami morza, śmiało twierdzić można, że są to najpiękniejsze oczy na ziemi, tak piękne, jakich nie ma żadna kobieta, nie wyłączając nawet góralek, które się widuje w Zakopanem lub na halach...

Ale cóż z tego, że nie każda góralka ma ładne oczy, kiedy tło, na którym występuje taka *juhaska*, posiada aż nadto danych, niezbędnych do wywołania przyjemnego nastroju. Dlatego nie zważa się najczęściej, że juhaski, o ile przebywają w górach, zwykle bywają brudne, że perfumują się baraniem sadłem i żentycą, co nie zawsze mile łaskocze miejskie powonienie, przywykłe do sztucznych zapachów Pinauda lub Atkinsona: kiedy się odpoczywa na hali, wśród szalaśców pasterskich, zapomina się o takich prozaicznych rzeczach, jak obfite ślady krwi i owcze, a ma się wzrok zwrócony na pyszne typy *juhásów*, na ich długie, baraniem sadłem upomadowane włosy, na ich czarne, baraniem sadłem nasycone koszule, na ich szerokie pasy skórzane, zapinane na kilka sprzączek, i wreszcie na konwie z zsiadłym mlekiem lub żentycą, koło których zazwyczaj skupia się grupa *taterników* z przewodnikami. Tymczasem dokoła zielonej hali piętrzą się poszarpane turnie, w powietrzu słychać dzwonki pasących się krów i owiec, raz po raz doleci przeciągłe »hukanie« pasterzy, objające się kilkakrotnym echem po okolicznych *wierchach*, a w duszy *taternika* panuje błogi, niczem niezakłócony spokój, z którym, obok dobrej humoru, zazwyczaj chodzi w parze doskonały apetyt...

Już to wogóle wycieczki w góry, o ile się je odbywa w dobranem towarzystwie, trzymają prym pomiędzy rozrywkami zakopiańskimi: wszystko jedno, czy się idzie w deszcz i mgłę, czy w piękny dzień słoneczny, czy celem jest który z wysokich szczytów, wymagający znaczniejszego zasobu sił i odwagi, czy która z uroczych dolin między t. zw. *regłami*, dostępna dla kobiet i dzieci. W dolinach, w Kościeliskiej np. lub w Strażyskiej, przechadzając się po równej drodze, nad brzegiem szumiącego i przejrzystego strumienia, wśród przepysznych *smreków* (tak po góralsku nazywają się świerki), u stóp szarych skał wapiennych, piętrzących się po bokach, a dzięki swym dziwacznym kształtom przypominających sowy, mnichów, organy, kominy, śpiących rycerzy, etc. etc., doświadcza się wrażeń łagodnych, harmonijnych, sielankowych, jak przy czytaniu niektórych ksiąg *Pana Tadeusza*; na szczytach

zaś, patrząc z zawrotnej wysokości kilku tysięcy stóp na całe skamieniałe morze Tatr i Karpat, na głębokie doliny i jary, na szafirowe tafle »zadumanych« jezior, na srebrne wstęgi potoków, na ciemne kobierce lasów, na szmaragdowe polany i łąki w dole, doznaje się podniosłych uczuć mickiewiczowskiego Farysa, gdy mu z piersi wyrывa się okrzyk:

Jak tu mile poglądać oczyma całemi!
Wyteżyło się me oko
Tak daleko, tak szeroko,
Ze więcej świata zasiega,
Niż jest w kole widnokrega.
... Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,
Wyżej, wyżej i wyżej, aż do nieba szczytu!

.....

Gdy się zastanowimy nad szybkim rozwojem Zakopanego, mimowoli przypominają się miasta amerykańskie. Zakopane z przed lat piętnastu chociażby, a Zakopane dzisiejsze, to jakby dwie nie te same miejscowości; tamto było wsią, gdy to, do którego jeździmy obecnie, jeżeli jeszcze nie jest miastem, to już sobie przyswoiło wszystkie cechy miejscowości kuracyjnych.

Dawniej jeździło się do Zakopanego furą z samego Krakowa, gdzie, od pierwszych dni czerwca począwszy, większa część rynku kleparskiego bielila się płótnami t. zw. *budek* góralskich. Tam po raz pierwszy widziało się górali w serdakach, w kapeluszach z »kostkami« w obcisłych *portkach* z białego sukna z niebieskimi lampasami, w skórzanych *kierpcach* na nogach, z fajeczkami w ustach. Był to widok dla warszawiaków zwłaszcza tak nowy, że targując się z furmanami o cenę wózka do Zakopanego, czynili to w sposób sielankowy raczej, niż kupiecki. Wszak dotąd znali tylko niewierne kopie górali z moniuszkowskiej *Halki*.

Z Krakowa wyjeżdżało się skoro świt, a minąwszy Mogilany, jechało się szosą, wijącą się wśród malowniczych Beskidów, przez cały dzień aż do wieczora. Nocowało się w Zaborni lub w Nowym-Targu, i tu i tam w żydowskim zajeździe, w którym nocleg bez perskiego proszku nie należał do najmniej awanturniczych. W Zakopanem stawało się dopiero drugiego dnia około południa. Gdy się nie miało wynajętego mieszkania, zajeżdżało się do t. zw. »hotelu« Riegelhaupta; była to zwykła karczma, z pokojami sąsiadującymi z oborą i staj-

nią. Mieszkało się po sielsku, w chałupach góralskich, odznaczających się wysokimi progami u niskich drzwi i małemi oknami o czterech kwadratowych szybkach. Poprzestając na dwóch przedzielonych sienią izbach, w zimie będących mieszkaniem *gazdy*, a tylko na lato odnajmowanych »gościom«, z konieczności zadawalniano się najpierwotniejszym umeblowaniem chłopskim, pocieszając się tem, że jeśli drewniane łóżka były krótkie i wąskie, a sienniki twarde, to za to nad łóżkami wisiało mnóstwo świętych obrazów. O ile nie prowadzono kuchni w domu, stołowano się »u Sieczki« w świeżo wzniesionem *Kasynie* lub »u Kościeszcy«, którego restauracya znajdowała się w zwykłej góralskiej chałupie na rogu ulicy Nowotarskiej: w jednej izbie była tu sala jadalna, mogąca przy czterech stołach pomieścić do 30 osób; druga nazywała się cukiernią, bo w niej stał bufet z ciastkami i półka z kilkoma fiaskami rozmaitych wódek. Usługiwał sam p. Kościeszca, który miał wszelkie warunki po temu, ażeby być przystojnym kelnerem, gdyby nie fatalna czerwoność jego regularnego nosa. Z przyległej kuchni dochodził zachrypnięty głos pani Kościeszyny, przed którą drżeli kucharz i cukiernik, co zresztą i o samym p. Kościeszcy dało się powiedzieć.

O strojach wówczas nikt nie myślał: panowie chodzili w serdakach i gumowych płaszczach, z *ciupagami* zamiast lasek; panie najwięcej nosiły się po góralsku, w chusteczkach na głowie, w perkalikowych spódniczkach, w serdakach zamiast gorsetów. Zakrawało to cokolwiek na maskaradę, ale że ładnym paniom, poprzebieranym za góralki, bardzo z tem było do twarzy, więc moda ta zyskiwała ogromnie dużo zwolenników. W takich strojach chodziło się po domu i na ulicy, a nawet tańczyło się na niedzielnych reunionach w Kasynie, na które wszyscy przychodzili w ubraniu »spacerowem«. O wizytowem nie było mowy, ile że wizyty wcale nie były obowiązkowe. Żyło się, jak na wsi, a więc nie przestrzegano przepisów miejskiej etykiety... Ceremonialnych wizyt nie wymagano od nikogo.

Za to, nie zważając na niewygody, na brak wszelkich ułatwień, chodzono po górach, robiono dużo wycieczek. Wprawdzie istniało już Towarzystwo Tatrzańskie, ale mimo to Tatry były jeszcze w stanie dziewiczym: wygodnych ścieżek, łańcuchów lub klamer w niebezpiecznych miejscach, a tembardziej

schronisk nie było żadnych. Jedyne schronisko znajdowało się przy Morskiem Oku, ale i ono nie miało nic wspólnego z komfortem: była to spora szopa o dwóch izbach, w których sypano na tapczanach, na siennikach i poduszkach wypchanych mchem, kosodrzewiną i wiórami. Gdy się zgromadziła większa liczba osób, mężczyźni musieli spać na strychu, a gdy i tam nie było miejsca, w kosodrzewinie nad jeziorem, razem z góralami. Wogóle noclegi pod gołem niebem, przy rozpalonej *watrze*, nie były czemś nadzwyczajnym; przeciwnie, należały do rzeczy zwykłych, gdy się na parę dni szło w góry.

Samo Zakopane miało charakter dużej wsi. Sklepów było dwa czy trzy, naturalnie żydowskich, ale naprawdę był jeden, Riegelhaupta, u którego dostałeś wszystkiego, począwszy od papieru listowego, a skończywszy na wędlinach i pieczywie. Poczta mieściła się w parterowym domku na Krupówkach, a listy i telegramy roznosił góral Kuba, który — o ile zawsze chodził boso, o tyle nie umiał czytać: łatwo sobie wyobrazić, jak mu to ułatwiało zadanie »bryftregera«. Mimo to, nikt się nie skarżył na nieregularny odbiór listów i gazet, podobnie, jak nikt się nie skarżył na brak porządnej drogi w całym Zakopanem, lub na egipskie ciemności, nierozjaśnione ani jedną latarnią. Gdy zapadła noc, a nie było księżyca, chodzono z latarkami; nikogo, co prawda, nie aresztowano, gdy szedł bez latarki... Przedewszystkiem nie było komu aresztować, bo były to jeszcze arkadyjskie czasy Zakopanego: »dzian-dziara« nie zobaczyłeś nawet na lekarstwo. Coby tu robił zresztą? Pomiedzy góralami a gośćmi panował stosunek sielankowy: nikomu nawet przez myśl nie przeszło, aby np. górali posądzać o chciwość, o chęć wyzysku; bratano się z nimi, jak z równymi, a znajomych przewodników sadzało się na honorowem miejscu, częstowano winem, cygarami. Nie można powiedzieć, aby się im to nie podobało!...

Wogóle sielankowość cechowała ówczesne życie zakopiańskie. Wszędzie panowała prostota i prymitywność, często przedpotowe. W Jaszczurówce naprzykład, do której droga prowadziła przez mokre łąki i bagna, kapano się w dwóch małych basenach, ledwo skleconych z desek; ściana zaś, która przegradzała oddział męski od damskiego, obfitowała w mnóstwo szpar i dziur od sęków... W Kuźnicach, gdzie jeszcze

funkcyonowały *hamry*, kując młotami poruszonymi siłą wody, była stara murowana karczma, dzierżawiona przez węgierskiego żyda, a choć droga, prowadząca do Kuźnic, była pełna wybojów i kamieni, mimo to karczmarz robił doskonale interesa na amatorach kawy z cykoryą, przestałego piwa okocimskiego i nieprawdziwego *ementalera*.

Jakże się wszystko zmieniło od owego czasu! Co za różnica pomiędzy dzisiejszem Zakopanem a owem sielankowem z przed lat kilkunastu! Przedewszystkiem trzy czwarte drogi do Zakopanego jedzie się koleją, a i z Chabówki nie wszyscy decydują się na jazdę wózkiem góralskim: tylko konserwatyści lub nowicyusze jeżdżą *budkami*; inni wolą tę drogę odbyć w wygodnych landach, z którymi furkom tem trudniej konkurować, że za powóz płaci się tyleż, co za parokonną furę. Jakoż wszyscy szanujący się goście przekładają ten cywilizowany sposób lokomocyi, a budki biorą tylko na rzeczy i dla służby. Przyjechawszy do Zakopanego, jeśli się nie wynajęło z góry mieszkania, ma się do wyboru aż trzy hotele, urządzone całkiem po europejsku: portyer w liberyi, elektryczne dzwonki, służba we frakach, materace sprężynowe, kuchnia francuska, zastawa paryska lub wiedeńska, wina jakie kto chce, obok kawiarnia, mnóstwo dzienników, bilardy. Mieszka się w specjalnie budowanych willach (miłośnicy prostoty trzymają się jeszcze chat góralskich) w stylu zakopiańskim; wille te mają duże okna o lustrzanych szybach, dające mnóstwo światła. Wewnątrz widać względny komfort, meble w stylu góralskim, łóżka angielskie, piece kaflowe. Przed domem ogródek: klomby, kwiaty, szklane kule na tyczkach, czasami i fontanny. Nadto na wszystkich ulicach widzi się mnóstwo eleganckich willi jedno- a nawet dwupiętrowych, znowu przeważnie w stylu zakopiańskim; niektóre z nich, zbudowane według rysunku Witkiewicza, są prawdziwemi arcydziełami architektury podhalańskiej. Wszędzie widać oszklone werandy, tarasy, dachy z wieżyczkami, gustowne i wielce oryginalne bramy wjazdowe, ażurowe parkany, a wszystko stylowe, nie banalne, swojskie.

W wielu willach są pensyonaty na wzór angielskich, a niektóre z tych *pension de famille* zalecają się takim komfortem i wykwintem, że — jak mnie zapewniał ktoś — na wyspie White nie mieszka się ani żyje lepiej. Takich pensyo-

A potem myśl mi przyszła, że chyba anioły
Nie przez pychę podniosły bunt w nieba stolicy,
Lecz czekając spełnienia jakiejś obietnicy...

Przyszła nareszcie, a przyszła tak kochająca i powolna,
że nie upłynęła noc, a ona uległa namiętnym prośbom kochanka.
Była bezsilna z nadmiaru miłości, a cudna *Noc św. Wita*. roz-
marzająca swą księżycową poświatą, dokonała reszty: »ziściła
zabiegę pragnień« młodzieńca. O, bo:

Nigdy się w większym blasku nie kapały graby
Nigdy jezioro dźwięczniej nie biło o brzegi,
Nigdy mleczniej jaśminów nie bielaly śniegi,
Nigdy przejrzystszych osłon nie miały powaby...

Tej nocy miało ustać słowików śpiewanie,
Tej nocy usłyszałem najśłodsze wyznanie
Z ust królujących różom, z ust królowej wiosny...

Ale niedługo trwało to upojenie szczęściem. Wraz z bly-
skawicą, która na chwilę rozdarła słodkie mroki nocy, w serce
poety, oszolomionego rozkoszą, wstąpiła trwoga, przyszło opa-
mietanie...

i zszedłeś, twrogi archaniele,
Do mego rajy, z mieczem płomiennym, zazdrosny!

Jakoż »w chwilę po szczęściu«, po rozstaniu z ukochaną,
która go widocznie odbiegła strwożona, gdy »ze stygnącemi
wargami« szedł nad jeziorem, »z mroku olch, rozmarzonych
czerwcowym wieczorem« doszedł go... symboliczny śpiew ko-
nającego labędzia, śpiew tragiczny, przypominający mu, że:

Zagłady duch roztacza skrzydła nietoperze,
Nicości toń wychyla swych nurtów bezbrzeże...

Jednak ostatnie słowa tego minorowego *Śpiewu labędzia*,
który także konał z miłości, brzmiały majorowo: osłodą bo-
wiew, która mu śmierć czyniła błogą, była »radość, że przez
chwilę nie był — nicością«. Ta radość udzieliła się także i stro-
skanemu poecie, który na tym harmonijnym akordzie kończy
swą *Sonatę wiosenną*.

Nie innym akordem też, tylko harmonijnym, krytyk musi
zakończyć swe sprawozdanie z tego poetycznego *chant d'amour*
Pomiana, bo choć nasza poezja ostatniej doby, chlubiąca się
takimi erotykami, jak *W zielone* Konopnickiej, *Hymn do miłości*
Tetmajera i *Hania* Rydla, nie potrzebuje zazdrościć innym poe-

zyom, to jednak *Sonacie wiosennej* należy się bezwarunkowo pierwsze miejsce w tym zaszczytnym szeregu. Jest to jeden z najwonnejszych kwiatów, jaki ostatnimi czasy wyrósł na naszej poetyckiej niwie, a czytając tę wytwornie wydaną wiankę sonetów, absolutnie doskonałych pod względem formy, a zalecających się wdziękiem i pięknnością języka, oraz — o co dziś najtrudniej — prawdziwie poetycznym polotem, żałuje się, że autor *Heraklesa i Omfalii* tak rzadko uderza w struny lutni. Czyżby potrzebował zachęty? ¹⁾

¹⁾ Dziś w każdym razie już jej nie potrzebuje, w niepełna bowiem pół roku po wydaniu tej *Sonaty wiosennej* ś. p. Pomian (Komierowski), nie dokończywszy *Heraklesa i Omfalii*, odszedł w krainę cieniów...

zyom, to jednak *Sonacie wiosennej* należy się bezwarunkowo pierwsze miejsce w tym zaszczytnym szeregu. Jest to jeden z najwonnejszych kwiatów, jaki ostatnimi czasy wyrósł na naszej poetyckiej niwie, a czytając tę wytwornie wydaną wiankę sonetów, absolutnie doskonałych pod względem formy, a zalecających się wdziękiem i pięknnością języka, oraz — o co dziś najtrudniej — prawdziwie poetycznym polotem, żałuje się, że autor *Heraklesa i Omfalii* tak rzadko uderza w struny lutni. Czyżby potrzebował zachęty?¹⁾

¹⁾ Dziś w każdym razie już jej nie potrzebuje, w niepełna bowiem pół roku po wydaniu tej *Sonaty wiosennej* ś. p. Pomian (Komierowski), nie dokończywszy *Heraklesa i Omfalii*, odszedł w krainę cieniów...

II.

ZAKOPANE.

Bawiący tego ¹⁾ lata w Zakopanem Julian Klaczko powiada w zakończeniu swoich *Wieczorów florenckich*, że jeśli w książce tej tyle jest mowy o Dantem i Michale Aniele, tak mało mających wspólnego z palącymi zagadnieniami doby obecnej, to dlatego przeważnie, że zagłębianie się w »przepastne krainy« arcydzieł tych geniuszów ma między innymi to dobre do siebie, że daje choćby chwilowe zapomnienie chmurnej a nie górnej rzeczywistości, której atmosferą oddychamy: wśród nieprzejranej Sahary »siły przed prawem« i hegemonii pruskiej, godnie wieńczącej schyłek wieku »żelaza i krwi«, poezya i sztuka są jakby uroczą oazą, w której cieniu znajduje się wypoczynek po denerwującej walce o byt narodów i pojedynczych jednostek. Sztuka! Nie da się zaprzeczyć, że jest to jeden z najslodszych balsamów dla duszy, ale i to nie ulega wątpliwości, że sztuka niezawsze bywa pokarmem zdrowym, że niekiedy zamiast pocieszać i koić, jeszcze potęguje świadomość doznawanych cierpień, że często — zwłaszcza ostatnimi czasy — bywa okrutną, zrywającą bandażem z niezablźnionych ran, pełną chorobliwego niepokoju, lubującą się w wyszukanych dysonansach i »zgrzytach żelaza po szkle«. Taka *minorowa* sztuka może być przyrównaną do podniecającego narkotyku, ale nigdy nie nasunie porównania z uzdrawiającem źródłem dla znużonej i smutnej duszy współ-

¹⁾ Pisane w r. 1898.

czesnego mózgowca. Wiedział o tem byronowski Manfred, i dlatego, gdy mu szło o *zapomnienie*, o oderwanie się od duszącej zmory życia, szedł nie do bibliotek, nie do muzeów i galeryi, ale wybiegał w Alpy: wśród podniebnych skał i lodowców, nad błękitami jezior, przy szumie górskich potoków i wodospadów, sam na sam z przyrodą, prędzej spodziewał się znaleźć to ukojenie dla ducha, którego mu nie dały faustowskie ślęczenia nad książkami.

A jednak nie znalazł go! Bo go szukał w Alpach! Gdyby go był szukał w Tatrach, wówczas kto wie... W każdym razie znalazłby wytchnienie, a spędziwszy lato w Zakopanem, zaczerpnąłby spory zapas sił i zdrowia na zimę. Nigdzie bowiem nie odpoczywa się tak dobrze, ani tak prędko przychodzi się do siebie po całorocznej pracy i życiu miejskiem, jak w tej odkrytej przez doktora Chałubińskiego wsi podgórskiej, o której trafnie powiedział ktoś niedawno, że stała się »letniem mieszkaniem Polaków«, a której okolicę słusznie nazwano »perłą polskiej ziemi«.

Czy tylko polskiej? Zdaje się, że nawet najobiektywniejsza bezstronność odpowie na to pytanie przecząco. Każdy, kto widział Tatry, a zna nietylko Alpy i Pirenee, ale i norweskie fiordy (nie mówiąc już o takich »górach«, jak Saska Szwajcarya lub wcale nie olbrzymie *Riesengebirge*), przyzna bezwarunkowo, czy będzie Polakiem, czy cudzoziemcem, że uroczyśka tatrzańskie nietylko wytrzymują zestawienie z najrozgłośniejszymi »cudami natury« innych krajów, ale mają jeszcze tę nad nimi wyższość, że są zupełnie oryginalne w swoim rodzaju, nie banalne, a szczególnie nie zbanalizowane przez düsseldorfskie oleodruki. Jeśli o Alpach wyraził się Alfons Daudet, że mu najczęściej przypominały dekoracje teatralne; jeśli w każdej drugo- i trzeciorzędnej restauracji (nie wyłączając restauracji w Zakopanem i Nowym Targu), można się spotkać z upstrzonymi od much widokami zamku Chillon o zachodzie słońca, kaplicy Tella przy świetle księżyca, góry Jungfrau od strony Interlacken, jeziora Czterech Kantonów lub jakiego innego jeziora z banalnym domkiem w szwajcarskim stylu na pierwszym planie i niemniej banalnym sztafażem w formie *Alpenjägerów* w podkutych trzewikach; jeśli dzięki tym samym kolorowym »reprodukcjom artystycznym« zna się na pamięć i najpiękniejsze krajobrazy Norwegii z niezbędnym okretem

w pośrodku wężkiej skalistej zatoki i konwencyonalną chatką rybaka na brzegu; jeśli u Niemców każda *schöne Aussicht* bywa anonsonowaną tablicą i drogowskazem, a niejeden *grosser Wasserfall* spada dopiero za pociągnięciem sznurka (na własne oczy widziałem w Saskiej Szwajcaryi jeden z takich wodospadów!); i jeśli wszystkie »europejską sławą« cieszące się i gwiazdką w Baedekerze oznaczane miejscowości prawie zawsze podobne są do owych oklepanych melodyi, grywanych przez wszystkie katarynki: to nasze Tatry dostarczają wrażeń całkiem nowych i niespowzedniałych.

Ich ponura dzikość ma w sobie coś z grozy północnych legend i mitologii. Ich urwiste turnie, szare w słoneczną pogodę, a sine przy niebie pochmurnem, poprzerzynane olbrzymiami usypiskami *piargów* i ubielone szmatami wiecznego śniegu w zagłębieniach, sterczą tak dumnie, tak zuchwale, że poprostu onieśmialają każdego, ktoby ich poezję i dramatyczność chciał sprofanować za pomocą oleodruku. Przystępne dla prawdziwych artystów, usiłujących w słowach lub na płótnie odtworzyć ich królewski majestat, już dla fotografów okazują się bardzo nielaskawe (żadna fotografia Tatr nie daje o ich piękności nawet przybliżonego wyobrażenia). A da się to powiedzieć nietylko o najwyższych szczytach, o tych, na których prócz mchów nic już nie rośnie, ale i o ich niższych braciach, o tych, których podnóża zielenią się lasami buków i świerków, a wyższe piętra kryją się pod ciemnymi płachtami kosodrzewiny. Wszystko tu jakieś inne, niż podobne rzeczy w górach »zagranicznych«: tak dalece, że nawet kozica tatrzańska różni się od alpejskiej gemsy, od której jest znacznie większą. Za to jeziora są mniejsze. Kto wie jednak, czy przez to właśnie, że nie odznaczają się tak wielkimi rozmiarami, jak jeziora Lemana lub Lago maggiore, nie są piękniejsze od szwajcarskich, w tym stosunku przynajmniej, w jakim mistrzowska nowelka często sprawia większe zadowolenie artystyczne, aniżeli czterotomowa powieść. Jeśli tak jest, to możnaby Tatry porównać do największych nowelistów świata, od Boccaccia poczynając a na Maupassancie kończąc; takimi nowelami bowiem — nowelami-poematami — jak Morskie Oko, Czarny Staw Gąsienicowy, Szczyrbskie jezioro i tyle innych »stawów« tatrzańskich, nie może się pochlubić ojczyzna Tella i Winkelrieda. Dlatego też, idąc za ludowem podaniem, głoszącem, że te błękitne je-

ziora są oczami morza, śmiało twierdzić można, że są to najpiękniejsze oczy na ziemi, tak piękne, jakich nie ma żadna kobieta, nie wyłączając nawet góralek, które się widuje w Zakopanem lub na halach...

Ale cóż z tego, że nie każda góralka ma ładne oczy, kiedy tło, na którym występuje taka *juhaska*, posiada aż nadto danych, niezbędnych do wywołania przyjemnego nastroju. Dlatego nie zważa się najczęściej, że juhaski, o ile przebywają w górach, zwykle bywają brudne, że perfumują się baraniem sadłem i żentycą, co nie zawsze mile łaskocze miejskie powonienie, przywykłe do sztucznych zapachów Pinauda lub Atkinsona: kiedy się odpoczywa na hali, wśród szalasów pasterskich, zapomina się o takich prozaicznych rzeczach, jak obfite ślady krwi i owcze, a ma się wzrok zwrócony na pyszne typy *juhásów*, na ich długie, baraniem sadłem upomadowane włosy, na ich czarne, baraniem sadłem nasycone koszule, na ich szerokie pasy skórzane, zapinane na kilka sprzączek, i wreszcie na konwie z zsiadłym mlekiem lub żentycą, koło których zazwyczaj skupia się grupa *taterników* z przewodnikami. Tymczasem dokoła zielonej hali piętrzą się poszarpane turnie, w powietrzu słychać dzwonki pasących się krów i owiec, raz po raz doleci przeciągłe »hukanie« pasterzy, objijające się kilkakrotnem echem po okolicznych *wierchach*, a w duszy *taternika* panuje błogi, niczem niezakłócony spokój, z którym, obok dobrej humoru, zazwyczaj chodzi w parze doskonały apetyt...

Już to wogóle wycieczki w góry, o ile się je odbywa w dobranem towarzystwie, trzymają prym pomiędzy rozrywkami zakopiańskimi: wszystko jedno, czy się idzie w deszcz i mgłę, czy w piękny dzień słoneczny, czy celem jest który z wysokich szczytów, wymagający znaczniejszego zasobu sił i odwagi, czy która z uroczych dolin między t. zw. *regłami*, dostępna dla kobiet i dzieci. W dolinach, w Kościeliskiej np. lub w Strażyskiej, przechadzając się po równej drodze, nad brzegiem szumiącego i przejrzystego strumienia, wśród przepysznych *smreków* (tak po góralsku nazywają się świerki), u stóp szarych skał wapiennych, piętrzących się po bokach, a dzięki swym dziwacznym kształtom przypominających sowy, mnichów, organy, kominy, śpiących rycerzy, etc. etc., doświadcza się wrażeń łagodnych, harmonijnych, sielankowych, jak przy czytaniu niektórych ksiąg *Pana Tadeusza*; na szczytach

zaś, patrząc z zawrotnej wysokości kilku tysięcy stóp na całe skamieniałe morze Tatr i Karpat, na głębokie doliny i jary, na szafirowe tafle »zadumanych« jezior, na srebrne wstęgi potoków, na ciemne kobierce lasów, na szmaragdowe polany i łąki w dole, doznaje się podniosłych uczuć mickiewiczowskiego Farysa, gdy mu z piersi wyrывa się okrzyk:

Jak tu mile poglądać oczyma całemi!
Wyteżyło się me oko
Tak daleko, tak szeroko,
Ze więcej światła zasięga,
Niż jest w kole widnokrega.
... Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,
Wyżej, wyżej i wyżej, aż do nieba szczytu!

.....

Gdy się zastanowimy nad szybkim rozwojem Zakopanego, mimowoli przypominają się miasta amerykańskie. Zakopane z przed lat piętnastu chociażby, a Zakopane dzisiejsze, to jakby dwie nie te same miejscowości; tamto było wsią, gdy to, do którego jeździmy obecnie, jeżeli jeszcze nie jest miastem, to już sobie przyswoiło wszystkie cechy miejscowości kuracyjnych.

Dawniej jeździło się do Zakopanego furą z samego Krakowa, gdzie, od pierwszych dni czerwca począwszy, większa część rynku kleparskiego bielila się płótnami t. zw. *budek* góralskich. Tam po raz pierwszy widziało się górali w serdakach, w kapeluszach z »kostkami« w obcisłych *portkach* z białego sukna z niebieskimi lampasami, w skórzanych *kierpcach* na nogach, z fajeczkami w ustach. Był to widok dla warszawiaków zwłaszcza tak nowy, że targując się z furmanami o cenę wózka do Zakopanego, czynili to w sposób sielankowy raczej, niż kupiecki. Wszak dotąd znali tylko niewierne kopie górali z moniuszkowskiej *Halki*.

Z Krakowa wyjeżdżało się skoro świt, a minawszy Mogilany, jechało się szosą, wijącą się wśród malowniczych Beskidów, przez cały dzień aż do wieczora. Nocowało się w Zaborni lub w Nowym-Targu, i tu i tam w żydowskim zajeździe, w którym nocleg bez perskiego proszku nie należał do najmniej awanturniczych. W Zakopanem stawało się dopiero drugiego dnia około południa. Gdy się nie miało wynajętego mieszkania, zajeżdżało się do t. zw. »hotelu« Riegelhaupta; była to zwykła karczma, z pokojami sąsiadującymi z oborą i staj-

nią. Mieszkało się po sielsku, w chałupach góralskich, odznaczających się wysokimi progami u niskich drzwi i małemi oknami o czterech kwadratowych szybkach. Poprzestając na dwóch przedzielonych sienią izbach, w zimie będących mieszkaniem *gazdy*, a tylko na lato odnajmowanych »gościom«, z konieczności zadawalniano się najpierwotniejszym umeblowaniem chłopskiem, pocieszając się tem, że jeśli drewniane łóżka były krótkie i wązkie, a sienniki twarde, to za to nad łózkami wisiało mnóstwo świętych obrazów. O ile nie prowadzono kuchni w domu, stolowano się »u Sieczki« w świeżo wzniesionem *Kasynie* lub »u Kościeszki«, którego restauracya znajdowała się w zwykłej góralskiej chałupie na rogu ulicy Nowotarskiej: w jednej izbie była tu sala jadalna, mogąca przy czterech stołach pomieścić do 30 osób; druga nazywała się cukiernią, bo w niej stał bufet z ciastkami i półka z kilkoma flaszkami rozmaitych wódek. Usługiwał sam p. Kościeszka, który miał wszelkie warunki po temu, ażeby być przystojnym kelnerem, gdyby nie fatalna czerwoność jego regularnego nosa. Z przyległej kuchni dochodził zachrypnięty głos pani Kościeszki, przed którą drżeli kucharz i cukiernik, co zresztą i o samym p. Kościeszki dało się powiedzieć.

O strojach wówczas nikt nie myślał: panowie chodzili w serdakach i gumowych płaszczach, z *ciupagami* zamiast lassek; panie najwięcej nosiły się po góralsku, w chusteczkach na głowie, w perkalikowych spódniczkach, w serdakach zamiast gorsetów. Zakrawało to cokolwiek na maskaradę, ale że ładnym paniom, poprzebieranym za góralki, bardzo z tem było do twarzy, więc moda ta zyskiwała ogromnie dużo zwolenniczek. W takich strojach chodziło się po domu i na ulicy, a nawet tańczyło się na niedzielnych reunionach w *Kasynie*, na które wszyscy przychodzili w ubraniu »spacerowem«. O wizytowem nie było mowy, ile że wizyty wcale nie były obowiązkowe. Żyło się, jak na wsi, a więc nie przestrzegano przepisów miejskiej etykiety... Ceremonialnych wizyt nie wymagano od nikogo.

Za to, nie zważając na niewygody, na brak wszelkich ułatwień, chodzono po górach, robiono dużo wycieczek. Wprawdzie istniało już Towarzystwo Tatrzańskie, ale mimo to Tatry były jeszcze w stanie dziewiczym: wygodnych ścieżek, łańcuchów lub klamer w niebezpiecznych miejscach, a tembardziej

schronisk nie było żadnych. Jedyne schronisko znajdowało się przy Morskiem Oku, ale i ono nie miało nic wspólnego z komfortem: była to spora szopa o dwóch izbach, w których sypiano na tapczanach, na siennikach i poduszkach wypchanych mchem, kosodrzewiną i wiórami. Gdy się zgromadziła większa liczba osób, mężczyźni musieli spać na strychu, a gdy i tam nie było miejsca, w kosodrzewinie nad jeziorem, razem z góralami. Wogóle noclegi pod gołem niebem, przy rozpalonej *watrze*, nie były czemś nadzwyczajnym; przeciwnie, należały do rzeczy zwykłych, gdy się na parę dni szło w góry.

Samo Zakopane miało charakter dużej wsi. Sklepów było dwa czy trzy, naturalnie żydowskich, ale naprawdę był jeden, Riegelhaupta, u którego dostałeś wszystkiego, poczynawszy od papieru listowego, a skończywszy na wędlinach i pieczywie. Poczta mieściła się w parterowym domku na Krupówkach, a listy i telegramy roznosił góral Kuba, który — o ile zawsze chodził boso, o tyle nie umiał czytać: łatwo sobie wyobrazić, jak mu to ułatwiałoby zadanie »bryftregera«. Mimo to, nikt się nie skarżył na nieregularny odbiór listów i gazet, podobnie, jak nikt się nie skarżył na brak porządnej drogi w całym Zakopanem, lub na egipskie ciemności, nierozjaśnione ani jedną latarnią. Gdy zapadła noc, a nie było księżyca, chodzono z latarkami; nikogo, co prawda, nie aresztowano, gdy szedł bez latarki... Przedewszystkiem nie było komu aresztować, bo były to jeszcze arkadyjskie czasy Zakopanego: »dziandziara« nie zobaczyłeś nawet na lekarstwo. Coby tu robił zresztą? Pomędzy góralami a gośćmi panował stosunek sielankowy: nikomu nawet przez myśl nie przeszło, aby np. górali posądzać o chciwość, o chęć wyzysku; bratano się z nimi, jak z równymi, a znajomych przewodników sadzało się na honorowym miejscu, częstowano winem, cygarami. Nie można powiedzieć, aby się im to nie podobało!...

Wogóle sielankowość cechowała ówczesne życie zakopiańskie. Wszędzie panowała prostota i prymitywność, często przedpotowe. W Jaszczurówce naprzykład, do której droga prowadziła przez mokre łąki i bagna, kąpano się w dwóch małych basenach, ledwo skleconych z desek; ściana zaś, która przegradzała oddział męski od damskiego, obfitowała w mnóstwo szpar i dziur od sęków... W Kuźnicach, gdzie jeszcze

funkcyonowały *hamry*, kując młotami poruszonymi siłą wody, była stara murowana karczma, dzierżawiona przez węgierskiego żyda, a choć droga, prowadząca do Kuźnic, była pełna wybojów i kamieni, mimo to karczmarz robił doskonale interesu na amatorach kawy z cykoryą, przestalego piwa okocimskiego i nieprawdziwego *ementalera*.

Jakże się wszystko zmieniło od owego czasu! Co za różnica pomiędzy dzisiejszem Zakopanem a owem sielankowem z przed lat kilkunastu! Przedewszystkiem trzy czwarte drogi do Zakopanego jedzie się koleją, a i z Chabówki nie wszyscy decydują się na jazdę wózkiem góralskim: tylko konserwatyści lub nowicyusze jeżdżą *budkami*; inni wolą tę drogę odbyć w wygodnych landach, z którymi furkom tem trudniej konkurować, że za powóz płaci się tyleż, co za parokonną furę. Jakoż wszyscy szanujący się goście przekładają ten cywilizowany sposób lokomocyi, a budki biorą tylko na rzeczy i dla służby. Przyjechawszy do Zakopanego, jeśli się nie wynajęło z góry mieszkania, ma się do wyboru aż trzy hotele, urządzone całkiem po europejsku: portyer w liberyi, elektryczne dzwonki, służba we frakach, materace sprężynowe, kuchnia francuska, zastawa paryska lub wiedeńska, wina jakie kto chce, obok kawiarnia, mnóstwo dzienników, bilardy. Mieszka się w specjalnie budowanych willach (miłośnicy prostoty trzymają się jeszcze chat góralskich) w stylu zakopiańskim; wille te mają duże okna o lustrzanych szybach, dające mnóstwo światła. Wewnątrz widać względny komfort, meble w stylu góralskim, łóżka angielskie, piece kaflowe. Przed domem ogródek: klomby, kwiaty, szklane kule na tyczkach, czasami i fontanny. Nadto na wszystkich ulicach widzi się mnóstwo eleganckich willi jedno- a nawet dwupiętrowych, znowu przeważnie w stylu zakopiańskim; niektóre z nich, zbudowane według rysunku Witkiewicza, są prawdziwemi arcydziełami architektury podhalańskiej. Wszędzie widać oszklone werandy, tarasy, dachy z wieżyczkami, gustowne i wielce oryginalne bramy wjazdowe, ażurowe parkany, a wszystko stylowe, nie banalne, swojskie.

W wielu willach są pensyonaty na wzór angielskich, a niektóre z tych *pension de famille* zalecają się takim komfortem i wykwintem, że — jak mnie zapewniał ktoś — na wyspie White nie mieszka się ani żyje lepiej. Takich pensyo-

natów namnożyło się dziś kilkadziesiąt. Swoją drogą ciągle powstają nowe, ciągle buduje się mnóstwo nowych domów i willi: gdzie dawniej były puste łąki, teraz stoi dom przy domu; dawniejsze drogi, ciągnące się wśród pól, zamieniły się w ulice.

Na Kościeliskiej stoi prześliczna *Koleba* p. Gnatowskiego, podobna do jakiegoś góralskiego zameczku, a o paręset kroków dalej, po przeciwległej stronie, podziwia się śliczną architekturę *Skoczysk*, trzymających prym pomiędzy pensjonatami, zarówno pod względem wygórowanych cen, jak i doboru towarzystwa. Uszedłszy kawalek, widzi się przepyszny plac do *lawn-tennisa*, widzi się wytworne panny i elegancką młodzież w odpowiednich kostiumach, jak się zabawiają w tę grę angielską; widzi się małych chłopców góralskich, uwijających się za piłkami. Minąwszy dom Kasy Zaliczkowej, a następnie stary kościółek modrzewiowy, dostrzega się duży budynek z wieżą, w którym się mieści katolicka *Spółka handlowa*, zaopatrzona we wszystko, co gościom może być potrzebnem w Zakopanem. Wprawdzie obok i naprzeciwko nie brak sklepów żydowskich, ale największy ruch koncentruje się w olbrzymim bazarze *Spółki*, bo każdy woli popierać przedsiębiorstwo hr. Zamoyckiego... Idąc dalej, przechodzi się koło *Gospody ludowej*, która tem różni się od zwykłych karczem, że w niej za ladą stoi góral... Mijając ulicę Kasprusie, nie poznaje się tej dzielnicy: willa przy willi, a niektóre, jak *Szałas*, bardzo gustowne. Na rogu ulicy Nowotarskiej, naprzeciwko domu *Stacyi klimatycznej* i *Zarządu gminnego*, z przyjemnością patrzy się na olbrzymią werandę restauracyi *Pod Giewontem*, a jednocześnie jest się uderzonym widokiem dwukonnego omnibusu, kursującego pomiędzy Zakopanem a Jaszczurówką. Tuż obok wznosi się nowy kościół w stylu romańskim, cały z kamienia, z ładną wieżą i wnętrzem, ozdobionem w stylu góralskim... Dalej, aż do Kasy, ciągnie się nieprzerwany szereg piętrowych domów, kończący się dużym hotelem i restauracją Sieczki. Wszedłszy na Krupówki, które są tem dla Zakopanego, czem *Boulevard des Italiens* dla Paryża lub *Proménade des Anglais* dla Nizzy, ma się wrażenie, że się jest w mieście: mnóstwo sklepów, trotuary, droga jak stół, apteka, szkoła rzeźbiarska, szkoła koronkarska, księgarnia, ogrodnik, krawiec damski, krawiec męski, dwóch fryzjerów, szewc *z Paryża*, budka z kefirem, telefony, słupy

telegraficzne, trzy cukiernie, *Magasin français*, zakład fotograficzny, listonosze w uniformach, rowery, beczki do polewania ulic, powozy, eleganckie kabriolety, jeden *lawn-tennis*, drugi *lawn-tennis*, mężczyźni w jasnych flanelowych ubraniach, w żółtych lub białych kamaszach, w kolorowej bieliźnie, kobiety, postrojone, niemało mówiących po francusku: a wszystko to na przepysznej tle Giewontu i Tatr, na tle szumiącego obok potoku, na tle ogromnego placu targowego. Co wtorek odbywa się targ, na który aż z Węgier zjeżdża się mnóstwo przekupniów i straganiarzy.

Na innych ulicach: na Przeczniczy, na Chramcówkach, na Starej-Polanie, na ulicy Zamoyskiego i Chałubińskiego, panuje niemniejsze życie: wszystko zabudowane. Na zbiegu ulic Chałubińskiego i Zamoyskiego, w najbliższym sąsiedztwie domu »króla tatrzańskiego« (tytuł ten przysługuje Chałubińskiemu), wznosi się ładny budynek *Muzeum tatrzańskiego*, w którym, dzięki zabiegliwości p. Scholtzego, wiele jest ciekawych rzeczy do oglądania. Niemniej ciekawym jest dom p. Pawlikowskiego na Kozieńcu, zbudowany według projektu i pod kierunkiem Witkiewicza, a będący również muzeum w swoim rodzaju; wszystko tam jest utrzymane w stylu zakopiańskim, począwszy od mebli i ozdób na ścianach, a skończywszy na guzikach od dzwonek elektrycznych, w formie metalowych spinek góralskich. Na Chramcówkach założono bardzo ładny park, z alejami, z ławkami, altankami, kręgielnią, krokiem, *lawn-tennis*'em i t. d. Codzień od godziny 5-tej grywa tu muzyka, schodzi się mnóstwo osób: pań z książkami, nianiek z dziećmi, mężczyzn z gazetami. Istny Saski Ogród!... *Bystre*, przez które idzie teraz doskonała szosa do Jaszczurówki, także zabudowało się szczelnie, a w Jaszczurówce powstała cała osada, z hotelem, restauracją, kawiarnią i t. p. Kąpiel mieści się w ładnym drewnianym budynku, baseny powiększono, jest doskonały prysznic, jest kilkadziesiąt kabin do rozbierania się, a w ścianach niema już szpar, ani dziur od sęków... Są tacy, którzy z tego powodu powtarzają melancholijnie: nie tak to *illo tempore* bywało!...

Z Jaszczurówki prowadzi przepyszna szosa do Morskiego Oka, do którego obecnie jeździ się tam i z powrotem w ciągu jednego dnia, na co bardzo narzeka dzierżawca tamtejszego hotelu. W górach, dzięki zabiegom Tow. Tatrzańskiego, także

postęp ogromny: zbudowano kilkanaście schronisk, gdzie potrzeba (i gdzie nie potrzeba) porobiono drogi, ścieżki, powkuwano mnóstwo klamer i łańcuchów — słowem, o ile się dało, ułatwiono nietylko wdzieranie się na szczyty, ale i spacer w doliny (na co sarkają prawdziwi taternicy). Przy Czarnym Stawie Gąsienicowym, na hali Gąsienicowej, w Dolinie Kościeliskiej powstały schroniska z restauracjami, w których można posilić się, a nawet upić. W Kuźnicach znajduje się ogromna restauracja, obsługiwana przez dziewczęta z »zakładu« pani generałowej Zamoyskiej, t. zw. »czepczule« (od białych czepczków, które wszystkie noszą na głowie). Co niedzielę w kaplicy zakładu odbywa się uroczyste nabożeństwo, msza św. i kazanie, a chór »czepczulek« wtóruje solowemu śpiewowi panny Maryi Zamoyskiej, śpiewowi, którego warto posłuchać...

Tak się przedstawia Zakopane dziś. Jakiem będzie w przyszłości? Choć przyszłość bywa zakryta dla oczu śmiertelnych, to jednak, gdy chodzi o Zakopane, łatwo ją odgadnąć. Przedewszystkiem będzie się niebawem do samego Zakopanego dojeżdżało koleją, co oczywiście nie pozostanie bez olbrzymiego wpływu na charakter całej miejscowości, kolej bowiem jest otwarciem na ścieżaj bramy dla cywilizacji i postępu. To też i Zakopane z chwilą, gdy będzie połączone ze światem koleją żelazną, zmieni się nadzwyczajnie; że zaś tam, gdzie się rozlega świst lokomotywy, już i do elektryczności niedaleko, więc patrzeć tylko, jak całe Zakopane oświetli się lampami elektrycznymi, jak po niem zacząną kursować tramwaje elektryczne. Pierwszy tramwaj będzie szedł do Kuźnic, a z czasem, kto wie, czy i do Kościelisk nie będzie się jeździło po szynach... Samo Zakopane gotowo się przeobrazić w miasteczko, i to nie drewniane, lecz murowane. Na Gubałówce stanie olbrzymie sanatorium d-ra Dłuskiego, a cała okolica zaroi się od willi i letnich mieszkań, których łańcuch pociągnie się nawet wzdłuż drogi ku Morskiemu Oku. Cała droga, prowadząca do Kościelisk, także się zabuduje po obu stronach, a pomiędzy »letnikami« znajdzie się i mnóstwo cudzoziemców, zwłaszcza Anglików, zwabionych przez opisy i obrazy specjalnej korespondentki pism londyńskich, którą przywieźli do Zakopanego pp. Giełgud i Jazdowski, stale od lat dziewięciu zjeżdżający z Londynu w Tatry. Nad Morskim Okiem stanie taki sam hotel, jak obecnie stoi nad Jeziorem Czterech Kantonów; a jest wiel-

kie prawdopodobieństwo, że na Krzyżne będzie się tak samo jeździło zębata koleją, jak się dziś jeździ na Rhigi-Kulm lub Pilatusa. Wszystko jest możliwe!..

Tymczasem zaprzeczyc się nie da, iż Zakopane gra pierwsze skrzypce w orkiestrze miejscowości kąpielowych polskich, że co Polska posiada dziś wybitniejszego pod względem intelektualnym, to sobie daje w lecie *rendez-vous* u stóp Giewontu. Z literatów, idąc za przykładem Kraszewskiego, który tu mieszkał czas jakiś w r. 1863 w domku przy ul. Kościeliskiej, — przyjeżdżają stale na wakacje, odetchnąć ożywcem powietrzem tatrzańskim: Sienkiewicz, Tetmajer, Chmielowski, Chlebowski, Smoleński, Ochorowicz, a to samo czyni również i Julian Klaczko. Z meźów stanu bywają stałymi gośćmi w Zakopanem: J. E. minister Dunajewski, sędziwy Smolka, minister Zaleski i t. d. Z lekarzów ma tu swoją willę profesor Baranowski, bawią też stale doktorzy: Florkiewicz, Kornilowicz i wielu innych. Palestry zjeżdża się ze wszystkich dzielnic tyle, iż ich wszystkich wyliczać nie sposób, a prawie to samo da się powiedzieć i o malarzach, którzy pomni tego, że i Matejko bywał w Zakopanem ¹⁾, bardzo licznie cech swój u podnóża Tatr każdego lata reprezentują. Dość wymienić Wojciecha Kossaka, Eliasza, Pochwalskiego, Wyczółkowskiego, Axentowicza, Alchimowicza, Włodz. Tetmajera, Gersona, Rapackiego. Niemniej bywa profesorów i uczonych, i to nietylko takich, którzy wykładają na uniwersytetach galicyjskich, lecz i ich kolegów z wszechnic zagranicznych; w roku ubiegłym był słynny twórca »Atlasu anatomicznego« prof. Laskowski z Genewy (ze swoją dorodną córką), prof. Kowalski, rektor uniwersytetu fryburskiego, i prof. Jurasz z Heidelberga (również z córką). Za przykładem tej arystokracji ducha, która już od najdawniejszych czasów najliczniej gromadziła się w Zakopanem, zaczyna iść i arystokracja rodowa, jak rodziny hr. Szembeków, Tarnowskich, Czartoryskich, które, uprzykrzywszy sobie kosmopolityczne *bady* Niemiec i Francji, coraz bardziej utwierdzają się w zdrowem przekonaniu, iż nigdzie nie jest tak dobrze i przy-

¹⁾ Na ścianie domu księdza Stolarczyka, u którego mieszkał genialny twórca *Kazania Skargi*, po dziś dzień znajdują się szkice węglem, wyobrażające trzech dyabłów w bardzo humorystycznych pozach.

jennie, jak w domu, wśród swoich. Tegoż zdania zdaje się być i duchowieństwo, zarówno galicyjskie, jak poznańskie: nigdzie nie widuje się tyłu księży, co w Zakopanem, w którym sobie nawet zbudowali własny dom. Stosunkowo najmniej przedstawiciele wysła tu warszawska burżuazya, t. zw. mieszczaństwo, które, niebardzo — jak widać — skore do popierania swojszczyzny, woli miejscowości kąpielowe zagraniczne, nie wyłączając takiego gniazda hakatystów, jak Kołobrzeg. Jedynym argumentem, dającym się przytoczyć na ich usprawiedliwienie, jest nieszczęsna okoliczność, iż Zakopane, obok ogromnych zalet, odznacza się niemniej wielkimi wadami. Trudno... jeśli każdy medal ma dwie strony, jeśli i na słońcu są plamy, ba, jeśli nawet biblijny Raj miał swoje niebezpieczne drzewo wiadomości złego i dobrego — to nie można wymagać, ażeby ten podtatrzański Eden nie miał swego *ale*, czy to w formie częstych deszczów, którym niekiedy niemasz końca, czy też pod postacią flirtu, który, obok plotek, także jest jedną z plag Zakopanego. Góry, jak wogóle piękna natura, mają tę właściwość, iż ogromnie ludzi zbliżają do siebie, wytwarzają pomiędzy nimi stosunek naturalny, bezceremonialny, słowem, spoufalają. Jedna wspólnie odbyta wycieczka wywiera taki psychologiczny wpływ na dwoje nieznających się przedtem ludzi, iż po powrocie z niej są z sobą na takiej stopie, jakby się znali od dziecka.... Z poufalości rodzi się sympatya, a niekiedy... i

rzeczy złe i zdrożne,
O których książki mówią już nabożne...

Właściwość ta jednak jest równocześnie i dobrą stroną Zakopanego; nie przypuszczam bowiem, ażeby istniała druga miejscowość na świecie, gdzieby co lata kojarzyło się tyle małżeństw, co tutaj. Takich, co ze swemi żonami poznali się w Tatrach, w Zakopanem, jest już dzisiaj cały legion, a legion ten powiększa się z każdym sezonem... Stąd pewna sława Zakopanego, sława, która sprawia, iż nigdzie nie spotyka się tak znacznej, jak tu, liczby panien na wydaniu z posagami lub bez, ani tyłu młodych ludzi, z pozycjami lub bez, pragnących się ożenić... bogato.

Szczególnym rozgłosem pod tym względem cieszy się cukiernia zakopiańska, niegdyś Skowrońskiego, której weranda w życiu bardzo wielu dzisiaj szczęśliwych lub nieszczęśliwych

małżonków podobną odegrała rolę, jak bal u Kapuletów w życiu szekspirowskiego Romea... Tem także w znacznej części tłumaczy się niebывале powodzenie tej cukierni, na co mi dawny jej właściciel i założyciel sam niegdyś zwrócił w rozmowie uwagę. Cokolwiekbądź, jest to punkt zborny wszystkich gości zakopiańskich. Pogoda czy słota, święto czy dzień powszedni, przed południem czy po południu, w zakładzie p. Płonki (dzisiejszego właściciela cukierni) zawsze pełno; w pewnych zaś godzinach, między 10-tą a 12-tą w południe, zbiera się tu na drugie śniadanie, na poziomki lub butersznit z »Giewontówką«, cała bawiąca w Zakopanem literatura polska i sztuka, z Sienkiewiczem na czele. Prezyduje siedzący w samym rogu werandy autor *Krzyżaków*, a rozmowa toczy się *de omnibus rebus*, najczęściej o polityce i sprawach literackich. Gdy do tego sienkiewiczowskiego kółka należały i dwie miłe towarzyszkii, siesty te zasługiwały w zupełności na nazwę renesansowych: malarze rysowali karykatury lub szkice, Tetmajer pisał *ex promptu* dowcipne wiersze na obecnych i nieobecnych, a wszystko to czyniło się przeważnie w notesie »panny Dziuni«, notesie, który, dzięki temu śmiało mógł współzawodniczyć ze słynnem biurkiem Telimeny. Że się na tych zebraniach »w cukierni« nie nudzono, tego dowiedli Sienkiewicz i Wyczółkowski, którzy pod wpływem miłe spędzonych chwil na werandzie »u Skowronka«, unieśmiertelnili obie towarzyszkii tych literacko-artystycznych »sympozyonów«: Sienkiewicz, pisząc do Pani Osb... swój znany wiersz: »Kiedy się Panu Bogu jaka Polka uda«, Wyczółkowski, malując przepyszny portret panny Krys. na tle Giewontu.

.....
.....

Byłoby dziwnem, doprawdy, gdyby Tatry, pod któremi co roku od szeregu lat gromadzi się tyłu literatów i poetów, nie znalazły swego odbicia w ich twórczości, nie przeniknęły do literatury. Że tak nie jest, że od chwili, gdy pierwszy poeta polski zapoznał się z cudami tych naszych gór ojczystych, odrazu narodziła się poezya tatrzańska, o tem wiemy wszyscy. Wiadomo powszechnie, że Staszyc pierwszy dotarł na szczyt Łomnicy, która wówczas uchodziła za najwyższą górę w całych Karpatach; a takich, coby nie czytali Pola *Pieśni o ziemi*

naszej lub *Kościelisk* Goszczyńskiego, chyba niewielu jest pomiędzy nami. Za to nie wszyscy może, co znają wiersz Wincentego Pola:

W góry, w góry, miły bracie,
Tam swoboda czeka na cię!

lub tegoż piękny opis Tatr, stojących

Jak potopu świata fale
Zamrożone w swoim biegu, —

czytali prześliczny *Dziennik z podróży do Tatrów* Seweryna Goszczyńskiego, któryto dziennik jest jednym z arcydzieł utalentowanego twórcy *Zamku Kaniowskiego*. Równie pięknych pejzażów, jak te, które Goszczyński wymalował słowami w tym *Dzienniku*, niewiele posiada nasza literatura wogóle... Na piękniejsze, i to w wierszowanej formie, zdobył się dopiero Asnyk, który tu przez długie lata bywał stałym gościem, a mieszkając najczęściej w państwa Mieczysławowstwa Pawlikowskich, napisał cały szereg najcudniejszych poezyi tatrzańskich, takich jak *Noc pod Wysoką*, jak sonety opiewające *Morskie Oko*, jak przepiękny *Ranek w górach* lub przepyszna *Ulewa*.

Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr,
Na sinej ich krawędzi,
Króluje w mgłach świszczący wiatr
I ciemne chmury pędzi...

Za przykładem Asnyka, z pod którego miękkiego pióra wypłynęły najszczytniejsze poezye tatrzańskie, poszli Nowicki i Tetmajer; pierwszy w swoich przepysznych *Sonetach tatrzańskich*, wzorowanych na *Krymskich* Mickiewicza, drugi w całym szeregu prześlicznych liryków, wśród których niezrównany *List Hanusi*, napisany gwara góralską; i epicka *Pieśń o Jasku Zbójniku*, przedziwnie trafiająca w ton śpiewów ludowych podhalańskich, bynajmniej nie ustępują najpiękniejszym natchnieniem z asnykowskiego cyklu *W Tatrach*, a niekiedy je nawet przewyższają poetycznością. Urodzony w Ludzimierzu na Podhalu, Tetmajer jest dzieckiem Tatr. »Urodziłem się — powiada w swej młodzieńczej *Illu* — w dworku modrzewiowym nad brzegiem Dunajca, a od dzieciństwa patrzę na Tatrów granity sine lub srebrne od śniegu«¹⁾, a że talentem natura

¹⁾ W prześlicznym *Poszdrowieniu*, natchnionem tęsknotą za górami, pisze Tetmajer:

obdarzyła go hojnie, podobnie jak i brata jego, malarza, więc jak jest dziś pierwszym pomiędzy młodszą polską bracią Apollina, tak i jego poezye *Z Tatr* są najpiękniejszymi, jakimi się pochlubić może nasza poezya ostatniej doby. Konopnicka, Rydel, Kasprowicz także nam dali sporo liryków, opiewających piękności natury Tatr i Pienin, a Kasprowicza *Taniec szójnicki* bodaj czy nie jest jego arcydziełem... ¹⁾.

Tymczasem i w prozie coraz częściej spotyka się z Tatrami, arcydziełem zaś w tym kierunku jest *Na Przełęczy* Witkiewicza, którą to książką nie tylko spopularyzował Tatry i Zakopane, ale i sobie postawił niemi w literaturze polskiej *monumentum aere perennius*. Jest to jedno z najpiękniejszych i najartystyczniejszych dzieł, jakie u nas napisano wogóle. Jeśli Chałubiński odkrył Tatry, to Witkiewicz uświadomił ich piękność; on wskazał punkt widzenia, z którego należy się przypatrywać tym górcom, on nauczył nas patrzeć na Tatry oczyma malarza, on wreszcie dał początek nowemu rodzajowi literackiemu, zaczawszy pisać rzeczy w rodzaju wydrukowanego niedawno *Ojca nędzy*, które, ułożone w gwarze góralskiej, tak się mają do reszty naszego piśmiennictwa, jak naprzykład literatura prowansalska do francuskiej... Minstralem jej jest dotychczas Witkiewicz, który w tym kierunku napisał najwięcej, ale

Wichrze! Nad wzgórze, pola, nieś
Me pozdrowienie stąd,
Rodziną moją pozdrów wieś
I dunajcowy prąd.
Przydrożne wierzby, smreków las,
W ogródkach każdy kwiat,
I wszystkie łąki pozdrów wraz
I ludzi z wszystkich chat.
I do tych śnieżnych skał się zwróć
Ku stawom, halom gnań,
I pozdrów mi po tysiackroć
Mój cały górski kraj!

¹⁾ Nie można tego powiedzieć o *Buncie Napierskiego*, który grany niedawno w Krakowie i wydany w osobnej książce, należy do słabszych utworów autora *Krzaku dzikiej róży*. W każdym razie utwór ten należy do literatury tatrzańskiej, a pierwszy jego akt, najlepszy ze wszystkich 3-ech, zawiera kilka scen z życia górali, które, jako obrazki *genre* posiadają dużą wartość artystyczną.

należy do niej także i Sienkiewicz, którego *Sabałowa bajka* taką zdobyła sobie popularność.

Skoro mowa o Sienkiewiczu w stosunku do Tatr, to wypada przypomnieć jego *Potop*, w którym znajduje się piękny opis przejścia Jana Kazimierza przez Tatry, a po części także i drukujących się obecnie *Krzyżaków*, w których tak wiele spotyka się wyrażeń góralskich.

To samo da się powiedzieć o stylu ś. p. Matlakowskiego, który w Zakopanem napisał swe kapitalne dzieło o *Hamlecie*, a w swej pośmiertnej tece zostawił szereg zimowych pejzaży zakopiańskich, będących ostatniem słowem plastycznego opisu natury... Pejzaże te, przesycone oślepiającym blaskiem śniegu w pogodny dzień słoneczny, ogłoszono we *Wszelchwicie*, gdzie również po śmierci Matlakowskiego pomieścił o nim Witkiewicz wzruszające wspomnienie pozgonne. Wspomnienie to, podnoszące główne zasługi nieboszczyka, jako autora świetnej pracy o *Budownictwie ludowem na Podhalu*, także winno być zaliczonym do literatury tatrzańskiej.

Ten, który dotychczas pismami swemi najwięcej rozbuździł zapału dla Tatr i Zakopanego, Witkiewicz, jest malarzem, co oczywiście nie mogło pozostać bez wpływu i na jego licznych kolegów, pomiędzy którymi, jako autor *Sztuki i krytyki u nas*, tyłu sobie liczy wielbicieli. Jakoż i w malarstwie krajobrazowem polskiem nierzadko spotykamy się z widokami Tatr. Najwięcej na tem polu zdziałał Witkiewicz, który nie tylko przepysśnie wyilustrował swą książkę *Na Przelęczy*, ale od chwili, gdy osiadł na stałe w Zakopanem, zaczął malować wyłącznie obrazy na tle przyrody tatrzańskiej. Jego *Wiatr halny*, a zwłaszcza *Powrót z hal z baranami*, pędzonymi wśród zamieci śnieżnej, są arcydziełami tego kierunku. Wojciech Gerson, należący do stałych gości zakopiańskich, także zaczął malować krajobrazy tatrzańskie, a tak dobrze, że im przyklasnął nawet wymagający pod tym względem Witkiewicz, chwalać szczególniej *Niedźwiedzią pieczarę w Tatrach*, o której powiada, że »przedstawia naturę tatrzańską żywą, wziętą w jednym z tych chwilowych jej nastrojów, wynikających ze stanu pogody i oświetlenia, nastrojów, które są dla pejzażu tem, czem wyraz dla ludzkiej twarzy«. Na niemniej gorące pochwały zasługują pejzaże tatrzańskie Rapackiego, których koroną, według mnie, jest *Zachód słońca*... Mroczkowski namalował tak

piękne *Morskie Oko*, iż mu je zakupiono do zbiorów Muzeum Narodowego, gdzie wisi obok największych arcydzieł naszej sztuki plastycznej.

W ślady malarstwa poszła i muzyka. Pierwszy krok w tym kierunku uczynił Moniuszko, którego *Halka* rozgrywa się na tle podhalańskim... Za Moniuszką poszedł Żeleński, pisząc swój prześliczny poemat symfoniczny *Tatry*, w których także będzie się rozgrywała akcja jego najnowszej opery p. t.: *Janek*; będzie to tatrzańska *Cavaleria rusticana*. Noskowskiego symfonia *Morskie Oko* również — jak o tem sam tytuł świadczy — jest hymnem na cześć piękności Tatr i słynnego jeziora, a Paderewskiego *Melodye tatrzańskie* rozbrzmiewają dziś na obu półkulach.

Tymczasem wśród górali, od chwili, gdy się zetknęli z cywilizacją, zaczyna się budzić ruch umysłowy i artystyczny, któremu można wróżyć najpiękniejszą przyszłość: rodzą się talenty pisarskie, malarskie i rzeźbiarskie, a między tymi talentami są i bardzo wielkie, jak np. Orkana, poety i nowelisty. Oto, co w przedmowie do wydanego świeżo tomu jego nowel, pisze o tym ruchu między góralami Kazimierz Tetmajer: »Zdaje mi się, że on wraz z p. Stopką Nazimkiem z Zakopanego, prawnikiem, autorem świeżo wyszłej, bardzo ciekawej książki o Sabale, i z p. Wojciechem Brzegą, także z Zakopanego, rzeźbiarzem, stanowią początek artystycznego ruchu, który się między inteligencją góralską budzi. Kto wie, czy z czasem wykształceni chłopcy góralscy nie wytworzą takiej swojej odrębnej i samoistnej szkoły, jaką niegdyś wytworzyła szlachta ukraińska; szkoła ta ma wszelkie warunki powstania w niedalekiej przyszłości, a miałaby tę wyższość nad ukraińską, że nie ograniczyłaby się wyłącznie do literatury. Górale mają swoją odrębną tradycję, ale dopiero teraz poczynają się stykać z kulturą; zdolności ich, zupełnie świeże, zupełnie młode, zbyt mało są doświadczone, abyśmy o nich stanowczo wyrokować mogli: wydaje mi się jednak, że są wszechstronne i duże. Jest bardzo prawdopodobnem, że wyjdą stamtąd nawskróś oryginalni pisarze, muzycy, rzeźbiarze i malarze, i że stworzą sobie w sztuce miejsce tak odrębne, jak ich ziemia odrębną jest od reszty kraju. Ci, których wymieniłem, to pierwsi pionierzy, pierwsze pokolenie inteligencji góralskiej, które o sobie słyszeć daje: być może, że to heroldowie całego zastępu«. Jakkol-

wiekbądź, już ci pierwsi pionierzy, choć młodzi i dopiero wstępujący na arenę literatury i sztuki, z wielkim zapalem biorą się do dzieła, a to, co zdziałali dotąd, przedstawia się wcale pokąźnie. Dwudziestosześcioletni Wojciech Brzega, który, zanim jeszcze pojechał do Monachium, już jako uczeń krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych został, za przepyszną głowę Sabaly w drzewie, nagrodzonym na konkursie rzeźbiarskim w Warszawie, wybiera się na cały rok do Paryża, a kilka zaczętych prac, które mi pokazywał, między innymi cudowna głowa Chrystusa w cierniowej koronie, pozwalają się po młodym artyście spodziewać niezmiernie wiele, tem bardziej, że mu się w głowie pali od pomysłów; te zaś — o ile mi o nich opowiadał — wszystkie zalecają się wielką oryginalnością i poetycznością, jak np. walka orła z kozicą. Marzy także o pomniku dla Sabaly. Niemniej zdolnym jest jego nauczyciel, profesor zakopiańskiej szkoły rzeźbiarskiej, p. Nalborczyk, którego popiersie Henryka Sienkiewicza jest najlepszą podobizną wielkiego powieściopisarza. Pomędzy uczniami Szkoły rzeźbiarskiej także znajduje się wielu utalentowanych góralczyków, rokujących najpiękniejsze nadzieje... Rówieśnicą ich, a także z iskrą bożą, jest młoda córka gazdy z Kościeliskiej ulicy, panna Sobczakówna. Kto wie, czy z niej nie wyrosnie współzawodniczka p. Orkana, którego poezye drukowano w krakowskim *Życiu*, a nowele w *Kuryerze Codziennym*. Ogłoszony niedawno fragmencik p. t.: *Idę ku tobie*, należy do najładniejszych liryków, jakie się u nas pojawiły w ostatnich czasach. Poetą również, i to utalentowanym, jest p. Andrzej Stopka, autor *Sabaly*, *Rycerszy śpiących w Tatrach*, oraz *Materyałów do etnografii Podhala*.

Ostatnia książka, choć wydana nakładem Akademii Umiejętności, zawiera mnóstwo arcyciekawych pieśni, przypowieści, przysłów i podań ludu góralskiego, z których na tem miejscu przytoczę choć jedną *Powiasikę o Panu Jezusie i św. Piotrze*:

Raz śli se oba Paniezus i święty Pieter bez las i uwi-dzieli grosz na drodze, a Paniezus powiada do świętego Pietera: »E, wejze go!« A święty Pieter powiada: »E, hań sie nima po co schylać«. Tak wzion Paniezus i kupił śliwek trzydzieści i seł naprzód a święty Pieter za nim. A był straszny gorąc, co nieporada było wytrzymać i puścił te śliwki po jednej, a święty Pieter jak uwidział tak laps jom do gemby prosto, i ino raz obrócił a kostki wyrzucał ś nik. Skoro osta-

tniom zjad, a Paniezus ta seł i seł w rzeci, ze ta nic nie widzi, juz się potem obeźrał i powiada mu tak: »No widzisz, rażeś się nie chciał schylić po gros, a teraz ejście musiał trzydzieści razy schylać«. I kany święty Pieter wypluł, to urós grzybek i Paniezus powiada: »No, zbiraj se teraz grzybki«. I było ik w ocimieniu pełno. Temu wej dzisiaj gadajom, ze święty Pieter grzyby sieje.

W całkiem innym rodzaju, ale niemniej zajmującą jest książka Stopki, prawie zastługująca na miano monografii o Sabale, ozdobiona prześlicznym portretem ołówka Brzegi, a zawierająca życiorys tego niepospolitego górala, jego bajki, powiastki, piosnki i t. d. Nie od rzeczy będzie przytoczyć tu z niej poniższy wyjątek:

Zawsze codzien wczesnym rankiem suwał Sabala kypcami z Kościelisk, gdzie mieszkał, ku Zakopanemu. Od czasu do czasu spoglądał w górę jednym okiem, jak orzeł, przechylając głowę to na prawo to na lewo, chcąc zbadać, czy »chmury się nie robiom«, czy pogoda będzie trwała... Po drodze wstąpił do kościółka drewnianego i tam krótko się modlił. Pacierz jego był ciekawy, bo pełno w nim było dodatków i przekrecań. Raz zmówił tych pacieryz tylko dwa i tak je ofiarował: »Okwiarujem też ten paciorek Najświęcej Paniencie Maryjce, Paniezusowi i św. Janiowi patruniowi. Ale ik téz barz piknie przypytujem, bo też pacioreków ino dwoje, a ik do podziału troje, haj! Tu by trza zmówić lo św. Jana jeden, a ta pan wielkomożny (Chałubiński) bedzie sie ciskał, ze mie nima. Ale wiem, co robiem! Ja téz to okwiarujem Naświęcej Paniencie Maryjej, a ona ta sićkik dobrze do równości podzieli i nikomu krzywdy nijakiej nie zrobi, haj!« I wyszedł. Ciekawe również było następujące ofiarowanie: »Okwiarujem téz ten paciorek Panu Jezusickowi, okwiarujem i polecam, jakby kciał przyjónć; a jak nie, to ja sie téz ś nim nie sprzecom«.

.....

W Mieguszowieckich turniach był mądry niedźwiedź, na którego stary myśliwy miał *pewne oko*. »Był strasznie mądry, haj! To się trafi, prosem pięknie, taki dzwierz, co, prosem pięknie, i cłek rozumu telo ni má. Strasznie je smýsny«. Niedźwiedź mylił, ale Sabala długo chodził za nim, podchodził go i wreszcie zabił. Już się cieszył, że pasterze będą radzi, że ich od szkodnika uwolnił, kiedy za strzałem nadbiegli Liptacy i byli już tak blisko, że widzieli Sabalę prującego niedźwiedzia. On jednak nie stracił przytomności umysłu, choć nieprzyjaciół było trzech, a on sam. Spuścił kamień i tak ich nim poczęstował, że im się już drapać »nie wypadało i nie kciało, bo mieli swojego mięsa dość«.

Innym razem postrzelił capa i ten uciekł mu między woły Liptaka, bo to było na węgierskiej stronie. Sabala zdjął skromnie kapeluszy i począł prosić pokornie, kłaniając się Liptakowi, żeby mu pozwolił capa zabrać, bo cap jego. Liptak zaś, rozśmieszony pokorną postawą Krzeptowskiego, tem pewniej obstawał przy swoim i twierdził, że choć Sabala postrzelił kozła, ale on się później zmieszał z wołami jego, więc też do niego należy. Widząc, że z nim dobrocią nie poradzi, odszedł Krzeptowski na 50 kroków, nasypał niepostrzeżenie do strzelby piasku, bo była tylko lotkami nabita i strzelił do Liptaka tak nieszczęśliwie, choć utrzymywał, że w nogi mierzył, iż oko i stęry zęby dyascy wzięli. Później spotkali się jeszcze. Liptak poznał jednym okiem Sabalę, ale on mu udowodnił, że nigdy jeszcze nie strzelał i nawet nie wie, jak się strzelbę trzyma.

...Gdyśmy go raz pytali, jakiego systemu strzelby używał, mówił: »Mnie ta, prosem pięknie ik miłości, każda do zukwy się zdała. Ino dubeltówka wse lepszą«. Raz spotkał się z niedźwiedziem. Strzelił i chybił. »Miałek pojedynek, wyzionek się na smreka. On mi się przypatruje ze spodku, a ja siedzem cicho, inose dychom. Stanon na łapak, ale mie dostać ni móg, haj. Jazek tak to, mościwko panku, wysiedział. Wytrzymała mie wereda długo, nie krótko, a ręce mi cysto pięknie zglegwiały, co strak, haj! On się zaś poseł paść na borówki. Poseł nizej, a syćko sie na mnie boke jednym oke przypatrywał. Ja sie zaś zacon wyzej styrbac, cyby jakosi sie cego lepszego nie chwycić. Siadek na gałęz, ale się zlamala, była slaba. Toż to, dobrze nie barzo, zjehalek na ziem, haj! Ja w uciekaca, on za mnom. Jazek lewdy dopad bucka dość hrubego i wylazek nie wiele myślęcy na niego, na gałąz, haj! Byłek śleobodny, bo buk był hruby, ino ze mi coś kajść po brzuku strasnie jeżdżilo, bok długo siedział, a jedzenia ni miałek: bylo ostawione przy smreku. Kieby mi miał wto flinte podać ze spodka, to onoby ta bylo syćko dobrze, bok prok i kapsliki w torbce miał. Ale nika nie, haj!

.....

W wykonywaniu dobrych uczynków był Sabala Chałubińskiemu niejednokrotnie pomocny. Miał u niego wielki wpływ i szacunek dla siebie, więc korzystał z niego często i gdy kto prosił o wizytę doktorską, wstawiał się Sablik, motywując swą prośbę słowy: »Ja ta ś nim znajomy, a moze i krewny«. »Jakże blizkie pokrewienstwo?« uśmiechając się, pytał lekarz. Sabala zaczynał zaraz opowiadać, jak z nim chodzili na kozy i ile ich ubili. »My sie z jego ojce strasnie radzi widzieli, choćmy spółnikowali«. Razu pewnego zagadnięty w ten sposób przez Chałubińskiego, nie mógł się szybko połapać, a powtarzać się nie chciał, więc mówił: »E, my ta byli, prosem piknie ik wielkomozności, z jego ojce kumotrami, ale przez mojom babe... Ja tok jego krewny, bok od niego kobylsko kupił i udała mi sie

straśnie«. Albo też: »Já ta ś nim kumoter«. »A kogożeście trzymali?« pyta jeden z góralów. »Eć wej, worecek we młyńnie, kie mie baba po mąke posłała, kie jom młynarz do worecka suł, haj!...« Pewnej góralce zachorował syn, pobiegła więc prosić Chałubińskiego, żeby go odwiedził. Deszcz padał jak z cebra, a wysłany Sabala po *budkę* nie mógł jej znaleźć. Lekarz wypytał się o objawy choroby, a gdy zmiarkował, że niebezpieczeństwo w zwłoce nie grozi żadne, mówił: »Poczekajmy, może się przecie skończy ta lejba«. »O, ono się skończy«, rzekł Sabala, »bo strażnie pilno leje... Ono ino, prosem piknie ik wielkomożności, niekze idom. Cuhe im dom, to sie odziejom. A kie horość przysła, to ono ta trza jom wygnać, bo i śmierć bedzie kajsi nie prec. Bedzie koło wędłów zajezdzać. Ony, to dom jest siostry, a śmierć to strażnie wartka baba, haj!« Odział własną cucha lekarza, a sam, przewróciwszy serdak do góry kudłami, suwał lekko po błocie przodem i mruzczał pod nosem: »Ono, ja tak uwazujem, co sie musiało gazostwo w niebie popsuć abo jako?...

.....

Teraz obaj spoczywają na zakopiańskim cmentarzu, w najbliższym sąsiedztwie, księdza Stolarczyka i Bronisława Dembowskiego. Przechodząc około tych czterech mogił, doznaje się dziwnie rzewnego uczucia, bo są to groby czterech najwybitniejszych osobistości Zakopanego, groby ludzi, którzy stworzyli dzisiejsze Zakopane, a którzy już dziś stają się jego postaciami legendowemi. Chałubińskiemu zostanie na zawsze przydomek »króla tatrzańskiego«; ksiądz Stolarczyk, jako pierwszy proboszcz w Zakopanem, śmiało może być uważany za apostoła górali, który im przyniósł światło chrześcijaństwa ¹⁾; pamięć Dembowskiego nie zaginie, dopóki Podhale będzie się zabudowywało w stylu zakopiańskim, którego on — obok Witkiewicza i Matlakowskiego — był głównym propagatorem; a o Sabale utworzy się mit, w którym ten genialny gawędziarz-poeta opromieni się aureolą tatrzańskiego Homera. Pokolenia będą następowały po pokoleniach, a o tych czterech mężach, dopóki ludzie będą jeździli do Zakopanego, legenda

¹⁾ Przed księdzem Stolarczykiem nie uważali np. górale za coś Panu Bogu ubliżającego, gdy sobie w kościele »fajeczkę« zapalił i »pacierz na koronce mówił«. Jeśli zaś nie palił w kościele, to sobie za to niejeden »na odchodnem od lampasa przed wielgim oltarzem zapalił i seł do pola kurzący«. Stopka, *Sabala*, 47.

nie zaginie: owszem, będą w jej promiennem świetle rośli do jakichś bajecznych rozmiarów; a ci, co ich znali osobiście, co na nich jeszcze własnymi oczyma patrzyli, będą o nich z dumą opowiadali młodszemu pokoleniu, ojcowie synom, matki córkom, dziadkowie wnukom...

O stosunku Chałubińskiego do Zakopanego pisał w *Kraju* prof. Ignacy Baranowski:

Miłośnik przyrody, wrażliwy na jej piękności, artysta z usposobienia i z wykształcenia, obiera za stałą siedzibę letnią Zakopane, piękne ustronie górskie, o którym, że istnieje, jeszcze od czasów Staszycza wiedziano, ale do którego tłum turystów podążył dopiero wtedy, gdy Chałubiński tam się na stałe osiedlił. Za jego staraniem powstaje *Towarzystwo Tatrzańskie*, którego głównym zadaniem miało być badanie fizyograficzne Tatr polskich. W wycieczkach niezmiernie zuchwałych, wiodących go na szczyty niezwydane, wyrabia doskonałych przewodników górskich, oraz wyznacza szlaki i drogi, dla turystów dostępne, a bogate w urocze widoki. W wycieczkach tych zbiera odłamki skał, oznacza ich pochodzenie, porządkuje je. Zbiór ten stał się dziś, z daru Chałubińskiego, własnością *Muzeum tatrzańskiego*, któremu wielbiciele Chałubińskiego jego imię nadal. Równocześnie zbiera mchy tatrzańskie, bada je, determinuje i klasyfikuje. Owoc tej długoletniej pracy nad mchami ogłasza najpierw w *Pamiętniku fizyograficznym*, a następnie wydaje oddzielnie p. t.: *Grimiae tatrenses ex autopsia descriptioni et adumbravit dr. Chałubiński*. Monografia ta, napisana w języku łacińskim, cenioną jest przez bryologów zagranicznych, jako jedna z najlepszych prac w tym dziale naukowym... Poznawszy klimat Zakopanego, oceniwszy jego wartości lecznicze, Chałubiński wygotowuje ustawę *Stacyi klimatycznej* i wyjednywa jej zatwierdzenie... Dziwnie piękny stosunek wywiązuje się między Chałubińskim a ludem górskim, który przedtem, odcięty od świata, żył, rzec można, w stanie pierwotnej kultury, noszącej cechy niezwykle, bardzo oryginalne, a znamionujące wielkie zdolności tych dzieci natury. Chałubiński dopomaga do zebrania legend ludu górskiego, jego pieśni, które Kleczyński z ust ludu notuje, a Paderewski w wykwintne dzieła sztuki przetwarza. Chałubiński jest inicjatorem *Szkoły snyderkiej* i *Szkoły koronkarskiej*, poparty w tem dzielną pomocą śp. Mikołaja Zyblikiewicza. Wreszcie usiłuje on podnieść rolnictwo przy udziale swego najbliższego przyjaciela, zacnego plebana zakopiańskiego, ks. Stolarczyka, który we wszystkich tych pracach Chałubińskiego idzie z nim ręką w rękę. Pelen miłości ziemi i ludu, stworzył sobie Chałubiński świat nowy zadań społecznych, cywilizacyjnych i naukowych, których spełnienie wzbogaciło wielkimi zasługami ostatnią epokę jego żywota.

Ostatnie lata były walką z ciężką niemocą, która ten potężny duchowo i fizycznie organizm złamała. Półtora roku poprzedzające datę zgonu, Chałubiński spędził w ustroniu zakopiańskim. Do ostatniej chwili liczni jego przyjaciele i wielbiciele zimą i latem dążą do Zakopanego, aby krzepić myśli i uczucia widokiem szczytów tatrzańskich i widokiem człowieka, który długi żywot umiał wypełnić pracą, do jakiej podniecią była miłość nauki, kraju i człowieka.

Gdy żył Chałubiński, Zakopane posiadało urok, o jakim pojęcia nie mogą mieć ci, co tych czasów nie pamiętają. Już sam przyjazd «króla tatrzańskiego» był uroczystością dla wszystkich, dla górali zarówno, jak i dla gości. Chałubiński przyjeżdżał zawsze do Zakopanego na początku lipca, a dnia, w którym go się spodziewano, kilkudziesięciu młodych górali jechało konno w odświętnych strojach parę wiorst na jego powitanie, tak, iż przez całe Zakopane, aż do swego domu jechał z eskortą, wśród radosnych okrzyków, wśród strzałów na *vivat* z pistoletów, często wśród salw z moździerzy. Goście, na widok tego malowniczego orszaku, powiewali czapkami i chustkami, jakby mu starym słowiańskim zwyczajem mówili: *a witajże nam, witaj, miły hospodynie!* — a on kłaniał się z powozu na wszystkie strony swym słomianym kapeluszem, rozpromieniony, szczęśliwy, uśmiechnięty i kontent, że znowu jest w swem ukochanem Zakopanem, w tych swoich pięknych Tatrach, których nikt nie miał takiego prawa nazywać *swojemi*, jak on!... Potem widywało go się jeżdżącego bryczką po ulicach, zawsze w serdaku i słomkowym kapeluszu; a gdy się zdarzyło, że szedł pieszo, to nigdy sam, bo jeśli nie szedł z Wojciechem Rojem lub Sabałą, to go otaczała gromada górali, z którymi nigdy nie brakło mu tematu do przyjacielskiej rozmowy. Czasami spotykało się go z jaką zapłakaną gaździną, z którą szedł do jej chorego męża lub syna; ale bywało i tak, że go się spotykało w towarzystwie najwybitniejszych jednostek naszego społeczeństwa, szczególnie z bracią artystyczną, do której przez całe życie miał nieprzeparty pociąg. Pamiętam czasy, w których go widywałem asystującego Modrzejewskiej, spacerującego z młodocianym Paderewskim, z księdzem Stolarczykiem (którego tymczasem wszystkie przechodzące baby całowały po rękach), z Sienkiewiczem. Gdy wychodził na wycieczkę w góry, całe Zakopane nie mówiło o czem innem; wycieczki bowiem takie, jak je urządzał Chałubiński, miały w sobie coś

romantycznego i epickiego zarazem. Przedewszystkiem nie odbywał ich nigdy w małym towarzystwie, lecz gromadą, złożoną z kilkunastu zaproszonych osób i 30 lub 40 górali, ze starym Sabałą na czele.

Wybierano się z całym obozem, z namiotami, rondlami, samowarami, kocami, etc. etc., a nadewszystko z muzyką, z bassetlą, z kobzą, z harmonią, z kilką skrzypiec, ze słynnym Obrochtą, jako pierwszym skrzypkiem i przewodnikiem tej góralskiej orkiestry. Prowadzili Jędrzej Wala, Maciej Sieczka, Szymek Tatar, Wojtek Roj i Sabała, który przez całą drogę przygrywał na swych gęślikach, przyspiewując jednocześnie. Za nimi siedł Chałubiński z towarzystwem, niekiedy i w towarzystwie żony, którą górale nieśli w specjalnie *ad hoc* sporządzonym fotelu; w tyle zaś, za nimi, szli »chłopi« z torbami na plecach, wypchanymi żywnością i zapasową odzieżą, z kotlikami i ciupagami w ręku. Takim taborem zapuszczano się w góry, wdzierano się na najniebezpieczniejsze szczyty, rozkładano się nad brzegami jezior, a że z »panem doctorem« nigdy nie wychodziło się na krócej, niż na kilka dni, więc i nocowano pod gołym niebem, w kosodrzewinie lub lesie, przy świecącym księżycu lub gwiazdach, a niekiedy pod powalą chmur, »siewających« drobnym *kapuśniaczkiem*. Ci, co brali udział w tych wycieczkach Chałubińskiego, nie zapomną o nich do śmierci! Zwłaszcza nie zapomną tych noclegów przy rozpalonem ognisku. Gdy jeszcze na spanie było zawczasie, zabawiano się w ten sposób, że albo Sabała, rzępoląc na gęśli, opowiadał o dawnych zbójnickich wyprawach, albo górale tańczyli *zbojckiego* (oczywiście, że się bez muzyki wtedy nie obeszło), albo Obrochta grał na skrzypcach, a jeden i drugi śpiewał pieśni góralskie:

Oj, góry nase, góry,
Oj hale, nase hale,
Kto was zna tak dobrze,
Jako my górale!

Tak było do r. 1887, dopóki brzemień starości i choroby nie powaliło genialnego lekarza. Odtąd Tatry stały się dlań niedostępne; musiał poprzestawać na samem tylko Zakopanem, aż w końcu prawie się nie wychylał po za obręb swego domu. Były to smutne czasy dla Zakopanego: wszyscy wiedzieli, że Chałubiński już nie wyjdzie z tej choroby. Kiedy się go spotkało czasami, jadącego bryczką z Sabałą lub Rojem, zgarbio-

nego, z cerą ziemistą, oczyma przygasłemi, serce się krajało na jego widok: była to już tylko ruina człowieka, stojącego nad grobem. Patrząc nań (a gdy przejeżdżał, mimowoli wszyscy odsłaniali przed nim głowy), przeczuwało się, że to już niezawodnie ostatnie lato widzi się go w Zakopanem.

Na parę tygodni przed śmiercią Chałubińskiego, bawiący i koncertujący wtedy w Krakowie Paderewski, już opromieniony europejską sławą pierwszego pianisty, dowiedziawszy się, że chory zapewne już nie doczeka wiosny, pospieszył do Zakopanego, ażeby pożegnać się ze swym dostojnym wielbicielem i osłodzić mu ciężkie chwile niemocy swą mistrzowską grą na fortepianie. Gdy z Wiednia, Paryża i Londynu dochodziły nas echa tryumfów Paderewskiego, Chałubiński, już wtedy chory, niejednokrotnie wyrażał życzenie, że jeszczeby chciał »pana Ignacego« choć raz usłyszeć przed śmiercią. I oto stało się zadość jego życzeniu: w chwili, gdy może go się najmniej spodziewał — gdy słoty i wichry jesienne zasepiały całe Podhale — Paderewski zjawia się w Zakopanem, spędza kilka godzin przy łożu dogorywającego przyjaciela i cały wieczór gra mu Beethovena, Chopina, Schumana. Oprócz Chałubińskiego słuchało go jeszcze kilka zaproszonych osób. W niespełna miesiąc potem Chałubiński już nie żył. Umarł dnia 4 listopada 1889 roku.

III.

ZAGADKOWY KRÓLEWICZ.

(Z powodu książki Dr. Wł. Matlakowskiego o Hamlecie).

Niema wcale przedmiotowej
krytyki, jak niema przedmiotowej
sztuki.

Anatole France.

»Zdawało mi się, iż hamletologia, która tyle umysłów zaprzętała i zaprzęta w Europie zachodniej, zasługuje na to, ażeby ją zbiorowo przedstawić naszej społeczności, którą dotychczas dochodziły jeno same odgłosy z czasopism, zazwyczaj wyrażone krotofilnie«. W tem przekonaniu zabrał się ś. p. Wł. Matlakowski (w ciągu swej ostatniej choroby piersiowej, na którą zmarł w końcu), do pisania swego wyczerpującego, 417 dużych stron drobnego petitu in 8° obejmującego »wstępu« do własnego przekładu *Hamleta*, choć sobie doskonale zdawał sprawę, jak szczerpłem jest u nas to grono, które się podobną pracą zainteresować może, u nas, gdzie »nieliczna garstka ludzi z wyższem wykształceniem, pochłonięta przeważnie dorabianiem się, a następnie pomnażaniem majątku, nie posiada nalogu niemieckiej odpowiedniej klasy, znajdującej czas, poza obreębem swych zajęć fachowych, na interesowanie się rzeczami literackimi«.

Hamletologia należy do dziedziny tych rzeczy literackich, które o ile zajmowały i zajmują cały legion umysłów w Niemczech lub Anglii (o Francyi nie da się tego powiedzieć), o tyle w Polsce, gdzie, zdaniem Matlakowskiego, »książki poważne

zalegają dno rzeki umysłowej, pozostają nieznanymi zupełnie nawet literatom z zawodu. Wiedzieliśmy wprawdzie, że Goethe w swoim *Wilhelmie Meistrze* cały rozdział poświęcił szczegółowemu rozbirowi *Hamleta*, wątpię jednakże, aby było wielu takich wybranych, którzyby wiedzieli, że o tem arcydziele istnieje tak olbrzymia i arcyciekawa literatura, jak nas o tem informuje »wstęp« Matlakowskiego.

Warto przeczytać ten wstęp, choćby dlatego tylko, żeby nabrać należytego wyobrażenia o przenikliwości, a zarazem i o chwiejności krytyki nowoczesnej, ażeby się przekonać, w jak rozmaity sposób może jedna i ta sama rzecz odbijać się w różnych umysłach, jak wszystko, co się widzi w danej rzeczy, zależy od tego, kto patrzy i z jakiego punktu widzenia.

I.

Cała prawie połowa »wstępu« Matlakowskiego zawiera streszczenia i cytaty ze wszystkich wybitniejszych prac, jakie się od 100 lat ukazały o *Hamlecie*: począwszy od Goethego, którego można uważać za istotnego twórcę, a przynajmniej inicjatora całej literatury, zwanej hamletologią, a skończywszy na autorze *Paryżanki*, Henryku Becque'u, który niedawno temu, w paryskim *Figarze*, wystąpił z »nową« teorią rozwiązania zagadki *Hamleta*¹⁾.

Zdaniem Goethego, który się pierwszy zdobył na jasne, głębokie, a względnie zwięzłe określenie całości dramatu, Szekspir chciał przedstawić w *Hamlecie* »wielki czyn«, włożony na duszę, która do tego czynu nie dorosła. Hamlet — to cenne naczynie, które powinny być w swoje łono przyjmować tylko śliczne kwiaty, a w które zasadzono dąb: korzenie się rozrastają, więc naczynie pęka. Istota piękna, czysta, szlachetna, wysoce moralna, bez siły umysłowej, tworzącej bohatera, ginie pod ciężarem, którego nie może ani unieść, ani odrzucić. Tak utrzymuje genialny autor *Fausta*, król poetów XIX wieku.

Innego zdania jest Herder, któremu Hamlet nie wydaje się pozbawionym ani woli, ani siły; po prostu należy on »raczej do spekulacyjnej niż czynnej części ludzkości«: nie tchó-

¹⁾ Od tego czasu ukazały się dwie nowe — a znakomite — oceny Hamleta: Kuno Fischera i J. Brandesa.

rzostwo cechuje królewicza, gdy chodzi o wykonanie zemsty, lecz skrupuł metafizyczny, płynący z sumienia. Stąd ów nastrój metafizyczny, panujący w całej sztuce, stąd sławny monolog: *Być czy nie być?*

To samo mniej więcej utrzymuje Coleridge, któremu się wydaje, jakoby Szekspir, pisząc *Hamleta*, pragnął wdrożyć w nas tę prawdę, że działanie jest głównym celem istnienia, że przymioty umysłu, choćby były najświetniejsze, nie mogą być uważane za cenne, gdyż, odcinając od czynu, są raczej nieszczęściem: tak długo wiodą nas do rozmyślenia, aż w końcu upłynie czas, w którym mogliśmy byli czegoś dokonać skutecznie. Stąd, jeżeli wyciągniemy ostateczną konsekwencję z twierdzenia Coleridge'a, okaże się, iż *Hamlet* jest utworem tendencyjnym: konsekwencya, na którą — znając charakter utworów Szekspira — trudno się zgodzić.

To samo możnaby powiedzieć o poglądzie Schlegla, który lubo przyznaje Hamletowi, iż jest umysłem bardzo wyrobionym, nieobcym szlachetnej ambicyi, zarazem przypisuje mu słabość woli i, co gorsza, wrodzoną skłonność chodzenia krętymi drogami. Według Schlegla, Hamlet jest obłudnikiem względem siebie, dla którego daleko sięgające skrupuły są często pokrywką do osłonięcia braku postanowienia, a który nadto nie może oprzeć się na żadnym przekonaniu jakiegokolwiek rodzaju, czy to będzie sceptycyzm, czy nauka Kościoła.

Łatwiej się zgodzić z Hazlitem, albowiem on pierwszy pojął Hamleta, jako człowieka genialnego, nietyle obdarzonego siłą woli i namiętności, ile głęboką subtelnością myśli i uczuć, bardzo wrażliwego, zdolniejszego do analizowania swojej złożonej psychiki, aniżeli do obmyślenia planu działania, a który, choć doskonale zdaje sobie z tego sprawę, nie może się zdobyć na ostateczną decyzję, wtedy właśnie, kiedy okoliczności sprzyjają dokonaniu zamierzonego czynu. Jako bohater tragedyi — choć na bohatera ma najmniej danych — jest on bardziej zajmujący, niż zgodny z prawidłami, sympatyczny, choć nie bez winy.

Co innego twierdzi Gans, występujący z twierdzeniem — ośmieszonym przez Kleina — że *Hamlet* jest wyrazem »nicości rozwagi, nicości zastanowienia«. Jest to tragedia nicości rozwagi! Dlatego, obok *Fausta*, *Hamlet* pozostanie tragedją najgłębszą, najśmielszą i najcharakterystyczniejszą; bohater jej

»ulega nie przez to, co skądinąd słusznie zowiemy ludzką słabością, lecz od tego, co z konieczności musimy nazywać ludzką siłą«.

Nierównie głębiej wniknął w charakter Hamleta sławny Szekspiolog Urlici, utrzymujący, iż królewiczowi nie brak ani odwagi, ani energii, ani woli, ani stanowczości; jest to tylko duch filozoficzny, który posiadając chęć i siły do spełnienia wielkich rzeczy, pragnie jednak, ażeby, działając, był posłuszny rozkazom własnej myśli. Dlatego spełnienie czynu, narzuconego mu przez zewnętrzne okoliczności, jest przeciwne jego usposobieniu. Nadto jest on chrześcijaninem, który mając spełnić zabójstwo, walczy z człowiekiem natury; jeśli się tak ociąga, to dlatego jedynie, bo zabijanie, jak i samo pojęcie zemsty, są antychrześcijańskie.

Bardzo zbliżonym do powyższego jest pogląd bezimien-
nego autora w *Quarterly Review* z r. 1847, pojmującego Hamleta, jako odbicie wszechstronności geniuszu Szekspira. Hamlet, jak Szekspir, posiada umysł mądry i dowcipny, oderwany a praktyczny; najrozleglejszy zakres filozoficznego rozmyślenia, idzie u niego w parze z najprzenikliwszą bystrością w sprawach życiowych; zabawny żart, kasażąca satyra, skrzące odcięcie się, przy najgłębszej, ponurej myśli: wszystko to jest mu właściwe, wszystkich tych tak różnorodnych zdolności używa ze sprawnością zadziwiającą. Nadto posiada nadzwyczajny dar natychmiastowego odgadywania natury i pobudek ludzi, z którymi się styka, co mu pozwala w oka mgnieniu przystosować swoje zachowanie się do ich osobistych właściwości. Będąc umysłem filozoficznym, z lada powodu, często z przyczyny jakiegoś najbłaższego wydarzenia, stara się wszystko sprowadzać do praw ogólnych, a że myślą wybiega poza świat, więc lubi zatapiać się w rozmyślanii. Na to, ażeby zabić stryja, ma dość siły i wytrzymałości nerwów; jeżeli tego nie czyni, to z powodu skrupułów sumienia; ono go odciąga od zbrodni, ono rodzi apatyę, ono w nim wytwarza niezgodności, niespokojności. »Rozważając spełnienie czynu, który z zewnątrz wygląda bardziej na mord, niż na prawne ukaranie, drży, aby pomimo wszystko nie popełnić wyraźnej zbrodni; z drugiej strony, gdy zwraca wzrok na bezceństwa stryja, wyobraża sobie, iż więcej jest tchórzostwa niż sprawiedliwości w jego zwlekaniu«.

To samo wynika z zapatrywania Hudsona. Ten jeszcze

wyraźniej podkreśla w Hamlecie walkę sumienia z obowiązkiem. »Hamlet dorósł do wysokości spełnienia każdego obowiązku, lecz nie do pogodzenia obowiązków niedających się pogodzić; nie umie działać dla tej prostej przyczyny, że posiada równy szacunek dla wszystkich obowiązków swego położenia«. Jego niezdolność nie jest rodzaju indywidualnego, lecz moralnego. Jeśli się ustawicznie obarcza winą swego położenia, to jest w tem zawarty jeden z najdelikatniejszych rysów w całym wizerunku. Poczucie moralnej słuszności i prawości, przy nadzwyczajnej pełni umysłu, w połączeniu z nadzwyczajną pełnią delikatności i wrażliwości: oto najlepsza charakterystyka Hamleta.

Dlaczego Hamlet tak wlecze dzieło zemsty? Oryginalną odpowiedź na to pytanie daje Mozley, upatrujący przyczynę tego kunktatorstwa hamletowego w pierwiastku filozoficznym, w przeświadczeniu, iż ten straszliwy czyn, zabójstwo starego króla, z taką przebiegłością dokonany przez jego własną małżonkę i brata, jest tylko próbką obszernego systematu krzywdy i niesprawiedliwości w tym widzialnym stanie rzeczy. Cóż z tego, że ten jeden czyn, ta jedna podłość zostanie pomszczona, kiedy ten jeden czyn, ta jedna podłość, to tylko jedna kropla z niezmiernego oceanu zbrodni i krzywd; cóż z tego, iż on naprawi ten jeden czyn przemocy i zła, kiedy reszta pójdzie swoją koleją, kiedy rzeczywiste zło jest niewyciężone, niedosiegalne, wszędzie istniejące. Naprawić jeden przypadek byłoby to tylko częste zaplątanie się w zrobienie tego samego z innymi, *ad infinitum*, t. j. jać się zadania niemożliwego. Tem przeświadczeniem trapiiony, Hamlet nie może się zdobyć na czyn, czuje bowiem, iż tym czynem nie »przywróci do normy« tego świata, który »wyszedł z formy«.

Epokę w hamletologii stanowiło w r. 1849 olbrzymie 4-tomowe dzieło Gervinusa o Szekspirze. Ale myliliby się, ktoby sądził, że sławny profesor heidelberski (mistrz Klaczki) występuje jako obrońca dobrej sławy królewicza duńskiego. Rzecz się ma właśnie przeciwnie. Według studyum Gervinusa, Hamlet ukazuje się nam, jako »mężczyzna dojrzały, otyły, krótkiego tchu, temperamentu spokojnego, cichego, flegmatyk«, podobny do jakiegoś niemieckiego profesora dawnej daty, bez żółci, o naturze »ciężko poruszalnej«, który, choć posiada dowcipno-satyryczną i elegijno-sentymentalną żyłkę, nie puściłby się — dzięki

swemu cichemu niewinnemu usposobieniu — na grzeszki młodości Henryka IV, boby go od tego odwiodły ostatecznie »łagodne cnoty«, oraz delikatne i miękkie uczucia, które mu są właściwe. Jeżeli królewicz nie może przez pięć aktów tragedyi zdobyć się na zabicie swego stryja, to dzięki swej flegmatycznej naturze, a także i dlatego potrosze, że zbyt ściśle rozważa wyniki tego kroku, że — jak niemiecki profesor — boi się być niesuminnym i zbyt pochopnym, że jest zbyt roztropny i oględny, że w wykonaniu dzieła chce iść na pewno i ostrożnie, a przytem sumiennie. Pod względem inteligencji jest to głowa genialna; jego monologi są arcydziełami rozmyślenia; jak prawdziwy uczony, prowadzi notatki, a w 30 roku jeszcze się wydziera do wszechnicy; przyczem nietylko zna się na teatrze, ale sam jest poetą i aktorem. Nie znaczy to, żeby był bardzo sympatycznym, choć jest to prototyp człowieka nowożytnego. Jest to idealista, który nie dorósł do świata rzeczywistego.

Jeszcze surowiej, niż Gervinus, osądził charakter Hamleta Kreyszig. Dla niego jest królewicz duński, krótko mówiąc, moralnem zerem, człowiekiem, który metodycznie i z zimną krwią poświęca np. szczęście ukochanej. Gdzie należy dobyć sztyletu dobywa notatnik; gdzie godziłoby się powiedzieć: »Śmierć zbrodniarzowi!«, mówi: »Adieu, adieu, pamiętaj o mnie!«; a wogóle nie ma ani odrobiny »siły postanowienia«. Jest w naszym języku doskonale wyrażenie, które najlepiej określa to, co o Hamlecie mówi Kreyszig: »wykręcać się sianem«. Hamlet, zdaniem tego krytyka-Zoila, czyni to bezustannie. »Od sceny do sceny uwagi jego stają się dowcipniejsze, głębsze, a tymczasem sumiennosc jego schodzi do słabości zaledwie osłoniętej, od słabości do sofistycznego przekręcania wszystkich, najprostszych podstawowych pojęć, aż wreszcie dowcipna czułośćkość dochodzi do czynów, których moralnemu rodowodowi trzeba się przypatrzeć bardzo ściśle, by je odróżnić od występku«.

Jeszcze gorzej trzyma o Hamlecie, jako człowieku, Rohrbach. Ten się poprostu pastwi nad królewiczem. Udaje waryata! Cóż za szkoda, że był następcą tronu! Mógłby zrobić majątek, jako aktor! »Zdawałoby się, iż udawanie szaleńca powinienby rozpocząć przed stryjem lub co najwyżej z matką. Bynajmniej. Rozpoczyna od niewinnej Ofelii. Dlaczego? Z tchórzostwa. Jak okrutne było jego zachowanie się względem Ofelii, a tymcza-

sem cóż za napuszone frazesy wygłasza nad jej trumną! Dlaczego? Bo to tanie i nie kosztuje nic prócz trochy tchu». Wogóle, gdzie chodzi o słowa, o szumne a puste frazesy, tam Hamlet umie »działać«. Oslawiony monolog: *To be or not to be*, któremu zazwyczaj »grubo za wiele przypisują wartości«, nie jest w niczem wyższy od innych, chyba w tem, że jest całkowicie ogólnikowym. Hamlet boi się śmierci, a raczej tego, co następuje po niej. Jest to pokrywka tchórzostwa. »Monolog ten nazywają *point* całego dramatu, prawdopodobnie dlatego, że jest tak czysto filozoficzny. Lecz za wiele przypisują mu doniosłości. Dlaczego? Bo się zaczyna od zagadkowego: »Być albo nie być«. To brzmi tak interesująco! Ludzie są osobliwi i mają swoje fantazy. Wielu nie wie nawet, co te słowa znaczą... Gdy sztuka w teatrze dochodzi do tego monologu, możesz zauważyć, jak słuchacze natychmiast nadstawiają uszy. Weszło to w zwyczaj, żeby uważać to za doniosły ustęp«. Tymczasem Hamlet jest to sobie zwykły słabeusz, a przytem gaduła, który wciąż paple więcej, niż potrzeba: gdyby chciał jąć się dobrze dzieła, nie trzymałbyby przynajmniej języka za zębami? Przy każdej sposobności musi wypalić mówkę, nawet w tak dramatycznych chwilach, jak po zabiciu Poloniusza. Wogóle jest to »bohater« słaby i gadatliwy, który, choć filozofuje doskonale, od wszystkiego przecież, co ma zrobić, cofa się, zwłaszcza, gdy trzeba to zrobić wśród białego dnia. Lubi noc i jej tajemniczość. Względem Ofelii okazuje się bez miłości i wdzięczności, aż do grubiaństwa. Nad jej mogiłą jest dziecinnie niedołązny, choć potrafi być okrutnym i mściwym, czego dowiódł swem postępowaniem z Rosenkrancem i Gildensternem. Godny syn ojca-gadatywusa i słabej matki. Nawet ambitnym nie jest; będąc nim, nie pozwoliłby, jako prawy następca tronu, żeby korona spadła na stryja. Nadto, nie będąc sam żadnym chwały, zazdrościł jej innym.

Inaczej zapatruje się na charakter Hamleta Vischer, sławny estetyk. Według niego, Hamlet, choć grzeszy nadmiarem refleksyi, zawsze jest wielkim, szlachetnym, rzetelnym, jednym z tych, którzy są za dobrzy, za nieszczęśliwi, by zostali sprawiedliwie ocenieni przez ludzi. Jako żyjący w świecie złym i zepsutym, ma prawo pogardzać nim, a Szekspir, jeśli się ośmielił środkową postacią dramatu uczynić bohatera, który wciąż waha się i odkłada, to z całą świadomością postawił go

w takim otoczeniu; gdyby tego nie był uczynił, nie byłoby dramatu, Hamlet nie byłby postacią tragiczną. Tymczasem, dzięki konfliktowi, wymyślómemu przez poetę, tragedia robi wrażenie śrubby, przykręcającej się coraz szczelniej i szczelniej, która ostatecznie zmusza biernego i wciąż cofającego się bohatera do takiej reakcji, że w końcu i śruba i jej ofiara rozpadają się na atomy. Co zaś do charakteru Hamleta, to jest to w gruncie rzeczy natura gwałtowna, podobna do wulkanu, którego cała gwałtowność istnieje wewnątrz, nie zewnątrz: na zewnątrz wyrzuca tylko różnokolorowe światła, skry dowcipu, błyskawiczne mignięcia; straszliwy potok lawy wybucha tylko od czasu do czasu, zawsze z fatalnym skutkiem, wewnątrz jednakże słychać ciągle grzmot i ryk, świadczące, że zaparta siła nie może sobie znaleźć ujścia. Zaporą, tamującą to ujście, jest zbyt duża przewaga refleksyi, co jest naturalnem zupełnie, zważywszy, że samo myślenie nigdy nie wiedzie do działania: niema mostu od myślenia do spełnienia myśli. Przejście od myślenia do działania jest irracjonalne: jest to skok, przerwa w łańcuchu bez końca. Tylko awanturnicza siła daje rozstrzygnięcie, wyzwolenie, tak, że nakoniec wylatują podwoje, a co jest wewnątrz, wylamuje się na zewnątrz — jak Minerwa z głowy Jowisza — jako czyn, i staje się rzeczywistością. Tej awanturniczej siły, korzystającej z pierwszej sposobnej chwili, a nie namyślającej się, czy następna nie będzie sposobniejszą, brak Hamletowi. Niema dłań nic straszniejszego, jak słowo *teraz*. Dlatego zwleka, odkłada.

Zdaniem Flathego, Hamlet jest już, jako młodzieniec, olbrzymem pod względem męskiej śmiałości i męskiego uporu; wżył się w świat duchowy, a będąc idealistą z natury, roi początkowo, że świat powinien być czystym zwierciadlanem odbiciem idei, a życie musi płynąć na podobieństwo niewinnych fal przeźroczyściego potoku. Takie były jego marzenia i ideały młodzieńcze, które gdy runęły, jak piramida z kart, przy bezpośrednim zetknięciu się z rzeczywistością, Hamlet daje się opanować najzupełniejszemu zwątpieniu i opadają mu skrzydła; w końcu dochodzi do wniosku, że świat i życie nie są warte zgnitego jabłka. W tem tkwi istotna przyczyna, która go powstrzymuje od wystąpienia przeciw królowi: jest przekonania, że nie warto się silić na dokonanie tej zemsty, której i tak ostatecznym rezultatem byłoby — *nic!* Nicby się przez nią nie

zmieniło, ani na świecie, ani w Danii. Więc po co się silić nadaremnie — dla niczego! *Vanitas vanitatum!*

Dla wielu krytyków, zwłaszcza niemieckich, Hamlet jest uosobieniem *Weltschmerzu*. Stanowczo przeczy temu Friesen: dla niego najwydatniejszą rolę w zmianach nastroju u królewicza stanowią ból i utajona wściekłość ze zgryzoty, które mu sprawiła matka. Uczucie delikatności, wrażliwość dworaka i kochającego syna, obrażone, buntują się wobec postępu królowej. Stąd wszystkie smutki Hamleta. A co było przyczyną, że tak zwlekał z zabiciem Klaudiusza? Bądź co bądź, kunktatorstwo nie jest rysem charakterystycznym Hamleta. Jeśli się waha i zwleka, to dlatego, że działa rozważnie, oceniając trudność spełnienia tego czynu. Jego zwlekanie jest to »zawikłany splot, zadzierny pobudek wrodzonych, leżących w głębinach charakteru, i pobudek, wynikłych z wychowania i wykształcenia«.

Niemniej dodatnimi są ostateczne wnioski, do których doszedł Hebler, lubo i on zarzuca Hamletowi »spaczony nałóg zastanawiania się, które można nawet ochrzcić mianem transcendentalnego, skoro wychodzi poza obręb wszelkiego rozumnego, praktycznego roztrząsania«. Swoją drogą na usprawiedliwienie królewicza i jego »myślenia zbyt ścisłego o wyniku« godzi się podkreślić trudność sytuacji, w jakiej się znalazł, i nie należy zapominać, że Hamlet znajduje się w położeniu osobiwem nad wszelki wyraz, że włożono nań zadanie bardzo niezwykle. O tem nie pamiętało wielu krytyków, choć byli tacy — powiada Hebler — co najniepotrzebniej i najniewłaściwiej starali się z Hamleta uczynić rzecznika protestantyzmu, co politykę mieszcali do estetyki, co dowodzili, że Hamlet to protestantyzm, że Hamlet to Niemcy, etc. etc. Tymczasem Hamlet to poprostu — tylko Hamlet, i nic więcej!

Nauczka ta, dana Niemcom wogóle, a niektórym krytykom niemieckim i zbyt zagorzałym protestantom w szczególności, nie odnosi się do Doeringa, który bez żadnych ubocznych celów widzi w Hamlecie przedewszystkiem pesymistę. Jest to przedzierzgnięcie wybujałego idealizmu w zgorzkniały i namiętny pesymizm. Wywołały go: zamęczenie matki i dwulicowość Ofelii. W każdym razie ten pesymizm Hamleta — idealisty w gruncie rzeczy — nie jest przekonaniem, lecz chwilowym nastrojem, usposobieniem; to nie wynik długiego rozumowania, lecz skutek kilku żywszych a dotkliwych wrażeń.

Wskutek tego Hamlet widzi wszystko w czarnych kolorach, świat nazywa złym, nie wierzy w cnotę, a nie uznając ciągłości trwania porządku moralnego, jest konsekwentny, kiedy się nie poczuwa do konieczności przywrócenia go.

Jeszcze inaczej zapatruje się na Hamleta Sievers, dla którego książę jest przedstawicielem ducha w człowieku, świadomego swojej boskiej zdolności. Jako taki, szuka ideału wprost w życiu, w moralnych stosunkach człowieka do człowieka, w przewodze ducha, a przede wszystkim w moralnym poczuciu jednostki. To też, w swem pożądaniu i poszukiwaniu ideału, idzie wprost do świata, od niego żądając, aby mu okazał swój ideał urzeczywistnionym. W świecie, w realnym życiu, pragnąłby znaleźć rękojmię dla swej najgłębszej świadomości, dla swojej wiary w człowieka. Słowem, jest to rycerz najwyższych wymagań moralnych, jakie umysł ludzki stawia życiu; za czym idzie, iż jest to człowiek dzielny, prawego serca, energiczny (a ten ostatni rys, zdaniem Sieversa, zawdzięcza przewodze pierwiastku duchowego). Niemniej pewnem wydaje się Sieversowi, że Szekspir stworzył Hamleta »w duchu nawskróś germańskim«: brat to duchowy Werthera, a jeszcze bardziej Fausta. Cała tragedia jest przedstawieniem męki i niemocy ducha, który stanął w rozterce ze światem i stracił punkt oparcia.

Wbrew utartemu pogładowi, iż Hamlet nie jest zdolny do czynu, znalazł się jakiś bezimienny, a przenikliwy i subtelny krytyk, który dowodzi — w jednym z roczników niemieckiej *Shakespeare-Gesellschaft* — że Hamlet, owszem, może uchodzić za wzór, jak się szybko decydować należy, czy to, kiedy zabija Poloniusza, nie wahając się ani chwili, czy kiedy z szybkością postanawia posłać Rosenkranca i Gildensterna na śmierć, czem dał dowód, iż jest zdolnym nawet do żwawej, chłodnej decyzji. Wszystko to nie są postęпки człowieka, który od zbyt wielkiego rozmyślania, spekulacyi, nie może doprowadzić się do stanu, w którym rodzi się czyn. »Nie miałyby siła działania i *namiętność* zgadzać się zawsze jedna z drugą?»

Na ten wyraz *namiętność* położył wielki nacisk w rozborze charakteru Hamleta Oehlmann, który ośmieszyszy braci-krytyków, że krwawo pracują, aby każde dzieło Szekspira przedystylować w jakąś podstawową idee, wykazuje, że główną i podstawową *namiętnością* Hamleta jest owo znamię szlachetności, które widnieje w tyłu bohaterach Szekspira: naj-

szczerza prawdomówność, miłość prawdy, sumiennność, poczucie tego, co stosowne i słuszne. Jest to natura do gruntu szlachetna, rzetelna i sumienna, »zwierciadło obyczajów i wzór formy«, i to jest powód, dlaczego się tak nie posiada na widok nagłych zaślubin matki. Z tego rysu da się wyprowadzić jego chwiejność, jego niemożność szybkiego zdecydowania się na zabicie króla (ale tylko króla, bo na zabicie Poloniusza lub Rosenkranca i Gildensterna decyduje się w mgnieniu oka). On przedewszystkiem dąży do czystości, do sumienności i słuszności, a z tem dążeniem zbyt łatwo połączył drugi rys: pochop do wynajdywania zarzutów przeciw każdemu postanowieniu, każdemu planowi, wymagającemu stanowczego działania. Z tymi pierwiastkami jego charakteru łączy się i ocienia je zdumiewający umysł, który mu daje możność (i w tem leży tragedia) widzieć na wylot wszystko i sądzić wszystko trafnie — wszystko, tylko nie siebie, tylko nie swoją nieprzewyciężoną skłonność do wahania się z jej koniecznymi następstwami.

Całem nieszczęściem Hamleta, według Bodenstedta, jest to, że jego talenty i skłonności wymagają zupełnie odmiennej dziedziny działania, aniżeli ta, w jakiej się urodził. W tem leży jego tragiczność. Ma poczucie artystyczne i filozoficzne zdolności, swoją drogą można być pewnym, że nie dokonałby żadnego ważniejszego dzieła, ani jako artysta, ani jako filozof. Zamiast być panem, jest niewolnikiem swoich zdolności; jego talenty stają się dlań zgubą. Ażeby z nich skorzystał, trzeba energii; tej Bodenstedt nie widzi w Hamlecie.

Da się łatwo zrozumieć, jeżeli, jak twierdzi Zimmermann, uwzględni się wpływy dziedziczne: Hamlet jest nieodrodnym dzieckiem swoich rodziców: słabość, opuszczanie się, wziął po matce, kiedy od wagę tymczasem, często junacką i nierozważną, której dał dowód, wskazując na okręt piratów, wziął po ojcu, który był przedewszystkiem odważnym rycerzem, nieustraszoną w bitwach z Polakami. Namiętna skłonność do chodzenia krętymi drogami, do intryg, do podkopywań się pod minierów, to rys charakteru, który także cechuje jego stryja.

Dla Wernera jest Hamlet »pytaniem rzuconem przeznaczeniu«, jest to pierwsza część dzieła podobnego do arabskiego poematu, księgi Job, poważne i uroczyste przeciwstawienie dobra i zła, z których żadne nie wychodzi zwycięsko; jest to zagadka bez odpowiedzi, sfinks. Szekspir *chciał* go mieć takim.

Czego innego dowodzi Stedefeld. Twierdzi on, że Szekspir *chciał* w *Hamlecie* wystąpić przeciw sceptycznemu i kosmopolitycznemu pogładowi na świat Montaigne'a, że pisząc tę tragedję, *chciał* w *Hamlecie* wyzwolić się od wrażeń, jakie pozostawiło w jego umyśle czytanie książki francuskiego sceptyka. Dlatego Hamlet, *stosownie do zamiaru poety*, jest w całym zachowaniu się istotą mężką, szlachetną, rycerską, z poczuciem moralnym i religijnym, o inteligencji świetnej, z wielką znajomością ludzi i świata, z wykształceniem pierwszorzędnym, istotą jednak, której nie dostaje chrześcijańskiej pobożności, wiary, nadziei i miłości. Jest niedowiarkiem. Wiarę swą, którą posiadał niegdyś, stracił w chwili, kiedy się rozwiały jego marzenia i ideały młodzieńcze, kiedy się przekonał, dzięki swej matce, jak zło panuje na świecie. Odtąd stał się sceptykiem względem sprawiedliwej opatrności, ale jednocześnie popadł w rozterkę ze sobą, z Bogiem, ze światem.

Nierównie głębszem jest studjum Snidera, tem oryginalne, że w niem owa nieudolność działania, tak powszechnie przypisywana Hamletowi, jest przedstawiona, jako pozorna tylko. Hamlet, zdaniem Snidera, jest przedziwnie gotów do zrobienia pewnych rzeczy; natomiast innych nie chce uczynić i nie może doprowadzić siebie do ich wykonania, potrafi się zdobyć na czyn, wywołany chwilową podniecią, pod wpływem pierwszego impulsu, skoro niema czasu na zastanawianie się; ale tego, co zwiemy działaniem racjonalnem, nie posiada. Natomiast posiada to, co zwiemy działaniem *in minus*, t. j. zdolność udaremnienia zamiarów wroga. Tego najwyższego zjednoczenia, którem jest zjednoczenie Inteligencji i Woli, a które działaniu nadaje najwyższą postać, Hamlet nie posiada; to też można powiedzieć o nim, że w tragedji działa i nie działa.

Inną jest opinia Mezières'a o *Hamlecie*. Jego zdaniem, króliewicz należy do tej klasy nieszczęśliwych dusz, którym znane są tylko ciemne strony ludzkiego życia, których temperament melancholiczny i bardzo bystra przenikliwość czynią czulszymi na zło, dokuczające naszej naturze, niż na dobro, które nam przypada w udziale. Hamlet, choćby nie ujrzał straszliwego widma, nie byłby ani szczęśliwym, ani spokojniejszym. Jest to istota, która wnosi do walki życiowej potęgę, potrzebną do cierpienia, lecz nie ma siły do zwyciężenia go. Nadto nieustanna praca myśli, namiętne rozważanie wszystkich *za*

i *przeciw*, wszystkich *dla czego* i *po co*, wyczerpują tę chorobliwą, a nadmiernie wrażliwą duszę. Jeżeli nie działa, jak działać powinien, żeby pomścić śmierć ojca, to dlatego, iż sobie zdaje sprawę z odpowiedzialności, jakaby spadła na niego, i z wyrzutów sumienia, jakie musiałyby nastąpić po czynie, gdyby się pomylił. Podobnych skrupułów doznaje każdy sędzia, mający kogoś skazać na śmierć — jedynie na podstawie świadectw prawdopodobnych. Przytem ma wstręt do mordu, wzdryga się na myśl o męźobójstwie, którem gardzi jego szlachetne i rycerskie serce. Nie zabija, bo nie posiada temperamentu zbira.

Według Taine'a, Hamlet to dusza delikatna, wyobraźnia namiętna, jak samego Szekspira. (To samo przed Tainem twierdził Chasles, utrzymujący, że Hamlet to Szekspir, jak Mizantrop to Molière). Jego historia to opowieść o zatruciu moralnem. »Na tę duszę, którą wrodzone zadatki i wychowanie uczyniły wrażliwszą od drugich, spada nieszczęście, nadzwyczajne, przytłaczające, jakby wybrane do zniszczenia wszelkiej wiary i wszelkiej sprężyny działania: zblizka, za jednym rzutem oka, ujrzał całą ohydę człowieka, i to w osobie własnej matki«. Dotknięty takim ciosem, musi stracić równowagę psychiczną. Jakoż traci ją. Przez cały ciąg tragedyi, pod wpływem »przerażającego napięcia całej maszyny nerwowej«, jest blizkim szaleństwa; znajduje się w stanie, zwiastującym napad połowicznej monomanii; chwilami rzuca »wrażenia dziecka i idyoty«; nie jest panem słów; czeże wyrazy wylatują mu z ust, jak w sennem marzeniu. Oczywiście, że jest to stan chorobliwy, »człowiek ten nie pociągnie długo«. Tem się tłómaczy jego postępowanie: jego wola, jak jego nerwy, jest chorą, skolataną; nie jest panem swych postępków, wydarzenia mu je nakazują: dlatego »nie może obmyśleć mordu, musi go zaimprovizować«. Wogóle jest to dusza poety, która jest stworzona nie do działania, lecz do marzenia, która zatapia się w rozpatrywaniu marzeń przez siebie wymyślonych, a zbyt dobrze widzi świat wyobraźni, aby móżdż jakąś rolę odegrać w rzeczywistym; jest to artysta, którego zła dola uczyniła księciem, a jeszcze gorsza — mścicielem zbrodni, artysta, przeznaczony na geniusza, a którego los skazał na szaleństwo i nieszczęście.

Mniej efektowną, ale kto wie, czy nie głębszą od powyższej, jest opinia innego Francuza, Courdaveaux, dowodzącego, że Hamlet, w którym trudno dopatrzeć się cech germań-

skich, zarówno jak i jakiegoś podobieństwa do zniewieściałego Werthera, nie odznacza się ani jakąś miękkością serca, która jakoby go miała uczynić niezdolnym do spełnienia *bohaterskiego* czynu, ani mu brak odwagi, potrzebnej do spełnienia obowiązku; na to bowiem, ażeby zabić Klaudiusza, posiada aż nadto śmiałości. Jeżeli się *sam* niekiedy oskarża o te braki, to czyni to w chwilach uniesienia i namiętności. Ale nam nie wolno przytaczać *jego własnych słów* przeciw niemu; nie wolno brać dosłownie, co *on sam* mówi na swoją niekorzyść; nie wolno go stawiać *samego przeciw sobie*. On musi być sądzony z całego postępowania i na mocy tego, co mówią o nim ci, co go znają od dawna. A czyliż z ust kogokolwiek, prócz jego własnych, pada choćby słowo, oskarżające go o brak odwagi?... Jeżeli się ociąga z zabiciem Klaudyusza, to nie dlatego, żeby nie miał dość odwagi do spełnienia *bohaterskiego* czynu, ale dlatego, że czyn, który ma dokonać, z bohaterstwem — wbrew wyrażeniu Goethego — nie ma nic wspólnego. Zabicie człowieka, to nie jest »wielki czyn«, do którego wysokości Hamlety aż nie dorósł. Jest to zobowiązanie straszliwe, do którego on, ze swą duszą delikatną, jeszcze wysubtelnioną przez wychowanie i umysłową kulturę, nie jest stworzony. Nie jego rzeczą knuć spiski mordy, a potem zabijać z zimną krwią¹⁾.

Co innego twierdzi Montegut, dla którego Hamlet jest nie tylko jednym z najbardziej męzkich charakterów, jakie sobie można wyobrazić, ale jest to prócz tego ostatni z feodałów, a pierwszy z ludzi nowoczesnych; to osobistość, w której czujemy drganie nowożytnego ducha, w której poznajemy siebie, a która jednocześnie wylania się z wieków średnich, tak, iż eień tej epoki jeszcze unosi się nad nią. Hamlet, zamieszkujący naszą wyobraźnię, jest fałszywym, bo wyobrażamy go sobie czułościowym, ponieważ prawdziwy jest melancholijny; miękkim, że nie stanowczym; prawie niewieścim, że medytacyjnym i subtelnym w myślach; tymczasem prawdziwy Hamlet jest rozmyślający i energiczny, męzki i niezdecydowany, rzewny

¹⁾ Wbrew przeciwnej opinii pod tym względem jest Taine, który pisze: »Jeżeli waha się, czy zabić stryja, to nie przez wstręt do krwi i *nie przez skrupuły nowożytne*. To syn XVI w.; świadczy o tem postępek z Rosenkrancem, Gildensternem i Poloniuszem. Jeśli raz oszczędził stryja, to dlatego, że go zastał na modlitwie, bał się tedy posłać go do nieba«.

i grubiański. Jest to dusza szlachetna i filozoficzna, lecz zarazem feodalna i twarda. Prócz tego jest wielomówny, pełen wylania. Kiedy mówi, to dużo i długo, jak człowiek, któremu nigdy nie przerywano i którego stanowisko nie pozwala na zaprzeczenie. Trochę się kocha w dyletantyzmie słowa: lubi się słuchać. Nadto jest księciem w każdym calu, który umie być popularnym. Nie jest przytem, jak się zdawało niektórym, filozofem sceptykiem; przeciwnie, jest to dusza religijna, umysł chrześcijański.

Inaczej stawia kwestyę Tieck. Jego zdaniem, Klaudyusz, potomek bohaterskiego rodu, choć przeważają w nim, jako w człowieku, rysy złe i nikczemne, jako król panujący, posiada mnóstwo doskonałych przymiotów: jest mocny, rosły, przystojny (nawet duch starego Hamleta zwie go »pociągającym«), posiada zachowanie królewskie, a na tronie zasiadł prawowicie, przez zaślubienie dożywotniczki-królowej, wybrany przez cały naród; wybrany zaś, dzielnie piastuje swój urząd. Wobec tego, zadanie młodocianego Hamleta nie jest łatwym; to też Hamlet nie tyle ociąga się, ile walczy z trudnościami, które są prawie nie do przezwyciężenia.

To samo twierdzi Klein, który wskazując trudności zadania Hamletowego, podkreśla okoliczność, że zbrodnia została popełnioną bez świadka. »Zgrozą tej zbrodni jest jej pewność; zgrozą tego morderstwa — iż zamordowało samo odkrycie«. Stąd niepodobieństwo zemsty, bo brak materialnego dowodu, któryby ją usprawiedliwił wobec całego narodu. Zabijając Klaudiusza, Hamlet mógł ściągnąć na siebie miano królobójcy, nie mściciela za śmierć swego ojca. Dlatego pozorna bezczynność Hamleta jest »cudowną, zadziwiającą logiką, dyalektyką«.

Najświetniej rozwinął ten pogląd Werder, którego praca stanowi prawdziwą epokę w hamletologii, a który bardzo słusznie utrzymuje, że Hamlet nie chcąc się narazić na miano królobójcy, musi przed zabiciem Klaudiusza wpierw ujawnić i dowieść światu, iż Kladiusz był mordercą swego brata-króla. To jest niepodobieństwem; zbrodnia, jak płatek śniegu, wpadła w morze ludzkiego życia, stała się; zwierciadlana toń wygładziła się, wszystko poszło swoim torem. Świadectwo ducha jest wystarczającym dla synowskiego sumienia; nie wystarcza dla świata, dla Danii. Zabić króla, to mógłby Hamlet uczynić bardzo łatwo; ale co potem? Zwołać cały dwór i lud razem, i obwieścić im,

co go skłoniło do zabicia króla. Niktby mu nie uwierzył, a wszyscyby go osądzili jako waryata, wizyonera. Zresztą i sam duch nie żąda śmierci króla, lecz zemsty. Dlatego zadanie Hamleta polega nietyle na zabiciu króla, ile na tem, iżby go zmusić i doprowadzić do wyznania, słowem zdemaskować go, bo tylko usta zbrodniarza samego mogą wypowiedzieć całą prawdę. Cóż z tego wynika? Oto, że Hamletowi musi zależeć więcej na życiu króla, niż na jego śmierci.

Jeszcze inaczej, a niemniej przekonywująco, zapatruje się na Hamleta Rümelin. Według niego, sposób postępowania królewicza jest zagmatwany, a czyny nieodpowiednie zamierzonemu celowi; ażeby pomścić śmierć ojca, wybiera dziwne i niezrozumiałe środki. Czemu przypisać to zwlekanie i niezdecydowanie się Hamleta? Czemu? Odpowiedź nasuwa się bardzo łatwo: przedewszystkiem zwłoki są niemniej potrzebne w tragedyi, jak w życiu; a powtórę, gdyby Hamlet dokonał zemsty niezwłocznie po ukazaniu się ducha, dramat skończyłby się na drugim akcie. Można być pewnym, twierdzi Rümelin, że Szekspir, gdyby w *Hamlecie* zamierzał wyrazić niemoc i nieudolność do stanowczego działania, które stało się charakterystycznym od zbytecznego myślenia, byłby malował o wiele wyrazistszemi barwami. Zagadkowość Hamleta, nad którą tylu krytyków łamało sobie głowy, jest poprostu niedoskonalością dramatu, jako dramatu. Szekspir, który zwykł malować pendzlem Rubensa, wyraźnie i otwarcie, tym razem napisał dzieło, które sprawia wrażenie czegoś zaplątanego i sztucznego. Gdyby *Hamlet* był lepiej napisany, nie byłby takim sfinksem. Świetny w tych miejscach, gdzie jest nasiąknięty myślami i poglądami samego Szekspira, myślami jednak, które, luźno wplecione w dramat, najczęściej nie pozostają w organicznym związku, ani z dramatyczną treścią, ani z przebiegiem akcji, jest, jako budowa, jako kreślenie charakterów i postaci, o wiele słabszym od innych dramatów Szekspira.

To samo twierdzi Benedix, z tą różnicą, że jego zdaniem *Hamlet* jest, krótko mówiąc, bardzo słabym utworem, pełnym grubych błędów w kompozycyi sztuki, błędów, które są najlepszym kluczem do wyjaśnienia niezrozumiałości Hamleta. Przedewszystkiem sztuka zawiera — zdaniem Benedixa — cały szereg epizodów niezwykłych i zbytecznych, nie mających najmniejszego wpływu na przebieg akcji, a nawet

nie stojących w żadnym logicznym związku z tą akcją. Takim niepotrzebnym epizodem jest np. poselstwo do Norwegii i jego powrót; ani cel, ani wynik tej wyprawy nie posiadają dla nas t. j. w tragedji, najmniejszego znaczenia i interesu; tymczasem tygodnie, a może miesiące przechodzą, zanim posłowie wrócili, a czytelnik musi czekać, aż powrócą. Drugim niepotrzebnym epizodem, jest wyjazd Laertesza. Długie nauki, jakie Poloniusz daje Laertesowi, są pozbawione wszelkiego charakteru dramatycznego, a z akcją nie mają najmniejszego związku. To samo można powiedzieć nietylko o wyjeździe Rejnalda, ale i o Fortynbrasowej wyprawie do Polski, co jest niemożliwe bez okrętów, czyli, że znowu muszą upłynąć miesiące, zanim powróci, a my znowu musimy czekać na ten powrót. Również zbyt długim, a niepotrzebnie przedłużającym akcję, jest wyprawienie Hamleta do Anglii (znowu podróż!), przypadające w chwili, kiedy akcja zapowiada się żywiej, a zmierza ku rozwiązaniu. Dzięki tej podróży, znowu musimy czekać na powrót bohatera. Tym sposobem musimy patrzeć, jak w sztuce wyjeżdżają cztery osoby, a wyjeżdżają na to, ażeby powrócić w końcu. Gdyby nie te niepotrzebne podróże, akcja nie wleklaby się, kilka miesięcy, co byłoby równało energicznemu i stanowczemu działaniu Hamleta. Bo królówicze, jeżeli nie od razu zabija króla to tylko z powodu tych 5 niepotrzebnych epizodów. Jeżeli usuniemy te epizody wojażerskie, akcja potrwa kilka dni, a zagadkowość i niestanowczość Hamleta pierzchną, znikną: zagadka będzie rozwiązana. Z drugiej strony Hamlet wcale niestanowczym nie jest: celem pozbycia się wątpliwości, urządza przedstawienie, osiąga pewność i natychmiast zabiera się do dzieła i przebija Poloniusza, wzięwszy go mylnie za króla. Gdzież tu niestanowczość?... Za to nie ulega wątpliwości (zdaniem Benedixa), że Szekspir wogóle nie będąc konsekwentnym w kreśleniu charakterów, szczególnie w *Hamlecie* jest nim mniej, niż gdzieindziej. Ta niekonsekwencja stała się dla wielu szekspiromanów — głębokością. Np. stosunek do Ofelii: Hamlet ją kochał szczerze i gorąco; tymczasem *w udanej chorobie* postępuje z nią sromotnie. A Laertes? Zrazu jest rycerzem uczciwym i szlachetnym, a potem godzi się wziąć potajemnie rapir z ostrym końcem, a nawet zatruc ostrze. To samo trzeba powiedzieć o obłąkaniu Ofelii, które jest nieumotywowane (jak np. obłąkanie Małgosi w *Fauscie*). Ofelia umiera niepotrzebnie;

Hamlet również. Pod względem literackiej roboty, t. j. techniki, *Hamlet* jest jedną ze słabszych sztuk Szekspira. Duch zjawia się dwa razy w I akcie. Po co? Raz byłoby dosyć. Ma pomówić z samym Hamletem; przeto pierwsze zjawienie się jest zbyteczne. Niemniej błędnym jest pojedynek między Hamletem a Laertesem, osobliwy pojedynek, w którym walczący wśród największej *Hitze des Gefechtes* ni stąd ni zowąd — zamieniają szpady. Jestże to możliwem do pojęcia. »Gdy kto umie robić orężem, nigdy go w boju nie wypuści, a nawet, gdyby to było możliwe, nie zaprzestałby Laertes walki pod tym lub owym pozorem, skoro wiedział, że najłżejsza ranka zatrutym rapierem w dłoni Hamleta zada śmierć niechybną«. Zakończenie *Hamleta* jest równie słabe, jak ostatnia scena V aktu *Romea i Julii*. Na scenie zjawiają się zgoła nieznanne osoby, ażeby wypowiedzieć około 50 wierszy. A cóż nas obchodzi śmierć Rosenkranca i Gildensterna? Co nas obchodzi Fortynbras i poselstwo angielskie? Co nas obchodzi następstwo tronu duńskiego? Co nas może obchodzić to wszystko, skoro Hamlet nie żyje!...

Bardzo oryginalnem jest to, co Becque, autor *Paryżanki*, mówi o Hamlecie. Jest to typowy pogląd Francuza, wygłaszającego sąd o pisarzu nie francuskim. Dla Becque'a *le veritable Hamlet* jest człowiekiem bolejącym i zmiażdżonym, takim, co pyta się obłoków, przechadza się po cmentarzach, słowem, człowiekiem powszechnej pustki, lubiącym wciąż prawić o swoim wielkim smutku. Jednocześnie jest to dyletant, a dyletantyzm ten posuwa niekiedy aż do okrucieństwa, do bezbożności. W dyletantyzmie swym jest prawdziwym wirtuozem, który zawsze *gra* sytuację, w jakiej się znajduje, a przytem zawsze panuje nad sobą, zawsze ma najwyższą świadomość tego, co robi. Pod tym względem różni się od całego otoczenia, złożonego z przestępców i zapaleńców. Posadzać go o obłąd jest nonsensem. Jeżeli Hamlet w niektórych scenach udaje, t. j. gra waryata, to nie jest to nic innego, jeno najzwyczajniejszy środek teatralny; »jest to poprostu życie sztuki«, będące tem dla charakteru Hamleta, czem serce dla dzwonu; bez niego niema życia, z niem Szekspir rozporządza sceną i publicznością. Czemu Hamlet nie może się zdecydować na zabicie króla? To nie jest czyn jakiś ponad jego siły; to samo działanie wydaje mu się próżnem, jałowem i marnem; gardzi niem filozoficznie. Zrozumieć trudno, jak mógł Goethe nazwać »wielkim czynem«

zemstę, którą ma wykonać Hamlet. Jako człowiek, jest to »największy *bohème* wszystkich stuleci razem«, giętki i ruchliwy, mazgaj i mistyfikator, poeta, filozof, anarchista, wróg płci niewieściej. Najmniej jest księciem, zwłaszcza takim, jak go pojmuje Goethe, który w nim widzi jakiegoś młodego Ludwika XIV, członka rady państwa i dworaka. Poeci mają silny wpływ na niego. Zajmowane stanowisko rozwinęło w nim mi-zantropię, a co ważniejsza, to, iż pozwoliło popisywać się nią: Hamlet nigdy nie odmówi sobie przyjemności powiedzenia komuś impertynencji. Uczucie dla Ofelii w rzeczywistości jest prostą fantazją głowy, miłością literacką, którą zadawała uwagami, zalecankami. Ostateczna konkluzya, do jakiej dochodzi Becque, brzmi jak następuje: »Zostawmy tego męczennika, nie pytajmy go o nic. Cierpi; jest zdrów i cierpi straszliwie. Zrozumcież, iż to poruszenie sztuczne i zewnętrzne (t. j. akcja tragedyi samej) nie wchodzi w rachubę, ono go raczej uspakaja. Cierpi za siebie, za was, za świat cały. Jeśli go chcecie poznać, posłuchajcie go, gdy sam, gdy oswoił się od mężczyzny i od kobiety, i odrzucił księgę, w której stoją tylko wyrazy. Wtedy cały smutek ludzki wstępuje mu na usta i wypowiada słowa najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek wyrzeczono na scenie«.

O ile studyum Becque'a jest typowym wytworem umysłu francuskiego, o tyle elaborat Baumgarta jest typową pracą niemieckiego uczonogo i erudyty. Kiedy Becque, z pewnością siebie, właściwą znakomościom literackim francuskim, powiada o stosunku pierwszego wydania *Hamleta* z r. 1603, t. zw. Q₁ do drugiego wydania z r. 1604 t. zw. Q₂, iż »drwi sobie z uczoności, z jej skrupułów, danych« etc. i jest przekonany, że owego młodzieńczego utworu Szekspira, który mamy w Q₁, »nikt nie czytał«; to Baumgart, chcąc dowieść, że *Hamlet* jest skończonym arcydziełem bez zarzutu, oparł się na starych Kanonach poetyki Arystotelesa. Jakże się w tym przykładzie odzwierciedlają dwie odmienne psychologie narodów!

Wystarczy zacytować jeden ustęp z tej pracy Baumgarta, ażeby nabrać wyobrażenia o ciężkim kalibrze tego dzieła erudycyi, w jaką się ten niemiecki uczoney uzbroił, kiedy mu przyszło walczyć w obronie szekspirowskiego bohatera i dramatu. »To, co w Ojdypie sprawia perypetia w połączeniu z poznaniem, w Hamlecie dokazują właściwości jego charakteru i wła-

śnie najlepsze strony jego istoty przywodzą go do tego, że w swoim działaniu wpada w błąd — ów błąd tragiczny, o którym wspomina Arystoteles w rozdziale 13-tym: błąd ten sprawia, iż Hamlet przez wszystkie kroki w biegu sztuki coraz głębiej brnie w niedolę, która w końcu pochłania przyjaciół i wrogów, osoby trzecie, a wreszcie i jego samego«. Na pytanie: Na czym polega tragizm Hamleta? Baumgart odpowiada w ten sposób: »Jest-li nim jedynie śmierć bohatera zgon tylu innych osób? Czy może zapłata, spotykająca na ostatku króla! Miałoby być tragicznością ukaranie lotra? Lub miałoby cała tragika sztuki polegać na tem tylko, co Arystoteles zowie patetycznem, t. j. na ranach i śmierci, wystawionych na scenie?... Że Arystoteles nie byłby zaliczył sztuki do rodzaju patetycznego, wnet widać z tego, że wątek nie jest prosty, przy którym, bez perypetyi i bez poznania, wypadki, dzięki naturalnemu biegowi rzeczy, muszą wziąć nieszczęśliwy obrót; owszem, wątek jest zawikłany..., sztukę zatem Arystoteles nazwałby powikłaną i etyczną. Dramat więc, zarówno ze sposobu układu wątku, jak i z obrobienia, należy do najpiękniejszej kategorii. W danej fabule zachodzi ten sam przypadek, który Arystoteles zaznacza w Ojdypie: oto czyn, kryjący w sobie tragiczny zasadniczy czynnik nie leży w sztuce, lecz poprzedza jej akcyę, jak w tragedyi Sofoklesa... Tam poznanie dotyczy osób zaprzyjaźnionych, dotyczy spełnienia strasznego czynu — modyfikacya również przewidziana przez Arystotelesą«. Można sobie wyobrazić, jak serdecznie uśmiełby się Szekspir, gdyby te Baumgartowe wywody o swym *Hamlecie* przeczytał.

Na pytanie, czy Hamlet tylko udaje waryata czy nim jest rzeczywiście? — dawano rozmaite odpowiedzi: dla jednych jest rzeczą dowiedzioną przez medycynę, a więc niezawodną, iż Hamlet jest obłąkańcem; inni dowiedli niemniej przekonująco, że tak nie jest. Dr. Ray dowodzi, że Hamlet jest szalonym o tyle, iż dostrzedz to może nawet powierzchowny obserwator; mimo to zachowuje tyle siły zastanowienia i samokontroli, iż jest w stanie postawić dobrze określony zamiar zemsty, choć go nie potrafi wykonać. »W scenie z duchem mamy podrażnienie bredowe: umysł ugina się pod pierwszym ciosem choroby«. Zdaniem Bucknilla, Hamlet jest chorym, dotkniętym melancholią, melancholikiem rezonującym, chorobliwie zmienionym w porównaniu z poprzednim stanem myśli,

uczuc i postępowania; znajduje się w stanie, który tysiące ludzi przebywa, nie zostając waryatami; jest to okres wylegania się choroby. Wrażenie jednak, żeby Hamlet był prawdziwym szaleńcem, jest błędem. Co innego twierdzi dr. Kellog. Według niego, Hamlet tam, gdzie udaje waryata, jest nim naprawdę. Dowodem scena z Ofelią. »Jakież to udawanie, w którym aktor zadaje gwałt najdroższym swym uczuciom, a rani i rozdziera serce tej, którą kochał tak czule... Ostrowidzowa czujność kobiecej miłości nie mogła się pomylić: Ofelia rozwiązała trafnie zagadkę, która zakłopotowała i pomieszała wszystkich krytyków Szekspira. To samo utrzymuje dr. Conolly, dla którego Hamlet jest »poprostu obłąkanym«, a tezy swej dowiódł tak świetnie, że zdołał przekonać wielu krytyków literackich, między innymi kardynała Wisemana, który uważa spór za rozstrzygnięty przez Conollego. Mimo to znaczna większość krytyków, jak Friesen, Baumgart i inni, odrzucają pomieszenie Hamleta, choćby dla względu czysto estetycznego: bohater dramatu, nieodpowiedzialny za czyny swoje, nie byłby tragicznym.

II.

Jak w Anglii, Niemczech i Francyi, podobnie i w Polsce znaleźli się ludzie, którzy bądź kusili się o rozwiązanie zagadki *Hamleta*, bądź byli dlań z wielkiem uwielbieniem.

Pierwszym, co się nim zainteresował u nas, był nestor teatru polskiego, Wojciech Bogusławski, który *Hamleta* nie tylko przetłumaczył (prozą), »kilka scen według tłómaczenia Schrödera, wiele opuszczonych myśli dodał, a całe przekładanie do najlepszych *francuskich*, a szczególnie do wybornego dzieła Shakespeara przez niemieckiego autora Schlegel przełożenia, starannie zbliżył«, ale go zarazem wprowadził na repertuar swego teatru. Było to we Lwowie, w r. 1797, i odtąd *Hamlet*, który odrazu »sprawił wielkie wrażenie«, grywany był »wielokrotnie, a zawsze z upodobaniem publiczności«.

Drugim człowiekiem w Polsce, który żywił kult dla *Hamleta*, był słynny dziwak podolski, przezwany *dux et redux*, dziedzic »Mińkowieckiego państwa« i Przytułińskich ogrodów, nieśmiertelniony przez Słowackiego we francuskiej powieści *Le Roi de Ladawa*, zarówno jak i w *Beniowskim* (ojciec Anieli), głośny na początku tego stulecia Ścibor Marchocki. On pierw-

szy wydał *Hamleta* po polsku, własnym nakładem, w przekładzie J. N. Kamińskiego, w r. 1805¹⁾. Nie wszyscy półpankowie ukraińscy miewali tak szlachetne fantazyje. Może dlatego nazywano Marchockiego — dziwakiem i półgłówkiem?

Niemniejszy kult żywił dla Szekspira w ogóle, a dla *Hamleta* w szczególności, Ignacy Hołowiński (Kefaliński), który *Hamleta* pierwszy przełożył wprost z oryginału, sumiennie, z wielkiem poszanowaniem rzeczy, bez żadnych samowolnych zmian i skrótów.

Wiadomo, jak entuzjastycznym wielbicielem Szekspira był Słowacki, w którym *Hamlet* miał takiego zwolennika, iż autor *Balladyny*, będącej spolszczonym *Makbetem*, i *Beatrix Cenci*, tak bardzo przypominającej *Romea i Julię*, pokusił się i o napisanie polskiego *Hamleta*. Jakoż napisał *Horsztyński*, którego bohater, Szczęśny Kossakowski, jest szekspirowskim *Hamletem* przeniesionym na polski grunt, tak dalece, że także radzi swej kochance, ażeby wstąpiła do klasztoru, a w innej scenie wchodzi z książką w rękę, jak królówic duński²⁾.

Margrabia Wielopolski umiał całego *Hamleta* na pamięć, takim był wielbicielem tej tragedyi, z którą ostatecznie jego tragedia miała tak wiele podobieństwa... Bądź co bądź — czy nie dziwne i nie ciekawe — powiada Matlakowski — to sprzężenie wielkiego działacza z bohaterem, który miał chorować na brak czynu? Co mógł przemyśliwać o *Hamlecie* margrabia, gdy szarpany i czerniony, przegrawszy stawkę, dogorywał w strasznych cierpieniach w Dreźnie?³⁾

Inaczej zapatruje się na *Hamleta* biograf i wielbiciel polityki margrabiego Wielopolskiego, prof. Włodzimierz Spasowicz, który w swoim przenikliwym studyum o królówiczu

¹⁾ *Hamlet*, królówic duński, tragedia w 5 aktach w angielskim języku przez Shakespeare'a napisana, z niemieckiego zaś polskiem piórem przez J. N. Kamińskiego przełożona. W Mińkowskach, druk dziedzica Marchockiego, 1805.

²⁾ Zob. *Hamlet polski* w *Szkicach literackich* dr. Józefa Tretiaka, serya pierwsza, Kraków, 1895.

³⁾ W innem miejscu, na str. 108, pisze Matlakowski: »Na zawsze pozostanie dla nas niepowetowaną szkodą, że drugi prawnik i mąż stanu, a wielbiciel tragedyi o królówiczu duńskim, Wielopolski, nie zostawił na piśmie swojego poglądu: byłby to najciekawszy w świecie sąd, człowieka, co sam umiał czuć, myśleć, działać, a poniósł najstraszniejszy rozgrom.«

duńskim wystąpił tym razem nie — jak zwykle — w roli prawnika-obroncy (jak np. w swej znakomitej książce o Wielopolskim), ale — wyjątkowo — w roli prawnika-prokuratora. Na nieszczęście dla Hamleta akt oskarżenia na niego — bo prawie na taką nazwę zasługuje to Spasowiczowskie studyum o *Hamlecie* — skreślony wytrawnym piórem autora *Politycznego spadku po Wielopolskim*, wypadł niemniej głęboko i świetnie pod względem siły i zdolności argumentowania, aniżeli jego klasyczne obrony.

Prof. Spasowicz należy do najsurowszych sędziów Hamleta. Jego zdaniem, król-wicz »wiecznie się kołysze, niby na wahadle, na dylemacie«. Jego myślenie jest genialne, ale jałowe. »Oderwaną myślą można świat zewnętrzny osiąść, a potem nad nim zapanować i wedle woli swojej przekształcić, ale wprzód, nim świat osiąść, trzeba osiąść myśli własnej i rząd nad niemi dzierżyć. Pierwiastek woli potrzebny jest w samem myśleniu, chociażby na to, aby pod jego naciskiem uczucie skropiło się naprzód w przekonanie, a potem skrzepło na postanowienie. Do postanowienia idzie się przez przekonanie, a dla przekonania potrzebna jest chociażby odrobina wiary, nie w znaczeniu jakiegokolwiek *credo* religijnego lub filozoficznego, ale poprostu w tem znaczeniu, że trzeba odrąbać się od wątpliwości i, przylgnąwszy do tego, co w danym przypadku jest najprawdopodobniejsze, oprzeć się na tem, jako na opoce«. Nic wspólnego z tego rodzaju myśleniem nie mają fantazy Hamleta. Jest to fatalista, mocno podszyty materjalizmem, fatalista, któremu fatalizm służy za filar, o który się opiera jego praktyczne niedołęztwo. Jego myślenie jest marzycielstwem, poezją niedotyającą ziemi. Jest to człowiek natchnienia, nie namysłu, poeta, istota kontemplacyjna i książkowa. Książka jest jego najmilszą zabawą. »Wielkość szekspirowskiego utworu polega na tem głównie, że: 1) podał on skończony typ takiego marzyciela, takiego lunatyka, typ, który odtąd będzie się powtarzał w literaturze przez ciąg wieków po wszystkich krajach i lądach; 2) że go podał nie jednostronnie, w przebóstwie, jakby to był uczynił tuzinkowy jaki pisarz, któryby nieomieszkał przedstawić, jak nieszczęśliwa eteryczna poezja niesprawiedliwie kona, zduszona w żelaznych objęciach rzeczywistości; ani równie jednostronnie, w karykaturze, jako temat, pelen wysokiego komizmu, który się zawsze wywiązywać musi,

gdzie z nierozsądnych zamiarów poetycznych wynikają skutki niedorzeczne; ale w dramacie rozzdzierającym serce, w którym widzimy, jak się to szlachetne serce truje, jak się ten charakter kazi, jak nisko spada ten umysł, tłukąc się o rzeczywistość, i jak w końcu lepiej, że on się rozbił w starciu z rzeczywistością, aniżeli gdyby ta rzeczywistość oddaną została na pastwę jego urojeniom poetycznym, jego chwilowym szałom i kaprysom«. Coby nastąpiło wtedy? Najprawdopodobniej, gdyby Hamlet, zabiwszy stryja, sam zasiadł na tronie, zaczęłoby się panowanie króla-poety, któreby ludziom kazało żałować czasów Klaudiusza... Hamlet jest poetą, na którym czego nie wymaga obowiązek, tego dokaże artystym, miłość dla sztuki, upodobanie nie treści i celu, lecz samego procesu działania. Tacy artyści na tronie, gdy chodzi o popołgowanie artystycznej żyłce, nie zważają czasami, czem okupują swe zadowolenia. Sam Hamlet powiada: »Chociaż nie jestem prędko, drażliwy, ale mam w sobie coś niebezpiecznego...« To *coś*, to niby małowzka odrobina uczucia, które posiadał Nero, gdy wołał: *qualis artifex pereo!* Dlatego tragiczna katastrofa, przecinająca nić życia Hamleta, wyświadcza mu prawdziwe dobrodziejstwo, gdyż ratuje go od jeszcze smutniejszego końca, gdyby był przeżył stryja, od którego w końcu sztuki Hamlet jest nie wiele lepszym: tak dalece posunęło się w nim zepsucie moralne.

O wiele łagodniejszym sędzią, niż prof. Spasowicz, jest prof. Struve, choć i on potępia sposób postępowania Hamleta; czyniąc to zaś, zapatruje się wyłącznie z psychologiczno-etycznego punktu widzenia. Winą Hamleta, utrzymuje prof. Struve, a zarazem powodem jego zguby, jest zbytne zaufanie we własne siły, obłąd, czy zbyt ambitne przeświadczenie, że on sam jest powołany do naprawy porządku moralnego, że on sam uosabia sprawiedliwość i opatrność, jeżeli nie na ziemi całej, to przynajmniej w Danii. Dlatego postanowił nietylko odegrać rolę sędziego śledczego, ale i wykonawcy wyroku, przekonany, że tylko on jest powołany wykonywać prawo i sprawiedliwość, że tylko on zdoła przywrócić zakłóconą równowagę w moralnym porządku. Podobne zapatrywanie było błędem, prowadzącym do tragicznego końca. Należało, skoro się nabrało przeświadczenia, że Klaudiusz przez swą zbrodnię potargał moralny porządek na ziemi, publicznie oskarżyć zbrodniarza (czego mógł dokonać przy pomocy ludzi szlachetnych, znajdujących

się w jego otoczeniu), uwięzić, postawić przed sądem, i tym sposobem występny król, królo- i bratobójca, zostałby według prawa i sprawiedliwości osądzony, ukarany, a na jego miejsce postawiony ten, który i z rodu i dzięki swym osobistym przymiotom był najgodniejszym przedstawicielem szczęśliwie przywróconego porządku. To była jedyna i właściwa droga, mogąca doprowadzić do celu: Hamlet zginął, bo wybrał inną, która była bezdrożem. Tymczasem pójście po właściwej drodze, t. j. publicznego oskarżenia Klaudiusza, nie było tak trudnym nawet, jakby się zdawać mogło. »Cały dwór w Elsinorze był świadkiem, jak król zdradził się ze swym zbrodniczym czynem w czasie przedstawienia; głuche dotychczas posłuchy o nagłej śmierci Hamletowego ojca zyskały na prawdopodobieństwie (po widowisku teatralnym), a Hamlet — na zwolennikach, skutkiem tego zaś — na powadze i mocy; krótko mówiąc, wobec całego położenia rzeczy, nie trudno było Hamletowi z pomocą Horacego i wszystkich prawomyślnych uwięzić Klaudiusza, by go oddać bezstronnemu sądowi...» Wykonalność tego moralnego wymagania nie była niemożliwą w położeniu Hamleta. Należało (jak w nowelli) dla swej sprawy pozyskać matkę, Horacego i innych; Hamlet tego nie zrobił, bo mu mizantropia jego, pogarda, uprzedzenie i złe wyobrażenie o całym rodzie ludzkim, nie pozwoliły odwołać się do ludzkiej pomocy. A szkoda, że tego nie uczynił, bo był to człowiek wyższy i niepospolity pod każdym względem, którego panowanie z pewnością wyszłoby Danił na dobre. A tak zginął marnie.

Zdaniem Kraszewskiego, Hamlet jest nieszczęśliwcem, »który wszystko wie, a nic nie może, który, wyzuwszy się z formalnej wiary, zastąpił ją rozumem, i ta niewiara zgubiła go«.

III.

Całkiem inaczej pojmuje Hamleta dr. Matlakowski, któremu — jak sam powiada, — chodziło »o takie pojęcie królewicza, w którymby nie było ani odstępstwa od tekstu tragedyi, ani opuszczenia jednych miejsc na korzyść drugich, ani sprzeczności psychologicznych między właściwościami pomyślanego charakteru, lub między niemi a postępkami«.

W tym celu przypuścić trzeba przedewszystkiem — co

zresztą zdaje się nie ulegać wątpliwości — że Hamlet jest młodym: jest to młodzieniec dwudziestokilkoletni, 24-letni np. ¹⁾); jako student uniwersytetu wirtemburskiego, uczy się z zamiłowaniem; wyszedł z tych lat, które zwiemy małoletniością, ale jeszcze nie dojrzał zupełnie: stoi w najciekawszym i najbujniejszym okresie życia. Cały przejęty dziecięcym uwielbieniem dla ojca, związany ciepłem jeszcze — jeśli się tak wyrazić wolno — przywiązaniem zwierzęcia młodego, a nie uczuciem refleksyjnym. Posłuszny życzeniu matki i stryja, zostaje u dworu, choć wolałby — dla wielu względów — wrócić do Wirtembergi. Jest skłonny do przyjaźni; kocha się, nie bacząc na przegrody stanowisk i krwi, w pannie przydwornej.

Swoją drogą, nie przestaje być królewiczem, rasowym potomkiem wielkiego rodu; to też królewskość wyszał z mlekiem matki, pięknej kobiety, zarówno jak ją odziedziczył po ojcu, »pięknym królu«.

Jest dzieckiem dorodnych rodziców, których uroda przeszła i na niego. »Jest to młodzieniec dworskich manier, pięknego obejścia, wzór formy — jak go nazywa Ofelia — i oglady. Zewnętrzność tego rodzaju jest najzupełniej możliwą przy jego sposobie myślenia i smutku; ktoby o tem wątpił, niech przypomni sobie, iż Byron i Słowacki, Chopin i Max Gieryski, owi genialni artyści, tak dalecy rodzajem duszy i głębookością

¹⁾ Dr. Matlakowski, usiłując dowieść, że Hamlet jest młodzieńcem, a nie mężczyzną dojrzałym, 30-letnim, jak utrzymują inni krytycy, niemieccy i angielscy, zapomina o jednym dowodzie, bardzo przekonywającym, który, rzecz dziwna, nikomu nie przyszła na myśl, a który rozstrzyga wątpliwość — na korzyść hipotezy Matlakowskiego. Argumentem tym jest wiek matki Hamleta, kobiety dojrzałej, ale jeszcze powabnej i pięknej, więc nie starej. Jest to kobieta lat czterdziestu dwóch do trzech, bliska przekwitni, ale jeszcze nie przekwitła. Kiedy wyszła za mąż, za ojca Hamletowego, musiała mieć lat 17 lub 18. Gdyby Hamlet miał lat 30, jego matka miałaby 47 lub 48. Co innego zdaje się wynikać z tragedyi, w której czysto zmysłowa miłość Gertrudy i Klaudiusza ma wszelkie pozory namiętności gorącej i szczerej z obu stron, na co Hamlet niejednokrotnie zwraca uwagę. Stosunek małżeński Klaudiusza i Gertrudy, to nie stosunek Batorego i Anny Jagiellonki; to dwie żądze, które się pożądadają wzajemnie, aby zaś to było możliwe, fizyologicznie uzasadnione, Gertruda może mieć najwyżej 43 lat. Wobec tego Hamlet nie może mieć więcej nad 24.

uczucia od suchej układności i dworszczyzny Ludwików, byli pięknymi cieleśnie, a wytwornymi w odzieży i obejściu. Z twarzy musiał przypominać portrety młodzieńców, które malował Rafael, sam bardzo piękny.

Jakiego rodzaju był umysł Hamleta? Czy jest to filozof? Po części, ale co nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nie jest to filozof w rodzaju Kanta, Fichtego, Voltaire'a lub Hume'a. Jest to poeta-filozof, taki, jakim był Szekspir, jakim był Goethe, jakim był Shelley. O ile oni byli filozofami, o tyle jest nim i Hamlet, on, który zarówno w postępowaniu, jak w sposobie myślenia, należy do tej kategorii geniuszów, co oni. Jak oni, posiada w wysokim stopniu cechy filozoficznego myślenia; umie odnosić pojedyncze fakty do właściwych kategorii, przenikliwie postrzega zależności, lecz filozofem nie jest, gdyż w myśleniu swoim, uniesiony namiętnością, pod żywym odczuciem wrażenia, nie postrzega faktów odmiennych lub sprzecznych, ani dochodzi do ograniczenia swoich uogólnień; w uogólnianiu posługuje się intuicyją, nie metodą indukcyjną. Natomiast posiada ten przedziwny, niemal cudowny rodzaj allotropizmu umysłowego, który znajdujemy u artystów, u poetów, z którym w porównaniu zwyczajny umysł ludzki wydaje się tępym, gnuśnym, bezbarwnym i bezdźwięcznym, jakby niższego rzędu. Umysł wielkiego artysty, umysł geniusza, to nieosiągalne żadnymi środkami, ani doświadczeniem życiowym, ani nauką, przerażające bogactwo wrodzone, w którym szczęśliwym zbiegiem, drogą osobliwszego doboru, znalazły się najcenniejsze przymioty, w najwyższym stopniu, w mniej więcej doskonalej zgodzie. Umysł Hamleta, to umysł tego samego rodzaju, co umysł Leonarda da Vinci lub Goethego, u których niezmierna wrażliwość i emocjonalność nie wykluczały wysokiej, krańcowej siły rozumu. Stąd, obok niezmiernego bogactwa i rozmaitości uczuć i wzruszeń, to nadzwyczajne bogactwo idei czystych, które tak uderzają w Hamlecie.

Ale taka niezwykła, prawie niewymierna zdolność odczuwania, idąca w parze z niemniejszą siłą rozumu, o ile jest takich natur wyjątkowych, o tyle bywa niejednokrotnie w ich słabości: chociaż myślą potrafią wyścigać bieg i, jednak ich emocjonalna strona, nierozdzielnie zaślumowi, utrudnia wysnucie suchych wniosków i roz-

kazów postępowania. I to jest źródłem wahania się Hamletowego.

Jako charakter, jest Hamlet — zdaniem Matlakowskiego — pomimo swej wrażliwości, często nadczelej trochę, obdarzony znacznym zapasem energii i woli. Ogniście pohopny do otwartego boju, mężny i zapalczywy, znakomity szermierz, umie się zdobyć na najwyższe działanie, t. j. na działanie z rozwagą, z ogromnym nakładem inteligencji i przenikliwości, krzyżujące plany przeciwnika, i z niemniejszym zasobem inicjatywy. Jego podziemna walka z Klaudiuszem jest »szczytnem zespoleniem w jedno intelektu i woli«. Przymtem, ponieważ jest umysłem krytycznym pierwszej wody, zna swoje błędy, przeczuwa ścisłą prawdę, co go czyni nowożytnym, nam pokrewnym, ale co nie znaczy bynajmniej, ażeby Hamlet był sceptykiem; Hamlet sceptykiem nie jest. Najlepszy dowód, że wierzy w opatrność, w rozum wyższy, władający życiem i światem. Mimo to, jest zdeklarowanym deterministą¹⁾: jako taki, liczy się z faktami dokonanymi, jako z rzeczami, których odrobić niepodobna, a kiedy się zastanawia nad nimi, to nie jak fatalista, ale jak chrześcianin, który głęboko wierzy w nieśmiertelność duszy.

Lecz przede wszystkim jest to natura szlachetna, obdarzona gorącą miłością prawdy, zgodności ideału z czynami, przekonań z postępkami. Jest to wielkie serce, szczerozłote uczucie, idealista, blizki ideału człowieka, podobny do Marka Aureliusza, obejmujący niemal wszystko, co wielkie duchy greckie, uznający zalety i przymioty innych, a nie znający uczucia zazdrości. Jest to jeden z tych, co czułby niedolę drugich, choćby mu się i najlepiej działo. Idealizm jego, taki melancholijny i rzewny, jest bojującym i cierpiącym: skutkiem niezwyklej czuciowości, nie znosi widoku zła lub krzywdy, zbroceń i zaprzania prawdy. Każdy czyn nieprawdy, każda myśl fałszu, dolegają mu, bołą go, nie pozwalają żyć spokojnie. Dlatego pragnąłby świat odmienić! Niestety, świat jest zły, podobny do niepielnego ogrodu, więc Hamlet, dzięki swemu idealizmowi, właściwemu jego młodzieńczemu wiekowi, popada w — czenie, i z zajądłością, nie oszczędzającą nikogo, n

¹⁾ W tym punkcie zgadza się Matlakowski jednym z najgłębszych komentatorów *Hamleta*.

nawet kochanki, smaga podłość, którą jest przesiąknięta atmosfera dworu Klaudiuszowego, a że jest zbyt młodym jeszcze, żeby na świat spoglądać z przebaczenia anielską pogardą, t. j. z przedmiotowością i pobłażliwością, znamionującą wielkich humorystów, więc się otacza szyderstwem pełnym złości i nągrawania, w satyrze graniczącej z purytańskim kaznodziejstwem i zaciekłością. Mimo to nie jest zgryźliwym pesymistą: w nim, obok szyderstwa i ironii, złości i zaciętości, jakimi wybucha wobec króla, Poloniusza, matki, Ofelii, Rosenkranca i Gildensterna, żyje gorąca przyjaźń, ludzkość, łagodność i rzetelna równość, które się ujawniają w spotkaniu z żołnierzami, w obcowaniu z Horacym, w obejściu z aktorami, w przemowie, którą poprzedza swój pojedynek z Laertem. »Nie jest to dwoistość jego natury. Oba szeregi objawów tryskają z tych samych pokładów: to lice i nice tej samej natury, tylko, że dla dobrych ona odpowiada ciepłem tchnieniem wiosennego wiatru, dla złych — ostrymi wycinkami mroźnej zawiei«.

Natura to cnotliwa, sprawiedliwa, delikatna, a to, co w jego postępowaniu jest szlachetnego, cnotliwego i sprawiedliwego, zjawia się, jako owoc przyrodzonego składu duszy, nie zaś jako skutek nakazu wysokiego ideału moralnego, zresztą mu doskonale znanego; w jego cnotliwości niema udziału nakazów praw i przepisów moralności i zakonu. Hamlet jest cnotliwym z natury, z temperamentu; niema w nim nic chrześcijańsko-cnotliwego, lub filozoficzno-cnotliwego.

Nie znaczy to, żeby jego postępowanie — w tragedyi — nie było połowicznym. Tak jest. Ale dlaczego? Bo Hamlet w swoje postępowanie, gdy chodzi o pomszczenie śmierci ojca, nie kładzie całej, tylko pół duszy: drugą połową przebywa gdzieindziej. »Jest ono jakby wymuszonem z zewnątrz, narzuconem wbrew chęci działacza, który podejmuje się go bez zapalu i prowadzi bez fanatyzmu, właściwego młodości i wrodzonej naturze; jest ono podejmowanem przez pobudzanie się samego bohatera po chwilowych przerwach niby-zapomnienia; jest ono bezplanowem, a każda z części działania zjawia się nie jako organiczne dzwono całości, lecz jako wynik pchnięcia przez wydarzenia zewnętrzne; jest ono prowadzonem przez wypadki, a nie przez własną inicjatywę i sprężystość (wiecznie czującą i żywą) działacza; jest ono napadowe, t. j. pozbawione ciągłości, i objawowe (symptomatyczne), t. j. skutkiem nieob-

myślenia i niewyjaśnienia sobie natury i zakresu danego czynu, zjawia się przeważnie jako wynik obrony na cudze działanie — na działanie wroga, którego czujność — skutkiem wielkiej drażliwości królewicza — przedwcześnie pobudzoną została. Po wtóre — jak to już zauważył Werder — zadanie włożone na Hamleta, jest bardzo trudne: zbrodniarz jest prawowitym królem, a zbrodnia stała się w absolutnej tajemnicy. Cały dwór, nie wyłączając matki Hamleta, jest po stronie Klaudiusza. Po trzecie, jeśli warunki działania były trudne, to samo »wielkie zadanie«, sam »święty obowiązek«, narzucony młodemu bohaterowi, był niemniej osobliwym i szczególnym. Była nim zemsta, która wogóle jest daleką od ideałów czynów ludzkich, odmienną od innych czynów, ponieważ jest czynem *sui generis*, stojącym na rozdrożu między występkiem a cnotą, nacechowanym znamionami jednego i drugiej. Hamlet zaś, o ile był zdolny do czynu, o tyle nie był zdolny do czynu *n*, do czynu, który ludzkość potępiała platonicznie, który potępiała nauka Chrystusa, a przed którym się zawsze wzdrygały serca czule i szlachetne, tudzież umysły wyższe, najwyżej ważące sprawiedliwość, pragnące względnego szczęścia ludzkości. Takim umysłem był właśnie Hamlet. Ale, pomijając nawet chrześcijańsko-Chrystusowy punkt widzenia, zemsta jest czynem, do którego nie może się zapalić jednostka szlachetna, jednostka rycerska. Hamlet, jako syn XVI wieku, jest *rycersko-szlachetnym*, nie będąc wyraźnie chrześcijańskim, a nie ma nic wspólnego z takimi ludźmi odrodzenia włoskiego, jak Caesar Borgia, Macchiavelli, Aretino lub Benvenuto Cellini; nie należy zapominać, że były to czasy humanizmu, które wydawały Kochanowskich, Sidney'ów i im podobnych. To też Hamlet w głębi duszy pogardza czynem, który ma spełnić: raz dlatego, że nie odczuwa tego, co się nazywa ślepą zemstą, czyli, że jest to poczucie obowiązku nie owo potężne, wulkaniczne uczucie, przepalające jestestwo, ogarniające życie całe, którego staje się celem wyłącznym; a powtórnie, że chcąc ten ciężki obowiązek wykonać, trzeba być przygotowanym na wszelkie środki; trzeba być gotowym na pchnięcie zniecka, z tyłu, we śnie, w zasadzce; trzeba być zdolnym do zdrad, do trucizny, do spisków, do podkupienia zbirów, jak się da, byle celu dopiąć. Hamlet, który ma taki wysoki ideał człowieka, taki rycerski w formach grzeczności

dla swego wroga-króla, nie jest zdolny do knowań i chytrych, do zdradzieckiego pchnięcia. Bić się po rycersku, w otwartym boju, potrafi; ale pomścić się w sposób, jak wypadnie, jak będzie najwygodniej w danych okolicznościach, tego przy swoim składzie duchowym i wykształceniu nie jest mocen uczynić. »Do zemsty w zapalczywości, wybuchłej nagle, *in flagranti delictu*, zdolen jest, jak prawie każdy człowiek żywy i wrażliwy; lecz do obmyślanego czyhania, jak ryś, na swoją ofiarę, i rzucenia się w chwili dogodnej dla siebie, a złej dla ofiary, do tego nie zdolen«. Bo Hamlet jest nie tylko królewiczem, a więc szlachcicem, ale i *gentleman*'em w każdym calu. *C'est un gentil-homme avant tout...*

Ale nie brak i innych powodów, dla których Hamlet ociąga się z wykonaniem zemsty. Przedewszystkiem nie pojął on swego zadania, jako zwykłej ordynarnej zemsty, ale jak przystało na duszę wielką, wolną od grubej mściwości, zrozumiał, że jeśli ma działać, to tylko pojmując popełniony zły czyn, jako naruszenie sprawiedliwości, a swoje zadanie, jako przywrócenie jej. Jego czyn niema być zwykłą zemstą, ale wymiarem sprawiedliwości, co znacznie utrudnia działanie. To pierwszy powód. Drugi jest psychologicznej natury. Są takie stany, takie usposobienia chwilowe, takie nastroje, że w czasie ich trwania nie mamy ochoty działać. Do takich nastrojów należy chwilowy smutek, przygnębienie, żalność, gorycz. Otóż Hamlet jest właśnie w fazie takiego smutnego, minorowego nastroju, kiedy ciężkie zadanie spada na jego barki: znajduje się pod gnębiącym a potężnym wpływem smutku, żaloby i boleści. Śmierć ojca, którego ubóstwiał, i powtórne a tak szybkie zameżczenie matki, którą musiał przestać szanować, wytrąciły go z równowagi; smutek zaś, przygnębienie moralne, rozhartowują wolę, osłabiają energię.

Ten smutek, to przygnębienie, są także źródłem, z którego wypływają wszystkie pesymistyczne i czarne myśli Hamleta: zjawiają się, jako wynik nastroju, nie zaś, jako naukowy, w szczegółach obmyślany systemat filozoficzny. Jego uogólnienia, tak czarne i gorzkie, to raczej poetyczne odbicie jego poranionej duszy. Jego pesymizm, to najcięższy idealny ponurą zorzą północną bólu i złości serdecznej; i ten smutek, ten przygnębienie nastroju wrażliwej natury; jest

to spojrzenie przez łzy i krew, któremi chwilowo napływają mu oczy.

* * *

Swoje znakomite, prawdziwie klasyczne studium o *Hamlecie*, studium, którego niniejszy artykuł jest pobieżnym streszczeniem jedynie, nazwał ś. p. Matlakowski »wstępem« (podobnie, jak Kalinka, którego »wstęp« do *Ostatnich lat panowania Stanisława Augusta* zajmuje cały gruby tom, a jest arcydziełem historycznym), wstępem dlatego, że poprzedza całkowity przekład polski *Hamleta*, dokonany — prozą — tem samem piórem, które nakreśliło ów »wstęp«. Słówek o tym przekładzie. Chcąc ocenić jego prawdziwe zalety, trzeba się mu przypatrzeć z właściwego punktu widzenia, a chcąc ten punkt odnaleźć, wystarczy zwrócić uwagę na następujące słowa samego dra Matlakowskiego, w których jasno określił cel, w jakim raz jeszcze *Hamleta* językowi naszemu przyswoił, choć posiadamy tak znakomite przekłady tej tragedyi, jak Paskowskiego i Ulricha. »Istnieje u nas bardzo znaczna liczba ludzi, zwłaszcza wśród lekarzy, znająca język angielski o tyle, iż może czytać zwyczajne nowożytnie dzieła specjalne, powieści lub dzienniki, ale im zbywa na osobnem przygotowaniu do czytania Szekspira, którego wielu, jak wiem z mojego kółka, uwielbia, na pamięć umie... Nakoniec, jest sporo inteligentnych i wykształconych ludzi u nas, z kół literackich, handlowych i przemysłowych, którzy w dorosłym wieku sami uczą się angielskiego, posługując się samopomocą i uznanymi w obiegu metodami. Skoro już z najgrubszymi uporają się początkami, mogliby odrazu przejść do dzieła, któreby więcej odpowiadało ich umysłowości, niż przykłady z Olendorfa«. Dlatego przekład *Hamleta*, dokonany przez Matlakowskiego, jest nie poetyczny, ale dosłowny, wiersz w wiersz, a wydrukowany równoległe z tekstem angielskim, jako taki, jest znakomity. Pomimo dosłownej wierności — na czem niekiedy cierpi duch składni polskiej — czyta się on bardzo dobrze, a choć taki suchy na pozór, nie jest pozbawiony pewnego polotu.

Na zakończenie, jeszcze słówek o języku tej niepospolitej książki, (*która się w każdym inteligentnym domu polskim znajduje*,

wać powinna, obok najlepszych książek, jakie posiadamy w naszej literaturze, obok *Sejmu czteroletniego* i *Wieczorów Florenckich*. Matlakowski znany był z tego, że pisał po polsku, jak mało kto, a przytem, że znał swój język ojczysty, jak najznakomitsi z naszych filologów. Stąd ogromne bogactwo wyrazów, których używał na wypowiedzenie swych myśli (zawsze oryginalnych i niepospolitych), bogactwo, które mu pozwalało nawet na taki zbytek, jak odrobina przesady w tym kierunku. Starając się wiele wyrażeń, bądź ludowych, bądź staropolskich, zaczerpniętych z pisarzy XVI wieku, przyswoić naszemu nowoczesnemu językowi, lub je uchronić od zapomnienia, szedł niekiedy — mojem zdaniem — za daleko pod tym względem (zwłaszcza gdy tworzył nowe wyrazy, choć to czynił zgodnie z najściślejszymi regułami filologicznymi). Stąd, zarówno we »wstępie«, jak i w przekładzie *Hamleta*, mnóstwo wyrażeń, z którymi oswoić się nawet literatowi nie przychodzi łatwo. Oto kilka przykładów, wyjętych na chybi trafi. «*Hamlet w ocmgnieniu (zamias w mgnieniu oka) przystosowuje swoje zachowanie się...*» »Szekspir dał księciu ogromny *nadział* (zam. *zasób*) energii«. »Jego wola ściśle podlega rozumowi i sumieniu, gdy te nie stają w poprzek jego *wolowości*«. »Kamienie, wyrzucone z procy, *węzzące* od chyżości«. »O prawdziwej energii *wolowej*, nie wolno sądzić po szybkości i dzikości postępowania«. »Pewności niema żadnej: żaden *ściiec* (zam. *dowód*) zbrodni nie istnieje«. »Hamlet widnieje wyraziście lub *jarzębaceje* (?), pociąga lub odpycha...« »Doświadczenie pozwala *wskrabać się* na najbliższą przeszkodę«. »Przemiana w sobie, wiodąca do przyjaźni lub *wraždy* (zam. *nieprzyjaźni*)«. Hamlet nie może znieść »chłost i wzgard *wrzemiaenia* (zam. *czasu*)«. »Każdy z nich wypowiada się, jak *pieca* w zapędzie obronczego zapalu«. »Nigdy też nie spotkało ich straszne *odłudzenie* (zam. *rozczarowanie*). Jak olbrzymia *wanta* na szczycie *turni*, lub modro zielonkawie *płoso*, drzemiące na *wysoczyźnie* (ten wyraz jest prześliczny!) górskiej«. »Rozmowa z podkładem niesłychanego bólu i *rzewności*...« »Zatwadzałość okuła ją w *bronność*«. »Dla *prawowierców* myśli powyższe są niewystarczające...« Hamlet »natyka się na coś nieprzewidzianego i w *przeziorach* na świat *poza-świadomościowy* przyjmuje wdanie się Woli wyższej«. Przykłady bitew »w opisach *historyków-basnio-dziejów*...« »Wbrew zrędom, którzy wciąż nam *skowrózą* o upadku wielkiej sztuki...«

Ale obok tych drobnych dziwactw filologicznych, będących wynikiem szlachetnej dbałości o możliwe zbogacenie skarbcza mowy ojczystej, język Matlakowskiego, nigdzie nie skażony najmniejszymi naleciałościami cudzoziemskimi, a urobiony na prozie Reja, Wujka, Górnickiego, Orzechowskiego i innych znakomitych pisarzy naszych XVI wieku, jest dziwnie pięknym, barwnym, żywym, plastycznym (Matlakowski był ogromnym wielbicielem Słowackiego), a zdarza mu się nierzadko, że jest i poetycznym także. Zwłaszcza w porównaniach, w których celuje, a które, zawsze trafne nadzwyczaj, niekiedy bywają i poetyczne bardzo. Oto dwa, dla przykładu: »Chęć (ze strony Klaudiusza) nawiązania stosunku z synem, ułagodzenia go, wygładzenia i uklepania sprawy ku tem wygodniejszemu zażywaniu uciech w nowem gniazdku w spokoju i przyjemności, ściał mroz słów królewicza, *jak ścina syberyjski wichler grzywy fal Bajkału, które w locie, w powietrzu, rozchełbane, tężeją w lodowate zadzierzyste wybrygi*«. »Hamlet (w rozmowie z Rosenkrancem i Gildensternem) prawie zapomina do kogo mówi; po zmiążdżeniu szpiegów, uczucia wstępu i pogardy rozwiewają się: w tok rozmowy zwolna wplata się srebrna nitka rzewnej boleści, *jakby skargi, która cicho dźwięczy, jak nucenie polnego konika skostniałego w śronisty ranek jesienny*«.

Takich porównań nie powstydziliby się żaden z największych poetów. Ale bo też dr. Matlakowski, choć lekarz i chirurg, miał więcej poezyi w duszy, niż niejeden z naszych dzisiejszych wirtuozów formy wierszowej. Każdy, kto przeczyta niniejszą książkę o *Hamlecie*, zgodzi się na to twierdzenie...

się w jego otoczeniu), uwięzić, postawić przed sądem, i tym sposobem występny król, królo- i bratobójca, zostałby według prawa i sprawiedliwości osądzony, ukarany, a na jego miejsce postawiony ten, który i z rodu i dzięki swym osobistym przymiotom był najgodniejszym przedstawicielem szczęśliwie przywróconego porządku. To była jedyna i właściwa droga, mogąca doprowadzić do celu: Hamlet zginął, bo wybrał inną, która była bezdrożem. Tymczasem pójście po właściwej drodze, t. j. publicznego oskarżenia Klaudiusza, nie było tak trudnem nawet, jakby się zdawać mogło. »Cały dwór w Elsinorze był świadkiem, jak król zdradził się ze swym zbrodniczym czynem w czasie przedstawienia; głuche dotychczas posłuchym o nagłej śmierci Hamletowego ojca zyskały na prawdopodobieństwie (po widowisku teatralnem), a Hamlet — na zwolennikach, skutkiem tego zaś — na powadze i mocy; krótko mówiąc, wobec całego położenia rzeczy, nie trudno było Hamletowi z pomocą Horacego i wszystkich prawomyślnych uwięzić Klaudiusza, by go oddać bezstronnemu sądowi...« Wykonalność tego moralnego wymagania nie była niemożliwą w położeniu Hamleta. Należało (jak w nowelli) dla swej sprawy pozyskać matkę, Horacego i innych; Hamlet tego nie zrobił, bo mu mizantropia jego, pogarda, uprzedzenie i złe wyobrażenie o całym rodzie ludzkim, nie pozwoliły odwołać się do ludzkiej pomocy. A szkoda, że tego nie uczynił, bo był to człowiek wyższy i niepospolity pod każdym względem, którego panowanie z pewnością wyszłoby Danii na dobre. A tak zginął marnie.

Zdaniem Kraszewskiego, Hamlet jest nieszczęśliwcem, »który wszystko wie, a nic nie może, który, wyzawszy się z formalnej wiary, zastąpił ją rozumem, i ta niewiara zgubiła go«.

III.

Całkiem inaczej pojmuje Hamleta dr. Matlakowski, któremu — jak sam powiada, — chodziło »o takie pojęcie królewicza, w którymby nie było ani odstępstwa od tekstu tragedyi, ani opuszczenia jednych miejsc na korzyść drugich, ani sprzeczności psychologicznych między właściwościami pomyślanego charakteru, lub między nimi a postępkami«.

W tym celu przypuścić trzeba przedewszystkiem — co

zresztą zdaje się nie ulegać wątpliwości — że Hamlet jest młodym: jest to młodzieniec dwudziestokilkoletni, 24-letni np.¹⁾; jako student uniwersytetu wirtemburskiego, uczy się z zamiłowaniem; wyszedł z tych lat, które zwiemy małoletniością, ale jeszcze nie dojrzał zupełnie: stoi w najciekawszym i najbujniejszym okresie życia. Cały przejęty dziecięcym uwielbieniem dla ojca, związany ciepłem jeszcze — jeśli się tak wyrazić wolno — przywiązaniem zwierzęcia młodego, a nie uczuciem refleksyjnym. Posłuszny życzeniu matki i stryja, zostaje u dworu, choć wolałby — dla wielu względów — wrócić do Wirtembergi. Jest skłonny do przyjaźni; kocha się, nie bacząc na przegrody stanowisk i krwi, w pannie przydwornej.

Swoją drogą, nie przestaje być królewiczem, rasowym potomkiem wielkiego rodu; to też królewskość wyszał z mlekiem matki, pięknej kobiety, zarówno jak ją odziedziczył po ojcu, „pięknym królu“.

Jest dzieckiem dorodnych rodziców, których uroda przeszła i na niego. „Jest to młodzieniec dworskich manier, pięknego obejścia, wzór formy — jak go nazywa Ofelia — i ogłady. Zewnętrzność tego rodzaju jest najzupełniej możliwą przy jego sposobie myślenia i smutku; ktoby o tem wątpił, niech przypomni sobie, iż Byron i Słowacki, Chopin i Max Gierymski, owi genialni artyści, tak dalecy rodzajem duszy i głęboością

¹⁾ Dr. Matlakowski, usiłując dowieść, że Hamlet jest młodzieńcem, a nie mężczyzną dojrzałym, 30-letnim, jak utrzymują inni krytycy, niemieccy i angielscy, zapomina o jednym dowodzie, bardzo przekonującym, który, rzecz dziwna, nikomu nie przyszedł na myśl, a który rozstrzyga wątpliwość — na korzyść hipotezy Matlakowskiego. Argumentem tym jest wiek matki Hamleta, kobiety dojrzałej, ale jeszcze powabnej i pięknej, więc nie starej. Jest to kobieta lat czterdziestu dwóch do trzech, bliska przekwitni, ale jeszcze nie przekwitła. Kiedy wyszła za męża, za ojca Hamletowego, musiała mieć lat 17 lub 18. Gdyby Hamlet miał lat 30, jego matka miałaby 47 lub 48. Co innego zdaje się wynikać z tragedyi, w której czysto zmysłowa miłość Gertrudy i Klaudiusza ma wszelkie pozory namiętności gorącej i szczerzej z obu stron, na co Hamlet niejednokrotnie zwraca uwagę. Stosunek małżeński Klaudiusza i Gertrudy, to nie stosunek Batorego i Anny Jagiellonki; to dwie żądze, które się pożądadają wzajemnie, aby zaś to było możliwe, fizyologicznie uzasadnione, Gertruda może mieć najwyżej 43 lat. Wobec tego Hamlet nie może mieć więcej nad 24.

uczucia od suchej układności i dworszczyzny Ludwików, byli pięknymi cieleśniami, a wytwornymi w odzieży i obejściu. Z twarzy musiał przypominać portrety młodzieńców, które malował Rafael, sam bardzo piękny.

Jakiego rodzaju był umysł Hamleta? Czy jest to filozof? Po części, ale co nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nie jest to filozof w rodzaju Kanta, Fichtego, Voltaire'a lub Hume'a. Jest to poeta-filozof, taki, jakim był Szekspir, jakim był Goethe, jakim był Shelley. O ile oni byli filozofami, o tyle jest nim i Hamlet, on, który zarówno w postępowaniu, jak w sposobie myślenia, należy do tej kategorii geniuszów, co oni. Jak oni, posiada w wysokim stopniu cechy filozoficznego myślenia; umie odnosić pojedyncze fakty do właściwych kategorii, przenikliwie postrzega zależności, lecz filozofem nie jest, gdyż w myśleniu swoim, uniesiony namiętnością, pod żywym odczuciem wrażenia, nie postrzega faktów odmiennych lub sprzecznych, ani dochodzi do ograniczenia swoich uogólnień; w uogólnianiu posługuje się intuicyą, nie metodą indukcyjną. Natomiast posiada ten przedziwny, niemal cudowny rodzaj allotropizmu umysłowego, który znajdujemy u artystów, u poetów, z którym w porównaniu zwyczajny umysł ludzki wydaje się tępym, gnuśnym, bezbarwnym i bezdźwięcznym, jakby niższego rzędu. Umysł wielkiego artysty, umysł geniusza, to nieosiągalne żadnymi środkami, ani doświadczeniem życiowym, ani nauką, przerażające bogactwo wrodzone, w którym szczęśliwym zbieganiem, drogą osobliwszego doboru, znalazły się najcenniejsze przymioty, w najwyższym stopniu, w mniej więcej doskonalszej zgodzie. Umysł Hamleta, to umysł tego samego rodzaju, co umysł Leonarda da Vinci lub Goethego, u których niezmierna wrażliwość i emocjonalność nie wykluczały wysokiej, krańcowej siły rozumu. Stąd, obok niezmiernego bogactwa i różnorodności uczuć i wzruszeń, to nadzwyczajne bogactwo idei czystych, które tak uderzają w Hamlecie.

Ale taka niezwykła, prawie niewymierna zdolność odczuwania, idąca w parze z niemniejszą siłą rozumu, o ile jest mocą takich natur wyjątkowych, o tyle bywa niejednokrotnie i źródłem ich słabości: chociaż myślą potrafią wyścigać bieg wydarzeń, jednak ich emocjonalna strona, nierozdzielnie zaślubiona rozumowi, utrudnia wysnucie suchych wniosków i roz-

kazów postępowania. I to jest źródłem wahania się Hamletowego.

Jako charakter, jest Hamlet — zdaniem Matlakowskiego — pomimo swej wrażliwości, często nadczulej trochę, obdarzony znacznym zapasem energii i woli. Ognićcie pohopny do otwartego boju, mężny i zapalczywy, znakomity szermierz, umie się zdobyć na najwyższe działanie, t. j. na działanie z rozważą, z ogromnym nakładem inteligencji i przenikliwości, krzyżujące plany przeciwnika, i z niemniejszym zasobem inicjatywy. Jego podziemna walka z Klaudiuszem jest »szczytnem zespoleniem w jedno intelektu i woli«. Przytem, ponieważ jest umysłem krytycznym pierwszej wody, zna swoje błędy, przeczuwa ścisłą prawdę, co go czyni nowożytnym, nam pokrewnym, ale co nie znaczy bynajmniej, ażeby Hamlet był sceptykiem; Hamlet sceptykiem nie jest. Najlepszy dowód, że wierzy w opatrność, w rozum wyższy, władający życiem i światem. Mimo to, jest zdeklarowanym deterministą¹⁾: jako taki, liczy się z faktami dokonanymi, jako z rzeczami, których odrobic niepodobna, a kiedy się zastanawia nad nimi, to nie jak fatalista, ale jak chrześcjanin, który głęboko wierzy w nieśmiertelność duszy.

Lecz przede wszystkim jest to natura szlachetna, obdarzona gorącą miłością prawdy, zgodności ideału z czynami, przekonań z postępkami. Jest to wielkie serce, szczerozłote uczucie, idealista, blizki ideału człowieka, podobny do Marka Aureliusza, obejmujący niemal wszystko, co wielkie duchy greckie, uznający zalety i przymioty innych, a nie znający uczucia zazdrości. Jest to jeden z tych, co czuły niedolę drugich, choćby mu się i najlepiej działo. Idealizm jego, taki melancholijny i rzewny, jest bojującym i cierpiącym: skutkiem niezwykłej czuciowości, nie znosi widoku zła lub krzywdy, zbroczeń i zaprzania prawdy. Każdy czyn nieprawdy, każda myśl fałszu, dolegają mu, bolą go, nie pozwalają żyć spokojnie. Dlatego pragnąłby świat odmienić! Niestety, świat jest zły, podobny do niepielnego ogrodu, więc Hamlet, dzięki swemu idealizmowi, właściwemu jego młodzieńczemu wiekowi, popada w rozgoryczenie, i z zajadłością, nie oszczędzającą nikogo, nawet matki,

¹⁾ W tym punkcie zgadza się Matlakowski z Türck'em, jednym z najgłębszych komentatorów *Hamleta*.

zemstę, którą ma wykonać Hamlet. Jako człowiek, jest to »największy *bohème* wszystkich stuleci razem«, giętki i ruchliwy, mazgaj i mistyfikator, poeta, filozof, anarchista, wróg płci niewieściej. Najmniej jest księciem, zwłaszcza takim, jak go pojmuje Goethe, który w nim widzi jakiegoś młodego Ludwika XIV, członka rady państwa i dworaka. Poeci mają silny wpływ na niego. Zajmowane stanowisko rozwinęło w nim mizantropię, a co ważniejsza, to, iż pozwoliło popisywać się nią: Hamlet nigdy nie odmówi sobie przyjemności powiedzenia komuś impertynencji. Uczucie dla Ofelii w rzeczywistości jest prostą fantazyą głowy, miłością literacką, którą zadawała uwagami, zalecankami. Ostateczna konkluzya, do jakiej dochodzi Becque, brzmi jak następuje: »Zostawmy tego męczennika, nie pytajmy go o nic. Cierpi; jest zdrow i cierpi straszliwie. Zrozumcież, iż to poruszenie sztuczne i zewnętrzne (t. j. akcja tragedyi samej) nie wchodzi w rachubę, ono go raczej uspakaja. Cierpi za siebie, za was, za świat cały. Jeśli go chcecie poznać, posłuchajcie go, gdy sam, gdy oswoił się od mężczyzny i od kobiety, i odrzucił księgę, w której stoją tylko wyrazy. Wtedy cały smutek ludzki wstępuje mu na usta i wypowiada słowa najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek wyrzeczono na scenie«.

O ile studjum Becque'a jest typowym wytworem umysłu francuskiego, o tyle elaborat Baumgarta jest typową pracą niemieckiego uczonego i erudyty. Kiedy Becque, z pewnością siebie, właściwą znakomitościom literackim francuskim, powiada o stosunku pierwszego wydania *Hamleta* z r. 1603, t. zw. Q₁ do drugiego wydania z r. 1604 t. zw. Q₂, iż »drwi sobie z uczoności, z jej skrupułów, danych« etc. i jest przekonany, że owego młodzieńczego utworu Szekspira, który mamy w Q₁, »nikt nie czytał«; to Baumgart, chcąc dowieść, że *Hamlet* jest skończonym arcydziełem bez zarzutu, oparł się na starych Kanonach poetyki Arystotelesa. Jakże się w tym przykładzie odzwierciedlają dwie odmienne psychologie narodów!

Wystarczy zacytować jeden ustęp z tej pracy Baumgarta, ażeby nabrać wyobrażenia o ciężkim kalibrze tego dzieła erudycyi, w jaką się ten niemiecki uczoney uzbroił, kiedy mu przyszło walczyć w obronie szekspirowskiego bohatera i dramatu. »To, co w Ojdypie sprawia perypetia w połączeniu z poznaniem, w Hamlecie dokazują właściwości jego charakteru i wła-

śnie najlepsze strony jego istoty przywodzą go do tego, że w swoim działaniu wpada w błąd — ów błąd tragiczny, o którym wspomina Arystoteles w rozdziale 13-tym: błąd ten sprawia, iż Hamlet przez wszystkie kroki w biegu sztuki coraz głębiej brnie w niedolę, która w końcu pochłania przyjaciół i wrogów, osoby trzecie, a wreszcie i jego samego«. Na pytanie: Na czym polega tragizm Hamleta? Baumgart odpowiada w ten sposób: »Jest-li nim jedynie śmierć bohatera zgon tylu innych osób? Czy może zapłata, spotykająca na ostatku króla! Miałoby być tragicznością ukaranie lotra? Lub miałyby cała tragika sztuki polegać na tem tylko, co Arystoteles zowie patetycznem, t. j. na ranach i śmierci, wystawionych na scenie?... Że Arystoteles nie byłby zaliczył sztuki do rodzaju patetycznego, wnet widać z tego, że wątek nie jest prosty, przy którym, bez perypetyi i bez poznania, wypadki, dzięki naturalnemu biegowi rzeczy, muszą wziąć nieszczęśliwy obrót; owszem, wątek jest zawikłany..., sztukę zatem Arystoteles nazwałby powikłaną i etyczną. Dramat więc, zarówno ze sposobu układu wątku, jak i z obrobienia, należy do najpiękniejszej kategorii. W danej fabule zachodzi ten sam przypadek, który Arystoteles zaznacza w Ojdypie: oto czyn, kryjący w sobie tragiczny zasadniczy czynnik nie leży w sztuce, lecz poprzedza jej akcyę, jak w tragedyi Sofoklesa... Tam poznanie dotyczy osób zaprzyjaźnionych, dotyczy spełnienia strasznego czynu — modyfikacya również przewidziana przez Arystotelesa«. Można sobie wyobrazić, jak serdecznie uśmiełby się Szekspir, gdyby te Baumgartowe wywody o swym *Hamlecie* przeczytał.

Na pytanie, czy Hamlet tylko udaje waryata czy nim jest rzeczywiście? — dawano rozmaite odpowiedzi: dla jednych jest rzeczą dowiedzioną przez medycynę, a więc niezawodną, iż Hamlet jest obłąkańcem; inni dowiedli niemniej przekonująco, że tak nie jest. Dr. Ray dowodzi, że Hamlet jest szalonym o tyle, iż dostrzedz to może nawet powierzchowny obserwator; mimo to zachowuje tyle siły zastanowienia i samokontroli, iż jest w stanie postawić dobrze określony zamiar zemsty, choć go nie potrafi wykonać. »W scenie z duchem mamy podrażnienie bredowe: umysł ugina się pod pierwszym ciosem choroby«. Zdaniem Bucknilla, Hamlet jest chorym, dotkniętym melancholią, melancholikiem rezonującym, chorobliwie zmienionym w porównaniu z poprzednim stanem myśli,

uczuc i postępowania; znajduje się w stanie, który tysiące ludzi przebywa, nie zostając waryatami; jest to okres wylegania się choroby. Wrażenie jednak, żeby Hamlet był prawdziwym szaleńcem, jest błędem. Co innego twierdzi dr. Kellog. Według niego, Hamlet tam, gdzie udaje waryata, jest nim naprawdę. Dowodem scena z Ofelią. »Jakież to udawanie, w którym aktor zadaje gwałt najdroższym swym uczuciom, a rani i rozdziera serce tej, którą kochał tak czule... Ostrowidzowa czujność kobiecej miłości nie mogła się pomylić: Ofelia rozwiązała trafnie zagadkę, która zakłopotala i pomieszała wszystkich krytyków Szekspira. To samo utrzymuje dr. Conolly, dla którego Hamlet jest »prostu obłąkanym«, a tezy swej dowiódł tak świetnie, że zdołał przekonać wielu krytyków literackich, między innymi kardynała Wisemana, który uważa spór za rozstrzygnięty przez Conollego. Mimo to znaczna większość krytyków, jak Friesen, Baumgart i inni, odrzucają pomieszenie Hamleta, choćby dla względu czysto estetycznego: bohater dramatu, nieodpowiedzialny za czyny swoje, nie byłby tragicznym.

II.

Jak w Anglii, Niemczech i Francji, podobnie i w Polsce znaleźli się ludzie, którzy bądź kusili się o rozwiązanie zagadki *Hamleta*, bądź byli dlań z wielkiem uwielbieniem.

Pierwszym, co się nim zainteresował u nas, był nestor teatru polskiego, Wojciech Bogusławski, który *Hamleta* nie tylko przetłómaczył (prozą), »kilka scen według tłómaczenia Schrödera, wiele opuszczonych myśli dodał, a całe przekładanie do najlepszych *francuskich*, a szczególnie do wybornego dzieła Shakespearera przez niemieckiego autora Schlegel przełożenia, starannie zbliżył«, ale go zarazem wprowadził na repertuar swego teatru. Było to we Lwowie, w r. 1797, i odtąd *Hamlet*, który odrazu »sprawił wielkie wrażenie«, grywany był »wielokrotnie, a zawsze z upodobaniem publiczności«.

Drugim człowiekiem w Polsce, który żywił kult dla *Hamleta*, był słynny dziwak podolski, przezwany *dux et redux*, dziedzic »Mińkowieckiego państwa« i Przytulińskich ogrodów, unieśmiertelniony przez Słowackiego we francuskiej powieści *Le Roi de Ladawa*, zarówno jak i w *Beniowskim* (ojciec Anieli), głośny na początku tego stulecia Ścibor Marchocki. On pierw-

szy wydał *Hamleta* po polsku, własnym nakładem, w przekładzie J. N. Kamińskiego, w r. 1805¹⁾. Nie wszyscy półpankowie ukraińscy miewali tak szlachetne fantazye. Może dlatego nazywano Marchockiego — dziwakiem i półgłówkiem?

Niemniejszy kult żywił dla Szekspira w ogóle, a dla *Hamleta* w szczególności, Ignacy Hołowiński (Kefaliński), który *Hamleta* pierwszy przełożył wprost z oryginału, sumiennie, z wielkiem poszanowaniem rzeczy, bez żadnych samowolnych zmian i skrótów.

Wiadomo, jak entuzjastycznym wielbicielem Szekspira był Słowacki, w którym *Hamlet* miał takiego zwolennika, iż autor *Balladyny*, będącej spolszczonym *Makbetem*, i *Beatrici Cenci*, tak bardzo przypominającej *Romea i Julię*, pokusił się i o napisanie polskiego *Hamleta*. Jakoż napisał *Horsztyńskiego*, którego bohater, Szczesny Kossakowski, jest szekspirowskim *Hamletem* przeniesionym na polski grunt, tak dalece, że także radzi swej kochance, ażeby wstąpiła do klasztoru, a w innej scenie wchodzi z książką w rękę, jak królówiczu duński²⁾.

Margrabia Wielopolski umiał całego *Hamleta* na pamięć, takim był wielbicielem tej tragedyi, z którą ostatecznie jego tragedia miała tak wiele podobieństwa... Bądź co bądź >czy nie dziwne i nie ciekawe — powiada Matlakowski — to sprzężenie wielkiego działacza z bohaterem, który miał chorować na brak czynu? Co mógł przemyślać o *Hamlecie* margrabia, gdy szarpany i czerniony, przegrawszy stawkę, dogorywał w strasznych cierpieniach w Dreźnie?³⁾

Inaczej zapatruje się na *Hamleta* biograf i wielbiciel polityki margrabiego Wielopolskiego, prof. Włodzimierz Spasowicz, który w swoim przenikliwym studyum o królówiczu

¹⁾ *Hamlet*, królówiczu duński, tragedia w 5 aktach w angielskim języku przez Shakespeare'a napisana, z niemieckiego zaś polskiem piórem przez J. N. Kamińskiego przełożona. W Mińkowie, druk dziedzica Marchockiego, 1805.

²⁾ Zob. *Hamlet polski* w *Szkicach literackich* dr. Józefa Tretiaka, serya pierwsza, Kraków, 1895.

³⁾ W innym miejscu, na str. 108, pisze Matlakowski: *»Na zawsze pozostanie dla nas niepowetowaną szkodą, że drugi prawnik i mąż stanu, a wielbiciel tragedyi o królówiczu duńskim, Wielopolski, nie zostawił na piśmie swojego poglądu: byłby to najciekawszy w świecie sąd, człowieka, co sam umiał czuć, myśleć, działać, a poniósł najstraszniejszy rozgrom«.*

duńskim wystąpił tym razem nie — jak zwykle — w roli prawnika-obroncy (jak np. w swej znakomitej książce o Wielopolskim), ale — wyjątkowo — w roli prawnika-prokuratora. Na nieszczęście dla Hamleta akt oskarżenia na niego — bo prawie na taką nazwę zasługuje to Spasowiczowskie studium o *Hamlecie* — skreślony wytrawnym piórem autora *Politycznego spadku po Wielopolskim*, wypadł niemniej głęboko i świetnie pod względem siły i zdolności argumentowania, aniżeli jego klasyczne obrony.

Prof. Spasowicz należy do najsurowszych sędziów Hamleta. Jego zdaniem, królówic „wiecznie się kołysze, niby na wahadle, na dylemacie”. Jego myślenie jest genialne, ale jałowe. „Oderwaną myślą można świat zewnętrzny osiąść, a potem nad nim zapanować i wedle woli swojej przekształcić, ale wrzód, nim świat osiąść, trzeba osiąść myśli własne i rząd nad nimi dźwżyć. Pierwiastek woli potrzebny jest w samym myśleniu, chociażby na to, aby pod jego naciskiem uczucie skropiło się naprzód w przekonanie, a potem skrzepło na postanowienie. Do postanowienia idzie się przez przekonanie, a dla przekonania potrzebna jest chociażby odrobina wiary, nie w znaczeniu jakiegokolwiek *credo* religijnego lub filozoficznego, ale poprostu w tem znaczeniu, że trzeba odrąbać się od wątpliwości i, przyłgnąwszy do tego, co w danym przypadku jest najprawdopodobniejsze, oprzeć się na tem, jako na opoce”. Nic wspólnego z tego rodzaju myśleniem nie mają fantazy Hamleta. Jest to fatalista, mocno podszyty materjalizmem, fatalista, któremu fatalizm służy za filar, o który się opiera jego praktyczne niedoleżtwo. Jego myślenie jest marzycielstwem, poezją niedotykającą ziemi. Jest to człowiek natchnienia, nie namysłu, poeta, istota kontemplacyjna i książkowa. Książka jest jego najmilszą zabawą. „Wielkość szekspirowskiego utworu polega na tem głównie, że: 1) podał on skończony typ takiego marzyciela, takiego lunatyka, typ, który odtąd będzie się powtarzał w literaturze przez ciąg wieków po wszystkich krajach i lądach; 2) że go podał nie jednostronnie, w przebóstwie, jakby to był uczynił tuzinkowy jaki pisarz, któryby nieomieszkiał przedstawić, jak nieszczęśliwa eteryczna poezya niesprawiedliwie kona, zduszona w żelaznych objęciach rzeczywistości; ani równie jednostronnie, w karykaturze, jako temat, pelen wysokiego komizmu, który się zawsze wywiązywać musi,

gdzie z nierozsądnych zamiarów poetycznych wynikają skutki nedorzeczne; ale w dramacie rozzdzierającym serce, w którym widzimy, jak się to szlachetne serce truje, jak się ten charakter kazi, jak nisko spada ten umysł, tłukąc się o rzeczywistość, i jak w końcu lepiej, że on się rozbił w starciu z rzeczywistością, aniżeli gdyby ta rzeczywistość oddaną została na pastwę jego urojeniom poetycznym, jego chwilowym szałom i kaprysom. Coby nastąpiło wtedy? Najprawdopodobniej, gdyby Hamlet, zabiwszy stryja, sam zasiadł na tronie, zaczęłoby się panowanie króla-poety, któreby ludziom kazało żałować czasów Klaudiusza... Hamlet jest poetą, na którym czego nie wymaga obowiązek, tego dokaże artyzmem, miłość dla sztuki, upodobanie nie treści i celu, lecz samego procesu działania. Tacy artyści na tronie, gdy chodzi o pofolgowanie artystycznej żyłce, nie zważają czasami, czem okupują swe zadowolenia. Sam Hamlet powiada: »Chociaż nie jestem prędko, drażliwy, ale mam w sobie coś niebezpiecznego...« To coś, to niby maluczka odrobina uczucia, które posiadał Nero, gdy wołał: *qualis artifex pereo!* Dlatego tragiczna katastrofa, przecinająca nić życia Hamleta, wyświadcza mu prawdziwe dobrodziejstwo, gdyż ratuje go od jeszcze smutniejszego końca, gdyby był przeżył stryja, od którego w końcu sztuki Hamlet jest nie wiele lepszym: tak dalece posunęło się w nim zepsucie moralne.

O wiele łagodniejszym sędzią, niż prof. Spasowicz, jest prof. Struve, choć i on potępia sposób postępowania Hamleta; czyniąc to zaś, zapatruje się wyłącznie z psychologiczno-etycznego punktu widzenia. Winą Hamleta, utrzymuje prof. Struve, a zarazem powodem jego zguby, jest zbytne zaufanie we własne siły, obłąd, czy zbyt ambitne przeświadczenie, że on sam jest powołany do naprawy porządku moralnego, że on sam uosabia sprawiedliwość i opatrność, jeżeli nie na ziemi całej, to przynajmniej w Danii. Dlatego postanowił nie tylko odegrać rolę sędziego śledczego, ale i wykonawcy wyroku, przekonany, że tylko on jest powołany wykonywać prawo i sprawiedliwość, że tylko on zdoła przywrócić zakłóconą równowagę w moralnym porządku. Podobne zapatrywanie było błędem, prowadzącym do tragicznego końca. Należało, skoro się nabrało przeświadczenia, że Klaudiusz przez swą zbrodnię potargał moralny porządek na ziemi, publicznie oskarżyć zbrodniarza (czego mógł dokonać przy pomocy ludzi szlachetnych, znajdujących

się w jego otoczeniu), uwięzić, postawić przed sądem, i tym sposobem występny król, królo- i bratobójca, zostałby według prawa i sprawiedliwości osądzony, ukarany, a na jego miejsce postawiony ten, który i z rodu i dzięki swym osobistym przymiotom był najgodniejszym przedstawicielem szczęśliwie przywróconego porządku. To była jedyna i właściwa droga, mogąca doprowadzić do celu: Hamlet zginął, bo wybrał inną, która była bezdrożem. Tymczasem pójście po właściwej drodze, t. j. publicznego oskarżenia Klaudiusza, nie było tak trudnem nawet, jakby się zdawać mogło. »Cały dwór w Elsinorze był świadkiem, jak król zdradził się ze swym zbrodniczym czynem w czasie przedstawienia; głuche dotychczas posłuchy o naglej śmierci Hamletowego ojca zyskały na prawdopodobieństwie (po widowisku teatralnem), a Hamlet — na zwolennikach, skutkiem tego zaś — na powadze i mocy; krótko mówiąc, wobec całego położenia rzeczy, nie trudno było Hamletowi z pomocą Horacego i wszystkich prawomyślnych uwięzić Klaudiusza, by go oddać bezstronnemu sądowi...« Wykonalność tego moralnego wymagania nie była niemożliwą w położeniu Hamleta. Należało (jak w nowelli) dla swej sprawy pozyskać matkę, Horacego i innych; Hamlet tego nie zrobił, bo mu mizantropia jego, pogarda, uprzedzenie i złe wyobrażenie o całym rodzie ludzkim, nie pozwoliły odwołać się do ludzkiej pomocy. A szkoda, że tego nie uczynił, bo był to człowiek wyższy i niepospolity pod każdym względem, którego panowanie z pewnością wyszłoby Danii na dobre. A tak zginął marnie.

Zdaniem Kraszewskiego, Hamlet jest nieszczęśliwcem, »który wszystko wie, a nic nie może, który, wyzuwszy się z formalnej wiary, zastąpił ją rozumem, i ta niewiara zgubiła go.

III.

Całkiem inaczej pojmuje Hamleta dr. Matlakowski, któremu — jak sam powiada, — chodziło »o takie pojęcie królewicza, w któremby nie było ani odstępstwa od tekstu tragedyi, ani opuszczenia jednych miejsc na korzyść drugich, ani sprzeczności psychologicznych między właściwościami pomyślanego charakteru, lub między niemi a postępkami.«

W tym celu przypuścić trzeba przedewszystkiem — co

zresztą zdaje się nie ulegać wątpliwości — że Hamlet jest młodym: jest to młodzieniec dwudziestokilkoletni, 24-letni np.¹⁾; jako student uniwersytetu wirtemburskiego, uczy się z zamiłowaniem; wyszedł z tych lat, które zwiemy małoletniością, ale jeszcze nie dojrzał zupełnie: stoi w najciekawszym i najbujniejszym okresie życia. Cały przejęty dziecięcym uwielbieniem dla ojca, związany ciepłem jeszcze — jeśli się tak wyrazić wolno — przywiązaniem zwierzęcia młodego, a nie uczuciem refleksyjnym. Posłuszny życzeniu matki i stryja, zostaje u dworu, choć wolałby — dla wielu względów — wrócić do Wirtembergi. Jest skłonny do przyjaźni; kocha się, nie bacząc na przegrody stanowisk i krwi, w pannie przydwornej.

Swoją drogą, nie przestaje być królewiczem, rasowym potomkiem wielkiego rodu; to też królewskość wyssał z mlekiem matki, pięknej kobiety, zarówno jak ją odziedziczył po ojcu, »pięknym królu«.

Jest dzieckiem dorodnych rodziców, których uroda przeszła i na niego. »Jest to młodzieniec dworskich manier, pięknego obejścia, wzór formy — jak go nazywa Ofelia — i oglady. Zewnętrzność tego rodzaju jest najzupełniej możliwą przy jego sposobie myślenia i smutku; ktoby o tem wątpił, niech przypomni sobie, iż Byron i Słowacki, Chopin i Max Gieryski, owi genialni artyści, tak dalecy rodzajem duszy i głęboością

¹⁾ Dr. Matlakowski, usiłując dowieść, że Hamlet jest młodzieńcem, a nie mężczyzną dojrzałym, 30-letnim, jak utrzymują inni krytycy, niemieccy i angielscy, zapomina o jednym dowodzie, bardzo przekonywającym, który, rzecz dziwna, nikomu nie przyszedł na myśl, a który rozstrzyga wątpliwość — na korzyść hipotezy Matlakowskiego. Argumentem tym jest wiek matki Hamleta, kobiety dojrzałej, ale jeszcze powabnej i pięknej, więc nie starej. Jest to kobieta lat czterdziestu dwóch do trzech, bliska przekwitania, ale jeszcze nie przekwitła. Kiedy wyszła za męża, za ojca Hamletowego, musiała mieć lat 17 lub 18. Gdyby Hamlet miał lat 30, jego matka miałaby 47 lub 48. Co innego zdaje się wynikać z tragedyi, w której czysto zmysłowa miłość Gertrudy i Klaudiusza ma wszelkie pozory namiętności gorącej i szczerzej z obu stron, na co Hamlet niejednokrotnie zwraca uwagę. Stosunek małżeński Klaudiusza i Gertrudy, to nie stosunek Batorego i Anny Jagiellonki; to dwie żądze, które się pożądataj wzajemnie, aby zaś to było możliwe, fizyologicznie uzasadnione, Gertruda może mieć najwyżej 43 lat. Wobec tego Hamlet nie może mieć więcej nad 24.

uczucia od suchej układności i dworszczyzny Ludwików, byli pięknymi cieleśniami, a wytwornymi w odzieży i obejściu. Z twarzy musiał przypominać portrety młodzieńców, które malował Rafael, sam bardzo piękny.

Jakiego rodzaju był umysł Hamleta? Czy jest to filozof? Po części, ale co nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nie jest to filozof w rodzaju Kanta, Fichtego, Voltaire'a lub Hume'a. Jest to poeta-filozof, taki, jakim był Szekspir, jakim był Goethe, jakim był Shelley. O ile oni byli filozofami, o tyle jest nim i Hamlet, on, który zarówno w postępowaniu, jak w sposobie myślenia, należy do tej kategorii geniuszów, co oni. Jak oni, posiada w wysokim stopniu cechy filozoficznego myślenia; umie odnosić pojedyncze fakty do właściwych kategorii, przenikliwie postrzega zależności, lecz filozofem nie jest, gdyż w myśleniu swoim, uniesiony namiętnością, pod żywym odczuciem wrażenia, nie postrzega faktów odmiennych lub sprzecznych, ani dochodzi do ograniczenia swoich uogólnień; w uogólnianiu posługuje się intuicyją, nie metodą indukcyjną. Natomiast posiada ten przedziwny, niemal cudowny rodzaj allotropizmu umysłowego, który znajdujemy u artystów, u poetów, z którym w porównaniu zwyczajny umysł ludzki wydaje się tępym, gnuśnym, bezbarwnym i bezdźwięcznym, jakby niższego rzędu. Umysł wielkiego artysty, umysł geniusza, to nieosiągalne żadnymi środkami, ani doświadczeniem życiowym, ani nauką, przerażające bogactwo wrodzone, w którym szczęśliwym zbiegiem, drogą osobliwszego doboru, znalazły się najcelniejsze przymioty, w najwyższym stopniu, w mniej więcej doskonałej zgodzie. Umysł Hamleta, to umysł tego samego rodzaju, co umysł Leonarda da Vinci lub Goethego, u których niezmierna wrażliwość i emocjonalność nie wykluczały wysokiej, krańcowej siły rozumu. Stąd, obok niezmiernego bogactwa i różnorodności uczuć i wzruszeń, to nadzwyczajne bogactwo idei czystych, które tak uderzają w Hamlecie.

Ale taka niezwykła, prawie niewymierna zdolność odczuwania, idąca w parze z niemiejszą siłą rozumu, o ile jest mocą takich natur wyjątkowych, o tyle bywa niejednokrotnie i źródłem ich słabości: chociaż myślą potrafią wyścigać bieg wydarzeń, jednak ich emocjonalna strona, nierozdzielnie zaślubiona rozumowi, utrudnia wysnucie suchych wniosków i roz-

kazów postępowania. I to jest źródłem wahania się Hamletowego.

Jako charakter, jest Hamlet — zdaniem Matlakowskiego — pomimo swej wrażliwości, często nadczulej trochę, obdarzony znacznym zapasem energii i woli. Ognićcie pohopny do otwartego boju, mężny i zapalczywy, znakomity szermierz, umie się zdobyć na najwyższe działanie, t. j. na działanie z rozważą, z ogromnym nakładem inteligencji i przenikliwości, krzyżujące plany przeciwnika, i z niemniejszym zasobem inicjatywy. Jego podziemna walka z Klaudiuszem jest »szczytnem zespoleniem w jedno intelektu i woli«. Przytem, ponieważ jest umysłem krytycznym pierwszej wody, zna swoje błędy, przeczuwa ściśłą prawdę, co go czyni nowożytnym, nam pokrewnym, ale co nie znaczy bynajmniej, ażeby Hamlet był sceptykiem; Hamlet sceptykiem nie jest. Najlepszy dowód, że wierzy w opatrność, w rozum wyższy, władający życiem i światem. Mimo to, jest zdeklarowanym deterministą¹⁾: jako taki, liczy się z faktami dokonanymi, jako z rzeczami, których odrobić niepodobna, a kiedy się zastanawia nad niemi, to nie jak fatalista, ale jak chrześcjanin, który głęboko wierzy w nieśmiertelność duszy.

Lecz przede wszystkim jest to natura szlachetna, obdarzona gorącą miłością prawdy, zgodności ideału z czynami, przekonań z postępkami. Jest to wielkie serce, szczerozłote uczucie, idealista, blizki ideału człowieka, podobny do Marka Aureliusza, obejmujący niemal wszystko, co wielkie duchy greckie, uznający zalety i przymioty innych, a nie znający uczucia zazdrości. Jest to jeden z tych, co czułyby niedolę drugich, choćby mu się i najlepiej działo. Idealizm jego, taki melancholijny i rzewny, jest bojującym i cierpiącym: skutkiem niezwykłej czuciowości, nie znosi widoku zła lub krzywdy, zbroczeń i zaprzania prawdy. Każdy czyn nieprawdy, każda myśl fałszu, dolegają mu, bolą go, nie pozwalają żyć spokojnie. Dlatego pragnąłby świat odmienić! Niestety, świat jest zły, podobny do niepieclonego ogrodu, więc Hamlet, dzięki swemu idealizmowi, właściwemu jego młodzieńczemu wiekowi, popada w rozgoryczenie, i z zajadłością, nie oszczędzającą nikogo, nawet matki,

¹⁾ W tym punkcie zgadza się Matlakowski z Türck'em, jednym z najgłębszych komentatorów *Hamleta*.

nawet kochanki, smaga podłość, którą jest przesiąknięta atmosfera dworu Klaudiuszowego, a że jest zbyt młodym jeszcze, żeby na świat spoglądać z przebaczenia anielską pogardą, t. j. z przedmiotowością i pobłażliwością, znamionującą wielkich humorystów, więc się otacza szyderstwem pełnem złości i nągrawania, w satyrze graniczącej z purytańskim kaznodziejstwem i zaciekłością. Mimo to nie jest zgryźliwym pesymistą: w nim, obok szyderstwa i ironii, złości i zaciętości, jakimi wybucha wobec króla, Poloniusza, matki, Ofelii, Rosenkranca i Gildensterna, żyje gorąca przyjaźń, ludzkość, łagodność i rzetelna równość, które się ujawniają w spotkaniu z żołnierzami, w obcowaniu z Horacym, w obejściu z aktorami, w przemowie, którą poprzedza swój pojedynek z Laertem. »Nie jest to dwiistość jego natury. Oba szeregi objawów tryskają z tych samych pokładów: to lice i nice tej samej natury, tylko, że dla dobrych ona odpowiada ciepłem tchnieniem wiosennego wiatru, dla złych — ostrymi wycinkami mroźnej zawiei«.

Natura to cnotliwa, sprawiedliwa, delikatna, a to, co w jego postępowaniu jest szlachetnego, cnotliwego i sprawiedliwego, zjawia się, jako owoc przyrodzonego składu duszy, nie zaś jako skutek nakazu wysokiego ideału moralnego, zresztą mu doskonale znanego; w jego cnotliwości niema udziału nakazów praw i przepisów moralności i zakonu. Hamlet jest cnotliwym z natury, z temperamentu; niema w nim nic chrześcijańsko-cnotliwego, lub filozoficzno-cnotliwego.

Nie znaczy to, żeby jego postępowanie — w tragedyi — nie było połowicznym. Tak jest. Ale dlaczego? Bo Hamlet w swoje postępowanie, gdy chodzi o pomszczenie śmierci ojca, nie kładzie całej, tylko pół duszy: drugą połową przebywa gdzieindziej. »Jest ono jakby wymuszonem z zewnątrz, narzuconem wbrew chęci działacza, który podejmuje się go bez zapalu i prowadzi bez fanatyzmu, właściwego młodości i wrodzonej naturze; jest ono podejmowanem przez pobudzenie się samego bohatera po chwilowych przerwach niby-zapomnienia; jest ono bezplanowem, a każda z części działania zjawia się nie jako organiczne dzwono całości, lecz jako wynik pchnięcia przez wydarzenia zewnętrzne; jest ono prowadzonem przez wypadki, a nie przez własną inicjatywę i sprężystość (wiecznie czułą i żywą) działacza; jest ono napadowe, t. j. pozbawione ciągłości, i objawowe (symptomatyczne), t. j. skutkiem nieob-

myślenia i niewyjaśnienia sobie natury i zakresu danego czynu, zjawia się przeważnie jako wynik obrony na cudze działanie — na działanie wroga, którego czujność — skutkiem wielkiej drażliwości królewicza — przedwcześnie pobudzoną została. Po wtóre — jak to już zauważył Werder — zadanie włożone na Hamleta, jest bardzo trudne: zbrodniarz jest prawowitym królem, a zbrodnia stała się w absolutnej tajemnicy. Cały dwór, nie wyłączając matki Hamleta, jest po stronie Klaudiusza. Po trzecie, jeśli warunki działania były trudne, to samo »wielkie zadanie«, sam »świąty obowiązek«, narzucony młodemu bohaterowi, był niemniej osobliwym i szczególnym. Była nim zemsta, która wogóle jest daleką od ideałów czynów ludzkich, odmienną od innych czynów, ponieważ jest czynem *sui generis*, stojącym na rozdrożu między występkiem a cnotą, nacechowanym znamionami jednego i drugiej. Hamlet zaś, o ile był zdolny do czynu, o tyle nie był zdolny do czynu *n*, do czynu, który ludzkość potępiała platonicznie, który potępiała nauka Chrystusa, a przed którym się zawsze wzdrygały serca czule i szlachetne, tudzież umysły wyższe, najwyżej ważące sprawiedliwość, pragnące względnego szczęścia ludzkości. Takim umysłem był właśnie Hamlet. Ale, pomijając nawet chrześcijańsko-Chrystusowy punkt widzenia, zemsta jest czynem, do którego nie może się zapalić jednostka szlachetna, jednostka rycerska. Hamlet, jako syn XVI wieku, jest *rycersko-szlachetnym*, nie będąc wyraźnie chrześcijańskim, a nie ma nic wspólnego z takimi ludźmi odrodzenia włoskiego, jak Caesar Borgia, Macchiavelli, Aretino lub Benvenuto Cellini; nie należy zapominać, że były to czasy humanizmu, które wydawały Kochanowskich, Sidney'ów i im podobnych. To też Hamlet w głębi duszy pogardza czynem, który ma spełnić: raz dlatego, że nie odczuwa tego, co się nazywa ślepą zemstą, czyli, że jest to poczucie obowiązku nie owo potężne, wulkaniczne uczucie, przepalające jestestwo, ogarniające życie całe, którego staje się celem wyłącznym; a powtórze, że chcąc ten ciężki obowiązek wykonać, trzeba być przygotowanym na wszelkie środki; trzeba być gotowym na pchnięcie znienacka, z tyłu, we śnie, w zasadzce; trzeba być zdolnym do zdrad, do trucizny, do spisków, do podkupienia zbirów, jak się da, byle celu dopiąć. Hamlet, który ma taki wysoki ideał człowieka, taki rycerski w formach grzeczności

dla swego wroga-króla, nie jest zdolny do knowań i chytrych, do zdradzieckiego pchnięcia. Bić się po rycersku, w otwartym boju, potrafi; ale pomścić się w sposób, jak wypadnie, jak będzie najwygodniej w danych okolicznościach, tego przy swoim składzie duchowym i wykształceniu nie jest mocen uczynić. »Do zemsty w zapaleczywości, wybuchłej nagle, *in flagranti delictu*, zdolen jest, jak prawie każdy człowiek żywy i wrażliwy; lecz do obmyślanego czyhania, jak ryś, na swoją ofiarę, i rzucenia się w chwili dogodnej dla siebie, a złej dla ofiary, do tego nie zdolen«. Bo Hamlet jest nie tylko królewiczem, a więc szlachcicem, ale i *gentleman*'em w każdym calu. *C'est un gentilhomme avant tout...*

Ale nie brak i innych powodów, dla których Hamlet ociąga się z wykonaniem zemsty. Przedewszystkiem nie pojął on swego zadania, jako zwykłej ordynarnej zemsty, ale jak przystało na duszę wielką, wolną od grubej mściwości, zrozumiał, że jeśli ma działać, to tylko pojmując popełniony zły czyn, jako naruszenie sprawiedliwości, a swoje zadanie, jako przywrócenie jej. Jego czyn niema być zwykłą zemstą, ale wymiarem sprawiedliwości, co znacznie utrudnia działanie. To pierwszy powód. Drugi jest psychologicznej natury. Są takie stany, takie usposobienia chwilowe, takie nastroje, że w czasie ich trwania nie mamy ochoty działać. Do takich nastrojów należy chwilowy smutek, przygnębienie, żalność, gorycz. Otóż Hamlet jest właśnie w fazie takiego smutnego, minorowego nastroju, kiedy ciężkie zadanie spada na jego barki: znajduje się pod gnębiącym a potężnym wpływem smutku, żaloby i boleści. Śmierć ojca, którego ubóstwiał, i powtórne a tak szybkie zameżczenie matki, którą musiał przestać szanować, wytrąciły go z równowagi; smutek zaś, przygnębienie moralne, rozhartowują wolę, osłabiają energię.

Ten smutek, to przygnębienie, są także źródłem, z którego wypływają wszystkie pesymistyczne i czarne myśli Hamleta: zjawiają się, jako wynik nastroju, nie zaś, jako naukowy, w szczegółach obmyślany systemat filozoficzny. Jego uogólnienia, tak czarne i gorzkie, to raczej poetyczne odbicie jego świeżo poranionej duszy. Jego pesymizm, to najcudniejszy idealizm, obłany ponurą zorzą północną bólu i złości serdecznej; jest to skutek przemijającego nastroju wrażliwej natury; jest

to spojrzenie przez łzy i krew, któremi chwilowo napływają mu oczy.

* * *

Swoje znakomite, prawdziwie klasyczne studium o *Hamlecie*, studium, którego niniejszy artykuł jest pobieżnym streśczeniem jedynie, nazwał ś. p. Matlakowski »wstępem« (podobnie, jak Kalinka, którego »wstęp« do *Ostatnich lat panowania Stanisława Augusta* zajmuje cały gruby tom, a jest arcydziełem historycznym), wstępem dlatego, że poprzedza całkowity przekład polski *Hamleta*, dokonany — prozą — tem samym piórem, które nakreśliło ów »wstęp«. Słówko o tym przekładzie. Chcąc ocenić jego prawdziwe zalety, trzeba się mu przypatrzeć z właściwego punktu widzenia, a chcąc ten punkt odnaleźć, wystarczy zwrócić uwagę na następujące słowa samego dra Matlakowskiego, w których jasno określił cel, w jakim raz jeszcze *Hamleta* językowi naszemu przyswoił, choć posiadamy tak znakomite przekłady tej tragedyi, jak Paszkowskiego i Ulricha. »Istnieje u nas bardzo znaczna liczba ludzi, zwłaszcza wśród lekarzy, znająca język angielski o tyle, iż może czytać zwyczajne nowożytnie dzieła specjalne, powieści lub dzienniki, ale im zbywa na osobnem przygotowaniu do czytania Szekspira, którego wielu, jak wiem z mojego kółka, uwielbia, na pamięć umie... Nakoniec, jest sporo inteligentnych i wykształconych ludzi u nas, z kół literackich, handlowych i przemysłowych, którzy w dorosłym wieku sami uczą się angielskiego, posługując się samopomocą i uznanymi w obiegu metodami. Skoro już z najgrubszymi uporają się początkami, mogliby odrazu przejść do dzieła, któreby więcej odpowiadało ich umysłowości, niż przykłady z Olendorfa«. Dlatego przekład *Hamleta*, dokonany przez Matlakowskiego, jest nie poetyczny, ale dosłowny, wiersz w wiersz, a wydrukowany równolegle z tekstem angielskim, jako taki, jest znakomity. Pomimo dosłownej wierności — na czem niekiedy cierpi duch składni polskiej — czyta się on bardzo dobrze, a choć taki suchy na pozór, nie jest pozbawiony pewnego polotu.

Na zakończenie, jeszcze słówko o języku tej niepospolitej książki, (która się w każdym inteligentnym domu polskim znajdo-

wać *powinna*, obok najlepszych książek, jakie posiadamy w naszej literaturze, obok *Sejmu czteroletniego* i *Wieczorów Florenckich*. Matlakowski znany był z tego, że pisał po polsku, jak mało kto, a przytem, że znał swój język ojczysty, jak najznakomitsi z naszych filologów. Stąd ogromne bogactwo wyrazów, których używał na wypowiedzenie swych myśli (zawsze oryginalnych i niepospolitych), bogactwo, które mu pozwalało nawet na taki zbytek, jak odrobina przesady w tym kierunku. Starając się wiele wyrażeń, bądź ludowych, bądź staropolskich, zaczerpniętych z pisarzy XVI wieku, przyswoić naszemu nowoczesnemu językowi, lub je uchronić od zapomnienia, szedł niekiedy — mojem zdaniem — za daleko pod tym względem (zwłaszcza gdy tworzył nowe wyrazy, choć to czynił zgodnie z najściślejszymi regułami filologicznymi). Stąd, zarówno we »wstępie«, jak i w przekładzie *Hamleta*, mnóstwo wyrażeń, z którymi oswoić się nawet literatowi nie przychodzi łatwo. Oto kilka przykładów, wyjętych na chybi trafi. «Hamlet w *ocemgnięniu* (zamias w *mgnieniu oka*) przystosowuje swoje zachowanie się...« »Szekspir dał księciu ogromny *nadział* (zam. *zasób*) energii«. »Jego wola ściśle podlega rozumowi i sumieniu, gdy te nie stają w poprzek jego *wolowości*.« »Kamienie, wyrzucone z procy, *węzzące* od chyżości«. »O prawdziwej energii *wolowej*, nie wolno sądzić po szybkości i dzikości postępowania«. »Pewności niema żadnej: żaden *ściec* (zam. *dowód*) zbrodni nie istnieje«. »Hamlet widnieje wyraziście lub *jarzębaceje* (?), pociąga lub odpycha...« »Doświadczenie pozwala *wskrabac* się na najbliższą przeszkodę«. »Przemiana w sobie, wiodąca do przyjaźni lub *wraždy* (zam. *nieprzyjaźni*)«. Hamlet nie może znieść »chłost i wzgard *wrzemia* (zam. *czasu*)«. »Każdy z nich wypowieda się, jak *pieca* w zapędzie obrończego zapału«. »Nigdy też nie spotkało ich straszne *odłudzenie* (zam. *rozczarowanie*). Jak olbrzymia *wanta* na szczycie *turni*, lub modro zielonkawie *płoso*, drzemiące na *wysoczyźnie* (ten wyraz jest prześliczny!) górskiej«. »Rozmowa z podkładem niesłychanego bólu i *rzewnności*...« »Zatwadziałość okuła ją w *bronność*.« »Dla *prawowierców* myśli powyższe są niewystarczające...« Hamlet »natyka się na coś nieprzewidzianego i w *przeziorach* na świat *poza-świadomościowy* przyjmuje wdanie się Woli wyższej«. Przykłady bitew »w opisach *historyków-baśnio-dziejów*...« »Wbrew zrzędom, którzy wciąż nam *skowrózją* o upadku wielkiej sztuki...«

Ale obok tych drobnych dziwactw filologicznych, będących wynikiem szlachetnej dbałości o możliwe z bogactwa skarbcza mowy ojczystej, język Matlakowskiego, nigdzie nie skażony najmniejszymi naleciałościami cudzoziemskimi, a urobiony na prozie Reja, Wujka, Górnickiego, Orzechowskiego i innych znakomitych pisarzy naszych XVI wieku, jest dziwnie pięknym, barwnym, żywym, plastycznym (Matlakowski był ogromnym wielbicielem Słowackiego), a zdarza mu się nierzadko, że jest i poetycznym także. Zwłaszcza w porównaniach, w których celuje, a które, zawsze trafne nadzwyczaj, niekiedy bywają i poetyczne bardzo. Oto dwa, dla przykładu: »Chęć (ze strony Klaudiusza) nawiązania stosunku z synem, ulagodzenia go, wygładzenia i uklepania sprawy ku tem wygodniejszemu zażywaniu uciech w nowem gniazdku w spokoju i przyjemności, ściał mróz słów królewicza, *jak ścina syberyjski wicher grzywy fal Bajkału, które w locie, w powietrzu, rozchełbane, tężeją w lodowate zadzierzyste wybrygi*«. »Hamlet (w rozmowie z Rosenkrancem i Gildensternem) prawie zapomina do kogo mówi; po zmiążdżeniu szpiegów, uczucia wstrętu i pogardy rozwiewają się: w tok rozmowy zwolna wplata się srebrna nitka rzewnej boleści, *jakby skargi, która cicho dźwięczy, jak nucenie polnego konika skostniałego w sronisty ranek jesienny*«.

Takich porównań nie powstydziliby się żaden z największych poetów. Ale bo też dr. Matlakowski, choć lekarz i chirurg, miał więcej poezyi w duszy, niż niejeden z naszych dzisiejszych wirtuozów formy wierszowej. Każdy, kto przeczyta niniejszą książkę o *Hamlecie*, zgodzi się na to twierdzenie...



IV.

U JULIANA KLACZKI.

Na rogu ulic Smoleńskiej i Straszewskiego, w otoczeniu poważnych gmachów klasztornych, a prawie u podnóża Wawelu, którego archaiczne mury zamkowe królują nad zbitą gęstwą drzew na pobliskich tuż obok ciągnących się Plantacyach, w miejscu, skąd z za gotyckich dachów klasztoru żeńskiego »na Smoleńsku« zielenią się okoliczne wzgórza podbiałańskie, uwieńczone czerwonymi fortyfikacjami pod kopcem Kościuszki, stoi gustowna jednopiętrowa willa w szlachetnym stylu renesansowym. Okolona żelaznymi sztachetami, przez które widać ogródek z fontanną pośrodku, willa ta, niewielka, o kilku oknach frontu, a dwóch tarasowych balkonach, spowitych w bluszcze i wino, mogłaby równie dobrze, jak zdoła tę ustronną ulicę Krakusowego grodu, znajdować się we Florencyi lub jej okolicach, a nawet i tam mogłaby być wzięta za ową willę hrabiny Albani, której apartamenty służą za artystyczne tło *Wieczorom Florenckim...*

W willi tej, już od dłuższego szeregu lat, mieszka »genialny współpracownik *Revue des deux mondes*« (jak Klaczkę w przedmowie do swej *Powieści bez tytułu* nazywa J. I. Kraśzewski), autor *Dwóch Kanclerzów* i nieporównanego studium o *Bezimiennym poecie polskim*.

I.

Było to w d. 27 lutego 1897 roku, o godzinie 4-tej po południu. W powietrzu, roziskrzonym opalowym blaskiem pro-

mieni słonecznych, a jakby nasiąkłem turkusowym błękitem nieba bez chmur, czuło się zapach pierwszych dni wiosennych. Wawel ze swą wieżą katedralną — którą właśnie miałem nawprost siebie — jaskrawo odcinał się od niebieskiego stropu, a strop ten, koloru *bleu foncé*, miał coś z owej ostrości, cechującej błękit nieba włoskiego. Mogło się здаwać, że się jest we Włoszech. Złudzeniu dopomagał nawet stary żebrak w lachmanach, żebrzący w cieniu wysokiego muru klasztornego, ciągnącego się po drugiej stronie ulicy Smoleńskiej. Widok, choć typowy krakowski, nie byłby mniej typowym w jakimś Fiesole lub Asyżu... Pomimo słoneczności i spokoju, rozlanych w całej naturze, byłem trochę podniecony nerwowo, ile że szedłem z wizytą do autora *Rome et la Renaissance*, dzieła, które się właśnie wykończy na pierwszym piętrze tej wdzięcznej willi, a którego pojedyncze rozdziały, w miarę, jak wychodzą z pod pióra, są już od lat trzech ozdobą i *great attraction* paryskiej *Revue des deux mondes*¹⁾. Wiedziałem wprawdzie, iż jestem oczekiwany, że idę na wyraźne zaproszenie «najświetniejszego dziś z polskich pisarzy» (jak Klaczkę w przedmowie do swego przekładu *Wieczorów florenckich* nazywa St. Tarnowski), że mię czeka życzliwe przyjęcie — o czym wszystkiemu już byłem uprzedzony przez czcigodnego autora *Bibliografii polskiej* — lecz mimo to miałem pewne wątpliwości i obawy, które były aż nadto uzasadnione, jeśli się zważy, że za chwilę czekała mię rozmowa z pisarzem tej miary, co Julian Klaczko, rozmowa... o mojej monografii o Słowackim²⁾.

Z tem uczuciem wszedłem do sieni, gdzie, spojrzawszy na bardzo krótką, bo tylko z dwóch nazwisk złożoną listę lokatorów, ujrzałem zwykły, trochę poźółkły bilet wizytowy, zwykłą pluskiewką przytwierdzony do czarnej lakierowanej tabliczki, a na tym bilecie litografowane: *Julian Klaczko*.

Na widok tego nazwiska, którego podpis spotykało się pod tyłoma arcydziełami stylu i kompozycyi literackiej, mimo woli uprzytomnia się wszystko, co się wie o Julianie Klacze, jako pisarzu i polityku:

¹⁾ Pisane w r. 1897. Będące tu w mowie dzieło wyszło pod tytułem *Jules II* w Paryżu, w końcu roku 1898.

²⁾ *Życie Juliusza Słowackiego (1809—1849)*. Biografia psychologiczna, 3 tomy, Kraków i Warszawa 1897.

jego pierwsze poezye polskie, które, jako cudowne 13-letnie dziecko ogłaszał — a raczej ogłaszano za niego — w Wilnie i Poznaniu pomiędzy rokiem 1839 a 1843 ¹⁾;

jego głośnie współpracownictwo w Heidelberskiej *Deutsche Zeitung* w roku 1847 i 1848, współpracownictwo, opromienione najserdeczniejszą przyjaźnią z Gervinusem, który odrazu poznał się na genialnych zdolnościach 23-letniego doktora filozofii ²⁾;

jego przyjaźń z Waleryanem Kalinką, z którym pomiędzy rokiem 1857 a 1861 wydawał i redagował w Paryżu *Wiadomości polskie*, tak głośnie w swoim czasie dzięki jego przświelnym artykułom o *Krewnych Korzeniowskiego*, o *Sztuce polskiej*, o *Gładyatorach* Lenartowicza, o Mierosławskim, etc. etc.;

jego słynne prelekye o Mickiewiczu, które miewał w Paryżu w r. 1858, których słuchali tacy ludzie, jak ks. Adam Czartoryski, jenerał Wład. Zamoyski, Bohdan Zaleski, Feliks Wrotnowski, Waleryan Kalinka i wielu innych, prelekye, o których Zygmunt Krasiński — bo i on ucześnieł na nie pilnie — pisał raz do Sołtana: »Kurs Klaczki o Adamie znów dozwolon; szkoda, iż go nie słyszysz, podskoczyłoby ci serce...«;

¹⁾ Pierwszy wiersz J. Klaczki p. t. *Moja pierwsza ofiara*, wyszedł w Wilnie w roku 1839 (napisany 6 listopada 1838 r.). W roku 1841, w wileńskiem czasopiśmie *Linksmine* drukowały się »Sonety« J. Klaczki, oraz dłuższy wiersz liryczny p. t. *Pożegnanie*. W *Tygodniku literackim* poznańskim drukował Klaczko w roku 1843 poemacik p. t. *Izraelita na gruzach Palestyny*.

²⁾ Studya uniwersyteckie odbywał Klaczko w Królewcu, którego Uniwersytet świetnie ukończył w r. 1847. Uniwersytet ten nie zapomniał do dziś dnia »o tym, który przed pół wiekiem zwrócił na siebie jego uwagę świetnymi egzaminami, a odtąd przez pół wieku przynosił mu zaszczyt jeszcze świetniejszymi pracami«. Dlatego też d. 28 marca 1897 r. w sama 50-tą rocznicę doktoryzacyi Klaczki, jako doktora filozofii, Uniwersytet królewiecki przysłał mu powtórny jubileuszowy dyplom doktorski, wraz z listem dziekana fakultetu, Dr. H. Baumgarta, bo »jakiekolwiek mogą zachodzić różnice politycznych opinii i stanowisk, uniwersytet ma sobie za obowiązek — i szczególnie jest — uczcić swojego doktora«.

W roku 1848 napisał Klaczko po niemiecku słynną broszurę *Die deutschen Hegemonen* (Berlin 1849). W roku 1853 wydrukował w *Pokłosiu* słynne swe studium p. t. *Lenora i Ucieczka*. W roku 1854 wyszła jego cięta broszura *O szkole narodowej polskiej na Battignoles pod Paryżem*.

jego praca i umiejętność, jakie w r. 1861 włożył z Eustachym Januszkiewiczem w pierwsze kompletne wydanie dzieł i korespondencji Adama Mickiewicza (przyczem *Korespondencję* tę opatrzył wstępem, będącym najpiękniejszą charakterystyką Mickiewicza-człowieka, na jaką zdobyliśmy się w ogóle);

jego dyplomatyczne pertraktacje z lordem Palmerstonem, gdy się ważyły losy naszego powstania w r. 1863 (pisze o nich Koźmian w swej *Rzeczy o roku 1863*);

jego głośne artykuły polityczne w *Revue des deux Mondes* i *Journal des Débats*, którymi oddziaływał na ówczesną opinię europejską, a którymi wciąż rozdmuchiwał tę gasnącą iskrę, co się nazywała »kwestyą polską«;

jego *Notatki z podróży*, pod których skromnym i nieobiecuającym tytułem kryją się najbardziej wstrząsające obrazy i sceny z czasów wojny prusko-francuskiej ¹⁾;

jego mowy sejmowe, które w Lwowie, jako poseł na sejm galicyjski, olśniewały całe audytorium, zachwycając nie tylko wspaniałą treścią swych oracyi, ale ich niezwykle piękną formą, cudowną polszczyzną;

jego głośna rola, którą na wszechświatowej arenie politycznej, jako deputowany do austriackiej Rady Państwa, odegrał za pamiętnego ministerstwa hr. Beusta;

jego studium dyplomatyczne o *Dwóch kanclerzach* (*Deux Chancelliers*), które w r. 1878 taką wrzawę wywołało w całej prasie europejskiej, a którem rozwścieczone t. z. »gadzinowe« pisma bismarkowskie nie nazywały odąd autora jej inaczej, tylko *der verrufene Klaczko*;

jego powaga w dyplomacyi europejskiej, nie dająca spać spokojnie samemu nawet »żelaznemu księciu«, który go nienawidził z całej duszy (zwłaszcza po przeczytaniu *Dwóch kanclerzów!*), a w nienawiści swej ku niemu, połączonej z nietajoną obawą przed przenikliwością autora *Etudes de Diplomatie contemporaine*, posuwał się aż do podziemnych knozań przeciwko znakomitemu publicyście ²⁾;

¹⁾ Kraków, 1871. Osobne odbicie z *Przeglądu polskiego*.

²⁾ W korespondencji p. t. *Echa z Krakowa*, ogłoszonej w *Słowie warszawskim* w końcu r. 1898. znajduje się między innymi taki ustęp: »Cichy zazwyczaj listopad, nadspodziewanie w bieżącym roku ożywia senne miasto, a wbrew tradycji kra-

i wreszcie jego literacka sława, którą się cieszy w całej Europie, sława wszechświatowa, którą sobie zdobył swemi nieporównanie świetnymi studjami nad Dantem i Michałem Aniołem, a która uczyniła go członkiem Instytutu francuskiego,

kowskiej, nie pogrzebowe, lecz raczej jubileuszowe uroczystości snują się po kolei. Przed kilku dniami święcono 70-tą rocznicę urodzin Juliana Klaczki, składając mu życzenia i dziękczynienia sformułowane w pięknym adresie. Sędziwy jubilat zrazu się zżymał na zaimprovizowaną owacyę, ale się w końcu rozczulił i przyjął hołd zasłużony, protestując jedynie przeciw mylnej dacie swego przyjścia na świat i ujęciu mu całych trzech lat wieku. Atoli, kto z tak młodem uczuciem ocenia i opisuje czasy Odrodzenia, zaiste młodzieńczą ma siwiznę. Słyszeliśmy, że niektóre wielbicielki znakomitego pisarza, zamierzały połączyć się z hołdem Akademii i Uniwersytetu, śląc jubilatowi dank kwiatów z odpowiedniami dedykacyami, bądź jako miłośnikowi Dantego, bądź jako przeciwnikowi Bismarcka.

W pośmiertnej księdze Buscha znalazł się ślad charakterystycznej nienawiści, którą były kanclerz Niemiec wyróżniał Klaczkę. Gdy ten ostatni został powołanym na wyższe stanowisko w rządzie austriackim, Bismarck wszelkie poruszył sprężyny, bodaj nawet monarsze wpływy, aby zniewolić hr. Beusta do usunięcia niechętnie widzianego doradcy. To uznanie nienawiści oczywiście jest zaszczytem, który Klaczce musi być miłym...* Wspomniany powyżej wyjątek dziennika Buscha, dotyczący Klaczki, brzmi, jak następuje:

25 marca. Szef życzy sobie, aby wznieść dyskusję nad mianowaniem Klaczki w Wiedniu. Powiedział mi: »Beust chce w ten sposób wskrzesić kwestję polską. Zwróć pan uwagę na działalność publicystyczną tego niezmordowanego agitatora i na jego zacieklą nienawiść do nas i do Rosyi. Przytocz poufną depezę Rechenberga z 2 marca z Warszawy, gdzie powiada, że polskie stowarzyszenia tajne, krzątające się we Lwowie około przygotowań do powstania, mającego na celu wskrzeszenie niepodległości Polski, wysłały do Klaczki deputacyę, winszując mu otrzymania stanowiska, na którym będzie w bezpośrednich stosunkach z kanclerzem państwa. Przeslij pan taki artykuł naprzód do *Köln. Ztg.*, a następnie postaraj się go umieścić w pismach prowincjonalnych. Musimy się postarać o to, aby doszedł do Beusta (ambasadora w Petersburgu) i został powtórzony przez prasę rosyjską. Może także pojawić się w *Kreuzzeitung*, ale za każdym razem powinien się ukazywać pod inną formą«. Zob. w feljetonie *Słowa* z r. 1898, *Busch o Bismarku*.

Z innych prac dyplomatycznych Klaczki wymienić należy: *Les préliminaires de Sadova*, *Le congrès de Moscou*, *Les cabinets de l'Europe en 1863—1864*.

oficerem Legii honorowej, etc. etc., nie mówiąc już o tem, iż i nasza krakowska Akademia Umiejętności ofiarowała mu godność swego członka rzeczywistego ¹⁾).

Wszystko to miałem w pamięci, kiedym po mięko wysłanych schodach wchodził na pierwsze piętro, zajmowane przez znakomitego pisarza, i kiedym, zatrzymawszy się u drzwi,

¹⁾ Zarzucano Klaczcze, że od długiego szeregu lat pisze tylko po francusku, że tem samem przestał być pisarzem polskim, a stał się kosmopolitycznym. I ten zarzut, jak wiele innych jest gołosłowny, a zdradzający »najgrubszą niewiadomość«. Zdaje się bowiem, iż ci, co zarzucali Klaczcze kosmopolityzm w jego pismach francuskich, nie czytali jego artykułów w *Revue des deux mondes*. Gdyby byli czytali, wiedzieliby, że wszystko, co Klaczek pisał po francusku, począwszy od *Etudes de Diplomatie contemporaine* a skończywszy na *Deux Chancelliers*, było opinią Polaka, zabierającego głos — z polskiego punktu widzenia — w sprawach europejskich. Były to artykuły z wyraźnym piętnem swego polskiego pochodzenia, a jeśli je Klaczek pisał po francusku, to dlatego, że były przeznaczone dla Europy, dla dyplomacyi europejskiej, która liczyła się z nimi, brała je w rachubę, a ich świetność podbijała mnóstwo umysłów... Nadto pisywał Klaczek do *Revue des deux mondes* studia o rzeczach polskich, jak *Poète anonyme* (Zygmunt Krasziński), lub *Une Annexion d'autrefois* (Unia lubelska). Dopiero po roku 1870, po upadku drugiego cesarstwa, zaczął pisać o literaturze powszechnej, o Dantem i Petrarce, o Michale Aniele i renesansie włoskim. Ale i na tych pracach, choć kosmopolitycznych na pozór, wyciskał piętno polskości. W słynnych *Causeries florentines*, tłumaczonych na wszystkie główne języki europejskie, świętą rolę gra Polak, który do chóru umysłów południowych, łacińskich, przynosi jakiś ton słowiańskiego mistycyzmu, a w rozmowie o Petrarce i Dantem, jako poetach miłości, mówi rzeczy najświetniejsze, z jakimi się spotykamy w tym renesansowym dialogu. Dlaczego Klaczek pisze te rzeczy po francusku? Na to pytanie pięknie odpowiedziano w przedmowie do przekładu *Wieczorów florentyńskich*: »Kiedy nasi dzielni pisarze XVI wieku obrabiali chcieli przedmioty powszechnego zajęcia i znaczenia, pisywali o nich po łacinie. Mieli słusność; rzeczy, do powszechnego użytku przeznaczone, powinny się pisać w języku powszechnie zrozumiałym. Taką samą słusność miał i pan Klaczek, kiedy tę pracę swoją napisał po francusku. Ale jak *Respublica* Modrzewskiego, jak Goślickiego *Senator* lub Warszawskiego *Posel*, choć w obcym języku, do polskiej literatury należał, tak i ta innego porządku i zakresu praca najświetniejszego dziś z polskich pisarzy staje się z natury własnością i ozdobą naszego piśmiennictwa, które winno jest jej

naciskał guzik elektrycznego dzwonka. Otworzył mi lokaj, wysoki, chudy, z sumiastymi wąsami, wyglądający na zaufanego sługę pana domu, a mogący być wymarzoną modelą dla malarza, któryby chciał malować Cervantesowego »rycerza o smętnej obliczu«. Zaledwie minął duży, gustownie umeblowany salon o trzech oknach, salon, którego największą ozdobą zdaje się być kilka starych obrazów w złożonych ramach, odrazu w progu drzwi po prawej stronie, prowadzących do przyległego gabinetu, ujrzałem znaną mi już od dwóch lat postać autora *Wieczorów florenckich*.

Pamiętam, że go pierwszy raz zobaczył na pogrzebie księżnej Marceliny Czartoryskiej, za której trumną szedł razem z Henrykiem Rodakowskim... Nie zapomnę wrażenia, jakie robili ci dwaj zgarbieni weterani, idący za tą trumną... Patrząc na nich, mimowoli myślało się o epoce, do której należeli razem z księżną, epoce, która żyła myślą i ideałami naszych wielkich poetów, a która się skończyła z upadkiem drugiego cesarstwa... Później spotykałem Klaczkę na »niedzielach« u p. Ludwika Michałowskiego. Nie zmienił się od tego czasu, a przynajmniej nie postarzał się, choć dżwiga już 72 krzyżyk ¹⁾. Przedewszystkiem nie wygląda na swoje lata, a patrząc na tę krzepką postać niewielkiego wzrostu, o włosach posiwiałych, krótko strzyżonych, trochę przerzedzonych z tyłu, o cerze zdrowej i czerstwej, o twarzy pełnej i wolnej od zmarszczek, o rysach regularnych, o siwych sumiastych wąsach, a oczach żywych, prawie młodzieńczych, bystro patrzących z pod bujnych, posiwiałych brwi, ma się wrażenie, że się patrzy na dobrze zakonserwowanego, co najwyżej 60-letniego hreczkosieja, który, dzięki temu, że całe życie spędził na wsi, *trzymą się* doskonale. Jedynym szczegółem, pozwalającym się domyślać, iż jednak ten człowiek często musiał pochylać się nad książkami lub

i sobie samemu wziąć ją copędzej w posiadanie, przenosząc ją w swój własny język«. Nie zapominać także, iż nietylko Klaczkę, (zmuszoną przez lat 20 mieszkać w Paryżu), choć Polak, pisywał po francusku. Dzieła Mickiewicza, pisanych po francusku, mamy kilka tomów, a przecież nikt Mickiewiczowi nie zarzuci kosmopolityzmu. NB. Klaczkę przez cały czas swego współpracownictwa w *Revue des deux mondes* zawsze się pod swojemi artykułami podpisywał po polsku: *Julian Klaczkę*.

¹⁾ Urodzony dnia 6 listopada 1825 roku w Wilnie.

biurkiem, są jego zgarbione plecy, tudzież prawe ramię, bardziej podniesione — od pisania — niż lewe. Po za tem nie wygląda na pisarza, co życie przesiedział nad książkami i gazetami, a pracował mózgiem i piórem.

Po przywitaniu weszliśmy do przyległego gabinetu, w którym wystarcza rozejrzeć się po ścianach, żeby się domyślić, iż się jest w pracowni autora *Rome et la Renaissance*, w atmosferze czasów Juliusza II i Michała Anioła. Całe ściany, powyżej półek z książkami i tekami, pozawieszane wielkimi fotografiami rzeźb i malowideł Michała Anioła, którego wielki portret króluje pośrodku. Na ścianie, naprzeciw wielkiej otomany (na której siadłem), wisi w złożonych ramach olejna kopia słynnego portretu Juliusza II, malowanego przez Rafaela, obraz, który odrazu przypomina to wszystko, co o tym *pontifice terribile* pisał w ostatnich czasach Klaczko. Ten ostatni tymczasem, zajmwszy miejsce naprzeciw mnie, w niskim fotelu, zapalił papierosa i odrazu wszedł *in medias res*, wszczynając rozmowę o mojej książce.

Było to hasło do bardzo długiej dyskusyi, w której mój znakomity oponent raz występował w roli obrońcy, gdy chodziło o Eustachego Januszkiewicza, raz w roli prokuratora, gdy chodziło o Słowackiego samego, lub jego przyjaciela, Leonarda Niedźwieckiego. Dyskusya była interesująca i ożywiona. Klaczko mówił na podstawie swej osobistej znajomości z ludźmi, o których mowa, a przytem występował, jako przyjaciel Januszkiewicza, z którym go wiązała 20-letnia zażyłość, o Mickiewiczu zaś, którego także znał osobiście, mówił jako jego gorący wielbiciel i stronnik: słowem, zajmował stanowisko subiektywne. Ja, przeciwnie, zajmowałem i podkreślałem moje stanowisko obiektywnego krytyka, który swe wnioski i sądy opiera na dokumentach, a nie powoduje się żadnymi sympatjami i antypatjami, starając się utrzymać ponad stronnictwami. Skoro mój sąd opieram na wiarogodnym dokumencie, wtedy mam czyste sumienie, choćby ten dokument rzucał niekoniecznie korzystne światło na daną osobistość, czy nią będzie Januszkiewicz, czy Słowacki. Jeżeli Januszkiewicz, o którego głównie chodziło Klaczce, nie zawsze wychodzi w mej książce — w stosunku do Słowackiego — sympatycznie, to nie dla czego innego, tylko dlatego po prostu, że do innego wniosku nie upoważniały mię dokumenty, nawet te, które nam pozostawił

po sobie Eust. Januszkiewicz. Nie przeczę, że po za tem Januszkiewicz mógł być najsympatyczniejszym i najdzielniejszym człowiekiem, ale twierdę stanowczo, że był uprzedzony do Słowackiego, że go nie lubił — co mu było wolno — i że Słowackiemu dało się to nieraz we znaki bardzo dotkliwie... Na to Klaczko:

— Ależ, drogi panie, ja znalazłem Słowackiego, to był nieznośny człowiek, nielubiany powszechnie, tymczasem Januszkiewicz cieszył się sympatją i poważaniem całej emigracji.

— Nie przeczę bynajmniej. Wiem, że Słowacki miał swoje wady, ale nie wierzę stanowczo, ażeby Januszkiewicz był wolny od wszelkich słabostek i małości ludzkich. Miał np. jedną wadę, od której był wolny Słowacki: nie zawsze mówił lub pisał prawdę, a zwłaszcza rozmiął się z nią wtedy, gdy świadczył o Słowackim. Że tak było, na to mamy dowody, czarno na białem.

Z kolei, uporawszy się z Januszkiewiczem, poczęliśmy się spierać o Niedźwieckiego, któremu Klaczko przyznaje tylko jeden talent, kaligraficzny. Po za tem nie widział w nim nigdy — powiada — nic nadzwyczajnego, a mówiąc o nim, wyrażał się z pewnem lekceważeniem. Argument, że jednak Trentowski był innego zdania o Niedźwieckim (czego dał dowód w swym *Panteonie*, gdzie o Niedźwieckim pisze z entuzjazmem), także mu nie trafił do przekonania, gdyż wogóle o tych naszych filozofach narodowych, jak Trentowski, Hoene-Wroński *et consortes*, trzyma niewiele. Na to, co o Hoene-Wrońskim napisał niedawno Bertrand w *Revue des deux mondes*, on pisze się w zupełności.

Była to najbardziej polemiczna część naszej rozmowy, a polemika ta, choć w niej zużyliśmy ogromną ilość argumentów subiektywnych, okazała się o tyle bezpłodną, że obaj ostatecznie pozostaliśmy przy swem pierwotnem zdaniu. Mnie nie przekonały argumenty mojego przeciwnika, pomimo, że nim był Julian Klaczko, a jego nie przekonały moje... Ale polemika ta, choć bezpłodna w rezultacie, miała jeden znakomity skutek: Klaczko się ożywił ogromnie, rozgadał się. Po chwili wstał i zaczął mówić, chodząc po pokoju, a mówił z młodzieńczym zapałem, żywo ilustrując to, o czem mówił, gestami i szybko zmienianym wyrazem twarzy; ja zaś, nie ruszając się z otomany, słuchałem pilnie, co mówił, podziwiałem jego nie-

pospolity dar wymowy, w której było coś porywającego chwilami, a przytem śledziłem ożywienie, jakie się malowało na jego twarzy, zwłaszcza w oczach, które w tej chwili płonęły dziwnym ogniem, zadziwiającym u 72-letniego człowieka.

Trafiłem na dobry dzień: bo Klaczk — jak wiem od innych — nie zawsze bywa tak ożywiony, a bardzo często nie chce mu się mówić.

Zgadało się o Mickiewiczu, który — mojem zdaniem — źle zrobił, że w swych wykładach w *Collège de France*, wspominając i wychwalając tylu innych współczesnych poetów, tylko o jednym Słowackim przemilczał.

— Nie wierzę, rzekł Klaczk, żeby to uczynił z premedytacją. Panie, Mickiewicz to przedewszystkiem człowiek dobroduszny niezmiernie, bez cienia afektacyi. Jeśli nie mówił o Słowackim, to nie żeby go chciał tem skrzywdzić, ale dlatego po prostu, że nie rozumiał jego poezyi. Pamiętam, jak raz przy nim zgadało się o Słowackim, w którego obronie stawało nas kilku. Przyznawał się otwarcie, że chciałby w nim widzieć więcej, niż widzi, ale cóż, kiedy go nie rozumie. »Co wy w tem widzicie? Jak Boga kocham, czytam, czytam, i nic nie rozumiem!«

— Otóż tego właśnie zrozumieć niepodobna, jakim sposobem człowiek, tak niepospolitej inteligencji, jak Mickiewicz, a przytem sam poeta, nie mógł się poznać na pięknościach poezyi Słowackiego.

— Jest to jeden dowód więcej, stwierdzający jego nadzwyczajną dobroduszność. A przytem, jak wielu wielkich poetów, niekoniecznie sam znał się na poezyi. Mówili mu, że Słowacki nie jest wiele wart, jako poeta, że jego poezye są niezrozumiałe, a on wierzył. Pamiętam, jak mu raz dano bardzo liche sonety do przeczytania. Były to jakieś wiersze Grzymały, czy Kaysiewicza. Przeczytał i podobały mu się, nawet mu się bardzo podobały. A tymczasem były to rzeczy liche. Nawet, gdy mu zwrócono uwagę, że przecież w tych wierszach niema poezyi, jeszcze wtedy nie był przekonany: ciągle mu się zdawało, że jednak te wiersze nie są takie złe. Zato o swoich poezyach nie zawsze trzymał wiele. O *Konradzie Wallenrodzie* np. mówił: »To był pamflet...« Wogóle nie lubił tego poematu, a jeśli nie lubił go, to z pewnością szczerze, bo w Mickiewiczu nie było żdźbła nieszczeroci. Co myślał, to mówił. Pamiętam,

raz byliśmy na śniadaniu u Seweryna Gałęzowskiego, doktora, który miał znakomitego kucharza, Litwina, a ten kucharz znakomicie przyrządzał różne potrawy litewskie. Było nas kilku, między innymi i Bohdan Zaleski. Na jedno danie podano pierogi, które się okazały wyborne, ale choć smakowały wszystkim, nikomu nie smakowały tak, jak Mickiewiczowi. Nie mógł się ich dosyć nachwalić, a wychwalając je, tak się unosił nad niemi, nad ich smakiem, ich delikatnością, etc. etc., że aż mu w końcu Bohdan Zaleski zwrócił uwagę: »Ależ, Adamie, na litość Boską, tak mówisz o tych pierogach, że ktoby cię słyszał podobnie rozwodzącego się o tak prozaicznej rzeczy, jak jedzenie wogóle, a pierogi w szczególności, nie przypuściłby nawet, że jesteś poetą, Mickiewiczem«. »Mój drogi, odrzekł mu na to Mickiewicz, ja jestem zdania, że nie należy udawać poezyi, kiedy jej źródło już wyszło w duszy«. W tej odpowiedzi jest cały Mickiewicz. To był człek prosty niezmiernie, poczciwy, nigdy nie pozujący (tymczasem Słowacki zawsze pozował), powiem nawet, naiwny... Naiwny jak Homer! O, bo Homera było w nim więcej, niż ludzie przypuszczają! I to jest największą pięknoscią *Pana Tadeusza*, to, co w nim jest homerycznego, a jednak nie naśladowanego z Homera. Nawet pisałem o tem... Napisałem rodzaj studyum na ten temat.

— Jakto? i nie ogłosił pan tego studyum?

— Nie, i nie ogłoszę go. Po mojej śmierci może je kto ogłosi, jako moje *oeuvre postume*. W każdym razie, panie, Mickiewicz to poeta, którego wszystkich piękności, jakie się znajdują w jego utworach, jeszcze nie podniesiono dotąd. Jeszcze nie zdobyliśmy się na krytyka, coby się na tych nadzwyczajnych pięknosciach poznał, a następnie wskazać je z odpowiednim talentem potrafił. Znalazł się jeden tylko, co o Mickiewiczu napisał rzecz wspaniałą, godną Mickiewicza, a przytem niepospolicie oryginalną, świetną, jedną z najznakomitszych prac krytycznych, jakimi się możemy pochlubić. Ale i to nie był krytyk, tylko malarz. Witkiewicza *Mickiewicz jako kolorysta*, to panie, rzecz europejska, a nawet w literaturze europejskiej trudno wskazać na równie świetne i głębokie studyum krytyczne! O, to rzecz niepospolita, wysoko wybiegająca ponad zwykły poziom!... Jest to jedyna, mojem zdaniem, piękna praca o Mickiewicz, który jeszcze czeka na swego...

— Na swego Klaczkę.

Z kolei zaczęliśmy mówić o naszej literaturze mickiewiczańskiej, a słuchając, co o niej mówił i sądził Klaczko, byłem po prostu uderzony jego czytaniem: nie przypuszczałem, że on, który tak poszedł w innym kierunku, w tym stopniu jest *au courant* wszystkiego, co się u nas pisze i drukuje. Co ten człowiek musi czytać!...

Wyczerpawszy temat Mickiewicza, powróciliśmy do Słowackiego, którego Klaczko — jakem się przekonał z tej rozmowy — nie jest wielkim zwolennikiem, choć uznaje jego barwny język, kolorytem przypominający pędzel Weroneza, a korzy się przed jego niepospolitym artyzmem. »Nie ulega wątpliwości, że to był największy artysta z naszych poetów, ale muszę się przyznać, że go nie zawsze rozumiem«.

— Dziwna rzecz, że ja wszystko rozumiem w Słowackim, i tylko nie mogę zrozumieć tych, co powiadają, że go nie rozumieją.

— Zazdroszczę panu, bo ja tego o sobie powiedzieć nie mogę.

— W każdym razie wiem o tem, że była epoka, gdyż pan uwielbiał Słowackiego.

— Kiedyż to było?

— Jest w *Listach Andrzeja-Edwarda Koźmiana*, niedawno wydanych we Lwowie, jeden list, pisany z Paryża d. 2 listopada 1858 r. do brata stryjecznego Stanisława, prawie cały o panu, a między innymi jest tam powiedziane tak, o ile sobie przypominam: »On teraz, oprócz Mickiewicza, kocha Słowackiego, którego zowie największym artystą, innych nie nawidzi«.

— Nic nie wiedziałem o tym liście. Bądź co bądź, nie przeczę, że tak być mogło, bo niech pan nie myśli, żebym kiedykolwiek starał się obniżyć wartość Słowackiego, jako poety. Przeciwnie, byłem jednym z pierwszych, co o niego staczali walki, co mu starali się wywalczyć zaszczytne stanowisko na naszym Parnasie. Pamiętam doskonale, jaka była opinia o Słowackim, kiedy po raz pierwszy przyjechał do Paryża. Lekceważono go sobie, wcale nie uważano za nadzwyczajnego poetę...

— Prawdopodobnie dlatego, że tę opinię wyrabiali o nim przyjaciele i stronnicy Mickiewicza: Januszkiewicz, Bohdan Zaleski i wielu innych, którym Słowacki jeszcze po śmierci

nie dawał spokoju, jak tego dowodzi np. Januszkiewicza list o Słowackim, pisany do Małeckiego, list, w którym, oprócz niechęci, niema prawie słowa prawdy, lub złośliwy wiersz B. Zaleskiego, który w swoich *Pyłkach* powiada o Słowackim, że „jest dziennikarzem w wierszach, jak Kraszewski w prozie”.

— W każdym razie ja należałem do tych, co stawali w jego obronie, tylko go nie podnosiłem tak wysoko, jak to wy, młodzi, czynicie teraz. Zawsze go stawiałem zaraz po Mickiewiczu i Krasińskim, w tym porządku: Mickiewicz, Krasiński, Słowacki.

— Otóż pod tym względem pozwolę sobie być innego zdania, sądę bowiem, że się powinno mówić: Mickiewicz, *Słowacki* i Krasiński. Przyszna pan chyba, że Słowacki był większym poetą, niż Krasiński.

— Panie, Krasiński jest autorem *Nieboskiej komedyi*, jednej z najgenialniejszych rzeczy, jakie są w literaturze świata. I napisał ją, mając dwadzieścia lat! Na to trzeba być geniuszem! Panie, dwudziestoletni chłopiec, który daje taki utwór, to jest wieszcz. Resztę daruję panu, nawet *Irydiona*. Słowacki nigdy nie napisał nic podobnego, jak *Nieboska komedya*. *Pan Tadeusz* i *Nieboska komedya* to są szczyty naszej poezyi!

I w tej chwili zaczął mówić o Fredrze, którego ceni niezmiernie wysoko, którego komedye stawia najbliżej *Pana Tadeusza*. My jeszcze nie cenimy tak Fredry, jak na to zasługuje. Nie domyślamy się nawet, jaką wielkość posiadamy w twórcy *Zemsty za mur graniczny!*

— To, panie, jeden z najbardziej narodowych naszych pisarzy. Pamiętam jednego Anglika, który się bardzo nami interesował, a zawsze mi powtarzał, że mamy dwóch poetów, których nam wszyscy pozazdrościć mogą: Mickiewicza i Fredrę. Bo jak pierwszy jest najbliższym Homera, tak drugi jest najbliższym Molière'a, którego nawet w niektórych razach przewyższa, a nigdy nie traci na porównaniu z nim. Jestem przekonany, że nastanie taka epoka, w której przyjdzie kolej na kult Fredry. A przytem Fredro nigdy się nie zestarzeje, nie wyjdzie z mody, bo jest nawskróś polski i ludzki. Może przyjsć taka epoka, że ludzie zapomną o Słowackim, o Krasińskim, że nie będą czytali *Wallenroda* lub *Dziadów*, ale *Pana Tadeusza* i komedye Fredry — najcelniejsze oczywiście — będą czytali zawsze.

Ośmieliłem się wtrącić, że i o Słowackim, jako autorze *Ojca zadźwionych*, ludzie nie zapomną nigdy, dopóki stanie języka polskiego, bo *Ojciec zadźwionych*, jak szekspirowskie tragedye, oprze się wszelkim kierunkom i prądom literackim, nieśmiertelny tą wiecznie jedną prawdą ludzkiego cierpienia, które za lat tysiąc będzie takie same, jak za czasów Homera. Tymczasem taka *Nieboska komedya*, pomimo swej całej genialności, już dzisiaj zaczyna trącić myszką, już dzisiaj nie trafia do wszystkich umysłów, bo jest zbyt romantyczną, za silnie piętno wycisnęła na niej pewien literacki i umysłowy kierunek, a mianowicie romantyzm z przed lat sześćdziesiąciu. Hrabia Henryk to przedewszystkiem typ i wytwór pewnej epoki, epoki romantycznej. Tylko jako taki, jest zrozumiały i umotywowany psychologicznie. To sprawia, że już nie wszystkim trafia do przekonania. Cały dramat, który się w jego duszy rozgrywa, jest tylko zrozumiały na tle pewnego, ściśle oznaczonego okresu czasu; przeciwnie *Ojciec zadźwionych*, którego boleść ojca, tracącego dzieci, nigdy nie zestarzeje się ani zblaknie, jako temat, jako sytuacja ogólnoludzka.

— W każdym razie — zauważył Klaczko — Krasieński był nieporównanie głębszym umysłem, niż Słowacki.

— Zato Słowacki był umysłem poetyczniejszym, nie mówiąc już o tem, że miał o wiele bujniejszą wyobraźnię. Mojem zdaniem nawet, miał wyobraźnię nie tylko bujniejszą, ale i poetyczniejszą od Mickiewiczowskiej. Bo utrzymuję stanowczo, że poetycznością Słowacki przewyższa nie tylko Krasieńskiego, ale i Mickiewicza. Mickiewicz jest genialniejszy, ale Słowacki jest poetyczniejszy. Mickiewicz jest dość prozaicznym w swoich poezjach, kiedy Słowacki wszystko owiewa jakąś dziwną poezją. U niego nawet Sybir jest poetyczny...

— Ale zgodzi się pan na to, że politykiem nie był żadnym. Nie zapomnę jego »świętej anarchii«, w której widział zbawienie ludzkości. Słyszałem z jego własnych ust, jak się unosił nad tą »świętą anarchią«.

Tu opowiedział Klaczko, w jakich okolicznościach zetknął się raz ze Słowackim.

— Było to w roku 1848, w Poznaniu, w czasie owej pamiętnej t. zw. rewolucji poznańskiej. W chwili, gdy ta niefortunna rewolucya wybuchła, byłem w Heidelbergu, gdzie między innymi pisywałem także artykuły do *Deutsche Zeitung*

Gervinusa. Otóż zdarzyło się tak, pamiętam, że siedziałem w redakcyi, gdy nagle przychodzi depesza, depesza z Poznania. *Notabene* depesze były wtedy wielką rzadkością. Wrażenie! Cóż dopiero, gdyśmy przeczytali wiadomość, którą nam przynosiła ta depesza. Rewolucya w Poznańskim! Donoszono nam, że się formuje komitet rewolucyjny, że się zakładają obozy w polach, że się formują oddziały kosynierów... Czasy były takie, że, pamiętam, nawet nie poszedłem do domu na obiad, tylko pożegnawszy się z Gervinusem, który mię powstrzymywał i hamował, wprost z redakcyi *Deutsche Zeitung* pojechałem na kolej. Tak, jak stałem! Pamiętam, że mi Hahn, jeden z kolegów redakcyjnych, a późniejszy minister badeński, przesłał później z Heidelberga moje rzeczy do Poznania. Pojechałem wprost do Berlina. Tam przyłączyłem się do t. zw. legii akademickiej, z którą po kilku dniach udałem się do Poznania... Tymczasem prusacy, którzy się po swojej rewolucyi w Berlinie bardzo szybko zorientowali w sytuacji, zażądali zwinięcia obozów, a legiom akademickim przyrzekli organizację narodową. Do Poznania przyjechał ów poczciwy generał Willisen, posłany do układania się z Poznańczanami, do pertraktowania z wybitniejszymi obywatelami Księstwa. Pamiętam, że zaraz pierwszego dnia zostałem wprowadzony na posiedzenie komitetu rewolucyjnego. Przedstawiony jego członkom, ponieważ byłem znany, jako współpracownik *Deutsche Zeitung*, zaraz zostałem zaszczycony jednogłośnie uchwałą, ażebym redagował po niemiecku pisma od komitetu do rządu. Rzecz charakterystyczna, że ci poznańczycy, którzy się tak skarżyli na germanizację, musieli wołać mnie, Litwina, żebym im po niemiecku pisał! A i to było niemniej charakterystyczne, że na takim posiedzeniu, na którym zasiadali sami ludzie poważni wiekiem, przeważnie oficerowie z roku 1831, dopuszczono takiego, jak ja wówczas młodzika, żem głos zabierał na równi z nimi... A przecież w tym komitecie zasiadał sam kwiat społeczeństwa! Był biskup, był nawet sam Mierosławski, był Potworowski, oficer z r. 1831, był Libelt, był Stefański. Ten ostatni był księgarzem w Poznaniu. Świetny typ! Świątobliwy demagog, człowiek, który pobożność cudownie umiał łączyć z demagogią: wydawał *Złote Oskarżyki*, które mu się doskonale opłacały, i warcholil. Ale zaczęło się posiedzenie. Libelt, jako prezydujący, odczytał odezwę do narodu, odezwę, napisaną stylem napusz-

nym i patetycznym, a której treścią było, pamiętam, że idziemy na śmierć, a idziemy bez nadziei zwycięstwa, byle tylko krew przelać za ojczyznę... Gdy skończył czytać, Potworowski, wzruszony — albowiem był dziwnie skłonny do łez — zaczął wolać, zanosząc się od płaczu: »Na miłość Pana Boga! Na co tych biednych chłopów, którzy nie mają nic więcej, prócz kos, wydawać na rzeź niechybną? Obiecywaliśmy im, że będzie Polska, zwodziliśmy ich, a teraz przyjdzie jeden *serapnel*, wpadnie pomiędzy bezbronnych, a co się będzie działo wówczas, o tem najlepiej wiem ja, co bywałem w bitwach...» Tego samego zdania, co on, był i biskup, który się także rozplakał przy tej sposobności, i kilku innych. Na to Libelt: »To jest nasz testament. Zginać musimy, albowiem tego wymaga honor oręża polskiego«. A Potworowski na to: »Jeżeli mamy zginać, my, to lepiej urządzmy rewolucyę w Poznaniu, barykady! Padnie nas kilkunastu dla honoru, ale po co gubić tych chłopów, co stoją w obozie?«... Wtem otworzyły się drzwi i jeden z członków komitetu (już nie pamiętam który) wprowadził jakiegoś smagłego bruneta, o delikatnych rysach, o wyschłej, śniadej twarzy, z suchotniczymi rumieńcami na zapadłych policzkach, i zamiast przedstawić go zgromadzonym, zaczął po kolei przedstawiać ich jemu. W końcu dopiero, gdy już zdążył przedstawić nas wszystkich, dodał głośno, wskazując nań ręką: »Słowacki, poeta«. Na nas jednak, przypominam sobie, nie zrobiło to nadzwyczajnego wrażenia, bo *primo* — zbyt byliśmy zaabsorbowani dyskusyą, a *secundo* — imię Słowackiego, choć znane, nie było tak głośne w owych czasach, jak Mickiewicza, lub choćby Krasińskiego. Wszelako wytoczono przed nowoprzybyłych całą sprawę od początku. Libelt odczytał powtórnie całą odezwę, Stefański, jak poprzednio, gardłował za nim, biskup i Potworowski znów mu oponowali z płaczem... Na to powstaje Słowacki (jakbym go widział w tej chwili!) i stojąc z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, zaczął mówić podniesionym głosem: »Cóż wy myślicie? Wam się zdaje, że dzisiaj potrzeba jeszcze, jak dawniej, armat, pułków, oficerów? A ja wam powiadam, że dzisiaj przyszła epoka świętej anarchii...« Chciał mówić dalej, ale mu nagle przerwał Stefański, który, posłyszawszy ' połączenie tych dwóch wyrazów *świętość* i *anarchia*, rzucił mu się w zachwycie do nóg, i wyciągając ręce, krzyczał: »Mistrzu! wielkie słowo rzekłeś...« Tą komedyą przerwał

wątek Słowackiemu, który usiadłszy, już nie mówił więcej... Skończyło się na tem, że odezwy nie ogłoszono. W takich okolicznościach poznałem Słowackiego. Był to jedyny raz, kiedym go widział. Święta anarchia! Czegoś podobnego nie powiedziałby nigdy Krasiński.

— Nie powiedziałby, bo nie był towiańczykiem. Wyrażenie to jest całkowicie w duchu teorii Towiańskiego. Słowacki, gdy dowodził, że dzisiaj nie trzeba, jak dawniej, armat, pułków i oficerów, przemawiał, jak towiańczyk. Towiańczycy wierzyli przecież, że »siłą sztychu« i potęgą »ducha« można zwyciężać największe siły fizyczne. Ażeby zrozumieć znaczenie tych słów, wystarczy znać naukę Towiańskiego, którą wtedy wyznawał Słowacki. Jestem przekonany, że to samo zupełnie, co na tem posiedzeniu powiedział Słowacki, powiedziałby i Mickiewicz.

I długo jeszcze gawędziliśmy na ten temat, a że od mistycyzmu do mesyanizmu krok tylko jeden, więc ani spostrzeżliśmy się nawet, gdy rozmowa przeszła na Krasińskiego. Klaczko, jak tego dowiódł swem klasycznym studyum o *Poecie Bezimiennym*, jest ogromnym wielbicielem Krasińskiego, ale nie uznaje jego mesyanicznych teoryj o »Chrystusie narodów«, ani wierzy w to, w co Krasiński każe nam wierzyć w *Przedświcie*. Nawet o *Irydyonie* wyraził się: »Daruję go panu!« Według niego, Krasiński zawdzięcza to pierwszorzędne stanowisko, jakie zajmuje w literaturze polskiej i wszechświatowej, tylko *Nieboskiej komedyi*. Gdyby nie był napisał nic więcej, tylko *Nieboską*, i tak byłby tem, czem jest. A przytem *Nieboska* ma tę wyższość nad innemi dziełami Krasińskiego, że jest wolna od wszelkiego mesyanizmu, który jest zawracaniem głowy, niczem więcej.

— Zawsze byłem tego zdania, a nie wahałem się powiedzieć tego Krasińskiemu w oczy. Pamiętam jedną rozmowę, jaką z nim miałem na ten temat. Było to w Paryżu, w r. 1858. Mieszkałem przy *Quai d'Orleans*, nie tam, gdzie *Biblioteka polska*, ale nieco bliżej *Nôtre Dame*. Krasiński bywał u mnie... Otóż raz zgadało się o mesyanizmie wogóle, a jego mesyanizmie w szczególności. Nie chcąc prawdy obwijać w bawełnę, oświadczyłem mu po prostu, gdy mię w tej materji zagadnął, że o ile go wielbię, jako poetę, o tyle jestem przeciwny jego przedświtym teoryjom i utopiom. »Co tu wmawiać w ludzi nieszczę-

śliwych, rozbitych, skołatanych, zdemoralizowanych, tracących grunt pod nogami, osaczonych ze wszystkich stron, pozbawionych bytu politycznego, że są narodem wybranym, że są Chrystusem narodów, że w nich jest zbawienie ludzkości, etc. etc. Tylko się ich bałamuci tem, bo zamiast pracować, zamiast myśleć o poprawie swego losu, zamiast się uczyć i wyrabiać na dzielnych obywateli, zamiast starać się o to, ażeby byli lepsi, niż byli ich ojcowie, którzy przetrwonili ojczyznę i niepodległość polityczną, będą stali z założonemi rękoma i jeszcze się będą pysznili swą Chrystusowością, swoją rolą Boskich wybrańców, swoją moralną wyższością nad innymi narodami, swoją »nadeuropejską cnotą«. Dlatego uważam, że jest to teoria demoralizująca po prostu, bo jest wstawianiem rzeczy, których się ludziom w ogóle, a nam Polakom w szczególności, wmawiać nie powinno. Powinno się im mówić prawdę nagą, rzetelną, szczerą prawdę, która niech boli, jako chce, ale zawsze jest najskuteczniejszem lekarstwem na wszelkie wady i ułomności. Powinno się im wskazywać ich wady, żeby się ich pozbyć starali, bo tylko znając swoje ułomności, można się poprawić moralnie, można im przeciwdziałać«. Słowa te, wypowiedziane z całą szczerością i siłą przekonania, zrobiły większe wrażenie na Krasińskim, niż mogłem przypuszczać. Słuchał ich, siedząc, ale gdym skończył, powstał, a widać było, jak był głęboko poruszony, zaczął się nerwowym krokiem przechadzać po pokoju, jakby walczył sam z sobą, aż w końcu podszedł do mnie, ujął mię za rękę i rzekł głosem, zdradzającym silne wzruszenie: »Mylicz się! Tak nie jest. Jeśli kobiecie upadłej, występnej, zdemoralizowanej, zepsutej i lekkomyślnej, ale nie zepsutej doszczętnie, nie zdemoralizowanej zupełnie, często bolejącej z powodu swej lekkomyślności, żałującej swych grzechów, z których byłaby skłonna poprawić się, zaczniesz prawić o jej upadku, zaczniesz wyliczać jej grzechy i występki, rozwodzając się nad jej życiem zdrożnem i niemoralnem, to jaki skutek osiągniesz, jaki wpływ na nią takim mówieniem jej nagiej i bezwzględnej prawdy wywrzesz? Oto zdemoralizujesz ją do reszty, znieprawisz całkowicie, a zamiast ją ratować z przepaści, jeszcze ją zepchniesz na samo dno upadku i niesławy. Bo kiedy jej odsłonisz całą grozę położenia, całą ohydę brudu i błota, w które zabrnęła, całą niesławę, którą się okryła, wtedy ona zwątpi o sobie, uwierzy, że, upadłszy tak nisko,

może tylko staczać się jeszcze głębiej, że, raz znalazłszy się na tej pochyłości, już nie ma możliwości cofnięcia się, i będzie straconą na zawsze, już się nie poprawi, bo zwątpi o możliwości ekspiacy, stanie się niezdolną do skruchy. Inaczej się stanie, gdy w taką kobietę upadła, ale niepozbawioną instyktów szlachetnych, zaczniesz wmawiać, że w niej jest świętość, którą ona tylko zbrukała swem lekkomyślnem i występniem prowadzeniem, że jest aniołem, tylko z zabłoconemi skrzydłami, że jeśli upadła, to dlatego tylko, że ją do upadku popchnęły gorsze od niej, występniejsze, nie mające tej świętości i cnoty, które jeszcze i teraz nie wygasły w jej łonie, jeszcze się tlą pod popiołem zepsucia, ale rozdmuchane skrucną i opamiętaniem, jeszcze są zdolne buchnąć najczystsze płomieniem świętości... Gdy jej tak prawić będziesz, wtedy ją wprowadzisz na drogę poprawy, wtedy w niej nie zbudzisz zwątpienia o sobie, wtedy oddziałasz na jej szlachetniejsze instynkty: uwierzy w swą cnotę, uwierzy, że jeszcze może być uczciwą kobietą, że jeszcze może wybielić swe anielskie skrzydła i będzie uratowana...*

Z kolei, ponieważ się mówiło o Krasińskim, zeszlismy na temat książki St. Tarnowskiego o autorze *Irydyona*. Klaczko jest przeciwny takiemu pisaniu biografij, wglądających w życie prywatne artysty, czy poety... Niemniej jest przeciwnym tym studjom porównawczym, jak je piszą dziś Niemcy. Jest to, według niego, praca jałowa i niewdzięczna. Na ten temat zaczęła się ożywiona dyskusya. Ja bronilem psychologicznej metody badań, zaczęło poszło, żeśmy zeszlismy na temat Taine'a.

— Jego teoria *«du milieu»* — mówił Klaczko — jest bardzo zawodna, o czem on sam przekonał się w końcu. Nieraz o tem rozmawiałem z nim samym, bo znałem go dobrze. Otóż sam Taine ostatecznie doszedł do wniosku — jak mi się do tego przyznał otwarcie — że o ile teoria ta da się zastosować do mniejszych talentów, o tyle wielkie talenty wylamują się z pod wszelkich wpływów otoczenia. Są to genialne wyjątki.

Dość długo mówiliśmy o Tainie, którego jestem gorącym wielbicielem, ale przekonałem się, że i w tym razie różniłem się z autorem *Wieczorów florenckich*.

— Bo jeżeli chodzi o pisarza, o talent literacki, to taki Renan np. stoi o całe niebo wyżej, pod każdym względem. Pamiętam, że Renan zawsze porównywał Taine'a do tunelu, przez

k który wprawdzie wychodzi się na jasność, ale do tej jasności, skoro się chce do niej dojść tunelem, droga prowadzi przez ciemność: gdy się jest wśrodku tunelu, nie widzi się nic, nie wie się, gdzie się jest. To porównanie doskonale charakteryzuje sposób pisania i metodę Taine'a: on zawsze prowadzi przez tunel. Przeciwnie Renan, zawsze prowadzi jasną, słoneczną drogą: prowadzony przez niego człowiek zawsze wie, gdzie jest.

Mówiąc o Taine'ie i Renanie, mimowoli zeszedliśmy na temat Paryża, w którym Klaczko przemieszkiwał lat dwadzieścia z górą, a w którym już nie był od lat ośmiu. Dlaczego?

— Oni tam zrozumieć nie mogą, że mię nic nie ciągnie do nich, choć tak długie lata przeżyłem nad Sekwaną. Ciągłe zapytują mię, kiedy się osobiście pokażę w redakcyi *Revue des deux Mondes*, a ja im ciągle odpowiadam, że może to nastąpi jeszcze, ale nie teraz. Ja znałem i pamiętam inny Paryż, i dlatego mię nic nie ciągnie, a wszystko odpycha od dzisiejszego. Wymawiają mi, że zapomniał o nich, gdy oni pamiętają o mnie (czego niedawno dali mi dowód, zaszczycając mię legią honorową), a ja nie taję, że choć pamiętam i myślę o nich, choć mi dzisiejsza Francya często stoi na myśli, mimo to nie chcę się narażać na bolesne wrażenie, jakieby na mnie mógł uczynić Paryż epoki ostatniej. Za silnie byliśmy przywiązani do Francyi napoleońskiej, do jej polityki z czasów drugiego cesarstwa, do Paryża *Wiadomości Polskich* i naszego »biura« na drugim piętrze przy *Quai d'Orleans* Nr. 6, ażeby nas, ludzi, co odychaliśmy ówczesną atmosferą, nie odstręczała dzisiejsza. *Tempora mutantur*, ale myśmy się nie zmienili. I dlatego niezrozumielibyśmy się dzisiaj. Dlatego wątpię, bym jeszcze wybrał się kiedy do Paryża. Wolę jeździć do Włoch, do Rzymu, choć i tam zmieniło się wiele...

I rozmowa zesła na dawniejsze czasy, na Paryż z czasów Napoleona III, na epokę po wojnie krymskiej, kiedy zaczęły wychodzić *Wiadomości Polskie*. Wydawanie tego pisma, które liczyło, jak zapewnia Klaczko, zaledwie stu prenumeratorów¹⁾, była to ciągła walka, ciągle narażanie się na niepopu-

¹⁾ Z powodu tej niewielkiej liczby prenumeratorów, jakich miały *Wiadomości Polskie*, opowiada St. Tarnowski (*Książka Waleryan Kalinka*, str. 78) następującą anegdotę: Kiedy *Revue des deux Mondes* miała pierwszy raz ogłosić pracę Klaczki (*Poète*

larność, a niepopularność ta była większą jeszcze, aniżeli popularność i kult Mierosławskiego.

— Jak dalece *Wiadomości Polskie* były niepopularne, o tem najlepiej świadczy fakt, że nawet w *Hotelu Lambert*, gdzie prenumerowano *pro honore domus* jeden egzemplarz, prenumerowano go, ale nie czytano z zasady. Nawet nie przecinano go! A jeszcze się z tym popisywano przed nami! Zawsze, kiedyśmy z Kalinką przyszli do Hotelu Lambert, sadzano nas *umyślnie* przy stole, na którym leżało parę egzemplarzy *Wiadomości Polskich* — nierozciętych. Tym sposobem chciano nam dać do zrozumienia, co Hotel Lambert myśli o naszym piśmie... Przyszaję, że gdyby nie Kalinka, który się zawziął, to jaby'm nie wytrwał tak długo, jakeśmy wytrwali ostatecznie. Już po pierwszym roku miałem dosyć tego redaktorstwa. Nienawidzono nas, a szczególnie nienawidzono Kalinki. Całe szczęście, że w końcu został księdzem. Inaczej, zabiliby go tak, jak mnie chciano zabić po moim *Katechizmie nierycerskim*...

Skoro się zgadało o *Katechizmie nierycerskim*, a więc o Mierosławskim, który wtedy »organizował« powstanie, a był uważany za geniusz wojenny i polityczny, musiało skończyć się na tem, że rozmowa, która dotychczas przeważnie obracała się koło literatury, zesza na politykę. Smutny temat, zwłaszcza, gdy go się rozpoczyna od polityki »mierosławczyków«, polityki, która nas kosztowała tyle ofiar, a która nas tak mało nauczyła.

— Pod tym względem jeste'my podobni do owych Burbonów, co to niczego nie zapomnieli, a niczego się nie nauczyli. Chciałem raz nawet, pamiętam, napisać książkę na ten temat, książkę p. t. *Zmartwychwstania i samobójstwa*¹⁾. Myśl ta przyszła mi po roku 1863. Już zacząłem nawet gromadzić materyał do

anonyme, styczeń, 1862), stary Buloz, zdumiony pięknością tego, co przeczytał, pytał autora, czy był już w jakim piśmie. Tak: wydawał jedno pismo polskie. — *Et combien aviez-vous d'abonnés?* — *Cent.* — *Cent mille? diable!* — *Non, cent.*

¹⁾ Oddźwiękiem tego pomysłu są następujące słowa w książce Klaczki *Deux Chancelliers*: La démagogie eut gain de cause: elle réussit à jeter dans une révolte impuissante, insensée, un peuple malheureux qui depuis un siècle semble s'être imposé la tache d'étonner le monde par des résurrections périodiques et de le rebuter en même temps par des suicides non moins périodiques, hélas! str. 174.

tej pracy, ale poniechałem zamiaru, bo mi to grzebanie się w naszej narodowej przeszłości, wertowanie tych starych, po-
żółkłych papierów, po większej części stwierdzających rzeczy
smutne i bolesne, robi takie wrażenie, jakbym otwierał stare
trumny... Zawsze podziwiałem Kalinkę, że z takim spokojem
pograżał się w tak smutnych czasach, jak nasz wiek XVIII,
jak panowanie Stanisława Augusta... Ile razy próbowałem
czynić to samo, ledwim się zabrał do pracy, rzucałem ją,
zniechęcony i zdenerwowany. Nigdy nie miałem spokoju Ka-
linki... Za bardzo się przejmowałem tem, o czym zamierzałem
pisać. Dlatego nie napisałem również i wspomnianych *Zmar-
twychwstań i samobójstwo*, które miały być rodzajem przyczynku
do naszej narodowej psychologii. Bo jak są ludzie, którzy się
rodzą ze skłonnością do samobójstwa, tak są i podobne narody.
Obawiam się, czy my nie jesteśmy takim narodem... Ale, je-
żeli tak jest, to możemy się pochwalić, że mamy pewne przy-
wileje u Opatrzności, bo choć urodziliśmy się z organicznym
popędem do samobójstwa, to jednak losy dawały nam możliwość
zmartwychwstania po każdym targnięciu się na własne życie.
Ale jest pewien ponury tragizm w tej zdolności nowego budzenia
się w trumnie. Bo ile razy zdarzyło się nam być wychodzącym
z grobu Piotrowinem, wskrzeszonym przez pomysłny zbieg
okoliczności, zawsze zmartwychpowstawaliśmy na to tylko,
ażby nowym zamachem samobójczym zniweczyć pierwsze pędy
poczynającego się życia, nigdy nie okazaliśmy się dość wyro-
bionymi i dojrzałymi politycznie, ażby daną *vita nuova* obró-
cić na swoją korzyść. Zawsze ją obracaliśmy na naszą zgubę,
zawsze, kiedyśmy mogli dźwignąć się z grobu, dźwigaliśmy
się na to tylko, ażby weń po chwili zapaść jeszcze głębiej.
Takiem zmartwychwstaniem, a pierwszym z kolei, jeżeli chodzi
o epokę porozbiorową (bo tylko tę epokę chciałem uwzględnić
w mojej książce), była epoka pomiędzy r. 1815 a 1830. Opatrz-
ność dała nam Czartoryskiego, który prawdziwym cudem, jakby
zrządzeniem bożem, najprzód staje się najserdeczniejszym przy-
jacielem cesarza Aleksandra (choć nie o tem myślano, gdy po-
stawiono za warunek, ażby młody książę Adam od dziecka
wychowywał się w Petersburgu), potem staje się jego pier-
wszym ministrem, potem, jako kurator okręgu naukowego
wileńskiego, rozbudza życie umysłowe, wytwarza świetność
Wilna i Krzemieńca, a wreszcie przenosi swoją działalność na

Królestwo polskie, które, korzystając ze swego ustroju konstytucyjnego i autonomicznego, wchodzi na drogę niebywałego rozkwitu, prawdziwego renesansu narodowego. Ale nie długo trwało to powstawanie z martwych, to wykluczanie się ze śmiertelnego całunu; przychodzi 29 listopada, który wszystkiemu kładzie koniec. To pierwsze narodowe samobójstwo, które choć nie pozbawione chwały, bo opromienione aureolą wielu czynów bohaterkich, mimo to nie przestaje być zamachem samobójczym, po którym na nowo zostaliśmy złożeni do grobu. Od tego czasu zmartwychwstawaliśmy parokrotnie, ale znowu nie uleczeni z manii samobójczej... Ostatniem zmartwychwstaniem była epoka Wielopolskiego, zakończona r. 1863, który był naszym ostatnim zamachem samobójczym. Oby był ostatnim! Rodzi się kwestya, czy zanosi się na nowe zmartwychpowstanie?..

I tu zaczęliśmy mówić o chwili obecnej, o Warszawie, o Królestwie, o naszych »ugodowcach« i »nieprzejednanych«, a bodaj czy nie to była najciekawsza część naszej rozmowy. Żałuję tylko, że tem wszystkiem, co jest poglądem autora *Etudes de diplomatie contemporaine* na nasze dzisiejsze położenie w sytuacji polityki europejskiej, nie mogę się podzielić na tem miejscu. A byłoby czem się dzielić!

Ale Klaczko, choć tyle pisał z zakresu dyplomacji i polityki, zawsze był i pozostał przedewszystkiem umysłem literackim, który nietylko żywo obchodziło to, o *czem* pisał, ale i to, *jak* pisał. Klaczko-polityk, biegły w arkanach sztuki dyplomatycznej, zawsze szedł w nierozłącznej parze z Klaczka-literatem i artystą pióra, biegłym — jak rzadko kto — w arkanach sztuki pisarskiej, z Klaczka-poetą, co myśli obrazami, nie abstrakcyami, i Klaczka-stylistą, który po polsku pisał jak Skarga, po niemiecku — świetniej od Gervinusa, a po francusku tak, że mu Francuzi zazdroszczą jego francuszczyzny. To też, choć rozmowa toczyła się o polityce i naszym stosunku do »trzech mocarzy«, raz po raz zahaczał o kwestye literackie, które w sposób przedziwny umiał wiązać z politycznemi. I tak zdawałoby się np., że trudno jest, rozmawiając o bardzo konkretnych kwestjach z zakresu bieżącej polityki, ni stąd ni zowad potrafić o Sienkiewicza i jego trylogię historyczną (o której Klaczko w r. 1888 pisał w *Przeglądzie Polskim*). A jednak, choć nie można powiedzieć, żeby od polityki do autora *Quo vadis* był jeden krok tylko, nie zauważyłem nawet, ja-

keśmy się ześliznęli z dyskusyi politycznej — wyłącznie o sytuacji w Królestwie — na czysto literacki temat wyższości wiersza nad prozą.

— Zawsze, ile razy czytam Sienkiewicza, a zwłaszcza jego powieści historyczne, żałuję, że Sienkiewicz nie żył w epoce Mickiewiczowskiej, bo wtedy pisałby wierszem, nie prozą, a wtedy jego powieści historyczne byłyby rzeczywistemi epopejami, któreby przetrwały po wszystkie czasy. A tak, dlatego tylko, że są pisane prozą, przeminają. Rzeczy, pisane prozą, nie mają warunków nieśmiertelności. Po prostu proza jest zbyt kruchym i nietrwałym materiałem, który, jak granit, wietrzeje pod wpływem czasu. Tymczasem wiersz, to jest ten liść aloesu, co utwór literacki chroni od zapomnienia, konserwuje na wieki.

Tymczasem zaczęło się ściemniać; do pokoju, w którym siedzieliśmy, zaczął przesiąkać zmierzch. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła szósta, czyli, że rozmowa trwała blisko dwie godziny. Zacząłem się obawiać, ażeby przypadkiem nie nadużyć uprzejmości gospodarza, i zmierzałem już ku wyjściu. Ale skończyło się na tem, że nim pożegnaliśmy się ostatecznie, wstawałem i znów siadałem kilka razy.

Zgadalo się jeszcze o tem, jak mało kto wie u nas, nawet pomiędzy literatami, iż Klaczkowski jest autorem całego szeregu rzeczy pisanych po polsku. Ogół zna go, jako autora *Wieczorów florenckich*, wytwornie spolszczonych z francuskiego oryginału przez St. Tarnowskiego. Po za tem wie się o Klaczkowskim, że pisywał i pisuje po francusku do *Revue des deux mondes*, z czego mu nawet niektórzy robią zarzut: raz dlatego, że pisze po francusku, a powtóre, że pisze wyłącznie o rzeczach obcych, o renesansie włoskim.

— Każdy pisze o tem — rzekł Klaczkowski — o czem może pisać z największem upodobaniem. Co do mnie, to, jeżeli piszę — w ostatnich czasach — o rzeczach włoskich, o Dancie, Michale Aniele, Rafaelu i Juliuszu II, to dlatego, że te rzeczy znam, a powtóre, że się w nich kocham oddawna. A przytem prace te, drukowane w *Revue des deux mondes*, dają mi możność i pretekst częstego jeżdżenia do Rzymu, do Włoch wogóle, która to przyjemność chyba mi się należy na moje stare lata. Bogu dziękuję, że mi moją samotność ¹⁾ i starość czasami ozlaca

¹⁾ Klaczkowski nie był nigdy żonaty.

promieniami wielkiej sztuki włoskiej. A że piszę o renesansie włoskim! Bo jest to świat, o którym mogę pisać spokojnie, bo pogrążając się w studyach nad rzeczami włoskimi, mniej myślę o innych, nierównie bliższych mi, a które mi nigdy serca krwawić nie przestaną. To mi daje chwilowe zapomnienie, to mi pozwala nie pamiętać na krótkie chwile, że jako Polak, należę do generacji, która dwa razy patrzyła na bankructwo swoich ideałów... Jeden ideał, polski, runął w r. 1863; drugi, ogólnoludzki, humanitarny i cywilizacyjny, ulotnił się z dymem komuny. Są to dwie tragiczne daty w życiu całej jednej generacji. Dopiero po wojnie francuzko-pruskiej zacząłem pisać o poezyi i malarstwie włoskim. *Causeries Florentines* napisałem w roku 1872.

Słów tych, które płynęły z głębi duszy, a brzmiały dziwnie smutnie i wzniośle, słuchałem z całą uwagą; zdawało mi się nawet, że Klaczko, wymawiając je, nie tylko mówił jakby sam do siebie, ale mówił z takim wzruszeniem w głosie, jakby czuł napływające łzy... Była to chwila uroczysta, której nie zapomnę prędko. W pokoju panował mrok, a w tym mroku bieleły się siwe włosy człowieka 72-letniego, który, siedząc nieopodal mnie, pochylony, z głową spuszczoną, zaopatrzoną przed siebie, zdawał się przywalony brzemieniem tych wszystkich myśli, od których ucieka, jak mówi, gdy pisze o renesansie włoskim. Zrozumiałem psychologiczne pobudki, które go popchnęły w tym kierunku. Ten włoski renesans, tak przemawiający do jego artystycznej natury, jest dlań tem ostatecznie, czem Hekuba dla owego aktora z szekspirowskiego Hamleta:

A wszystko za nic! Wszystko dla Hekuby!
Czem dlań Hekuba, czem on dla Hekuby,
By dla niej płakał. Czegożby nie zrobił,
Gdyby miał źródło i wszystkie pobudki
Moich boleści!..

Jak ów aktor, który jest tylko artystą, gdy się rozwodzi nad śmiercią Hekuby, która mu jest mniej lub więcej obojętną, tak Klaczko, kiedy pisze o renesansie włoskim, jest tylko artystą i może nim być wyłącznie... W tych utworach wykwintnego artysty i znawcy piękna, utworach, które go przenoszą w idealny świat poezyi i sztuki, człowiek znużony długą walką życiową, znajduje ukojenie i moralny balsam na nigdy

niezabliżnione rany, a pisząc o czasach Juliusza II, w których tworzyli Rafael i Michał Anioł, zapomina — chwilowo — o czasach dzisiejszych, czasach Bismarka i zasady »siły przed prawem«. A powtóre, kto wie, czy to nie są jedyne rzeczy, o których może pisać z ową *froideur d'artiste*, o której mówi Renan.

Że tak jest, tego dowodzi chociażby zakończenie *Wieczorów florenckich*, zakończenie, które jest kluczem do rozwiązania zagadki, jeżeli kto nie potrafi zrozumieć i wyrozumieć ostatniej fazy w twórczości »genialnego współpracownika *Revue des deux mondes*«:

Polak. W epoce takiego, jak nasza, obniżenia charakterów i pomieszania umysłów, najpewniej jeszcze, najbezpieczniej, trzymać się wiernie tego, co przeszłość kochała i czciła. Bo wtedy jedno przynajmniej ocalonem i całem zostaje: godność, honor. I lepiej jest zawsze z takimi, jak Dante, mylić się, a choćby i upaść, aniżeli z takimi, jak Nogaret, tryumfować.

Komandor. A zresztą, czyż nie jesteśmy już »utopistami przeszłości«, przez to samo tylko, że nas obchodzi, co piękne, co dobre, co prawda? że mówimy o Dancem, o Rafaelu, o Michał Aniele, w tych smutnych czasach »żelaza i krwi«.

Książę Silvio. Masz słuszność, przyjacielu: w takich czasach, jak nasze, dopiero, i bardziej niż kiedykolwiek, potrzeba ze wszystkich sił trzymać i kochać »swoje utopie, większe czy mniejsze...«

Otóż Klaczko jest takim właśnie »utopistą przeszłości«, bo ten Polak, który występuje w jego *Wieczorach florenckich*, a jest nazwany »rozbitkiem«, to on sam¹⁾.

¹⁾ Należy podkreślić ten szczegół, że słynne *Causeries florentines* (za które Klaczko został *Membre de l'Institut*) odbywają się »wczesną jesienią roku 1872«, a więc prawie bezpośrednio po skończeniu wojny prusko-francuskiej, a fatalny r. 1870 zniweczył ideały prawie wszystkich uczestników tych florenckich wieczorów. Pierwszy z nich, książę Silvio, jest »tradycjami rodu, równie jak własnem przekonaniem złączony ściśle ze sprawą zwyciężoną przy Porta Pia 20 września 1870 r.« »Względy tego samego rodzaju zatrzymywały nad brzegami Arnubylego konserwatora jednego z wielkich papieskich muzeów«, Komandora. Francuz, akademik (Caro) »w dniach smutków i ciężkich prób, w oblężeniu Paryża«, nadwreżył zdrowie »w trudach i mrozach tej nieszczęsnej zimy«. Vicomte Gérard przerwał świetnie rozpoczęty zawód dyplomatyczny, »skutkiem ostatnich wstrząśnień; odtąd starał się usilnie odrywać od dręczących a wciąż przytomnych myśli o nieszczęściach ojczyzny...« Dosłownie to samo mógł o sobie powiedzieć ów Polak, którego

pani domu bez ceremonii nazywała Bolskim, a który tak świetnie wypowiada myśli i uczucia samego Klaczki. W podkreślonych słowach o Vicomte Gérard znajduje się psychologiczne uzasadnienie tego zwrotu w Klaczce, który go pchnął w kierunku studyów nad włoskim renesansem, nad rzeczami obcemi, nie-polskiemi.

NB. W rok po tej naszej rozmowie Klaczko zaniemógł ciężko, a w chwili, gdy się drukowała książka niniejsza, choć wyszedł z choroby, jednak z niej wyszedł złamany, w części sparaliżowany... W korespondencji w *Czasie* o sezonie w Zakopanem z r. 1899 taki znajduje się ustęp o autorze *Wieczorów florenckich*. »Genialny współpracownik *Revue des deux mondes*, Julian Klaczko, tak sobie w roku zeszłym (1898) upodobał uroczą dolinę pod Gewontem, iż i tego lata zjechał tu na kilka tygodni. Niestety, nie przyjechał tu w tak pomyślnym stanie zdrowia, jak rok temu. Ciężka choroba, na którą był zapadł w ciągu zimy, zaraz po uroczystym obchodzie swych 70-tych (a raczej 73-cich) urodzin, nie przeszła bez śladu, tak, iż sędziwy autor nieporównanej książki o *Juliuszu II* odbywa dziś swe przejażdżki po Zakopanem nie w powozie lub furką, jak poprzedniego lata, lecz w wózku na trzech kółkach, popychanym przez służącego. Wózek ten, w dni pogodne, spotyka się bardzo często, a kilka dni temu widziano go podobno nawet w Dolinie Kościeliskiej... Dowód to, że znakomity twórca *Wieczorów florenckich* wogóle czuje się dobrze, że mu powietrze Zakopiańskie służy...«

V.

ODSŁONIĘCIE POMNIKA MICKIEWICZA W WARSZAWIE.

Warszawa, 24 grudnia 1898.

Prologiem do dzisiejszej uroczystości, prologiem wspomniałym, było nabożeństwo żałobne za duszę Mickiewicza. Nabożeństwo to odbyło się wczoraj w katedrze św. Jana o godz. 10 zrana. Już na godzinę przedtem nawa świątyni zaczęła się wypełniać. Przed godz. 10 już się tłoczono wszędzie. Wśród parotysięcznego tłumu przeważało młode pokolenie, studenci uniwersytetu i politechniki, chłopcy w mundurkach gimnazjalnych, dużo panienek z pensyi, dużo kobiet wogóle, i cała inteligencja Warszawy. Wszystkich oczy zwracały się w stronę presbiteryum, na którego przodzie, pośrodku, tuż przy balustradzie, w otoczeniu mnóstwa świec i zieleni, na tle masy świeżych kwiatów, wieńców i palmowych pióropuszków, całkiem zakrywających katafalk i trumnę, bielilo się wielkie gipsowe popiersie Mickiewicza... Jeśli trumna jest symbolem śmierci, to ta — prawie niewidzialna — śmiało mogła uchodzić za symbol życia i żywotności, a dzięki obliczu wieszczka, którego duch zdawał się unosić pod temi gotyckimi sklepieniami, robiła wrażenie arki przymierza »między dawnymi i młodszymi laty«. Gdy zapalono wszystkie świece, i te, co otaczały katafalk, i te, co stały na wielkim ołtarzu, i gdy zapłonęły gazowe płomienie wielkiego żyrandolu i bocznych kandelabrow, całe presbiteryum napelniło się złotem światłem, które, pomieszane ze srebrną jasnością dnia, napływającą przez różnokolorowe szyby

ostrołukowych okien w głębi, mieniło się jakimś mistycznym blaskiem, opromieniającym między innymi także i białą głowę Mickiewicza. Jako malowniczy efekt było to poprostu nadzwyczajne! Cóż dopiero, gdy wyszli księża w bogatych ornatach, gdy rozpoczęli się nabożeństwo, gdy odezwały się organy, gdy z chóru rozległy się pierwsze takty przepięknej *Mszy* Moniuszki, śpiewanej przez *Lutnię* pod wodzą Maszyńskiego! Trudno słowami oddać wrażenie, jakiego się doznawało, słuchając tej niebiańskiej muzyki, tak rzewnej i natchnionej, a w takim skupieniu słuchanej przez te zadumane rzesze... Że jednak to wrażenie było wielkie i przejmujące, że chyba nie znalazł się nikt, coby nie był wzruszonym głęboko, tego dowodziły łzy, błyszczące w wielu oczach, i to nie tylko niewieścich. A kiedy przy Podniesieniu zgięły się wszystkie kolana i pochyliły wszystkie głowy, wówczas... wówczas mimo woli przychodził na myśl ów cudny wiersz Słowackiego:

Nie poznałiby ojce¹⁾
.
.
.

Po skończonej mszy rozległy się głucho, ponure, prze-rażające akordy Chopinowskiego *Marsza żałobnego*, grane przez orkiestrę, która pod wodzą Müncheimera ustawiła się w jednej z bocznych naw kościoła. Gdy zagrano przesmutną część środkową tego bolesnego hymnu, załzawiły się nawet te oczy, które aż dotąd pozostały suche...

Tak było wczoraj. Dzisiaj od samego rana — rano był chmurny i pośepny — przybrała Warszawa w swej środkowej dzielnicy, między pomnikami Zygmunta i Kopernika, całkiem wyjątkowy charakter. Na całym Krakowskim Przedmieściu panowała zagadkowa cisza. Na ulicy było pusto, a w wylotach ulic, wychodzących na Krakowskie Przedmieście, stały kozackie patrole. Porządku pilnowała straż policyjna. Chcąc się dostać na Krakowskie Przedmieście, należało pokazywać bilet od komitetu budowy pomnika, takich zaś, co byli zaopatrzeni w podobne karty wstępu, ciągnęło mało, tak, iż całkiem zasługiwali na miano rzadkich przechodniów. Od czasu do czasu

¹⁾ Zob. J. Słowacki, *Pisma pośmiertne* (Lwów, 1885), t.I, 116.

przejeżdżał powóz ze stangretem, mającym biały bilet, przypięty do kapelusza. Ogólny nastrój był dziwny jakiś...

Inny widok przedstawiało Krakowskie Przedmieście, poczawszy od ulicy Trębackiej. Tu całą szerokość ulicy zalegał już zwarty tłum, głowa przy głowie. Przestrono było tylko na ogrodzonym placu dookoła samego pomnika, który, przykryty szarem płótnem, a strzeżony przez cztery złote płomienie zniczków litewskich, wystrzelał ze środka, podobny do wąskiej a krągłej piramidy lub namiotu. Na placu, wysypanym niby arena żółtym piaskiem, czerniło się paręset osób: kobiety w odświętnych strojach, mężczyźni we frakach, których pod futrami pozwalały się domyślać białe rękawiczki i krawaty. Gdzie spojrzeć, same twarze znajome, wszystko osobistości wybitne, sam kwiat społeczeństwa: tu Sienkiewicz, tam Korzon, tam dr. Baranowski. Nie brak i przyjezdnych: jest Kasprowicz ze Lwowa, jest reprezentant krakowskiego *Czasu*, jest paru redaktorów pism poznańskich, nie brak i Słazaków... Pomimo szarego nieba, od którego jakiś smutek zdawał się spływać na ziemię, prawie na wszystkich balkonach okolicznych domów widziałeś wycelowane różnej wielkości aparaty fotograficzne... We wszystkich oknach, niby w łóżach teatralnych, mnóstwo widzów.

Punktualnie o godz. 10 ukazało się duchowieństwo, z arcybiskupem Popielem na czele. Gdy sędziwy ksiądz kościół, przybrany w fioletowe szaty, zajął środkowy fotel na niskim wzniesieniu, obitem czerwonym suknem, wiele osób podchodziło do niego, klękało i całowało wielki pierścień, którego drogie kamienie wyraźnie odbijały od fioletowej rękawiczki.

Po chwili wprowadził Sienkiewicz pod rękę przybyłą umyślnie z Paryża córkę Adama Mickiewicza, panią Maryę Górecką. Był to jeden z bardziej wzruszających momentów: patrząc na tę szlachetną w czarnych szatach postać niewieścia, z rysów twarzy tak uderzająco podobną do swego nieśmiertelnego ojca, gdy szła wsparta na ramieniu autora *Potopu*, nijednemu pewno przyszło na myśl, że tych dwoje ludzi najlepiej wyobrażało przeszłość i teraźniejszość, epokę Mickiewiczowską i dzisiejszą...

Ale zbliżała się uroczysta chwila ściągnięcia zasłony. Członkowie Komitetu, wraz z Cypryanem Godebskim, ustawili się rzędem na granitowych schodach szerokiej podstawy monumentu; wszyscy zgromadzeni, rozproszeni dotychczas, sku-

pili się przed frontem pomnika; poczem, z przeciwnej strony placu, dały się słyszeć przejmujące dźwięki orkiestry. W tejże chwili, na odgłos dzwonka, spadła jedna część płótna, a jednocześnie — jakby na umówiony znak — obnażyły się wszystkie głowy, na całej przestrzeni od króla Zygmunta do Kopernika! Wszystkie serca zabiły żywiej, wszyscy stali z zapartym oddechem, ze wzrokiem utkwionym w pomnik, i po nad tym kilkunastotysięcznym tłumem zaległa taka cisza, że o niej pojęcia mieć nie mogą ci, co jej nie byli świadkami. Musiało być coś niezmiernie wymownego w tej ciszy, bo z wielu oczu popłynęły rześiste łzy, bo ją pod koniec zakłóciły niepowstrzymane łkania... Tymczasem, przy niewypowiedzianie rzewnej melodii *Modlitwy* Moniuszki, rozbrzmiewającej tem potężniej, im ciszej było dookoła, rozwarła się zasłona pomnika. Rozwarła się, jak zasłona w jerozolimskiej świątyni, kryjąca arkę przymierza, i podniesionym a załzawionym oczom naszym ukazała się spiżowa postać wieszczka, z ręką na sercu, a z takim wyrazem natchnionej twarzy, jakby mówił:

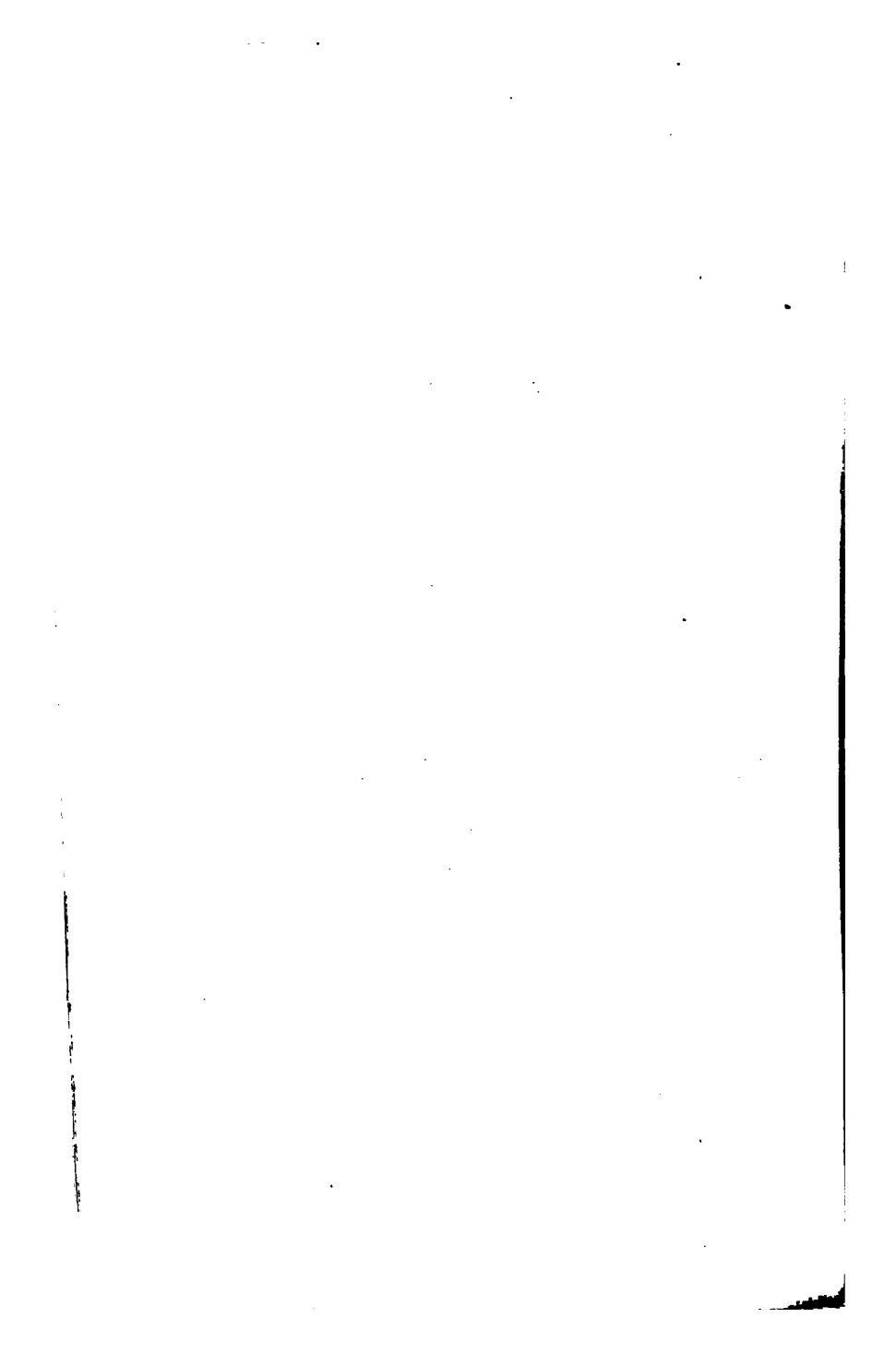
Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu do łona,
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec!
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić...

Wreszcie zasłona spadła zupełnie! Ujrawszy pomnik w całej jego okazałości, uradowaliśmy się w duszy, albowiem przekonaaliśmy się, że jest piękniejszy i wspanialszy, niżesmy przypuszczali, i że Godebski miał chwilę prawdziwego natchnienia, kiedy *taki* pomnik ujrzał w swej artystycznej wyobraźni.

Gdy opadła zasłona i przebrzmiała cudna *Modlitwa* Moniuszki, rozpoczęła się ceremonia poświęcenia pomnika, a raczej ziemi, na której został wzniesiony. W asystencji dwóch młodych księży w białych komżach, z których jeden trzymał kropidło, a drugi srebrne naczynie z wodą święconą, wystąpił proboszcz sąsiedniego kościoła Karmelitów, ks. Siemiec, i odczytał słowa liturgii, poczem, z kropidłem w ręku, kropiąc pomnik, obszedł go dookoła. Następnie wszedł jeszcze na stopnie podstawy i, zwracając się ku zgromadzonym tłumom, pobłogosławił je i pokropił... I wszyscy, żegnając się, pochylili

głowy, wiele rąk uderzyło się w piersi, wiele kolan dotknęło się ziemi, w wielu oczach zabłyśły nowe łzy... A tymczasem z oddali, od strony Starego Miasta, rozlegał się jednostajny i uroczysty odgłos dzwonu z wieży katedralnej...

Po skończonej uroczystości, której epilogiem był radosny *Polonez* Moniuszki, gdy wszystkim było wolno podejść do stóp pomnika, niebawem posypały się nań kwiaty, zaczęto zawieszzać wieńce. Kwiatów tych i wieńców zniesiono tyle, że wkrótce złożony napis na wielkiej spiżowej tablicy: *Adamowi Mickiewiczowi rodacy*, zniknął pod nimi zupełnie.



SPIS RZECZY.

	Str.
I. Fragmenty historyczne.	
I. Święty Kazimierz	3
II. Sobieski i Marysieńka	9
III. Wilhelm I. i Eliza Radziwiłłówna	33
IV. Saragossa. (Kartka z podróży)	49
II. Z dziejów oświaty.	
I. Krzemieniec i jego liceum	61
II. Euzebiusz Słowacki	77
III. Leon Borowski	83
IV. Z dziejów Warszawy	93
III. Mickiewicz — Chopin — Słowacki.	
I. Adama Mickiewicza »dzieciństwo sielskie anielskie«	105
II. Słowacki potomkiem... astrologów	123
III. Młodzieńczy »ideal« Chopina	129
IV. »Siła fatalna« poezji Słowackiego	141
V. Marya z Wodzińskich Orpiszewska	151
VI. Rafael i Fornarina w życiu Słowackiego	161
VII. Z życia Chopina	174
VIII. Chwila przełomu w życiu Adama Mickiewicza . . .	180
IV. Rzeczy polskie w Paryżu.	
I. Grobowiec królewski	213
II. Groby polskie na cmentarzach paryskich	230
III. Dwie przechadzki po Paryżu	247
IV. Biblioteka Polska w Paryżu	284
V. Wycieczka do Montmorency	308

	Str.
V. O Matejce.	
I. Ze wspomnień o Matejce	329
II. Matejko i Słowacki	351
III. Matejko jako humorysta	364
IV. W domu Matejki	370

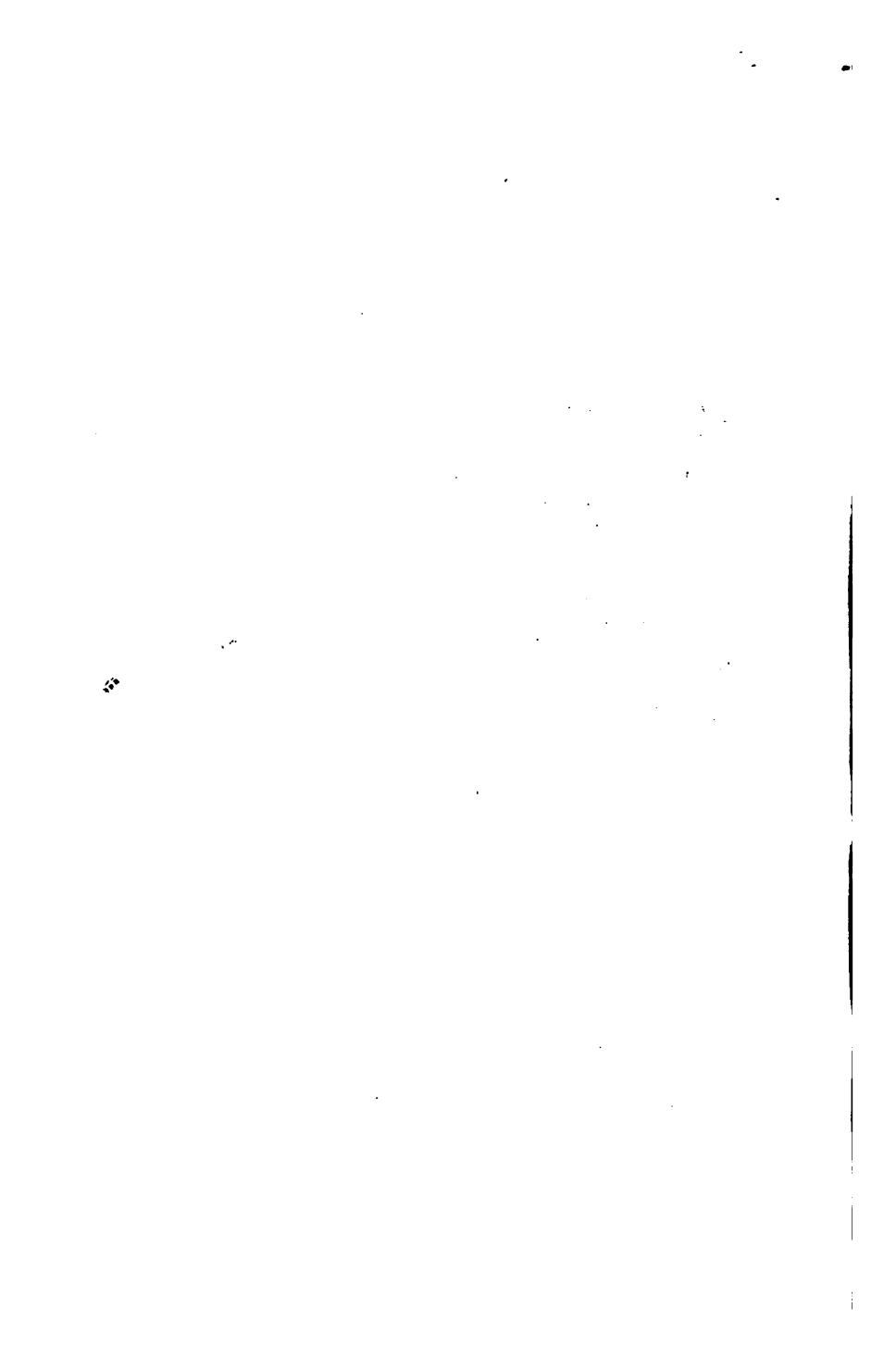
VI. Z życia i książek.	
I. Sonata wiosenna	393
II. Zakopane	398
III. Zagadkowy królewicz	424
IV. U Juliana Klaczki	458
V. Odświeżenie pomnika Mickiewicza w Warszawie	485

19

74

R

008710



THE BORROWER WILL BE CHARGED AN OVERDUE FEE IF THIS BOOK IS NOT RETURNED TO THE LIBRARY ON OR BEFORE THE LAST DATE STAMPED BELOW. NON-RECEIPT OF OVERDUE NOTICES DOES NOT EXEMPT THE BORROWER FROM OVERDUE FEES.

CANCELLED
JUL 20 1988
783782

CANCELLED
DECEMBER
2008
FEB 9 1988
2411808



